



MARK
HELPRIN

ZIMOWA
OPOWIEŚĆ

WYDAWNICTWO
otwarte

Helprin Mark

Zimowa opowieść



MOJEMU OJCU

Nikt nie zna Miasta lepiej niż on

Byłem w innym świecie i wróciłem. Posłuchajcie mnie.

PROLOG

Wielkie miasto jest niczym więcej jak własnym portretem, prędzej czy później okazuje się jednak, że zawarty w nim arsenał scen i obrazów jest częścią głęboko ukrytego planu. Jako książka, w której można taki plan odczytywać, Nowy Jork jest niezrównany, między klifami Palisades cały świat bowiem wlał weń swoje serce – dzięki czemu jest to miasto znacznie lepsze, niż kiedykolwiek sobie na to zasłużyło.

W tej chwili jednak Nowy Jork jest zasłonięty – jak to często bywa – zbielałą masą, w której spoczywa: pędzi ona wokół nas z niepojętą szybkością, poskrzypując niczym wiatr we mgle, zimna w dotyku, połyskuje, rozsnuwa się, kłębi niczym para buchająca z maszyny lub bawełna rozwijana z beli. Oślepiająca biała pajęczyna niekończących się dźwięków przepływa obok nas bezlitośnie, w końcu jednak zasłona rozsuwa się... i odsłania wśród chmur jezioro powietrza gładkiego i czystego jak lustro: głębokie, okrągłe oko białego huraganu.

Na dnie tego jeziora leży miasto. Z wielkiej wysokości wydaje się małe i odległe, widać jednak, że krząta się i uwija, ponieważ nawet wówczas, gdy wydaje się nie większe od żuka, i tak jest pełne życia. Zaczynamy spadać. Ten śmigły, niepostrzeżony lot przywróci nas do życia kwitnącego w cichości innego czasu. Szybujemy w dół w absolutnej ciszy, prosto w tę niezamarzającą ramę, aż wreszcie naszym oczom ukazuje się żywy obraz, namalowany barwami zimy. Mocne są to barwy, zapraszają nas do środka.

I

MIASTO

BIAŁY KOŃ UCIEKA

Oto biały koń, w ciszy zimowego poranka, gdy ulice pokryte są niegłęboką, miękką warstwą śniegu, a niebo wibruje od gwiazd – i tylko na wschodzie świt zalewa je już błękitną falą. Powietrze jest nieruchome, lecz wkrótce drgnie, gdy wszędzie słońce, a od rzeki Hudson nadciągnie wiatr znad Kanady.

Koń uciekł z małej, zbitej z klepek stajni swego pana na Brooklynie. Przekłusował samotnie drogą dla powozów przez Williamsburg Bridge, jeszcze po ciemku, gdy poborca myta spał przy piecu, a nad miastem lśniły miriady gwiazd. Świeży śnieg na moście tłumiał stukot podków, niekiedy koń obracał więc głowę i spoglądał za siebie, bacząc, czy nikt go nie ściga. Oddychał równo, rozgrzany od wysiłku: przebiegł już cztery czy pięć mil przez samo serce Brooklynu, mijając milczące kościoły i zasłonięte okiennicami sklepowe witryny. Daleko na południu, na czarnych, usłanych lodowymi krami wodach cieśniny Narrows, migotało światło: jakiś prom płynął w stronę Manhattanu. Na Manhattanie zaś na nogach byli jedynie kupcy z targowisk, czekający, aż łodzie rybackie prześlizną się przez przesmyk Hell Gate i wpłyną do portu.

Koń był zwariowany, ale miał też na tyle rozsądku, by martwić się swoim postępkiem. Wiedział, że jego państwo niedługo wstaną i napalą w piecu, że śpiący w kuchni kot dozna najdotkliwszego upokorzenia, czyli zostanie zamasyście wyrzucony za drzwi, wyleci na podwórze ogonem do przodu i spadnie na przysypaną śniegiem stertę trocin, że zapach borówek i gorącego kleiku zmiesza się ze słodką wonią sosnowego ognia, a niedługo potem pan wyjdzie na podwórze i ruszy w stronę stajni, by go nakarmić i zaprząć do wozu z mlekiem. Lecz jego tam nie będzie.

Niezły figiel! Na myśl o własnym nieposłuszeństwie koniowi serce drżało z trwogi: wiedział, że pan zaraz zacznie go szukać. Zdawał sobie sprawę, że może to przypłacić solidnymi cięgami, wyczuwał jednak, że jego bunty wprawiały też pana w rozbawienie, sprawiały mu przyjemność, wzruszały go – pod warunkiem że przybierały stosowną formę i zostały odważnie przeprowadzone. Bezładne, prostackie protesty (na przykład kopanie w drzwi stajni) prowokowały do sięgnięcia po bat. Ale i to nie zawsze się zdarzało, pan cenił konia za żywość charakteru, był mu wdzięczny za jego tajemniczą inteligencję – nawet on nie mógł jej zignorować, mimo że czasem przysparzała mu kłopotów i smuciła. Zresztą kochał swojego białego konia i właściwie wcale mu nie przeszkadzało, że musi go szukać po ulicach Manhattanu (tam bowiem koń zazwyczaj się udawał). Dzięki temu miał sposobność spotkać się ze starymi znajomkami i pozaglądać do gospód – w każdej wypijał po kufelku piwa i rozpytywał się, czy ktoś przypadkiem nie widział jego olbrzymiego, pięknego białego ogiera, włóczącego się, jak go Pan Bóg stworzył, bez wędzila, bez uzdy, bez derki.

Manhattan potrzebny był koniowi do życia. Przyciągał go jak magnes, jak próżnia, jak owies, jak klacz, jak ciągnąca się w bezkresną dal, wysadzana drzewami droga. Zszedł z mostu i zatrzymał się. Przed sobą miał tysiące ulic, pustych i białych od śniegu, rozkoszny labirynt, zupełnie cichy, wypełniony jedynie świstem zrywającego się właśnie wiatru, muskającego pokryte dziewiczym śniegiem koleiny. Mijał puste teatry, biura i portowe nabrzeża, przy których sterczały w górę rzędy masztów podobne do czarnych, przyprószonych śniegiem sosnowych zagajników. Mijał ciemne fabryki i opuszczone parki, mijał szeregi małych domków, które rozniecany pod kuchniami ogień napełniał krzepiącym, słodkim ciepłem. Mijał przerażające piwnice, w których tłoczyli się zbieracze szmat oraz bezręcy i beznodzy kalecy. Koło targu

otworzyły się drzwi jednego z barów, na ulicę chlusnął strumień wrzątku, wzbijając kłęby pary. Koń mijał z daleka leżących gdzieś martwych bezdomnych, zamkniętych na głucho w sztywnych trumnach swoich zamarzniętych ciał. Sanie i wozy wyjeżdżały z targów i ciągnięte dziarsko przez przysadziste konie pędziły głównymi ulicami, podzwaniając dzwonekami. Koń trzymał się jednak z dala od targów – życie wrzało tam nawet przed świtem – i szedł dalej milczącymi wązozami głównych arterii, co pewien czas mijając stalowe szkielety nowo stawianych budynków, których gorączkową budowę przerwano na zimę. I rzadko tracił z oczu nowe mosty, które spoiły małżeńskim węzłem piękny, kobiecy Brooklyn z bogatym wujem Manhattanem, pozwoliły miastu sięgnąć ręką w głąb kraju, a przy tym kładły kres przeszłości – nie tylko bowiem łączyły odległe ze sobą miejsca i pozwalały przekroczyć głęboką wodę, ale spajały też czas i marzenia.

Powiewając ogonem, koń biegł szybkim klusem przez puste aleje i bulwary. Poruszał się jak tancerz, co zresztą nie jest dziwne: koń to piękne zwierzę, najbardziej zaś chyba niezwykłą jego cechą jest to, że porusza się tak, jakby zawsze słyszał muzykę. Wiedziony nieokreśloną pewnością, która nawet jego samego wprawiała w zdumienie, biały koń zdążył na południe, w stronę parku Battery, widocznego u wylotu długiej, wąskiej ulicy jako biała równina poprzecinana cieniami wysokich drzew. Prześwietlający za parkiem port nabierał barw w świetle brzasku, falował warstwami zieleni, srebra i błękitu. U kresu tej zimowej tęczy, na horyzoncie, stała masa zwartej bieli – tło, na którym rozpościerało się całe miasto – ozłacana pomalą promieniami wschodzącego słońca. To blade złoto drżało: wprawiane w ruch wznoszącymi się falami gorąca i światła, wyglądało jak tysiąc odległych miast, jak próg samych niebios. Koń przystanął i buchając parą z nozdrzy, chłonął wzrokiem złote światło, zapatrzył się z zachwytem w niemożliwą i kuszącą dal. Stał na ulicy nieruchomy jak pomnik, złoto tężało zaś i kipiało na horyzoncie w błękitnym łożu. Zdało mu się, że jest to miejsce doskonałe, postanowił więc pójść w tamtą właśnie stronę.

Ruszył przed siebie, lecz szybko przekonał się, że dostęp do parku od strony ulicy zagradza masywna żelazna brama. Cofnął się i spróbował innej drogi, druga brama była jednak zamknięta w identyczny sposób. Skręcał w kolejne ulice, ale wszędzie napotykał ciężkie bramy, żadna z nich nie była zaś otwarta. Gdy tak szamotał się w tym labiryncie, złoto nabrało intensywności, wydawało się, że zakrywa pół świata. Pusta biała polana z pewnością musiała być drogą do tego innego, doskonałego świata, i choć koń nie miał pojęcia, jak mógłby przekroczyć dzielącą go odeń wodę, zapragnął wdrzeć się do Battery, jak gdyby był to jedyny cel jego życia. Galopował rozpaczliwie po ulicach wiodących do bram, przez zaułki, przez zasypane śniegiem zieleńce, nie spuszczać wzroku z ciemniejącego złota.

Gdy dotarł do końca ostatniej, jak mu się zdawało, ulicy wiodącej na polanę, również natknął się na bramę, a ta była zamknięta jedynie na zwykły rygiel. Koń dyszał ciężko, kłęby pary unosiły mu się wokół głowy. Spojrzał przez pręty. Nic z tego – nigdy nie wejdzie do Battery, nigdy nie pocwałuje po błękitnozielonych wstęgach morza ku złotym obłokom. Już miał zawrócić i ruszyć po własnych śladach do miasta, z nadzieją, że uda mu się odnaleźć most i drogę powrotną do Brooklynu – gdy nagle, w ciszy tak głębokiej, że nawet jego własny oddech brzmiał jak szum dalekich fal, usłyszał tupot wielu stóp.

Z początku nikły, narastał nieustannie, szybkie kroki łomotały głucho, aż koń poczuł, jak ziemia lekko drży, jakby gdzieś niedaleko przebiegał inny rumak. Lecz nie był to koń, to byli ludzie – przez pręty czarnej bramy ujrzał w końcu, jak biegną przez park. Pędzili długimi susami, ponieważ wiatr zawiął polanę śniegiem niemal po kolana. Wyteżali wszystkie siły, a mimo to biegli jakby w zwolnionym tempie. Nieprędko dotarli na środek łąki, gdy zaś już się

to stało, koń spostrzegł, że jeden z nich, biegnący na czele, w istocie ucieka, pozostali zaś, w liczbie może dwunastu, ścigają go. Uciekający mężczyzna ciężko dyszał, czasem przez chwilę rzucał się naprzód jeszcze większym pędem i wysforowywał się kawałek dalej. Niekiedy upadał, ale natychmiast podnosił się i pędził dalej. Jego prześladowcy od czasu do czasu również się przewracali, lecz wstawali wolniej. Zwarta grupa szybko się rozproszyła. Mężczyźni krzyczeli i machali rękoma. Uciekinier milczał głucho, biegł równo, sztywno przebijając nogami – i tylko gdy przeskakiwał przez zaspy i niskie barierki, rozpościarał ramiona na podobieństwo skrzydeł.

Gdy zbliżył się nieco do bramy, koń poczuł do niego sympatię. Spodobały mu się jego ruchy – nie miały tej gracji, co ruchy konia, tancerza, czyli kogoś, kto zawsze słyszy muzykę, ale były zgrabne. Charakter tych ruchów wskazywał też, że nie jest to wcale zwykła gonitwa po śniegu, lecz coś znacznie poważniejszego. Tak czy inaczej prześladowcy doganiali go. Trudno było pojąć, jak to możliwe, okutani byli przecież w ciężkie płaszcze, mieli meloniki, uciekinier zaś, z gołą głową, owinięty był tylko szalikiem i ubrany w zimową kurtkę. Na nogach miał zimowe kamasze, tamci zaś niskie, miejskie buciki, na pewno wypełnione już szczypiącym w stopy śniegiem. Biegli jednak co najmniej tak szybko jak on, może nawet szybciej, byli dobrzy w tym, co robią, widać było, że mają duże doświadczenie.

Jeden z nich zatrzymał się, rozstawił szeroko nogi na śniegu, uniósł oburącz pistolet i wypalił w stronę uciekiniera. Wystrzał huknął echem wśród budynków okalających park, gołębie zerwały się z oblodzonych chodników. Uciekinier zerknął za siebie, a potem pobiegł na ukos, w stronę ulicy, gdzie koń stał właśnie jak zahipnotyzowany. Tamci również zmienili kierunek i doganiali go jeszcze szybciej: biegli po przeciwprostokątnej trójkąta, on zaś skręcił pod kątem prostym. Gdy dzieliło ich nie więcej niż dwieście stóp, kolejny prześladowca zatrzymał się i wypalił z pistoletu. Strzał huknął tak blisko, że koń otrząsnął się z odrętwienia i odskoczył do tyłu.

Uciekinier dopadł do bramy. Koń cofnął się za jakąś szopę. Nie chciał mieszać się do zajścia. Ciekawość sprawiła jednak, że nie był w stanie długo usiedzieć w ukryciu: zaraz wychylił głowę za węgiel szopy i obserwował rozwój wypadków. Uciekinier gwałtownym wymachem ręki otworzył rygiel, przebiegł przez bramę i zatrzasnął ją za sobą. Z trudem łapiąc oddech, wyciągnął zza pasa masywny stalowy sztylet i zaklinował nim zasuwę. Potem obrócił się i z udręką w oczach puścił się biegiem wzdłuż ulicy.

Pościg był już niemal przy płocie, gdy mężczyzna pośliznął się na zamrożonej kałuży. Upadł jak kłoda, uderzając mocno głową o ziemię, poturlał się na bok i znieruchomiał. Koń z łomoczącym sercem przyglądał się, jak prześladowcy wspinają się na płot, zwarcu jak oddział żołnierzy. Od razu było widać, że to przestępcy: mieli dziwne, krzywe twarze, wydatne łuki brwiowe, cofnięte podbródki, nosy i uszy jakby źle przyszyte, czoła groteskowo niskie (linia włosów zaczynała im się niemal nad samymi brwiami, żaden lodowiec nigdy nie zawędrował tak daleko na południe). Okrucieństwo biło od nich jak snopy iskier z kowadła. Któryś znów sięgnął po pistolet, lecz inny, najwyraźniej przywódca, zawołał:

– Nie! Nie tak. Już go mamy. Zrobimy to pomału, nożem. – I dalej wspinali się na płot.

Gdyby Peter Lake – tak bowiem nazywał się ścigany mężczyzna – nie ujrzał konia zerkającego zza szopy, może nie podniósłby się już z ziemi.

– Złe z tobą, durny łajdaku, skoro nawet koń się nad tobą lituje – powiedział głośno do siebie, po czym poderwał się na równe nogi i wyciągnął rękę do zwierzęcia. Prześladowcy nie widzieli, że za szopą stoi koń, sądzili więc, że postradał zmysły lub próbuje ich zmylić jakąś sztuczką.

– Koniu! – zawołał Peter Lake. Koń cofnął głowę. – Koniu! – krzyknął raz jeszcze

i rozpostarł ramiona. – Błagam!

Prześladowcy zeskakiwali już z płotu na ulicę. Nie spieszyli się: ulica była pusta, a ścigany, oddalony już ledwie o parę stóp, stał nieruchomo. Byli pewni, że już go mają.

Serce Petera Lake'a łomotało tak mocno, że trząsał się na całym ciele. Czuł się głupio, był bezsilny jak psująca się maszyna.

– O mój Jezu – powiedział drżącym głosem, jak mechaniczna zabawka. – O Jezu, Maryjo i święty Józefie, ześlijcie mi opancerzony walec drogowy.

W tym momencie wszystko już zależało od konia. Zwierzę rzuciło się naprzód przez zamarzniętą kałużę i schyliło kark. Peter Lake sprężył się, zarzucił ramiona na tę białą, długą jak u łabędzia szyję i wskoczył mu na grzbiet. Od razu odzyskał animusz, mimo że mroźne powietrze znów zadrżało od pistoletowego wystrzału. Zespolony z uciekinierem w jedną istotę, koń obrócił się i przysiadł leciutko na tylnych nogach, zbierając oddech i siłę do biegu. Peter Lake odwrócił się w stronę prześladowców i zaśmiał im się prosto w twarz. Całe jego jestestwo wypełnił czysty, lekki chichot. Koń wyprysnął wreszcie przed siebie i pogalopował ulicą, pozostawiając Pearly'ego Soamesa i gang Krótkich Ogonów daleko za sobą, opartych o żelazne pręty bramy, strzelających z pistoletów i miotających przekleństwa. Jedynie Pearly zachowywał spokój: przygryzł dolną wargę, zmrużył oczy i obmyślał, jak inaczej schwytać ofiarę. Huk wystrzałów był ogłuszający.

Peter Lake był już poza ich zasięgiem. Wzbijając tumany śnieżnego pyłu, koń galopował między ciemnymi witrynami sklepów, unosił go na północ przez budzące się miasto.

PROM PŁONIE O ZIMNYM BRZASKU

Uciec Krótkim Ogonom nie było trudno, ponieważ żaden z nich (w tym Pearly, wychowany w bandyckiej dzielnicy Five Points, podobnie jak cały gang) nie umiał jeździć konno. Byli oni panami terenów portowych, umieli zdziałać cuda za pomocą jednej małej łódeczki, na łodzi jednak chodzili pieszo, jeździli tramwajami lub metrem lub kolejką, przeskakując przez bramki. Petera Lake'a ścigali od trzech lat. Tropili go nieustannie, czy lato, czy zima, wpędzali go w coś, co Peter nazywał tunelem, czyli w stan nieustającej walki; Peter wciąż miał nadzieję, że się z niego wyrwie, lecz wciąż mu się to nie udawało.

Czasami znajdował bezpieczne schronienie wśród zbieraczy małży na mokradłach Bayonne, na ogół jednak nie opuszczał Manhattanu, nie trzeba więc było wiele czasu, by Krótkie Ogony znów go zwietrzyły i wznowiły pościg. Musiał mieszkać na Manhattanie, ponieważ był włamywaczem, a dla włamywacza praca w każdym innym miejscu oznaczała przyznanie się do własnej miernoty. Podczas tych trzech gorączkowych lat Peter wiele razy zastanawiał się nad przeprowadzką do Bostonu, lecz nieodmiennie dochodził do wniosku, że na pewno nie będzie tam miał czego kraść, że Boston nie sprzyja włamywaczom i że prędzej czy później wejdzie tam w drogę Małpom Cantarella (głównemu bostońskiemu gangowi, niezbyt znaczącemu), tak jak w Nowym Jorku wszedł w drogę Krótkim Ogonom – choć oczywiście z innych powodów. Mówiono zresztą, że gdy w Bostonie robi się ciemno, to jest naprawdę ciemno, nocą trudno się tam ruszyć, by nie wpaść na policjanta. Został więc na Manhattanie, łudząc się, że Krótkie Ogony w końcu dadzą mu spokój. Były jednak nieustępliwe, toteż przez trzy ostatnie lata (z wyjątkiem chwil wytchnienia na mokradłach) jego życie było jedną wielką ucieczką.

Peter Lake przywykł już, że nieraz przed świtem budził go gromki tupot na rozklekotanych schodach, świadczący niezbitcie, że Krótkie Ogony wytropiły go w kolejnej tymczasowej kryjówce. Ileż to razy musiał przerywać rozkoszny posiłek, schadzkę z kobietą czy włamanie do bogatego, niestrzeżonego domu, bo gang wyrastał nagle przy nim jak spod ziemi; jego członkowie materializowali się niekiedy w sposób dla niego niepojęty, niemal ma wyciągnięcie ręki. Coraz trudniej było mu się wymknąć, coraz ciaśniejsze miał pole manewru, coraz bardziej jego życie było zagrożone.

Lecz teraz, gdy miał konia, wszystko mogło potoczyć się inaczej. Dlaczego nigdy wcześniej o tym nie pomyślał? Z koniem był nieporównanie bardziej bezpieczny, mógł błyskawicznie uciec z każdej zastawionej przez Pearly'ego Soamesa pułapki, i to nie o marnych parę jardów, lecz o całe mile. Latem mógł przepłynąć na koniu przez rzekę, zimą przejechać po lodzie. Mógł szukać schronienia nie tylko na Brooklynie (ryzykując, rzecz jasna, że zgubi się w tym nieskończenie zawiłym labiryncie), ale też na pustkowiach, w sosnowej puszczy, na niekończących się plażach Montauk, w górach Watchung i Hudson Highlands. Dla mieszczuchów były to miejsca omal niedostępne: wśród wielkomiejskiego zepsucia gangsterzy czuli się wprawdzie jak ryba w wodzie, lecz za to bali się burz z piorunami, dzikich zwierząt, lasów, a nawet nocnego rechotu żab.

Peter Lake spał konia, ten jednak nie potrzebował zachęty – był przestraszony, zresztą uwielbiał biegać, słońce zaś było już wysoko, płonęło nad dachami budynków niczym wielkie, otwarte palenisko, wlewało żar w i tak rozgrzane już mięśnie. Bieganie było jego żywiołem. Gdy pędził przed siebie, z uniesioną głową, opuszczonym ogonem i uszami położonymi do tyłu przez wiatr, przypominał wielki biały pocisk. Sadził tak długimi susami, że Peterowi skojarzył się z kangurem – chwilami miał wrażenie, że za chwilę obaj oderwą się od ziemi i ulecą w niebo.

Do Five Point nie było po co jechać. Peter Lake miał tam wprawdzie wielu przyjaciół, mógł się ukryć w którejś z tysięcy podziemnych izb, w których urządzano tańce i grywano w karty, lecz gdyby przybył tam na grzbiecie olbrzymiego konia, wszystkie wróble w okolicy od razu rozćwierkałyby, co się święci. Zresztą Five Points było dość blisko, a on miał konia, mógł uciec w znacznie odleglejsze miejsca.

Pędem przejechali ulicą Bowery i wkrótce znaleźli się na Washington Square – koń wpadł na plac przez łukowatą bramę jak przez cyrkową obręcz. Ulice zdążyły już zaroić się od przechodniów; niektórzy z dezaprobatą marszczyli brwi, widząc rozpędzonego jeźdźca na białym koniu. Na Madison Square spostrzegł ich policjant siedzący w budce na podwyższeniu. Widząc, jak nadciągają wzdłuż Fifth Avenue, i przewidując, że raczej się nie zatrzymają, zaczął kierować ulicznym ruchem – widział już kiedyś, jak przeraźliwe skutki ma zderzenie rozpędzonego konia z kruchym automobilem, i nie miał już ochoty oglądać czegoś podobnego. Machając rękoma ze swej miniaturowej wieżyczki, zdołał zatrzymać płynące dokoła strumienie automobili, elektrycznych tramwajów i konnych wozów, lecz nagle ujrzał, że Peter Lake gna prosto na niego. Koń szybował niczym pocisk, wyglądał jak wojenny pomnik, w który nagle wstąpiło życie. Policjant zadał w gwizdek i zamachał urękawicznymi dłońmi. Tego jeszcze nie było: intruzi chcieli stratować jego budkę, pędzili zaś co najmniej trzydzieści mil na godzinę! Niańki zęgnęły się i przytulały dzieci do siebie, poganiacze bydła podnosili się na wozach, staruszki odwracały oczy. Policjant zastygł bez ruchu w swojej złotej wieżyczce.

Peter Lake ponownie spiął konia i wyciągnął prawe ramię niczym lancę w stronę znieruchomiałego funkcjonariusza. Gdy mijali go w chmurze śnieżnego pyłu, chwycił jego czapkę i zerwał mu z głowy.

– Pozwól, że sobie wezmę! – zawołał.

Rozjuszony policjant obrócił się, chwycił notes i zaczął wściekle opisywać wygląd końskich pośladków.

Peter Lake skręcił w lewo, w Tenderloin. Było tam jednak tak tłoczno, że wkrótce stanął w miejscu zatrzymany przez cysternę i kilka zaklinowanych powozów. Woźnice krzyczeli, konie głośnym rzeniem okazywały niecierpliwość, a grupa uliczników wykorzystwała okazję i zaczęła ostrzeliwać ulicę śnieżnymi i lodowymi pigułami. Uchylając się przed pociskami, Peter zerknął za siebie i ujrzał, że od wschodu nadciąga kilka niebieskich punkcików. Były jeszcze daleko, lecz zbliżały się, chytre i śmigłe. Policjanci! Nie mając siodła ani strzemion, Peter wdrapał się koniowi na grzbiet i wyjrzał zza powozów. Ulica była zupełnie zatarasowana, przywrócenie ruchu mogło potrwać nawet pół godziny. Peter usiadł i zawrócił konia, zamierzając szturmem przełamać nadciągającą tyralierę. Koń jednak inaczej rozumiał odwagę, nie chciał się w to mieszać, gdy więc Peter Lake po raz kolejny próbował spiąć go do biegu, zadrżał tylko i potrząsnął łbem. Nie mógł iść naprzód ani się cofnąć, stapał więc w bok, w stronę rozświetlonej markizy, na której – choć był dopiero ranek – migotał napis: TUREK SAUL PRZEDSTAWIA: CARADELBA, HISZPAŃSKA CYGANKA.

Teatr wypełniony był tylko w połowie i pogrążony w ciemności rozjaśnianej jaskrawym, błękitno-zielonym wystrojem wnętrza; na scenie tańczyła półnaga Caradelba, spowita w rozfalowane białe i kremowe atłasy. Peter Lake przystanął u szczytu środkowego przejścia i przyglądał się Caradelbie z nadzieją, że nikt nie zauważył jego wtargnięcia. Lecz gdy policjanci wdarli się do holu, spiął konia i ruszył galopem w stronę orkiestronu. Muzycy nie przerywali gry, choć klęli pod nosem, widząc, jak z ciemności wyłania się biała głowa, a za nią tułów olbrzymiego konia, niczym latarnia zawieszona na czele lokomotywy.

Koń nabierał szybkości.

– Nie wydaje mi się, byś umiał też skakać – powiedział Peter Lake i zamknął oczy. Koń nie skoczył, tylko zrobił coś więcej: ku własnemu zdziwieniu poszybował nad orkiestrą i niemal bezszelestnie wylądował na scenie obok hiszpańskiej Cyganki. Przeleciał dwadzieścia stóp wzdłuż i osiem stóp wwyż. Peter Lake był zdumiony potężnym skokiem i gładkim lądowaniem. Caradelba nie mogła wydusić z siebie słowa. Była jeszcze dzieckiem, drobniutkim, przyozdobionym tonami makijażu; z wyjątkiem chwil, gdy tańczyła, brakowało jej też śmiałości wobec ludzi. Nagłe, niczym spod ziemi, pojawienie się konia z jeźdźcem na scenie, która miała należeć tylko dla niej, odebrała jako wielką zniewagę – zupełnie jakby Peter Lake ją ośmieszył, objawiając się na swoim olbrzymim rumaku. Łzy stanęły jej w oczach. Koń również nie do końca panował nad sobą. Nigdy dotąd nie był w teatrze, nie wspominając o scenie. Światła bijące z gęstego mroku, muzyka, miękka i subtelna woń makijażu Caradelby, potężna płachta kurtyny z niebieskiego aksamitu – wszystko to zupełnie go oczarowało. Wypiął pierś jak na paradzie.

Peter Lake nie mógł zdecydować się na zejście ze sceny, czuł, że musi jakoś pocieszyć Caradelbę. Tymczasem policjanci przedzierali się przez orkiestron, okładając pięściami rozstępujących się niechętnie muzyków. Zaczarowany światłami rampy koń dał się ponieść teatralnej atmosferze i zapragnął popróbować przez chwilę różnych min. Peter Lake, który nigdy nie tracił zimnej krwi, zastanawiał się przez chwilę, po czym zsiadł z konia i choć prześladowcy wspinali się już po aksamitnych sznurach na proscenium, podszedł do Caradelby z policyjną czapką w dłoni i przemówił do niej z irlandzkim akcentem:

– Droga panno Candelabro! W dowód mej miłości i podziwu dla mieszkańców tego wspaniałego miasta chciałbym wręczyć ci pamiątkę: czapkę, którą zdjąłem niedawno z maleńkiej główki policjancika stojącego w maleńkiej budce na Madison Square. Jak widzisz – wskazał na grupę policjantów, którzy nie zdołali wspiąć się na proscenium i przeciskali się z powrotem przez orkiestrę – jest to najprawdziwsza czapka policyjna. A ja już muszę zmykać.

Dziewczyna wzięła od niego czapkę i włożyła ją. Pękate nakrycie głowy w zgrzebnym granatowym kolorze sprawiło, że jej nagie ręce i ramiona wyglądały jeszcze bardziej ponętnie. Caradelba ponownie puściła się w arabeskowy płas, tyle dla poklasku widzów, ile dla własnej przyjemności. Peter Lake odciągnął konia od oślepiających świateł, dosiadł go i przedarłszy się przez płataninę sznurów i scenicznych dekoracji, wydostali się na zimową ulicę – która tymczasem na powrót stała się przejezdna – po czym wrócili nią na Fifth Avenue i wznowili galop w stronę przedmieść.

Stróże prawa zaprzestali pościgu, ich uwagę odwróciło świeże żniwo szalejącej w mieście wojny gangów, czyli stosy trupów, znajdowane każdego ranka na ulicach Five Points, na portowych nabrzeżach i wielu innych, bardziej niecodziennych miejscach: w kościelnych dzwonicach, dziewczęcych szkołach z bursą czy magazynach korzennych przypraw. Nie mieli czasu na takie drobnostki, jak niezależni włamywacze, Peter Lake umyślił sobie jednak, że galopując na oślep modnymi alejami, na pewno wzbudził oburzenie wśród „dżentylmanów” (oddajmy mu sprawiedliwość: domyślał się, że nie wymawia tego słowa prawidłowo), policja z pewnością wznowi więc pościg, a wtedy Krótkie Ogony ustąpią pola. Pozostawał tylko jeden problem: gdy Krótkie Ogony wzięły kogoś na cel, nie odpuszczały już nigdy.

Peter wiedział jednak, jak uniknąć śmiertelnych pułapek w skutym mrozem mieście, plany ucieczki rozkwitały przed nim jak burzowe chmury, pędziły mu w ramiona, chętne i gotowe. Sposobów na zachowanie i postradanie życia w mieście było tyle, ile ulic, widoków i linii tramwajowych. Lecz Krótkie Ogony były wyjątkowo sprawne i zręczne w swojej robocie, wszystkie korytarze i zakręty tego labiryntu, wszystkie rzeki i rwące potoki ulic były dla nich

równie naturalnym środowiskiem, jak ziemne nory dla polnych szczurów. Gangsterzy pojawiali się wszędzie z przerażającą szybkością i nieuchronnością – niczym nienasycony czas, niczym pożar, niczym nurt wody wylanej z brzegów. Nawet tydzień bez spotkania z nimi zakrawał na cud, Peter Lake był zaś ich głównym celem od trzech długich lat.

Ponieważ teraz po piętach deptały mu już i gang, i policja, Peter Lake postanowił, że opuści Manhattan – niechaj kleszcze zacisną się same. Gdyby obie strony spotkały się twarzą w twarz w poszukiwaniu zagubionej ofiary, mogły zewrzeć się w mocnym, długim starciu, dzięki czemu Peter zyskałby trzy, może cztery miesiące wolności. Mogło to jednak nastąpić tylko wówczas, gdyby wycofał się z pola walki. Postanowił więc, że wprowadzi się ponownie do zbieraczy małży na mokradłach Bayonne. Wiedział, że znajdzie u nich schronienie i kawałek suchej ziemi dla konia, ponieważ to właśnie oni go znaleźli i przygarnęli, gdy był dzieckiem, i wychowywali (przez jakiś czas) jak przyjazne stado wilków. Zbieracze małży byli groźniejsi od gangsterów. Krótkie Ogony nie śmiały zapuścić się choćby na długość wiosła na ich rozległy akwen, bo wiedziały, że natychmiast zapłacą za to głową. Nikt dotąd nie był w stanie podbić mieszkańców Bayonne – nie tylko dlatego, że byli to nadzwyczajni wojownicy i nie dało się ich wytropić, ale też dlatego, że ich królestwo było tylko na poły rzeczywiste; każdy, kto wkroczał tam bez ich zgody, mógł zostać pochłonięty przez ryczące kłębowisko chmur, które przetaczało się po tamtejszych lustrzanych wodach. Władze New Jersey postanowiły kiedyś, że wtłoczą zbieraczy małży w karby cywilizowanego życia, zmuszą do przestrzegania prawa i płacenia podatków – z takim efektem, że trzydziestu szeryfów, policjantów stanowych i agentów Pinkertona na zawsze rozplynęło się w oślepiająco białej ścianie obłoków. Wicegubernatora znaleziono w łóżku w jego posiadłości w Princeton przeciętego we śnie na pół. Jeden z promów w Weehawken wyleciał w powietrze podczas rejsu: wystrzelił kulą ognia wysoką na dwadzieścia pięter z takim łoskotem, że w promieniu pięćdziesięciu mil zadrżały wszystkie szyby w oknach.

Peter Lake wiedział, że choć na mokradłach ma zapewnione schronienie, światła Manhattanu będą go nieustannie nęcić z drugiej strony rzeki bez względu na grożące mu tam niebezpieczeństwo. Przymorzanie mieszkali zbyt blisko rozpędzonej nieskończoności. Byli milkliwi, poważni i nieprzeniknieni, czas mknął bowiem obok nich niczym ściany tunelu widziane z okien pociągu. Typowy Przymorzanin był krewkim dzikusiem, umiał wróżyć z rybiej wątroby, mówił zaś szybko, używając tajemnych, niezrozumiałych słów. Dla Petera Lake'a, nawykłego do barów z pianinem i ślicznych, zgrywających się na nieprzystępne dziewcząt, pobyt na mokradłach nie był łatwym doświadczeniem. W razie potrzeby umiał jednak dostosować się do okoliczności, zawsze był gotów poddać duszę próbie.

Może udałoby mu się przesiedzieć tam tydzień czy dziesięć dni – łowiłby ryby w przerębłach, chodził spać przed wschodem księżyca, objadał się po uszy pieczonymi ostrygami, pływał łodzią po słonej, niezamarzającej delcie i szukał pociechy w objęciach kilku kobiet, które uwielbiały zatracać się z nim w dzikich porywach cielesnej miłości, podczas gdy pobliska ściana chmur wprawiała w drżenie jego chatę wśród trzciny, a zimowa wichura zawiewała śnieżnymi zaspami wytyczone na lodzie ścieżki. Przypomniał sobie Anarinę o ciemnych włosach, piersiach jak brzoskwinie i oczach jak gwiazdy... i ruszył w stronę północnej przeprawy promowej.

– A niech to! – wykrzyknął, gdy wspięli się na wzniesienie naprzeciw doków i południowej palisady. Prom tkwił nieruchomo pośrodku rzeki, wśród lodowych kier, i płonął. Z początku trudno było doń dotrzeć, znad pomarańczowych jęzorów płomieni buchały skłębione tumany czarnego dymu. Promy często płonęły: ich kotły łatwo wybuchały, zwłaszcza zimą, gdy trzeba było odpierać ataki ciężkich, ostrych brył lodu. Jedynym lekarstwem na ten stan rzeczy

były cudowne nowe mosty, któż jednak potrafiłby wybudować most przez rzekę Hudson?

Dzień był idealnie pogodny, na drugim brzegu wszystko rysowało się ostro i wyraźnie: smugi barw, poszczególne drzewa, małe białe domki o dwuspadowych dachach, żyły czerwieni i purpury w wysokich brązowych skałach. Smagana zimnym wiatrem rzeka niosła w stronę ujścia masy lodu. Wśród huku kier, gromkiego niczym bicie dzwonów, uwijały się wielorybnicze łodzie i parowe holowniki z ubranymi na czarno strażakami na pokładach, usiłującymi ratować rozbitków i zalewać płomienie lodowatą wodą. Mimo porannego chłodu na brzegu było tłoczno od gapiów: dziewczynek z łyżwami i sankami, hydraulików i stolarzy, którzy przystanęli w drodze do pracy, służących, dokerów, wozaków, flisaków i robotników kolejowych. Sporo było też przekupniów, którzy oczekiwali, że gdy prom stanie się pływającą ogniową pułapką, na brzegu zaroi się od ciekawskich, których będzie można nakarmić kasztanami, pieczoną kukurydzą, gorącymi preclami i mięsem z rożna. Peter Lake kupił torebkę kasztanów od sprytnego mężczyzny o rękach tak zgrubiałych, że niewrażliwych na żar – wybierał nimi parujące kasztany spomiędzy rozmigotanych czerwono węgla na okrągłej patelni. Kasztany były zbyt gorące, nie dało się zjeść ich od razu, Peter rozejrzał się więc szybko, czy nie ma w pobliżu żadnych dam, po czym wetknął sobie parującą torebkę w spodnie, tuż przy żołądku. Czując, jak po całym ciele rozlewa mu się przyjemne ciepło, przyglądał się płonącemu promowi; wiatr wiał coraz mocniej, zginał w kierunku południowym długie rzędy wierzb, otrząsając gałęzie z szadzi.

Jeden z gapiów nie patrzył w stronę promu, tylko na Petera Lake'a, ten jednak ze wzgardą zignorował ten afront – mężczyzna był roznosicielem telegramów, czyli wykonywał zawód, którego Peter szczerze nienawidził. Może dlatego, że wykonywali go niegodni następcy uskrzydłonego Merkurego: pulchne, słoniowate, gęstokrwiste potwory człapiące z prędkością jednej mili na godzinę i niebędące w stanie wspiąć się po byle schodach. Peter Lake nie zamierzał rezygnować z widowiska, nie lękał się tego opasłego bałwana w workowatym uniformie i pudełkowatej czapce z małą tabliczką **POŚLANIEC BEALS**. Jeżeli nawet posłaniec Beals wmiesza się w tłum i zniknie, jeśli zaalarmuje Krótkie Ogony, to cóż z tego? Gdyby się pojawiły, Peter Lake mógł w jednej chwili wskoczyć na konia i zostawić je w tyle.

Kilku strażaków portowych próbowało dostać się na pokład płonącego promu. Trudno było dociec, po co to robią: wszyscy pasażerowie, którzy zdołali uniknąć śmierci, zostali już uratowani, a zbliżenie się do ognia i tak nie pomogłoby w gaszeniu. Czemu więc tak mozolnie, ręka w rękę, parli na pokład po linie, która to napinała się, to luźno zwisała, w pewnej chwili zaczęła się palić, a do tego co jakiś czas zanurzała się wraz ze strażakami w lodowatej rzece, aż gapie na brzegu wstrzymywali oddech z wrażenia? Peter Lake wiedział, dlaczego to robią: strażacy czerpali z ognia swoją moc. Im mocniej zwierali się z nim w walce, tym stawali się silniejsi. Wiedzieli, że choć ogień niekiedy zabija, użycza też bezcennych darów.

Peter Lake wraz z całym tłumem zaczął wiwatować, gdy strażacy dotarli po płonącej linie na pokład. Patrzył, co się dzieje, a równocześnie łuskał kasztany i dzielił się nimi z koniem. Po półgodzinie prom zaczął przechylać się na burtę. Jeden z holowników zmagął się z napierającymi krami, usiłując zabrać dzielnych strażaków z pokładu – lina spłonęła do końca, a oni stali bezradnie na pokładzie, widać było, że jeśli prom przewróci się do góry dnem w głębokim kanale żeglugowym, pójdą pod wodę razem z nim.

Peter Lake kątem oka spostrzegł (złodzieje dobrze to umieją), że drogą nadjeżdżają dwa automobile. Na pozór wyglądały tak jak wszystkie, nie wyróżniały się niczym szczególnym, tyle że pędziły całą mocą silników, jeden za drugim, w środku siedziały zaś Krótkie Ogony. Wskakując na grzbiet konia, Peter Lake zauważył, jak posłaniec Beals podskakuje (bardzo

powoli) z podniecenia. Krótkie Ogony zapewne wynagrodzą go sutym obiadem lub biletem do kabaretu.

Peter Lake zostawił za sobą płonący prom i pogalopował na południe, ku otwartym alejom, wzdłuż fabryk, mleczarni, browarów i torów kolejowych. Wraz z koniem szybko zniknął wśród stosów beczek, płotów, sześciennych stert drewna, w labiryncie gazowni, garbarni, przędzalni lin, czynszowych kamienic, teatrów rewiowych i wysokich, szarych wież mostów.

Krótkie Ogony znów zostały o krok w tyle, szybkie, lecz bezradne w swych samochodach. Peter Lake nie dał się doścignąć, pędził na południe, koń sadył zaś tak potężnymi susami, że omal nie wzniósł się w powietrze.

PEARLY SOAMES

W całym wszechświecie istniała tylko jedna fotografia Pearly'ego Soamesa. Przedstawiała go w towarzystwie pięciu policjantów, z których czterech trzymało go za ręce i nogi, a piąty za głowę. Pearly siedział rozciągnięty na krześle, mocno przywiązany w pasie i na piersi. Twarz miał zaciętą, powieki mocno zaciśnięte i choć była to tylko zwykła czarno-biała fotografia, niemal słychać było krzyk wyrrywający mu się z gardła. Potężny funkcjonariusz stojący za oparciem wyraźnie miał kłopot z utrzymaniem jego twarzy na wprost obiektywu, ścisnął Pearly'ego za włosy i brodę, jak gdyby trzymał rozjuszonego jadowitego węża. W chwili gdy magnezja błysnęła w zasobniku, stojący z tyłu stojak na płaszcze przewrócił się w prawo, jak gdyby był przypadkową ofiarą szamotaniny, i zastygł tak na zawsze niczym wskazówka ozdobnego zegara wskazująca godzinę drugą. Pearly Soames naprawdę nie lubił się fotografować.

Oczy miał jak brzytwy, jak diamenty. Były niewiarygodnie blade, przezroczyste i miały barwę srebra. Ludzie mawiali: „Gdy Pearly Soames otwiera oczy, to jakbyś włączał światło elektryczne”. Od kącika ust aż do ucha biegła mu blizna. Kto na nią spojrzał, czuł się tak, jakby nóż rozcinał mu zimnym cięciem jego własną skórę – blizna Pearly'ego Soamesa była niczym biały ornament boleśnie wyłobiony zimnym ostrzem z kości słoniowej. Miał ją od czwartego roku życia; była prezentem od ojca, który nieudolnie próbował poderżnąć synowi gardło.

Oczywiście źle jest być przestępcą. Każdy to wie, każdy mógłby przysiąc, że przestępcy są zakałą tego świata. Pełnią też jednak pożyteczną funkcję: nadają miastu płynność. Można wręcz założyć, że Nowy Jork nie byłby tak wspaniały, gdyby nie te legiony zbuntowanych diabłów, które swą niewytłumaczalną krnąbrnością podsycają światło dobra. Można nawet powiedzieć, że przestępcy są koniecznym składnikiem równania. Są cukrem i alkoholem miasta, błyskiem czerwieni w mozaice, błyskawicą w parną noc. Taki był też Pearly.

Pearly był tym wszystkim po trosze – w każdej chwili swego życia wiedział też, kim jest, i że wszystko, co robi, jest złe; opętany tą bolesną wizją samego siebie pojmował w lot sens własnych bezlitosnych postępów. Mechanika miejskiej równowagi nie obchodziła go ani trochę, ale i tak wiedział, że gdyby przestał robić to, co robi, życie miasta zupełnie by się rozprzęgło. Potrzebowało ono bowiem równowagi między przeciwstawnymi i przypadkowymi siłami, wszystkie one skupiały się zaś w nim. Pomyślmy tylko, jakiej magii potrzeba, by człowiek wzdrygnął się z odrazy na widok małego dziecka i miał ochotę je zabić. Pearly miał w sobie tę magię: nienawidził dzieci i miał ochotę je zabijać. Niemowlęta wrzeszczały jak koty na płocie, miały ogromne, okrągłe usta i nie umiały nawet utrzymać pionowo swych przeklętych główek. Doprowadzały go do szału swoimi zachciankami, swoimi pretensjami, swoją niewinnością. Pearly miał ochotę zdławić te ich pretensje, skalać tę niewinność. Miał ochotę wdawać się z nimi w dyskusje, choć przecież nie umiały mówić. Nienawidził też dzieci starszych, lecz jeszcze zbyt młodych, by dało się je wykorzystać do kradzieży. Cóż za tragiczny paradoks! Gdy były jeszcze małe i mieściły się między okiennymi kratami, nie wiedziały, co robić, nie można było wysłać ich po łup. Gdy podrosły na tyle, że rozumiały, co i jak, nie mogły już nigdzie się gładko przemknąć. Nie tylko zresztą dzieci Pearly darzył nienawiścią, nie tylko przy nich dławiała go nieopanowana żądza gwałtu. Podobne uczucia żywił względem inwalidów. Zgrzytał zębami na ich widok, miał ochotę ich pozabijać, porozgniatać na miazgę, połamać koła ich wózków – żeby tylko wreszcie przestali tak okropnie litować się nad sobą. Pearly był skrytobójcą, szaleńcem, mistrzem zbrodni, diabłem, złotym psem ulic.

Pragnął złota i srebra, lecz nie dla bogactwa, jak zwykli złodzieje, tylko dlatego, że kruszce te miały w sobie czystość i blask. Ten dziwny, chory, spaczony człowiek próbował się leczyć, wynajdując abstrakcyjne stosunki między barwami. Pociągały go piękne, intensywne kolory. Nie był jednak koneserem; koneserzy malarstwa byli dziwnie obojętni na barwy same w sobie, rzadko dawali im się owładnąć – przeciwnie, raczej starali się zawładnąć nimi. I stosunkowo łatwo było ich zaspokoić. Byli jak smakosze, którzy muszą urządzić wielką ucztę, by cokolwiek zjeść. Mylili piękno z wiedzą, a pasję ze znawstwem. Co innego Pearly. Jego zamiłowanie do koloru było jak choroba, jak religia, jak głód, którego niepodobna nasycić. Zdarzało się czasem, gdy szedł ulicą lub płynął szybkim czółnem wzdłuż nabrzeża, że jednobarwna płaszczyzna miasta rozświetlała się nagle w blasku słońca, rozbłyskiwała krótkotrwałą, jak wszystko w Nowym Jorku, różnorodnością: Pearly zatrzymywał się wówczas jak wryty pośrodku ulicy, aż ludzie i powozy musiały go omijać, gdy zaś płynął łódką, odwracał ją dziobem do wiatru i nieruchomieł wpatrzony w kolory, póki nie zagały. Malarze pokojowi niekiedy wpadali w przerażenie, gdy Pearly pojawiał się nagle, stawał tuż przy nich i wpatrywał się swymi elektrycznymi oczyma w bujne, połyskliwe kolory wypływające grubymi warstwami spod mokrych pędzli. Bali się nawet wtedy, gdy był sam (znali go doskonale, wiedzieli, jaką ma reputację), a tym bardziej gdy towarzyszyła mu świta Krótkich Ogonów. Wtedy naprawdę drżeli z trwogi: gangsterzy Pearly’ego karali ich potem za to, że musieli stać w nieskończoność z rękoma w kieszeniach i obserwować działanie niewytłumaczalnej tajemnicy, jaką był „magnetyzm barw” – bo tak właśnie Pearly nazywał swą skłonność. Nie mieli śmiałości mu się poskarżyć, gdy więc Pearly odchodził, kilku z nich zostawało na miejscu i sprawiało malarzom lanie.

Pewnego razu Pearly na czele sześćdziesięciu Krótkich Ogonów szedł na pole bitwy z innym gangiem. Maszerowali przez miasto niczym florencka armia, uzbrojeni nie tylko w zwyczajną w takich razach broń, ukrytą pod płaszczami, ale też w strzelby, granaty i miecze. Rwali się do walki, podnieceni ponad wszelką miarę. Serca wrywały im się z piersi. Oczy płonęły. W połowie drogi na pole bitwy Pearly zauważył dwóch malarzy chlapiących świeżą warstwę emalii na framugę drzwi do gospody. Miniaturowa armia zatrzymała się. Pearly podszedł do drżących ze strachu malarzy. Przybliżył oczy do świeżej zielonej farby i zastygł na chwilę; wdychał jej zapach, zupełnie się zatracił. Odświeżony, poruszony i zdumiony zrobił krok wstecz ogarnięty magnetyzmem barw...

– Nałóżcie więcej – powiedział. – Lubię patrzeć, jak się ją nakłada, lubię, gdy jest mokra. To wspaniała chwila.

Malarze zaczęli nakładać następną warstwę, szynkarz był zachwycony, Pearly przyglądał się z zadowoleniem.

– Miły widok – przyznał. – Naprawdę miły. Przypominają mi się owe wydzielone miejsca w posiadłościach bogaczy, gdzie nie wpuszcza się owiec i zieleń pozostaje nietknięta. Tylko tak dalej, chłopcy. Wróć tu za dzień czy dwa, zobaczę, jak to wygląda po wyschnięciu.

A potem ruszył dalej ze swym gangiem na wojnę, stanął w pierwszej linii i walczył jak nikt, ponieważ napił się ze źródeł koloru.

Magnetyzm barw zmuszał go do kradzenia obrazów. Najpierw wziął na cel sklepy dla malarzy, napadał na nie sam bądź wysyłał swych ludzi – lecz szybko odkrył, że nie ma tam nic prócz sztalug i farb. Złodzieje zorientowali się, że obrazów należy szukać w bezpiecznie zamkniętych skarbcach cenionych marszandów oraz najpilniej strzeżonych pałacach przy górnej Fifth Avenue – i znajdowali je tam: najbardziej pożądane ze wszystkich płócien, sprzedawane za dziesiątki tysięcy dolarów, obrazy, na widok których śliniły się wszystkie psy gończe z gazet i o

których krytycy nie śmieli powiedzieć złego słowa. Przywożono je z Europy na jachtach, w osobnych kajutach, strzeżone przez trzyosobowe grupy agentów Pinkertona. Pearly wiedział, które z nich kraść, ponieważ czytał gazety i prenumerował katalogi aukcyjne.

Pewnej nocy jego najlepsi włamywacze przynieśli pięć zrolowanych płócien z galerii Knoedlera. Pearly nie wytrzymał do rana: kazał przynieść dwa tuziny sztormowych latarni i lusterek na olbrzymie poddasze nieopodal mostów, gdzie mieściła się wówczas kwatera główna gangu – wzorem hiszpańskiej partyzantki Krótkie Ogony często zmieniały miejsce pobytu – a następnie rozwinać obrazy. Płótna rozwieszono na stojakach i zakryto aksamitną zasłoną. Zapalono lampy. Jaskrawe światło biło w miękką tkaninę. Pearly odsunął się do tyłu, gotowy do uczt. Skinieniem głowy dał znak swoim ludziom, by spuścili zasłonę.

– Co?! – wrzasnął, odruchowo kładąc rękę na rękojeści pistoletu. – Czyście na pewno ukradli to, co wam kazałem?

Włamywacze gorączkowo zaczęli wertować katalogi, porównywali tytuły zakreślone na czerwono ręką Pearly’ego z tabliczkami, które odkręcili z ram i ukradli wraz z płótnami. Wszystko się zgadzało.

– Nie rozumiem – powiedział Pearly, wpatrując się w kolekcję wielkich i sławnych dzieł. – Sama czerń i brąz. Wyglądają jak błoto. Żadnego światła, ledwie widać kolory. Kto maluje czarno-brązowe obrazy?

– Nie wiem, Pearly – odparł Blacky Womble, jego najbardziej zaufany zastępca.

– Po co? Po co się to robi? Co w nich widzą ci wszyscy bogacze i znawcy? Czy oni są ślepi? Przecież to bogacze, muszą wiedzieć, ile to jest warte.

– Mówię ci, Pearly, nie mam pojęcia – rzekł Blacky Womble.

– Cicho bądź! Odnieście je z powrotem. Nie chcę ich tutaj. Włóżcie je z powrotem w ramy.

– Ale myśmy je przecież wycięli – zaprotestowali włamywacze. – Poza tym za godzinę będzie widno. Nie ma już czasu.

– No to odnieście je jutro w nocy. Do diabła z nimi! Co za śmieci!

Nazajutrz w mieście zapanowało wielkie poruszenie, gdy odkryto, że z galerii Knoedlera zniknęły obrazy warte pół miliona dolarów. Następnego dnia prasa krzyczała, że obrazy zostały zwrócone. Na pierwszych stronach gazety drukowały treść listu przypiętego do jednej z ram:

Nie chcę tych obrazów. Wyglądają jak błoto, jak zupa z soczewicy, nie mają w sobie barw. Przynajmniej takich barw, do jakich przywykłem. Popatrzcie sobie na dowolne amerykańskie miasto, zwłaszcza jesienią czy zimą, gdy kolory tańczą i płyną w świetle dnia, spójrzcie na nie z odległego wzgórza lub z łodzi na rzece czy w zatoce: każdy fragment tego widoku będzie o wiele lepszym obrazem niż te wasze bohomy, które można kochać tylko wtedy, kiedy jest się dobrze urodzonym. Może jestem złodziejem, ale umiem rozpoznać kolor, gdy z łaski niebios lub wskutek diabelskich sztuczek ukaże się moim oczom – i wiem też, jak wygląda błoto. Nie musi pan już się bać o swoje obrazy, panie Knoedler. Nie będę ich już kradł. Nie podobają mi się.

Szczerze oddany

P. Soames

By ukoić jego ból, gangsterzy znosili mu szmaragdy, złoto i srebro. Pearly nie odzywał się ani słowem przez wiele dni, dopóki złoto i wysokiej próby srebro nie uleczyły go ciepłym blaskiem. Od czasu do czasu złodzieje przynosili mu też dzieła amerykańskich malarzy, renesansowych miniaturzystów lub zdolnych, lecz niedocenianych artystów eksperymentalnych, bądź antyki z czasów, gdy do farb nie dodawano jeszcze oleju z siemienia lnianego, i Pearly miewał swoje uczty – czasem pod mostem, czasem na piętrze taniej piwiarni, czasem wśród szcurków w zarekwirowanym browarze. Lecz wszystko na nic: wszystkie te cudowne widoki i scenki, subtelność prawdziwych, ofiarnych kolorów, święta harmonia, z jaką wplataną je w malarskie plany, mu nie wystarczały. Tak naprawdę Pearly chciał sam zamieszkać w marzeniu, który go tak urzekało, chciał spędzać dni i noce w oparach polerowanego złota.

– Chcę mieć złotą komnatę – powiedział. – Z czystego, litego złota, stale polerowanego irchą. Ściany, sufit, podłoga, wszystko ma być wyłożone złotem.

Nawet gangsterzy zdumieni się tym oświadczeniem. Miasto należało do nich, ale przecież nigdy nie zamierzali być bogaci jak inkascy królowie, budować niebiańskich pałaców, ba, nie chcieli mieć nawet stałego adresu.

Blacky Womble odważył się zaproponować:

– Pearly, nikt w Nowym Jorku nie ma złotej komnaty, nawet najbogatszy bankier. To strata czasu. Żeby zebrać tyle złota, musielibyśmy je kraść przez sto lat.

– I tu się mylisz – odparł Pearly. – Zrobimy to w jeden dzień.

– Jeden dzień?

– Tak. To proste jak ukraść kurę. Myślisz, że nie istnieją złote komnaty? Jesteś w błędzie.

W tym mieście jest wiele milionów pokoi i zamkniętych przestrzeni, ciągnących się w nieskończoność pod ziemią, wznoszących się w powietrze, przenikających w bezkresny labirynt ulic. Złotych komnat w tym mieście jest być może więcej niż gwiazd na niebie.

– Jak to możliwe? – spytał Blacky Womble.

– Słyszałeś kiedyś o Sarganda Street, o Diamond Row, o Alejach Dziewiątek i Dwudziestek?

– W Nowym Jorku?

– Owszem. To arterie długie na setki, tysiące mil, zakręcające we wszystkie strony, rozgałęzione na wszystkie strony, każde z tych rozgałęzień przecina się zaś z innymi i jest wspanialsze od poprzedniej.

– Gdzie one są? Na Brooklynie? Nie znam Brooklynu. Nikt nie zna. Ludzie wyjeżdżają tam i nie wracają. Na Brooklynie jest mnóstwo ulic, o których nikt nie słyszał, na przykład Funyew-Ogstein-Crypt Boulevard.

– To chyba po hebrajsku. Ale masz rację, są na Brooklynie, i na Manhattanie też. Przecinają się i nakładają na siebie. – Oczy Pearly'ego rozjarzyły się elektrycznym światłem. Blacky Womble nie zawsze go rozumiał (zwłaszcza gdy Pearly wysyłał go późną nocą po galon świeżej farby), ale wierzył w swojego szefa, uwielbiał też patrzeć, jak oczy zaczynają mu błyszczeć, a pot występuje na czoło, jak gdyby był zapaśnikiem czy bokserem ruszającym do walki; uwielbiał, gdy Pearly wyczarowywał skarby dosłownie spod ziemi, opętany niczym wyrocznia kierowana boską ręką. – Aleje Dziewiątek i Dwudziestek są ze sobą splecione jak dwa spółkujące węże. Ciągną się na tysiące mil.

– W którym kierunku, Pearly?

– W górę! Prosto w górę! – odparł Pearly, wskazując na ciemny sufit. Jego oczy zniknęły, w oczodołach białą tylko pustą białką. Blacky Womble również wbił wzrok w ciemność – i ujrzał szare sploty i błękitne błyski. Poczuli się tak, jakby wisiał nad

nieskończenie głęboką czeluścią. Zapomniał o grawitacji. Leciał. Jego oczy wchłonęła owa miriada ulic, którą Pearly otworzył przed nim na jedną krótką chwilę. Gdy wrócił, ujrzał, że Pearly wpatruje się w jego twarz, skoncentrowany na czekającym go zadaniu, cichy i spokojny jak kierownik pralni nazajutrz po Bożym Narodzeniu.

– Nawet jeśli Sarganda Street i te Aleje Dziewiątek i Dwudziestek...

– ... i Diamond Row...

– ... i Diamond Row istnieją, niby jak mamy ukraść tyle złota, by dało się zbudować złotą komnatę? Nie zrozum mnie źle, pomysł jest dobry, ale jakżeż my mamy to zrobić?

– Jedyne rozwiązanie to obrabować któryś z transportowców przepływających przez Narrows.

Blacky Womble zrobił krok do tyłu. Krótkie Ogony były najlepszym nowojorskim gangiem, najpotężniejszym, najzuchwalszym, ale nawet one nigdy nie obrabowały żadnego z głównych banków – z jednym wyjątkiem, ale był to transport do jednego z tymczasowych oddziałów, sejf był tak lichy, że dałoby się go rozpruć otwieraczem do konserw. O napadzie na główne transportowce złota nie było nawet co myśleć. Po pierwsze, nikt właściwie nie wiedział, gdzie lądują, ponieważ ich kursy wytyczano przypadkowo, za pomocą specjalnych urządzeń (drucianych klatek z umieszczonymi wewnątrz bloczkami, przypominającymi kamienie do madzonga, z wyrytymi współrzędnymi geograficznymi). Statki te żeglowały po świecie najbardziej nieprawdopodobnymi, zygzakowatymi trasami. Jeden z szybkich transportowców na przykład po drodze z Peru do Nowego Jorku sześciokrotnie zawiązał do Jokohamy – jakkolwiek to zawijanie polegało jedynie na tym, że zbliżał się na pięćdziesiąt mil do portu, odpalał błękitną flarę, a następnie znikał w mroku nocy. Niepodobna było dowiedzieć się, gdzie i kiedy taki statek można znaleźć. Transportowce złota brzydziły się tradycyjnymi szlakami żegludowymi, przybywały szybko i niespodziewanie. Większość mieszkańców Nowego Jorku nawet nie wiedziała o ich istnieniu. Piekarze wypiekali niekończące się stopy ciasteczek, mechanicy majstrowali przy naoliwionych maszynach pachnących krzemieniem i stalą, urzędnicy bankowi prowadzili rachunki, przyjmując i wypłacając swymi zgrabnymi, wytrenowanymi dłońmi drobne sumy pieniędzy – i nie mieli pojęcia, że gdzieś obok nich przepływają bogactwa wielkich królestw, że rozlewają się po ulicach dolnego Manhattanu niczym fala wśród trzciny.

Spośród milionów nowojorczyków może dziesięć tysięcy widziało kiedykolwiek transportowca złota w portowej zatoce bądź przycumowany przy ufortyfikowanym nabrzeżu na szybki, półgodzinny wyładunek, spośród nich zaś nie więcej niż tysiąc wiedziało, co właściwie widzi. Z tego tysiąca dziewięćset osób było uczciwych i nie myślało o kradzieży. Z setki, która myślała, pięćdziesiąt osób stanowiły zniszczone ludzkie wraki, niezdolne okraść nawet samych siebie. Z pozostałej reszty dwudziestu umiało kraść, lecz wykorzystywało swoje talenty w innych dziedzinach (w operze, w wydawaniu książek, w armii), dwudziestu było wykwalifikowanymi złodziejami, lecz nie miało zdolności organizacyjnych, pomocników ani narzędzi, pięciu nie umiało opracować porządnego planu napadu, czterech być może umiało, lecz nie mogło wprowadzić go w życie z powodu nieszczęśliwego wypadku, przypadkowych przeszkód bądź nagłego ataku niestrawności – co i tak nie znaczy, że w przeciwnym razie by im się powiodło. Pozostawała tylko jedna osoba: Pearly Soames. Lecz nawet dla niego było to zadanie omal niemożliwe, transportowce złota były bowiem najszybszymi i najzwinniejszymi statkami na świecie. Były ciężko uzbrojone i opancerzone. W czeluściach ich kadłubów kryły się olbrzymie luki, które można było otworzyć jedynie wówczas, gdy statek przycumował do któregoś z ufortyfikowanych pirsów i specjalny mechanizm wyciągnął z kadłuba serię stalowych prętów blokujących dostęp do drzwi skarbcza, zaopatrzonego dodatkowo w czasowy zamek – skarbiec z kolei podzielony był na dziesięć solidnych przegród, a złoto zamknięte w sejfach

zabezpieczonych ładunkami wybuchowymi. Każdego wyladunku pilnowało zaś wojsko.

Blacky Womble był biały, lecz skórę miał ciemniejszą od kobaltu i jako jedyny z Krótkich Ogonów nosił kurtkę z błyszczącej czarnej skóry. Włosy mierzwiły mu się nad uszami w straszliwych kędziorach, krętych jak Sarganda Street. Zęby miał podobne do oczu Pearly'ego Soamesa: zaostrome jak szpice, poszczerbione niczym długi górski łańcuch lub nóż do chleba w koszarach, zakrzywione jak szable, ostre jak świeżo naszlifowane skalpele i mocne jak bagnety. A mimo to Blacky umiał się uśmiechać, i to tak ujmująco, że mógłby kłaść dzieci do snu. Pomijając zęby, był miłym człowiekiem (jak na członka gangu Krótkich Ogonów). Wiedział, że jego szefa trawi magnetyzm barw, że Pearly kroczy wąską linią między natchnieniem a szaleństwem, że dla zaspokojenia swej żądz kolorów wciąż podwyższa stawkę gry – lojalność, jaką Krótkie Ogony darzyły swojego szefa, brała się stąd, że nigdy nie przestawał ich zdumiewać. Lecz nawet ona musiała się kiedyś skończyć, gangsterzy tylko czekali, aż ich przywódca straci zimną krew. Blacky uznał, że właśnie teraz nadeszła ta chwila.

– Pearly, boję się o ciebie – powiedział prosto z mostu.

– Myślisz, że mi odbiło? – zaśmiał się Pearly.

– Nikomu o tym nie powiem. Nie pisnę słówka. Możesz to jeszcze prze...

– Już postanowiłem. Zamierzam ogłosić to reszcie. Na zebraniu.

Zebrania gangu odbywały się głęboko pod ziemią lub na wielkich wysokościach – gospody i miejskie place nie nadawały się do tajnych złodziejskich narad, ponieważ w takich zdrowych miejscach mogłyby one stać się zbyt otwarte i demokratyczne, zbyt trzeźwe i rozsądne, nie dość nikczemne. Pearly zwoływał je w piwnicach i grobowcach lub na szczytach najwyższych wież, w sąsiedztwie bezkresnej otchłani. Tylko w takich miejscach mógł obmyślać swe plany i pobudzać Krótkie Ogony do działania. Gangsterzy czuli się zaszczyceni, że obradują na filarach Brooklyn Bridge, zanurzeni po pas w nieopróżnionych do końca zbiornikach na wodę, lub kulą się z trwogi w koronie Statui Wolności, gnieźdzą się w piwnicy pod palarnią opium na Doyer Street lub kucają w ciemności nad skrajem zlewiska miejskich ścieków, jak gdyby byli na pikniku nad Niagarą.

– Ogłoś wszystkim – polecił Pearly – że zebranie odbędzie się w najbliższy wtorek o północy. Na cmentarzu chwały.

Blacky Womble aż się zakrztusił, oczy uciekły mu w głąb czaszki. Potrafił zrozumieć zebranie na smaganej wiatrem szczycie najwyższej miejskiej wieży lub zuchwałą naradę na dachu kwatery głównej nowojorskiej policji – ale na cmentarzu chwały? Słowa protestu wyrwały mu się z ust, Pearly przerwał mu jednak:

– Zamknij się, Blacky! Rób, co ci każe.

– Ale szefie...

Pearly Soames wbił wzrok w swego zastępcę. Blacky poczuł się tak, jakby zaglądał przez wizjer do wnętrza hutniczego pieca. Wiedział doskonale, że jeśli będzie próbował dalej oponować, wrota pieca otworzą się, buchnie zeń rzeka pomarańczowych płomieni i cały świat rozgorzeje ogniem.

Blacky zapytał bojaźliwie, ilu członków gangu będzie obecnych na zebraniu.

Pearly nieco ochłonął.

– Wszyscy. Pełen zespół, cała setka.

Blacky Womble zmartwił ze strachu.

Być pogrzebanym na cmentarzu chwały było naprawdę wielkim honorem. Pearly postanowił kiedyś, że zabici członkowie gangu zasługują na to, by spocząć jak najbliżej piekła, i że ich pochówek powinien być jak najbardziej ryzykowny dla życia i zdrowia (to było dla

zmarłego największym możliwym honorem). Kto więc z Krótkich Ogonów zginął na służbie, był transportowany do krypty na dnie syfonu rzeki Harlem.

Ten monumentalny syfon miasto wybudowało po to, by doprowadzić do Manhattanu wodę z rzeki Croton. Po obu stronach Hudsonu wywiercono dwa pionowe szyby, głębokie na tysiąc stóp, do wykutego w skale tunelu ciśnieniowego ćwierćmilowej długości. W połowie drogi między szybami znajdowała się komora osadowa, szeroka i wysoka na dwadzieścia pięć stóp. Pewnego lata, gdy z powodu suszy syfon od lipca do września był bezużyteczny, Krótkie Ogony umieściły w komorze sto wodoszczelnych krypt. Już samo dotarcie do nich było trudnym zadaniem: przez dziesięć minut zjeżdżało się w dół na platformie tak maleńkiej, że trzeba było trzymać łokcie przy sobie, by nie obetrzeć ich o ściany szybu, następnie czołgało się przez błotnisty, omszały tunel długości sześćset pięćdziesięciu stóp, tak wąski, że człowiek czuł się jak wetknięty w luźną karabinu, aż wreszcie lądowało się w komorze, gdzie było ciemno choć oko wykol, a gdy zapaliło się świeczkę, rozlegał się pisk przerażonych szczurów. Nie było przyjemnie znaleźć się ćwierć mili – i pół godziny drogi – od powierzchni ziemi, z dala od otwartego, świeżego powietrza, wiedząc, że nad głową ma się jedynie sześćset stóp litej skały i sto stóp mułu, kamieni i brudnej wody. Dwa okrągłe wyjścia z komory były tych samych rozmiarów co tunel, czyli węższe niż studzienka kanalizacyjna. Robotnicy, którzy budowali krypty, zgodzili się na tę robotę tylko dlatego, że w razie oporu Pearly wymordowałby im rodziny. Skończyli ją szybko i z ulgą – przebywanie w komorze było przerażające nawet w czasie suszy.

Lecz jeszcze gorzej było wówczas, gdy woda płynęła normalnie i w każdej chwili mogła z szybkością galopującego konia runąć przez tunele ze zbiornika retencyjnego Jerome Park – każdy Krótki Ogon poczułby się więc wielce uhonorowany, że dwaj koledzy z gangu przeciągają jego trupa przez tunel, pospiesznie upychają go w krypcie, bez tchu nasłuchując, czy nie nadpływa woda, a potem z powrotem pełzną na brzuchach przez wymoszczoną zielonym mchem rurę, wijąc się jak oszalałe węże w rozpaczliwym pragnieniu wolności.

Kiedy E.E. Henry (przez jakiś czas wspólnik Petera Lake'a i jeden z najlepszych wejchów) został rozszarpany na drobne kawałeczki przez rozpędzoną lokomotywę podczas nieudanej próby napadu na miejską kolejkę, dwóch spośród Krótkich Ogonów – Tan Romeo i Bat Charney – zgłosiło się na ochotnika, że wezmą to, co z niego zostało, i zniosą do krypty. Odważny był to gest, ponieważ E.E. Henry opuścił ten świat w pogodny październikowy dzień po dwóch tygodniach ulewnych deszczów – zapory na północy stanu buchały wodą niczym parowe krosna zwojami srebrnej tkaniny, a tunel ciśnieniowy był ciągle w użytku, ponieważ rezerwuuar Jerome Park co pewien czas wypluwał z siebie strumienie lodowatej wody.

Pewnej jasnej księżycowej nocy dwaj gangsterzy zjechali zatem pod ziemię i zaczęli przeciskać się przez tunel; E.E. Henry'ego mieli w woreczkach ciągniętych na sznurkach zębami. Na dnie tunelu stało kilka cali zimnej wody. Czuć było, że powietrze jest mocno utlenione, co oznaczało, że woda jest świeża. Gdyby teraz otwarto śluzy Jerome Park, gangsterzy zginęliby okropną śmiercią: tunel był tak wąski, że nie dało się w nim zawrócić. Co pewien czas zastygali bez ruchu i nasłuchiwali, nie słyszeli jednak nic podejrzanego. Wreszcie dotarli do komory. Zanurzeni po pas w wodzie, zapalili świeczkę, pchnęli drzwi krypty, wrzucili do środka woreczki z E.E. Henrym, zatrzasnęli drzwi, zmówili dwuwyrazową modlitwę („Jezu Chryste!”), porzucili młotek i dłuto i z rozdygotanymi sercami rzucili się do wyjścia. Bat Charney zrobił krzeselko z dłoni, Romeo Tan wspiął się do wylotu tunelu... i w tym momencie usłyszał dziwny odgłos. Brzmiał jak świst wiatru nad szczytami wysokich gór, jak świst gejzera na chwilę przed erupcją. Była to woda, która właśnie ruszyła przez śluzę Jerome Park.

– Woda! – krzyknął Tan Romeo. W pierwszej chwili obaj omal nie postradali zmysłów, lecz chwilę później przeciskali się już w węzowym tańcu przez tunel szybciej, niż wydawało im się to możliwe. Tak mocno wpijali się w mech, że po przebyciu stu stóp nie mieli już paznokci, ich dłonie przypominały łapy traszki. Nie zważając na to, parli przed siebie – lecz było już za późno. Wkrótce usłyszeli, jak woda wpada z hukiem do komory osadowej, i sprężone powietrze uderzyło w nich z tyłu z siłą huraganu. Potem nadciągnęła woda: lodowata, spieniona, ciemna masa uderzyła w stopy Bata Charneya, wybijając mu z ust sztuczną szczękę, i pchnęła go naprzód, zwiniętego w kłębek jak płód – w tej pozycji utonął, lecz zarazem uratował Romeo Tana, bo jego ciało zatkało tunel niczym korek, sunęło przed siebie, lecz nie przepuszczało wody. Romeo Tan leżał na plecach i mknął po dnie tunelu jak pocisk. Gdy dotarli do szybu, woda pchnęła ich w górę z taką szybkością, że skóra na twarzy ściągnęła mu się jak na pysku myśliwskiego psa. Romeo zastanawiał się, co będzie, gdy dotrą na górę, lecz nie trwało to długo: po krótkiej chwili wystrzelili z wylotu szybu (nie zamknęli go za sobą) jak kule armatnie, czy raczej jak jedna długa kula i ciasno zwinięty kłęb pakuł. Romeo Tan poczuł, jak wybija głową otwór w krytym gontem zadaszeniu nad wejściem – a potem poszybował przez noc, w stronę gwiazd i księżycy, który niemal oślepił go swym blaskiem. Dokoła ciągnęło się miasto spowite jesienną nocą, ekscytujące i pełne czar. Romeo widział światła, dymiące kominy, ogniska na skraju wietrznych parków. Rzeka Harlem była powleczona lśniącą księżycową emalią. Romeo Tan zastanawiał się, czy wyleci w kosmos. Wzniósł się jednak nad wzgórze Morris Height tylko o dwieście stóp, po czym runął w dół i wylądował na jabłoni – wstrząsając gałęziami z taką siłą, że wszystkie jabłka, w liczbie około pięciuset, runęły na ziemię. Romeo Tan patrzył, jak toczą się po zboczu wzniesienia i usypują się w stos pod ścianą farmerskiej szopy. Resztę nocy przesiedział na drzewie, pod księżycem, usiłując zrekonstruować w myślach, co właściwie zaszło, i zastanawiając się, czy tego rodzaju zdarzenia przytrafiają się prędzej czy później każdemu, czy są raczej odosobnione.

Teraz Pearly Soames chciał sprowadzić w to miejsce na dół setkę ludzi i przez godzinę wyluszczać im swój plan. Gdy zarządzenie rozeszło się po mieście, serca Krótkich Ogonów skuliły się i zaczęły skomleć jak psy. Lęk gangsterów był zaraźliwy. Cały Manhattan zrobił się nerwowy. Nawet w kabaretach zrobiło się ponuro. Lecz we wtorek o dziewiątej wieczorem cała setka stawiała się karnie w jabłoniowym sadzie okalającym wejście do syfonu. Czekać na swoją kolej, gangsterzy próbowali dodać sobie animuszu wymuszonymi żartami, wymieniali uwagi o swym złodziejskim fachu, o warunkach panujących w stanowych więzieniach. Romeo Tanowi, który był jednym kłębkim nerwów, Pearly pozwolił zejść pod ziemię na końcu i wyjść jako pierwszy. Sam jak zwykle schodził pierwszy i miał wyjść ostatni. Po trzech godzinach Krótkie Ogony tłoczyły się już w komplecie w komorze osadowej.

Stały ściśnięte pod ścianą krypt, strzygąc uszami w stronę Jerome Park. Gdy Pearly kroczył tam i z powrotem w świetle tuzina migoczących świec, można było odnieść wrażenie, że żaden z nich nie oddycha. Byli wśród nich włamywacze, wszyscy w czarnych maskach (niektórzy nawet wbrew zwyczajom przynieśli swoje worki), zwinni wejchowie na mocnych, skocznych nogach, elegancko ubrani naciągacze, złodzieje kieszonkowi, strzelcy (przydatni w bitwach z innymi gangami, cieszący się jednak niewielkim poważaniem, ponieważ nie umieli wyciągać portfeli z kieszeni ani otwierać zamków), a nawet kucharz, który czuł się nieswojo z dała od swych garnków. Romeo Tan trzymał rękę na obramowaniu tunelu, wsłuchując się bacznie w każdy szelest. Pearly zatrzymał się wreszcie i popatrzył po swoich ludziach. Przez bite pięć minut nikt nie drgnął o milimetr; wszyscy stali bez ruchu, zdjęci trwogą na myśl o potopie, który w każdej chwili mógł runąć przez tunel od strony Bronksu i wpaść do komory wypełnionej

lomotem ich serc.

– Czyżbym słyszał wodę? – spytał Pearly, przechylając głowę. Stu gangsterów momentalnie zbielało na twarzach, jak gdyby ktoś zaciągnął na nich wenecką zasłonę. – Zejście tutaj zajęło nam trzy godziny – ciągnął – i kolejne trzy godziny będziemy stąd wychodzić. A to co takiego?! – zawołał. Gangsterzy aż podskoczyli, a potem westchnęli jak jeden mąż, niczym gromada zesłańców do piekieł. – Zdawało mi się, że coś słyszałem. Ale to chyba nic takiego. Czy ktoś ma ochotę na szklanekę... wody?

Gangsterzy jęknęli. Pearly dworował sobie z nich, jak gdyby miał serce ze stali.

– Mam dla was propozycję – powiedział.

W tym momencie przez tłum przeszedł przeraźliwy dreszcz, jeden z zamaskowanych włamywaczy wrzasnął bowiem:

– Patrzcie! – i podniósł z ziemi sztuczną szczękę. Wszyscy pamiętali, jak bardzo Bat Charney wstydził się swoich, jak je nazywał, „słoniowych kastanietów”. Wpatrywali się w nie bojaźliwie, póki Pearly nie ukrócił ich bezgłośnych modlitw:

– Czy możemy przejść do rzeczy, moi panowie, czy może jednak wolicie modlić się jak ostatni kretyni do czyichś sztucznych zębów, zwiększając nasze szanse, że zostaniemy tu na zawsze, uwięzieni jak podziemna torebka z herbatą (i przez najbliższe dwadzieścia lat pijąc sobie tę herbatę)? – Pearly’emu drżał policzek, co świadczyło o tym, że ogarnia go zimna złość czy raczej jeden z wielu jej rodzajów. – Wyobraźcie sobie, jeśli umiecie – ciągnął – że nie jesteśmy teraz w wilgotnej, omszałej krypcie, tylko w komnacie ze złota; że każda cegła jest subtelnie i misternie rżnięta w orły, korony i lilie, że w ich ciepłym blasku powietrze staje się miększe i żółciejsze niż masło, że nie oddychacie tą plugawą, czarną, mokrą mgłą, lecz migotliwym metalicznym oparem, dojrzałym dzięki ciągłemu odbijaniu się o ściany z czystego złota. – Pearly zaczerpnął tchu. – Światło w tej komnacie będzie miało dokładnie taki odcień jak ten, który ponoć wznosi się czasem na tle chmur za zatoką, zalewając świat złotem, mówią, że dzieje się to niezmiernie rzadko, raz na... no... po prostu rzadko. Mój plan polega na tym – mówił, skręcając się z nieokreślonego bólu – że wybudujemy złotą komnatę gdzieś na wysokościach i postawimy przy niej strażników. Będą obserwować niebo. Gdy chmury się zmieniają i złote światło zaleje miasto, komnata zostanie otwarta. Światło napełni jej wnętrze. Wtedy zatrzaskamy drzwi i cała złotość zostanie uwięziona w środku na zawsze. – Złodzieje pootwierali usta ze zdumienia. – Będziecie mogli tam wejść! Wszyscy! Będziecie mogli wykąpać się w świetle, złota komnata będzie kipieć jasnym blaskiem. I będzie nasza. – Uspokojony nieco, zapatrzył się w sufit w tęsknym rozmarzeniu. – W środku ustawię pojedyncze łóżko i będę tam spoczywał w ciepłe i złocie... na wieki wieków.

Gangsterzy na chwilę zapomnieli, gdzie są, i zaczęli bombardować Pearly’ego pytaniami. Gdy objaśnił im, co zamierza, sceptycy orzekli, że przewróciło mu się w głowie, ponieważ nikt nie zdoła obrabować transportowca złota. Pearly bronił swego planu. Na piaszczystej mierzei Sandy Hook pod pozorem niewinnych przedsięwzięć można zbudować wieżę obserwacyjną i przez okrągłą dobę mieć oko na morze. Z posterunku na manhattańskim filarze Brooklyn Bridge można było z kolei obserwować Sandy Hook. Gang miał zarzucić dwie trzecie swych codziennych zajęć, tak by pięćdziesięciu ludzi było stale pod bronią i mogło w każdej chwili wpłynąć do portu na śmigłych winaboutach, najszybszych łodziach, jakie znano w mieście. Do Krótkich Ogonów należało dziesięć takich żaglówek. Spostrzegłszy statek ze złotem, -obserwator na Sandy Hook miał wystrzelić flarę. Widząc flarę, obserwator na moście miał zaalarmować – korzystając z zainstalowanej w tym celu linii telefonicznej – gangsterów czekających w dokach przy cyplu Korlaer’s Hook. Ci mieli natychmiast wpłynąć do portu,

postawić dwie boje, a następnie żeglować między nimi, równoległe do kanału, którym transportowiec płynąłby w stronę ufortyfikowanego nabrzeża. Wszyscy mieli być przebrani za kobiety i zrobić wszystko, by statek będący celem napadu wpadł w te pozorowane regaty i potopił łodzie. Wymagałoby to sporego żeglarskiego kunsztu i cierpliwości – siedzenie pod bronią przy dokach mogło potrwać miesiąc lub dwa – ale gra była warta świeczki: żaden kapitan nie pozwoliłby, żeby pięćdziesiąt kobiet ze staranowanych jachtów potopiło się w portowej zatoce, z pewnością kazałby wciągnąć je na pokład. Krótkie Ogony wyciągnęłyby wówczas spod sukienek śmiercionośny arsenał, z którego były znane w Nowym Jorku, i przejęłyby statek.

– No i co z tego? – odezwał się czyjś głos. – Chwilę później wpadlibyśmy w ręce eskorty. Marynarki wojennej.

– Żadna eskorta nie doścignie transportowca złota i nie dorówna mu uzbrojeniem – odparł Pearly.

– Ale to i tak na nic, Pearly. Nie wyciągniesz złota z takiego statku, jeśli nie masz specjalnej maszyny. Robi się to zresztą w wielkim suchym doku.

– Zbudujemy własny suchy dok.

– Oszałałeś! – zawołał któryś wejcha. – Niby jak mamy zbudować suchy dok? Nawet gdybyśmy umieli, wszyscy by to zauważyli. I gdybyśmy wprowadzili tam statek, popędziliby za nami i złapali nas.

– Twoje słowa pokazują, czego można się spodziewać po wejchach – odparł Pearly. – Będiesz wejchował, mój śliczny króliczku, póki cię nie awansuję. Dok zbudujemy dopiero wtedy, gdy przejmiesz statek. Będziemy mieli na to mnóstwo czasu, a drugie tyle na to, by wyciągnąć złoto z luku (przez jedną dziurę – damy radę to zrobić!). Rozpalimy pod statkiem wielki ogień: złoto stopi się i wypłynie przez dziurę jak lava do glinianych kadzi. A jeśli chodzi o czas, to będziemy go mieli pod dostatkiem, czy wręcz w nadmiarze, dlatego że popłyniemy przejętym statkiem na zachód, w stronę mokradeł Bayonne, i przebijemy się przez barierę białych chmur.

Przez komorę przeszedł jeszcze zimniejszy dreszcz.

– Jeśli wpłyniemy w chmury, będzie po nas – powiedział bojaźliwie jeden z kieszonkowców. – Nigdy stamtąd nie wrócimy, Pearly. To pewna śmierć.

– Skąd wiesz? – spytał Pearly. – Jeszcze nie spotkałem kogoś, kto by wiedział, co jest po drugiej stronie. Może oni jednak wracają, tyle że trzymają potem język za zębami. Może tam jest cudownie: mnóstwo nagich kobiet, owoce na drzewach, tancerki z nagimi piersiami, jedzenia w bród, jedwabie, samochody, wyścigi, na których zawsze się wygrywa... i może uda nam się stamtąd wrócić. Jeśli wrócimy – kiedy wrócimy – będziemy największymi bogaczami na świecie. To chyba lepsze niż napadanie na sklepy z tytoniem i rabowanie cygar? Pomyślcie o E.E. Henrym, o Rascalu T. Otisie. Zginęli, goniąc za drobiazgami. Jeżeli już mam ryzykować życie, wolę to robić dla czegoś większego.

Ta ostatnia zachęta wywołała poruszenie w złodziejskiej kompanii. Wszyscy zapragnęli sforsować barierę chmur. Lecz jeden z nich, który znał port jak własną kieszeń (jego specjalnością było rabowanie wypoczynkowych jachtów), zwrócił uwagę, że kręte, porośnięte trzciną kanały prowadzące w stronę białej ściany są zbyt płytkie, by mogła przez nie przepłynąć dalekomorska jednostka. Co więcej – oznajmił – widział kiedyś ścianę chmur naprawdę z bliska, niespełna o milę, gdy stał na piaszczystej łasze, która pojawiła się po sztormie. Twierdził, że ściana nie stała nieruchomo, tylko krążyła wokół miasta „jak te pasy Moibusa, czy jak im tam”, przelewała się po powierzchni ziemi. Niekiedy zniknęła, odsłaniając zamiejski kraj-obraz (transkontynentalne pociągi wjeżdżały wówczas do miasta, toczyły się po srebrnych szynach

wymytych na błysk przez wzburzoną dolną warstwę chmur), czasem zaś unosiła się do góry jak kurtyna w teatrze i częściowo lub całkowicie rozplywała się w niebie. Bywało też, że wtapiała się w ziemię, pozostawiając po sobie ciszę i słoneczny krajobraz. Lecz gdy wisiała w powietrzu, jej podstawa przemieszczała się szybko, szeroka na kilka mil. Niepodobna było oszacować, jaki zasięg może mieć ten ruch. Kiedyś ponoć zdarzało się nawet, że chmury przekraczały rzekę i sunęły przez Manhattan, zabierając ze sobą tych, na których już przyszedł czas.

Pearly stwierdził, że trzeba będzie pogłębić któryś z kanałów, najlepiej jak najbliższy, i ufać, że ściana przetoczy się nad nimi w odpowiednim momencie. Było to ryzykowne przedsięwzięcie. Portowy rabuś odparł, że pogłębienie kanału było prawie niemożliwe: musiałyby on prowadzić przez mokradła Bayonne, gdzie żyli Przymorzanie.

– A więc wybiła ich godzina – rzekł Pearly. – Będziemy musieli wypowiedzieć im wojnę, czyli po prostu wytłuc ich do nogi. Im szybciej, tym lepiej, zanim rozejdzie się wieść o tym, co robimy. To twarde, wściekle sztuki. Kiedyś biłem się z jednym z nich i omal nie przypłaciłem tego życiem, a nie było to wcale w pobliżu ściany chmur ani na mokradłach, tylko na suchym lądzie, na Manhattanie: wylądował w porcie podczas huraganu i wziąłem go za zwykłego rybaka. Ich miecze śmigają tak szybko, że nawet nie da się ich zobaczyć. Będziemy musieli wziąć ich z zaskoczenia. Popłyniemy tam czółnami, gdy mężczyźni nie będzie w osadzie, pozabijamy kobiety i dzieci i przyczaimy się w chatach. Gdy mężczyźni wrócą, nie będą przygotowani na atak, ostrzelamy ich z ukrycia. Nie ma sensu podejmować otwartej walki.

Gdy Krótkie Ogony wydostały się wreszcie z powrotem na świat zalany światłem zanikającego księżyca – tuż przed tym, jak strumień lodowatej czarnej wody runął przez tunel do wnętrza syfonu – humory im dopisywały. Może dlatego, że tak piękna była noc, pobliski las tchnął miękką ciemnością, ze wzgórza schodziło się przez owocowy sad, u jego stóp leżało zaś spokojne, roziskrzzone miasto? Gangsterzy wtopili się bezszelestnie między pola i drzewa, jak tylko oni to umieli, rozmyślając o przyszłym zwycięstwie nad Przymorzanami, nie dbając o to, że będą musieli przebrać się za kobiety i skąpać w wodach portu, lękliwie zachodząc w głowę, co może być po drugiej stronie chmur. Przede wszystkim zaś marzyli o tym, by jak najszybciej rozpalic ogień pod porwanym statkiem i wytopić zeń złoto, rozkoszowali się myślą, że jeśli wykażą się odwagą, zostaną być może najbogatszymi ludźmi na świecie.

W podziemnej torebce z herbatą był także Peter Lake: tkwił w kącie, w gromadzie wejchów, czeladników złodziejskiego rzemiosła. Z początku plan Pearly'ego wzbudził w nim zachwyt. Gdy szef opisywał złotą komnatę, Peter przypomniał sobie, że czasem i jemu śniło się złoto: złote zwierzęta o miękkiej złotej sierści – cudowne latające konie, oswojone lamparty, dobroduszne foki – przychodziły do niego i lasiły się czule, a on gładził je i całował po gładkich pyskach. Złapać i uwięzić niespotykane złote światło (którego Peter Lake jeszcze nigdy nie widział na własne oczy) – cóż to był za szczywany, niemoralny, bandycki plan, a zarazem jaki wspaniały akt buntu! Peterowi przyszło do głowy, że w tym łaknieniu złotego światła odsłania się osobliwa niewinność Pearly'ego Soamesa. Rabusie mieli targnąć się ni mniej, ni więcej, jak tylko na światło niebios – jakkolwiek sądzili, że robią to tylko dla rabunku bądź dla zaspokojenia magnetyzmu barw, który dręczył ich przywódcę. Przez pół godziny Peter Lake słuchał planu i gorąco pragnął, by się powiódł. Zapomniał nawet, gdzie jest, wyobrażał sobie, że nie stoi w komorze z szarego granitu, tylko w czarodziejskiej komnacie rozświetlonej od wewnątrz słonecznym blaskiem. Spisek przeciwko Przymorzanom sprawił jednak, że Peter Lake na zawsze wyrzekł się przynależności do Krótkich Ogonów. Nie miał wyjścia, musiał ich zdradzić. Wiedział dobrze – jedyny z całego gangu – że Pearly Soames nigdy nie zbuduje swojej złotej komnaty.

PETER LAKE ZWISA Z GWIAZDY

Wiele już powiedziano i napisano o Castle Garden, miejscu, przez które musieli przechodzić imigranci, przesmyku wiodącym ku nowemu życiu, niczym gwiazda w chwili rozbłysku. Ci, którzy znaleźli się po drugiej stronie, rzadko skłonni byli wyznać, że kiedyś to wypełnione uroczystą ciszą miejsce wydawało im się – lub ich rodzicom – podobne do bramy strzeżonej przez świętego Piotra. Słudzy tej bramy, odziani w zdobne stroje, odsyłali z powrotem tych, którzy wydawali się słabi i niezdrowi, proces ten był zaś zarazem biurokratyczny i nierzeczywisty jak sen. Wielu było takich, co przepłynęli ocean w poszukiwaniu światła i chwilę potem musieli zawrócić, popłynąć z powrotem po biało-zielonych falach oceanów, światło zostawało zaś za nimi i nikło do rozmiarów samotnej gwiazdy na kompletnie ciemnym nieboskłonie. Zawróciwszy, umierali.

Pewnej mglistej nocy o milę na południowy wschód od Castle Garden, nieopodal zachodniego krańca Governors Island, stał przycumowany statek. Nazajutrz miał wypłynąć w długi, kręty rejs powrotny do Starego Świata – może do Rygi, może do Neapolu, może do Konstantynopola. Zapewne jednak do Konstantynopola: gromada ludzi na pokładzie i w okrętowych mesach – jeszcze niedawno kipiących głośnym gwarem, teraz pograżonych w ciszy – była tak barwna, że najpewniej reprezentowała ową wielką mieszaninę ras, która stale uciekała przed ogniem i ciosem miecza z Azji, wschodniej Rosji i Bałkanów. Statki przyływały stamtąd do Ameryki i wracały, bez fanfar zabierając z sobą tych, którym nie pozwolono zostać. Wielu z tych ludzi było już jedną nogą w grobie, umierało po drodze do domu i znajdowało ostatni spoczynek na dnie oceanu. Inni mieli się na tyle dobrze, że wracali do swoich wrogich bądź opustoszałych wiosek i dożywali w nich później swych dni, nie do końca uzmysławiając sobie, że przez chwilę byli w innym świecie.

Tej nocy na małym, zgrabnym parowcu stojącym przy brzegu Governors Island mniej więcej stu ludzi nie mogło zasnąć, stali więc na pokładzie zapatrzeni w lśniącą palisadę budynków i mostów na brzegu. Późnowiosenna noc była ciepła, mgła ścieliła się nisko, przez co miasto zdawało się jeszcze bardziej nierzeczywiste niż w pogodną, czystą noc. Nie widząc lądu, pasażerowie sądzili, że Ameryka jest błyszczącą wyspą, wyrastającą na nieskończoną wysokość wprost z łagodnego morza.

Milczeli zaś dlatego, że byli oszołomieni tym, co ich spotkało. Kilkanaście godzin wcześniej serca omal nie wyskoczyły im z piersi, gdy uformowana na pokładzie tysiłosobowa kolejka wreszcie ruszyła naprzód i uradowana zaczęła schodzić po trapie na nieznaną ląd. Po prawej stronie Brooklyn przemawiał do nich porannym zgiełkiem kościelnych dzwonów, klaksonów i okrętowych syren. Ulice biegnące po spadzistych brooklyńskich wzgórzach falowały i lśniły w słońcu; były wiecznie zatłoczone, tak samo jak port, nabrzeża czy rzeczne kanały. Nawet powietrze wypełnione było ruchem: po niebie przeciągały chmury, ptaki mocowały się z wiatrem, niesione nieposkromioną białą energią. Po latach spędzonych w nieprzyjaznym otoczeniu imigrantom zdawało się, że wznoszące się przed nimi rozmigotane budynki pobrzmiwają muzyką. Mieli przed sobą miejsce nieskończone różnorodne i bogate. Wiodące do niego bramy były niczym wrota niebios. I gdyby ktoś z drugiej strony powiedział im, że się mylą, usłyszaliby w odpowiedzi: „Po tym wszystkim, cośmy przeszli, siłą naszych marzeń sprawimy, by była to prawda. Nawet jeśli to miejsce nie jest tak wspaniałe i piękne, na jakie wygląda, znajdziemy sposób, by je takim uczynić”. Zstępując na ląd w ciasnej kolejce, widzieli ludzi, którzy uśmiechali się do nich zza relingów, jak gdyby mówili: „Tylko

poczekajcie! Czekają was dobre chwile i ciężkie chwile, tak jak czekały mnie”. Te sygnały nadciągały ze wszystkich stron, mocne i głośne. Rozpościerający się przed nimi świat był przerażający i piękny.

Po zejściu na twardy grunt kolejka rozdzielała się, przybysze pospiesznie wchodzili do olbrzymiej, zatłoczonej sali. Okna były pootwierane, od czasu do czasu wpadał przez nie łagodny wiosenny powiew przesycony wonią kwiatów i drzew. W stronę czoła kolejki przesuwała się pewna trzyosobowa rodzina. Mężczyzna był krzepko zbudowany, miał jasne włosy, starannie wypielęgnowany wąs, oczy zaś tak błękitne, że wyglądały jak spodeczki z mokrą niebieską akwarelą w malarskiej palecie. Jego żona miała śliczne, lecz wątłe usta, zdradzające wrażliwość, bezbronność i skłonność do współczucia; w przeciwieństwie do otaczających ją ludzi, którzy wyglądali jak ciemne dynie, była jednak wysoka i mocna. Na rękę trzymała maleńkie dziecko, jeszcze niemowlę. Gdy poszła do pokoju, gdzie badano przybyłych, mąż wziął od niej zawiniątko; stojący obok ludzie sądzili, że zwariował, bo głąskał dziecko mechanicznymi ruchami, mamrocząc coś zawzięcie i rozpaczliwie, nie spuszczać wzroku z drzwi, za którymi zniknęła żona. Po powrocie wzruszyła tylko ramionami: nie wiedziała, co postanowili lekarze. Bez słowa odebrała dziecko, rada, że znów może je przytulić, i teraz mąż zniknął za drzwiami. Odchodząc, ujrzał, że żona ma na plecach narysowany kredą jakiś znak. Potem go zbadano. Kazano mu napluć do fiolki, pobrano krew, błyskawicznie go obejrzano, urzędnik za biurkiem zapisywał wszystko, co mówili lekarze. Kiedy się ubrał, jemu także narysowano coś na plecach.

Przed wieczorem wyjaśniło się, co znaczą te kredowe symbole. Sala opustoszała, pozostało tylko około stu ludzi. Kobieta płakała, zanim urzędnik zdążył podejść do nich i powiedzieć w ich języku, że muszą wracać.

– Dlaczego? – zapytali z trwogą i gniewem.

Zamiast odpowiedzieć kazał im się obrócić i zerknął na ich plecy, a potem wypowiedział tylko jedno słowo – i właśnie to jedno jedyne słowo zatrzymało młodego wieśniaka i jego żonę przed progiem nowego świata. Brzmiało ono: gruzlica.

– A co z dzieckiem? – spytała kobieta. – Może dla niego znajdzie się miejsce? Skoro musimy wrócić, może przynajmniej niech ono zostanie?

– Nie – odparł urzędnik. Sądząc po wyrazie jego twarzy, nie miał najlepszego mniemania o kobiecie, która chce porzucić własne dziecko. – Dziecko wraca z wami.

– Pan nic nie rozumie – powiedziała drżącym głosem. – Pan nie rozumie, co nas tam czeka. – Urzędnik nie odpowiedział już jednak ani słowem, odszedł do kolejnych skazańców, którym musiał przekazać wyrok. Małżeństwo zostało z dzieckiem, skąpane w promieniach bardzo jasnego, ostrego elektrycznego światła.

Statek odpłynął w głąb zatoki i stanął na kotwicy, zapewne po to, by nikt nie próbował wyskoczyć na brzeg. Nawet jeśli ktoś umiał pływać, woda była zbyt zimna, odległość od brzegu zbyt wielka, prądy zbyt szybkie. Po wodach zatoki pływały bryły lodu, rozpuszczając się z sykiem; niekiedy łomotały o stalowe burty niczym drewniane knyple.

Mężczyzna próbował przekupić kapitana, by przynajmniej zabrał na brzeg dziecko, nie miał jednak dość pieniędzy i kapitan pozostał niewzruszony. Gdyby zawrócono ich z innych powodów, może pogodziliby się z tym, że wracają do miejsca, które z taką radością opuścili. Lecz ponieważ wiedzieli, że niechybnie umrą, postanowili, że zostawią dziecko w Ameryce, bez względu na to, jak trudne będzie dla nich to rozstanie. Wiedzieli, że będzie trudne jak umieranie.

Teraz stali przy relingu lub przesiadywali w ciemnych zakątkach pokładu, pospołu z resztą zawróconych. Gdyby byli już na otwartym morzu, ogarnąłby ich lęk, lecz wciąż jeszcze

znajdowali się u stóp olśniewającego miasta, napełniającego im oczy złotym blaskiem. Ze zdumieniem wpatrywali się w łukowate mosty, które wydawały się obszyte sznurami błyszczących pereł. Nigdy dotąd nie widzieli czegoś podobnego, nie pojmowali więc ich wielkości, zdawało im się, że są wysokie na wiele mil. Nie mogąc zasnąć z zazdrości i żalu, chodzili po pokładzie i wdychali wiosenne powietrze.

Mężczyzna zaczął włóczyć się po korytarzach. „Czemu nie jestem mężczyzną i nie umiem się z tym pogodzić? – myślał. – Czemu jestem taki chciwy?” Przed oczyma mignęła mu postać żony. Zaczął płakać, lecz po chwili ogarnęła go wściekłość. Grzmotnął pięścią w stalową ścianę, aż spadł na podłogę oprawiony obrazek. Szkło z rozbitej szybki rozsypało się po korytarzu.

– Chciwiec! – krzyczał, walcząc zarazem ze wszystkim i z niczym. Po prawej ręce miał drzwi z drewnianych listewek, które aż się prosiły o cios. Kopnął je potężnie, aż spadły z zawiasów i wpadły do środka, z taką siłą i hałasem, że stało się kilka rzeczy naraz: winowajca z przestraszeniem odskoczył do tyłu, w pomieszczeniu zapaliło się światło, a w korytarzu zamknęły się drzwi od zejściówki.

Mężczyzna zastygł na chwilę, bojąc się, że ktoś go usłyszał. Po chwili przypomniał sobie jednak, że niemal cała załoga popłynęła łodzią na ląd. Na pokładzie pozostało kilku oficerów, siedzieli jednak wysoko na mostku z nogami opartymi o reling, palili i gawędzili, również wpatrzeni w światła miasta. Byli za daleko, by cokolwiek słyszeć.

Mężczyzna wszedł do środka, żeby zgasić światło. Było to coś w rodzaju sali zebrania: pośrodku stał stół z ciemnego drewna otoczony krzesłami obitymi zieloną skórą. Rozejrzał się, zgasił światło i popędził z powrotem na pokład.

W połowie korytarza zatrzymał się. Po plecach przebiegł mu zimny dreszcz. Pobiegł z powrotem do kabiny, zapalił światło i rozejrzał się raz jeszcze. W kącie pod iluminatorem stała wielka szklana gablota. W gablocie znajdował się drewniany model statku, na którym się znajdował, noszącego nazwę City of Justice – wierna, czterostopowej długości replika, z wyważoną stępką, masztami, kominami. Model był tak finezyjnie wykonany, że mężczyzna wyobraził sobie, iż w jego wnętrzu znajduje się maleńka sala, w której pewien mężczyzna stoi przy gablocie i wpatruje się w model statku, w nim znajduje się kolejna sala i kolejny model, a ostatni z tej serii modeli wcale nie jest mały, tylko większy niż wszechświat, ponieważ wymiary osiągnęły w nim pełnię swego cyklu i w nieuchronny sposób uległy odwróceniu.

Mężczyzna był człowiekiem zrównoważonym, nigdy dotąd nie walił pięścią w ścianę ani nie rozbijał drzwi kopniakiem. Lecz tego popołudnia wraz z żoną usłyszał coś, co zabrzmiało jak wyrok śmierci. Chwycił jedno z krzesel, dźwignął je do góry i spuścił na gablotę. Rozległ się kolejny trzask i brzęk, na podłogę znów sypnęło się rozbite szkło. Było to osobliwie radosne doświadczenie.

Chwilę później na najdalszym, ciemnym skraju rufowego pokładu wspólnie z żoną uwiązali stateczek na linkach i spuścili na wodę. Model nie utonął, dobrze trzymał się na wodzie, nie wyrzucił się nawet wówczas, gdy potężny odkos spod dziobu przepływającego holownika uderzył o burtę prawdziwego City of Justice i rozbił się nad miniaturowym pokładem niczym fala przyboju. Był idealnie stateczny, a zarazem trzymał się wysoko, kadłub wystawał o jakieś pół stopy ponad wodę. Mężczyzna wciągnął go na pokład i poszedł poszukać narzędzi. Nie było to trudne na opuszczonym statku, zwłaszcza dla kogoś, kto nauczył się otwierać kopniakiem drzwi. Wrócił z dłutem w dłoni i rozłupał model za tylnym kominem. Włożył rękę do środka: kadłub był pojemny i suchy. Do rana zdołał zainstalować w środku małe łóżeczko i otwór wentylacyjny na zawiasach, który w razie zalania mógł się szczelnie zamknąć, a następnie

otworzyć z powrotem.

Gdy słońce wzbilo się spieszenie nad horyzontem, zapowiadając gorący wiosenny dzień, mężczyzna i kobieta umieścili niemowlę w łóżeczku i opuścili model na fale. Patrzyli, jak odpływa dziarsko w stronę zielonego, rozświetlonego ujścia zatoki, póki nie stracili go z oczu. Kobieta zapłakała – straciła wszystko, co miała na świecie.

– Dzieci zawsze opuszczają rodziców – odezwał się mężczyzna – i idą swoją drogą. To prawie tak samo... – Głos uwiązał mu w gardle. Spojrzał na żonę, na jej wątłe usta zaciśnięte w krętą, ciekłą kreskę. Zrozumiał, że nie jest już jej obrońcą. Stali się sobie przeraźliwie równi – i gdy objęli się ramionami, ten uścisk był niepodobny do wszystkich poprzednich, ponieważ oznaczał koniec. Statek odpłynął po południu. Zagrzmiała syrena, para buchnęła z kominów i uleciała w niebo podwójną serią białawych obłoków.

Miniaturowy City of Justice śmigał przed siebie po rozfalowanych wodach między brzegami Brooklynu i Manhattanu. Nikt go nie zauważył, gdy żeglował wśród pełnowymiarowych jednostek, choć kilka razy omal nie został zgruchotany jak jajko pod dziobami potężnych barek i parowców, niemal nie rozjechały go promy kursujące od brzegu do brzegu w lunatycznym zapamiętaniu. Gdy zaczęło zmierzchać, skierował się w stronę brzegu New Jersey i mokradła Bayonne.

Było to miejsce tajemnicze, labirynt wąskich, nieoznaczonych na mapie kanałów, którymi zniecka wypływało się na przestronne rozlewiska; jego topografia żyła własnym życiem i nieustannie się zmieniała, rzeźbiona przez skotłowaną ścianę chmur. City of Justice zgrabnie przedzierał się przez kanały i kępy trzciny. Wreszcie dotarł do rozległej zatoki, bardziej słodkiej niż słonej – aż sześć rzek przepływało przez nią w stronę morza – po czym uderzył stępką o brzeg długiej, białej piaszczystej łachy i znieruchomiał. Stał tam przez całą ciepłą noc, rozświetloną blaskiem stu milionów gwiazd, w zupełnej ciszy – dziecko nawet nie zakwiliło, kołysane łagodnymi falami do snu.

Przymorzanie mieli tajemnicze powiedzenie: „Prawda jest najwyżej tak okrągła jak końskie oko”. Cokolwiek ono znaczyło, przechodziło w tym rybacko-myśliwskim plemieniu z pokolenia na pokolenie. Ludzie ci poruszali się wśród trzcinowisk tak szybko, że nie doścignęłyby ich nawet zimorodek. Bagienne powietrze i woda były dla nich naturalnym środowiskiem, tworzyli z nim taką jedność, że umieli prześcignąć nawet ścianę chmur. Widok grupy obdartych Przymorzan uciekających z wyciem i wrzaskiem przed rozpędzoną ścianą – choć mało kto z łądu miał sposobność ujrzeć go na własne oczy – był niezapomniany. Ściana chmur była tak szybka, że umiała pochłonąć orła, Przymorzanie natomiast potrafili wyprzedzić ją nawet w czółnach: wykrzywiali zarośnięte twarze we wściekłym grymasie i młócili wiosłami niczym potężne silniki, dzioby czółen cięły białą wodę i połamane trzciny. Gdy już wysforowali się naprzód i pogoń ustała, rzucali się do wody, by ochłonać, tak jak kowal zanurza gorące żelazo do pękatego cebrzyka, a ono stygnie, sycząc i buchając parą.

Ci zezowaci obszarpańcy nie bali się więc łowić ryb ani zbierać małży w pięknych, odludnych jeziorach i kanałach nieopodal wielkiej białej ściany. Przeciwnie, zwykle podobało im się, gdy ściana ruszała za nimi w pościg, szorując po żółtych łachach i złotych trzcinach, lubili jej uciekać na swoich smukłych czółnach. Zresztą jako jedyni ludzie na świecie umieli ją przechytrzyć: jeśli ich złapała, umieli wypowiedzieć słowa, które sprawiały, że zmieniała zdanie i puszczała ich wolno. Przymorzanie mieli w sobie wiele dobrych, szlacheckich cech, lecz byli też zarazem prymitywni, ciemni, brutalni i brudni. Można uznać, że płacili wygórowaną cenę za możliwość korzystania z żyznych, płytkich jezior u podstawy białej ściany.

Pod koniec pogodnej nocy, którą City of Justice spędził na mieliźnie, trzech Przymorzanie

wybrali się na połów tłustych lucjanów, które zapędzały się z Hudsonu w płataninę kanałów i dopływały do jezior. Nazywali się Humpstone John, Abysmillard i Auriga Bootes. Ściana chmur kłębiła się jakieś dwie mile od nich. Grzmiała, kipiała, pływała, wrzała, trzeszczała, krzyczała, śpiewała – znać było, że jest wyjątkowo niespokojna. Trzej Przymorzanie zarzucili sieci. Woda była świeża, trzciny wypuszczały już zielone pąki.

Nim weszło słońce, wśród trzciny, nad piaskiem i nad wodą zaświstał wiatr. Wkrótce przed ich oczyma błysnęło światło, roztaczając całą paletę barw – złota, czerwieni, bieli i żółci – z wody podnosiły się zaś tajemnicze tony, niby granie obojów czy dzwonów lub śpiew chórów z jakichś niewyobrażalnych światów. Gdy fala światła wdarła się w białą kipieli u podstawy ściany i odbiła się, zalewając tygiel miasta i zatoki jasnością i ciepłem, trzej Przymorzanie wyczuli obecność jakiejś potężnej i dobroczynnej siły, jak gdyby tajemnicze dźwięki i światło zapowiadały nadejście owego mocnego, złotego przyboju, który pewnego dnia miał omieść wszystko i zderzyć się ze ścianą. Słyszeli o nim. Mówiono, że nad miastem i zatokami rozpostrze się kiedyś wszechmocne światło, tak jasne, że w jego blasku nawet kamienie i stal staną się przezroczyste. Przymorzanie marzyli, by kiedyś je zobaczyć, nie mieli jednak nadziei, że będzie im to dane. Mimo wszystko każdego ranka rozglądali się, czy na brzegu nie widać już jakichś sekretnych zwiastunów.

Trzej rybacy kilka razy zarzucili i wyciągnęli sieci, a potem przerwali pracę, by odpocząć i posilić się płatami suszonej ryby, rzodkiewkami, twardym chlebem i małżowym piwem. Ten ostatni napój, najbardziej pobudzający ze wszystkich alkoholi, zmieniał kolor z upływem czasu i zmianą temperatury, najlepszy był zaś purpurowy – oznaczało to, że jest zimny, gęsty i wytrawny. Purpurowe małżowe piwo było niewysłowionym smakołykiem, miód pitny smakował przy nim jak końskie siki. Rybacy siedzieli w długim czółnie i jedli w milczeniu. Auriga Bootes, którego wzrok stale przeczesywał widnokrąg, podniósł się nagle i wyciągnął rękę.

– Statek na jeziorze! – powiedział. Jego towarzysze bardzo się zdziwili, jezioro było zbyt płytkie dla statków. Najstarszy z całej trójki Humpstone John podniósł wzrok, lecz nic nie zobaczył. Dobrze znał rozmiary miejscowych kanałów i jezior, wypatrywał więc prawdziwego statku i ominął wzrokiem City of Justice o dziesięć lub dwadzieścia stopni.

– Gdzie, Aurigo Bootes? – zapytał. Abysmillard rozejrzał się, nie przerywając głośnego przeżuwania, lecz nie zobaczył nic, co przypominałoby statek.

– Tam, John, tam! – odparł Auriga Bootes, wciąż wskazując ten sam kierunek. Wówczas Humpstone John również ujrzał statek.

– Wygląda na to, że jest bardzo daleko – powiedział. – Ale wydaje się też bliski. Nie rusza się. Może wypłuły go chmury i wylądował na mieliźnie. Może mieć niezły ładunek: strzelby, narzędzia, maszyny, melasę... – Abysmillard poderwał się na te słowa, melasa była jego ulubionym przysmakiem – a może też jakieś zagubione dusze.

Wszyscy trzej przerwali posiłek i zaczęli wiosłować w stronę statku. Dotarli na miejsce szybciej niż się spodziewali, po niedługiej chwili dziób łodzi górował już nad pokładem City of Justice.

Abysmillard zaczął się obmacywać niczym małpa, po żebrach, po nosie, po kolanach. Nie mógł zrozumieć, co się dzieje, sądził, że jakimś sposobem urósł do rozmiarów olbrzyma. Pozostali dwaj wiedzieli, o co chodzi, ale złudzenie pozostało, statek był bowiem naprawdę zręcznie zbudowany. Brązowe pokłady i maszty przypominały naoliwione orzechowe drewno. Kadłub był drewniany, lecz powleczony matową farbą, czarną jak sierść byka, przez co wyglądał zupełnie jak stalowy. Mosiężne części były tak wypolerowane, jak gdyby przez lata nie

spoczywały w szklanej gablocie, tylko wystawione były na działanie morskich wichrów.

– Popatrzcie – powiedział Humpstone John, wskazując namalowaną na białą nazwę statku. – To napis.

– Co to jest napis? – spytał Auriga Bootes, wpatrując się w komin; sądził, że Humpstone ma na myśli właśnie tę część.

– To. – Humpstone pokazał palcem na dziób. Auriga Bootes wychylił się, chwycił miniaturową kotwicę i podrzucił ją w palcach.

– To?

– Nie! To białe, obok.

– A, to! Napis, mówisz? Do czego to służy?

– To jak mówienie, tyle że bez głosu.

– Jak mówienie, tyle że bez głosu! – powtórzył Auriga, po czym obaj z Abysmillardem parsknęli głębokim, chrapliwym, grubym śmiechem. Niby taki mądry ten Humpstone John, pomyśleli sobie, a jednak taki głupi.

Miniaturowy statek nie był wielką zdobyczą, postanowili jednak, że zabiorą go do domu. Uwiązali go na linie za rufą czółna i zaczęli holować do domu. W połowie drogi przez jezioro dziecko zbudziło się i zaczęło płakać. Wszyscy trzej zastygli bez ruchu z wiosłami wzniesionymi nad wodą. Przechylili głowy, nasłuchiwali, skąd dobiega dźwięk. Humpstone John pogrzebał wśród jutowych szmat leżących na dnie łodzi, sądząc, że ktoś z Przymorzan przez pomyłkę lub dla żartu właśnie tam ukrył dziecko. Dziecka tam jednak nie było, a płacz nie ustawał. Humpstone chwycił za linę i przyciągnął City of Justice. Łkanie dobiegało z wnętrza stateczku. Humpstone wyciągnął zza paska pałasz i rozłupał statek z taką łatwością, jak gdyby rozcinał nożem skorupkę jajka. Tak jak wszyscy jego pobratymcy, był mistrzem fechtunku, wystarczył mu jeden rzut oka, by ocenić grubość i twardość drewna, wbił ostrze dokładnie tak głęboko, ile było trzeba. Miecz nie zdążył nawet błysnąć w słońcu, a już był z powrotem za jego paskiem – i dziecko zawisło w powietrzu, uwolnione z rozciętego na dwoje modelu. Auriga Bootes chwycił je, nim zdążyło wpaść do wody, i cisnął na jutowe szmaty. Potem, nie powiedziawszy ani słowa o tym, co się stało, chwycili za wiosła. Nie było o czym mówić. Abysmillard nie umiałby zresztą, nawet gdyby chciał. Był niemową i przyglupkiem, nie rozumiał, co się w ogóle wydarzyło. Dla pozostałych dwóch znalezienie dziecka oznaczało, że w osadzie pojawiła się kolejna gęba do wykarmienia i że w chatach przybędzie wesołego dziecięcego szczebiotu.

Był jednym z nich, póki nie skończył dwunastu lat. Na imię dali mu Peter, by zaś odróżnić go od kilku innych małych Peterów, dodali do niego nazwisko Lake, czyli „jezioro” – na zawsze bowiem pozostał dla nich dzieckiem wyciągniętym z jeziora. Peter Lake szybko wyuczył się wszystkiego, co trzeba, i robił to dobrze. Dzieci Przymorzan nie przechodziły żadnej formalnej edukacji, po prostu z wiekiem podpatrywały wszystko u dorosłych. Ich biegłość we władaniu białą bronią była niezrównana, wymagała wyjątkowej siły i koordynacji ruchów, lecz dojść do niej można było jedynie drogą samodzielnego doskonalenia się, jak gdyby każdy chłopiec posiadał ją od urodzenia i musiał ją tylko potwierdzić. Peter Lake nauczył się walki mieczem, gdy miał jedenaście lat.

Wyłynął wtedy z Humpstone’em Johnem na ryby; siedział na rufie czółna i wiosłował, a starzec zarzucał obwieszane ciężarkami wężerze. W pewnej chwili obaj ujrzeni, że od strony ściany chmur – która tego dnia była szara i wzburzona – zmierza ku nim po łąkach jakaś postać. Gdy ściana była niespokojna, często płatała dziwne niespodzianki. Tajemniczy mężczyzna wyszedł chyba prosto z niej. Był oszołomiony, lecz w wojowniczym nastroju. Wyglądał na dawnego japońskiego wojownika lub uciekiniera z przytułku dla obłąkanych w Cape May. Szedł

z ręką na mieczu, wykrzykując coś w najdziwniejszym języku, jaki kiedykolwiek słyszeli. Nie był to ani angielski, ani język Przymorza. Humpstone domyślił się, że przybysz trafił do nich z innego czasu bądź innego kraju, powiedział więc:

– Jesteś na mokradłach. Chcesz pewnie trafić na Manhattan. Przestań wrzeszczeć, a zabierzemy cię tam, znajdziesz pewnie więcej takich jak ty, a nawet jeśli nie, Manhattan to miejsce, gdzie nikt nie zwróci uwagi na twoje dziwaczne maniery. Ale czy mógłbyś wreszcie przestać bełkotać i zacząć mówić po angielsku?

Wojownik w odpowiedzi wszedł po kolana w wodę i błyskawicznym półobrotem ustawił się w pozycji świadczącej o tym, że gotuje się do pojedynku. Humpstone John domyślił się, że jakkolwiek pojednawczo starałby się zachować, nie uniknie walki. Westchnął ciężko, widząc jak samuraj – czy ktokolwiek to był – wyciąga długi srebrny miecz i rzuca się w stronę łodzi, wrzeszcząc, jak gdyby ktoś go zepchnął z urwiska. Humpstone John odrzucił sieć, wyciągnął pałasz z pochwy i wręczył go Peterowi.

– Spróbuj sam – powiedział. – Masz dobrą okazję, żeby się nauczyć.

Samuraj pędził ku nim z ogłuszającym wrzaskiem.

– Jak się to trzyma? – spytał Peter Lake.

– Jak co się trzyma?

– Miecz.

– Za rękojęć, nie inaczej. Pospiesz się...

Wojownik zatrzymał się o krok od czółna. Długi, ciężki miecz, uniesiony za głowę, sięgał mu aż po kostki – wojownik trzymał go jak kat szykujący się do zadania śmiertelnego ciosu. Wykrzywiona twarz wyglądała trochę jak ryba rozdymka. Ostrze rozpoczęło śmiercionośny zamach.

– Lepiej odparuj ten cios – powiedział spokojnie Humpstone John. Peter Lake wyciągnął pałasz prostopadle do miecza przeciwnika, dokładnie w samą porę: ostrza zderzyły się z przeszywającym szczękiem.

– Co teraz, John? – spytał Peter, gdy miecz intruza ześliznął się po ostrzu pałasza i zagłębił w okrężnicy czółna.

– Spróbuj uderzyć w górę, w rękę, w której trzyma miecz. Szybko!

– On trzyma miecz oburącz – odparł Peter Lake i schylił głowę; ostrze z jękiem przecięło powietrze dokładnie tam, gdzie przed chwilą była jego szyja.

– Rzeczywiście! A niech mnie – rzekł Humpstone John i zamyślił się na chwilę.

– Podpowiedz mi coś innego!

Przeciwnik wydał z siebie przeraźliwy krzyk i z całej siły pchnął mieczem naprzód, mierząc w serce Petera. Chłopiec odparował cios, ostrze śmignęło w bok, ścinając sporą część brody Humpstone'a.

– Cholera! – powiedział John. – Kończ wreszcie. Lubię moją brodę.

– Dobra! – zawołał młody Peter Lake i mocno ciął pałaszem w górę, wbijając ostry jak brzytwa sztych w lewe ramię intruza. Wówczas jakby coś się w nim obudziło: wykonał kolejną serię ruchów tak szybkich, że omal niewidzialnych, tak płynnych, że wydawały się jednym gestem, i omal nie wypatroszył napastnika. Ten upuścił miecz w płytką wodę i chwiejnym krokiem odszedł w stronę ściany chmur – która tym razem posłużyła mu jako pielęgniarski lub grabarz (nikt się tego nigdy nie dowiedział).

– Czy mam wyłowić jego miecz, John? – spytał Peter Lake, jeszcze roztrzęsiony, ale przepełniony dumą, że uszedł z życiem ze swojej pierwszej walki.

– Czyj miecz? – spytał Humpstone John, który tymczasem zdążył wrócić do łowienia

ryb.

– Człowieka, z którym walczyłem.

– Ach, jego... Że co, jego miecz? Do diabła, przecież to zwykła blacha. Zostaw, gdzie leży.

Peter Lake potrafił uciec – ledwie o włos – ścianie chmur, gdy sunęła po piaszczystych łąkach, wiedział też, że póki w wodzie rosną trzciny, a wśród nich pływają, biegają i odpoczywają ryby, małże i kraby, póty nie zabraknie mu schronienia i pożywienia. Niezle mówił w miejscowym języku, starsi słuchali go przy dogasających ogniskach i z uznaniem kiwali głowami. Tak jak wszystkie dzieci w jego wieku wcześniej zaczął sypiać ze swoją siostrą. Przymorzanie robili to, ani przez chwilę nie zastanawiając się, czy aby na pewno jest to dobry pomysł (właśnie dlatego Abysmillard był taki, jaki był). Petera Lake’a bardzo wcześnie skojarzono z siostrą noszącą imię Anarinda. Tak naprawdę nie byli rodzeństwem, Anarinda zresztą nie poczęła – żadnej z dziewcząt nie zdarzało się to po pierwszym razie. Anarinda była bardzo piękna, Peter Lake był więc w siódmym niebie. Zapytał potem Abysmillarda i Aurigę Bootesa, jak długo można robić to, czego właśnie się nauczył. Abysmillard nic na ten temat nie wiedział, Auriga Bootes skierował Petera do Humpstone’a Johna, ten zaś odpowiedział tak: – Och, czterysta albo pięćset lat, tak mi się zdaje, zależnie od twojej męskości i od tego, co nazywasz rokiem.

Nie troszcząc się zbyt o definicje, Peter Lake uznał, że świetnie się składa: bez względu na to, ile naprawdę trwał rok, wydawał się wiecznością, a nagość Anarindy i ich kotłowanie w ciepłym wnętrzu chaty sprawiały mu wielką frajdę. Jeśli mogło to trwać kolejne czterysta czy pięćset lat... czy można było prosić o więcej? Tej wiosny Peter mocno wbił się w dumę, sądząc zaś, że ten stan potrwa jeszcze przez kilka stuleci, śpiewał, tańczył i nucił sobie przyśpiewki, które układał o Anarindzie, na przykład takie:

O, Anarindo, piersi masz krągłe jak małże,

Uda gładkie jak flądry duch,

A włosy jak złoty puch.

W tobie dzwon mój zaśpiewa

O Anarindo z zatoki, piękność twoją opiewam.

Jego szczęście trwało jednak znacznie krócej niż pięćset lat. Właściwie nie trwało nawet tygodnia, Humpstone John oświadczył mu bowiem, że musi ich opuścić. Nie mógł zostać wśród Przymorzan, bo nie urodził się jako Przymorzanin. Troszczyli się o niego jak należy przez dwanaście lat, teraz musiał iść swoją drogą.

Wystarczyłyby jeszcze rok lub dwa, a sam zacząłby marzyć o przepłynięciu się na drugą stronę zatoki, jak wszyscy chłopcy w jego wieku. Był jednak jeszcze na tyle młody, że uważał mokradła za cały swój świat, cieszył się, że nie zna nic poza nimi – oni zaś właśnie dlatego postanowili odesłać go tak wcześnie. Wiedzieli, że jeśli ma przetrwać na Manhattanie, musi mieć w sercu ziarno goryczy. I rzeczywiście, później z goryczą wspominał, jak stroili go przed odesłaniem. Dali mu koronę z muszli i naszyjnik z piór (przymorzańskie symbole męskości), porządny pałasz, nowiutką sieć, torbę pełną płatów suszonej ryby oraz dzban małżowego piwa. Powiedzieli, że mając to wszystko, jest dobrze przygotowany na wyjazd do miasta. Do tej pory

Peter nie myślał zbyt wiele o mieście, Manhattan był dla niego jedynie ścianą szarych gór, rozświetlającą się w nocy. Smutno mu było wyjeżdżać, przypuszczał jednak, że znajdzie tam mnóstwo strumieni, w których roi się od ryb, wygodne chaty, w których mieszkają anarindy, i życie mniej więcej zbliżone do tego, które już znał. I tak pewnego wczesnego wieczoru pod koniec wiosny spakował się i wyjechał.

Manhattan, wysokie, wąskie królestwo, najbardziej budujące ze wszystkich królestw w świecie, wybuchło wokół niego z całą siłą – było jak wielki, niedoskonały, inkrustowany stalą pałac o milionie komnat, z wielopoziomowymi ogrodami, basenami, przejściami i szańcami górującymi nad labiryntem rzek. Wzniesiony na wyspie połączonej siecią mostów z innymi wyspami i stałym lądem, ten pałac o tysiącu wież pozbawiony był obrony, wpuszczał niemal każdego, kto chciał wejść do środka – był tak wielki, że i tak nie dałoby się go zdobyć, można było weń najwyżej wdrzeć się siłą. Przybysze, najeźdźcy, a nawet sami mieszkańcy byli tak skonsternowani jego różnorodnością, wielokształtnością, próżnością, rozległością, brutalnością i wdziękiem, że nie umieli dostrzec, czym jest naprawdę. Jedno było pewne: stanowił jedną, prostą strukturę, skrętnie podzieloną na części, uroczą i ujmującą, był nadzwyczajnym rojowiskiem wyobraźni, największym domem, jaki kiedykolwiek zbudowano. Peter Lake wiedział o tym już w chwili, gdy w pewien majowy piątek w swym zgrzebnym ubraniu, koronie z muszli i pierzastym naszyjniku stanął na ulicy Bowery.

W jednej ręce trzymał dzban z małżowym piwem, w drugiej torbę z wyprawionej skóry szopa, pełną płatów suszonej ryby. Był oszołomiony, ale szybko się uczył. Pierwszą rzeczą, jaka mu się przytrafiła, była kradzież łodzi, niemal w tej samej chwili, gdy wyszedł na nabrzeże przy South Street. Wystarczyło, że się odwrócił, a pomiędzy omszałych filarów mola wychynęły jakieś cienie i wciągnęły czółno w półmrok, niczym diabły ciągnące duszę do piekła. Pięć minut później zobaczył, że jest już rozłupane na szczapy i idzie na sprzedaż jako opał. Nim dotarł do Bowery, czółno paliło się już pod ulicznymi rożnami, na których obracały się skwierczące ptaki i kawałki świńskiego i krowiego mięsa. Gdy płomienie przygasły i na rożny zostały wbite kolejne świnię bądź jagnięta, uliczni kucharze wygarnęli popiół i sprzedali go zszarzałym nędzaczkom, którzy zebrali go do olbrzymich worków, by potem sprzedać firmom chemicznym i właścicielom cieplarni. Peter Lake podszedł do jednego z takich tragarzy i wskazał ręką na ogromny wór, spod którego widać było jedynie małą, pomarszczoną główkę i parę wytrzeszczonych, nabiegłych krwią oczu.

– To moje czółno – powiedział.

– Co to jest czółno? – spytał przygnieciony ciężarem nieborak.

– To – odparł Peter Lake, wciąż wskazując na wór.

– Twoje czółno, mówisz? – powiedział zbieracz popiołu, mierząc Petera wzrokiem, od korony z muszelek po buty ze skóry piżmaka. – No cóż, nie będziesz miał chyba nic przeciwko temu, że stary Jake Salween popłynie nim sobie do Chin? Do widzenia, mój chłopcze! Niedługo zabiorą cię do Overweary’ego.

– Overweary’ego?

– Jeszcze nie wiesz, kto to?! Precz mi z drogi, stuknięty konusie!

Peter Lake miał wrażenie, że miasto jest jak ściana chmur położona poziomo: kipiało życiem, nieustannym ruchem, buchało zewsząd najróżniejszymi dźwiękami, przypominało gotujący się dywan. Ściana była jednak biała, miasto natomiast kipiało od barw. Peter Lake był oszołomiony jego formami, jego geometrią: pomarańczowym blaskiem w czystych wyższych oknach na piętrach, rozmigotanym na zielono-biało światłem gazowych latarni, podskakującymi językami ognia, czerwonym węglowym żarem w paleniskach, czarnymi jak smoła końmi

kłusującymi leciutko na czele lakierowanych powozów, kalenicowymi i trójkątnymi dachami, baletem tłumów na schodach i rogach ulic, gardłowym pomrukiem maszyn (gdzieś w oddali słyszał głęboki dźwięk, podobny do tego, jaki wydawała ściana chmur, był to jednak zgiełk silników parowych, kół zamachowych i pras), żaglami, których białe prostokąty pojawiały się u wylotów ulic, wydęte na wietrze, a potem wcinały się w ściany budynków jak ostrze gilotyny, krzykami poprzebieranych przekupniów, budynkami (Peter nigdy dotąd nie widział budynków) skrywającymi głęboko w swych wnętrzach szeregi migotliwych lamp (Peter nigdy dotąd nie widział lamp), małe krzesła i stoliki oraz zastępy pięknych, wyprężonych jak struna kobiet, które – w przeciwieństwie do Przymorzanek – były barwnie ubrane, wyglądały jak jedwabiste tropikalne ptaki, choć miały większe piersi i bywały bardziej wyniosłe. Peter nigdy dotąd nie widział mundurów, tramwajów, szklanych okien, pociągów i tłumów. Miasto wybuchło nad nim, wdzierало mu się do głowy przez koronę z białych muszelek. Szedł chwiejnie przez gwarne, łykające ogniami Broadway i Bowery, nie do końca rozumiejąc, co widzi. W pewnym momencie napotkał mężczyznę, który zakręcił korbką wystającą z dużej skrzyni; rozległa się wtedy muzyka, a jakaś mała istotka, pół zwierzę, pół człowiek, zaczęła tańczyć po ulicy i zbierała datki do kapelusza. Peter Lake próbował nawiązać z nią rozmowę. Mężczyzna, który kręcił korbką, powiedział, że rozsądniej będzie dać stworzonku pieniądze.

– Co to są pieniądze? – spytał Peter Lake.

– Pieniądze to coś, co daje się małpce, żeby cię nie obsikała – odparł kataryniarz.

– Pieniądze to coś, co daje się małpce... żeby cię nie obsikała – powtórzył Peter Lake, nie do końca rozumiejąc. Kiedy pojął, że „małpka” to ten mały człowieczek w czerwonym garniturku, równocześnie zdał sobie sprawę, że jest przez nią obsikiwany. Odskoczył, postanawiając (między innymi), że zdobędzie jakieś pieniądze.

Po godzinie stwierdził, że jeszcze nigdy w życiu nie był tak zmęczony; bolały go stopy, mięśnie miał napięte, jego głowa była jak miedziany kocioł spuszczonego ze schodów. Miasto było jakby pogrążone w wojnie: wszędzie dokoła toczyły się bitwy, ludzie brnęli desperacko ulicami niczym bojowe legiony. Przymorzanie często porównywali miasto do wojny, nigdy jednak nie mówili, czy da się je ujarzmić, ukorzyć i spętać. Na ciągnących się przez tysiące mil ulicach ścierały się w śmiertelnym boju armie pozbawione szyku: prostytutki, których na samym Broadwayu było dziesięć tysięcy, pół miliona porzuconych dzieci, pół miliona chromych i ślepców, tysiące przestępców szczepionych w nieustającym boju z równie liczną policją, a także olbrzymia liczba dobrych obywateli, którzy w swoim zwyczajnym życiu byli zażarci i drapieżni jak w innych miastach zdziczałe psy. Oni wcale nie sprzedawali i nie kupowali, raczej dręczyli się i zabijali nawzajem. Nie chodzili po ulicach, lecz pędzili przed siebie jak pikinierzy, z zaciśniętymi pięściami i łomoczącymi sercami. Podział na zbrodniarzy najróżniejszego sortu oraz pospolitych, pogrążonych w codziennej krzątaninie mieszczan był tak subtelny i płynny, że wskazanie uczciwego człowieka było prawie niemożliwe. Sędzia, który wydawał wyrok na zbrodniarza, mógł zasługiwać na dziesięćkroć cięższe potępienie i pewnego dnia istotnie mógł zostać na nie skazany przez kolegę po fachu, czterokroć bardziej zepsutego niż on sam. Całe miasto było kołem fortuny, najbardziej skomplikowanym ze wszystkich, jakie dotąd zaprojektowano. Było niemal idealnym modelem bezwzględnych wyroków losu: niewinni pospołu z winnymi wirowali w nim jak we wnętrzu potężnego, przeludnionego bębna, brnęli przez najeżony pułapkami labirynt i kończyli zaduszeni w ciemnych lochach bądź wyniesieni na królewskie wysokości.

Peter Lake nie rozumiał, czemu czuje się tak, jak się czuje – wiedział o tym nie więcej niż pacjent u chirurga, gdy jest krojony i szyty. Przytłaczały go własne emocje. Miasto było

skrzynią wypełnioną zarem, a on siedział w środku, trząsł się w niej i płonął nieustannie przesywany rozmaitymi widokami, zbyt wyrazistymi, by dało się je skatalogować. Snuł się przez płataninę ulic, taszcząc dzban z małżowym piwem i torbę z suszonymi rybami. Nie było tu żadnych zatok, nie było chat, nie było miękkich, piaszczystych łach, na których można by się położyć.

Były za to anarindy – i to w takiej liczbie, że Peter Lake chwilami zastanawiał się, czy aby nie ma halucynacji. Mijały go ze wszystkich stron, obok niego, ponad nim, pod nim, ukryte głęboko w pudłach ze szklanym frontem, niczym rybki w szkolnych akwariach, nieważkie i roześmiane. Płynęły jak niewyczerpana rzeka. Ich głosy były dźwięczne jak dzwonki, jak kryształ, jak trel ptaków, jak pieśń. Postanowił, że wybierze sobie którąś, a ona zabierze go do swojego domu. Mogliby sobie podjąć suszonych ryb, napić się małżowego piwa, zrzucić ubrania i kotłować się na miękkim posłaniu, na jakim zapewne zwykli spać anarindy. Mógł wybrać sobie najlepszą, jaka tylko się natrafi. Która anarinda oparłaby się Peterowi Lake'owi, przystrojonemu w zwierzęce futra, muszle i pióra, z pełnym dzbanem małżowego piwa w ręku? Wszystkie były piękne, lecz ta, którą wybrał, była naprawdę wyjątkowa. Niemal dwukrotnie wyższa od niego, miała szeroką twarz, tak doskonale prezentującą się nad wysokim, szarym kołnierzykiem (do którego przypięty był szmaragd), że wyglądała jak bogini. Na ramionach miała sobolowy szal, prócz szmaragdu miała też jeszcze inne klejnoty. Przedstawiała naprawdę cudowny widok, zwłaszcza gdy otworzyła drzwiczki lśniącego czarnego pudła ciągniętego przez dwa muskularne konie, by wysiąść na ulicę.

Peter Lake podszedł do niej, wyciągnął przed siebie najpierw torbę z suszoną rybą, potem dzban, następnie uniósł podbródek i zuchwale tupnął w ziemię, jak czynili to Przymorzanie, gdy uderzali w konkury. Zadzźwięczała korona z muszelek, nastroszył się naszyjnik z piór. Z początku Peter sądził, że jego zamiar się powiodł, kobieta wytrzeszczyła bowiem oczy ze zdumienia. Po chwili ujrzał jednak, że po jej ślicznej twarzy przebiegł – niczym chmura na tle tarczy księżycy – wyraz trwogi. Drzwi zatrzasnęły mu się przed nosem i czarne pudło odjechało.

Peter Lake powtarzał te umizgi po wielokroć, lecz wszystkie, nawet najbardziej obszarpane anarindy odrzucały je ze wzgardą. Wyczerpany i przygnębiony, nie ustawał w wędrówce: szukał miejsca na nocleg, ponieważ zdążył już zapaść zmrok. Nie wiedział, dokąd idzie, ulice tworzyły jednak tak liczną i skomplikowaną gmatwaninę, że ani razu nie trafił dwa razy w to samo miejsce, wszędzie zaś był świadkiem zajmujących scen (widział psa fikającego koziołki, mężczyznę w białych szatach przeklinającego tłum, kraksę dwóch karawanów). Po trzech godzinach (była dopiero godzina dwudziesta) mokrądlą Bayonne wydawały mu się odległe i blade, jak gdyby nigdy tam nie był. Peter wiedział, że zatracił się w długim i wspaniałym śnie. Sceny i barwy mnożyły się przed nim, piętrzyły jak sztormowe fale, aż zaczęło mu się kręcić w głowie z oszołomienia.

W końcu zaszedł do niewielkiego kwadratowego parku, otoczonego przez kamienne budynki. Panowała tam cisza i spokój, zieleniec kuśił jak szmaragd wpięty w szarą angorę. Były tam ciemnozielone drzewa, miękka trawa, ciemne zakątki. Pośrodku stała fontanna. Wokół niej świeciły gazowe latarnie, ich blask przedzierał się przez kołysane wiatrem drzewa i rzucał na środek ruchliwe cienie. Obok fontanny tańczyły ze sobą dwie anarindy. Jedna była drobna, miała rude włosy i zieloną bluzkę. Druga była o wiele większa i znacznie bardziej zmysłowa (choć niewiele starsza niż Peter Lake), miała powłóczyste jasne włosy, czerwone policzki i kuszącą bluzkę kremowego koloru. Obie wirowały dokoła fontanny w tradycyjnym holenderskim tańcu, ramię w ramię, ze splecionymi rękoma, stykając się policzkami. Nie tańczyły do żadnej muzyki, nuciły sobie tylko jakąś melodię. I właściwie nie wiadomo było, z jakiego powodu tańczą, może

po prostu dlatego, że była wyjątkowo piękna noc.

Anarindy miały na nogach luźne brązowe buty, tupwały nimi o nawierzchnię z makadamu z głuchym, wesołym dźwiękiem. Płasały tak radośnie, że Peter Lake zapragnął się dołączyć. Ułożył dzbanek, torbę i miecz w zgrabny stosik i wyskoczył na placyk. Tańczył trochę jak Indianie, bowiem to właśnie od Indian Przymorzanie nauczyli się przed laty małżowych tańców i dziwnych zaśpiewów imitujących świst wiatru wśród trzciny. Dziewczeta wydawały się szczęśliwe, Peter wykonał więc z tej okazji taniec księżycy. Skakał i przykucał, wywijał obutymi w futro stopami. Gdy tylko dziewczeta usłyszały pobrzękiwanie jego muszli, wzięły go w obroty. Widok tańczącej trójki był przyjemny dla oka, przechodnie zatrzymywali się i rzucali im pod nogi kawałki srebra. Peter Lake wiedział już, że to pieniądze. Nauczył się je rozpoznawać, lecz jeszcze przez długi czas ich nie rozumiał, nie mógł pojąć kilku tajemniczych reguł, które nimi rządziły. Po pierwsze, zdobycie pieniędzy jest prawie niemożliwe. Po drugie, gdy już się je zdobędzie, prawie nie sposób jest je zatrzymać. Po trzecie, reguły te stosują się tylko do każdej jednostki z osobna i do nikogo innego. Innymi słowy, choć pieniądze są niemożliwie do zdobycia i zatrzymania, każda inna osoba ma ich pod dostatkiem i nigdy ich nie traci. Czwarta reguła brzmiała: pieniądze lubią mieszkać w pysznych, czystych miejscach, eleganckich i pełnych kuszących półcieni. Rezydowały na przykład w dużej ilości na skraju parku, w wysokich domach z ciemnego czerwobrazowego kamienia. W ich wnętrzu, za czystymi oknami, paliły się ciepłe światła, ukazując rozległe płaszczyzny kasztanowej, czerwonej, zielonej i białej barwy, migotało srebro i jarzył się ogień. Peter Lake widział to wszystko nawet wtedy, kiedy tańczył. Czuł też, że nie ma do tych miejsc wstępu, mimo że mieszkający w nich ludzie nagradzali go monetami za jego księżycowy taniec. Tu także kryła się tajemnica. Rzucali mu monety za to, że robił coś, co kocha, co było łatwe, co zrobiłby nawet ot tak, dla siebie. I gdy tak tańczył przy fontannie pośrodku zielonego placu, nagradzany monetami za swój taniec, stał się złodziejem. Dużo jeszcze czasu musiało upłynąć, nim zrozumiał tę regułę, lecz w końcu ją zrozumiał: otrzymywanie pieniędzy za to, co się kocha, to kradzież. Zapamiętawszy to sobie – choć jeszcze tego nie pojmował – poczuł, że ze złodziejami łączy go mocna więź; i dobrze, że to poczuł, bo tańczące dziewczeta były doliniarkami.

– Co to znaczy? – spytał, gdy ochlapywali sobie rozgrzane twarze zimną wodą z fontanny.

– Skąd ty się wzięłeś – powiedziała większa – skoro nie wiesz, kto to są doliniarki?

– Jestem z mokradeł.

Nie wiedziały, o czym mówi. Gdy podzielili pieniądze, wyjaśniły mu, co to znaczy:

– Tańczymy w tłumie i przyciągamy uwagę ludzi. Rzucają nam pieniądze...

– Pieniądze to coś, co daje się małpce, żeby was nie obsikała – powiedział Peter Lake.

Dziewczeta spojrzały po sobie.

– Rzucają nam pieniądze, a Mała Liza Jane okrada im kieszenie. Na tym polega doliniarstwo.

– A po co tańczyliście teraz, gdy już przestali wam rzucać pieniądze?

– Bo ja wiem? – rzekła większa. – A czemu nie?

Większa dziewczyna miała na imię Mała Liza Jane, a mniejsza Dolly. Kiedyś była jeszcze trzecia, ciemnowłosa Bosca, ale niedawno umarła.

– Na co zmarła? – spytał Peter Lake.

– W balii – odparła Mała Liza Jane, nie wyjaśniając bliżej, co ma na myśli.

Przyjęły go na jej miejsce. Miał tańczyć z Dolly, podczas gdy Mała Liza Jane okradała kieszenie. Peter zapytał, czy mają jakieś miękkie miejsce do spania, na co one odparły, że mają.

Dotarcie na miejsce zajęło im trzy godziny. Przekroczyli kilka niewielkich rzek i pięć strumieni. Przemierzyli setki krętych zaułków, które wyglądały jak dekoracje operowe. Przechodzili przez wielkie mosty, przez place targowe, na których ludzie połykali ogień, a mięso pieczono na mieczach, i przez kilka szerokich bram wiodących w głąb zadymionych fabryk, huczących niczym serca. Po drodze Peter przysłuchiwał się odgłosom dobiegającym z tych żelaznych warsztatów: bum, acza acza rapumbela, bum, bok, acza acza, ziiiiii-ja! balaka balaka balaka, oooooo-tak! czik czik czik czik! biima! um baba um baba, dilla dilla dilla, masz! um baba um baba, dilla dilla dilla okk! Zauważył, że mieszkańcy miasta nie zawsze maszerują jak nacierające wojsko, czasem wykonują też dziwne, rytmiczne tańce: podrygiwali całym ciałem w górę i w dół, wyrzucali i chowali ramiona, kręcili biodrami w kobiecy sposób (choć nie zawsze były to kobiety). Peter Lake spytał, czy w mieście toczy się wojna lub może stało się coś strasznego – nie rozumiał, skąd tyle tych skaczących ogni, bezdomnych armii, wszechobecnego pędu i gwaru. Doliniarki rozejrzały się i odparły, że wszystko jest w zupełnym porządku. Peter prawie mdłał z wyczerpania.

W końcu dotarli do ulicy zabudowanej z obu stron identycznymi czynszowymi kamienicami. Doliniarki nie mieszkały w żadnej z nich, tylko w ukrytym na tyłach podwórzu. Przeszli przez pomalowany na biało tunel i znaleźli się na ogromnym, niewidocznym z ulicy kwadratowym placu, otoczonym przez bodaj setkę budynków. Pośrodku znajdował się zniszczony ogród, który jeszcze nie odżył po zimie, jeśli nie liczyć gęsto wybująłych chwastów. Na skraju ogrodu stała mała lepianka, która przy wielkich kamienicach wydawała się jeszcze mniejsza. Doliniarki nie mieszkały w lepiance, ale pod nią, w piwnicy. Zeszli po schodach i znaleźli się w niewielkim, ciemnym pokoju z jednym maleńkim okienkiem pod sufitem. We wnętrzu piecyka zrobionego z beczki po oleju tliło się jeszcze kilka węgli. Na ścianie wisiały suszone warzywa, garnek i kilka przyborów kuchennych. Jedynym meblem było olbrzymie łóżko, chwiejące się na nierównych nogach i zasłane stosem sfatygowanych poduszek, prześcieradeł i koców. O dziwo, pościel nie była nawet bardzo brudna. Było to owo miękkie posłanie, na którym spały szachrajki.

– Mała Liza Jane zapaliła łojówkę, a Dolly dorzuciła drew do pieca – rzekła Dolly, gdy obie wykonały te czynności. Często mówiła o sobie w trzeciej osobie. – Za godzinę zagotuje się woda i warzywa będą gotowe.

Peter Lake pokazał im swoje płaty suszonej ryby, wyjaśnił, że przed wrzuceniem do gorącej wody trzeba je porozrywać na kawałki i powiązać w supły, będą miały wtedy lepszy smak.

Wszyscy troje mieli zamiar odpocząć przed jedzeniem, lecz zamiast tego opróżnili prawie całkowicie dzban małżowego piwa. Mała Liza ściągnęła bluzkę przez głowę, potem w jej ślady poszła Dolly. Rozebrały się. Peter Lake czuł, że piwo potężnie szumi mu w głowie. Mała Liza Jane miała szesnaście lat i była już dojrzałą kobietą. Dolly była jeszcze podlotkiem, ale braki w kształtach nadrabiała świeżością; zresztą Mała Liza Jane pod względem rozmiarów starczała za obie. Peter Lake wciąż miał przed oczyma widok jej piersi rozkołysanych w tańcu. Sądził, że nastąpi teraz dokładnie to samo, czego doświadczał z Anarindą, tyle że z dwiema anarindami. Pojękując z rozkoszy, zrzucił ubrania. Napracował się przy tym, jakby przeciągał końskie siodło przez pułapkę na homary. Gdy wreszcie był wolny i nagi, otworzył oczy, spodziewając się ujrzeć przed sobą na łóżku oczekujące go dwie pary piersi i nóg. Okazało się jednak, że dziewczęta są już złączone w uścisku i pożądliwie posapują; słychać było też jakby odgłos ssania. Co to miało znaczyć? Peter przyjrzał im się dokładnie, czy aby na pewno obie są anarindami – jednak były, nie miał co do tego wątpliwości. Było to dlań coś nowego, ponieważ

jednak w mieście wszystko było nowe, nie zdziwił się zbytnio. Przypatrywał im się uważnie. Nie były nim zainteresowane, ale wpuściły go i pozwoliły mu zaspokoić się kilka razy; potem przestał zwracać na nie uwagę. Jeszcze później, po paru godzinach, stali się dla siebie całkiem obojętni, zajęli się potrawką. Zjedli w milczeniu i poszli spać tuż przed wschodem słońca.

W ciężkim, jakbym opiumowym półśnie rozległ się jeszcze głos Małej Lizy Jane: – Jutro pójdziemy na Madison Square. Kręci się tam sporo frajerów. – Potem już szary dym snu spowił ciasną klitkę i wcisnął ich łagodnie w miękkie, przechylone łóżko.

Nazajutrz rano Peter Lake ujrzał miasto innymi oczyma – i tak już działało się każdego ranka. Każdego dnia wyglądało inaczej. Czy to w ciemne, duszne, dymne popołudnia, czy to w powodziach deszczu, czy w jesienne dni, przejrzystsze niż kryształowy przycisk do papieru, czy w blasku słońca, czy w cieniu – miasto nigdy nie było takie samo.

Wstał wcześniej. Dziewczęta spały jeszcze, zawinięte w koce. Ubrał się i szybko wyszedł na zewnątrz, gdzie przywitało go słońce wiszące nad najwyższym kominem pobliskiej kamienicy. Stał w ogrodzie, po pas w chwastach, i zastanawiał się, jak te budowle wyglądają w środku. Nigdy dotąd nie był w żadnym budynku. Spodziewał się, że gdy otworzy drzwi, ujrzy kolejne miasto, równie ogromne i ciekawe jak to, które zdążył już odkryć. Tego późnowiosennego, prawie letniego ranka podszedł więc do najbliższych drzwi i pchnął je; czuł się tak, jakby ze szczytu wysokiego wzgórza miał ujrzeć wielkie miasto w zimowej szacie, rozświetlone zimnym światłem brzasku. Pewnego dnia być może dane było mu ujrzeć coś takiego – lecz teraz ogarnęła go jedynie ciemność i mdlący fetor. Ostrożnie zaczął wspinać się po schodach (wychowany na mokradłach, nie był oswojony z wysokościami), aż dotarł na półpiętro. Poręcz była owinięta konopnym sznurem. To pewnie sprawka dzieci, pomyślał. Wytężając wzrok, zauważył, że ściany są odrapane i porysowane. Było to przeraźliwe miejsce, daleko stąd było do wody, nieba i piasku. Mógł wyjść na zewnątrz i zapomnieć o nim, coś jednak pchało go na górę, ku kolejnym piętrům. Znalazł się w samym sercu budynku, tak daleko od światła, że czuł się jak w grobie. Już miał zawrócić, lecz nagle zastygł w idealnym bezruchu, tknięty nieomylnym instynktem łowcy, który napotkał ofiarę. Przed nim stało dziecko. Nie było to zwyczajne dziecko – taką przynajmniej miał nadzieję. Mogło mieć trzy, najwyżej cztery lata, ubrane było w umorusaną czarną koszulinę. Miało olbrzymią, ogoloną, zniekształconą głowę, od czoła w górę tak wydętą, jakby za chwilę miała wybuchnąć; z tyłu wyglądała tak samo. Peter Lake skrzywił się z odrazy. Stworzenie stało w kupie szmat, z dłonią wepchniętą w usta, opierało się o ścianę i wpatrywało się przed siebie pustym wzrokiem. Szczęki mu drżały, a ohydna opuchnięta głowa kołysała się konwulsyjnie w przód i w tył. Instynkt podpowiedział Peterowi, że dziecko nie pożyje już długo. Chciał mu pomóc, ale nie wiedział jak, nie miał żadnej wiedzy ani doświadczenia. Przez chwilę czuł się niezdolny odejść ani zostać, patrzył tylko, jak dziecko trzęsie się i chwieje w półmroku – a potem z ulgą wybiegł na zewnątrz, w światło dnia.

Na mokradłach byłoby nie do pomyślenia, że można zostawić dziecko samotnie w korytarzu i pozwolić mu umrzeć. Lecz tutaj, o świcie, ujrzał śmierć we własnej osobie. W mieście były miejsca, w które wpadało się bez możliwości powrotu, pełne mrocznych snów i powolnego umierania, konających dzieci, cierpienia bez nadziei na łaskę i odkupienie, ostatecznego i wiecznego zatracenia. Widok dziecka w ciemnym korytarzu utkwiał mu w pamięci. Lecz to jeszcze nie mógł być koniec, rzeczywistość wirowała wokół niego w nieprzerwanym tańcu. Nawet ci, co nie mieli szans na odkupienie, mogli zostać odkupieni, albowiem w mieście wszystko się równoważyło. Musiało się równoważyć.

Wrócił do doliniarek.

– Zostaw miecz – powiedziała któraś – bo złapią cię pałkarze.

Przymorzanin nigdy nie rozstawał się z mieczem, chyba że do pływania lub kotłowania.
– Nie zostawiłbym tu mojego miecza nawet za kupę pieniędzy – powiedział Peter Lake, dumny, że wymyślił zupełnie nowe, wspaniałe powiedzenie.

– Dobryś sobie – powiedziała Dolly. – Mam nadzieję, że w doliniarstwie będziesz jeszcze lepszy.

Do Madison Square było równie daleko jak do parku, w którym się poznali. Musieli płynąć promem, przejść przez dwa mosty, przejechać pociągiem przez kilka tuneli, a potem jeszcze parę godzin wędrować pieszo przez labirynt ulic, przejść, zaułków i arkad, jednakowo kipiących życiem. Peter Lake był wykończony, nim jeszcze znalazł się w miejscu pracy. Lecz gdy znaleźli się na miejscu, pośrodku cudownego parku, w otoczeniu wysokich budynków połączonych siecią napowietrznych mostków, bez wahania ruszył w tan: wykonał serię tańców księżycy i tańców małża, kołysał się jak trzcina. Dolly tańczyła wokół niego, Mała Liza Jane krążyła zaś wśród gapiów, okradając kieszenie.

Mała Liza Jane (naprawdę piękna dziewczyna) miała niezawodną złodziejską smykałkę, gdy więc spostrzegła, że z budynku Bank of Turkey wytacza się tłusty mężczyzna w garniturze w kratę, poleciała za nim jak pszczoła. W jego pękatym portfelu znalazła ni mniej, ni więcej, tylko trzydzieści tysięcy dolarów. Drżąc z przejęcia, przerwała Peterowi dziki taniec małża i dała znak, by wraz z Dolly udali się za nią w odległy zakątek parku. Podzielili pieniądze po równo, Peter Lake wszedł więc w posiadanie dokładnie dziesięciu tysięcy czterech dolarów i dwudziestu ośmiu centów. Mała Liza Jane powiedziała, że jeśli tłusciuch złoży skargę, policja będzie ich szukać, najrozsądniej więc będzie, jeśli się rozdzielą i spotkają ponownie wieczorem. – Tutaj, w tym miejscu – zarządziła. – A pieniądze włóż do banku.

– Co to znaczy? – spytał Peter Lake. Wy tłumaczyła mu, co znaczy słowo „bank”, i wyjaśniła, że jeśli zostawi pieniądze w budynku z takim napisem, będą bezpieczne. Peter Lake skwapliwie przyjął radę, po czym rozstał się z dziewczętami. Znalazł bank, wszedł do środka, swoje nowiutkie banknoty ułożył w schludny stosik pod ścianą i wyszedł. Teraz, gdy miał pieniądze, na pewno nie obsika go już żadna małpka. Zadowolony z siebie wrócił na Madison Square i wkroczył do stojącego tam szklanego pałacu, zamierzając zabić czas do wieczora.

Maszyny. W środku roilo się od maszyn, a za tymi maszynami były kolejne maszyny. Z początku Peter miał wrażenie, że widzi zwierzęta, które nauczono tańczyć w miejscu. Ten metaliczny podziemny świat – czy raczej nadziemny – dosłownie zahipnotyzował go swoją wspaniałością. Peter jeszcze nigdy nie widział czegoś podobnego. Światło słoneczne wlewało się przez okna i przedzierało się przez zastępy wysokich palm. Orkiestra wygrywała jakieś rozkołysane melodie, dostrojone do dziwnego mechanicznego tańca maszyn. Z jakiegoś przerośniętego skupiska stalowych form wychylał się z mozołem i świstem zielony zawór. Wszędzie było pełno kół w najróżniejszych kolorach: z drzeniem ruszały z miejsca, cofały się na moment, a potem ruszały pędem, jak gdyby ścigane przez psy. Podnosiły się i opadały jakieś kule na drążkach, szczękały przekładnie, tłoki grzmociły rytmicznie niczym rogi rozwścieczonych łosi. Obłoczki pary przedzierały się przez korony palm. Poczwarne, czarodziejskie maszyny, wielkie jak miejskie place, co pewien czas niespodzianie chlapały na boki strumieniami wody i oleju. Peter Lake nie mógł się na nie napatrzeć. Były tych maszyn dwa tysiące, a każda w ruchu, każda sapała i dyszała. Peter po raz pierwszy ucieszył się, że wygnano go z mokradeł. W rozpedzonych maszynach objawiło mu się wszystko, czego dotąd nie znał. Ruszały się jak fale, jak wiatr, jak woda. Były wcieloną potęgą, wcielonym uniesieniem.

Wędrował wśród tych dwóch tysięcy maszyn – dwóch tysięcy! – w nieustannej ekstazie, aż zakręciło mu się w głowie. Nie miał pojęcia, do czego służą, postanowił więc kogoś zapytać.

Przy jednym z tych rozsapanych behemotów ktoś stał, jakby strażnik – w rzeczywistości był to jednak komiwojażer. Peter Lake nigdy jeszcze nie spotkał komiwojażera, trudno było też sobie wyobrazić, by ktoś, kto sprzedaje pięćdziesięcotonową maszynę wartą dwieście tysięcy dolarów mógł poświęcić choćby chwilę czasu dwunastoletniemu chłopcu ubranemu w buty z futra piżmaka, zwierzęce skóry, pióra i muszle. Peterowi nie pozostawało jednak nic innego, jak podejść do stalowego giganta i zapytać domniemanego strażnika:

– Co to? Co to jest?

– Co to jest? Co to jest, pytasz?! To jest, mój drogi panie, Półautomatyczny Samopoziomujący Podwodny Świder Kesonowy i Instalator Dynamitu Barkingtona-Paysona! Na żadnej wystawie świata nie znajdziesz drugiej takiej maszyny, żaden inny PSAPOŚKID nie może się z nim równać! Zacznijmy od wykonania. Podejdź tutaj, proszę, spójrz na tę doskonale wyprofilowaną stopę zgniotu, odlaną w Düsseldorfie, popatrz na to solidne indycze udo, na tę lśniącą jodłolajnię, na miechy z nierdzewnej stali. Spójrz: indycze udo jest bezpośrednio połączone z doskonale skalibrowanym drążkiem meltonowym, u jego podstawy zaś znajdziesz urządzenie doprawdy nadzwyczajne, spotykane wyłącznie w najwyższej klasy PSAPOŚKID-ach: niebieskie ciskadło oskarowe! I to najlepszej jakości! Sam takiego używam. Zazwyczaj nie mówię tego ludziom, ale tobie powiem: innego PSAPOŚKID-a nie tknąłbym nawet kijem. Przysięgam! Oddałbym za niego własną żonę. Popatrz na te łopatki wlotowe. Widziałeś kiedyś takie łopatki wlotowe? Sam świder wart jest tyle, co inna maszyna w całości. Czyste salinium! Podwójnie zbrojone koło zalewowe! Krocznik chroniony płatem tandolu twardym jak skała! Otwórz go tylko, a poczujesz zapach kalabriańskiego smaroślizgu. No dobrze, a teraz przejdźmy do rzeczy. Powiedzmy, że masz do wydania pół miliona dolarów. Czy wydałbyś je na jakąś niewartą splunięcia lichotę? Oczywiście, że nie! Nie ktoś taki jak ty. Od razu rozpoznam prawdziwego eksperta. Nie oszukasz mnie, przyjacielu, jesteś jednym z mechaników samego Pana Boga! Taki fachowiec wydałby pieniądze na coś, co jest solidne i finezyjnie zaprojektowane, porządnie zbudowane i godne zaufania: na Barkingtona-Paysona! Podejdź no tutaj, popróbuj, jak działa gwizdawka. Czyste wolpinium! A teraz pozwól, że zdradzę ci mały sekret związany z ceną...

Peter Lake słuchał go przez dwie i pół godziny. Otworzył szeroko usta i wycęzał umysł, starając się zrozumieć każde słowo. Był przekonany, że maszyna, którą ma przed sobą, stanowi – obok złodziejstwa kieszonkowego i przystrojonych na czerwono małpek – jeden z fundamentów cywilizacji, która go wchłonęła. W pewnej chwili jednak wyrosli jak spod ziemi dwaj policjanci i ksiądz – chwycili go, związali mu ręce na plecach, wyprowadzili z błyszczącej sali wystawowej, wsadzili do więziennej kibitki wypełnionej dziećmi i zawieźli do Domu dla Obląkanych Chłopców wielbnego Overweary'ego.

Od bezdomnych dzieci roило się w całym mieście, leżały poprzytulane do siebie jak króliki: za dnia spały w ciepłych legowiskach, w beczkach i piwnicach, wszędzie, gdzie mogły znaleźć przynajmniej odrobinę ciszy i spokoju. Nocny ziąb wprawiał je w ruch, popychał ku przegodom i rabunkom, do których dzieci nigdy nie były i nie będą nawykłe. Było ich ponad pół miliona, łatwiej niż dorośli ulegały chorobom i przemocy, toteż większość trumien, które trafiały do zbiorowych mogił, miała wstrząsająco niewielkie rozmiary – a grabarze i tak zwykle chowali po dwie, po trzy naraz. Nikt nie znał imion tych dzieci (niektóre nawet imion nie miały) i nigdy nie miał ich poznać. Ludzie o dobrym sercu pytali niekiedy, co się z tymi dziećmi dzieje, mając na myśli całą tę zbiorowość koczującą po ulicach przez okrągły rok. Odpowiedź brzmi tak, że część z nich dorastała i zaczynała pracować lub kraść, niektóre wędrowały z zakładu do zakładu lub z lochu do lochu, resztę zaś grzebano – na zamiejskich polach, płaskich, cichych

i porośniętych krzakami.

Niektóre dzieci wariowały i snuły się po mieście bez zmysłów. Dom Overweary'ego powstał właśnie po to, by zapewnić schronienie i przyuczenie chłopcom z ulicy, którzy postradali rozum. W trakcie jednego z patroli wspólnicy wielebnego znaleźli Petera Lake'a – przykuł ich uwagę osobliwym strojem.

Peter dość szybko odkrył, że domem rządzi trzech ludzi. Sam wielebny Overweary był postacią tragiczną: głębokie współczucie dla chłopców zupełnie go obezwładniało, często płakał, cierpiał straszliwie, nie mogąc znieść cudzego cierpienia. Z tego powodu nie miał czasu ani energii, by należycie nadzorować swojego pierwszego zastępcę, diakona Bacona, ten mógł więc bez trudu wyłuskiwać z każdego nowego transportu kilku chłopców, którzy żywo reagowali na względy, jakie okazywał im w trakcie wstępnego odwyszawiania. Do czego te względy były wstępem, okazywało się podczas kąpieli, gdy diakon Bacon pojawiał się wśród szczęśliwych chłopców, by w kłębach pary zaaplikować im kwas kuśkowy. Peter Lake nie zgodził się, by mu to zrobił, uparł się, że sam przeprowadzi ten zabieg. Część internowanych nie wiedziała, co o tym sądzić. Inni ochoczo przyjmowali awanse tego sympatycznego, wysokiego mężczyzny z orlim nosem i w rogowych okularach. Wkrótce wszystko było ustalone i uzgodnione (prędzej czy później wszystko można ustalić i uzgodnić) i wielebny Overweary dyskretnie odwracał wzrok, a diakon Bacon na wiele dni zamykał się z wybraną przez siebie świtą w specjalnym domku, umeblowanym i udekorowanym niczym salon sułtana na wyspie na Morzu Marmara.

Lecz kimże był wielebny Overweary, by potępiać swego diakona? Jego własny dom był niczym pałac, przerastał wielkością nawet bloki z szarego granitu, w których gnieździły się dwa tysiące młodych pensjonariuszy. Wielebny wydawał wystawne bale, na które zapraszał bogaczy, inteligencję i goszczące w mieście koronowane głowy. Goście korzystali z zaproszeń, ponieważ u wielebnego można było dobrze zjeść, ponadto sądzili, że jest on zamożnym człowiekiem, który poświęcił prywatną wielomilionową fortunę na opiekę nad potrzebującymi. Tymczasem było wręcz przeciwnie, to chłopcy utrzymywali wielebnego: pod przykrywką kształcenia i przyuczenia do pracy wynajmował ich całymi grupami każdemu, kto potrzebował taniej siły roboczej. Dzień pracy niewykwalifikowanego robotnika, pełne dwanaście godzin uczciwej roboty, kosztował od czterech do sześciu dolarów; Overweary codziennie wypożyczał swoich chłopców za pięć dolarów od głowy. Ich utrzymanie kosztowało go dolara od głowy, zarabiał więc na czysto osiem tysięcy dolarów dziennie – a właściwie mniej, sumę jego zarobku stale uszczuplały choroby, zgony i uciezki (wszystkie trzy czynniki często łączyły się zresztą w jeden proces). Miłosierny ksiądz zbierał chłopców z ulicy, uczył ich pracować, ratował od bezimiennego grobu, a w zamian zarabiał kilka milionów dolarów rocznie. Gdy któryś z chłopców odchodził, nie dostawał na odchodne ani centa.

Peter Lake został tam niemal do osiągnięcia pełnoletności. Był niewolnikiem, lecz czuł się jak w raju, a to dzięki trzeciemu filarowi, na którym wspierał się Dom Overweary'ego: wielebnemu Mootfowlowi.

W dniu, gdy schwytano Petera Lake'a w sali maszyn, patrolem dowodził właśnie Mootfowl. Ku irytacji towarzyszących mu policjantów nalegał, by wejść na teren wystawy, ponieważ miał słabość do technicznych, inżynierskich i maszynowych ekspozycji. Był jednym z pierwszych pracowników Domu, gdy nie był on jeszcze tak świetnie zorganizowany, zgodnie zaś z jego „święceniami” Overweary posłał go na naukę do całego szeregu uczelni technicznych. Mootfowl wydawał się nie mieć żadnych emocji, pragnień ani trosk oprócz tych, które wiązały się z obróbką metali, kowalstwem, budową maszyn, projektowaniem pomp, wznoszeniem dźwigarów, produkcją lin i inżynierią budowlaną. Cały czas spędzał w kuźni bądź w warsztacie,

wiecznie coś montował, przycinał, projektował. Oddychał stalą, żelazem i drewnem. Potrafił wyprodukować wszystko. Był szalonym rzemieślnikiem, geniuszem kowadła i młota.

Peter Lake szybko znalazł się w elitarnej pięćdziesięcioosobowej grupie, która pracowała dniami i nocami w blasku kowalskich pieców. Szybko i bezlitośnie przyuczony do zawodu, stali się doskonałymi mechanikami – i wraz z Mootfowlem byli właściwymi ludźmi na właściwym miejscu, miasto bowiem zaczynało się właśnie mechanizować. Maszyny były wszędzie, wyrastały na każdym kroku, zwieńczone koronami z pary i dymu. Pojawiały się najpierw pomału, lecz rozpędzały się nieubłaganie i niebawem było jasne, że ich rytmicznej chwale nie będzie końca. Dzięki nim cielsko miasta nie tylko obrosło w mięśnie i nabrało szybkości, zaczęło wręcz zupełnie nowe życie, ruszyło niestrudzonym pędem ku przyszłości. Oszałamiająca liczba odrębnych dotąd zadań musiała zostać sprzęgnięta i skoordynowana. Na potęgę wprowadzano elektryczność, wszędzie jarzył się jej dziki, prędko, migotliwy blask. Sieć tuneli buchających parą, dynamy napędzane wielkimi silnikami, pociągi kursujące pod ulicami, budynki wznoszące się coraz wyżej i wyżej – był to zupełnie nowy świat, świat mechaników i dla mechaników. Gdy maszyny rozpoczęły swój tryumfalny pochód, gdy samo miasto stało się maszyną, miliony ludzi pracowały gorączkowo dniami i nocami: pilnowali, by ich narodziny przebiegały prawidłowo, i dostarczali stali, kamienia oraz mocnych narzędzi, które pomagały bić metalicznemu sercu metropolii.

Budowlańcy i mechanicy przybywali ze wszystkich stron i zbroili miasto w coraz to nowe warstwy stali. Potrafilo używać materiałów zaraz potem, jak je wytworzono. Pensylanię, jeszcze niedawno będącą dzikim pustkowiem, przekształcili w hutniczy piec. Wycięli lasy, by móc go nakarmić. Drażyli, cięli, wysadzali, zwozili wszystko do miasta i budowali. Nic dziwnego, że potrzebowali też niewyczerpanych zapasów drobnych części, wytapianych we wrzących paleniskach bądź zręcznie wytwarzanych za pomocą maszyn: uszczelki, śrub, dźwigni, stempli, wałów, szprych – i takie właśnie stalowe drobiazgi nauczył się wykuwać i odlewać Peter Lake. Musiał doglądać silników napędzających maszyny, opanować konstrukcję turbin, które podtrzymywały ogień w piecach, skomplikowane zasady działania automatycznych rusztów, systemów elektrycznych, przekładni i pasów transmisyjnych, silników benzynowych i kotłów ciśnieniowych, technikę wytopu metali i inżynierię wytrzymałościową – krótko mówiąc, potężną dziedzinę tradycyjnej fizyki, chleb powszedni tych, którzy określali siebie mianem mechaników.

Pracowali w olbrzymiej szopie, wypełnionej hukiem i blaskiem palenisk, pełnej stosów szerniałych, tłustych od oliwy narzędzi z ciężkiej stali. Gdy maszyny i płomień łączyły się w zgodny chór, brzmiało to tak, jakby grała jakaś oszałała perkusyjna orkiestra. Chłopcy uwijali się wśród pieców i kowadeł ubrani w czarne skórzane fartuchy i ciężkie rękawice. Tworzyli własną, odrębną społeczność, przy pracy spędzali zaś szesnaście godzin dziennie. Sam Mootfowl pracował po dwadzieścia godzin. Przemysłowe kwalifikacje przynosiły im przyzwoity dochód, ale liczyła się dla nich tylko praca. Jeździli po mieście, najmowani do rozmaitych zadań, i wszędzie byli znani: rozpoznawano ich po czarnych fartuchach, niesamowitej biegłości i szaleńczej zapamiętałości w pracy. Stale doskonalili swe umiejętności, podług wymagań stawianych przez epokę.

Mootfowl nosił na głowie chiński kapelusz – chronił w ten sposób włosy przed spaleniem, często bowiem przyklękał tuż przy palenisku na zasmarowanej podłodze, by ocenić fachowym okiem jakość wykonania żarzącego się jeszcze stalowego drobiazgu. Z gorącym metalem radził sobie w sposób cudownie subtelny i szybki. Umiał uderzyć młotem z taką precyzją i siłą, że płynna, wrząca masa w jednej chwili zmieniała się w mocny, solidny

przedmiot. Mootfowl był bardzo wysoki. Nawet gdy Peter Lake osiągnął już pełny wzrost, miał wrażenie, że Mootfowl jest odeń dwukrotnie wyższy. W grubo ciosanej, lecz przystojnej twarzy wielebnego, wiecznie lśniącej i szerniałej od sadzy, tkwiła para błyszczących sowych oczu. Ilekroć Peter Lake spoglądał w te oczy, przypominały mu się lata spędzone wśród Przymorzań, gdy jadł czasem na śniadanie sowę pieczoną na ogniu, jeszcze gorącą, skwierzącą od masła. Były to już jednak dawne dzieje. Pod nadzorem Mootfowla nauczył się czytać, pisać i liczyć, by radzić sobie z pracą na zlecenie i umieć trafić w każde miejsce w mieście. Ponieważ połowa chłopców była pochodzenia irlandzkiego, nauczył się też mówić giętkim i szczerym irlandzkim dialektem. Podobała mu się ta mowa, przypominająca żeglowanie na wysokiej fali, i po kilku latach odkrył, że nie umie już mówić inaczej, z trudem przypominał sobie pojedyncze zdania z przymorzańskich ballad. Mimo to często bolał nad utratą swego pierwotnego ja, czymkolwiek ono było. Tak naprawdę nie był ani Przymorzańcem, ani Irlandczykiem; nawet członkiem grupy Mootfowla czuł się tylko połowicznie, bo w przeciwieństwie do pięcioletnich zuchów, które siedziały tu i ówdzie po kątach szopy i uczyły się posługiwać miniaturowymi narzędziami, swoje terminowanie zaczął stosunkowo późno. Nie był pewien, gdzie właściwie należy. Zakładał jednak, że ta niepewność – podobnie jak inne udręki nękające jego „obłąkanych” towarzyszy – pewnego dnia zniknie.

Tymczasem Mootfowl ze swą grupą pracował bez wytchnienia, miejskie budowle rosły bowiem coraz bardziej w górę, wspinały się na siebie szybciej niż korale budujące rafę. Każda nowo wzniesiona wieża przez chwilę spoglądała na miasto z góry, a już po chwili była skazana na dożywotnie oglądanie pięt młodszych rywalek. Co innego wielkie mosty – te prężyły się wyniosłe nad rzekami, wiecznie samotne, i miały rozległy widok na wszystkie strony. Mootfowl był czcicielem mostów. Pracował przy wznoszeniu kilku z nich i gdy usłyszał, że szykuje się budowa kolejnego, nad szerokim zakolem East River, był w siódmym niebie, wiedział bowiem, że most tej długości będzie wymagał specjalnie wytworzonych części i fachowych napraw. Jedną z najświętszych chwil w życiu wielebnego były te, gdy opowiadał chłopcom, jak to naprawił kilka uszkodzonych ferrysowych złączy dla pułkownika Roeblinga, budowniczego Brooklyn Bridge, gdy już przeciągnięto nad rzeką cztery główne liny nośne wznoszonej konstrukcji. Mootfowl zawisł wówczas nad wodą na zawrotnej wysokości, miotany wiatrem niczym ptak zaskoczony przez burzę, z młotem u pasa – i wykonał zlecenie, wzbudzając zachwyt w tysiącach widzów płynących promem w stronę Fulton Street.

– Jackson Mead – obwieścił Mootfowl z czcią i podziwem w głosie – przyjechał gdzieś zza Ohio z setką porządnych fachowców i całymi tonami pieniędzy i stali, Bóg jeden wie, skąd je wziął, i zaczyna budować kolejny most. Przyjechali tuż po burzy. Biała ściana przez wiele dni blokowała dojazd do miasta. Gdy tylko zaczęła się podnosić, z mgły wypadł pędem ich pociąg. Wjechali linią Erie Lackawanna. Farmerzy bardzo się zdziwili, mówią, że pociąg otarł się o spód ściany. Twierdzą, moi chłopcy, że dachy wagonów były poszarpane i poobdzierane, i że lśniły od zetknięcia z dnem ściany. Może tak było, może nie, grunt, że Jackson Mead już tu jest i wkrótce ruszy budowa mostu. Powinniśmy się o to modlić.

– Czemu? – spytał jeden z kowalczyków, drobny chłopiec, który zawsze mówił przez nos i był bardzo sceptyczny.

Mootfowl zgromił go wzrokiem.

– Most to bardzo szczególna rzecz – oświadczył. – Czy nie widzieliście, jaka to delikatna konstrukcja w stosunku do swoich rozmiarów? Mosty unoszą się jak ptaki, są ucieleśnieniem i przedłużeniem naszych najświetniejszych wysiłków; robią użytek z krzywizny niebios. Kiedy długa na milę lina nośna zawisa wysoko nad rzeką, to wierzcie mi, nawet Bóg o tym wie. Jako

Jego sługa ośmielił się wręcz stwierdzić, że lina nośna, ta cudowna, elegancka rzecz, ta wcielona radość fizyki, ten punkt idealnej równowagi między posłuszeństwem i buntem jest Bożym podpisem na ziemi. Myślę, że Bóg się raduje, gdy widzi, jak je rozpinamy. Myślę też, że właśnie dlatego miasto jest tak bogate w wydarzenia. Cała wyspa staje się katedrą, rozumiecie?

– Czy to dotyczy także Bronksu? – spytał ktoś.

– Nie – odparł Mootfowl.

Wszyscy odłożyli narzędzia, schylili głowy i w ciszy, wypełnionej jedynie śpiewem płomieni w paleniskach, modlili się o nowy most. Ledwie skończyli, Mootfowl wyprostował się jak stalowa struna.

– Pracujcie! – zarządził. – Pracujcie przez całą noc. Jutro zgłosimy się do pracy przy nowym moście.

Niewiele wiedziano o Jacksonie Meadzie, poza tym, że zbudował wiele doskonałych mostów wiszących nad wielkimi rzekami na Zachodzie, i że wiele z nich wznoszono przez wiele lat nad niemal bezdennymi kanionami i wąwozami. Gazety często cytowały jego stwierdzenie, jakoby miasto mogło być wielkie jedynie wówczas, gdy posiada wielkie mosty.

– Mapy takiego Londynu czy Paryża – oświadczył na konferencji prasowej w biurze kompanii mostowej – są nudne w porównaniu z mapami San Francisco czy Nowego Jorku. Miasto nie może być wspaniałe, jeśli swym kształtem przypomina serce, nerkę czy inny organ zduszony przez olbrzymie zielone cielsko. Miasto musi się rozciągać, rozszerzać, wystrzelać naokoło we wszystkich dogodnych kierunkach: nad wodą, w głąb półwyspów, na wzgórza; wszędzie powinno wznosić swoje wieże, a wyspy należy spinać mostami. – Prasa zdziwiła się, że podał przykład San Francisco, w którym przecież nie ma żadnych mostów, lecz on tylko odparł z uśmiechem:

– Pomyliłem się.

Gazety i płeć piękna były pod wrażeniem jego powierzchowności. Jackson Mead mierzył sześć stóp i osiem cali wzrostu, lecz nie był chudy. Miał śnieżnobiałe włosy i takież wąsy, do tego nosił trzyczęściowe białe garnitury z zegarkiem na platynowym łańcuszku – zegarkiem wielkim jak ścienny zegar, choć gdy znalazł się w jego potężnej dłoni, wcale już się taki nie wydawał. Doskonałe zdrowie i wspaniała prezencja sprawiały, że trudno było ocenić jego wiek. Mówiono, iż swą potężną posturę i krzepkość zawdzięcza temu, że je surowe mięso bizona, kąpie się w wodzie mineralnej i pije orli mocz. Zagadnięty o to publicznie, odpowiedział:

– Tak, oczywiście, to prawda – i wybuchnął śmiechem.

Niektórzy go kochali, inni nie. Peter Lake był oszołomiony, gdy wraz z Mootfowlem i czterdziestoma dziewięcioma innymi chłopcami znalazł się w jego skąpo umeblowanym biurze. Jackson Mead sprawiał wrażenie, jak gdyby wyszedł ze swego olbrzymiego portretu, Mootfowl wyglądał przy nim jak mała statuetka. Peter Lake wyobraził sobie, że ubrany na białą inżynier jest panem młodym, a Mootfowl przedstawiającą go figurką na szczycie weselnego tortu. Musiał siłą zamknąć usta, bo w pierwszej chwili same otworzyły mu się ze zdumienia. Siłą również mrużył oczy, ponieważ – jakby solidaryzując się z ustami – rozszerzyły mu się do wielkości półdolarówek.

Nie mógł pojąć, jak można Jacksona Meada nienawidzić, jak można mówić, że jest hardy i okrutny – był przecież ubrany na białą, włosy i wąsy miał miękkie jak puch, wyglądał kojąco, sprawiał wrażenie człowieka zrównoważonego i zadowolonego, stanowił uosobienie spokoju. I w tej samej chwili Peter Lake zrozumiał, że właśnie dlatego ludzie go nienawidzą. Jackson Mead robił, co miał do zrobienia, i robił to bez wahania. Wszyscy inni, wiecznie niepewni i pełni wahań, z pewnością zazdrościli człowiekowi, który zawsze wiedział, co ma robić i dlaczego –

jak gdyby wcześniej spędził kilkaset lat na rozwiązywaniu swoich zwyczajnych ludzkich problemów, a dopiero potem zajął się budowaniem mostów.

Gdy Mootfowl wyjaśnił, z czym przyszli, Jackson Mead odparł, że faktycznie potrzebuje wykwalifikowanych kowali, mechaników i monterów, propozycja wydaje się więc kusząca. Lecz – oświadczył – nie jest przekonany, czy chłopcy wielebnego, choć wyglądają na chętnych do pracy, naprawdę podołają zadaniu.

– Przewidziałem to, szanowny panie – odparł Mootfowl. – Może pan poddać moich chłopców próbie: proszę wybrać sobie któregoś z nich i wyznaczyć mu zadanie, dokładnie tak trudne jak te, które mogą ich czekać przy budowie mostu. Z przyjemnością pozwolimy się ocenić. – To rzekłszy, zrobił krok wstecz, nerwowo i dumny.

Jackson Mead odparł, że wynajmie całą grupę, jeżeli wybrany przezeń chłopiec zdoła wykuć siedmiokątny kawałek ferrysu bez widocznych zniekształceń. Gdy wstał i zaczął rozglądać się w poszukiwaniu kandydata, wyglądał tak, jakby spoglądał na nich z wysokiej wieży. Chłopcy z kolei czuli młodzieńczy dreszcz podniecenia, który rychło zmienił się w przerażenie, gdy białowłosy budowniczy mostów wskazał na małego, tłustego chłopca skulonego z tyłu, i rzekł:

– Niech będzie ten. Łańcuch jest tak silny jak jego najsłabsze ogniwo. On wygląda mi na słabe ogniwo.

Wybrańcem okazał się młody Cecil Mature, który przy pięciu stopach i jednym calu wzrostu ważył aż dwieście funtów, miał twarz nieznośnie nalaną tłuszczem i dwie wesołe czarne szczeliny w miejscu, gdzie powinny być oczy. Początkowo pełnił funkcję kucharza, gotował kabaczki, wyblagał jednak, by przyjęto go do grupy mechaników. Nosił plecioną wełnianą czapkę, idealnie podkreślając krągłość ostrzyżonej na jeża głowy. Ręce miał jak kielbasy, gdy zaś krzątał się w czarnym fartuchu po kuźni, wyglądał jak ożywiona kula armatnia. U Overweary'ego pojawił się dopiero niedawno, jego pochodzenie owiane zaś było tajemnicą, Cecil twierdził bowiem, że ma mgliste wspomnienia z życia na angielskim kutrze śledziowym. Miał czternaście lat i wydawał się mieć blade pojęcie o świecie.

Gdy został wybrany do próby, rozjaśnił się w radosnym uśmiechu i popędził do kuźni. Pozostali chłopcy ruszyli za nim, ciekawi, co się wydarzy. Lubili go, ale raczej tak, jak lubi się niezgrabnego psa, gdy omsknie mu się łapa i spadnie ze schodów. Mootfowl nie zdążył jeszcze wykorzystać w pełni jego inteligencji. Chłopiec garnął się do pracy, ale rzadko wykonywał ją jak należy, toteż gdy rozgrzał bryłkę ferrysu i położył go na kowadle, reszta grupy z powątpiewaniem kręciła głowami. I rzeczywiście: każde uderzenie młota zdawało się mieć gorszy skutek niż poprzednie. Po pięciu minutach kawałek metalu był mocno pokrzywiony, ale jeszcze możliwy do uratowania. Cecil Mature odłożył młot i odsunął się o krok do tyłu. Poprawił czapkę na głowie i przez chwilę wpatrywał się przez szczeliny oczu w dogorywający materiał. Potem znów podszedł do kowadła i ze zdwojonym zapalem ponowił pracę. Kawałek ferrysu w pewnym momencie przybrał skomplikowaną postać, jakby koła od wozu połączonego z łukowatym przęsłem. Po kolejnym kwadransie bicia młotem na powrót stał się bryłką rudy, wyglądał jak świeżo spadły z nieba meteoryt. Dokonawszy dzieła, Cecil Mature dyskretnie wmieszał się w tłum kolegów. Jackson Mead podziękował pobladłemu, wstrząśniętemu Mootfowlowi (który idąc na spotkanie, nie wiedział nawet, że Cecil Mature jest obecny w grupie), po czym wsiadł do powozu i pojechał obejrzeć świeżą dostawę stalowych podpór.

Cała grupa wróciła gęsiego do warsztatu. Szli w takim nastroju, że wielu przechodniów wzięło ich za kondukt pogrzebowy bez nieboszczyka. Mootfowl dał im potem wolne, chłopcy nie pracowali przez tydzień, sam zaś popadł w ciężkie przygnębienie: leżał całymi dniami na

swym potężnym wozie z narzędziami i wpatrywał się w rozświetlone niebo. A potem wezwał Petera Lake'a.

Peter bardzo się uradował – wiedział, że gdy Mootfowl wraca do życia, jest niewyciężony – i pospieszył do kuźni. Jego mentor pogrążony był właśnie w szaleńczej pracy, budował na środku szopy jakieś urządzenie w formie dużej ramy. Peter sądził, że to nowa maszyna, którą wielebny pokaże Jacksonowi Meadowi, by zrehabilitować się w jego oczach. Zabrał się więc do pracy, zaproponował kilka ulepszeń – nie pojmując jednak, co właściwie buduje i czemu wielebny tak szaleje z podniecenia.

– Gotowe! – oznajmił wreszcie Mootfowl. – Mamy do zrobienia jeszcze tylko jedną rzecz. Gdy dam ci znak, uderz w ten bolec dwuręcznym młotem, najsilniej jak potrafisz. To ostatnia poprawka, ostatnie złącze, trzeba je zrobić precyzyjnie. – To rzekłszy, zniknął za drewnianą osłoną, przez którą przechodził stalowy pręt, i zawołał: – Z całej siły, Peterze Lake, uderzaj!

Peter Lake potężnie grzmotnął młotem i czekał na dalsze instrukcje. Czekał i czekał – aż w końcu zajrzał za osłonę i ujrzał Mootfowla z czujnym uśmiechem na twarzy, nienaturalnie spokojnego i pogodnego, przygwożdżonego do dębowej belki stalowym prętem, który przeszył mu serce.

– O Boże – powiedział Peter Lake. Był tak wstrząśnięty, że nawet nie był w stanie pożałować człowieka, którego tak bardzo kochał. Przebił wielebny jak motyla.

Nie można jednak wbić osobie duchownej żelaznego kołka w serce i liczyć na to, że się pozostanie bezkarnym – Peter Lake przeskoczył zatem przez mur (właściwie nie było tam żadnego muru) i jego lata spędzone w Domu Overweary'ego dobiegły końca. Zostawił swój fartuch, za to zabrał miecz.

Krążył ulicami, szybkim krokiem przemierzał aleje, rozpalony żarem własnej siły, i zastanawiał się nad swoją sytuacją. Miał prawie dwadzieścia lat, niedawno wyhodował sobie skromny, lecz gęsty wąs koloru blond z rudymi i srebrnymi smużkami. Włosy zaczęły mu rzednieć na ciemieniu, przez co wyglądał doroślej i miał wyższe czoło – była to miła cecha i tak już miłej twarzy. Był ujmujący, przyjacielski, sympatyczny i zawsze dopisywał mu humor. Wyglądał z grubsza jak przyzwoity obywatel, był spostrzegawczy i bystry. Gdyby był arystokratą, zdążyłby już daleko zajść. Tymczasem jednak miał cały świat przed sobą i szedł pewnie przez miasto, świadom tego, że jest znakomitym mechanikiem, silnym młodym mężczyzną z dobrym fachem w ręku. Owszem, wiedział, że policja będzie go ścigać, był jednak swobodny i niezależny i nie martwił się na zapas.

Swobodny i niezależny był w zasadzie tylko do chwili, gdy się obrócił i ujrzał idącego za nim Cecila Mature'a. Pulchna twarz Cecila rozciągnęła się w uśmiechu; w takich razach oczy rozszerzały mu się na tyle, że zaczynał co nieco widzieć.

- Niech cię diabli, Cecil, czy pozwoliłem ci iść ze mną?
- Nie, ale poszedłem.
- Musisz wrócić. Policja będzie mnie ścigać.
- Nie obchodzi mnie to.
- Ale mnie obchodzi. Wracaj do domu!
- Chcę iść z tobą!
- Nie możesz iść ze mną. Zmiataj stąd, ale już! Wracaj do domu.
- Mogę iść, dokąd tylko mi się podoba.
- Czy zdajesz sobie sprawę, że jeśli pójdziesz za mną, znajdą mnie w parę godzin? Jeśli będę zainteresowany holowaniem ciężkich ładunków, dam ci znać.

– To wolny kraj. Mogę iść, dokąd mi się podoba. Takie jest prawo. Sędzia tak mówił.
– Utnę ci głowę.
– Nie utniesz.
– No to zgubię cię i tyle.
– Nie zgubisz. Szybko chodzę. Poza tym mogę ci się przydać. Umiem przyrządzać warzywa, jak w szkole. Uczyli mnie na kucharza. Nieźle gotuję kabaczki.
– Ach, przecież właśnie tego mi trzeba, gdy uciekam przed oskarżeniem o morderstwo: kucharza, który będziemy gotował kabaczki! – Szli bardzo szybko przez Bowery, Cecil właściwie truchtał, by dotrzymać Peterowi kroku. – Jesse James także miał kucharza, który mu gotował kabaczki, wszyscy to wiedzą. Butch Cassidy miał kucharza, który mu gotował kabaczki. To jest de rigueur.

– Umiem też gotować inne rzeczy. I prac umiem. I stać nocą na straży. Jestem dobrym kowalem. Może nie najlepszym, ale dobrym.

Przedzierali się przez tłum odzianych w gabardynę przechodniów i bywalców lokali, płynący falami przez Bowery. Zachodzące słońce kipiało i gestykulowało w nierównych czarnych szybach niezliczonych okien. Sprzedawcy mięsa z rusztu i uliczni śpiewacy tonęli w wieczornej ciżbie, z kabaretów buchały dźwięki orkiestr i smugi purpurowego, zielonego i pomarańczowego światła. Muzyka dobiegała nawet z pokładów parowców odpływających w mrok wzdłuż East River, zostawiających za sobą Manhattan, tę szkatułkę klejnotów, na rzecz słodkiej zamiejskiej ciszy wypełnionej trelem przedrzeźniaczy i spokojnym światłem księżyca.

– Umiem robić tatuaże.

Peter Lake zatrzymał się jak wryty i spojrzał na młodego Cecila.

– Co umiesz robić?

– Tatuaże.

– Jak to?

– Zanim mnie wsadzili do kibitki, terminowałem w salonie tatuażu.

– Myślałem, że mieszkałeś na kutrze śledziowym.

– To wcześniej. Potem zacząłem tatuować.

– Gdzie?

– W Chinach.

– Jasne.

– No... tam gdzie mieszkają Chińczycy. Jak to się nazywa? W Chinatown.

– No dobrze, a więc umiesz tatuować. I co z tego?

– Mogę zarobić na jedzenie. Robiłem tatuaże bogatym kobietom, sekretnie, w ich rezydencjach.

– Ty?

Cecil Mature wzruszył ramionami.

– Tatuowałem je na całym ciele. One leżały nago na łózkach, a ja tatuowałem. Miałem dziesięć lat.

Peter Lake zaczął widzieć Cecila w innym, nowym świetle.

– Co im tatuowałeś?

– Mapy, słowa po sanskrycku, Kartę Praw (przepisywałem z książek). Wytatuowałem pośladniki żonie burmistrza. Wa Fung powiedział, co mam robić, a potem razem z burmistrzem patrzyli zza zasłony. Na jednym pośladniku zrobiłem mapę Manhattanu, na drugim mapę Brooklynu. Zrobiła mu taki prezent na urodziny. Zapłacili Wu Fungowi pięćset dolarów, ale całą robotę wykonałem ja.

Peter Lake był pod wrażeniem wszechstronności Cecila. Pozwolił mu dołączyć do niego, ale pod warunkiem że w każdej chwili będą mogli się rozstać i że Cecil pozbędzie się wełnianej czapki. Weszli do sklepu z pasmanterią, żeby kupić mu chiński kapelusz – na pamiątkę Mootfowla, który nosił takie nakrycie głowy, i Wa Funga, którego Cecil czule wspominał. W sytuacjach publicznych Peter Lake mówił w sposób typowo irlandzki, niczym elektryzujący uliczny mówca. Do sprzedawcy zwrócił się z doskonałą wymową i wytworną ironią: – Mój tatuażysta i kucharz, mistrz kabaczków, pan Cecil Mature, życzy sobie nabyć chiński kapelusz. – Subiekt podał mu kapelusz, Cecil włożył go na głowę. Wyglądał zawadiacko.

Mieszkali na dachach i pod wieżami ciśnień, zrazu utrzymując się niemal wyłącznie z Cecilowego tatuowania. Gdy sprawy przycichły i śmierć Mootfowla zaczęła odchodzić w niepamięć, Peter Lake najmował się także do robót kowalskich, pod przybranymi nazwiskami bądź w ogóle nie podając nazwiska, i życie wydawało się coraz bardziej obiecujące. Pewnego późnego wieczoru, głodni jak wilki po całym dniu ciężkiej pracy, weszli do gospody, by napić się piwa i zjeść kolację złożoną z rostbefu, świeżo upieczonego chleba oraz warzyw. W gospodzie było jasno i głośno. W kominku buchał ogień, przy stołach siedziało co najmniej dwieście osób, gwar rozmów unosił się pod sufitem i opadał z powrotem na głowy jako jednostajny dudniący pomruk. Na stole wylądował zamówiony rostbef, apetyczny, skwierczący od soków. Peter Lake i Cecil zabierali się właśnie do jedzenia, gdy nagle w całej gospodzie zapadła cisza. Jeszcze przed chwilą było głośno jak w ulu, teraz jedynym dźwiękiem było ciurkanie rozpuszczającego się lodu w chłodni.

Do gospody wszedł Pearly Soames, spragniony rozrywki. Wyglądał jak ogromny, wspaniały, zjezony kot. Srebrny wąs, także broda i kocie bokobrody wyrastające z rumianych policzków przydawały mu hipnotycznej siły, wydawało się, że umiałyby poskromić kobrę. Promieniował energią i szelmowską pewnością siebie, jak gdyby w sercu grała mu marszowa orkiestra. Pearly uwielbiał, gdy na jego widok w gospodach zapadła cisza, sprawiało mu to wielką frajdę. Niedawno został przywódcą Krótkich Ogonów, po okrutnym i wyrachowanym zamordowaniu Mayhew Rottinela, okrutnego i wyrachowanego założyciela gangu. Do baru wszedł w otoczeniu swej odrażającej świty, niczym burmistrz Nowego Jorku. Rozejrzał się i spostrzegł Petera Lake'a i Cecila Mature'a nachylonych nad pieczenią. Jego wzrok błyskawicznie powędrował w stronę miecza wiszącego za pasem Petera.

– Umiesz się posługiwać tym mieczem? – spytał przez pół sali.

Było to tyleż pytanie, ile groźba, Peter Lake podniósł się więc z miejsca. Ludzie rozstąpili się, tworząc pustą ścieżkę między nimi dwoma.

– Tak, panie – odpowiedział.

– Naprawdę umiesz go używać?

Peter Lake skinął głową.

– No to użyj go! – krzyknął Pearly Soames i silnym, szybkim ruchem cisnął w niego jabłkiem.

Gdy jabłko zniknęło, Peter Lake stał w tej samej pozycji, co wcześniej. Wszystkim się zdawało, że nawet nie zdążył wyciągnąć miecza. Pearly Soames zaśmiał się szyderczo. Lecz wtedy kilka osób stojących za Peterem wystąpiło z tłumu i przyniosło Pearly'emu kawałki jabłka. Było rozcięte na zgrabne ćwiartki. Pearly stwierdził, że najpewniej roztrzaskało się, uderzając Petera w pierś. Peter Lake zaśmiał się i odparł, że nie, bynajmniej, rozciął je sam.

– Pokaż miecz.

Ostrze było czyste.

– Oczywiście – stwierdził Peter Lake. – Wytarłem je przed schowaniem do pochwy.

– Tak?

– Tak, o tutaj – pokazał Pearly’emu Soamesowi smugi na biodrze, w miejscu, gdzie wytarł miecz. Pearly zapłacił za ich rostbef i zafundował im mnóstwo piwa, ale wiedzieli, że mają kłopoty. Byli jednak w wieku, w którym trzeba się mocno starać, by nie mieć kłopotów.

Pearly Soames chciał ich mieć w swoim gangu. Zaprotestowali, że to zbyt niebezpieczne.

– Na pewno nie dla ciebie! – Pearly odpowiedział Peterowi komplementem, rzadkim w jego ustach. – Zresztą skoro ja wam to proponuję, niebezpiecznie byłoby odmówić.

Obaj młodzieńcy niewzruszenie pożerali pieczeń. Nagle w oczach Pearly’ego zabłyśły iskierki.

– Ja was znam – powiedział. – Tak, znam was. Wy jesteście ci dwaj, co wbili szpikulec w serce tej religijnej ofermie. – Przestali przeżuwać, wpatrzyli się w diamentowe oczy Pearly’ego. – Jak on się nazywał? Moocock? Barnfowl? Mootbull? Ach, prawda... Mootfowl! Zmyślna robótka, naprawdę zmyślna. Wszyscy pałkarze w mieście was szukają. A ty, tłuscioszku, dość mocno rzucasz się w oczy, nie sądzisz? No więc jak? Umowa stoi?

Tego wieczoru Peter Lake i Cecil Mature wstąpili do gangu Krótkich Ogonów.

Przez dziesięć z górą lat w Krótkich Ogonach Peter Lake wyuczył się wielu niekonwencjonalnych fachów. Coraz lepiej poznawał też miasto, choć wiedział, że jest zbyt olbrzymie i płynne, by je ogarnąć. Nieustannie się zmieniało – tak jak i on się zmieniał, imając się najróżniejszych zajęć w szeregach gangu, będącego żywą encyklopedią zbrodni. Nieustanne życie na krawędzi było dobrą szkołą. Peter umiał patrzeć na miasto pod wieloma różnymi kątami, jak gdyby okręzał wielki pryzmat i przyglądał się, jak rozszczepia się w nim światło. W czasie, gdy Pearly zwołał zebranie w „torebce herbaty” pod rzeką Harlem, pracował jako wejcha. Wcześniej był włamywaczem, wygadany naciągaczem, szulerem, złodziejem dzieł sztuki, dyspozytorem, inżynierem, reketierem, łącznikiem z policją, złodziejem portowym i piwnicznym. Bycie wejchą dawało stosunkowe nowe możliwości, była to wąska, dopiero niedawno wynaleziona specjalność.

Wejchowanie było skomplikowaną techniką rabowania ciężarówek i wozów. Szefem grupy był Dorado Canes, miał pod sobą dwunastu ludzi. Dwóch lub trzech chowało się w bramie lub zaułku i czekało, aż nadjedzie wóz. W odpowiednim momencie wejcha wyrastał jak spod ziemi, podbiegał do woźnicy lub kierowcy, podskakując i wrzeszcząc na całe gardło: „Wejcha wejcha wejcha! Wejcha wejcha wejcha! Wejcha wejcha wejcha!”. Gdy osłupiały kierowca zatrzymywał wóz, przyczajeni wspólnicy wyskakiwali z mroku i rabowali. Dobry wejcha potrafił podskoczyć w miejscu na cztery–pięć stóp. Umiał robić zeza, wykrzykiwać jeszcze inne rzeczy prócz „wejcha wejcha wejcha” oraz wydawać z siebie piskliwe ptasie powrzaskiwania. Zdębiały woźnica wpatrywał się w napastnika z otwartymi ustami i dopiero po dłuższej chwili zauważał, że wóz został opróżniony z połowy ładunku.

Jak każda profesja, wejchowanie miało rozmaite udoskonalenia. Skazany na tę robotę Dorado Canes (nazwał kiedyś Pearly’ego Soamesa synem dziwki, co ten zapewne mógłby mu wybaczyć, gdyby nie była to prawda) stale obmyślał nowe ulepszenia. Najpierw postanowił, że będzie skakał jeszcze wyżej, obwieszał się więc ciężarami i trenował skoki, czy też, jak to określał, „fikanie w górę i w dół”. Doszedł do tego, że obciążał się – na specjalnych pasach i uprzężach na ramionach – dwustu funtami wagi. Zmuszone do wysiłku mięśnie rozwinęły mu się tak bardzo, że Dorado Canes stał się żywą sprężyną. Potrafił podskoczyć w miejscu na dziesięć stóp – i był to widok oszałamiający. Później Peter Lake zmajstrował mu buty na stalowych sprężynach, dzięki czemu pułap skoków Dorado Canesa zwiększył się o kolejne pięć stóp. Już sam widok człowieka skaczącego piętnaście stóp w górę z dzikimi okrzykami „Wejcha

wejcha wejcha!” wystarczał, by zahipnotyzować woźnicę, lecz Dorado Canes na tym nie poprzestał. Sporządził sobie parę rozwijanych płóciennych skrzydeł – gdy rozłożył swe długie ramiona, skrzydła rozwijały się i pozwalały mu szybować przez krótką chwilę. Skakał równie dobrze w górę, jak i w dal, umiał więc przelecieć dobre trzydzieści stóp. Wkrótce odkrył, że dzięki nośnym skrzydłom, butom na sprężynach oraz potężnej sile i gibkości własnych nóg jest w stanie wskoczyć na trzecie piętro budynku. Gdy trochę poćwiczył, umiał już osiągnąć czwartego, a potem nawet piątego piętra. Cecil Mature, który był pod wielkim wrażeniem jego umiejętności, zwrócił uwagę, że skoro wozy mają wysokość najwyżej jednego piętra, Dorado Canes mógłby wskakiwać na budynki o kilka pięter wyżej, a potem zeskakiwać prosto na nie – innymi słowy, mógłby operować z dachów kamienic i magazynów. Dorado Canes uszył sobie jednocześnie kostium z lśniącego czarnego jedwabiu, ściśle zakrywający szyję i głowę, odsłaniający jedynie twarz. Przed każdym napadem nakładał sobie makijaż: twarz i ręce malował na pomarańczowo, oczodoły na białą, wargi powlekał purpurą. Skrzydła miał podszyte na żółto. Po wykonaniu zapierającego dech zadania zawsze podchodził do zbaraniałych woźniców czy kierowców i mówił:

– Jestem Vinic Totmule, czyli Wińczysław Kielonek. W imieniu duchowieństwa, burmistrza i szefa policji witam w naszym mieście. Nie dajcie sobie wcisnąć drewnianych miedziaków, nie zadawajcie się z grzesznymi kobietami, a jeśli w hotelu nie dadzą wam nocnika, nie sikajcie do zlewu.

Peter Lake uwielbiał wejchowanie, z przyjemnością pogodził się z życiem wielozadaniowego kryminalisty. Miał wiele do roboty, wiele do nauczenia się, zawsze też była szansa na duże łupy. Gdy przekroczył trzydziestkę, był już obeznany po równo z mechaniką, rzemiosłem złodziejskim oraz dziwnymi kunsztami Przymorzan, uwolnił się też od licznych radosnych trosk wieku młodzieńczego, że zauważał wspaniałe piękno miasta i umiał się nim cieszyć. Jedyne, czego pragnął, to obserwować mijanie pór roku, podziwiać piękne kobiety i uczestniczyć w wielkim, nieskończenie rozkosznym spektaklu miejskiego życia.

Wszystko to uległo zmianie w błotnistej krypcie pod kamienistym łożyskiem rzeki Harlem, gdy Pearly Soames zapowiedział, że trzeba będzie wyrznąć w pień Przymorzan, począwszy od kobiet i dzieci. Peter Lake wiedział, że jeśli spróbuje mu to wyperswadować, Pearly go zabije. Pozostawało jedynie ostrzec Humpstone’a Johna tuż przed atakiem; wiedział, że gangsterzy dostaną od Przymorzan srogie cięgi i nigdy już nawet nie spojrzą w stronę mokradła Bayonne i błoni Newark.

Jak pomyślał, tak zrobił. Gdy setka Krótkich Ogonów pod osłoną porannej mgły przyplęnęła po cichu na mokradła, leżąc płasko na dnie swych smukłych brązowych czółen, w przymorzańskich wioskach panowała cisza. Pewni łatwego łupu gangsterzy chwycili za broń, lecz raptem wokół nich zaroilo się od wrogów: Przymorzanie wynurzali się z wody, zsiniali z zimna po długim i cierpliwym oddychaniu przez trzciny, wyskakiwali z tuneli wykopanych w piachu, wyłaniali się z kęp tataraku; kilkudziesięciu przygalopowało na ciężkich perszeronach i quarterach, wzbijając fontanny mokrego piasku. Wojownicy dopadli gangsterów i zaczęli ich razić tak potężnymi ciosami, że aż drżało powietrze. Olbrzymie konie tratowały czółna, dosłownie rozbijały je na miazgę, aż woda zmieniała się w brązową breję. Kobiety i dzieci dźgały włóczniami co bardziej krzepkich przeciwników, ścięły maruderów, dobijały rannych. Krótkie Ogony, przerażone, próbowały uciec na głębszą wodę, lecz Przymorzanie dopędzali ich szybkimi czółnami lub na koniach, które galopowały po płycznach swobodnie jak na paradzie, ciągnąc za sobą rozkipiałe strugi piany i krwi.

Romeo Tan, Blacky Womble, Dorado Canes oraz dziewięćdziesięciu czterech innych

członków gangu zginęło w walce. Biedny, ledwie dwudziestoparoletni Cecil Mature pobiegł przed siebie na oślepie jak szaleniec, choć Peter Lake nalegał, by nie odstępował go na krok. Jeden z Przymorzan ruszył za nim w pościg konno z mieczem w dłoni – lecz wtedy Peter gwizdnął przenikliwie w znany tylko Przymorzanom sposób i miecznik zawrócił. Cecil Mature biegł jednak dalej, aż zniknął w ścianie chmur, przyciskając sobie do głowy chiński kapelusz. Ściana pochłonęła go – jak się zdawało – doszczętnie i nieodwoalnie.

Pearly Soames, który nawet w obliczu klęski nie tracił zimnej krwi, na chwilę przerwał walkę z kilkoma Przymorzanami (jego los również był zapisany z góry, Pearly nie miał zginąć z rąk zbieraczy małży i drobnych rybaków, bez względu na to, jak dobrymi byliby wojownikami) i zauważył efekt, jaki wywarło gwizdnięcie Petera. Gdyby nie ten świdrujący uszy sygnał, pewnie nawet nie zauważyłby, że Peter Lake ani nikogo nie atakuje, ani nie jest atakowany. Jako ostatni pozostały przy życiu członek gangu Pearly wyrąbał sobie drogę na głębszą wodę, rzucił się w szybki prąd wypływający z cieśniny Kill van Kull i uciekł.

Peter Lake z ciężkim sercem wrócił do miasta (brązowe urwiska budynków umiały ukoić i pocieszyć nawet tych, którzy grążyli się w rozpacz) i obserwował z ukrycia, jak Pearly Soames odbudowuje i reorganizuje swój gang. Wkrótce Krótkie Ogony na powrót urosły w siłę, znów liczyły setkę energicznych żołnierzy bez twarzy – nikiemnych, szalonych i stalowych jak epoka, która ich zrodziła.

Pozostawiwszy automobile daleko w tyle, biały koń frunął potężnymi, wysokimi susami, szybował w olśniewającym tańcu mięśni. Peter Lake był nawykły do skocznych rumaków, przymorzańskie konie potrafiły wielkimi skokami pokonywać płycizny – lecz ten koń nie był po prostu dobrym skoczkiem, lecz prawdziwym mistrzem o doskonałej orientacji. Nim zyskał wolność i napotkał na swej drodze Petera Lake'a, nie umiał tak biegać, przynajmniej niczego takiego sobie nie przypominał. Sękate białe kolana i gołębno wypięta pierś płonęły mu żywym ogniem. Z precyzją, którą mógł zawstydzić strzałę, pędził na południe śmiglej niż jakikolwiek koń wyścigowy. Jednym skokiem umiał przesadzić pół kwartału, a jego skoczność wciąż rosła. Gdy docierali do skrzyżowań, zablokowanych przez kręte kolumny wozów, po prostu przeskakiwał nad przeszkodami, nie wiedząc, co napotka po drugiej stronie – lecz tak doskonale nad sobą panował i tyle miał czasu podczas lotu, że potrafił wypatrzeć wolne miejsce do wylądowania, bezbłędnie poszybować w jego kierunku, a potem wznosić galop. Na jednej z zatłoczonych ulic w centrum zrobił coś, co wprawiło Petera w prawdziwe zdumienie. Tuż przed Canal Street cały kwartał stał w miejscu, doszczętnie zablokowany ruchem tranzytowym przez miasto. Ze stłumionym, jakby trwożnym rzeniem koń zaszarżował na unieruchomione zaprzęgi i ciężarówkę, po czym wyprysnął w powietrze nad głowami osłupiałego tłumu – przesadził całutki kwartał i samą Canal Street, i wylądował niemal na rogu Lispenard Street. Omal nie stracił przy tym równowagi, lecz nim dotarli do nagich, ośnieżonych drzew na skraju parku Battery, zdążył przywyknąć do takich skoków i wykonywał je z łatwością.

Peter Lake zsiadł na ziemię. Koń był onieśmielony, odwracał wzrok. Peter nigdy dotąd nie widział równie pięknego zwierzęcia. Koń miał łagodne czarne oczy, rozstawione szeroko na dużej białej głowie, miękki atlasowy nos różowo-beżowej barwy, wyraz pyska podobny do smutnego uśmiechu, szlachetny rysunek szyi oraz pierś wspanialszą niż u rumaków na pomnikach. Uszy miał wysokie, ruchliwe, smukłe, czujne, wyprostowane i kończyste; w galopie kładły się do tyłu i poruszały jak lotki, pomagając pokonać pęd powietrza. Dumnie wzniesionym ogonem machał w tył i w przód nad bokami podobnymi do wielkich białych jabłek.

– Kim ty jesteś? – spytał cicho Peter Lake. Koń zwrócił na niego wzrok i Peter ujrzał z drżeniem serca, że w jego oczach otwiera się nieskończona głębia, jakby tunel do innego

wszechświata. Swym milczeniem koń sugerował, że piękno jego łagodnych czarnych oczu zawiera w sobie wszystko, co było i kiedykolwiek będzie. Ponadto, jak każdy koń, był niepokalanie niewinny. Peter Lake dotknął jego miękkiego nosa i objął szeroką głowę. – Dobry koń – powiedział. Lecz nie wiedzieć czemu spokój zwierzęcia bardzo go zasmucił.

Ludzie, których spotykał na swej uciekinierskiej drodze, również byli uciekinierami: brnęli przez miasto pełne chciwości i ognia, miasto, które przytłaczało, odbierało dech, wyzuwało ich z sił swym bezprzykładnym ogromem. Przez z górą trzydzieści sierocych lat Peter Lake nie miał jednak okazji nauczyć się, że te skolatane dusze, które właściwie ledwie znał, często radziły sobie w ten sposób, że na krótki czas znajdowały sobie bratnią duszę i w ten sposób uciszały zamęt. Stojąc teraz wśród smaganych zimnym wiatrem drzew, spojrzął koniowi w oczy – i miasto zamarło, jak gdyby w ogóle nie istniało, jak gdyby stali samotnie pośrodku ogromnego, zaśnieżonego pola gdzieś na północy stanu. Peter miał nadzieję, że nie będzie musiał wiecznie uciekać, jak miliony innych, wiecznie miotanych pędem wydarzeń, odartych nawet z tkliwości własnych serc. Coś w oczach konia mówiło mu, że niedługo doświadczy przemiany. W tych czarnych studniach, które go pochłonęły, ujrzał coś – maleńki rozbłysk złota, za którym niegdyś podążał, nim został pokonany. Domyślił się, że w tym łagodnym końskim obliczu i głębokich czarnych oczach ujrzał po prostu wszystko.

Wyczerpani i zziębnięci, wyjechali z Battery i wrócili na ulicę. Peter postanowił, że ruszy przez East Side na północ; tam znajdzie nocne leże dla konia i kryjówkę dla siebie. To, że wiedział dokładnie, dokąd jechać i jak się tam dostać, zawdzięczał wieloletniej pracy w kowalskim zawodzie. Najlepsze schronienie znajdowało się na kolebkowej kopule nieba, nad rozjarzonymi gwiazdozbiorami. By się tam dostać, jechali jeszcze wiele mil przez zaśnieżone ulice, aż fioletowy wieczór zatańczył im w sennych oczach.

Wkrótce Peter Lake znalazł się w lesie srebrnych podpór i perforowanych metalicznych luków – i ułożył się wygodnie w tym bezlistnym gaju o nitowanych konarach, oświetlonych tu i ówdzie poblaskiem małych elektrycznych światełek z podłogi. Ta podłoga była wypukła jak ściana leżącej beczi, a sufit stanowiła stalowa kratownica. Wszystko to ogrzewały niemal widoczne strumienie powietrza, wznoszące się znad światełek, które oglądane z dołu były gwiazdami w konstelacjach wymalowanych niedawno na ogromnym zielonym sklepieniu dworca Grand Central – wedle zamysłu, by zamknąć rozgwieżdżone niebo wewnątrz dworca. Peter Lake jako jeden z niewielu ludzi wiedział, że ponad tym widocznym z hali dworca wszechświatem znajduje się jeszcze poddasze, sprytna i przytulna kryjówka dla tych, którzy nie kroczą twardo po ziemi, tylko nad nią szybują. Dzięki sile i zręczności wrócił do nieba, w którym kiedyś, w innym życiu, pomagał wykuwać spojenia między dźwigarami – i spoczął wśród filarów, na których wspierały się wzniosłe intencje projektanta. Sprawił sobie solidną platformę z dębowych desek, zaopatrzył się w miękkie pierzyny, w kącie umieścił prowizoryczną kuchnię (między belkami miał składzik konserw i sucharów), zgromadził stos technicznych książek do czytania w nocy, świecił sobie jedną z lampek wyjętą z podłogi (nikt z dołu nie zauważył jej braku), zaopatrzył się też w bęben z długą liną – element wyrafinowanego systemu ewakuacyjnego, godnego najlepszego i najbystrzejszego ucznia wielebego Mootfowla.

Wcześniej przez godzinę zgrzeblił i karmił konia w stajni -Royala Winda, przeznaczonej dla wysokiej klasy doróżkarskich koni. Royal Wind był synem plantatora z Wirginii, którego majątek skonfiskowano po wojnie secesyjnej. Był zgorzkniały, nadęty i prostolinijny, Peter Lake ufał, że go nie wyda. Biały rumak, który na Brooklynie nigdy nie zaznał takich luksusów, najadł się świeżego owsa, popił czystą wodą i został przykryty grubym kocem z czystego kaszmiru –

zarówka w jego boksie była zaś tak osłonięta, że nie świeciła mu w oczy.

Pościgi i potyczki męczą serce, trzeba je porządnie, głęboko odespać. Peter Lake planował, że przesiedzi pod sklepieniem, nigdzie nie wychodząc, dzień lub dwa; wiedział, że w wiekiustym półmroku nad nieboskłonem będzie mu się dobrze spało, gwar z dworcowej hali docierał tam jako nikły, daleki szum. Miał pod dostatkiem świeżego powietrza i wiedział, że nikt mu nie przeszkodzi. Gdy wreszcie zasnął, po niemal tygodniu nieustannych ucieczek w trzaskającym mrozie, spał przez całą noc, następny dzień i jeszcze jedną noc. Obudził się rankiem po trzydziestu sześciu godzinach snu; oddychał powoli i spokojnie, był zupełnie wypoczęty. Odzyskawszy siły, poczuł, że jest głodny jak wilk, przyrządził więc sobie znakomitą zupę rybną, złożoną z rozmaitych ryb z puszek, pomidorów, wina, oliwy i potężnej butli wody źródlanej Saratoga. Potem wykąpał się, ogolił i zmienił ubranie – i wreszcie, niczym Bóg w niebiosach lub Ralph Waldo Emerson w swojej pracowni, usiadł i zamyślił się, co robić dalej.

„Mam wybornego konia – myślał – którego pokochałem za jego oczy i łagodny wyraz pyska. Koń umie skakać na długość kwartału, z pewnością zdoła wywieźć mnie daleko w gęstą sosnową puszcę, w Hudson Highlands lub na plażę Montauk, gdzie nigdy nie postanie stopa Pearly’ego. Tam mógłbym odpocząć. Ale gdy wrócę, wszystko zacznie się od nowa. Zresztą już odpocząłem. Więc jednak zostanę. Ale zostać znaczy tyle co uciekać, bo ciągle muszę się ukrywać: albo na mokradłach, albo po strychach i piwnicach. Więc co za różnica? Zupełnie jakbym był w Highlands lub w puszczy, tyle że w miniaturze. Nie ma wyjścia z tej sytuacji, chyba że stanę się kimś innym. Może powinienem mocno zmienić wygląd: nie na tyle, by mnie nie rozpoznali (prędzej czy później i tak mnie rozpoznają), ale żeby chociaż dali mi spokój. Gdybym na przykład został zakonnicą? Uznaliby, że już po mnie. A gdybym został zbieraczem popiołu lub stracił nogi, lub odkrył jakieś powołanie na tyle silne, że zagubiłbym się w nim bardziej niż w puszczy...?”

Mówią, że gdy święty Szczepan odkrył w sobie pobożne powołanie, umiał zmieniać postać na oczach widzów, unieść się do góry, przemieniać się w różne rzeczy, znał przeszłość i przyszłość, wędrował między różnymi czasami – choć przecież był prostym człowiekiem. I właśnie dlatego (pomyślał Peter, podnosząc wzrok, i odchrząknął) go spalono.

Nie, nie jestem świętym Szczepanem, ale jeśli mocno skupię się na czymś, co nie jest mną, może uda mi się w to przemienić. Mootfowl mówił, że ludzie, którzy zbudowali most, doznają przemiany. Czy miał na myśli to samo co ja? Mówił, że miasto również przemienia ludzi – a przecież, do licha, Mootfowl nie zawracał sobie głowy drobnostkami. A gdybym został mnichem? Zamurowałoby ich ze zdziwienia! No ale potem by mnie zabili. A może zostanę miejskim radnym lub kimś w tym rodzaju? Wtedy na pewno by mnie zabili, bo inaczej musieliby mi płacić. A może tancerzem w teatrze? O Jezu, tego nigdy w życiu bym nie zrobił. A gdybym zaszył się gdzieś... jako pustelnik, nie, jako ślepiec? Nie widziałbym ich, za to oni widzieliby mnie. Może dałoby się zmienić w zwierzę? Nie, to niemożliwe. A niewidzialność? Uczeni na pewno już wynaleźli jakiś preparat...

Raptem zastygł bez ruchu niczym jeleń, który usłyszał trzask gałęzi w leśnej głuszy. Lata spędzone w ukryciu wyostrzyły mu zmysły: gdzieś pod nim rozległ się ledwie słyszalny tupot szybkich kroków. Miały w sobie chciwy, pościgowy rytm. Peter spojrzął przez jedną z gwiazd na lśniąca marmurową posadzkę dworca sto stóp poniżej i ujrzał kolumnę ludzi, która rozdzieliła się niczym wojskowe konie na capstrzyku – i dwoma ciągami schodów ruszyła w górę, w stronę gwiazdozbiorów.

– Zdechłe Króliki! – powiedział. – Nie kto inny. Ale czemu oni?

Otworzył właz, którego w ciągu kilkadziesiąt lat użyto tylko raz, przy budowie

rusztowania, z którego malarz odświeżał znaki zodiaku na sklepieniu. Chwycił koniec liny i zaczął się spuszczać. Lina pomału odwijala się z bębna, a on cichutko opadał w głąb otchłannej hali pod gwiazdami. Bał się, że nie starczy mu czasu – i nie mylił się: dotarł bez trudu tylko do połowy wysokości, potem lina zaczęła zwalniać, a wreszcie znieruchomiała. Peter zadyndał bezwładnie wysoko nad posadzką. Pod nim przepływały tysiączne tłumy, lecz nikt go nie zauważał.

Nie mógł zeskoczyć. Z tej wysokości roztrzaskałby się o marmurową posadzkę jak jajko. Pomyślał, że może zdołałby rozhuścić linę i chwycić się któregoś z gzymsów. W tej chwili jednak Zdechłe Króliki znalazły korbę poruszającą bęben i Peter ruszył do góry. – Zdechłe Króliki – powiedział. – Zdechłe Króliki. Co za nazwa.

Na chwilę przed dotarciem do wjazdu (przez który wpatrywało się weń dwunastu członków gangu) włożył rękę do wnętrza gwiazdy, chwycił się krawędzi i jak mała śmigła z niej na drugą gwiazdę. Choć utrzymać się na nich było omal niemożliwością, skakał tak na rękach wzdłuż rogu Byka, zamierzając dotrzeć do drugiego wjazdu, otworzyć go kopniakiem i uciec. Drugi wjazd jednak również się otworzył i pojawiła się w nim grupa Zdech-łych Królików.

Opuścił nogę. Spojrzał w dół. Posadzka była przeraźliwie daleko. Trzy palce, na których się trzymał, zaczęły słabnąć, aż w końcu puściły – ześliznęły się po krawędzi i Peter Lake krzyknął, bo poczuł, że spada. Jeden z gangsterów wyciągnął jednak rękę przez wjazd i w ostatniej chwili chwycił go za nadgarstek. Był silny, wciągnął go do środka jednym ruchem.

Peter Lake sądził, że zaraz go zabiją. Z trudem łapał oddech, zdołał jednak wydyszeć:

– Czemuście nie pozwolili mi spaść? Czy Pearly chce mnie żywego? Czemu właśnie wy?

– Nie chcemy ci zrobić nic złego – odezwał się jeden z gangsterów. – Chcemy tylko porozmawiać.

Peter Lake zamknął oczy z ulgą i odrazą.

– Powiedz mi więc, Zdechły Króliku, niby o czym chcesz się ze mną rozmówić?

– Słyszeliśmy, że masz takiego jednego konia. Ludzie mówią, że on umie latać.

– Tak mówią?

– Tak. Zaklinają się, że widzieli, jak leci. Całe miasto o tym gada. Chcemy kupić od ciebie tego konia – za dobrą cenę – i sprzedać do cyrku.

– Wy durne łajdaki, ten koń wcale nie lata.

– Wszyscy mówią, że lata.

– Umie skakać, to wszystko.

– Daleko?

– Na kwartał, może dwa.

– Dwa kwartały!

– Może.

– Kupimy go, Peterze Lake, i wystawimy do zawodów.

– Nie – odparł Peter. – Nic nie rozumiecie. On nie będzie skakał dla pieniędzy. On skacze dlatego, że to lubi, albo z jakiegoś innego powodu, ale na pewno nie będzie skakał dla pieniędzy, jeśli wiecie, co mam na myśli. To znaczy nie będzie skakał beze mnie, a ja nie mam zamiaru... Zresztą on nie jest na sprzedaż.

– Damy ci dziesięć tysięcy dolarów.

– Nie.

– Dwadzieścia tysięcy.

– Nie.

Zdechłe Króliki spojrzały na swego przywódcę, stojącego gdzieś z tyłu, między dźwigarami.

- Pięćdziesiąt tysięcy – powiedział przywódca.
- Głusi jesteście? On nie jest na sprzedaż.
- Siedemdziesiąt pięć i ani centa więcej!
- Nie.
- Osiemdziesiąt.
- Nie sprzedam.
- No dobra, sto tysięcy. Więcej nie możemy.
- Figę z makiem – odparł Peter Lake. – Nie sprzedałbym go nawet za milion.

Gdy Zdechłe Króliki przekonały się w końcu, że Peter nie zamierza rozstać się z koniem, ruszyły posępnie w dół po kamiennych schodach. W tej samej chwili Peter Lake stwierdził, że ma już dość bycia ściganym i życia w ukryciu.

– Kończę z tym – powiedział do siebie, z determinacją zaciskając wargi. – Zrobię wszystko, żeby z tym skończyć. Mogę nawet gryźć gwoździe! – krzyknął, a potem dodał cichutko: – Jeśli będzie trzeba.

Ostatecznie postanowił, że nie będzie gryzł gwoździ, tylko nakradnie po prostu dość pieniędzy, by móc spróbować zostać kimś innym – i może lepszym – niż jest teraz. Czuł się dostatecznie silny, by to osiągnąć. Wziął sobie do serca nie tylko lekcję świętego Szczepana, ale też przykład Mootfowła, który przez całe życie pracował zażarcie, by przeobrazić i przekroczyć samego siebie. Nie udało mu się to – lecz być może, wpatrując się w czerwone bloki płynnej, rozżarzonej stali, zdołał kiedyś zobaczyć to samo, co Peter Lake w oczach białego konia.

Peter wdrapał się po żelaznej drabinie na zewnętrzny dach. Leżała tam głęboka do kolan warstwa śniegu. Prawdziwe gwiazdy jaśniały niczym dalekie białe flary, zawstydzając swoje imitacje na dworcowym suficie; były ognistymi wiatraczkami, krągłymi, fosforyzującymi spiralami światła. Peter Lake nachylił się w stronę wiatru. Wszędzie dokoła wisiały migotliwe łańcuchy wirującego śniegu, zamarłe w swym ruchu, jakby wstrzymane przez gwiazdy. Głęboko we wnętrzu tych lśniących napowietrznych tuneli ruch i bezruch stykały się i stapiały ze sobą. Wiatr wyjący wśród załomów dworcowego dachu zmieniał śnieg w biały opar i obracał nim pod postacią spłaszczonych wirów. Widziane z daleka pulsujące światła miasta były niczym gwiazdy, a odległe aleje i kłębiące się wysoko obłoki pary były gwiazdnymi szlakami.

– Tyle już widziałem – powiedział do siebie Peter Lake – a nie widziałem nic. Miasto jest jak silnik. Silnik, który właśnie zaczyna się wypalać.

Słyszał to. Nieustający ryk miasta, podobny do grzmotu, do ryku rozhukanych fal, współgrał ze światłami. I nie mógł nie służyć niczemu.

BEVERLY

Isaac Penn, wydawca dziennika „The Sun”, wybudował sobie dom pośród pustych działek i pól w dzielnicy Upper West Side, mieszkał więc na odludziu, z widokiem na zalew w Central Parku.

– Nie mam zamiaru – mawiał – gnieździć się wśród gamoni na Fifth Avenue. Urodziłem się w małej chatce w Hudson, niedaleko nabrzeży. Było tam głośno przez okrągłą dobę, nawet zanim jeszcze poprowadzili tamtędy kolej. Do tego wszędzie biegały świny. Chociaż, jeśli się nad tym zastanowić, w Nowym Jorku też biegają, tyle że ubrane w kamizelki. Tam właśnie mieszkaliśmy. Byliśmy biedni. Pamiętam, że wszyscy, którzy tam mieszkali, gnieździli się na kupie jak cygara w paczce. Większość z nich to byli gamonie, których przez całe życie nie stać było na jedną sensowną myśl, więc trzymali się razem, żeby to ukryć. Podoba mi się mój dom – powtarzał. – Stoi samotnie, mam dużo świeżego powietrza. Moje dzieci też lubią ten dom. To ich słucham, a nie filantropki w rodzaju pani Astor, i ona o tym wie.

Isaac Penn był szorstki, bezceremonialny, potężny, bogaty, mądry i stary, optometrysta przeraził się więc, gdy został przezeń przywitany osobiście na progu jego domu. Wchodząc do środka, czuł się jak dziecko, które wyobraża sobie, że za chwilę pożre je ogromne, nieprzyjazne zwierzę mieszkające w mroku. Co więcej, nie mógł zrozumieć, dlaczego właściwie został wezwany ze swym ekwipunkiem do domu Pennów. Miał wielu bogatych klientów, lecz wszyscy oni przychodzili osobiście do jego pracowni. Zdumiał się także, widząc, że Isaac Penn nie nosi okularów – wydało mu się to niezwykle u starego człowieka, który w swym życiu zawodowym stale obcował z zadrukowanymi drobnym maczkiem plachtami papieru.

– A zatem, jak mi się zdaje, nie przyjechaliśmy do pana – rzekł optometrysta do Isaaca Penna, gdy ten zasiadł w ogromnym skórzanym fotelu. Jego głos z trudem przebijał się przez dźwięki fortepianu dochodzące z sąsiedniego pokoju.

– Co? – spytał Isaac Penn.

– Nie przyjechaliśmy, jak mi się zdaje, do pana.

– Jacy: wy? – spytał Isaac Penn, rozglądając się po pokoju.

– Pan nie potrzebuje okularów, prawda?

– Nie – odparł Isaac Penn, wciąż jeszcze zastanawiając się, czy optometrysta nie przyjechał z asystentem. – Nigdy nie potrzebowałem. Dorastałem, wypatrując wielorybów. Do tego nie używa się okularów.

– Czy zatem to pańska żona potrzebuje okularów, panie Penn?

– Moja żona nie żyje – odparł Isaac Penn. Optometrysta umilkł, niezdolny wydusić z siebie choćby słowa kondolencji. Ogarnął go paniczny lęk: nie wiedzieć czemu wydało mu się, że Isaac Penn uważa go za grabarza.

– Jestem optometrystą – wykrztusił przeprasząco.

– Wiem o tym – odparł Isaac Penn. – Proszę się nie martwić, mam dla pana robotę. Chcę, żeby zrobił pan okulary dla mojej córki. To ona – wskazał na drzwi, zza których dobiegała muzyka. – Niedługo skończy grać. Za pół godziny, najwyżej za godzinę. Ładne, prawda? To Mozart.

Optometrysta pomyślał o swoim zmarzniętym koniu zaprzężonym do powozu. Pomyślał o stygnącym obiedzie. Pomyślał o swej sponiewieranej godności (był przecież profesjonalistą). I rzekł:

– Czy nie sądzi pan, panie Penn, że powinniśmy powiadomić ją, że przyjechałem zrobić

jej okulary? Nie byłoby to rozsądne?

– Nie wydaje mi się – odparł Isaac Penn. – Po co jej przerywać? Niech gra. Kiedy skończy, dopasuje jej pan okulary. Ma pan swoje rzeczy? Mam nadzieję, że tak. Okulary będą jej potrzebne dziś wieczorem. Dziś rano brat usiadł na tych, które miała do tej pory, a była to jej jedyna para. Ona ma długie rzęsy, niespotykane długie. Szurają jej od środka po szklach. Przeszkadza jej to. Czy może pan zainstalować soczewki na tyle daleko, by nie szurała po nich rzęsami? – Optometrysta skinął głową. – Świetnie – powiedział Isaac Penn, po czym rozparł się na fotelu i zaszłuchał w miękkie dźwięki sonaty. Jego córka była wspaniałą pianistką, na jego ucho grała niemal bezbłędnie.

Muzyka płynęła, a optometrysta wyjmował swoje instrumenty i plansze do badania wzroku. Gdy skończył, usiadł i zaszłuchał się; wstrzymał oddech i zastanawiał się, czemu człowiek pokroju Isaaca Penna jest tak pobłażliwy wobec córki. Optometrysta właściwie się jej bał – choć sam nie wiedział dlaczego. Pociły mu się ręce. Lękał się chwili, w której córka pana Penna skończy grać, wkroczy do pokoju niczym księżniczka i podejdzie do niego, prostego szlifierza szkieł.

Raptem otworzyły się z hukiem frontowe drzwi. Dwaj młodzi chłopcy wbiegli po schodach i zniknęli, zanim jeszcze szyby w oknach przestały drżeć wskutek ich najścia. Isaac Penn skwitował to krótkim uśmiechem i podszedł do biurka w kącie, na którym leżał stos świeżych numerów „The Sun”. Z pobliskiej kuchni dochodził szcęk talerzy i zapach pieczonych kurczaków. W kominkach płonął ogień, powietrze napełniało się słodkim zimowym zapachem żywicy i wiśniowego drewna. Fortepian wciąż grał. Ciemność gęstniała. W końcu wieczór i noc na dobre otoczyły dom, zagościły też w środku, w głębokich cieniach rzucanych przez lampy.

Gdy fortepian umilkł, optometrysta przełknął ślinę. Usłyszał stuknięcie zamykanej nakrywy. A potem w drzwiach stanęła młoda kobieta, wyraźnie zarumieniona, wpatrzona pogodnym wzrokiem w pokryte szronem okna. Oddychała ciężko, jak gdyby miała gorączkę, wyraz jej twarzy wskazywał zaś, że jest w stanie przyjemnego zamroczenia. Jej złote włosy tak jasno lśniły w świetle padającym zza pleców, że zdawały się płonąć niczym słońce. Dziewczyna chwyciła futrynę, najpierw jedną dłonią, potem drugą, zapewne po to, by się podeprzeć, a także dać do zrozumienia, że nie chce przeszkadzać dwóm mężczyznom siedzącym w gościnnym saloniku. Na pozór była pełna rewerencji, lecz widać było też, że nie musi jej nikomu okazywać. Optometrysta stwierdził w myślach, że jej sukienka jest nazbyt zmysłowa i ponętna jak dla dziewczyny niebędącej jeszcze do końca kobietą, salonowej córeczki, pianistki, dziewczyny z gorączką stojącej przed ojcem. Koronka, bez której sukienka byłaby wręcz skandaliczna, unosiła się w rytm ciężkiego oddechu – hipnotyzująco, nazbyt szybko, niespokojnie. Dziewczyna miała spokojne błękitne oczy, lecz była tak zmęczona od grania, że aż drżała, trzymała się futryny również po to, by to drżenie powstrzymać.

Isaac Penn szybko i z galanterią przyprowadził ją do fotela.

– Beverly – rzekł – ten człowiek przyjechał zrobić ci nowe okulary.

Tymczasem na zewnątrz nagle zerwał się ostry wichur – przygnał niewstrzymany z północy, właściwie od samego bieguna, ponieważ cała przestrzeń między biegunem a Nowym Jorkiem była biała od nawianego śniegu. W mroźne noce pełne gwiazd, gdy księżyc sprzymierzał się ze śniegiem, Beverly zastanawiała się czasem, czemu białe niedźwiedzie nie przyplływają w jego w srebrnym świetle aż do miasta, czemu nie polują skrycie z rzecznych kier. Drzewa, choć sztywne od mrozu, zginały się na wietrze, niektóre stukały nawet i skrobały rozpaczliwie w okienne szyby. Gdyby utrzymać w wodach Hudsonu otwarty kanał żeglugowy, małe, dziarsko oświetlone łodzie mogłyby teraz śmigać prosto na południe, niemal leciałyby

w powietrzu, niesione nagłym zimowym pędem. Beverly pomyślała sobie, jakie by to było dziwne i cudowne, gdyby ziemia została wybita ze swej orbity i ciśnięta w daleką, czarną przestrzeń, gdzie panuje niewyobrażalny ziąb, słońce widoczne jest jedynie jako daleka, chłodna tarcza, mniejsza nawet niż księżyc w kwadrze, i trwa wiekuista noc. Co by się stało z przemyślem – myślała – gdyby każde drzewo, każdą bryłę węgla, każdą szczapę drewna zużywano na opał i oświetlenie? Morza skułby lód, ale ludzie i tak wyprawialiby się w ciemność i przebijali szkliste tafle w poszukiwaniu zamrożonych ryb. Koniec końców i tak wszystkie zwierzęta zostałyby zjedzone, z ich skór i wełny uszyto by okrycia, spalono by cały węgiel, nie ocalałoby nawet jedno drzewo. Na całej ziemi zapanowałaby cisza, ponieważ ucichłby wiatr, morza przeobraziłyby się zaś w grube szkło. Ludzie pomarliby spokojnie, zagrzebani w swych futrach i puchach.

– Pański koń – powiedziała do optometrysty – zamarznie na śmierć, jeśli zostanie na zewnątrz.

– Tak. Cieszę się, że mi pani o tym przypomniała. Muszę się tym zająć.

– Mamy stajnię – powiedziała Beverly dość chłodnym tonem.

– Czemu mi pan nie powiedział, że przyjechał własną bryczką? – skarcił go Isaac Penn i wyszedł zająć się koniem.

Zostali sami. Beverly nie chciała, by gość się jej bał, było jej przykro, że jest taki przestraszony.

– Niech pan mi już zmierzy te oczy – powiedziała. – Jestem zmęczona.

– Zaczekam, aż wróci pani ojciec.

Optometrysta wolał się do niej nie zbliżać. Nie żeby bał się jej choroby – uważał raczej, że będzie rzeczą niestosowną znaleźć się tak blisko młodej kobiety płonącej gorączką, czuć żar bijący z jej nagich ramion i szyi, czuć jej oddech oraz słodką woń, która na pewno unosi się, wzniecona gorączką, z jej koronkowej sukienki.

– Nie musi pan – powiedziała, na chwilę zamykając oczy. – Może pan zacząć teraz. Jeśli uważa pan, że to niestosowne, to nie wiem, co panu na to powiedzieć... Niech pan po prostu robi swoje.

Wszystkie instrumenty były gotowe, optometrysta przystąpił więc do pracy. Zbliżywszy się do Beverly, oddychał przez nos, był spięty i milczący jak ścigany owad. Ona wręcz przeciwnie, z powodu gorączki oddychała przez usta, pospiesznie. Miała słodki oddech. Optometrysta uwijał się skrętnie, ostrożnie manipulował liniałami z kości słoniowej, hebanowymi płytkami oraz soczewkami, które spoczywały w rządku w jego walizeczce w oczekiwaniu na wielką chwilę – czyli gdy zacznie po kolei wyjmować je i wkładać z powrotem, intonując swój rytualny zaśpiew:

– Lepiej tak czy tak? Tak czy tak? Tak czy tak?

„Ileż tysięcy razy dziennie on musi to powtarzać? – pomyślała Beverly. Tak czy tak, tak czy tak? To były *jego* słowa, jego własne. Na pewno kręci mu się od nich w głowie.”

„Jest piękna”, pomyślał optometrysta. Rzeczywiście była. Wyglądała jak w pełni dojrzała kobieta i tak też się nosiła, miała jednak wszystkie wspaniałe, oczywiste atrybuty młodości. Optometrysta pragnął jej, lękał się i zazdrościł zarazem. Miała doskonałą powierzchowność, była bogata i młoda. A ponieważ dla niego samego życie było nieustanną walką z licznymi fizycznymi niedoskonałościami, Beverly wydawała mu się obdarzona i pobłogosławiona przez naturę ponad wszelką miarę – choć wiedział, że choruje na gruźlicę i ma w sobie mądrość właściwą ludziom umierającym powoli. Gorączka i zamroczenie wprawiały ją w stan nieustannego uniesienia. Nawet opium nie zrobiłoby tego lepiej. Długie ataki gorączki, ciągnące

się miesiącami i latami, były powolnym, lecz godnym sposobem umierania, choćby dlatego że śmierć potrzebowała wiele czasu, by pokonać ofiarę.

Pokój był wypełniony ruchem emanującym z niej w tanecznym półkrygu. Ogień chybotął się i płożył w kominku jak oszalały, okna drżały w rytm oddechów domu, a drzewa co jakiś czas drapały po szybach jak psy w wejściowe drzwi. Beverly widziała, jak zima krąży po pokoju, niesiona światłem, jak bije od białych promieni, poblasków, od srebrnych krzyżyków w optycznych szkiełkach, jak odbija się od okien, mknie w stronę ognia i ku niebieskiej sferze jej własnego oka. Widziała pokój jako pajęczynę ruchu, symfonię cząsteczek tańczących figlarnie niczym łagodne, gładkie nuty wybornego koncertu. Jeśli aż tyle dostrzegała w chwili, gdy nerwowo rzemieślnik wymieniał jej soczewki w próbnym okularach, to cóż mogło ukazać się jej oczom, gdy gorączka stanie się trudna do zniesienia? To nie miało znaczenia. Teraz liczyły się tylko niepojęte odpryski światła, szukające jej w pośpiechu, jak gdyby były dworzanami na jej usługach.

– Koń już jest w stajni – oznajmił Isaac Penn, wchodząc do salonu. – Czy przynieść coś panu z powozu? Mogę kazać...

– Jeszcze chwileczkę, panie Penn – rzekł optometrysta. – Tak czy tak? Tak czy tak? Tak czy tak? – powtórzył po raz ostatni i oparł się na krzesło, z ulgą i rozczarowaniem, po czym oświadczył, że Beverly ma doskonały wzrok i okulary są jej zupełnie niepotrzebne.

– Nosila okulary, od kiedy była małą dziewczynką – powiedział Isaac Penn.

– Cóż mogę na to powiedzieć? Teraz ich nie potrzebuje.

– Dobrze. Proszę mi przysłać rachunek.

– Za co? Przecież nie zrobiłem okularów.

– Za to, że przyjechał pan tutaj w taki wieczór.

– Nie wiem, jak to policzyć.

– Moja córka widzi dobrze, tak?

– Widzi doskonale.

– No to proszę policzyć za jedną parę doskonałych okularów.

Gdy zadzwieczał dzwonek, wszyscy domownicy zaczęli gromadzić się w jadalni, optometrysta wycofał się więc w stronę drzwi, gnąc się w ukłonach, i wyszedł w zimną grudniową noc.

Kolacje u Pennów były o tyle niezwykle, że służący siedzieli przy jednym stole z państwem. Isaac Penn nie był arystokratą. Dorastał pod pokładem wielorybniczego kutra i nigdy mu się nie podobało, że oficerowie i marynarze jadają w osobnych mesach. Teraz zachęcał też swoje dzieci (Beverly, nim dorosła i zachorowała, Harry'ego, Jacka oraz Willę, zaledwie trzyletnie dzieciątko), by zapraszali do stołu swych przyjaciół.

– Wszyscy jesteśmy jednym społeczeństwem – mawiał. – Poza domem pracujemy, ale tu wszyscy są równi, wszyscy są mile widziani i wszyscy muszą umyć ręce, zanim siądą do stołu.

Tego wieczoru, gdy zimny wiatr targał parkowymi krzewami, gwiazdy wędrowały po niebie po swych sławnych i niezmiennych szlakach, a w sąsiednim pokoju pianola wygrywała popularne walce, zresztą ku rozgoryczeniu Beverly (lubiła popularne walce, ale była zazdrosna o pianole), wszyscy Pennowie (czyli Isaac, Beverly, Harry, Jack i Willa), ich przyjaciele (czyli jasnowłosa Bridgett Lavelle, Jamie Absonord oraz Chester Satin) oraz służący (czyli Jayga, Jim, Leonora, Denura i Lionel), zebrali się w wielkiej jadalni na codzienną nieformalną kolację. Ogień płonął w dwóch kominkach, a stół zastawiony był błyszczącą porcelaną i kryształami, szeregiem identycznie upieczonych i związanych kurczaków, misami ze świeżą sałatką, wazami ziemniaków w bulionie z Nantucket oraz przyprawami, wodą sodową, sucharami i winem.

Chester Satin miał przylizane włosy. Podobnie jak Harry'ego Penna, dręczył go lęk i poczucie winy, co zresztą było po nich widać. Po południu obaj z Harrym uciekli ze szkoły i wybrali się do śródmieścia na występ Caradelby tańczącej półnago jako hiszpańska Cyganka. Ponieważ zaś Chester Satin miał skłonność do czynów śmiałych i nieprzyzwoitych, kupił stosik pornograficznych pocztówek. Spoczywały one teraz pod deskami podłogi w pokoju Harry'ego, dokładnie nad jadalnią. Harry Penn i Chester Satin czuli się tak, jakby zdjęcia miały za chwilę przepalić się przez podłogę i okryć ich wiecznym wstydem. Przed oczyma wciąż mieli lubieżne kobiety, sfotografowane w różnym stopniu roznegliżowania – z beztrosko rozchyłonymi turniurami i gorsetami, obnażonymi nogami poniżej kolan i ramionami poniżej łokci, twarzami, szyjami, a także (w jednym przypadku) biustem. Te upadłe kobiety przekroczyły wszelkie możliwe granice przyzwoitości i choć miały na sobie tyle bielizny, że polarnik spociłby się w niej na arktycznym mrozie, obaj chłopcy z przerażeniem wyobrażali sobie, co by było, gdyby te sprośne fotografie spadły przez sufit prosto w ręce Isaaca Penna. Przez całą kolację zachowywali się jak przestępcy po usłyszeniu wyroku.

Jack, który chciał być inżynierem, odrabiał szkolne zadania (było to dozwolone, dzieci mogły czytać przy stole), jasnowłosa Bridgett Lavelle wpatrywała się w niego, Jamie Absonord opychała się kurczakiem, jak gdyby przyszła tylko po to, by zjeść wszystkie kurczaki świata, Beverly objadała się jak niedźwiedź. Była szczupła, ale pożywienie spalało się w jej organizmie szybciej niż polana w kominku. Pozostałe dzieci jeszcze rosły, cały dzień spędziły zaś na mrozie, kurczaki ze zdumiewającą szybkością przeistoczyły się więc w stopy śnieżnobiałych kosteczek, ziemniaki zniknęły bez śladu, a wino wyparowało z butelek, jak gdyby przy stole siedział czarodziej. Potem z pater zaczęły znikać owoce, błyskawicznie rozpląnęły się w nicość wszystkie ciasta. Pianola nieustannie wygrywała swoje lekkie walce. W pewnej chwili zacięła się rolka, Beverly poszła więc ją nastawić. Gdy wróciła, Isaac Penn siedział z garścią fotografii w ręku i wpatrywał się w nie surowo. Obaj winowajcy z jękiem kulili się przy stole, a w suficie ziała wielka dziura.

– Urodziwe kobiety – powiedział ojciec do Beverly. – Ale żadna nie dorasta do pięt twojej matce.

Przed pójściem spać Beverly rozebrała się i przyjrzała się sobie w wielkim lustrze. Była piękniejsza niż wszystkie kobiety na fotografiach Harry'ego, o wiele piękniejsza. Marzyła o tym, by pójść do Mouquin na tańce – szybowałyby nad ziemią, płynęła w rytm muzyki, wydobyłyby ze swego ciała to, co w nim najpiękniejsze. Marzyła o mężczyźnie, chciała być rozebrana i obejmowana. Zaczęła wirować po wyimaginowanej marmurowej posadzce, do muzyki grającej jej w głowie; z braku mężczyzny objęła się sama. Potem zaczęła ubierać się do snu. Było to zajęcie znacznie praktyczniejsze, spała bowiem na dachu, a panował tam okrutny ziąb. Lecz mimo zimna, a może właśnie za jego przyczyną, dane jej było widzieć rzeczy, które inni określiliby zapewne jako sny, pragnienia, cuda.

Ogień i ciasne pomieszczenia były dla Beverly Penn jak wyrok śmierci. Gdy świeże powietrze przestawało owiewać jej twarz, nie mogła oddychać. Był to zarazem narzucony jej reżim, jak i własna skłonność oraz jedyny warunek ratunku: przebywać poza domem. I tak właśnie robiła, nie licząc trzech, czterech godzin w ciągu dnia, gdy się kąpała, grała na fortepianie i siedziała z rodziną przy stole. Cały pozostały czas spędzała w namiocie na specjalnej platformie, którą ojciec kazał dla niej zbudować na kalenicowym dachu. Tam spała, tam spędzała dni, czytając bądź po prostu obserwując miasto, chmury, ptaki, łodzie na rzece, wozy i samochody na ulicach.

Zimą zwykle nikt jej nie towarzyszył, niewielu ludzi wytrzymało długo na

trzaskającym mrozie, gdy północny wiatr chlustał w nich jak lodowaty wodospad. Beverly nie tylko była do tego przyzwyczajona, wręcz nie umiała inaczej żyć. Twarz i ręce zwykle miała opalone, nawet w styczniu. Mimo swej kruchości i choroby była uodporniona na niełaskawą pogodę niczym nowofundlandzcy rybacy – ten ironiczny fakt objawiał się zaś w pełni wówczas, gdy zdrowi goście zmieniali się w sople lodu, a ona nic sobie z zimna nie robiła, jak gdyby siedziała w kwitnym wiosennym ogrodzie. Goście nie byli tak zahartowani jak ona. Nie mieli też takich okryć, płaszczy i kapturów, nie wspominając o rękawicach, kołdrach i śpiworach, kunsztownie uszytych z wełny, skóry i miękkich czarnych soboli. Beverly miała eskimoską puchową kurtkę z sobolowego futra, bodaj najlepsze na świecie odzienie na mróz: była ona lekka i wygodna, elastyczna, sucha i nigdy się w niej nie marzło. Futrzany kaptur okalający jej twarz wyglądał jak czarne słońce. Zęby Beverly były na jego tle tak białe, że gdy się czasem nagle uśmiechnęła, wyglądało to tak, jakby zapaliła światło.

Bez względu na porę roku wspinała się zatem na najwyższe piętro domu, odpoczywając na każdym półpiętrze, aż docierała do specjalnej klatki schodowej prowadzącej do niewielkich drzwi. Za tymi drzwiami znajdował się stalowo-drewniany pomost prowadzący na platformę, która stalowymi kratownicami przysiadła okrakiem na dwuspadowym dachu. Platforma mierzyła dwadzieścia na dwanaście stóp, mały namiot zaś zakotwiczony był na niej bezpieczniej niż cyrkowy trapez i co najmniej za pomocą tyluż drutów; monter, który go instalował, był prawdziwym wirtuozem, zaprojektował krzywiznę między głównymi słupkami namiotu tak udatnie, że wiatr płynnie go owiewał. Trzy leżaki, rozstawione po trzech stronach platformy, pozwalały obserwować trzy różne krajobrazy, różnie usadowić się względem wiatru, a także podążać w ślad za słabym zimowym słońcem. Ze wszystkich czterech stron platformę osłaniały wiatrochrony z grubego szkła, które za pomocą pomysłowego systemu bloczków i szyn można było podnosić nawet o pięć stóp w górę. Znajdował się tam również szereg wiatroszczelnych szaf. W pierwszej Beverly trzymała tyle koców, poduszek i pledów, że można by nimi ogrzać napoleońską armię w Rosji. W drugiej było miejsce na jakieś trzydzieści książek, stosik czasopism, lornetkę, przenośny pulpit do pisania i trochę gier (Willi pozwalano czasem przychodzić do niej w najcieplejszej porze dnia i grać w warcaby lub w wojnę). W trzeciej mieścił się kredens z termosami różnej wielkości, Beverly mogła trzymać w nich gorące napoje i najróżniejsze artykuły żywnościowe, na jakie tylko przyszła jej ochota. Czwarta pełniła funkcję stacji meteorologicznej. Beverly była ekspertką w dziedzinie prognozowania pogody, do tego stopnia, że barometr, termometr i wiatromierz właściwie nie były jej nawet potrzebne, przydawały się jednak do prowadzenia starannych zapisków. Beverly zapisywała również obszernie obserwacje na temat ptaków i ich zachowania, kwitnienia drzew, pożarów w mieście (ich przyczyn i czasu trwania, wysokości, gęstości i koloru dymu itp.), przelatujących balonów, a niekiedy także latawców, wyglądu nieba oraz rodzajów statków kursujących w obie strony po Hudsonie. Co pewien czas rzeką przepływały na przykład wielkie stare szkunery, wysokie i ciche, lecz miasto było tak zajęte sobą, że nikt prócz niej tego nie zauważał.

Nocą, gdy leżała w łóżku, pod gołym niebem lub w rozchylonym namiocie, wpatrywała się w gwiazdy – i to nie przez dziesięć minut czy kwadrans, jak większość ludzi, lecz przez długie godziny. Nawet astronomowie nie obserwowali nieba z takim oddaniem, ich uwagę bowiem nieustannie absorbowały pomiary, zapisy, omylność przyziemnych instrumentów, poświęcali ją zresztą jedynie wybranym zagadnieniom – Beverly natomiast miała całe sklepienie niebieskie dla siebie, mogła je widzieć w całości i w przeciwieństwie do pasterzy, poganiaczy bydła czy leśników, którzy dostąpili surowego przywileju pracy i spania na powietrzu, rzadko bywała zmęczona. Gdy zapadała bogata, migotliwa zimowa noc, miała więc te zapomniane

gwiazdy wyłącznie dla siebie, przyjmowała je niepostrzeżenie jak sekretnego kochanka. Miała wrażenie, że nie patrzy w górę, tylko w dal, w głąb otchłannego wszechświata, znała z nazwy wszystkie gwiazdy i wszystkie konstelacje, a także (choć nie mogła ich zobaczyć) olbrzymie, skłębione mgławice, podobne do wstrząśniętych dziko grzyw, w których każde pojedyncze włókno zawierało w sobie sto milionów światów. Poddawała się szaleństwu komet, słońc i pulsujących gwiazd, pozwalała, by jej oczy wypełniło brzęczące, trzeszczące, syczące światło skraju galaktyki, wiekuisty półmrok, szara jutrzienka w jednej z nieprzeliczonych galerii niebios.

Z twarzą zwróconą ku otwartemu, lodowatemu niebu Beverly przebiegała wzrokiem po Drodze Mlecznej, powtarzała w myślach nazwy gwiazd i konstelacji, tak jak dziecko powtarza nazwy stanów. Wahała się jedynie wówczas, gdy fala gorącego powietrza buchała z pobliskiego komina i niebiańskie artefakty zaczynały jej drżeć przed oczyma. Zazwyczaj jednak wypowiadała ich nazwy jak zahipnotyzowana, wyśpiewywała je, jak gdyby wołała do tych dalekich gwiazd, przesuwałych się w czarnym powietrzu grudniowego nieba: Gołąb, Zając, Wielki Pies, Mały Pies, Procyon, Betelgeza, Rigel, Orion, Byk, Aldebaran, Bliźnięta, Polluks, Kastor, Woźnica, Kapella, Plejady, Perseusz, Kasjopeja, Wielka Niedźwiedzica, Mała Niedźwiedzica, Gwiazda Polarna, Smok, Cefeusz, Wega, Krzyż Północy, Łabędź, Deneb, Delfin, Andromeda, Trójkąt, Baran, Wieloryb, Ryby, Wodnik, Pegaz, Fomalhaut. Jej wzrok wracał do Rigla i Betelgezy, prześlizgiwał się między Rigm i Aldebaranem, wędrował do Plejad. W najkrótszym ułamku sekundy podróżowała między gwiazdami, pokonując wiele lat świetlnych. Szybkość i czas wydawały się jedynie kwestią perspektywy.

Beverly czuła się tak, jak gdyby знаła gwiazdy osobiście, jak gdyby żyła niegdyś wśród nich bądź miała żyć w przyszłości. Dlaczego na wykładach w planetarium teleskopowe fotografie rzucane na kopułę wydawały się tak dobrze znane – nie tylko jej, lecz każdemu odwiedzającemu? Farmerzy i dzieci, a raz także Indianie z plemienia Paumanuk, niestety niemal doszczętnie już wymarłego, rozumeli w lot te wyjaskrawione, abstrakcyjne obrazy, pojmowali je w okamgnieniu i całym sercem. Mgławice, wstęgi galaktyk, skupiska spiralne – będące przecież niczym więcej jak błyskami elektrycznego światła na gipsowym suficie – wprawiały ich w trans, wykładowca nawet nie musiał się odzywać. A dlaczego pewne dźwięki, częstotliwości, powtarzalne rytmy sprawiały, że słuchającym ich ludziom przychodziły na myśl gwiazdy, galaktyki, a nawet barwne, nieprzejrzyste planety krążące po ścieśnionych eliptycznych orbitach? Dlaczego pewne utwory muzyczne (i z czasów sprzed Galileusza, i późniejszych) były powiązane pod względem harmonicznym i rytmicznym z gwiazdami i nasuwały skojarzenia z owym równoległym światłem, które zalewało Ziemię podczas wyimaginowanych erupcji supernowych?

Beverly nie umiała wyjaśnić ani tych, ani wielu innych astronomicznych zagadnień. Z powodu choroby musiała porzucić szkołę, zresztą niewiele poznała tam nauk ścisłych (dziewczęta nie uczyły się fizyki ani chemii), tym bardziej była więc zdumiona, gdy pewnego ranka znalazła w swym notesie długie szeregi równań napisane własną ręką. Sądziła, że może to Henry spletał jej figiel – lecz nie, charakter pisma był na pewno jej. Zapiski ciągnęły się przez wiele stron.

Beverly zaniósła je wykładowcy w planetarium, ten jednak nie umiał ich rozgryźć. Przez godzinę przyglądała się, jak siedzi w bladym snopie północnego światła wpadającego przez okno, zgarbiony nad żaluzjowym sekretarzykiem, i przepisuje jej zapiski. Powiedział, że nie rozumie ich ani w ząb, ale uważa, że są intrygujące. Spisane jego ręką, wyglądały poważniej.

– Co to wszystko znaczy? – zapytała.

– Nie wiem – odparł. – Ale wygląda sensownie. Zatrzymam to sobie, jeśli nie ma pani

nic przeciwko temu. Skąd pani wzięła te równania?

– Powiedziałałam panu.

– A tak naprawdę?

– Naprawdę.

Uczony przyjrzał się jej uważnie. Kimżeż była ta śliczna, rumiana dziewczyna ubrana w jedwabie i sobole?

– A co to znaczy według pani? – zapytał, rozsiadając się wygodnie w przenośnym gąszczu swego szarego trzyczęściowego garnituru.

Beverly wzięła do ręki notes i przez chwilę studiowała zapiski.

– Według mnie to znaczy, że wszechświat... warczy – powiedziała, podnosząc wzrok. – I śpiewa. Nie, krzyczy.

Astronom był wstrząśnięty. W swej pracy często stykał się z szaleńcami i wizjonerami, niektóre ich teorie były eleganckie, inne absurdalne, w niektórych być może tkwiło ziarno prawdy. Byli to jednak zwykle starzy brodacze, mieszkający na poddaszach zagraconych książkami i przyborami naukowymi, ekscentrycy pchający po mieście wypełnione swym dobytkiem wózki, obłąkańcy wypisani z państwowych przytułków. W ich spostrzeżeniach zawsze znalazło się coś, co przyciągało uwagę, ziarno prawdy, jak gdyby ich obłąd był tyleż przypadłością, co darem – jakkolwiek brzemień prawdy ciążyło im tak mocno, że pozbawiło ich rozumu, i prawdziwie porywających treści trzeba było się w ich słowach mozolnie doszukiwać.

Astronom czułby się bardziej komfortowo, gdyby rozmawiał teraz z jednym z kalekich weteranów wojny secesyjnej lub samotnym wynalazcą z jakiejś prastarej miejsciny nad Hudsonem – bo właśnie tacy ludzie zwykle przynosili mu płachty matematycznych równań. Młodość i uroda tej dziewczyny, niespełna dwudziestoletniej, zadbanej i dobrze wychowanej, tak mocno kontrastowały z jej obsesją, że astronoma ogarnął głęboki smutek, a nawet lęk.

– Warczy? – spytał uprzejmie.

– Tak.

– W jaki sposób?

– Tak jak pies, ale znacznie ciszej. A potem krzyczy, wieloma zmieszonymi głosami, tonami, biało-srebrnym dźwiękiem.

Astronom już od dłuższej chwili wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczyma, lecz gdy usłyszał jej kolejne słowa, serce załomotało mu w piersi:

– Światło jest ciche, ale potem dźwięczy jak czynele i wygina się jak fontanna, by wyruszyć w podróż, zarazem nie ruszając się z miejsca. Przemierza przestrzeń, ale bez ruchu, sztywną wiązką, czyste i ciche jak kolumna z rubinu lub diamentu.

Teraz, na dachu, znów zwróciła wzrok w stronę Rigla, a potem Oriona. Plejady jak zawsze tkwiły w swej asymetrycznej równowadze. Aldebaran mrugał.

– Znów błyskasz – powiedziała pod wiatr i Aldebaran rozjarzył się w migotliwym tańcu; był głuchy i niemy, ale i tak cieszył jej serce. Rigel, Betelgeza i Orion również do niej mówiły. Nie było wspanialszego kościoła, wspanialszego chóru niż gwiazdy mówiące bez słów do skazanych w milczeniu gruzlików, legionu czuwającego w ciemnym ukryciu na dachach.

Tej nocy ów legion również leżał na swych dachach w trzaskającym mrozie, podczas gdy wiatr mknął z północy niczym hokeista, prędko i brutalny, i chłostał wszystko, co żyje. Byli tam, poza zasięgiem wzroku postronnych, w kwadratowym lesie czynszowych kamienic, po obu stronach mostów, wygiętych w lśniące łuki piękniejsze od diamentowych kolii. Byli zupełnie samotni – tak jak każdy będzie samotny pewnego dnia – i pogrążeni w rozmowie z gwiazdami; wyłuskiwali ulotną miłość z ich zimnego, dalekiego światła. Wszystko było skute lodem. Rzeka

zamarzła na wielką głębokość, drzewa zeszywniały, twardy śnieg chrzęścił pod końskimi kopytami. Ci, co spali na dachach, jarzyli się jednak w swych pledach niby małe piece, Beverly zaś, gdy już była syta miłości swych gwiazdnych kochanków, spokojnie i z zadowoleniem obróciła się na bok i zapadła w sen, zagrzebana w swoich futrach i puchach.

BOGINI W KĄPIELI

W grudniu cała rodzina Pennów z wyjątkiem Beverly wybierała się do wiejskiego domu nad jeziorem Coheeries, położonym w północnej części stanu, na takim ustroniu, że niepodobna było je znaleźć. Beverly miała dołączyć do nich na święta, oni zaś do tego czasu zamierzali dopilnować budowy specjalnej łodzi, w której miała spać, i przygotować dom na jej przyjazd po długiej i męczącej podróży z miasta. Beverly zastanawiała się, czy nie wysłać telegramu z prośbą o wyłączenie jej z tego zimowego wyjazdu nad jezioro – wytłumaczyłaby się, że jest nadmiernie pobudzona nerwowo i potrzebuje samotności – lecz potem uznała, że jednak pojedzie: najpierw saniami, potem rzečním parowcem, potem drugimi saniami i bojerem, aż do wielkiego domu na małej wysepce w zatoce, by razem ze wszystkimi świętować Boże Narodzenie.

Isaac, Henry, Jack i Willa przygotowywali się do drogi (w swym zimowym kombinezonie Willa wyglądała jak pulchny cherubinek). Jeśli chodzi o służbę, na miejscu zostawała jedynie Jayga, lecz i tak zaraz po odjeździe rodziny Beverly miała powiedzieć jej, że może jechać na Four Points, do swoich. Wiedziała, że ojciec Jaygi pomału umiera, niejeden już raz zmuszała ojca, by wysyłał rodzinie Posposilów pieniądze.

– Mamy przecież fundusz dobroczynny – protestował Isaac. – Nie rozdajemy pieniędzy. Fundusz jest całkowicie niezależny i właśnie do tego służy.

– Tatusiu – odparła Beverly. – Harry już niedługo będzie samodzielny, podobnie Jack. Willa ma własny fundusz, a ja niedługo wyląduję w grobie. Powiedz mi, po co ci te wszystkie pieniądze?

Zirytowany Isaac wspierał więc Posposilów, jakkolwiek wiedział, że ani jego pieniądze, ani całe pieniądze świata nie pomogą ani panu Posposilowi, ani Beverly – śmierć deptała im już po piętach.

Po odejściu Jaygi Beverly miała zatem spędzić kilka dni w domu samotnie. Coś jej mówiło, choć nie umiała sobie tego wytłumaczyć, że wkrótce wydarzy się coś wyjątkowego – może wyzdrowieje, a może wręcz przeciwnie, dostanie nagłej gorączki, tak potężnej, że w końcu ją zabije? Na nic się jednak nie zanosilo. Przed wyjazdem rodziny przez dwie noce padał śnieg i gwiazdy skryły się za chmurami. Następnej nocy gęsta koronka białych chmur zakryła nawet księżyc. Beverly czekała jednak, cierpliwie i ufnie. Aż wreszcie, w dzień rozstania, niebo się roz pogodziło.

Peter Lake tak usilnie rozmyślał o świętym Szczepanie, że na jakiś czas stał się religijny, a raz nawet poszedł do kościoła. Bał się tego jak ognia. Nigdy wcześniej nie był w kościele: wielebny Overweary nie pozwalał swym chłopcom wchodzić do lśniącego srebrnego sanktuarium, które wybudowali dla niego obok tureckiej willi diakona Bacona. Zresztą co dnia Peter i jemu podobni byli wyklinani z tysiąca ambon w całym mieście, kościół był obozem wroga – Peter czuł się więc straszliwie nieswojo, krocząc niepewnie wielką środkową nawą, dżgany nieprzyjawnymi barwnymi promieniami sączącymi się przez witraże. Wybrał sobie Maritime Cathedral, najpiękniejszą świątynię w mieście, przy której kościoły świętego Patryka i świętego Jana wyglądały jak Notre Dame przy Sainte Chapelle. Witraże wystrzelały w górę niczym dzikie górskie kwiaty, wyobrażały zaś statki i różne morskie sceny. Isaac Penn, który był fundatorem katedry, kazał przedstawić na nich historię Jonasza – w końcu sam zabił niejednego wieloryba.

Jonasz również znalazł się więc na witrażu, rozdziawiał usta ze zdumienia, że pożera go wieloryb. I to jaki wieloryb! Żaden tam symbol, żaden głupawy emblemat o ludzkich ustach

i oczach natchnionego kabareciarza, tylko prawdziwy morski łajdak, piękny autentycznym wielorybim pięknem. Był długi, czarny i zwalisty, ślepy na jedno oko, miał potworną, pomarszczoną paszczę, a fiszby z żółkłą i popsute, pełne dziur niczym chińska układanka. Potężne sine cielsko pokrywały zastarzałe szramy i głębokie blizny, z boku sterczał odłamany hak stalowego harpuna. Wieloryb tryskał wodą, i to nie jak srebrna rybka z renesansowej miniatURY, tylko jak prawdziwy wieloryb, który jednym smagnięciem ogona może zatopić statek.

Peter Lake z niemałym zdziwieniem napotkał we wnętrzu kościoła wiele pięknie wykonanych modeli statków – żeglowały przez nawę i transept jak po morskich szlakach handlowych. No cóż, skoro coś takiego stało w katedrze, to widocznie tak miało być. Peter pragnął zrozumieć, czym jest religia, liczył, że dzięki temu stanie się kimś takim jak święty Szczepan i będzie mógł pomodlić się za Mootfowla. Śmierć Mootfowla dawno już odeszła w niepamięć, lecz każdy, kto jeszcze o niej pamiętał, posądzał o nią właśnie Petera Lake'a. Niby rzeczywiście tak było, ale jednak nie do końca. Mootfowl zabił się sam – w dziwny, wymyślny sposób, na zawsze wiążąc Petera ze sobą. Czemu wtedy popadł w tak wielkie przygnębienie? Jackson Mead pozostał w mieście przez kilka następnych lat, na poły czczony, na poły zapomniany, budował wielki szary most nad East River. Most był wysoki, pełen gracji i matematycznie doskonały. Mootfowl na pewno by go uwielbiał. Były też jednak inne mosty do wybudowania, Jackson Mead zniknął więc w równie niepojęty sposób, jak się pojawił: wsiadł do pociągu ze swą ekipą mechaników odludków i odjechał, nie zadał sobie nawet trudu, by przyjść na uroczyste otwarcie. Podobno stawał teraz mosty gdzieś na zachodzie, w Manitobie, Oregonie i Kalifornii. Były to jednak tylko plotki.

Peter Lake nie umiał się modlić. Mootfowl często kazał chłopcom się modlić, ale wyglądało to po prostu tak, że klękali twarzą do palenisk i wpatrywali się w tańczące w nich słońca i światy. To wystarczało. W żeglarskiej katedrze nie było ognia, jedynie czyste, zimne światło, które wyplukiwało z witraży wspaniałe żałobne barwy. Peter ukląkł.

– Mootfowl – wyszeptał – drogi Mootfowl...

Nie wiedział, co powiedzieć, poruszał jednak bezgłośnie wargami; wspominał, jak ogień z paleniska odbijał się w oczach wielebny, wspominał jego chiński kapelus, jego silne, szczupłe ręce i absolutne oddanie tajemniczym rzeczom, które – jak wierzył wielebny – można odkryć w koniunkcji ruchu, ognia i stali. Jego wargi poruszały się same, mówiły co innego, niż myślał. Chciał powiedzieć, że kocha Mootfowla, nie mógł się jednak na to zdobyć, opuścił więc katedrę, równie niepewny i rozbity jak wówczas, gdy do niej wchodził. Kimże byli ci, którym modlitwa przychodziła z łatwością? Czy naprawdę rozmawiali z Bogiem, jak gdyby zamawiali obiad w restauracji? Gdy on sam ukląkł do modlitwy, język stanął mu kołkiem.

Wyszedłszy z kościoła, wsiadł na konia. Koń był tak wysoki, że Peter często miał wrażenie, iż siedzi na wielkim, odlanym z brązu pomniku, którego zadaniem jest stać w miejscu i strzec któregoś z miejskich placów. Koń ruszył z kopyta i pojechali niespiesznym kłusem w stronę Central Parku. Peter Lake chciał sobie obejrzeć wille w górnej części Fifth Avenue, koń skręcił jednak w bok, przejechał przez zamarzniętą odnogę jeziora nieopodal fontanny Bethesdy, i powiózł go na West Side, pod sam dom Isaaca Penna. Peter był tam po raz pierwszy w życiu. Stojąc w śniegu, widział, jak Isaac, Harry, Jack, Willa i wszyscy służący prócz Jaygi wsiadają na trzy duże sanie, z których jedno załadowane były wielkim stosem walizek. Odjechali, podzwaniając dzwoneczkami i trzaskając z biczy. Do każdego sań zaprzężona była trójka koni. Peter Lake stał przy swym białym rumaku i czekał, aż zapadnie noc.

Koń przysiadł na udach niczym pies i również obserwował. W ciągu godziny ciemność zamknęła się nad miastem, jak gdyby ktoś zatrzasnęła drzwi chłodni, a potężne kanadyjskie

wiatry zaczęły gnać przez park niczym wielkie pociągi usiłujące nadrobić spóźnienie. Peter Lake przytupywał z zimna. Postawił kołnierz; czuł, jak wiatr przewiewa na wskroś tweedową kurtkę. Spojrzał na konia, ten jednak wciąż siedział na udach, z zadowoleniem wpatrując się w dom.

– Ja nie jestem koniem – Peter Lake zaczął skarżyć się półgłosem. – O wiele szybciej się wyziębiam i nie sypiam na stojąco.

Groźba powolnego zamarznięcia nie stłumiła w nim jednak zawodowej żyłki. Peter zauważył, że w chwili, gdy rodzina z bagażami wsiadała na sanie, z siedmiu kominów pięć dymiło. Teraz już tylko trzy wprawiały rozgwieżdżone niebo w drzenie lepкими wstążkami gorąca. Peter podejrzewał, że wkrótce i one przestaną dymić, stało się jednak odwrotnie: o godzinie osiemnastej dołączył do nich czwarty, potem piąty. – Może to ogrzewanie na ropę – powiedział na głos. – Automatyczny system. Ale nie, nawet taki dom nie może mieć pięciu pieców. Najwyżej dwa, do tego dwa bojłery. To dym z kominków. Ach, już czuję ich zapach. Ktoś jest w środku.

O osiemnastej trzydzieści w jednym z okien zapaliło się światło. Przyzwyczajony do ciemności, Peter poczuł się tak, jakby ktoś zaświecił mu latarką w oczy. Miał wrażenie, że jest nazbyt odsłonięty, schował się więc za drzewo. Ziąb był nieopisany, ale słusznie postąpił, że czekał. Światło zapaliło się w kuchni. Po chwili do okna podeszła dziewczyna. A więc wszystko się zgadza, zostawili służącą – pomyślał. Wciąż jednak czekał bez ruchu, należał bowiem do tej samej klasy co ona (właściwie nawet niższej) i wiedział, że gdy pan wyjeżdża, w domu może zdarzyć się wszystko.

– To dziewczyna – powiedział do konia. – Założę się, że ma kochanka. Założę się, że przyjdzie za chwilę i przez sześć dni będą pić na umór. To by mi pasowało. Spaliby sobie nago w jedwabnym pańskim łożu, a ja w tym czasie wszedłbym do środka i przeprowadziłbym rek wizycję dóbr na parterze. Jedyne, co nam pozostaje, to czekać... aż gach się pojawi.

O dziewiętnastej niebo rozświetlił jakiś błysk. Peter Lake sądził, że to spadająca gwiazda lub rakietka, którą ze statków wzywa się rzeczno pilota. Było to jednak coś jeszcze innego: Beverly otworzyła drzwi od spiralnych schodów wiodących na dach. Zapaliły się kolejne światła. Zasuwa zasłony, pomyślał Peter; zaraz podejść do drzwi, rozejrzeć się dokoła i wśliznąć się do środka jak lis do kurnika.

Beverly zeszła do kuchni i zjadła kolację z Jaygą, ubraną do wyjścia. Rozmawiały przez chwilę. Obie były zakochane w nieistniejących mężczyznach, łączył je więc pełen rezygnacji smutek płynący z nazbyt silnego rozmarzenia i utęsknienia. Obie wyobrażały sobie, że gdy są same, gdzieś obok, może na jakiejś napowietrznej platformie, stoi niewidzialny mężczyzna i podziwia ich urodę (u Jaygi musiałyby się jej mocno doszukać). Ilekroć oddawały się powszednim zajęciom – szyły, grały na fortepianie, upinały włosy przed lustrem – robiły to z czułą świadomością, że towarzyszy im ów niewidzialny obserwator, tak przez nie ukochany, jak gdyby był rzeczywistym człowiekiem.

Po kolacji Jayga posprzątała ze stołu, a Beverly przygotowała się do snu. Dziś nie było fortepianu, partii tryktraka ani zabaw z Willą i jej lalkami. Beverly już za nią tęskniła. Willa wyglądała zupełnie jak Isaac. Właściwie nie była jeszcze piękna, ale każdy, kto ją ujrzał, od razu zadurzał się w jej delikatnej twarzyczce. Była naprawdę słodką dziewczynką. A jak umiała się śmiać! I krzyżeć! Był to pierwszy raz, gdy Willa miała szansę zapamiętać Boże Narodzenie nad jeziorem Coheeries – i właśnie dlatego Beverly postanowiła, że jednak nie wyśle telegramu. Przekręciła białą gałkę kranu, zatrzymując obfity strumień gorącej wody. Rankiem, gdy będzie sama w domu, spędzi całą godzinę w cudownym basenie kąpielowym ojca. Teraz była już na to zbyt zmęczona. Powiedziała Jaydze „dobranoc”, kazała jej wrócić za kilka dni i wróciła na górę.

Peter Lake nie zauważył drugiego błysku – gdy otworzyły się drzwi na dach – ponieważ obserwował, jak gasną światła w pokojach, w miarę jak Jayga przemieszczała się w stronę wyjścia. Wreszcie zgasło także światło w kuchni. Jayga wyszła przez frontowe drzwi i postawiła walizkę na schodach. Przekręciła klucz w dwóch zamkach i poruszała klamką, by się upewnić, że drzwi są zamknięte. Peter Lake był w siódmym niebie, gdy zobaczył, jak okutana w grubą płaszcz i szal wychodzi z walizką w rękę. Gdy oddalała się pospiesznie ulicą, spojrzął w górę: już tylko z trzech kominów biły w górę wstęgi gorąca, a nawet one z wolna niknęły.

O to chodziło, pomyślał; o czwartej nad ranem pięciu pałkarzy pełniących służbę na Manhattanie będzie się grzało przy piecu w którymś z lupanarów, czekając na sierżanta (który tymczasem będzie chrapał w pokoju na górze, owinięty w różowe boa z piór, przyciskając podkulone nogi do pośladków jakiejś biednej dziewczuszki z Cleveland) – ja tymczasem wejdę do środka, a o piątej trzydziści będę już na zewnątrz, ze srebrną zastawą, gotówką i pękiem zrolowanych Rembrandtów.

Peter Lake dziwił się jednak, że taki łup pozostał zupełnie niestrzeżony. Państwo niewątpliwie zamierzali pozostawić na straży służącą – ona jednak się wymigała. Oczywiście mogli też mieć alarmy elektryczne i inne zabezpieczenia, ale to tylko przysporzy mu dobrej zabawy.

Peter zadrzał. Jeśli nie chciał zamarznąć na śmierć, koniecznie musiał skoczyć gdzieś na pieczone ostrygi i gorący rum z masłem. Koń powinien podjeść owsa i napić się gorącej końskiej herbaty z lucerny. Pomknęli więc przez noc, po zasypanych śniegiem parkowych ścieżkach, w stronę buchającej ogniem i muzyką Bowery.

Ludzi jedzących w barze ostrygowym można usłyszeć z odległości kilku przecznic. Jest coś takiego w pieczonych ostrygach – pełnych czystego, cierpkiego smaku błękitnego morza, gorętszych niż wrząca oliwa, upakowanych zgrabnie w swych suchych jak piekarnik skorupach – że nawet najwytworniejszy smakosz nie potrafi ich jeść bez siorbania, ciamkania i pomrukiwania. Peter Lake nakarmił konia i pozełgował do baru, w którym akurat panowała największa wieczorna gorączka. Była to ogromna piwnica między Bowery a Rochambeau, o sześciu wspaniałych salach i ścianach z szarobiałego kamienia. Łuki sklepienia, majestatyczne jak rzymskie akwedukty, sięgały do podłogi i dźwigały się w górę. O dziewiętnastej trzydziści w piątkowy wieczór w tej ostrygowej jaskini stołowało się co najmniej pięć tysięcy osób. Czterystu młodziutkich kelnerów uwijało się w pocie czoła, jak gdyby wpychali do portu wielki statek lub ciągnęli przez Rosję napoleońskie armaty. Świece, gazowe latarnie, a gdzieniegdzie także jaskrawe elektryczne lampy oświetlały przestrzeń między pomrukującymi tu i ówdzie małymi paleniskami. Gwar panujący w lokalu nie różnił się zbyt od słynnego nagrania, jakie Thomas Alva Edison wykonał nad wodospadem Niagara, a śmigające nad stołami skorupki ostryg przywodziły niektórym sędziwym weteranom nocny ostrzał Vicksburga.

Zdyszany młody kelner pojawił się przez Peterem, zmarszczył brwi i spytał:

– Ile sztuk podać?

– Cztery tuziny – odparł Peter Lake. – Prosto z macierzankowo-hikorowego ognia.

– Do picia? – spytał chłopiec.

– Nie – odparł Peter. – Do jedzenia, chłopcze. Do picia poproszę garnuszek grzanego rumu z masłem.

– Rum się skończył – powiedział kelner. – Mamy grzany cydr.

– Może być. A właśnie, czy można u was zjeść smaczną pieczoną sowę?

– Pieczoną sowę? Nie mamy pieczonych sów – odparł chłopiec i zniknął, a po chwili pojawił się z czterema tuzinami pieczonych ostryg, gorętszych niż otwarte paleniska w hutach

Pittsburgh, i ognistą kwartę cydru. Peter Lake zareagował na to wszystko jak typowy Przymorzanin: przez bitą godzinę, wpatrując się przed siebie pustym wzrokiem, mlaskał, pomrukiwał i pochrząkiwał wraz z parutysięcznym chórem różowych łysin i pudrowanych peruk, wysysał ze skorup opuchłe ostrygi, zwisające ze skorup na białych nitkach żył.

– Muszę się odprężyć przed włamaniami – powiedział Peter do siedzącego nieopodal adwokata, gdy obaj byli już najedzeni, dłubali w zębach, spoglądali ponad horyzontem swych odętych brzuchów w tańczące w kominkach pomarańczowe języki ognia i popijali parujący trunek z cynowych kubków z wieczkami na zawiasach. – Przed wielkim wysiłkiem trzeba się rozluźnić, duża robota wymaga, by wcześniej odrobinę się zatracić, nieprawdaż?

– Bez wątplenia – odparł adwokat. – Ja zawsze się upijam lub łajdaczę przed wielkimi rozprawami. Wyzwalam w sobie pierwotną dzikość, która oczyszcza mi umysł, czyni z niego, że się tak wyrażę, tabula rasa, otwiera go na przyjęcie pitagorejkiej energii.

– No cóż – odparł Peter Lake – nie do końca pana zrozumiałem, ale skoro umie pan się tak wysławiać, to musi pan być tęgim prawnikiem. Mootfowl mawiał, że zawód prawnika polega na tym, że hipnotyzuje się ludzi zawiłym słownictwem, a potem zabiera się ich własność i znika.

– Co to za jeden, ten Mootfowl? Adwokat?

– Mechanik. Mistrz kowalskiego pieca. Kochałem go. Był moim nauczycielem. Umiał zrobić z metalu wszystko. Kuł go z czułym zapamiętaniem, przeobrażał w kręte białe formy i czerwone ogniste spirale, a potem narzucał mu każdy kształt, jaki tylko ujrzał swym mocarnym okiem.

– Cudownie – powiedział adwokat.

Peter Lake wszedł na górę, zajął jeden z licznych czystych pokojów nad barem i spał krzepiącym snem do trzeciej w nocy. Obudził się z niezwykajnie dobrym samopoczuciem, wprost czuł, jak rozpiera go energia. Umył się, ogolił, wypił łyk lodowatej wody i wyszedł na mróz. Przemierzał puste ulice z taką rzeškością, jakby właśnie zaczynało się lato; był cały w skowronkach, rozgrzany, szczęśliwy, pełen czułości i siły. I równie miłą niespodziankę zastał w stajni: koń również już nie spał, oczy miał wesołe, kipiał energią, nie mógł się doczekać, kiedy ruszą w drogę.

Niemal dokładnie o czwartej Beverly otworzyła oczy i spojrzała w gwiazdy. Widziane z dołu były tak urocze, spokojne, czyste i ciche, że nawet zimowe powietrze wydawało się ciepłe i łagodne. Tym razem nie widziała wśród nich duchów ani szerokich gościńców – maleńkie gwiazdy po prostu migotały sobie beztrąsko, wyglądały jak dekoracja jakiegoś radosnego muzycznego przedstawienia.

Beverly uśmiechnęła się promiennie. Wszechświat wyglądał tak, jakby nagle przeistoczył się w elegancki artefakt z belle époque: był granatowy, oślepiający, jasny, pełen radości i gracji, cudowny jak chwila przed letnią burzą. Nie mogła zasnąć, usiadła więc na łóżku, a potem podniosła się, co po raz pierwszy od długiego czasu nie sprawiło jej najmniejszej trudności. Gwiazdy były teraz wszędzie wokół niej; Beverly bała się poruszyć lub choćby oddychać, powietrze wciąż było bowiem świeże i ciepłe, a ona czuła, że nie ma gorączki. Czy to możliwe? Tak. Nie była przegrzana od wysiłku przy wstawaniu, nie dyszała ciężko i z trudem, nie miała dreszczy. Zdjęła połyskujący sobolowy kaptur i uczuła na twarzy dobroczynny powiew. Czy to naprawdę możliwe? Tak, ale musi być ostrożna. Teraz wejdzie do domu, wykąpie się, zmierzy temperaturę i przez parę godzin będzie baczyć, czy znów nie bije od niej srebrna kolumna rozgrzanego powietrza, prędką jak mewa szybująca nad gorącym źródłem.

Peter Lake podszedł tymczasem do domu i zaczął obchodzić go w świetle księżycy. Wszystkie wejścia niewymagające akrobatycznych sztuczek były zamknięte na cztery spusty.

Nie był to problem nie do przewyciężenia: Peter miał w torbie przenośny palnik acetylenowy, który przecinał żelazne pręty jak kielbaski. Już miał go uruchomić, lecz nagle przyszło mu coś do głowy. Poszperał w chlebaku i wyciągnął woltomierz. Przez kraty płynął prąd. To dlatego były takie grube: dla ich unieszkodliwienia potrzebny był przewodnik o podobnej średnicy, by zrównoważyć ich niską rezystancję. Peter zastanawiał się przez chwilę, skąd go wziąć. Niedaleko znajdowała się fabryka Amsterdam Machine Works, często zachodził tam nocą, ponieważ mieli bałagan, a on miał klucz do głównego wejścia – po chwili jednak spostrzegł, że kraty są różnej grubości. Przyjrzał im się uważnie i odkrył ze zdumieniem, że w pręty wtopione są pasemka metalu różnej grubości, biegnące w skomplikowanych spiralnych wzorach i krzyżujące się pod różnymi kątami. Żeby rozgryźć zasadę działania alarmu, trzeba by przesiedzieć przy tych prętach cały dzień, i to w ciepłym warsztacie; nie było mowy o zrobieniu tego w ciemnościach przy sześciostopniowym mrozie. Kręcąc głową ze zdumienia, a nawet z ukontentowania, Peter skręcił za róg domu i wdrapał się do głębokiej okiennej wnęki.

Znajdował się na poziomie salonu dla gości. Wybrał tę wnękę, ponieważ nie dostrzegł w niej charakterystycznych srebrnych pas-ków, które biegly prostokątnymi, jakby trochę egipskimi wzorami, wokół pozostałych okien. Wiedział wprawdzie, że właściciel domu mógł je bez większego trudu ukryć, był pewien, że okno jest zamknięte i podłączone do alarmu – wystarczyło jednak wyciąć odpowiednio duży otwór w szybie i przeleźć przezeń ostrożnie, a potem po fortepianie zeskoczyć na podłogę.

Uratował go księżyc, który właśnie świecił nad okapem i odbijał się w oknie. W jego blasku Peter ujrzał, że szyby są od wewnątrz poślizbione miriadami cieniutkich jak włos kanalików, przypominających biegnące równolegle smużki szronu. Sięgnął po lupę i zbadał je z bliska. Za pomocą zawansowanej techniki, o której nawet nie słyszał, cieniutkie żłobienia wypełniono ledwie widocznymi paseczkami metalu. Wyglądało na to, że każde widoczne wejście do domu jest pułapką. Peter Lake nie wiedział, że Isaac Penn ma obsesję na punkcie włamywaczy i podejmuje heroiczne wysiłki, by uniemożliwić im wtargnięcie do domu.

– Niech będzie – powiedział. – Mogą sobie barykadować okna i drzwi, proszę bardzo. Ale na pewno nie podłączyli do alarmu każdego skrawka ścian i dachu. A skoro dom jest pusty, wytnę sobie właz.

W tej samej chwili, gdy Beverly otworzyła drzwi wiodące na żelazne schody, wzbijając w niebo błysk światła, stalowy hak Petera Lake'a wyleciał w górę, zatoczył idealny łuk i wylądował na dachu. Zaklinował się na gzymsie z dźwiękiem podobnym do tego, jaki wydaje topór zagłębiający się w pień drzewa. Beverly nic nie usłyszała, bo właśnie w tej chwili zatrzasnęła za sobą drzwi. Peter zarzucił sobie na plecy chlebak z narzędziami i zaczął wspinać się po powęzłonej linii niczym alpinista, modląc się, by hak wytrzymał jego ciężar. Beverly tymczasem schodziła tanecznym krokiem po spiralnych schodach, jak gdyby znajdowała się w wypełnionym muzyką pałacu. Była dokładnie godzina czwarta.

Miasto wciąż ani drgnęło. Nieliczne wątle smużki dymu unosiły się spokojnie w górę, na rzece łyskały światła statków przycumowanych sztywno do boi lub uwięzłych w lodzie. Beverly i Peter zapamiętali przystępowali do spełnienia swych obsesyjnych pragnień. Na piętrze Beverly zrzucała ubrania, tanecznym krokiem krążąc wokół basenu, czekając, aż się napełni i będzie mogła schronić się w wodzie przed zimnym powietrzem unoszącym się w niewidocznych wirach. Nie była nawykła do takiego wysiłku, może powinna nieco zwolnić, nie przerywała jednak radosnego tańca, jak często czynią ludzie, gdy nikt ich nie widzi – nieprzymuszona i nieskrępowana jak dziecko, jak rozbrykana owieczka. Peter Lake tymczasem pracował wytrwale na dachu: kręcił ciężkim świdrem, dysząc jak zagoniony rowerzysta.

– Ten przeklęty dach jest gruby na trzy stopy – powiedział do siebie, gdy świder zagłębiał się coraz bardziej, lecz wierceniu wciąż nie było końca. Przyszło mu do głowy, że może trafił na belkę, zaczął więc od nowa w innym miejscu. Po kilku minutach wiertło zagłębiło się do końca, lecz dach wciąż nie był przewiercony. – Co to ma znaczyć? – powiedział, porządnie zirytowany. Powinien już wychodzić przez bramę z naręczem łupów. Nie wiedział, że Isaac Penn (który był ekscentrykiem i obrzydliwie bogatym starym wielorybnikiem) najął do budowy domu najlepszych szkutników z Nowej Anglii, dach kazał zrobić mocny jak kadłub statku wielorybniczego, który musi wytrzymać zderzenia z lodowymi krami. Z niewiadomych przyczyn bał się też meteorytów, w miejscu strychu znajdował się więc niemal lity blok drewna. Belki były tak grube i twarde, że Peter nie był w stanie wyciąć w nich włazu, choćby nawet wiercił do czerwca. Przyszła mu do głowy niepokojąca myśl, że pozostaje mu jedynie zejście przez komin. Taka metoda była już dostatecznie kłopotliwa latem, zimą nastęrczała jeszcze dodatkowych, przykrych komplikacji.

Beverly tymczasem przygotowywała się do kąpieli. Basen Isaaca Penna był wyłożony czarnymi łupkami i beżowym marmurem, mierzył dziesięć stóp długości, osiem stóp szerokości i pięć stóp głębokości. Woda wpływała na całej długości przez gładką kamienną krawędź, wypływała kotłowiskiem bąbelków z wylotów na dnie oraz wpadała z góry przez rozdziawione paszcze złotych wielorybów. Wszystkie dzieci Isaaca, ostatnio Willa, uczyły się tu pływać. I choć pan Penn miał opinię człowieka nieskazitelnej moralności, nie miał nic przeciwko temu, by osoby obojga płci kąpały się w nim razem nago – pod warunkiem że zachowywały dyskrecję. Isaac Penn poznał ten zwyczaj w Japonii i uważał go za dowód cywilizacyjnego zaawansowania. Gdyby wieść o tym rozeszła się poza domem, zostałby ukamienowany.

Basen wypełnił się już do połowy, był kipiącym morzem ciepłych, białych bąbelków. Peter Lake natrafił na drzwi i oświetlone spiralne schody. Przyszło mu do głowy, że może to być pułapka, lecz po chwili doszedł do wniosku, że może po prostu ma szczęście. Drzwi były wykonane z grubej stali; ktoś najwyraźniej zapomniał je zamknąć, opuszczając zainstalowane na dachu solarium. Peter postanowił, że skorzysta z zejścia; dla pewności wyciągnął pistolet. Beverly uniosła ramiona. Czowała się wybornie. Zerknęła na siebie w lustrze. Była piękna; jakie to cudowne, być piękną i nie czuć wyniszczającej gorączki! Na górze Peter Lake zajrzał za drzwi, przez chwilę oswajał się ze światłem, wreszcie zrobił pierwszy krok. Beverly z okrzykiem rzuciła się nogami naprzód w skłębioną wodę. Peter ostrożnie schodził po stromych schodach. Beverly rozpostarła ramiona i obracała się z prądem. W chwili, gdy Peter, rozglądając się czujnie, dotarł na parter, chwyciła się złotego wieloryba i zaczęła machać nogami, by utrzymać się na wodzie. Śpiewała do siebie. Zaplecione w luźny warkocz włosy spływały jej swobodnie po plecach, obmywane strumieniami wody. Jej nogi, gładsze i doskonalsze od kości słoniowej, piękne same w sobie jako przykład idealnej formy, pięknie ruszające się pod wodą dla utrzymania równowagi, były smukłe i szeroko rozpostarte, ręce wygięte na kształt lutni wznosiły się nad wodą i ścisnęły łeb złotego wieloryba. Jeśli gorączka miała powrócić, to po kąpieli – Beverly była pewna, że zaczerwieni się wówczas jak plantacja róż; nie myślała jednak o tym, machała tylko nogami i śpiewała, przekrzykując szum wodospadu.

Nie bojąc się już pułapek, Peter Lake dotarł do gabinetu Isaaca Penna. Było to miejsce naprawdę wystawne, istne marzenie włamywacza. Na półkach stały tysiące oprawnych w skórę książek (niektóre spoczywały w szklanych gablotach), lśniąca kolekcja przyrządów nawigacyjnych, chronometrów i mosiężnych teleskopów, na ścianach wisiało kilkanaście olejnych obrazów. Peter spojrzął na książkę w jednej z gablot. Tabliczka pod gablotą głosiła: BIBLIA GUTENBERGA. „Bezwartościowa – pomyślał Peter – nie może być bardzo stara,

skoro pochodzi z Guttenberg, miasta w New Jersey między North Bergen a zachodnim skrajem Nowego Jorku. Najwidoczniej ktoś drukuje tam okropnie nieczytelne Bible”.

Dokładnie nad ciemnym, mahoniowym biurkiem, wielkością dorównującym sypialni służącego, wisiał obraz przedstawiający konia wyścigowego na łące. Peter Lake wiedział, że za takimi obrazami lubią znajdować się sejfy. Zdjął płótno ze ściany. – Wielki jak w banku – powiedział głośno. Nie mylił się; był to jednak przecież gabinet samego Isaaca Penna.

Pan Penn był pod wieloma względami człowiekiem genialnym, ale też dziwakiem i ekscentrykiem. Swoje ostatnie dziecko chciał nazwać Brazylia, zbiorowym wysiłkiem zdołano mu to jednak wyperswadować i na szczęście dla córeczki dał jej imię Willa. Rozmówany w naukach przyrodniczych, wiele lat wcześniej zdołał jednak obarczyć Harry’ego dość niezwykłym drugim imieniem Wodór. Był też wyłącznym projektantem swego domu, jednym z najbardziej niezwykłych jego elementów był zaś właśnie sejf, który Peter z radością odkrył za obrazem. Jakkolwiek już sam dom był niezdobytą fortecą, Isaac Penn wolał się upewnić, że jeśli ktokolwiek dostanie się do środka, będzie miał pełne ręce roboty. Sejf był nie tyle sejfem, ile masywnym cylindrem z molibdenowej stali, wpuszczonym w ścianę na całe pięć stóp. Peter Lake przystąpił do wiercenia.

Po półgodzinie dwucalowe wiertło zaczęło zagłębiać się w stal. Peter wyciągnął je i włożył sondę w otwór. Nie przebił się jeszcze do środka. Może wierciłem nieprecyzyjnie, pomyślał, albo wiertło jest zużyte. Wyjął suwmiarkę z torby i zmierzył narzędzie: miało dokładnie dwa cale grubości. Znów jakiś drobiazg wchodzi mi w paradę, powiedział do siebie. Wyciągnął szydło, włożył je w otwór i uderzył mocno stalowym knypem – ten jednak odbił się, wypadł mu z ręki i grzmotnął w ścianę za jego plecami. Trzycalowe drzwiczki? Niemożliwe! Nie dałoby się ich otworzyć. Trzeba to sprawdzić. Peter przeprowadził staranne pomiary, policzył co trzeba i doszedł do wniosku, że przy takiej średnicy otworu i konstrukcji zawiasów drzwiczki nie mogą być grube na trzy cale. Mimo wszystko postanowił spróbować z trzycalowym wiertłem. Zainstalował je w ręcznej wiertarce i wznowił pracę.

Tymczasem na górze Beverly nie była pewna, czy wraca jej gorączka, czy rozpara ją gorąca kąpiel. Pociła się, jakby miała czterdzieści stopni; obawiała się, że to jednak gorączka – wcześniej zniknęła, a teraz wróciła pod wpływem pary i gorącej wody. Może lepiej było siedzieć cicho jak trusia, wstrzymać oddech, poczekać, aż gorączka obiegnie na oślep cały dom, a nie mogąc jej znaleźć, wypadnie przez okno i rozpuści się w śniegu. Lecz mimo wszystko nie była pewna, czy niedyskrekcja przysłużyła się jej, czy zaszkodziła. Przypomniała sobie, co ojciec mawiał o ludziach lubiących zwlekać i trzymać wszystko w tajemnicy: „Boga nie oszukasz milczeniem”. Isaac Penn zawsze jej powtarzał, że trzeba mieć odwagę i razie potrzeby umieć postąpić wbrew regułom – choć właściwie nie musiał jej tego mówić, Beverly odziedziczyła po nim cały temperament. Śmiałym ruchem ręki starła więc parę z lustra, w którym ukazała się prześliczna spocona dziewczyna, czerwona na twarzy i piersiach, lśniąca od wody. „Walcz z gorączką – pomyślała – walcz z nią; jeśli będzie trzeba, walcz do upadłego. Odwaga musi zostać nagrodzona, nieprawdaż? Cóż, o tym dopiero się przekonamy”. Nie miała jednak wątpliwości, że musi podjąć walkę. Owinęła się wielkim kąpielowym ręcznikiem i upięła go pod ramionami srebrną sprzączką. W gorączce nawet utrzymanie pionowej pozycji wymagało wysiłku. Gdy schodziła na dół i kierowała kroki do pokoju muzycznego, chłodne powietrze owiewało ją niczym górski wiatr.

Peter Lake także się pocił. Gdy dłuższe wiertło zagłębiło się do samego końca, wyciągnął je i wydmuchnął opiłki z otworu. Włożył sondę. Wciąż twardo. Włożył szydło. Rąbnął z całej siły – i knypel tym razem omal go nie zabił: odskoczył od szydła, przeleciał mu nad głową i wbił

się w ścianę. Petera bolały palce i nadgarstki. Zapominając, po co właściwie się włamał, zainstalował dziesięciocalowe wiertło.

– Przebiję się przez to diabelstwo – w jego głosie pobrzmiwał gniew graniczący z szaleństwem – choćby miało mnie zabić. – Zakasał rękawy i ponownie przystąpił do wiercenia. Pot spływał mu po twarzy, piekł w oczy, skapywał na karmazynowy dywan.

Beverly bezszelestnie minęła otwarte drzwi od gabinetu. Peter Lake dostrzegł w wilgotnym świdrze rozmyte białe odbicie jej ręcznika, odwrócił się więc, spodziewając się, że zobaczy ducha. Beverly była już jednak w kuchni, wrócił więc do pracy, z całej siły zaciskając ręce na wyszlizganym buraczkowym trzonku wiertarki.

Beverly podniosła oczy znad toster, gdy usłyszała poskrzypywanie i skrobanie wiertarki; cichutkie, stłumione przez ściany, brzmiało jak chrobot wielkiego szczura. Rozejrzała się podejrzliwie dokoła. Od kiedy to w domu Pennów grasują szczury? Przeszedł ją dreszcz. Wyobraziła sobie wielkie gryzonie przegryzające się przez truchła na cmentarzu, przez straszną płataninę wczepionych w ziemię korzeni, białych i ślepych jak larwy. Ale przecież szczur na pewno zadowolony jest tym, co znajdzie w murach. Poza tym takie chroboty wewnątrz domu zawsze szybko milkły, jak gdyby ich nigdy nie było. Z toster wyskoczyły słodkie bułeczki, Beverly zreżnie chwyciła je w locie.

Peter Lake dowiercił się na głębokość dziesięciu cali. Bolały go mięśnie, chciało mu się pić. Na chwilę nim Beverly ponownie minęła wejście do gabinetu, zmierzając w stronę pokoju muzycznego (gdyby tym razem spojrzęła w lewo, spostrzegłaby go), rzucił się bez sił na skórzaną kanapę i zamknął oczy.

Beverly postawiła na fortepianie mały porcelanowy talerzyk z bułeczkami i śnieżnobiałą filiżankę gorącej herbaty. Gdy była małą dziewczynką, ojciec besztął ją za to. Faktycznie, fortepian miał już na sobie kilka okrągłych śladów po gorących filiżankach, lecz przecież nie grał przez to gorzej. Otworzyła klapę. Zębaty potwór z kości słoniowej wyszczerzył się w powitalnym uśmiechu. Co zagrać? Może Les Adieux? Był to jeden z jej ulubionych utworów, może pomógłby pozbyć się gorączki. Jednak nie, ta piękna muzyka była tak silna, że umiałaby zawrócić galopującego konia wraz z jeźdźcem, mogła więc jeszcze bardziej ją rozpalić. Mając w pamięci słowa ojca o nadmiernie milczących ludziach, postanowiła zagrać utwór będący prawdziwym wcieleniem odwagi: allegro z Koncertu skrzypcowego Brahmsa, które posiadała w transkrypcji na fortepian. Znalazła partyturę i rozłożyła ją przed sobą. Para z herbaty unosiła się na tle nut krętym szlakiem, niczym orzeł unoszący się nad pasmem stromych gór. Utwór zaczynał się tak śmiało, tak szczerze, że Beverly lękała się uderzyć w klawisze – powłóczysta melodia koncertu była krzykiem dobywającym się wprost z ludzkiego serca. Beverly zadrzała i zaczęła grać. Wspaniała muzyka wybuchła nagle w całym domu, frazy płynęły, odbijały się echem i unosiły w górę, pchane następnymi.

Peter Lake od dłuższej chwili leżał bez siły na kanapie. Narzędzia walały się po podłodze. Nie był czujnie przyuczony, spakowany i gotowy do natychmiastowej ucieczki, jak nakazywała jego profesja, lecz przeciwnie, w nietypowy dla siebie sposób odsłonięty i bezbronny – potężna eksplozja fortepianowej muzyki kompletnie go zaskoczyła. Zerwał się z kanapy, aż zamarło w nim serce, potem opadł z powrotem, z wyrazem twarzy obudzonego kopniakiem psa. Ochłonął jednak bardzo szybko – tego również wymagał jego fach – i gdy zerwał się ponownie, nie był już włamywaczem zaatakowanym przez koncert skrzypcowy, lecz mężczyzną. Zostawił narzędzia i kurtkę i ruszył w stronę źródła dźwięku.

Nie było to słodkie i smutne pobrzękiwanie kabaretowego pianina, lecz coś znacznie wznioślejszego. Muzyka poruszyła go nie jako sekwencja abstrakcyjnych dźwięków, raczej jako

coś prostego i oczywistego, niczym owe wielkie sznury zielonkawo-białych pereł, które nocami lśniły na linach nośnych miejskich mostów. Zapalane z nadejściem każdego wieczoru, symbolizowały dlań coś, co bardzo kochał, lecz właściwie w ogóle tego nie znał. Cóż by począł, gdyby któregoś wieczoru światła mostów nie załśniły? Wyświadczały mu wiele dobrodziejstw, uspokajały go i krzepiły. Fortepianowa muzyka przypominała mu te migotliwe sygnały, zawieszane w wieczornej mgle.

Rozbrojony i bezradny, zbliżył się do drzwi pokoju muzycznego; dźwięki fortepianu przenikały go na wskroś, wręcz fizycznie czuł w sobie ich echo i tembr. Przy rozszalałej czarnej maszynerii siedziała dziewczyna w rączniku. Pociła się obficie, ciężko pracowała, by dostarczyć energii rozbieganej klawiaturze. Włosy wciąż jeszcze miała mokre, luźno upięte, rozwichrzone. Śpiewała fortepianowi, mówiła do niego, przymilała mu się, kusila go, zachęcała. Mówiła pod nosem, wyraźnie podkreślając każde słowo ruchem warg.

– Tak – rzekła. – Teraz!

Nuciła lub wyśpiewywała wygrywane frazy, oczy miała zamknięte, to potężnie grzmociła w klawisze, to z uśmiechem odrywała od nich ręce. Nie ustawała jednak w ciężkiej pracy; ręce były w ciągłym ruchu, ścięgni i mięśnie drgały jej pod skórą jak atlecie. Peter Lake nie widział, że zbiera jej się na płacz. Nie wiedział, co się z nim dzieje, targały nim głębokie emocje, próbował nad nimi zapanować, lecz nie mógł, i choć bardzo się starał, nie był w stanie ich od siebie odeprzeć. Stał jak wmurowany, póki Beverly, dysząc ciężko, nie skończyła utworu i z hukiem nie zatrzasnęła klapy. Najdziwniejszy był w tym wszystkim jej oddech – był to oddech kogoś pogrążonego w rozjarzonym mroku gorączki.

Dziewczyna złożyła ręce na fortepianie, wsparła się na nim, by nie upaść. Peter Lake nie był w stanie się poruszyć ani oderwać od niej wzroku. Czuł się głęboko zawstydzony, zażenowany: przyszedł tu kraść, włamał się, był spocony i umorusany od szaleńczego wiercenia, a do tego wpatrywał się w nią bez jej wiedzy.

Był także pełen niewysłowionego podziwu, że zdołała przewalczyć oczywistą słabość i zagrać tak wymagającą kompozycję. Zrobiła coś, do czego zawsze namawiał swoich chłopców Mootfowl: wzniosła się ponad samą siebie. Wzniosła się, a teraz spadła z powrotem, osłabiona, krucha, samotna. Peter zapragnął towarzyszyć jej w tym wzlocie i upadku. Była też piękna, półnaga, lśniła od wody, jak gdyby dopiero wyszła z kąpieli. Z wyczerpania wyglądała jak pijana lub kompletnie zrezygnowana. Peter czuł, że w same jej ramiona mógłby wpatrywać się tygodniami. Był porażony.

Ale jak się, u licha, do niej zbliżyć? Peter miał wrażenie, jakby świt, który właśnie wsączał się do pokoju, zastygł na całą godzinę, a oni zastygli wraz z nim. W końcu uznał, że do dziewczyny po prostu niepodobna się zbliżyć, nie będzie więc nawet próbował. Gdy poranny wiatr delikatnie uderzył w szyby, zrobił krok wstecz, z nadzieją, że zdoła wyjść niepostrzeżenie, nim ocknie się z odrętwienia.

Gdy przesunął stopę, podłoga wydała z siebie cudowne, udręczone, drewniane skrzypnięcie, rozgłaszając jednoznacznie wszem i wobec, że ugina się pod żywym ciężarem. Peter zastygł bez ruchu, z nadzieją, że dziewczyna nic nie usłyszała; ona jednak uniosła głowę, odwróciła się – i zobaczyła go. Lekko zamroczona, wpatrzyła się w niego szeroko rozwartymi oczyma. Najwyraźniej zbierała się w sobie do jakiejś reakcji, lecz nie sposób było określić, do jakiej. Peter natomiast czuł, że wstyd oblewa mu policzki jak gorący gejzer.

Nie mógł wykrztusić słowa. Nie miał prawa tam być, doznał głębokiej przemiany, nie był dobry w niezobowiązujących rozmówkach, wstawał świt, ona była półnaga, a on ją kochał.

Uniósł stopę, a potem opuścił ją na obluzowaną deskę, która go zdradziła. Brzmiało to

tak, jakby ścisnął dziecięcą zabawkę. Na przemian przyciskał i puszczał deskę, wyglądał zaś tak, jakby za chwilę miał wybuchnąć płaczem.

– Skrzypi – powiedział głosem tak drżącym od emocji, że wydało mu się, jakby cały świat postradał rozum. – Skrzypi.

Beverly spojrzała na fortepian, a potem znów na Petera.

– Co? – spytała, delikatnie unosząc głos. – Co powiedziałaś?

– Nic – odparł Peter Lake. – Nieważne.

Beverly zaczęła się śmiać. Z początku był to śmiech bardzo głośny, co przypomniało im obojgu, że (nie licząc muzyki) dom jest od dawna pogrążony w ciszy. Peter także się zaśmiał, nieśmiało, raczej z uprzejmości. Beverly podniosła rękę do twarzy, zamknęła oczy i westchnęła. Potem umilkła, z twarzą wciąż ukrytą w dłoni, i znów wybuchła śmiechem. Potem przesunęła rękę na czoło, przycisnęła mocno i zapłakała. Łzy napływały jej do oczu ze straszliwą szybkością. Teraz już nie tylko twarz Petera pokrywały słone smugi. Płakała przeraźliwie gorzko, lecz wkrótce umilkła i gdy podniosła wzrok, oczy miała już suche – a przynajmniej sprawiała takie wrażenie.

W porannym słońcu pokój był biały jak cukier, w ciągnących od drzwi i okien powiewach zrobiło się zimno.

– Jeśli to masz być ty – powiedziała – to cię biorę.

Peter mógł poczuć się urażony tymi słowami, jej głos był jednak pozbawiony najniklejszej nawet nuty wstydu, zupełnie jakby dziewczyna знаła go lepiej niż on sam. Skinął głową na znak, że rozumie. Nie wiedział, na co się zanoszą, ale na pewno nie na to, że będą żyli długo i szczęśliwie. Po raz pierwszy w życiu Peter dokładnie poczuł, kim jest, i nie był tym zachwycony. Zrazu chciał ją objąć, wydawało się to jednak nieosiągalne, pokój zaś białł i białł nieprzerwanie.

Pod nimi, w piwnicy, włączył się automatyczny piec i okrętowa konstrukcja domu Pennów zadrżała. Usłyszeli rytmiczny stukot olejowego palnika i szum jasnożółtego płomienia. Peter niczego na świecie tak nie pragnął, jak objąć tajemniczą dziewczynę. Wydawało się to jednak nieosiągalne.

Wówczas ona obróciła się do niego i wyciągnęła ramiona. A on podszedł do niej, jak gdyby tylko po to przyszedł na świat.

NA MOKRADŁACH

Zamarznięcie rzeki przywitano w mieście z niepokojem i radością. Ludzie natychmiast wylegli na lód, by popatrzeć na umilkłe miasto z zapierającej dech w piersiach perspektywy, potem zaś zaczęli wznosić kolorowe namioty, rozpalali niebezpieczne ogniska, aż w ciągu jednego krótkiego dnia powstał tam prawdziwy średniowieczny jarmark. Ponieważ promy zostały unieruchomione, pełne ręce roboty mieli wozacy: nowo wytyczonymi białymi drogami przeprowadzali przez rzekę karawany mułów, zaprzęgi końskie, a nawet automobile. Mówiono, że nadeszła nowa epoka lodowa. Ludzie tłoczyli się wokół ognisk, Ignęli do siebie jak szczury we flanelowych pościelach i rozpaczali, jakby zupełnie zapomnieli, co potrafi wiosna.

Którejś nocy, w wielkiej śnieżycy, Peter Lake wybrał się po lodzie na mokradła Bayonne. Nie widział dokoła nic prócz kaskad oślepiających błysków pulsujących w niebieskawej próżni, parł jednak przed siebie, bezbłędnie wiedziony dalekim rykiem ściany chmur. Dźwięk brzmiał czysto, jak syk acetylenowego palnika lub tajemniczy wielogłosowy chór, sugerując, że za rozjuszoną barierą głęboka przeszłość łączy się w jakiś sposób z pogodną, piękną przyszłością.

Nabrzmiały ryk chmur wskazywał mu drogę niczym światło. Peterowi przyszło do głowy, że gdyby ten dźwięk był żywą istotą – na przykład ożywionym w jakiś sposób chórem duchów lub bogiem – zapewne ucieszyłby się, że użyto go do nawigacji. Peter jechał tak, by mieć go o dziesięć stopni z lewej strony, a powolny, tłumiony grubą warstwą świeżego śniegu stukot końskich kroków na lodzie upewniał go, że obrał marszrutę nie tylko trafną, ale i bezpieczną.

Większość koni bałaby się takiej jazdy. Pęknięcie lodu oznaczałoby niechybną śmierć w zimnych, czarnych odmętach; na razie dławily się one jednak pod nieustępliwą białą pokrywą oraz tysiącami stóp rozwibrowanego niebieskiego powietrza wypełnionego białym puchem. Biały koń nie lękał się ani trochę, szedł pewnie jak po stałym lądzie. Głowę trzymał wysoko i z miłosnym wręcz zapamiętaniem zmierzał w stronę dźwięków wydawanych przez ścianę chmur. Peter Lake ledwie widział go pod sobą – koń był tak samo biały jak gęsto padający śnieg – lecz czuł, że zwierzę idzie właściwie samo, kierując się jakąś dawną, wydobytą z zapomnienia wiedzą. Brnąc powoli przez zaspy, odkrył też z przyjemnością, że spośród wszystkich sposobów odzyskania spokoju ducha, jakich ostatnio poszukiwał, bezszelestnie padający śnieg jest najelegantszy i najskuteczniejszy.

Po kilku godzinach jazdy poznał, że jest na mokradłach: lód unosił się w długich, wielorybich wypukłościach nad wydmami, a skostniałe pałki tataraku dzwoniły o siebie jakby wstrząsane końskimi podkowami. W tym momencie poczuł, że jest obserwowany. Doskonale wiedział, że Przymorzanie zdwajają czujność, gdy mróz skuwa mokradła i wędrownie bandy mogą splądrować ich wioski – pamiętali najazdy Hesseńczyków, Indian, a nawet tych, co byli jeszcze przed Indianami. Był pewien, że go obserwują, jechał jednak wprost pod ich spojrzenia, natarczywe niczym bicie bębna. Koń był czujny, starał się iść jak najciszej.

Nagle w okamgnieniu otoczył ich krąg postaci odzianych w białe palta z grubych króliczych futer. Idealne koło utworzone przez ostrza ich włóczni było mechanicznym znakiem nieuniknioności, absolutnym zerem ucieczki. Ależ cicho nadbiegli, ależ doskonale wyłonili się z oślepiającej mgły! Zupełnie jakby byli jej częścią. Peter Lake przemówił do nich w ich ceremonialnym języku. Rozpoznali go i poprowadzili do wioski.

Peter kochał swego konia i bardzo o niego dbał. Gdy przygotowywał miejsce między dwoma olbrzymimi -srokatymi perszeronami, by biały koń, jeszcze od nich potężniejszy, mógł

się ogrzać i wypocząć, przez pilśniowe drzwi solidnie uszczelnionej trzcina stajni wcisnął się Humpstone John. Gdy przyzwyczaił wzrok do światła bijącego od mosiężnej lampy świecowej, sprawiał wrażenie zdumionego; nic dziwnego, w końcu często obcował z niecodziennymi zjawiskami. Przyglądał się koniowi z ogromnym zadowoleniem. Peter Lake ujrzał w jego oczach najprawdziwszą radość, jak gdyby Humpstone spotkał starego przyjaciela – i wiedział, że bynajmniej nie chodzi o niego.

Koń parsknął. Widać było, że nie zna Johna.

– Skąd go wzięłeś? – spytał Humpstone po angielsku.

– Wzięłem go... no... hmmm...

– No skąd?

– Tak naprawdę znikąd go nie wzięłem. On sobie po prostu był.

– Gdzie?

– W Battery. Już prawie mnie miały. Krótkie Ogony, znaczy się. Przewróciłem się.

Wstałem, ale nie mogłem już biec. Myślałem, że już po mnie. I wtedy on się pojawił, z...

– Z lewej strony.

– Z lewej. – Peter skinął głową. – Skąd wiedziałeś?

– Nazwałeś go jakoś?

– Nie.

– Nie wiesz, jak ma na imię?

– Nie. Nie miałem skąd się dowiedzieć. – Peter zamyślił się na chwilę. – Umie skakać.

Jezu, jak on umie skakać. Zdechłe Króliki chciały go kupić i oddać do cyrku. – Ściszył głos. – On skacze na cztery kwartały, John.

– Nie dziwi mnie to.

– Ty coś o nim wiesz. Jak to możliwe?

– Peterze Lake, zawsze mi się wydawało, że kiedyś źle skończysz, zresztą nie można tego jeszcze wykluczyć. I gdyśmy wysyłali cię zupełnie samego na drugą stronę rzeki, nie miałem wielkiej nadziei, że pozostaniesz tam uczciwym człowiekiem. – Słowo „tam” wypowiedział z przestachem i odrazą, takie bowiem uczucia żywili Przymorzanie względem miasta. – Sądziłem, że zapomnisz o nas i staniesz się jednym z nich...

– Stałem się.

– Być może. Ale to jeszcze nie koniec.

– Dlaczego?

– Istnieje dziesięć pieśni, pamiętasz?

– Tak.

– Uczymy się ich, poczynawszy od trzynastego roku życia. Po jednej co dziesięć lat.

– Tak. Ja nigdy się ich nie nauczyłem.

– Wiem, Peter. Odesłaliśmy cię przecież. Pierwsza z tych pieśni wiąże się z właściwym kształtem świata. To pieśń natury, opowiada o wodzie, powietrzu, ogniu i tym podobnych rzeczach. Nie mogę ci już zaśpiewać żadnej takiej pieśni, nie wolno mi. Ale mogę ci powiedzieć, że pieśń druga, której uczymy się w wieku dwudziestu trzech lat, mówi o kobietach. A trzecia, Peterze Lake, to pieśń o Athansorze.

– Athansorze?

– Tak – rzekł Humpstone John. – O Athansorze... tym oto białym koniu.

Nazajutrz rano, gdy śnieg przestał padać i niebo nabrało czystości kryształu,

Przymorzanie zbiegli się jak jeden mąż oglądać Athansora – to znaczy wszyscy, którzy znali pieśń o białym koniu. Nie zdradzili ani słowem, o czym ona opowiada, wpatrywali się tylko ze

zdumieniem w konia, który do tej pory nie miał pojęcia, jak ma na imię, lecz nim nastąpiło południe, nauczył się je rozpoznawać. Peter Lake był poirytowany, chciał wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Szybko doszedł do wniosku, że nie dowie się niczego, i przestał się dopytywać – wydobyć sekret z Przymorzanina było trudniej, niż otworzyć chorego małża. Podszedł do konia i zaczął go pocieszać, koń z kolei pocieszył jego, pokazując, że to nagłe rozpoznanie i nowe imię nic dla niego nie znaczą. „Nie ma się czym przejmować – pomyślał Peter – to po prostu mój biały koń, jego nos wciąż jest miękki i ciepły, nic się nie zmieniło”.

A jednak coś się zmieniło – czy raczej zmieniało. Wszystko zawsze musiało się zmienić, nawet gdy bardzo to kochał. Jedynym ratunkiem była nadzieja, że całe to zamieszanie ma jakiś sens. Niepodobna było jednak dociec, jaki. Gdyby istniało jedno wielkie równanie, jedna doskonała powszechna równowaga, którą Peter byłby w stanie pojąć, wiedziałby, że istnieją też inne i że pewnego dnia zasłona świata uniesie się, ukazując słoneczny, sielski pejzaż i uzmysławiając, że wszystko, ale to wszystko działo się w jakimś celu: nawet cierpienie wszystkich dzieci świata, nawet agonie dziecka w korytarzu, nawet miłość, która kończy się ze śmiercią. Wszystko. Peter powątpiewał, czy potrafi domyślić się tego wielkiego celu, nigdy nie miał też nadziei, że dożyje owej chwili, w której, wedle legendy, ściana chmur ma zalśnić na złoto, dając znak, że nastąpiła jednoznaczna, powszechna sprawiedliwość.

Okutany w futra leżał w swojej chacie i przez otwarte drzwi wpatrywał się w daleki pejzaż Manhattanu po drugiej stronie zamrożonej zatoki. Dwadzieścia lat przeżył w tym mieście, przycupniętym na horyzoncie, jakby unoszącym się wśród chmur, i wiedział już dobrze, czym jest ta szaro-czerwona palisada; znał jej rozmiary, jej muzykę, jej wnętrze, dźwięk jej silników, plan jej ulic. Mosty, choć ogromne, dawały się objąć myślą. Peter wiedział, jak buduje się wieżowce. Budowali je mechanicy, a on był mechanikiem. Przez dwadzieścia lat chodził po ulicach tego miasta i pokochał je. Stali się sobie bliscy. A mimo to, gdy widział je z oddali na tle pogodnego, rozświetlonego nieba, wydawało się niepodobne do wszystkiego, co widział do tej pory. Uniósł głowę i przebiegał wzrokiem po tym rozciągniętym w dal brązowym kręgosłupie, po unoszących się setkami kłębach dymu i pary, po iglicach najwyższych budynków. Miasto było jak olbrzymie, śpiące zwierzę. Peter nie zdziwiłby się, gdyby nagle ożyło, nawet z tej odległości wyczuwał narastający w nim ruch; wiedział, że teraz śpi skute ciemnymi łańcuchami, lecz nie wątpił, że pewnego dnia powstanie i zajaśnieje niczym wieloryb wynurzający się z morza w światło dnia.

Łatwo było zatracić się wśród wspomnień z takiego miasta, ich wartki strumień unosił go z taką samą niespokojną energią jak same ulice. Z natłoku form i barw wyłaniały się niekiedy pogodne obrazy, ciche, lecz jasne jak powleczone werniksem miniatury i równie miłe do wspominania.

Pewnego letniego dnia ujrzał w parku jakąś południowoamerykańską rodzinę; jechała w czterech powozach, zaprzężonych w konie szare jak listopad. Widać było, że są to ludzie przyzwyczajeni do innego życia, w jakimś ogromnym, dzikim, pełnym zwierząt miejscu, jechali zaś w swych lakierowanych powozach z łąką rycerską wyniosłością. Kobiety były ponętniejsze niż hiszpańskie tancerki w największej scenicznej ekstazie, wprost promieniały erotycznym powabem. Patriarcha i matrona milczeli, oboje mieli mądre, stare oczy, a włosy bielsze niż brzeżek pocztowego znaczka. Peter Lake patrzył, jak nadjeżdżają, i zazdrościł im – nie znali miasta, ale widać było, że w swej zamorskiej krainie są panami. Gdy go mijali, spostrzegł, że obok pierwszego woźnicy siedzi kretyn lub idiota – zapewne syn, brat i wnuk tych, co jechali w powozie, ubrany był bowiem jak oni, miał jednak wytrzeszczone oczy, tępy uśmiech, a do tego z ust ciekła mu strużka śliny. Włosy miał jak futro, ręce i nogi dyndały mu luźno w rytm

jazdy. Babka co pewien czas podnosiła się z siedzenia i podpierając się jedną ręką, drugą głaskała go jak psa, pozostali zaś mówili coś do niego czule. Jazda na koźle musiała mu sprawić ogromną frajdę. Rodzina nie była ani trochę zakłopotana, że ma wśród siebie taki wybryk natury, wręcz przeciwnie, można było odnieść wrażenie, że mają z niego pożytek, tak jak żagle mają pożytek ze stępki, która pod kadłubem ryje ślepo przez ciemne fale. Był jednym z nich i tak miało być na zawsze. Kochali go. Powozy przejechały i zniknęły, Peter Lake nigdy jednak nie zapomniał bladej jak księżyc twarzy chłopca, kiwającej się na czele orszaku.

Przechodząc niekiedy przez smagany wiatrem Brooklyn Bridge, popatrywał na drapacze chmur stojące w kamiennych żołnierskich szeregach. Któregoś razu pod koniec wiosny ujrzał, jak zatrzymują nadpływające z kontynentu morze chmur i mgły – rozbiło się na nich jak woda na zaporze przed młynem, a potem zaczęło przeciekać im przez palce, aż stały się osobnymi wypjami. Nocami budowle zmieniały się w palisadę migotliwego światła. Gdy całe miasto poszło już spać, spiskowały między sobą za pomocą najdziwniejszych tonów i wibracji. Jeśli pogoda odbierała im zdolność widzenia, szukały ze sobą kontaktu, próbowały dotykać się na wielkich wysokościach, usiłowały dopełnić owych zaślubin nieba i piekła, do których ich zobowiązano. Kiedyś podczas burzy Peter Lake widział, jak błyskawica tańczy między ich granitowymi iglicami, na tle zwartych białych płacht chmur.

Lecz żadne wspomnienia, jakkolwiek byłyby żywe, wyraziste i mocne, nie mogły równać się ze wspomnieniem Beverly. Było ono elektryzujące i idealne – poza tym, że Peter nie mógł sobie przypomnieć barwy jej oczu. Były okrągłe, jasne i piękne, to na pewno, ale czy zielone, brązowe, czy może niebieskie? Po co pamiętać kolor jej oczu, skoro umierała? Mimo to wspomnienie błękitnookiej (czy na pewno błękitnookiej?) Beverly w bordowym szalu stawało mu przed oczyma, gdy najmniej się tego spodziewał i najmniej tego pragnął.

Próbował zająć czymś myśli. Kuląc się w swym zimowym legowisku, przywołał z pamięci cały szereg szczęśliwych miesięcy letnich, gdy Manhattan pulsował gorączką. Po chwili już tam był, kolory niosły go jak na jakiejś napowietrznej tratwie wysoko nad ulicami; mijał posrebrzane kaniony z ciepłej czerwonej cegły, słyszał seplenienie wielkiego zepsutego zegara na wieży, drzewa grzmiały zielenią niczym dzwony, ciche ulice były ciemne i eleganckie jak lustra w przyćmionym świetle, dokoła ciągnęły się tysiące pejzaży: wyspy w spadającym z góry potoku, buchający żarem blade kamień, kupcy, którzy nigdy nie ustawali w ruchu, teraz zastygli w upale, gruchające purpurowe gołębie w kształcie muszli, arsenał róż w parku, ulice krzyżujące się ze szczękiem i brzękiem, cienie jak lamparty, nakrapiane linie. Lecz na cóż to wszystko bez zielonookiej (czy na pewno zielonookiej?) Beverly w bordowym szalu?

Może udałoby mu się zaszyć gdzieś w mieście, zgubić wśród barwnych plam, natłoku zdarzeń, buchającego żarem powietrza na każdym rogu ulicy. Nie nacieszyłby się jednak zbyt długo tym azylem, zaraz znów uczułby, że jest śledzony, i wszystko by się zmieniło. Brązowooka (czy na pewno brązowooka?) Beverly w bordowym szalu z łatwością wytrąciłaby go z kontemplacyjnego nastroju. Młoda dziewczyna, krucha istota, prosta i autentyczna, która nie była w stanie wstać od fortepianu i musiał wziąć ją na ręce, dziewczyna o połowę młodsza od niego, dziewczyna, która nie umiała strzelać z pistoletu, nigdy nie była w barze ostrygowym, na szczycie wieży ani pod portowym mołem, dziewczyna rozpalona bardziej niż sierpniowe południe, dziewczyna, która nic nie wiedziała o świecie – właśnie ona wstrząsnęła nim tak mocno, że wciąż nie mógł odzyskać tchu.

Miasto odbiera życie setkom ludzi na sekundę, bez mrugnięcia okiem. Wśród czynszowych kamienic Beverly szybko opadłaby z sił, zniknęłaby, rozplynęła się, rozsypała z wyczerpania, nie byłaby w stanie iść jego śladem przez ten bezlitosny labirynt. Mimo to jej

zielone, niebieskie, brązowe oczy śledziły go po wszystkich ulicach, na wszystkich ścieżkach, wszędzie, bez wysiłku.

Najlepiej byłoby powstrzymać je, póki się da, ponieważ nie mogło to przynieść im obojgu nic oprócz bólu. W morzu architektury rozpościerającym się po drugiej stronie oblodzonej zatoki kobiet nie brakowało – przeciwnie, była ich na pozór nieprzebrana liczba, olśniewająco pięknych jak cichy zieleniec u wylotu kipiącej ruchem ulicy. Szybko schwytałyby go w potrzask pięknej mowy i trzymały jak perłę w sztywnym srebrnym futerale, ponieważ do zakochania zawsze wystarczył mu głos; przysparzało mu to mnóstwa kłopotów w rozmowach przez telefon. Pewna kobieta tak oszalała z zazdrości, że próbowała go zastrzelić, gdy jadł kolację w barze ostrygowym. Jedna kula utkwiała w mahoniowym kontuarze, druga zabiła męża, jeszcze inna wybiła dziurę w ostrzu kraljownicy. Peter Lake odwrócił się wtedy do zazdrośnicy i zapytał:

– Co to ma wspólnego z romanssem?

Wszystkie one jednak bladły przy Beverly. Beverly. Ta jedna dziewczyna zawładnęła jego myślami i pamięcią, jak gdyby ktoś zanurzył go w farbującej kąpieli.

Jak miał to wyjaśnić Mootfowlowi, który wiecznie mu towarzyszył, zawieszony gdzieś obok w powietrzu, jak gdyby Peter Lake mieszkał w obrazie, a Mootfowl był postacią z obrazu w obrazie? Mootfowl siedział wysoko w osłonecznionym łukowatym oknie kaplicy Peterowego życia, spoglądał do środka i zawsze był skory do przebaczenia, musiał jednak znać prawdę. A prawda, jak się Peterowi zdawało, była taka, że dziewczyna chorowała na gruźlicę; mało tego, była bliska śmierci. Peter dobrze się na tym znał, całe życie spędził wśród takich ciemnych lub jaśniejących dusz, gotowych odlecieć z płaskich dachów czynszówek i pożeglować w niebo. Dziecko w korytarzu nie było wcale jedyną osobą, która na jego oczach szykowałą się do przejścia w inny świat – przeciwnie, było ich wiele jak kwiatów na wiosennej łące, tłoczyły się w żelaznych łóżkach na strychach i w zaniedbanych ogrodach szpitali dla biedaków. Ulatywały w górę jak duchy, nie wydawszy krzyku.

Beverly niebawem miała dołączyć do tych dusz, niknących ze słabiutkim blaskiem jak nici babiego lata. Jak Mootfowl mógł uwierzyć, że Peter naprawdę ją kocha? Beverly była bogata, gra toczyła się więc o dużą stawkę. Ale przecież bogacze również umierali, ku rozczarowaniu tych, którzy mieli ich za nieśmiertelnych. Peter Lake nie miał złudzeń co do ludzkiej śmiertelności. Wiedział, że wszyscy są wobec śmierci absolutnie równi i że największymi skarbami na świecie są ruch, odwaga, śmiech oraz miłość. Bogacze nie mogli ich sobie kupić; przeciwnie, brało się je za darmo. Peter Lake uważał się za człowieka szczęśliwego, lecz nie był bogaczem. Bogactwo nie miało nic wspólnego ze szczęściem, było całkowicie zależne od takich rzeczy jak złoto, srebro i papiery wartościowe (Peter nakradł sporo papierów wartościowych z bankowych sejfów, trudno było je potem sprzedać paserom). Beverly była dziedziczką fortuny tak wielkiej, że odmieniającej charakter od samego patrzenia, pobudzającej niczym dożylny zastrzyk. Peterowi serce szybciej biło w piersi, gdy pomyślał sobie o jej milionach, dziesiątkach milionów, setkach milionów.

Jak więc miał wytłumaczyć napowietrznemu Mootfowlowi, że owładnęła nim miłość, a nie chciwość? Beverly niebawem umrze, a on pokocha inną kobietę, taką, która – jak mawiał Mootfowl – mocniej trzyma się świata. Jak miał też wytłumaczyć temu niematerialnemu duchownemu w rozświetlonym oknie, że pożądanie i miłość wreszcie złąły się w nim w jedno?

Wtedy, o świecie, dźwignął ją na rękę z fortepianowego stołka, nie zaniósł jednak do saloniku dla gości ani gabinetu Isaaca Penna, tylko do sypialni. Tam położył ją w bawelnianej pościeli, świeżej i chłodnej jak jedwab, i patrzył ze zdumieniem, jak odpina sprzączkę, a potem,

leżąc na poduszkach, jak gdyby czekała na badanie lekarskie, odwijają się z ręcznika. Oddychała ciężko, gorączkowo, i wpatrywała się prosto przed siebie. Potem zmusiła się, by spojrzeć na niego, i ujrzała, że jest jeszcze bardziej przerażony niż ona.

Wzięła głęboki wdech i zwilżyła wargi. Wypuściła powietrze z płuc i powiedziała do niego, stojącego przy łóżku:

– Jeszcze nigdy tego nie robiłam.

– Czego nie robiłaś?

– Nie kochałam się.

– Chyba zwariowałaś. Jesteś rozpalona. To za duży wysiłek – wyrzucił Peter niemal jednocześnie.

– Idź do diabła! – wrzasnęła.

– Ojej, panienko – powiedział – nie chodzi o to, że nie jesteś piękna, ja po prostu...

– Co po prostu? – spytała, na poły błagalnie, na poły z odrazą.

– Ja włamałem się do twojego domu – potrząsnął głową. – Przyszedłem tu kraść.

– Jeśli nie będziesz się ze mną kochał – odparła – to pewnie już nigdy tego z nikim nie zrobię. Mam osiemnaście lat. Jeszcze nigdy nie pocałowałam nikogo w usta. Nikogo nie znam, rozumiesz? Przykro mi, mam przed sobą rok życia. – Zamknęła oczy. – Lekarz, który przyjechał tu z Baltimore, twierdzi, że półtora. W Bostonie mówili, że sześć miesięcy, a było to osiem miesięcy temu. Wychodzi na to, że od dwóch miesięcy nie żyję. – Zniżyła głos do szeptu. – Możesz więc zrobić ze mną, co chcesz.

Peter Lake, któremu nie brakowało zdecydowania i odwagi, zastanawiał się przez chwilę.

– W takim razie zrobię to – powiedział, siadając na łóżku. Nachylił się nad nią, wziął ją w ramiona i zaczął całować po czole i włosach. Z początku była bezwładna i wstrząśnięta, jak ktoś, kto zaczął spadać z wielkiej wysokości. Jak gdyby serce przestało jej bić.

Beverly nie liczyła na czułość z jego strony, zdumiała się więc, gdy zaczął całować jej skronie, policzki, włosy, głaskać po ramionach, a wszystko tak delikatnie, jakby była kotem. Zamknęła oczy i rozplakała się; gdy łzy przebiły się przez ciemną zasłonę powiek i popłynęły jej po policzkach, przywitała je z ulgą.

Beverly Penn, odważna jak każdy, kto styka się z rzeczami najwyższej wagi, nie oczekiwała, że ktoś może być do niej pod tym względem podobny. Wydało się jej, że Peter Lake kocha ją dokładnie tak samo, jak ona kocha to wszystko, co niebawem przyjdzie jej utracić. Całował ją, głaskał, mówił do niej. Ależ była zdziwiona tym, co jej mówił. Opowiadał jej o mieście, jak gdyby było żywą istotą, bladą i różową, wyposażoną w łądzwie, krew i wargi. Opowiadał jej o wiosnie na Prince Street, o wąskich zaułkach pełnych kwiatów, cichych i ciemnych, ochraniających przez drzewa. Opowiadał o barwach płaszczy i sukien, i o barwach na scenie teatru, i barwie najróżniejszych rodzajów świateł, i o tym, że ozywają one w przypadkowym ruchu.

– Prince Street żyje – mówił, zaskoczony własnymi słowami. – Budynki są tam rumiane jak żywe ciało. Widziałem, jak oddychają, przysięgam.

Mówił do niej przez długie godziny, aż brakło mu słów. Beverly leżała wsparta na poduszkach, ciesząc się własną nagością, odprężona, spokojna, uśmiechnięta. A on opowiadał. Opowiadał o wzgórzach. Opowiadał o ogrodach. To, co mówił, było tak łagodne, mocne, a przy tym bogate w kontrapunkt i rymy, że miał wrażenie, iż zaczął śpiewać. I na długo nim wygadał się do cna, Beverly uczyła, że także go kocha.

Gorączka ustąpiła na tyle, że poczuła chłód panujący w pokoju. Po przyjemnej chwili bez słów, gdy cisza aż dzwoniła im w uszach, Peter nachylił się nad nią, zaczął całować jej piersi,

chłodne w dotyku – i uczył, że ogarnia go rozkoszne, ruchliwe pożądanie. Wcześniej Beverly ze zdumiewającą trafnością wyobrażała sobie, jak będzie wyglądał ich prędko, nagły uścisk, lecz nie miała najmniejszego pojęcia, że będzie to coś tak potężnego i zniewalającego. Miała wrażenie, jakby trzymano ich z dala od siebie przez tysiąc lat i za chwilę mieli się rozstać na kolejny tysiąc. Sczepieni w jedno ciało, piersią w pierś, ramię w ramię, odurzeni, nieważcy, czuli się tak, jakby wirowali w chmurze.

Jakże Peter miał wytłumaczyć się napowietrznemu Mootfowlowi, że gdy gorączka wróciła i Beverly w zamroczeniu zaczęła go błagać, by ją poślubił, przyszło mu do głowy, że lepiej zrobić to szybko, nim się rozmyśli? Wiadomo było, że nie pożyje długo, on zaś myślał o pieniądzach. Potem się rozplakał. Beverly, pogrążona w półśnie, nic nie usłyszała. Następnego ranka, gdy wychodził, stała u stóp schodów, zupełnie wyzuta z sił, odebrał jej bowiem tę siłę i zabierał z sobą, zupełnie obojętny, jak gdyby w tym wielkim białym łożu wymienili się materią i duchem. Wiedział, że dała mu wszystko, co miała, i opuszczając dom, myślał już tylko o tokarkach, maszynach i skomplikowanych pomiarach, o rzeczach wytworzonych z wielką precyzją, gładkich jak szkło lub polerowany mosiądz.

Kochał ją – i myślał o tym z niepokojem, ponieważ Beverly była córką Isaaca Penna, należeli do wrogich obozów. Przycupnięty w jasnym kącie obrazu Mootfowl wyglądał na rozbawionego. Peter zdziwił się nieco: sądził, że dopuścił się wielkiego występku. Śmiech i kolor w rozświetlonym oknie na skraju jego pola widzenia podpowiadały jednak coś innego.

Wtem ujrzał, jak na tle wyłoczonej zachodem twarzy miasta przesuwają się dziwna biała chmura. Leciała nad urwiskami wieżowców, zmiennokształtna jak kapryśny duch. Po chwili pojął, co to jest: gołębie, miliony gołębi, naelektryzowane blaskiem światła. Krążyły na tle widnokregu jak cząstki dymu niesione ruchami Browna, wspaniale uchwycone w ciemnej komorze przez błysk światła rozedrgany między niebem a podłożem z żółtego mosiądzu. Przy sylwetkach budynków były jak pyłki, jak płatki śniegu, jak konfetti, jak kurz... mimo to leciały zwartym stadem, wznosiły się jak obłok na wietrze. W tej chwili Peter Lake nabrał pewności, że miasto o nich zadba, jest bowiem czarodziejską bramą, ci zaś, co przez nią przechodzą, nabierają niewinnej tęsknoty, czepiają się każdej nadziei i okazują wzruszającą odwagę – i nie bez powodu. Miasto o nich zadba. Nie miał wyboru, musiał zaufać rozpostartemu daleko przed nim marzeniu architektów, zwartemu jak silnik, solidnemu i pewnemu, rozmigotanemu nad łyskającą w słońcu zamarzniętą zatoką. Z rezygnacją opuścił głowę – aż ujrzał Beverly ponownie, znów nie widząc, jakiego koloru są jej oczy.

A potem coś go nagle przeszło, jakby tysiąc zlanych w jedno błyskawic. I widział tylko błękit, elektryczny błękit, mokry, lśniący i ciepły, błękit bez końca, wszędzie, błękit, który lśnił i wyciskał mu łzy z oczu, błękit, błękit. Jej oczy były błękitne.

JEZIORO COHEERIES

Zimą jezioro Coheeries przeżywało oblężenie. Żaden buchający ogniem silnik ani hokejowy kamień nie mogą równać się choćby z jednym uderzeniem nowojorskiej zimy – a uderzeń tych było nieskończenie wiele, zima przetaczała się nad jeziorem niczym koła napędowe wielkich białych statków, które z chlupotem przemierzały je letnią porą. Bataliony chmur nadciągały znad Arktyki i bombardowały północny rejon stanu śniegiem, aż skrzył się bielą jak kły młodego słonia, zamurowały go mrozem trwającym od września do maja. Pod tym białym oblężeniem ginęło zupełnie nadbrzeżne miasteczko, które w porównaniu z oślepiającym jeziorem, ciągnącym się w nieskończoność – jak mówili niektórzy, aż do Chin – wydawało się nie większe od pudełka butów.

Jezioro wchłaniało cały śnieg aż do grudnia, a potem zamarzało – i śnieg zasypywał je, wznosił korytarze tak szerokie, że mieściły się w nich towarowe bojery, i wyższe niż brzegi kanału. Znad ścian tego labiryntu widać było jedynie przesuwające się czubki masztów. Co pewien czas paru śmiałków wlatywało w górę balonem i kierowało grupą ludzi z szuflami, która przekopywała się przez ściany labiryntu, wytyczając bojerom prostsze drogi od brzegu do brzegu. Lecz nim minął tydzień, a czasem nawet mniej, zmienne wiatry na powrót zasypywały je śniegiem i lodowi żeglarze znów musieli poruszać się po omacku, nawoływać, niekiedy nawet zatrzymywać pojazdy, wdrapywać się na szczyty zasp i wypatrywać drogi. W styczniu, gdy nadchodziła prawdziwa zima, śnieg zasypywał jezioro do końca i transport mógł odbywać się już tylko na saniach zaprzężonych w konie.

Tego roku w grudniu lód był pusty, idealnie czysty, gładki jak lustro, bojery śmigały niczym jaskółki czy zimorodki. Cięły nieskazitelną powierzchnię jak ostrze szklarskiego noża. Pennowie przejechali przez jezioro z prędkością osiemdziesięciu mil na godzinę. Willa aż zaniemówiła z wrażenia. Isaac Penn, który trzymał ją na kolanach, powiedział:

– Jak w Holandii! – jak gdyby to jedno słowo miało wyjaśnić wszystko: szybkość, ślizg, tnący ruch po śliskim lodzie. Willa przyjęła to bez pytania. Nie było się nad czym zastanawiać, wiedziała już wszystko: jest po prostu jak w Holandii. Cały sens ukryty był w tym słowie niczym w ciepłej wełnianej skarpecie. Zawrotny pęd, morskie widnokreśli, lazurowy lód – wszystko to było po prostu jak w Holandii; dziewczynka całkowicie poddała się magii tego słowa.

Znacznie mniej odczuwał tę magię doręczyciel telegramów, który pewnego wieczoru wsiadł na bojer z wiadomością dla Isaaca Penna i pomknął przez lód w stronę skupiska świateł na wschodnim brzegu, czyli wakacyjnego domu Pennów rozjarzonego świątecznymi lampkami. Dłońmi okutany w rękawice z futra i skóry trzymał się lin, aż ramiona zaczęły mu omdlewać z wysiłku, i wyteżał wzrok, wypatrując najkrótszej drogi przez czarny lód. Z początku światła jakby nie chciały się przybliżyć, potem stopniowo robiły się coraz większe, aż w końcu telegrafista poczuł się tak, jakby pędził ku nim szybciej niż samo światło. Musiał poskromić bojer niczym galopującego konia: poluzował żagiel, na przemian zaciągał i zwalniał hamulec, jechał zygzakami. Ostatnie ćwierć mili przed przystanią pokonał w żółwym tempie, co pewien czas sprawdzając, czy w kieszeni kamizelki szeleści mu jeszcze żółty papier depeszy, czy nie wywiały go wiatr.

Isaac Penn był znany z grobowych depresji, głębokiej melancholii, chwil niebiańskiej równowagi oraz szaleńczych napadów szczęścia i radości. Swoimi nastrojami зараżał wszystkich naokoło. Gdy był przygnębiony, świat stawał się szary jak londyńskie drzewa w strugach deszczu. Gdy był wesoły, zewsząd wybrzmiewały fanfary i werble, dom upodabniał się do

średniowiecznego jarmarku, do prerii w maju, do podniebnego wlotu ptaków; wypełniał się śmiechem Willi, kapryśnym i niestałym jak morska fala. Tej nocy wakacyjny dom nad jeziorem Coheeries jaśniał niczym świeca w papierowym kubeczku. Było to w przeddzień wigilii Bożego Narodzenia, Isaac Penn harcował jak szalony kozioł. Przykucał i tańczył z Willą, boksował się z Harrym, zwinął dywan i wycinał szkockie tańce przed kominkiem – w towarzystwie służby oraz najbliższych sąsiadów, państwa Gamely. Śmigały kolana, nad nimi kilty, nogi latały jak u marionetek, suknie wirowały radośnie w żółtym świetle. Wszędzie stały butle rumu i szampana, tace z ciastem i pieczonym mięsem (no, może nie wszędzie: nie było ich w kominku, na szczycie harfy, na suficie...). W domu było jasno i ciepło. Tańczyły nawet koty.

Telegrafista zapukał do drzwi. Ktoś mu otworzył – i oto stanął w progu, cały w śniegu i lodzie, jak okryty szronem krzak. Wszedł do środka, mrużąc oczy przed światłem bijącym weń jak w bęben, zrobił parę błędnych kroków niczym skołowany żuk i zatrzymał się. Dostał kubek żonkilowego ponczu i gdy jego wąsy zaczęły tajać w gorącym napoju, a wielkie cyrkowe organy zaczęły grać starą melodię Indyk w sianie, oznajmił:

– Telegram.

Ależ się zdziwił, ujrawszy ich reakcję! Pennowie tańczyli i wiwatowali jak gromada wariatów.

– Ja tylko powiedziałem „telegram” – zaprotestował – a nie „Drugie Przyjście”.

– Niech cię Bóg błogosławi! – krzyknęli gospodarze i znów zaczęli wiwatować, do reszty zbijając z tropu telegrafistę, który przez bitą godzinę leciał do nich jak duch po lodowej gładzi. – Telegram! Telegram!

„Wariaci – pomyślał – typowi miastowi wariaci”. A potem wręczył im depeszę. Harry odczytał jej treść:

– Nie mogę przyjechać nad jezioro. Spędzę święta w Mouquin na tańcach z Peterem Lake'em. Kocham was wszystkich. Moje życie nabrało blasku. Ucałujcie zwłaszcza Willę. Beverly.

Isaac Penn zatrzymał się nagle, osłupiał. Muzyka przestała grać. Mouquin? Jak Beverly może tańczyć w Mouquin? Przecież tam jest gorąco i tłoczno. Czy ona chce sobie zrobić krzywdę? I kimże, u diabła, jest Peter Lake?

Peter Lake umierał ze strachu, gdy tuż przed świętami wsiadał na swojego białego konia (czy też, jak go teraz nazywał, Athansora) i ruszał w stronę domu Pennów ukrytego w mglistej północno-zachodniej części Central Parku. Ze spotkania z Beverly najlepiej pamiętał nie tyle miłosne zatracenie ani to, jak go odmieniła, gdy ujrzał ją przy fortepianie, ile spojrzenie, jakim go żegnała. Stała u stóp schodów, w ostrym świetle z północnych okien, miękącym w złotej mgłę jej rozwichrzonych włosów. Patrzyła na niego z nieporównaną prostotą. Jej twarz nic nie mówiła, nic nie wyrażała; Peter nie widział w niej żadnej zachęty, żadnej zasadzki, żadnego planu. Ani nawet uczucia. Może Beverly była już tak zmęczona, że była w stanie jedynie patrzeć na niego pustym wzrokiem? Nie było wtedy między nimi żadnej bariery. Peter wciąż miał ją przed oczyma, stojącą samotnie u stóp schodów, jakby za chwilę miała wtopić się w chłodny pióropusz światła, łamiący się w jej włosach niczym fala przyprływu. Tak ją zapamiętał.

Dom, w którym mieszkała, był nienawykły do takiej upojnej prostoty, przeciwnie, stanowił popis kapryśnej, wesołej pomysłowości. Był mocniejszy niż kadłub arki, najeżony przeszkodami, i zachęcający jak zielony wieniec, który wisiał na frontowych drzwiach. Same drzwi były barwy jasnoniebieskiej, prawie szarej. Gdyby Pearly przechodził obok nich, na pewno by się zatrzymał.

– Dobrze wiem, jak to wszystko działa – powiedział Peter Lake pod nosem, zwracając się

do wieńca. – Za szybko się to stało, o wiele za szybko. Z takiego nagłego nawrócenia nic trwałego nie wyniknie. Na pewno jest tak zawstydzona, że nie zechce mnie widzieć na oczy. Nie będzie w stanie na mnie spojrzeć. Potem wpadnie w szal. Nie minie pięć minut, a znajdę się z powrotem na ulicy.

Drzwi otworzyły się w jego stronę, co było dość zaskakujące, ponieważ frontowe drzwi zwykle otwierają się do środka. Musiał wyglądać na zdziwionego, bo Jayga pospieszyła z wyjaśnieniem:

– Pan Penn mówi, że drzwi powinny otwierać się na zewnątrz jak właz na statku małorybniczym czy coś w tym rodzaju. Mówi, że lubi pakować ludzi do środka jak do domku dla lalków. Nie wiem, co przez to rozumie, tak czy owak drzwi otwierają się na zewnątrz. A ty w jakiej sprawie? – Obrzuciła go szybkim spojrzeniem. – Nie mamy wejścia dla dostawców.

– Ja do Beverly.

Jayga wpatrywała się w niego przez chwilę i krzyknęła:

– Bożeż ty mój! – po czym, jak gdyby sądziła, że może cofnąć czas, spytała raz jeszcze: – Ty w jakiej sprawie? Nie mamy wejścia dla dostawców.

– Ja do Beverly – odparł spokojnie Peter Lake.

– Do jakiej Beverly?

– Beverly Penn.

– Do tej Beverly Penn? Do panienki?

– Do tej Beverly Penn – powtórzył jak echo Peter. – Do panienki.

– Ty? – spytała zdumiona Jayga. – Nie wyglądasz mi, jakbyś skończył Harberd.

– Ja. Nie skończyłem Harberdu. Jestem taki jak ty, nie widzisz, bałwanico?

Jayga była wstrząśnięta do głębi, lecz zaprowadziła go na dach. Wewnątrz szklanej osłony było niemal ciepło. Beverly spoczywała na leżaku, z twarzą zwróconą w stronę nieba; wyglądała na wypoczętą i silniejszą, niż gdy widzieli się po raz pierwszy. Była tak samo spokojna jak chmury, które tego dnia wisiały na niebie litą, szarą zasłoną, stanowiła wręcz uosobienie opanowania. I była piękna. Na jej widok Peter przypominał sobie o istnieniu takich cnót jak siła i pewność, za którymi sam – wieczny uciekinier – najbardziej tęsknił. Przy Beverly czuł się tak, jak gdyby wszystkie bitwy miał już za sobą, i po raz pierwszy w życiu zapragnął się ożenić. Z rozkoszą myślał o tym, jak urodziwą tworzyliby parę. Wszystko to – i nie tylko to – przemknęło mu przez myśl w pierwszej, krótkiej chwili, gdy ujrzał ją na dachu.

Jayga zeszła na dół, wciąż rozdygotana, jak często czują się służący za sprawą swych panów. Peter Lake usiadł na twardym krześle naprzeciw leżaka Beverly. Płaszcz barwy węgla drzewnego okrywał mu kolana niczym okap. Gdyby miał kapelusz (nie nosił kapelusza), zdjąłby go teraz. Miasto przygotowywało się do świąt. Oboje czuli narastające napięcie, lecz wypełniał ich spokój.

A potem zdarzyła się pewna rzadka rzecz, o której czasem marzą mężczyźni i kobiety. Przeprowadzili pełną rozmowę w kompletnym milczeniu: dzielili się uczuciami, planami, okrzykami, żartami, opiniami, śmiechem i marzeniami – błyskawicznie, bez słów, w niepojęty sposób. Ich twarze i oczy były ruchliwe niczym światło na piaszczystej łasze zalewanej przez wodę. Peter niekiedy kradł ogromne diamenty, białe, żółte i różowe; przed oddaniem ich paserowi lubił spędzać z nimi długie, cudowne godziny, wpatrywał się jak urzeczony w światło tańczące w ich wnętrzu. One chyba także, podobnie jak teraz Peter i Beverly, umiały mówić bez słów.

Było to osobliwe nie ze względu na treść, lecz na sposób, w jaki była przekazywana: przesyłali ją między sobą bez żadnego oporu. Z zachwytem przyglądali się sobie w pełnym

świecie dnia. On był przystojny, ona piękna. Miło było otrzymać niespodziany dar, jeszcze wspanialszy niż te, którymi obsypuje nas pamięć. Wyznali sobie, że się pokochali. Małżeństwo wydawało się doskonałym pomysłem – czy trzeba było martwić się czekającymi ich przeszkodami, skoro Beverly nie miała wielkiej szansy przeżyć kolejnego roku?

– Mouquin? – spytał Peter Lake, przerywając ciszę. – Nie mogę iść do Mouquin.

– Ale ja chcę tam iść – odparła Beverly, kompletnie ignorując jego protest, a potem, gdy już schodzili na dół, szczebiotała samolubnie: – Mogę włożyć którąś z sukien mojej matki. Na przykład jedwabną, biało-niebieską. Ubrania, które nosiła, są teraz krzykiem mody.

– To świetnie – rzekł Peter. – Naprawdę świetnie, ale...

– A Mouquin, jak mówią, to żółty drewniany budynek, który z zewnątrz wygląda jak pospolity pensjonat, ale w środku znajduje się francuska sala taneczna, z balustradami z marmuru, paprociami w rzędach, orkiestrą. I zawsze jest tam pełno ludzi, wszyscy wchodzi, wychodzą, tańczą. Tańczą tak, jak gdyby nikogo prócz nich tam nie było, bo są zakochani. Ojciec mówił, że każdy jest tam ubrany jak spod igły. I mówił jeszcze, że to miejsce jest tak cudowne i szczęśliwe dlatego, że ma w sobie jakąś smutną nutę.

– Właśnie, smutną nutę – powiedział Peter, rozsiadając się na brązowej aksamitnej kanapie w bibliotece. – Smutną zwłaszcza dla mnie. Nie mogę iść do Mouquin. Pearly Soames prawie stamtąd nie wychodzi.

Opowiedział Beverly o tym, jak Pearly poprzysiął mu śmiertelną zemstę, i że choć jest to osobnik banalny i wielki niezguła (często się potyka, uderza głową o różne rzeczy i przytrząskuje sobie palce w drzwiach), dotrzymuje obietnic i zdolny jest spełnić je w najwymyślniejszy sposób.

– Zresztą byłem już w Mouquin – zakończył. – I zapewniam cię: tam wcale nie jest tak wspaniale. Na pewno nie ma się o co zabijać.

Beverly oparła głowę na oparciu kanapy i zamknęła oczy. Z powodu gorączki zaczynała czuć się zmęczona, co przydawało jej uroku i kłótlowości. Jayga próbowała zająć się swoimi sprawami w kuchni, lecz nie mogła się oprzeć pokusie szpiegowania ich, wychylała się więc co chwila zza kredensu i zerknęła w głąb ciemnego korytarza, w stronę rozświetlonej biblioteki o czerwonych ścianach. W wyobraźni Beverly Mouquin urósł wręcz do rangi nowego świata, był jak alabastrowe jajko z zamkniętym wewnątrz pejzażem przedstawiającym cichą, śnieżną rosyjską Wielkanoc, miniaturowym rajem, w którym – gdyby weń wkroczyć – mogłyby zdarzyć się cuda. Myślała sobie beztrąsko, że tańce w Mouquin może wyгнаłyby z niej chorobę, zniszczyłyby ją powodzią dobroczynnego światła, wzniosły zasłonę czasu i piękna, przez którą mogłaby przejść na drugą stronę, gdzie nie istnieje gorączka, a ci, co się kochają, mogą żyć wiecznie. Kłopoty Petera z Pearlym wydawały jej się drobnostką.

– Nie wyobrażam sobie – rzekła – by Pearly mógłby zrobić ci krzywdę w chwili, gdy ze mną tańczysz.

– Co ty nie powiesz!

– Tak. Mam bardzo silne wrażenie, choć właściwie nie wiem dlaczego, że jesteś ze mną bezpieczny, i to wszędzie: nawet w Mouquin, nawet w sypialni Pearly'ego, nawet w najciemniejszym grobowcu.

Peter Lake szczerze się zdumiał – nie tylko tym, że Beverly uważa się za zdolną do zapewnienia mu ochrony, ale też tym, że z jakiegoś powodu jej wierzył.

– Jeśli pozwolisz, wołałbym nie sprawdzać, czy naprawdę masz taką moc – powiedział na wszelki wypadek.

– Ja chcę do Mouquin! – wrzasnęła tak głośno, że Jayga aż podskoczyła i uderzyła głową

w wiszący na ścianie kocioł. Nie mogła krzyknąć z bólu, odtańczyła więc w milczeniu długiego morrisa.

– Mówię ci, że nic ci się tam nie stanie. Ja ryzykuję więcej: muszę wbić się w sztywne suknie, wsiąść do powozu, tańczyć, pić, siedzieć w gorącej, tłocznej, kipiącej zabawą sali. Pearly nawet cię nie tknie.

Wierzył jej. Gdy była zmęczona, stawała się dziwniejsza niż wyrocznia: wydawała apodyktyczne sądy, mówiła nagłaco, samolubnie, delirycznie. Wyczerpana, znów złożyła głowę na oparciu. Peter słyszał jedynie jej oddech, tykanie zegara i jakiś tupot w kuchni. Gdyby przyszedł z Beverly na tańce do Mouquin, Pearly Soames padłby chyba trupem na miejscu. Lecz nawet jeśli nie, cóż z tego? Byłby to piękny koniec. Opiłby się szampanem i cały haut monde, beau monde oraz ten gorszy monde – w Mouquin swobodnie mieszały się ze sobą różne sfery – byłyby świadkami jego końca. „Ach, do diabła – pomyślał – cóż mi szkodzi? Przynajmniej poczuję, że żyję”.

– Niech będzie – powiedział. – Pójdę z tobą do Mouquin. Ale zaczekajmy do sylwestra, wtedy będzie tam zabawa na całego.

– Dobrze – odparła. – W takim razie mamy czas, by wyjechać nad jezioro Coheeries, do mojej rodziny. Chcę zobaczyć ojca i Willę. Chcę się z nimi spotkać...

Mówiła coraz słabiej, coraz mniej przytomnie. Peter zastanawiał się, w co wciąga go ta śliczna młoda dziewczyna, w której często odzywa się taka władczość. Nie miał pojęcia, dokąd to wszystko prowadzi, ale wiedział, że ją kocha.

– Nad jezioro Coheeries? – spytał. – No dobrze, jedźmy nad jezioro Coheeries.

– Cieszę się – powiedziała tak miękko, że ledwie ją usłyszał.

Do czarnego komina statku kursującego do Albany przywiązana była mała sosenka. Gałęzie miała wygięte od ciągłej walki z wiatrem, ale widać było, że jest to bożonarodzeniowa choinka. Peter Lake i Beverly wjechali do ciemnego luku; umieścili Athansora wraz z dwoma czy trzema innymi końmi w wygodnej stajni, sanie zostały przyśrubowane do pokładu. Gdy do pracujących na jałowych obrotach maszyn podłączono generator, oboje nagle ujrzeli się nawzajem w ostrym elektrycznym świetle: on w swym szarym płaszczu, ona w gładkich, kosztownych sobolach. Peter upewnił się, że Athansorowi jest wygodnie, po czym wziął Beverly pod rękę i zaprowadził na górę, do kabiny – a właściwie to ona zaprowadziła jego, podróżowała w niej już bowiem setki razy.

Gdy stanęli przed drzwiami, Peter spojrzął przez reling na nabrzeże. Przekupnie sprzedawali pajdy gorącego chleba, kasztany, herbatę i kawę.

– Powinienem kupić chleb i herbatę na drogę – powiedział. – Nie, wystarczy herbata. A może lepiej piwo?

– Nie trzeba – odparła Beverly.

– Jak to? Musimy coś jeść.

– Na statku jest restauracja; jeśli chcesz, możesz wezwać stewarda o czwartej rano i zażyczyć sobie pieczone ostrygi, gorący rum, żeberka wołowe i co tam jeszcze przyjdzie ci do głowy.

– Tak? No to do diabła z kasztanami.

Kajuta była dwupoziomowa. Na dole znajdował się duży stół z wiszącą nad nim lampą naftową w przegubowej oprawie (po zelektryfikowaniu statku pozostawiono ją na życzenie Isaaca Penna), duże łóżko, piętrowe koje, biurko, kanapa oraz łazienka z pełnym wyposażeniem. Na górze znajdowało się jeszcze jedno łóżko i kilka skórzanych foteli, ustawionych naprzeciw okna wychodzącego na sterburtę. Ponieważ statek wyruszył w południe w górę rzeki, jego prawa

strona była scenerią najwymyślniejszych słonecznych iluminacji.

– To nasza kabina – rzekła Beverly. – Brayton Ives przewozi codziennie nowy nakład „The Sun” z Glenn Falls. Gazeta przynosi linii spore zyski, trzymają więc tę kabinę specjalnie dla nas. Musimy za nią płacić, ale tak jak za zwykłą kajutę. Te zwykłe są małe, ale też zupełnie wygodne. Kiedyś, gdy byliśmy dziećmi, Harry i ja zajęliśmy jedną z nich: nad jezioro jeździło wtedy tylu Pennów, że w dużej kabinie nie było wolnych łóżek.

Statek odbił od brzegu i ruszył przebitym przez lód kanałem. Nie zdejmując płaszczy, Peter i Beverly położyli się na jednym z łóżek i całowali się przez całą drogę do Riverdale. Przez dudnienie silników przebijał się jazgot orkiestr dętych na Upper West Side i cichy śpiew chórów z mniejszych kościołów. Wstali dopiero w Riverdale. Wyszli na pokład i ujrzeli, że znaleźli się w dziczy: łagodne wzgórza, zasypane śniegiem palisady, drzewa roziskrzane od szronu oraz rozlewisko Tappan Zee, otwierające się przed dziobem niczym rzeka płynąca od samego bieguna, były ich Bożym Narodzeniem, a gorące dudnienie silnika – świąteczną muzyką.

Gdy dopłynęli do Tarrytown, słońce zachodziło i wieże, iglice i ceglane budynki na wzgórzu rozświeciły się na czerwono i pomarańczowo niczym tropikalne owoce. Gdy mijali Ossining, zapadł zmierzch i zaśnieżone pola stały się błękitne i fioletowe. Wszystkie domy w miasteczku, stojące wysoko na wzgórzach, jaśniały od środka jak świetliki – był to znak, że mieszkające w nich rodziny, i te szczęśliwe, i nieszczęśliwe, i te pozostałe, gromadzą się już przy przedświątecznym obiedzie w holenderskim stylu. Nietrudno też było się domyślić, że na zamrzniętych stawach bawią się chłopcy na łyżwach, śmigają po wąskich przesmykach lodu biegnących niczym kaniony wśród dębów i kęp tataraku. Rzeka w Ossining była tak szeroka, piękna i spokojna, przybrzeżny lód w Croton Bay ciągnął się w tak nieskończoną, arktyczną dal, góry na północy były tak górzyste, lasy na wschodnim brzegu tak urokliwe, światła schludnych domów tak nęciły ze skrajów sadów i pól oraz kotlin wśród wzgórz, że Peter Lake i Beverly stali przez cały czas na pokładzie, choć twarze drętwiały im od mrozu.

Zatoka Haverstraw była żeglowna, ale w kanale pływały potężne bloki lodu; wzmocniony stalą dziób najeżdżał na nie od góry i kruszył je. Przy każdym takim uderzeniu bocznokołowiec drżał tak potężnie, jak gdyby główną zejściówką spuszczone tysiąc dzwonów. Stanowiło to doskonałe uzupełnienie potężnie napierającego wiatru, łomotu silnika i różnorodnych świstów parowego gwizdka. Peter Lake i Beverly stali wciąż na pokładzie z twarzami rozognionymi od północnego wichru i przyglądali się, jak Brayton Ives roztrąca kolejne kry, miażdżąc je na drobne lodowe konfetti bądź po prostu łamiąc na pół.

Góry, między które wpływała rzeka, teraz pobielone zimą, latem stanowiły zielono-brązowy pejzaż wzniesień i stromych łańcuchów, upstrzony połamanymi przez pioruny drzewami, w których gnieździły się całe legiony potężnych orłów. Statek oddalił się zaledwie o pół dnia drogi od Nowego Jorku, lecz doliny między górami były tak cieniste i bezludne, jak gdyby znaleźli się już na dalekim zachodzie. Na północ od Haverstraw nie było już widać żadnych światła, a całe Verplanck, gdzie rządziły bojery, spało już bądź siedziało przy kominkach, pogasiwszy światła. Wzgórza były pokryte nieużytkami, woda czarna, lodowe kry grubiały z każdym obrotem napędowych kół – Brayton Ives walczył jednak z nimi niezmordowanie, tym zacieklej, im stawały się masywniejsze.

Statek parł naprzód przez kry przez całą noc. Peter i Beverly tymczasem poszli spać i przyśniło im się, że krążą nad ziemią z rozpostartymi rękoma niczym aniołowie. Kłęby dymu wpadały czasem przez otwarte okno i piekły ich w oczy, zaraz jednak wywiewał je przeciąg i oboje znów wlatywali ponad morze lub szybowali gdzieś nad ciemnym łańcuchem środkowoazjatyckich gór. Mieli wrażenie, jakby całe życie spędzili na brnięciu przez lód. A

potem zbudzili się mroźnym świtem i usłyszeli wielkie poruszenie na pokładzie.

– Co mamy do spalenia? – krzyknął kapitan ze sterówki.

– Dąb i sosnę smołową, panie kapitanie! – odkrzyknął majtek z oblodzonego pokładu dziobowego. – I ładunek mahoniu – dodał po namyśle.

– Zaczniście od sosny. Na wierzch rzućcie dąb. Jeśli nie zdołamy ruszyć pełną parą, dorzucicie ten przeklęty mahoń. Zapłacimy za niego.

Brayton Ives dotarł do Conn Hook, rzeka była tam tak wąska, że pokrywa lodowa wyglądała jak prosta marmurowa droga. Statek musiał wdrzeć się na kruchy lód (wyskakując z rzeki niczym mechaniczna kaczka ze stawu) i złamać go swoim potężnym ciężarem. Nie była to już zwyczajna nawigacja, lecz prawdziwa zimowa wojna.

Parowiec cofnął się ćwierć mili przez rozłamane niedawno kry i zatrzymał się. W kotłowni drewno wędrowało z rąk do rąk ustawionych w szeregu marynarzy i lądowało w paszczy ogniowego potwora. Paleniska buchały żarem, huk niósł się daleko po polach. Rosło ciśnienie. Starszy mechanik spod zmrużonych powiek spoglądał na przesuwające się wskazówki liczników. Trzy słupki kolorowej cieczy minęły ostrzegawcze czerwone kreski. Mechanik wstrzymał oddech: 1750 – 1800 – 1850 – 1900 – 1950 – 1975 – 2000! Przesunął dźwignię na całą naprzód, zastanawiając się, czy maszyny wytrzymają, czy rzeka nie stanie się za chwilę sceną kolejnej tragicznej eksplozji.

Przekładnie i regulatory pracowały z taką szybkością, że aż zamazywały się w oczach. Rozgrzewał się olej. Wały napędowe zaczęły kopcić, mimo że chłopcy okrętowi polewali je zimną wodą z wiader. Koła napędowe miały wodę, żłobiąc w niej rów, cięty ją w kłębach pary niczym piły. Brayton Ives przemknął ćwierć mili z prędkością kuli armatniej i grzmotnął w lód. Powoli, lecz niewstrzymanie wspiął się na krę, a następnie, pchany naprzód kołami, które młóciły lód jak oszalałe młyny, przejechał na stępkach dobre tysiąc stóp. Zatrzymał się tak daleko, że cała załoga, kapitan, a także Peter i Beverly, stojący na przechylonym trzecim pokładzie, nie byli pewni, co się właściwie wydarzyło i gdzie się znaleźli.

– Zaraz wybuchnie! – krzyknął starszy mechanik i otworzył zawór bezpieczeństwa. Strumień pary wystrzelił w górę nad Hudsonem z gwizdem tak głośnym, że można było go usłyszeć na północnym skraju jeziora Champlain. Koła przestały się obracać. Otwarty kanał był tak daleko za rufą, że ledwie było go widać. Brayton Ives wyglądał jak zabawkowy stateczek w przystrojonej zimowo sklepowej witrynie.

Któryś z marynarzy na dziobie poruszył się, lecz kapitan powstrzymał go ruchem ręki. Wszyscy nasłuchiwali, zerkając to na białą rzekę, to na niego, stojącego z rozpartymi rękoma. Minęła minuta, dwie minuty, trzy, cztery. Po pięciu minutach niedowiarłkowicie byli już pewni, że kapitan na dobre unieruchomił statek i trzeba będzie posłać do West Point po wóz dynamitu. Kapitan pozostał jednak nieporuszony, stał na mostku z rękoma wciąż w tej samej pozycji i nasłuchiwał.

– Spójrz – powiedziała Beverly. – Uśmiecha się.

Kapitan faktycznie uśmiechnął się z zadowoleniem i opuścił ręce. Załoga sądziła, że z humorem przyjął porażkę, i zaczęła się śmiać. Szyper pogroził im palcem i spojrzał w przód ponad ich głowami.

Wszyscy spojrzeli w ślad za jego wzrokiem, na północ, skąd nagle dobiegł łoskot przypominający rozciągnięty w czasie trzask bicza. Przez środek lodowej pokrywy biegła w ich stronę czarna krecha. Kapitan znacznie wcześniej niż wszyscy wiedział, co się stanie (dlatego był kapitanem). Potem świat jakby pogrążył się w chaosie: zamarznięta na kamień rzeka rozłupała się na dwoje i statek z hukiem wpadł w przepaść uwolnionej wody. Przed dziobem

otworzył się kanał żeglugowy, czysty jak przesmyk między portowymi pirsami. Maszyny poszły w ruch i statek ruszył spokojnie na północ – tam, gdzie nie widać już było ludzi, lecz jedynie góry, jeziora i zasypane śniegiem stopy, i gdzie mieszkali zimowi bogowie, igrający z burzami i gwiazdami.

Jayga obserwowała, jak Peter Lake i Beverly ładują bagaż na sanie, zaprzęgają Athansora i odjeżdżają, okutani w futra. Nie minęła minuta, a popędziła na posterunek policji i ogłuszyła dyżurnego sierżanta zawilą opowieścią posklejaną z fragmentów tragedii Szekspira, które deklamowano niekiedy w piwiarniach, głównie Otella, Króla Leara i Hamleta, oraz strzępów piosenek w rodzaju Molly czy Gdy byliśmy młodzi w Killarney. Wyrzucała ją z siebie tak głośno i w takim tempie, że nie miała czasu przejmować się gramatyką:

– Młoda panienka i ten jej gagatek wzięli i smyrnęli! Od -rozum wiedziała, że to jest ladaco, harcuje po nocach, i po co, i na co? Słuchaj mię, panie! Zaprawdę, od razu słyszałam podszept niejasny, gdy zjawił się cwany, w dziadwabie odziany, pełen słów wzniosłych, tęczujących chytrze. Przekleństwo!

– Że co? – dopytywał się sierżant. – Chcesz zgłosić przestępstwo?

– No przecie, że chcę! Niech cię licho, ty bździągwo jarzębata!

Jayga uznała, że skoro przyszła na policję w imieniu Pennów, wolno jej przedstawić swą sprawę właśnie takim tonem. Zaczęła wytwarzać tak niesamowite szczegóły, że sierżant wychylał się coraz bardziej zza biurka, aż jego brzuch przygniół księgę zatrzymań, zupełnie jakby mały hipopotam zaległ na kieszonkowej Biblii. Peter Lake miał rzekomo czerwone oczy, miał pioruny smagnięciami bata, jego koń umiał latać (Jayga widziała to na własne oczy, gdy krążył nad domem, czekając na pana). A jak błagała panienkę, by została! Padła jej do stóp, rzuciła się przed sanie, ale na próżno. Po półgodzinnym paplaniu wykrzyknęła w końcu: – Jezus Maria, zostawiłam ciastka w piecu! – i zniknęła z posterunku tak szybko, że policjanci zaczęli się zastanawiać, czy im się tylko nie przyśniła.

Między redakcją „The Sun” a jeziorem Coheeries zaczęły krążyć telegramy. Doręczyciel miał podczas tych świąt wyjątkowo dużo pracy, jego bojer śmigał przez jezioro kursem prościej niż lufa karabinu Sharpsa.

BEVERLY ZNIKNEŁA STOP JAYGA MÓWI ŻE UCIEKŁA Z CHAMANTEM STOP
CO ROBIĆ STOP

CO PYTAJNIK WYKRZYKNIK ZNAJDŹCIE JĄ STOP SPRAWDŹCIE NA DACHU
STOP SZUKAJCIE WSZĘDZIE STOP

WSZYSCY SZUKAJĄ WSZĘDZIE STOP NIE MOŻEMY ZNALEŹĆ STOP CO
ROBIĆ STOP

SZUKAJCIE DALEJ STOP

NIGDZIE JEJ NIE MA STOP

SZUKAJCIE WSZĘDZIE STOP

CO TO ZNACZY WSZĘDZIE PYTAJNIK STOP

CZY MAM WYJAŚNIĆ DOKŁADNIE PYTAJNIK STOP

TAK STOP

SZPITALE HOTELE MAGAZYNY RESTAURACJE PIEKARNIE PRZĘDZALNIE
LIN STAJNIE STATKI TOWAROWE MLECZARNIE HURTOWNIE WARZYW
BROWARY CIEPLARNIE RZEŹNIE ŁAŹNIE TARGI DROBIU URZĘDY PAŃSTWOWE
SKLEPY DETALICZNE RUSZTOWANIA WARSZTATY PRZEMYSŁOWE GIMNAZJA
KUŹNIE SZKOŁY PRACOWNIE MALARSKIE BIURA POŚREDNICTWA PRACY
LOKALE TANECZNE BIBLIOTEKI TEATRY BARY OSTRYGOWE GARNCARNIE

BOISKA DO SQUASHU DRUKARNIE DOMY AUKCYJNE LABORATORIA CENTRALE
TELEFONICZNE STACJE KOLEJOWE SALONY PIĘKNOŚCI KOSTNICE NABRZEŻA
ZBROJOWNIE KAWIARNIE KLUBY SUSZARNIE MUZEA POSTERUNKI POLICJI
DRÓŻKI ROWEROWE GARBARNIE WIĘZIENIA ZAKŁADY FRYZJERSKIE
GARDEROBY BANKI BARY KONWENTY KLASZTORY KUCHNIE SAŁATKOWE
TERMINALE MORSKIE KOŚCIOŁY GALERIE OŚRODKI KONFERENCYJNE BURDELE
SZKOŁY MUZYCZNE HANGARY LOTNICZE I WIEŻE OBSERWACYJNE STOP
CZY SPRAWDZILIŚCIE W PIWNICY STOP
TAK STOP

Brayton Ives rzucił kotwicę u podnóża wysokich gór ciągnących się wzdłuż zachodniego brzegu rzeki. Spuszczono rampę na lód. Maszyny pracowały na jałowych obrotach, posyukując niegłośnie, panował spokojny, sielski bezruch. Raptem z ładowni wyskoczył Athansor, zaprzężony do sań, na których siedzieli Beverly i Peter Lake: załomotał kopytami i nim marynarze zdążyli z powrotem wciągnąć rampę, już galopował białą drogą wiodącą w góry. Nad krawędziami tysiącstopowych przepaści nie było żadnych barier, jedynie oszronione drzewa i wiecznie zielone krzaki, od dawna zamknięte w grubych śnieżnych sarkofagach. Pędzili pod górę przerażającymi zakosami, zmrożone szczyty rozstępowały się przed nimi pod mroźnym, bezchmurnym niebem. Wreszcie zatrzymali się na niewielkiej przełęczy i spojrzeli w kierunku zachodnim. Peter Lake nigdy dotąd nie widział tak rozległej równiny: ciągnęła się na setki mil we wszystkie strony, znajdowały się zaś na niej lasy, pola, rzeki, miasteczka oraz jezioro Coheeries – oddalone o dwadzieścia mil, milczące, pokryte śniegiem, szersze niż zasięg dźwięku waltorni, rozmigotane na horyzoncie pozornymi falami, istne udzielne królestwo na dalekim, nieobecnym na mapach pograniczu. Potem ruszyli z kopyta, niemal polecieeli szeroką, prostą, zaśnieżoną drogą w dół, ku jezioru.

Athansor mknął szaleńczym, ognistym galopem. Gdy już jechali ścieżką dla sań, wytyczoną równoległe do szlaku dla bojerów, Beverly podniosła się nagle i wskazała pojazd pędzący z naprzeciwka śnieżnym korytarzem:

– Moja rodzina!

Isaac Penn rozpoznał swoje sanie, poluzował żagiel i zaciągnął hamulec, aż spod rufy bojera wzniósł się lśniący pióropusz lodowego pyłu. W ciszy, mąconej jedynie ciężkim dyszeniem konia i łopotem żagla, Pennowie wytrzeszczyli wzrok na Beverly i Petera, ci zaś odpowiedzieli tym samym. Nikt nie wiedział, co powiedzieć; jedynie Willa wychyliła się i wyciągnęła ręce w stronę Beverly, swej najulubieńszej, najukochańszej siostry. Peter Lake zeskoczył z sań, wziął ją na ręce i podał Beverly. Willa wyglądała jak niedźwiadek igrający z matką niedźwiedzicą: obie okutane były w lśniące czarne futra, a Beverly trzymała ją tak, jakby miała nigdy nie wypuścić jej z rąk.

Willa zamknęła oczy i zasnęła z zadowoleniem. Isaac Penn zawrócił bojer, Peter Lake strzelił z bicia. I wszyscy pomknęli w stronę brzegu pod niebem ulanym z gładkiego lazuru.

– Pędź, Peterze Lake, nie ustawaj – powiedziała Beverly, przyciskając do siebie siostrzyczkę.

Peter nigdy nie miał rodziny. Nagle jednak stał się prawie mężem i ojcem. Drobne zdarzenia potrafią być tak piękne, że mogą odmienić człowieka na zawsze. Peter nigdy nie zapomniał tego południa, gdy pędzili po zamrożonym jeziorze, nigdy też nie zapomniał jej słów.

– Pędź, nie ustawaj – powiedziała. Taki właśnie miał zamiar. Wszystko się zmieniło. Teraz jedyną rzeczą, jakiej pragnął, była miłość.

Spali do wieczora: Beverly w specjalnie skonstruowanej łodzi, Peter w sypialni na piętrze. Zbudził się w kompletnej ciemności, po omacku przeszedł przez korytarze i schody do potężnego salonu, gdzie przy dwóch kominkach zastał wszystkich Pennów, rozbudzonych i wpatrzonych w ogień, w tym Beverly, która właśnie weszła się ogrzać. Peter oznajmił, że musi zajrzeć do konia, i wyszedł tylnymi drzwiami. Powietrze było niczym kryształowa góra z lśniącym na szczycie księżycem. Peter dotarł po śladach płóz do stajni. Athansor stał w sennym, zadowolonym rozmarzeniu, przykryty grubym szkarłatnym kocem. Peter uspokoił się i wrócił do domu. Wszyscy prócz Isaaca Penna zdążyli udać się do kuchni i zajmowali się właśnie przygotowywaniem uczyty, tak wielkiej, że mogłaby wyżywić armię Hunów, Mongołów i plemię Eskimosów na dokładkę. Isaac Penn siedział w królewskiej pozie w skórzanym fotelu, wpatrywał się w ogień i bębnił smukłymi palcami po masywnym oparciu.

Peter Lake usiadł na drewnianej ławie przy kominku i spojrzał mu prosto w oczy. Spodziewał się kolejnego pojedynku na spojrzenia, jak ongiś z Pearlym Soamesem. Wiedział, że potężni ludzie potrafią wzrokiem zmniejszyć innych o połowę, i że często z tej umiejętności korzystają. Jackson Mead i Mootfowl robili to wprawdzie w dobrych intencjach, ale robili. Peter spodziewał się zatem, że zostanie przeszyty na wskroś i rozebrany na części, zwłaszcza że w porównaniu z jego obecnym rozmówcą Pearly był zaledwie niegroźnym szczeniakiem. Isaac Penn rządził miastem zza lustra, w jakim się przeglądało. Panował w niemal całkowity sposób nad wyobrażeniem, jakie miało o sobie, i potrafił drobnymi posunięciami zahipnotyzować je i zaczarować. Gdyby zechciał, mógłby przyprawić je o nerwowe spazmy, śmiertelnie je przerazić, opustoszyć ulice, mógł sprawić, by miasto zapragnęło schować się w najgłębszej dziurze. Z równą łatwością umiał wykrzesać z Nowego Jorku siłę, która zawstydziłaby największych tego świata, jak i kazać mu podnieść rękę i wyjąć pyłek z oka niemowlaka. Peter Lake spodziewał się, że za chwilę poczuje się jak nędzny robak.

Jakież było jego zdumienie, gdy Isaac Penn spojrzał mu w oczy i spytał głosem łagodnym jak meczenie owieczki (nawet wyglądał trochę jak owieczka, może właśnie po nim Willa odziedziczyła swój cudowny wyraz twarzy, odróżniający ją od reszty rodzeństwa – Beverly nie miała w sobie nic a nic z owieczki):

– Yyy... no... czy pijasz wino do posiłku?

– Czasami – odparł Peter Lake.

– Świetnie, a więc podamy wino. Czy może być claret? Na przykład Château Moules du Lac, rocznik dziewięćdziesiąty ósmy?

– Och, może być cokolwiek – odparł Peter Lake. – Ale pan wymówił to „klaret”. Czy nie powinno się raczej mówić „klarej”?

– Nie, „klaret”. Przez „t” na końcu, jak „filet”.

– „Filet”? Myślałem, że to też mówi się z francuska, „filej”.

– Nie, „filet”, jak „balet”. Nie mówi się przecież „balej”, prawda? Mówi się „balet”. Tak samo „filet” i „claret”.

Isaac Penn odchylił się w fotelu. Peter Lake nieco się rozluźnił. „Czemu się tak bałem? – pomyślał. – Przecież to tylko nieśmiały staruszek”.

– Wiesz co? – spytał Isaac Penn.

– Tak, proszę pana?

– Wyglądasz jak opryszek. Kim jesteś, czym się zajmujesz, co cię łączy z Beverly, czy jesteś świadom jej stanu zdrowia i jakie są twoje motywacje, intencje i pragnienia? Mów absolutną prawdę, nie błaguj, zamilcz, jeśli wejdzie dziecko lub służący, i mocno się streszczaj.

– Jakżeż mogę się streszczać? To skomplikowane pytania.

– Owszem, możesz. Gdybyś był jednym z moich dziennikarzy, już byś u mnie nie pracował. Bóg stworzył świat w sześć dni. Bierz z niego przykład.

– Spróbuję.

– Do rzeczy!

– W porządku.

– Do rzeczy!

– Nazywam się Peter Lake. Ma pan rację, jestem opryskiem. Włamywaczem. Ale także mechanikiem, i to dobrym. Kocham Beverly. Tego, co nas łączy, nie da się nazwać. Nie mam żadnych intencji. Jestem świadom jej stanu zdrowia. Pragnę jej. Motywuje mnie... miłość. Gdy jechaliśmy dzisiaj przez jezioro i Beverly trzymała swoją siostrzyczkę w ramionach, czułem, że jestem za nią odpowiedzialny, i było to uczucie wspanialsze od wszystkich, jakie znałem do tej pory. Zdaję sobie sprawę, że jest pańską córką. Zdaję sobie sprawę, że może umrzeć. I jestem bardzo mocno świadom tego, jak kiepsko nadaję się na ojca, obrońcę, głowę rodziny. Znam się na maszynach i na niczym więcej. Wiem, że jestem ograniczony. Wiem też... Wiem, że ta dziwna mała rodzina, którą widziałem na saniach, wkrótce się rozpadnie. Ale Willa kocha Beverly. Beverly jest dla niej jak matka. I myślę, że przez jakiś czas powinniśmy porządnie o nią zadbać, nawet nie tyle dla jej własnego dobra, ile dla dobra Beverly. Czy pan mnie rozumie?

– Skąd mam wiedzieć – spytał Isaac Penn – że nie kierujesz się zwyczajną próżnością lub ciekawością? Skąd mam wiedzieć, że nie wchodzisz do mojej rodziny dla pieniędzy?

Peter Lake panował już nad sobą w zupełności.

– Jestem sierotą – powiedział. – Sieroty nie są próżne. Nie wiem, czemu tak jest, ale żeby być próżnym, trzeba mieć rodziców. Mam swoje wady, ale z reguły podchodzę do wszystkiego z wdzięcznością, a ludzie próżni nie są zdolni odczuwać wdzięczności. Jeśli zaś chodzi o ciekawość... no cóż, widziałem już wiele, właściwie zbyt wiele. Ciekawość nie ma z tym nic wspólnego. Nie wiem, czemu pan o tym wspomniał.

– A pieniądze? Wiesz, czemu o nich wspomniałem?

– Tak, myślałem o pieniądzach. Myślałem z podnieceniem – uśmiechnął się. – Naprawdę. Głowa mi puchła od coraz upojniejszych marzeń: że jestem pańską prawą ręką, że robię wszystko, co tylko mogą robić ludzie potężni i bogaci, że codziennie wkładam inny garnitur i czystą bieliznę. Że zostaję senatorem, prezydentem. Że Beverly wraca do zdrowia. Że nasze dzieci również wyrastają na potężnych ludzi. Że pisze się o nas w encyklopediach, artykuły tak długie, że zajmują większą część tomu na literę „L”. Że w całym kraju stoją pomniki na moją cześć, marmurowe, białe jak śnieg. W końcu, muszę wyznać, szybowalem w kosmosie, razem z Beverly dotknęliśmy księżyca i poleciliśmy do gwiazd. Lecz proszę zauważyć, że po paru godzinach snucia takich marzeń nie ma już w nich dokąd pójść. Po paru godzinach bycia królem świata byłem rad, że jednak jestem Peterem Lake'em, o którym nikt nigdy nie słyszał, zupełnie anonimowym, wolnym. Panie Penn – ciągnął – takich zaszczytów pragną jedynie ci, którzy są na tyle głupi, by je sobie wyobrazić, a potem zostać z niczym. Nie, proszę pana, może się to panu wydać dziwne, nawet dla mnie jest to rzecz nowa (od kilku dni, jak mi się zdaje), ale pragnę jedynie odpowiedzialności. To byłaby dla mnie największa chwała. Chcę dawać, nie brać. I kocham Beverly.

– Czy zdajesz sobie sprawę... jak właściwie mam się do ciebie zwracać?

– Wszyscy mówią do mnie po imieniu i nazwisku.

– A więc czy zdajesz sobie sprawę, Peterze Lake, że te uczucia mogą zostać nadszarpnięte i zepsute przez pieniądze, przez bliskość pieniędzy?

– Tak, proszę pana. Już nieraz widziałem, jak się to dzieje. I czuję to w sobie.

– Co więc zamierzasz uczynić, by temu zapobiec, zakładając, że w ogóle będzie ci dany ten przywilej?

– Po prostu wiem, co robić. Brak mi wykształcenia, ale nie jestem głupi. Kiedy... jeśli... Beverly umrze, zniknę bez śladu. Nie chcę tego wszystkiego. – Zatoczył krąg ramieniem, jak gdyby wskazując na pokój, lecz w istocie miał na myśli cały świat.

– Sądzisz, że pozwoliłbym ci na to? Człowiekowi, którego pokochała moja córka? Bo wiem, że pokochała. Powiedziała mi o tym, choć wcale nie musiała.

– To nie zależy od pana.

– No cóż, Peterze Lake, wiedz zatem, że faktycznie ci na to pozwolę. Powinienem wyposażyć cię na resztę życia, wprowadzić cię do rodziny, uczynić cię jednym z nas. Ale nie zrobię tego. Jesteś tu tylko ze względu na Beverly. Rozumiesz?

– Tak, rozumiem. Oczywiście, że rozumiem. Powiem więcej, panie Penn: widocznie nie było mi dane mieć rodziny w takim sensie, jaki ma pan na myśli. Nie urodziłem się po to, by być ochranianym, lecz po to, by samemu ochraniać, bronić.

– A więc dogadaliśmy się. Zakładam, że teraz przestaniesz się włamywać i wrócisz do zawodu mechanika?

Peter Lake skinął głową.

– Jest jedna rzecz, jedyna rzecz, o którą jednak pana poproszę. W tej jednej sprawie potrzebuję pańskiej pomocy.

– Cóż to takiego?

– Dziecko. Widziałem kiedyś dziecko, w korytarzu, w czynszówce, dawno temu. Ze wszystkich rzeczy, jakie widziałem w życiu, to pamiętam najmocniej. Ono wciąż ze mną jest, od kiedy...

W tym momencie jednak Peter urwał, bo cała reszta rodziny weszła właśnie z kuchni do pokoju, z policzkami rozplamionymi od żaru, z talerzami i butelkami wina w rękach. Nim zasiedli do stołu, Beverly kazała wszystkim umyć ręce, nie dlatego, by było to konieczne (ręce mieli czyste), lecz dlatego, że chciała przytulić ojca i podziękować mu, że zaakceptował Petera, ujrzała to bowiem w wyrazie ich twarzy. Zresztą i tak podsłuchiwała pod drzwiami.

Późnym wieczorem, pokrzepieni dobrą kolacją i beztroskim śmiechem, Isaac Penn i Peter Lake zasiedli w małym gabinecie i zapatrzyli się w ogień. Sześć polan w kominku zmieniło się w czerwone płomieniste cylindry, ich kolor zmieniał się, aż stały się jak słońca w czarnym ceglanyms wszechświecie. Ich blask niczym niewidzialny wiatr rozjaśniał pokój i obrócił obu mężczyzn w kamień – znieruchomieli jak jeleń w płonącym lesie, który unosi głowę ku najwyższym i najjaśniejszym płomieniom i jak zaczarowany spogląda w tunel białego światła.

– Lekarze powiedzieli mi – odezwał się Isaac Penn, jakby do siebie – że Beverly umrze w ciągu kilku miesięcy. Było to prawie rok temu. – Zerknął w oblodzone okno, za którym wisiał zbłąkany księżyc, i zasłuchał się w wiatr dmący od jeziora, tak jak tylko tutaj potrafił dąć, potężny niczym huragany na powierzchni Marsa czy Saturna. – Nie mieści mi się w głowie, jak ona może spać na zewnątrz. Na zdrowy rozum nie powinna była się do tego przyzwyczaić. Zimą powinna siedzieć w domu, ale nie chce, nawet tutaj. Nie mogę oswoić się z myślą, że moja córka jest tam, w tej lodowej nawałnicy. Każdego ranka przychodzi na śniadanie pełna nowych sił, po dwunastu godzinach na mrozie, który zabiłby silnego mężczyznę. Wiatr i śnieg atakują ją, przytłaczają. Początkowo błagałem, by na noc wchodziła do środka; potem zdałem sobie sprawę, że właśnie to jej daje życie.

– Jak to się dzieje?

– Nie wiem. To jakaś tajemnica.

– Zastanawiam się... – powiedział Peter Lake, świadom tego, że znajduje się ciepłym, wygodnym miejscu, a za ścianami rozciąga się potężne morze śniegu i lodu, manewrujące niczym dzika, nieznająca sprzeciwu armia. – Zastanawiam się, co z innymi.

– Jakimi innymi?

– Tysiącami, setkami tysięcy takich jak Beverly.

– Wszyscy jesteście jak Beverly. Ona nas wyprzedza, to wszystko.

– Ale to wszystko nie musi tak wyglądać.

– Nie rozumiem. Mów jaśniej.

– Biedacy nie powinni cierpieć tak jak cierpią, milionami, i umierać młodo.

– Biedacy? Masz na myśli wszystkich? Na pewno masz na myśli wszystkich w Nowym Jorku, bo tam nawet bogaci są biedni. Ale czy Beverly jest biedna wedle twojej definicji? Nie. A zresztą, co to za różnica?

– Różnica polega na tym – odparł Peter – że małe dzieci, ich matki i ich ojcowie żyją i umierają jak zwierzęta. Nie mają specjalnych werand do spania, stosów sobolowych futer, marmurowych łaźni wielkości basenu, zastępów lekarzy z Harvardu i Johnsa Hopkinsa, półmisek pieczonego mięsa, gorących napojów w srebrnych termosach ani radosnych, szczęśliwych rodzin. Chcę, żeby Beverly miała to wszystko, wołałbym umrzeć, niżby miała to wszystko stracić. Ale różnica istnieje. Dziecko, które widziałem kiedyś w korytarzu, było bosa, z gołą głową, ubrane we wstrętne łachmany, wygłodzone, ślepe, porzucone. Nie miało puchowego łóżka. Było bliskie śmierci. I stało, ponieważ nie miało gdzie się położyć i umrzeć.

– Wiem o tym – stwierdził Isaac Penn. – Widywałem takie rzeczy o wiele częściej niż ty. Zapominasz, że byłem biedniejszy od ciebie, i to przez dłuższy czas niż ty żyjesz na świecie. Miałem ojca, matkę, braci i siostry; wszyscy pomarli młodo, zbyt wcześnie. Dobrze o tym wszystkim wiem. Masz mnie za durnia? W „The Sun” piszemy o różnych niesprawiedliwościach, podpowiadamy, jak zlikwidować nierówności społeczne tam, gdzie niczemu nie służą. Zdaję sobie sprawę, że za dużo jest niepotrzebnego i okrutnego cierpienia. Ty natomiast nie rozumiesz, że ci, których orędownikiem się mienisz, są w swych zmaganiach wynagradzani.

– W jaki sposób?

– W swych postępkach, namiętnościach, emocjach. Ich ciałami i zmysłami kieruje wyższa siła, ta sama, co zawiaduje najdrobniejszymi szczegółami pół roku czy nieskończenie drobnymi elementami składającymi się na potężny i jednolity ruch miasta. Każdy z tych ludzi w swych pozornie przypadkowych działaniach jest częścią pewnego planu. Nie wiesz o tym?

– Nie widzę sprawiedliwości w tym planie.

– A kto powiedział – wybuchnął Isaac Penn – że ty, zwykły człowiek, zdolny jesteś dostrzegać sprawiedliwość? Kto powiedział, że sprawiedliwość jest tym, czym ci się wydaje? Czy możesz mieć pewność, że ją rozpoznasz, że będziesz żył dostatecznie długo, by poznać, jak nadchodzi w huku grzmotów, że ujawni się w ramach jednego pokolenia, dziesięciu pokoleń, w ciągu całego istnienia gatunku ludzkiego? Ty nie mówisz o sprawiedliwości tylko o zdrowym rozsądku. Sprawiedliwość jest wysoko ponad nami i wcale nie tak łatwo ją zrozumieć, póki nie ujawni się w swej nieomyślnej chwale. Ten nadrzędny plan, o którym mówię, znacznie przekracza naszą możliwość zrozumienia. Ale niekiedy możemy poczuć jego obecność.

– Żaden choreograf, żaden architekt ani żaden malarz nie umiałby stworzyć planu subtelniejszego i dogłębnierzego – ciągnął pan Penn. – Każde działanie i każde zdarzenie ma swój cel. I im mniejszą ma się władzę, tym bliżej jest się tych wielkich fal, które oblewają cały nasz świat, cierpliwie przygotowując go na nadejście przyszłości – przyszłości, w której nie

nastanie żadna banalna, ludzka równość (to przypuszczenie godne dziecka), lecz odsłonią się olśniewające, zaskakujące powiązania między rzeczami, powiązania, które nam się dotąd nie śniły, zilustrowane na przykładach przeraźliwych i dobrotliwych zarazem. Wejdziemy w złoty wiek i ujrzymy nie to, czego sobie życzymy, tylko jakąś nagą, niełatwą prawdę, na której opiera się wszystko, co dotąd istniało i co kiedykolwiek będzie istnieć. Nasz świat jest sprawiedliwy, Peterze Lake, lecz w sposób, który dla nas musi pozostać tajemnicą. Dążymy do sprawiedliwości, nie wiedząc dokładnie, czym ona właściwie jest, i tylko ją muskamy. Niepotrzebnie: płomienie i iskry sprawiedliwości wszystkich czasów sięgają w przyszłe, niepojęte epoki i napędzają je niczym silniki, których moc mknie ukrytymi szlakami, przemierza ciemność i wytryskuje gdzieś w dalekich, nieznanych miastach.

– Sam nie wiem... – powiedział zakłopotany Peter. – Myślę o Beverly. Nie wiem, co sądzić o tym pańskim złotym wieku, który nastanie długo po naszej śmierci, nigdy więc go nie ujrzymy. Niech pan pomyśli o Beverly. Czemu tak się dzieje?

Isaac Penn wstał z fotela i ruszył do wyjścia. Przy drzwiach obrócił się do Petera, ten zaś pod wpływem jego spojrzenia uczuł, że ogarnia go chłód i samotność. Isaac Penn był starym człowiekiem i niekiedy przybierał przerażająco poważny wygląd, jak gdyby stanął twarzą w twarz z tysiącem udręczonych duchów. Ogień odbijał mu się w żrenicach. Jego oczy wyglądały nienaturalnie, niczym płomieniste tunele wiodące w głąb duszy, która wrosła tak głęboko, że wkrótce będzie musiała opuścić świat żywych.

– Czy ty jeszcze nie rozumiesz, że Beverly już widziała złoty wiek? – powiedział. – Nie ten, który był, ani który będzie, tylko ten, który jest teraz? Taki jestem stary, a sam go jeszcze nie widziałem. A ona owszem. Właśnie to najbardziej łamie mi serce.

Im bardziej zbliżały się święta, tym bardziej dzieci rozbawiały się w swej dziecięcej chciwości, bożonarodzeniowy poranek był zaś scenerią imponującej wymiany zdobyczy, wśród których nic jednak nie mogło się równać z prezentem Willi dla ojca – pierwszym, jaki komukolwiek dała w swoim króciutkim życiu. Namyślała się nad nim półtora dnia, potem Peter Lake wyruszył przez jezioro do miasta Coheeries i kupił co trzeba. Isaac Penn otwierał swoje prezenty ostatni – i znalazł wśród nich duże pudło z wyciętymi otworami, a w środku tłustego białego królika z zawieszoną na szyi tabliczką „Od Willi”.

Po południu Beverly i Peter Lake pojechali na przejażdżkę w towarzystwie kilkorga dzieci: Willi, Jacka, Harry’ego, Jamie Absonord (która właśnie przyjechała pociągiem i bojerem, serce zaś biło jej żywiej na widok Jacka, choć na razie oboje, bez żadnego powodu, kompletnie nie zwracali na siebie uwagi) oraz dwojga młodych Gamelych oraz Sarah Shingles, pulchnej i kapryśnej mieszkanki Coheeries, idealnie łączącej w sobie jankeski rozsądek, indiańską magię, angielską rzeczowość i holenderskie szaleństwo. Przysadziste, odporne na chłód dzieci Gamelych oraz młoda Sarah siedziały na wyższej tylnej ławce sań i wyglądały jak ustawione w szeregu bawarskie rzeźby w drewnie, gotowe na wszystko.

Jezioro było pokryte idealnie płaskim, ubitym śniegiem, Athansor miał nieskończenie rozległą przestrzeń do biegu. Gdy Peter Lake popuścił wodzy, koń ruszył z kopyta w stronę najdalszego brzegu jeziora. Wszyscy rozsiedli się na saniach i pozapinali palta. Sanie nabierały szybkości. Wkrótce koń pędził już szybciej niż było to w ogóle do pomyślenia w zimowych zaprzęgach, a poruszał się dopiero galopem. Dopiero później zaczął biec naprawdę. Wiatr chłostał z taką mocą, że wszyscy kulili się i mrużyli oczy. Dogonili nawet bojer pędzący po oczyszczonym szlaku, a następnie go wyprzedzili, tak prędko, że zdawał się stać w miejscu. W końcu Athansor uniósł głowę i zaczął sadzić długimi, płaskimi susami. Sanie oderwały się od powierzchni lodu i uleciały w powietrze. Płyły tylko co jakiś czas dotykały lodu, właściwie

ledwie go muskały, ilekroć zaś się to działo, rozlegał się cichy syk, jak gdyby śnieg od razu zamieniał się w parę. Dzieci były zdumione, ale nie bały się. Gdy tak pędzili prosto na zachód, ujrzeli nagle, że słońce przestaje zniżać się nad horyzontem, zatrzymuje, a potem zaczyna wspinąć się z powrotem.

– Wielki Boże! – zawołał Peter Lake przez zaciśnięte gardło. – Słońce wstaje na zachodzie!

Nikt go jednak nie usłyszał, wiatr atakował ich z całą furią, nie świstał już, tylko ryczał jak okrętowa syrena. Mknęli tak szybko, że nie sposób już było dostrzec czegokolwiek na brzegu, wszystko zmieniło się w gładką białą smugę podobną do paska emalii na porcelanowej misce. Nawet dzieci Gamelych skuliły się przed wiatrem i modliły się o ratunek. Potem Athansor zwolnił. Płozy znów sunęły po lodzie, wiatr osłabł, słońce zatrzymało się, a potem zaczęło się zniżać, ponownie ujrzeli też brzeg. Gdy Athansor wrócił do normalnego kłusu, Peter Lake skierował go w stronę łagodnych świateł zapalających się właśnie w jednym z siedlisk.

Było to małe miasteczko, położone na tak dalekiej prowincji, że miejscowi Irokezi wciąż jeszcze wyczekiwali przybycia francuskich wojsk. Zasypane było trzydziestostopową warstwą śniegu, domy wyglądały więc jak twory szalonego architekta budującego w dziurach w ziemi. Tawerna stała jednak na omiecionym przez wiatr wzniesieniu, jej światła było więc widać od strony jeziora. Z kominów unosiły się cienkie, zwarte słupy dymu. Dzieci zapamiętały sobie ten widok z myślą o późniejszych rysunkach.

Athansor podjechał do stojącej za gospodą szopy i obrócił się w stronę Petera Lake'a, jak gdyby pytając, czy ma wciągnąć sanie do środka. Beverly powiedziała, że nie, zaczeka na zewnątrz, kazała tylko Peterowi wprowadzić dzieci do środka na antwerpskiego flindersa. Peter zaprotestował: czemu nie wejdzie z nimi? To nie tańce w Mouquin, Beverly nie jest wciśnięta w suknię z gorsetem, mogą po prostu posiedzieć sobie kwadrans i wrócić do domu.

– Nie – powiedziała Beverly. – Jest mi okropnie gorąco.

Peter przyłożył jej rękę do policzka, potem do czoła. Temperaturę miała idealną. Wydawała się jednak zdenerwowana.

– Beverly, powiedz mi, czemu nie chcesz tam wejść?

– Powiedziałam ci – odparła. – Mam gorączkę.

Peter namyślał się przez chwilę.

– To przeze mnie? – spytał. – Dlatego, że nie jestem eleganckim dżentelmenem z własnym woźnicą? – Wskazał na wnętrze szopy, gdzie w osobnych przegrodach stało sześć sań zaprzęzonych w konie, a sześciu woźniców urządziło sobie własną zabawę wokół piecyka, w tym właśnie celu wstawionego do środka. Wioska była popularnym celem wycieczek najbogatszych młodzieńców z miasta – przyjeżdżali tu regularnie, by napić się lub zjeść obiad w ulubionej tawernie, właśnie dlatego, że była tak ustronnie położona.

– Dobrze wiesz, że nie o to chodzi – odparła Beverly. – Wolę mężczyznę, który powozi saniami, niż takiego, który jest wożony. Dam sobie radę. Pójdziemy razem do Mouquin. Na razie Willa musi napić się czegoś gorącego – wskazała na siostrzyczkę, która błyszczącymi oczyma wpatrywała się w egzotyczny dla niej pejzaż czarnej zimowej nocy.

Starsze dzieci złążyły już z sań na śnieg. Peter Lake posadził sobie Willę na ramieniu i zeskoczył w ślad za nimi. Zerknął jeszcze przez ramię na Beverly, po czym ruszył w stronę tawerny.

Gdy weszli w siedmioro do środka, wzbudzili duże zainteresowanie. Uroczę kobiety podchodziły do nich i zagadywały do Willi, Jamie Absonord oraz prześlicznej małej Sarah Shingles z oczyma jak koraliki. Dzieci odpowiadały im z uśmiechem. Peter Lake żałował, że nie

ma przy nim Beverly. Czuł, że to nie w porządku, że powinna z nim być, był zakłopotany spojrzeciami gości, które – gdyby z nim była – wbiłyby go w dumę.

Sala kipiała ogniem i radosnym tanecznym podnieceniem. Peterowi na chwilę żywiej zabiło serce, przypomniało mu się bowiem poprzednie, dziewiętnaste stulecie – jego stulecie – gdy dorastał i gdy wszystko było cichsze, dziksze i piękniejsze. Mimo wszystko znalazłszy się w tym tłumie dzieci i tancerzy w odległej tawernie nad jeziorem Coheeries, czuł, że piękno wciąż jest w cenie; za potwierdzenie wystarczała mu myśl o Beverly, niewidocznej za czarnymi jak smoła oknami.

– Dziewięć antwerpskich flindersów – powiedział do barmanki. – Siedem bez dżinu. Nie, zaczekaj. Dla tej oto małej dziewczynki z jedną ósmą dżinu; sześć z połową porcji dżinu (Jamie Absonord aż pisnęła z radości, że za chwilę będzie na lekkim rauszu), jeden z potrójnym dżinem, a jeden z podwójnym, na wynos, w zamkniętym naczyniu. Nie żałuj cynamonu, cytryny, śmietanki i mielonych śliwek.

Po chwili przyniesiono parujące napoje. Peter Lake i dzieci pili, przyglądając się dwóm tuzinom eleganckich gości tańczących namiętnego kadryla. Suche deski podłogi trzęsły im się pod stopami, ognie migotały wśród jedwabnych i taftowych sukien oraz surdutów z gatunkowej angielskiej wełny. Dzieci nie do końca rozumiały, po co właściwie tańczy się w parach (z wyjątkiem Harry'ego, który cierpiał na niepojęte nastoletnie szaleństwo i teraz oparł się o ścianę i pogrążył się w narkoleptycznym śnie), ponieważ jednak gorący trunek szumiał im w głowach, rozpoczęły żywiołową zabawę w papier, kamień i nożyce.

Peter Lake był niepokieszony, że Beverly została na zewnątrz. Tak bardzo mu jej brakowało, że miłość wypełniła go po brzegi, czuł się tak, jakby jakiś blask wędrował po całym jego ciele. Oddychał pomału z bolesną rozkoszą. W końcu zerwał się, omal nie przewracając stolika, i wypadł na zewnątrz. Pobiegł do szopy, zastał tam jednak jedynie Athansora skubiącego siano. Sanie były puste. Zajrzał do szopy, lecz tam również jej nie było. Nagle ujrzał ślady na śniegu, prowadzące za stodołę. Ruszył po nich w ciemność, między sosnami przysypanymi grubą warstwą śniegu, aż w końcu znalazł ją: stała na wzgórzu, ze splecionymi dłońmi, i wpatrywała się w rozjarzone okna. Nim zdążyła go spostrzec, zrozumiał, na co patrzy. Z tej odległości tawerna była niemal zupełnie cicha i wyglądała jak miniatura, mały, rozświetlony sześcian, papierowy domek z włożoną do środka świeczką. Oddalenie i mrok przeobraziły rozjarzone, kipiące zabawą wewnątrz gospody w odrębny świat, zamknięty i smutny, przeniesiony z jakiegoś innego czasu. Peter widział, jak Beverly wzięła ten świat w dłoń i przycisnęła do siebie niczym wymyślnie opracowany klejnot. Patrząc z oddali, przeobraziła go w olejne malowidło lub przypadkowo zrobioną fotografię – i ten wizerunek dotknął ją do żywego. Została na zewnątrz, ponieważ nigdy nie miała okazji oswoić się z prawdziwym życiem towarzyskim i zwyczajnie się bała. Niewinne rzeczy, choćby takie jak taniec w tawernie, wprawiały ją w przerażenie. Peter Lake zdał sobie sprawę, że wizyta w Mouquin będzie większym sprawdzianem odwagi dla niej niż dla niego.

Początkowo sądził, że wprowadzenie jej do tętniącego muzyką i tańcem wnętrza gospody będzie łatwe. Nie było przecież czego się bać. Ona jednak się bała i ten lęk przyprowadził ją tam, na wzgórze, skąd mogła objąć całą scenę wzrokiem i uchwycić jej ducha. Podobnie czynił Peter, gdy obserwował pejzaż miasta – z daleka zawsze dowiadywał się o nim więcej, niż było to możliwe od środka. Nie, nie będzie więcej jej namawiał, nawet mimo że wzbudziłaby w tawernie ogólny podziw; wołał już dołączyć do niej w tym dalekim punkcie obserwacyjnym.

Podszedł do niej, chrząszcząc butami po śniegu. Beverly niemal się zawstydziła, że przylapał ją samą wśród sosen; wyraz jego twarzy świadczył jednak o tym, że ją rozumie,

wiedziała, że w tej chwili naprawdę jest z nią.

Spoglądali przez chwilę w okna, patrzyli na dzieci siedzące przy stole i pochłonięte zabawą. Harry śpiący przy ścianie wyglądał jak przepracowany kuchcik ze średniowiecznej ryciny. Potem Peter Lake wrócił do tawerny, porwał całą grupę, po czym wszyscy wsiedli na sanie i pomknęli na wschód przez bezlitosną ciemność. Beverly piła swojego antwerpskiego flindersa. Oboje z Peterem okutali się w pledy i futra, rozsiedli w saniach i rozkoszowali się jazdą, nie tak oszalała jak poprzednio, lecz i tak szybko jak w luksusowym ekspresie, gdy przelatuje przez małomiasteczkową stację.

Ponad nimi rozlegał się chaotyczny syk chmur i gwiazd, przemykających na mroźnym niebie w skupiskach przypominających jeziora i wyspy. Był to dźwięk tak hipnotyzujący, że wszyscy unieśli głowy i zapatrzyli się w to świergoczące, trzeszczące, rytmicznie rozkołysane morze gwieźdnego blasku i rozpędzonych obłoków. Jechali i jechali, gładko jak na skrzydłach wiatru, mocne stalowe płozy mknęły bezszelestnie ponad lodem i śniegiem.

Athansor, biały koń, przemieszczał się w czasie wraz z owym białym szumem dochodzącym z nieba. Był pełen radosnej energii, normalnej u konia, który pędzi z powrotem do swej stajni, wszyscy jednak wyczuwali, że w jego szczęściu jest coś więcej. Czuli, że hipnotyczny rytm jego ruchów jest w istocie rytmem niewyobrażalnie długiej podróży. Nigdy dotąd nie widzieli konia, który biegłby w taki sposób. Jego susy stawały się coraz lżejsze, coraz mocniejsze, coraz doskonalsze, jak gdyby szykował się do odlotu z tego świata.

SZPITAL PRZY PRINTING HOUSE SQUARE

Tak jak pewne części miasta były polem krwawych bitew, tak też niektóre momenty w roku mocniej niż inne kojarzyły się z wojną. W dniach między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem można było odnieść wrażenie, że wszystkie żywioły przysięgły się, by ujarzmić ludzką duszę. Ogień, deszcz, choroby, zimno i śmierć szalały w ciemnościach jak na jakimś piekielnym malowidle. Ludzie walczyli do upadłego, rzucając na szalę wszystko, co mieli, dni były zaś pełne prób i tajemnic.

Gdy Pennowie i Peter Lake wrócili z nad jeziora Coheeries, śnieg zmagął się właśnie z ciepłymi, wilgotnymi wiatrami nadciągającymi z Zatoki Meksykańskiej. Niebo było pełne splątanych szarych szlaków, być może śladów przyszłych powietrznych bitew, miejskie dzieci zaś, które miały właśnie ferie świąteczne, siedziały w domu, wpatrywały się w deszcz ze śniegiem za oknami i nie wiedziały, co z sobą począć. A potem zdarzenia zaczęły przyspieszać, jak gdyby jakiś silnik uparł się, by wyszarpnąć stary rok z posad i pracował w tym celu na pełnych obrotach, sycony coraz to nowymi szuflami węgla.

Pewnego popołudnia do domu Pennów zajechał burmistrz z żoną, otoczony świtą najbardziej przywilejowanych pochlebców – wszyscy tak pijani, że dom wypełniony ich oddechami był bardziej łatwopalny niż silos zbożowy w środku lata. Wśród gości znalazł się także komisarz policji. Nie trzeba wspominać, że Peter Lake siedział cicho jak trusia, zwłaszcza że komisarz co rusz spoglądał na niego, krzywiąc się, jak gdyby mówił do siebie: „A cóż to za jeden?”. Kilka lat wcześniej Peter Lake w jednym z ataków spóźnionego szczeniństwa, które imają się go jeszcze dobrze po trzydziestce, zasypał komisarza serią obraźliwych, ryzykanckich, zuchwałych, zjadliwych listów, rozpoczynających się nagłówkami w rodzaju: „Mój drogi komisarzu policji, niekompetentny bufonie...” lub: „Do żalosego grzyba mieniącego się komisarzem policji...”, bądź po prostu: „Ty pchło”.

Jayga i Leonora podawały gościom gorącą herbatę z cytryną i parujące bułeczki, a Peter zaszył się w kącie; przelykał wprawdzie dość często, ale nic nie jadł. Komisarz policji co pewien czas zerkał w jego stronę. Oczywiście wyobraźni z pewnością widział twarz Petera w policyjnej kartotece. Peter pozował już kiedyś policyjnemu fotografowi, w sposób cokolwiek dandysowski: na zdjęciu widać było dwa czarne węgielki spoglądające spod stosu foczych skór i kapelusza z takiejż skóry oraz wąsy, które mogłyby stanowić inspirację dla rzemieślników parających się kowalstwem artystycznym. Peter był wówczas znany jako „Pete z Grand Central, Kanciarstwo i Zaufanie”, tak też podpisywał swoje listy. Nie śmiać odwracać uwagi obecnych od burmistrza, komisarz zachowywał milczenie i miał dużo czasu do namysłu. Gdy nieco wytrzeźwiał, twarz Petera zaczęła wydawać mu się znajoma, winowajca przeprosił więc obecnych i udał się na dach. Beverly siedziała w namiocie, ukryta przed zimnym szarym deszczem, i czytała w „National Geographic” artykuł pod tytułem Łagodni Hotentoci.

– Wymyśl coś! – rozkazał Peter Lake, powiadomiwszy ją o niebezpieczeństwie.

– W tej chwili potrafię myśleć jedynie o Hotentotach – odparła Beverly, po chwili jednak zmarszczyła brwi i zamyśliła się. Peter sam nie wiedział, czemu przyszedł do niej po radę, skoro sam miał tak wielkie doświadczenie w tworzeniu sprytnych planów. Przyszło mu do głowy, że może nie tyle szukał ucieczki przed komisarzem, ile chciał popatrzeć, jak Beverly rozwiązuje zadany problem.

– On już wie, tak?

– Nie, ale za chwilę się domyśli.

– A więc musimy odwrócić jego uwagę. Już wiem! Pokażemy im obraz. Ojciec i tak mówił, że chce go zaprezentować burmistrzowi.

– Jaki obraz?

– Mamy taki jeden w piwnicy. Nie widziałeś go jeszcze.

Gdy wchodzili do saloniku, Isaac Penn perorował:

– W ludziach z elity, do których, jak mi się zdaje, należę, najdziwniejsze jest to, że sprawują swoje rządy w sposób tak... delikatny. Potężna ludzka masa, w której nie brak i dzielnych żołnierzy, i podżegaczy, i geniuszów, i natchnionych mechaników, staje jak sparaliżowana w obliczu tych wiotkich ludzików, spędzających czas na przyjęciach w ogrodzie, mieszkających w niechronionych posiadłościach, upijających się do nieprzytomności, noszących ubrania w pastelowych kolorach i spętanych obsesjami na punkcie rzeczy nieistotnych. Zwykły człowiek pracy, gdy zdoła się do nich zbliżyć, jest zdumiony: zdumiony ich kruchością, ale i tym, że czuje się przy nich tak mały, że mimo wszystko są niewyciężeni, że choć sam jest bykiem, rządzi nim motyl...

– Owszem – powiedział burmistrz, zbyt pijany, by zrozumieć sens tej przemowy. – Czy to nie zabawne, że ludzie biedni ubierają się jak klauni? Im są biedniejsi, tym bardziej kuriozalnie wyglądają. Zupełnie jakby zamiast w Brook Brothers kupowali ubrania w cyrku. A jacy są paskudni!

– Czy ja wiem? – wszedł mu w słowo Peter Lake, który wchodził właśnie do salonu, trzymając Beverly pod rękę. – Nie tylko biedacy upodabniają się do klaunów. Bogacze także. Wystarczy popatrzeć, jak delikatne i niedorzeczne są te ich formalne stroje. Równie dobrze mogliby stroić się w pióra. I właściwie tak czynią. Co więcej, wśród najwyższej elity panuje moda na tatuowanie pośladników. Słyszałem kiedyś – Peter Lake wbił wzrok w burmistrza – że niektóre wysoko postawione kobiety w tym mieście mają mapy wytatuowane na pośladkach.

Wszyscy prócz burmistrza i jego żony wybuchli śmiechem, a lizusy zaczęły wykrzykiwać:

– Nonsens! Trele-morele!

– Żadne tam trele morele – ciągnął Peter Lake, zeglując wraz z Beverly w stronę środka pokoju; razem wyglądali jak białe okręty liniowe z banderami na masztach. – Ani nonsens. Panie burmistrzu – zwrócił się do oficjała z nieoczekiwanym pytaniem – pan, zważywszy pańskie stanowisko, musiał o czymś takim słyszeć?

– O czym? – odparł burmistrz nerwowo.

– O mapach na pośladkach. Na jednym pośladniku mapa Manhattanu, na drugim mapa Brooklynu. I tak dalej, i tak dalej.

– No cóż... – bąknął burmistrz – Właściwie to... jakby... tak, owszem... słyszałem!

Peter Lake uklonił się, a potem olśnił zebranych pijusów, przedstawiając im Beverly. Już wcześniej wiedzieli, że jest piękna i że jest kimś w rodzaju inwalidki, zakładali jednak, że będzie wiewiółka i marniała tylko do nocy poślubnej, potem zaś szybko wydobrzeje, tak jak wiele kobiet przed nią, które odkryły, że to, co było źródłem ich obaw, jest w gruncie rzeczy bardzo przyjemne. Nie wiedzieli i nie domyśliliby się po jej wyglądzie, że jest chora na gruźlicę płuc i kości.

– Czy nie chciałeś przypadkiem pokazać obrazu panu burmistrzowi? – zagadnęła ojca Beverly.

– Owszem, chciałem – odparł.

– O, nowy obraz! – burmistrz był zadowolony ze zmiany tematu.

– Stosunkowo nowy.

– Kto go namalował?
– Autor nie chce, by go znano. Pragnie tylko znać innych.
– Akurat! – zawołał ktoś.
– Naprawdę – odparł Isaac Penn.
– Proszę nam podać jego inicjały, na pewno zgadniemy! – powiedziała kobieta, która przez większość czasu piła zbyt słodkie likiery i oddawała się zbyt prostym grom karcianym.
– M.C. – odparł Isaac Penn. – Zgadujcie do woli. I tak nigdy się nie dowiecie.
Ruszyli na dół długimi spiralnymi schodami odlanymi z brązu. Schodzili tak głęboko, że niektóre damy zaczęły żałować tej wyprawy.
– Czemu go tam trzymacie? – spytał burmistrz.
– To największe pomieszczenie, jakie mamy – odparł Isaac Penn. – Obraz jest dość spory.
– Jeśli zechcecie go stąd wynieść i pokazać publicznie, będziecie musieli go zrolować.
– Jego nie da się zrolować – powiedział Isaac Penn.
– Doprawdy? – spytał burmistrz, który również zaczynał się już denerwować długim schodzeniem. – Mam nadzieję, że nie idziemy tam tylko ze względu na mnie.
– Panie burmistrzu – odparł gospodarz – w tym nieskończonym wszechświecie zdarzało się już, że całe światy stwarzano dla pouczenia i umoralnienia kilku prostych dusz. Proszę mi wierzyć, to dla mnie żaden problem pokazać wam ten obraz, który, jeśli chodzi o mnie... – W tym momencie jego słowa zagłuszył dźwięk dochodzący z dołu niczym gęsty kłęb mgły. Peter Lake rozpoznał go od razu: było to jednostajne trzeszczenie gwiazd i białej ściany chmur. Wybrzmiewał coraz głośniejszy, póki nie zeszli na sam dół i nie stanęli naprzeciw obrazu, z którego się wydobywał.

Wszyscy chwycili się za ręce i stanęli jak wryci, bojąc się stracić równowagę – wszyscy prócz Isaaca Penna i Beverly, a także Petera Lake'a, który nie bał się wysokości. Znajdowali się w zawrotnie obszernym pomieszczeniu, w którym jedynym źródłem światła był sam obraz, mierzący jakieś trzydzieści stóp wysokości i sześćdziesiąt stóp długości, i nie przypominający żadnego obrazu, jaki w swym życiu widzieli – a to dlatego, że się poruszał. Zmieniające się obrazy, ruchome światło oraz szum chmur i gwiazd były odeń tak potężną falą, że widzowie czuli się, jakby odkryli podziemne morze.

– Cóż to za technika? Co to za kolory? – pytali jeden przez drugiego.
– Nowa technika. Nowe kolory – odparł Isaac Penn.

Obraz przedstawiał miasto nocą, widziane z góry, i choć dało się na nim rozpoznać znajome detale, stwarzał wrażenie obcości, ponieważ migotał miliardami świateł: przemieszczały się one po dalekich drogach w gęstych, niepodobnych do niczego skupiskach, przesuwały się wzdłuż rzek, szybowały w powietrzu. Miasto wydawało się rzeczywiste, było niewyobrażalnie ogromne i w zatrważający sposób przypominało prawdziwy Nowy Jork.

– Podejdźcie bliżej – zachęcał Isaac Penn. Gdy go usłuchali, ujrzeli jeszcze więcej niż przedtem. Miłośniczka likierów i kartomal nie zemdląła, gdy po bliższym przyjrzeniu się udało jej się wypatrzyć na jednej z ulic maleńką parę nóg przebiegających pod otwartym parasolem. Wszystko było widać w najdrobniejszych szczegółach. Na mostach, których były setki, znajdowały się rozświetlone budynki: wisiały na linach nośnych, a także stały na chodnikach, jak na florenckim Moście Złotników. Widok nieustannie zmieniał się przed oczyma widzów; czuli się jak ptaki, mieli wrażenie, że szybują nad tymi głębokimi, cichymi kanionami ulic, w jakiś niepojęty sposób trójwymiarowymi. Kręciło im się w głowach, ale w przyjemny sposób, jak wówczas, gdy jesienią idzie się wiejską drogą i suche liście, wzbijane w górę przez wiatr, nadają

powietrzu nieoczekiwaną głębię, pozbawiają je grawitacji, upodabniają do morskiej toni.

Każdy, kto spojrział na miasto z oddali, był w stanie wzlecieć nad nim, unieść się bez wysiłku, mógł przekonać się, że mimo swej labiryntowości jest w gruncie rzeczy dziełem Bożym prostszym niż mrugnięcie okiem. Podobnie jak Nowy Jork (z całą pewnością był to Nowy Jork, tyle że długo po tym, jak wyleczono go z wszystkich bolączek), było to miasto rzadkiej urody. Wszystko, co było w nim piękne, było takie wbrew sobie i ujawniało się niespodziewanie, na przekór wszelkim oczekiwaniom. Wszystko, co się w nim poruszało, robiło to powoli, z niezmierną gracją. Maszyny latające przesuwały się po niebie jak wschodzące na nieboskłonach światła planet, nie robiły tego jednak z raketowym pędem, przeciwnie, wznosiły się pomału, statecznie i pewnie.

– Cóż to za metropolia? – spytał burmistrz, wyraźnie poruszony. – Czy to Nowy Jork?

– Oczywiście, że Nowy Jork – odparł Isaac Penn. – Wystarczy spojrzeć. Cóż mogłoby to być za miasto?

– Ale czy to możliwe?

– Jak to: czy możliwe? Przecież ma pan je przed sobą.

Peter Lake był przekonany, że kluczem do tych scen jest Beverly. Była istotą tak cudowną, że gdy próbował o niej myśleć, jej postać oddalała się od niego jak upuszczona moneta, pozostawiając jedynie uczucie radości. Mimo to zauważył, że pełni obowiązki gospodyni z pewnym znudzeniem, jak posłuszna córka, która po raz tysięczny wysłuchuje, jak ojciec chwali się swoją kolekcją dzieł sztuki, lecz skrycie marzy o tym, o czym zwykle marzą młode dziewczyny, gdy są skazane na towarzystwo podstarzałych przyjaciół rodziny. Beverly wspięła się po drabinie na podwyższenie, gdzie wisiał obraz, i podparłszy głowę dłońmi przyglądała się gościom, co pewien czas zerkając na Petera Lake'a. Stała się niemal częścią owego malarskiego widowiska, jak gdyby przycupnęła nad smaganą wiatrem przepaścią. Peter sam już nie wiedział, na co patrzy: czy na ruchomy obraz, czy na siedzącą przed nim dziewczynę. Stwierdził jednak, że ta niepewność również jest przyjemna.

Jeśli dziecko z korytarza przeżyło – co było mało prawdopodobne – to już dawno dorosło i nie potrzebowało niczyjej pomocy. Jeśli zmarło, Peter Lake nie miał szans go odnaleźć, bo na pewno pogrzebano je w bezimiennej zbiorowej mogile na komunalnym cmentarzu. Wiele takich cmentarzy zostało zresztą od tamtej pory zlikwidowanych, pobudowano na nich domy, szczątki zmarłych tkwiły głęboko w ziemi pod kotłowniami i piwnicami. Dziecko z korytarza (Peter nie wiedział nawet, czy był to chłopiec, czy dziewczynka) mogło więc znajdować się trzydzieści stóp pod przyłóżkiem w piwnicy pensjonatu zamieszkanego przez drobnych urzędników i sklepowe ekspedientki.

Mimo wszystko kilka dni przed Nowym Rokiem Peter Lake wyjechał wczesnym rankiem na Athansorze i skierował się na Korlaer's Hook, gdzie wylądował wiele lat wcześniej swym czółnem, zamierzając odtworzyć swą pierwszą wędrówkę po mieście. Było to zadanie omal niemożliwe, nie tylko dlatego, że miasto mocno się zmieniło, ale też z tej przyczyny, że w pobliżu cypla kręciło się mnóstwo Krótkich Ogonów, przyciągniętych nowymi prawami i nowymi zasadami gospodarki – było niemal pewne, że go zauważą. Ranek był słoneczny i przejrzysty. Peter i Athansor jechali kłusem wzdłuż ogrodzonego płotem deptaku Christie Street. Drzewa rosnące na promenadzie pokryte były od góry do dołu lodową skorupką i z każdym powiewem wiatru dźwięczały jak kryształowe kandelabry.

Gdy byli już niedaleko mostów, mijali hotel Kleinwaage – nieduży, lecz dobry, znany z pieczonych na węglu drzewnym steków, puszystych białych łóżek i zielonych saloników tonących w świeżych kwiatach. Peter omiótł wzrokiem fasadę hotelu.

Po schodach z białego marmuru schodził właśnie na ulicę jakiś tłusty osobnik w gronostajowym płaszczu. W rękę miał laskę, stapał w niewiarygodnie napuszony sposób, jak prawdziwy milioner, i połyskiwał diamentową biżuterią. Wszystko wskazywało na bogatego kupca korzennego – i taką właśnie profesję przypisałby mu Peter Lake, gdyby nie ciemne szczeliny oczu w nalanej twarzy, złączone w jedną kreskę brwi, ciężki oddech oraz chiński kapelusz.

– Cecil! – zawołał.

Zaskoczony Cecil Mature obrócił się nagle, rozszerzył oczka, by zobaczyć, kto go woła, po czym rzucił się do ucieczki, aż jego kielbaskowate nóżki zmieniły się w skrzydła niewidzialnego wiatraka. Nietrudno się jednak domyślić, że nie zdołał uciec Athansorowi.

– Cecil, czemu uciekasz?

Cecil zatrzymał się. Twarz zaczęła mu się krzywić i drzeć, jak zawsze, gdy zaczynał mówić.

– Nie powinniśmy się widzieć.

– Co ty wygadujesz? Myślałem, że nie żyjesz. Co się stało?

– Nie wolno mi o tym mówić.

– Kto tak powiedział?

– Oni – Cecil wskazał na hotel.

– Jacy oni?

– Jackson Mead.

– Jackson Mead wrócił? Pracujesz z nim? Nic nie rozumiem. Co się stało?

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Daj spokój, Cecilu Mature, przecież to ja, Peter.

– Po pierwsze, nie nazywam się już Cecil Mature.

– A jak?

– Cecil Wooley. *Pan Cecil Wooley.*

Peter wpatrywał się w swego starego druha, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Jestem pan Cecil Wooley i pracuję dla Jacksona Meada.

– Gotujesz mu kabaczki?

– Nie.

– Ziemniaki?

– Nie.

– No to co robisz?

– Jestem starszym... *inżynierem budowlanym* – Cecil pokraśniał z dumy. – I założę się, że zgadniesz, kto jest naczelnym inżynierem i pierwszym asystentem Jacksona Meada.

– Kto?

– Wielebny doktor Mootfowl, któżby inny!

– Niemożliwe!

– Możliwe.

W tym momencie z hotelu wyszedł Jackson Mead otoczony setką podwładnych. Peter był uszczęśliwiony i wstrząśnięty jego widokiem.

– Muszę iść – powiedział Cecil. – To wbrew zasadom. Nie wolno mi z nikim rozmawiać.

– Chcę zobaczyć Mootfowla.

– Nie możesz. Jest już na statku. Dziś w południe wyruszamy do Zatoki Meksykańskiej, płyniemy do Ameryki Południowej budować mosty. Czternaście mostów.

– Kiedy wróćcie?

– Nie wiem – odparł Cecil, porwany przez Jacksona Meada i podążający za nim tłum rosnących mężczyzn.

– A tamten kawałek ferrysu?! – krzyknął Peter Lake.

– Wybacz mi to! – zawołał Cecil i zniknął: tłum skręcił w Park Place, kierując się w stronę wielkiego białego statku płynącego do Zatoki Meksykańskiej.

Chwilę później Peter Lake galopował już ich śladem, drogę do nabrzeża odcięły mu jednak tramwaje.

– Skacz! – rozkazał.

Athansor zawahał się przez chwilę; skoncentrowany wyłącznie na utrzymaniu maksymalnej szybkości, nie zdołał przeskoczyć tramwajów, tylko wylądował na dachu jednego z nich. Przerażony zastygł bez ruchu, mimo że Peter rozkazywał mu zeskoczyć na ziemię, i pojechali razem aż do Chinatown. Mieszkający tam Chińczycy ze zdumieniem patrzyli na człowieka na białym koniu jadącego na dachu tramwaju. Myśleli, że to pewnie jakiś amerykański żart lub może reklama, której (podobnie jak większość ludzi) nie rozumieją. Ktoś zaczął krzyczeć, że to prezydent, i po chwili cały tłum krzyczał, że to rzeczywiście Theodore Roosevelt (który nie był już prezydentem, ale dopiero od niedawna). W końcu Athansor pogalopował po dachach wagonów i skoczył: przesybował nad dachami czynszówek, na zawsze opuszczając Chinatown i zdumionych miłośników republikańskiego prezydenta.

Gdy dotarli do nabrzeży, Peter Lake ujrzał, że biały statek wypływa już z portu; szedł pod pełnymi żaglami, na pokładzie roilo się od niebieskich mundurów i białych czapek marynarzy. Spodziewał się tego – i zaczął dostrzegać w takich zdarzeniach pewną prawidłowość. Cecil twierdził, że Mootfowl znów żyje. Peter zastanawiał się, jaki los mógł spotkać wielu innych ludzi żyjących w trzewiach miejskiej maszynierii, wśród silników tętniących niczym wielkie serca.

Spojrzał w górę, w stronę szeregu wysokich mostów, i poznał ten, po którym przed laty szedł z doliniarkami; w tym momencie zdał sobie sprawę, że ich dom musiał znajdować się na jednej z wysp na Diamond Reef. Spiał Athansora, wjechali na biały podjazd prowadzący na most i już po chwili byli wysoko nad rzeką, jak gdyby żeglowali wśród archipelagów chmur i zimowych gwiazd nad jeziorem Coheeries.

Po przekroczeniu kilku olbrzymich stalowych mostów między wyspami dotarli na miejsce. Peter Lake wyczuł właściwy kierunek już wiele mil wcześniej. Przemierzał ulice i place, aż odnalazł fasady starych holenderskich kamienic, za którymi mieściła się niegdyś chałupka doliniarek. Kamienice były puste, tam zaś, gdzie dawniej znajdowało się podwórze, stał teraz przemysłowy budynek z wysokimi kominami, o ścianach czarnych od sadzy. Fabryka, czy cokolwiek to było, zajmowała cały plac, rozpychała się za pustymi oknami niczym wieloryb zamknięty wewnątrz domu.

Peter Lake próbował po kolei otworzyć kilkoro drzwi. Gdyby mu się to udało, ujrzałyby za nimi litą ścianę. Zadał głowę i próbował oszacować wysokość kominów. Było ich siedem w równym rzędzie, wystrzelały w niebo na setki stóp, każdy wyrzucał w powietrze kłęby dymu, które unosiły się w górę i rozwiewały.

Skręcił za róg i znalazł wielkie robocze wrota, sięgające niemal połowy wysokości budynku. U ich podstawy znajdowało się mniejsze przejście; choć i tak dwa razy wyższe od człowieka na koniu, na tle całości wyglądało jak wyrwa po najmniejszym fiszbinie w paszczy wieloryba. Buchało z niego światło, powietrze i błogi pomruk jakichś maszyn – może dynam, może silników, trudno było orzec. Powolnym, miarowym krokiem Athansor wjechał do środka.

Znaleźli się w olbrzymim pomieszczeniu, tak otchłannym, że jego najdalsze krańce

ginęły w półmroku. Nie było widać również sklepienia, jedynie płataninę pomostów, kratownic i przesuwanych dźwigów. Niektóre dźwigi poruszały się w oddali, lecz w sposób niewiarygodnie spokojny, jakby przytłumiony. Peterowi wydało się to dziwaczne. Wszystko wskazywało na to, że ruch wysięgników kierowany jest z zainstalowanych na końcach kabin, oświetlonych i wielkich jak domy. Przesuwały się one w sposób jakby rozmyślny i celowy, lecz nie sposób było dojrzeć, czy w ich wnętrzu ktoś siedzi – były o wiele za daleko, a maślanożółte światło biło z ich okien w zbyt oślepiający sposób. Athansor wprawdzie nastroszył uszy, śledząc ich ruch (jak gdyby były to tajemnicze drobne owady), lecz ani on, ani Peter Lake nie słyszeli zupełnie nic prócz jałowego szumu maszynerii na podłodze.

Maszyny te były wielkie jak kamienice, pomalowane na oliwkowo, szaro i niebiesko, i wypolerowane na błysk. Zainstalowane po bokach schody prowadziły na stalowe półpiętra i pomosty, rozgałęzione we wszystkie strony. Światła migotały zewsząd najróżniejszymi barwami niczym kępy dzikich kwiatów, poszczególne bloki połączone były wygiętymi rurami wielkości kopalnianych szybów. I choć każda z tych maszyn była kompletnie nieruchoma, to ich jednostajny pomruk, jakby stłumiony łoskot tuzina Niagar, stwarzał wrażenie, jakby coś z nich gnało, ruszało się, nieustannie zmieniało.

Athansor kroczył wzdłuż szeregu maszyn, aż nagle z jednego z wewnętrznych chodników wyłonił się robotnik. Zbliżał się bez słowa, lecz jego twarz, na pozór pozbawiona emocji, oraz diamentowe oczy były pełne nieokreślonego, jakby zdławionego wyrazu. Beverly stwierdziła kiedyś, że im większy bezruch, tym dalej można zawędrować, w skrajnym znieruchomieniu można zaś osiągnąć skrajną prędkość. Gdyby dało się – mówiła – wstrzymać oddech, zasklepić się w sobie, unieruchomić każdy atom swego ciała, można by przebić się aż do nieskończoności. Peter Lake nie mógł tego pojąć. Spozstrzegł jednak, że z chwilą gdy znaleźli się w budynku, Athansor, jego cichy, czuły koń, zaczął zachowywać się tak, jakby wjechali na podwórze znajomej kuźni. Zastanawiał się, czym go dawniej podkuwano i czy kiedyś jeszcze zostanie podkuty.

– Nie widziałeś napisu? – spytał robotnik.

– Jakiego napisu?

– Tamtego. – Robotnik wskazał na potężną odblaskową tablicę z napisem „Wstęp wzbroniony”.

– Nie widziałem – odparł Peter Lake. – Co to za miejsce?

– Siłownia. Przecież to widać.

– Jakiego rodzaju siłownia? – dopytywał się Peter, wykwalifikowany mechanik, konstruktor i reperator motorów elektrycznych, dynam, turbin parowych i silników spalinowych.

– Stacja przekaźnikowa.

– Co przekazuje?

– Energię, która tu dociera.

– Skąd?

– Nie wiem. Nie jestem inżynierem. Stacja przekaźnikowa i tyle.

– Widziałem wszystkie rodzaje siłowni, jakie tylko istnieją.

– Powinieneś więc znać też i taką.

– Tak. Ale nie znam. Nigdy nawet nie słyszałem o czymś takim.

Robotnik pogardliwie machnął ręką.

– Stoi tu już tyle lat – powiedział – że nawet bym nie zliczył.

– Nie może tu stać długo. Dwadzieścia lat temu w tych kamienicach mieszkali ludzie. Na podwórzu był mały domek z klepiskiem zamiast podłogi. Mieszkały w nim doliniarki, złodziejki

kieszonkowe...

– Wiem – uciął robotnik. – Mała Liza Jane, Dolly i ta ciemna, Bosca.

– Skąd wiesz?

– Ja też tu mieszkałem. O tu, na piętrze, dokładnie w miejscu tej maszyny, widzisz?

– W czynszówce?

– Zgadza się. Wszyscy pomarli albo się wyprowadzili.

– Czy pamiętasz małe dziecko, które mieszkało tutaj, w tym budynku? – Peter Lake wskazał pustą przestrzeń ponad rzędem świateł. – Było nieduże i bardzo chore, ledwie widziało na oczy, miało potwornie wielką głowę i obrzmiałą czaszkę.

– Powiedziałem ci już, nikogo tu nie ma. Ale skoro było chore, może ktoś zabrał je do szpitala.

– Jakiego szpitala?

– Szpitala, który obsługuje wyspy i obsługiwał też wtedy. Przy Printing House Square.

– Przecież to na Manhattanie.

– Ale blisko, ambulans musi tylko przejechać przez most.

Kostnica szpitala przy Printing House Square była bezokiennym pomieszczeniem w piwnicy, pozbawionym nawet wentylacji. W oślepiającym blasku punktowych świateł stało pięćdziesiąt stołów sekcyjnych, z których każdy zawałony był pozbawionymi życia ciałami. Na niektórych leżało po dziesięcioro dzieci, ułożonych w poprzek niczym szeregi popsutych zaworów. Trupy były w każdym możliwym wieku i każdej możliwej rasy: mężczyźni, kobiety, wielcy jak konie i bezwładni jak stosy szmat bezdomni, zastygli w stężeniu pośmiertnym muskularni robotnicy, dziewczęta tak drobne, że prawie pozbawione mięśni, przestępcy, których ostatnim trofeum była dziura po kuli wielkości dziesięciocentówki, jeden Hindus z uciętą głową, która wpatrywała się w resztę ciała z drugiej strony sali, małe dzieci o twarzach wykrzywionych zakłopotaniem i bólem, mężczyźni i kobiety, którzy nigdy nie sądzili, że właśnie tak skończą, pechowcy zastygli w wyrazie zdziwienia.

Lekarz w okrwawionym kitlu krzątał się między stołami i dyktował coś do rury głosowej, którą ciągnął za sobą na zainstalowanym pod sufitem wysięgniku, co pewien czas nachylał się także nad którymś z ciał, by je zbadać lub otworzyć. Peter Lake stanął w drzwiach i znieruchomiał. Nie był w stanie ani wejść do środka, ani się odwrócić. Oczy zmarłych wpatrywały się we wszystkich możliwych kierunkach, nie sposób było zejść im z pola widzenia.

– Kogoś szukamy, jak sądzę? – odezwał się lekarz, nie podnosząc głowy. – Szanse, że go znajdziemy, są niewielkie. Jeśli nie wiesz dlaczego, to ci powiem. – Mówił tak, jakby wciąż dyktował, a pojawienie się Petera Lake'a było jedynie kolejnym przypadkiem, który należy zanotować i zbadać. – Po nich nikt nigdy nie przychodzi. To ludzie, którzy wpadli w szczeliny tego świata. Gdzie są ich rodzice, ich dzieci, bracia, siostry, przyjaciele? Albo są tutaj, albo już tu byli, albo niebawem będą. Myślisz, że ci, co jeszcze dychają, mają ochotę tu przychodzić, póki jeszcze nie muszą? Nie przyciągnąłbyś ich tutaj nawet windą kotwiczną.

Peter Lake nic nie mówił, lecz to tylko zachęcało lekarza do mówienia.

– Może jesteś z jakiejś grupy reformatorskiej i przyszedłeś zbierać dowody? – zerknął na Petera, lecz z jego wyglądu i wyrazu twarzy od razu wywnioskował, że tak nie jest. – Przychodzą tu i fotografują. Chcą zaznać dreszczyku emocji. Tylko po to to robią. Oburzenie i współczucie, jakiego doznają na widok tych sponiewieranych shtywniaków, jest dla nich źródłem niesłychanej radości. Potrzebują mocnych wrażeń. Dobrze o tym wiem. – Lekarz rozplątał okropnym cięciem łono nastoletniej dziewczyny. – I powiem ci, skąd to wiem. Siedzę tu całymi dniami i obrabiam po pięćdziesiąt sztuk dziennie, nie mogę więc współczuć każdemu

z nich z osobna. Nie jestem Bogiem. Nie stać mnie na to. Pomocnicy tych pań i krytycy społeczni z miejsca odnoszą wrażenie, że to niejadalne mięso, które tu kroję, nic mnie nie obchodzi. I tego im trzeba. Wiedzą, że są lepsi od tych żalonych łajdusów, którym próbują pomagać, ale właśnie to im się podoba: lubią myśleć, że są lepsi od nas wszystkich, których nie stać na prawdziwe „współczucie”. Czy zauważyłeś, jak często to słowo pojawia się w ich ustach? – Obrócił się na chwilę do Petera. – Używają go jak pałki. Strzeż się.

Po tych słowach wykonał kolejną rutynową czynność, tak okropną, że Peter Lake z przerażenia aż zamknął oczy. Lekarz jednak mówił dalej, przebierając śliskimi dłońmi, jak gdyby nigdy nic.

– Przychodzą tu dla własnej korzyści. Od razu widać, że to uwielbiają. Największą ironią i pysznym żartem jest to, że ci nędznicy z samego dna bagna mają za orędowników właśnie te zakochane w sobie szumowiny. Ładni mi orędownicy! Oni na tych biedakach żerują: najpierw materialnie, potem duchowo. Ale i jedni, i drudzy są siebie warci, występki i głupota stworzone są po to, by iść ręka w rękę.

– Wiem o tym, bo sam byłem biedny – ciągnął lekarz. – Ale wystrzeliłem w górę jak rakietą i wiem, jak to wszystko działa. Ci, co zawsze są po twojej stronie, lub przynajmniej tak sądzą, w rzeczywistości ściągają cię w dół. Wszystko, co robią, ściąga cię w dół. Oni wszystko ci wybaczą. Rabuj, gwałć, kradnij, zabijaj, a i tak wybronią cię przed sobą samym. Rozumieją wszystkie twoje błędy, porażki, nieczne postęпки. I świetnie! Możesz robić swoje do samego końca, cóż ich to obchodzi? Nie, przepraszam, obchodzi ich to, właśnie obchodzi: chcą, by tak było nadal. Z czego by żyli ci śludzy ubogich, gdyby ubogich nie było?

Schylił się i wykonał krótkie cięcie, cieniutkie jak włos, przez klatkę piersiową wychudzonej jasnowłosej dziewczyny, którą przed chwilą wypatroszył.

– Co pozwala mi wynosić się ponad tych wszystkich, co są zbyt głupi, by wydobyć się z nędzy? Otóż pewnego dnia spojrzałem w oczy człowiekowi, który nienawidził mnie za to, kim jestem, i miał odwagę mi to powiedzieć. Pamiętam dokładnie jego słowa: „To, co robisz, jest odrażające; jesteś na prostej drodze, by umrzeć młodo. Jeśli chcesz pożyć także tu, na ziemi, a nie tylko po śmierci, musisz nauczyć się postępować właściwie”. – Lekarz przerwał na chwilę swoje czynności, opuścił ręce i spojrzał Peterowi prosto w twarz. – Nienawidzę biedaków. Zobacz, co z sobą robią. Jeśli się nad tym zastanowić, nie można ich nie znienawidzić.

Odłożył skalpel i zamyślił się na chwilę.

– Wybacz – powiedział. – Czasami rozmawiam z żywymi jak z umarłymi. I może ci umarli założą mi za skórę mocniej, niż mi się zdaje. Ale, ale, ty przecież kogoś szukasz. Po cóż innego byś przyszedł?

Peter Lake skinął głową.

– Wiek?

– Dziecko.

– Płeć?

– Nie wiem. Wyglądało chyba raczej na chłopca.

– Rasa?

– Irlandzka lub włoska, tak mi się zdaje.

– To nie są rasy. Skąd?

– Z wysp.

– Niewielu ich już stamtąd dostajemy, dzielnica się uprzemysłowiła, mało kto tam mieszka.

– To było wcześniej.

– Dwadzieścia lat temu?

– Zgadza się.

– Może, może... może mógłbym pomóc ci znaleźć kogoś, kto przeszedł przez moje ręce dwadzieścia godzin temu. Może. Ale nie dwadzieścia dni temu, ani dwadzieścia tygodni, a już na pewno, w absolutnie żadnym razie, przed dwudziestu laty. Dwadzieścia lat? To prawie śmieszne. Równie dobrze mógłbyś pójść na pole pszenicy w Kansas i próbować odszukać pojedyncze ziarno, które dwadzieścia lat wcześniej wypadło z kłosa. Przez ten czas zdążyły już się urodzić i umrzeć całe pokolenia. Wszyscy pograżyli się w zupełniej niepamięci. Jeśli żyją jeszcze rodzice tego dziecka – w co wątpię – to gwarantuję ci, że o nich też wszyscy już zapomnieli.

– Można tu znaleźć dziecięce prostytutki, wiesz? – ciągnął lekarz. – I to nie jedną czy dwie, tylko całe dziesiątki. Żyją, o ile można to tak nazwać, do dziewiętnastego roku życia. Potem zabija je kokaina, kiła albo nóż. A może chcesz zobaczyć salę, gdzie trzymamy same kawałki ciał i trupy, co przez dwa miesiące leżały na dnie rzeki lub całymi latami w jakiejś ruderze, przez nikogo niezauważone? Chcesz zobaczyć jeszcze sześć podobnych sal w tym szpitalu? Lub w innych szpitalach? Printing House Square to tylko mała, lokalna lecznica. Nawet w prywatnych szpitalach w centrum miasta znajdziesz takich rzeczy na pięczki. Nie ma nic obrzydliwszego niż otyły trup, w którym zażywane latami próżne przyjemności zmieniły się w cuchnące gnilne gazy i rozdęły go jak balon. To miasto płonie i jest obłożone. Toczymy wojnę, w której każdy ginie i nikt nie zostaje zapamiętany.

– Skoro jest tak, jak mówisz – spytał Peter Lake – to co ja mam robić?

– Czy jest ktoś, kogo kochasz?

– Tak.

– Kobieta?

– Tak.

– To idź do niej.

– A kto ją zapamięta?

– Nikt. I oto właśnie chodzi. Teraz sam musisz się o to wszystko zatroszczyć.

HAKELDAMA

Peter Lake jechał na Athansorze po zaśnieżonych ulicach, walcząc z północnym wiatrem. Było bardzo zimno, z wąsów zwisały mu sople. Lekarz nie wiedział, że kobieta, którą Peter kocha, jest już jedną nogą na tamtym świecie, ale jego rada była nad wyraz trafna i bolesna, zwłaszcza że odezwało się w niej echo słów samej Beverly, wypowiedzianych w trakcie drugiego (lecz jak dotąd bynajmniej nie ostatniego) zamroczenia, którego Peter był świadkiem:

– Jestem taka jak ty. Przybyłam z innego wieku. Ale jest tyle rzeczy, o które musimy się teraz zatroszczyć.

Ponieważ Peter był oszołomiony siłą własnej miłości do Beverly, jej nagłością i zbliżającym się kresem – a może też dlatego, że nijak nie mógł swej ukochanej pomóc – zaczął wierzyć w to, co ona. Jej nieprawdopodobne wymysły zaczął przyjmować za dobrą monetę po prostu dlatego, że ją kochał; gotów był znieść każde, nawet najbardziej żenujące rozumowanie tylko po to, by z nią być. I dopiero gdy już na poły zaczął wierzyć w to, co mówiła, zaczął się nad nimi zastanawiać – dopiero wtedy odwiedził też szpital przy Printing House Square.

Jeżeli Beverly miała słuszość, wyjaśniłoby się, dlaczego świat sprawia czasem wrażenie, jakby był sceną kierowaną zza kulis przez jakąś wyższą, dziwnie przychylną, lecz i obojętną siłę. Niezawinione cierpienie mogło zyskać sens, gdyby w jakichś przyszłych bądź minionych epokach odsłonił się sens wszystkiego i wyrównałyby się rachunki. Wyjaśniłoby się, czym jest przeznaczenie i przypadek, wyjaśniłoby się, dlaczego Peterowi czasem staje przed oczyma obraz miasta widzianego z wielkiej wysokości, niczym żywego stworzenia o sierści z przyćmionego światła. Wyjaśniłoby się, czym jest to coś, co woła do Beverly z wielkiej oddali i z innego czasu. Wskazywałoby to też, że Athansor, który potrafi wysoko skakać, w istocie skacze ku czemuś, co już zna. Wyjaśniłoby się, czemu Peter jest tak mocno przeświadczony, że wszystkie działania na świecie mają swoje konsekwencje i nigdy nie zostają zapomniane, jak gdyby odnotowywano je we wspańiałym, niewyobrażalnie rozbudowanym rejestrze. Przyszło mu też do głowy, że mogłoby wyjaśnić się, czym jest wolność, pamięć, przeistoczenie i sprawiedliwość – choć nie miał pojęcia jak.

Peter przypomniał sobie, jak kiedyś Pearly Soames bez żadnej widocznej przyczyny odskoczył do tyłu, wyciągnął pistolet i wypalił dziesięć naboju kaliber 45 w ciemne okno, za którym nie było widać nic prócz zimowej nocy. Pearly trząśł się później przez dobrą godzinę; twierdził, że zza okna wpatrywał się w niego z wyszczerzonymi kłami biały pies afgański, gigantyczny pies mierzący dwadzieścia stóp wzrostu – który rzekomo przybył po niego z innego czasu. Peter Lake stwierdził wówczas, że Pearly oszalał, najwyraźniej za często uderzał głową o framugi i stołowe blaty. Gdy wreszcie przestał się trząść, spał przez czterdzieści osiem godzin, wypełnionych co do minuty koszmarnymi snami.

Peter wiedział też, że Przymorzanie czekają, aż w ścianie chmur otworzy się wielkie okno i ukaze się w nim miasto, które płonie, lecz się nie spala, które miota się jak zwierzę, lecz jest nieporuszone, miasto zawieszona w powietrzu. Spostrzegawczy, wyczuleni na drobne, na pozór nieznaczące znaki, upierali się, że właśnie coś takiego się ukaze – gdy zaś się to stanie, świat załśni czystym złotem.

Wszystkie te myśli telepały się Peterowi w głowie niczym garnki i patelnie przy siedle wędrownego handlarza. Trudno było znieść wagę tych cząstkowych objawień, które nie chciały ułożyć mu się w całość. Peter nie mógł się równać z Mootfowlem czy Isaacem Pennem, nie był głębokim myślicielem, tylko zwykłym człowiekiem, Peterem Lakiem – i jechał teraz do domu

Pennów z nieskomplikowanym zamiarem wykąpania się w wyłożonym łupkami basenie; potem chciał popatrzeć, jak Beverly ubiera się do Mouquin. Jechał szybko wśród świateł wczesnego zimowego wieczoru, kluczył między zdyszczymi końmi, obłokami pary, lakierowanymi powozami o mosiężnych lampach i falami suchego, zimnego śniegu. Athansor szedł tak miękkim krokiem, że jazda na nim przypominała ślizganie się na niewidocznej linii bądź unoszenie się na śródoceanicznej fali. Peter i Beverly wybierali się do Mouquin, niebaczni na wszelkie niebezpieczeństwa. Nowy Rok toczył się ku nim niczym fala pędząca przez zatokę, zalewającą zastałą wodę spienionym wirowiskiem.

Gdy Athansor ułożył się już w wymoszczonym sianem legowisku w stajni Pennów, wyciągając przed siebie przednie nogi i kłoniąc głowę w oczekiwaniu na krzepiący sen, Peter wszedł do domu, wbiegł na piętro i odkręcił kran z gorącą wodą. Po paru godzinach spędzonych na mrozie parująca kąpiel była nieporównaną rozkoszą. Gdy unosił się w wodzie, kołysany i obracany strumieniami bąbelków, otworzyła się drzwi i weszła Beverly.

– Wszyscy są w redakcji „The Sun” – obwieściła, ściągając bluzkę przez głowę ruchem szybszym niż zarzucenie wędki. – Przyjęcie noworoczne zaczyna się dopiero o siódmej czy ósmej.

– Co z Jaygą? – spytał Peter, mając w pamięci jej skłonność do podglądania i podsłuchiwania.

– Jayga też tam jest, siedzi pod biurkiem mojego ojca z tacą wędzonego łososia na kolanach i wielką butlą francuskiego szampana pod ręką. Znajdą ją trzeciego stycznia po gruntownym przetrząśnięciu całego budynku. Będzie tak objedzona łososiem, kawiozem, siekaną wątróbką i krewetkami, że wytrzymałaby nawet jeszcze dłuższą hibernację. Wiemy o tym tylko ona, Harry i ja. Jesteśmy jej współnikami.

– A więc zostaliśmy sami.

– Tak! – krzyknęła Beverly i rzuciła się do basenu.

Objęli się i unosili na wodzie, krążyli wkoło, obracani prądem wody, oblewani przez wodospad. Rozpuszczone włosy Beverly unosiły się wokół niej, miękkie i mokre, piersi unosiły się jakby same, smukłe nogi poruszały się niczym różano-białe nożyce; ukrop pokrywał jej skórę jakby cieniutką warstwą patyny, zmiękczał i rozweselał jej bystre, przenikliwe oczy. Podpłynęli do krawędzi basenu i rozmawiali; słowa ginęły w jednostajnym szumie wodospadu.

Sparaliżowany z pożądania Peter Lake zdołał opowiedzieć jej o Cecilu, Mootfowlu, Jacksonie Meadzie i lekarzu ze szpitala przy Printing House Square. Beverly nic na to wszystko nie powiedziała. Niby dodawała mu otuchy, ale w jakiś niepojęty sposób. Nijak nie odniosła się do ukrytych w opowieści pytań, tylko wciąż wypowiadała spokojne, niezachwianie pewne twierdzenia.

– Wśród gwiazd są zwierzęta – stwierdziła. – Takie jak to, które opisujesz, o sierści ze światła i nieskończenie głębokich oczach. Astronomowie uważają, że gwiazdozbiory to nasz wymysł. Ale one wcale nie są wymyślone. To są zwierzęta, bardzo odległe, poruszające się szybko i zgrabnie, a zarazem zastygłe jak kamień. Wcale nie składają się z tych paru gwiazd, które je przedstawiają – są o wiele większe – lecz te nieliczne punkty z grubsza wskazują miejsce, gdzie leżą.

– Jakżeż mogą być większe niż odległość między gwiazdami? – spytał Peter.

– Wszystkie gwiazdy, jakie widzisz w gwiazdozbiorze, nie są nawet czubkiem rogu ani powieką oka. Kudłate futra i uniesione głowy tych zwierząt utworzone są z gwiazdnych zasłon, gwiazdnych mgieł, gwiazdnych chmur. Gwiazdy są jak obłok, jak lśniaca tkanina, nie można patrzeć na nie z osobna. Oczy tych stworzeń są szersze niż tysiąckrotność wszechświata, który

według naszego mniemania znamy. Te niebiańskie zwierzęta harcuja, brykają, węszą, machają łapami, ocierają się – a wszystko to w nieskończonym czasie. Słyszany przez nas syk i szum oblewający nieskończone światy to po prostu szelest ich futer.

Peter Lake wpatrywał się w spadającą z góry wodę.

– Jestem tak samo stuknięty jak ty – powiedział. – Może nawet bardziej. Wierzę ci.

Naprawdę ci wierzę.

– To tylko miłość – odparła Beverly. – Nie musisz mi wierzyć. Nic się nie stanie, jeśli mi nie uwierzysz. Całe piękno prawdy polega na tym, że nie trzeba jej ogłaszać ani w nią wierzyć. Prawda przeskakuje po prostu między duszami; z każdym przeskokiem zmienia wprawdzie kształt, ale i tak pozostaje tym, czym jest. Widziałam ją i pewnego dnia ty także ją ujrzysz.

Peter uniósł ją w wodzie i delikatnie usadowił wyżej na stopniach.

– Skąd o tym wszystkim wiesz?

– Widzę to – uśmiechnęła się. – W snach.

– Jeśli to tylko sny, to czemu mówisz o nich tak, jak gdyby były faktami?

– To nie są tylko sny. Już nie. Coraz więcej czasu spędzam we śnie niż na jawie, czasem przechodzę nawet z jednej strony na drugą. Nie rozumiesz tego? Ja tam byłam.

Peter Lake od tak dawna był oswojony z wszelkimi sprzecznościami, paradoksami i silnymi falami emocji, że nawet się nie zdziwił, iż zdziwił go spokojny przebieg sylwestra w Mouquin, zwykle bardzo hałaśliwego. Przypomniawszy sobie, że tak samo było na przełomie stuleci: wówczas goście czuli się niezdolni do jakiegokolwiek świętowania, stali tylko zatrwożeni historią przesuwaną na ich oczach swe masywne cielsko, ciężkie jak wrota do bankowych sejfów (takie przynajmniej skojarzenie przyszło na myśl Peterowi). W noc 31 grudnia 1899 roku, mimo tysiąca butelek szampana i stu lat oczekiwania, Mouquin był cichy jak kościół w święto niepodległości. Kobiety siedziały zapłakane, nawet mężczyźni z trudem powstrzymywali łzy. Gdy zegar stuleci na ich oczach przeskoczył o kolejny karb do przodu, wszyscy zapomnieli o błahych codziennych troskach i przypomnieli sobie, jak mało znaczą w obliczu czasu.

Teraz jednak, choć był to zwykły, nieparzysty rok, panował nastrój jeszcze bardziej uroczysty i namaszczonej. Poprzednim razem cisza zapadła mniej więcej godzinę przed północą – teraz już o dziewiątej, gdy Peter Lake i Beverly przybyli na miejsce, zastali na miejscu tłum elegancko ubranych ludzi, którzy zamiast pić i tańczyć stali tylko w ostrym świetle, czujni, cisi i zadumani. Nie było, jak zazwyczaj, kręgu ludzi grzejących się przy ogniu ze szklankami w dłoniach, wrzeszczących do siebie i zerkających na każdą nowo przybyłą parę. Kobiety nie hipnotyzowały zebranych, jak tylko one umiały to robić i często robiły, nie narzucały tempa zabawy swoim mężczyznom. Nie było takiego napięcia jak w droższych lokalach ani tradycyjnych tańców, takich jak stodołny-goniony, szarżujący bawół, zawiany dandys czy szuraniec z Birdwalla. Gdy orkiestra wreszcie zaczęła grać, zagrała nieporównanej piękności utwór Lamentacja i zimowe ukontentowanie A.P. Clarissy – i pary rozruszały się wprawdzie, lecz tańczyły jedynie letniego kadryla i inne chłodne, pełne dystansu tańce, w których rusza się głównie oczyma, serce łomotało im zaś jak ściganym jeleniom.

Mouquin nie był odpowiednim miejscem dla Pearly'ego, przywódca Krótkich Ogonów przybył jednak na zabawę. Towarzyszyło mu dwunastu gangsterów oraz, jak je nazywali, kobiety: napuszone damulki, zepsute wiejskie dziewczyska znużone harówką w salonach fryzjerskich i barach ostrygowych, złodziejki kieszonkowe oraz zawodowe prostytutki z pistolecikami za pończochą – jak mówił Pearly, o „sutkach tak ostrych, że mogłyby nimi kroić ser”. Gdy Pearly zobaczył wchodzącego Petera, poderwał się z furją, sypiąc iskrami z oczu. Leczą

gdy u boku Petera pojawiła się Beverly, gangster skamieniał, jak gdyby przeszła go seria strzał z usypiającą trucizną: wraz z całą świtą stał jak sparaliżowany, ze wzrokiem utkwionym w drzwi od kuchni, niczym bezdomny z Five Points z blaszanym kubkiem w ręce. Ladaczniczki ciągnęły gangsterów za rękawy i spoglądały po sobie ze zdumieniem. Krótkie Ogony budziły grozę, były ambasadorami półświatka, bano się ich, lecz tolerowano ich obecność, bo gdyby Mouquin próbował odmówić im wstępu, zrównałyby lokal z ziemią. Może i Pearly uderzał się w głowę o framugę za każdym razem, gdy wchodził do środka, ale i tak rządził tu on i jego podwładni. Teraz wszakże cała siedmioosobowa grupka pograżyła się w nerwowej hipnozie, tak głębokiej, że dentysta mógłby zacząć skutecznie na nich swe chytne i kosztowne zabiegi, a oni nie zdobyliby się nawet na jedno słowo protestu.

Peter Lake zerkał na Beverly, wielką białą kotkę ubraną w stroje sprzed pół wieku, i zastanawiał się, jak długo jeszcze nieprzyjaciel pozostanie unieruchomiony. Miał wrażenie, że Beverly wpędza Pearly'ego coraz głębiej w ów dziwny stan zasklepienia we własnym ciele, jakby pułapkę unieruchomionego czasu. Oboje zajęli stolik, zamówili szampana i po chwili na stoliku pojawiła się butla w srebrnym kubku z lodem.

– Ostatni raz było tu tak smętnie w dziewięćdziesiątym dziewiątym – powiedział Peter. – A może, zupełnym przypadkiem, każdemu z tych ludzi niedawno umarł ktoś z najbliższych?

– Spróbuj ich rozkręcić – zarządziła Beverly. – Ja chcę tańczyć, tak jak tańczyli ci ludzie w gospodzie nad Coheeries.

– Kto: ja? Jakżeż ja mam ich rozkręcić? Może mógłbym zastrzelić albo zadźgać Pearly'ego, skoro już znieruchomiał jak mucha na lepie. Ale wtedy wszyscy by uciekli. Trudno, bawmy się spokojnie i czekajmy na Nowy Rok.

– Nie – odparła. – To ostatni Nowy Rok w moim przeklętym życiu. Chcę, by miał w sobie trochę ognia.

Obróciła się na krześle w stronę szeregu francuskich okien, zalewanych przez wiatr potopem zimowych gwiazd. Wszystkie otwały się nagle bez ostrzeżenia. Potem w jakiś niepojęty sposób zaczęły się otwierać kolejne drzwi, których w Mouquin było łącznie dwadzieścia siedem – trzaskały z prędkością karabinu maszynowego, aż orkiestra umilkła, a tancerze stanęli jak wryci. Świeży powiew rozniecił ogień, kominek z mruczącego delikatnie kocura przeistoczył się w rozszalały hutniczy piec, a okryte soplami drzewa na zewnątrz rozdźwiewały się jak tysiąc dzwonek u sań. Potem wskazówki zegara zaczęły ścigać się ze sobą jak żółw z zającem i dokładnie w tej samej chwili dotarły do północy. Zegar wybił dwanaście uderzeń, tak jak każdy zegar w Nowym Jorku, a dzwony kościelne, syreny strażackie i okrętowe zawtórowały im zgodnie, zmieniając całe miasto w gigantyczną katarynkę.

Wkrótce zrobiło się tak zimno, że w lokalu pozamykano drzwi – i w sali snów zrobiło się cicho, a kilka kobiet zaczęło płakać. Tłumaczyły, że to z powodu lodowatego powietrza, które wysmagało je po nagich ramionach, lecz gdy ucichło echo dwunastu uderzeń, nawet obcy zaczęli ściskać się ponuro, przytłoczeni siłą rozpoczynającego się roku. Płakali z powodu magii i sprzeczności; płakali dlatego, że minął czas i że pozostał jeszcze czas; dlatego, że ujrzeli siebie jakby na fotografii, zrobionej tak szybko, że zaprzeczała ich śmiertelności; dlatego że miasto wokół nich zawiązało spisek, by złamać sto tysięcy serc; a także dlatego, że podobnie jak wszyscy musieli żeglować, wodoodporni, po tym morzu kłopotów. Gdy znajdowali na tym morzu wyspy, chwyтали się ich kurczowo, lecz nie dość mocno, by morze na powrót nie porwało ich i nie pochłonęło.

– Wiejskie tańce! – zerwał się któryś z mężczyzn i z miejsca porwał za sobą elegancki tłum. Wszyscy poczuli taką lekkość, taką ulgę, że ruszyli w tany, nim zdążyła zagrać muzyka.

Podłoga Mouquin załomotała pod prostymi, zimowymi tańcami, magia jeziora Coheeries zawirowała po sali w niemal materialnej postaci. Beverly w błękitnej jedwabnej sukni tańczyła z Peterem. Tłum zaczął ich sobie pokazywać palcami, Krótkie Ogony z Pearlym na czele zaczęły tajać. Migotały i pękały szklanki. W sali zrobiło się gorąco. Beverly tańczyła. Wszyscy tańczyli. Tańczono w barach ostrygowych, tańczono w rozświetlonych kominkami salonach na promach w zatoce, tańczono w salach balowych w śródmieściu, tak kipiących złotem i srebrem, że za dnia wyglądały jak banki, tańczono w szpitalnych świetlicach i nędznych ciemnych piwnicach. Tańczono wszędzie, przynajmniej przez chwilę.

Peter Lake czuł, że jakaś niesłychana maszyna poruszająca świat od środka drgnęła i wykonała zaplanowany ruch, i że będzie to ruch brzemienisty w skutki. Zaraz jednak przestał myśleć i zatracił się w widoku Beverly, jasnowłosej, błękitnookiej dziewczyny wirującej i przytupującej wraz z innymi. Włosy miała rozwiane, a muzyka zdawała się wybrzmiewać w jej wnętrzu – tańczyła radośnie i precyzyjnie, wszystkie przytupy wykonywała dokładnie kiedy trzeba. Do tej pory zawsze gromadziła swoje ruchy w swym wnętrzu, magazynowała w sobie ich energię, teraz je uwolniła. Peter Lake nigdy jej takiej nie widział – bo też jeszcze nigdy taka nie była. Bał się o nią, ale czuł też, że te chwile nie przepadną, że za sprawą jakiegoś mechanizmu zostaną przełożone na inny język i przechowane, że będą trwać i pewnego dnia zostaną powtórzone. Każdy z tysiąca jej ruchów zostawał mu w pamięci, każdy olśniewająco piękny, każdy z nich rozjaśniał zimny mrok bezkresnej otchłani. Na pewno dokądś dotrą, gdzieś wylądują – myślał sobie; wszystko prędzej czy później uspokoi się i zacznie przynosić owoce. Taką miał przynajmniej nadzieję.

Zatracili się w tańcu; wszystko, co mieli, postawili na obrazy, które buchały z wnętrza Mouquin i odlatywały bez wysiłku we wszystkich kierunkach.

– Byłam przerażona – powiedziała Beverly, gdy jechali taksówką do domu.

– Prerażona? Jak to możliwe? Byłaś królową balu. Najpierw uspiłaś Pearly'ego, potem pootwieraałaś drzwi, rozdmuchałaś ogień i przyspieszyłaś zegar. Prowadziłaś tańce jak primabalerina. Cały wieczór kręcił się wokół ciebie. Gdy wyszliśmy, przyjęcie zapadło się jak mokry namiot.

– Bardzo się bałam. Przez cały czas drżałam.

Peter Lake niedowierzająco uniósł brew. Beverly nie zwracała na to uwagi.

– Cieszę się, że już po wszystkim – ciągnęła. – Nienawidzę tłumu. Chciałam to zrobić raz – podkreśliła to słowo – i zrobiłam.

– Zupełnie nie zauważyłem, byś się denerwowała.

– Ale tak było.

– Nie dałaś nic po sobie poznać.

– Bo to było głęboko ukryte.

Dom zastali pusty. Wszyscy Pennowie rozjechali się po Nowym Jorku. Nawet Willa spała teraz w domu Melissy Bees, córki Crawforda Beesa, magnata budowlanego, króla kamienia i stali. Peter i Beverly weszli do sypialni na piętrze i rzucili się na łóżko. Peter zauważył, że Beverly jest rozpalona i spocona, wydawała się jednak tak szczęśliwa, tak lekka, że gdy powiedziała, że to tylko zwyczajna wieczorna zwyżka temperatury, uwierzył jej. Po kąpieli i kilku godzinach w suchym zimowym powietrzu na dachu poczuje się lepiej – zapewniła. Czuła się tak, jakby zdrowiała, twierdziła, że jest silniejsza niż kiedykolwiek, była pewna, że łatwiej jej się oddycha; miała wręcz ochotę iść nazajutrz na rower lub łyżwy. Coś się w niej dokonało. Na przekór jej optymizmowi Peter Lake lękał się o nią – lecz na przekór lękowi postanowili się kochać.

Zrobili to w sposób tak nagły, tak desperacki, że nawet nie zdjęli ubrań, Peter Lake musiał przedrzeć się przez zasieki z jedwabiu i bawełny. Gdy już odnalazł drogę do jej ciała i wszedł w nie, oboje spojrzeli na siebie jak z przeciwnych stron kuchennego stołu. On wciąż miał na sobie marynarkę z goździkiem wpiętym w klapę, ona starannie zawiązane aksamitne wstążki. Wyglądali jak na oficjalnym przyjęciu, lecz wyrastali z jednego korzenia, pod grubą warstwą ubrań byli ze sobą złączeni, gorętsi i wilgotniejsi niż kiedykolwiek przedtem. Objęli się jak w tańcu i pomału przesuwali palcami po śliskiej materii odświętnych strojów. Delikatne rysy twarzy Beverly wyglądały tak, jakby wznosiły się z błękitnej fontanny, fałdy sukni rozlewały się po łóżku niczym woda.

Nie pilnowali się ani trochę, nie przejęliby się, gdyby ktoś wszedł nagle do domu. Isaac Penn dobrze wiedział, co się dzieje. W innych okolicznościach uznałby to za skandal, nie pozwoliłby, żeby jego młodzianka, krucha, wyrafinowana córeczka w chorobie zaznała słodko-gorzkiej rozkoszy kobiety światowej. Widział jednak, że jest w Peterze zakochana, i nie zważał na ryzyko; pragnął jedynie, by czuła się wolna i w tym krótkim czasie, jaki jej pozostał, zaznała namiętności, którym są nam dozwolone w życiu.

Zapatrzona w światło gwiazd Beverly znalazła w nim łaskę albo szaleństwo – Isaac Penn nie umiał tego rozstrzygnąć, w każdym razie był przerażony, gdy próbowała mu choćby aluzyjnie opowiadać o swych wizjach; wiedział, że młodzi ludzie obdarzeni zdolnością snucia długich, wyrazistych i szlachetnych wizji często przyplacają to przedwczesną śmiercią.

Niekiedy odwiedzał ją na dachu o najciemniejszej porze nocy; spodziewał się, że będzie spała, zastawał ją jednak pogrążoną w transie, ze wstrzymanym oddechem i oblędem w oczach, wpatrzoną w gwiazdozbiory.

– Co widzisz? – pytał, bojąc się, że jego córka traci zmysły. – Co tam widzisz?

Tylko raz, jeden jedyny raz, gdy zastał ją osłabioną i bezwładną, jak gdyby coś porwało ją, złamało, a potem wypuściło, próbowała mu odpowiedzieć. Niewiele zrozumiał z jej opowieści o niebie pełnym zwierząt, których sierść utworzona jest z nieskończonej liczby gwiazd. Poruszają się pomału i z gracją, mówiła, ponieważ tak naprawdę są nieruchome; nie można zobaczyć ich pysków, ale są uśmiechnięte; na mrocznych niebiańskich łąkach pasą się konie i inne zwierzęta, wszystkie one latają, bawią się lub walczą, zawsze nieruchomo, w kompletnym milczeniu, w rozwirowanych miejscach barwy rubinu.

– W miejscach – dodała – w których już byliśmy.

– Nie mogę tego pojąć – odparł. – Bogowie mego umysłu zawsze byli bardzo odlegli i ukryci w chmurach.

– Nie, tato, wcale nie – odparła. – Oni są tutaj.

– Co masz na myśli?

– To, że są tutaj.

Nim nastąpiła wiosna, jej dusza opuściła ciało. Beverly umarła pewnego marcowego dnia, wietrznego i szarego, gdy na niebie roiło się od wron, a świat z trudem dochodził do siebie po zimie. Peter Lake był wówczas u jej boku – i złamało go to na zawsze. Nawet sobie nie wyobrażał, że cokolwiek może go tak zdruzgotać. Na zawsze pożegnał się z młodością, zapomniał nawet, jak to jest być młodym. Rzeczy, które kiedyś uważał za przyjemne, wydawały mu się teraz odrażającymi próżnostkami, tak błahymi, że zasługującymi na karę. Słowa wypowiedziane przez Beverly przed śmiercią utkwily mu w pamięci na zawsze: rojenia o szalikach, które są piosenkami, o strumieniach srebrnych iskier, jeleniach o głosie podobnym do brzmienia rogu, o ucztach na polach czarnego światła, gdzie mleczko są słońcami. Do końca życia miał też go prześladować obraz jej zbiegającego, wycieńczonego ciała, unieruchomionego na

wieki w ciemnym, przerośniętym korzeniami grobie. *Tak mu się przynajmniej zdawało.*

Niedługo potem w ślady Beverly poszedł Isaac Penn. Którejś nocy wezwał Harry'ego do sypialni i rzekł:

– Umieram. W tej chwili. Czuję potężny pęd. Boję się. Spadam. – A potem umarł, jak gdyby porwało go coś ogromnego, pędzącego obok z niewyobrażalną szybkością.

Willę i Jacka odesłano do krewnych poza miastem, służącym przyznano dożywotnie renty i zwolniono ich, dom został sprzedany, a niedługo potem zburzony, na jego miejscu wzniesiono szkołę. Harry wyjechał na studia do Harvardu, a stamtąd na wojnę do Francji. Gazeta „The Sun” niewiele się zmieniła, redakcja czekała, aż Harry przetrwa zmagania pod Château-Thierry i nad Marną – o ile zdoła je przetrwać – i wróci, by objąć kierownictwo. W przynębiająco krótkim czasie Pennowie zniknęli z miasta. Wystarczyło tylko kilka ciosów, by kwitnąca rodzina przestała istnieć. Dla Petera Lake'a, który nigdy przedtem nie czuł się samotny, miasto nagle stało się puste. Lecz nawet pokonany żołnierz może przetrwać; jeżeli nie wykona błędnego kroku, może wyjść z bitwy żywy. Peter Lake także pozostał przy życiu.

Nie miał już jednak o kogo się troszczyć, nie miał nic więcej do zrobienia, wsiadł więc na Athansora i nie zważając na nic, pojechał do Five Points, gdzie następnie uparcie starał się trafić na Pearly'ego. Chciał umrzeć. Lecz tego lata jakby za sprawą jakichś czarów jego ścieżki i ścieżki Pearly'ego nie chciały się przeciąć, pozostał więc (ku swemu obrzydzeniu) żywy i wolny. Włóczył się na grzbiecie Athansora, ten zaś z braku ruchu i właściwiej opieki zaczął się coraz bardziej upodabniać do zwykłego białego konia, którym był dawniej, gdy ciągnął wozy z mlekiem na Brooklynie. Gdzie się dokładnie Peter Lake podziewał, można się tylko domyślać, niekiedy nawet on sam mglście się w tym orientował. Gęsty labirynt miasta, krętych ulic, gwarnych alej, ustronnych placów, rond i rynków, na których wiecznie roily się tysiączne tłumy, pochłonął go z łatwością; Peter wstąpił w szeregi bezimiennej armii włóczykiów i obszarpańców, ludzi płaczących na ulicach.

Zawsze jakoś udawało mu się nakarmić Athansora, czasem nawet siebie, choć nie miał pojęcia jak: po prostu szedł sobie zatłoczoną ulicą i nagle okazywało się, że ma w rękę studolarowy banknot – zupełnie jakby spadł mu z nieba, choć tak naprawdę pochodził oczywiście z cudzej kieszeni. Peter nienawidził tego, walczył z sobą, lecz jego ręce bardziej słuchały żołądka niż głowy. Zaniedbał się, chodził w starych ubraniach – choć nie tak starych jak jego twarz. Któregoś dnia podszedł do niego jakiś tkliwy dandys w płaszczu z foczej skóry i wcisnął mu garść srebrnych monet, mówiąc:

– Trzymaj, ojczulku.

– Nie jestem twoim ojczulkiem, ty głupi sukinsynu! – odparł Peter, ale zatrzymał pieniądze. Czuł się nieswojo niczym pokutnik, który wypowiedział jakąś przerażającą przysięgę; chciał pozbyć się monet. Przejechał na Athansorze jeszcze kilka mil, aż wreszcie przystanął, gdy drogę zagroził mu konwój wojskowych ciężarówek. Ich przejazd trwał tak długo, że Peter zsiadł z konia i zaczął się rozglądać. Okazało się, że stoi przed kinoteatrem; słyszał niedawno, że istnieje coś takiego, postanowił więc zajrzeć do środka.

Gdy już siedział w fotelu, nie spodziewał się, że z ciemności buchnie zniecka aż tak jasne światło. Wiszący na ścianie kwadrat białego ognia wydawał się mieć głębię i serce. Światło pulsowało w nieporównanie szybszym rytmie niż w kowalskim palenisku. Peter słyszał hałas ukrytych urządzeń: miarowy terkot elektrycznie napędzanych przekładni i wysoki, podobny do brzmienia fletu świst wentylatora. W padającym skośnie snopie światła łukowej lampy wirował kurz podobny do stada bizonów wyluskanego z mroku przez reflektor na czele lokomotywy; jego drobiny unosiły się po całej olbrzymiej sali, przez co wyglądała trochę jak wszechświat

pełen ruchliwych gwiazd. Jakież to było dziwne, że fizyka i magia sprzymierzyły się tylko po to, by pokazywać zwyczajnych ludzi w zwyczajnych pokojach, na ulicach bądź przywiązanych do kolejowych szyn. Przez pół godziny Peter Lake oglądał szary świat, w którym wszystko poruszało się zbyt szybko, a aktorzy mówili bezgłośnie. Potem w sali zapaliło się światło, a następnie znów zgasło; na ekranie pojawiła się ozdobna tablica z napisem Zimowe scenki w Brooklynie – tacy byliśmy.

Pojawiła się wioska, zasypana śniegiem i pogrążona w bezruchu. Potem przegalopował i zniknął koń zaprzężony do sań. Otworzyły się drzwi chat, wyszło kilka kobiet, po czym równocześnie – jak gdyby naprawdę się tak robiło – zaczęły ubijać masło. Potem wszystkie jak na komendę weszły z powrotem do chat, następnie cała scenka powtórzyła się w udziałem mężczyzn rąbiących drewno, mleczarzy dostarczających mleko, chłopców rozwożących gazety oraz długiego szeregu policjantów ścigających długi szereg złoczyńców. Wszyscy policjanci biegli w jednym, zwartym szyku, podobnie złoczyńcy.

– Jak to: „tacy byliśmy”? – wykrzyknął Peter z oburzeniem. Jakaś kobieta w kapeluszu uciszyła go głośnym syknięciem.

Potem ekran rozbłysnął ponownie i Peter usiadł z powrotem w fotelu. Tym razem mieli obejrzeć filmowy portret pod tytułem Miasto w trzecim tysiącleciu. Po chwili Peter niemal nie podskoczył i nie krzyknął z gniewu: była to filmowa wersja obrazu namalowanego dla Pennów. Przed każdym ruchomym obrazem pojawiał się osobny tytuł. Fragment Lot był cudowny, przedstawiał światła przesuwające się nad miastem po nocnym niebie. Były ich setki, żeglowały z gracją niczym szkunery, lecz szybko jak pociągi ekspresowe, przecinały mrok w wyraźnie rozmyślny sposób. Miasto było rozrośnięte wzwyż, wyglądało jak zbiór srebrnych pudełek, lśniących i rozmigotanych nad wodą, do tego w tle wybrzmiewał rozfalowany temat muzyczny. Co ciekawe, widać było jednak głównie samo światło. Zimny wiatr hulał po wąskich bulwarach, potrząsając oszronionymi drzewami. Zimowe chmury, małe i zbite, przepływały między szafkami wieżowców niczym rzeka przelewająca się przez jaz; sięgały im zaledwie do jednej czwartej wysokości, choć przecież nie były to niskie deszczowe brzuchacze, tylko wysokie, śmigłe obłoki niesione przez silne, suche wiatry. Jak to było możliwe?

Pojawił się kolejny tytuł: Miasto przyszłości płonie. Nie było jednak widać żadnych płomieni, tylko olbrzymie ławice rozświetlonego dymu, skłębione nad miastem w grubych warkoczach lub wzbite w powietrze niczym góry. Potem film zerwał się – i biel oślepiła Petera niczym podmuch powietrza bijący od wodospadu.

Athansor czekał na zewnątrz, przywiązany do słupa jak pies. Milczący, zgnębiony pan wspiął mu się na grzbiet i pomału powlekli się na wschód. Athansor był pokryty sadzą i pyłem, nie wyglądał już wcale jak pomnik. Peter Lake był zmęczony i znużony, nie miał dokąd pójść. Lecz była to jedna z owych wrześnieowych nocy, gdy znad Kanady docierają już, niczym daleka kanonada, pierwsze groźne zwiastuny zimy, trzeba więc było znaleźć jakieś schronienie – i znaleźli je nieopodal wielkiego mostu, w ciasnej piwnicy wymoszczonej sianem. Athansor stanął w kącie, Peter Lake zapalił łojówkę i usiadł pod ścianą naprzeciwko. Po chwili przyszedł gospodarz. Postawił przed koniem wiadro owsa oraz wiadro wody i wyszedł; po chwili wrócił z patelnią pełną pieczonej ryby z warzywami i dwiema butelkami zimnego piwa. Postawił to wszystko przed gościem.

– Przynieść ci rano gorącą wodę? – spytał.

– Pewnie – odparł Peter Lake. – Już dawno nie miałem do czynienia z gorącą wodą.

– Dobrze. Nocleg dla ciebie i konia, owies, gorąca woda, jedzenie, piwo i świeczka będą kosztować razem dwa dolary. Dwa i pół, jeśli nie chcesz, by ci kogoś dokwaterować. Możesz

zapłacić rano. Musisz się wymeldować do jedenastej.

– Wymeldować?

– Pracowałem kiedyś w hotelu.

Ryba i warzywa były świeże, piwo lodowato zimne, a siano ciepłe i wygodne. Peter przypomniał sobie pierwszą noc w mieście, gdy zasypiał z doliniarkami w migotliwym świetle łożówki. Teraz jednak nie towarzyszyła mu żadna kobieta. Pomyślał sobie, że już nigdy więcej nikogo nie pokocha, że nawet nie dotknie kobiety. Wszystko rozpadło się w pył, świat był szary jak jesienny deszcz. Zasnął, ściskając siano w garściach, rad, że jest sam w ciepłej, brudnej piwnicy, nie wiedząc, że czeka go przyszłość cięższa, niż mógł sobie wyobrazić.

Athansor natomiast stał prosto, z uniesioną głową. Był niespokojny, strzygł uszami, jak gdyby próbował namierzyć komara, rozglądał się dokoła rozbieganym wzrokiem. Gdyby Peter nie zapadł w sen, ujrzałby, że jego biały przyjaciel jest spięty niczym koń w wojskowym taborze, wyczuwający zbliżającą się bitwę. Coś wisiało w powietrzu – Athansor stawał się coraz czujniejszy, a serce zaczęły mu zalewać zdumiewające wspomnienia.

Wiele godzin później Peter Lake miał sen. Ujrzał siebie samego, leżącego na sianie, z plecami opartymi o ciepłą drewnianą ścianę. Athansor – biała plama w ciemności – był zdenerwowany i zaniepokojony. Peter wiedział, że śni, nie zdziwił się więc, gdy w pewnym momencie, na długo przed świtem, przez szpary w ścianie tuż nad podłogą zaczęło sączyć się srebrne światło, a umieszczone wysoko pod sufitem okienko zaczęło pokrywać się lśniącem szronem, jak gdyby na zewnątrz panował mróz i świecił grudniowy księżyc w pełni. Światło stawało się coraz mocniejsze, jak gdyby wstawał świt, lecz szybciej, nie miało też ciepłych półtonów, jakie zawarte są w świetle brzasku, ani krwistych, ani żółtych, ani mlecznobiałych – było srebrno-niebieskie, obie barwy tężały zaś i jaśniały coraz bardziej z każdą chwilą. Gdyby miało w sobie wagę zwyczajnego światła słonecznego, niechybnie rozproszyłoby sen, ale nie, była to iluminacja z rodzaju tych, które odbierają rzeczom ciężar i tylko pogłębiają senne rojenia.

Potężniającemu srebrno-niebieskiemu światłu towarzyszyła cała wiązka niespokojnych dźwięków. Dźwięczne tony walczyły w niej o lepsze z białym szumem; wiatr i głosy splatały się w nieprzeniknioną tkaninę. Był to znak, że rozżarzona ściana chmur jest bardzo rozbudzona, że sunie w stronę Manhattanu – pcha przed sobą światło oraz owe zagubione, pogruchotane dźwięki, tak jak sztormowe fale zasypują plażę bryłkami bursztynu i połyskującymi muszlami.

Ten huragan miał jednak swoje nieruchome oko, ciche centrum, które mogło przesunąć się nad miastem, nie wyrządzając szkody, wzbiją nieskończenie wzwyż kolumnę ciszy. Gdy zaczęło się zbliżać, Peter Lake w swym śnie obudził się i usiadł. Srebro zalało mu oczy. Athansor z trudem zachowywał panowanie nad sobą. Trząsł się i tupał, jak gdyby nadeszła jego ostatnia godzina. Peter Lake zastygł bez ruchu i z duszą na ramieniu wyczuwał, jak w koniu kłębią się wewnętrzne siły, niczym potężne silniki i pojękujące turbiny.

Z południa nadciągał wicher. Gięły się drzewa, przez listowie przechodziły fale gwałtownego drżenia. Peter słyszał, jak pokrywy spadają z koszy na śmieci i toczą się po bruku niczym armatnie łuski. Same kosze z kolei zachowywały się jak pociski z litego żelaza: padały na ziemię, toczyły się z wielką szybkością po ulicach i z brzękiem tłuczonego szkła wpadały na sklepowe witryny. Drewniana stajnia kołysała się i jęczała, targana wiatrem i światłem, które walczyły o dominację. Ani jedno, ani drugie nie mogło zyskać przewagi, ziemia drżała jednak, omiatana do czysta. Potem skowyt wiatru ustał i nad miastem rozpostarła się wszechogarniająca cisza. Nic się nie poruszyło, ani człowiek, ani zwierzę. Woda w porcie była nieruchoma, przedmioty wydawały się wrośnięte w swoje miejsca.

Wtedy światło przypuściło prawdziwy szturm. Wyglądał zatrważająco. Oślepiający

promień buchnął prosto w port i pomknął ku miastu.

– To jest sen, tylko sen – powtarzał sobie Peter Lake drżącymi ustami. – To tylko sen.

Drzwi od piwnicy uniosły się delikatnie na zawiasach, uleciały w górę i znikły bezszelestnie. Potok srebrnego blasku spłynął po schodach do wypełnionej sianej klitki i zalał ją chłodną falą.

Potem światło nagle zgasło i znów stała się noc. Wciąż śniąc, Peter Lake wparł się plecami w ścianę. Wreszcie mógł oddychać. Krótka chwila wytchnienia dała mu przynajmniej tyle, że odzyskał zdolność widzenia. Czy to wszystko było możliwe, nawet we śnie? W progu piwnicznej klitki stała Beverly; jaśniała białą, srebrną i błękitnie, otoczona okrągłym jak księżyc obłokiem pulsujących promieni. Spłynęła po rozświetlonej rampie, prowadzącej z podwórza do piwnicy. W rękę trzymała końską uzdę, zrobioną jakby z łańcucha gwiazd lub ostrych diamentów. Sama była źródłem światła, Athansor zaś był przy niej malutki jak kucyk. Peter Lake ze snu uspokoił się na jej widok, jak gdyby się go spodziewał, lecz i tak zemdlął z wrażenia. Śniący Peter Lake przyglądał się natomiast, jak Beverly, ze staromodnie zaplecionymi włosami, podchodzi do Athansora, zaczyna go czyścić i mówi coś do niego niezrozumiale. Z ruchów i wyrazu twarzy nie przypominała dziewczyny doglądającej kuczka, promieniała jednak blaskiem.

Śniący Peter Lake ujrzał, jak Peter Lake ze snu budzi się znowu i przygląda się Beverly czyszczącej konia. Gdy skończyła, obróciła się, spojrzała na niego i ruszyła w jego stronę. Gdy była blisko, chwycił oburącz niebiańską uzdę. Beverly uśmiechnęła się, oczy jej zamigotały, ale cofnęła rękę. Peter trzymał uzdę tak mocno, że wpiła mu się w dłonie, nie zdołał jej jednak utrzymać i uczuł, że budzi się w mroku. Chciał zostać wraz z Beverly w dziwnie oświetlonym pomieszczeniu, wypełnionym kłębami tajemniczego szumu i drewniano-bursztynowymi tonami, lecz sen rozplątał się, światło się wycofało – i obudził się, pamiętając jedynie uczucie niewysłowionego bólu i braku, oraz gniew, że skazano go na ciemność.

Godzinę przed właściwym brzaskiem poza murami budynku, w którym Peterowi przyśniła się Beverly, rozpoczęła się dziwna operacja. Na ulicach i placach gorączkowo, niemal w panice, gromadziły się Krótkie Ogony, ich sprzymierzeńcy i sprzymierzeńcy ich sprzymierzeńców – wszyscy uzbrojeni po zęby. Pearly objeżdżał wszystkie miejsca zbiórki na swym siwku, komenderując wszystkimi i planując przebieg bitwy. Na Brooklynie jeden z jego poruczników wyruszył na czele swego oddziału w stronę Brooklyn Bridge.

Była to ostatnia taka mobilizacja gangów – już wkrótce wojna miała je zmieść jak pył. Można by ją nazwać łabędią pieśnią, choć łabędź, który ją śpiewał, był w wyjątkowo kiepskiej formie. Gangi chyliły się ku upadkowi, stały się przechowalnią kryminalistów najosobliwszego sortu. Z dwóch tysięcy żołnierzy zebranych na rozkaz Pearly'ego większość nie mierzyła nawet pięciu stóp wzrostu. Nie maszerowali dziarsko i z gracją, jak czynią to ludzie urodzeni do walki, lecz wlekli się noga za nogą. Wielu było tłustych, znad pulchnych policzków błyskały im jedynie wąskie szczeliny oczu, zupełnie jak u Cecila Mature'a, lecz pozbawione jego zbawiennego uroku. Jedna trzecia wyraźnie kulała. Kolejna jedna trzecia – może nawet więcej – nie umiała normalnie mówić, tylko wydawała z siebie dziwne, oślisze dźwięki, pohukiwała jak wystrzelające butelki szampana, gulgotała jak indyki bądź skomlała jak psy. Ci, co wyglądali najbardziej zwyczajnie, byli nieobliczalnymi rzezimieszkami; dawniej nazywano ich wściekłymi psami, ponieważ nie rozróżniali między sojusznikiem i wrogiem, byli tak skorzy skakać sobie do wzajem do gardeł, że nie tolerowały ich nawet najbardziej anarchiczne gangi. Teraz zostali zwerbowani.

Pearly sklecił swą armię z resztek Krótkich Ogonów, Zdechłych Królików, Brzydali,

Szczęściarzy, Kamlotów, Łachmaniarzy, Stajennych, Rannych Żeber, Białych Różg, Szczurów z Korlaer's Hook, Stalowych Łomów Z Five Points, Gangu Alonza Truffo, Psich Harf, Gangu z Księżycowej Zatoki, Wężowych Splotów, Diabłów z Bowery i wielu innych. Razem było ich ponad dwa tysiące, nie brakło wśród nich także niezależnych nożowników, najemnych zbirów i innych szumowin.

Przekupieni policjanci wycofali się na południe od Chambers Street. Pearly zapewnił ich, że ściga tylko jednego człowieka i obiecał, że w akcji nie ucierpi niczyja własność. Armią kulawych fajtlap i zjeżonych złych psów dowodził jak prawdziwy generał: przemykał na swym siwku, przeskakiwał nad szeregami, sprawdzał ich rozmieszczenie. Z oddziałami na Brooklynie rozmawiał przez telefon. Brooklyn był gotów.

– A Manhattan? – spytali.

Pearly odparł, że są gotowi. Tysiąc sześćset uzbrojonych żołnierzy na Manhattanie zajęło już pozycje. Ściana chmur była niespokojna, przesuwiała się nad zatoką, lecz na przełomie lata i jesieni często tak się działo, Pearly był więc gotów się założyć, że gdy wszędzie słońce i dzień okrzepnie, cofnie się i uspokoi. Wkrótce nastał świt, odsłaniając potężną armię zbrodniczych pokurczów, które nie były w stanie dłużej zachować milczenia i gadały do siebie głośno, ponieważ łaknęły krwi. W rękach miały prawdziwą broń i lubiły jej używać.

Pearly czekał, aż Peter Lake wynurzy się z podziemnej stajni, w której – jak zaklinał się oberżysta – ukrywał się tej nocy. Sypał iskrami niczym wielki szary kot podczas suchej zimowej burzy. Nie mógł ustać w miejscu, poruszał głową w górę i w dół, jak gdyby odmierzając czas, a ostre jak brzytwa spojrzenie utkwiał w otwartej rampie.

Peter Lake zerwał się ze snu.

– Chryste! – powiedział i opadł na siano. Było już prawie jasno, gdy zaś Peter był bardzo szczęśliwy lub bardzo nieszczęśliwy, nigdy nie zasypiał ponownie po przebudzeniu. Usiadł na sianie. Athansor wyglądał tak, jakby gotował się do wyścigu. Peter często widywał konie rwące się do biegu, ale zwykle na wyścigach w Belmont, tuż przed startem, gdy w ich żyłach odprawiał już swe niebezpieczne cuda zastrzyk atropiny. Athansor sprawiał wrażenie, jakby był w stanie prześcignąć dziesięć takich koni, jednego po drugim.

Peter czuł się zdumiewająco silny i pełen energii. Był już zupełnie rozbudzony, o niczym tak nie marzył jak o przejażdżce na grzbiecie Athansora.

– Zabiorę go na wieś – powiedział głośno. – Popędzimy jak szatan na sam koniec stanu.

Podniósł się i podszedł do wiadra, w którym spodziewał się znaleźć obiecaną gorącą wodę. Była w nim jednak tylko woda z poprzedniego wieczoru. Gdy nachylał się nad wiadrem, ujrzał, że dłonie i palce ma dotkliwie pokaleczone, jak gdyby ktoś wyrwał mu z nich łańcuch ostrych diamentów.

Nie miał czasu do namysłu, wyczuwał jednak, że powinien się spieszyć: Athansor emanował już taką energią, że ściany stajni wibrowały niczym wiata na stacji kolejowej, pod którą wjechał naraz sześć lokomotyw.

Potem usłyszał gwar tysiąca sześciuset mężczyzn, którzy stali na wyznaczonych pozycjach, gotowi do walki, i nie musieli już ściszać głosów.

– Co tam się dzieje, u diabła? – powiedział do siebie i popędził po rampie na górę. Na pustym placu, niespełna pięćdziesiąt jardów od wyjścia z piwnicy, stało w półkołu jakichś ośmiuset ludzi. Pearly siedział na siwku i uśmiechał się pewnie jak cyrkowy miotacz noży. Peter Lake uśmiechnął się na jego widok.

– Postarałeś się, Pearly! – krzyknął przez deski. – Ale to jeszcze nie koniec.

– Nie, Peterze Lake! – odkrzyknął Pearly. – To jeszcze nie koniec.

– Myślisz, że coś zdziałasz z tą armią idiotów i pajaców? – spytał Peter i nie czekając na odpowiedź, zbiegł z powrotem na dół. Wskoczył na Athansora i z potężną siłą pognali na górę. Peter zamierzał przeskoczyć szeregi nieprzyjaciela. Jak Pearly mógł być tak głupi, że tego nie przewidział? Athansor wypadł ze stajni jak pociąg ekspresowy. Pękate trolle Pearly’ego wstrzymały oddech.

W tym momencie jednak Peter uczuł, jak krew uderza mu do głowy. Nie było mowy o skakaniu: dziwna, żalonna armia trzymała nad głowami las ostrych włóczni, wysoki na trzydzieści, czterdzieści stóp. Odległość była za mała, by Athansor mógł je przeskoczyć, nie mógł poderwać się w górę w miejscu.

Droga była niemal zupełnie zablokowana, z wyjątkiem niewielkiego prześwitu na lewym skraju. Peter Lake spiął Athansora i ruszył w tamtą stronę. Armia Pearly’ego z wrzaskiem rzuciła się w pościg. Setka mikrusów pojawiła się u wylotu bocznej uliczki i zablokowała ją dzidami. Z drągów zamocowanych na dachach zwieszały się sieci, z uwięzi spuszczone tuzin rozwścieczonych psów. Athansor tratował je bez trudu lub przeskakiwał nad nimi, musiał jednak zwolnić biegu. Nie padł ani jeden strzał, żołnierze Pearly’ego byli zbyt zajęci zapędzaniem Petera na podjazd wiodący w stronę mostu. Peter widział, co zamierzają, lecz nie miał wyjścia. Im bardziej zbliżał się do mostu, tym więcej na jego drodze pojawiało się sieci i dzid, tym głośniejsze wrzeszczeli prześladowcy.

W końcu nie miał już dokąd uciekać, osaczony setką ostrych dzid, Athansor wbiegł więc na most. Toczył pianę z pyska, szczyrzył zęby. Szukał okazji, by rzucić się do walki lub poszybować nad głowami nieprzyjaciół, nie znalazł jej jednak: sieci zwieszały się z lin nośnych mostu, sięgały samych szczytów wież. Nie było wyjścia, pozostawało jedynie kierować się na Brooklyn.

Zgodnie z oczekiwaniami Petera po stronie brooklyńskiej most również był zagrodzony, liny nośne oplątano okrętowymi linami cumowniczymi i rybackimi sieciami. Z przeciwka maszerował na nich całą szerokością jezdni szpaler włóczników. Teraz Athansor byłby już w stanie przeskoczyć nad dzidami, lecz tuż nad ostrzami ze sklepionych łukowato wież zwisały sieci.

Peter Lake galopował tam i z powrotem, szukając drogi ucieczki. Wiedział, że w jeźdźcy w bitwach często tak spinają konie i zawracają to w jedną, to w drugą stronę, aż zaczynają przypominać tygrysy w klatkach, podczas gdy sami kulą się ze strachu. Sam był teraz takim jeźdźcem, który nie ma dokąd uciec, i tak samo zawracał konia i jeździł tam i z powrotem. Na północnym zachodzie miasto lśniło w łożu jesiennego błękitu. Brooklyn jeszcze spał. Rzekę smagały powiewy czarnego wiatru. Na południu otwierała się zatoka portowa, pośrodku zatoki zaś, zupełnie blisko, burzyła się ściana chmur – wysysała wodę, wzbijając u swej podstawy kotłowisko fal.

Peter Lake i Athansor, zawieszeni setki stóp nad rzeką, byli bezradni, mogli jedynie galopować wzdłuż barierek. Wróg zbliżał się nieubłagane. Jedyne nadzieję Peter wiązał z rychłym starciem nadciągających z obu stron sił: może w trakcie walki udałoby mu się przedrzeć na tyły i uciec. Nie miał przy sobie żadnej broni. Athansor dyszał ciężko.

Obie tyraliery zatrzymały się wreszcie. Pearly był bystry, nie dopuściłby do zamieszania, na które liczył Peter. Szeregi stanęły w miejscu, żołnierze unieśli włócznie aż pod dolny skraj sieci i czekali, zwarci i gotowi. Dopiero wówczas z obu kolumn wystąpiły naprzód grupy wybranych wojowników. Było ich łącznie około setki. Mieli krótsze dzidy, miecze i pistolety. Pearly wiedział, że gdyby do boju ruszyła cała tłuszcza, istniałoby ryzyko, że ścigany się prześliznie, zamurował więc obie drogi ucieczki i kazał stanąć do walki swym najlepszym

ludziom.

– Nie mamy wyboru – powiedział Peter Lake do Athansora. – Tym razem będziemy walczyć.

Okrażyła ich pierwsza grupa. Wojownicy byli onieśmieleni – i nic dziwnego. Athansor stanął dęba, roztrzając dzidy, i zaszarżował na żołnierzy. Kopał ich, tratował, lecz mimo wszystko znajdował się w gęszczy włóczni, ostre groty zaczęły więc dźgać go w boki i pierś. Na widok krwi do walki dołączyła druga grupa. Poszły w ruch pistolety. Któryś z żołnierzy rzucił się naprzód z mieczem i ciął Petera przez plecy. Peter nie czuł bólu. Wyrwał miecz napastnikowi i zaczął nim wściekle wymachiwać.

Athansor ponownie stanął dęba, miażdżył kopytami piersi napastników. Żebra pękały z trzaskiem, jak gałęzie pod nogami leśnika. Gdy szczęknęły miecze, Peter Lake już wiedział, że nie wyjdzie z tego żywy. Pistolety wypaliły Athansorowi prosto w pysk, kule wbijały mu się w kości, haratały mu uszy, upodabniając je do flag wiszących nad oblężoną fortecą. Ołów przecinał jego mięśnie, przewiercał wnętrzności. Peter Lake także był poharatany, krwawił w wielu miejscach. Poczul, że marznie. Wówczas Pearly wydał rozkaz i żołnierze cofnęli się. Peter został na placu boju sam, zewsząd otoczony stratowanymi przez Athansora trupami. Obaj trzęśli się i wykrwawiali od ran. Kręcili się bezładnie w koło. Potem Peter spostrzegł, że Pearly szykuje do walki trzeci i czwarty oddział. Tego już było za wiele.

Spojrzał w dół, ku rzece. Była za daleko, o wiele za daleko. Mieniła się też jednak cudownym błękitem, skoro zaś musiał umrzeć, wolał już śmierć w jej falach niż w kałuży krwi na deskach Wielkiego Mostu. Nie miał nic do stracenia. Musiał skakać.

Wiatr świstał wśród sieci i lin. Peter Lake skierował ostatnie spojrzenie ku miastu, a potem obrócił się na południe, w stronę mokradeł. Gdy druga fala prześladowców zaczęła zamykać się wokół nich, Athansor znów biegał jak tygrys, tym razem jednak w linii północ-południe, w poprzek wąskiej jezdni. Wszyscy myśleli, że oszalał. Znów huknęła seria strzałów. Athansor nie zwracał na nie uwagi. Gdy poczul, że jest gotów, przysiadł na udach. Ludzie Pearly'ego zamarli: nigdy dotąd się z czymś takim nie spotkali. Widzieli, jak przez ciało konia przebiegają fale energii. Athansor sprężył się tak mocno, że zwinął się niemal w kulę. Potem ryknął i wyprysnął przed siebie płynnym ruchem niczym długa wstęga białego jedwabiu – poszybował w powietrze, przecinając po drodze grubą stalową linę, która zagrażała mu drogę, i bez trudu rozrywając sieci.

Na chwilę zastygli nad zatoką. Peter Lake sądził, że spadną, i byłby rad, gdyby się tak stało. Nie spadali jednak; przeciwnie, Athansor wznosił się do góry, wyciągając przed sobą poranione nogi, tak szybko, że powietrze aż świstało im w uszach. Obaj kierowali się ku białej ścianie. Peter Lake obrócił się i ujrzał za sobą miasto, malutkie i ciche, nie większe od żuka. Gdy wbili się w ścianę chmur, świat stał się rozszalałym kłębowiskiem bieli, wrzeszczącej i skrzeczącej przeraźliwie niczym chór udręczonych głosów.

Lecieli całymi godzinami. Peterowi coraz trudniej było oddychać i utrzymać się na końskim grzbiecie. W miarę jak Athansor nabierał pędu, chmury zmieniły się w rozmazaną białą plamę. Peter pomyślał o mieście. Chroniło przed wszystkim, co absolutne i nadludzkie, i wydało mu się teraz cudownym miejscem, nawet mimo swego okrucieństwa. Jasne obrazy przesuwaly mu się przed oczyma, lecz był tak oślepiiony bielą, że łaknął kolorów i miękkiego blasku miasta, które było wyspą w czasie.

Wreszcie Athansor przebił się przez kopułę chmur. Znaleźli się w czarnym, bezpowietrznym eterze. Oczom Petera ukazało się dokładnie to, co opisywała mu niegdyś Beverly, i zdumiał się bardziej, niż oczekiwał. Nie mógł oddychać, wiedział, że jeśli pozostanie

na koniu, szybko zginie. Poglądził więc delikatnie Athansora i zsunął mu się z grzbietu, zamierzając spaść na równinę z chmur. W tym momencie po raz ostatni widział wyraźnie ów podniebny świat – jego spadanie było bowiem chmurne, gwałtowne, poza czasem. Widział jeziora, które stawały się morzami, i dłuższe, głębsze kolumny rozpięte pochyło w zbiegającym powietrzu. Spadał i spadał, i nie panował nad swoim upadkiem. Ręce i nogi miał zupełnie bezwładne, szyję miękką jak dziecko.

Peter Lake spadał przez biały świat. A potem, kompletnie zapomniany, rozplątał się w jego nieskończonej furii.

II

CZTERY BRAMY MIASTA

CZTERY BRAMY MIASTA

Każde miasto ma swoje bramy. Nie muszą one być z kamienia, nie muszą ich bronić żołnierze ani strzec wartownicy. Na samym początku, gdy miasta były klejnotami w mrocznym, tajemniczym świecie, zwykle miały okrągły kształt i otaczały je mury obronne. Żeby dostać się do środka, trzeba było przejechać przez bramy, w nagrodę zaś zyskiwało się schronienie przed przerażającymi puszczami i morzami, bezlitosnymi i przytłaczającymi połaciami zieleni, bieli i błękitu – dzikimi i wolnymi – które zatrzymywały się właśnie na miejskich murach.

Z czasem szańce stawały się coraz wyższe, a bramy coraz masywniejsze, aż w końcu zniknęły, zastąpione przez bariery subtelniejsze niż kamień, wieńczące każde miasto jak korona i utrzymane w jego duchu. Niektórzy lekceważą te bariery, twierdzą nawet, że nic podobnego nie istnieje. Sami potrafią przeniknąć przez te nowe mury bez wysiłku, podczas gdy ich dusze (choć duszom również odmawiają istnienia) pozostają osierocone na zewnątrz.

Aby dostać się do miasta bez szwanku, trzeba przejść przez jedną z tych nowych bram. Znacznie trudniej je znaleźć niż ich kamienne poprzedniczki – stanowią je bowiem testy, mechanizmy, urządzenia i regulacje prawne. Była kiedyś pewna mapa, z pradawnych czasów, gdy kartografowie jeszcze ozdabiali lądy i morza kolorowymi wizerunkami śpiących lub rozszalałych zwierząt; ci, którzy ją widzieli – mapa ta już dawno zaginęła – twierdzili, że przedstawione były na niej symboliczne wizerunki bram. Brama wschodnia wiązała się z przyjęciem odpowiedzialności, południowa z pragnieniem poznania, zachodnia z poświęceniem się dla piękna, a północna z bezinteresowną miłością. Nie wierzono im jednak. Mówiono, że miasta z takimi wejściami nie mogły istnieć, byłoby to zbyt cudowne. Ci, co decydują o takich rzeczach, zdecydowali, że w rzeczywistości nikt tej mapy nie widział, tylko sobie to wyobraża, całą sprawę zignorowano jak sen i zapomniano o niej. Dzięki temu, rzecz jasna, zyskała wolność i nieśmiertelność.

JEZIORO COHEERIES

Górny bieg rzeki Hudson różni się od Nowego Jorku z jego rozległą, nadmorską nizinnością co najmniej tak bardzo jak Chiny od Włoch; żeby zapoznać ze sobą obydwie światy, potrzeba by nowego Marco Polo. Gdyby porównać Hudson do węża, miasto byłoby głową, siedliskiem zmysłów, uczuć, mózgu i kłów. Górny bieg rzeki, silniejszy i łagodniejszy, byłby muskularną szyją i elegancko wydłużonym ciałem. Brak w tym wężowym ciele grzechoczącego ogona. Albany czasami próbowało grzechotać, ale nigdy nie zdołało wydobyć z siebie słyszalnego dźwięku.

Nadhudsonski krajobraz był przede wszystkim krajobrazem miłości. By dotrzeć tam od strony morza, najpierw trzeba było minąć serię weselnie przystrojonych mostów. Potem wpływało się do spokojnych, przestronnych, kobiecych zatok o brzegach rozpostartych szerzej i ufniej niż jakakolwiek para nóg. Następnie zaczynały się nieskończenie liczne i miłe dla oka zakręty. Dopływy płynęły przez szerokie doliny, urozmaicone tysiącami zadbanych ogrodów. Miasta na brzegach całkowicie podporządkowywały się pejzażowi bądź zatracaly się we wspomnieniu pewnej części pewnego stulecia, gdy na pozór trwale zapanowała piękna pogoda. Można było w nich znaleźć stare budynki oper, wielkie posiadłości, ukryte spichlerze ziemianki, ogrodzone źródła, szare kościoły zbudowane przez Holendrów i mola sięgające milę w głąb rzeki, w niektóre dni obwieszane dziesiątkami złowionych jesiotrów, liczących po czterysta funtów wagi lub więcej i pękających od ikry. Nigdzie też lepiej nie jeździło się na łyżwach, chyba że w Holandii: w dawnych czasach Holendrzy zbudowali długie na setki mil kanały przez dzikie bagna, pola i wioski – można było śmigać po nich samotnie na łyżwach przez całą długą zimową noc, a potem dziwić się, że trwało to dłużej niż dziesięć minut. Często chłopcy i dziewczęta wracali ze ślizgawek do domu dopiero bladym świtem, po całonocnych wyścigach w świetle księżyca, zakochani w sobie po uszy.

Nad Hudsonem zadurzanie się było zjawiskiem potężnym i skomplikowanym. Czasem także śmiesznym i rozbrajającym – bo takie właśnie są nastolatki, gdy gorliwie wpadają w tę bolesną i rozkoszną pułapkę. Chodzili potem po mieście, wzdychali i mówili do siebie. „Kocham cię”, powtarzali do wyimaginowanej ukochanej bądź ukochanego, choć z boku wyglądało to tak, jak gdyby zwracali się do szufli od śniegu lub skrzyni z jajkami. Wydawało się, że cała dolina jest napędzana miłością. Na szczęście bujnie rozwijało się także rolnictwo i handel, pory roku były intensywne i szczodre (zima obdarzała lodem i cukrem klonowym, wiosna małżami i kwiatami, lato jarzynami, zbożem i jagodami, jesień wszystkim po trosze; do tego przez okrągły rok nie brakowało drewna, minerałów, produktów z wieloryba, wołowiny, baraniny, wełny i wyrobów rękodzielniczych) – inaczej zapanowałby chaos.

Nad Hudsonem nigdy nie brakowało okazji do gruntownej sercowej edukacji. Swój udział miało w tym piękno krajobrazu, a także magia księżyca, gorące, porośnięte trzcina rzeczne zatoki, połyskujący srebrzyście lód, dni pełne lata bądź śniegu, zanurzone w oceanie przejrzystego, błękitnego powietrza, oraz niekończące się pola, wiatr znad Kanady i wielkie miasto na południu stanu.

Woda w jeziorze Coheeries była soczyście niebieska jak w okrągłym, zamrażniętym, opalizującym stawie. Stada ryb kipiały bojową srebrną energią (wyskakiwały nad powierzchnię, łyskając jak miecze) i śmigały z miejsca na miejsce jak podwodne duchy, z doskonałą, niezmienną dokładnością ruchów. Podczas burz jezioro potrafiło być brutalne i gniewne, napicie się z niego było przebudzeniem i błogosławieństwem. Nie było szczególnie głębokie, więc

każdej zimy zaskakiwało mieszkańców miasteczka Coheeries, zamarzając całkowicie w ciągu jednej nocy. Tego roku w drugim tygodniu grudnia wszyscy przesiadywali wieczorami w domach z drewnianych bali, jedli kolacje przy kominkach, wpatrywali się w ciemność i wsłuchiwali się w rozszalałe wycie nacierających od północy kanadyjskich wichrów. Wichry te rodziły się i wychowywały w Arktyce, manier uczyły się zaś po drodze, w Montrealu – tak przynajmniej mówili mieszkańcy Coheeries, niemający najlepszego zdania o montrealczykach i ich zwyczajach. Wiatry zdzierały dachówki, łamały gałęzie drzew, obalały niezbrojone kominy. Gdy tylko zaczynały wiać, wszyscy wiedzieli, że zaczyna się zima, że dużo jeszcze musi minąć czasu, nim pola znów zaczną oddychać, a strumienie odtają z lodu i znów zabarwią jezioro na żółto.

Tej zimy wiatry były mocne i zimne jak nigdy dotąd. Gdy któregoś wieczoru przypuściły swój coroczny atak, ptaki roztrzaskiwały się o klify i drzewa, dzieci płakały, płomienie świec migotały. Pani Gamely, jej córka Virginia i maleńki synek Virginii, Martin, siedzieli w malutkim domku i wyobrażali sobie, jakie piekło musi teraz szaleć na jeziorze. Słyszeli, jak olbrzymie fale rozbijają się o miękkie, podobne do peruk krzaki na brzegu. Pośrodku jeziora – mówiła pani Gamely – z wody wzbijają się gigantyczne pienne zamki, a wielkie podwodne potwory, między innymi Donamula, kotłują się i wiją jak korzenie na wiosennym polu.

– Słuchajcie! – wołała. – Słuchać, jak się tam roją i wrzeszczą. Biedactwa! Wiem, że to paskudne krzyżówki morskich pajaków, szybkich węży i najostrzejszych noży, wiem, że mają wielkie wylupiaсте ślepie bez powiek i wpatrują się nimi w człowieka jak żebrak na ulicy, wiem, że zęby mają jak kościane brzytwy, ale i tak mi ich szkoda, gdy słyszę ten wrzask.

Virginia zasłuchiwała się w ciemność, usiłując wyłuskać z niej krzyki morskich potworów, gnieźdzących się w płytkim jeziorze jak sałatka w misce – nie słyszała jednak nic oprócz wiatru. Pani Gamely przewróciła maleńkimi oczyma i podniosła palec.

– Ćśś! – powiedziała i zasłuchiwała się. – Słyszysz teraz?

– Nie! – odparła Virginia. – Słyszę tylko wiatr.

– Nie słyszysz potworów, Virginio?

– Nie, mam, tylko wiatr.

– Berbec na pewno je słyszy. – Pani Gamely pokazała na niemowlę śpiące smacznie w grubym flanelowym zawiniątku. – Tam naprawdę są potwory, mówię ci! – ciągnęła. – Widziałam je. Gdy byłam małą dziewczynką i mieszkałam na północnym brzegu jeziora (na długo, nim wyszłam za Theodore'a), widywałam je bardzo często. To było oczywiście dawno temu. Podchodziły pod szkoły, wylaziły na brzeg koło domu, zupełnie jak oswojone psy. Zdarzało im się wskakiwać do doków lub zatopić łódkę. Razem z siostrą często stawałyśmy na molo i karmiłyśmy je plackami. One uwielbiały placki. Donamula, która miała z dwieście stóp długości i pięćdziesiąt grubości, najbardziej przepadała za wiśniowym. Rzucaliśmy kawałki ciasta do góry, a ona chwyciła je swoim czterdziestostopowym językiem. Któregoś dnia ojciec stwierdził, że to niebezpieczne, i zabronił nam je karmić. Donamula nie pojawiła się już nigdy więcej. – Zmarszczyła brwi. – Ciekawe, czy mnie jeszcze pamięta.

Virginia, która zawsze dawała się sprowokować tymi osobliwymi opowieściami, zastanawiała się nad odpowiedzią. Spojrzała na matkę; z przyjemnością i podziwem przyglądała się jej czerstwej, chytrej i inteligentnej twarzy, masywnej postaci, która nie była ani tłusta, ani wysoka, ani krępa, dużym mocnym ręką, bezkształtnej aksamitno-perkalowej sukni z zielonym karczkiem, uroczym maleńkim oczom osadzonym blisko siebie w rozjarzonej, pucołowatej twarzy zwieńczonej strzechą miękkich siwych włosów, a także pomrukującemu z cicha, wielkiemu kogutowi (o ceglastoczerwonym grzebieniu), którego staruszka trzymała na rękach

i głaskała od czasu do czasu.

– A gdyby Jack wyjechał od nas na pięćdziesiąt lat – spytała Virginia (Jack to był właśnie ów kogut, urodzony w Quebecu, pierwotnie nosił imię Jacques) – a potem wrócił, to czy by mnie rozpoznał?

– Koguty nie żyją tak długo, Virginio. Poza tym pewnie pojechałby z powrotem do Kanady i nie wrócił już do nas. Tam mówią po francusku, wiesz? I niczego nie robią jak należy. Pewnie przyrządziliby z niego potrawkę lub użyli jako formy do robienia kurków na dachy.

– No ale założmy, że wyjeżdża na pięćdziesiąt lat, a potem wraca.

– Dobrze, ale dokąd wyjeżdża?

– Do Peru.

– Czemu akurat do Peru?

Tego rodzaju rozmowy, poruszające wszelkie znane ludzkości tematy, przeciągały się często do późnej nocy. Pani Gamely nigdy nie nauczyła się czytać ani pisać, wykorzystywała do tego córkę, podobnie jak do szperania po encyklopediach – choć nigdy nie zgadzała się z tym, czego się z nich dowiedziała. Panowała nad wszystkim w sposób cudownie przypadkowy i nielogiczny, a jej wiadomości były bogate jak gałęzie kwitnącej jabłoni. Bez trudu potrafiła poruszyć sto pięćdziesiąt tematów w ciągu półtorej godziny, po zakończeniu każdej takiej rozmowy Virginia była zaś zdumiona i olśniona, bo miała wrażenie, że toczyła się ona według perfekcyjnego, niezachwianego planu. Pani Gamely, choć zupełnie nieuczona i niepiśmienna, miała przebogate słownictwo. Nikt nie miał pojęcia, skąd właściwie je zna, ale znała je na pewno. Virginia przypuszczała, że mieszkańcy północnego brzegu jeziora, z czułością i precyzją posługujący się różnymi odmianami angielszczyzny, uczynili z języka narzędzie do uprawy doskonałego krajobrazu. Kto mieszkał w małej osadzie, mógł nie ogarniać myślą złożoności wielkich miast, lecz miał bogate serce – i tak samo wytwarzał i przechowywał słowa. Słownik pani Gamely był imponujący. Znała ona wyrazy, o których nikt nigdy nie słyszał, posługiwała się nimi na co dzień, choć wiele z nich było martwych lub uśpionych od setek lat. Virginia sprawdzała je w oksfordzkim słowniku języka angielskiego i przekonywała się, że matka starowinka używa ich (niemal bez wyjątku) z bezbłędną trafnością. Niektóre psy nazywała na przykład jużakami. Okolice przy granicy z Quebeciem określała mianem rubieży. Wspominała czasem o rozłupniach, biretach, bukanierach, cwelichach, dągach, opuncjach i sagumach. W opisach posługiwała się takimi przymiotnikami jak chyży, bukoliczny, stochastyczny, faryzejski, koplanowy czy rabelaisowski. Takie wyrazy jak dysplazja, moszcz, anosmia, mag, palmerin, Khamti, trias, kaboszon, galangal, fałszburta, toksyna, pęcina, zostera, Ogdoada czy pintularium padały jej z ust i wywijaly po izbie pieryjskie saltarella. Domowy egzemplarz oksfordzkiego słownika miał pełno oślich uszu, ponieważ Virginia większą część dnia spędzała na sprawdzaniu słów – choć gdy pani Gamely się rozsierdziła, mówiła tak szybko, że nawet dziesięć osób nie dotrzymałoby jej kroku, a tuzin lingwifologów dostałby hiperkardii.

– Skąd ty znasz te wszystkie słowa, mamó? – pytała Virginia.

Pani Gamely wzruszała ramionami.

– Wyrośliśmy wśród nich, jak mniemam. – Nie zawsze mówiła niezrozumiale.

Przeciwnie, niekiedy przez długie miesiące trzymała się solidnej, szacownej matrycy anglosaskich derywatów. Virginia oddychała wtedy spokojniej, a kogut był tak zadowolony, że gdyby był kurą, znosiłby po trzy jaja dziennie. A może jednak był kurą? Kto wie? Najciekawsze jest to, że sam prawdopodobnie uważał się za kota.

Wiatr wzmógł się jeszcze bardziej: roznosił stogi siana, obalał stodoły, zalewał pola wodą z jeziora. Pani Gamely i Virginia słyszały natarczywe dzwonięcie, gdy miliardy odłamków

lodu zderzały się ze sobą na falach – brzmiało to jak bzyczenie zagubionych dusz wszystkich owadów, jakie żyły od początku świata. Dom jęczał i chwiał się w posadach, lecz zbudowano go tak, by przetrwał nawet największe zimowe nawałnice; był zresztą dziełem Theodore’a Gamely’ego, który, nim zginął, chciał uczynić zeń porządne schronienie dla żony i dziecka. Teraz jego młoda żona była już starą kobietą, a córka przekroczyła trzydziestkę, i obie niemal nieprzerwanie mieszały w tym samym domku, nie licząc krótkiego okresu, gdy Virginia wyprowadziła się do męża, francuskojęzycznego Kanadyjczyka o nazwisku Boissy d’Anglas – by wrócić po trzech latach z nowo narodzonego synkiem.

– Myślisz, że dom się zawali? – spytała pani Gamely.

– Nie wydaje mi się – odparła Virginia.

– Jeszcze nigdy nie widziałam takiego wiatru. Zima będzie bardzo trudna.

– Zawsze jest trudna.

– Ale myślę, że tym razem mróz porachuje nam kości – rzekła matka. – Zwierzęta wyzdychają. Skończy się jedzenie. Ludzie się pochorują.

Przy takim wietrze czarne przepowiednie wydawały się prawdopodobne. I faktycznie, ilekroć pani Gamely mówiła o czymś poważnym, uroczystym tonem, okazywało się, że miała rację. Tak czy inaczej, bez względu na to, czy jej prognoza miała okazać się słuszna, tej nocy wiatr osiągnął prędkość dwustu mil na godzinę, a temperatura nieruchomego powietrza wynosiła dwadzieścia stopni poniżej zera.

Po którymś wyjątkowo potężnym uderzeniu wichru pani Gamely podniosła się i zaczęła chodzić wkoło po pokoju. W piecu palił się ogień, jasny i gorący. Staruszka okrążyła kuchenny stół, popatrując do góry. Sufit był pomalowany w purpurowe wzory, ściany i podłogi mieniły się odcieniami ciepłego różu, żółci i kremu. Dach klekotał na wietrze. Jack wskoczył pani Gamely na ręce, ta przytuliła go jak kota.

– Czy pada śnieg, mamó? – spytała Virginia, jak gdyby była jeszcze dzieckiem.

– Przy takim wietrze? Niemożliwe – odparła pani Gamely. Dorzuciła drewno do pieca, po czym wyciągnęła z kąta dubeltówkę. Stwierdziła, że w wyjątkowo mroźne noce rozluźniają się pęta, otwierają więzienia, wariatom nasila się obłąd, zwierzęta wpadają w szal, a potwory z jeziora mogą próbować wdrzeć się do domu.

Siedziały razem przez całą noc, nawet nie myśląc o spaniu. Do Bożego Narodzenia było jeszcze kilka tygodni, ale ta noc trochę przypominała Wigilię. Virginia kołysała się z dzieciątkiem na ręku, oddając się marzeniom i wspomnieniom. Dom był zaopatrzony w taką ilość suchego prowiantu, że można było spędzić w nim nawet dwie zimy; spiżarnia pękała od wędzonego mięsa, drobiu i serów, suszonej wołowiny i warzyw, worków z ryżem, mąką i ziemniakami, konserw, przetworów, miejscowego wina oraz jeszcze innych najróżniejszych rzeczy, których wymagały nadzwyczajne talenty kucharskie i piekarskie obu gospodyń. Półki zastawione były trudnymi w czytaniu książkami, które mogły spustoszyć bądź odrodzić ludzką duszę, oraz takimi, które potrafiły kopnąć z siłą muła. Łóżka, tej nocy nieużywane, zasłane były pierzynami z gęsiego puchu, lekkimi jak bita śmietana i grubymi na trzy stopy. Virginia przeżyła już trochę trudnych chwil, niełatwe czasy czekały ją też na pewno w przyszłości. Teraz była jednak w domu, w bezpiecznej przystani, i z przyjemnością pogrążała się w marzeniach.

Kanada – już sama nazwa tego kraju była płaska i chłodna jak zasypane śniegiem pole. Dojechanie saniami do Gór Laurentyńskich zajęło Virginii i Boissy’emu d’Anglas dwa dni. Ależ przyjemnie było patrzeć, jak potężny księżyc wznosi się w prześwitach między zaśnieżonymi drzewami! Virginia nie bardzo mogła sobie przypomnieć lata spędzone w Kanadzie, samą podróż natomiast pamiętała doskonale – i właściwie nie potrzebowała żadnych innych

wspomnień związanych z tym epizodem.

Wyjechali po południu, gdy słońce było już nisko na niebie i płonęło złotem. Śnieg tego dnia był cieplejszy niż powietrze i lśnił żółtawym blaskiem, podobnym do tego, który w wieczornym świetle bije od ceglanej ściany. Dwa konie, gniady i prawie czerwony, ciągnęły w stronę północnych pustkowi tak równym kłusem, że mogłyby chyba tak biec w nieskończoność. I biegły długo, prawie przez całą noc – księżyc odbity od śniegu świecił zaś tak oślepiająco, że było jasno jak w dzień.

Konie bardzo upodobały sobie nowy, dziewiczy szlak, pędziły przez pola i między kępami sosen jak na wyścigach. Boissy d'Anglas i młoda kobieta, którą niemal siłą porwał z domu, byli wręcz odurzeni; twarze mieli rozognione, oczy im błyszczały. Cienie majaczące w oddali z czasem nabierały kształtów, przeistaczały się w skały i zagajniki – wjechali w góry, między wytrawione zimą urwiska i żleby. Po obu stronach drogi pojawiały się i znikwały jeziora i rwące strumienie, pejzaż zdawał się falować jak fale oceanu. Idealnie okrągły, zmrożony księżyc był jasny jak lód. Konie były tak szczęśliwe, że mogą biec w blasku zorzy, wydawały się zdolne dotrzeć bez przystanku do samej Kanady.

Musieli się jednak zatrzymać, gdy dotarli na brzeg zamrożonego jeziora, które ciągnęło się w kierunku północnym między pasmami wzgórz i poszarpanych gór niczym gościnniec powleczoney migotliwym srebrem.

– Nie wiem, co robić. Czy powinniśmy rozbić tu obóz i wyruszyć dalej jutro, czy jechać, póki konie nie padną? Jezioro ciągnie się przez dwieście mil. Jeśli ruszymy w ciągu godziny, prędzej padną niż dojadą na miejsce.

– A zasnąłbyś teraz? – spytała Virginia, sugerując, że sama nie może zmrużyć oka. – Myślisz, że konie także by zasnęły?

– Nie – odparł, trzaskając lejcami. Sanie z łoskotem zjechały na pokryty śniegiem lód i pomknęły dalej.

Przejeżdżali przez rzeki, tory kolejowe i drogi; mijali oświetlone osady i poskrzypujące młyny; zanurzali się w wysokie, zimne puszcze; gdy księżyc znikał za drzewami, oświetlali sobie drogę latarniami. Virginia sama już nie była pewna, czy rzeczywiście mknie na saniach przez mroźny, ciemny sosnowy las i śni o domu, czy siedzi w domu przy ogniu i tylko wspomina, jak kiedyś wsłuchiwała się w stłumiony tętent końskich kopyt na śniegu.

Ranek przyszedł do pani Gamely i Virginii tak, jak przychodzi do chorego, gorączkującego dziecka: powolny, przegrzany, zatęchły. Pani Gamely otworzyła drzwi i wyjrzała na zewnątrz, wpuszczając do izby odświeżającą zimną rzekę błękitnego powietrza.

– Tak wiało i wiało, a nie spadł nawet jeden płatek śniegu – powiedziała. – I na co to, po co? Tyle tylko, że nas wyziębili i musiałyśmy spalić mnóstwo drewna.

– Co z jeziorem? – spytała Virginia.

– Z jeziorem?

– Czy zamarzło?

Pani Gamely wzruszyła ramionami. Virginia wstała i włożyła pikowaną kurtkę. Dziecko umieściła delikatnie w zawiniątku z takiego samego materiału, wzięła je na ręce i zeszła nad jezioro. Wiedziała, że zamarzło, nim jeszcze zdążyła skrócić za węgiel domu: nie słyszała chlupotu fal, a wiatr świszczwał równo, przenikliwie, nie dzielił się na sto różnych dźwięków niczym ptasi śpiew, jak czynił to wówczas, gdy smagał wysokie fale.

Jezioro zamarzło w ciągu jednej nocy, co oznaczało, że zima będzie ostra. Jak bardzo ostra – można było prognozować na podstawie powierzchni lodu. Im była gładzsza, tym najbliższe miesiące miały być cięższe; choć zarazem nieporównanie rozkoszniej jeździłoby się

wówczas na bojerach. Pani Gamely widziała już kiedyś bardzo gładki lód na jeziorze, lecz jeszcze nigdy tak gładki jak teraz.

Lód był tak idealny, że niemal śmiał się z własnej doskonałości. Nie widać było w nim nawet jednej fałdy, smugi, bąbelka powietrza. Zamczyska z piany, wznoszone porywami strasznego wiatru, zniknęły bez śladu, ciężka niebieska woda skamieniała w uścisku mrozu. Ani jeden płatek śniegu nie zakłócał idealnej gładzi, jezioro było równe jak lustro astronoma.

– Potwory pewnie zamrzły na kość – powiedziała pani Gamely i zadumała się nad nadchodzącą zimą. Lód był lity, gładki, ciemny.

Przez dwa tygodnie słońce wstawało i zachodziło nad miasteczkiem Coheeries, niskie i połyskliwe, rozwieszając na widnokręgu grzywę uplecioną ze złotych i mosiężnych nici. Łagodny, równomierny wiatr wiał z zachodu na wschód, omiatając nieskazitelny czarny lód miriadami gałązek i rozdzwiczonych sopli – pędziły one niczym tłum śpiewaków operowych, który wesoło i z werwą pierzchnął z desek teatrów na scenę ukradzioną strumieniom, falom i burzom chłuszczącym jesienne lasy.

Temperatura nigdy nie wzrastała powyżej minus dwunastu stopni, lecz ponieważ wiatr wiał łagodnie, a niebo było bezchmurne, pogoda była całkiem przyjemna. Studnie pozamarzały, świat pograżył się w niemal zupełnym bezruchu, mieszkańcy miasteczka ruszyli więc na lód i od świtu do nocy oddawali się najróżniejszym holenderskim zabawom, aż Coheeries upodobniło się do osobliwych flamandzkich wioszek z malarskich pejzaży. Być może dziedziczyli tę tradycję z pokolenia na pokolenie; może wskrzesili w sobie głęboką pamięć dawnych czasów niczym intensywne kolory, którymi malowano tamte obrazy. Wybrzeże jeziora przeobraziło się w holenderską wioskę. Bojery śmigały tam i z powrotem w linii wschód–zachód, ich olbrzymie żagle sunęły bezszelestnie nad lodem niczym kwiaty. Z bliska słychać było jedynie leciutki świst stalowych płóz wykonujących swe magiczne cięcia; z niewielkiego oddalenia upodabniał się on do ledwie słyszalnego syku maszyny parowej. Na lodzie wyrastały miniaturowe wioski namiotów, widoczne z daleka dzięki ustawionym w krąg rybackim butom i krętym smużkom dymu unoszącym się z przenośnych piecyków. Nocą blask ognia z tych osad odbijał się od lodu pomarańczowymi i żółtymi refleksami. Chłopcy i dziewczęta wkładali łyżwy i znikali parami, unoszeni w bezkresną dal dzięki małym żaglom przytroczonym do ramion i ud. Gdy odjechali po lustrzanej powierzchni na tyle daleko, że tracili z oczu brzeg, rozkładali te żagle na lodzie, a potem kładli się na nich, pieścili i całowali, wypatrując kątem oka, czy na horyzoncie nie zakwita żagiel bojera – młodsze dzieci żeglowały w odległe zakątki jeziora właśnie po to, by ich śledzić, a potem skręcać się z podziwu i zazdrości.

Zatoki i przystanie okolone były naszyjnikami nadbrzeżnych ognisk. Gotowano na nich czekoladę, rum i cydr, pieczono na rożnach dziczyznę. Nocne jeżdżenie na łyżwach, gdy przywołanie przyjaciela wymagało niekiedy wystrzelenia z pistoletu, było jak podróż kosmiczna: całutkie niebo, aż po sam widnokrąg, wysklepione nad jeziorem niczym dzwon próżniowy, usiane było oślepiająco jasnymi gwiazdami. Doskonale, choć w stłumiony sposób, odbijały się też one w lodzie. Mieszkańcy Coheeries wprowadzili też w życie dawny pomysł, by ściągnąć na lód miejscowe podium dla orkiestry, przyozdobić je i rozświetlić niczym tort weselny, przymocować od spodu szerokie płozy, zaprząć sześć ciężkich pociągowych koni i ruszyć w noc. Miejscowa orkiestra grała przepiękną, magiczną kompozycję A.P. Clarissy Rytm zimy, a mieszkańcy miasteczka tłumnie jechali za podium na łyżwach. Ilekroć ktoś z farmerów mieszkających na przybrzeżnych wzgórzach spostrzegł łańcuszek maleńkich pomarańczowych ogni i rozjarzony biały zamek, jak we śnie sunący przez mrok (niczym tancerka, która wykonuje szybkie, precyzyjne kroki ukryte pod długą spódnicą), od razu chwycił łyżwy, pędził przez pola,

zeskakiwał na lód i pędził w stronę tego czarodziejskiego widoku. Kiedy się zbliżył, otwierał usta ze zdumienia, słysząc muzykę i widząc gromadę mężczyzn, kobiet i dzieci sunącą w mroku niczym legion duchów. Tłum łyżwiarzy wyglądał jak nierozświetlony ogon komety. Młode dziewczęta kręciły piruety, inni jechali prosto przed siebie jak zaczarowani.

Na ten karnawał zużyto większość zapasów opału i żywności. Było to nierozsądne, mieszkańcy Coheeries nie mogli jednak oprzeć się idealnej pogodzie, rozpalającej w sercu pragnienie zabawy. Pozwolili sobie na chwilę szaleństwa, nieroztropnego zapomnienia. Rozluźnieni i ożywieni, tańczyli, śpiewali i przeklinali rozpoczynając się zimą; utwierdzali się w swojej ufności wobec natury, odgrywając co do nuty jej paradoksalną partyturę. Nawet pani Gamely, na co dzień będąca uosobieniem przezorności, dzieliła się szczerze swoimi zapasami, dokładała się do wystawnych uczt, nieustraszenie piekła dziesiątki ciast. Obie z Virginią jeździły na łyżwach za podium z orkiestrą, tańczyły na brzegu. Tańczyli wszyscy, w sposób cudowny, układny, z humorem; gdy komuś z racji wieku brakowało już elegancji ruchów, nadrabiał to dowcipem, młodsi grzecznie słuchali zaś starszych, którzy mówili im w tańcu, że mają być silni, cierpliwi, pełni miłości, a przede wszystkim ufni. Nie sposób było nie wziąć sobie tej lekcji do serca, gdy widziało się, jak pani Gamely, wdowa, której życie nie rozpieszczało, tańczy i śmieje się na lodzie.

W połowie stycznia każdemu już brakowało żywności. Ludzie racjonowali sobie jedzenie, ludząc się, że wystarczy go do lata (co było niemożliwe), każdy był też katastrofalnie tłusty po szaleńczym grudniowym obżarstwie.

– Sople mszczą się na nas – stwierdziła pani Gamely, nieco przygaszona, ale jeszcze niezasmucona. – Coś mi się widzi – dodała, lustrując spiżarnię chryzym, lecz już nie bukolicznym spojrzeniem – że jedzenia mamy tyle, by dociągnąć do marca. Nic nam to nie da. W marcu jest jeszcze zimno. Lamston Tarko ze swoim psem zamarł na śmierć w ostatnim dniu marca. Miał trzydzieści siedem lat. Co będziemy jeść? Oto pytanie.

– Czy inne wioski nie mogą się z nami podzielić? – spytała Virginia.

– Nie. Grad zniszczył im zbiory. Nasze ocalały, zebraliśmy takie plony, że podzieliliśmy się z nimi. Nawet nie sprzedaliśmy, po prostu podzieliliśmy się za darmo. A teraz jedziemy na tym samym wózku. W taką wietrzną zimą nikt nam nie pomoże. Zresztą zawsze radziliśmy sobie sami. Szkoda, że nie ma z nami Antoine’a Bonticue, może by coś wymyślił. Albo Theodore’a.

– Kto to był Antoine Bonticue?

– Umarł przed twoim urodzeniem. Mieszkał między Coheeries a rubieżami kraju. Był Szwajcarem, jeździł wózkiem zaprzężonym w pająki.

– Był Szwajcarem i jeździł wózkiem zaprzężonym w pająki? – powtórzyła Virginia.

– Tak – odparła pani Gamely. – Pajęcze wózki były cudowne. Jeździły cichutko, ale nie nadawały się na zatłoczone drogi, bo pająka łatwo rozjechać. Były też trochę powolne, ale dość ekonomiczne, zwłaszcza w przewożeniu lżejszych ładunków. Jak pewnie domyśliłaś się po jego nazwisku, Antoine Bonticue ważył niecałe pięćdziesiąt funtów. Był kimś w rodzaju inżyniera, przeciągał liny i bloczki między wierzchołkami gór. Jak on to mawiał? „Rozpięliśmy nad szczytami zgrabny łuk, / Myśmy mu panem, on jednym z naszych sług. / Odsłania się w nim ciemiona wiara / w coś tam, coś tam, coś tam, coś tam, coś tam / coś tam, coś tam, coś tam, kaczkę albo tęczę”.

– Theodore wiedziałby, co robić – dokończyła. – My też sobie poradzimy. Zresztą do marca mamy co jeść.

Na obiad Virginia i pani Gamely pokroiły kawałek wędzonej wołowiny, wysypały na stół pół funta suszonej kukurydzy i starły kawałek twardego sera, usypując kupkę serowych trocin. Z

tych trzech składników przyrządziły papkę i nakarmiły niemowlę. Z resztek zrobiły coś w rodzaju zupy, dla nadania wiosennego aromatu suto doprawionej koprem i papryką. Pochłonęły ją błyskawicznie, ale tylko oszukały głód. Cóż pocniemy do marca? – zastanawiały się.

Tej nocy, może dlatego, że już piątą noc z kolei kładła się spać głodna, Virginia otrzymała odpowiedź na to pytanie – podsunął ją sen, hojnie i elegancko niczym obsługa dobrego hotelu, która przywozi klientom potrawy na bezszelestnych wózkach i serwuje na srebrnych tacach.

Przyśniło się jej mianowicie wielkie miasto, pełne dymiących szarych kwadratów i pobielonych grobowców, pochylonych wierzb oraz rzek obróconych do góry szafirowymi brzuchami, miasto wijące się wokół swych kościołów i placów wężową płataniną ulic, miasto szarych płaszczy i gładkich czarnych cylindrów, cichej muzyki błyskającej jak światło wśród chmur, delirycznych zielonych drzew, sklepów wiodących do sekretnych tuneli, pogodnych dni, kryształowych pałaców i niekończących się, wiecznie rosnących portretów. To miasto ożyło i było jej kochankiem. Przyjęła je w siebie bez zahamowań, nago, bez tchu. Pociła się, przewracała zamkniętymi oczyma i pocierała udem o udo, czując, że wypełnia się powodzią barw.

Sen uzmysłowił jej, że miasta są trochę podobne do olbrzymich zwierząt, które jedzą, śpią, pracują i kochają. Uzmysłowił jej, jak to jest być gigantycznym jak wieloryb i kochać się bez oporów w błękitnym, pozbawionym grawitacji oceanie. Uzmysłowił jej też, że jej przyszłość (Virginia zawsze wiedziała, że przyszłość jest w niej samej, czeka tylko, aż ją z siebie wytrząśnie) jest w mieście i że resztę życia powinna spędzić w miejscu, które widziała we śnie.

Budziła się pomału, wciąż jeszcze spocona po tym niecodziennym wysiłku, szybko jednak obliczyła, że jeśli wyjedzie wraz z dzieckiem, jej matce pozostanie dość jedzenia, by przetrwać do wiosny, a nawet będzie mogła się z kimś podzielić.

Pani Gamely z początku protestowała, przekonał ją jednak opis uroków wysnionego miasta.

– Nigdy tam nie byłam – rzekła Virginia – ale wygląda na to, że dobrze je znam, skoro potrafiłam je sobie tak dobrze wytworzyć. – Ku jej zaskoczeniu, matka nie wypomniała jej niefortunnej przygody z Boissym d'Anglas; przeciwnie, ożywiła się, niczym dawny bojownik o przegraną sprawę, który na starość przekonuje się, że jest jeszcze o co walczyć.

Pożegnalnym uściskom i łzom nie było końca. Ostatnie słowa, jakie Virginia usłyszała od matki, brzmiały tak:

– Pamiętaj, w naszym życiu usiłujemy robić tylko dwie rzeczy: zniweczyć upływ czasu i przywrócić zmarłych do życia. Wzejdź, Virginio. Wzejdź i zobacz cały świat.

Virginia nie do końca wiedziała, co ma na myśli.

Kiedy wraz z dzieckiem ruszała w drogę wzdłuż dłuższego brzegu, jezioro zasypane było śniegiem. Potężna trojka zaprzęzona była w konie tak ciężkie, że stukot ich kopyt wprawiał w drżenie nawet gruby tegoroczny lód. Po południu byli już w górach; pomału wjeżdżali coraz wyżej i wyżej, biorąc ostre zakręty nad krawędziami urwisk, z których roztaczała się białobłękitna panorama. Od czasu do czasu z pokrytych śnieżnym kamuflażem pól zrywał się jastrząb i ulatywał w ocean powietrza, manewrując zgrabniej niż łyżwiarz po lodzie.

Gdy sanie dotarły pod sam wierzchołek masywu, widać było już, co robi z nagromadzonym śniegiem wysoki wiatr. Potężna kontynentalna nawałnica biła w urwiska i rzeźbione szczyty, wzbijając w powietrze pionowe kurtyny białego pyłu. Zza tych jedwabnych zasłon łykały krawędzie gór ozłoczone blaskiem słońca. Wiatr świstał i wrzeszczał tak donośnie,

że niemal zagłuszał dzwonki sań. Woźnica zatrzymał konie na guzowatym wierzchołku góry przypominającym tort. Virginia przyglądała się śnieżno-lodowemu krajobrazowi, pociętemu wzgórzami i łańcuchami gór, z których wystrzelały w górę słupy białego pyłu. Konie schyliły głowy i wstrząsały pokrytymi lodem grzywami.

– Za chwilę na dobre stracimy z oczu jezioro – zawołał woźnica; jego głos z trudem przedzierał się przez szalik i świst wichru. – Będziemy patrzeć już tylko na wschód. Niedługo pokaże się też Hudson. Niech pani spojrzy ostatni raz za siebie, bo jedziemy w zupełnie inne miejsca.

Droga nie wiodła przez pola i wyniesienia, lecz schodziła coraz głębiej w dziewiczy las, między skalne urwiska wysokie na tysiąc stóp, obok niemal całkowicie zaczopowanych lodem wąwozów, gdzie strumienie i wodospady grzmociły o skały niczym młoty pneumatyczne, okrywając olbrzymie dęby lodowym pyłem. Sunęli po skąpanych w półmroku drogach, co pewien czas napotykając zaskoczone stadka jeleni. Jelenie spoglądały na nich z urażoną niewinnością i czmychały w las, migając białymi ogonkami i unosząc wysokie na sześć stóp poroża, potężne jak wojenne topory – miażdżyły nimi woskowate leśne krzaki, skropione czerwonymi jagodami, przypominającymi krople krwi. Sanie pędziły sklepionymi, uformowanymi z drzew i śniegu szlakami barwy mahoni, konie sadyły wielkimi susami, połykając przestrzeń przed sobą, bez wysiłku sprężając powietrze w zimnych śnieżnych tunelach. Virginia przyciskała do siebie synka pod kurtką. Nazywał się, przynajmniej tymczasowo, Martin d'Anglas. To nazwisko wydawało się stosowne raczej dla miecznika czy legionisty niż dla takiej maleńkiej traszki okutanej w niebieskie ubranka. Z granatowej kaszmirowej kominiarki wystawał tylko nos i usta, chłopczyk chwycił nimi zimne powietrze jak szczeniaczek. Virginia odchyliła głowę do tyłu, szukając wzrokiem jastrzębi i orłów – i zdziwiła się, że aż tyle ich siedzi w gotyckich gniazdach na drzewach. Przyglądały się beznamiętnie przejeżdżającej trojce.

– Niech pan popatrzy, jakie dostojne orły – powiedziała do woźnicy. – Gdyby nie wyglądały jak zrobione z porcelany i złota, przysięgłabym, że to emerytowani sędziowie Sądu Najwyższego.

Potem długim łagodnym stokiem zjechali nad Hudson i dokładnie o zmroku dotarli do nadrzecznej oberży. Stado świń na dziedzińcu głośnym kwikiem domagało się, by oberżysta wpuścił je na noc do chlewika. Komin wypływał babeczki czystego białego dymu. Virginia i Martin (zaczęła już wymawiać jego imię z angielska) mieli tu przenocować: rano miał przyjechać olbrzymi bojer, zdolny zabrać dwunastu pasażerów z bagażem, i przewieźć ich w dół rzeki aż do miejsca, gdzie otwierał się kanał żeglugowy – tam mieli wsiąść na statek płynący na południe. W środku nocy do ich pokoju zapukała żona oberżysty, kobieta o policzkach czerwieńszych niż rumień pojawiający się czasem na maleńkich szyneczkach Martina. Virginia zapaliła światło. Nie czuła się najlepiej, ciążyła jej suta kolacja złożona z kotletów baranich, chleba z mąki kukurydzianej i sałatki z mleczka. Zmrużyła oczy przed światłem, Martin zaczął wymachiwać swymi gibkimi rączkami i nóżkami.

– Kto tam? – spytała Virginia, podciągając sobie koszulę nocną pod szyję.

– Przepraszam, że cię budzę, skarbie – powiedziała żona oberżysty głosem przechowywanym od lat w garncu z galaretką miętową – ale pan Fteley miał właśnie telefon z Oscawana. Bojer nie przyjedzie. Ponoć napadało za dużo śniegu. Musisz pojechać tam raniutko na łyżwach. Statek zaczeka do południa. Jeśli wyjedziesz ósmej, będziesz miała mnóstwo czasu. Pan Fteley pojedzie z tobą, będzie ciągnął sanki z bagażem.

– Rozumiem – rzekła Virginia. – Ile stąd mil do Oscawana?

– Tylko dwadzieścia, a wiatr będziesz miała w plecy.

– Aha – odparła Virginia. Gdy pani Fteley zniknęła, zgasiła światło i zasnęła w ciągu pięciu sekund. Śniło jej się, że jeździ na łyżwach i jak to często bywa, rankiem zrobiła dokładnie to, co sobie wyobraziła.

Przez długie godziny pędziła niemal w transie traktem z białego lodu, wiodącym przez góry. Virginia należała do kobiet, których nogi wydają się sięgać aż do ramion. Nie dałoby się zamknąć jej w więzieniu – choćby nawet strażnik zawiesił klucz do celi na najdalszej ścianie, i tak zdołałaby sięgnąć stopą, zawiesić go sobie na palcu i przyciągnąć do siebie sinusoidalnym wysięgnikiem z uda i łydki. Była więc urodzoną łyżwiarką. Jednym wymachem nóg pokonywała dobre pięćdziesiąt jardów, a mogła nimi machać godzinami. Mierzyła zaledwie pięć stóp i jedenaście cali wzrostu, lecz figurę miała idealną. Jej włosy były czarne z niebieskim odcieniem, lśniące niczym sierść zdrowej foki, usta doskonale ukształtowane, zęby białe, uśmiech zaś miękki, zachęcający i pełen siły. Na zdjęciach Virginia nie przykuwała uwagi tak bardzo jak w rzeczywistości, jej piękno emanowało raczej z duszy, dowodząc, że fizyczna uroda znaczy niewiele, o ile nie rozświetla jej wewnętrzny blask. Ale nie była też piękna w sposób nieświadomy i wstydlivy. Gdy była surowa, wyglądała surowo; gdy się gniewała, wyglądała gniewnie.

Tak oto pędziła więc na łyżwach w dół rzeki, z Martinem ukrytym w zawiniątku na grzbiecie, zgrabnie pokonując zakręty, ze wzrokiem wpatrzonym w horyzont, gdzie brzegi stykały się z lodem. Od czasu do czasu zatrzymywała się, zdejmowała Martina z pleców i sprawdzała, czy wszystko u niego w porządku. Chłopczyk był dobrze zawinięty, spał smacznie jak w kołysce, mocowała go więc sobie z powrotem i ruszała dalej, coraz szybciej, z coraz większą werwą. Wiatr wiał jej w plecy, ale mknęła tak szybko, że pęd powietrza odgarniał jej włosy z twarzy.

Z tyłu, w odległości mniej więcej jednej mili, jechał pan Fteley, oberżysta, ciągnąc za sobą małe sanki. Oboje mijali w milczeniu śpiące osady z czerwonej cegły i zgrzebnych drewnianych bali. Na zakręcie rzeki, w pobliżu Constitution Island, Virginia ujrzała lodownię; postanowiła zatrzymać się tam, ukryć przed wiatrem i odpocząć chwilę. Pędziła szybko, gdy więc zaczęła hamować i łukiem skrzyła ku przystani, spod srebrnych płóz trysnęły strugi świeżo zmielonych kryształków, rozmigotanych w mroźnym powietrzu. Obok budynku znajdowała się zatoczka dla łodzi i sań; Virginia wśliznęła się tamtędy do ciemnego wnętrza, wzbudzając popłoch wśród ukrytych w mroku wróbli. W środku było pełno siana i bloków lodu ułożonych w stopy aż pod belki stropu. Virginia czuła, że jest tam znacznie cieplej niż na wietrznej rzece, była też rozgrzana od wysiłku. Zdjęła Martina z pleców i rozwinęła becik. Chłopczyk obudził się i uśmiechnął radośnie, jak gdyby ubawił go jakieś wyborny żart. Może po prostu cieszyło go to, że jego matka promieniowała w ciemności – czerwona od mrozu twarz Virginii wisiała nad nim w kręgu ze światła przeciskającego się przez szczeliny w lodzie. Krew szybko krążyła jej w żyłach, wypełniając ją światłem i spokojem – być może to raczej leciutki rytm jej krążenia wzbudził w nim takie zadowolenie. Virginia nakarmiła synka, wsłuchując się w bicie własnego serca, z głową odchyloną do tyłu, wpatrzona w ciemne załomy między blokami lodu, gdzie mieszały ptaki.

Dawno temu, podczas najmroźniejszej zimy, jaką kiedykolwiek odnotowano w Coheeries (nie licząc obecnej, jeszcze mroźniejszej), farmerzy wycięli z jeziora bloki lodu i wypełnili nimi nadbrzeżną lodownię nieopodal gospodarstwa Gamelych. Systematycznie uzupełniany lodem magazyn pełnił swoją funkcję przez dobre pół wieku. Potem sprzedano go jakiemuś człowiekowi, który chciał urządzić w nim drukarnię, i przestano dokładać lód. Ten, który

pozostał, wkrótce zaczął topnieć, toteż gdy pewnego lata Virginia przyszła się tam bawić – miała wtedy sześć, może siedem lat – dotykała bloków odgrzebanych po prawie pięćdziesięciu latach. Bezlitosny skwar, który skłonił ją do przyjscia do lodowni, rozpuszczał prastare szklane pustaki i wytwarzał rzeczułki świeżej wody. Virginia sądziła, że jest tam sama jak palec. Przycisnęła dłonie do topniejącego bloku wypełnionego unieruchomionymi bąbelkami powietrza i lizała go. Pani Gamely ostrzegła ją, by trzymała się z dala od lodowni, ponieważ czyhają tam straszliwe niebezpieczeństwa:

– Nocą przychodzi tam Donamula. Żuje bloki lodu i zlizuje sól. Jeśli cię tam zobaczy – tłumaczyła wniebowziętej dziewczynce – może sobie pomyśleć, że jesteś hors d'oeuvre. Trzymaj się od lodowni z dala!

Virginia bała się Donamuli, ale bardzo chciała ją zobaczyć; marzyła wręcz, że może dałoby się pojeździć na niej po jeziorze jak na torpedzie. Z opisu pani Gamely wynikało zupełnie jasno, że nawet jeśli potwór zjada małe dziewczynki, to tylko przez pomyłkę. Niemniej Virginia była czujna, tak jak czujne są dzieci, gdy wyobrażają sobie, że obserwuje je morski potwór lub stworzenie mieszkające nocą pod łóżkiem – z początku spoglądała więc co chwila w stronę drzwi, czy aby nie nadchodzi Donamula.

Gdy już zupełnie zapomniała o potworze, usłyszała rytmiczne, mokre, nagłe, rybie chlupotanie. Znieruchomiała; nie poruszyłaby się za nic w świecie, nawet za wszystkie jagody zebrane w górach Adirondack. Tajemniczy chlupot rozległ się ponownie, tym razem towarzyszył mu jeszcze drugi, niższy dźwięk. Na wpół omdlała ze strachu Virginia obróciła głowę o dziewięćdziesiąt stopni. Nie zobaczyła Donamuli. Rozejrzała się, święcie przekonana, że za chwilę porwie ją czterdziestostopowej długości jęzor, który potrafi chwycić placek wiśniowy jak traszka śmigłonoga chwytą żuka żuławiaka. Donamuli jednak w lodowni nie było, a mimo to dźwięk nie ustawał: chlast chlast, chlæssia, flassia, świssia, flap!

Gdy Virginia troszeczkę ochłonęła, zorientowała się, że dźwięki dochodzą ze szczytu lodowej piramidy. Wspięła się na górę, czując, jak ręce i kolana cierpną jej z zimna. Na szczycie, w najcieplejszym miejscu pod okapem, w pobliżu miejsca, gdzie letnie słońce przebiło przegniłą strzechę i wlewało się do środka wąskim żółtym promieniem, w pięćdziesięcioletnim lodzie zrobiło się małe niebieskie jeziorko. Trzepotały się w nim dwa olbrzymie śledzie z gatunku aloza: przed wielu laty zamarły w wodach jeziora, a teraz ożyły i chlastały bezceremonialnie ogonami w geście protestu i radości. Były srebrno-złote, a oczy miały jak mądre stare tęcze.

Virginia wciąż pamiętała radość, z jaką chwytiała ryby za roztrzepotane łuskowate ogony, zносиła na dół, a następnie wrzucała je do jeziora. Przez krótką, lecz najpiękniejszą chwilę w swym życiu alozy leciały w powietrzu, po czym zniknęły w ciemnej wodzie – być może po to, by opowiedzieć innym rydom, co przeżyły, i odświeżyć swój gatunek niepojętą zagadką młodości w starości i starości w młodości. Virginia wiedziała, że czas jest rzeczą magiczną, umiała zatrzymać go, chwycić w ręce i wejrzeć w niego, jak gdyby zaglądała w zimny, wspaniały lód.

Teraz zerknęła w stronę rozświetlonego wejścia do lodowni, gdzie przez ułamek sekundy śmignęła postać pana Fteleya ciągnącego sanki. Szybko przewinęła Martina, umieściła go sobie na plecach, wyjechała z lodowni i jak koń wyścigowy wystartowała po lodzie w ślad za odjeżdżającym oberżystą.

Gdy go dogoniła, była w świetnym nastroju. Znajdowali się u wejścia do szerokiej zatoki, wiatr wiał więc kapryśnie, trzepocząc ich szalikami na wszystkie strony.

– Panie Fteley! – zawołała, przekrzykując bezładne porywy. – Dlaczego bojer nie mógł pojechać w górę rzeki? Lód jest gruby i gładki. Nie rozumiem tego.

– Ściana śniegu! – odkrzyknął pan Fteley.

– Ściana czego?

– Ściana śniegu! – powtórzył. – Przypadkowo cały śnieg na północ od Oscawana spadł w jednym miejscu. Potem wiatr usypał z niego ogromniastą zaspę w poprzek lodu. Kompletnie zablokowała rzekę, daję słowo, jakem Fteley: ciągnie się od brzegu do brzegu, wysoka jak góra. Nie mogli się przez nią przekopać, bali się, że przy pierwszych roztopach się zawali.

– Zablokowała całutką rzekę?

– Tak! – odkrzyknął pod wiatr.

– Wysoka jak wzgórza na brzegu?

– Tak.

– Czyli jak wysoka?

– Na tysiąc stóp! – odkrzyknął. – Będziemy musieli wspiąć się na górę i zjechać na drugą stronę.

Gdy minęli kolejne górskie zakole rzeki, z którego Hudson Highlands wyglądały jak szereg gigantycznych rogów nosorożca, ujrzeli ogromną zaspę, która w przeciwieństwie do Rzymu wyrosła w ciągu jednego dnia i przez swą gładkość, bezmyślność i ukrytą złośliwość przywodziła na myśl nowoczesne drapacze chmur. Ściana ciągnęła się od jednego łańcucha gór do drugiego, przez całą szerokość skutej lodem rzeki. Była stroma, wysoka na tysiąc stóp i zwieńczona na szczycie kłębowiskiem mgły, pozerającym się, odradzającym i kwitnącym jak pęk róż schwytyany w pętlę czasu.

– Nie dam rady się na to wspiąć – powiedział pan Fteley. – Na pewno nie z tym bagażem. Myślałem, że to będzie niższe. Nie wiedziałem też, że tam na górze jest taka mgła. – Pochylił głowę, zdumiony i przelękły, i wpatrywał się w śnieżną grań. – Chryste Panie – powiedział – pewnie pomyśli sobie pani, że tchórzę, ale muszę mieć na względzie panią Fteley i naszą małą Felicię. Może wróci pani jednak do oberży i posiedzi u nas, choćby na nasz koszt, póki to diabelstwo się nie rozpuści? Wolałbym się na to nie wspiąć, panienko.

– Panie Fteley – odparła Virginia, wciąż jeszcze rozgrzana jazdą i upojona wspaniałością wskrzeszonych barw, które ujrzała w ciemnej lodowni. – Nie uważam pana za tchórzeza, rozumiem, że musi pan myśleć o pani Fteley i Felicii, i na pewno nie kazałabym panu wspiąć się na górę z moim bagażem. Niech pan wróci do siebie i przyśle mi rzeczy, gdy tylko bojer będzie mógł przejechać. My tymczasem przeleziemy na drugą stronę.

– Ależ panienko, zniknie pani w tej pianie tam na górze! A jeśli omsknie się pani noga, nie będzie się czego chwycić. Stoczy się pani na dół i zabije.

– Panie Fteley – rzekła Virginia z oczyma pełnymi światła – w tej chwili czuję się tak, że mogłabym przesadzić tę ścianę jednym skokiem. Wespnę się tam bez problemu, wcale się nie boję, nie zamierzam spaść. Przejdę tam w okamgnieniu.

– Skąd pani może to wiedzieć? Skąd ta pewność?

– To proste – odparła Virginia. – Widziałam się już po drugiej stronie.

– Była pani tam? – spytał oberżysta, nieco stropiony.

– Nie.

– Aha, czyli tylko sobie to pani wyobrażała? To zupełnie co innego. Kot też może sobie wyobrazić, że leci za ptakiem.

– Nie wyobrażałam sobie, tylko widziałam.

– Jak to: widziała pani? Widziała pani przyszłość?

– Tak.

– Zbikowałaś, panienko! – oberżysta prychnął w nieprzyjemny, agresywny sposób. –

Nie można zobaczyć przyszłości. Nie można poczuć przyszłości. Tacy ludzie jak pani kończą w wariatkowie. To się nie trzyma kupy.

– Właśnie że się trzyma, panie Fteley – odparła Virginia, trochę rozzłoszczona jego nagłym atakiem. – Trzyma się jak diabli. Przedostanę się na drugą stronę. – Potem rozzłościła się jeszcze bardziej i odwzajemniła mu się równie wrogim spojrzeniem. – Na tym świecie roi się od takich ołowianych ślimaków jak pan, panie oberżysto, którzy boją się potęgi ludzkiego serca. Tacy jak pan zawsze modlą się, żeby górski wspinacz czy akrobata spadł i się zabił, żeby zuchwale zbudowany most zapadł się w przepaść, a ci, co czują przyszłość, zostali ukarani. Gdyby wszyscy byli tacy jak pan, panie Fteley, wciąż jeszcze chodzilibyśmy okutani w zwierzęce skóry. Niech pan wraca do oberży, nagotuje sobie owsianki i włoży spluwaczkę na głowę. Może pan przysłać mi bagaże, gdy przyjdzie odwilż; my z Martinem jedziemy do miasta.

To powiedziawszy, odwróciła się i zaczęła się wspinać. Śnieg był zbity, szybko więc przekonała się, że stawiając drobne kroczki, powinna w miarę szybko znaleźć się na górze, jak robotnik wspinający się po schodach na zaporę wodną. Gdyby upadła do tyłu, wraz z Martinem przebiłaby lód niczym kula armatnia i zniknęła w rzece na zawsze. Nie oglądała się jednak za siebie, tylko stawiała kolejne kroki, za każdym razem zaczynając od lewej stopy. Oddychała powoli, w skupieniu. Po godzinie dotarła pod samą grań; stanęła wyprostowana we wnęce, którą sobie wygrzebała w śniegu, wczepiona palcami w śnieg na tyle głęboko, na ile dało się je wbić, i na tyle szeroko, na ile dało się rozłożyć ręce. Martin spał smacznie w zawiniątku na plecach, zawieszony tyśiąc stóp ponad lodem. Na dole pan Fteley biegał tam i z powrotem jak mrówka, zdumiony, przerażony i rozzłoszczony. Virginia zwolniła tempo wspinaczki dopiero wtedy, kiedy znalazła się jakieś pięć stóp od szczytu. Niestety, grań nachylała się nad nią; żeby przez nią przeleźć i zanurzyć się w zasłonę mgły, musiała zawisnąć na rękach. Jak to zrobić?

Śnieg był twardy, trudno było się go złapać. Przez chwilę Virginia wyobraziła sobie, że spada, i jej mocny dotąd chwyt zelżał. Potem odkryła, że potrafi odwrócić ten proces – i spróbowała tak uczynić. Wyobraziła sobie, że mocno trzyma się ściany i posuwa się naprzód pewnie i z gracją, ani na chwilę nie tracąc rozpędu. Wizja ożywiła ją, dodała jej sił. Virginia zaczęła wybijać otwory w zbitym śniegu, powtarzając sobie: „Dalej!, Dalej!”, i brnęła pod górę. Przez krótką chwilę wisiała pod śnieżnym nawisem, lecz niesiona siłą rozpędu nie straciła kontroli i przelazła przez krawędź. Po chwili wydało jej się, że słyszy długi, czysty ton waltorni – i zdała sobie sprawę, że to gra jej serce, uradowane wolnością. Pan Fteley widział tylko tyle, że wchłonęła ją mgła.

Na szczycie zaczęły ją targać porywy wiatru, prądy widzialnego, zbiegającego powietrza napierające ze wszystkich stron. Virginia nie tyle przeszła przez grań, ile przetoczyła się przez nią, niesiona turbulencjami, które to podrywały ją do góry, to rzucały ją o ziemię, lecz za każdym razem stawiały ją z powrotem na nogi. Wreszcie wypluły ją z siebie po drugiej stronie, z nietypową dla siebie łagodnością (wyłącznie ze względu na dziecko: należało mu się specjalne traktowanie). Virginia przyglądała potargane włosy, wyszła z rzadziejającej mgły i spojrzała w dół.

Pięćdziesiąt mil w dół rzeki leżało miasto.

Był to inny świat: cienisty, biały, a przede wszystkim cichy. Ta cisza była jednak tak naprawdę szumem, zawierała nieskończenie wiele dźwięków zlanych w jedno wskutek ich mnogości i oddalenia. Wieżowce wznosiły się na lepkiem niebieskim tle jak nagie kości. Miriady rozmaitych dźwięków unosiły się spomiędzy nich, wlatywały w górę, łączyły się w wiązki i odpływały w stronę nieznanego, dalekiego miejsca, zmieniając się w gęsty sykliwy szum, biały hałas, monotony jak falowanie morza. Światło również docierało w odległe zakątki w postaci

skompresowanej. Miasto pracowało równo jak maszyna, sygnalizowało swoje istnienie basowym pomrukiem i z wyciągniętymi ramionami pędziło niewstrzymane w przyszłość, gnane pamięcią o tym, co je czeka.

Powietrze było równie czyste jak nad jeziorem Coheeries, tu i ówdzie jednak znajdowały się w nim jakby soczewki, powiększające bądź pomniejszające brzeg, rzekę i łańcuchy gór – w sposób niewyjaśniony i najwyraźniej przypadkowy, lecz zawsze zachwycająco. Virginia odkryła, że może wejść w ten pejzaż, gdy tylko zechce, że może podejrzeć z bliska każdy szczegół. Najbardziej zafrapowało ją to, w jaki sposób miasto się porusza. Z oddali wszystkie jego ruchome elementy wydawały się podlegać jednemu prawu, niewidocznemu dla żadnego z osobna. Rzeczynymi statkami poruszał mocny kontrpunkt, mocny jak magnetyczna siła, wyczuwało się go tak wyraźnie, jak widziało się ich sylwetki. Ich zawile kursy były jak niewidzialne nici. Podobnie rzecz się miała z białymi grzbietami fal układającymi się w tajemnicze wzory, rojną krzątaniną na wylotowych szosach oraz odbłaskami światła w poszczerbionej, wystrzelonej w górę palisadzie przeszkłonych wieżowców.

Niżej, w dole, lód był czysty i biały, wyglądał jak emalia, nawet nie wydawał się zimny. W rzecznej przystani stał unieruchomiony potężny bojer, obok długa kolejka ludzi wchodziła z moła na pokład dużego lodołamacza klasy Hamilton, stojącego wprost na lodzie i pykającego leciutko z kominów. Ludzie tłoczyli się na statku, by go jak najbardziej obciążyć i pomóc mu zmiażdżyć lodową pokrywą. Kadłub wyglądał z góry jak igła kompasu, ustawiony był zaś tak, by szanse zmiażdżenia lodu były jak największe i żeby jak najszybciej mógł odpłynąć przez Tappan Zee w stronę oceanu. Lodołamacz niecierpliwił się jak dziecko i choć był unieruchomiony, biła z niego taka moc i gracia, że wyglądał jak skrzyżowanie maszyny parowej z nożem.

Zbliżywszy się do statku, Virginia spostrzegła, że oficerowie chodzą nerwowo tam i z powrotem po pokładzie. Niepokoili się, że tysiąc nadliczbowych pasażerów może nie wystarczyć do uwolnienia statku z lodowego więzienia. Weszła na usypaną ze śniegu rampę i zbliżyła się do otwartych wrót luku.

– Mamy już na pokładzie maksymalną liczbę pasażerów, psze pani – odezwał się młody oficer. – Nie ma miejsca.

– Ale przecież braliście nadliczbowych pasażerów, by dociążyć statek, czyż nie?

– Tak, psze pani – odparł oficer z rozbawieniem. – Ale jedna osoba nie robi różnicy. – Ruchem ręki podkreślił ogrom statku. Wydawał się zupełnie nieprzejęty tym, że zostawi Virginie samą na lodzie, wręcz rozkoszował się własną niewrażliwością.

– Dwie osoby – powiedziała surowym tonem Virginia, podnosząc w górę Martina. Chłopczyk czknał.

– Zgadza się – rzekł oficer. – Ale i tak jesteście ostatni.

– Właśnie widzę – odparła Virginia, rozglądając się po pustej powierzchni rzeki.

Położyła Martina na śnieżnej rampie i wskoczyła na pokład. Rozległ się alarmujący trzask lodu.

– To czysty przypadek – stwierdził oficer.

Martin zaczął krzyczeć i machać nóżkami. Nie podobało mu się, że jest ostatnim chętnym, któremu odmówiono wstępu na arkę.

– Już dobrze, dobrze – uspokoiła go Virginia, przechyliła się przez reling i wzięła go na rękę. Oficer odwrócił się właśnie, by zbesztać jakiegoś chłopca, który próbował odpalić torpedę w stronę przystani Verplanck. Gdy tylko Martin znalazł się na pokładzie, rozległ się gwałtowny trzask i statek w jednej chwili osiadł na powierzchni wody; tysiące ton zielonej wody wzbilo się w górę, chlusnęło o brzeg niczym fala przyływu i w jednej chwili zmieniło się w lód.

Pasażerowie zaczęli wiwatować.

Martina przywitano na pokładzie jak bohatera. Virginia nie odmówiła sobie przyjemności odegrania się na oficerze. Odchrząknęła i rzekła:

– Chcemy spędzić podróż na mostku i zjeść obiad z kapitanem. Proszę podać filet mignon, sałatkę z rzeżuchy, pieczone ziemniaki, herbatę, tartę truskawkową i odrobinę delikatnie podgrzanego mleka.

– A kim pani jest, do diabła? – spytał oficer, nieświadom roli, jaką Virginia z Martinem odegrali przed chwilą w fizycznym dramacie.

Virginia nie raczyła mu odpowiedzieć; odeszła na bok i nakarmiła synka, a potem wraz ze wszystkimi pasażerami dostała porcję pieczeni z ostryg i gorący chleb na maślanec. Miała za sobą pierwszą lekcję miasta – i przyjęła ją bez zmruczenia oka.

Pani Gamely miała książeczkę z reprodukcjami obrazów przedstawiających Nowy Jork i Hudson. Gdy przewracała lakierowane kartki, czuła się trochę jak niektóre kobiety z Coheeries w kościele. Przeglądając tę świętą księgę, mówiła różne rzeczy, których Virginia nie mogła zrozumieć – lecz teraz już rozumiała, właśnie dzięki owemu niewdzięcznemu oficerowi Straży Przybrzeżnej, który w swym ciemnogrnatowym płaszczu przyozdobionym złotymi pagonami sam wyglądał jakby właśnie zszedł z obrazu. Domyśliła się, że miasto będzie zimne, całkowicie pochłonięte sobą, nieświadome, że każdy jego ruch będzie transcendentny, a każda z miliona rozblaskujących w nim przez sekundę scenek będzie lekcją moralności.

Takie miasto mogło poszerzać zasięg widzenia, wzmacniać litość, nasilać emocje i kołysać sercem, tak jak morze delikatnie unosi na swych falach wielkie statki. Do tego musiało być jednak zimnym narzędziem – i mimo swego piękna musiało być okrutne.

Taką właśnie prawdę skrywał album pani Gamely. Tylko on właściwie objaśniał miasto. Z szacunku i miłości do matki Virginia nauczyła się dostrzegać, że obrazy niweczą czas i pomagają zrozumieć światło, a także uzmysławiają istnienie potężnej więzi między wzniosłymi emocjami a pięknymi wizerunkami. Wiedziała, że malarski wizerunek musi być zimny, ponieważ nieuchwytnie moce, jakie zeń emanują, wymagają ciszy i dystansu – lecz aż do tej pory nie mogła pojąć, czemu musi być też okrutny. Chłód i okrucieństwo obrazu były siłami niemal fizycznymi. Oczyszczały motywacje i z niewzruszoną pewnością poddawały duszę próbie. Obrazy i ludzie musieli mieć dość siły, żeby wytrzymać nawzajem swoją bliskość; dopiero wówczas byli zdolni i władni związać się ze sobą i służyć sobie nawzajem.

Virginia stała na pokładzie dopóty, dopóki pozwolił jej mróz. Na wpeł zlodowaciała rzeka kołysała statecznym kadłubem – i sama kołysała się wskutek jego ruchu – a wiatr szlifował i polerował powierzchnię lodu. Martin, choć szczupły jak na swój wiek i nieprzesadnie opatulony, wydawał się uodporniony na chłód jak Eskimos, było mu ciepło i dobrze. W końcu Virginia zmarzła i musiała wejść do środka. Martin nie miał nic przeciwko temu, że znalazł się w ciepłej kajucie, leżał sobie spokojnie, robił rowerek nogami i ćwiczył miny.

Virginia zerknęła przez iluminator i zauważała wiele znajomych widoków. Na górskich stokach drzewa kołysały się w słonecznym wietrze. Domy z drewna i kamienia stały na wzgórzach, pociętych i połączonych ze sobą labiryntem kamiennych murków. Nad korytem rzeki nachylały się potężne dęby. W Croton Bay chłopcy grali w hokeja i ścigali się po lodzie z pomocą zaimprovizowanych żagli, zrobionych z płacht płótna zwędzonych z matczyńskich komód. Wzgórza i ulice Ossining od strony rzeki wydawały się smutne i zapomniane. Było to miasteczko osobliwe i zapuszczone (bo mocno zbiedniałe), lecz strone ulice, kryte łupkiem dachy i olbrzymie dęby stanowiły widok piękny i pełen godności.

Statek minął Tarrytown i Tappan Zee, gdzie pola miały figlarny wygląd, jak spódnice

wciągnięte na urwiste pasma gór, a sady pięły się nieustraszenie do samego pogórza. Gdy wpływał między filary mostu nad Tappan Zee, wydawało się, że swymi czarnymi nadbudówkami zahaczy o jezdnię, lecz nie, zmieścił się, pozdrowił ją tylko kłębem dymu. Pół mili dalej na południe zaczynało się Palisades i w polu widzenia pojawiło się miasto. Gdy tylko Virginia ujrzała bramy lśniącej metropolii oraz przesuwające się nad nimi chmury, wiedziała, że to miejsce dla niej. Nie na darmo miało taką moc przyciągania. Było tygłem Pana Boga – a ona zmierzała prosto w jego stronę.

Płynęli i płynęli, niemal w zupełnej ciszy, w dół rzeki, która wraz ze swym biegiem nabierała szybkości. Zachodzące słońce przemieniało szklane palisady i szare wieżowce w złote tarcze. Gdy w końcu zgasło, gdy lśniły już tylko czubki iglic, podobne do pochodni z zetłatego drewna, których dzieci używają do zabawy jako sygnalizatory, miasto włączyło chłodne światła chemiczne: wnętrza wyniosłych wieżowców, zwieńczone jak wieżycy zamków, rozjarzyły się milionami żarówek, ogni, ołtarzy i palenisk. Przy tym potężnym rozmigotaniu zieleni i złota, lśniących gzysów i iglic, statki przycumowane do mola przy North River wyglądały jak owady znieruchomiałe przy krawędzi podłogi.

– Spójrz, Martinie – powiedziała Virginia, podnosząc go, by mógł zobaczyć te wszystkie wspaniałości. – Złote miasto...

Po wielomilowym rejsie wśród świateł i wieżowców statek przybił do nabrzeża przy Battery, przeznaczonego dla statków strażackich, i pasażerów wysadzono pospiesznie na brzeg. Oficerom zależało na czasie, chcieli jak najszybciej wyruszyć za cieśninę Narrows, gdzie na lodołamacz czekały kolejne zadania wśród białych, wysokich jak kościelne dzwonnice fal. Pasażerowie przeszli przez wyłożony drewnem hol strażackiego posterunku i stanęli twarzą w twarz z nocą i rojnymi ulicami. Mieszkańcy wsi i miasteczek zostali wrzuceni w rozdziawioną paszczę miasta.

Virginia snuła się bez celu po mroźnych ulicach. Nie miała żadnego planu, nie wiedziała, dokąd iść, gdy więc wybiła godzina dwudziesta druga, znalazła się na stacji Grand Central i wyczerpana, osłabiona, z Martinem na plecach, oparła się o wyłożony kaflami filar. Wokół niej przepływały strumienie ludzi, zupełnie jej nie zauważając: w wiejskim ubraniu wyglądała jak żebraczka. Po kilkugodzinnej włóczędze na mrozie była bardzo głodna, szczęśliwym przypadkiem okazało się jednak, że stoi akurat przed barem ostrygowym, gdzie w podziemnych salach tłum szczęśliwych biesiadników objada się właśnie pienistymi duszonymi ostrygami i skwierczącymi stekami rybnymi, a ubrani na biało barmani serwują małże i inne skorupiaki w sposób godny ich najświetniejszych, anarchicznych, jeszcze bardziej podziemnych poprzedników. Virginia oparła się o szybę i chłonęła to wszystko – lecz tylko oczyma.

Co pewien czas ktoś z gości podnosił wzrok i spoglądał na nią. Znajdowała się w samym sercu miasta, po marmurowych korytarzach snuły się setki podobnych żebraczek, były to więc spojrzenia krótkie i przelotne. Virginia chciała odwrócić się i odejść, lecz nagle ujrzała, jak młoda kobieta siedząca przy najdalszym stoliku podnosi się i przygląda się jej uważnie. Jakby tego było mało, wyciągnęła do niej palec i bez słów, lecz gestami niepozostawiającymi wątpliwości, spytała: „To ty?!”. Virginia obejrzała się za siebie: jak zawsze, gdy ją wołano, sądziła, że chodzi o kogoś za jej plecami. Lecz wtedy nieznajoma zaczęła przeciskać się w jej kierunku.

Czekając, aż postać w zielonej jedwabnej sukience przebrnie przez labirynt filarów i luków, Virginia martwiła się, że z powodu zmęczenia na pewno okropnie wygląda. Myliła się jednak: choć spierzchła od zimna, zmęczona zbyt długą włóczęgą bez odpoczynku w ciepłym miejscu, była uderzająco piękna. Była zziębnięta i zmęczona, ale trzymała się prosto. Gdy

kobieta w zieleni wyłoniła się wreszcie zza stolików, Virginia rozpoznała w niej mieszkankę Coheeries – Jessicę Penn, przyjaciółkę z dzieciństwa sprzed wielu, wielu lat.

Od kilku pokoleń Pennowie przyjeżdżali latem nad jezioro Coheeries (mężczyźni w sierpniu, kobiety i dzieci na cały sezon): popatrywali, jak światło układa się warstwami na wodzie, przesiadywali na werandzie podczas straszliwych burz z piorunami, wypuszczali się na długie, dzienne lub nocne rejsy żaglówką, rzucali kotwicę w zatokach o pionowych skalnych ścianach, których nikt przed nimi ani po nich nie widział, biegali po niebieskozielonych lasach, zatrzymanych w typowo północnym, spowolnionym letnim czasie, oraz rozpoznawali twarze, śmiech i dziwactwa tych, którzy od dawna nie żyli, lecz których pamiętali z lat dzieciństwa. „Tak, przypominam sobie! – mówili do siebie. – Przypominam sobie ciocię Marjorie: to ta, która przywiązała nam dzwoneczki do zabawkowego misia, pokazywała nam sztuczki z magnesem i piekła pierniczki. A może to była ciocia Helen?”

Virginii wydało się, że znów jest małą dziewczynką, że płynie łódką wśród trzcin, wsłuchana w chłopot wiosel. Pamiętała tamten dzień: słońce biło w Coheeries jak oszalały doboasz, brzegi były spłowiałe od upału niczym brzegi Nilu. Pani Gamely, znacznie młodsza niż teraz, wołała od strony domu głosem stłumionym przez skwar i oddalenie:

– Virginio...! Virginio...! Virginio...! Virginio...! Virginio...! – Wiosła zanurzały się sennie w ciemną wodę, Virginia spieszyła się do domu. Lecz nagle jezioro zmieniło się w lód i zasnuł je smutek przemijania.

Którejś zimy, bardzo dawno temu, Theodore Gamely zabrał Virginie na inspekcję domu Pennów. Jezioro było na wpół zamrożone, nie dało się po nim przepłynąć ani przejechać, trzeba było mozolnie okrążyć je na saniach lub nartach, od czasu do czasu przekopując tunele w wysokich zaspach. Dom Pennów przypominał pusty lodowy pałac o cichych, pełnych udręki komnatach. Wschodnie dywany, letnie meble, stopy numerów „National Geographic”, sprzęt wędkarski, układanki, powyłaczone lampy – wszystko kuliło się z zimna. Śnieg zasypał dom aż po okna na piętrze, w środku można było więc poczuć się jak w jaskini odkopanej po wiekach zapomnienia. Ojciec chodził po pokojach i sprawdzał, czy śnieg nie spowodował szkód, a Virginia została na parterze, wśród wiszących na ścianach portretów rodzinnych, zahipnotyzowana ich natarczym, beczasowym spojrzeniem. Pennowie siedzieli tam przez całą zimę w swych staromodnych fatalaszkach, znieruchomiali i zapomniani, daremnie próbowali wyjść z ram i ogrzać się nawzajem. Gdy pan Gamely zszedł na dół, zadowolony, że dom jest w należytym porządku, ujrzał, że jego córeczka, okutana w futerko, zalewa się łzami – ponieważ, jak wyznała, ci ludzie z obrazów nie żyją i muszą tkwić samotnie w tym zimnym pokoju pod śniegiem. Ojciec wziął ją na ręce i z bliska pokazał jej kolejno wszystkie portrety, objaśniając je wedle własnej wiedzy. Pokazał jej starego Isaaca, który bardzo przypadł Virginii do gustu, ponieważ miał smutną i łagodną twarz, a przy tym był drobny jak dziecko; pokazał jej Abigail Penn, żonę Isaaca, ich synów Jacka i Harry’ego oraz córki: Beverly i Willę.

– Harry to tatuś Jessiki – powiedział. – Jeszcze żyje, zgadza się?

– Tak – powiedziała Virginia, pociągając nosem. Nie do końca jednak dała się przekonać: była tak młodziutka, że choć latem zdarzało jej się widzieć Harry’ego Penna, ledwie to pamiętała.

– A to Willa – rzekł ojciec. – Willa też żyje. Mieszka w Bostonie.

– A to kto? – spytała Virginia. W półmroku podeszli do kolejnego portretu, z którego spoglądała młoda kobieta.

– To Beverly. Bardzo słabo ją pamiętam. Wiem, że pewnej nocy, dawno temu, pojechaliśmy razem na przejażdżkę saniami. Jechaliśmy bardzo szybko, chyba nigdy potem nie

zdarzyło mi się jechać szybciej. Zatrzymaliśmy się w gospodzie, graliśmy w papier, kamień i nożyce. Byłem jeszcze malutki, niewiele starszy niż ty teraz.

– A to kto? – Virginia wskazała na portret wiszący dokładnie naprzeciwko Beverly.

– To Peter Lake. Mężczyzna, który wtedy powoził saniami. Widzisz, jak na siebie patrzą? Bardzo się kochali. Ale Beverly umarła w młodym wieku. Pamiętam, jak przyjechali latem, już bez niej, a on zniknął bez śladu.

Virginii znów stanęły łzy w oczach, pan Gamely dodał więc szybko:

– To prawda: ludzie umierają. Tak już jest. Ale pomyśl o dzieciach. Zobacz: to Jessica, to jej kuzyn John, a to dzieci Pennów z Bostonu. Nie powinnaś się martwić takimi rzeczami, moja maleńka. – Odgarnął jej włosy z twarzy i pocałował ją. Potem wyszli z lodowatej galerii; Virginia na zawsze zapamiętała barwne duchy postaci z obrazów, jak szybowały wokół niej w półmroku, zupełnie przyjaźnie, jak gdyby ją znały. Zapamiętała ich historie, choć nie mogła sobie przypomnieć ich twarzy.

Teraz w innej, podziemnej galerii spotkała Jessicę – również w pełnym rozkwicie swej urody, jakkolwiek w wyglądzie ich obu wyraźnie było widać różnicę między miastem i wsią.

W pierwszej chwili obie były nieprzyjemnie zaskoczone upływem czasu rysującym się na ich twarzach, od razu też wyczuły, że nie zdołają wskrzesić dziecięcej przyjaźni. To przekonanie trochę je krępowało, choć wyczuwały też między sobą zupełnie nowe wzajemne ciepło. Brało się ono stąd, że przy powitaniu nie okazały sobie płochy wylewności; obie doskonale wiedziały, że wyrosły na mądre kobiety, nieskłonne do tego, by wyrzec się swej godności za ulotną chwilę wspomnienia, która nie miała szans się długo utrzymać.

Martin jakby znacząco pacnął obcą panią, ta zaprowadziła ich więc do dużego okrągłego stołu, po czym przedstawiła Virginie licznym towarzyszom.

Była to kolacja dziennikarska. Wśród gości najznakomitszą (choć całkiem młodą) osobistością był Praeger de Pinto – redaktor naczelny gazet „The Sun” i „The Whale” (dokładniej mówiąc, „The New York Evening Sun” i „The New York Morning Whale”), a także mężczyzna zaręczony z Jessicą Penn, czyli naturalny przywódca całej grupy. Dzięki swej pozycji Praeger wiedział wszystko; można wręcz powiedzieć, że wiedział wszystko o wszystkim.

– Wyglądasz, jakbyś miała za sobą długą podróż – powiedział.

– Owszem, mam.

– Przyjechałaś z północy? – spytał. Obiło mu się o uszy, że ludzie uciekają do miasta przed zdumiewającymi śnieżycami i dotkliwym mrozem, który skuł kraj na północ od Hudson Highlands.

Virginia skinęła głową.

– Z dalekiej północy?

– Tak.

– Jak bardzo dalekiej?

– Trudno to określić – odparła Virginia i z zakłopotaniem spuściła wzrok.

– Zamówimy tobie i twojemu dziecku coś do jedzenia – rzekł Praeger. – Tutejszy szef kuchni serwuje bardzo delikatną owsiankę rybią dla dzieci. Widziałem, jak ją przyrządza, sam bym chętnie takiej spróbował. A ty może zjesz to, co my?

– Sama nie wiem. Nie mam za dużo pieniędzy.

– Nie ma o czym mówić – wielkodusznie i serdecznie zapewnił Praeger. – To comiesięczna kolacja redaktorów „The Sun”, całkowicie na koszt firmy. Zamówiliśmy pieczeń z ostryg, grillowane filety z łupacza faszzerowanego homarem, pieczone ziemniaki, zielony groszek i holenderskie piwo. Za chwilę przyniosą. W pół sekundy mogę zamówić ci to samo.

- Dziękuję – Virginia nie mogła uwierzyć w swoje szczęście.
- Drobiazg – powiedział Praeger. – Czy możemy się przedstawić?

Było to pytanie retoryczne. Wszyscy aż się palili, by poznać Virginie, zwłaszcza że większość zebranych stanowili samotni mężczyźni, z wyjątkiem Courtenaya Favata, który właśnie jak żółw wysunął głowę z kołnierzyka.

- Przedstawiam wam moją przyjaciółkę Virginie Gamely – powiedziała Jessica.
- Z Coheeries w stanie Nowy Jork – dodała Virginia głosem jak dzwon. Naczelny

nakazał przedstawić się po kolei wszystkim swym pracownikom.

Courtenay Favat był redaktorem działów kobiecego i domowego, reliktyw dawnych czasów, gdy czytelnicy szukali jeszcze w „The Sun” przepisów na peklowanie czy wekowanie oraz rad dotyczących szydełkowania i cerowania. Courtenay odpowiadał za strony o jedzeniu, winie, modzie i wyposażeniu domu – a właściwie połowę strony lub nawet mniej, bo tylko tyle miejsca gazeta przeznaczała codziennie na takie tematy. „The Sun” stawiało na bieżące wiadomości, literaturę, naukę, odkrycia i sztukę. Jego główny konkurent „The New York Ghost” (brukowiec założony przez australijskiego magnata prasowego Ruperta Binky’ego, potem przekazany w ręce jego wnuka Craiga) do tego, co robił Courtenay, zatrudniał tysiące ludzi; wśród nich był nawet główny redaktor od warzyw i krytyk w dziedzinie prania chemicznego. Harry Penn był jednak purytaninem, stoikiem, miał spartańskie i trojańskie usposobienie, i nie zwykł umieszczać w swej gazecie całostronicowych nagłówek o truflach czy kuleczkach ziemniaczanych.

Hugh Close, szef działu kompilatorów, miał niespożytą energię gończego psa i zawsze trzymał głowę wysoko jak labrador, który czeka, aż jego pan ciśnie patyk w chłodne jezioro. Miał rude wąsy i także włosy, przylegające do głowy niczym glina. Wszędzie widział kalambury, nie dało się z nim normalnie rozmawiać, ponieważ w każdym słowie doszukiwał się ukrytych znaczeń. Ubierał się w szare garnitury, nosił spinki w kołnierzyku, umiał przeczytać tysiąc słów na minutę do góry nogami i wspaniale, znał wszystkie języki romańskie (także rumuński) oraz hindi, czuwaski, japoński, arabski, gullah, turkwatlański i holenderski, w każdym z tych języków umiał mówić z kilkoma różnymi akcentami, potrafił wymyślać kilkanaście słów na minutę, był największym gramatykiem świata i mistrzem składni. I doprowadzał wszystkich do szału. Dzięki niemu jednak „The Sun” było gazetą niezrównaną pod względem stylu i precyzji językowej. Słowa były dla Hugh Close’a całym światem; był nimi opętany i udręczony, jak gdyby musiał mieszkać w kawalerce z tysiącem białych kotów. (Choć tak naprawdę nie lubił kotów: nie umiały mówić i nie chciały słuchać).

William Bedford był redaktorem finansowym. Wall Street była całym jego życiem. Mówiono, że kiedy ma czkawkę, skaczą ceny akcji, i że w testamencie kazał się z mumifikować w taśmie dalekopisowej. Wyglądał jak major brytyjskiej armii, który właśnie wrócił z pustyni: miał długą, chudą twarz, włosy mieniące się odcieniami brązu, złota i srebra, oraz poważny, odrobinę alkoholiczny wyraz twarzy. Ojciec i dziadek Bedforda byli prezesami nowojorskiej giełdy, znał więc tam wszystkich, a wszyscy znali jego. Jego codzienne artykuły wielu ludzi czytało jak Biblię, a cały dział finansowy „The Sun” pysznił się doskonałymi wykresami, diagramami, ilustracjami i trafnymi analizami. Harry Penn zawsze powtarzał, że chce mieć w swej gazecie ludzi dobrych w tym, co robią, nawet jeśli mają nieco ostre kanty (Bedford i tak był okazem gładkości w porównaniu z nieokrzesanymi kierującymi innymi działami).

– To nie uniwersytet, tylko gazeta – stwierdził kiedyś – Chcę mieć najlepszych z najlepszych, takich, którzy żyją swym zawodem; chcę znawców, fanatyków, geniuszy. Nie obchodzi mnie, czy są dziwakami, czy nie. Close, który sam jest trochę dziwakiem, oszlifuje

wszystkich odszczepieńców i nasza gazeta będzie dla rynku prasowego tym, czym jest Biblia dla religii. Rozumiemy się?

Dalej siedział Marko Chestnut, szef grafików „The Sun” i „The Whale”. Przez całą wstępną rozmowę nie przestawał rysować, a gdy przyszła pora się przedstawić, pokazał tylko, co narysował. Virginia wiedziała co nieco o sztuce, od razu dowiedziała się więc o Marku kilku rzeczy. Po pierwsze, że jak wszyscy główni redaktorzy „The Sun”, w swym fachu nie ma sobie równych. Przez wiele lat szybkiego rysowania, wedle wymagań stawianych przez gazetę codzienną, nauczył się tworzyć błyskawicznie, zapamiętywać to, co istotne, i oddawać wszystkie najważniejsze cechy przedstawianego obiektu. Virginii spodobało się też, że wbrew temu, czego można było się spodziewać, nie zadowolił się przedstawieniem kolacyjnej scenki w banalnie humorystyczny sposób. Choć o tym nie wiedziała, w miejskich restauracjach walały się całe stosy karykatur, nie tyle wyjaskrawiających właściwości modeli, ile zdradzających kompletny brak wizji ich autorów. A przecież za pomocą kilku kresek można pokazać ludzką duszę – jeśli tylko ma się dość odwagi. Świat jest pełen uczuć, ludzie mają w sobie mnóstwo cech, które da się podkreślić i uwznioślić nawet w błahym szkicu węglem – i to nie tylko dlatego, że je mają, lecz dlatego, że odsłania się w nich głęboka prawda o ich charakterach.

W rysunkach Marka Chestnuta wszystkie zalety i osobliwości ludzkiego charakteru ujawniały się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Praeger de Pinto był nieco większy niż pozostali i jak wszyscy ludzie mający władzę nad losem miał na twarzy wyraz zadowolenia i ekscytacji. Bedford miał błyszczące oczy, garnitur bladoszary jak popiół i uśmiech łagodnego wilka. Obok niego przycupnął Close, uchwycony w rozbrajającym momencie szczerego śmiechu. Courtenay Favat został sportretowany jako maleńka twarz wyłaniająca się z wybujałego jak kwiat krawata. Z kolei Jessica Penn, przedstawiona w pozycji stojącej, była okazem dojrzałego kobiecego piękna. Jej wizerunek pozbawiony był barw; miejsca, w których krągłości piersi i uda napierały na miękki jedwab bielizny, przywodziły na myśl kość słoniową. W wizerunku Virginii Marko podkreślił sprężyste czarne włosy, wyprostowane na wiejską modłę plecy i rozkoszny uśmiech. Martin miał uniesione brwi i spoglądał sceptycznie na samego Marka, który garbił się nad stołem, bez twarzy, pochłonięty rysunkiem, który go zawierał.

Gdy tylko dopełniono prezentacji, w kącie lokalu, pod jedną z niezliczonych arkad, zainstalował się zespół i zaczął grać palmowe walce. Praeger wezwał kelnerkę i zamówił jeszcze dwa i pół obiady: dla Virginii, Martina oraz swojej sekretarki, rudej, zielonookiej Lucii Terrapin, która przyszła właśnie z jakimiś dokumentami do podpisania.

Steki z halibuta skwierczały, groszek połyskiwał, jak gdyby pociągnięto go średniowieczną emalią, ziemniaki śpiewały hymny pochwalne na cześć rusztu, na którym je pieczono, a piwo było tak pyszne, jak gdyby utoczono je z gigantycznej beczki w tawernie nad jeziorem Coheeries. Wszyscy jedli jak szakale i niby próbowali rozmawiać o sprawach zawodowych, lecz za dobrze się bawili, by mogło coś z tego wyjść. Rozmowa rozprzegła się, gdy zaś orkiestra zagrała skoczną melodię Deweya Oliwki omnikia, wśród przytupywań i zachłannego przeżuwania wszyscy zapragnęli dowiedzieć się czegoś więcej o długonogiej północnej piękności oraz jej dziecku, które wtórowało muzyce swoim śpiewem: niezwykłym, nieskrępowanym, w tajemniczy sposób kakofonicznym.

– Czy twój mąż dołączy do nas? – spytała Lucia Terrapin, kobieta młoda, skora do gaf.

– Nie mam męża – odparła Virginia bez najmniejszego skrępowania. – Przynajmniej w tej chwili. Ojciec Martina – pokazała na synka – popadł w manię religijną tak przemożną, że musiał nas opuścić. Ale to nic, przyzwyczailiśmy się.

– Mieszka jeszcze nad tym jeziorem Koperies? – Lucia starała się zatrzeć swój nietakt.

– Koperies? – powtórzyła Virginia ze zdziwieniem. – Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś tak mówił. Coheeries, nie Koperies.

Hugh Close wyraźnie się ożywił, podekscytowany tym, że może dowiedzieć się czegoś o nowym słowie.

– Co to właściwie znaczy? – zapytał.

– To nic nie znaczy – odparła Virginia. – To nazwa własna.

– No dobrze, ale skąd się wzięła? Chodzi mi o to, jak...

– Jej etymologia jest niepewna – stwierdziła Virginia. – Ale mam teorię na ten temat. Jak na pewno wiecie, wyraz heer znaczy „bela”. To dawna miara długości płótna lub przędzy wełnianej, równa dwudziestu sztukom; każda sztuka mieści w sobie dwanaście łokci lub sześć pól sztuczaków. Pochodzenie tego wyrazu jest niejasne, ale większość filologów wywodzi je ze staronordyckiego herfe, co znaczy „motek” – wyjaśniła rozpromieniona. – Ale nie dajcie się oszukać staronordyckim wyrazom pokrewnym!

– Nie ma mowy! – przytaknął Favat.

– Są zwodnicze jak język fryzyjski. Kto zechce doszukać się dźwiękowych zbieżności z angielszczyzną czy językami teutońskimi, zwłaszcza starowysokoniemieckim, łatwo może popełnić błąd. Moim zdaniem jeśli się chce prawidłowo ustalić pochodzenie nazw geograficznych w północnej części stanu Nowy Jork, trzeba wziąć pod uwagę morfologiczne i ortograficzne zniekształcenia powstałe stąd, że obco brzmiące nazwy często zapisywano w sposób naiwny bądź po prostu źle je zapamiętywano, a także, rzecz jasna, w trakcie adaptacji fonetycznej dochodziło do kontaminacji tych nazw z innymi językami bądź dialektami. Osobiście sądzę, że Coheeries to amerykańska dialektalna forma nazwiska Grohnius. Był to jeden z pierwszych osadników holenderskich, którzy osiedlili się na zachód od gór. Ponieważ zajął większą część wschodniego wybrzeża jeziora, uważano, że i ono stanowi część jego dóbr. Ukuto więc nazwę „jezioro Grohnius”, która przekształciła się stopniowo w „jezioro Coheeries”. Podobnie „Krom Moerasje”, co po holendersku znaczy „zdradzieckie małe bagno”, w języku angielskim przybrało postać „Gramercy”; stąd Gramercy Park. Ale to tylko moje domysły – zaśmiała się.

Wszyscy zebrani, zwłaszcza Close, byli oszołomieni jak na pokazie lotniczym. Virginia nie zdawała sobie sprawy, że jej krótki wykład znacząco wykraczał poza ramy zwyczajnej pogawędki – ale przecież całe dotychczasowe życie spędziła z matką, która potrafiła wyrzucić z siebie trzydzieści takich prelekcji, z taką łatwością, jakby odwracała naleśnik na patelni.

– Czyżbyś miała doktorat z językoznawstwa? – spytał Praeger.

– Ja? – Virginia była zaskoczona i zakłopotana. – Och nie, skądże znowu, panie de Pinto. Nigdy w życiu nie spędziłam nawet jednego dnia w szkole. W miasteczku Coheeries nie ma szkoły.

– Nie ma?

– Nie ma.

– Wydawało mi się – odezwał się Marko Chestnut – że każde dziecko w stanie Nowy Jork musi chodzić do szkoły.

– Być może. Ale wiecie, jezioro Coheeries tak naprawdę nie leży w stanie Nowy Jork.

– Nie? – spytało kilka osób jednocześnie.

– Nie – odparła, spodziewając się, że nie będzie to łatwe do wyjaśnienia. – Nie ma go na mapie, a poczta dociera tam tylko wówczas, gdy ktoś odbierze ją nad Hudsonem. Trudno to wytłumaczyć. Nie można na przykład... no... nie da się tam dojechać.

– Jak to?

– No nie da się – Virginia wiedziała, że stąpa po cienkim lodzie. – Żeby tam dotrzeć, trzeba być...

– Kim?

– Trzeba być tym, no...

– Miejscowym – odezwała się Jessica.

– Tak! Trzeba być miejscowym.

Od tej chwili Jessica użyła całych swoich wpływów, by sprowadzić rozmowę na inne tory – i udało jej się to. Nikt już nie wierzył w ścianę chmur, nikt jej nie widział, nikt nie rozumiał. Najlepiej było nie ciągnąć tego tematu. Tak czy owak wszyscy redaktorzy byli pod wrażeniem niecodziennego punktu widzenia Virginii na różne sprawy i jej inteligencji (nie wspominając o urodzie), zaczęli więc dyskretnie proponować jej podjęcie pracy w swoich działach. Bedford, ekonomiczny jak zawsze, spytał ją wprost, czym się zajmuje.

– W jakich sytuacjach? – spytała zaskoczona: w Coheeries takie pytanie nikomu nie przysłoby nawet do głowy.

– Na co dzień – nie ustępował Bedford.

– Och, najróżniejszymi rzeczami. Pomagam matce uprawiać winogrona i kukurydzę, opiekuję się ogródkiem warzywnym i pasieką. Zimą wycinam lód z jeziora. Łowią ryby. Zbieram jagody, przędę, ceruję, gotuję, piekę, szyję i opiekuję się Martinem. Czasem pomagam ludziom z wioski prowadzić rachunki lub czytam Daythrilowi Moobcotowi, gdy przychodzi naprawić dynamo. Sporo pracuję w bibliotece. Miasteczko jest małe, ale bibliotekę mamy ogromną: ponad półtora miliona woluminów.

– To jest to – powiedział pod nosem Praeger, zastanawiając się, czy Virginia umie pisać i czy przyjęłaby jego propozycję.

– W razie potrzeby uczę też dzieci i dorosłych. Wieś płaci mi za to drobne sumy.

Teraz już nawet Favat się nią zainteresował; przyszło mu do głowy, że może Virginia zna jakieś zabójcze przepisy na babeczki z jagodami i inne wiejskie pyszności (faktycznie znała).

– Umiesz rysować? – spytał Marko Chestnut, który był już w Virginii zakochany.

– Nie. – Skromnie spuściła wzrok. Zorientowała się, że wzbudziła wielkie zainteresowanie i nie czuła się z tym komfortowo. Uratowała ją Jessica: oznajmiła, że Virginia ma za sobą ciężką podróż, a dziecko musi iść spać.

Nim Virginia udała się na spoczynek w nowym domu Pennów (gdzieś w przepastnym labiryncie wykwinnych ulic), Jessica zamieniła z nią parę słów na osobności.

– Praeger powiedział mi, że chciałby się z tobą zobaczyć w redakcji, najlepiej już jutro, jeśli to możliwe. Mówił – dodała takim tonem, jakby ogłaszała nazwisko zwycięzcy na loterii – że może zaproponuje ci posadę w „The Sun” lub „The Whale”. Albo w obu gazetach, jak to często się zdarza.

– Ależ ja nie mam pojęcia o pracy w gazecie – odparła Virginia.

– Przypuszczam, że nauczyłabyś się wszystkiego bez trudu. Nie sądzisz, że to świetny pomysł?

– Tak – odparła Virginia. – Jeśli będę miała szczęście, przyśni mi się to w nocy i jutro będę wiedziała, co robić.

Nazajutrz po południu, gdy Virginia udała się na spotkanie z Praegerem de Pinto w starej, pięknej redakcji „The Sun” przy Printing House Square, miasto lśniło zimowym błękitem. Po drodze musiała przejść przez Lower East Side i Chinatown; obie dzielnice, kipiące od barwnym prawdziwe azjatyckie miasto, bardzo przypadły jej do gustu. Nim dotarła do biura Praegera, do końca wróciły jej siły, bijące z tysiąca rozbieżnych źródeł: z miasta, z portu,

z tysiąca statków pływających tam i z powrotem po sieci szybkich rzek, z nieskazitelnej geometrii kolosalnych mostów.

Praeger wypytywał ją przez dwie godziny, spijał mięką elokwencję z jej ust i zachwycał się jej sposobem myślenia.

– Czy potrafisz pisać tak jak mówisz? – spytał.

– Chyba tak – odparła. – Ale nie mam pewności.

Odesłał ją do innego pokoju i poprosił, by spisała swe pierwsze wrażenia z pobytu w Nowym Jorku. Wróciła po godzinie z doskonałym esejem, świeżym niczym jabłko. Praeger przeczytał go raz, drugi, potem jeszcze raz. Było to przyjemne jak całowanie pięknej kobiety.

– Czuję się tak – stwierdził – jak gdybym zobaczył to miasto po raz pierwszy. Dziękuję ci.

Virginia spisała jedynie garść spostrzeżeń z pierwszego spaceru po mieście.

– Czy chciałabyś mieć stały felieton na stronie redakcyjnej? – spytał Praeger. – Zamieszczamy ją w obu tytułach, dwa lub trzy razy w tygodniu. Stosuję unikatowy system nagradzania, wzorowany na systemie ze statków wielorybicznych. Każdy otrzymuje płatność w formie udziałów o jednakowej wysokości; różnimy się tylko wielkością naszych pokojów w redakcji i liczbą asystentów. Jako stała felietonistka byłabyś dobrze wynagradzana, miałabyś spore udziały. – Następnie wyjaśnił, o jakie widelki płac chodzi. W najgorszym wypadku Virginia mogła zarobić więcej niż spodziewała się uskładać przez rok. Zresztą gdzie tam przez rok: przez całe życie! W najlepszym razie zarabiałaby więcej niż wynosił dochód brutto miast Coheeries oraz sąsiedniego Bunting's Reef razem wziętych. Virginia przeraziła się, a potem uświadomiła sobie, że w ciągu godzinnej jazdy przez miasto zdążyła zobaczyć tyle, że mogłaby napisać całe pochwalne encyklopedie. Napisanie dwóch trzy trzech artykułów tygodniowo nie sprawiłoby jej żadnej trudności; wystarczyłby jeden dzień przechadzek wśród wieżowców, mostów i placów, a pióro samo rwałoby się do pisania niczym strzała, która nie może się doczekać wystrzelenia z kuszy.

– Chyba mogę się tego podjąć – powiedziała. – Ale zupełnie nie znam miasta, nie wiem też, na czym polega taka praca. Boję się, że jeśli zacznę z nazbyt wysokiego pułapu, będę miała zniekształconą perspektywę. Zresztą mama zawsze mi powtarzała, że cokolwiek się robi, trzeba poświęcić się samemu zajęciu: nie zależy mi więc na szybkim awansie i wielkich ułatwieniach. Wolę zacząć od początku, jak wszyscy. Wolę się ścigać niż wygrywać.

– Naprawdę?

– Tak. Wyobrażałam już sobie wielkie wygrane i wielkie wyścigi. Wyścigi podobają mi się bardziej.

– Ale wtedy mniej zarobisz.

– Nie jesteśmy materialistami. Nie potrzeba nam wiele.

– Mamy tu zwyczaj, że każdy nowy pracownik przez dziesięć dni otrzymuje stałą pensję; w tym czasie może rozeznaczyć się, jak wszystko działa, i w godny oraz skuteczny sposób zainaugurować własne zajęcia. Spodziewam się, że zrobisz błyskawiczne postępy. Mam nadzieję, że nim minie rok, będziesz pisać dla nas stałe felietony.

Virginia wyszła z redakcji, mijając przestronne pokoje pełne ludzi niemal zahipnotyzowanych swoją pracą, wybiegła głównymi drzwiami i wręcz poszybowała przez Printing House Square. Połowę swej dziesięciodniowej wypłaty zapakowała w kopertę kupioną od ulicznego handlarza, który sprzedawał papeterie spod płaszcza – zamierzała wysłać ją matce. Zostało jej niewiele, wiedziała, że nie będzie jej łatwo; mimo to paradowała zatłoczonymi ulicami niczym świeżo koronowana królowa. Gdy dotarła do domu, wzięła Martina na ręce

i zatańczyła z nim radośnie.

Wszystko to jej się tylko śniło. Lecz następnego dnia okazało się, że sen sprawdził się co do joty. W rozmowie padły nawet te same słowa. Dokładnie wyśnił jej się pokój, w którym siedziała, pogoda, której przecież nie mogła przewidzieć, ulice, których nigdy dotąd nie widziała na oczy. Tylko jeden szczegół był wyraźnie odmienny. Idąc przez Chinatown, kupiła Martinowi wielki placek z wiśniami. Sprzedawał go tłusty biały chłopiec o wąziutkich oczach i w chińskim kapeluszu na głowie. Wyglądał bardzo dziwnie.

Teraz trzeba było zająć się sprawami praktycznymi: znaleźć mieszkanie, kupić nowe ubrania, zorganizować opiekę nad Martinem. Nie powinno to być jednak kłopotliwe. Virginia była przekonana, że miasto jest pełne wszelkich możliwych kombinacji i permutacji, że można w nim nie tylko spełnić każde pragnienie, ale też obrać każdą ścieżkę, zdobyć każdą nagrodę, przeżyć każde możliwe życie, wziąć udział w każdym wyścigu. Zamknęła oczy i ujrzała, jak miasto płonie przed nią kusząco złotym blaskiem. Niebo, pełne opasłych chmur, lśniło zimowym błękitem.

WŚRÓD ZASP

San Francisco to miasto spokojne, znieczulone błękitem, lecz śmierć Vittoria Marratty odbiła się takim echem, jak gdyby nad miejskimi wzgórzami przetoczyła się burza z piorunami. Gdyby Vittorio tego zawczasu nie zabronił, karawan odprowadziłaby na cmentarz kolumna czarnych limuzyn długa na milę. Był znaczącą osobistością w kilku bardzo różnych środowiskach; gdy ktoś taki umiera, wydaje się to wręcz sprzeczne z naturą, nawet wrogowie stają się wówczas skłonni do oddawania honorów. Signor Marratta był w San Francisco przywódcą mniejszości włoskiej, do tego uczonym astrofizykiem o takich dokonaniach, że na jego cześć nazwano nawet nie jedną, ale trzy galaktyki w odległym zakątku północnego nieba (Marratta I, II i III), przez jeden dzień piastował urząd rektora uniwersytetu po drugiej stronie zatoki (nim burzliwe zajścia zburzyły pierwotny spokój uczelni), podczas wojny był oficerem w marynarce wojennej w stopniu komandora (dowodził okrętem liniowym), a teraz właścicielem potężnej własnej floty: co najmniej kilka razy dziennie któryś z jego kontenerowców wpływał do zatoki bądź opuszczał ją, kierując się do Tokio, Akry, Londynu, Sydney, Rygi, Bombaju, Kapsztadu i Aten, holowany do nabrzeża bądź wyprowadzany na redę przez jego własne holowniki.

Autorzy nekrologów pisali o nim w sposób szkicowy i niekompletny, przemierzali olbrzymie połacie jego życia niczym turyści, którzy podróżując po Anglii, nie zauważają łabędzi, owiec, rowerów i niebieskich oczu. Wiedzieli, że przybył do Ameryki po Wielkiej Wojnie, ale nie wiedzieli, że we Włoszech ocalał z rzezi, przez rok parął się złodziejstwem, aż wreszcie dostał się wpływ do portu w Genui i po łańcuch kotwicznym wspiał się na statek, który – o czym nie wiedział – płynął do San Francisco. Wiedzieli, że ożenił się z córką armatora, nie wiedzieli jednak, jak bardzo ją kochał ani jak bardzo go zdruzgotała jej śmierć. Wiedzieli, że walczył o stanowisko rektora na uczelni, lecz nie wiedzieli, jak ciężka i wyczerpująca była to walka. Wiedzieli, że odkrył galaktyki i opisał pewne fundamentalne prawdy, lecz nie wiedzieli, czyja ręka nim kierowała ani tego, że po wielu latach głębokiego namysłu nad własnymi odkryciami dane mu w nagrodę było coś dostrzec – coś, czego zbadać nie był już zdolny ze względu na czasy, w jakich żył. Wiedzieli też, że miał dwóch synów, lecz niewiele wiedzieli o nich samych.

Gdy grzmot przetoczył się nad miastem, które nie zna grzmotów, zdarzyło się wiele rozmaitych rzeczy. Krewni zaczęli na gwałt kupować bukiety i wypożyczać samochody, tylko po to, by zaraz dowiedzieć się, że zostali wykluczeni z ceremonii – signor Marratta życzył sobie na pogrzebie jedynie synów i księdza. Prawnicy i księgowi rzucili się do pracy szybko i gorliwie niczym Morskie Pszczoły, słynna wojskowa jednostka budowlana, która potrafiła w godzinę wybudować lotnisko. Przemianowywano uczelniane budynki. Obserwatorium opuściło flagę do połowy masztu. Wszyscy też zachodzili w głowę, jak synowie Marratty poradzą sobie z tym, co im zostawił. Siedemdziesiąt pięć dużych statków, wszystkie holowniki w Zatoce San Francisco, dom towarowy, kilka biurów, grunty, na których dałoby się zbudować drugie miasto, trusty, udziały, duże pakiety akcji wielkich korporacji – wszystko to miało być uwzględnione w testamencie. Signor Marratta w ciągu swojego długiego życia stał się właścicielem obszernego sektora gospodarki, zróżnicowanego i wielobarwnego niczym próbka z dna tropikalnego morza; sama lista jego ruchomości była długa jak spis pasażerów arki Noego. Nietrudno się domyślić, że wszyscy byli ciekawi, jak tymi dobrami rozporządził.

Testament odczytano w pewną majową środę, trzy tygodnie po pogrzebie, gdy echo

grzmotu zaczynało już przycichać. Była leniwa wiosna, studenci rozjechali się pustymi, słonecznymi drogami w rozmaite części kraju, a ci, którzy zostali w mieście, cieszyli się mocnym słońcem i pogodnymi, wciąż jeszcze cudownie chłodnymi dniami. W największym pokoju domu Marrattów w dzielnicy Presidio Heights, pogrążonym w niemal ultrafioletowych cieniach, zgromadziła się setka ludzi. Przez francuskie okna, wychodzące na długi balkon z widokiem na zatokę, widać było szerokie pasma mocnego błękitu. Gdyby nie chłód marmurów, którymi wyłożona była sala, białych i czystych jak klify w parku narodowym Yosemite, łatwo byłoby wręcz zapomnieć o panu Marrattcie, ponieważ dla stu pięćdziesięciu obecnych odczytywanie testamentu było czymś pośrednim między rozpoczęciem roku szkolnego w prywatnej szkole, sądem wojennym i zgromadzeniem tajnej sekty religijnej. W pierwszym rzędzie siedzieli synowie, Evan i Hardesty. Obaj niedawno przekroczyli trzydziestkę, lecz wyglądali młodziej. Obaj byli też silni i niespokojni, widać było, że zamiast w sali balowej woleliby być teraz gdzieś na boisku lub w lesie, gdzie światło łyska w błękitnych strumieniach.

– Obawiam się – przemówił prawnik, przewodniczący ceremonii – że wielu spośród zebranych wyjdzie z tego pokoju mocno rozczarowanych. Signor Marratta był skomplikowanym człowiekiem i jak to często bywa ze skomplikowanymi ludźmi, ceniał proste działania.

– Podczas niemal pięćdziesięciu lat współpracy z panem Marrattą jako jego przyjaciel i doradca prawny toczyliśmy niekończącą się dysputę na temat prawa – mówił dalej. – Signor Marratta nie znał się na prawie, znał jednak jego ducha i często nalegał, bym podchodził do prawa w sposób możliwie najprostszy. Nie zgadzałem się z nim, lecz prędzej czy później, kosztem ciężkiej pracy i mozolnych badań, nieodmiennie dochodziłem do wniosku, że miał rację. Nie wiem, jak to robił, ale jakimś sposobem wiedział, jaki cel przyświeca prawu i w których miejscach powinno być ono nieugięte. Nie mówię tego po to, by go wychwalać czy pośmiertnie przyznać mu honorowy tytuł prawniczy, lecz raczej by ostrzec was przed nazbyt spiesznym osądzaniem jego postępków jako nierozważnego.

– Signor Marratta był najbogatszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałem – ciągnął prawnik – pozostawił zaś najkrótszy testament, jaki widziałem w życiu. Jeśli spodziewaliście się państwo, że będziecie tu siedzieć godzinami, będziecie zaskoczeni: signor Marratta zapisał wszystko jednemu spadkobiercy, drugiemu zaś pozostawił drobny prezent. Obawiam się, że wielu z was będzie w zrozumiwały sposób rozgoryczonych.

Zamiast poruszenia w sali zapadła pełna napięcia cisza. Nadzieja i strach zwały się ze sobą w klinczu, symetryczne i zależne od siebie niczym węże oplatające kaduceusz. Przedstawiciele uniwersytetów i instytucji dobroczynnych, dyrektorzy szpitali, dawno zapomniani krewni, zbłąkani księgowi, nieznani pracownicy, wysłannicy prasy – wszyscy zamarli w oczekiwaniu, wszyscy co do jednego żywili rozpaczliwą nadzieję, że ów nierozważny postępek zmarłego, o którym wspomniał prawnik, właśnie im przyniesie bogactwo, o jakim nie śniło im się w najbardziej wyuzdanych marzeniach.

Wszyscy jak jeden mąż sądzili też, że ów drobny prezent przypadnie w udziale Evanowi – jako zjadliwy, ironiczny komentarz do jego niezbyt chlubnego charakteru. Po przedwczesnej śmierci matki Evan stał się uosobieniem wyrachowania, chciwości, rozpusty i ślepego okrucieństwa; żył tylko z tego, co zdołał wyciągnąć od ojca, ten zaś mimo wszystko go kochał.

Młodsze brata Evan tak bardzo dręczył w latach chłopięcych, tyle razy pobił go do krwi, że Hardesty zawsze się go bał – mimo że dobijał trzydziestki, miał za sobą udział w dwóch wojnach i posturę atlety. Długoletnia służba w wojsku nie tylko przeszkodziła mu w zrobieniu kariery naukowej, ale też uczyniła też z Hardesty'ego człowieka nieśmiałego i niepewnego. Co najmniej raz został ranny i był jednym z tych, którzy wrócili z wojny złamani i pozbawieni

złudzeń.

Słuchacze ostatniej woli pana Marratty zakładali, że wszystko przypadnie w udziale Hardesty'emu, ponieważ był człowiekiem cichym i nijakim; nie mogli się doczekać, kiedy Evan wreszcie dostanie klapsa za wszystkie narkotyki, które dotąd zażył, samochody, które porozbijał, dni, które zmarnował, kobiety, które zapłodnił. Doskonale widzieli, że nawet w tej krótkiej chwili między ogłoszeniem osobliwych warunków testamentu a złamaniem woskowej pieczęci na kopercie Evan uporczywie wpatruje się w Hardesty'ego; w spojrzeniu tym mieszała się chęć zastraszenia, pochlebstwo i żądza mordy.

Evan pocił się i ciężko oddychał. Zacisnął pięści, oczy miał szeroko otwarte. Hardesty przeciwnie, siedział obok brata zasmucony, widać było, że myśli tylko o ojcu – nie dlatego, że był tępy i pobożny, lecz dlatego, że ojciec był jego jedynym przyjacielem. Po jego śmieci Hardesty poczuł się straszliwie samotny. Nie mógł już się doczekać zakończenia ceremonii, pragnął jak najszybciej wrócić do mieszkania, w którym nie miał prawie nic prócz książek, roślin i widoków za oknami. Evan wiele lat temu wyprowadził się do przepaścistego dwupiętrowego domu, którego używał do uwodzenia kobiet – jedną z przynęt był sprzęt elektroniczny, zgromadzony tam w takiej ilości, że dom wyglądał jak fragment kosmodromu na przylądku Canaveral.

Hardesty nie miał nawet łóżka: sypiał na niebiesko-złotym perskim dywanie, a przykrywał się starym wełnianym kocem Abercrombie & Fitch w kolorze rdzy. Poduszkę miał jednak puchową i zawsze obleczoną w czystą powłoczkę. Prócz tysięcy książek Hardesty niewiele miał rzeczy materialnych. Nie miał samochodu, wolał chodzić pieszo lub korzystać z komunikacji miejskiej. Nie miał zegarka. Miał jeden piętnastoletni garnitur. Miał też jedną parę turystycznych butów, nosił ją nieprzerwanie od trzech lat. W przeciwieństwie do brata, posiadacza osiemdziesięciu skrojonych na miarę garniturów, pięćdziesięciu par włoskich butów oraz tysięcy krawatów, kapeluszy, lasek i płaszczy, cała garderoba Hardesty'ego zmieściłaby się w małym plecaku. Zważywszy na to, jak był bogaty, żył raczej skromnie.

Ojciec doskonale wiedział, że Hardesty jest taki cichy i wycofany dlatego, że liże rany po wojnach, że wciąż jeszcze uczy się, zbiera siły. Evana kochał tak, jak kocha się kogoś, kto cierpi na straszną chorobę – z wielkim smutkiem; Hardesty'ego natomiast miłował z najgłębszego szacunku i sympatii – z nadzieją i dumą.

Powszechnie sądzono, że Hardesty otrzyma zasłużoną nagrodę za swój ascetyczny, zdyscyplinowany styl życia, że wróci do świata jako człowiek mocny i dobry, że w mądry i sprawiedliwy sposób zagospodaruje ojcowskie bogactwo. Z przyjemnością oczekiwano, że opuści swój mały, cichy świat i rzuci się w wir działań, a jego świeży, ewidentnie bystry intelekt pomoże mu pokierować tymi działaniami w sposób budujący i pozytywnie zaskakujący. Spośród wszystkich zgromadzonych osób tylko Hardesty nie zakładał w duchu, że to właśnie on zostanie uświęcony milionami dolarów – i tylko Hardesty siedział spokojnie, wolny od wszelkich oczekiwań.

Prawnik zaczął czytać:

– Oto ostatnia wola i testament Vittoria Marratty z San Francisco, spisana pierwszego września roku pańskiego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego. Wszystkie moje doczesne dobra, własności, rachunki bankowe, udziały, interesy, prawa i honoraria przejdą w ręce jednego z mych synów. Drugi otrzyma rodzinną tacę Marrattów, która leży na długim stole w moim gabinecie. O tym, co komu przypadnie w udziale, zdecyduje Hardesty. Z chwilą, gdy ogłosi swą decyzję, będzie ona nieodwracalna. Żaden z mych synów nie będzie upoważniony do dziedziczenia po drugim, nigdy, w żadnych okolicznościach, bez względu na to,

jak by tego pragnęli, nawet w przypadku śmierci dziedzica. Podejmuję tę decyzję zdrów na ciele i na umyśle, przekonany o tym, że jest ona sprawiedliwa i w pełni słuszna.

Hardesty wreszcie okazał rozbawienie. Nie był pozbawiony poczucia humoru, lecz zachowywał je głównie dla siebie. Teraz po raz pierwszy od śmierci ojca uśmiechnął się – udowadniając tym dobitniej, że ma łagodną, inteligentną, interesującą twarz, w przeciwieństwie do wiecznie skrzywionego brata. Potrząsnął głową z ulgą i niedowierzaniem, a potem zaczął się śmiać: widział, że Evan godzi się z myślą, iż będzie musiał pójść do pracy.

Evan nie mógł w żaden sposób odwołać się od decyzji, nie miał też nadziei, że zdoła dostatecznie otumanić brata, by ten przyjął tacę. Zresztą zawsze jej nienawidził, choć była wykonana z czystego złota: nienawidził jej, ponieważ były na niej wygrawerowane słowa, których nie rozumiał, a ojciec mówił o niej w sposób, jakiego nie była godna żadna taca na świecie, choćby warta kilka tysięcy dolarów. Cóż z tego, że przywiózł ją z Włoch? Taca jak taca, zwykły rupieć. Evan nienawidził jej też dlatego, że dostrzegał w niej znak paktu między ojcem a Hardestym, magicznej więzi między nimi dwoma, z której on sam był wykluczony. Jakaż to straszna ironia, że zostanie mu teraz tylko ta głupia taca, z której nieraz pokpiwał, a raz nawet wyrzucił ją przez okno, Hardesty zaś odziedziczy majątek, którym można by obdzielić tysiąc osób! Evan był święcie przekonany, że nie ma szans. Nie żeby Hardesty'emu zależało na bogactwie (z całą pewnością tak nie było) – raczej dlatego, że był osobą odpowiedzialną, musiał więc wziąć na siebie obowiązek zarządzania ojcowskim majątkiem, ponieważ wiadomo było doskonale, że Evan sobie z tym nie poradzi. Zamknął więc oczy i gotował się na – jak mu się zdawało – spotkanie z plutonem egzekucyjnym. Może ojciec podsłuchał, jak zliczał sobie po cichu, ile po nim odziedziczy (wyjaskrawiając to, co nie musiało być wyjaskrawione), recytując liczby niczym mnich w modlitewnym transie? Może jego dusza, ulatując do nieba, posłyszała, jak duch pierwotnego syna podśpiewuje sobie radośnie w chwili jego śmierci, i poczuła się urażona? Jedną rzecz Evan wiedział na pewno: że Hardesty jest zadowolony i pewny siebie.

Zgromadzone w sali polityczne i miejskie osobistości wlepiły wzrok w Hardesty'ego, jak gdyby chciały w ten sposób utwierdzić go w przekonaniu, że jego interes w oczywisty sposób przekłada się na interes publiczny; naglili go tym wzrokiem, by podjął właściwą decyzję. „Wiesz przecież – zdawali się mówić – że jeśli zrezygnujesz i spadek trafi do Evana, popełnisz rzecz niewybaczalną”. Kilka osób, dobrze znających własne dzieci, zaczynało się już mocno denerwować.

– Sugeruję, byśmy odłożyli dalsze czynności na później, dopóki pan Marratta nie powiadomi nas, że podjął ostateczną decyzję – odezwał się prawnik, głównie po to, by zmusić Hardesty'ego do zabrania głosu, podpowiedzieć mu, co powinien zrobić. – Zgoda, Hardesty?

– Nie – odparł Hardesty. – Podjąłem już decyzję.

Napięcie, jakie zapanowało po tych słowach, stało się nieznośne, a przynajmniej bardzo nieprzyjemne. Gdyby Hardesty potwierdził, że potrzebuje czasu do namysłu, oznaczałoby to, że nie jest pewien, co robić – a ponieważ decyzja i tak była oczywista, taka niepewność stanowiłaby niebezpieczny objaw. Identyczny wniosek można było jednak wyciągnąć z decyzji podjętej zbyt szybko. Tak czy owak słowa Hardesty'ego mocno wszystkich zatrwożyły. Gdyby można było rozmówić się z nim przed ogłoszeniem decyzji, upewnić się, że rozważył wszystkie za i przeciw!

– Błyskawiczna decyzja – stwierdził prawnik.

– Nie – powiedział Hardesty. – Nic nie rozumiecie. Mój ojciec zawsze rozmawiał ze mną i Evanem w szczególny sposób; nigdy nie odpowiadał wprost, odwlekał decyzje, odsłaniał motywy. Gdy jako mali chłopcy pytaliśmy go, która godzina, nie udzielał nam informacji, tylko

pokazywał zegarek. Wszystko robił tak, by można było się przy tym czegoś nauczyć. Zależało mu na tym, żebyśmy, jak mawiał, „pośrednią drogą doszli do bezpośrednich działań”. W obecnym przypadku jego intencja jest dla mnie jasna. Może gdybym nie znał go tak dobrze – przepraszam, gdybym nie znał *był* go tak dobrze – miałbym jakiś wybór. Ale nie mam wyboru. Nie mam wyboru, jeśli chcę spełnić ambicje, jakie we mnie pokładał, jeśli tak jak on chcę wznieść się ponad siebie samego i stać kimś lepszym niż jestem teraz.

– Dlatego – zakończył – z radością i miłością zadośćuczynię jego ostatniej woli, ponieważ jestem pewien, że wiem, czego chciał. Taca jest moja.

Nawet gdyby uskok San Andreas rozpękł się ostatecznie na dwoje, nie mogłoby to wywołać w San Francisco większego poruszenia. Evan był wstrząśnięty. To, że wszedł w posiadanie tak olbrzymiego bogactwa, na dobre półtorej godziny odebrało mu mowę; już sam nagły przypływ gotówki podziałał na niego jak wciągnięty naraz funt kokainy. O Hardestym wszyscy zapomnieli – przez jedną krótką chwilę wszyscy przeklinali go w myślach, a potem, bez władzy i grosza przy duszy, zupełnie przestał istnieć; wszystkie spojrzenia z konieczności zwróciły się na Evana.

Prawnik chciał wiedzieć, czemu Hardesty tak postąpił. Ten jednak odmówił komentarzy. Złotą tacę signor Marratta otrzymał od swojego ojca, ten zaś od swojego ojca... i tak dalej, i tak dalej – ile pokoleń już ją przechowywało, nie wiedział nikt. Lecz nie był to powód jego decyzji.

Hardesty postanowił, że najlepiej będzie, jeśli zniknie z San Francisco, które za jego sprawą huczało od plotek i domysłów. Nie miał już prawa do swego mieszkania z balkonem o drewnianej poręczy wychodzącym na zatokę (tego akurat nie mógł odżalować), nie do końca też wiedział, z czego będzie żył. Nawet samo posiadanie tacy było kłopotliwe. Wiedział, że jeśli ma sprostać wymaganiom, jakie wedle jego mniemania narzucił mu ojciec, musi wyjechać.

Był też pewien, że jego brat zaraz przebuduje i zbecześci gabinet ojca, postanowił więc, że pójdzie tam, przedzierając się przez zasieki wspomnień, i zabierze swój wielki, wymagający dar. Potem opuści miasto, w którym przyszedł na świat, w którym leżeli jego zmarli rodzice.

Gabinet znajdował się na najwyższym piętrze. Wyżej było już tylko małe, staroświeckie obserwatorium, w którym Signor Marratta lubił przesiadywać w latach młodości, gdy nie stosowano jeszcze specjalistycznych teleskopów z możliwością zliczania fotonów. Ponieważ dom stał w najwyższym miejscu Presidio Heights, widok z okien gabinetu zapierał dech w piersiach. Wspinając się po schodach, Hardesty przypomniał sobie, czego ojciec nauczył go kiedyś o widokach.

– Wystarczy, że coś zobaczysz, a będzie to twoje – mówił po włosku maleńkiemu synkowi, nosząc go od okna do okna i kierując jego spojrzenie na wzgórza, zatokę, ocean. – Popatrz tam – wskazał odległe wzgórza musztardowo-złotej barwy. – Wyglądają jak sierść jakiejś nakrapianej bestii. Popatrz, jak falują. Popatrz, jak mięśnie grają jej pod skórą.

Mgła i chmury napierały na okna niczym obszarpane, lecz nieustępliwe dywizje kawaleryjskie pod barwnymi sztandarami, szturmujące miasto oskrzydłującym manewrem od strony zatoki. Pędziły przed siebie, niemal grzebiąc wszystko pod swymi drżącymi, kończystymi szczytami – lecz mimo to nad szczytami gór widniała korona błękitu, światło w gabinecie było więc czyste i głębokie. Pełne ultrafioletu, purpury i błękitu, oblewało twarz Hardesty'ego oraz tacę lśniąca jak przedmiot nie z tego świata.

Pomału, jak gdyby poruszał się pod wodą, Hardesty zbliżył się do potężnego stołu, na którym ojciec zostawił tacę; leżała sobie zwyczajnie jak pospolite kuchenne naczynie. Marrattowie wierzyli, że taca jest chroniona. Wychodziła cało z wojen, pożarów, trzęsień ziemi, a nawet włamań, bo złodzieje, podobnie jak Evan, nie byli nią zainteresowani. Hardesty dziwił

się, że jego brat odrzucił tak cudowną rzecz – w przeświecających zza chmur promieniach słońca mieniła się tysiadcem barw, skąpanych dodatkowo w złocie i srebrze. Bił od niej gęsty, jednolity pęk olśniewająco pięknych świetlnych promieni: emanowały one ze słów wygrawerowanych wokół krawędzi, zbiegały się nad punktem centralnym i opadały nań, oświetlając główny napis.

Światło na twarzy Hardesty'ego zmieniło się z fioletowo-błękitnego na złote i srebrne. Czując jego ciepło, Hardesty po raz kolejny odczytał napisy. Były to nazwy czterech cnót oraz jedno kuszące, obiecujące zdanie, tkwiące pomiędzy nimi niczym piasta w kole. Ojciec odczytywał mu je po wielokroć, tłumaczył, że są to najważniejsze rzeczy na świecie, wzgardliwym gestem ręki dając przy tym do zrozumienia, że w porównaniu z nimi bogactwo, sława i dobra doczesne są bezwartościowe i poniżające.

– Tylko ludzie mali uganiają się za takimi rzeczami – powiedział kiedyś. – Wiem z doświadczenia, że w chwili śmierci życie jawi im się jako rozbite, strzaskane niczym szkło. Widywałem już, jak umierają. Upadają, jak gdyby ktoś ich popchnął, na twarzy mają wyraz niepomiernego zaskoczenia i niedowierzania. Inaczej niż ktoś, kto wie, czym są cnoty, i żyje podług nich. Świat idzie swoją drogą, idee zyskują i tracą na znaczeniu, a ci, co mają władzę, koniec końców często ponoszą klęskę. Ale to wszystko nie ma znaczenia. Cnoty pozostają nietknięte, nie da się ich zepsuć. Cnoty są nagrodą samą w sobie, są murem, który może ochronić naszą wizję piękna, są naszą siłą, dzięki nim możemy przetrwać bez szwanku burzę, którą ściągamy na siebie, poszukując Boga.

Kiedy zmarła pani Marratta, kiedy Hardesty szedł na wojnę, kiedy z niej wrócił, a także w wielu innych chwilach zgryzoty, niebezpieczeństwa lub tryumfu ojciec nakłaniał go, by sięgnął po tacę. Teraz dosłownie widział go, jak obraca ją w dłoniach. Signor Marratta najpierw odczytywał posrebrzane napisy po włosku, potem tłumaczył je na angielski. Obcość języka była okolicznością sprzyjającą, ponieważ pozostawiała margines wątpliwości – jak w dwujęzycznych małżeństwach, gdzie zamiast niszczących ciętych słów panuje duch łagodności i tolerancji. Tak samo japońska pokojówka może wytrzymać wśród najbardziej drętwych angielskich arystokratów, ponieważ jej język nie może zostać użyty przeciw niej. Tak właśnie było z nazwami cnót, gdy signor Marratta odczytywał je po włosku. Nie miały w sobie nic patetycznego, nie brzmiały jak puste hasła wyjęte z nauczycielskich tyrad czy księzowskich kazań, Hardesty akceptował je więc – choć pewnie nie byłby do tego zdolny, gdyby poznał je w języku ojczystym.

La onestà, czyli uczciwość – tę cnotę, jak mawiał signor Marratta, każdy poważa najmniej, póki nie poniesie z powodu jej zaniedbywania naprawdę wielkiej szkody. „Wówczas – mawiał – uczciwość wschodzi niczym słońce”.

Hardesty najbardziej lubił drugie słowo, choć wiązało się mocno ze śmiercią jego matki i jak żadne inne kojarzyło mu się ze łzami: il corraggio, czyli odwaga. Następną cnotę nie do końca rozumiał: il sacrificio, czyli poświęcenie. Skąd poświęcenie? Czy nie była to cnota mocno przebrzmiała, czy nie pasowała raczej do dawnych męczenników? Może właśnie ze względu na rzadkość fascynowała go nie mniej niż ostatnia, sąsiadująca z la onestà przy dolnej krawędzi tacy – choć ta ostatnia była najbardziej zagadkowa, a przy tym najmniej pociągająca dla młodego człowieka: la pazienza, czyli cierpliwość.

Żadna z tych idei, jakkolwiek trudno byłoby ją pojąć czy wprowadzić w życie, nie była jednak nawet w połowie tak tajemnicza jak wyłożona białym złotem sentencja w samym środku tacy. Był to cytat z Senilii Benintèndiego. Signor Marratta bardzo wcześnie zadbał o to, by Hardesty go poznał i zapamiętał. Teraz, po śmierci ojca, siedząc samotnie w jego gabinecie, który niekiedy znajdował się ponad chmurami, Hardesty wziął lśniąca kosztowność do ręki

i odczytał na głos: „Albowiem czyż można wyobrazić sobie coś piękniejszego niż widok idealnie sprawiedliwego miasta, któremu własna sprawiedliwość wystarcza do szczęścia?”.

Powtórzył sobie to zdanie kilka razy, a potem włożył tacę do plecaka, który zawierał cały jego dobytek. Szybki rzut oka na San Francisco z okna wyniosłego, samotnego gabinetu uświadomił mu ponad wszelką wątpliwość, że choć naprawdę jest to wspaniałe miasto, idealna sprawiedliwość nigdy w nim nie zagości, nie ma sensu jej tam szukać. San Francisco było wzorem bezdusznego piękna – zawsze chłodne, zawsze ciche, śpiące w błękicie – nie miało jednak nic wspólnego ze sprawiedliwością, ponieważ sprawiedliwość nie była łatwa. Sprawiedliwość rodziła się z walki między złożonymi sprzecznościami, wymagała, by chociaż dostrzegać wszystkie cnoty świata.

Gdy po raz ostatni wychodził z domu, zdał sobie sprawę, że wszystkie chytre wybiegi, jakich nauczył się w życiu, nie przydadzą mu się już na nic. Co by powiedział, gdyby go ktoś spytał, dokąd się wybiera? Że będzie szukać idealnie sprawiedliwego miasta? Każdy uznałby go za wariata.

– Dokąd się wybierasz? – spytał Evan, mijając się z nim w drzwiach.

– Poszukać idealnie sprawiedliwego miasta.

– Dobrze, ale dokąd? – Evan bardzo chciał, by Hardesty wspomógł go w nowych lotroswach, zaproponował mu nawet sowitą pensję, jeśli tylko prawnicy orzekną, że nie jest to sprzeczne z warunkami testamentu.

– I tak byś nie zrozumiał. Zawsze nienawidziłeś tej tacy. Ja ją zawsze kochałem.

– Na litość boską, o co chodzi z tą tacą? To klucz do jakiegoś skarbu czy co?

– Poniekąd.

Evan był zaintrygowany. Wiedział, że Hardesty jest bystry; zaczynał podejrzewać, że taca jest kluczem do jakiegoś El Dorado.

– Masz ją przy sobie?

– Mam.

– Pokaż.

– Proszę – Hardesty wyciągnął ją z plecaka. Doskonale wiedział, o czym Evan myśli.

– Co tu jest napisane? Umiesz to przetłumaczyć?

– „Umyj mnie, jestem brudna”.

– Powiedz mi, co tu jest napisane, Hardesty.

– Powiedziałem ci, Evan.

– Co zamierzasz robić? – Evan był zrozpaczony, że zostaje sam.

– Może wyjadę do Włoch. Ale jeszcze nie jestem pewien.

– Jak to: nie jesteś pewien? Jak chcesz się tam dostać?

– Myślę, że pieszo – roześmiał się Hardesty.

– Pieszko? Idziesz pieszo do Włoch? Ten napis ci kazał?

– Tak.

– Ale jakim cudem? Po drodze jest woda, mnóstwo wody...

– Bywaj, Evan – Hardesty ruszył w stronę bramy.

– Nie rozumiem cię, Hardesty! – krzyknął Evan. – Nigdy cię nie rozumiałem. Co jest napisane na tacy?

– „Albowiem czyż można wyobrazić sobie coś piękniejszego niż widok idealnie sprawiedliwego miasta, któremu własna sprawiedliwość wystarcza do szczęścia?” – odkrzyknął Hardesty, ale Evana już nie było: wszedł do domu, by przejąć swoją własność.

Robotnik mostowy, wciśnięty w szary, upstrzony pomarańczową farbą kombinezon,

przez co wyglądał odrobinę średniowiecznie, był zdziwiony, że jego pasażer aż drży z emocji, gdy przejeżdżał przez Bay Bridge z San Francisco do Oakland. Hardesty doskonale rozumiał, dlaczego jest roztrzęsiony: gdy przebijali się przez chłodną zasłonę mgły, spoglądając na statki rysujące białe szlaki na głębokich wodach zatoki, czuł, że przekracza granicę między dwoma światami.

Różnica między San Francisco i jego przyległościami na zamglonych wyspach a zakurzonym Oakland była tak wielka, jak gdyby obu miast nie dzieliło siedem mil przez most, lecz siedem tysięcy mil przez morze. Przemieszczenie się z pełnego uśmierających ultrafioletów San Francisco do skąpanego w oślepiającym słońcu Oakland był takim szokiem, że w Hardestym szybko obudził się żołnierz. Gdy tylko roгатki zostały w tyle, uczył, że znów zdolny jest wspinać się na zasieki z drutu kolczastego, wskakiwać do jadących pociągów, spać na ziemi i pokonywać pieszo pięćdziesiąt mil dziennie. Emocje pozostawił po tamtej stronie zatoki; był gotów przemierzyć Amerykę i Atlantyk, bez pieniędzy, bez wyraźnych pomysłów, jedynie ze złotą tacą w plecaku. Upalne Oakland na powrót uruchomiło w nim zwinne silniki, od czasu wojny pozostające w uśpieniu.

Nie minęło wiele czasu, a znalazł sobie dobre miejsce wśród trzciny na nasypie biegnącego na wschód toru kolejowego. Leżał tam w słońcu, z plecakiem pod głową, żując żdźbło trawy, aż w końcu usłyszał zbliżający się łoskot. Wyrzwał zza krzaków. W jego stronę nadjeżdżała samotna lokomotywa. Nad pomalowaną w czarno-żółte pasy kabiną (przypominającą olbrzymią mechaniczną pszczołę) unosiły się spaliny dieslowskich silników, powietrze drgało niczym młode pędy, a po obu stronach maszyny siedziało sześciu mężczyzn w drelichach; jechali z nogami zwieszonymi na zewnątrz, niczym cyrkowi wołyżerowie na koniu. Maszyna przejechała z rykiem. Hardesty złożył głowę z powrotem na plecaku i spokojnie czekał, drzemiąc od czasu do czasu. Wreszcie usłyszał coś, czego nie da się z niczym pomylić: rumor wielkiego pociągu towarowego. Zerwał się i przygotował do drogi, nawet nie wyglądając z zarośli – nie musiał wyglądać, bo gdy po torze nadjeżdża dwieście wagonów ciągniętych przez osiem lokomotyw, trzęsie się ziemia i śpiewają trzciny.

Oleista woda w pobliskim rowie zaczęła drzeć i falować. Pierwsza lokomotywa była czarna jak pistolet, a na czele miała żółty reflektor, świecący niczym światło prawdy. Pociąg wyjechał właśnie ze stacji przetokowej w Oakland i dopiero nabierał szybkości; Hardesty niemal czuł, jak szarpia o siebie stalowe sprzęgi, jak wysilają się, by uciągnąć długi sznur wagonów. „Nie ma chyba nic wspanialszego niż wielki pociąg towarowy ruszający w trasę we wczesnoletni dzień”, pomyślał Hardesty. Taki widok pozwala zrozumieć wielką tragedię roślin, czyli to, że mają korzenie. Trzciny i trawy na rozgrzanych pagórkach i w rowach zieleniały z zazdrości, błagały, by je zabrać ze sobą (dlatego właśnie machały do przejeżdżającego pociągu). Pociąg obiecywał sto tysięcy gorących, urokliwych, wypełnionych wiatrem miejsc wśród drzew, beztróskie lato w głębokich dolinach, brązowe rzeki, migotliwe zatoki oraz takie połacie prerii, że nieskończoność wydawała się przy nich błahostką.

Gdy Hardesty wypatrzył w składzie nowiutki czysty wagon węglarkę, chwycił plecak i zaczął biec wzdłuż pociągu. Kamienie osypujące się spod podkładów na czarną ilastą ścieżkę przy torze raniły go w stopy. Co jakiś czas zerkał przez ramię. Odczekał, aż węglarka się zbliży, i położył rękę na drabince; poczuł, jak go ciągnie. Gdy chwycił ją drugą ręką, jego nogi przebierały już jak ramiona wiatraka. Wreszcie uczepił się wyższego szczebla, podskoczył i oderwał się od ziemi. Było to uczucie nierównie wspanialsze niż znalezienie studolarowego banknotu.

Hardesty przelazł przez niską burtę wagonu i spadł na świeże deski, pachnące jeszcze jak

słoneczny las w górach Sierra Nevada. Burta była na tyle wysoka, że częściowo (lecz tylko częściowo) chroniła przed wiatrem i zasłaniała przed spojrzeniem z zewnątrz. Hardesty nie widział więc inspektorów kolejowych stojących koło toru, lecz oni także nie widzieli jego. Widział za to pola, doliny i łańcuchy górskie. Mógł wstać, nie ryzykując, że tunel lub wiadukt pozbawi go głowy, chodzić tam i z powrotem, biegać wkoło, krzyżeć, tańczyć, zostawić plecak w kącie, wiedząc, że nawet przy największych szarpnięciach nie stoczy się na pola i nie przepadnie na zawsze. Nie był głodny, pogoda była prześliczna, miał przed sobą cały kraj. Nic dziwnego, że zaczął śpiewać – a ponieważ nikt go nie słyszał, nie musiał się wstydzić i śpiewał dobrze.

Nazajutrz rano, gdzieś w górach niedaleko miasta Truckee, gdy pociąg sunął powoli wśród skalistych wzgórz naszpikowanych strzelistymi sosnami, Hardesty chodził sobie wzdłuż wagonu, wciąż szczęśliwy, jakkolwiek po nocy przespanej na gołych deskach uleciało już zeń wczorajsze uniesienie. Pociąg piał się pod górę, a do niego zaczęło docierać, że czeka go naprawdę trudna przyszłość. W bezdeszczowe lata zdarzało mu się już wskakiwać na pociągi jadące do Sierry, ale zawsze miał dom, do którego mógł wrócić. Teraz, gdy go stracił, zaczynał pojmować, dlaczego ojciec porzucił służbę w armii włoskiej, zdezerterował ze swego górskiego oddziału, gdy ten brnął bezcelowo przez Dolomity, przedarł się nad morze i wreszcie uciekł do Ameryki.

– Pierwsze miesiące nie były takie złe – opowiadał kiedyś signor Marratta. – Przez większość czasu zajmowaliśmy się budową fortyfikacji na wysokich urwiskach, wroga widzieliśmy tylko przez lunety. Lecz gdy i myśmy, i oni ukończyli już swoje reduty, generałowie po obu stronach zmuszeni byli wydać rozkaz do ataku. Dla mnie to było idiotyczne. Wysoko w górach było nam jak u Pana Boga za piecem, póki nie zaczęliśmy ginąć. Poszedłem do naszego maggiore i powiedziałem: „Po co przełamywać impas? To, że na równinach trwa rzeź, nie znaczy, że musimy robić to samo w górach”. Major stwierdził, że to doskonała myśl, ale cóż mógł na to poradzić? Rzym żądał zdobyczy terytorialnych. Nasi strzelcy wyborowi zaczęli strzelać bez przekonania, artylerzyści załadowali działa i rozpoczęli ostrzał, a ci z nas, którzy mieli pecha znać się na wspinaczce, zostali wysłani na niebezpieczną przeprawę przez wąwozy i uskoki – nasz oddział miał pojawić się zniemacka dwieście stóp nad głowami wrogów i wystrzelać ich z zaskoczenia. Kilku moich dobrych przyjaciół zostało tam na linach wspinaczkowych: zawiśli martwi na wysokich na tysiąc stóp ścianach, ponieważ wrogowie odpowiedzieli ogniem. Austriacy ostrzeliwali nas z dział o nieprzewidywalnej, płaskiej trajektorii strzału, roztrzaskiwali klify, na które się wspinaliśmy. Po roku takiej wojny pozycyjnej marzyłem już tylko o jednym: by wyjść z tego żywy. Gdybym wytrwał w tej walce między uzbrojonymi oddziałami włoskich i austriackich klubów wspinaczkowych, pewnie nie byłoby was tutaj. A dziś można zapisać się do obu klubów naraz.

Signor Marratta miał jednak wyrzuty sumienia z powodu swojej dezercji. Często nawiedzała go myśl, że lojalność i odpowiedzialność wystarczą za usprawiedliwienie, by zostać na miejscu i zginąć, trudno mu było wyzbyć się przekonania, że niczym tchórz z Piekleń Dantego dokonał „wielkiej odmowy”. Hardesty’emu przyszło do głowy, że może, wybierając tację, on także uchylił się przed odpowiedzialnością. Ojciec jak zwykle pozostawił mu wolność decyzji, by każdy wybór wiązał się z wątpliwościami. Wątpliwości – jak po Marrattowsku powiedziałyby ojciec – miały go zachęcić, by szukał rozwiązań dogłębnych, ryzykownych i wartościowych, takich, do którego nie doszedłby w zwykłej sytuacji.

– Wszystkie wielkie odkrycia – powiedział kiedyś u schyłku życia – zrodziły się tyleż z pewności, co z wątpliwości; gdy oba przeciwieństwa się spotykają, atmosfera oczyszcza się

i mogą nastąpić cudowne przypadki.

Nagle potężna siła rzuciła Hardestym na platformę. W ostatnim świadomym ułamku sekundy przemknęło mu przez głowę kilka myśli: żałował, że deski wagonu pędzą mu prosto w twarz, zastanawiał się, co spadło mu na plecy, oraz bał się, że poprzedni wagon wykoleił się i że za chwilę zostanie zmiądzony. Potem stracił przytomność.

Gdy się obudził, leżał obrócony twarzą ku niebu. Policzki miał okrwawione, był obolały, z boku głowy wymacał ranę długości i grubości gąsienicy. Potem spostrzegł jakieś stworzenie przykucnięte pod ścianą. Dopiero gdy zamrugał powiekami i otarł krew z oczu, ujrzał, że to mężczyzna – mierzył nie więcej niż pięć stóp wzrostu, wydawał się zaś jeszcze o połowę mniejszy, bo w skurczonej pozycji wyglądał jak sprężony kłęb mięśni. Miał na sobie kostium, którego z początku nie dało się złożyć w całość. Każdy element z osobna był możliwy do zidentyfikowania, ale całość była po prostu niesamowita. Na nogach miał wielkie buciska z tłustej czarnej skóry, przypominające wypomadowane kule armatnie. Hardesty poznał, że to najdroższe górskie buty, w których można wspinać się długie lata, a do ich wypastowania trzeba chyba zużyć łoż z całego niedźwiedzia. Wpadnięcie do rzeki w takich butach oznaczało pewną śmierć, a gdyby się zapaliły, mogłyby się tlić miesiącami, choćby i pod wodą. Cudak miał też na sobie purpurowo-niebieskie getry z wydzierganymi szarotkami, kobaltowoniebieskie szorty, tęczowe szelki, fioletową koszulę oraz bandanę w pirackim stylu, tak samo purpurowo-niebieską jak getry, lecz ozdobioną hipnotyzującym czerwonym szlaczkiem. Twarz miał niemal całkowicie ukrytą pod brodą oraz idealnie okrągłymi, różowymi okularami przeciwsłonecznymi. W prawej dłoni brakowało mu dwóch palców, w lewej trzech, na plecach miał jasnoniebieski plecak, do tego obwieszony był nieprawdopodobną ilością wspinaczkowego oprzyrządowania: pobrzękiwał srebrnymi karabińczykami, połyskiwał klamrami, szczekał hakami i powiewał dwoma tuzinami uprząży mieniących się fluorescencyjnymi kolorami. Przez ramię miał przewieszoną pomarańczowo-czarną linę i żuł kawał suszonej wołowiny wielkości zeszytu.

– Przepraszam – powiedział między jednym kęsem i drugim. – Skoczyłem z mostu prosto do węglarki, nie zauważyłem cię. Dziękuję.

– Za co dziękujesz? – spytał Hardesty.

– Zamortyzowałeś mój upadek.

– Coś ty za jeden?

– Co ja za jeden? O co ci chodzi?

– Kim jesteś, do diabła? Czy ty mi się śnisz? Wyglądasz jak Titeliturę.

– Nigdy o nim nie słyszałem. Wspina się tutaj, w Sierra?

– Nie, nie wspina się w Sierra.

– Jestem wspinaczem. Zawodowym. Wybieram się do Wind Rivers, zamierzam jako pierwszy wejść samotnie na East Temple Spire. Jeśli się sprężę, zrobię to w jedną noc. Oj, chłopaku, ale miałem łądownie. Dobrze, że się nie połamałem.

– Tak – powiedział Hardesty. – Ja też się cieszę, że się nie połamałeś.

– Paskudnie się skaleczyłeś. Powinieneś się posmarować olejkim z Nandiboon.

– Co to jest Nandiboon?

– Olejek z Nandiboon. Świetny specyfik. Uleczy każdą ranę, i to naprawdę szybko. Mój przyjaciel przywiózł z Nepalu. Proszę. – Sięgnął go plecaka, wyciągnął małą flaszeczkę, odkorkował zębami i zaczął smarować Hardesty'ego. – Czuję się za ciebie trochę odpowiedzialny.

– Momencik! – powiedział Hardesty.

– Bez obawy, to samo zdrowie. Ekologiczny.

– Jak się nazywasz?

– Jesse. Jesse Honey. Naprawdę! Honey, czyli miód. Tak się nazywam. To nie moja wina. Mogło być gorzej. Gdybym był dziewczyną, mógłbym mieć na imię Bunny albo Bea, albo jeszcze diabli wiedzą jak. A ty jak się nazywasz?

– Hardesty Marratta. Co jest w tym olejku? Zaczyna piec.

– Trochę piecze. Ale leczy naprawdę szybko.

Rana posmarowana olejkim z Nandiboon piekła coraz bardziej. Hardesty miał złe przeczucia – i nie mylił się. Dwie czy trzy minuty po zaaplikowaniu specyfik wżerał mu się w pory skóry jak wrzący olej. Cokolwiek zawierał, mógłby udawać kwas siarkowy i nadtlenek wodoru. Hardesty skrecał się z bólu.

– Przyniosę wody! – krzyknął Jesse Honey. – Za tym zakrętem jest strumień. Nabiorę trochę i wrócę, zanim pociąg dotoczy się na górę.

Hardesty nawet go nie słyszał, ale gdy dziesięć minut później ujrzał nad burtą wagonu machającą dłoń Jessego, pobiegł mu pomóc. Jesse wrzucił na do węglarki plastikowy pojemnik z wodą i z taką siłą chwycił wyciągniętą rękę Hardesty’ego, że ją zwichnął. Hardesty ponownie stracił przytomność. Jesse Honey chwycił go za ramię i zaczął je nastawiać zgodnie z zasadami pierwszej pomocy – lecz pomylił ramiona i zamiast nastawić to zwichnięte, zwichnął zdrowe.

– Czy ty chcesz mnie zabić? – wrzasnął Hardesty. – Jeżeli tak, to błagam cię, zrób to szybciej!

Jesse Honey był tak pochłonięty nastawianiem mu rąk, że wydawał się go nie słyszeć.

– Nauczyłem się tego na Mount Kinley – powiedział z wyraźnym zadowoleniem. Zmył Hardesty’emu olejek z twarzy i ponownie zeskoczył na ziemię. Po chwili wrócił z okazałym narzędziem chrustu.

– A to po co?

– Rozpalę ognisko – odparł Jesse, zabierając się za podpalanie najmniejszych szczap. – Ugotujemy sobie coś do jedzenia i zaparzemy herbatę.

– Chcesz rozpaścić ogień na drewnianej platformie? – spytał Hardesty, lecz było już za późno. Żywiczne deski już się paliły, wiatr rozniecał płomienie. Jesse próbował je ugasić, ale dał za wygraną, gdy jego tłuste buty zaczęły się tlić.

W ciągu pół godziny wiatr rozniósł ogień po całym pociągu. Smar, farba, drewniane podłogi i wnętrza wagonów, podściółka i tysiące rozmaitych ładunków – wszystko zapalało się błyskawicznie, po niedługim czasie cały skład zmienił się w płonąca pochodnię. Załoga za późno się zorientowała, nie mogła się już zatrzymać, starała się więc dojechać do łuku między górami, gdzie nie było wiatru. Nim zdążyli tam dotrzeć, w węglarce było już o wiele za gorąco, Jesse i Hardesty zeskoczyli więc na ziemię i ruszyli piechotą na wschód. O zmierzchu ujrzeni nad górami dwa zachodzące słońca, z których jaśniejsze było płonąca pociągiem, i usłyszeli serię eksplozji – wybuchały wagony wypełnione łatwopalnym ładunkiem. Jesse Honey stwierdził, że wszystko odbyło się zgodnie z naturą.

– Pociągi nie są stworzone do jeżdżenia po górach – powiedział.

Prawie całą noc szli chłodnymi dolinami w masywie Sierry, napotykając jedynie światło gwiazd i głęboki spokój, jakiego pełne są góry na początku lata. Nieobecność wiatru i bezruch drzew były ze strony natury wyrazem nadziei i niedowierzania, że zima naprawdę minęła: dzikie ostępy wstrzymały oddech przed ponownym wybuchem letniej radości, bojąc się, że północne wichry w każdej chwili mogą z powrotem przynieść śnieg i mróz.

Początkowo obaj nie odzywali się do siebie ani słowem, szli w milczeniu kredowobiałymi ścieżkami przez czarne tunele wysokogórskich wąwozów, śledząc wzrokiem

gwiazdy połykane przez szczyrbate masywy. Powietrze było wiosenne, oddychanie sprawiało beztrudną przyjemność, jak gdyby znaleźli się w gronie małych dzieci, przystrojonych w kapelusiki i szaliki, barwnych jak dzikie kwiaty. Jak zawsze w pierwszym dniu na znacznej wysokości, całonocny marsz nie sprawił im kłopotu; zresztą powietrze było tak świeże, a strumienie tak wartkie, białe i zimne, że żadne żywe stworzenie, któremu nieobca jest rozkosz wolności, nie mogłoby tej nocy zasnąć.

Gdy skręcili w kierunku północno-wschodnim, wszedł księżyc, kremowy jak perła, idealnie okrągły, dobrotliwy – bezbłędna jasna latarnia. Jesse był przekonany, że o milę lub dwie przed nimi znajduje się doskonała towarowa linia kolejowa. Nim księżyc zniknął, a niebo na wschodzie zaczęło jaśnieć, pokonali kolejne piętnaście mil, lecz torów wciąż nie było widać.

– Nad torami jest piękny drewniany wiadukt – mówił Jesse. – Nie wiem, kto go zbudował i po co, ale można się z niego z łatwością opuścić na pociąg.

– Nie rozumiem tego – powiedział Hardesty. – Dlaczego ilekroć chcesz wskoczyć do pociągu, musisz to robić z góry? Nie możesz po prostu pobiec wzdłuż toru i chwycić się drabinki?

Jesse popatrzył na niego urażony i rozdrażniony.

– Nie mogę – oświadczył gorzko. – Nie sięgnę tak wysoko.

– Ach, no tak. – Hardesty zerknął na swego kompana, który faktycznie był niewiarygodnie niski. – Ile ty właściwie masz wzrostu?

– A co to za różnica?

– Żadna różnica, po prostu jestem ciekaw.

– Cztery stopy i cztery i pół cala. A miałem mieć sześć stóp i trzy cale. Tak mówił lekarz, gdy oglądał zdjęcia rentgenowskie. Mój dziadek miał sześć sześć, ojciec sześć osiem, a bracia mają jeszcze więcej.

– Co ci się stało?

– Nie wiem – zjeżył się Jesse i pokręcił głową. – Dla mężczyzny mierzącego cztery stopy i pięć cali to...

– Mówiłeś, że masz cztery stopy i cztery i trzy czwarte cala – przerwał mu Hardesty.

– Goń się – warknął Jesse. – Dla mężczyzny mierzącego cztery stopy i pięć cali świat naprawdę nie jest łatwy. W gazetach piszą o ludziach, którzy mają pięć stóp i osiem cali, że są poniżej średniego wzrostu. A co ja mam powiedzieć? Żadna dziewczyna nawet na mnie nie spojrzy. Większość z nich nie ma nawet takiej możliwości, bo po prostu mnie nie zauważa. Nie chcieli mnie przyjąć do wojska. Marynarka wojenna chciała: na czyściciela kominów. Skończyłem studia, jestem inżynierem, a te pajace chciały, żebym im czyścił kominy. Gdy słyszę, jak jakieś wyrośnięte palanty zadzierają głowę z dumy, że są wysocy, mam ochotę wziąć karabin maszynowy... Zresztą nieważne. Mam to gdzieś. Chciałbym tylko znaleźć sobie piękną niziutką kobietkę w małej chatce gdzieś pod niskimi górami.

– Myślę, że są takie miejsca w Czarnym Lesie – powiedział Hardesty. – Z legend wynika, że tam mógłbyś znaleźć kogoś takiego.

– Nie chcę kobiet trolli – odparł Jesse. – Jestem Amerykaninem, to wyklucza trolle.

– Nie o tym mówię. Mam na myśli piękne, malutkie, niebieskookie kobiety, podobne do tych, które widać na rzeźbionych korkach od butelek.

– To nie dla mnie. Mnie się podobają kalifornijskie dziewczyny, wysokie i szczupłe, takie, których nogi sięgają mi do szyi.

Do końca dnia zrobili czterdzieści mil w pełnym słońcu, rozmawiając o kobietach, wspinaczkach górskich, pociągach towarowych i polityce. Jesse był gorliwym zwolennikiem

prezydenta Palmera (może dlatego, że był to najniższy prezydent od czasów Linscotta Gregory'ego); Hardesty również zamierzał na niego głosować, ale nic ponadto. Ilekroć wchodzili między drzewa, zapadało krępujące milczenie, bo były to głównie ogromne połacie karłowatych sosen. W pewnej chwili Hardesty stwierdził, że podczas skoku Jesse chyba złamał mu kość.

– Jak to: chyba?

– No chyba. Tak mi się zdaje. Jeszcze nigdy sobie niczego nie złamałem.

– Jeszcze nigdy sobie niczego nie złamałeś?! To nie do wiary! Ja miałem złamaną chyba każdą kość. Raz gdy zapomniałem zakotwiczyć linę, złamałem sobie naraz szesnaście. Zagapiłem się podczas wspinania, asekurowałem się tylko reepschnurem. Równie dobrze mógłbym użyć sznurowadła. No i spadałem sobie czterdzieści stóp na tym reepschnurze, a potem złamałem chyba wszystko oprócz słowa, bo gdy ten pękł, spadałem jeszcze kolejne sto pięćdziesiąt stóp.

– Aż dziw, że się nie zabiłeś.

– Po drodze lądowałem na półkach skalnych.

Wkrótce dotarli nad krystalicznie niebieskie jezioro, długie i wąskie niczym rzeka. Z usypiska gładów na południowej stronie widzieli tory kolejowe, biegnące po drugiej stronie, około mili od brzegu. Jesse stwierdził, że będą musieli tam przepłynąć, ale jezioro jest geotermalne, powinno więc być ciepłe jak kąpiel w wannie. Hardesty włożył palec do wody i pokręcił głową.

– Nie przy brzegu! – wykrzyknął Jesse. – Każdy głupek wie, że jeziora geotermalne są gorące tylko na większej głębokości. Właśnie tam odbywa się cała wymiana temperatur. Kilkutonowa masa schłodzonego prądu termalnego uruchamia zjonizowaną, wysokoenergetyczną falę, która rozpoczyna się przy wstępujących parametrach toloposoidalnego rejonu głębszego podzbioru centralnego. Wzbudzona w ten sposób interferencja temperatur, zróżnicowanych wskutek działania powietrza, wymusza powstanie haploidalnej siatki na wymiarowych pływach wody powierzchniowej, uwięzionej w oscylującym toroidalnym pasie, który wyróżnia się obecnością powierzchniowo czynnych inwersji alkalicznych normalnej stabilności, wytwarzanych przez skupiska osuszające, zgodnie z tendencją do niedostatecznego przesączenia w masie wody.

– Mimo to uważam, że powinniśmy obejść jezioro naokoło.

– Nie ma szans. Linia kolejowa nie biegnie po stycznej z brzegiem. Zbacza nad jezioro tylko na chwilę z północnego zachodu i zaraz skręca na północny wschód. Doprowadzono ją tu tylko dlatego, by można było uzupełniać wodę w kotłach lokomotyw. Jezioro jest długie na pięćdziesiąt mil, a my jesteśmy pośrodku. Zresztą nawet gdybyśmy je obeszli, musielibyśmy przepłynąć się przez rzekę, a uwierz mi, przeprawa przez rzekę jest o wiele bardziej skomplikowana niż przez jezioro. Jezioro jest przynajmniej nieruchome.

Pomijając objaśnienie, dlaczego woda jest cieplejsza pośrodku niż przy brzegu, argumenty Jessego brzmiały rozsądnie. Obaj przystąpili więc do budowy tratwy, na której mieli przewieźć ubrania i dobytek.

– To drewno jest za ciężkie – stwierdził Hardesty, gdy Jesse przytaszczył nad wodę stos gałęzi. (Ledwie go było widać spod szarej gęstwiny, wyglądał jak pancernik cierpiący na jakąś purpurową chorobę skóry). – Nie będzie pływać.

– Za ciężkie? Ha! To balsam z Montany. W głębi łądu używano go do budowy sterowców i innych lekkich maszyn. Oczywiście, że będzie pływać.

Powiązali gałęzie zapasowym reepschnurem, po czym zepchnęli tratwę na wodę – i tyle

ją widzieli, poszła na dno jak stalowy łańcuch. Ruszyli wplaw. Słońce już zachodziło, ale postanowili, że przepłyną jezioro jeszcze przed nocą i rozpalą na drugim brzegu wielkie ognisko, korzystając z obfitości balsamu z Montany. Jesse twierdził, że balsam nie będzie się palił, lecz to tylko upewniało Hardesty'ego, że już niedługo ogrzeje się przy wspaniałym ognisku.

Związane w tobołki ubrania umocowali na plecakach, plecaki umieścili sobie na ramionach i rozpoczęli przeprawę. Teoretycznie tylko dolne części plecaków były narażone na zmoczenie – teoria ta jednak sprawdzała się tylko przez pierwsze dziesięć minut, póki płynęli szybko. W połowie szerokości jeziora zaczęli zanurzać się głębiej i plecaki przemokły do nitki. Woda była zimna jak górski strumień o północy w ostatnią noc stycznia. Im była zimniejsza, tym szybciej Jesse wyrzucał z siebie kolejne perory, będące skrzyżowaniem wykładu z fizyki z przemówieniem polityka.

– Wiem, że może to brzmieć jak usprawiedliwienie – powiedział – ale funkcje tensorowe w wyższej topologii różnicowej, których przykładem może być zastosowanie teorematu Gaussa-Bonneta do wielomianów Todda, wskazują, że kohometryczna rotacja osiowa w nieadiabatycznym naczyniu wstępującym, wywołana przypadkową inferencją wynikającą z translacyjnych sum równowagi, przejawia się w przeciwnym przejściowym porządku termodynamicznej charakterystyki transakcyjnej plazmy podlegającej negatywnym nawrotom entropii.

– Może byś tak wreszcie się zamknął? – odparł Hardesty.

Jesse nie otwierał ust do chwili, gdy przewrócił się stojak z gałęzi, na którym rozwiesił ubrania do wyschnięcia, i jego purpurowe szorty spaliły się w ognisku. Od tej chwili szedł nagi od pasa w dół, jedynie z ochraniaczem na genitalia, który zmajstrował sobie z puszek po napoju Dr Pepper i zawiesił na biodrach za pomocą kawałka reepschnura. Wkrótce pysznił się tym strojem niczym projektant z Seventh Avenue prezentujący nową kolekcję.

– Bardzo wygodne – zachwalał. – Powinieneś spróbować.

Dwie godziny po tym, jak wypaliło się ognisko, po torze nadciągnęła z łoskotem masa stalowych kół i kaszłających dieslowskich silników. Jesse i Hardesty wypatrzyli sobie wygodną odkrytą platformę, która miała ich dowieźć nad rzekę Yellowstone. Hardesty wskoczył pierwszy, Jesse biegł chwilę dłużej wzdłuż toru, niebezpiecznie zwalniając, aż Hardesty chwycił go za rękę i wciągnął na platformę. Mimo ciemności widział go doskonale, pośladki Jessego świeciły w blasku księżyca. Dwadzieścia cztery godziny później wyskoczyli z pociągu – jechał na północ, w stronę Montany i Kanady – i szli przez jakiś czas, aż zatrzymali się na brzegu rzeki Yellowstone.

Hardesty spojrzał w niebo, zaciągające się właśnie deszczowymi chmurami.

– Może zbudujemy sobie szałas, a jutro zastanowimy się, jak przekroczyć rzekę? – spytał. – Chyba będzie padać.

– Padać! Z takich chmur? – odparł Jesse. – Od razu widać, że nie znasz się na górach. Jestem zupełnie pewien, że nie będzie padać. Wiesz, co to jest nieomyślność? Nie? Powiem ci. Nieomyślność to ja, gdy przepowiadam pogodę. – Zerknął na nadciągającą z północy ścianę cumulonimbusów, potężną niczym góry. – W ciągu pięciu minut przejdą dalej. Jutro niebo będzie aksamitne. Połóż się na sosnowych igłach i śpij.

– Sam nie wiem... – rzekł Hardesty, podejrzliwie przyglądając się chmurom.

– Zaufaj mi.

Pół godziny po tym, jak zasnęli, potężny grzmot poderwał ich z ziemi i obrócił nimi jak naleśnikami na patelni. Pioruny strzelały z prędkością karabinu maszynowego, padały obalone drzewa. Rzeka, już wcześniej tocząca się wartko po skalistym dnie, stała się zupełnie biała,

pędziła przed siebie tak szybko, jak gdyby sama była błyskawicą. To, co lało się z nieba, nie było zaś zwyczajnym deszczem, który od biedy można zignorować – Hardesty i Jesse dosłownie starali się nie utonąć.

– Chodź za mną! – zawołał Jesse z ustami pełnymi wody.

– Dokąd?

– Wiem, gdzie jest schronienie. Widziałem po drodze.

W strugach deszczu brnęli kilkaset jardów przez błoto, aż dotarli do wylotu jaskini.

– Ja tam nie wejść – oświadczył Hardesty, wiedząc dobrze, że i tak wejdzie.

– Dlaczego? To doskonała jaskinia.

– Zawsze nienawidziłem jaskiń. Może dlatego, że jestem Włochem.

– Daj spokój. Wydaje mi się, że już tu byłem. O ile dobrze pamiętam, mieszkał tu kiedyś pustelnik, zostały po nim legowiska z piór, zapasy, meble i lampy.

– Aha, jasne – mruknął Hardesty. Po chwili pochłonęła ich ciemność. – Czy musimy wchodzić tak głęboko?

– Musimy dostać się do schronienia pustelnika.

– A nietoperze?

– Na zachód od Platte nie ma nietoperzy.

– Nieprawda, widziałem nietoperze w San Francisco.

– Ani na wschód od Fresno.

Po dwudziestu minutach brnięcia po omacku przez podziemny świat, wypełniony ciurkaniem strumieni i złośliwymi szmerami, dotarli do jakiejś wielkiej pieczary – echo ich kroków niesło się tak daleko i wysoko, jak gdyby wyszli na wolne powietrze. W którąkolwiek stronę się zwrócili, nie mogli dotrzeć do ściany, szli tylko po płaskiej skale lub ziemi. Przechodzili przez małe, nieszkodliwe strumyki o wodzie cieplej jak w wannie, i widzieli w nich połyskliwe łańcuszki fosforyzujących stworzeń.

Dziwnie patrzyło się na te istoty, wytwarzające sobie własne światło, milczące, lecz porozumiewające się setkami tysięcy szybkich migotliwych znaków. Wyglądały jak armia zapamiętałych robotników zajętych przygotowaniami do jakiejś nieokreślonej podróży. Baterie małych światełek posprzęgane według miliardów permutacji i kombinacji zdawały się dążyć bez przeszkód do jakiegoś tajemnego celu. Przez długie godziny, może nawet dni, Hardesty i jego przewodnik wędrowali po równinie migotliwych potoków. Kompletnie zapomnieli o legowisku pustelnika. Pochłonął ich bez reszty kolor, bezkresna mapa przemysłnych strumyczków, trasy pełne spokoju i ciszy, które śledzili w czarnej pustce. Potoki łączyły się i rozdzielały niczym tony utworu muzycznego. Hardesty przyciskał do siebie plecak, w którym miał tacę. W pewnym momencie migotliwa równina stała się tak ogromna, że zaczęli się zastanawiać, czy w ogóle znajdują się jeszcze w świecie żywych.

Koniec końców musieli jednak pomyśleć o powrocie na powierzchnię. Hardesty zaproponował, by ruszyli pod prąd największego strumienia; w ten sposób przynajmniej mogli mieć pewność, że nie idą w dół. Wkrótce pozostałe linie fluorescencyjnej siatki zaczęły znikać, wybrana przez nich ścieżka rozszerzała się, fosforescencja stopniowo gasła, aż w końcu znaleźli się w obszernej pieczarze, która na drugim końcu musiała być otwarta, bo daleko w ciemności błyskały pioruny.

– Doskonałe miejsce – stwierdził Jesse. – Miłe, suche, miękkie podłoże, a w dodatku niedaleko wyjścia. Chodźmy spać.

– Nie sądzisz – spytał Hardesty – że powinniśmy zapalić zapałkę i zobaczyć, co jest dookoła nas?

– A cóż może być? Nic tu nie ma.
– Nie chcę iść spać, nie wiedząc, co jest wokół mnie.
– Gadasz głupoty. Ej! – wrzasnął Jesse. – Cokolwiek tu jest, do diabła z tobą! Idź do diabła! Zabij nas, jeśli chcesz! Aaaarrrrr! – Jak na takiego mikrusa miał cudowny głos; od jego krzyku Hardesty’emu aż dzwoniło w uszach.

– Mimo wszystko chcę się rozejrzeć – powiedział Hardesty, szukając zapalek.
Zapalił. Białoniebieski błysk oślepił ich w pierwszej chwili, potem jednak zapalka rozjarzyła się złotym płomieniem i rozejrzeli się dokoła.

– A więc to tak – powiedział cicho Hardesty.

Wokół nich, w zgrabnych rzędach, zgodnie i równo jak kardynałowie na posiedzeniu rady ekumenicznej, siedziało sto lub więcej niedźwiedzi grizzly, mierzących po dwanaście stóp wzrostu. Zaskoczone i oślepienie, nie wiedząc co myśleć o dwóch intruzach, którzy wtargnęli w sam środek stada, spoglądały po sobie, jakby szukając rady, z zakłopotaniem kręciły głowami, ospale machały łapami w powietrzu.

Z nadzieją, że to powstrzyma niedźwiedzie przed atakiem, Hardesty zapalał zapalki jedna po drugiej, póki mógł je utrzymać w drżących palcach. Dzięki temu ujrzeni też nietoperze, które – jak można było się domyślić – zamieszkiwały jaskinię setkami tysięcy, jeśli nie milionami. Przywarły do sklepienia zwartą warstwą, grubą na kilka sztuk; były wielkie jak połamane parasole, które we wietrzne dni widuje się w miejskich koszach na śmieci, uszy i stawy miały ohydnie purpurowe i różowe. W pewnym momencie zaczęły się ruszać, wyzwalając reakcję łańcuchową, która z kolei zaniepokoiła niedźwiedzie: zaczęły ryczeć, szczerząc ostre jak zęby wideł kły.

Gdy skończyły się zapalki, niedźwiedzie zaczęły się podnosić, a nietoperze zerwały się do lotu. Przytłoczeni zwałami brązowego futra i jedwabistych skrzydeł Hardesty i Jesse dopiero po chwili zorientowali się, że nie są atakowani, wręcz przeciwnie, wywołali wśród zwierząt panikę. Strumień niedźwiedzi i nietoperzy buchnął z wylotu jaskini jak rzeka mułu z krateru wulkanu, unosząc ze sobą Hardesty’ego i Jessego – wyrzuceni na zewnątrz, potoczyli się po kamieniach oświetlonych stroboskopowym reflektorem burzowego nieba.

Gdy po zwierzętach nie było już śladu, Jesse zaproponował, żeby wrócili do jaskini.

– Oczywiście uważasz, że nie wrócą?

– Powiedziałbym, że szansa wynosi pół na pół.

– Rób, jak uważasz. Ja kładę się spać tutaj, na kamieniach.

Rankiem pierwszą rzeczą, jaką Hardesty ujrzał po przebudzeniu, był Jesse usiłujący rozpalić ogień poprzez pocieranie dwu sosnowych szyszek. Gdy mu się to nie udało, próbował użyć kamienia i patyka. Skończyło się tak, że Hardesty znalazł drugą paczkę zapalek; rozniecili ogień, który nie spalił całego lasu tylko dlatego, że wszystko było mokre po deszczu. Wciąż jednak czekała ich przeprawa przez rzekę.

– Powinniśmy ruszyć w dół i znaleźć most – zaproponował Hardesty. – Oczywiście im wyżej, tym rzeka jest węższa, ale na większej wysokości są mniejsze szanse znalezienia ludzkich siedlisk, a niżej łatwiej będzie trafić na drogę, brzegi będą łagodniejsze, może nawet znajdziemy bród, przez który da się przepłynąć lub przejść na drugą stronę.

– Tyle wiesz, ile zjesz – skwitował to Jesse z wyraźnym rozdrażnieniem; w końcu był zawodowym przewodnikiem, a to były jego góry. – O dwieście mil stąd w górę rzeki i drugie tyle w dół nie ma ani jednego mostu zdadnego do użytku. Jeśli pójdziesz w górę rzeki, znajdziesz się w piekle zwietrzałych skał i omszałych urwisk. Im dalej na południe, tym rzeka staje się szersza i mocniejsza od dopływów. Musiałbyś dość do Utah, żeby znaleźć miejsce do przeprawy.

– W takim razie co proponujesz?
– Zrobimy to, co zawsze robię w takich sytuacjach, co robiłem już sto razy, co automatycznie robi każdy, kto naprawdę zna góry.
– To znaczy?
– Katapultę.
– Która przetrzuci nas na drugą stronę?
– Owszem.
– Rzeka ma ćwierć mili szerokości!
– No to co?
– Dajmy na to, że zdołamy zrobić katapultę, która zadziała. Niech będzie. Powiedzmy, że przetrzuci nas na drugi brzeg. Co będzie potem? Myślałeś o tym? Nie wiem, jak sobie wyobrażasz trajektorię lotu, ale wydaje mi się, że będziemy spadać z dużej wysokości. Zabijemy się na miejscu.
– Wcale nie.
– Jak to nie?
– Nie widzisz, jak gęsto tamten brzeg jest porośnięty drzewami? Musimy tylko wystrzelić się na placach przeciwstrząsowych z rozległą siatką do zaczepienia na drzewach.
– Na przeciwstrząsowych placach!
– Pokażę ci. – Jesse natychmiast przystąpił do budowy katapulty, placów przeciwstrząsowych, siatki, siedzisk i dojsćia. Hardesty ani przez chwilę nie wierzył, że to może się udać, dał się jednak uwieść pewności Jessego, jego konstruktorskiej zręczności, a także wspaniałej, klasycznej, intrygującej idei maszyny, która pozwoli im latać.

Pracowali przez dwa tygodnie, niemal bez snu i jedzenia – żywili się tylko połciami suszonej wołowiny wielkości zeszytu, herbatą oraz pstrągami łowionymi w rzece. Jesse początkowo nalegał, by gotowali pstrągi w ciepłe własnych ciał, obkładając się nimi w nocy (twierdził, że to indiańska metoda), Hardesty stwierdził jednak, że istnieją lepsze sposoby, i pokazał mu, jak się piecze rybę na desce.

Maszyna spoczęła w świeżo wyrąbanym prześwicie, wsparta o ziemię, skały i pale. Hardesty i Jesse obalili mnóstwo drzew i wydarli wielkie połącze pnączy, zbudowali z nich dwupiętrową ramę i oparli ją o stustopowej wysokości drzewo, osadzone w ziemi na potężnym konarze, mającym służyć za oś. Na krótszym końcu dźwigni zawiesili kosz, do którego następnie wrzucili kilka ton kamieni, aż długie drzewo przygięło się do ziemi, napięte jak cięciwa kuszy. Do czoła katapulty przymocowali placki przeciwstrząsowe z siatkami, przypominające uplecione z wikliny gigantyczne liście lilii wodnych, mierzące dziesięć stóp grubości i czterdzieści stóp średnicy. Mieli przywiązać się do nich drutami odciągowymi i czarną linką wspinaczkową. Dla większej ochrony sporządzili sobie baloniaste kostiumy z miękkiej kory przekładanej warstwami mchu i purchawek. Te „poduszki”, jak je nazywał Jesse, były tak wielkie i nieporęczne, że musieli wtaszczyć je najpierw na placki przeciwstrząsowe i włożyć dopiero przed startem.

Hardesty mimo wszystko był sceptyczny, upierał się, że nie pozwoli się wystrzelić. Pod koniec pracy był jednak tak zmęczony i głodny, że zamiast iść aż do Utah wolał już szukać szczęścia w mchowo-purchawkowym kostiumie, na placku przeciwstrząsowym, który miał zostać wystrzelony w powietrze przez gigantyczną katapultę. Była to szaleńcza wizja, lecz w swym szaleństwie kusząca.

O ustalonej godzinie wspięli się na katapultę, włożyli kostiumy i przywiązali się do placów. Jesse trzymał w ręku koniec linki przywiązanej do zawleczonego mechanizmu spustowego;

w odpowiednim momencie miał go zwolnić, uruchamiając maszynę.

– Widzisz tę zieloną masę? – spytał, wskazując na młodą, bujną sosnę o zachęcająco miękkim wyglądzie. – Tam wylądujemy. Prędkość naszego spadania będzie zmniejszona przez aerodynamicznie ukształtowane sieci i placki. Sieci zaplątają się w drzewa, a placki zmniejszą impet uderzenia. Nie muszę chyba mówić, że idealną ochronę zapewnią nam też kostiumy. Nie ma powodu się bać – zakończył. – Jestem inżynierem, opanowałem tę technikę do ostatniego miejsca po przecinku. Jesteś gotów?

– Zaczekaj chwilę – powiedział Hardesty. – Muszę sobie poprawić purchawki. Dobra, jestem gotów. Tak w ogóle uważam, że jesteś zdrowo stuknięty, sam nie wiem, dlaczego ci ufam... aaa!

Jesse pociągnął linkę i z potężną siłą wylecieli w górę – tyle że nie w powietrze, a prosto do rzeki, jakieś pięćdziesiąt stóp od brzegu.

Grzmotnęli w wodę jak pocisk artyleryjski, wzbijając gejzer białej piany wysoki na sto stóp; placki, sieci, a także oni sami błyskawicznie pograżyli się w bystrym nurcie. Na szczęście mieli dobrą pływalność, zaraz wynurzyli się więc na powierzchnię. Pędząc z prądem, uwięzieni w kostiumach, przywiązani do placków, niezdolni do ruchu, zachowali przytomność jedynie dlatego, że lodowata woda orzeźwiła ich po pierwszym szoku.

Hardesty starał się uwolnić z kostiumu.

– Nie rób tego! – krzyknął Jesse. – Bo utoniesz. Teraz przynajmniej mamy jakby łódź.

– Idź do diabła!

– Mówię poważnie!

– Poważnie? – Hardesty aż zeszytniał z nagromadzonej złości, niedowierzania i obrzydzenia. – Ty mówisz poważnie?

– Posłuchaj mojej rady, bo inaczej narobisz sobie kłopotów.

– A to, że pędzimy czterdzieści mil na godzinę lodowatą górską rzeką, na plackach przeciwwstrząsowych, w purchawkowych kostiumach, czy to według ciebie nie są kłopoty? Wiesz, kim jesteś? Powiem ci. Jesteś nieudacznikiem. Niczego nie potrafisz zrobić jak należy.

– To nie moja wina, że urodziłem się taki niski! – odparł Jesse, przekrzykując huk wody.

– Wysocy ludzie wcale nie są lepsi tylko dlatego, że mają parę stóp wzrostu więcej.

– To nie ma nic wspólnego ze wzrostem! – wybuchnął Hardesty.

Nagle ujrzeni, że zbliżają się do mostu: znajdował się nie więcej niż milę lub dwie od katapulty. Małe dziewczynki w okularach koloru rabarbarowego przyglądały im się przez bariery, zafascynowane ich dziwną łodzią.

– A co powiesz na to? – spytał Hardesty.

– To płatny most! Nie wiem, jak ty, ale ja nie wydaję pieniędzy na głupstwa!

Hardesty był zbyt wyczerpany, by przekrzykiwać łoskot wody, zapadł się więc w swój kostium i zmęczonym wzrokiem wpatrywał się w krajobraz, przesuwany szybko jak za oknami pociągu. Ledwie sobie pomyślał, że sytuacja mimo wszystko nie jest taka zła, że w ciągu jednego dnia, może dwóch, nurt pewnie uspokoi się na tyle, że zdołają dopłynąć do wschodniego brzegu, ujrzał nagle, że rzeka przed nimi znika bez śladu. W pewnym miejscu woda po prostu się urywała; dalej widać było tylko szokującą pustkę i odległe obłoki.

– Ryerson Falls – powiedział Jesse. – Trzy czwarte mili wysokości. Jeszcze nigdy stąd nie spadałem w purchawkowym kostiumie.

Hardesty przez chwilę zastanawiał się, czy udusić Jessego, czy jednak lepiej przed śmiercią zebrać myśli, by przed ostatecznym uderzeniem w dno móc wykrzyknąć jakąś piękną i prawdziwą sentencję – zamiast, jak ojciec, umierać ze zdziwionym uśmiechem na twarzy.

Upragnione intensywność i piękno udało mu się odnaleźć w samym spadaniu. Skomplikowana koalicja grawitacji, przyspieszenia, temperatury i innych sił fizyki była tak potężna i przejmująca, że wystarczała mu za wszystko inne. Miała swój nieodparty sens. Nic tak nie pociesza jak niezatarta czystość sił żywiołu; wracając do nich, człowiek nie czuje się pokonany. Mimo wszystko Hardesty nigdy nie przypuszczał, że zginie w kostiumie z kory, przywiązany do placka przeciwwstrząsowego, w towarzystwie karła nieudacznika. Po chwili wylecieli przez krawędź i znaleźli się w powietrzu, na oszałamiającej wysokości. Podczas spadania co pewien czas uderzali w lecącą obok wodę i przechylali się to w jedną, to w drugą stronę. Im dłużej spadali, tym większą Hardesty miał nadzieję, że skoro spadają tak długo, to jednak przeżyje. W ostatniej sekundzie, jakkolwiek pędzili z ogromną szybkością w dół, ta nadzieja niemal unosila go w niebo.

Dno wodospadu było wielką pienistą kipiela; woda była tak wzburzona i wypełniona bąblami powietrza, że dało się w niej oddychać dobre trzydzieści stóp pod powierzchnią. Niezatapialna amfibia po chwili dźwignęła się w górę i wyskoczyła na powietrze pośrodku strumienia, o pół mili od wodospadu, porządnie napędzając stracha dwóm wędkarzom. Biedacy nie byli pewni, co w ogóle widzą; wiedzieli tylko, że jest to wielkie jak samochód, a kierują nim, siedząc plecami do przodu, dwie człekokształtne postacie w dziwnych uniformach.

Wylądowali w miejscu pełnym gejzerów, błotnistych kałuż i jeziorok wrzącej siarki. Nie patrząc na Jessego, Hardesty zdjął purchawkowy kostium, zarzucił plecak na ramiona i ruszył na wschód.

– To nie najlepszy pomysł, nie idź w tę stronę! – usłyszał za plecami wołanie Jessego. – Lepiej chodź ze mną. Trzeba mieć wieloletnie doświadczenie, by chodzić po tej skorupie. To gorsze niż chodzenie po polu minowym. Spójrz na te dziu... – Były to jednak ostatnie słowa, jakie Hardesty słyszał z ust Jessego Honeya.

Przez sześć miesięcy pracy na owczym ranczu w Kolorado Hardesty zarobił dostatecznie dużo – i dostatecznie długo siedział w jednym miejscu – by ruszyć dalej na wschód. Henry i Agnes, młodzi właściciele rancza, najęli go do sprowadzania owiec z górskiego pastwiska, zwożenia siana i wielu innych rzeczy, które trzeba było zrobić przed zimą. W listopadzie, gdy na pola spadł pierwszy, niepewny śnieg, tający jeszcze w promieniach słabnącego słońca, przestał im być potrzebny. Zresztą Agnes była zbyt śliczną dziewczyną, by wystawiać na próbę rozsądek i godność najętego pracownika, który nie ma własnej żony. Oboje wsadzili go więc do archaicznego kombi o drewnianym nadwoziu i zawieźli na stacyjkę kolejową u podnóża masywu Sangre de Cristo. Tam Hardesty wsiadł do małego pociągu towarowo-pocztowego, ciągniętego przez jedną spalinową lokomotywę, i siedząc razem z konduktorem na drewnianej podłodze, dojechał do miasteczka, przez które przejeżdżał ostatni kursujący jeszcze pociąg transkontynentalny.

– Za pięć godzin – oznajmił młody konduktor – przemknie tędy Polaris. Będzie gnał jak płonący królik. Jeśli chcesz, żeby zawiadowca go dla ciebie zatrzymał, musisz mu to powiedzieć znacznie wcześniej: będzie musiał wleźć z latarnią na szczyt wieży ciśnień.

Hardesty kupił sobie w mieście nową parę dżinsów. Stare były tak przesiąknięte lanoliną, że użył ich do rozpalenia ogniska przy torach, gdzie po zmroku czekał na pociąg. Na dużych wysokościach, gdzie Henry i Agnes wypasali owce, przywykł do siedzenia zupełnie bez ruchu, umiał też przewyciężyć ziąb – pomagała mu w tym potężna szuba z owczej wełny, którą otrzymał jako część zapłaty za pracę. By oszukać temperaturę, wprowadzał się w trans: wyłączał niektóre zmysły, a wzmacniał pozostałe. Nie czuł nic, za to wszystko widział i słyszał. Dzięki temu wypatrzył Polaris znacznie szybciej niż zawiadowca. Przedni reflektor lokomotywy

przesuwał się między górami jako błąd światła punkcik, a stłumiony łoskot wybrzmiewał z oddali w nocnym powietrzu, niepokojąc psy. Usłyszawszy go, Hardesty wstał i poprosił zawiadowcę, by wspiął się na wieżę i zapalił światło sygnałowe.

Rozkołysane czerwone oko latarni wabiło oślepiającą kulę białego światła mknącą przez równinę u podnóża gór. Pociąg gnał po szynach, pęd powietrza na każdym zakręcie smagał młode łodygi ozimej pszenicy na polach, a dzikie zwierzęta zastygały w miejscu jak zahipnotyzowane, wpatrując się weń półprzezroczystymi zielonymi oczyma. Widząc, że pociąg nie zwalnia, zawiadowca krzyknął z wieży:

– Nie rozczaruj się, jeśli się nie zatrzyma! Oni czasem nie zauważają mojej latarni. Jadą diabelnie szybko, miasto jest maleńkie, a do tego gdy jadą na wschód, są zaraz po kolacji; wydaje mi się, że są przez to trochę senni. – Machał jednak latarnią zapamiętałe, wyginał się całym ciałem, nawet gdy pociąg był już na obrzeżach miasta.

– Zobaczyci! – krzyknął wreszcie. – Biegnij! Zanim się zatrzymają, ostatni wagon będzie o milę od stacji!

Hardesty pobiegł wzdłuż zwalniającego z piskiem hamulców pociągu. W żółtym świetle padającym z wagonu restauracyjnego śnieg miał barwę marynarskiego sztormiaka. Zerknąwszy w górę, ujrzał ludzi jedzących kolację; niektórzy nalewali sobie wino, inni ocierali usta serwetkami, jeszcze inni przyciskali twarze do szyb, bezskutecznie usiłując się zorientować, czemu pociąg staje. Ostatni wagon minął go już bardzo powoli. Opływowy jak kropla wody, na swym zaoblonym krańcu miał podświetloną tablicę z nazwą Polaris, przypominającą kinowy szyld z tytułem filmu.

Portier wciągnął Hardesty'ego do środka przez drzwi w kształcie pocisku i dał sygnał do odjazdu. Nim drzwi zdążyły się zamknąć, pociąg już stukotał po torze; wkrótce odzyskał miarowe bicie serca, z którym pędził przez równiny.

– Dokąd się wybierasz? – spytał portier.

– Do Nowego Jorku.

– Ohoho! Z ludzi, co wsiadają w takich dziurach, mało kto jeździ aż do Nowego Jorku. Nawet Kansas City to już dla nich wielka wyprawa. Stać cię na to?

– Ile kosztuje bilet?

– Nie powiem ci, to nie moja działka. Przyślę konduktora, on policzy. Na razie możesz jechać w salonce. Chodź ze mną, zaczekasz w przedsiönku.

Gdy przechodzili przez salonkę, zatrzymał ich jakiś starszy mężczyzna ubrany na czarno.

– Zostaw go tutaj, Ramsey – powiedział. – Zaopiekujemy się nim.

– Pan, panie Cozad? – spytał zdziwiony portier.

– Potrzebujemy czwartego do gry – odparł mężczyzna głosem, w którym słychać było siedem dekad przeżytych w zachodnim Teksasie. – Usiądź, młody człowieku – wskazał Hardesty'emu puste czwarte krzesło przy stoliku.

Skóra była miękka i wygodna. Zacerwieniony od biegu na mrozie, z nieuspokojonym jeszcze sercem, Hardesty rozpiął szubę; po chwili zdjął ją i położył wraz z plecakiem przy oknie.

Salonka miała purpurowo-czarny wystrój, rozświetlony przyćmionym blaskiem lamp ukrytych w czerwonych półcieniach. Karciarze byli starzy, siwi i ubrani w ciemne garnitury; ich ręce poruszały się jakby niezależnie od ich woli, twarze wyglądały jak białe maski unoszące się nad nieoświetloną sceną. Światło wydawało się podsycane rytmem kół wystukiwanym na złączach między szynami. Karty połyskiwały tajemniczo niczym fosforyzujące kości, a twarze królów, dam i waletów uśmiechały się jak koty z Cheshire.

– Dżin z tonikiem? – spytał Cozad.

- Nie, dziękuję – odparł Hardesty. – Nie piję.
- Może coś innego?
- Poproszę herbatę.

Cozad zamówił herbatę. Po chwili przyniesiono ją w stuletnim kolejowym dzbanku, srebrzystym jak okoń wyskakujący nad powierzchnię jeziora.

- Rozumiem, że grasz w karty?
- Nie gram – odparł Hardesty. – Ale nie ze względów religijnych. Po prostu nie gram i tyle.

Karciarze byli zdumieni, że w swojej salonce trafiło im się takie dziwo jak kowboj z równin, który nie gra w karty.

- Młody człowieku – powiedział Cozad. – Nigdy nie spotkałem nikogo powyżej piątego roku życia, kto nie umiałby grać w karty. Nie próbujesz chyba sobie ułatwić zadania, co?
- Nie, proszę pana – rzekł Hardesty. – Nigdy nie grałem na tyle często, by zapamiętać zasady.

- Ale w ogóle grałeś.

Hardesty wzruszył ramionami.

- Głównie w wojnę. Znaczy się, w taką grę. Nie sugeruję, że chcę toczyć wojnę z wami.

- W wojnę? Jest taka gra?

- Tak.

- Nigdy o niej nie słyszałem. Co powiesz na siedmiokartowego pokera otwartego?

Rozgrzany i rozochocony gorącą herbatą, Hardesty zapewnił:

- W to chyba trochę grywałem. Zresztą zawsze mogę się jeszcze nauczyć, prawda? – dodał z uśmiechem.

Cozad stuknął w zielony stolik.

- Nie sądzę, byś był kanciarzem. Ale jeśli jesteś, to dobrze trafiłeś, bo my trzej, czyli ten oto Lawson, George i ja, mamy reputację, która na większość ludzi działa odstraszająco. Zawsze liczymy na to, że trafi nam się jakiś młody jelen z dużą ilością forsy od tatusia, któremu będzie się wydawać, że może nas ograć. W tym pociągu niestety takich nie ma. Ty też nie jesteś jeleniem. Widzę to po tobie. Ale nie lubimy grać bez nowych twarzy. Dlatego zapraszamy do gry.

- Mam tylko dwieście sześćdziesiąt dolarów – powiedział Hardesty. – A jeszcze nie zapłaciłem za bilet.

- Możemy wpuścić cielątko do zagrody, Coe – odezwał się Lawson.

- Co on ma na myśli? – spytał Hardesty. – To nie brzmi dobrze.

- Wręcz przeciwnie, to brzmi znakomicie. Wszyscy obstawiamy po równo i wchodzimy za ciebie, żebyś mógł zagrać. Jeśli przegrasz, nie będziesz nam nic winien, a sam nic nie stracisz. Jeśli wygrasz, możesz nas spłacić i zatrzymać resztę. Tak uczymy grać naszych synów.

Po dziesięciu minutach gry w pięciokartowego pokera dobieranego Hardesty był bogatszy o dziesięć tysięcy dolarów. Ponieważ wywodził się z Marrattów, taka suma nie zrobiła na nim wrażenia, trzej karciarze przez chwilę przyglądali mu się więc podejrzliwie. Znali jednak każdego dobrego gracza w kraju i byliby radzi, gdyby znaleźli kolejnego (pod warunkiem że zdołałby ich pokonać); przez cały kontynent poniosłaby się wieść, że rośnie nowa pokerowa nadzieja.

- No dobra – rzekł Cozad. – Jest jak jest. Śnieg zaczął padać, podkręćcie piec. Kończymy grę przy piątym słupku milowym na zachód od St. Louis; nie wcześniej i nie później. Rozgrywka na trasie Denver–St. Louis ma tradycyjny limit w wysokości dziewięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Jedzenie i picie stawia rozdający. Obstawiajcie, panowie.

Ludzie sądzą, że hazardziści nie zasługują na szacunek, ponieważ nie pracują. Lecz ktoś, kto tak uważa, na pewno nigdy nie spędził całej nocy przy kartach w pociągu między Denver i St. Louis. Ta gra była czystym ukojeniem. Już sam pęd pociągu przez oślepiające śniegi i arktyczne wichry działał hipnotyzująco, a ciepło panujące w salonce, cichej jak czytelnia w bibliotece, nie skłaniało do wygórowanego ryzyka. Pokryte śniegiem pola za oknami były miejscem surowym i niegościnnym, gdzie sam wiatr potrafi zabić, a zwierzęta skowyczą, jak gdyby na ziemi jeszcze nie pojawił się człowiek. Gdyby zwrotnicowy gdzieś w Nebrasce zaspał na posterunku, pociąg mógłby stoczyć się w dół z pięćdziesięciostopowego nasypu. Ludzie nie lubią hazardzistów, ponieważ hazardziści przypominają, że i oni są hazardzistami. Dlatego wymyślili oszczerstwo, jakoby hazard nie był pracą. Tymczasem to jest praca. Nawet gorzej niż praca – hazard jest jak harówka w kopalni węgla. Hardesty szybko się o tym przekonał.

W gardle mu zaschło, mięśnie zaczęły go boleć, a co do głowy, to czuł się tak, jak gdyby przybił mu ją do kręgosłupa wizygocki mechanik. Lecz przez tę długą, białą noc, gdy wykładał karty na zielony stółik, a Polaris mknął przez prerie, wiedział, że robi to, co powinien. Nie chodziło nawet o to, że Cozad ze swą patrycjuszowską brodą i łagodnymi oczyma mocno przypominał mu ojca. Ani o to, że wygrywał – choć wygrywał. Właściwie całkowicie zdał się na łaskę szczęścia. Dużą rolę odegrało za to surowe piękno równinnego krajobrazu za oknami, jakkolwiek Hardesty nie widział wiele prócz zdziwionych śnieżnych spiral smagających okna niczym ogarnięte paniką krzaki bylicy. Pocił się też mocno, ponieważ starzy karciarze (którzy marzli, choć byli ubrani w kamizelki z angory) podkręcali piec do maksimum.

Zbierał karty lub wykładał je na stół wystudiowanymi, eleganckimi ruchami, czując w sobie działanie herbaty i monotonnego stukotu kół. I wygrywał. Ani razu nie wygrał mniej niż sześć tysięcy. Potem zaczął podbijać stawkę: systematycznie, bezbłędnie, z całkowitą, ślepą pewnością siebie.

– Co jest wyższe: czwórka czy kolor? – pytał niekiedy, bardzo zakłopotany, że nie potrafił spamiętać zasad. Przez kilka godzin starzy karciarze sporo przegrywali, ponieważ sądzili, że umie blefować. Lecz on nie blefował ani razu, po prostu wygrywał – jeśli nie wysokimi układami, to bardzo małymi, ale wygrywał. Gdy jeden z przeciwników miał kolor z damą jako najwyższą kartą, Hardesty miał kolor z królem. Gdy któryś miał same beznadziejne blotki, Hardesty również rzucał blotki, lecz zawsze przynajmniej o punkt lepsze, jak gdyby wszystko było z góry umówione i należało jedynie zdecydować, kto pierwszy odsłania karty.

– Cóż, zdarza się – powiedział Cozad z samego rana, gdy mijali piąty słupek milowy na zachód od St. Louis. Hardesty chciał zwrócić przeciwnikom to, co wygrał, ale odmówili. Wysiedli w St. Louis.

– Na stacji jest bank, idź i każ sobie wypisać czek na sumę, którą ci tu napiszę – pouczył go Cozad. – Zdarzało się już, że ludzie ginęli dla mniejszych pieniędzy. I jeszcze jedno: miałeś szczęście, nic więcej. Nawet pancernik gra w karty lepiej niż ty. Powinieneś się cieszyć.

Hardesty zasmucił się, gdy Cozad wysiadł – starzec przypominał mu ojca, a wiedział, że nigdy więcej nie zobaczy ani jego, ani jego towarzyszy. Poszedł do banku, kazał sobie wypisać czek, wrócił do pociągu, kupił bilet i wręczył portierowi napiwek, jakiego można oczekiwać po kimś, kto właśnie wygrał w karty.

Potem wziął długie prysznic, ogolił się i poszedł spać. Zimowe powietrze i światło dnia wpadało przez uchylone okno, aż w przedziale zrobiło się oślepiająco białe i zimno jak w lodowni. Hardesty leżał w ciepłym łóżku i spoglądał na czek, który wystawał mu z kieszeni koszuli. Wydany przez Harvester and Planters Bank w St. Louis opiewał dokładnie na siedem

tysięcy dolarów. W drugiej kieszeni tkwiło kolejne kilka tysięcy w gotówce.

Od St. Louis aż do Illinois wszystko było zasypane śniegiem. Hardesty przykazał portierowi, by obudził go dopiero w Nowym Jorku. Bardzo potrzebował snu; może niekoniecznie na niego zasłużył, ale na pewno dobrze zań zapłacił. Nim dojechali do Chicago, spał już mocno. Śniła mu się pogrążona w półmroku salonka, lśniące karty i krwistoczerwone lampy.

Pewnego ranka na początku drugiej zimy spędzanej samotnie, bez Virginii, pani Gamely wstała wcześniej i wyjrzała przez okno na strychu. Białego koguta Jacka trzymała w ramionach jak tłustego kota. Po wyjeździe Virginii niemądrze go rozpieściła: utuczyła go ziarnem, że ledwie mógł chodzić, a do tego mówiła doń całymi godzinami, jak gdyby był w stanie zrozumieć jej niepodrabialne wielosylabowe latynizmy oraz krótkie, mocne anglosaskie frazy, świeże jak zwiezione z pola siano i mocne jak ramię łucznika. Jack miał cechę, której mogliby mu pozazdrościć ludzie, zwłaszcza uczniowie i studenci: bez względu na to, jak długo musiał słuchać swej pani, wpatrywał się w nią jak urzeczony. Gdy w wykładzie zdarzyła się pauza, robił dwa, trzy kroki przed siebie, po czym znów zastygał i wlepił w nią półprzymiśne spojrzenie, póki kolejna chwila ciszy nie pozwoliła mu znów przesunąć łapy lub gdaknąć dla przeczyszczenia gardła. Pani Gamely nie przypominała sobie, by którakolwiek z jej kur (a pamiętała tysiące kur z osobna) potrafiła się tak nadzwyczajnie skupić. Jack zasługiwał na najwyższe względy. Był mądry. Wyglądał jak panorama okrytych śniegiem wzgórz, nad którymi właśnie zachodzi płonące czerwienią słońce (za ten ostatni efekt odpowiadał jego grzebień). Był uprzejmy, wyrozumiały, bystry i szczery. A gdyby rozumiał po angielsku, mógłby się wiele nauczyć. Pani Gamely miała swoje sekrety, którymi nie dzieliła się nigdy nawet z Virginią, ponieważ wiedziała, że wszystkie sekrety, które warto poznać, ujawniają się w swoim czasie.

Po pięciu dniach śnieg przestał padać, zasypawszy dom prawie pod same okapy. Po zachodniej stronie pani Gamely widziała wioskę stojącą twardo pośród morza bieli, z pracowicie dymiącymi kominami – najwyraźniej rozpalano w piecach ogień i gotowano śniadanie – i maleńkimi sylwetkami mieszkańców lustrujących z dachów arktyczne jezioro. Powiadano, że zima będzie jeszcze ostrzejsza niż poprzednia. Do snucia takich prognoz skłaniało ostatnie lato, tak upalne, że w jeziorze można było się poparzyć, a kury znosiły jaja ugotowane na miękko. W sierpniu domy, drzewa, a czasem całe lasy znieckały wybuchy ogniem, jak gdyby słońce podpałało je poprzez wielkie pryzmaty.

– A więc znów wychyli się wahadło – powiedziała pani Gamely do Jacka, przyglądając się, jak wiatr smaga świeżo spadły śnieg. – Już się wychyliło. Wieczna równowaga. Natura uparcie obstaje przy retoryce i etyce, nawet dziś, gdy ludzie porzucili dawno i jedną, i drugą, jej gramatyka jest zaś ścisła i idiosynkratyczna. Popatrz tam, Jack. Jezioro zmieniło się w śnieżne wzgórze. Bóg zsyła na nas ogień i lód. Musi być rozdrażniony. Na pewno o coś mu chodzi.

Nagle ktoś zapukał do wejściowych drzwi tak gwałtownie, że pani Gamely z wrażenia aż dostała czkawki. Położyła sobie rękę na piersi i powiedziała:

– Daythril Moobcot przekopał się do nas!

Pędząc ku drzwiom, zastanawiała się, czemu przyszedł tak wcześniej; miała nadzieję, że nie przynosi żadnych złych wieści. Gdy otworzyła drzwi, rzeczywiście ukazał się za nimi Daythril Moobcot: stał w białobłękitnym tunelu prowadzącym od samej wioski.

– Daythril! Kiedyś ty zaczął kopać?

– Dwa dni temu, pani Gamely.

– Po co? Mam mnóstwo zapasów. Wiesz, że to niemądre, kopać tunel podczas zamieci. Jesteś na tyle stary, że na pewno pamiętasz, jak Hagisa Purgina i Ranulpha Vonka zasypało

w trakcie kopania tuneli; znaleziono ich dopiero wiosną. Musisz poczekać, aż przestanie padać, musisz zobaczyć, jaki jest maksymalny poziom śniegu.

– Wiem o tym, pani Gamely. Ale wszyscy w wiosce już są na nogach: słyszeliśmy przez telegraf, że Polaris utknął w zamieci gdzieś w naszym hrabstwie, z dwustu ludźmi na pokładzie. Jeśli jeszcze żyją, przywieziemy ich do wsi. Czy mogłaby pani przyjąć u siebie pięć czy sześć osób do czasu, gdy przyjedzie pociąg z pługiem?

– Oczywiście, że mogę. Nie będą mieli u mnie wielkich wygod, ale przynajmniej przeżyją. Ale jak się tu dostaną? Z torów do wioski w najkrótszym miejscu jest dobre piętnaście mil. Czy ci ludzie nie zamarzną, gdy będą musieli przebyć tę drogę w swoich miejskich strojach, w głębokim śniegu, przy minus czterdziestu stopniach?

– Nie, proszę pani – odparł Daythril Moobcot z dumą. – Planowaliśmy wszystko od dwóch dni. Godzinę temu pięćdziesięciu ludzi wyruszyło w drogę. Ciągną dwadzieścia pięć sań załadowanych jedzeniem, ciepłymi ubraniami i nartami, któreśmy zmagistrowali lub wyżebrali u ludzi. Gdy dotrą do linii kolejowej, dwóch zwiadowców zlustuje cały tor. Wysłaliśmy najszybszych narciarzy w wiosce. Jeden z nich znajdzie pociąg i doprowadzi do niego resztę. Przywiozą wszystkich w nocy. Trochę to potrwa, bo większość pewnie nie umie jeździć na nartach.

– Przygotuję posłania – powiedziała pani Gamely. – I chyba zacznę już piec i gotować. Będą potrzebowali gorącego chleba i solidnej potrawy, zwłaszcza że od paru dni nie mają co jeść. Czy oni wiedzą, co im się przytrafiło, i gdzie w ogóle są?

– Wątpię.

– Zresztą to nie ma znaczenia. Ci, co mają dobre serca, zorientują się, a ci, co ich nie mają, nie muszą wiedzieć. – To powiedziawszy, zamknęła drzwi i zaczęła się krzątać po domu: napaliła w piecu, powyciągała najlepsze zapasy ze spiżarni i zaczęła przygotowywać niebiańskie przysmaki.

Przez pięć dni zamieci członkowie załogi i pasażerowie Polarisu wyczerpali starannie racjonowaną żywność i spalili cały węgiel wieziony w talbocie. Teraz siedzieli ściśnięci w dwóch wagonach sypialnych, okutani w koce, zasłony i dywany, wpatrzeni w zaimprovizowane drewniane piecyki, w których paliły się zerwane ze ścian boazerie i mniej ważne bagaże. Maszynista omal nie zamarzł na śmierć, usiłując znaleźć linię telegraficzną – tylko po to, by się przekonać, że jest głucha. Sześciu mężczyzn z pistoletami zatkniętymi na prowizorycznych statywach siedziało w blasku słońca na dachach, tuż nad poziomem śniegu, i wypatrywało zajęcy w zimowej szacie i ptaków. Dzięki ich wysiłkom przyrządzono w kociołku trzy przepiórki i królika. By podzielić łup sprawiedliwie, mięso gotowano tak długo, aż zmieniło się w wodnistą zupę, a następnie rozdzielono ją między dorosłych pasażerów (dzieci karmiono ze specjalnych rezerw, których miano nie ruszać dopóty, dopóki dorośli będą w stanie je karmić).

Wskutek zimna i głodu szybko ujawniły się dominujące cechy charakteru niektórych pasażerów. Dwóch nazbyt niecierpliwych mężczyzn podjęło nierozważną wyprawę przez zaspę – i nikt ich więcej nie zobaczył, zamarzli ledwie sto metrów od pociągu. Jedna z kobiet popadła w obłęd (może była obłąkana już wcześniej), kilka osób było śmiertelnie chorych, jeden zaś mężczyzna zginął od rykoszetu, gdy za pomocą pistoletu usiłował skraćć jedzenie ze wspólnego składziku. Katastrofa zbierała więc swoje żniwo. Załoga pociągu pełniła jednak swe obowiązki ofiarnie i odpowiedzialnie. Nie mniejszym bohaterstwem wykazywali się niektórzy pasażerowie: doglądali chorych, oddawali innym swoje racje żywnościowe i koce oraz starali się złagodzić niedobry wpływ osób, które łatwo się załamywały.

Gdy śnieg przestał padać, Hardesty spędzał większość czasu na dachu, wypatrując zwierzyny na niebie i śnieżnej równinie. Myśliwi nie odzywali się do siebie. Byli zbyt daleko rozstawieni, nie chcieli odstraszyć potencjalnego łupu, a poza tym było za zimno na rozmowy. Wszyscy zastanawiali się, jak długo jeszcze utrzymają się zaspas uniemożliwiające przejazd kolejowemu pługowi. Najbliższe miasto znajdowało się w odległości stu mil, wiadomo było też, że przy takim mrozie nie mogą latać samoloty: każdy, nawet najbardziej mrozoodporny smar był teraz gęstszy niż melasa.

Siedzieli więc okutani w kurtki z kapturem i koce, przyglądali się, jak oddechy zastygają w mroźnym powietrzu, i wspominali pięciodniową zamięć, gdy drobny śnieg, utrzymywany w powietrzu dzięki równowadze przeciwnych wiatrów, wisiał niemal nieruchomo, jak gdyby sam czas uległ zamrożeniu. Patrzyli, jak słońce wędruje po niebie spłaszczonym łukiem, i od czasu do czasu, gdy zdawało im się, że widzą królika, strzelali z pistoletów w śnieg.

W tym regionie temperatura spadała niekiedy do minus czterdziestu pięciu stopni, i to na kilka tygodni. Myśliwi wiedzieli, że nawet gdyby każda z pozostałych im jeszcze kul ubiła tłustego królika, jedzenia i tak nie wystarczyłoby dłużej niż na jeden dzień. Najbardziej przygnębiające było to, że opału miało wystarczyć tylko do rana, a zimowych ubrań i okryć było zbyt mało, by utrzymać przy życiu choćby pięćdziesięciu ludzi, nie mówiąc o dwustu. Nawet gdyby w okolicy ktoś posiadał sprawny, niezasypany przez śnieg, nieunieruchomiony przez mróz środek transportu, to czy wiedzieliby, dokąd jechać? Czy ratowanie ludzi z pociągu było najważniejszym priorytetem? I czy odległość dzielącą ich od najbliższych siedlisk dałoby się w ogóle w takich warunkach pokonać? Każdy z pasażerów Polarisa, kto był w stanie to wszystko gruntownie przemyśleć, wiedział, że czeka ich niechybna śmierć.

Z kolei ci, co tkwili w rozbebeszonych wagonach sypialnych, nie wiedzieli, że pociąg jest już niemal opróżniony z opału i jedzenia, nie wiedzieli też, jak zimno jest na zewnątrz ani że z dachu nie widać nic prócz czterdziestostopowych śnieżnych zasp. Wciąż pocieszali się, że jest ich wielu. Dwustu ludziom skupionym w jednym miejscu nic nie grozi – myśleli. Hardesty wiedział, że się mylą: miał w pamięci opowieść ojca, jak to trzydzieści tysięcy tureckich żołnierzy na granicy z Rosją, w pobliżu góry Ararat, dało się zaskoczyć wczesnej zimie i znaleziono ich potem, skupionych w zwartej grupie i co do jednego zamarzniętych na śmierć. Wiedział, że zimno da sobie radę z każdą liczbą ludzi.

Razem z pozostałymi wpatrywał się w oślepiające zaspas, wyobrażając sobie, że znajduje się na podbiegunowym morzu. Strzelcy już od dawna nie czuli rąk i nóg. Trudno było uwierzyć, że to, co kiedyś znali jako słońce, może emanować tak mroźnym białym światłem. Gdy już pokonało większą część swego niskiego łuku i było tak płaskie, chłodne i nijakie, że zaczęło wyglądać jak wahadło w babcinym zegarze, zaczęli przygotowywać się na najgorsze. Wkrótce zapadnie zmrok, mróz stanie się nie do zniesienia. Paleniska wypalą się, ulecą z nich ostatnie szare kłęby stygnącego dymu. Słońce, jedyna nadzieja, szybko chyliło się ku zachodowi. Strzelcy wpatrywali się w nie, usiłując ograbić je z resztek światła i ciepła, wyglądało jednak zimno i nieprzyjaźnie, a świst wiatru brzmiał jak jego ostatnie tchnienia.

Zahipnotyzowani, oślepieni, apatyczni, nie od razu ujrzeni cud nadciągający od zachodu. Z oddali sunęła ku nim w wojskowym szyku grupa silnych, wykarmionych na zimowej strawie farmerów. Pędzili naprzód na długich nartach, to nurkując w zagłębienia między zaspami, to siłą rozpędu wjeżdżając na wzniesienia. Biegli równo jak stado reniferów czy gazeli, mając słońce za plecami. Rozciągnięci w szeroką tyralierę, ciągnąc kopiaste sanie, wyglądali jak wzniesienia, góry czy drzewa, które ruszyły z posad. Oddychając głęboko, mknęli przez śnieg w kierunku utkniętego pociągu – obserwator po wschodniej stronie wypatrywał go ze wzgórze, wskazał

kierunek pozostałym, a teraz doganiał ich pomału.

Gdy farmerzy ujrzeli wreszcie osobliwie unieruchomiony ekspres, mieli wrażenie, że unosi się nad zaspami. Cieniutkie smużki dymu zanikały pomału nad dachami wagonów. W środku tkwiło dwieście osób, mężczyzn, kobiet i dzieci, których należało zabrać w bezpieczne miejsce. Wytężając wszystkie siły, farmerzy pomyśleli sobie, że niebezpieczeństwo jest w gruncie rzeczy rzeczą piękną, głęboko powiązaną z powietrzem, chmurami i morzem.

Gdy podjechali bliżej, mężczyźni na dachach usłyszeli świst nart, ciężkie oddechy oraz skrzywienie śniegu rozgarnianego przez pięćdziesięciosobową kolumnę. Pomyśleli, że to wiatr zrywający się o zmroku. Potem uznali, że to pewnie zwierzęta. Gdy wreszcie dojrzeli, co się dzieje, nie mogli uwierzyć własnym oczom. Wprost z czystej bieli, z nicości, z czterdziestomilowej śnieżnej pustyni, wyłaniała się i sunęła ku nim armia milczących narciarzy.

Zaczęli krzyczeć, ale gardła mieli tak przemarznięte, że nie mogli wydać z siebie nic prócz jęków i pocharkiwań, wyciągnęli więc pistolety i zaczęli strzelać w powietrze. Słyszając to, mężczyźni z Coheeries zaczęli wiwatować. W zimnych, zadymionych wagonach, za oknami srebrnoszarymi od usypanego śniegu, wszyscy domyślili się, co się dzieje; wiele osób płakało, śmiało się lub modliło. Zapanował gwar; nawet ci, którzy już zupełnie podupadli na duchu, tłoczyli się przy drabinkach, żeby wyjść na górę i powitać wybawców.

Lecz kim byli ci mężczyźni w futrach i ręcznie tkanych swetrach? Nie mieli czasu im tego wyjaśnić (i nigdy tego nie zrobili), jeśli mieli dowieźć ich w bezpieczne miejsce jeszcze tej nocy.

– Księżyc jest w pełni, oświetli nam całą drogę jak flara – powiedział załodze jeden z przybyłych (załoga nigdy nie słyszała o jeziorze Coheeries). – Ale lepiej wyruszyć jeszcze za dnia, żeby ci, co nie umieją jeździć na nartach, mieli szansę nauczyć się, póki jest ciepłej. Mamy narty dla wszystkich. Chorych i dzieci położymy na saniach.

Nie minęła godzina, a wszyscy mieli już przypięte narty, byli odziani w futrzane kurtki i wełniane anoraki, nakarmieni czekoladą i suszonymi owocami, pouczeni i gotowi do drogi. Nie pędzili przez zasy tak śmigle jak ich wybawcy, lecz nim nastał wieczór, posuwali się już równo przed siebie.

Na czele jechali trzej mężczyźni z Coheeries z pochodniami w rękach. Pozostali sunęli płaskim śnieżnym szlakiem przez pola i lasy, manewrując w świetle gwiazd i migotliwym pomarańczowym blasku pochodni. Gdy wyjechali z gęstego sosnowego lasu na rozległy, dziesięciomilowej szerokości płaskowyż, wszedł księżyc. Cały krajobraz rozjaśnił się, nie gaszono jednak pochodni – wyglądały pięknie na czele kolumny, poza tym wszyscy już przywykli do ich widoku, za trzema światłami jechało się znacznie szybciej.

Ludzie z miasta, okutani w wełny i futra, szybko przywykli do melancholijnego blasku księżycyca oraz miękkiego, wszechogarniającego światła gwiazd. Niebawem zagustowali w śniegu i mroźnym powietrzu, szybko zapomnieli, gdzie są. Wysilek mięśni stanowił własne usprawiedliwienie, znacznie lepsze niż wiele innych rzeczy, które robili dotychczas lub mieli robić w przyszłości. Pędzili przez pola, pozdrawiani z prawej strony słabym zielonym blaskiem zorzy polarnej.

Wreszcie ze szczytu długiego wzniesienia ujrzeli wioskę stojącą na brzegu jeziora niczym grupa kolorowych świec. Zorza polarna pyszniła się ponad jeziorem, widoczna już w całej okazałości jako milczący splot zdumiewających niebiesko-zielonych wstęg. Dym z kominów ulatywał w górę w białych spiralach i zasnuwał tarczę księżycyca. Narciarze poszusowali w dół, podniesieni na duchu bliskością domu, prosto ku tej bożonarodzeniowej

świacy tańczącej nad jeziorem – gdy zaś podjechali bliżej, ujrzeli mieszkańców wioski, stojących na dachach i w rozświetlonych oknach.

Gdy już odpięto narty, a rodziny farmerów były znowu razem, rozbitków podzielono na grupy i zaproszono do domów na kolację i wypoczynek. Od kilku dni prawie nic nie jedli, wpatrywali się więc w zastawione stoły jak zaccarowani. Wydawało im się, że są w świecie ze snu. Jakże to wszystko było rozkoszne! Jeżeli zamarli na śmierć w pociągu i tak właśnie wyglądała śmierć, jakaż była przyjemna, o ileż lepsza niż życie, które wiedli – wydawała się skąpiana w świetle, a wszystkie emocje były w niej podszyte niepojętą pogodą ducha.

– Nie – powiedziano im. – Nie umarliście. Daleko wam do tego.

Mimo wszystko nie byli pewni, czy wierzyć tym dobrym ludziom, a gdy weszli do domów, zapragnęli znaleźć się na powrót pod gwiazdami, na mrozie, który wydawał im się już zupełnie niegroźny.

Hardesty'ego i cztery inne osoby odprowadzono przez śnieżny tunel do domu pani Gamely. Gdy w towarzystwie naprawiacza zegarów z kukułką z Milwaukee, młodego żołnierza piechoty morskiej oraz małżeństwa bengalskich turystów stanął w progu i wyteżył wzrok, by dojrzeć coś w przyciemnionym wnętrzu chaty, ujrzął gospodynię stojącą przy piecu z kogutem na rękach. Ze swoimi zbyt blisko osadzonymi oczyma oraz wyrazem twarzy idealnie łączącym pokorę z łobuzerstwem pani Gamely wyglądała jak wielka sowa śnieżna zaskoczona we własnym gnieździe. Wyszła gościom na powitanie i ukloniła się grzecznie każdemu z nich, nieśmiała jak dziewczynka w lakierkach na pierwszym szkolnym balu. Odkłonili jej się po kolei. Wszyscy wyczuwali w Coheeries obecność czegoś szczególnego, lecz bardzo nieokreślonego – na wszelki wypadek byli więc ostrożni, odwzajemniali ukłony gorliwie niczym odkrywcy, którzy napotkali w buszu plemię tubylców i próbują naśladować ich zwyczaje. Pragnąc im się odwdziżyć, pani Gamely powtórzyła powitanie. Goście zrobili to samo. Gdy kolejny raz powtórzyła serię ukłonów, zmuszeni byli odpowiedzieć jej tym samym. Trwało to dobre pięć minut, aż pani Gamely z niepomiarowym zdziwieniem spostrzegła, że jeden z gości, przystojny młody mężczyzna, zniknął.

Gdy się rozejrzała, zobaczyła, że siedzi przy stole i nabija sobie glinianą fajkę. Przyglądał się ceremonii ukłonów, coraz bardziej ubawiony poczuciem humoru gospodyni. Od tej chwili już ją rozumiał.

Mogłoby się wydawać, że nagle przybycie pięciorga nieznanymi gośćmi sprowokuje staruszkę do potoku słów – zważywszy że już ponad rok mieszkała sama, a jej słownik liczył sześć tysięcy słów. Pani Gamely jednak wiele godzin dziennie przemawiała do Jacka, a ponieważ nikt nie mógł jej zrozumieć bez wertowania słownika, rzadko prezentowała swoje możliwości przypadkowym osobom. Teraz z kolei zaczęła gorliwie drążyć słownictwo swoich gości, doiła ich z tajemniczych dialektów i regionalizmów jak mleczone krowy. Od zegarmistrza nauczyła się pięciu nowych słów: eskambulidło, dzyńdzyńczyk, walatoński, smerczyna i pojeb (wszystkie prócz ostatniego były regionalizmami z Milwaukee odnoszącymi się do rozmaitych części zegarów z kukułką). Prawdziwą kopalnią złota byli Bengalczyki. Ich angielszczyzna, przypominająca śpiew ptaków lub falowanie jedwabiu, była tak urzekająca, że pani Gamely dosłownie zasypywała ich pytaniami – tak że nie byli w stanie nic zjeść i omal nie pomdleli z głodu.

– Jak to się nazywa w waszym kraju? – pytała na przykład, wskazując parującą kromkę miejscowego chleba.

– Chleb – odparł mężczyzna.

– Przecież muszą być jakieś oboczności – nalegała pani Gamely.

– No tak, są – ćwierkali jednym głosem, a potem mąż wyjaśniał: – Gdy małe dziecko chce chleba, mówi Ta mi balabap.

– Balabap?

– Tak. Balabap.

– A jak mówicie na policjanta, który bierze łapówki?

– Jelby.

– A na przerwaną tamę, na której gniazdują łabędzie?

– Swatchit-hock.

I tak to szło. Pani Gamely nakarmiła gości białym jak mleko chlebem, potrawką z dziczyzny, pieczonym kanadyjskim bekonem i mieszanką warzyw w bulionie z dziczyzny. Wylewnie przeproszała, że nie ma żadnej surówki. Niemożność zrobienia surówki była największą niedogodnością zimy; miejscowi szukali różnych sposobów na przechowywanie warzyw – na przykład poprzez zamrażanie – lecz bezskutecznie. Na deser były ciasteczka jagodowo-orzechowo-czekoladowe z wiśniowo-koniakowym nadzieniem. Ponieważ gości było aż pięcioro, pani Gamely wykorzystała wszystkie talerze i nie miała na co ich wyłożyć. Hardesty wiedział, że kobiety w zaawansowanym wieku są czule na punkcie takich rzeczy, sięgnął więc do plecaka i wyjął tacę.

Czy to dlatego, że wypolerowała się podczas przemieszczania w plecaku, czy dlatego, że w osobliwy sposób się zmieniała, taca wyglądała jeszcze bardziej olśniewająco niż kiedykolwiek przedtem. Gdy Hardesty podniósł ją do góry, wszyscy aż wstrzymali oddech: taca odbijała żółty blask świec i lampy naftowej niczym baśniowa tarcza, promieniała na wszystkie strony, ruchliwa i pełna życia niczym rozświetlony krajobraz wielkiego miasta. Najbardziej urzekający był nawet nie sam połysk czystego złota, lecz to, że taca była pełna ruchu: coś w niej tajało, przeliczało się, zmieniało na oczach widzów.

– Cóż za piękna taca! – powiedziała Bengalka.

– Zbyt piękna do ciastek – dodała pani Gamely. – Nie mogłabym użyć czegoś takiego do podania słodyczy.

– Dlaczego? – spytał Hardesty. – Nie jest delikatna. Mój brat wyrzucił ją kiedyś z siódmego piętra na beton i nawet się nie zadrapała. To czyste złoto, nie popłami się ani nie zmatowieje. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby podać na niej choćby pieczeń wołową. Rzecz wykonana z najwyższym kunsztem nadaje się nawet do najbardziej przyziemnych zadań. Podobnie jest ze słowami, czyż nie, pani Gamely? Służą i chłopom, i królom.

Rzucił tacę na stół z takim rozmachem, że dźwięczała przez dobre dwie minuty, nim znieruchomiała jak złoty suweren i ogrzała twarze zebranych niczym rozpalony piec.

Pani Gamely podeszła do pieca i wyjęła ciastka. Gdy układała je wzdłuż krawędzi tacy, Hardesty tłumaczył nazwy czterech cnót. Gdy zaczęła układać ciastka w poprzek tacy, odczytał sentencję wypisaną pośrodku.

– Naprawdę tu jest tak napisane? – spytała. – „Albowiem czyż można wyobrazić sobie coś piękniejszego niż widok idealnie sprawiedliwego miasta, któremu własna sprawiedliwość wystarcza do szczęścia?”

– Tak – odparł Hardesty.

– Rozumiem – zakryła napis ciastkami i nie wspominała o nim więcej.

W nocy, gdy leżała w swym łóżku na piętrze, rozmyślając o gościach śpiących na matach i kocach w głównej izbie – tak jak dawniej przyjaciele Virginii po piżamowych imprezach – zaczęła się zastanawiać nad pewną obietnicą, którą słyszała, gdy była małą dziewczynką: że może ujrzy kiedyś na własne oczy, jak wschodzą pewne piękne rzeczy. Przyszła jej teraz do

głowy ekscytująca i straszna myśl, że może jednak ta obietnica spełni się jeszcze za jej życia. Już dawno pogodziła się z myślą, że tak nie będzie, miała jedynie nadzieję, że dożyje tego Virginia z Martinem. Kiedyś wierzyła w cuda, w lśniące miasta i w złoty wiek, lecz szybko przekonała się, że to tylko złudzenia. Teraz nie była tego taka pewna. Wszystko wskazywało na to, że potężne koło znów się obraca. A może była to tylko błędna, niemądra i daremna interpretacja przeszłości? Być może. Ale nie, na pewno nie. Znów przecież zamarzło jezioro. Poza tym zbliżało się trzecie tysiąclecie. Może więc jednak nie było to tylko złudzenie, skoro już od kilku lat jezioro zamarzało na samym początku zimy i robiło się czarne jak lustro.

Pani Gamely przypomniała sobie, jak przed wielu laty, gdy była jeszcze dzieckiem, Pennowie przyjechali z miasta, by pochować Beverly na swojej wyspie. Łzy stanęły jej w oczach na wspomnienie pewnej nocy, niedługo po tym, jak wrócili do nowego Jorku, gdy obudziły ją gwiazdy, syczące i trzeszczące jak zmrożony wodospad – tańczyły po całym niebie, jaśniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Miała wtedy cztery, może pięć lat, musiała stanąć na palcach, by wyrzeć przez okno. Tamtej nocy, właśnie w chwili, gdy wyglądała na jezioro, zrozumiała prawdziwy sens słowa „wzejść”.

Dzień, w którym Hardesty przybył do Nowego Jorku, był zimny i suchy. Od czasu do czasu nieśmiałe fale śniegu omiatały aleje, wirując w szarym świetle. Miasto nie było jeszcze przykryte białym styczniowym całunem, ulice były nagie; choć był już grudzień, miały jeszcze aurę jesienną – tak jak za sprawą spóźnionej śnieżycy maj potrafi czasem upodobnić się do grudnia.

Pośród wszystkich miast, jakie Hardesty widział do tej pory, Nowy Jork jako pierwszy wydał mu się samowystarczalny, jak gdyby był w ogóle niezamieszkały i stanowił system pustych kanionów, podobny do tych, który przecinają pustynie na zachodzie. Przytłaczająca zabudowa, w której krzyżowały się i mieszały rozmaite czasy, nie prosiła nieśmiało o uwagę, jak to się dzieje w Paryżu czy Kopenhadze, tylko domagała się jej pełnym głosem niczym centurion wykrzykujący rozkazy. Wysokie na sto pięter kłęby pary, statki rzeczne stłoczone w srebrnych zatokach, nieprzeliczone tysiące przecinających się ulic, niekiedy uciekających w bok i przebiegających nad rzekami na wysokich mostach – wszystko to były zewnętrzne znaki czegoś głębszego, co gorączkowo domagało się istnienia.

Hardesty od razu zorientował się, że pod całą tą szarością tętni jakaś niewidzialna siła, że miejskie zdarzenia i cuda są wyłącznie jej efektem, że to ona wszystko nasycza, że właśnie ona wyrzeźbiła miasto, nim zdążyło otworzyć oczy. Czuł, jak ta siła pulsuje we wszystkim naokoło, i wiedział, że wszyscy mieszkańcy miasta, choć szczycą się niezależnością, podlegają jej całkowicie i dogłębnie jak instrumenty wielkiej orkiestry. Przemykali obok niego, dając upust swym namiętnościom: walczyli, szarpali się, podrygiwali jak marionetki. W ciągu dziesięciu minut od wyjścia z dworca Hardesty ujrzał, jak taksówkarz zabija domokrążcę, sprowokowany do kłótni o pierwszeństwo przejazdu na pustej ulicy. Nie chciał być częścią tego miasta. Było zbyt szare, zimne i niebezpieczne. Może było nawet najbardziej szarym, zimnym i niebezpiecznym miastem na świecie. Hardesty rozumiał, dlaczego młodzi ludzie zjeżdżają się z całego kraju, by się z nim zmierzyć. Sam jednak czuł się na to za stary; poza tym był już kiedyś na wojnie.

Przede wszystkim zaś miał zamiar jechać dalej, do Europy – to tam chciał poszukać pięknego miasta, które (przynajmniej przez chwilę) mogłoby okazać się idealnie sprawiedliwe. W takim mieście równoważyłyby się gładko wszystkie siły, wyrównywałyby się rachunki. Było to natomiast nie do pomyślenia w tym chaosie przepelnionym energią, pełnym niepowiązanych ze sobą spraw, widocznych na każdym kroku niczym smętnie zwisające końce przeciętych kabli.

Nowy Jork nie był zdolny do osiągnięcia równowagi; żadna wizja nie mogła też ujarzmić, zdławić ani kontrolować zakrzywionego i niejednorodnego czasu tego miasta – do tego trzeba by doznać niespodziewanej łaski i umieć bezbłędnie i trafnie rozpoznać wszystko, co jest piękne i ważne. Nowy Jork nie był w stanie osiągnąć doskonałej sprawiedliwości, mimo że tak rozległe miał perspektywy i tak przemyślnie splatało się nim to, co wspaniałe, z tym, co małe.

Hardesty podupał na duchu w trakcie długiej i zmudnej podróży pociągami przez pół Pensylwanii, wiele godzin spędził w przemysłowych miastach, gdzie nie było nic prócz sklepów z alkoholem i warsztatów naprawy pługów śnieżnych – dlatego Nowy Jork wydał mu się miastem trudnym, zanadto obfitym we wszystko, co absurdalne, potworne, ohydne i nieznośne. Wszystko wydawało się tu przesadne lub wypaczone. Najzwyczajniejsze zwyczaje czy zdarzenia wyradzały się w zdumiewające koszmary. Przekształcone były podstawowe funkcje życiowe. Nawet oddychanie nie było oczywiste, bo wskutek nagromadzenia zakładów chemicznych i rafinerii oddychać prawie się nie dało. Jedzenie? Bataliony odrażających rozpusztników upodobniły je do świńskiego obżarstwa. Seks był sprzedawany jako towar, niczym pieczone orzeszki czy rudy manganu. Nawet uśmiercanie, nigdy niebędące królewskim zajęciem, zostało ściągnięte w dół, do obmierzłych zrujnowanych katakumb, litościwie ukrytych pod ziemią przed wzrokiem postronnych.

Lecz w pewnym momencie zmienił się wiatr, błysnęło słońce – i Hardesty poczuł się jak zaczarowany. Bez żadnego widomego powodu stał się nagle królem świata, głowę wypełniły mu maniackalne pomysły i plany działania. Serce łomotało mu w piersi, aż zaczął się bać, że ma zawał. Porażony nagłą ekstazą, zdołał jednak zachować na tyle przytomności umysłu, by domyślić się przyczyny tego stanu. Uznał, że jest nim zapewne samo miasto, ponieważ każdy przechodzień wyglądał tu tak, jak gdyby witał się ze śmiercią albo tańczył z laseczką i melonikiem. Miasto nie znało stanów pośrednich. Oczywiście biedni byli biedni, a bogaci byli bogaci, jak wszędzie. Lecz tutaj bogate kobiety w sobolach i diamentach grzebały w śmietnikach, a bezdomni mieszkający w kanałach paradowali po ulicach, rozprawiając namiętnie o polityce pieniężnej i banku federalnym. Wielu mężczyzn było kobietami, a wiele kobiet mężczyznami. W Madison Square Park dwaj szaleńcy owinięci w prześcieradła krążyli wokół siebie jak walczące koguty, wrzeszcząc, że znaleźli magiczne zwierciadło.

Hardesty postanowił, że zrealizuje swój czek w jakimś porządnym banku, a potem zdecyduje się, czy zostać przez chwilę w Nowym Jorku, czy od razu wyruszyć do Włoch na pokładzie któregoś z licznych parowców, które z gwizdem syren odpływały w dół rzeki i ruszały w stronę morza. W San Francisco do banku wchodziło się jak do pałacu – i może właśnie tak powinno być; lecz w Nowym Jorku banki były niczym katedry, a tak już chyba być nie powinno. Gdyby uchwalono, że każdy bank ma się zmienić w kościół, a każdy prezes i wiceprezes w księdza, Nowy Jork stałby się centrum chrześcijaństwa. Hardesty wszedł do oddziału Hudson and Atlantic Trust przy Tenth Street i z rozmachem położył swój karciany czek na wywoskowanym marmurowym kontuarze.

Kasjer otaksował go urzędowym spojrzeniem.

– Nie przyjmujemy takich – powiedział. – Dziś rano odebraliśmy teleks z poleceniem, by nie przyjmować żadnych czeków wystawionych przez Harvesters and Planters w St. Louis. Pewnie splajtowali. Proponuję, by udał się pan do centrali przy Wall Street, może tam wyjaśnią to panu dokładniej.

Nieoczekiwana komplikacja nieco ostudziła Hardesty'ego, do głównego oddziału Hudson and Atlantic wchodził już nieco przytomniejszy. Lecz i tak gdy ujrzał wnętrze banku, nie mógł powstrzymać się od okrzyku zdumienia i zachwytu. Posadzka z kremowego marmuru

rozpościerała się przed nim jak pole pszenicy w Kansas. Przemierzali ją posłańcy na rowerach, przewożący dokumenty i przesyłki między działami. Gdy jakieś dziecko umyślnie wypuściło z ręki zabawkowy balonik napełniony helem, długo szybował w stronę sufitu, a gdy tam dotarł, wydawał się małeńki jak ziarnko piasku.

Urzędnik, któremu wyraźnie nie przypadł do gustu strój Hardesty'ego, pokazał mu gazetę. Pisano, że bank w St. Louis upadł.

– Ma pan trzy wyjścia – powiedział. – Może pan zatrzymać czek i stać się ich wierzycielem (lub mieć nadzieję, że kiedyś się podźwigną). Może pan sprzedać go po cenie, powiedzmy, półtora centa za dolara. Albo podrzeć i wyrzucić do kosza.

Hardesty uznał, że najlepiej będzie wynająć skrytkę depozytową i schować w niej nieważny czek. Kto wie, może za dwadzieścia lat bank z St. Louis poderwie się jeszcze jak szarańcza do lotu? Zresztą jeśli wynajmie odpowiednio szeroką skrytkę, będzie też mógł zostawić tacę: nie uśmiechało mu się noszenie kilku kilogramów złota i srebra po ulicach miasta, w którym – jak mówiono – co dziesiąty mieszkaniec jest złodziejem.

Głęboko pod pszeniczną podłogą znajdowały się marmurowe komory i stalowe klatki. Hardesty znalazł sobie niewielką celkę z olbrzymią metalową skrzynią i złożył w niej tacę oraz czek. Spojrzał w górę. Zewsząd słychać było jakieś śpiewne tony, jak w podziemiach tybetańskiego klasztoru. Kilkunastu mężczyzn w średnim wieku siedziało w podobnych celach, szeleściło swoimi bonami i certyfikatami i mrucało półgłosem jakieś liczby. Hardesty oparł się na krzesło, zapalił fajkę i zasłuchał się. Szelest i liczenie działały uspokajająco niczym szum fal na jeziorze. Co pewien czas rozlegał się głośny, metaliczny zgrzyt stalowych krat, szczęk otwieranych bądź zamykanych sejfów oraz delikatny jak mruczenie kota grzechot szyfrowych zamków. W półmrocznej celi Hardesty pykał fajkę i przyglądał się kółkom dymu ulatującym pod sufit. Przesiedział tak kilka godzin, zastanawiając się, co robić dalej.

W kieszeni miał długi list od pani Gamely do Virginii, napisany jego własną ręką. Był to list zagadka, piękny, lecz kompletnie niezrozumiały – chyba że ktoś zechciałby przyznać się do kompromitującej nieznajomości ojczystego języka i sięgnął po słownik. Brzmiał jak runiczna oda, choć zarazem naszpikowany był plotkami, cytatami, przepisami kulinarnymi oraz wieściami o płonach, jeziorze oraz rozmaitych zwierzętach, opisywanych za pomocą nazw gatunków oraz imion (wieprz Grolier, gęś Konkordia itp.).

Pani Gamely wzięła Hardesty'ego na stronę i podyktowała mu ten list, a następnie kazała mu przyrzec, że dostarczy go osobiście, ponieważ, jak stwierdziła, „poczta w Coheeries jest heteronomiczna i sowizdrzalska”. Problem polegał na tym, że poczta nowojorska, heteronomiczna i sowizdrzalska czy nie, nie docierała do Coheeries, a miejsce pobytu samej Virginii było tajemnicą. Pani Gamely kazała jednak Hardesty'emu przysiąc, że odnajdzie ją przed wyjazdem z Nowego Jorku. Na pytanie, co ma zrobić, jeśli jednak jej nie znajdzie, odparła: „Szukaj dalej”. Teraz, skoro bank z St. Louis zbankrutował, nie miał już tyle czasu, ile sądził. Zastanawiał się, jakim sposobem ma odszukać Virginię Gamely, i zaczynał żałować, że się na to zgodził.

Nie znaczyło to jednak, że nie czuł się dobrze w Nowym Jorku i że nie miał ochoty go zgłębić.

Niebawem zrobiło się ciemno, ludzie zaczęli gromadzić się przy kolacjach i drinkach w restauracjach i kawiarniach pod szklanymi, przykrytymi śniegiem markizami. Hardesty mijał je obojętnie, nie wszedł nigdzie się rozgrzać, zmierzał prosto do biblioteki. Było to najgłębsze miejsce miasta; sto milionów bibliotecznych alejek dzieliło się w nieskończoność podług rozmaitych kluczy: działów, tematów, słów i liter. Poszczególne litery były tylko liniami

w układzie współrzędnych, oko składało je ze sobą i łączyło w jeden ciągły nurt, jak gdyby każda była odrębnym światłem miejskiego krajobrazu, który tak pięknie wygląda z oddali. Gdy Hardesty szedł wzdłuż ksiązek stojących pod ścianami głównej czytelnicy, czuł się tak, jakby naprawdę wchodził do miasta. Szeregi stołów i czytelników, otoczone z czterech stron prostokątnymi regałami, były imitacją Central Parku tym sugestywniejszą, że lampki na stołach miały trawiastozielony kolor.

Akademicy wracali właśnie z kiepskich, ciężkostrawnych kolacji i na powrót zabierali się do wieczornych zajęć, Hardesty rozpoczął zaś swoje poszukiwania. Znalazł się w swoim naturalnym środowisku, wiedział, co robić, i działał szybko, ponieważ marsz na mrozie rozbudził mu zmysły. Najpierw poszukał we wszystkich możliwych katalogach nazwiska Virginia Gamely. Zszedł też do recepcji i zasięgnął informacji u asystentki dyrektora, czy nie ma jej na liście czytelników. Wyglądało na to, że jednak nie zdobędzie tutaj jej numeru telefonu – w każdym razie nie figurowała pod swoim nazwiskiem. Następnie zadzwonił na policję, dowiedział się jednak, że policjanci nie mogą się tym zająć, bo są za bardzo zajęci ściganiem przestępców i spaniem w radiowozach pod mostami, a właściwie to czemu właśnie oni mieliby szukać jakiejś Virginii Gamely?

Sprawdziwszy najbardziej ewidentne źródła, zaczął przeszukiwać te mniej oczywiste. Ponieważ pani Gamely nie miała bladego pojęcia, gdzie może przebywać jej córka, postanowił wyszukać w bibliotece to, o co nie zdołał jej wypytać, ponieważ była nazbyt pochłonięta tworzeniem skojarzeń językowych, czyli wszelkie możliwe informacje o jeziorze Coheeries; sądził, że uda mu się wydedukować z nich jakieś wskazówki, które pozwolą mu dotrzeć do Virginii. Zaczął od atlasu geograficznego. Jezioro Coheeries nie figurowało w indeksie nazw, a na mapie okolic, w których wedle jego rozeznania się znajdowało, widniała tylko dziwnie pusta plama zieleni z zaznaczonymi tu i ówdzie wzniesieniami i jedną czy dwiema bezimiennymi rzeczkami. Hardesty sięgnął po bardziej szczegółowe atlasy, oficjalne mapy topograficzne, indeksy historyczne – lecz na próżno, nie dowiedział się nic.

W którąkolwiek stronę się zwrócił, napotykał zupełną pustkę. Nazwa „jezioro Coheeries” nie była nigdzie zapisana. Po czterech i pół godziny bezowocnych poszukiwań musiał dać za wygraną, bo zamykano bibliotekę. Jeśli tu nie znalazł kompletnie nic na temat Coheeries, miał marne szanse odnieść sukces gdzie indziej. Odbierając płaszcz w wyłożonej marmurami recepcji, spytał starszka otwierającego drzwi – tak starego, że wyglądał, jakby był odwrócony na lewą stronę – czy wie, gdzie można tanio przenocować.

– Mam ograniczone środki – powiedział. – Szukam czegoś prostego, czystego i niedrogo. Nie muszę mieć łazienki w pokoju.

– A niby kto ma łazienkę w pokoju? – spytał starszek, którego jedynym zadaniem było wciskanie przycisku otwierającego drzwi, gdy ktoś wchodził lub wychodził (była to stara biblioteczna tradycja, starszek tylko to potrafił robić). – Łazienka to osobne pomieszczenie, nie może znajdować się w tym samym pokoju. Chyba że stałaby pośrodku jako ogromna skrzynia, ale tak przecież się nie robi.

– Racja – stwierdził Hardesty. – Słuszna myśl. Chodzi mi o to, że nie potrzebuję prywatnej łazienki połączonej z moim pokojem.

– A co by pan powiedział na coś w rodzaju wspólnego pokoju?

– Jak to: „coś w rodzaju”?

– Wdowa Endicott przyjmuje lokatorów.

– Więcej niż po jednym w pokoju?

– Niezupełnie. Ale jest tam tanio. I czysto. A pan wygląda mi na silnego młodego

mężczyznę.

– A co to ma do rzeczy?

– Wdowa Endicott ma swoje zachcianki. Ma swoje wymagania. Rozumie pan?

– A jak wygląda?

– Jak wygląda? O mój Boże! Jak wygląda! Gdyby tylko robiła to wtedy, kiedy jeszcze mogłem!

– Myślę, że mogę przynajmniej rzucić okiem – powiedział Hardesty. – Gdzie to jest?

– Mnie też się zdaje, że może pan rzucić okiem. Nie chciałby pan chyba rozczarować biednej wdowy? To miło z pańskiej strony. Niech pan szuka w śródmieściu, przy Second Avenue. Nie wiem, przy której to przecznicy, ale po sąsiedzku stoi stary Coheeries Theater.

– Jaki Theater? – krzyknął Hardesty.

– Coheeries Theater. Nazywa się już inaczej, ale pamiętam jeszcze, jak wystawiali tam prawdziwe sztuki. Teraz są tam tylko mecze zapasów, pokazy taneczne i wodewile.

– Co pan wie o samym teatrze?

– Tak ogólnie o teatrze?

– O Coheeries Theater.

– Tylko to, co panu powiedziałem.

– Czy wie pan, skąd ma taką nazwę?

– Skąd ma taką nazwę? Hmm... Nie mam pojęcia. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Może to jakiś rodzaj małża czy coś takiego. Kiedyś, jak grali tam sztuki, na przykład Szekspira, i podnosili kurtynę, to wyglądało to jak otwieranie małża.

– Dziękuję – odparł Hardesty i wyszedł w zimową noc, by rozejrzeć się na miejscu.

Na markizie teatru słowa „Coheeries Theater” były niedokładnie zamalowane nowszą nazwą Lucha Libre, a wszystkie sklepy i lokale w promieniu dziesięciu przecznicy były zabite deskami – z wyjątkiem pensjonatu wdowy Endicott po drugiej stronie skrzyżowania. Na jego widok serce Hardesty’ego zabiło żywiej ze strachu i podniecenia. Nawet gdyby wdowa okazała się jędzą, sam dom był wspaniały. W oknach paliły się świece, mosiężne wykończenia lśniły jak złoto, elewacja i okapy były utrzymane schludnie jak w historycznym zabytku.

Sam teatr miał lata świetności daleko za sobą. W przednich rzędach siedziało czterdziestu widzów zjadających kebaby i gorące precle. Czekali na nędzną parodię dawnych wodewilów, wskrzeszoną z myślą o tych, co byli tak biedni, że nie stać ich na telewizor. Omijając stopy tłustych śmieci i rozsypanej prażonej kukurydzy, Hardesty zajął miejsce w jednym ze środkowych rzędów. Ledwie zdążył usiąść, zgasły światła i podniesiono kurtynę. Hardesty zauważył, że elegancka niegdyś kopia i ściany teatru przyozdobione są płaskorzeźbami i freskami. W ciemności nie mógł jednak dostrzec żadnych szczegółów, skupił więc uwagę na spektaklu. Światła rampy, choć liczyły sobie już ponad setkę lat, skutecznie odcinały widza od świata zewnętrznego i wydawały na pastwę atlasowych marzeń śnionych na scenie. Srebrne reflektory rozjaśniały ciemność jak w każdym teatrze, a kolorowe światła były świeże jak twarz młodej dziewczyny wracającej ze spaceru na mrozie.

Najpierw wystąpili dwaj komicy. Mimo że widowia była hiszpańskojęzyczna, opowiadali dowcipy w jidysz, peruki mieli zrobione pomarańczowego materiału przypominającego wełnę drzewną, a do tego przez cały występ mieli zamknięte oczy.

Po komikach wystąpił akrobata na rowerze, przeraźliwie chudy Sycylijszyk. Jeździł po scenie przez jakieś pięć minut. Gdy buczenie widowni stało się trudne do zniesienia, wykrzywił twarz w grymasie bólu i determinacji, po czym usiłował stanąć na głowie na siodełku. To, co pokazywał wcześniej, i tak już było wystarczająco żałosne, bo nie jeździł na swym rowerze

najlepiej – podczas nieudanej akrobacji stracił do końca panowanie nad swym wehikułem, przetoczył się razem z nim przez proscenium i runął na puste pierwsze rzędy.

Potem wystąpiła mocno sfatygowana grupa o nazwie The Singing Cucumbers – Śpiewające Ogórki. Jakim cudem przez trzy czwarte stulecia udało im się uniknąć pokrojenia i zjedzenia w sałatce, pozostawało niewytłumaczalną tajemnicą. Przebrani za ogórki, w słomkowych kapeluszach i getrach, z laseczkami i wąsikami, odśpiewali trzy piosenki: Myszy wyrwały się na wolność, Siostrzeniec Beethovena i Trójkąt wojny burskiej.

Mimo swojej nieudolności ci trzeciorzędni, a raczej siódmorzędni sztukmistrze i kabareciarze dawali z siebie wszystko. Sądziło się, że są artystami: taki zawód podawali w zeznaniach podatkowych, tak się przedstawiali na prowincjonalnych dworcach autobusowych. I prawie mieli rację: może nie byli artystami, ale na pewno dziełami sztuki. Sami w sobie przypominali smutne piosenki i malownicze portrety. Mieli w sobie coś straszliwie poruszającego i rozczulającego. Nie poddawali się. Byli całkowicie pochłonięci swymi wygórowanymi ambicjami. I nigdy jeszcze nie zauważyli, że z każdym ruchem upodabniają się coraz bardziej do postaci ze smutnego tableau.

Ostatnią częścią programu był występ taneczny. Tańczyły trzy dziwaczne dziewczyny w drewniakach i samodzielnie uszytych zielonych sukienkach. Nazywały się Doliniarki, na tablicy można było też przeczytać ich imiona: Mała Liza Jane, Dolly i ciemnowłosa Bosca. Wykonywały dziwne, skoczne tańce i zdawały się w ogóle nie zauważać, że są na scenie. Widać było, że kochają to, co robią. Uśmiechały się. A na koniec złożyły trzy prześliczne, niewinne ukłony.

Przed walką zapaśników zapaliło się światło, co dało Hardesty'emu sposobność do przyjrzenia się ścianom. Wyblakłe olejne freski przedstawiały kilkanaście scenek ewidentnie rozgrywających się w Coheeries. Niektóre przedstawiały jezioro w szacie letniej, wiosennej, jesiennej oraz skute zimowym lodem, inne wioskę: pod gwiazdami, w śniegu lub w sennej bujności lata. Jeszcze inne – bojery i dziwną altanę na jeziorze. Widać było wiejskie dziewczyny, farmerów i konie zaprzężone do sań. Najbardziej niezwykły obraz widniał na kopule teatru. Przedstawiał wyspę na jeziorze; była noc, z wyspy wzbijała się w niebo biaława kolumna gwiazd, jakby Droga Mleczna ułożona w kształt tęczy.

Potem Hardesty ujrzał coś, co wgniotło go w fotel i przyprawiło o dreszcz. Naokoło kopuły wyryty był napis, tak brudny, że z trudem dało się go odczytać, jego treść nie pozostawiała jednak wątpliwości: „Albowiem czyż można wyobrazić sobie coś piękniejszego niż widok idealnie sprawiedliwego miasta, któremu własna sprawiedliwość wystarcza do szczęścia?”

W połowie meczu Hardesty wstał i wyszedł z teatru. Na ścianie przy wyjściu znajdowała się tabliczka z informacją, że Coheeries Theater został подарowany miastu przez Isaaca Penna. Był to jakiś trop – zapewne ślepy, ale warto było go sprawdzić. W tej chwili jednak Hardesty miał ochotę iść spać, najbliższy nocleg znajdował się zaś w pensjonacie po drugiej stronie ulicy.

Zbieżność napisów musiała być czysto przypadkowa. Idealnie sprawiedliwe miasto nie mogło wyrosnąć na tych plugawych ruinach, w łonie cywilizacji przemysłowej, pierwotnie nazywanej cywilizacją przełomu, w tej szarej, hałaśliwej, nieludzkiej metropolii zbudowanej na podobieństwo maszyny; nie mogło wyrosnąć spomiędzy wież poczerniałych od sadzy, zamarznętych rzek i niekończących się alej zabudowanych bezładną, jakby sponiewieraną przez wojnę architekturą. Nie. Cała wiedza, jaką dotąd posiadał Hardesty, mówiła mu, że to niemożliwe. Musiał to być zwyczajny zbieg okoliczności, nie mogło go to odwieść od dalszej podróży. Lecz mimo wszystko był oszołomiony.

A do tego wpadł w nienasycone ręce wdowy Endicott.

Wdowa była rudowłosą pięknoscią, prawdziwą amazonką, potężną jak marmurowy posąg Diany w parku na Winky's Hill. Gdy dziesiąty z kolei mąż wyzionął ducha w jej łóżku, zaczęła prowadzić pensjonat dla młodych mężczyzn, świeżo przybyłych z prowincji. Rozmieszczała ich w kilku pokojach sąsiadujących z jej własnym, oddawała im do dyspozycji łaźnie, prysznice i sauny, trzymała ich w gotowości, a w odpowiednim momencie wołała któregoś z nich na spółkowanie. Była perfekcyjna i nienasycona. Każda jej pierś była cudem świata. Jej włosy łonowe przypominały głęboki, miękki, aromatyczny zagajnik. Była biała jak kość słoniowa, lecz połyskiwała czerwienią – dzięki swym rudym włosom oraz żywej krwi tętniącej rytmicznie pod cieniutką skórą.

Hardesty wpadł jej w oko; spodobało jej się, że jest szczupły i silny, ulokowała go blisko siebie. Widząc jej wzrok, domyślił się, że niebawem wylądują w łóżku. Poszedł do swego pokoju, rozebrał się i położył. Gdy już zasypiał, snując półprzytomnie niewesołe refleksje, że Nowy Jork jest tylko przeciążoną skrzynką z narzędziami leżącą na hałdzie materializmu, drzwi do sąsiedniego pokoju otworzyły się nagle.

Hardesty wstał i przez niewielki przedsionek wszedł ostrożnie do jej sypialni. Była urządzona w całości na białą, włącznie z podłogą, i nie miała okien, jedynie świetlik. W małym kominku, za żelazną kratą, żarzył się wiśniowo koszyk węgla, pulsujący jak hutnicze palenisko. W jego blasku spoczywała na swym białym łożu natarta wonnościami wdowa Endicott. Z biodrami podpartymi na wielkiej poduszce i głową odrzuconą do tyłu wyglądała, jakby falowała. Pod jedwabistą skórą Hardesty widział zarys delikatnych żeber. Z włosami barwy ciemnego bursztynu, lekko rozchyłonymi ustami, sterczącymi sutkami – krótkimi i malutkimi, jak gdyby ktoś namalował je muśnięciami szkarłatnego pędzla – oraz rudymi włosami łonowymi lśniącymi jak las nad Pacyfikiem wdowa była prawdziwym studium w czerwieni. Hardesty pomyślał, że gdyby był malarzem, mógłby ją namalować – lecz nie po to go wezwwała i nie to z nią zrobił.

Bezowocne wysiłki Hardesty'ego w bibliotece zostały nagrodzone następnego wieczoru, po tym jak przeleżał pół dnia w łóżku, odzyskując siły. O ile o jeziorze Coheeries nie było w katalogach najmniejszej wzmianki – nawet sama jego nazwa prawdopodobnie nie występowała w żadnej z książek w bibliotece – o tyle fiszki z nazwiskiem Isaaca Penna zajmowały kilka osobnych szuflad. Hardesty zagłębił się w obszernych archiwach rodziny Pennów, obejmujących nie tylko książki, ale i broszury, ulotki, fotografie, listy i rękopisy. Wiele listów i telegramów zostało przesłanych wzdłuż rzeki Hudson lub drogą lądową. Rodzina Pennów, parająca się wydawaniem gazet, wielorybnictwem i sztuką (Hardesty znalazł nawet zbiór materiałów poświęconych młodej Jessice Penn, aktorce z Broadwayu, której nazwisko obilo mu się kiedyś o uszy), posiadała letni dom w miejscowości oznaczanej nieodmiennie skrótem „J.C.”.

Archiwa Pennów były tak obfite, że na ich przebadaniu co najmniej kilku naukowców mogło zrobić profesurę, Hardesty jednak największą uwagę skupił na fotografiach. Były ich tysiące: wszystkie czarno-białe, utrzymane w sugestywnym, komunikatywnym stylu rodem z dziewiętnastego stulecia, gdy wrażliwość wykształcona na malarstwie olejnym oddawała jeszcze fotografii to, co wydawało jej się należne – a czego sama fotografia już wkrótce miała się wyprzeć.

Zdjęcia były uporządkowane chronologicznie i spoczywały w albumach z werniksowanym wiśniowego drewna, zaopatrzonych w mosiężne zawiasy. Na każdej karcie znajdowała się jedna fotografia z objaśnieniem, kto na niej jest i gdzie ją wykonano. Gdyby ktoś próbował wyobrazić sobie przełom dziewiętnastego i dwudziestego wieku wyłącznie na

podstawie tych albumów, mógłby pomyśleć, że czas spędzano wówczas głównie na pływaniu łódką, jeźdzeniu na sankach, ślizganiu się, grze w tenisa, żeglowaniu na oceanicznych jachtach i przesiadywaniu w altanach. Pennowie uwielbiali się fotografować podczas uprawiania sportów lub siedząc w słońcu na brzegu morza. Niektóre zdjęcia przedstawiały Isaaca Penna podczas sprawowania rozmaitych funkcji publicznych lub w otoczeniu swych pracowników z redakcji „The Sun”, Beverly grającą na fortepianie, Jacka przeprowadzającego doświadczenia chemiczne lub Jaygę stojącą w królewskiej pozie przy piecu, podpartą pod boki, większość jednak portretowała rodzinę razem: Pennowie bawiący się na śniegu, Pennowie na pikniku gdzieś na górskich łąkach, Pennowie ścigający się na koniach, Pennowie wiosłujący w sierpniowym upale lub spacerujący pod wieczór po plaży – zawsze zdrowi, opaleni, wsłuchani w ospałe fale.

Podczas odkrywania historii rodziny, z zaskakującą żywością wypływającej z mroków przeszłości, uwagi Hardesty’ego nie uszły zwłaszcza dwie rzeczy, których niepodobna było wyjaśnić. Z perspektywy kilkudziesięciu lat Hardesty nie dziwił się, że osoby przedstawione na zdjęciach się zmieniają, że mały Henry błyskawicznie (w ciągu dwóch godzin) wyrósł z becików i stał się dowódcą regimentu, że jezioro zamarało i rozmarzało w szybkim staccato, że (na przestrzeni kilku albumów) śliczna malutka Willa przeistoczyła się w smukłą, zmysłową kobietę. Ze swojej boskiej perspektywy umiał sobie też wytłumaczyć drobne nieścisłości, toteż ludzie, których dzieje poznawał, portretowani w równym wieku, w różnych sytuacjach, dekoracjach i strojach, nie zaprzęтали mu myśli. Bądź co bądź żeglował po jeziorze stu brzemiennych lat.

Archiwiści wykonali jednak na tyle solidną robotę, że Hardesty był tym bardziej zdziwiony, gdy napotykał odstępstwa od tej reguły. Jedno polegało na tym, że Beverly zawsze ukazywała się jakby w mocniejszym świetle niż inni (na niektórych zdjęciach otaczała ją wyraźna aura, niezauważana nawet przez samych kronikarzy, a co dopiero przez osoby towarzyszące jej na zdjęciu); drugie na tym, że przez krótki czas, podczas jednej z mroźnych i śnieżnych zim poprzedzających Wielką Wojnę, towarzyszył jej jakiś niezidentyfikowany mężczyzna. Nie wyglądał ani na członka rodziny, ani na służącego, nie należał też do klasy wyższej. Miał zgrzebny, solidny wygląd robotnika; nawet na zdjęciach widać było, że mówi po angielsku jak Irlandczycy, jest silny i umie się obchodzić z narzędziami. Jego krzepkie ręce nie były stworzone do pióra ani fortepianu. Mógł być szefem brygady mechaników „The Sun”, zarządcą farmy w Amagansett lub kapitanem któregoś ze statków Isaaca Penna – raczej jednak był kimś jeszcze innym, ponieważ często nosił się jak dandys, zawsze stał obok Beverly, a na jednym zdjęciu obejmował ją z taką czułością, że Hardesty wpatrywał się w fotografię przez dobry kwadrans jak urzeczony. Uczucie tego mężczyzny, podobnie jak zmysłowość dorosłej Willi, wydawała się wręcz przepalać przez karty albumu. Była to najprawdziwsza miłość. Potem Hardesty trafił na najdziwniejszą serię fotografii. Jedna przedstawiała posępne wesele, z Beverly tak słabą, że ledwie trzymała się na nogach i wspierała się na ramieniu tajemniczego pana młodego. Na drugiej widniała wyspa, naga i drżąca z zimna, niemal nieodróżnialna od zamrzniętego i zasypanego śniegiem jeziora.

Nie sposób było się dowiedzieć, kim jest nieznajomy. W opisach zdjęć pod jego sylwetką widniał zawsze znak zapytania. Któż to mógł być? Skrupulatni archiwiści nie wiedzieli, przepraszała, że nie są w stanie tego objaśnić. Nota dołączona do ostatniego albumu głosiła, że żyjący członkowie rodziny Pennów nie zechcieli opatrzyć swej fotograficznej kroniki komentarzem ani nawet przejrzeć zbiorów.

Hardesty przyjrzał się twarzy intruza. Spodobała mu się, nawet bardzo; poruszyły go wizerunki tej na poły anonimowej pary, która w pewnym momencie zniknęła ze świata i wszyscy o niej najwyraźniej zapomnieli.

Koniec końców jednak poniekąd znalazł to, czego szukał. Na fotografiach od czasu do czasu pojawiali się, przycupnięci na kopcach siana lub tylnej ławce konnych sań członkowie rodziny Gamely: zdrowe, chłopskie dzieciaki znad jeziora, które najwyraźniej znały się z dziećmi Pennów i spędzały z nimi sporo czasu. Wszystko wprawdzie wskazywało na to, że Pennowie na dobre opuścili Coheeries, rozproszyli się i zastygli we własnych dynastycznych archiwach, Hardesty postanowił jednak ich odnaleźć – z nadzieją, że Virginia Gamely postąpiła podobnie.

Miasto było wielkie niemal pod każdym możliwym względem, lecz w jednej niewybaczalnej kwestii rozczarowywało. Otóż jego wielomilionowa populacja czytała właściwie tylko dwie gazety. Można było też oczywiście kupić cieniutkie dzienniki z nieświeżymi wiadomościami w niemal każdym języku i alfabecie świata, były też setki stacji radiowych i telewizyjnych, oplatających miasto niczym koralowe węże, zasadniczo jednak nowojorczyccy dzielili się, niestety, ledwie na dwie duże grupy: czytelników „The Sun” i „The Ghost”.

W sumie były to cztery codzienne wydania: „Morning Ghost” i „Evening Ghost” (a dokładniej „The New York Ghost” w wydaniu porannym i wieczornym) oraz poranna „The New York Morning Whale” i popołudniówka „The New York Evening Sun”. Obie gazety zaciekle ze sobą rywalizowały – każdego dnia, na każdej stronie, w każdym artykule. Wiedzieli o tym doskonale wszyscy mieszkańcy miasta bez względu na wiek, płeć i kolor skóry. Hardesty nie miał o tym wszystkim pojęcia, gdy więc stanął przy stojaku z prasą na pustym rogu ulicy – przypominającym latarnię morską wśród błękitnej śnieżnej zawiei – zdziwił się, że „The Sun” wciąż pozostaje w rękach rodziny Pennów, a jej redaktorem i wydawcą jest nie kto inny jak Harry Penn, ten sam, który z niemowlaka wyrósł na dowódcę regimentu. O dziesiątej wieczorem udał się na Printing House Square, licząc na to, że o tej porze wydanie poranne będzie już w błyskawicznym tempie zamykane.

Istotnie, właśnie było zamykane, i to tak błyskawicznie, że nikt Hardesty’ego nawet nie zauważał, nie mówiąc o odpowiadaniu na pytania. Przez dwie godziny stał na przeszklonym dziedzińcu, przyglądając się, jak śnieg omiata przezroczysty dach kilkupiętrowej redakcji. Setki reporterów, korektorów, gońców, zafrasowanych redaktorów i drukarzy przebiegały od drzwi do drzwi lub śmigaly po zewnętrznych schodach między piętami wychodzącymi na zamknięty dziedziniec. O północy wszystko się zatrzymało – wszystko prócz pras drukarskich na parterze, które zaczęły warczeć i buczeć niczym okrętowa siłownia, jak gdyby nie służyły do zapełniania drukiem płacht papieru, tylko pchały cały budynek naprzód przez wzburzone i zamglone morze. Hardesty udał się na drugie piętro, do newsroomu, i zatrzymał pierwszą osobę, jaką napotkał. Traf chciał, że był to sam Praeger de Pinto, redaktor naczelny.

– Przepraszam najmocniej – zagadnął. – Próbuję znaleźć pewną osobę pochodzącą z Coheeries, gdzie rodzina Pennów miała kiedyś letni dom. Może to głupie, że przychodzę tutaj z taką sprawą, ale nie mam innych kontaktów w mieście ani żadnego innego sposobu, by ją znaleźć. Chciałbym spytać Harry’ego Penna, czy wie, gdzie ona jest, lub czy może mi podsunąć jakiś trop.

– Szuka pan Virginii Gamely? – spytał Praeger.

– Tak, właśnie jej.

– Pracuje tutaj.

– A zatem znalazłem ją!

– Ale teraz jej tu nie ma. Właśnie zamknęliśmy nowy numer „The Whale”. Virginia pracuje w „The Sun”, przychodzi do pracy o szóstej rano.

– Nazywam się Hardesty Marratta. Jechałem pociągiem Polaris... Mam list od jej matki.

- Mogę jej przekazać.
- Jej matka kazała mi przyrzec, że doręcę go osobiście.

Praeger przedstawił się i zaprosił Hardesty'ego do swojego biura na trzecim piętrze (wspięli się tam po spiralnych żeliwnych schodach, przechodzących wprost przez sufit), by dowiedzieć się, co widział nad jeziorem Coheeries. Praeger interesował się tym miejscem, od kiedy Virginia po raz pierwszy wymieniła jego nazwę, a następnie w konspiracji z Jessicą Penn przestała o nim wspominać. Opowieść Hardesty'ego zaciękała go zarówno ze względu na treść, jak i dlatego, że rozpoznał w Hardestym, podobnie jak wcześniej w Virginii, talent językowy.

– Nie wiem, o co chodzi z tym Coheeries – stwierdził – ani nawet czy ono w ogóle istnieje, ale wygląda na to, że każdy, kto tam trafi, zaczyna posługiwać się słowami w sposób, który bardzo mi się podoba. Może powinniśmy zorganizować tam jakieś szkolenia (o ile zdołalibyśmy się tam dostać) lub chociaż przywozić stamtąd wodę do naszych redakcyjnych dystrybutorów?

Rozmawiali przez kilka godzin, poruszyli wiele różnych tematów i odkryli, że w wielu sprawach mają bardzo podobne poglądy. Obaj byli znużeni i zrelaksowani, obaj uwielbiali surową zimę, obaj gustowali w ostrej, męskiej rozmowie – krótko mówiąc, dogadywali się świetnie z wyjątkiem jednej rzeczy: mieli zupełnie odmienny stosunek do Nowego Jorku.

Hardesty w swym obecnym nastroju nie mógł ścierpieć niesłychanych zwyrodnień, jakie na każdym kroku napotykał, nie mógł wybaczyć miastu niepotrzebnej szorstkości mieszkańców ani sztywnej surowości, z jaką je zaplanowano, zaprojektowano, zbudowano, wykańczano i utrzymywano. Nienawidził go tak, jak ktoś mógłby je kochać: bezwarunkowo, irracjonalnie, ze smutkiem. Gardłowy ryk syren okrętowych, który co pewien czas dolatywał przez śnieżycę i wprawiał w drżenie redakcyjne szyby, brzmiał niby pięknie i kusząco, ale też niepokojąco, a myśl o nieprzeliczonych wewnętrznych horyzontach wbudowanych w ulice, zakręty, zaułki i tarasy była nie do zniesienia.

Praeger nieraz już słyszał podobne opinie.

- Niedługo zakochasz się na zabój w rzeczach, którymi teraz gardzisz – powiedział.
- Tak ci się tylko wydaje – odparł Hardesty. – Jestem w drodze do Europy. Nie mam zamiaru zostać tu na tyle długo, by się w czymkolwiek zakochać.
- Ta miejska anarchia cię wciągnie.
- Jakim cudem? Właśnie jej najbardziej nie znoszę.
- Dobrze wiesz, że to nie jest żadna anarchia, a nawet jeśli tak, to zawiera w sobie wszystkie możliwości, których szukasz. Musisz też wiedzieć jedno: to, że Nowy Jork wciąż trwa i ma się dobrze, implikuje istnienie równowagi, z tego zaś wynika, że każdy proces degeneracji ma tu swoje mocne przeciwieństwo.
- Nie widzę tych przeciwieństw. Ty je widzisz?
- Bardzo rzadko. Ale tak, niekiedy zauważam, że rachunki się równoważą. Widzę zwiastuny idealnego wieku, tak jak w złożach rudy można zobaczyć przyszłe czyste złoto.
- A jeżeli ohyda i zgroza wypełni cię do tego stopnia, że jeśli nawet nadejdzie twój wymarzony idealny wiek, nie będziesz już w stanie go docenić?
- Tym lepiej. Lubię ryzyko. Podoba mi się to, że choćbym nie wiem, jak się starał, wynik tych starań prawie wcale nie zależy ode mnie. Plany tego miasta wykreślono na tym samym stole, co plany wojny. Ono niczego nie obiecuje, a mimo to potrafi być nieporównanie szczodre. Powinieneś zatrzymać się tu przez chwilę i zorientować się, jak działa. Posłuchaj syren okrętowych. Gdy słyszysz je stale, latem czy zimą, zaczynają brzmieć w twoich uszach jak

pieśń, jak ukryta wiadomość. Zawsze mam wrażenie, że mówią do mnie: „To dobry czas dla ciebie. Ja muszę teraz wyjechać, a ty możesz zostać. Szczęściarzem z ciebie, że możesz być w tym mieście na chwilę przed tym, jak otworzy oczy i ujrzy złoty wiek”.

Pożegnali się niespokojnie: Hardesty’emu nie podobało się, że Praeger wróży mu zmianę poglądów, a Praegerowi to, że musiał to robić. Zresztą cóż go obchodziło, co sobie myśli Hardesty? Tak czy owak obiecał, że zapozna go z Virginią, kazał mu przyjść o szesnastej, gdy zamkną już wydanie „The Sun”.

Po wyjściu z redakcji Hardesty musiał iść pięć mil w śnieżnej zawiei, nim dotarł do hotelu Lenore, wysokiego wieżowca w śródmieściu. Śnieg smagał zawzięcie jego szklane ściany i opadał w dół potężnymi tumanami niczym woda chlapiąca z rynny. Na ulicach było białe i pusto jak na prerii. Hardesty’emu przyszło do głowy, że owe możliwości, o których mówił Praeger, być może faktycznie równoważą się w gorących i lodowatych przestrzeniach miasta.

Nocny recepcjonista zaproponował mu pokój na najwyższym piętrze. Hardesty uznał, że skoro znalazł Virginie i najpewniej za dzień lub dwa opuści Nowy Jork, może pozwolić sobie na jedną noc za astronomiczną cenę. Z redakcji wyszedł o pierwszej, teraz była już tak głęboka noc, że nawet zegary poszły spać, czas wydawał się zupełnie zatarty przez szalejącą zamieć.

Wjechał na sto dwudzieste piętro, odnalazł swój pokój, wszedł do środka, podszedł do okna i zapatrzył się w białe kłębowiska, niesione wiatrem i rozbijające się o szyby. Było to miasto frustrujące, harde, nielitościwe, nieprzyjemne, umiało zadawać cierpienie i karać, a w dodatku panowała w nim mordercza pogoda. Klimat i mieszkańcy Nowego Jorku razem tworzyli jakby wielką kosę, ścinającą bez litości wszystkich, nawet najmocniejszych; ludzie słabi całymi tysiącami znikali z ulic i umierali samotnie w chłodzie i mroku. Stojąc na sto dwudziestym piętrze, Hardesty nie widział nic – i uznał to za najbardziej charakterystyczną cechę Nowego Jorku.

Po chwili odkrył z radością, że w łazience jest sauna. Wszedł do środka, zamknął za sobą cedrowe drzwi i pogrążył się w przyjemnym skwarze. Po długiej wędrówce arktycznymi ulicami cieszył się, że może znaleźć się na suchej pustyni – lecz był tak zziębnięty, że potrzebował trzech kwadransów, by się rozgrzać i spocić.

Następnego dnia doręczy list Virginii Gamely, a jeśli będzie miał szczęście, od razu zaokrętuje się na statek, ten zaś sforsuje lód i wydostanie się z portu. Syrena okrętowa zagrzmi wówczas na jego korzyść, nie przeciw niemu. Praeger uważał, że syreny nigdy nie ryczą przeciwko niemu – przeciwnie, twierdził, że brzmią jak kościelne organy, że domagają się uwagi i wywołują emocje, pod wpływem których ciało trzęsie się jak trzcina. Hardesty słyszał ich głęboki dźwięk nawet na pustyni sto dwudziestego piętra – o trzeciej, czwartej w nocy, do samego rana. Po cóż one teraz wrzeszczą? – zastanawiał się. – Czy statki o tej porze naprawdę wyruszają w morze, prosto w paszczę sztormu? Zresztą kto je teraz usłyszy?

Nieustanny zgiełk, niecichnący nawet o tej porze nocy, gdy wszyscy powinni spać, sugerował, że miasto wiezie własne, samodzielne życie, że w jego wnętrzu coś naprawdę żyje i pomału, metodycznie szuka drogi na powierzchnię.

Niemal zemdlony od gorąca Hardesty wyszedł z sauny i podszedł do okna. Burza śnieżna wciąż jeszcze szalała, tym razem jednak Hardesty dostrzegł w niej jakiś błysk. Znajdował się przed nim, a więc również wysoko, wydawało się też, że jaśnieje tym mocniej, im zacieklej wichur kołysze znajdującym się pod nim stalowym urwiskiem.

Nagle, niczym mgła przed dziobem statku, przestrzeń rozstąpiła się, jak gdyby chciała pomieścić w sobie ruch, i oczom Hardesty’ego ukazała się oświetlona iglica, zatrzymana w oku śnieżnej nawałnicy, na pozór zawieszona wysoko nad ziemią. Wieńczyła stary drapacz chmur

i jarzyła się niebieskim, białym i srebrnym blaskiem. Mimo że śnieg zasnuwał ją od czasu do czasu przezroczyście kurtyną, światła przebijały się przez nią bez trudu. Wczesnym rankiem, gdy w bladym świetle brzasku śnieżycy zszarzała, a niebo zmieniło się w kłębowisko chmur, wieży już nie było.

Późniejszy ranek był już przejrzysty jak szkło. Hardesty podszedł do okna i ogarnął wzrokiem las wieżowców, rozcinających kanadyjski wiatr, który pędził przed sobą błękit niczym olbrzymie stado owiec. Dalekie mosty wypełnione były strumieniami błyszczącej miki: samochodami lśniącymi w porannym słońcu. Zatokę przemierzały statki, bliźniaki tych, co wypływały nocą, wielkie jak niegdysiejsze miasta – sunęły niespiesznie po białych falach niczym gorące żelazka po płótnie.

Na ulicach ludzie pędzili w podskokach jak marionetki, z szybkością zdumiewającą nawet dla nich samych. W takie pogodne, lodowate dni, gdy księżyc w pełni nie mógł doczekać się zmroku i krążył po niebie wokół słońca, poruszali się tanecznym krokiem jak konie wyścigowe na wybiegu, zachowywali się tak, jak gdyby właśnie dokonali wielkiego odkrycia i czyniąc zadość powiedzeniu, że Nowy Jork to miasto, które zamiast chodzić spać i wstawać z łóżka codziennie umiera i zmartwychwstaje, wprawiali Manhattan w drżenie, upodabniali go do miecza wyciągniętego z pochwy.

Przebrnięcie przez ten tłum obłąkańców do Printing House Square zajęło Hardesty'emu prawie cały dzień. Na chodnikach nikt nie ustępował miejsca nawet o cal. Sznury samochodów na czerwonym świetle mknęły przez skrzyżowania. Furgonetki z pieczywem gnały po głównych alejach z prędkością stu dwudziestu pięciu mil na godzinę, mordując rowerzystów i pieszych. Bałkańscy sprzedawcy precli, okutani w grube na dwie stopy warstwy swetrów i wełniane czapki pilotki, szturmowali na siebie nawzajem swymi ognistymi wózkami, zderzali się jak bizony, walcząc o miejsca na rogach ulic. Maklerzy giełdowi w trzyczęściowych garniturach, z aktówkami zamocowanymi na plecach, pędzili na złamanie karku na nartach biegówkach z Riverside Drive na Wall Street. W którejś rojnej alei pierwsze piętra wszystkich biurów ciągnących się przez cztery, pięć mil zajęte były przez szkoły karate. Hardesty mijał je w porze obiadowej, przysłuchiwał się tysiącom bitewnych okrzyków i przyglądał się, jak białe sylwetki walczących szybują w powietrzu z rozpostartymi nogami i rękoma, niczym rosyjscy tancerze. Na każdym rogu płonął ogień, na każdej przecznicy toczyła się śmiertelna awantura bądź napad, budynki były atakowane przez diabelskie ekipy burzące, inne dopiero się wzbijały, budowlańcy śmigali na pojedynczych linach i niknęli gdzieś w górze. Hardesty stwierdził, że jeśli w ogóle kiedykolwiek zdoła dotrzeć do centrum, będzie innym człowiekiem. Miasto potrzebowało paliwa do swoich pieców – wciągało ludzi do środka, taksowało ich, tańczyło z nimi przez chwilę, sprzedawało im garnitury, a potem pożerało.

Było już ciemno, gdy Hardesty dotarł na Printing House Square, gdzie naprzeciw siebie stały redakcje „The Sun” i „The Ghost”. Olbrzymia siedziba „The Ghost” pyszniła się wielkimi neonami, rozgłaszając wszem i wobec sukces i popularność gazety, neon „The Sun” jaśniał natomiast dyskretnie z wnętrza budynku, będącego majstersztykiem neoklasycznej architektury. Hardesty wspiął się po schodach do gabinetu Praegera de Pinto. Serce biło mu szybko, a zabiło jeszcze szybciej, gdy ujrzał Praegera i Virginie: siedzieli na skórzanej kanapie, na tyle blisko i swobodnie, że można było odnieść wrażenie, iż czują się ze sobą co najmniej komfortowo. Nagła zazdrość ugodziła go jak pocisk. Cierpiał wręcz fizycznie. Do diabła z tym miastem, w którym nie ma i nigdy nie będzie sprawiedliwości! Widział w oczach Virginii, że jest to kobieta dla niego, klął w duchu, że nie spotkał jej wcześniej... Potem jednak stwierdził, że chyba oszukuje go wyobraźnia, bo gdy Praeger podniósł się z kanapy, by go przywitać, okazało się, że

siedział co najmniej w odległości jednej stopy od Virginii. Może półtorej stopy, pomyślał Hardesty z nadzieją, może nawet dwie stopy. Obiecał sobie, że ta śliczna, nieskrępowana kobieta o długich czarnych włosach i niesamowicie inteligentnych oczach już wkrótce będzie jego żoną – bez względu na to, co ją łączy z Praegerem.

– Rozgniotę go jak muchę tse-tse – powiedział nieświadomie na głos.

– Kogóż to? – spytał Praeger. Virginia również była ciekawa, a do tego oczarowana tym niecodziennym wejściem.

– Craiga Binky’ego – ratował się Hardesty.

– Och! – odparł Praeger. – Wszyscy byśmy to chętnie zrobili. Ale cóż cię tak z miejsca zirytowało?

– Widziałem dzisiejszy numer „The Ghost”. Można dostać szalu.

Virginia uśmiechnęła się. Ze sposobu, w jaki Hardesty na nią spojrział, lekkiego drżenia w głosie i nieszczęśliwego wyrazu twarzy domyśliła się, że się w niej zakochał. Świadczyło to o pewnej słabości charakteru, było też jednak zobowiązaniem, którego nie mogła zignorować. Starła się zachować dystans i pewność siebie, lecz już po kilku minutach poddała się całkowicie. Mimo wszystko nie chciała działać pochopnie – musiała pamiętać o dziecku, bo raz już wykazała się lekkomyślnością.

Praeger de Pinto, który zawsze kochał i miał kochać tylko jedną kobietę, Jessicę Penn, dyskretnie wycofał się z ich niezręcznej rozmowy, toczonej w rytm nie do końca równych oddechów, przyglądał się tylko, jak Hardesty i Virginia odkrywają się nawzajem. Tymczasem w obu gazetach zaczynały pracę popołudniowe zmiany, na placu zaroilo się od dziennikarzy, korektorów i sekretarek brnących mozolnie przez śnieg.

Nim Hardesty wręczył Virginii list od matki, opowiedział o swojej podróży Polarisem i o tym, jak przez przypadek zawędrował nad jezioro Coheeries. Od razu wyczuł, jak bardzo Virginia kocha tamte okolice i krajobrazy. Cieszył się, że jest zima, bo zimą miłość i ambicja mocniej skrzą się na mrozie. Może gdyby nie widział Virginii na tle ciemnego okna, rozjaśnionego przez śnieg na placu i neony „The Ghost”, nie umiałby podczas rozmowy tak jawnie odsłonić swych intencji – jawnie dla wszystkich prócz Virginii, która ceniła je tak bardzo, że nie była pewna tego, co oczywiste.

Po jakimś czasie oboje rozejrzeli się i odkryli, że Praegera nie ma w pokoju.

– Jak długo jesteśmy tu sami? – spytała Virginia z uśmiechem.

– Nie wiem – odparł Hardesty. – Ale chodźmy na kolację.

– Muszę nakarmić dziecko. Pani Solemnis lubi wyjść do domu przed szóstą.

Pewność siebie opuściła Hardesty’ego znacznie szybciej niż go wypełniła. Znowu przeszył go fizyczny ból. Virginia spojrzała na niego i rzekła:

– Nie jestem zamężna.

Praegera już nie znaleźli, lecz gdy wychodzili z budynku i mijali po drodze kolegów Virginii, wyraz niepewnego tryumfu na twarzy Hardesty’ego oraz diabelski, promieniejący rumieniec na jej policzkach dał im pretekst do znaczących uśmieszków. Virginia z rozkoszą odwracała oczy.

Hardesty nie miał na sobie swej szuby z owczej wełny, tylko gruby wełniany płaszcz ciemnoszarej barwy, na który wydał sporą część oszczędności. Nie omieszkał wspomnieć o tym Virginii, żalując, że nowy płaszcz nie jest tak ciepły jak tamten.

– Och nie – rzekła Virginia. – Jest wspaniały. Nie chciałabym, żebyś paradował w owczej wełnie. W każdym razie nie w mieście. Noszenie tutaj wiejskich ubrań jest tak samo głupie jak miejskich ubrań na wsi.

Wyszli prosto w północny wiatr, obmywający im twarze niczym fale rzeki podczas kąpieli. Nie wziął jej pod rękę, gdy przechodzili przez zatłoczone aleje, choć miał na to wielką ochotę. Virginia powiedziała, że podoba jej się jego płaszcz i że zaprasza go do siebie na kolację. W tym momencie niczego więcej nie było mu trzeba.

Chiński i włoski rynecek sąsiadowały ze sobą. Hardesty i Virginia przemierzali niespiesznie długie alejki między straganami, jak gdyby byli sami na wiosennym spacerze. Owoce i warzywa kojarzyły im się z ogrodem, a ryby z pyszczkami zastygłymi w wyrazie szoku wyglądały jak pstrągi wyskakujące ze strumienia.

– Dręcę czasem „The Ghost” – powiedziała Virginia – ściągając od nich tematy i pisząc znacznie lepsze teksty. Doprowadza ich to do wściekłości. Latem opublikowali artykuł o chińskich i włoskich targach, i jak zwykle pisali tylko o jedzeniu. Dla ludzi z „The Ghost” wszystko, czego nie da się włożyć do ust, jest niezrozumiałe.

– Wiem – rzekł Hardesty. – Dziś mocno się zdziwiłem, gdy na czołówce zobaczyłem wielki nagłówek o nowym sposobie duszenia karczochów.

– To normalne. Oni zawsze piszą o takich rzeczach na czołówce: wielkimi nagłówkami obwieszczają wynalezienie nowego sosu, a jeśli nie spodoba im się czyjś suflet, umieszczają tekst w czarnych ramkach... Trzy dni później napisałam esej o tych ryneczkach, ani słowem nie wspominając o jedzeniu. I myślę, że udało mi się je opisać lepiej niż oni, bo targ to nie tylko jedzenie.

– A co jeszcze? – spytał Hardesty, choć znał odpowiedź.

– Kupowanie i sprzedawanie, twarze, kolor, światło, ludzkie historie, ich duch. Gdzie indziej znalazłbyś tyle jasnych świateł zawieszonych tak wysoko i jaśniejących na mrozie? – spytała, wskazując na szereg żarówek wiszący nad straganami. – Harry Penn dostał potem telegram od Craiga Binky’ego: „Jak można pisać o targu i nie wspomnieć o jedzeniu?”. Wyobrażasz to sobie? Wysyłają sobie nawzajem telegramy, choć pracują przy jednym placu. Harry Penn oddepeszował: „Jedzenie zabija ducha”.

– Lubię jeść – dokończyła. – Teraz nawet jestem mocno głodna. Ale żeberka jagnięce to nie jest żaden cud świata.

Kupili steki i sześć różnych rodzajów warzyw, po czym przeszli z powrotem targowymi alejkami skąpanymi w perłowym świetle, patrząc, jak oddechy zamieniają się w kłęby pary.

– Do mojego domu idzie się tędy. – Virginia wskazała kierunek. – Ale nie chcę iść przez Five Points, to zbyt niebezpieczne. Chodźmy naokoło, przez Houston Street.

– To będzie trzy razy dłużej – stwierdził Hardesty. – Czemu nie przez Five Points? Szedłem dziś tamtędy i nic mi się nie stało.

– Miałeś szczęście. Zresztą już jest ciemno.

– Nie martw się. Wczesnym wieczorem złodzieje śpią.

Dzielnica Five Points widziała już bandytów najróżniejszych ras i narodowości, niejednego ich typ gnieździł się w jej zaułkach. Mody w występkach i ludzkim zachowaniu zmieniały się z upływem czasu, wraz z pojawianiem się nowych języków i pokus. Lecz zasadniczo złodzieje i bandyci byli wciąż tacy sami, ich bronią wciąż był nóż, pałka i pistolet. Hardesty miał jednak rację: wczesnym wieczorem odpoczywali, aktywni stawali się dopiero kilka godzin po zapadnięciu zmroku. Ulice były puste, cały urok zimy kończył się zaś u wejść do dzielnicy przypominającej jaskinię bez wyjścia. Hardesty i Virginia mieli wrażenie, że są obserwowani zza ciemnych okien. Jedyłą rzeczą, jaką słyszeli, było bicie dalekiego dzwonu oraz odrażający śmiech, który rozlegał się w zdemolowanych czynszówkach, jak gdyby miejscowi chcieli udowodnić, że nawet czysty dźwięk dzwonu jest w tym otoczeniu bezsilny i podatny na

zepsucie.

W połowie drogi zaczęli dostrzegać coś, czego nie zauważali przedtem: na ulicy roilo się od niejasnych kształtów, ciał poskręcanych od bólu, wyciągniętych rąk błagających o litość lub uwolnienie. Z każdym krokiem coraz więcej oczu łyskało na nich z półmroku, coraz gwałtowniej rozbrzmiewały krzyki.

– Nie rozumiem tego – rzekł Hardesty. – Ulice są niby puste, a tak naprawdę tłoczne. – Wziął Virginie pod rękę i szli dalej, w stronę pożaru, który buchał u wyjścia z dzielnicy. Sądził, że napotkają tam strażaków i policję, może nawet prasę, że blask ognia oświetli im drogę i pozwoli wydostać się z Five Points.

Szereg kamienic stał ogarnięty pomarańczowymi płomieniami. Kłęby czarnego dymu odbijały światło w dół i dławiły iskry. Na ulicy stał rozradowany tłum z płomieniami odbijającymi się w oczach. Ogień ogarniał coraz wyższe piętra, w oknach ukazywały się dzieci. Widzowie z uwagą przyglądali się bójce toczącej się na dachach płonących kamienic. Walczący byli tak zajęci sobą, że nie zwracali uwagi na pożogę, która obramowywała ich sylwetki, jak gdyby byli figurkami w latarni magicznej, i pochłaniała tych, co padli od ciosów.

Virginia była wstrząśnięta. Hardesty pożałował, że namówił ją na przejście przez Five Points.

– Nie spodziewałem się – powiedział, nie mogąc zapomnieć widoku płonących dzieci, choć trzeba przyznać, że ginęły szybko i cicho, nie wydawszy głosu. – Za dnia było tu zupełnie inaczej. Naprawdę się nie spodziewałem.

Z bocznych uliczek nadbiegało coraz więcej ludzi, mężczyzn i kobiet. Pędzili jak jaszczurki do słońca. Wkrótce po chodnikach trudno było przejść, tu i ówdzie rozstawiały się kramiki z jedzeniem. Nie było karettek, strażaków, ciężarówek, pożar szalał w najlepsze, kamienice waliły się, ginęli ludzie.

Przez tłum przejeżdżał wóz ze śmieciami ciągnięty przez okaleczonego, oszpeconego konia. Woźnica ściągnął lejce, próbował zawrócić, ale za późno, zabrnął już w sam środek zbiegowiska, poruszał się naprzód krok po kroku.

– Spójrz na to zwierzę – powiedział Hardesty; współczucie walczyło w nim o lepsze z odrazą. – To największy koń pociągowy, jakiego widziałem, a przy tym smukły jak koń czystej krwi. Wyobraź sobie, przez co musiał przejść.

Smagany po głowie przez grupkę dzieci z gałęziami w rękach, a od tyłu przez swego pana ciężkim batem, koń opuścił głowę i zamknął podbite oczy. Kłęb i boki pokryte miał ciętymi ranami. Stare szramy rozdzierała prymitywnie i brutalnie założona uprzęż, ogon i grzywa były kompletnie wyskubane, a jedno ucho okropnie poszarpane, brakowało w nim kilku strzępów ciała.

Wóz był ciężki, lecz koń – tak poharatany, że wyglądał jak człowiek udręczony przez jakąś nieuleczalną chorobę – ciągnął go bez wysiłku. Był sponiewierany, ale silny; olbrzymi, ale pełen gracji. Gdy szedł przed siebie, pchany naprzód żądaniami swego pana i dręczony przez dzieci, mięśnie grały mu pod skórą, szczupłe i jędrne jak u troskliwie odhodowanego konia wyścigowego – choć wielekroć potężniejsze.

Gdy zaprzęg wyjechał z tłumy, woźnica zaciął konia batem przez głowę i zmusił do przejścia w kłus. Koń ruszył z zaskakującą gracją, nie zwracając uwagi na uprzęż wrzynającą mu się w skórę, zupełnie jak gdyby brykał po pastwisku. Nie sposób było poznać, że ciągnie jakiś ładunek, ruchy miał pełne, radosne, idealnie płynne. Uniósł głowę i parł naprzód przez mrok, jak gdyby ruch sam w sobie był rajskim przywilejem.

Zima, będąca jeszcze we wczesnym, lżejszym stadium, była oczyszczającym silnikiem,

który pracował niewstrzymanie nad miastem i całym krajem, kazał gwiazdom skrzyć się żarliwie i oblewać srebrnym światłem nagie gałęzie drzew. Była szalona i piękna, wżerała się w dusze ludzi i zwierząt, gnała ich przed sobą, póki nie rozmiłowali się w ucieczce. Co zaś wyrabiała w północnych lasach, trudno wręcz opisać, zważywszy że potrafiła pokryć lodem nawet gałęzie sykomor przy Chrystie Street i machać nimi, aż dźwięczały jak dzwoneczki.

Gdy Hardesty i Virginia dotarli do kamienicy przy Mulberry Street i ruszyli w górę krętymi schodami, panował już wściekły ziąb; zaczerwienione twarze przypominały im o wietrze, który chłostał ich przez całą drogę i powiewał na wszystkie strony szalikiem Virginii. Wreszcie wdrapali się na górę, okrążywszy klatkę schodową w planetarnych epicyklach, i znaleźli się w ogrzewanym korytarzu. Wiecznie czujne oko pani Solemnis, wdowy po greckim poławiaczu gąbek, pojawiło się w wizjerze i zamigotało jak świetlna plamka na ekranie radaru.

– Kto tam? – spytała.

– To ja – odparła Virginia.

– Kto: ja?

– Virginia.

– Jaka Virginia?

– Virginia Gamely. Na litość boską, pani Solemnis, jest pani w moim mieszkaniu. To dla mnie pani pracuje.

– Ach, to pani. – Wdowa otworzyła drzwi i wcisnęła Martina w ramiona Hardesty'ego, mówiąc: – Trzymaj.

Martin, choć przebywał na świecie zaledwie od roku, był dzieckiem doskonałym, począwszy od maleńkich zaciśniętych piąstek po długi ogon z niebieskiej flaneli (tradycyjne ubranko dziecięce z Coheeries, tak zaprojektowane, by dziecko nieprędko z niego wyrosło), który upodabniał go do małej syrenki bez biustu. Ostrożnie oparł policzek na zimnej klapie płaszcza i z pełnym zaufaniem zamknął oczy. Hardesty czuł w ramionach jego delikatny ciężar, dziecięcy oddech, co pewien czas także ruchy rącek i nóżek. Spojrzał śpiącemu dzieciątku w twarz i pocałował je.

– Słodki maluszek – powiedział, kołysząc je delikatnie.

Nie chcąc obudzić Martina, pozostał w płaszczu i przyglądał się, jak Virginia krząta się po mieszkaniu. W przeciwieństwie do pani Solemnis Virginia bardzo dbała o czystość i schludność. Szybko przemknęła przez pokoje, ustawiając rzeczy na miejscach bądź poprawiając je, by stały lub wisiały symetrycznie. W szarym płaszczu i plisowanej spódnicy wyglądała tak, jakby zesza z zeszlowiecznego portretu, takiego, na którym model pozostaje w półmroku i wpatruje się prosto w mijający czas. Był to portret pełen godności, Hardesty jednak nie mógł powstrzymać się od śmiechu, bo od czasu do czasu Virginia zatrzymywała się nagle i zerknęła w jego stronę, by sprawdzić, co dzieje się z dzieckiem, lub zakłopotana własną pedanterią – wyglądała wtedy jak mechaniczne misie na jarmarcznej strzelnicy, które co pewien czas zatrzymują się i obracają w stronę strzelca. Efekt ten był szczególnie wyrazisty wówczas, gdy oznajmiła, że chce się przebrać, po czym podreptała mechanicznymi kroczkami do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Zastanawiając się, czy na pewno postąpiła rozsądnie, wpuszczając Hardesty'ego do swojego mieszkania (roilo jej się, że może jest szaleńcem i za chwilę zacznie ciskać Martinem po mieszkaniu – może dlatego, że w swym beciku z Coheeries bobas wyglądał trochę jak piłka futbolowa), co chwila uchylała drzwi i wystawiała głowę.

– Czy ty nie dorabiasz sobie przypadkiem na strzelnicy? – spytał wreszcie.

– Nie – powiedziała, wychodząc w tym samym kostiumie, bo z tego wszystkiego zapomniała się przebrać. – Ćwiczę przed rozmową z Craigiem Binkym. On tylko przez

niesłuchanie krótki czas potrafi się skupić. Gdy się z nim rozmawia, trzeba ciągle wykonywać groźne ruchy i dziwaczne gesty. Inaczej cię nie zrozumie.

– Kto ci to powiedział?

– Harry Penn. On wie, że Binky jest zupełnie nieodporny na pochlebstwa, co jakiś czas wysyła więc do niego któregoś z naszych reporterów, a ci wyciągają od niego różne tajemnice „The Ghost”. Jutro moja kolej. Właśnie stąd tak dobrze wiemy, co się u nich dzieje i co zamierzają zrobić w przyszłości. My natomiast jesteśmy dla nich nieprzeniknieni. W zasadzie niespecjalnie dbamy o zachowanie tajemnicy, ale i tak jesteśmy jak dwie połówki małża: nic nie wycieknie, ponieważ każdy zna swoją pracę i ma udziały w zyskach. O ile mi wiadomo, tylko w redakcji stron domowych i kobiecych mamy kapusia. W ubiegłym tygodniu opublikowaliśmy przepis mojej matki na ciasto saksofonowe i „The Ghost” puścił go w tym samym dniu. Na całym świecie istnieje tylko jeden przepis na ciasto saksofonowe (robi się je z brzoskwiń, żywicy, borówek, rumu i mięty), a wątpię, czy szpiedzy z „The Ghost”, którzy krążą na palcach po naszej redakcji ze sztucznymi wąsami i brodami na twarzach, byli w stanie ukraść go z zecerni.

Wzięła dziecko na ręce. Hardesty rzucił płaszcz na krzesło i stanął obok niej, tak że wyglądali jak figurki z bożonarodzeniowego żłobka. On także ubrany był jak postacie z dziewiętnastowiecznych portretów: płaszcz był na niego odrobinę za duży, Hardesty czuł się w nim tak, jak gdyby właśnie wysiadł z powozu.

– Czy jesteś nieodwołalnie rozwiedziona z jego ojcem?

– Tak – odpowiedziała bez goryczy ani żalu.

– Czy zamierzasz kiedyś wrócić do Coheeries?

– Oczywiście. Tam jest mój dom.

– Niedługo?

– Gdy skończą się te zimy. Może na początku nowego tysiąclecia. Myślę, że wtedy wiele się zmieni, jeśli nie w świecie, to przynajmniej we mnie. Mam nadzieję, że ujrzę wtedy coś znacznie wspanialszego niż wszystko, co widziałam dotychczas.

Hardesty zrobił ze swoimi emocjami to, co robi się z ciałem, gdy siada się prosto jak struna.

– Co masz na myśli? – spytał.

Przemilczała to pytanie, ponieważ jedyną odpowiedź podszeptowała jej wiara i intuicja, a nie chciała obarczać ani odstręczać Hardesty’ego takimi przemyśleniami – mimo że bardzo chciała mu to powiedzieć. Chciała też go objąć i chciała, by on objął ją.

Hardesty podszedł do okna. Daleko za labiryntem dziedzińców i podwórzy, za długim na milę korytarzem budynków w kolorze terakoty, łukowymi oknami w kamiennych framugach, dachami krytymi łupkiem oraz drzewami, które latem wybuchały zielenią w lichych prywatnych ogródkach, górowały dwie szare wieże Williamsburg Bridge, szare jak maszty okrętu liniowego i rozjarzone światłami przypominającymi niebieskie diamenty.

– Wśród budynków, które widzisz – powiedziała, kołysząc dziecko – żaden nie został zbudowany później niż w 1915 roku. Jest tu cicho jak na łące. Latem wśród drzew gnieźdzą się setki ptaków, rano zawsze słychać ich śpiew. Ktoś tu ma nawet kurnik: co dzień o wschodzie słońca, gdy światło wlewa się na podwórza jak przypływ do zatoki Fundy, słychać pianie koguta. Zawsze mam wrażenie, że krzyczy: „Tysiąc dziewięćset! Tysiąc dziewięćset! Tysiąc dziewięćset!”.

– Myślisz, że za parę lat będzie krzyczał „Dwa tysiące! Dwa tysiące! Dwa tysiące!”?

– Myślę, panie Marratta – oznajmiła poważnym tonem – że za parę lat nie tylko kogut

będzie tak krzychał. Wszyscy będziemy witać rok dwutysięczny.

– Dlatego, że to liczba parzysta? – spytał, przysuwając się troszeczkę.

– Nie – odparła, drżąc z wrażenia, chciała bowiem, by się przysunął, choć zarazem bała się tego. – Nie dlatego, że to liczba parzysta.

– Dlatego, że wtedy skończą się te niesamowite zimy?

– Tak. Dlatego, że wtedy skończą się te niesamowite zimy.

– I miasto się zmieni?

– Tak. I miasto się zmieni.

– A jeśli się nie zmieni?

– Zmieni się.

– Dlaczego?

– Jeśli nawet zupełnie nic się nie wydarzy, to i tak wszystko się zmieni, ponieważ doznamy wielkiej ulgi. I zmienią się nasze oczekiwania. Ta zmiana nastąpi. Wiem to na pewno.

– Skąd ta pewność?

– Pomyślisz, że zwariowałam – odparła, odwracając głowę, jak gdyby ją uraził.

– Wcale nie.

– Wiem to na pewno – powiedziała – ponieważ te zimy nie są zupełnie po nic. One są jak pług. Wiatr i gwiazdy nękają ziemię i maltretują miasto. Czuję to i widzę, gdziekolwiek zwrócę wzrok. Zwierzęta wiedzą, że to nadchodzi. Statki krzątają się w porcie i ożywają, bo wiedzą, że to nadchodzi. Być może jestem w błędzie, ale wierzę, że każdy uczynek ma znaczenie i że burza, która w naszych czasach nieustannie przetacza się nad światem, czemuś służy.

– Ja także w to wierzę – powiedział Hardesty, biorąc ją za rękę. I tak oto pewnego wieczoru, szybciej niż w okamgnieniu, w mieście gotowym do wjeścia, dokonały się zaślubiny.

NOWE ŻYCIE

Na morzu było dużo światła, równomierny wiatr gnał wokół cypla i popychał przed sobą schludny przybrzeżny słup, idący pod rozwiniętym grotzagłem i wypiętym naprzód spinakerem. Po zachodniej stronie ciągnął się długi pas pustego wybrzeża porośniętego bujną roślinnością. Słoną wodę przecinały chłodne prądy i strumienie, przebijające się przez zielony gąszcz na brzegu i wpadające do oceanu niczym dopalające się fajerwerki. Takielunek protestował głośnym skrzypieniem, łódź nie była stworzona do pływania z prędkością dwudziestu pięciu węzłów. W morzu roiło się od ryb, a plaże były bielsze niż rysa na świeżym szkle.

Asbury i jego brat Holman nie odezwali się ani słowem od chwili, gdy przerwali łowienie ryb i postawili żagle, lecz wiedzieli, że obaj tak samo martwią się narastającym wiatrem, któremu lekkomyślnie rzucili wyzwanie. Wiało coraz potężniej, wydawało się, że za chwilę wiatr zerwie morze z powierzchni globu i ciśnie je w górę.

– Czy damy radę halsować pod taki wiatr, Asbury? – zawołał Holman.

Asbury pokręcił głową.

– Pod taki wiatr? Niemożliwe! – odkrzyknął. – Nie widziałem jeszcze czegoś takiego. Taki wichur potrafi zatopić okręt wojenny. Jeśli spróbujemy zrobić zwrot przez sztang, będziemy zgubieni. Ale i tak mamy szczęście.

– Jak to?

– Bo przy takim wietrze morze powinno mieć już dziesięć w skali Beauforta, a jest płaskie jak lód. To dlatego, że wiatr jest bardzo jednostajny. Gdyby nie był, fale miałyby sto pięćdziesiąt stóp wysokości. A nasze nadburcia nie są zbyt wysokie – spojrzał w stronę wody stojącej na dnie łodzi: już tylko stopa dzieliła ją od szczytu rumpla.

– Może przynajmniej spróbuję zwinąć spinaker? – zaproponował Holman.

– Nie! – odparł Asbury. – Ja to zrobię. Dla ciebie to zbyt niebezpieczne, lepiej... – Lecz nim zdążył dokończyć, jego brat, liczący zaledwie dwadzieścia jeden lat i dość szczupłej budowy, ruszył w stronę dziobu. Asbury kazał mu wracać, ale Holman nie usłuchał: brnął naprzód, usiłując zachować równowagę jak ktoś, kto stoi po pas w wartkim strumieniu i walczy z prądem.

– Odetnij go! – krzyknął Asbury, lecz wiatr zagłuszył jego słowa. Holman nie miał szans go usłyszeć; wczepił się jedną stopą w piętę grotmasztu, drugą oparł o wyciągarkę i zaczął luzować linkę spinakera.

– Odetnij ją! – krzyczał jego brat, lecz nadaremnie. – Odetnij!

Gdy linka szarpnęła się przez zwolnione zaciski, Holman zdał sobie sprawę, że siedzi na zwoju. Podniósł się, by odsunąć się na bok, ale wtedy wiatr porwał go z pokładu i cisnął nim w morze.

Asbury rzucił za sterburtę koło ratunkowe i zaczął rozwijać linę. Gdy rozwinęło się sto stóp, a Holman wciąż się nie pojawiał, puścił koniec liny, żeby przynajmniej miał się czego chwycić.

W tym momencie jednak odkrył ze zdumieniem, że Holman jest tuż obok: zanurzony do połowy w wodzie, dryfował tuż za burtą, uczepiony linki spinakera. Wiatr porywał go czasem z wody, unosząc pięćdziesiąt, sześćdziesiąt stóp w górę, a gdy żagiel opadał, ciskał nim z powrotem w morze.

Asbury rzucił się w stronę spinakera, chcąc go odciąć i wciągnąć brata na pokład, lecz wiatr zbił go z nóg. Asbury grzmotnął z rozmachem na grotmaszt. Na wpół zamroczony

i osłabły, zdołał z trudem wyciągnąć scyzoryk i przeciąć fał spinakera – lecz zamiast obniżyć w ten sposób blok żagla, osiągnął efekt przeciwny, czyli pozwolił mu rozszaleć jeszcze bardziej.

Zastanawiając się, co robić dalej, spojrzął na koniec żagla i ujrzał, że Holmana już tam nie ma. W końcu spinaker uleciał w powietrze i plasnął w wodę. Asbury usiłował coś dojrzeć przez krew, która zaczęła zalewać mu oczy, ale i tak nie ujrzałby już brata: Holman zniknął pod wodą. Postanowił, że wykona zwrot, choćby miał przyplącić to życiem.

Ślizgając się po własnej krwi, ruszył do steru. Gdy dobrnął na miejsce, opadł całym ciałem na rumpel i nie puszczał. Okrwawiona ręka przylepiła mu się do rękonożki.

– Skąd tu tyle tego? – spytał na głos. Faktycznie, krew była wszędzie, spadała na niego z góry gorącymi kroplami, aż w pierwszej chwili wydało mu się, że to deszcz. Nie był to jednak deszcz, po prostu miał rozciętą tętnicę na głowie. Przycisnął rękę do rany, ale krew przesiąkała mu przez palce.

Wiatr był tak silny, że mógł złamać maszt, lecz Asbury nie zważał na to i napierał z całych sił na rumpel. Zwojował tylko tyle, że ster wynurzył się z wody i zamachał w powietrzu jak szałwiarz. Nie mogąc nic więcej zrobić, trzymał kurczowo rumpel, aż opuściły go siły i upadł na pokład. Próbował wstać, ale na próżno. Chcąc zatamować krwawienie, przycisnął ranę do wręgi kadłuba. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, było wycie wiatru.

Gdy się ocknął, uczuł przejmujący chłód. Był wprawdzie czerwiec, a jacht nie odpłynął daleko na północ, była to jednak noc na morzu, a do tego Asbury miał na głowie poważną ranę. Szyja tak mu zdrętwiała, że zdawało mu się, iż na zawsze pozostanie w pozycji, w jakiej stracił przytomność, czyli z głową przyciśniętą do wręgi; nie mógł też otworzyć oczu. Jak ktoś, kto zamiast wstać i sięgnąć po dodatkowy koc przez całą noc nie może zasnąć z zimna, pozostawał w tej niewygodnej pozycji przez wiele minut, może nawet godzin. W końcu oprzytomniał na tyle, by poczuć łagodne i niejednostajne kołysanie, oznaczające, że łódź unosi się na spokojnych, niskich falach. Nieustęplicy świst wiatru ucichł, słychać było jedynie łopot takielunku i swojskie bulgotanie wody opływającej miecz.

Chcąc się oswobodzić, obrócił się na bok. Wprawdzie potężnie łupało go w głowie, a wręga wbijała mu się teraz żebra, ale ten ruch mocno mu ulżył. Na razie zrobił wszystko, co mógł. Otworzył sklezione zaschniętą krwią oczy. Pomału wracało prawidłowe krążenie, zrobiło mu się trochę cieplej. Spojrzął w gwiazdy: był wczesny ranek, pewnie koło czwartej.

Zakładając, że nie przespał okrągłej doby, Asbury obliczył, że Holman przebywa w morzu co najmniej od szesnastu godzin i że oddalił się od niego pewnie o dobre trzysta mil. Teraz, gdy potężny wiatr ucichł, dotarcie do miejsca, gdzie wypadł za burtę, zajęłoby co najmniej trzy, cztery dni.

Ponieważ wybrali się w rejs przybrzeżny, nie mieli na pokładzie innych przyrządów nawigacyjnych niż kompas. Asbury mgliście orientował się w swoim położeniu, instynkt podpowiedział mu jednak, że najbliższy ląd znajduje się w kierunku północno-zachodnim. Włożył sweter i skórzaną kurtkę Holmana. Wciąż był zziębnięty, ale pocieszał się, że niebawem wszędzie słońce. Zjadł kanapkę z wołowiną i jabłko, które zostały mu z wczorajszego posiłku. Gotując się na długi, uciążliwy rejs, pochłoniął jabłko w całości; przez chwilę zastanawiał się też nad zjedzeniem ogonka, ale w końcu wyrzucił go: jeśli będzie zmuszony jeść drewno, miał go na łodzi pod dostatkiem.

Był zrozpaczony zaginięciem brata, ale spokojne żeglowanie pod gwiazdami działało cuda. Gdyby noc nie była pogodna, dzień wstawałby znacznie wolniej – niebo rozjaśniało się jednak szybko, a rejs po morzu połyskującym od gwiazd działało wyjątkowo ożywczo.

Płynąc po czarnych jak smoła falach, pod gwiazdami tak nieruchomymi i pełnymi

godności, że wyglądały jak dekoracja katedralnej kopuły, Asbury po pewnym czasie zaczął pojmować, dokąd zmierza i po co. Takie zrozumienie można osiągnąć jedynie bladym świtem, tak jak snu nie da się złożyć na powrót w jedną całość i odczuć na nowo w świetle dnia. Gdy wstaje się nad ranem dostatecznie często i zmusi się serce i pamięć do pracy, można jednak je zdobyć, można je wywieść, półżywe, z niezgłębionych czeluści na powierzchnię, jak rybę, która po złowieniu leży na deskach pokładu, dyszy ciężko i błaga mgławiejącymi oczyma, by wpuścić ją z powrotem do morza.

Nikt nie wiedział, ile lat ma dziadek Asbury'ego Gunwillowa. On sam twierdził, że co najmniej sto siedemdziesiąt pięć.

– Nie inaczej! – mawiał. – Sto siedemdziesiąt pięć lub sto osiemdziesiąt. Gdy wybuchła wojna secesyjna, dopiero co odkupiłem od mojego partnera sklep tekstylny w St. Albans, w Vermont. Podczas wojny przeniósłem interes do Nowego Jorku i osiadłem na Brooklynie, obok stoczni marynarki wojennej. Zapatrywaliśmy stocznice, gdy budowali w niej okręty pancerne. W roku śmierci Lincolna nasz magazyn zajmował cały kwartał.

To rzekłszy, spoglądał w sufit. Światło wpadające do pokoju odbijało mu się od szarych oczu i białych włosów. Po chwili na twarzy pojawiał mu się wyraz zmieszania i niedowierzania.

– Przecież nie mogę być aż taki stary! Ludzie nie żyją tak długo. Zresztą nie jestem do końca pewien, jak to wszystko po kolei było. Ale pamiętam na przykład, gdzie mieszkaliśmy podczas wojny.

– Której wojny? – pytał Asbury.

– Nie pamiętam. Nasz dom stał w środku miasta, na wzgórzu, z którego widać było Atlantycką, Hudson Highlands, Ramapos, Palisades... Z naszego domu widziałem wszystko. Widziałem tysiące dzieci bawiących się w stu parkach. Widziałem je na huśtawkach i zjeżdżalniach. Widziałem guziki na ich płaszczykach. Widziałem barki i statki na rzece, wiedziałem, dokąd płyną, co przewożą i kiedy wrócą. Mogłem zajrzeć do każdego urzędu, domu i piwnicy w mieście; nawet żonkil świeżo włożony do butelki z wodą i ustawiony na parapecie nie uszedł mojej uwagi. Zaglądałem do wszystkich ogrodów, zerkąłem przez ramię gospodyniom domowym, do sal zebrań, szpitali i teatrów. Wiedziałem dokładnie, co dzieje się na giełdzie i we wszystkich łaźniach parowych na Staten Island. Jak to możliwe? – pytał, kręcąc z powątpiewaniem głową. – Sam nie wiem. Ale to prawda. Było to tak, jak gdyby lecieć balonem w pogodny letni dzień i widzieć wszystko z góry.

Po drugiej stronie domu – ciągnął – jak epolety na ramionach odźwiernego, rosły całe labirynty bukszpanu z jednokierunkowymi furtkami. Każdy z tych labiryntów był długi na parę mil, a krzewy tak gęste, że nie dałoby się ich przestrzelić z pistoletu. Balkon wychodzący na północ przymocowany był stalowymi linami. Czuliśmy się na nim trochę tak, jakbyśmy lecieli; lubiliśmy przesiadywać tam po obiedzie i pić herbatę. W rogu spał pies, miał swoje legowisko pod zielonym sklepieniem. Latem było tam bardzo chłodno, dlatego właśnie lubił tam leżeć. Daj psu chłodne miejsce latem i ciepłe zimą, a prześpi tam całe życie. Balkon zwrócony był na północ. Każdego wieczoru, w północnym świetle, rzeki były niebieskie, ten błękit aż bił po oczach... Czy ty jesteś moim synem?

– Nie, dziadku, wnukiem.

– Którym?

– Jestem Asbury.

– O czym myśmy rozmawiali?

– O Nowym Jorku.

Staruszek wpatrywał się przed siebie pustym wzrokiem.

– I o to właśnie chodzi.
– O co?
– Powinieneś tam jechać.
– Dlaczego?
– Jedź, zanim będzie za późno. *Silniki*.
– Jakie silniki?
– Wszystkie. Nastawione tak, by wygrywać jeden dźwięk. Wydaje mi się, że są nastrojone. Jeszcze nie do końca prawidłowo, ale to już i tak muzyka. Jeden prowadzi. Pozostałe kiedyś do niego dołączą. To dopiero będzie się działo!
– Przykro mi, dziadku – odparł Asbury – ale nie do końca rozumiem, co masz na myśli.
– A o czym my rozmawiamy?
– O silnikach.
– Ach, o silnikach! Co chcesz o nich wiedzieć?
– Powiedziałeś, że są nastawione tak, by wygrywać jeden dźwięk.
– A, tak. Siedzą tam cichutko jak psy, zwrócone we wszystkich możliwych kierunkach, niektóre porzucone w ciemności, inne stare i rdzewiejące, inne dobrze utrzymane. Tak czy owak każdy z nich ma duszę.

Asbury wydawał się wstrząśnięty.

– Mają duszę! Wszystkie co do jednego. Przecież są w ruchu, prawda? A niby co wprawia rzeczy w ruch? Jak ci się zdaje? Wszystko, co się rusza, ma duszę. Czy wiesz, że w każdym stadzie owiec jest baran, który idzie na czele z dzwonkiem na szyi? Z silnikami jest podobnie. Jest silnik, który wychwytuje rozbrzmiewające w nim interwały i przesyła je dalej. Reszta dołączy kiedyś do niego. Gdybym był taki młody, jak ty, sam bym tam pojechał – dodał, po czym złapał go atak kaszlu. Jego twarz błyskawicznie zrobiła się purpurowa, po chwili jednak równie szybko przybrała chłodniejszy niebieski kolor, a potem odzyskała spokojną biel i dziadek znów oddychał spokojnie. Asbury dziwił się, jak można tak mało oddychać. Zdawało mu się, że dziadek robi wdech zaledwie kilka razy na minutę. Musiał chyba dziwić się na głos, bo gdy dziadek odzyskał zdolność mówienia, wyjaśnił: – Ja nie potrzebuję tlenu. Dotarłem już do końca i pomału osuwam się w dół. Pewnego dnia stanę się lekki jak piórko. Przynajmniej mi.

– Co mam przyrzec?

– Że wybierzesz się do Nowego Jorku.

Asbury przyrzekł. Lecz do dnia, gdy wiatr porwał mu brata, zdążył zapomnieć o obietnicy. Teraz, po kilku słonecznych dniach na morzu, doleciał go basowy pomruk – było to, jak sądził, łomoczące serce wielkiego miasta, i nie miał żadnych wątpliwości, którego.

Hardesty i Virginia zakochali się w sobie po uszy, obsesyjnie, jak często dzieje się z dwojgiem ludzi, którzy stanęli twarzą w twarz z tą samą, nie do końca zrozumiałą prawdą. Choć czasy były mniej rozwiązłe niż kilka dziesięcioleci wcześniej, nikt nie mrugnąłby okiem, gdyby zamieszkali razem (w mieszkaniu Virginii pomieściłyby się trzy osoby) lub stworzyli dość nieokreślony związek często spotykanego typu, niby skandaliczny, lecz pełen wahania. Oni jednak postąpili inaczej: staroświecko zalecali się do siebie, trochę tak jak dawniej czynili to ich rodzice – może dlatego, że Hardesty od dziecka wychowywał się bez matki, a Virginia bez ojca. Swych utraconych rodziców znali jedynie z czułych opowieści, słyszeli wzruszające historie z czasów ich narzeczeństwa. Nie bez znaczenia było też pewnie to, że Virginia miała za sobą nieudane małżeństwo i brała sobie do serca nawiedzające ją wizje, Hardesty zaś był żołnierzem, miał za sobą dwa werbunki i nie spieszyło mu się do następnego. Bez względu na przyczyny ich namiętność rozwijała się długą, spokojną falą; przez całą pierwszą zimę swej znajomości oboje

niespiesznie i delikatnie zabiegali o swoje względy.

Hardesty mieszkał na poddaszu przy Bank Street. Dach kamienicy był spadzisty, podczas przechodzenia z pokoju do pokoju trzeba było się schylać, sąsiedztwo było jednak spokojne, a przez wiatr i śnieg dolatywał go dźwięk kościelnych dzwonów wybijających cierpliwie godziny, półgodziny i kwadranse. Koty i wiewiórki biegały po dachach za łupem i paradowały po telefonicznych drutach z taką gracją, że mogłyby zawstydzić cyrkowych akrobatów. Gdy kot szedł po śniegu, poruszał się jak królowa na wygnaniu, był uosobieniem ostrożności i dumy. Jednego razu na podwórzu wylądował jastrząb, ale tylko na chwilę: zajrzał sobie pod cętkowane skrzydła i zaraz poderwał się do lotu. Powietrze często wypełniał śnieg lub słodki dym z palonego drewna, który zaciemniał panoramę i zdawał się zatrzymywać czas. Gdy zaś zapadała wczesna zimowa noc, świat upodabniał się do owych miniaturowych scenek, które widuje się w szklanych przyciskach do papieru, wypełnionych wodą i sztucznym śniegiem.

Każdego popołudnia, gdy tylko zamknięto wydanie „The Sun”, Hardesty dzwonił do Virginii z budki (oboje nie mieli u siebie telefonu, uważali to za zbyt rzadką rozrzutność). Ustalali, co zjedzą na kolację, po czym z dwu różnych stron szli do mieszkania Virginii, kupując po drodze składniki na targach i w sklepach. Czasami, gdy Virginia zostawała dłużej w pracy lub Hardesty wyszedł wcześniej, spotykali się na Printing House Square i szli do domu razem. Zwykle jednak Hardesty szedł samotnie o zmierzchu przez Greenwich Avenue. Uważał ją za najwspanialszą ulicę w mieście. Ilekroć mijał St. Vincent’s Hospital, czuł się jak w którejś z wielkich rosyjskich powieści. Wysokie ściany i wielkie rozświetlone okna przywodziły na myśl sprawy ostateczne. Tuż obok, w restauracjach przyozdobionych kominkami i wieńcami jemioli, przesiadywali ludzie zajmujący się na co dzień zdumiewającymi błahostkami. Jak mogli to znieść? Lękliwi pacjenci szpitala nieśli w sobie prawdę o śmierci i umieraniu, gdy więc przechodzili przez zaśnieżoną ulicę, potęgowali melancholię wypełniającą ten bezseny, straszny rok.

Hardesty wciąż czuł się zobowiązany wypełnić zadanie, które ojciec zręcznie wyznaczył mu w San Francisco, powstrzymywały go jednak kuszące miejskie atrakcje oraz przyjemne obowiązki. Na myśl o tym, że wkrótce będzie musiał opuścić Virginie, ogarniał go niewysłowiony smutek. Nie miał jednak wyjścia, musiał ją porzucić. Naprawdę ją kochał, lecz ona, raz już uciekwszy na saniach do Kanady, nie wybrałaby się za morze ani z nim, ani z nikim innym. Na razie jednak udawało jej się go zatrzymać. Poza tym miał pracę.

Praeger de Pinto znalazł w nim nie tylko bratnią duszę, lecz także – co znacznie ważniejsze – konkurenta. Ilekroć wpadł na jakiś pomysł, nigdy nie był pewien, czy Hardesty nie pomyślał o tym wcześniej; ponadto, wbrew temu jak go postrzegano, uważał Hardesty’ego za wspaniały talent. Zagadnął o niego Virginie przy paru okazjach, ponieważ chciał go zatrudnić, nie wiedział tylko w jakim charakterze: jako dziennikarza politycznego czy może reportera miejskiego? Bądź co bądź Hardesty znał język włoski. Tak czy owak zależało mu, by to Hardesty poprosił go o pracę. Traf chciał, że pewnego niedzielnego popołudnia spotkali się przypadkiem na lodowisku na Brooklynie.

Było to miejsce słynące z imponującej panoramy Nowego Jorku: gdy spojrzano się wzdłuż długiej alei, miało się przed sobą całutkie miasto, jak na olejnym malowidle. Praeger, Virginia i Hardesty usiedli na zatłoczonych ławkach w prostokątnym żółtym budynku z huczącymi kominkami, na wprost okien wychodzących na Manhattan, ostukali płozy łyżew z resztek lodu i zapatrzili się w mroźną przestrzeń.

– Ciekawe, co to za dziwny wieżowiec – odezwał się Praeger jakby do siebie, wskazując na mauretańską kopułę z różowego kamienia. Ku jego zdziwieniu odpowiedział mu Hardesty:

– To Clive Tower. Wybudował ją w 1867 roku John J. Clive, dla upamiętnienia syna, który zginął w Mobile Bay.

Potem Hardesty rozgadał się jeszcze o roli, jaką wieżowiec odgrywa w mieście, jego miejscu w historii architektury, o inżynierach i architektach, którzy go zbudowali.

Praeger zapytał o inne budynki. Hardesty znał większość z nich. Wzniesiona przez Praegera iskierka ciekawości rozbłysła jasnym płomieniem wykładu o historii, architekturze, poezji: Hardesty przedstawił prawdziwy portret miasta z perspektywy lodowiska, wprawiając w zdumienie Praegera, Virginie, a nawet samego siebie. Dopiero gdy na lód wyjechała grupa miejscowych chłopaków z pochodniami i zaczęła grać w hokeja, wszyscy troje zorientowali się, że jest już ciemno.

– Skąd ty to wszystko wiesz, do diabła? – spytał Praeger.

– Czytałem trochę i spacerowałem.

– Co robiłeś w San Francisco?

– Niewiele – wyznał Hardesty. – Odpoczywałem po wojsku. Przez dobrych parę lat. Ale gdy wyszedłem z wojska po raz pierwszy, udało mi się zrobić doktorat z historii sztuki i architektury. To jest chyba odpowiedź na twoje pytanie.

– Doktorat mnie nie interesuje – odparł Praeger. – Najważniejsze, że wiesz, o czym mówisz. Może napisałbyś parę kawałków dla „The Sun” i „The Whale”? Jeśli będą tak dobre jak ta mała rozprawka o cywilizacji Zachodu, którą nam właśnie przedstawiłeś, moglibyśmy dać ci stałą kolumnę.

– Marko Chestnut mógłby ją ilustrować – dodała Virginia.

– W „The Ghost” mają dział poświęcony architekturze – wyjaśnił Praeger. – Sekcja numer trzydzieści dziewięć, ukazuje się w poniedziałki i piątki. Ale oni skupiają się głównie na postaciach ekscentrycznych architektów. Ostatnio pisali na przykład o pewnym człowieku, nazwiskiem bodaj Amrosio D’Uberilles, którego „manifestem artystycznym” było wypełnienie całego mieszkania od podłogi aż po sufit ciemnopurpurowymi kuleczkami bawełny. Zatyłował to Portret martwego wielbłąda tańczącego na dachu łaźni parowej. Jeśli mamy z nimi konkurować, musimy robić to tak, jak gdyby byli zupełnie inną gazetą niż my. Żeby uchronić się od ich wpływu, udamy, że w ogóle nie istnieją. Żeby uniknąć efektu lustrzanego odbicia, będziemy z nimi walczyć, jak gdyby byli naprawdę poważnym przeciwnikiem. Będziemy musieli ruszyć głową. Oni wtedy poczują się ważni. Ale trudno, Harry Penn postąpiłby tak samo. W tym momencie nie widzę innego wyjścia.

– Rozumiem – rzekł Hardesty; huk pieców rozbrzmiewał mu w uszach jak grom. – Czytałem o tym wielbłądzie tańczącym na dachu. – Następnie, przyglądając się pochodniom hokeistów śmigającym po nocnym lodzie i rzucającym odblaski na ściany lodowiska, oznajmił Praegerowi, że podejmie się sportretowania miasta.

Niespełna tydzień później Hardesty i Marko Chestnut zaczęli wędrować po mieście w poszukiwaniu co ciekawszych budowli, z zamiarem oddania i uwiecznienia ich ducha. Zadanie nie należało do trudnych, budynków były setki tysięcy, od Riverdale po South Beach, od Riverside Drive po New Lots. W czwartki ukazywały się artykuły Hardesty’ego, zajmujące całe dwie kolumny. Pośrodku każdej strony znajdował się duży rysunek piórkami autorstwa Marka. Brooklyn opisali jako spętanego orła próbującego zjeść ostrygę Staten Island. Pokazali czytelnikom chaos Fourteenth Street, kominy Astorii, co wykwintniejsze części East Side, mglisty jak angielski ogród Gramercy Park, a także złote iglice Manhattanu widziane z Weehawken o zachodzie słońca, gdy miasto ze szkła płonie jak gwiazda w przestrzeni kosmicznej. Im więcej znajdowali obiektów, tym więcej pozostawało ich do opisanego, a robili to

dobrze.

Wszystko to jednak sprawiło, że Hardesty coraz bardziej nie mógł się doczekać swego sprawiedliwego miasta. Koniec końców postanowił odsunąć na bok swoje uczucia i naturalne skłonności, i popłynąć do Europy. Kochał Virginie, jego miłość do niej była jeszcze większa niż poczucie odpowiedzialności wobec ojca, istniało jednak coś niezależnego od nich obojga, co kazało mu iść dalej. Było to tak przemożne, że porównywał siebie do mężczyzny, którzy opuszcza swą rodzinę i na ochotnika idzie na wojnę. Musiał w końcu dokonać wyboru, ponieważ wzywało go coś, co nie należało do niego, co przemawiało doń z innego czasu – tak odległego, że nie mógł nadziwić się nieustępliwości tego wołania. Wiedział, że jeśli wyjedzie, popełni błąd. Lecz zwykły błąd to jedno, a błąd popełniony na rzecz idealnego miasta to zupełnie inna sprawa.

Swój zamiar obwieścił Virginii pierwszego czerwca. Virginia była w szoku: wybuchła rozpaczliwym szlochem, a potem rzuciła się na niego. Próbowwała wytargać go za włosy, uderzyła go raz czy dwa.

– Wynoś się! – krzychała z wściekłością. Gdy wyszedł z mieszkania, trzasnęła drzwiami i zamknęła je na klucz. Wciąż słyszał jej rozdzierający płacz. Po tym, co powiedział, nie mógł już tak po prostu zapukać do drzwi i wrócić, kupił więc bilet na najbliższy statek i wrócił na swoje poddasze, przeklinając lato.

W dniu wyjazdu wsiadł do taksówki i kazał się zawieźć do portu okrężną trasą przez miasto. Był wczesny niedzielny ranek, początek czerwca, pogoda idealna: było pogodnie, chłodno, błękitnie – mimo to na ulicach nie było żywej duszy, tylko słońce. Gdy taksówka przejeżdżała przez Chelsea, Hardesty usłyszał w radiu jakąś arię i miał wrażenie, że dobiega ona z samych budynków, z opustoszałych podwórzy, z dusz mieszkańców. Kochał Virginie najmocniej, jak tylko to było możliwe, i przyszło mu na myśl, że może to, co – jak sądził – znajdowało się gdzieś daleko, jest jednak obecne w każdym mieście, może nawet w samej Virginii, o ile tylko przyszłość jest na tyle uczciwa i obdarzona wyobraźnią, by znaleźć sobie azyl w jednostkowej duszy. Jeśli naprawdę tak było, popełniał błąd.

W połowie arii ujrzał znajomą postać przechodzącą przez Hudson Street ze sztalugą na ramieniu i pudłem olejnych farb pod pachą: Marko Chestnut wracał znad Hudsonu. Marko lubił malować rzekę z samego rana, gdy było najlepsze światło, a bandy miejskich opryszków właśnie szły spać. Hudson mieścił w sobie tysiąc różnych rzek, każda ujawniała się w innym świetle: łagodna o świcie, wzburzona w porywach jesiennego wiatru, królewsko błękitna pod czystym niebem, w styczniu skuta lodem, zielonoszara podczas zimowych sztormów, w sierpniu zamglona jak górskie jezioro. Marko Chestnut najbardziej lubił letnie poranki, cenił ich mocne, jednoznaczne światło.

Hardesty kazał taksówkarzowi się zatrzymać. Wyskoczył na chodnik i zawołał kolegę, ten jednak – zawsze czujny, ponieważ często go napastowano, gdy malował w plenerze – zaczął uciekać.

– To ja! – zawołał Hardesty.

– Myślałem, że wyjechałeś. – Marko zatrzymał się i spojrzał na niego zmrużonymi oczyma zza szkieł okularów.

– Właśnie wyjeżdżam. Która godzina? Statek wypływa o ósmej.

Marko Chestnut zawahał się, spojrzał na zegarek i powiedział:

– Siódma. Po co się tak wcześniej wybrałeś? Nabrzeże, z którego odpływa Rosenwald, jest trzy ulice stąd.

– Nie sądziłem, że jest tak wcześnie.

– Jadłeś już coś?

– Nie.

– Chodźmy do Petipas, zjemy śniadanie – zaproponował Marko. – Stamtąd możemy iść na statek piechotą.

Zjedli śniadanie w ogródku restauracji, przyglądając się ptakom buszującym w bluszczu na zalanej słońcem ścianie i wsłuchując się w syreny okrętowe, odbijające się echem od urwisk Hudsonu.

– Jak możesz zostawić taką kobietę? I po co? Czy wiesz, że ktoś ją już kiedyś porzucił? Taki jeden szajbus z Kanady... Jak on się nazywał? Boissy d'Anglas?

– Wiem o tym – odparł Hardesty.

– To nie w porządku wobec niej. Postępujesz nieuczciwie. Popełniasz błąd. Może jako wdowiec rozumiem to lepiej niż ty, ale i tak coś ci powiem: jesteś idiotą. Odrzucasz najcenniejszą... Na litość boską, czy ja ci to muszę tłumaczyć?

– Nie.

– Więc dlaczego nie zostaniesz?

– Nie mogę – szepnął Hardesty. – Ze względu na ojca.

Nieopodał rozległ się ryk syreny.

– Czy to Rosenwald? – spytał Hardesty.

– Być może – odparł Marko. – Ale jeśli tak, to już płynie w dół rzeki. Jest dwadzieścia po ósmej – dodał z uśmiechem.

– Ty sukinsynu, zapamiętam ci to! – krzyknął Hardesty, gromiąc go wzrokiem.

– Jeszcze mi podziękujesz – oświadczył Marko z pewnością w głosie.

Wybiegli z restauracji. Szamocząc się ze sztalugą, Marko przewracał stoły i rozbijał filiżanki. Hardesty wezwał taksówkę, wsiadł i popędził na południe. Marko ruszył jego śladem. Obie taksówki przyjechały pod Battery w tym samym momencie. Turyści nie mieli pojęcia, co się dzieje: dwóch mężczyzn, jeden taszczyący sztalugę i farby, biegło w stronę południowego przedłużenia promenady, okładając się nawzajem wyzwiskami. Schludny jak admirał w galowym mundurze Rosenwald szedł już pod parą, wysoki dziób mijał właśnie Liberty Island. Hardesty zaczął rozwiązywać buty.

– Chcesz go dogonić w pław? – spytał Marko Chestnut. – Taki statek rozwija dwadzieścia węzłów!

– Otóż to. A woda jest lodowata. Nie spodziewam się, że go dogonię. Ale zamierzam spróbować. A nuż się zatrzyma. Cóż może mi się stać? Najwyżej trochę wyziębię organizm.

Rzucił się do zatoki i zaczął płynąć. Ku wielkiemu zdumieniu Marka minutę później Rosenwald pyknął w górę obłokiem czarnego dymu i zatrzymał się.

Oficerom holenderskiego statku pochlebiło, iż Hardesty tak bardzo ceni ich usługi, że nie wahał się wskoczyć do przeraźliwej brei, która w nowojorskim porcie uchodziła za wodę. Wyłowili go mniej więcej na wysokości maszynowni, wsadzili pod gorący prysznic, potem okrętowy lekarz zaaplikował mu dziesięć zastrzyków, a ochmistrz przyniósł galon rosołu wołowego. Zaproponowano mu także, by wieczorem zjadł kolację przy jednym stole z kapitanem. Hardesty najchętniej odrzuciłby zaproszenie, gdyby nie to, że ubrany był w osobisty szlafrok kapitana, aksamitny, szafirowy, ze złotym godłem Holandii na kieszonce. Uznał, że trudno odrzucić zaproszenie kogoś, kto użył mu swojego szlafroka.

Gdy wyszedł wreszcie na pokład, ujrzał Nowy Jork w coraz mocniejszych promieniach słońca. Miasto lśniło jak wysadzana klejnotami biżuteria. Wśród wieżowców nie sposób już było dostrzec niczego, co miałyby ludzkie proporcje. Tu i tam jednak wyłaniały się zza nich kopuły i eleganckie krzywizny lin nośnych, przywracające szklanym klifom właściwą skalę; Hardesty

uświadomił sobie, że wewnątrz tych kopuł i wśród tych lin śpiewają i krzyczą ludzie, kobiety wchodzą pod prysznic, pianiści grają na fortepianach, tańczą tancerze. Gdzieś tam była także Virginia, pewnie wychodziła właśnie z domu prosto w letnie słońce. Nieco dalej w górę rzeki świeżo zbudzone lasy spoczywały wśród zieleniejących pól i niebieskich gór. Tu i tam rozpalano wczesnoletnie ogniska i palono opadłe gałęzie, by oczyścić leśne dróżki; smutki dymu unosiły się powoli i ostrożnie jak alpiniści.

Nie było łatwo wyjechać z Nowego Jorku letnią porą, w dodatku drogą morską. Hardesty momentalnie zatęsknił za niekończącymi się alejami, za mostami, które zwykle ocierały się o warstwę chmur, za miastem, w którym historia i przyszłość wydawały się biec ramię w ramię, jednakowo chaotyczne i zdumione. Zatęsknił też za Virginią. Zatęsknił za nią tak bardzo, że miał ochotę przeskoczyć przez reling i popłynąć w stronę Long Island, choć woda była tak zimna, że na pewno by mu się to nie udało. Zdawał sobie też sprawę, że gdyby tak zrobił, uznano by go za wyjątkowego ekscentryka, zważywszy na to, w jaki sposób dostał się na pokład. No i najpewniej rozszarpałyby go na kawałki okrętowe śruby. Zresztą i tak nie miał na sobie swoich ubrań, wysłano je do pralni – co znaczyło, że gdyby nawet przeżył, musiałby płynąć dziesięć mil, a potem paradować po lądzie w przywłaszczonym szlafroku. Takie oto praktyczne względy powstrzymywały go przed opuszczeniem statku – dopóki na kursie statku nie ujrzał pewnej przeszkody.

Pasażerowie sądzili, że to tylko pas gęstej mgły. Ufali, że oficerowie i przedstawiciele linii Vergeetachtig Oester bezpiecznie przeprowadzą przez nią statek. Ci jednak byli mocno stropieni. Pas mgły nigdy nie sięga do samego nieba ani nie rozciąga się po morzu na trzydzieści mil we wszystkich kierunkach, równo i gładko jak platynowy wzorec metra w budapeszteńskim Biurze Postulatów; nie drga też i nie dudni jak ogromny werbel.

Na mostku zapanowało ożywienie: kapitan postanowił, że trzeba podpłynąć bliżej do tajemniczej mgły i przyjrzeć się jej z oddali lub nawet pozostać na kursie i przebić się na drugą stronę. Nie były to burzowe chmury, tylko potężna biała ściana, u jej podstawy zaś morze było tak wygładzone, że aż jakby niewidzialne. Dobiegający z wnętrza histeryczny łoskot brzmiał tak, jak gdyby samochodowe klaksony toczyły straszliwą awanturę z syrenami okrętowymi. Gdy Rosenwald podpłynął bliżej, ogrom ściany przechodził wszelkie wyobrażenia.

Mimo wieloletniego doświadczenia i elektronicznych przyrządów nawigacyjnych oficerowie nie potrafili określić, z czym mają do czynienia. Wiedział natomiast Hardesty – i wiedział na pewno, że nie wolno mu opuścić Virginii, bo jeśli to zrobi, już nigdy do niej nie wróci. Virginia wspominała mu kilka razy o tajemniczej ścianie mgły, sam zresztą przebił ją, gdy jechał Polarisem – choć akurat spał, gdy dachy wagonów wyjeżdżały z wypolerowanymi dachami spod mlecznego kłębowiska, bagatelizowanego przez wszystkich jako kolejny wybrzyk rozszalałej zimy. Skąd Virginia o niej wiedziała, pozostawało tajemnicą; może od matki?

Hardesty nie miał ochoty przepaść bez śladu w nieokreślonym czasie. Jeśli Virginia mówiła prawdę, Rosenwald mógł spędzić we mgle całą wieczność lub jedną sekundę, a następnie wyłonić się z niej ku zdumieniu mieszkających jeszcze na wybrzeżu Irokezów, lub w nieznaną i niepojętą przyszłość. Gdyby nawet załodze i pasażerom Rosenwaldu udało się wrócić, nikt by im nie uwierzył: do końca życia byłiby skazani na milczenie bądź uznano by ich za wariatów.

W młodości Hardesty często zastanawiał się, czy da się wyskoczyć z płynącego statku. Było to skomplikowane i śmiertelnie niebezpieczne zadanie: skoczek ryzykował, że wciągną go i rozszarpia go obracające się śruby. Po starannym namyśle młody Hardesty uznał, że najlepiej byłoby wyskoczyć za burtę pod kątem piętnastu stopni od osi wzdłużnej statku, z balastem, który

zmniejszyłyby prawdopodobieństwo wessania pod śruby. Jego ojciec również przeanalizował problem.

– Gdy zanurzysz się na dwadzieścia stóp – ostrzegł – musisz zwinąć się w kulę, by zmniejszyć powierzchnię ciała; zredukujesz w ten sposób efekt żagla i zminimalizujesz prawdopodobieństwo, że wciągnie cię próżnia wytworzona przez śruby. Nie zapomnij, żeby na głębokości czterdziestu stóp wypuścić balast. Rozumiesz, ocean jest dość głęboki.

Kapitan Rosenwaldu rozkazał płynąć wprost w ścianę, jak gdyby była to zwyczajna mgła. Gdy wąski dziób statku zagłębił się w białe urwisko, Hardesty popędził po głównym pokładzie w stronę rufy. Podekscytowani pasażerowie z twarzami rozpozgodzonymi w szczęśliwych uśmiechach, jak ktoś, przed kim odsłania się właśnie lepszy świat, znikali kolejno wraz z nadbudówkami. W pewnym momencie Hardesty uczył, że mgła musnęła mu stopę, i całe jego ciało przeszły prąd niewysłowionej rozkoszy – nie zmysłowej, która ograbia i spala duszę, tylko prawdziwej duchowej ekstazy, która mogłaby zaprowadzić go bardzo daleko. Lecz coś w nim krzychało, że miasto mimo wszystko jest lepsze. Nie zdążył poznać go dostatecznie, nie doświadczył jeszcze w pełni jego skandalicznej energii, jego wieżowców, mostów, kopuł, rzeki w świetle południa, toczącego się w nim życia. Poza tym w mieście była Virginia.

Statek płynął z szybkością imponującą nawet jak na holenderski liniowiec. Gdy ściana mgły była zaledwie o kilka cali za jego plecami, Hardesty porwał z pokładu przeciwpożarowe wiadro w piaskiem, które miało posłużyć za balast. Biała kipiela spowiła mu jedną nogę. Znów ogarnęła go osłabiająca rozkosz, wyrwał się jednak i popędził dalej. Gdy stanął w końcu przy relingu i gotował się do skoku, kłębówisko ogarnęły mu połowę ciała. Byłby się już poddał, gdyby grawitacja nie pociągnęła go w końcu do morza rozciągającego się niewidzialną przestrzenią pod chmurami.

Rosenwald zniknął. Hardesty znalazł się pod wodą z płucami pełnymi powietrza, ściskając rączkę wiadra, w obawie, by nie wciągnęły go śruby lub to, przed czym właśnie uciekł. Zanurzał się coraz głębiej w morze, tak zimne, że aż galaretowate, i tak szmaragdowe, że aż bolały oczy.

W końcu puścił wiadro i zaczął unosić się do góry. Zaczął podejrzewać, że żarłoczna ściana chmur była tylko wytworem jego wyobraźni, i zastanawiał się, co pomyśleli sobie pasażerowie, gdy tak pędził po pokładzie, powiewając kapitańskim szlafrokiem, chwycił wiadro z piaskiem i przeskakiwał przez reling. Potem dotarł do powierzchni i wynurzył się. Nie zobaczył ani ściany chmur, ani statku. Był sam, z dala od lądu, w lodowatym morzu.

Tego samego dnia, kiedy w budynkach i na mostach zapalały się już światła wieczoru, Asbury Gunwillow wpływał swym małym słupem na kasztanowe wody zatoki. Był zdumiony natężeniem i różnorodnością ruchu między przemysłowymi wyspami, w ujściach rzek, kanałach, cieśninach i zatoczkach. Nowojorski port był tak rozgałęziony, że Craig Binky nazwał go kiedyś „ośmiorniczym”; Asbury niechybnie skończyłby w Jamaica Bay lub walcząc z przybojem na East River, gdyby nie pilot, którego zabrał po drodze na pokład.

Gdy zobaczył dryfującego w szlafroku rozbitka – podobnego trochę do Ofelii unoszonej na wodzie przez wydęte suknie, lecz zupełnie pozbawionego sennej łagodności Ofelii, przeciwnie, niespokojnego i rozgadanego – był rozczarowany, że to nie jego brat Holman. Gdy zaś wciągnął Hardesty’ego na pokład, dał mu spodnie, granatowy sweter i chwilę czasu na rozgrzanie się i ochłonięcie, a potem spytał:

– Skąd się tu wzięłeś?

Spodziewał się prostej odpowiedzi. Znajdowali się daleko od lądu, w zasięgu wzroku nie

było żadnych statków. Spodziewał się usłyszeć wszystko: że Hardesty jest mistrzem świata w pływaniu w zimnej wodzie, że jego luksusowy jacht przewrócił się do góry dnem i zatonął, że został wyrzucony z okrętu podwodnego, wystrzelony z działa, że wypadł z samolotu – ten oznajmił mu jednak, że przyplłynął na tacy do herbaty. Asbury’emu nie spodobała się ta odpowiedź, lecz Hardesty upierał się przy niej z taką ulgą i tak przekonującą histerią, że nie śmiał go więcej wypytywać.

Przez jakiś czas prowadzili uprzejmą konwersację o niczym, lecz gdy znaleźli się w cieśninie Narrows – może dlatego, że w miękkim zmierzchu tak pięknie rozjarzyły się mosty, a po drugiej stronie zatoki nagle ukazało się miasto – zaczęli się zastanawiać, dlaczego właściwie skrzyżowały się ich ścieżki. Obaj doszli do wniosku, że nie powinno się składać obietnic bez pokrycia, i zadumali się nad osobliwą siatką zobowiązań, niepowodzeń, przypadków i zdarzeń, która wszystko z sobą wiąże, nawet tych, którzy sądzą, że są wolni.

– Oprócz praw natury rządzących światem, który znamy – zastanawiał się Hardesty – być może istnieją też prawa organizacji, niewołące nas do wzorców i zadań, których nie dostrzegamy.

– Mogę zaświadczyć o tym osobiście – rzekł Asbury. – Złożyłem pewne przyrzeczenie, nie dotrzymałem go, a potem, po latach, wiatr zwał mi brata z pokładu i pchnął mój jacht na nieznany kurs. Przyrzekłem, że wybiorę się do Nowego Jorku. Teraz nie jestem zaskoczony. Trafił mi się nawet darmowy pilot.

– Możesz też wziąć sobie moje mieszkanie – powiedział Hardesty, zamierzał bowiem zamieszkać na zawsze z Virginią, oczywiście pod warunkiem że przyjmie go z powrotem.

Asbury zgodził się; w zaistniałej sytuacji głupio byłoby zastrzegać się, że woli najpierw obejrzeć lokal.

Podpłynęli do nabrzeża przy Morton Street. Hardesty wyskoczył na brzeg jak królik i popędził do mieszkania Virginii. Gdy dotarł na miejsce, przez chwilę stał pod drzwiami, nasłuchując dźwięków dobiegających ze środka. Słyszał szum wody, gaworzenie dziecka, stukot noża o deskę do krojenia, głos Virginii, która śpiewała Martinowi lub mówiła do niego, jak gdyby był w stanie ją zrozumieć.

Hardesty wdrapał się na dach i opuścił się na dach stojącej po sąsiedzku policyjnej stajni; stamtąd mógł niepostrzeżenie zajrzeć do mieszkania. Chińscy i włoscy chłopcy z sąsiedztwa weszli tam dość często, niby dla zażycia świeżego powietrza, a tak naprawdę po to, by podejrzeć Virginie bez ubrania. Hardesty podzielał to pragnienie i ilekroć ich przyłapał, robił im stosownie srogą burę. Teraz pragnął jedynie zobaczyć ją w ruchu, w ubraniu czy bez. Chciał ją zobaczyć i zapamiętać jej widok na zawsze, by kiedyś, w przyszłości, mógł on odsłonić się przed nim ponownie i sprawić mu radość. Znad rzeki, przez labirynt kamienic, nadciągał chłodny powiew. Potężne drzewo, pyszniące się świeżym listowiem, westchnęło i zadrżało, gdy Virginia pojawiła się w rozjaśnionym pudełku mieszkania. Co pewien czas przechodziła w pobliżu okna, Hardesty mógł jej się wtedy dokładniej przyjrzeć. Była opalona i ubrana w białą sukienkę z fioletowym wzorem wyszytym wokół dekoltu. Hardesty zmienił pozycję; słyszał jak konie w stajni rżą, wyczuwając jego obecność. Teraz mógł zajrzeć do kuchni – i usłyszał, jak Virginia czyta Martinowi w oczekiwaniu na obiad.

– „Dziś zawinął do naszego portu statek The Arms of Amsterdam, który dwudziestego trzeciego września wypłynął był z Nowych Niderlandów nad rzeką Mauritus” – przeczytała. Często czytała Martinowi: nie chciała, by siedział bezmyślnie i przyglądał się, jak ona w tajemniczym milczeniu wpatruje się w papier pokryty jakimiś szlaczkami, od czasu do czasu przewracając strony. To, że matka mówi do niego, jak gdyby mógł ją zrozumieć, schlebiali mu,

starał się jej nawet odpowiadać. Virginia nie chciała monopolizować rozmowy, czasem przerywała strumień mowy, odkładała książkę i pytała:

– A ty co o tym myślisz, Martin?

Synek zwykle wahał się przez chwilę, jak gdyby zastanawiał się nad odpowiedzią, rozglądał się, po czym wybuchał piskliwym dziecięcym gaworzeniem:

– Tauja! Tauja! – powtarzał, lub: – Ijama! Ijama! – Ona wówczas porywała go w ramiona, całowała i mówiła:

– Tak! Właśnie tak! Jakiś ty bystry!

Teraz Martin wydawał się wyjątkowo pobudzony. Virginia zastanawiała się, dlaczego, ale czytała dalej:

– „Załoga donosi, że naszym krajanom nie brakuje odwagi, lecz żyją w pokoju, a niewiasty rodzą dzieci. Kosztem sześćdziesięciu guldenów kupiono także od dzikusów wyspę Manhattes”.

Po tych słowach Virginia obróciła się i wyjrzała przez okno w letnią noc. Widziała głównie swoje odbicie, nie spostrzegła Hardesty’ego. Ależ była smutna, ależ śliczną miała twarz, obramowaną czarnymi włosami i wąskim szlaczkiem fioletowego haftu na sukience! Nagle schyliła głowę i zakryła dłonią oczy. Hardesty wychylił się ku niej w ciemności. Virginia często powtarzała, że pragnie po prostu żyć w mieście i czekać, co się zdarzy. Błagała, by on także nie szukał, tylko czekał.

– Osoby duchowne, takie jak Boissy d’Anglas – mówiła – spalają się w szukaniu, a nie znajdują nic. Jeśli twoja wiara jest autentyczna, rób to, co do ciebie należy, wypełniaj zobowiązania i czekaj, aż znajdziesz. Bo znajdziesz na pewno. Jeśli nie ty, to twoje dzieci, a jeśli nie twoje dzieci, to ich dzieci.

Śliczna kobieta w białej sukience z fioletową obszywką, w pokoju z pięknym widokiem na ogrody i most, stała się w oczach Hardesty’ego uosobieniem wschodzącego miasta. Zresztą miasto było nieważne – Hardesty po prostu ją kochał.

Nie czekając, aż Virginia rozplacze się na dobre, wspiał się z powrotem po drabinie na dach, zszedł po schodach i dotarł pod jej drzwi. Gdy schodził z dachu stajni, konie znów zadrzały. Przełaząc przez gzyms, ujrzał miasto. Z tej perspektywy miejskie światła wyglądały jak letnie ogniska na trawiastej równinie. „Pamiętaj o miękkim powietrzu – myślał, schodząc z dachu. – Pamiętaj o miękkim powietrzu i o miejskich światłach. Światła nigdy nie są takie same, wciąż się zmieniają, są jak odległe duchy tych, co odeszli na zawsze, lecz nie zostali zapomniani”. I może właśnie takie dalekie duchy lśniły z aprobatą, gdy Hardesty Marratta w milczeniu szedł przez dach, na chwilę zatrzymał się, by na nie spojrzeć, a potem zniknął na wąskich schodkach.

BRAMA PIEKIEŁ

Od połowy września do końca czerwca prawie każdego ranka Christiana Friebourg wychodziła z hotelu prowadzonego przez jej ojca, stawała na ganku i spod zmrużonych powiek przyglądała się zalanych słońcem pastwiskom i zagonom ziemniaków ciągnącym się do samego morza. Ponieważ plażę i pola zalewały niekiedy sztormowe fale, hotel wzniesiony był na skalnym fundamencie, ganek znajdował się więc całe półtora piętra nad ziemią, schodziło się zeń długimi schodami. Z tej wysokości widać było i wydmy, i ocean, a na wschodzie także niski las, nakrywający pasem zieleni piaszczyste wzgórza. Christiana stała dłuższą chwilę na ganku, spoglądając na morze, pola i las, wsłuchując się w szum fal i wiatru, i mówiła światłu „dzień dobry”. Potem zarzucała tornister na ramiona, podkasywała sukienkę, zbiegała po schodach i ruszała w stronę północnego lasu. Żeby dotrzeć do szkoły, musiała przejść pięć mil przez pola, minąć lepianki sezonowych robotników i przemierzyć las, w którym żyły jelenie, króliki, pięćdziesiąt gatunków ptaków, lisy, łasice oraz dzikie świny, które przedzierały się przez krzaki z chrzęstem łamanych gałęzi jak żołnierze na poligonie.

Szkoła mieściła się w dawnych koszarach piechoty morskiej przycupniętych na klifie nad Gardiner's Bay. Składała się sześciu zgrzebnych białych sal, do których wpadało bez przeszkód północne światło, z widokiem na morze, wyspy oraz niebo zlewające się niekiedy z Atlantykiem. Przez okrągły rok szczyty okien zwieńczone były koronami z jasnego blasku. Choć lekcje były wymagające, a czas mijał szybko, w chwilach przerwy dzieci mogły wsłuchiwać się w syreny oceanicznych statków, płynących przez zamglone morze, ryczące jak dalekie waltornie, i dziwić się zdolnościom atlantyckiego wiatru, któremu nawet w najciemniejsze dni udawało się rozproszyć półmrok, wypełnić sale lekcyjne i opowiedzieć im o słonecznym świetle.

Gdy Christiana chodziła do drugiej lub trzeciej klasy, jej nauczycielka – młoda kobieta, tak piękna, że Christiana nawet nie marzyła, by kiedyś dorównać jej urodą – poprosiła, by uczniowie opowiedzieli o swoich ulubionych zwierzętach. Każdy miał zgodnie ze swymi wyobrażeniami opisać wygląd psa, konia, ryby, ptaka bądź innego stworzenia, jakie tylko przyjdzie mu na myśl. Dzieci wstawały po kolei i opowiadały o swoich ulubieńcach. Nikt się nie zdziwił, gdy Amy Parsons zaczęła mówić o królikach, odruchowo kołysząc na rękach swojego ulubionego króliczka. Pewna nieśmiała dziewczynka, która nigdy nie mówiła głośniejsz niż ochryplym szeptem, opowiedziała historię o psie, który próbował wdrapać się na płot – i zaczarowała słuchaczy, przynajmniej tak, że musieli skupić uwagę na jej cichutkim głosie. Wszyscy uśmiechali się, gdy najgrubszy chłopiec w klasie przez pięć minut spontanicznie recytował wierszowany poemat o swojej miłości do świnki: „Moja świnka to jest to: / Uszka miękkie, w głowie pstro. / Aksamitną ma szcecinę / I prześmieszna robi minę. / Bardzo zawsze o nas dba / Je ziemniaczki na sto dwa. / Daje mleko, mięsko, skórę / I szlachetną ma naturę” i tak dalej. Wiersz kończył się tak: „Kocham świnkę moją czule / Zawsze chętnie ją przytulę”.

Następnie syn rybaka opowiedział o miecznikach. Niemal zahipnotyzowany wspominał, z jaką odwagą walczą o życie, wyskakując całym ciałem z wody, jak dają z siebie wszystko, by uciec z powrotem do morza. Podsumował, że mieczniki muszą bardzo kochać życie, skoro tak bardzo opierają się rybakom. Już sam ten wniosek wystarczyłby za całe wypracowanie, lecz nie kończyło się na tym: napisane dziecięco czystym, apodyktycznym stylem, poruszało też problem stwórczej siły pamięci oraz definicji odwagi.

Nauczycielka była zadowolona z wypracowania o miecznikach, nie mogła się jednak doczekać, kiedy zabierze głos Christiana. Wiedziała, że dziewczynka kocha zwierzęta i jest

niepospolicie skłonna do rozmyślań. U Friebourgów rzadko zatrzymywali się goście, hotel podupadał już od czasu narodzin Christiany. Dziewczynce przykro było patrzeć, jak rodzice nie radzą sobie z interesem, nie była to jednak wielka tragedia: Friebourgowie nie byli ludźmi chciwymi i godnie znosili coraz większą biedę. Christiana była bystrą dziewczynką o bujnej wyobraźni, a do tego bardzo ładną. Swą największą siłę czerpała jednak ze źródeł, których nie dałoby się sensownie opisać i skatalogować. Miała w sobie niepojętą przenikliwość, moc widzenia rzeczy takimi, jakie są. Umiała dostrzec właściwą miarę wszystkiego, zupełnie jak gdyby piorun uderzył w ziemię u jej stóp i trwał w powietrzu tak długo, że nauczyła się postrzegać wszystko w jego jasnym, przezroczystym świetle, aż do najgłębszych źródeł.

Wreszcie nadeszła jej kolej. Christiana zerknęła przez okno, jak zawsze zwieńczone światłem, i w kwadracie okiennej ramy ujrzała, jak na tle rozfalowanego lazuru przesuwa się szybko sylwetka mewy. Pojawiła się i natychmiast zniknęła, jak gdyby jej wcale tam nie było. Christiana wstała z ławki. Miała swoje ulubione zwierzę, bardzo je kochała i zamierzała o nim opowiedzieć. Odkryła jednak, że na samą myśl o tym, iż miałyby przyoblec jego widok w ciało, opisać, jak sadził pomalu w cudownych, niesłychanych susach – czyli na wspomnienie jedynego dnia, gdy go ujrzała – do oczu napłynęły jej łzy.

Ponieważ była praktyczna i nie chciała wprowadzać niepokoju w klasie, szybko postanowiła, że opowie o innych zwierzęciu – i zaczęła mówić o owcy, którą jej rodzice paśli na małym spłachetku trawy przed hotelem. Nie mogła jednak wykrztusić słowa, zbyt mocno dostrzegała głębię wszystkich rzeczy. Na domiar złego przyszło jej mówić o zdarzeniu, które w całym jej krótkim życiu poruszyło ją najmocniej. W końcu nie zdołała się opanować i ku ogólnemu zakłopotaniu wybuchła bolesnym szlochem. Bardzo się starała, ale nie była w stanie myśleć o niczym innym niż o białym koniu.

Christiana otrzymała od matki zadanie: miała nazbierać w lesie jagód na ciasto i babeczki. Właściwym celem wyprawy był jednak wielomilowy spacer w czerwcowym słońcu po porośniętych wrzosem wzgórzach, samotny i swobodny, z lekkim wiklinowym koszyczkiem w ręku. Na każdym zakręcie ścieżki i szczycie wzniesienia oczom dziewczynki ukazywały się coraz to nowe widoki: pasma kobaltowoniebieskiej wody w beżowym piasku, zielone języki lasu sięgające samego morza, promienie słońca odbijające się płasko od wód zatoki Sound. Zdawało się jej, że z każdym mrugnięciem oka otwiera się przed nią nowy, wspaniały pejzaż; mocna bryza przyozdabiała jeszcze te pejzaże, wpychając na plażę wysokie fale i wieńcząc ją rozedrganymi bransoletami piany. Późnym rankiem, gdy koszyk był już wypełniony do połowy, Christiana usłyszała huk gromu wprost z jasnego nieba. Wychyliła się zza grzbietu kremowej wydmy i ujrzała, że coś leci z góry do morza: ciągnąc za sobą szlaczek mgły, runęło do wody niczym meteoryt spowity w dym i złote płomienie. Ptaki poderwały się z krzaków z głośnym szczebiotem, jak gdyby usłyszały wystrzał z karabinu, a rudy lis, który buszował we wrzosach, zastygł bez ruchu i nasłuchiwał z łapą uniesioną nad ziemią, jakby bojąc się, że jeśli ją postawi, utraci ostrość zmysłów.

Christiana rzuciła koszyk na ziemię i pobiegła na szczyt wydmy. Osłoniła sobie oczy dłonią i przyjrzała się morzu. W odległości niespełna ćwierć mili od niej kołysał się wśród fal krąg białej wody. Pośrodku tej wzburzonej tarczy coś desperacko się szamotało. Nie była to ryba (miało nogi), nawet z oddali widać było też, że marznie i że przejęte jest panicznym strachem istoty, która czuje, że tonie.

Z osłoniętymi oczyma Christiana zaczęła schodzić z wydmy, zachodząc w głowę, co to może być i co powinna uczynić. Dotarłszy do wzburzonej krawędzi wody (fala była wysoka po szkwale), zrobiła coś, czego nie zrobiłby żaden dorosły – chyba że silny, młody żołnierz, który

właśnie wrócił z wojny i uważa, że jest nieśmiertelny. Nie spuszczać wzroku z szamoczącego się w wodzie obiektu, zrzuciła buty, rozpięła sukienkę i pozwoliła jej opaść na piach, niebezpiecznie blisko liżących plażę fal. Ubrana jedynie w znoszoną, poróżwiałą ze starości jedwabną podkoszulkę, weszła do morza, gdy zaś piana kipiela sięgała jej do pasa, a fala powrotna omal nie zbiła jej z nóg, zanurkowała w lodowatą wodę i zaczęła płynąć, to wspinając się na potężne grzywacze, to zanurzając się w coś, co zawsze nazywała „solą i pieprzem” – łoskot fal był bowiem biały, a z zamkniętymi oczyma widziała tylko czern. Z falami radziła sobie nieźle, w walce z nimi jakby urosła. Nie dała im się zepchnąć do tyłu, w bok ani na dno, po niedługiej chwili płynęła już swobodnie przez niebieską, bardzo głęboką wodę.

Ocean kołysał się rytmicznie, ruchami podobnymi do ruchów skrzypcowego smyczka: to ciskał Christianę w głąb chłostanych wiatrem niecek, w których było tyle wirów, ile lilii wodnych w sierpniowym jeziorze, to wynosił na wierzchołki wodnych gór, które załamywały się, zmieniały w wklęsłe płaskowyże, a potem rozpadały na tuzin drobnych strumieni. Ze szczytów fal Christiana widziała wszystko jak z wieży obserwacyjnej, spostrzegła więc, że prąd znosi ją na bok. Zmieniła kurs i płynęła dalej, aż wreszcie, niemal zupełnie wyzuta z sił, dotarła na skraj spienionego kręgu. Pośrodku wciąż szamotało się przerażone zwierzę.

Christiana przyjrzała mu się uważnie. Był to biały koń, dwukrotnie większy niż zwykłe wiejskie szkapy, które ciągnęły pługi na ziemniaczanych polach, lecz smukły jak myśliwski rumak. Christiana nigdy nie widziała na własne oczy oddziału kawalerii ani bitwy, po ruchach konia widziała jednak, że sądzi on, iż znajduje się w ogniu walki. Nie tonął – był raczej jakby pograżony w dziwnym śnie. Przednie kopyta wynurzały się ponad wodę jak skaczące marliny i miażdżyły wyimaginowanych wrogów, wzbijając zakrzywione gejzery. Koń rżał dokładnie tak, jak czynią to konie w trakcie walki, dodając sobie odwagi, tylnymi nogami zaś wierzgał nieprzerwanie i tratował spienioną wodę.

Christiana wiedziała, że jeśli spróbuje się zbliżyć, zostanie zmiażdżona, a jeśli nie, zacieśniający się pomału wir pociągnie ją na dno. Mimo to popłynęła naprzód.

Woda wewnątrz kręgu była znacznie mniej zwarta i wyporna. Christiana co rusz zapadała się w głąb, by po chwili wynurzyć się w zupełnie innym miejscu. Płynęła jednak uparcie przed siebie, aż znalazła się dosłownie nad koniem – na poły unosiła się nad nim, na poły spoczęła na jego szerokim grzbiecie. Wyciągnęła ręce najdalej, jak mogła (czyli niezbyt daleko), objęła go za szyję i zamknęła oczy, jakby w oczekiwaniu na wybuch.

Jeżeli koń czegokolwiek się w tej chwili spodziewał, to na pewno nie tego, że zniemacka obejmie go mała dziewczynka w jedwabnej podkoszulce; w każdym razie nie widział, kto go dosiadł, i wpadł w szal. Najpierw wyskoczył z morza niczym rumak świętego Botolfa, przez chwilę niemal leciał w powietrzu. Potem, z nogami wyciągniętymi w tył i w przód, runął do wody, licząc na to, że strugi wody zmyją mu nieproszonego jeźdźcę z grzbietu. Zanurzył się najgłębiej, jak mógł, kołysząc się, wierzgając w wodzie tłumiącej wszelki dźwięk – lecz Christiana, choć w płucach brakowało jej powietrza, nie puściła jego szyi.

Gdy się wynurzył, wciąż na nim siedziała; nie przestawał wierzgać, lecz nie chciał już jej zrzucić. Czuł, że musi wydostać ją na brzeg. Christiana była kruchym dzieckiem o chudziutkich ramionach i mokrych włosach opadających na twarz, i choć przepłynęła taki kawał morza, dosiadła go i nie dała się zrzucić, była przemarznięta do szpiku kości, nie miała już siły mierzyć się po raz kolejny z falą przyboju i wstecznymi prądami. Dotknęła szyi białego konia, nagliła go, by płynął w stronę brzegu – w końcu ruszył więc wplaw, jak czynią to konie, gdy przepływają przez rzekę: idealnie skoncentrowany, skupiony na swym zadaniu.

Płynąc na jego grzbiecie, Christiana czuła, że równie dobrze mogłaby skierować się

w przeciwną stronę i jak niedźwiedź polarny spędzić kilka miesięcy na morzu. Koń wydawał się mieć nieskończony zapas sił.

Gdy przedarli się przez przybój, koń zaczął biec szybciej, jak gdyby właśnie się obudził lub od tyłu powiał silny wiatr. Na chwilę wstrzymany przez wsteczną falę, rzucił się naprzód paroma wielkimi susami, omal nie zrzucając swej pasażerki, i już po chwili stał na suchym lądzie. Christiana nie zdawała sobie sprawy, jak wysoko jest nad ziemią, gdy więc próbowała zsunąć się z jego grzbietu, upadła twardo na piach i zastygła w pozycji siedzącej. Nie mogła uwierzyć, że koń jest aż tak ogromny. Mogła bez schylania głowy przejść pod jego brzuchem. Przemknęła między jego tylnymi nogami, muskając je dłońmi, jak gdyby były pniami drzew, a potem wyszła z przodu, pod jego brodą, i stanęła przed nim, by mógł ją zobaczyć. Był pokiereszowany – skórę miał pociętą ranami, niektóre jeszcze krwawiły – ale i tak wyglądał jak ożywiony rumak z miejskiego pomnika.

Koń przekrzywił łeb i spojrzał na nią rodzicielskim wzrokiem jak na źrebię. Potem nachylił się i otarł się chrapami o jej brzuch, o głowę, popychając ją przy tym leciutko, przyciskając jej włosy do twarzy, lecz nie czyniąc jej przy tym najmniejszej krzywdy. Christiana nie mogła oderwać wzroku od jego idealnie okrągłych, łagodnych oczu.

Potem pobiegła po ubrania i gdy oboje wyschli, osuszeni przez słońce i wiatr, spostrzegła, że koń zerka w niebo, jak gdyby czegoś szukał. Śledził wzrokiem mewy unoszone prądami powietrza, lecz wyglądało na to, że jednak nie one go interesują. Następnie pogalopował tam i z powrotem po plaży, zatoczył koło, aż wreszcie, potrząsając grzywą, przysiadł na tylnych nogach. Wyraźnie zadowolony, wykonał skok, którym – ku zdumieniu Christiany – przesadził całą wysoką linię wydm nad samym brzegiem oceanu. Nim zdążyła go dopędzić, galopował znowu, przeskakując niesłychanymi susami rozległe pasma wydm, ściany krzaków i słone jeziora. Przyglądała się, jak bryka, dopingując go w myślach, by skakał jeszcze dalej, jeszcze wyżej – a on naprawdę to robił. I wcale o niej nie zapomniał: co chwila zatrzymywał się, obracał się i szukał jej wzrokiem. Christiana była na tyle młodziutka, że ilekroć wydłużył zasięg swych skoków, nagradzała go klaskaniem; serce jej rosło, gdy wzbijał się w powietrze.

W pewnym momencie spojrzał w stronę wydmy, na której siedziała, i wysoko uniósł szyję. Potrząsając głową w przód i w tył, zarżał w piękny, głęboki sposób, jak czynią to konie, gdy są czymś poruszone. Potem obrócił się w stronę plaż nad Soundem i zaczął biec. Zatrzęsa się ziemia, zadrżała porastająca plażę trawa, koń rzucił się przed siebie i wystartował do lotu.

Stateczny i pulchny Craig Binky lubił przesiadywać w swym wspaniałym ustroniu na East Hampton, które ochrzcił mianem „Ślub Miętki i Melby”; wpatrywał się w rozmigotane światła i pogrążał się w sennym bezruchu. Tak naprawdę lokal nosił nazwę Klub Wędków i Strzelby, wybudował go jego ojciec Lippincott „Bob” Binky z myślą o białych chrześcijanach pochodzenia angielskiego. Członkowie klubu nie przepadali jednak za synem założyciela. Nie podobał im się jego sposób wyrażania, masywna postać, liczne bezsensowne przepisy, które ogłaszał na zebraniach (na przykład takie, że wszystkie dziewczynki między dziewiątym a dziesiątym rokiem życia muszą *stale* nosić rękawki pływackie), ani sterowiec, który przycumował sobie nad polem golfowym. Craig Binky nazywał go Binkopedem i używał podczas pogrzebów. W chwili grzebania zmarłego sterowiec nadlatywał nad grób, rzucał cień na żałobników, a wtedy fotograf „The Ghost” robił im zdjęcie w niezwyklej jak na pogrzeb pozie: z głowami zadartymi w górę.

Craig Binky i jego przyjaciel Marcel Apand (magnat rynku nieruchomości, lubieżny osobnik o szczyrzych oczach i skórze koloru świecy; jego nazwisko wymawiało się jak *ape hand*, czyli „małpia ręka”) uważali, że zadaniem ludzi bogatych – a więc także ich zadaniem –

jest zaszywać się na olśniewających plażach lub w cienistych gajach rozbrzmiewających brzęczeniem pszczoł, przesiadywać w kołysanych wiatrem ogrodach i patrzeć w morze z tarasów komfortowych letnich willi, wielkich jak hotele. Któregoś popołudnia, gdy dwunastu kelnerów rozkładało sztućce i porcelanowe zastawy na klubowych stołach, Craig i Marcel spierali się właśnie o prawdziwość twierdzenia tego pierwszego, jakoby siedem plus pięć równało się trzynastce. Zajmującą dysputę matematyczną przerwał dyrektor klubu, który precyzyjnie się przez tłum opalonych mężczyzn i kobiet, zaprosił ich do zjedzenia homarów gotujących się właśnie w wielkich parujących kotłach wypełnionych morską wodą i świeżym koprem; przewidując, że perspektywa obiadu wyeliminuje wszelką dyskusję, poprosił następnie Craiga Binky'ego o przysługę.

Dyrektor wiedział, że dom Craiga w East Hampton ma czterdzieści pięć pokoiów, a bliźniak przy Sutton Place sześćdziesiąt, nie licząc wielu innych, nieużywanych mieszkań i domów rozsianych po całym świecie, na przykład apartamentu z ogrodem w Kioto. Pragnął wiedzieć, czy Craig Binky – lub może Marcel Apand – mógłby wynająć jeden pokój na tydzień lub dwa młodej pracownicy klubu, pomocy kuchennej, która właśnie szukała pracy i musiała zatrzymać się w mieście. Klub jak co roku zamykano pierwszego października, a ona nie miała gdzie mieszkać: jej ojciec zmarł niedługo po tym, jak jego stary hotel – położony pośrodku pół ziemniaczanych niedaleko Springs – spłonął podczas straszliwej burzy z piorunami, matka zaś wyjechała z powrotem do Danii.

– Czy ja mam wolny pokój? Sam nie wiem... – odparł Craig Binky, rozglądając się dokoła rozbieganym wzrokiem, jak zwykle czynią to ludzie, gdy prosi się ich o przysługę. – Hmm... pokój bilardowy jest w przebudowie...

– Och, nie szkodzi – odparł pospiesznie dyrektor. – Nic nie szkodzi.

Marcel Apand przysłuchiwał się uważnie ich rozmowie.

– Zaczekaj, Craig – powiedział. – Nie chciałbyś najpierw rzucić na nią okiem?

Niedługo potem, jak rzucili na nią okiem, Christiana znalazła się na jachcie Marcela o nazwie Apand Victory. Pływając wśród tysięcy żagli rojących się jak ćmy na wodach Soundu, czuła się tak, jakby jeździła na czółenku krosna tkającego gobelin lata. Do Nowego Jorku płynęła jachtem dwa dni. Po drodze zatrzymali się w posiadłości Marcela w Oyster Bay, gdzie jej zdaniem Marcel zachowywał się dziwnie, był stanowczo zbyt bezpośredni w sprawach, o których mieszkańcy najdalszego skraju Long Island w ogóle nie zwykli rozmawiać z nowo poznanymi osobami. Następnego dnia – był to czwarty lipca, święto niepodległości – wspaniałomyślnie wybaczyła mu jednak brak taktu, całą uwagę skupiając na gorącej błękitnej mgłę zasnuwającej drogi morskie do miasta.

Christiana nigdy dotąd nie była w Nowym Jorku. Słyszała, że jest to miasto oszałamiająco wielkie, miewała też pewne domysły na jego temat, gdy widywała władczych i bogatych nowojorczyków, co roku tłumnie zjeżdżających się na wyspę – lecz nie domyślała się nawet połowy prawdy.

Przepłynęli pod tuzinem mostów spinających oba brzegi Soundu. Już od patrzenia na nie z dołu mogło zakręcić się w głowie. Z daleka prezentowały się jako piękne łuki wsparte na smukłych filarach. Podobnie jak księżyc i słońce, lato i zima oraz wiele innych rzeczy mających dokładne odpowiedniki, podsuwały myśl, że powołał je do istnienia jakiś wyższy, doskonalszy zamysł. Christiana wprost nie mogła uwierzyć, że jest ich tak wiele; rozkosznie brzmiały nawet same ich nazwy, które kapitan obwieszczał specjalnie dla niej wraz z nazwami mijanych rzek, kanałów i zatok.

Gdy przepłynęli przez cieśninę Hell Gate i ujrzeli ciemne urwiska Manhattanu,

Christiana zrozumiała, że choć wioskom nie można odmówić uroku, to jednak świat najbardziej fascynuje się miastami. W Kips Bay widzieli szare kaniony, których widoku trudno było zapomnieć, a niezliczone mosty wznosiły się nad rozpedzonymi jak konie wyścigowe kanałami – ich stalowe konstrukcje były ażurowe jak pajęczne sieci, a liny prężyły się jak fale u wybrzeża Amagansett.

Niczym zdezelowany, porzewiały holownik ze smukłym nowym liniowcem na holu Marcel zaczął ciągać Christianę po przyjęciach. Potrafił zaliczyć razem z nią, przykuwając uwagę innych gości, dwa tuziny imprez w tygodniu. Gdy czwartego lipca schodzili z jachtu, a następnie jechali taksówką przez półtoramilowy kanion z krwistoczerwonej cegły i lustrzanego szkła, widzieli po drodze trzy, może cztery osoby; w zwykły dzień widzieliby ich tysiące. Wszystkie okna były zamknięte, a powietrze tak nieruchome, że drzewa nie śmiały się poruszyć, jakby nie chcąc czuć go na sobie jeszcze bardziej. Christiana miała wrażenie, że wkracza do miasta umarłych. Gdyby wjechała od strony Long Island, mijając preię pełną grobów, to wrażenie byłoby jeszcze silniejsze. Na przyjęciach Marcela zaś mocno się w nim utwierdziła.

Imprezy te były jednym z kosztów, jakie Marcel musiał płacić za to, że mieszka w pałacyku z ogrodem wychodzącym na East River. Pałacyk ten – starannie urządzone salony, biblioteki, łaźnie, sauny i skąpane w słońcu balkony – przez większość czasu Christiana miała tylko dla siebie: Marcel niemal bez przerwy siedział w biurze; za to gdy wracał, miała być już umalowana, ubrana w drogie jedwabie bądź suknie przybrane lśniącymi cekinami i gotowa do wyjścia.

Z początku szukała pracy, z radością przyjęłaby każdą posadę, nawet ekspedientki w domu handlowym Woolworth lub sprzątaczkę w banku. Na przyjęciach, balach dobroczynnych i kolacjach dla bogatych klientów pracę proponowano jej nieustannie, zupełnie jak gdyby posady były przysmakiem noszonym przez służbę na tacach. Zarabiałaby wielkie pieniądze, w zamian jednak oczekiwano od niej usług, które – jak powszechnie sądzono – świadczyła Marcelowi.

Młodzi mężczyźni, którym wpadała w oko, okazywali się albo pracownikami Apanda, lojalnymi wobec swego szefa, lub podobnymi doń nienasyconymi kreaturami, i zawsze udawało im się na osobności wręczyć jej numer telefonu. Mężczyźni, którzy stawiali namioty i roznosili jedzenie, różnili się z kolei od rybaków z Amagansett, którzy w wolnym czasie wykonywali podobne prace. Nie ośmielali się na nią spojrzeć, ona zaś wstydziała się patrzeć na nich. Ze smutkiem wspominała, jak dawniej roznosiła jedzenie skandynawskim rodzinom, które zatrzymywały się w hotelu: pianista wygrywał duńskie piosenki sprzed półwiecza, a ona popatrywała na opalonych chłopców, tak jak oni marzyła o tym, by objąć ich w pasie i zatańczyć, i tak jak oni czerwieniła się aż po korzonki jasnych włosów.

W sierpniowe noce Christiana, Marcel i jego przyjaciele zasiadali czasem na balkonie wychodzącym na rzekę, na samym skraju ogrodu. Załadowane barki i przybrzeżne statki przepływały przy samym brzegu cicho i szybko jak potwory, które przypadkiem zabląkały się do miasta i przemykają się potajemnie kanałami. Te biedne przestraszone istoty stały się celem pistoletów Apanda. Gdy mijały balkon, Marcel, Christiana i ich znajomi strzelali w ciemność, starając się trafić w światła pozycyjne; gdy mierzyli nisko, słyszeli, jak kule rykoszetują od stalowych kadłubów i trafiają w wodę.

Czasem, gdy przyjęcie odbywało się na wysokim piętrze któregoś z wieżowców, Christiana podchodziła do ciemnych okien i spoglądała na miasto. Nowy Jork dławił się letnim upałem. Przez mętne skwarne powietrze widać było, jak płoną czynszówki w dzielnicach biedoty, niekiedy po dziesięć naraz. Miejskie światła lśnią w sierpniowej mgiełce również

przypominały błyski pożarów, całe miasto wyglądało tak, jakby płonęło. Nie dusiło się jednak we własnym dymie, przeciwnie, było pełne życia – i Christiana chciała je poznać, nawet jeśli miałyby się w nim zatracić. Wiedziała bowiem, że istnieją różne rodzaje piekła: niektóre są czarne i brudne, inne srebrne i strzeliste.

Pod koniec lata nastąpiła taka fala upałów, że bagna w New Jersey wyschły i zbieleły, aż zaczęły wyglądać jak dno słonego jeziora, sosnowe lasy były suche jak pieprz, a piaszczyste plaże Montauk upodobniły się do marsjańskich pustyń. Samo miasto było jak wnętrze garncarskiego pieca: temperatura nie schodziła poniżej trzydziestu sześciu stopni, tak samo gorąco było w nocy. Po głównych arteriach, wyspach i bulwarach hulał suchy wiatr, spragnione drzewa kołysały się jak oszalali tancerze, błagając o wodę.

Którejś dusznej nocy pod sam koniec sierpnia Hardesty i Virginia poddali się nieokiełznanemu pożądaniu. Jak opętani, dysząc i pocąc się niczym atleci, zdarli z siebie ubrania i złączyli się w gwałtownym, akrobatycznym, ociekającym wilgocią miłosnym akcie. Czuli się jak potężne silniki, jak paleniska, jak hutnicze piece; zastanawiali się, czy może jakiś wielki bóg zmierzający ku krańcom wszechświata nie przelatował właśnie obok Słońca i nie omiótł przypadkiem Ziemi swym gorącym płaszczem. Gdy skończyli, usłyszeli ryk syreny frachtowca wypływającego w morze. Wyczuwali jego kształt, ciężar statku wytworzył grawitację, która wprawiła ich w drżenie, jak gdyby nie płynął wzdłuż East River, tylko tkwił pośrodku ich sypialni.

W mieszkaniu nieopodal Asbury Gunwillow leżał w swoim łóżku, z trudem łapiąc oddech. Znalazł posadę w „The Sun” jako pilot: woził reporterów i ilustratorów na statki i do pożarów w porcie, wywoził ich daleko w morze na spotkania z dygnitarzami na pokładach oceanicznych liniowców, służył jako przewoźnik między Manhattanem, Brooklyn Heights i Sheepshead Bay, śledził jednostki straży przybrzeżnej, służby celnej i policji portowej, pozwalał czytelnikom „The Sun” ujrzeć nowe budynki z nieznanej dotąd rzecznej perspektywy, towarzyszył Hardesty’emu i Markowi Chestnutowi w wyprawach do odległych nadmorskich dzielnic w rodzaju Sea Gate czy Indian’s Mallow, a czasem po prostu brał wędkę, wypływał z zatoki i łowił na błyszczką tłuste lufary. Od miesiąca nie mógł się opędzić od pewnej monstrialnej, zaniedbanej kobiety z Tribeca, intelektualistki, która nie wiedziała, czy jest dzień, czy noc, nigdy nie widziała oceanu i sądziła, że kozioł to samiec owcy. Chorobliwie zazdrosna, żyła tylko wśród książek, żywiła się głównie tytoniem i alkoholem, miała żabią twarz, cerę koloru wątroby, kurzy mózdzek, a ciało o gracji szopa pracza. Bez trudu zwabiła jednak Asbury’ego do swojego loftu przy Vesey Street, ponieważ miała syreni głos i nosiła rajske nazwisko Juliet Paradise. Asbury był raczej szarmancki wobec kobiet, nie poszedł z nią do łóżka na pierwszej randce i teraz Juliet ściagała go jak gończy pies.

– Jak mam się jej pozbyć? – pytał Hardesty’ego i Marka. – Gdy patrzę na jej twarz, widzę pizzę. Próbowałem już wszystkiego. Powiedzcie mi, co mam robić? – lecz oni tylko się śmiali, ubawieni jego desperacją.

W śródmieściu, przy Central Park West, Praeger i Jessica zeszli się właśnie po dziewiątym czy dziesiątym rozstaniu, wiedząc doskonale, że będą tak robić do końca życia. Harry Penn, wdowiec, wybrał się na spektakl z udziałem córki, prowadził najlepszą gazetę zachodniego świata i jadał domowe obiady gotowane przez Boonyę, szaloną, lecz uroczą gosposię z Norwegii. Marko Chestnut, również wdowiec, nie mógł przestać kochać swojej zmarłej żony, szukał pocieszenia w swej sztuce, w dzieciach pozujących mu do obrazów oraz wiecznie zmieniającym się mieście. Craig Binky był starym kawalerem, nigdy nawet nie myślał o miłości – i w ogóle nie myślał o żadnej innej rzeczy. Był szczęśliwy: miał swoją gazetę,

sterowiec, mnóstwo planów pogwałcenia „The Sun”, i to mu wystarczało. Marcel Apand miał swoje nieruchomości, konkubiny i Christianę na pokaz.

W tę samą sierpniową noc, gdy Asbury nie mógł zasnąć, a Hardesty i Virginia złączyli się w szalonym uścisku, Marcel Apand zabrał swoich najbliższych przyjaciół oraz Christianę na przejażdżkę trzema olbrzymimi limuzynami do najbardziej niebezpiecznych dzielnic. Marcel nie był głupi: limuzyny były kuloodporne, wyposażone w radia oraz karoserie pod wysokim napięciem, w każdej siedział ochroniarz uzbrojony w mały pistolet maszynowy i granaty z gazem łzawiącym; podobnie wyposażeni byli kierowcy.

Marcel wymyślił tę wyprawę, bo chciał się rozerwać, nie mógł spać, a także dlatego, że chciał pozbawić Christianę złudzeń, jakoby zadymione, pozbawione prądu dzielnice były rajską przestrzenią zamieszkiwaną przez wolnych ludzi. Chciał jej pokazać, że nic podobnego nie istnieje, że w świecie nie ma żadnej tajemnicy, żadnego przeistoczenia, że żaden Bóg nie zbawi tych, którzy dryfują z prądem.

Jadąc przez Williamsburg Bridge, zasłonili okna, by nikt nie mógł zajrzeć do wnętrza aut, popijali szampana i upewniali się, czy na pewno pozamykali drzwi. Nerwowi, podekscytowani, ale przede wszystkim zaciekawieni rozmawiali ze sobą ledwie słyszalnymi szeptami. Tymczasem limuzyny zjeżdżały z mostu w głąb miejskiego piekła.

– Całe to miasto któregoś dnia pójdzie z dymem – odezwał się jakiś starszy mężczyzna, oprócz Marcela najstarszy w całym towarzystwie.

– No i co z tego? – odparł ktoś. – Skoro je podpalają, chyba mają do tego prawo.

Trzy samochody jechały pomału długą, pustą aleją, wzdłuż kamienic z ciemnymi oknami.

– Nie chodzi mi o pożary, które tu wybuchają na co dzień – powiedział starszy mężczyzna. – Od biedy da się je kontrolować i opanować. Chodzi mi o to, że pewnego dnia nastąpi tu wybuch gniewu, który doleci do samego nieba, pożar, po którym nie zostanie kamień na kamieniu.

– Odbudujemy – odezwał się Marcel. – Niech się pali, wszystko odbudujemy.

– To byłoby okropne – stwierdziła jedna z elegancko ubranych kobiet. – Po prostu okropne: spalić wszystko tylko po to, by oczyścić teren...

– Popatrzcie! – przerwał jej krzyk Christiany.

Wszyscy rzucili się do okien po prawej stronie. Grupa dziesięciu, może dwunastu chudych chłopaków w dzinsowych kurtkach i obcisłych spodniach ścigała jakiegoś mężczyznę bez koszuli. Uciekinier przewracał się od czasu do czasu, podobnie jak jego prześladowcy, biegł bowiem przez rozległe rumowisko, głębokie na trzy–cztery stopy. Mimo to uciekał, jak gdyby dostał skrzydeł, i pewnie zostawiłby ich w tyle, gdyby ktoś z czoła pościgu w końcu nie rzucił cegłą i nie trafił go w głowę. Mężczyzna upadł, prześladowcy otoczyli go i zaczęli tłuc stalowymi rurkami i łańcuchami. Następnie, jak gdyby tego było mało, wpakowali mu prosto w twarz osiem czy dziesięć kul z pistoletów. Potem uciekli.

Wszystko rozegrało się w ciągu niespełna minuty. Christiana przyglądała się zajściu, wstrzymując oddech. Zaczęła błagać Marcela, żeby wezwał policję, chciała wysiąść i pomóc nieszczęśnikowi leżącemu wśród gruzów.

Szklana przegroda między siedzeniami opuściła się do połowy, ochroniarz poinformował, że wezwał policję.

– Ale oni nie przyjadą – dodał. – Jeśli już, to dopiero rano. Boją się. Zresztą to i tak nie ma znaczenia: ten człowiek nie żyje, poza tym pewnie i tak się tego spodziewał.

Przegroda zasunęła się, limuzyny potoczyły się dalej.

- Czy ten teren nie należy przypadkiem do ciebie, Marcel?
- Należał trzydzieści lat temu, Del, gdy jeszcze było tu coś wartościowego. Teraz wszystko jest zasiedlone na dziko. Zresztą mało który budynek jeszcze stoi.
- Wystarczy, żeby trochę zarobić.
- Tylko diabeł mógłby tu jeszcze zarobić.

Po chwili przyciemnione szyby rozjaśniły się luną, aż policzki kobiet zabarwiły się na różany kolor. Długie aleje, wzdłuż których ciągnęły się rumowiska, a jedynymi stojącymi jeszcze obiektami były kominy, stanowiły zaledwie skromny wycinek olbrzymiej dzielnicy nędzy, ciągnącej się do samego morza. Okolona szańcami czynszowych kamienic, z daleka przypominała gigantyczną patelnię buchającą ogniem i dymem. Niebo tańczyło nad tą patelnią i migotało, a dookolne kamienice wyglądały jak łańcuch górski przesłaniający zachód słońca. Rozedrgane światło przywodziło na myśl oszalałą, barbarzyńską armię nacierającą w mroku.

Marcel i jego przyjaciele aż zaniemówili z przerażenia, zagłębiali się jednak coraz dalej w rozplomienione miasto. Wbrew temu, czego można było się spodziewać, nie panowała tam cisza przerywana jedynie odgłosami wybuchów i wystrzałów – przeciwnie, piekielny mechaniczny zgiełk, który porażał zmysły: bataliony bębnow, ryk syren, radosny wrzask silników.

Setki tysięcy ludzi pędziły z miejsca na miejsce, podobnie jak w nowojorskim mateczniku, czyli na Manhattanie, którego wieżowce lśniły chłodno na zachodnim niebie – tu jednak byli to nędzarze z euforią w oczach. Jakiś mężczyzna w przegniłych, pokrytych sadzą łachmanach nachylał się nad chodnikiem i grzmocił weń dwoma kijami. Bosonodzy szaleńcy snuli się z wytrzeszczonymi oczyma i spodniami opuszczonymi do kolan. Weneryczne prostytutki stały w rzędach na krawężnikach i machały do uzbrojonych w noże i pistolety mężczyzn, przejeżdżających samochodami o silnikach potężnych jak czołgi. Nie było tu cichych zakątków, mglistych parków, jezior, drzew, czystych ulic. Jedynymi wieżowcami były słupy falującego dymu, władzę sprawowali zaś młodzi brutale włóczący się stadami po ulicach. Zajęci walką między sobą, rzadko zwracali uwagę na innych, lecz gdy już zwracali, trudno było ich nie zauważyć: na widok limuzyn wypinali pierś, wykonywali wyzywające gesty i uśmiechali się. Za pancernymi wozami sypał się grad kamieni i butelek.

Wkrótce konwój dotarł do placu, na którym dawniej znajdowało się wesołe miasteczko i targ warzywny, a teraz kwitł handel narkotykami i towarami z kradzieży oraz toczyły się wojny gangów; wrzała tam owa nieustanna ciemna krzątanina, w której miasto pożera samo siebie. W bocznej części placu jakiś sprytny przedsiębiorca przekształcił fundamenty zrujnowanego budynku w arenę. Tysiące ludzi tłoczyło się właśnie w bramkach i zajmowało miejsca na deskach położonych wśród stert cegieł i gruzu – najwyraźniej szykowało się jakieś widowisko. Marcel zaproponował swoim kompanom, żeby wysiąść z limuzyn i wejść do środka: nie powinno im się nic stać, widzowie na pewno będą pochłonięci tym, co dzieje się na arenie. Wysłał jednego z ochroniarzy, by zajął dla nich osobny boks, umiejscowiony pod światłami i możliwie blisko zaparkowanych aut.

Gdy wysiedli z aut, kobiety odsunęły z twarzy koronkowe woalki i zmrużyły oczy przed blaskiem łukowych lamp oświetlających arenę. Niektórzy z zebranych zaniemówili na ich widok – nowo przybyli tak mocno różnili się od reszty zachowaniem, stanem zdrowia i ubiorem, że obie strony przyglądały się sobie jak przedstawiciele zupełnie obcych gatunków. Christiana odrzuciła włosy do tyłu i rozejrzała się dokoła. Wiedziała, że w razie potrzeby będzie umiała wspiąć się na gruzy lub uciec. Żyjąc z Marcelem, często czuła się unieruchomiona, a zarazem, o ironio, bezcielesna. Tutaj wszystko miało fizyczny wymiar: gwar, uciążliwy letni skwar,

kłębowisko różowych chmur, w których odbijało się światło reflektorów. „Lepiej już być tutaj – pomyślała – gdzie ręce drżą, a serce łomocze z podniecenia, niż tkwić w salach balowych czy drogich restauracjach i toczyć pogawędkę z przyjaciółmi Marcela”.

Na scenę wyszedł jakiś człowiek, ubrany w smoking koloru limonki i przystrojony w nieprawdopodobną ilość złotej biżuterii. Krzyczał w języku, który Christiana z trudnością mogła zrozumieć, a jednocześnie tańczył. Wskazywał ręką ukryte w cieniu wyjścia na scenę – i po chwili zaczęli wyłaniać się z nich zawodnicy. Opancerzeni lśniącymi płytami z czarnego metalu wyglądali bardziej jak morskie skorupiaki niż gladiatorzy, w rękach mieli jednak miecze, długie stalowe dzidy, trójzęby i maczugi. Po chwili człowiek pożerany przez własną biżuterię zniknął, zbrojni rycerze zostali sami na piasku. Ale nie walczyli między sobą.

Oto bowiem otworzyła się inna brama i na arenę wypchnięto gniadą klacz. Oślepią jaskrawym światłem, cofnęła się z przestachem. Ryk tłumu uderzył w nią paralizującą falą, a gdy przyzwyczała wzrok do światła, ujrzała, jak zacieśnia się wokół niej krąg wojowników – i wiedziała już, co ją czeka. Najbliższy z nich odpędził ją od ściany na sam środek koła. Klacz przyglądała się przeciwnikom. Wierżganie do tyłu niewiele by jej dało, bo w którąkolwiek stronę się obróciła, miała przed sobą miecz lub dzidę, a z przodu była niemal bezbronna. Walki ze zwierzętami toczono niekiedy w pojedynkę – ale nie tu. Zawodnicy poruszali się powoli. Wśród widzów narastało napięcie. W końcu klacz wpadła w panikę i przysiadła na tylnych nogach. Wtedy nastąpił atak. Dzidy zagłębiły jej się w pierś z takim dźwiękiem, jakby ktoś rozpruwał nożem arbuz. Klacz w jednej chwili opadła na kolana, chwiejąc się lekko, i wtedy w ruch poszły miecze i maczugi: oprawcy grzmocili ją tak długo, aż piach zmienił się w krwawą kałużę zawaloną szczątkami końskiego ciała.

Christiana chwiała się na nogach. Nie miała siły ani stać, ani uciec; chciała, żeby Marcel zabrał ją stamtąd, ale nie była w stanie odwrócić się i go o to poprosić. Nie miała w sobie żadnej woli, mogła tylko biernie patrzeć, jak we śnie.

Na arenę wszedł kolejny koń. Christiana błagała w duchu, by go wypuszczono, ale znów nic nie zrobiła, stała tylko jak wmurowana, przyglądając się bezsilnie, jak oszołomione zwierzę pada na kolana i kona w męczarniach.

Potem wyprowadzono konia, na którego tłum czekał z największą niecierpliwością: olbrzymiego białego ogiera. Żeby go wypuścić, musiano otworzyć oba skrzydła bramy. Koń stał spokojnie; ani się nie bał, ani nie oślepiało go jasne światło. Christianie wydał się uosobieniem wszystkiego, co kochała, wszystkiego, co było piękne i dobre. Czowała, że jeśli go zabiją, bezpowrotnie zginie wszystko, dzięki czemu świat mógłby pewnego dnia podźwignąć się i wejść na nowo. Lecz inaczej niż tamtego dnia, gdy była sama na plaży, gdy bez wahania rzuciła sukienkę i rzuciła się w fale, teraz była niezdolna ruszyć mu na pomoc. Wszystko się zmieniło. Świat nie był już taki sam jak wtedy, kiedy na białym koniu wyjeżdżała z morza na brzeg.

Teraz stała wraz z nim w blasku łukowych lamp i spoglądała jego oczyma, gdy potrząsając głową, śledził poczynania przeciwników. Tłum był zdumiony: koń nie bał się ani trochę. Lekkim krokiem postąpił naprzód, wszedł w zmiążdżone szczątki poprzedników, jednym kopytem stąpnął w rozbitą głowę gniadej klaczy. Ten znaczący gest odebrał oprawcom pewność siebie. Christiana wiedziała, że biały koń mógłby wyskoczyć z areny i uciec z równą łatwością, z jaką koń na parkurze przeskakuje przez trawnik. On jednak nie uciekł, tylko zaczął krążyć po arenie. Oprawcy nigdy dotąd nie spotkali równie ogromnego stworzenia. Widzieli, jak w tańcu mięśnie grają mu pod skórą. Szybko poruszał nogami, kopyta nagle zaczęły wydawać się ostre jak brzytwy. Widzowie wrzeszczeli, widząc, jak koń staje dęba, a niewyciężeni dotąd

gladiatorzy z lękiem opuszczają dzidy i miecze.

Ktoś rzucił lancą. Nieokiełznany rumak obrócił się w jej stronę i odbił ją wściekłym kopnięciem, aż wbiła się do połowy w piach. Oprawca, który nią cisnął, próbował ją wyciągnąć, ale na próżno. Widzom bardzo się to spodobało; wszyscy jak jeden mąż poderwali się z miejsc, gdy śmignęły dwie kolejne dzidy. Koń wyskoczył w górę, wyminął jedną, a drugą odbił tylnymi nogami, aż poleciała wysoko w niebo – zdawało się, że wzbija się ponad chmury i kłęby dymu.

Teraz wszyscy słyszeli, jak dyszy. Szybkimi susami koń przebiegał z jednej strony areny na drugą, rozpędzając mieczników i włóczników, rozbijając ich na osobne grupki. Oprawcy odskakiwali pod ściany, upuszczali broń, uciekali na oślep, jakby kompletnie zdezorientowani. Biały koń tratował jednego po drugim. Markował ruch w lewo, potem w ułamku sekundy rzucał się w prawo i przednimi nogami rzucał przeciwników na ścianę. Chwytał ich zębami, podnosił w górę, potrząsał, aż tracili władzę w nogach, a potem odrzucał na bok. Grzmocił ich głową i miażdżył kopytami. W końcu został na arenie sam, drżący, spocony, rozdrażniony.

Widzów ogarnęło podniecenie niebezpiecznie graniczące z szaleństwem, Marcel postanowił więc natychmiast wycofać się i wracać na Manhattan. Kiedy trzy ciężkie limuzyny wjechały na Brooklyn Bridge, wysoko nad spowijającą dzielnicę nędzy kłęby dymu, Christiana ujrzała, jak księżyc w pełni żegluje nad portem i osrebrza wieżowce. Dopiero teraz przypomniała sobie, że istnieją takie rzeczy jak kolor niebieski, czysty i chłodny wiatr, rozpięta nad dachami mata z gwiazd oraz olbrzymia perła księżyca. Marcel oznajmił, że wyprawa zakończyła się wielkim sukcesem. Kto mógł przewidzieć, że ujrzy białego konia walczącego jak sam anioł mściciel? Wieść o odkryciu rozeszła się po mieście, znajomi Marcela wyruszali na podobne wyprawy, lecz nie mieli już tyle szczęścia: biały koń przepadł gdzieś w trzewiach Brooklynu.

Wrócili na Manhattan dość późno, a raczej wcześniej rano, i zasnęli głęboko – z wyjątkiem Christiany, która nie mogła zmrużyć oczu.

Christiana stała w ogrodzie i wpatrywała się w rzekę skąpaną w świetle księżyca. Podczas ich wyprawy do dzielnicy nędzy nad Kanady nadciągnął front zimnego powietrza, uwalniając od mgły większą część Manhattanu. Spodziewała się, że w wyższym biegu rzeki niebawem znów zapanuje głęboki szmaragdowy kolor, wypierając rozproszoną, dzunglową zielen upalnego lata, pozbawioną błękitnego odcienia. Skwar i mgielka wchłonęły cały błękit i więziły go przez długie tygodnie, teraz jednak uwolnił się, zabarwił powierzchnię rzeki i dominował na zboczach gór. Chłodne powietrze działało odurzająco.

Christiana spakowała swój dobytek, przebrała się w batystową koszulkę i spodnie khaki, zeszła do kuchni. Zrobiła sobie sześć kanapek z wędzonym mięsem, wzięła trochę jabłek i marchewek, postanowiła też, że opróżni słoiczek z drobną gotówką. Marcel na pewno nie odczuje tej straty. Otworzyła słoiczek, wyciągnęła zwitek banknotów i odwracając wzrok, schowała do kieszeni. Gdy znalazła się na zewnątrz, na spowitej mrokiem nocy Sutton Place, po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuła się wolna. Ruszyła przed siebie tanecznym krokiem. Nie miała pojęcia, dokąd idzie i co z sobą pocnie, lecz nim zagłębiła się miejski labirynt, przeliczyła skradzione pieniądze. Doznała lekkiego szoku, gdy okazało się, że jest ich aż 3243 dolary. Marcelowi jednak nie wystarczyłoby to nawet na niewielki obiad dla najbliższych przyjaciół czy zaopatrzenie na jednodniowy rejs jachtem, Christiana założyła więc, że nawet nie zauważy braku lub zupełnie się nim nie przejmie. Zresztą był to człowiek, który przegrał kiedyś siedem milionów dolarów w pachinko i stwierdził potem, że i tak warto było tyle stracić, by popatrzeć, jak srebrne kulki spadają obok małych srebrnych szpileczek.

Wiedziona czystym przypadkiem Christiana skierowała się do Greenwich Village. Miasto było puste, jedynym śladem życia były migoczące neony, kłęby pary unoszące się tu

i ówdzie z ulicy lub pojedyncze mewy śmigające między ścianami kanionów w powietrzu zaróżowionym przez wstający świt. Panowała ogólna błogość. Mimo wszystko Christiana była pełna obaw. Marcel zawsze jej powtarzał, że miasto ją pożre.

– Nigdy nie mieszkałaś sama – mówił. – A to wcale nie takie proste. Jak znajdziesz mieszkanie? I gdzie? Czy wiesz, jak trudno znaleźć mieszkanie w Nowym Jorku? A praca? Zanim znajdziesz pracę, mogą minąć miesiące; do tego czasu zdązysz umrzeć z głodu na ulicy.

Z samego rana udała się do biura nieruchomości. Agent pokazał jej maleńki pokój przy Bank Street, który nazywał mieszkaniem. Wanna znajdowała się w kuchni, a gdy stanęło się pośrodku „sypialni” i wyciągnęło ręce, można było dotknąć każdej ściany, było tam jednak czysto i cicho, okno wychodziło na ogród.

– Balkon ma pani wspólny z dżentelmenem mieszkającym po sąsiedzku. Pracuje dla „The Sun”, jest pilotem motorówki, przy dobrej pogodzie zawsze jest poza domem, będzie więc pani miała balkon dla siebie.

– Ależ on ma tylko jedną stopę szerokości! – zaprotestowała Christiana.

– Dwieście dolarów miesięcznie – brzmiała odpowiedź agenta.

Podpisała umowę, wpłaciła kaucję i miesięczny czynsz, agent wyszedł.

– Bingo! – zawołała. – W ciągu godziny znalazłam własny kąt!

Poszła do banku i tworzyła rachunek, zapełniła lodówkę i umeblowała mieszkanie.

Wszystko to zajęło jej godzinę. Wystarczył mały stolik, dwa krzesła, biały materac do spania, parę koców, poduszka, trzy lampy, stary dywanik modlitewny i minimalne wyposażenie minimalnej kuchni, po zakupach zostało jej więc dwa tysiące dolarów i trochę drobnych, za które kupiła sobie obiad, słownik duński, kilka duńskich powieści i książek geograficznych, zeszyt i kilka długopisów. Zamierzała nauczyć się porządnie swego pierwszego języka, który pozostawał w głębokim uśpieniu i tylko czekał, aż go obudzi. Nim minęła trzecia po południu, miała już pracę. Gdy zadzwoniła do drzwi dla służby pewnego pięknego domu w Chelsea, otworzyła jej zdumiewająca kobieta w nieokreślonym wieku, przedstawiła się jako Boonya, zaprosiła ją do środka i zaczęła objaśniać, na czym będą polegać jej obowiązki dochodzącej pokojówki.

– Ale ja szukam pracy na pełen etat! – zaprotestowała Christiana.

– Pan Penn będzie ci płacił za pełen etat, skarbenku – odparła Boonya. Była okrągła jak piłka lekarska. – A pracować będziesz tylko na pół. W interwałach będziesz mogła chodzić do bibliotek i na koncerty. Jeśli będziesz chciała pójść na studia, opłaci ci uniborsytet. Ja tam wolę pracować w domu, gotować, zmywać, takie tam. Ale każdy jest inny. Na przykład Bosca, taka jedna ciemnowłosa dziewczucha, uczyła się w teatrze. Rozumiesz?

– Tak. Wybornie!

– Jeśli chcesz to tak nazwać... No dobra: umiesz gotować?

– Gotowałam w hotelu moich rodziców.

– Świetnie – rzekła Boonya i zaprowadziła Christianę do kuchni. – Ale pewnie nie znasz ulubionych potraw Harry’ego Penna. On i jego córka mają swoje ulubione smakołyki. Pokażę ci, jak się je robi.

– Na przykład jakie?

– Och, sporo ich jest: ser durbo nadziewany koniczyną, kaminogi, mięso z wiboli, pieczone nasiona bandribologa, naleśniki na oleju z sanczy, młode kurczaki rasy dollit w sosie Donalda, gigantyczne borborówki, crème de la berquis tolluc, serbina z welitu, kiszzone śwędziałki, czekoladowe hermany, cytryny wędrownie, kociołek w stylu Rhinebeck ze świeżym armandem, parifu z aminuli, soczniewica waniliowa, żyzne piękno, przekrwista kiszkiwianka,

turecki placek kalendarzowy, smażone siekane berlaki, koktajl balowej świni, kremowe ciasto pergaminowe, podglebia, bokserska kruszonka z jędrnego jagnięcia, prędkie frotki w cukrze, wesołe orzechy rubintowe i jamajskie kurczysko w sosie Arnold.

Na każdy z tych wytworów swej szalonej wyobraźni Boonya miała przepis. Urzeczona Christiana patrzyła, jak demonstruje na migi przyrządzanie świeżych śwędziałek lub objaśnia, jak kroi się niegotowaną soczniewiczę:

– Pamiętaj, żeby zawsze posypać marmur mąką, zanim położysz niegotowaną soczniewiczę. Posyp wanilią. Krój szybko! – wrzasnęła; ręce grubości kielbasy wymachiwały wokół piłki lekarskiej. – Bo inaczej będzie przywierać. Soczniewica to cholernie lepkie paskudztwo. Czy matka pokazywała ci kiedyś, jak się filetuje dobrą serbinę z welitu?

Następnie Boonya oprowadziła ją po domu wypełnionym książkami, obrazami i pamiątkami żeglarskimi. Wszystko to wymagało regularnego odkurzania. Na ścianie wisiał podświetlony portret Harry'ego Penna z czasów Wielkiej Wojny, w mundurze dowódcy regimentu.

– To było dawno, dawno temu – wyjaśniła Boonya. – Wieki temu. Na obrazie jest jeszcze młody, teraz jest już stary. Dużo czasu spędza w redakcji, ale kiedy jest tutaj, ciągiem czyta. Mówi, że książki zatrzymują czas. Mnie się wydaje, że brakuje mu piątej klepki. (Raz położyłam książkę przy budziku, a ten chodził dalej). Nie mów tego nikomu, ale kiedy pan Penn przeczyta coś, co bardzo mu się spodoba, zaczyna się strasznie cieszyć, włącza sobie muzykę i tańczy: sam albo z miotłą. Nazywa tę miotłę mamuszką.

– Tańczy z miotłą? Pewnie dlatego, że jest wdowcem.

– Nie wydaje mi się – rzekła Boonya. – Z mopem też tańczy.

– Może miał też kochankę.

– Miał, ale z krótkimi włosami. Mopy z krótkimi włosami też mam. Służą do precyzyjnego zmywania, tak jak te malutkie kierownice w samochodach wyścigowych. W Europie, w tej ich Formule P, mają kierownice wielkości srebrnej dolarówki. Dlatego jeżdżą tam same karzelki: jakoś muszą trzymać te malutkie kierownice. – Rozejrzała się konspiracyjnie, pokiwała palcem na Christianę, by się zbliżyła, i ciągnęła szeptem: – Tylko naprawdę malutkie ciałka mieszczą się w kabinach tych samochodzików. Mój kuzyn Louis też próbował. Jest malutki, Bóg mi świadkiem. Ale Louis zawsze udaje cichoziemniaka, więc go wylali.

– Co to jest cichoziemniak?

– To takie coś, czym bumaturcy myją okna. Ale one są nielegalne w Nowym Jorku i New Jersey, więc bumaturcy z Connecticut szmuglują je do Pensylwanii. Łapiesz? Ale z Louisem było inaczej. Gdy pewnego dnia Pan łuskał orzechy, Louis drzemał właśnie w kupce tych orzechów. Chwytasz?

Christina uśmiechnęła się, ale gdy Boonya odwróciła się na chwilę, obłudnie przewróciła oczyma.

– Ćśśś! – syknęła Boonya, podnosząc palec. – Słyszałaś kastaniety?

– Nie.

– Zdaje mi się, że ulicą przejeżdża karawan. Może hiszpański ambasador kopnął w kalendarz.

Grube krople potu spływały jej z połączonych brwi, maszerujących jej po czole jak gąsienica. Boonya podsycala coraz bardziej palenisko swojego szaleństwa, aż w końcu z jej ust popłynęło druidyczne nucenie. Zaśpiewała Christianie dziesięć swoich ulubionych egipskich kolęd, potem przedstawiła długi, żarliwy wykład o eskimoskich akcesoriach seksualnych, a następnie rozgadała się na temat kokosu, będącego – jak twierdziła – tylko i wyłącznie

symbolem gotowości wojskowej. Co pewien czas przerywała i przepytowała Christianę:

- Co jest symbolem gotowości wojskowej?
- Kokos.
- Tylko i wyłącznie?
- Tak mówią.

Niemniej Boonya była dobrą gosposią, solidną (przynajmniej w pracy) jak skała gibraltarska. Wyglądem również przypominała Gibraltar, a raczej kulę z przyczepionymi trzema melonami: olbrzymimi, rozkołysanymi piersiami i głową okoloną cienkimi jasnymi włosami, zaplecionymi w koszykowy wzór. Była Norweżką, na Christianę patrzyła więc z góry: w końcu na mapie Norwegia znajduje się wyżej niż Dania.

Mimo wszystko obie dogadały się jakoś. Chodzenie do pracy dostarczało Christianie nadzwyczajnej rozrywki: Boonya nieprzerwanie wyrzucała z siebie dziwaczne teorie, sprzątała jak szatan, śpiewała piosenki w nieznanym nikomu językach i znała przepisy na tysiąc nieistniejących potraw.

Dopiero zimą, gdy wskutek przedłużających się zamieci redakcyjna motorówka nie miała nic do roboty, Christiana miała sposobność poznać lokatora sąsiedniego mieszkania. Jednostajny północny wicher unosił śnieg w hipnotycznych trajektoriach i zasypywał ogródek, aż zmienił go w alpejską kotlinę. Asbury i Christiana godzinami siedzieli naprzeciwko siebie, oddzieleni warstwą kilku cegieł i dwoma kominkami.

Christiana zaczytywała się w powieści Thorgarda Zimowe morza, czy raczej brnęła przez nią z szybkością dwu stron na godzinę – czytała w oryginale, po duńsku. Asbury siedział przy małym stoliku obok kominka i ślęczał nad Problemami nawigacji dla zaawansowanych Duttona; musiał przez nie przebrnąć, żeby zdać żeglarski egzamin mistrzowski. Oboje przez pół roku mieszkali w sąsiednich pokojach i nie wiedzieli o swoim istnieniu – choć gdy spali, dzieliła ich odległość dosłownie jednej stopy.

Gdyby siły natury mniej skupiły się na wzniecaniu potężnych zamieci i zazielenianiu górskich stoków, a bardziej na skrzyżowaniu ścieżek pewnego dobrego mężczyzny i pewnej dobrej kobiety, oddzielające ich cegły już dawno rozsypałyby się w pył. Siły natury są jednak obojętne, zyskali więc szansę spotkania dopiero wówczas, gdy pewnego ranka Asbury wstał z łóżka i chciał podsycić ogień. Pogrzebał w palenisku długim pogrzebaczem, przyglądając się, jak rozżarzone węgle rozpadają się na czerwone okruszki. Zadowolony z wyniku swych poczynań w diabelskim tyglu, trzykrotnie stuknął pogrzebaczem o tylną ścianę kominka, żeby otrzepać zeń resztkę żarzącego się popiołu.

Christiana odłożyła książkę i spojrzała w głąb swojego kominka. Potem wstała, wzięła pogrzebacz i stuknęła trzy razy. Zza ściany padła odpowiedź. Po chwili rolę telegrafu przejęła ściana: najpierw nad gzymsem kominka, potem między łózkami. Gdy oboje odkryli, że przez ścianę przedostaje się też głos, przedstawili się sobie, lecz szybko umilkli z zakłopotaniem.

- Co jest tam u ciebie za ścianą? – spytała Christiana po chwili.
- Moje łóżko – padła odpowiedź. – A u ciebie?
- U mnie też – odparła, pojmując, że oboje śpią w odległości paru cali od siebie.
- Przetawisz je teraz?
- Nie.

Czasem przez długie godziny leżeli przy ścianie, rozmawiając o wszystkim, co tylko przyszło im do głowy. Opowiadali sobie historie swego życia, zwierali się ze swoich myśli i marzeń. Wkrótce weszli w taką zażyłość, jak gdyby przeżywali gorący romans, nieoddzieleni od siebie żadną ścianą. Asbury powiedział, że latem będą mogli wdrapać się z wąskiego

balkoniku na dach.

– Widać stamtąd rzekę – dodał.

Christiana odparła, że chciałyby tam wejść. Ale czy wspinanie się na dach nie jest niebezpieczne?

– Nie – odparł Asbury. – Ale musimy poczekać do lata. Wcześniej się nie da.

– Jak wyglądasz? – zapytał któregoś nocy, po kilku miesiącach rozmów. Zaczynał się maj, wiedział więc, że i tak niebawem ją zobaczy.

– Nie jestem ładna – odparła. – Wcale a wcale.

– Myślę, że jesteś piękna – odkrzyknął przez ścianę.

– Wcale nie – upierała się Christiana. – To nieprawda. Sam zobaczysz.

– To nic – odparł. – I tak cię kocham.

Po chwili usłyszał jej płacz i przyszło mu do głowy, że może posunął się nieco za daleko. Lecz on naprawdę ją kochał, nie obchodziło go, że – jak twierdziła – jest nieładna. Tłumaczył jej to kilka razy pod koniec wiosny. Koniec końców poprosił ją o rękę.

Wszyscy jego znajomi, także Hardesty, uznali to za straszliwy błąd:

– Rozumiem, że niektórzy ludzie, zwłaszcza samotni, potrafią zakochać się przez ścianę – stwierdził Hardesty. – Ale jeśli ona naprawdę jest fizycznie nieatrakcyjna, do końca życia będziecie marzyć o tym, by ta ściana wróciła między was.

– Wiem o tym – stwierdził Asbury. – Jeżeli jest naprawdę szkaradna, pewnie masz rację. Ale ona twierdzi, że jest po prostu przeciętna, cokolwiek to znaczy. Nie rozumiem, czemu miałyby nie okazać się najpiękniejszą kobietą na świecie.

Hardesty zaproponował, że może najpierw spróbuje się z nią zobaczyć, lecz Asbury w odpowiedzi pouczył go, że trzeba ludziom ufać, i potwierdził, że jest gotów zaryzykować. Christiana miała piękny głos, a on wiedział, że ją kocha – to mu wystarczyło.

Christiana zgodziła się zostać jego żoną. Postanowili, że pierwszego pogodnego dnia spotkają się na dachu. Jak łatwo się domyślić, przez całą wiosnę lał deszcz.

Lecz pierwszego czerwca, z samego rana, gdy nie było jeszcze gorąco, Asbury wdrapał się na dach. Najpierw wspiął się na szczyt swojego dachu i siedział tam przez chwilę, starając się opanować emocje – był to przecież od dawna wyczekiwany pierwszy pogodny dzień lata. „Do diabła – pomyślał – raz kozie śmierć”. Zszedł ze swojego dachu, wdrapał się na dach Christiany i zajrzał do komina.

– Christiano! – zawołał. – Wstałaś już? Mam nadzieję, że to właściwy komin!

– Wstałam! – krzyknęła do kominka, czując, jak łomocze jej serce.

– Wejź na dach. Pora się spotkać. – Asbury starał się zachować spokój. – Kiedy już ochłoniemy, możemy wybrać się w rejs żaglówką. Nawet do samego Amagansett.

– Idę! – odparła, ze zdenerwowania przechodząc na zupełnie duński akcent. Zarazem jednak tak bardzo się spieszyła, że Asbury prawie tego nie usłyszał.

Asbury wdrapał się na miejsce połączenia obu dachów i stanął nad nim okrakiem, spoglądając w stronę balkonów.

Najpierw ujrzał jej rękę, gdy wdrapowała się na poręcz. Potem Christiana jednym szybkim ruchem wspięła się na dach i stanęła obok swego kochanka, którego jeszcze nigdy nie widziała na oczy. Asbury osłupiał.

– Wiedziałem – powiedział, walcząc z pokusą przytulenia jej. – Wiedziałem, że okażesz się najpiękniejszą kobietą na świecie. I niech mnie diabli – zrobił krok wstecz, starając się opanować – jeśli się myliłem.

III

„SŁOŃCE” I „DUCH”

NIC NIE JEST PRZYPADKOWE

Nic nie jest przypadkowe i nigdy nie będzie: ani długi szereg idealnie błękitnych dni, które zaczynają się i kończą złotym półmrokiem, ani na pozór niezborne polityczne działania, ani wzrost wielkiego miasta, ani krystaliczna struktura klejnotu, który nigdy nie widział światła, ani dystrybucja bogactw, ani godzina, o której wstaje mleczarz, ani pozycja elektronu, ani nadejście jedna po drugiej niebywale srogich zim. Nawet elektrony, na pozór wzór nieprzewidywalności, są w istocie oswojonymi, usłużnymi stworzonkami, obracającymi się z prędkością światła i zdążającymi dokładnie tam, dokąd powinny. Wydają przy tym cichutkie świszczące dźwięki, tworzące rozmaite konfiguracje i przyjemne jak szum wiatru w lesie, oraz robią dokładnie to, co się im każe. Tego możemy być pewni.

Lecz istnieje też jednak cudowna anarchia: to przecież mleczarz wybiera moment wstania z łóżka, to szczur decyduje, w który tunel zanurkować, gdy ujrzy pociąg metra pędzący z Borough Hill, płatek śniegu również spada tam, gdzie chce. Jak to możliwe? Jeżeli nic nie jest przypadkowe, jeżeli wszystko jest ustalone, jak może istnieć wolna wola? Odpowiedź jest prosta. Nic nie jest dane z góry – a jednak ustala się, było ustalone lub będzie. Czas nie ma tu znaczenia, bo i tak wszystko wydarzyło się równocześnie, krócej niż w okamgnieniu, czas wynaleziono tylko dlatego, że nie umiemy objąć jednym spojrzeniem olbrzymiego, szczegółowego malowidła, które nam pokazano – oglądamy je więc po kawałku, linearnie. Czas można jednak łatwo pokonać; nie musimy w tym celu ścigać się ze światłem, wystarczy że zrobimy krok do tyłu, wystarczająco długi, by zobaczyć wszystko naraz. Wszechświat jest nieruchomy i kompletny. Wszystko, co kiedykolwiek -istniało, istnieje teraz; wszystko, co kiedykolwiek będzie istnieć, istnieje teraz – i tak dalej, we wszystkich możliwych kombinacjach. Wyobrażamy sobie, że wszechświat jest nieskończony i pozostaje w nieustannym ruchu, jest on jednak skończony, a przy tym zachwycająco piękny. Ostatecznie – czy raczej *w istocie* – każde zdarzenie, nawet najmniejsze, pozostaje w intymnym i rozumnym związku z innymi. Wszystkie rzeki nabierają wody i wpadają do morza, ludzie rozdzieleni spotykają się, zagubieni się odnajdują, umarli wracają do życia, a idealnie błękitne dni, które zaczęły się i skończyły złotym półmrokiem, wciąż trwają nieruchome i dostępne; gdy w postrzeganiu rzeczy pominie się czas, sprawiedliwość objawi się nie jako coś, co nastanie kiedyś, lecz jako coś, co jest teraz.

PETER LAKE POWRACA

Na kilka czy kilkanaście lat ciąg surowych zim przerwała seria ich słonecznych namiastek, które mogły uchodzić za zimę jedynie wśród Hawajczyków. Diabelscy robotnicy rozpruwający ulice w sercu Manhattanu – podczas gdy ruch samochodowy wirował naokoło nich jak fala powodziowa wokół kesonu – w połowie stycznia zdejmowali koszule. Podczas świąt Bożego Narodzenia na wysokich tarasach widywano opalające się kobiety. Nie padał śnieg, przemysł odzieżowy przeżywał załamanie, tygodniki ukazywały się z identycznymi okładkami, nieodmiennie poświęconymi pogodzie („Newsweek”: Czy to koniec zim?, „Time”: Gdzie się podziały niegdysiejsze śniegi?, „The Ghost News Magazine”: Ale gorąco!). I gdy zapanowała już ogólna błogość, gdy uznano, że klimat na świecie zmienił się nieodwołalnie, gdy w filharmonii odegrano Cztery pory roku Vivaldiego z pominięciem całej jednej części, gdy małym dzieciom opowiadano o zimie tak, jak gdyby była to bajka, Nowy Jork zaatakowała nagle fala katastrofalnego mrozu – i ludzie znów przytulili się do siebie, by z łękiem rozmawiać o nadchodzącym nowym tysiącleciu.

Parki zasypała taka ilość śniegu, że nawet mieszkańcy Coheeries byliby pod wrażeniem – wzgórze i drzewa zostały przykryte do połowy. Niebawem ludzie zaczęli przemieszczać się po mieście na nartach, mijając zastygłe pod śniegiem samochody. Powietrze było tak czyste, że utarło się powiedzenie: „Potrząśnij, a rozbijesz”. Mijały dni, tygodnie, miesiące, a mroźny wiatr ciągnął z północy zwartą, nieprzerwaną falą, pchając przed sobą śnieg i lód jak krę oderwaną od lodowca. Zima puchła, aż w końcu eksplodowała. Zawsze poddawała ludzi ciężkiej próbie, lecz teraz robiła to w sposób skrajny, jednych wprawiała w euforię, innych zaś doprowadzała do samobójstwa; pod jej wpływem pękały granitowe głazy, pnie drzew i małżeństwa, potroiła się liczba zimowych romansów, wróciły do łask sanki, narty i ilustrowane książeczki o świętach w Nowej Anglii, rzeka Hudson zaś zmieniła się w lodową autostradę. Nawet port był w połowie zamarnięty.

Mówiono wprawdzie, że kiedyś bywały już takie zimy, lecz mało kto był na tyle wiekowy, by je pamiętać. Ostatnia tak sroga, że zagroziła nie tylko światu fizycznemu, lecz także przekonaniom i instytucjom, zdarzyła się na samym początku stulecia; dwie wielkie wojny wymazały ją z ludzkiej pamięci. Można było wtedy odnieść wrażenie, że sam czas ożył, działa wedle własnej woli i chce, by o nim zapomniano. Wiele rzeczy z tamtych lat pozostało niewyjaśnionych, jak gdyby był to jakiś spiszek, który w ostatniej chwili, w obawie przed wykryciem, odłożono na później. Ówczesni mężczyźni i kobiety mieli na fotografiach jakby wszechwiedzący wyraz twarzy, zdawało się, że zaglądają w głąb czasu i znają najtajniejsze myśli tych, którzy po wielu dziesięcioleciach studiują ich wizerunki. Teraz nie było już takich twarzy i takich oczu, stworzonych ze światła i prawdy.

Manhattan otoczyła lodowa równina. Na południu sięgała półtorej mili za Statuę Wolności (można było dojść do niej pieszo), nieustannie musiały przeorywać ją lodołamacze, by utrzymał się szlak żeglugowy dla promu kursującego na Staten Island. Lecz nawet gdy prom wypłynął na otwartą wodę, i tak musiał ostrożnie manewrować wśród olbrzymich brył lodu, odłamujących się od zlodowaciałej masy i dryfujących w stronę morza.

Pewnego styczniowego wieczoru, o zmierzchu, w oślepiającej śnieżnej zamieci, gdy prom znajdował się w połowie drogi do Staten Island, nagle połamał sobie tylne śruby i wały napędowe o podwodną lodową rafę i zastygł bez ruchu. Kapitan uznał, że zamiast zawracać wśród lodowych gór, lepiej będzie uruchomić śruby dziobowe i wrócić na Manhattan. Prom

dryfował pomału w padającym śniegu, tymczasem załoga zajmowała się przełączaniem napędu. Było to zajęcie rutynowe, ale należało wykonać je szybko: statek dryfował z inną prędkością niż lód i narażony był na kolejne kolizje.

Na mostku oficerowie i marynarze zachowywali stosowne milczenie; byli czujnymi zawodowcami, lubowali się w takich dramatycznych momentach i w cichej precyzji, jakiej one wymagały. Raptem nadbiegł jeden z pasażerów. Osoby nieupoważnione nie miały wstępu na mostek, rozgestykulowany obłąkaniec zaś nie tylko zakłócił przyjemną, pełną napięcia chwilę przełączania napędu, ale też zakłócił matową, elegancką ciszę kakofonią miasta, od której prom zwykle umiał trzymać się w wygodnym oddaleniu. Na dodatek słabo mówił po angielsku, a żaden z pilotów nie znał hiszpańskiego; szamotał się w epileptycznym wręcz tańcu i wyglądał na niebezpiecznego zbiega.

– Czego pan chce? – spytał rozszłoszczony kapitan.

Mężczyzna wziął głęboki wdech, starając się opanować drżenie, i pokazał na okno. Wszyscy spojrzeli w ślad za jego gestem i przez padający śnieg ujrzeli, że w odległości około pięćdziesięciu stóp od statku szamocze się w wodzie jakiś obiekt. Był to człowiek.

Załoga odkuła lód z żurawików, spuściła szalupę i wciągnęła rozbitka na pokład. Był tak pokiereszowany i oszołomiony, że nie spodziewano się usłyszeć odeń nawet jednego słowa; nikt by się nie dziwił, gdyby po prostu zadrzał gwałtownie i skonał.

Gdy zaprowadzono go pod prysznic dla załogi, oparł się o ścianę i z wyraźną wdzięcznością stał w gorących strumieniach. Jeszcze parę minut w lodowatej wodzie, a zamarzlby na kość.

Znaleziono osobę mówiącą po hiszpańsku i z jej pomocą przetłumaczono zeznanie odkrywcy, który pękał z dumy. Opowiedział mianowicie, że gdy wpatrywał się roztargnionym wzrokiem w padający śnieg, nagle usłyszał w powietrzu gwizd, podobny do tego, jaki wydaje nadlatujący pocisk artyleryjski. Potem ujrzął smugę jasnego światła, a woda pod nią chlusnęła do góry, jak gdyby ktoś wysadzał lód ładunkiem wybuchowym. Świadka zdumiał ten jaskrawy błysk, a jeszcze bardziej to, że w pianistej kipieli ukazało się ludzkie ciało. Właśnie wtedy pobiegł na mostek.

– Czy jest pan pewien, że tak było? Nie pobił się pan z tym człowiekiem i nie wypchnął go za burtę? – spytał kapitan Corneliusa G. Koffa, promu wiekowego, lecz jeszcze niezłe się sprawującego. – Powiedziano mi, że jest ranny.

Na te słowa świadek wybiegł urażony z mostku. Wyraz jego twarzy był wystarczającym dowodem niewinności.

– Wezwijcie karetkę na molo – rozkazał kapitan matowi. – Jeśli rozbitek zechce wnieść na kogokolwiek skargę, powiadomcie policję. Jeśli nie, zapomnijcie o sprawie. I tak mamy roboty po uszy.

Kilka pokładów niżej, w łazience, rozbitek usłyszał warkot uruchamianych silników i poczuł, jak prom z szarpnięciem rusza do tyłu. Ktoś zza zasłony prysznicza zapytał, czy chce wnieść oskarżenie.

– Przeciw komu? – odpowiedział spod strumieni gorącej wody, zaskoczony swoim irlandzkim akcentem.

– Nie chce pan nikogo oskarżyć? Na pewno?

– Na pewno – odparł Peter Lake, ze zdumieniem wpatrując się w swoje rany: wyglądały tak, jakby zadano mu je zupełnie niedawno.

– Ale pan jest przecież cały poharatany.

– Właśnie widzę – odparł Peter. – Mam też chyba w sobie parę kul.

– Jak to się stało?

Mat słyszał, jak woda oblewa bladą skórę Petera.

– Nie wiem.

– Jak pan się nazywa?

Nie było odpowiedzi.

– Nam to nie jest potrzebne, ale w szpitalu pewnie będą chcieli wiedzieć. Cóż, jeśli nie chce pan nic mówić, to pańska sprawa.

Peter Lake czuł się tak słabo, że ryk syren rozmawiających ze sobą z różnych stron zimowego portu wydał mu się muzyką ze snu. Z wysiłkiem włożył podarte spodnie, roboczą koszulę i wełniany sweter upstrzony plamkami białej farby. Dostał też parę starych butów, które przypadkiem idealnie nań pasowały. Gdy schylił się, by je zawiązać, serce załomotało mu w piersi, a przed oczyma zatańczyły mu plamki, było to jednak niemal tak przyjemne jak położenie się do ciepłego łóżka w zimną noc. Powiedziano mu, że jego ubrania – zwykłe sfilcowane łachmany – zerwały się niego i rozpadły, gdy wciągnano go do szalupy.

Gdy prom cumował w porcie, Peter spoglądał właśnie w małe pęknięte lustro wiszące na grodzi.

– Na nabrzeżu czeka ambulans – powiedział mat. – Krwawi pan jak diabli, ale musieliśmy wsadzić pana pod prysznic, bo inaczej zamarłby pan na śmierć. Zresztą woda w porcie nie jest najczystsza.

Peter Lake oparł się rękoma o ścianę, usiłując utrzymać równowagę. Wskutek upływu krwi był blisko omdlenia, czuł się i poruszał jak pijany. Zapatrzył się w swoje odbicie w lustro i wzruszył ramionami.

– Zabawne – powiedział. – Nie wiem, kto to jest.

Potem ujrzał w zejściówce sanitariuszy z noszami. Zdążyli go chwycić, nim osunął się na podłogę.

Obudził się o świcie w jednej ze starych sal St. Vincent's Hospital, wychodzących na Tenth Street. Padał śnieg, światło było rozproszone, salę wypełniały więc szare cienie. Pamiętał zimną wodę, prom, prysznic – lecz niewiele więcej. Był jednak pewien, że wkrótce wszystko sobie przypomni. „Czasem przecież zapomina się nawet własnego nazwiska – pomyślał. – Niech mnie diabli, jeśli tak nie jest”. Może zresztą był pijany. A może śnił.

Na plastikowej opasce na nadgarstku miał napisany dzień i miesiąc przyjęcia na oddział, czterocyfrową liczbę oraz informację „nazwisko nieznane”. Nigdy dotąd nie widział plastiku. Czuł jego gładkość i nie wiedzieć czemu zdumiał się: z jednej strony był pewien, że jeszcze nigdy się z czymś takim nie zetknął, lecz z drugiej wydawało mu się to niepojęte. Były rzeczy, których nijak nie był w stanie przywołać z pamięci i nieznośnie go to irytowało. Kim był? Ile miał lat? Jaki teraz był miesiąc (na opasce było napisane „2/18”)? Mimo wszystko był przekonany, że odpowiedzi na wszystkie te pytania ma w zasięgu ręki, na końcu języka.

Grupa lekarzy i studentów medycyny weszła do sali i rozpoczęła obchód. Gdy dotarli do Petera, salowe podawały śniadanie pacjentom, którzy zdążyli już zostać zbadani, zsunięto większość białych zasłon, a srebrzyste światło – w którym śnieg wirował w szaleńczych konwulsjach jak przedzarski kołowrotek – miało jasny połysk, jak w środku dnia.

Kilkunastoosobowa grupka studentów i pielęgniarek zgromadziła się wokół łóżka Petera, ordynator sięgnął po wiszącą na ramie łóżka kartę choroby, zerknął na nią i zwrócił się do pacjenta:

– Dzień dobry. Jak się dziś czujemy?

W Peterze wezbrała fala wrogości. Lekarz nie spodobał mu się, choć sam nie wiedział

dłaczego; tak czy inaczej ufał sobie, może dlatego że nic innego mu nie pozostawało.

– Nie wiem – warknął, łypiąc po kolei na wszystkich zebranych. – Sami powinniście wiedzieć, jak się czujecie.

– Rozumiem – odparł lekarz. – Jeśli woli pan tak rozmawiać, proszę bardzo.

– Tylko nie utnijcie mi nóg – powiedział Peter.

– Zacznijmy od pańskiego nazwiska. Kiedy pana przyjmowaliśmy, był pan nieprzytomny. Nie miał pan żadnych dokumentów...

– Jakich dokumentów?

– Choćby prawa jazdy.

– Prawa jazdy czym? Lokomotywą?

– Nie, *samochodem*.

– Ma pan na myśli automobil? – spytał Peter. Studenci skinęli głowami. – Przecież na automobil nie trzeba mieć prawa jazdy.

– Proszę mnie posłuchać – powiedział ordynator. – Miał pan trzy rany postrzałowe. Zdjęliśmy panu odciski palców i przekazaliśmy je policji. Oni i tak sprawdzą, jak się pan nazywa, równie dobrze może pan więc sam się nam przedstawić.

Na wzmiankę o policji Peter Lake targnął się do przodu – i odkrył, że jest przykuty do łóżka. Studenci spłoszyli się, słysząc brzęk kajdanek.

– Co to są odciski palców? – zapytał. Lekarze jednak stracili cierpliwość; zamiast odpowiedzi dostał zastrzyk w ramię i patrzył, jak odchodzą.

Oddychając powoli, zapatrzył się w sufit. Był wyzuty z sił, nie mógł się ruszyć. Oczy miał szeroko otwarte, myśli kłębiły mu się w głowie milionami jak płatki śniegu w zamieci. Lecz mimo że był skuty, ranny i otumaniony lekami, czuł, że ma jeszcze w sobie wolę walki. Nie wiedział, skąd to się w nim bierze, tak jak nie wiedział, kim jest – wiedział jednak, że w jego unieruchomionym ciele, przykutym kajdankami do szpitalnego łóżka, płonie jeszcze żywy ogień. Zasnął z uśmiechem na twarzy.

Obudził się po pięciu dniach, wieczorem, który wydawał się niemal wiosenny. W sali panowała cisza, łóżko otoczone było parawanem z plisowanej śnieżnobiałej tkaniny.

Otworzywszy oczy, zobaczył ciemnofioletowe niebo w górnym rogu okna, a na suficie dziwne białe światła; uznał, że to przerobione lampy katodowe. Obrócił głowę w bok i ujrzał, że na krześle przy łóżku siedzi młoda dziewczyna.

Wpatrywała się w niego z młodzieńczym optymizmem, tak wielkim, że wydawał się wręcz emanować z każdego atomu jej ciała. Wyglądała na czternaście, najwyżej piętnaście lat, miała zachwycające zielone oczy oraz rude włosy, upięte na czubku głowy i opadające pięknymi falami. Była piegowata, co akurat nie dziwiło u osoby o takiej karnacji, i nieco pulchna. Peter Lake zauważył (i zaraz zawstydził się, że poczynił taką obserwację wobec takiej młódki), że ma też wyjątkowo pełne piersi, wyraźnie i kusząco unoszące się pod białą bluzką. Ich wyjątkowo duży rozmiar przypisał przedwczesnej dojrzałości i zdrowej krągłości ciała.

W istocie dziewczyna miała dwadzieścia siedem lat; po prostu młodo wyglądała. Przeprowadziła się z Baltimore, była pracowita, miała dobre serce – i była jego lekarką prowadzącą. Peter o tym oczywiście nie wiedział; przyglądał się jej z uśmiechem nieco podobnym do tego, który miał na twarzy przez pięć dni snu.

– Witaj, panienczko – powiedział.

– Cześć – odwzajemniła mu się równie serdecznym przywitaniem.

– Wiesz może, jak długo spałem?

Dziewczyna skinęła głową na znak, że wie.

– Pięć dni.
– Jezu Chryste.
– Bardzo wydobrzałeś przez ten czas. Sen zdziałał cuda z twoimi ranami.
– Naprawdę?
– Tak. Najpóźniej za tydzień powinieneś stanąć na nogi.
– Tak powiedzieli?
– Kto?
– Lekarze.
– Nie, ja tak mówię.
– To miło, ale co oni na to?
– Na ogół się zgadzają – stwierdziła po chwili namysłu. – O ile przypadek nie jest zbyt skomplikowany. Mówimy sobie wszystko bez ogródek.
– Nie mam kajdanek. – Peter spojrział na swoje nadgarstki. – Kiedy je zdjęto?
– To ja je zdjęłam, gdy stało się jasne, że trochę pośpisz. Potem dostaliśmy raport z policji: nie jesteś o nic podejrzewany, twoich odcisków palców nie ma w kartotece. Chcieliby wiedzieć, kto cię postrzelił i poranił, ale nie będą naciskać.
– Gdzie jest oddział kobiecy? – spytał Peter. Zastanawiał się, czy dziewczyna nie jest czasem wariatką: wydawało się jej, że rządzi na oddziale, a do tego najpewniej nie wolno było jej przebywać z nim sam na sam.
– Piętro wyżej – odparła, unosząc palec. Gdy jej śliczne oczy powędrowały w górę, wyglądała jak postać z jakiejś mistycznej ikony. – Dlaczego pytasz?
– Nie sądzisz, skarbie, że powinnaś wrócić, zanim cię nakryją? – spytał, choć prawdę mówiąc wołał, by została: może dlatego, że wyzwoliła w nim rodzicielską dobrotliwość, a także nieco dokuczliwe zainteresowanie seksualne.
Dziewczyna zaśmiała się, słysząc to pytanie. Jej rozbawienie upewniło go, że jest wariatką, która uwolniła się z łańcuchów i zbiegła z oddziału.
– To mój oddział – wyjaśniła. Uznała, że pacjent sądzi, iż lekarce nie wolno przebywać na męskim oddziale. Nie przypuszczała, że w ogóle nie domyśla się, kim ona jest: sądziła, że kitel, pager oraz stetoskop wystający z kieszeni na piersi w oczywisty sposób wskazują na jej zawód.
Peter Lake jednak nigdy dotąd nie widział takiego kitla, nigdy nie słyszał o kobiecie lekarzu, nie wiedział, do czego służy pager, jako krótkowidz nie mógł odczytać małego napisu na jej identyfikatorze, a cielistoróżowe gumowe rurki wystające z jej kieszeni uznał za część procy.
– Czemu umieścili cię na męskim oddziale, panienczko, skoro w oczywisty, niezaprzeczalny i rozkoszny sposób jesteś kobietą?
Dziewczyna odezwała się po chwili milczenia:
– Nie wiesz, że jestem lekarką? Mam właśnie dyżur na oddziale. Pracuję dopiero drugi rok, czyżby to cię zmyliło?
Teraz już Peter był pewien, że jest chora umysłowo (choć też cudownie czarująca): żaden podłotek – zwłaszcza taki, który nosi procę – nie mógłby dyżurować w szpitalu na męskim oddziale. Postanowił jednak, że będzie jej przytakiwał.
– Ach, rozumiem! – powiedział. – No tak, właśnie to mnie zmyliło. – Uśmiechnął się, dziewczyna odpowiedziała mu tym samym. – Teraz już wszystko jasne... – zrobił pauzę dla podkreślenia następnych słów – pani doktor.
– Świetnie – odparła lekarka, zadowolona, że wzbudziła zaufanie i chęć współpracy

w pacjencie, który ponoć mógł okazać się trudny, a nawet brutalny (na wszelki wypadek za parawanem czekał w pogotowiu barczysty sanitariusz). Gdy Peter chwycił jej urocza, nieco krępą dłoń i ścisnął ją, powiedziała: – Zajrzę do ciebie jutro. Mamy sobie wiele do powiedzenia. Zrobię, co się da, byś mógł wyjść stąd jak najszybciej.

– Dziękuję, pani doktor.

– Ja tylko wykonuję swoją pracę – stwierdziła. – Zresztą możesz mi wierzyć albo nie, ale potrzebujesz jeszcze trochę snu. Dam ci zastrzyk.

Wyciągnęła strzykawkę z igłą wielkości różna i zaczęła ją napełniać w diaboliczny sposób, jak zazwyczaj napełnia się strzykawki.

– Zaraz, chwileczkę! – wrzasnął Peter Lake. Nie wyraził zgody na żadne leczenie, nie wiedział, co jest w strzykawce ani gdzie dziewczyna chce mu ją wbić. – Lepiej nie... – dodał, lecz było już za późno. Z fachową wprawą lekarka wbiła mu igłę. Peter bał się poruszyć, nie chciał, by igła złamała mu się w ramieniu.

– Co mi dajesz? – spytał, gdy płyn zaczynał krążyć mu w żyłach.

– Triksymetasalicylat, dimetyletyloksitan i wiparin.

– Ooo...! – zawołał Peter Lake, który w tym momencie był chyba najbardziej zagubioną istotą, jaka kiedykolwiek chodziła po świecie. – Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Dziewczyna uśmiechnęła się w odpowiedzi i patrzyła, jak pogrąża się we śnie.

Obudził się kilka godzin wcześniej, niż oczekiwała młoda lekarka, i rozprostował ramiona. Początkowo nie miał pojęcia, gdzie jest ani co się stało. Potem zaniepokoił się, bo przypomniał sobie, że nic nie pamięta. Obrócił głowę. Nie widział nic prócz białego płóciennego parawanu – i w tej cichej chwili zrozumiał wreszcie, że jest zupełnie sam. Jeżeli istnieli kiedyś ludzie, których kochał i którzy kochali jego, nie miał już do nich dostępu. Nawet gdyby zniemacka pojawili się u jego boku – myślał – pewnie by ich nie poznał. Był najstraszliwiej zagubiony, jak tylko może się zagubić człowiek, wciąż jednak nie tracił nadziei, że to minie, że jego dezorientacja rozproszy się jak mgła, która wyparowuje znad zatoki w gorący lipcowy ranek.

Raptem coś przerwało ciszę. Peter Lake podparł się na ramieniu i podniósł głowę z poduszki, by móc lepiej słyszeć tętent koni na ulicy. Wreszcie coś znajomego! Cały oddział, pięćdziesiąt sztuk lub więcej; sądząc po tym, że były podkute, szczękały wędzidłami i szły w zwartej grupie, musiała to być zmiana dyżuru konnej policji. „A zatem jest godzina szesnasta – pomyślał – jadą do śródmieścia; tymczasem konie z drugiej zmiany już przebierają nogami, czarni chłopcy kończą je zgrzeblić, do stajni schodzą się policjanci i za chwilę wyjadą na nocne patrole, które potrwają do północy”.

Wkrótce tętent ucichł i Peter znów został sam, zaniepokojony mnogością nieznanego mu przedmiotów. Ze ściany gapiła się na niego pustą szklaną twarzą przechyloną skrzynka. Nie mogła to być szafka, wisiała zbyt wysoko, zresztą wszystko by się w niej wymieszało. Peter nie miał bladego pojęcia, co to może być. Kształty przedmiotów i materiały, z jakich je wykonano, zaczęły mu się wydawać wręcz niezwykłe.

– Nie ma tu nic żelaznego – powiedział do siebie. – Ani drewnianego. – Wszystko jakby nabrało gładkości, straciło fakturę.

A czymże, na litość boską, były dziwne plakietki nad jego głową, połyskujące na czerwono i zielono? Z początku wziął je za drzwiczki od pieca, lecz przecież ani węgiel, ani drewno nie palą się zielonym płomieniem. Uniósł się na łóżku i zbliżył do nich twarz, aż zobaczył, że są to maleńkie światełka, skaczące jak pchły. Niesamowite było to, że te światełka pulsowały i migotały w sposób zsynchronizowany z jego oddychaniem i pracą serca,

a przynajmniej wszystko na to wskazywało – gdy podnosił się z wysiłkiem, zatańczyły jak szalone, gdy zaś opadł z powrotem na łóżko, uspokoiły się razem z nim. Peter zastanawiał się, czy to wszystko mu się przypadkiem nie śni.

Gdy dziewczynkowata lekarka zjawiała się ponownie, był jeszcze biały dzień. Peter Lake siedział na łóżku, zupełnie rozbudzony, zadumany i w wyraźnie lepszej kondycji. Niektórzy ludzie bywają tak pochłonięci myślami, tak sparaliżowani niewidzialnym przedstawieniem (czy cyrkowym widowiskiem) rozgrywającym się przed ich oczyma bądź w ich sercach, że narzucają swoje milczenie innym, ci zaś podporządkowują mu się bez urazy. Peter Lake nie zawsze był taki, teraz jednak był, może dlatego że bardzo pragnął rozwiązać zagadkę, w jakiej się obudził. Nawet lekarka milczała, nie śmiała wyrwać go z zamyślenia.

– Och – powiedział, gdy wreszcie ją zobaczył. – Ty jesteś lekarzem, prawda?

– Owszem – odparła.

– Nigdy nie słyszałem, żeby dziewczynki były lekarzami.

– Mam dwadzieścia siedem lat.

– Nie wyglądasz na tyle. Wybacz, ale dałbym ci najwyżej piętnaście. Poza tym i tak nie wiedziałem, że kobieta może zostać lekarzem. Choć to akurat nie ma wielkiego znaczenia, zważywszy, że nawet nie wiem, kim jestem, prawda?

– Tymczasem sprawdziłam, bo chciałam mieć absolutną pewność – odparła lekarka – czy są kobiety lekarze w Irlandii. I owszem, są.

– Nie jestem z Irlandii. Jestem stąd, z Nowego Jorku.

– Mówisz z irlandzkim akcentem.

– To prawda. I jest to dla mnie zagadka. Ale pochodzę stąd, z miasta. Jestem pewien.

– Znalaziono cię w porcie. Może płynąłeś jako marynarz albo pasażer na jakimś statku.

Uderzyłeś się w głowę... i tak dalej.

– Nie – zapewnił Peter. – Nie byłbym tego taki pewien, gdyby nie konie policyjne.

Słyszałem je jakieś dwadzieścia minut temu. Na pewnojechały do śródmieścia na zmianę patroli. Gdzie my jesteśmy?

– W St. Vincent's Hospital.

– Czyli na rogu Sixth Avenue i Eleventh Street.

– Tak.

– Dojazd do stajni zajął pewnie jakieś dziesięć minut, kolejne dziesięć minęło na oporządzaniu koni. A więc teraz musi być koło czwartej.

W tym momencie, jak gdyby na potwierdzenie tego, że Peter jest człowiekiem myślącym precyzyjnie, umiejącym wykaraskać się z zamętu, który go tymczasowo ogarnął, rozległo się bicie kościelnego dzwonu. Peter liczył po cichu, poruszając ustami:

– Jeden... dwa... trzy... cztery.

Lekarka spojrzała na zegarek. (Peter nie rozumiał, że dotknęła go tylko po to, by lepiej zobaczyć godzinę: sądził, że go pogładziła, tak jak kolejarz gładzi swój chronometr lub miotacz w baseballu muska daszek swojej czapki). Była dokładnie szesnasta.

– To ci sposób określania godziny – powiedziała. – Według koni! Wygląda na to, że masz duże szanse dowiedzieć się, kim jesteś, choćby drogą dedukcji.

– Nie potrzebuję zegarka – powiedział żywo Peter. – Kwadrans odliczam na podstawie bicia dzwonów. Poza tym wiem – dodał, pragnąc zrobić na niej wrażenie, a zarazem upewnić się sam w tym, co mówi – że kolejka kursuje mniej więcej co...

– Jaka kolejka? – weszła mu w słowo.

– Miejska.

– Kolejka miejska?

– Ta, która jeździ przez Sixth Avenue.

Dreszcz przebiegł jej po kręgosłupie.

– Nadziemny pociąg – powiedział, podnosząc głos. – Nie umiem wyrazić się jaśniej.

Lekarka pokręciła głową.

– Nie ma nadziemnej kolejki ani na Sixth Avenue, ani nigdzie indziej. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Może jest w Bronksie czy gdzieś na Brooklynie. Ale nie tu, w sercu Manhattanu.

– Nie bądź śmieszna – odparł Peter, tracąc pewność siebie. – Wiadukty kolejki są wszędzie. Nie można ich nie zauważyć. Widać je na każdym kroku.

– Nie – oświadczyła ze współczuciem w głosie. – Nie ma ich nigdzie. Już nie.

– Pozwól mi wyrzec przez okno.

– Jesteś podpięty do kroplówki i monitorów, zresztą i tak okno wychodzi na boczną uliczkę.

– Muszę to zobaczyć.

– Zaufaj mi. W mieście już od pół wieku nie ma żadnej kolejki.

– Właśnie dlatego muszę wyrzec – poruszył się niespokojnie. – Muszę zobaczyć miasto.

To jedyna rzecz, według której można naprawdę mierzyć czas.

– A konie? – zapytała współczująco.

– Konie nie wystarczą. Są za małe. Rozumiesz? Potrzebuję całego miasta.

– Dopiero gdy wyzdrowiejesz.

– Już wyzdrowiałem.

– Nie do końca.

– A właśnie, że do końca! – Ściągnął przez głowę szpitalną koszulę. Lekarka chciała go powstrzymać, lecz w miejscach, gdzie wcześniej miał rany, ujrzała już tylko blizny. Pacjent był zdrowy, w dobrej formie. Nie musiał dłużej leżeć w szpitalnym łóżku.

Lekarka podniosła dłonie do ust. To niemożliwe! Sama przecież opatrzyła mu rany, doskonale wiedziała, w jakim jest stanie. Zaczęła podejrzewać, że może się myli, może padła ofiarą wyrafinowanego figla – ale nie, mężczyzna był zdrowy. W niepojęty sposób wyzdrowiał.

– Który mamy teraz rok? – spytał nagłym tonem.

Powiedziała mu, lecz odparł, że nie uwierzy jej, póki na własne oczy nie zobaczy miasta, najbardziej precyzyjnego i nieomylnego zegara na świecie.

– Zaprowadź mnie na dach – rozkazał.

Pomogła mu uwolnić się od rur i czujników, a następnie włożyć ubrania, które dostał na promie. Po cichu wyszli z sali i wsiedli do windy. Na zewnątrz było już ciemno, lecz jakie to miało znaczenie w Nowym Jorku?

Widząc, jak pacjent przygląda się urządzeniom z nierdzewnej stali, elektronicznym przyciskom i lampom, domyśliła się, że nigdy w życiu takich rzeczy nie widział. Jak przystało na lekarkę, zauważyła, że ma dreszcze, że leciutko drżą mu wargi, że jego twarz blednie i czerwieni się na przemian. Zarazem, co już nie było u lekarza typowe, zauważyła, że ona również drży.

– Jeżeli to jakiś żart, zabiję cię – powiedziała, zastanawiając się, jak to możliwe, że mu w ogóle uwierzyła.

Dotarli na najwyższe piętro, puste i białe. Stary budynek był odnowiony, lecz wciąż na tyle znajomy, że Peter Lake mimo wszystko sądził, iż ujrzy miasto, które znał. Zobaczy kolejkę i wszystko inne. Promy o szeregach czarnych kominów, wysokich i smukłych jak eleganckie cylindry, będą kursować po zatoce, sypiąc iskrami wielkimi jak pomarańcze. Na tle nieba na

pewno wznosić się będą stalowe konstrukcje nowo budowanych wieżowców, ogólnie jednak miasto będzie takie samo – ucieleśnienie wieku dziewiętnastego, otwierającego oczy i zrzucającego welony z hebanu i stali. Skończy się sen, wszystko spokojnie wróci na swoje miejsce.

W końcu stanęli przed drzwiami prowadzącymi na dach.

– Zabawne – stwierdził Peter Lake. – Nie wydaje mi się, by moje przeczucie było prawdziwe, ale boję się otworzyć drzwi.

– Śmiało, pchnij je – powiedziała.

Tak uczynił.

„SŁOŃCE”...

Piętnastego maja gazeta „The Sun” obchodziła sto dwudziestą piątą rocznicę powstania. Kilkutysięczna rzesza ludzi weszła na pokład promu spoczywającego w porcie, w chłodnej mgłę unoszącej się tuż nad powierzchnią wody. Harry Penn postanowił uczcić długowieczność obu swych gazet, zabierając pracowników z małżonkami i narzeczonymi na wiosenny rejs „w górę Hudsonu i przez klify Palisades” – tak przynajmniej brzmiało pierwsze obwieszczenie, lecz Hugh Close, szef działu kompilatorów, zaprotestował sarkastycznie, że przecież nie będą płynąć przez tunele wykute w skałach. Zaproponowano sformułowanie „w cieniu klifów Palisades”, które jednak również zostało odrzucone, ponieważ, jak stwierdził Close, noc będzie bezksiężycowa i urwiska nie będą rzucać cienia. Ostatecznie rejs miał się więc odbyć „u stóp klifów”.

Jasno oświetlony prom był pomarańczowozłoty jak misa owoców w słońcu. Nakryte obrusami stoły ciągnęły się jak wstęgi przez długie kabiny i ugiwały pod tysiącami butelek szampana oraz tonami zakąsek i deserów. Na każdym pokładzie witała gości grająca pełną parą orkiestra. Wszyscy byli rozradowani i pełni optymizmu: tego popołudnia wcześniej zamknęli wydanie „The Sun”, a także niespodziewanie otrzymali specjalne rocznicowe premie w wysokości całorocznych zarobków, uzupełnione gratulacyjno-dziękczynnymi listami, w których Harry Penn wychwalał ich bohaterskie, konstruktywne i szczodre działania, zapewniał o dobrej kondycji finansowej gazety oraz zachęcał, by w niej zostali i współtworzyli jej przyszłość.

Dla Hardesty’ego i Virginii rocznicowa premia była prawdziwym uśmiechem losu: dzięki niej ich rodzina wzbogaciła się o dwie pełne rocznie pensje. Co więcej, Harvesters and Planters Bank w St. Louis po pięciu latach stanął na nogi, przeszedł rekapitalizację i przysłał Hardesty’emu list z zapewnieniem, że jego zamrożony czek będzie mógł zostać spieniężony. Oboje czuli się zatem bardzo komfortowo. Virginia urodziła drugie dziecko, dziewczynkę, której nadali imię Abby. Pani Gamely przysłała im list, w którym zapraszała ich do jak najszybszych odwiedzin i donosiła, że w tych ostatnich latach starego milenium Coheeries rzeczywiście odwiedziły wyjątkowo srogie zimy, ale też zupełnie niesłychane lata, dzięki czemu miasteczko wprost kipi od darów natury, „zarówno w agrarnym, jak i leksykograficznym sensie tego słowa”. „Wszędzie jest tyle jedzenia – pisała – i generuje się tyle nowych, cudownych słów, że spichrze i spiżarnie pękają w szwach. Toniemy w neologizmach, wędzonych rybach i ciastach owocowych”. Do listu dołączyła nawet cieniutki i pyszny placek wiśniowy.

Hardesty i Virginia zaczęli tańczyć w rytm koncertowych walców, nim jeszcze prom odbił od brzegu. Byli najszczęśliwszą ze wszystkich szczęśliwych par. Dzieci siedziały w domu, bezpieczne, senne i zadowolone, oni sami zaś byli wypłacalni, cieszyli się dobrym zdrowiem i mieli za sobą dzień ciężkiej pracy. W połączeniu z kilkoma kieliszkami szampana (tak wytrawnego, że gdy się rozlał, zupełnie zniknął z oczu) sprawiło to, że tańczyli z zapałem, kreśląc w powietrzu idealne elipsy. Co pewien czas mijali Asbury’ego i Christianę, którzy wręcz tryskali zdrowiem i wigorem, i byli nie mniej szczęśliwi. Tańczyli z nadzwyczajną łatwością, krążyli po odświętnie przystrojonym pokładzie promu jak planety po słonecznych orbitach. Mijali Praegera de Pinto, który tańczył z Jessicą Penn, ocierali się o najróżniejszych pracowników gazety: dziennikarzy, kierowców ciężarówek, mechaników o szlachetnych pociągłych twarzach i starannie przystrzyżonych wąsach w stylu z początku wieku, śliczne młode sekretarki, które nigdy dotąd nie były na tak eleganckiej imprezie, jeśli nie liczyć grzecznych i kulturalnych

przyjęć urządzanych w lipcu i w Boże Narodzenie w redakcyjnej oranżerii, młodziaków, którzy dopiero zaczęli pracę w gazecie i zachowywali się równie poważnie i niezręcznie jak dorośli, sędziwych bibliotekarzy, kucharzy, strażników (pod ich nieobecność budynku redakcji strzegła policja) oraz samego Harry'ego Penna: pomarszczonego, wytwornego, mądrego i żwawego, a przy tym chudego jak błyskawica. Gdy wszyscy znaleźli się na pokładzie, prom ruszył przez zatokę i skręcił na północ, w stronę Hudsonu, którego wody były gładkie jak olej. Mijali głębokie, rozświetlone od wewnątrz budynki. Nie licząc orkiestry i warkotu silników, na promie panowała cisza. Z ulic i zaułków Manhattanu napływał coraz głośniejszy śpiewny dźwięk. Mgła zasnuła niebo i gwiazdy, gdy zaś zaczęli zbliżać się do George Washington Bridge, opadła białymi kurtynami na oba brzegi rzeki, lecz nie na sam most i jego liny nośne – które migotały błękitnymi i białymi diamentami i wydawały się tak szerokie i grube, że mogłyby ukołysać w swej krzywiźnie cały świat.

Szklane ściany Manhattanu, ciągnące się świetlistą zieloną gładzią od Hudsonu do Battery, i tak nie miały porównania z tą białą kurtyną, zwiastującą coroczny konflikt pół roku. Jej chłód i czystość sprawiły, że prom znalazł się jakby na scenie. Wkrótce świętujący przestali świętować. Dokoła wznosiły się ściany katedry, a cichy rejs był jak podróż do świata umarłych – sugerował wręcz, że za białawą zasłoną mgły być może znajduje się coś nierównie bardziej doniosłego niż stan New Jersey. Nagle zapanował też dotkliwy chłód – przesłanie z daleka, zza łańcucha światła zwiastującego północny zakręt rzeki.

Orkiestry przestały grać, wyłączono silniki, prom sunął cicho, na wstrzymanym oddechu. Potem orkiestra na dziobie zagrała apokaliptycznie piękny kanon, jeden z tych utworów, w których kompozytor zapisał jedynie to, co mu się objawiło, drżąc z bojaźni przed kierującą go ręką. Wkrótce zawtórowała jej orkiestra na rufie, kanon popłynął po pokładach i po wodzie, aż cały prom stał się jak instrument muzyczny, przedmiot z delikatnego szkła, rozświetlony od wewnątrz i szybujący po tym samym zwierciadle co miasto.

Muzyka odpływała w eter, a pasażerowie stali przy relingach i na górnych pokładach, zapatrzeni gdzieś w dal, oddaleni od siebie, przemienieni. Wsiedli na prom beztrudnie, żeby śmiać się i tańczyć, lecz potem wokół nich zaciągnięto białą szarfę i w jednej chwili zdali sobie sprawę z krótkości i nieistotności swojego życia, z tego, że jednej sekundzie, w okamgnieniu, można wszystko stracić. Ta myśl odwiodła ich daleko od codziennych trosk i ambicji: pochłonięci jedynie muzyką oraz prawami, których była częścią, stali na otwartych pokładach promu i byli poruszeni do głębi. Cokolwiek ma się stać, stanie się. Cokolwiek mają zobaczyć, zobaczą. I będą wdzięczni, że to zobaczyli.

„Jacy oni dzielni – myślał Harry Penn, który znał już takie chwile: zdarzały się w ogniu walki, na morzu oraz kiedy patrzyło się w oczy dziecka. – Jacy oni dzielni, że patrzą prosto w swoją śmierć, i jak hojna czeka ich za to nagroda!”

Wnet w kłębach mgły błysnęły zwiastuny nadchodzącego lata: płachty i łańcuchy cichych, gorących błyskawic, odbijające się w wodzie mnogością swoich rozgałęzień. Na ten widok orkiestry przestały grać, muzyka ucichła na dobre, prom sunął w milczeniu pod walczącymi w górze bezdźwięcznymi błyskami. A potem, dotarwszy pod rozjarzony most, zawrócił na wstrzymanym oddechu i popłynął do domu.

Isaac Penn wypłynął z Hudsonu na statku wielorybniczym, gdy był chudym jak szczapa jedenastolatkiem. Nigdy wcześniej nie widział morza, był więc szczerze zdumiony, gdy halsowali w dół rzeki przez rozległą Haverstraw Bay, a potem przez ogromne połacie Tappan Zee. Gdy mijali Manhattan i klify Palisades, rzędy budynków, rojne nabrzeża oraz las masztów bujniejszy i gęstszy niż krzaki malin nad jeziorem Coheeries, widok ten poruszył go do głębi

i odmienił na zawsze. Zachował go głęboko w sercu i poprzysiągł sobie, że pewnego dnia wróci na Manhattan, by wziąć udział w rozwoju miasta, które – co widział nawet on, jedenastoletni wielorybnik – prowadziło właśnie niewstrzymany marsz na północ, w głąb wyspy. Jego przyrzeczenie nabrało twardości stali, gdy przepłynęli przez cieśninę Narrows. Dalej nie było już łagodnych zielonych wzgórz upstrzonych pstrokatymi sylwetkami przezuwających krów, nie było porośniętych trzcina zatok pełnych czapli i łabędzi, nie było błękitnych gór w oddali ani chłodnych i wietrznych, wiecznie zielonych lasów na ich stokach – tylko morze, nic więcej, w wielkim kręgu wody i nieba. Potem wielorybnicy posłali go do mycia garnków – na całe trzy lata.

Wracał na morze raz za razem. Ilekroć halsowali przez Hudson i mijali Manhattan, ten ostatni był już o kilka susów dalej na północ. Isaac Penn rozwijał się w podobnym tempie. Z pomocnika w kambuzie stał się chłopcem pokładowym, potem majtkiem, marynarzem, matem, bosmanem, pierwszym oficerem, kapitanem, właścicielem statku, a wreszcie właścicielem floty. Na chwilę przed upadkiem wielorybnictwa wycofał swój majątek i zainwestował go w statki handlowe, fabryki, ziemię oraz gazetę własnego pomysłu.

Wiedział, jak sprawnie dowodzić statkiem, jak traktować załogę, jak nawigować w ciemności i w sztormie, jak szukać nieuchwytnych, cennych wielorybów, znał sztukę zrozumiałego, a zarazem lakonicznego zapisywania wydarzeń w dzienniku pokładowym. Wiedział, jak prowadzić rachunki, jak rozplanować pracę na pokładach, w jakim momencie najlepiej sprzedać olej. Wysłał agentów do zamorskich portów, by informowali go o ruchach innych flot i by mógł przygotować się na wahania rynku. Był cierpliwy, umiał nieustępliwie ścigać los bądź czekać, aż pojawi się w jego zasięgu – ale też sam wykonał niejedną celny rzut harpunem.

Umiał też zatem zaprojektować „The Sun” w taki sposób, by było idealnym instrumentem, a przynajmniej czymś bardzo doń zbliżonym. Redakcję umieścił przy Printing House Square na dolnym Manhattanie, u zbiegu ulic Dark Willow, Breasted, Tillinghast i Pine – blisko centrum rządowego ze względu na wieści polityczne, blisko nabrzeży, gdzie odbierano przesyłki zagraniczne, blisko Five Points ze względu na przestępczość oraz Bowery ze względu na muzykę i teatr, a także niedaleko Brooklynu (gdzie przed ukończeniem mostu przeprawiano się promem), skąd czerpano historie z życia.

– W tamtych czasach – lubił mawiać Harry Penn – uważano, że tematy z życia wzięte można znaleźć tylko na Brooklynie. „Potrzeba nam prostych historii o ludziach”, mówiło się w redakcji, „poślijcie młodego na Brooklyn”. Zwracałem im uwagę, że na Manhattanie także mieszkają ludzie, ale nikt mi nie wierzył. Jechałem więc na Brooklyn w rozpaczliwym poszukiwaniu tematów z życia i wracałem na przykład z opowieścią o jakiejś krowie.

Południowa lokalizacja redakcji z czasem przestała być korzystna, ze względu na to, jak rozwinął się górny Manhattan, dzięki niej jednak wielu pracowników mogło zamieszkać na Staten Island lub Brooklyn Heights, co wzmacniało w nich aktywność i poczucie więzi z historią – było to bowiem samo centrum wielkiego, starego ludzkiego ula.

Siedziba redakcji „The Sun” już z daleka wyróżniała się na tle sąsiednich budynków, mimo że z czasem niemal zupełnie ją przytłoczyły. Można ją było niezawodnie rozpoznać dzięki flagom. Nie była to żadna wystawa narodowej bielizny, jak ta, która suszy się przed siedzibą ONZ czy wokół lodowiska na Rockefeller Plaza, lecz pięć osobnych, olbrzymich sztandarów w płomiennych kolorach. W czterech rogach budynku znajdowały się flagi miasta i stanu Nowy Jork oraz gazet „The Sun” i „The Whale”, pośrodku flaga Stanów Zjednoczonych. Sztandar „The Sun” przedstawiał miedzianozłote słońce w koronie ostrych trójkątów, na białym

atłasowym tle. Na fladze „The Whale” widniało jasnoblękitne niebo i granatowe morze rozdzielone haftem imitującym fale; na wodzie spoczywał bez ruchu potężny wieloryb z uniesionym ogonem, przedstawiony wyrazistymi pociągnięciami błękitu, szarości i bieli. Na mało prawdopodobny wypadek jawnie sprawiedliwej bądź niesprawiedliwej wojny, w której jedna strona byłaby wyłącznie agresorem, a druga wyłącznie ofiarą, sztandar ofiary wisiał niżej niż flaga państwowa. Flagi dodawały uroku wewnętrznemu dziedzińcowi, wisiały też niczym arrasy w newsroomach – Harry Penn twierdził, że są dla budynku tym, czym krawat jest dla mężczyzny, a apaszka dla kobiety.

– W dobrym krawacie nawet taki stary drań jak ja wygląda jak król Polinezji – mawiał. – Uwielbiam ładne krawaty i sądzę, że ten budynek także.

Sam gmach miał kształt prostopadłościanu, zbudowany był na stalowej konstrukcji, miał kamienną fasadę i utrzymany był w francuskim, neoklasycystycznym stylu według projektu dziewiętnastowiecznego architekta Oiseau. Był lekki i przestronny, ale i solidny. Sto dziesięć lat po wybudowaniu został całkowicie odnowiony, ogromne okienne ramy wypełniały teraz jednolite tafle dymnego szkła, przypominające wielkie płaskie klejnoty w klasycznej oprawie. W samym sercu budynku znajdował się obszerny dziedziniec z ogrodami i fontannami oraz zewnętrznymi, oświetlonymi klatkami schodowymi na każdej z czterech ścian. Całe atrium przykryte było nakrywą ze stali i szkła, którą w cieplejszych porach roku zsuwano jak pokrywę okrętowej ładowni i składano, by nie przeszkadzała.

Wnętrze budynku utrzymane było w matowej bieli, niektóre ściany pomalowano też na stonowane barwy lub ozdobiono gobelinami. Tu i ówdzie wisiały olbrzymie malowidła przedstawiające polowanie na wieloryby. Spoglądając na nie, można było uwierzyć, że jest się na morzu: biała woda była tak rzeczywista, że patrzący mimowolnie odsuwali się do tyłu, by nie chlasnął ich po twarzy lśniący łuskowaty ogon walczącego wieloryba. Sufity były trzykrotnie wyższe, niż dyktował obecny styl, i obramowane plafonami zręcznie wykonanymi przez rzemieślników, którzy odeszli na wieczny spoczynek wiele pokoleń temu. Budynek wypełniały też wschodnie dywany, drewno w ciepłych odcieniach, mosiężne wykończenia oraz subtelnie wtopione w tło lampy, świecące światłem skupionym i jasnym bądź rozproszonym, roztaczającym naokoło pałacowy przepych. Podłogi wykonane były z dębu, schody z mahoni, a szyby wind z mosiądzu, teki i prawdziwych kryształów: gdy windy odjeżdżały z wypełnionego palmami holu na parterze, podłogowe lampy odprowadzały je swym jasnym światłem i nadawały im diamentowy poblask.

W piwnicy znajdowały się siłownie: jedna wytwarzała prąd, druga obsługiwała wyłącznie prasy drukarskie. Były to wiekowe, skomplikowane konstrukcje z żelaza, mosiądzu i stali, zajmujące pół akra powierzchni – imponująca kolekcja pykających samowarów, szaleńczo wirujących kół, długich na półtorej stopy drążków napędowych szamoczących się w obłędnej harmonii z przestronnymi cylindrami, kotłów tak wielkich, że można by w nich ugotować cały zbiór moreli z Imperial Valley, oraz las chodników i drabin, którymi można było dostać się do zaworów, dźwigni, pomp, wskaźników i mierników; tych ostatnich było tyle, że gdy ktoś ujrzał całą maszynę przez przypominające szklarnię okna, sądził, że ma przed sobą fabrykę zegarów lub destylarnię. Gdy obie siłownie pracowały, błyskając światłami, posapując wesoło i wypluwając obłoczki pary, wydawały się sercem świata. Wycieczki szkolne przyjeżdżały autobusami z dalekich miejsc, nawet z Ohio, tylko po to, by zobaczyć maszynownię „The Sun” oraz wiekowych mechaników, którzy ją obsługiwali i konserwowali. Tylko oni znali sekrety prastarej technologii. A nawet oni, przyuczeni do fachu przez swoich ojców, nie znali nazw połowy części ani nie wiedzieli, do czego służą jej nieużywane już

elementy. Właściwie większa część maszynowni stała beczynnie, lecz i tak wszystkie przekładnie, koła i zawory musiały być wypolerowane i naoliwione.

W piwnicy znajdował się także sejf, pięć boisk do squasha, długi na siedemdziesiąt pięć stóp basen pływacki, siłownia sportowa, sauny, łaźnie parowe oraz prysznic.

Na parterze mieściły się magazyny papieru, prasy drukarskie, zajezdnia dla ciężarówek i hol z recepcją. Pierwsze piętro zajęte było w całości przez zecernię linotypową i komputerową oraz dział ogłoszeń. Reklama, opracowanie graficzne, księgowość, kadry i kasa mieściły się na piętrze drugim. Na trzecim znajdowała się redakcja informacyjna. Nie był to jednak typowy newsroom, czyli nazbyt jaskrawo oświetlony hangar zastawiony okropnymi metalowymi biurkami: centrum operacyjne „The Sun” składało się z czterech przestronnych prostokątnych sal otaczających z czterech stron dziedziniec, z rzędami stołów biegnących przez całą ich długość. Do blatów przytwierdzone były lampy z zielonego szkła, pod nimi kryły się szafki, szuflady oraz kable zapewniające każdemu reporterowi łączność z biblioteką, kostnicą, zecernią i bankami danych. W czterech rogach każdej sali znajdowały się pulpity redaktorów, z których płynęły zlecenia do rozmaitych działów i do których podchodzili reporterzy z gotowymi tekstami – czasem pokornie, a czasem, jeśli mieli gorący temat, z miną Cezara przekraczającego Rubikon. Każdy dział – miejski, krajowy, waszyngtoński, południowoamerykański, zachodnioeuropejski, wschodnioeuropejsko-radziecki, bliskowschodni, południowoazjatycki, wschodnioazjatycki, afrykański, naukowy, kulturalny, finansowy i artykułów wstępnych – miał własną elektroniczną tablicę informacyjną, specjalistyczną bibliotekę, terminale danych i własnego dyrektora. Istniał także osobny dział nazywany po prostu ad hoc, zajmujący się sprawami nazbyt rozgrzebanymi oraz takimi, które utkwily w martwym punkcie. W przeciwieństwie do większości redakcji, w newsroomach „The Sun” panował spokój i porządek. Każdy z nich miał z jednej strony cichy dziedziniec, a z drugiej rozległą panoramę miasta.

Po spiralnych schodach przechodzących wprost przez sufity wchodziło się na czwarte piętro, do gabinetów dyrektorów poszczególnych działów, felietonistów, redaktorów technicznych oraz wydawcy. Gabinet Harry’ego Penna, niegdyś należący do Isaaca, zajmował połowę jednego z dłuższych boków budynku. Znajdowała się tam jedyna bodaj na świecie zamknięta w budynku wyrzutnia harpunów. Wzdłuż ścian ciągnęły się stojaki z najwyższej klasy harpunami. Gdy ktoś miał ochotę się rozerwać, brał jeden z nich i wchodził do skrzyni imitującej dziób rozbujanego kutra; przed sobą, na całej trzydziestostopowej długości pokoju, miał rozstawione drewniane imitacje wielorybów.

Na piątym piętrze znajdowało się centrum komunikacyjne, komputery, telefaksy oraz sala konferencyjna i sala zarządu, na szóstym świetlice i restauracja. Piętro siódme i ósme zajmowała biblioteka. Obejmowała ona kilka milionów woluminów, roczniki wszystkich ważniejszych gazet i czasopism – oprawionych bądź w postaci elektronicznej – oraz mapy. Wykwalifikowani bibliotekarze dysponowali niemal nieograniczonym budżetem, pozwalającym utrzymać aktualne i starannie uporządkowane zbiory. Katalogi były istnym cudem świata.

Na dachu znajdowała się oranżeria, cieplarnia, taras, promenada i kawiarnia na świeżym powietrzu, z której można było podziwiać port i mosty, wspaniałe pejzaż miasta oraz wycinki otwartego nieba, błękitniejszego niż niebo nad Montmartre’em. To tu łopotały flagi, a także – w letnie popołudnia i wieczory, gdy gazeta pracowała z wigorem i gracją – przygrywał niekiedy kwartet smyczkowy.

Budynek był tak doskonale urządzony i pełen energii, że gdy patrzyło się nań z oddali, wydawało się wręcz, że za chwilę ożyje. Tak jak statki Isaaca Penna przywoziły w swoich ładowniach zamorskie bogactwa, redakcję wypełniały wspomnienia wszystkich dziwów, jakie

widzieli i opisali jej dziennikarze. W gmachu nigdy nie gasły światła – praca nad „The Sun” i „The Whale” trwała łącznie okrągłą dobę – mówiono jednak, że gdyby je wyłączyć, i tak byłoby wszystko widać, ponieważ w jego belkach i sklepieniach odłożyło się sto dwadzieścia pięć lat jasności.

Nie mniej pomysłowo niż jej siedziba zorganizowana była społeczna i ekonomiczna struktura gazety. Pennowie zawsze wierzyli w wysoką płacę minimalną – może dlatego, że Isaac tyle ciężkich lat spędził na myciu garnków. W artykułach wstępnych uparcie potępiali ideę pomocy społecznej dla osób zdolnych do pracy oraz rządowe programy socjalne, będące niczym więcej jak tylko rozbudowanymi układami protekcyjnymi. Nieustannie gromiły ich za to kręgi liberalne. Z nie mniejszym uporem bronili jednak wysokiej płacy minimalnej, powszechnie uważanej za niebotyczną. (Uważali, że solidna, ciężka praca zasługuje na godziwe wynagrodzenie, gdy zaś konserwatyści argumentowali, że wysokie płace zwiększają bezrobocie i hamują przedsiębiorczy zapał, odpowiadali, że przedsiębiorczość można podtrzymywać i pobudzać poprzez zmniejszanie podatków, co z kolei możliwe jest wówczas, gdy zmniejsza się nierówność dochodów i obciążenia socjalne).

Pennowie nie byli nawet w setnej części tak bogaci jak rodzina Binkych, tyle że ci ostatni dorobili się fortuny, idąc po trupach, do czego Pennowie nigdy się nie posunęli. Przede wszystkim wszyscy pracownicy „The Sun”, począwszy od zatrudnionego ledwie godzinę temu kuchcika aż po samego Harry’ego Penna, otrzymywali dokładnie – dokładnie! – tę samą pensję i taki sam pakiet świadczeń. Już samo to wystarczało, by posadę w „The Sun” można było uważać za wielką nagrodę. Każdy pracownik cieszył się takimi samymi przywilejami, jeśli chodzi o emeryturę, opiekę zdrowotną, dostęp do sprzętu sportowego w piwnicy czy wstęp do kawiarni i restauracji. Każdy mógł korzystać z hojnego dofinansowania edukacyjnego, a nawet zafundować sobie po godzinach lekcje muzyki. Zarazem jednak każdy miał też dobre powody, by ciężko pracować i piąć się w górę po szczeblach organizacji.

Była ona skonstruowana na wzór statku wielorybniczego. Po opłaceniu wszystkich wydatków i wypłaceniu podstawowych pensji zyski dzielono wedle skomplikowanego systemu udziałów. Nikt poza pracownikami gazety nie był upoważniony do posiadania udziałów, nie można było ich dziedziczyć ani przenosić na innych. Każdy pracownik otrzymywał na początek pięć udziałów. Po każdym awansie dostawał pięć kolejnych, do tego jeden za każdy przepracowany rok. Istniało dwadzieścia szczebli awansu oraz seniorstwo. Po roku pracy kuchcik był więc posiadaczem sześciu udziałów. Hardesty Marratta, który dołączył do zespołu od poziomu ósmego, po kilku latach osiągnął szczebel dwunasty. W ten sposób, z pięcioma udziałami początkowymi, sześćdziesięcioma za rangę stanowiska i pięcioma za każdy rok pracy, powinien mieć ich łącznie siedemdziesiąt – miał jednak osiemdziesiąt, ponieważ otrzymał dwie nagrody warte po pięć udziałów każda. Harry Penn, który zaczął pracę w „The Sun” w wieku dziesięciu lat jako gazeciarz, pracował w niej łącznie osiemdziesiąt pięć lat i zajmował oczywiście szczebel dwudziesty. Zaczynał także z pięcioma udziałami, a gdy był młodszy i mógł zdobywać nagrody (redaktor naczelny i wydawca nie byli już do nich upoważnieni), otrzymał ich dziesięć. Łącznie posiadał więc dwieście czterdzieści udziałów, co było liczbą imponującą w porównaniu z sześcioma udziałami kuchcika, ale już nie tak oszałamiającą wobec osiemdziesięciu Hardesty’ego. Jeśli kuchcik został w „The Sun” (a zwykle zostawał, choćby ze względu na samą pensję i świadczenia) przez dziesięć lat, awansował o dwa poziomy wyżej na szefa kuchni i otrzymał nagrodę za sałatkę własnego pomysłu, zupę z soczewicy, bądź też, powiedzmy, za uratowanie dziecka sprzed rozpędzonej limuzyny Craiga Binky’ego, miał w sumie trzydzieści udziałów.

Taki system wyzwalał nie tylko ambicję, ale i produktywność. Ponieważ maksymalna liczba udziałów nie była ustalona, a całoroczny zysk miał wielkość skończoną (idea nieskończonego zysku prześladowała Craiga Binky'ego, radził się nawet ekonomistów i jasnowidzów, czy coś takiego jest w ogóle możliwe), wszystkim opłacało się ciężko pracować – nie tylko po to, by wytworzyć wyższy zysk, ale też by nie dopuścić do mnożenia się etatów, czyli także udziałów.

Pracownicy „The Sun” pragnęli służyć gazecie jak najlepiej nie tylko dlatego, że działało to na ich korzyść, lecz także dlatego, że była to firma uczciwa; odczuwali to tak samo jak piękno kraj-obrazu. Wspaniale było też wiedzieć, że tę uczciwość można nie tylko intuicyjnie odczuć, ale też wykazać za pomocą kilku logicznych operacji – oraz na podstawie tego, w jakich nastrojach ludzie przychodzili do pracy na poranną i wieczorną zmianę.

Wyjątkowo sprawiedliwy i efektywny system socjalny „The Sun” nie zrodził się ani pod lufą karabinu, ani w okrucieństwie, ani we francuskich komunach, ani w rewolucyjnej przemocy, ani w wyobraźni czytelnika przesiadującego w bibliotece British Museum, tylko na pokładzie dziewiętnastowiecznego amerykańskiego kutra wielorybniczego.

To, że nie jest gazetą nudną, „The Sun” w dużej mierze zawdzięczało chyba także swojej żywiołowej i niezwykłej konkurencie.

Rupert Binky rzucił kiedyś Harry'emu Pennowi słynne wyzwanie. W swoich artykułach wstępnych i rozmowach z przyjaciółmi w Alabaster Club zwykł się przechwalać, że „The Ghost” zniszczy „The Sun” jeszcze przed końcem tysiąclecia, założył się też, że jeżeli mu się to nie uda, opasze się ciężkimi łańcuchami i skoczy z najwyższego nowojorskiego mostu. „Czy Harry Penn jest gotów zrobić to samo, jeśli uda się nam – a na pewno nam się uda – do końca tysiąclecia pogrzebać »The Sun«?” – pytał w swej gazecie.

„Nie – odpisał Harry Penn w swoim wstępniku. – I uwalniam Ruperta Binky'ego od konieczności dotrzymania swojego przyrzeczenia, choćby ze względu na dobro ruchu wodnego na naszych rzekach. Bo jeśli pan Binky skoczy głową w dół, może się niechcący urzeczywistnić doktryna naszych szacownych strategów lotnictwa bombowego”.

Niedługo później Rupert Binky został zabity przez rozwścieczonego łabędzia na rzece Isis w Oksfordzie. Grupa wioślarzy z Magdalen College, zmęczona po agresywnych zawodach kajakarskich, zeznała potem, że zdążyła usłyszeć z jego ust tajemnicze przedśmiertne słowa, coś jakby: „Zniszczyć słońce!”. Wbrew temu, co sądzili, nie było to wcale wzniosłe, mistyczne zawołanie, tylko konkretne polecenie, natychmiast zresztą podchwyczone przez jego wnuka: Craig poprzysiągł, że pomści dziadka, zupełnie jak gdyby łabędź był wyszkolonym zabójcą na usługach Harry'ego Penna.

Trzeba przyznać, że miał do dyspozycji imponujące środki – przede wszystkim wielomilionową fortunę Binkych oraz wielką rzeszę czytelników „The Ghost”. Lecz gdyby miał tylko to, atak na „The Sun” nie byłby bardziej skuteczny niż na każdego innego rywala. Craig gorąco wierzył, że tarapaty, w jakie niekiedy wpadało „The Sun”, były spowodowane jego sprytnymi fortelami, ale w rzeczywistości towarzyszyła im potężna siła, której ani on, ani wielu współczesnych nie dostrzegało: czasy, w jakich żyją. Wiele umiejętności i sztuk znajdowało się w zaniku, czytelnicy byli już inni niż kiedyś, większość ludzi co najmniej jedną trzecią dnia spędzało na biernym oglądaniu telewizji, bez reakcji i oporu chłonąc to, co im się w niej serwuje. Zasady moralne i obyczaje stały się tak racjonalne i postępowe, że przestępcy i prostytutki z dawnych epok nie napotkaliby żadnych ograniczeń ani cenzury dla swej działalności. Mało tego: rabuś w rodzaju Petera Lake'a były oburzony poziomem ogólnej nieuczciwości i korupcji, i zdezorientowany tym, że nikt nie chce już odróżniać dobra od zła. Miasto było dotknięte takim

zepsuciem, ogarnięte taką anarchią, że w końcu zaczęły pojawiać się w nim wysepki przyszłego odrodzenia, które następnie pomału, lecz konsekwentnie rosły – wody były mętne, lecz one rosły jak rafa koralowa i gdy oddolna siła wyniosła je wreszcie na powierzchnię, były nie do zatrzymania.

Jedną z takich wysp było „The Sun”, nieustannie zagrożone przez wzburzone morze, w którym Craig Binky pływał jak ryba, i to zawsze z prądem. Podczas gdy Harry Penn stał twardo jak skała wśród bystrzy, Craig z cudowną łatwością pluskał się w spienionych falach. Potrafił zainteresować dziesięć tysięcy razy więcej czytelników artykułem o najnowszym błyszczącym kostiumie do tańca na wrotkach niż „The Sun” esejem o kolonizacji Księżyca, a śledztwo dziennikarskie „The Ghost” o afrodyzjakalnych właściwościach crème de caramel przynosiło większy dochód niż cała seria artykułów „The Sun” o wysmienitych nowych wykonawcach muzyki elektronicznej.

„The Sun” mimo wszystko miało się świetnie, jakkolwiek Harry Penn nie był zadowolony, że znajduje czytelników tylko wśród osób inteligentnych i wymagających: nie chciał jedynie przetrwać, chciał tryumfować. Nie chodziło nawet o „The Ghost”, choć był to wyjątkowo irytujący przeciwnik; chodziło raczej o ogólną wizję świata i poczucie porządku. Harry Penn pragnął, by „The Sun” walczyło z „The Ghost” i wszystkim, co ta gazeta reprezentowała – nigdy na jej warunkach, lecz przynajmniej na jej gruncie. Posyłał zatem swoich żołnierzy do walki z Craigiem. Nie chcieli oni stosować tych samych metod, co „The Ghost”, ani schlebiać spaczonym gustom, mieli więc w tej walce słabszą pozycję, ta nierówność jednak jeszcze bardziej rozpaliała ich wyobraźnię.

Jakkolwiek na swych stronach informacyjnych „The Sun” było wzorem dokładności i obiektywizmu, strony redakcyjne obejmowały szerokie spektrum tematów i niczym parlament dzieliły się na zaciekłe walczące frakcje. Na stronie pierwszej znajdowały się trzeźwe, wyważone i wielopłaszczyznowe oceny, nieróżniące się zbytnio od tych, jakie publikowały inne wielkie gazety na świecie, tyle że oceny „The Sun” trudniej było przewidzieć, ponieważ jego polityka była płynna, praktyczna i idiosynkratyczna. Druga strona redakcyjna należała do prawicy, mogła ona tam przedstawiać – niekiedy z godną podziwu błyskotliwością – swoje zupełnie przewidywalne poglądy. Podobnie było ze stroną trzecią, w całości należąca do lewicy. Kontrowersyjna była natomiast redakcyjna strona czwarta: udzielających się tam felietonistów i gości „The Sun” zachęcano, by nie zważali na ryzyko pozwu ani inne konsekwencje, jakkolwiek przestrzegali oni niepisanego kodu i nie posuwali się do nadużyć i taniej sensacji – w innym wypadku teksty z „czwórki” mogłyby być naprawdę zjadliwe i prowokujące. Właśnie na tej stronie Virginia Gamely, obecnie Marratta, zaczęła igrać z ogniem.

Z początku pisała grzecznie, lecz wkrótce owładnął ją dziwny przymus, którego źródeł nie mogła nijak dociec. Nie było w tym nic zaskakującego: nad jeziorem Coheeries nawet największe śnieżne zamiecie – takie, co zasypywały domy po dach i upodabniały kraj-obraz do wzburzonego białego morza – zawsze zaczynały się od nieśmiałych, ledwie widocznych zadymek. Felietony Virginii z początku również pozostawały niezauważone, były bowiem pochwałami miasta, które tak górowało nad swymi mieszkańcami, że rzadko byli w stanie ujrzeć je jako całość. Jego piękno było o tyle ironiczne, że ci, co je stworzyli, nie mogli go zobaczyć. Zanadto byli pochłonięci pośpiechem i walką, gubili się w jego wnętrzu jak okruszki.

Virginia często towarzyszyła Hardesty’emu i Markowi Chestnutowi podczas długich spacerów w poszukiwaniu zapomnianej architektury i nieodkrytych widoków. Gdy znaleźli upragniony obiekt, odchodziła na bok, przystawała na zarośniętej krzakami parceli lub kamiennych schodkach i przyglądała się, jak pracują. Marko rysował, Hardesty robił notatki,

a ona zagapiała się na wybrany przez nich budynek lub rozglądała się po okolicy. Obserwowała na przykład popołudniowe światło na rzeźbionych fasadach z rudego kamienia i widziała, że światło i kamień kochają się nawzajem, że ocierają się miłośnie o siebie niczym dwie morskie fale zdążające przed siebie w tym samym przejrzystym nurcie. Zgiełk ulicznego ruchu był dla niej białym szumem, woalem odgradzającym ją od teraźniejszości; dzięki niemu mogła przytulić do siebie oglądany widok niczym własne dzieci – tocząc zacieklą, znojną walkę z czasem. Wierzyła bowiem, że tylko poprzez miłość można doświadczyć straszliwej udręki czasu, a potem go zupełnie unieruchomić. Patrzyła, jak letni wiatr kołysze wysokimi trawami na zdewastowanych parcelach, aż zastęgały bez ruchu i ukazywały się jej oczom jakby w zatrzymanym kadrze. Potem wracała do redakcji i pisała eseje, które doprowadzały Craiga Binky'ego i jego czytelników do obłędu, ponieważ widziała świat nie jako materialny system, w którym wszystkie elementy są ze sobą połączone, lecz raczej jako wspaniałe złudzenie ducha. Kiedyś napisała na przykład, że kopała dawnej komendy głównej policji potrafi „strzec miasta *samym swoim kształtem*”, a to dlatego, że „niezależnie od niewytłumaczalnej magii barw obrazy przekazywane są i odbierane poprzez formę. Nawet same receptory mają stałą, rozpoznawalny kształt, który pochodzi od właściwości światła. Bądź co bądź oko widziane z zewnątrz również wygląda jak kopała”. W swoich rozważaniach objaśniała, jakie właściwości ma powietrze w porannym świetle, a następnie, w sposób metafizyczny i zmysłowy zarazem, przechodziła do takich spraw, jak ostateczne spełnienie, symetria, piękno, Bóg, diabeł, równowaga, sprawiedliwość i czas. Było to typowe dla osoby pochodzącej z Coheeries – mieszkańcy tamtych stron zawsze byli bardzo poważni, o naturze i religii mogli rozmawiać w nieskończoność, z cierpliwością i żarliwością godną dziewiętnastowiecznych filozofów niemieckich.

Gdy Harry Penn przeczytał pierwszy z tych esejów, wezwał Virginie do swojego gabinetu.

– Czy zdajesz sobie sprawę – spytał prosto z mostu – że te teks--ty ściągną nam na głowę zacieklą atak?

Virginia była tak zaskoczona, że nie mogła wydobyć słowa.

– Zdajesz sobie sprawę?

– Nie – odparła. – Atak? Czyj? Z jakiego powodu?

Harry na chwilę przymknął oczy i skinął głową, utwierdzony w swoich podejrzeniach.

– Usiądź – powiedział i zaczął jej po ojcowsku objaśniać, jak barbarzyński charakter mają dysputy intelektualne w mieście, gdzie wielu przedkłada intelekt nad naturę. – Większość ludzi wypracowuje swoje wnioski w wielkim znoju, idąc po zawitych, ślepych ścieżkach. Oni nie lubią, gdy ktoś taki jak ty wlatuje im nagle balonem nad głowy. Nie możesz oczekiwać, że ktokolwiek zaufa objawieniu, którego sam nie doświadczył. Ci, którzy go nie doświadczyli, polegają jedynie na rozumie. Objawienie to coś zupełnie innego, nie można go ująć racjonalnie, dlatego oni nigdy ci nie uwierzą. Gdy rozum i objawienie się uzupełniają... o, to jest coś, wspaniały wiek! Teraz jednak w mieście dominuje rozum. Dowodzenie czegokolwiek z innego punktu widzenia lub za pomocą innych środków jest wywrotowe. Zaatakują cię. Może gdybyśmy puszczali twoje kawałki w dziale religijnym, razem ze streszczeniami kazań, nie wzbudziłyby wielkich kontrowersji...

– Jakich kontrowersji? – przerwała mu. – Do tej pory nie było żadnych kontrowersji.

– Ale będą.

Trudno jej było w to uwierzyć.

– Skąd pochodzisz, młoda damo?

– Z Coheeries. Gdy przyjechałam do Nowego Jorku, zatrzymałam się u Jessiki,

w pańskim domu. Był pan wtedy w Japonii.

– To ty jesteś małą Virginią Gamely?

– Już nie – odparła z uśmiechem: była wyższa od Harry’ego.

– Nie miałem pojęcia, że to ty. – Harry Penn spojrzął jej w oczy. – Z zainteresowaniem będę czytał twoje kolejne felietony.

– Ja pana właściwie nie pamiętam.

– Kiedy widziałem cię ostatnio, byłaś jeszcze maleńka. Nie możesz mnie pamiętać.

Stało się tak, jak przewidywał Harry. Virginię zaatakowano z kilku różnych stron, potraktowano ją tak, jakby sugerowała, że dzieci w mieście należy poić cykutą. „The Ghost” ugodził ją na pierwszej stronie, poświęcił nawet wiadomości ze świata, by zbesztać „The Sun” za „religijny reakcjonizm”. „Na takie rzeczy są paragrafy! – pisał – Powinno się je eliminować w imię nowoczesności i zdrowego rozsądku”. Nie żeby Craig Binky naprawdę miał taki pogląd (na ogół nie wiedział, jaki właściwie ma pogląd), po prostu wydawało mu się, że tak myślą ludzie. Virginię atakowano także w innych tekstach, choć już mniej żywiołowo i protekcyjnie: zakładano, że skoro jest nowa, niewiele trzeba, by ją pogrzyżyć. W czasie wojny często popełnia się takie błędy.

Virginia widziała kiedyś, jak jej matka chwyta strzelbę i praży ogniem w kryjących się w mroku nocy rabusiów; pod wieloma względami była do niej podobna, co wcale nie znaczy, że obrała swój kurs mądrze czy poprawnie – bynajmniej – lecz raczej że zrobiła to w sposób uduchowiony. Nie zachowując należytej ostrożności, odpłaciła się pięknym za nadobne.

Artykuł wstępny w „The Ghost” kwestionował stosowność wyrafinowanych esejów o estetyce, regularnie ukazujących się w konkurencyjnej gazecie: „Czy zwykły człowiek z ulicy, jeden z milionów, Hincky, Lester, Jocko, Alphonse czy John, jest w stanie cokolwiek zrozumieć z mistyczno-religijnej obsesji, która ogarnęła »The Sun«?”. Niedługo potem Harry Penn podniósł wzrok znad gazety, by po drugiej stronie swego wiekowego, obitego skórą biurka ujrzeć Praegera de Pinto i Hugh Close’a. Redaktor naczelny i szef kompilatorów spirali się o to, czy należy publikować odpowiedź Virginii na zarzuty „The Ghost”.

– Nie możemy tego puścić, panie Penn, po prostu nie możemy – gorączkował się Hugh Close. W rękę trzymał tekst zatytułowany Gdzie jest, o „Duchu”, twój oścień? – Chyba że na redakcyjnej „czwórce”. Nie, tam też nie.

Praeger de Pinto nie odzywał się ani słowem.

– Proszę, niech pan sam zobaczy – nalegał Close. – Polecam pańskiej uwadze choćby ten fragment: „Wolałabym, żeby rozszarpał mnie kot o zatrutych pazurach niżby choć przez chwilę zaakceptowali mnie intelektualisci opłacani przez »The Ghost«”. I ten: „Ludzie tacy jak Myron Holiday, Wormies Bindabu czy Irv Lightningcow nie potrafią odróżnić kaczki od kury, a co dopiero dostrzec prawdę. Nie dalej jak wczoraj Myron Holiday napisał na przykład w swoim felietonie, że Oliver Cromwell był słynnym toreadorem, a pierwszy strategiczny nalot bombowy przeprowadzono podczas wojny z Brytyjczykami w 1812 roku”. I jeszcze to: „Racjoniści z »The Ghost« to mechanistyczne bestie, które rosną w ciemnościach, a więdną w świetle dnia. Wystarczy, że się zbliżą do butelki mleka, a skwaśnieje. Włączą się po przyjęciach pełnych niechlujnych kobiet palących papierosy, nie umieją pływać, straszą dzieci i masturbują się w księgarniach”. Nie możemy drukować takich rzeczy. To gruba przesada.

– Ale mimo wszystko ma rację – odparł Harry Penn, unosząc palec w patriarchalnym geście. – Puśćcie to na pierwszej stronie.

– Ależ panie Penn! – zawołał Hugh Close. Był chodzącym wzorem skrupulatności, taki nieostrożny, frontalny atak nie leżał w jego naturze. – Będziemy straszliwie bezbronni!

Praeger de Pinto obrócił się w stronę okna, żeby ukryć uśmiech. Znał Harry'ego Penna lepiej niż ktokolwiek z żyjących.

– Nasze nietakty niekiedy wychodzą nam na zdrowie, Hugh – zasapał Harry. – To opatrność kształtuje nasze losy. Pan jest moim pasterzem. Nie brak mi niczego. Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach. Pozwól temu tekstowi ukazać się na pierwszej stronie.

– Na pierwszej?

– Na pierwszej.

– Na pierwszej?

– A cóż ty, w papugę się zmieniłeś?

Virginia tymczasem przechadzała się nerwowo po ogrodzie na dachu. Posadę w „The Sun” mimo wszystko można było stracić, a ona posunęła się za daleko. Bunt i poczucie winy zalewały ją tak potężnymi falami, że czuła się jak w bocianim gnieździe podczas sztormu. Gdy Praeger zbliżył się do niej z poważną i nieruchomą twarzą, była przygotowana na najgorsze.

Przyglądał się jej przez chwilę, widział, że traci panowanie nad sobą. Zaraz jednak dodał jej skrzydeł, obwieszczając, że wraz z Harrym Pennem postanowili wydrukować jej polemikę na „jedyńce”. Lecz dodał też, że uratowała się o włos i że jeśli lubi mocne wrażenia, lepiej zarobi jako kierowca ciężarówek z nitrogliceryną. Mimo wszystko Virginia schodziła z dachu lekka jak piórko. Gdy w newsroomie powiedziała o wszystkim Hardesty'emu, ten również przestrzegł ją, że powinna być ostrożna.

Była – przez jeden dzień. Potem wróciła do wcześniejszych nawyków. Bała się, ale i tak igrała z ogniem. Może dlatego, że mieszkańcy Coheeries wywodzili się z zuchwałych harcowników z czasów wojen z Indianami i Francuzami. Może dlatego, że niósł ją głęboki, przejrzysty prąd czasu, może dlatego, że była śmiała, wierząca i dobrze znała wszechmoc Boga i natury. A może po prostu dlatego, że była odrobinę szalona.

Konflikt Virginii z intelektualistami „The Ghost” i ich sprzymierzeńcami wkrótce wygasł, obie strony zmęczyły się miotaniem w siebie nawzajem niedających się uzasadnić uogólnień, które trudniej było wygłosić niż podtrzymać.

Po każdym artykule Virginii pojawiały się naciski, by ją zwolnić, zarówno w samej redakcji „The Sun”, jak i poza nią. Lecz za każdym razem ratowała ją osobista interwencja Harry'ego Penna. Nikt nie wiedział, dlaczego tak się dzieje, zwłaszcza że nawet jego córka Jessica niekiedy otrzymywała podwójną salwę miażdżących recenzji, ze strony „The Sun” i „The Whale”.

Po pierwszym ułaskawieniu Virginia czuła, jak wibruje w niej o włos uniknięty cios, tak jak asystentka miotacza noży czuje drgania koła, do którego jest przytwierdzone jej unieruchomione ciało. Za drugim razem huśtała się już wesoło w hamaku zawieszonym na bliźniaczych podpórkach ulgi i wdzięczności. Za trzecim podeszła do sprawy z humorem. Za czwartym razem, ogłosiwszy felieton pod tytułem Burmistrz wygląda jak jajo. Koniec kropka, spodziewała się już, że jej się upiecze. Za piątym, po tekście Craig Binky a kwestia umysłowej nagości byłaby zdziwiona, gdyby jej nie ułaskawiono.

Nikogo innego w „The Sun” nie traktowano z takim poważaniem. Virginia mogła robić, co jej się żywnie podobało, w ciągu tygodnia brała na siebie ryzyko, którego starczyłoby na całe życie. Życzliwi podejrzewali, że Harry pozwala na takie wariactwa z racji swojego zaawansowanego wieku. Ci o długich językach twierdzili, że Virginia jest jego kochanką. Harry Penn nie tracił jednak ani trzeźwości umysłu, ani przyzwoitości. Zawsze ubrany w tweed, podpierał się hebanową laską o złotej rączce – szturchał nią psy paskudzące na chodniku – i choć starczało mu siły, by co jakiś czas miotnąć sobie harpunem, z całą pewnością nie był już

w wieku pozwalającym na kochanki, nawet się o to nie starał. Dlaczego otacza Virginię Gamely takimi względami, pozostało tajemnicą.

... I „DUCH”

Nie ma sensownego, uporządkowanego sposobu, w jaki dałoby się opisać „The Ghost”, trudno nawet powiedzieć, od czego zacząć. Była to gazeta opływowa, oblewana gładko przez rzekę czasu, i rządził w niej kompletny chaos. Roilo się w niej od ludzi ze śmiertelną powagą wygłaszających najzupełniejsze idiotyzmy. Któregoś razu na przykład redakcja podzieliła się na dwa stronnictwa: tych, którzy twierdzili, że białe wino otrzymuje się z ryb, i tych, którzy uważali, że robi się je z czegoś innego, lecz nie byli w stanie określić, z czego. Obie frakcje unikały się nawzajem przez osiem czy dziewięć miesięcy niczym hugenoci i Walończycy; „The Ghost” ukazywał się pełen pustych miejsc, bez zdjęć lub z artykułami drukowanymi bokiem lub do góry nogami, ponieważ jedni z drugimi nie chcieli współpracować. Craig Binky poradził się doradców, a potem postąpił dokładnie tak, jak zamierzał wcześniej, czyli zwołał zebranie zarządu i ogłosił:

– Panowie, pamiętacie zapewne opowieść o węźle mordyjskim. Pepin Krótki, któremu pokazano węzeł mordyjski, nie mógł go rozplątać, podpalił go więc, czyli zrobił tak jak Rosjanie ze swoimi wioskami pociotnikowskimi. Zamierzam zastosować tę samą strategię, zmodyfikowaną podług wymagań stawianych przez nasz eufoniczny wiek.

Następnie zwolnił co do jednego całe jedenaście tysięcy pracowników „The Ghost”. Nazajutrz w redakcji nie było zupełnie nikogo, nawet szczurów, co pewnie nieco otrzeźwiłoby zwaśnionych pracowników, gdyby Craig Binky nie wypłacił każdemu z osobna trzyletniej odprawy. Przez kolejne pięć czy sześć tygodni w siedzibach redakcji i jej filii było ciemno jak w jaskini w bezksiężycową noc, armia detektywów poszukiwała zaś zwolnionych pracowników po francuskich i włoskich riwierach.

Lekcja Craiga Binky’ego była dość prosta. Jak napisała Virginia w komentarzu do swojego wywiadu z wydawcą i redaktorem „The Ghost”: „Zbyt wielka władza prowadzi do śmieszności. Jest to prawdą w polityce, gdzie ludzie władzy często upadają pod ciężarem własnego nadęcia, a także w religii, gdzie niekiedy zdarza się, że ktoś zobaczy anioły, a potem opowiada, że widział arlekinę. Potwierdza się to też w dziennikarstwie prasowym: ludzie będący lustrem dla świata niekiedy wychodzą na durniów, gdy próbują go objaśniać. Ktoś rzecz jasna musi podjąć to ryzyko i mówić, jaki jest świat. Lecz jeśli się to robi bez świadomości swojego miejsca w naturze, można się łatwo ośmieszyć, tak jak Craig Binky, który sformułował ostrożny wniosek, że »białego wina tak naprawdę nie robi się z ryb ani żadnych innych ssaków, tylko przez wyciskanie soku z niedojrzałych cukinii«”.

Dyrektorzy „The Ghost” byli jednak beznadziejnie zastraszeni przez miliardy Binky’ego i nie śmieli przeciwstawić się szefowi. Czasem błagali go, by nie robił tego czy tamtego, ich głos nie był jednak mocniejszy niż pisk polnej myszy. Jego władza nad nimi była niemal absolutna. Craig ponadawał im na przykład imiona i nazwiska zaczerpnięte z grzbietów Encyclopaedia Britannica: w ten sposób mógł ich lepiej spamiętać, bo sporo czasu spędzał na wpatrywaniu się w stojące na półce tomy encyklopedii. Chcąc nie chcąc, jego dyrektorzy nazywali się teraz Bibai Coleman, Hermoup Lally, Lalo Montpar, Montpel Piranesi, Scurlock Tirah, Arizona Bolivar, Bolivia Cervantes (jedyna kobieta w zarządzie), Ceylon Congreve, Geraniales Hume, Newman Peisistratus, Rubens Somalia oraz Tirane Zywny; ten ostatni był swoim nazwiskiem wyjątkowo zawstydzony, dzielił je bowiem z rasą psa używaną do łapania szczurów.

Pewnego dnia Craig Binky w towarzystwie dwóch niewidomych ochroniarzy o imionach Alertu i Scroutu wszedł na comiesięczne zebranie zarządu. Jak zwykle przyniósł cały pakiet

propozycji i projektów (nazywanych przezeń „projektynkami”), które zarząd miał hurtem zaaprobować.

– Przed wszystkim – zaczął – chciałbym, byście pozwolili mi podziękować, że mogłem wyświadczyć wam grzeczność i wezwać was tutaj. Znaczy się, to naprawdę miło z mojej strony, że się z wami spotkałem. Ha! Co za dzień! Słońce świeci w rykach i wiciach, wszystko się utrzymyżnia. Pomyślcie tylko, jak miło mi, że zwracam się do was, od siebie, ja, wasz przyjaciel i przewodniczący: wiecznie stroskany, wiecznie niezadowolony i całkiem chętny, by to przedyskutować wczoraj, dziś lub jutro. – To rzekłszy, obrócił się w fotelu i przez pięć minut wpatrywał się w okno. Zupełnie nie przejmował się tym, że zebrani siedzą za jego plecami jak na szpilkach. Niekiedy kazał im tak czekać przez bitą godzinę. Czym miał się przejmować? Płacił im po dwieście tysięcy dolarów rocznie, by witali go uniżenie, gdy wchodził do sali, kiwali głowami i z szeroko otwartymi oczyma reagowali na jego sugestie, by posługiwali się nazwiskami, które im ponadawał, by dyskutowali o jego propozycjach za pomocą wielkich słów, których nie rozumiał, a następnie przyznawali, że to doskonały pomysł – na przykład by uprawiać grzyby w nieużywanych sejfach.

– Lalo, Hermoupie, Bolivio, Bibaiu, Montpelu, Newmanie, Tiranie, Ceylonie, Geranialesie, Arizono, Scurlocku – powiedział wreszcie, obróciwszy się z powrotem w fotelu. – Cieszę się, że tu jesteście. Cieszę się, żeście wszyscy śmiertelni. A teraz posłuchajcie. Co by się stało, gdyby wziąć wszystko, co istnieje we wszechświecie, i podzielić przez jeden? Powiem wam: nic by się nie zmieniło. Skąd więc mamy wiedzieć, że właśnie teraz, dokładnie w tej chwili, ktoś gdzieś tego nie robi? Drzę na samą myśl o tym. Możliwe, że jesteśmy nieustannie dzieleni przez jeden, lub nawet mnożeni, i nigdy się o tym nie dowiemy!

Każdy z zebranych przybrał zadziwiony wyraz twarzy, popatrzył na sąsiada i ponownie wyprostował się sztywno, czekając, co będzie dalej.

– Pozwólcie, że przedstawię plan dzisiejszej narady. Zacznę od punktu A. Punkt drugi. Myślałem o tym i nie podoba mi się to. Jeśli o mnie chodzi, odpada, skończone, kaput.

– Dobry pomysł – odezwał się Scurlock Tirah, w rzeczywistości noszący nazwisko Finny Pealock.

– Punkt L. Jesteśmy cokolwiek zapóźnieni, jeśli chodzi o strukturę naszej korporacji. Marcel Apand opowiadał mi co nieco o małej firmie elektronicznej, którą założył w Indiach. Zatrudnił uczelnię ekonomiczną, by zaprojektowała mu ją od początku do końca i muszę przyznać, że bardzo mi się podoba, jak to zrobili. Od następnego poniedziałku „The Ghost”, czyli spółka-matka, będzie dzielić się na kiście, makrokiście, mikrokiście, strąki, mikrostrąki, ministrąki, makrostrąki, makrobryłki, superbryłki, bulboagregaty i brzdęki. Niektóre działy zostaną włączone w ramy innych kiści, strąków, bryłek i bulboagregatów i brzdęków, inne w zasadzie pozostaną samodzielne. Na przykład sekretarka, która obecnie pracuje w sali maszynopisania działu ogłoszeń z nieruchomościami, od tej pory będzie brzdękiem w kiści maszynopisania strąku z nieruchomościami w makrobryłce ogłoszeń. Ten zaś, rzecz jasna, będzie z kolei bulboagregatem w superbryłce wytwarzającej dochód.

Członkowie zarządu siedzieli z nerwowymi uśmiechami na twarzach, przebijając nogami, bębniąc palcami po stole i spoglądając ukradkiem na boki.

Przez kolejne dwie i pół godziny, w trakcie których Craig spożył siedmiodaniowy obiad – wszyscy obecni przyglądali się temu z pustymi żołądkami, czując, jak cieknie im ślinka – pomysły tryskały z niego z maniacką intensywnością. Craig uważał się za pępek wszechświata, był głęboko przekonany, że za tysiąc lat wiek dwudziesty określać się będzie jako erę Craiga Binky’ego, a ówczesną muzykę i sztukę jako binkiańską, binkotyńską lub binkotyczną. Brał

nawet pod uwagę takie terminy jak binkońska, binkijska (ten już istniał) oraz binkrytizm.

Jego gazeta była równie zdumiewająca. Inaczej niż w „The Sun” czy większości innych gazet, rządziły w niej chwytliwe nagłówki. Z biegiem lat sensacyjne tytuły przyniosły gazecie takie powodzenie, że ich autorzy urosli do rangi wielkich szcych, a także odkryli, że nagłówek może nie mieć zupełnie żadnego związku z treścią artykułu. Tekst zatytułowany Zabójstwo z litości w Manili może na przykład traktować o boomie budowlanym w Norwegii lub o domu handlowym w Hartford w stanie Connecticut. Artykuł Królowa paraduje nago po Londynie opowiadał o nowym środku odstraszającym owady, opracowanym na uniwersytecie stanowym Iowa. Pod nagłówkiem Samobójstwo afrykańskiego playboya kryło się przemówienie biochemika z Harvardu wygłoszone podczas wręczania Nagrody Nobla. Pierwsza strona gazety, jak zwykle w brukowcu, w całości składała się z nagłówek, zwykle w kolorze czerwonym. Lecz w przeciwieństwie do innych brukowców, dawno już zresztą wyeliminowanych z rynku, nie odnosiły się one do żadnych tekstów. I nikt się tym nie przejmował, „The Ghost” i tak miał miliony wiernych czytelników. Jeden z takich pustych nagłówek wyjątkowo upodobał sobie Harry Penn, do tego stopnia, że oprawił go w ramkę i powiesił w swoim gabinecie. Złożony masywną czcionką tytuł głosił: Zmarła modelka pozywa konia wyścigowego.

Mimo wszystko „The Ghost” rósł w siłę i przynosił milionowe zyski, zupełnie jakby Craiga Binky’ego strzegł anioł.

I jeśli wierzyć wydawcy i naczelnemu „The Ghost”, taki anioł rzeczywiście istniał. Pewnego dnia Craig Binky wpadł jak burza do gabinetu Harry’ego Penna, żądając, by ten natychmiast zamknął swoją gazetę. Poproszony o wyjaśnienie przyczyn swojego zuchwalstwa, odparł, że przyszedł do niego anioł, zarzucił na niego plastikową siatkę, zniewolił go i kazał mu wystosować takie właśnie żądanie. Harry Penn jadł właśnie karmelka, co zawsze sprawiało, że był jeszcze bardziej opanowany i ironiczny niż zwykle. Namyslał się przez chwilę, podczas gdy karmelek przemieszczał mu się z jednej strony ust na drugą, jak kostka w kubeczku – aż wreszcie znieruchomiał.

– Powiedz, Craig – zapytał Harry – czy ten anioł wystawił ci rachunek?

Zapadła cisza. Ewidentna niezdolność Craiga do pokonania tej przeszkody wypełniła gabinet, zupełnie jak gdyby fala srebrnych dolarówek z siłą wodospadu buchnęła mu nagle z pękniętych kieszeni do nogawek, wylała się na stopy i rozlała naokoło.

– Bo wiesz, Craig – ciągnął Harry Penn – jeśli nie masz rachunku, nie możemy uwzględnić twojego żądania.

Craig Binky jednak niełatwo się zniechęcał; uważał, że wszystko, co ma związek z jego osobą, jest skazane na tryumf. Harry Penn gotów był przysiąc, że w ciągu niemal stuletniego życia nigdy nie spotkał duszy, która byłaby mocniej zamarynowana w samozadowoleniu. Pompatyczność Craiga malała niekiedy w oczach innych za sprawą czegoś, co Harry Penn wielkodusznie określał mianem „cokolwiek nieścislej inteligencji pana Binky’ego”.

Częściowo po to, by odeprzeć cudze opinie, a częściowo dla wyrażenia własnych poglądów, na stronie z listami od czytelników Craig przebiegle zamieszczał anonimowe komunikaty podpisane „Craig B.”. Nawet jeśli ktoś nie domyślił się po podpisie, autora tych listów i tak zdradzały niepodrabialny styl i składnia: „Craig Binky uważa, że na trzecim piętrze jest za dużo kranów z wodą do picia. Craig uważa, że część z nich trzeba wywalić”. W budowanych przezeń zdaniach podmiot często pełnił również funkcję orzecznika: „»The Ghost«, najukochańsza gazeta nowojorczyków, wydawana i redagowana przez Craiga Binky’ego, to »The Ghost«”.

Craig szczylił się znajomością wielu wpływowych ludzi, pijał drogie wina (oraz wodę

importowaną z zamrożonego źródła na Sachalinie) i chadzał do restauracji, w których grzanka (grzanka almondine, grzanka en gelée, grzanka po safandzku) kosztowała tyle, ile czternaście godzin pracy za płacę minimalną. Uważał się za chodzącą doskonałość. Pewnie dlatego regularnie wydawał obiady na swoją cześć. Mimo wszystko razem ze swoją gazetą stanowił niezbędną przeciwwagę dla Harry'ego Penna i „The Sun”. Jeden nie mógł obejść się bez drugiego, musieli istnieć obaj, gdziekolwiek, w jakiegokolwiek formie. Przypadek zrzucił też, że obaj mieli redakcje po obu stronach tego samego Printing House Square.

Gdyby wszystkie miesiące i wszystkie mieszczące się w nich dni były takie jak czerwiec w Nowym Jorku, na ziemi zapanowałby raj. W pierwszych dniach czerwca często podejmuje się raptowne decyzje, krzepnie władza, rozgrywa się błyskawiczne wojny i zaczynają się bądź kończą romanse. Nawet Craig Binky doskonale to rozumiał.

Pewnego dnia, który był tak piękny, że dziennikarze „The Ghost” porzysiadali się leniwie w słońcu i obserwowali pszczoły, spokojne, zacienione ulice wypełniała łagodna muzyka operowa, a drzewa delectowały się letnim wiatrem muskającym ich młode, podobne do klejnotów listki, z lotniska nadleciał helikopter z gońcem. Nim jeszcze maszyna zdążyła wylądować na dachu redakcji, goniec wyskoczył na lądowisko i pobiegł do gabinetu Craiga Binky'ego. Przebiegł obok recepcjonistki i wdarł się do sanktuarium naczelnego. Alertu i Scroutu skrzyżowali ręce na piersiach i zasłonili sobą drzwi, przez które widać było, jak Craig Binky przemawia do zarządu. Betty Wasky, sekretarka szefa, wstała z miejsca i poprosiła nieznajomego o cierpliwość.

– Ci faceci są ślepi – stwierdził goniec, mierząc wzrokiem Alertu i Scroutu. – Nie chcę zrobić im krzywdy. – Te mocne słowa robiły wrażenie, Betty Wasky udała się więc do szefa. Craig Binky zaprowadził posłańca do swego prywatnego gabinetu, a po pięciu minutach wybiegł stamtąd, wykrzykując polecenia. Zakończył zebranie zarządu i postawił w stan gotowości flotę służbowych samolotów.

– Maszyny na start! – krzyczał.

Telefon na lotnisko zmobilizował całe siły powietrzne „The Ghost”. Samolot zaszczycony osobą Craiga Binky'ego na pokładzie miał lecieć na czele, przewodząc armadzie lśniącego tytanu i huczących silników. Gdy Craig Binky wylatywał, w niebo wzbijało się sto samolotów niczym gołębie wypuszczone na cześć tryumfującego rzymskiego generała. W największym samolocie, olbrzymiej maszynie transportowej, Binky kazał zainstalować podniesiony fotel, dzięki któremu mógł wyglądać z plastikowej kopuły na dachu kadłuba. Samolot ten, doskonale znany na nowojorskich lotniskach, był w stanie dotrzeć na najdalsze krańce imperium Craiga Binky'ego, z głową właściciela widoczną w szklanej bańce na dachu.

Tego dnia lotnisko kipiało z podekscytowania, gdy setka samolotów wzbijała się w powietrze jeden po drugim niczym bombowce ruszające na nalot. Wśród kontrolerów lotu wybuchło zamieszanie, bo zgłoszony zniemacka plan lotu informował, że flota udaje się do Brownsville w Teksasie, lecz maszyny skierowały się na wschód, w stronę oceanu.

– Gdzie on się, do diabła, wybiera? – spytał jeden z kontrolerów, gdy armada obniżyła lot i zniknęła z zasięgu radarów. Nie otrzymał odpowiedzi, ponieważ znał ją wyłącznie Craig Binky. A Craig nie zwierzał się nikomu.

LETNIA KOLACJA W PETIPAS

Tego samego dnia, gdy Craig Binky wyleciał do Brownsville, a potem w tajemniczy sposób zawrócił ku morzu, grupa dziennikarzy i redaktorów „The Sun” spotkała się na letniej kolacji w Petipas. Gdy siedzieli w restauracyjnym ogródku, oślepieni białozłotą pozągą zachodzącego słońca, w oddali usłyszeli nagle ryk lecącej armady i zaczęli się zastanawiać, co to może oznaczać.

Wszyscy niedawno skończyli pracę, czyli oddali do druku kolejne wydanie „The Whale”. Po wczesnej kolacji, cichym spacerze i dobrze przespanej nocy mieli stawić się w redakcji o szóstej rano, by rozpocząć pracę nad kolejnym numerem „The Sun” i zamknąć go jak co dzień o czternastej trzydziści. Po przekazaniu swoich artykułów, sprawdzeniu korekt i zaplanowaniu pracy na następny dzień kończyli zwykle o siódmej wieczorem.

Lubili spotykać się w Petipas, był tam cicho i przewiewnie, z ogródka można było oglądać statki rzeczne płynące z północy i usłyszeć pojedyncze ciężarówki wyjeżdżające po kocich łbach z opustoszałego targu. Rumor kół toczących się po bruku miał niewytłumaczalnie kojące działanie. Największą jednak atrakcją były zdziwione, namiętne krzyki holowników i promów – noszących nazwy New Weehawken, Staten Island, Upper River i New Fulton – niosące się echem po porcie i odbijające się od szklanych klifów dzielnicy finansowej. Płaczliwe, mgliste i wypełnione popołudniem ryki okrętowych syren można było bezbłędnie odróżnić od siebie, bo każdy z nich przemieszczał się przez cieniste kaniony innym kursem. Na wschodzie tysiąc złotych ogni odbijało się od okien wyniosłych budynków i ceglanych magazynów koloru byczej krwi i oświetlało białe jak tort siedziby miejskich urzędów, których ozdobne, wyrzeźbione z bogactwem szczegółów posągi i kolumnady znajdowały się tak wysoko nad ulicą, że stworzono je chyba jedynie dla ptasich oczu. Po drugiej stronie rzeki znajdował się usypany w osiemnastym wieku kopiec porośnięty drzewami przypominającymi wieśniaczki podparte pod boki; słoneczny reflektor podpalał czubki zielonych koron, a czarne cienie wśród pni zdawały się sugerować, że zagajnik ma nieskończone rozmiary. Harry Penn wpatrywał się w głąb tych atlasowych tuneli i ujrzał w nich miejsce, do którego już wkrótce miał się udać. W ciemności obleczonej przepysznym światłem wyczuł przytłaczającą obecność przyszłości i przeszłości, nareszcie zjednoczonych i ożywionych.

W końcu odwrócił wzrok od hipnotyzującej ciemności zagajnika i spojrzął na swoją córkę oraz resztę zebranych. Młodość, pasja i entuzjazm upodabniały ich do grupy śpiewaków na scenie, zaraźliwy śmiech i wyraziste gesty w mocnym świetle wydawały się jak wyjęte ze snu. Z wiekiem ich energia przemieniła się w moc kontemplacji i pamięci. Sny zaś, w których będą ich odwiedzać dawni ukochani i krajobrazy z trzydziestu tysięcy dni, będą jeszcze lepsze niż lata młodości, gdy biegali po mieście, uskakując przed browarnymi ciężarówkami, i starali się wiązać koniec z końcem. Jeśli za siedemdziesiąt pięć lat będą tacy jak ich sędziwy szef, który siedział teraz z nimi w restauracyjnym ogródku i zachwycał się ich wdziękiem i żywością, będą mieli szczęście. Bo Harry Penn był człowiekiem szczęśliwym, zadowolonym z tego, że tyle pamięta.

W kolacji uczestniczyło piętnaście osób. Hardesty Marratta, Virginia i Marko Chestnut siedzieli na końcu długiego stołu, naprzeciwko Harry’ego Penna. Asbury i Christiana zajęli miejsca pośrodku. (Złowiony przez Asbury’ego halibut przypiekał się właśnie na ruszcie, rozsiewając wspaniałe zapachy). Courtenay Favat wstał od stołu i poszedł do kuchni robić notatki, a Lucia Terrapin rumieniła się, ilekroć spojrzął w jej stronę krzepki dziennikarz o nazwisku

Clemmys Guttata. Hugh Close, zaznajomiony z tradycją Pennów, garbił się nad stołem, popijając dzin z tonikiem, i redagował depeszę agencyjną z entuzjazmem godnym dyrygenta orkiestry symfonicznej. Bedford, uradowany tym, że notowania giełdowe na zamknięciu sesji poszybowały w górę niczym kometa Halleya, zapatrzył się z rozmarzeniem w rdzawo-białe holowniki ślizgające się z wolna po srebrnych wodach Hudsonu. Jessica Penn czekała na Praegera de Pinto i studiowała menu z taką uwagą, jak gdyby były to hieroglify z Rosetty. Była znana ze swojego skąpstwa. Praeger miał przyjechać za chwilę z dziećmi Marrattów, Martinem i Abby – odebrał ich z Yorkville po przeprowadzeniu wywiadu z przykutym do łóżka burmistrzem. Wczesnoczerwcowe pylenie jak zawsze dawało się burmistrzowi we znaki. Kelner postawił na stole dwa ogromne półmiski z wędzonym łososiem, czarnym chlebem i cytrynami. Rozległy się ogólne ochy i achy.

W końcu pojawił się Praeger z Abby na rękach oraz Martinem, który podskakiwał bez ustanku, ponieważ był w wieku, w którym nie można ustać spokojnie. Praeger podał Abby Virginii, jak gdyby wręczał jej paczkę. Abby, która nie skończyła jeszcze trzech lat, popatrzyła po dorosłych z wielkim niezadowoleniem, wysliznęła się z objęć Virginii i wciąż jeszcze naburmuszona po wybudzeniu z drzemki poszła popatrzeć na węgiel żarzący się pod kawałkami skwierczącej łagodnie ryby. Po chwili dołączył do niej Martin, by zademonstrować, jak liście trawy palą się na ruszcie.

– Słyszeliście? – zapytał Praeger. – Dziś po południu Craig Binky nagle zerwał się jak oparzony, pognął na lotnisko i poderwał w powietrze całą setkę swoich samolotów, nie mówiąc nikomu, dokąd się wybiera.

– Zazwyczaj tak się nie zachowuje – zauważył Harry Penn. – Jakież depesze?

– Żadnej, absolutnie żadnej, tylko dużo powtórzeń i historii z życia. Wiecie, Kobieta w Petersburgu pogryziona przez rezusa i inne takie.

– Może właśnie po taką historię polecał – zastanawiał się Hardesty.

– Craig Binky nie poświęca czerwcowego weekendu w East Hampton dla byle czego – zapewnił Bedford.

– Jesteście pewni, że nie ma żadnych depesz? – zapytał ponownie Harry. – Zadzwońcie do biura i sprawdźcie. Jeśli są jakieś ważne wiadomości, nie chcę dowiedzieć się o nich z „The Ghost”. Na pewno coś się dzieje. Virginio, czy możesz zadzwonić do kontrolerów lotów? Hardesty, skontaktuj się z „The Ghost” i spytaj ich prosto z mostu, może ci powiedzą.

Gdy z holu restauracji zaczęto wykonywać telefony, Harry Penn wstał od stołu i zaczął przechadzać się po wąskim chodniku biegnącym między stołami a rusztem. Ze splecionymi z tyłu rękoma i pochyloną głową, zawracając jak tygrys, który zawsze ociera się o pręty swej klatki dokładnie w tym samym miejscu, zwrócił na siebie uwagę Abby; dziewczynka zaczęła chodzić za nim, naśladowując jego krok i posturę. Gdy zaś się odzywał, naśladowała jego mowę, lecz ponieważ nie przywykła jeszcze do długich zdań, jej wersja była zupełnie niezrozumiała.

Harry Penn spojrział na nią ze zdumieniem i zachwytem.

– Dzielna z ciebie dziewczuszka, co? – zapytał, po czym odwrócił się i oboje wznowili przechadzkę.

– Jakież depesze? – Harry Penn spytał Praegera, gdy ten pojawił się z powrotem na tarasie.

– Żadnych.

– Nadal nic?

– Sprawdziłem kilka razy.

Wrócił także Hardesty.

– „The Ghost” odpowiedział następująco, cytując: „Pan Binky wyjechał na weekend, żeby zbadać temat politycznego zapalenia płucnej”.

– Federalna Administracja Lotnictwa twierdzi, że Craig Binky zgłosił plan lotu do Brownsville w Teksasie, ale jego samoloty skierowały się w stronę morza i zniknęły z zasięgu radarów. Są -wściekli, ale u nich to normalne – dodała Virginia, wyłaniając się holu.

W tym momencie za ciemnym wzgórzem zniknął ostatni skrawek słońca i miłe, kuszące tunele pod drzewami zmieniły się w jednolitą groźną masę, nierozświetloną nawet odrobiną światła. Głęboko zamyślony Harry Penn nawet nie zwrócił na to uwagi. Wszyscy zaczęli jeść wędzonego łososa i czarny chleb (Martin upiekł swoją kromkę na grillu) i pogrążeni w wieczornym półmroku zastanawiali się głośno, jakie też wieści mogą uciekać im właśnie sprzed nosa.

– Cierpliwości – powiedział Harry Penn. – Może Binky dowiedział się, że prezydent zgubił piłeczkę w trakcie gry w golfa. A jeżeli to temat z prawdziwego zdarzenia, najpewniej błędnie go zinterpretuje lub zignoruje. Pamiętam, że dawno temu, gdy umarł Tito, nagłówek na pierwszej stronie „The Ghost” głosił: Papież w końcu kopnął w kalendarz. Nigdy też nie zapomnę ich pierwszej strony, gdy pacjent brazylijskiego szpitala psychiatrycznego dokonał zamachu na prezydenta Ekwadoru: Brazylijski czubek załatwił ekwadorską szychę. Zresztą i tak niewiele możemy zrobić.

Jedli w milczeniu. Zmrok nadszedł ze wschodu jak przyptyw. Kilkanaście grubych filetów z halibuta, podlewanych sosem sojowym i retsiną, aż zaczynały płonąć, ściągnięto z grilla i podano na stół. Powietrze wypełniał aromat warzyw gotowanych na parze z wody morskiej, a zapach świeżych ryb skwierczących nad drewnem hikory niósł się w kłębach białego dymu po spowitej ciemnością okolicy.

Gdy zapalono świece oraz poinstruowano dzieci, co jedzą i jak powinny to robić, Christiana podniosła głowę – i zdębiała. Upuszczony widelec brzęknął o talerz jak dzwon. Wszyscy spojrzeli w ślad za jej wzrokiem w stronę ogrodowego płotu. Jakiś włóczęga opierał się o pręty z kutego żelaza i przyglądał im się z dziwną, pełną siły, nieco zirytowaną miną. Naraz wszyscy przestali jeść.

Nie było to natarczywe spojrzenie kogoś, kto czegoś chce, jakkolwiek można było założyć, że mężczyzna jest głodny i przywiódł go tu aromatyczny dym. Nie wydawał się wrogo nastawiony, nie zachowywał się też jak typowy człowiek ulicy, targany rozpaczą i obłędem. Przeciwnie: choć ubrany w łachmany, wysmagany słońcem i wiatrem, wymizerowany i silny zarazem, patrzył na nich bez mrugnięcia okiem, w przeszywająco chłodny sposób, jak ktoś, kto daremnie próbuje zidentyfikować pozornie znajome, niedające spokoju twarze. Jego oczy, wędrujące to w górę, to w dół z intensywnością pulsującej gwiazdy, utkwily dokładnie w Jessica Penn i przesuwaly się po niej ciężko jak brony. Jessica, która tysiąc razy stawała na scenie, mierząc się z presją mocnych świateł i bezlitosnych spojrzeń, i przywykła do tego, że wszyscy oglądają się za nią na ulicach, niemal brakło tchu, gdy Peter Lake przyglądał się jej nieustępliwym, palącym spojrzeniem.

Jego widok tak wszystkich zaskoczył, że siedzieli jak sparaliżowani. Peter przez chwilę patrzył na Virginie, lecz już po chwili ponownie zwrócił oczy na Jessicę, aż ta omal nie zemdląła. Harry Penn, choć słabowity z racji sędziwego wieku, wstał, by zmierzyć się wzrokiem z włóczęgą, i dzielnie stawił mu czoło. Mimo różnicy wieku, ogorzałości i majątku obaj wyglądali niemal jak lustrzane odbicia. Harry Penn przyglądał się nieznanemu z metodyczną uwagą, co – jak się wydawało – przygasiło dziwny ogień w jego twarzy. Dym przepływał między prętami, owijał się wokół mężczyzny i jego dłoni zaciśniętych na kutym żelazie. Harry

Penn uczył przejmujący smutek; pożałował, że wstał i wyszedł bezdomnemu na spotkanie. Miał wrażenie, że coś ciągnie go wstecz do czasów dzieciństwa, gdy nie miał jeszcze wiedzy ani mądrości, a jedynie przyszłość i własną wrażliwość.

Nikt nie wiedział, jak przerwać impas. Wszystkim się zdawało, że będą tak trwać wiecznie.

I gdy tak trwali, sparaliżowani widokiem Petera Lake'a próbującego zrozumieć, co widzi, Abby podeszła do płotu i przeszła na drugą stronę: prześliznęła się po prostu między prętami, których nie pokonałoby dwunastu największych siłaczy świata, gdyby nawet od tego zależało ich życie. Rodzice ujrzeni nagle, że Abby jest po drugiej stronie, i zawołali ją; dziewczynka nie usłyszała ich jednak, znów więc pograżyli się w dręczącej bierności. Teraz role się odwróciły. Do nich należał świat ciszy, to oni byli zagubieni i zagląдали do środka. Abby była już w innym świecie, razem z Peterem Lakiem.

Powolnymi susami, z lekkością odrywając się od ziemi, płynąc w powietrzu jakby w zwolnionym tempie, Abby przyskoczyła do Petera, jak gdyby znała go od zawsze. I gdy tak frunęła przed siebie z rozpostartymi rękami (choć być może było to świetlne złudzenie), Peter Lake uniósł ją i przytulił. Dziewczynka umościła się w jego objęciach, zarzuciła mu ręce na szyję, oparła głowę na jego piersi i szybko zasnęła.

Hardesty podszedł do płotu i spojrzał Peterowi w oczy. Nie było się czego bać. To, że intruz jest obdartym nędzarzem, nie miało wielkiego znaczenia w świecie, któremu zawsze przyglądają się inne światy. I gdy Peter Lake przez barierki podawał mu uśpione dziecko, Hardesty uczył silne pragnienie, by ujrzeć to, co widział Peter, pojechać tam, gdzie był on. Hardesty Marratta, zamożny ojciec rodziny, mężczyzna uprzywilejowany i zadowolony z życia, niemal oddawał się do dyspozycji zagubionemu włóczędze. Nie miało to sensu – chyba że stawką były rzeczy wieczne, mające pierwszeństwo przed przyjemnościami i przywilejami. Peter Lake pochodził ze świata cieni, Hardesty należał do rzeczywistości, lecz obaj potrzebowali się nawzajem. Dziecko przywiodło ich do siebie tylko na chwilę; potem Peter Lake zrobił krok w tył i zniknął w ciemności, jakby nigdy naprawdę go tam nie było.

Jedzenie zdążyło wystygnąć. Virginia wzięła Abby na kolana, Hardesty bezwiednie stuknął nożem o stół. Gdy przez dziesięć minut nikt nie odezwał się ani słowem, Harry Penn wziął na siebie odpowiedzialność za przerwanie ciszy.

– No dobrze – powiedział, jak gdyby chciał pokrzepić nie tylko ich, lecz i siebie. – Takie rzeczy czasem się zdarzają, a mimo to świat się nie zmienia.

Rozejrzeli się wokoło. Zwykły i znany widok przynosił ulgę.

– Mimo to świat się nie zmienia – powtórzył Harry. – Nie jest jeszcze gotów na cudowne zmiany. Myślę sobie, że mężczyzna, którego przed chwilą widzieliśmy, wyprzedza swoje czasy, tak jak być może wszyscy jemu podobni.

Marko Chestnut uśmiechnął się. Nikt do końca nie zdawał sobie sprawy z panującego napięcia. Teraz ulgę przyniósł im biały dym znad ognia i żarzące się węgielki, ciemne klify po drugiej stronie rzeki, już srebrnoniebieskiej, szanice wysokich budynków, które z nadejściem wieczoru stały się półprzejrzyste i zdawały się uwalniać stłumione w ich wnętrzach światło, a nawet wyraz twarzy kelnera Tommy'ego, który – ponieważ nikt nie jadł ani nie mówił – obawiał się, że szef kuchni znów się upił i dodał do jedzenia czegoś obrzydliwego. Wszystko to uświadomiło im, że mimo wszystko świat się nie zmienił.

Nie dane im jednak było dokończyć piezzonego halibuta, warzyw na parze i retsiny. Do końca wieczoru pozostali głodni, choć prawie tego nie poczuli – bo tak naprawdę świat jednak się zmienił. Siedząc w milczeniu i sądząc, że doszła już do siebie, Virginia dostrzegła to

pierwsza. Włosy stanęły jej dęba na karku i aż zadrżała.

– O Boże – powiedziała. Wszyscy podnieśli głowy i ujrzeli to samo.

Drugi brzeg rzeki, na wpół oświetlony, na wpół skryty w mroku, sprawiał wrażenie, jak gdyby pokrywały go pola, łąki i sady. Ponieważ elektrownia w New Jersey miała awarię, nie było widać ani budynków, ani świateł nad brzegiem. Choć większa część stanu zmuszona była podziwiać zachód słońca z sielankowej ciemności, awaria elektryczności była tylko przypadkowym tłem tego, co pracownicy „The Sun” zobaczyli z ogródka Petipas. Otóż rzekome pola i sady po drugiej stronie wody oraz jasne zachodnie niebo powoli, miarowo znikwały za przesuwającą się ścianą: dziobem statku, który płynął powoli w górę rzeki niczym masywna gilotyna, pokrywa świata zamykająca się z południa na północ.

Znajdowali się od niego o jakieś ćwierć mili, może więcej, musieli więc odchylić się na krzesłach i wyciągnąć szyje, by zobaczyć najwyższy pokład. Statek wyłaniał się jakby zza ściany restauracyjnego ogródka, zamykającej widok na południe; płynął środkiem koryta, nie miał zresztą wyboru, bo sięgał od brzegu do brzegu i był tak ogromny, że wyglądał niemal jak część krajobrazu. Była to jedna z największych konstrukcji, jakie w życiu widzieli, mogąca stanąć w szranki z gigantycznymi wieżowcami, które wzniesiono niedawno, by przyćmić stare drapacze chmur – a wyłonił się dopiero dziób, reszta miała dopiero nadciągnąć. Statek sunął przed siebie, formując z wody powolne, spienione, białawe zwoje, które kłębiły się przez chwilę, słabły i znikwały. W końcu wyłoniła się nadbudówka. Dziesięć tysięcy białych świateł sunęło wzdłuż długiego, smukłego miasta, rozjaśniając poczerńiałą wodę lodowatym blaskiem. Ściany nadbudówki, podobne do ściętych skośnie wieżyc i zwieńczonych blankami murów zamczyska, były dwukrotnie wyższe niż dziób. Dziennikarze „The Sun” odchylali się coraz bardziej na swych krzesłach, zdumieni tym cudownym spiskiem ogromu i złożoności, właściwym raczej miastom niż statkom i wyzwalającym takie moce ludzkiego ducha, za którymi rzadko nadąża ludzkie oko.

Zza skrajów ściany wyłaniało się już śródokręcie. Bezprzykładna masywność i wysokość statku nie przestawała zadziwiać oniemiałych obserwatorów. Gdy sądzili, że zaraz pojawi się rufa, w stosowny sposób kończąc długą sylwetę, statek wybuchł kolejną fanfarami rozmigotanych wież i napiętrzonych białych pokładów, jak gdyby jego budowniczy starali się smukłością i gracją całości zrównoważyć zdumiewającą wysokość nadbudówki.

W końcu długa na kilkaset stóp sylweta zakończyła swoją paradę, nadbudówka i kadłub skończyły się jak ucięte nożem – nie płynną krzywizną, tylko stalowym urwiskiem opadającym prosto do wody. Tuż za nią, połączona kilkunastoma linami, tak wielkimi, że mogłyby jeździć po nich ciężarówki, znajdowała się olbrzymia prostokątna barka, równie wysoka jak główny pokład statku. Za nią sunęły na holu dwie kolejne, bliźniacze jednostki.

Statek zmniejszył prędkość i zatrzymał się pomału. Na tle ciemnego już nieba i włączonych ponownie świateł miasta można było zauważyć, że jego kadłub oraz barki są jasnoniebieskie. I podobnie jak większość olbrzymich rzeczy, konwój przyciągał chmury mniejszych towarzyszy. Helikoptery i prywatne samoloty krążyły nad statkiem jak komary czy ważki, kreśląc zachwycające koła i ósemki między wielkimi masztami. Spóźniony statek pożarniczy z nadmorskiej jednostki straży w Battery mknął w górę rzeki, wystrzelując w ciemność nocy wstęgi białej wody, podczas gdy jego załoga pospiesznie wkładała mundury, zastanawiając się, dlaczego nikt im nie dał znać, że coś takiego – cokolwiek to było – ma wpłynąć do portu. Z pokładu olbrzymia spuszczano tymczasem na wodę motorówki wielkości jachtów – krążyły wokół niego z zazdrością, a członkowie załogi wyłaniaли się na pokładzie zaledwie na chwilę, niczym żołnierze, którzy tylko na mgnienie oka wystawiają głowę z okopu.

Goście w Petipas podnieśli się z miejsc, zelektryzowani. Czuli się tak, jakby odnieśli wielkie zwycięstwo tylko przez to, że ujrzeli coś cudownego. Byli tak podekscytowani, że nie do końca wiedzieli, co robić, przez chwilę po prostu cieszyli się tym, że wspólnie przeżywają to zadziwienie.

Komuś, kto mieszka w mieście, wysoko na wzgórzu, wśród drzew lub przy ruchliwej ulicy, zawsze się wydaje, że statki wkradają się do portu z niepotrzebnym wahaniem. Lecz gdy marynarz, który całymi tygodniami i miesiącami gna od horyzontu po horyzont, wpłynie w obłądnie wąskie portowe kanały, prędkość jego statku wydaje mu się zawrotna, dopiero w chwili zatrzymania może odetchnąć z ulgą. Teraz, gdy ogromny statek wpłynął do nowojorskiego portu, zmienił pojęcie miasta o nim samym, o własnym miejscu i celu: niósł wieść, że poza cieśniną Narrows jest szeroki świat.

– Byłem tam – mówił. – Widziałem go. A teraz postarajcie się wyobrazić sobie wspaniałe rzeczy, które tam są, bo sam dokładnie wam o nich nie opowiem.

Harry Penn wstał z krzesła i zaczął po swojemu dyrygować zespołem.

– Craig Binky pewnie to przeoczył – powiedział. – Kto wie, może skręcił na północ i poleciał do Kanady. Nie zdziwiłbym się, gdyby szukał statku na lądzie.

– W porządku – dodał po chwili. – Asbury, przygotuj motorówkę, byśmy mogli w razie czego przyjrzeć się wszystkiemu z bliska. Jeśli zdobędziemy jakieś informacje, mamy czas przygotować specjalne wydanie „The Whale”. Praegerze, nie było jeszcze takiego statku, prawda? Całkiem możliwe, że przywiózł nam wspaniałą prezent.

– Czyli...?

– Przyszłość.

Wyszli z restauracji niemal biegiem. Nawet Harry pędził brukowanymi uliczkami w stronę Printing House Square, postukując od czasu do czasu laseczką, żeby przypomnieć sobie, że nie jest już młodzieniaszkiem.

Tej nocy nikt z redakcji „The Sun” nie zmrużył oka – a miasto, choć o tym nie wiedziało, zaczęło budzić się do życia.

WIEK MASZYN

Wiosna w Nowym Jorku często bywa ciężka i wstrętna, gdy po zwodniczych okresach niemal letniej pogody następują dziesięciodniowe burze ze śniegiem i deszczem. Dla bezdomnych to najtrudniejsza pora roku, choćby przez częste ulewy i niepokorne wichury. Po rozpaczliwych zmaganiach z zimą, gdy mogli umrzeć w niespełna pół godziny, jeśli tylko znaleźli się w niewłaściwym miejscu, perspektywa powolnego konania w kwietniu, gdy zielenią się rośliny, jest dla nich niczym śmierć w ostatnim dniu wojny. Tak jak dzieci chodzące do szkoły, ludzie ulicy odzyskują wolność w czerwcu; potem już lato roztacza nad nimi opiekę.

Peter Lake dopiero w czerwcu miał możliwość zastanowić się nad swym wielkim dylematem. Po wypisaniu ze szpitala przez całą zimę zmuszony był walczyć o życie. Kilka miesięcy pomieszkiwał w tunelach metra, sypiał przy rurach grzewczych, gnieździł się z ludźmi, z którymi nigdy nie zamienił słowa. Byli to przeważnie szaleńcy, wszyscy bez wyjątku przejęci nieustanną trwogą: że wpadną pod pociąg, że zaatakują ich szczury wielkie jak psy, że niechcący zadrą z jakimś nieobliczalnym wariatem. Jedzenie nie było trudne do zdobycia, choć nie sprawiało też przyjemności – w koszach na śmieci przy restauracjach mogły wyżywić się nie tylko psy i koty. W niektóre mroźne dni, gdy nie dało się ani zarobić na jedzenie myciem garnków, ani trafić na niespodziewany przyływ dobroci którejś z instytucji religijnych i dostać talerz zupy, Peter Lake powracał do źródeł. Szybko zorientował się, że pomocnicy kuchenni i kierowcy ciężarówek rozwożących chleb z piekarń zawsze skłonni są obdarować go marchewką czy bułką, żeby tylko uwolnił ich od swej przejmującej i niepokojącej obecności. Gołębie nie były najzdrowszym pożywieniem, ale zawsze można było złapać sobie jednego i upiec nad ogniem rozpalonym w koszu na śmieci, w mieście było też trochę fundacji dobroczynnych, gdzie czasem można było wziąć prysznic, zjeść na kolację kawałek indyka i przenocować.

Mógłby też w zasadzie znaleźć sobie pracę, ale nie miał na to czasu. Był całkowicie pochłonięty kompletnym nieróbstwem i wiedział, że gdyby choć przez chwilę doświadczył wygodniejszego życia, natychmiast dopadłaby go i pokonała jego obsesja. Nie miał ochoty pracować, postanowił sobie, że poszuka sobie pracy dopiero wówczas, gdy będzie miał przynajmniej blade pojęcie o tym, kim jest, lub gdy ogarnie go jakaś nagła, niewytłumaczalna pasja.

Na przełomie maja i czerwca, gdy nie musiał już rozpaczliwie walczyć o przetrwanie, zaczął dużo chodzić po mieście: chciał się przekonać, ile z niego pamięta i jak bardzo się zmieniło. Miasto niemal w całości zbudowane było ze stali i szkła. Niektóre budynki kojarzyły się raczej z trumnami. Nie otwierały się okna. Niektóre gmachy w ogóle nie miały okien. Ich przesadna, toporna wysokość sprawiała, że ulice były jak cieniutkie niteczki posplatane w ciemnym labiryncie. Budynki zyskiwały dopiero nocą, i to tylko wtedy, gdy patrzyło się na nie z oddali – noc odzierała je ze skrytości, nieprzystępności i arogancji, zalewały miasto światłem, lśniły niczym zbudowane z samych witraży i obrócone na lewą stronę katedry. Przytłoczony rozmiarami i potęgą miejskiej zabudowy Peter znalazł sobie kilka świętych miejsc (tylko jednym z nich był kościół) i odwiedzał je raz po raz. Wyczuwał w nich coś szczególnego, jakby szczątek prawdy – wracał więc na te swoje upatrzone zaułki i dachy tak jak piorun systematycznie razi stalowe wieżowce w nieustającym sporze szybkości z nieustępliwością.

Pierwszym takim miejscem była Maritime Cathedral, wypełniona niezliczonymi witrażami błękitnymi jak morze. Mógł tam zaglądać w głąb światła, które stwarzało iluzję

morskich fal, oraz tego, które biło z oczu i twarzy ludzi przedstawionych podczas żeglowania na statkach i łodziach. Spektrum światła poszerzało się niebezpiecznie na witrażach przedstawiających ludzi złamanych oraz odkupionych, tych, co byli uparci, i tych, co walczyli, tych, co byli nieporuszeni, oraz tych, którzy ujrzeni coś wielkiego i wzniosłego. Promienie tych delikatnych światel i obrazów zlewały się ze sobą na posadzce, stwarzając pozór morza pod szeregiem miniaturowych statków w szklanych gablotach. To właśnie te modele tak ciągnęły Petera do katedry, choć nie miał pojęcia, dlaczego. Wydawały się poruszające i pełne znaczenia, jak gdyby życie statków rzeczywistych tkwiło ścieśnione w tych szklanych klatkach i tętniło, domagając się uwolnienia. Kunsztowne witraże i modele były nieruchome, lecz Peter zawsze miał wrażenie, że się poruszają: statki płynęły po szkle, wieloryby wyskakiwały w powietrze, w piersiach żeglarzy biły serca, a ich czoła perliły się od potu.

Drugim miejscem był zaułek przy restauracji Petipas. Po tym, jak rzuciło mu się w ramiona nieznanome dziecko, Peter Lake przychodził tam częściej, z nadzieją, że jeszcze raz spotka tę samą grupę ludzi, ogródek jednak zawsze był pusty bądź siedzieli w nim zupełnie inni ludzie – zwykle byli hałaśliwi, sporo pili i nawet go nie zauważali. Płot z kutego żelaza stał się dla niego przedmiotem świętym, Peter dotykał go i całował. Gdy chwycił go w ręce, od razu czuł się lepiej, gdy zaś wrócił tam po raz pierwszy, zamknął oczy i zamarzyło mu się, że to tylko sen, że gdy się obudzi, nie będzie już na zewnątrz, poza nawiasem, tylko w środku, będzie siedział tam sobie letnim wieczorem i zjadał kolację, zmęczony, odrobinę zawiany, uwięziony gdzieś w bursztynie czasu. Ależ byłoby miło, gdyby okazało się, że jest na przykład właścicielem sklepu z konfekcją, dyspozytorem kolejowym, prawnikiem czy agentem ubezpieczeniowym i że siedzi sobie w Petipas – sto lat wcześniej – z żoną i dziećmi! Gdyby tylko mógł wrócić w tamte czasy, do domu z ciemnego drewna, otoczonego ogrodem i wypełnionego przyjaznym ogniem, gdyby mógł znów usłyszeć smętne zawodzenia promów i mieć pewność, że miasto przyszłości będzie miejscem cichym, zielonym i nieskończonym, a nie dławiącą pułapką ze stali i szkła! Gdyby mogło tak być, na pewno zachowałby w pamięci ten dziwny sen i wyrugowałby ze swego życia wszystkie niedobre nawyki, jakie go weń wepchnęły. Pamiętałby, że zagubił się w czasie, i robiłby swoje najlepiej, jak umie, i byłby dozgonnie wdzięczny, że dane mu było wrócić. Zaciskał ręce na żelaznych prętach ogrodzenia i miał nadzieję, że uda mu się przejść na drugą stronę – lecz oczywiście tak się nie stało.

Peter Lake miał też w mieście własne małe sanktuaria, miejsca zapomniane, które służyły mu tak jak przydrożne ołtarzyki służą podróżnym w Alpach: starą, ukrytą w cieniu klatkę schodową z łuszczącą się farbą, cementarz wciśnięty między dwa monstrualne budynki (każdego dnia mijały go setki tysięcy ludzi, lecz mało prawdopodobne, by ktoś z nich przynajmniej spojrzał w jego stronę bądź przystanął, by odczytać napisy na nagrobkach), ukryte ogródki, frontony domów, znaczące perspektywy dziwacznie poskręcanych ulic, miejsca, w których wyczuwało się jakąś niewidzialną obecność.

Ostatnim i najlepszym z nich była stara kamienica czynszowa w Five Points. Było to jedno z tych miejsc, których wnętrza nigdy nie widział i nie opisał żaden szacowny, wykształcony, wnikliwy przedstawiciel klasy średniej – ponieważ żaden szacowny, wykształcony, wnikliwy przedstawiciel klasy średniej nigdy w takie miejsca nie wchodził, a jeśli wszedł, to nie wyszedł żywy. Ludzie, którzy tam mieszkali, zazdrościli szczerom w tunelach. W kamienicy nie było światła, ogrzewania ani wody, a na korytarzach nie brakowało furiatów z nożem w dłoni.

Pewnego dnia Peter Lake po prostu wszedł do środka, wspiął się po schodach na górę i otworzył rozchwierutane drzwi wiodące na dach. Wracał tam potem dziesiątki razy, choć nie

rozumiał, dlaczego. Wdrapał się na rampę stanowiącą zadaszenie klatki schodowej i dokładnie przyjrzał się kominom. Okrągłe rury, dawniej służące jako przewody kominowe, nie były używane co najmniej od dziesięciu lat. A co z kominem, prawdziwym kominem? Był zatkany od siedemdziesięciu lat, a zaprawa między cegłami zrobiła się luźna jak niesiony wiatrem piach. Peter zajrzał do środka; nie zobaczył nic, w nozdrza uderzył mu jednak słodki zapach sosnowego dymu. Aromatyczne powietrze płynęło z najgłębszej ciemności przez pusty szyb, niosąc ze sobą sens i opowieści wielu dawno zapomnianych zim. Zimne, nieprzyjemne wnętrza komin były lochem dla wspomnień. Peter Lake czuł się pokrzepiony tym, że niegdysiejsze ognie miały swoje smętne, upiorne echo, które potrafiło przeżyć je o wiele lat i wybrzmieć w innym czasie. Był tak wzruszony, że aż musiał objąć rękoma rozsypujący się komin, by nie stracić równowagi i nie stoczyć się z dachu. W jego czasach było mniej budynków, a znacznie więcej lasów i pól. Na wzgórzach Morningside Heights znajdowała się farma, a Central Park był jeszcze fragmentem podmiejskiej puszczy, wsuniętym następnie w głąb Manhattanu jak szuflada do biurka. Budynki często wyposażano wówczas w wysokie, przestronne hole, przywodzące na myśl rozległe pustkowia nieopodal miasta i na pograniczach. Ponieważ budowano je z przestrzeni, drewna i kamienia, były portretami i parodiami dzikich odludzi. Dobrze się wtedy żyło. Można było nie zamykać drzwi na klucz. (Peter Lake nie mógł wiedzieć, że kiedyś był złodziejem, ani że mimo to był nieskazitelnie uczciwy). Zimą wszędzie czuło się zapach sosnowego dymu, a śnieg zawsze był biały.

Życie w tamtych czasach nie było jednak łatwe; Peter zrozumiał to w chwili, gdy zdał sobie sprawę, że przytula się do kominia także po to, by uniknąć bolesnego spojrzenia na dach. Może gdyby przeczytał gdzieś sobie historię tych starych czynszówek, natrafiłby na marginesie na wzmiankę o legionach gruźlików, którzy szukali schronienia na dachach, tworząc osobne, podniebne miasto – i może zaczęłby się domyślać, kim jest. A może jednak nie, bo czekała go jeszcze długa wędrówka.

Jego bezdomne bytowanie miało także swoje dobre strony, zdarzały mu się chwile olśnienia i radości, nieczęsto będące udziałem tych, którym zazdrościł dachu nad głową. Cierpienie to tylko jedna połowa losu, ta niższa – jeśli bezdomny nie chce utonąć, musi się też wspinać. Na ulicach Nowego Jorku i w jego szacownych instytucjach dobroczynnych roiło się od ludzi bezdennie samotnych, lecz miewających przebłyski chwały, przy której cała kariera Aleksandra Wielkiego wydawała się nudna jak dzień pracy archiwisty. Peter Lake zawsze chodził po ulicach lekki jak piórko, zadzierzystym krokiem, kipiąc entuzjazmem, jak gdyby za chwilę miał ruszyć do tańca. Nikt tego nie zauważał, nikogo to nie obchodziło. Bezdomni często tańczyli na ulicach, śpiewali, głośnym krzykiem obwieszczali, że odkryli wielką prawdę. I żaden, ale to żaden z nich nie mówił normalnie, tylko jakąś nieskładną, obłąkańczą poezją. Można było usłyszeć choćby takie oto okrzyki kierowane ni mniej, ni więcej, tylko do skrzynki na listy:

– Chesterze Mackintosh! Chesterze Mackintosh! Chesterze Mackintosh, zróbże z kwiatami to, co Hilda zrobiła z księżycem. Pójdź na czele ula i zrób ze mną to, co zrobił ten krętacz, co to na pikniku wpełzł kotu do szyi. Kto?

Do legendy przechodziły kłótnie i spory toczone z postaciami na plakatach, do których zresztą nieodmiennie zwracano się na ty. Jeden z włóczęgów znany był z tego, że przemawiał wyniośle bądź groźnie do parkometrów, traktował je jak wynajętych służących lub pacholków najpodlejszego sortu. Bywało też, że w rozbłysku szaleństwa bezdomny zdołał znaleźć garnek ze złotem. Tak właśnie przydarzyło się Peterowi.

Pewnego cudownego wieczoru, niedługo po kolacji w Petipas, w której wziął widmowy

udział, przechadzał się ulicami, szybki i pełen blasku, niczym rzymska świeca, pijany operową wręcz radością i miłością do świata – istny król w łachmanach. W pewnym momencie natrafił na długie okna podzielone na małe szybki, jak w szklarni; właśnie tam przystawała często szkolna dzieciarnia, by popatrzeć na staroświecką maszynę „The Sun”, brzęcząca i połyskująca w trakcie codziennego znoju. Peter wspiał się na podwyższenie, królewskim gestem oparł o barierkę i zajrzał do środka. Widok dyskretnie pomrukujących maszyn podzielał na niego tak, jakby ktoś podpalił lont pod tłacą się w nim manią, ale nie tylko: nadał też jego bezpodstawnej euforii rzeczywisty kształt. W jednej chwili Peter pojął, że jego optymizm dotychczas był złudny, teraz zaś zupełnym przypadkiem zyskał uzasadnienie. Oto miał przed sobą maszyny, plujące i krztuszące się jak niemowlęta, rozedrgane jak setka kotłów z wrzącą wodą, obracające się i przesuwające w nabożnym skupieniu. Wreszcie trafił na coś, na czym doskonale się znał.

Dwaj spracowani, przygnębieni mechanicy szli właśnie przez halę, niosąc świeżo naoliwiony stalowy wał i wymieniając poirytowane pomruki i przekleństwa, które można było usłyszeć nawet na górze, za szybą, mimo warkotu maszyn. Zbliżyli się do rozebranego w trzech czwartych urządzenia stojącego między dwiema innymi maszynami, które nawijały kable, po czym syczały i gwizdały, gdy kable rozwijały się i skręcały w kilka zestawów newtonowskich uzwojeń. Brudnymi od smaru rękoma drapali się po głowach. „Zły znak – pomyślał Peter Lake. – Najwyraźniej nie wiedzą, jak działa podwójny mutrownik. Może nawet nie wiedzą, do czego służy”.

Zapukał w szybę. Mechanicy spojrzeli na niego, po czym odwrócili wzrok. Zapukał ponownie.

– Czego chcesz? – spytali.

– Chciałbym wtajemniczyć was w zawilosci podwójnego mutrownika! – krzyknął; nie mogli jednak zrozumieć, co mówi.

– Idź stąd! – zawołali. On jednak nie odszedł, tylko walił dalej w szybę, aż jeden z nich podszedł do okna, uchylił łufcik i spytał ponownie: – Czego chcesz?

Peter Lake dobierał słowa tak ostrożnie, jak gdyby zeznawał przed sądem:

– Widziałem, chłopcy, że męczycie się nad podwójnym mutrownikiem. Wygląda na to, że zabił wam ćwieka. Chętnie wam pomogę.

Mechanik zmierzył go wzrokiem. Jego sceptycyzm łagodziło jedynie to, że był Irlandczykiem i rozpoznał w Peterze krajana.

– Podwójny mutrownik? – powtórzył. – A kto mówi, że to się tak nazywa? Nawet nie wiemy, do czego to służy. Chcieliśmy sprawdzić, czy da się to w ogóle puścić w ruch, a dopiero potem zorientować się, jak działa.

– Nazywa się podwójny mutrownik – powtórzył Peter. – To ważne uzupełnienie układu przenoszenia napędu. Jeżeli do tej pory go nie używaliście, to idę o zakład, że cały układ siadał wam mniej więcej raz na tydzień.

– Zgadza się – stwierdził mechanik. – Ale skąd ty o tym wiesz, do diabła?

Peter Lake uśmiechnął się.

– Umie rozebrać i złożyć z powrotem podwójny mutrownik i wszystko, co tylko tam macie. Z zamkniętymi oczyma.

– Chciałbym to zobaczyć! – wykrzyknął mechanik. Od lat pracował w piwnicy „The Sun” przy maszynach, które przeżyły wszystkie swoje rówieśniczki, i obsesyjnie głowił się nad zagadkami, od których roilo się w ich mechanizmach. Spędził tam pół życia, uczył się od swojego ojca, a mimo to nie umiał rozgryźć połowy urządzeń, którymi się zajmował, ani rozebrać ich na części, nie mówiąc o złożeniu z powrotem.

– Z przyjemnością wam pokażę – odparł Peter Lake, wiedząc, że nie oprą się takiemu wyzwaniu.

Mechanik odszedł do kolegi i rozmawiał z nim przez chwilę, co rusz rozglądając się dokoła, a potem upewniając się, że Peter nie zniknął. W końcu wzięli drabinę i przystawili ją do lufcika.

– Właż tędy, będzie szybciej – powiedział drugi mechanik.

Peter zstąpił do raju.

Idąc przez halę, czuł się jak Mahomet przed obliczem Allacha. Wszystko było lśniące, połyskliwe, czujne i znajome. Maszyny zdawały się witać go z taką samą prostoduszną radością, z jaką dzieci w przedszkolu przyjmują burmistrza. I gdy tak posapywały, kręciły się i tańczyły pod szaleńczymi kątami, Peter zdał sobie sprawę, że jest mechanikiem. Lata wiedzy i doświadczenia wyłaniały się z mroku w każdym zakątku półakrowej hali i stawały na baczność niczym brygady żołnierzy na paradzie. Rozwiązanie zagadki jego fachu było zamknięte w tej piwnicy, przytwierdzone śrubami i nitami. Nareszcie zwycięstwo!

Podeszli do podwójnego mutrownika. Mechanicy oparli się o kadłub długiej uspionej maszyny i łypali na Petera z potężnym irlandzkim sceptycyzmem w oczach – niedowierzanie wręcz kipiało z nich, kopciło jak rozpalony piec.

– Proszę bardzo – odezwał się jeden okrutnym tonem. – Niech łaskawy pan pokaże nam, jak uruchomić to coś, co był pan łaskaw nazwać podwójnym mutrownikiem, albo odstawimy pana z powrotem na Bowery.

Peter Lake zdawał sobie sprawę z tego, że jest nieogolony, ogorzały, brudny, a oczy błyszczą mu jak szafiry.

– Jaki tam znowu podwójny mutrownik? – spytał. – Myślałem, panowie, że chcecie kupić ode mnie bilet na bal gałganiarza.

Mechanicy zdębieli – póki Peter nie wbił rozognionego wzroku w maszynę i nie przystąpił do pracy.

– Popatrzcie tutaj – powiedział, zdejmując dużą pokrywę. – Widzicie tę drgającą rowkowaną szynę, która prawie ociera się o pył i zapadkę tamtego eliptycznego chwytaka? Otóż, moi przyjaciele, w ten sposób wypacza się obciążenie udarowe na drugim gwincie, tym u góry, który powinien być podłączony do przekładni ślimakowej. Powinien, ale nie jest, i tu jest problem. Bez tej małej przekładni nie rozładuje się przeciwrównoległe sprzężenie na napędzie ciernym i nie może zadziałać pantograf na ślimacznicy. Na razie wszystko jasne?

Mechanicy skinęli głowami.

– Ale to nie wszystko. Zaciął wam się też hamulec cierny. Widzicie? Trzeba go smarować najlepszym spermacetem. A dwie krzywki na peryfleksowym sprzęgle założone są tyłem do przodu. Jeśli któryś z was będzie tak miły i wyfrezuje mi nakrętkę nasadową z niesymetrycznym gwintem trapezowym o pięćdziesięciu pięciu stopniach nachylenia bocznego, umieszczę tę drgającą szynę tam, gdzie powinna być. Ja tymczasem przestawię krzywki i odblokuję hamulec. No? Na co jeszcze czekacie?

Niespełna pół godziny później mutrownik mutrował jak szalony, a układ przenoszenia napędu działał gładko i cicho jak sowa nadlatująca nad ofiarę; pasy kłapały jak zwały tłuszczu na ciele biegnącego tłuszczocha, trzepiąc o żeliwne koła zamachowe, które obejmowały w swym skórzanym uścisku.

– Pasy napędowe wytrzymają teraz od sześciu miesięcy do roku – poinformował Peter Lake swych osłupiałych gospodarzy. – Znacznie mniejszy będzie też ubytek mocy, bo niedostatki układu niweluje podwójny mutrownik. Zaoszczędzicie sporo paliwa. Działa jak

trąba.

Uwaga o trąbie była dla nich niezrozumiała, ale nie przejęli się tym: palili się, by oprowadzić Petera po hali i pokazać mu wiele innych uśpionych maszyn, które przez całe życie były dla nich zagadką.

– Co to jest na przykład, do diabła? – pokazali mu kopułę dzwonowatego kształtu, przycupniętą na szczycie pracującej maszyny parowej. – Od dziecka próbujemy to rozgryźć. Niekiedy grzechocze jak opętane, jak gdyby środkiem tkwił jakiś luźny sworzeń, ale tylko raz na jakiś czas. Próbowaliśmy to otworzyć, ale za nic nie chciało ustąpić. Nie wiesz przypadkiem, do czego to może służyć?

– Oczywiście, że wiem – odparł urażony Peter. – Idźcie na Brooklyn i spytajcie pierwszego lepszego bezdomnego psa, wyjaśni wam na pewno. To takie proste, że chyba wytłumaczę wam po filipińsku.

– Oj, nie, tylko nie to! – zaczęli go błagać. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jak myśmy się z tym męczyli przez te wszystkie lata. Czasem zaczyna brzdąkać w środku nocy, jak gdyby dziecko wołało matkę, a my nie wiemy, czego chce.

– To prawda – dodał drugi. – Próbuje to rozmontować, ale ani drgnie. Nie da się nawet zrobić maleńkiego wgniecenia. Słuchaj, powiem ci prosto z mostu: jeżeli nam nie powiesz, co to za diabelstwo, rozwalę sobie głowę młotem.

– Ja też – poparł go kolega.

Obaj zamarli w oczekiwaniu.

– To, moi drodzy – Peter Lake poklepał zmaltretowaną metalową osłonę w kształcie dzwonu – jest doskonałnica.

Obaj mechanicy rozdziawili usta ze zdumienia. Cóż to jest ta doskonałnica, u licha?

– Popatrzcie na tę maszynę – powiedział Peter, wpatrując się z entuzjazmem w olbrzymi, pełen gracji silnik pod doskonałnicą. – Śliczna, prawda? Jak dziewczyna, która w czerwcowy dzień wraca z Coney Island. Nazywa się to silnik nadobnicowy. Gdy działa z maksymalną efektywnością, rozgrzana para kieruje się do góry, tak lotna, że rozpycha dwa wcale nielekkie płyty tandolu (zaprawiane kalabrijskim smaroślizgiem), tajemnym przewodem ulatuje do tej oto komory i wprawia w superszybki ruch obrotowy srebrną tysiącosiemsetosiemdziesięciotrydziesiąt dolarówkę. Wstyd się przyznać, nie wiem, czemu musi to być akurat moneta o takim nominale, ale, o ile pamiętam, innych się nie stosuje.

Mechanicy aż zaniemówili. Peter Lake wziął to za objaw niedowierzania.

– Udowodnię wam, jeśli chcecie – zaproponował, prowadząc ich w odległy zakątek hali, gdzie z podłogi sterczał, jakby zaklinowany, zestaw dźwigni.

– Tego też nigdy nie umieliśmy rozgryźć – przyznali.

– To lewary uruchamiające doskonałnicę. Popatrzcie – poruszył dźwigniami. – Chwyta się za węższe końce i obraca o taki oto kąt. O proszę, tysiąc osiemset osiemdziesiąt trzy stopnie. Czyli tysiącosiemsetosiemdziesięciotrydziesiąt dolarówki używa się po prostu dla przypomnienia. W ten sposób wyzwała się też inne doskonałnice.

– Inne?

– Oczywiście. Na moje oko powinny ich tu być ze dwa tuziny. Są rozmieszczone po całej hali. Wszystkie mają w środku taki właśnie mechanizm. Za każdym razem musicie przejść się po hali i znaleźć tę, co łączy się z maszyną, przy której akurat pracujecie. W czasach, gdy je projektowano, ludzie troszczyli się nie tylko o to, żeby maszyna miała włącznik i wyłącznik. Całość jest jak gigantyczna układanka. To trochę jak równanie. Wszystkie elementy są ze sobą powiązane jak instrumenty w orkiestrze. Żeby być dyrygentem – Peter wyszczerzył się od ucha

do ucha – trzeba znać każdy instrument. I trzeba znać się na muzyce.

Zaprowadził ich z powrotem do doskonalnicy i bez trudu zdjął ją z silnika nadobnicowego. Ze środka wypadła srebrna dolarówka i potoczyła się z brzękiem. Jeden z mechaników pobiegł za nią i przygwoździł ją butem do podłogi. Podniósł ją, przyjrzał się jej uważnie i popatrzył na swojego kompana szerokimi jak spodki oczyma.

– Tysiąc osiemset osiemdziesiąt trzy – powiedział.

Gdy w „The Sun” zatrudniano nowego głównego mechanika Harry Penn zwykle podejmował go obiadem – u siebie lub w Petipas. Tego czerwca jednak w redakcji panowało wielkie zamieszanie, większość dziennikarzy bezowocnie starała się zgłębić tajemnicę wielkiego statku, który wpłynął na wody Hudsonu i stał na kotwicy, nic sobie nie robiąc z zaferowania, jakie wzbudził w prasie i wśród mieszkańców miasta. Mimo wszelkich starań „The Sun” nie zdołało dowiedzieć się niczego. Sprawą statku zajmowała się spora część personelu: dziennikarze pełnili całodobowe dyżury na nabrzeżu, nękali pytaniami burmistrza (który pewnego razu, o północy, wszedł na pokład, a potem zszedł na brzeg tanecznym krokiem), fotografowali statek z powietrza i w podczerwieni oraz starali się wyszperać coś na jego temat w najróżniejszych źródłach z całego świata. Zirytowana nikłością efektów tych dociekań redakcja zaczęła lekceważyć swoje powszednie obowiązki, w tym także zwyczajowe witanie nowych pracowników.

Nim przepracowany do ostatnich granic Praeger de Pinto znalazł wreszcie czas, by z nim pośpiesznie porozmawiać, Peter Lake wyglądał już tak, jak powinien wyglądać porządny mechanik – czyli z grubsza jak w epoce, której nie pamiętał, kiedy to spędzał czas w barach ostrygowych i warsztatach oraz na włamaniach. Zmienił ułożenie wąsów, ostrzygł się i gruntownie wymoczył w rozmaitych kąpielach. Następnie sprawił sobie nowy lniany garnitur o nieco staroświeckim kroju, który szczególnie przypadł mu do gustu, a przy tym wydawał się zupełnie na miejscu w redakcji „The Sun”, gdzie roilo się od starszych panów – z Harrym Pennem na czele – ubierających się w mocno dziewiętnastowiecznym stylu. W okresie bezdomności blizny na twarzy Petera ginęły pod warstwą sadzy i brudu, teraz wyłoniły się w całej okazałości, choć drobniejsze pomału zaczynały zanikać. Gdyby Praeger zajrzał swemu nowemu pracownikowi głęboko w oczy, może spostrzegłby, że dusza Petera Lake’a uwięzła wśród burz innego miejsca i czasu. Nie zrobił tego jednak, z jego twarzy mógł więc wyczytać tylko tyle, że jest to solidny, niezawodny fachowiec. Peter nie wyglądał ani na intelektualistę, ani na artystę, ani na prawnika, ani na bankiera – przeciwnie, widać było, że jest to człowiek umiejący kłaść tory, budować domy oraz doglądać palenisk, pieców i maszyn. Miał mocne ramiona, grube ręce, niezbyt orli nos i głęboki głos. Praeger de Pinto polubił go od pierwszego spojrzenia. Nie domyślał się, jak skomplikowana jest to postać, nie rozpoznał w nim upiora z Petipas (Peter nie rozpoznał też Praegera) i szybko o nim zapomniał, jakkolwiek był szczerze rad, że teraz, gdy na stanowczą prośbę mechaników zatrudnił im nowego szefa, uzyskał od nich zapewnienie, że znacznie rzadziej będą się zdarzać awarie i opóźnienia. Nawiasem mówiąc, nowy główny mechanik pobierał pensję zwykłego czeladnika, ponieważ Trumbull, poprzedni szef siłowni, wprawdzie zgodził się oddać swoje stanowisko Peterowi, lecz nie miał ochoty odejść na emeryturę.

Przez większość czasu Peter przesiadywał przy maszynach, w ich towarzystwie czuł się autentycznie szczęśliwy. Czas wolny spędzał w małym wynajętym pokoiku z widokiem na bezkresną dolinę pustych dachów i drewnianych zbiorników na wodę, i szybko stał się taki jak wielu mieszkańców Nowego Jorku: dobrze sytuowany, samotny i zapomniany.

Na początku lata idealna czerwcową pogodą jak zwykle utwierdziła się, często jednak

zakłócały ją gwałtowne burze z piorunami, nadciągające z zachodu. Szare chmury, które same nie wiedziały, czy są bardziej podobne do gór czy do gniazd wężowych błyskawic, pojawiały się zniecka i nacierały na miasto falą deszczu, wiatru i gradu. Pioruny, wijące się świetlnymi splotami wśród śliwkowych chmur upodobały sobie zwłaszcza wysokie wieżowce Manhattanu, trafiały w nie z lubością i precyzją, a towarzyszące im grzmoty niosły się spotężniałym echem od Washington Heights po Battery. Błyskało się i grmiało tak przeraźliwie, że niewzruszone na co dzień tłumy przechodniów tłoczyły się w bramach i pod arkadami, by przeczekać burze: skulone ze strachu, z sercami zamierającymi co chwila, gdy grom obrał sobie jakiś pobliski cel.

Peter Lake w takich chwilach zawsze przerywał pracę i wsłuchiwał się w nawałnicę. Niekiedy spoglądał w górę i przez wysokie okna maszynowni obserwował bębniący o szyby deszcz i pioruny rozdierające niebo, czasem zaś śledził niebiańską kanonadę z okna swego pokoju, słuchając dudnienia wody w drewnianych zbiornikach. Zawsze miał wrażenie, że jest tajnym sprzymierzeńcem wichury i deszczu, miał nadzieję, że wystarczy im siły, by zgruchotać konstrukcję czasu i uwolnić go. Sądził zresztą, że każdy patrzy na pioruny w niepowtarzalny sposób.

Gdy pewnego dnia rozpętała się jedna z takich burz i w mieszkaniu położonym trzydzieści pięter nad East River zgasło światło, Martina i Abby Marrattów ogarnął pierwotny, zwierzęcy lęk. Po raz pierwszy w życiu oglądali takie widowisko, byli zaś na tyle duzi, że mogli je docenić. Martin pamiętał kilka mniejszych burz, jest jednak ogromna różnica między burzą, którą obserwuje się z odległości dziesięciu mil, a taką, która szaleje nad głowami. Hardesty i Virginia byli w pracy, pani Solemnis zaś pogrążyła się w typowej dla siebie drzemce, z której nic nie było w stanie jej wybudzić. Dzieci usiłowały przywrócić ją do przytomności, lecz na próżno, uznały więc, że burza ją po prostu zabiła, po czym poszły do kuchni i zapatrzyły się przez okno w stronę Hell Gate.

Gdy Martin oświadczył, że rodzice na pewno także nie żyją, Abby zaczęła płakać. Skoro i pani Solemnis zmarła, może oboje byli już ostatnimi żywymi ludźmi na świecie. Podniósł ich wprawdzie na duchu widok holownika szturmującego cieśninę, lecz po chwili stateczek zniknął, a do tego huknął taki grzmot, że omal nie popękały szyby w oknach.

– Nie martw się, Abby, zaopiekuję się tobą – powiedział Martin, gdy dziewczynka zaczęła chlipać.

Zaczął przypominać sobie krok po kroku, jak gotuje się jajka. Niedawno rodzice nauczyli go, jak się włącza kuchenkę i przygotowuje śniadanie, co uznał teraz za wyjątkowo szczęśliwy przypadek – będzie mógł nakarmić siebie i siostrę. Zaczął też głowić się nad tym, co zrobić z ciałem pani Solemnis (wyrzucić przez balkon? włożyć do lodówki?), lecz po chwili burza nagle się skończyła, wyszło słońce, a do domu weszła mama i spytała, jak się mają.

Czas był dla nich czymś podobnym jak dla Petera Lake'a. Też ufali jego poczynaniom w mniejszym stopniu niż ci, którzy dali się oszukać zegarom. Ludzie łatwo przyjmują do wiadomości, że na przykład linia prosta i punkt to byty wyimaginowane, a w istnienie sekund wierzą niezachwianie. Abby i Martin pławili się natomiast w rozciągniętym w obie strony bezczasie i mieszkali w górującym nad Yorkville wieżowcu jak dwa młode orlęta w gnieździe na szczycie góry.

Często wykazywali się też zaskakującymi umiejętnościami. Hardesty i Virginia bardzo się na przykład cieszyli, że ich dzieci są obdarzone wyjątkowo bujną fantazją. Martin i Abby mieli setki niewidzialnych znajomych: Tłuściochę i Łysonia, Psiarzy, Samotnego Dorianą, Wężową Panią, Pana Kalesona, Wysokoroślinowców, Niskoroślinowców, Dymowców, Alsonsa i Hulę, Wrzaskuna i Napalusków, Szaloną Ellen, Boksera, Romeo, Czosnkowych Chłopców

i wielu, wielu innych. Rodzice zaczęli się nawet martwić, że choć dzieci nigdy nie oglądały telewizji, mają nazbyt pokawałkowaną wyobraźnię, lecz pewnego wieczoru przy kolacji usłyszeli osobliwą rozmowę:

– Kociara z Księżycy dzisiaj bardzo płakała – oznajmił rzeczowo Martin. – A kot Bonomi fikał koziołki do tyłu. Chyba trochę kiepsko się czuje.

– Kto? – spytała Abby, półprzytomna po drzemce, która trwała stanowczo zbyt długo i głębiej niż zwykle wciągnęła ją w objęcia Morfeusza i Belindy; w rodzinie Marrattów każdy po wybudzeniu z drzemki miał wyjątkowo fatalny humor.

– Kociara z Księżycy – powiedział Martin rozzłoszczony, że musi się powtarzać.

– Kto?

– Kociara z Księżycy! Kociara z Księżycy! – wrzasnął Martin z typową dla pięciolatka arogancją, aż Hardesty zastygł z widelcem podniesionym do ust. – Czternaste od dołu, siódme od góry, nie pamiętasz?

Dopiero wtedy Hardesty i Virginia zdali sobie sprawę, że te niewidzialne postacie istnieją naprawdę, mieszkają w wieżowcu naprzeciw okna dziecięcego pokoju, swoje imiona zawdzięczają zaś zaobserwowanym przez dzieci cechom i nawykom. Martin i Abby ponazywali bez mała tysiąc osób i zwierząt; widywali ich niemal codziennie i doskonale znali. Virginia wcale się temu nie dziwiła. Sama jako dziecko przyswoiła sobie dziesięć czy dwadzieścia tysięcy słów używanych przez matkę i doskonale wiedziała, co pani Gamely ma na myśli, wypowiadając na przykład takie zdania: „Wciórności! Le Blonde przyjechał ze swoimi ludźmi i indaguje, czy miasteczko użyczy swoich łowisk bilingualnemu tałatajstwu!”. Wychowana na wsi, mając ziemię i niebo za najbliższych towarzyszy, potrafiła też na podstawie wyglądu chmur przewidywać pogodę wiele dni naprzód niczym farmerzy. W York-ville również nie brakowało znaków do odczytania – nie miały one w sobie jednak takiej gracji i surowej, nieskażonej natury jak w Coheeries.

Talenty Martina i Abby były jednak równie rzeczywiste jak Virginii. Oboje odziedziczyli też po niej śmiałość. Virginia z dreszczem wspominała, jak często w dzieciństwie ocierała się o straszną śmierć: na przykład gdy drażniła rozwścieczonego grzechotnika, karmiła wałęsającego się baribala, dziesięćkroć cięższego od niej – wkładała mu jagody do pyska jak oswojonemu szopowi, besztala go i przez pół godziny lub dłużej, prowadziła za sobą jak psa po łące, gdzie, jak sądziła pani Gamely, nie mogła jej się stać żadna krzywda – lub wspinała się po blokach lodu w lodowni czy bawiła się strzelbą, podczas gdy matka pojechała do miasteczka sprzedawać wypieki. Dzieciom Virginii nie groziły takie niebezpieczeństwa. A może tylko jej się tak wydawało, póki pewnego dnia nie ujrzała, jak Abby tańczy na poręczy balkonu do odtwarzanego na gramofonie walca, nie zwracając uwagi na ziejącą u jej stóp trzystustopową przepaść.

Niejedna matka w takiej sytuacji wrzasnęłaby i rzuciła się naprzód, by jak najszybciej ściągnąć dziecko z balustrady, Virginia jednak zachowała przytomność umysłu. Pierwsze, co przyszło jej do głowy, to że w wysoko położonym mieszkaniu jej dzieci wychowują się trochę jak na skalnych klifach, a ponieważ nie znają innego życia, może są do tego szczególnie przysposobione, niczym wiewiórki czy kozice, i lęk nie ma do nich dostępu. Postanowiła, że stłumi własny lęk, czyniąc zadość nieustraszonosci Abby, obejmie ją delikatnie, a potem zdejmie z poręczy, nie przerywając jej tańca. Tak zrobiła – i na zawsze pozostała pod wrażeniem instynktownej gracji swej córki.

Spacerowanie po balkonowych poręczach było jednak odosobnionym epizodem w dość spokojnym życiu Martina i Abby. Dzięki dziecięcej bezradności, niewinności i wyobraźni

umiały wyrzucić czas na lewą stronę, podróżować na wietrze, wcielać się w dusze zwierząt. To, że uważały miasto za centrum czy wręcz całość wszechświata, sytuowało je na pograniczu rzeczywistości nieskończonej i niewytłumaczalnej, ponieważ nawet miejsca tak nieodległe jak Fort Lee, New Jersey czy Yonkers znajdowały się poza granicami tego co znane. Kosmologię chwytały w lot, szybciej niż złotouści naukowcy, ponieważ fizycy i ich poprzednicy zmuszeni byli oglądać wszechświat za pomocą rozmaitych narzędzi, swoje modele budowali tak, jak gdyby chcieli naporstkami przykryć otwarte niebo – dzieci natomiast z łatwością pokonywały strach i zwątpienie, docierały wprost do sedna. Urodziły się na tyle niedawno, że w głębokich snach pamiętały jeszcze doskonały bezruch i spokój wszechrzeczy. Nie miały wątpliwości, że mocą samej wiary mogą wzbić się do góry i podróżować podniebnymi szlakami, pozostawiając za sobą rozmażaną smugę światła, podobną do długiego białego welonu.

Od swej matki przyjęły na wiarę – tak jak ona wiele lat wcześniej od pani Gamely – wyjaśnienie, czym jest zasłona z chmur od czasu do czasu okalająca miasto.

– Jest niczym i wszystkim zarazem – opowiedziała im kiedyś podczas burzy, gdy leżały w łódeczkach i wsłuchiwały się w skowyt białej ściany. – Czas w niej nie istnieje, jedynie wyspy czasu. W jej wnętrzu panuje ruch, krzyżują się przeciwstawne prądy, i jeśli zanadto się do niej zbliżycie, porwie was jak fala, która zmywa człowieka ze skały. Wiruje wokół miasta nierównymi zakolami: czasem spada na ludzi jak tornado, porywa ich bez śladu lub przynosi tutaj, czasem otwiera białe drogi wiodące za miasto, a czasem spoczywa nad powierzchnią morza, nawiązując łączność z innymi miejscami. To dobroczynna nawałnica, miejsce schronienia, neutralny wpływ, w którym dryfujemy. Zastanawiamy się, czy istnieje coś po drugiej stronie, i wydaje się, że chyba tak.

– Czemu? – spytał Martin spod kołdry.

– Ponieważ w tych rzadkich przypadkach, gdy wszystko łączy się ze sobą, żeby służyć pięknu, ściana przybiera barwę złota, ciepłą i uśmiechniętą, jak gdyby przypominała Bogu o doskonałości i złożoności, które dawno temu puścił w ruch i szybko o nich zapomniał.

Martin i Abby byli niezwykle bystrzymi obserwatorami. Ponieważ całe dni spędzali w apartamentowcu przypominającym ogromny pszczeli ul, wyczulili się na wiele rzeczy, których większość ludzi nie zauważała. Blok jako całość był dla nich na przykład instrumentem muzycznym, złożonym z niezliczonych aparatów telefonicznych, dzwoniących w różnych miejscach, różnymi tonami i z różną głośnością (zależnie od tego, w jakiej odległości od słuchacza się znajdowały i ile oddzielało je ścian, jak silny był wiatr, czy otwarte były okna, jak brzmiał ich sygnał i tak dalej). Wsłuchiwały się w ich dzwonienie jak w śpiew ptaków przebijający się przez ciemną, zwartą gęstwinę lasu. Hydraulika – woda płynąca przez niezgłębione jaskinie – przemawiała do nich władczo niczym szum Hadesowych rzek. W swym wysokim gnieździe miały na poziomie oczu swobodnie szybujące ptaki i wyczuwały harmonię panującą między ptactwem a błękitnym powietrzem, nieistniejącą na niższych wysokościach, w płycznach i cieśninach ulic. Zmuszali telefon, by „śpiewał do siebie” (wprawiając go w sprzężenia i interferencje), jak gdyby był podwórkowym zwierzątkiem. Ze swojej podniebnej reduty zauważali subtelne odcienie światła i dźwięku o świcie, zmierzchu i podczas burz. Umieeli określić czas na podstawie położenia półmilowych cieni pobliskich wieżowców oraz obłoków pachnącego powietrza (słodszego i cięższego niż niejedne perfumy Arabii), które unosiły się wzdłuż ścian i tarasów między ósmą a ósmą trzydzieści rano, gdy setki eleganckich pań zażywały kąpeli przed pójściem do pracy, jak gdyby chciały uświęcić miejsce swego zamieszkania.

Marko Chestnut powiedział kiedyś, że Martin i Abby są tak wyczuleni na naturę, jakby

wychowywali się na farmie czy w górach.

– Owszem – stwierdził – mieszkają w mieście, czyli we wnętrzu maszyny. Ale skoro maszyna może wyłonić się z natury, to z pewnością natura może też wyłonić się z maszyny.

Marko co sobota malował portrety dzieci – pojedyncze bądź zbiorowe. Pracownię miał w śródmieściu, nieopodal redakcji „The Sun”, z widokiem na Manhattan Bridge. Pewnego deszczowego kwietniowego dnia Abby i Martin przyszli do niego ubrani w żółte płaszcze nieprzemakalne. Markowi sprawiło to wielką przyjemność: oryginalne sztormiaki z Coheeries upstrzone były jasnobrązowymi prążkami, a ich głęboką żółć gasiło szare światło skłębionego nieba, wypełnionego deszczem i wiatrem. Rumieńce na policzkach Martina i Abby, ich dziecięce oczy i włosy oraz popielate, deszczowe światło – tego właśnie potrzebował. Dzieci nie do końca wiedziały, czego się spodziewać, były zakłopotane i przestraszone, wzięły Marka za kogoś w rodzaju lekarza. Prawie zupełnie nie dało się z nimi rozmawiać, a gdy się odezwały, to tylko szeptem. Marko poczęstował je sokiem z żurawiny i ciastkami nadziewanymi czekoladą, dał im też małe komplety farb, magnesy, samochodziki na resorach i muzealne katalogi.

Dzieci spędziły w jego pracowni kilka godzin, obserwując bicze deszczu i wiatru z taką samą intensywnością, z jaką Marko przyglądał się im. Słyszały jedynie ulewę – chlupoczącą w kanałach burzowych, łomoczącą o dachy, spływającą po ulicach. W pewnym momencie Abby podeszła do sztalugi, chwyciła pędzel Marka i powiedziała, że wydaje on taki sam dźwięk jak deszcz. Rzeczywiście tak było. Markowi przyszło do głowy, że natura faktycznie obecna jest w belkach, filarach i silnikach miasta, we wszystkich rzeczach i ich wzajemnych układach – że w martwych pejzażach rozjaśnionych sztucznym światłem jest jej tyle samo, ile w zalanym słońcem polu pszenicy. I tu, i tam jej prawa działają tak samo, są wieczne i niezmiennie.

Podczas gdy w najdalszych rojeniach Marko Chestnut ośmielał się myśleć, że być może pewnego dnia miasto i jego osieroczone maszyny odnajdą swoje korzenie i obudzą się ze snu, dzieci były myślami już o wiele dalej: marzyło im się, by cały świat mógł kiedyś wzejść i poderwać się do lotu, ku doskonałości, wysoko ponad toporną maszynę, w której przyszło im mieszkać.

Tymczasem biały koń Athansor tkwił gdzieś w dzielnicy nędzy, uwięziony w młynie: chodził w koło, przywiązany do ciężkiej belki, i obracał skrzypiącym kieratem. Odpoczywał tylko wtedy, kiedy napędzana przezeń rozklekotana maszyneria psuła się lub gdy brakowało materiałów do przerobu. Nie licząc tych chwil, pracował nieprzerwanie. Owsa, siana i wody mu nie brakowało, czerpał je w ruchu z wnęki w ścianie uzupełnianej z góry siłą grawitacji. Drewno i metal wokół żłobu były wyslizgane przez pyski niezliczonych koni, które schylały się i ocierały o ścianę podczas jedzenia i picia.

Jego poprzednicy zajeżdżali się na śmierć w ciągu miesiąca lub dwóch, często zdychali z wyczerpania, nim właściciel zdążył zastrzelić je za zbyt powolną pracę. Zmuszanie koni do nieustannej pracy sprawiało, że młyn zużywał ich około dziecięciu rocznie; gdyby stosowano ośmiogodzinne zmiany, mogłyby dożywać normalnego końskiego wieku, dzielnice nędzy miały jednak własną ekonomię, zresztą właściciele młyna zdobywali je właściwie za bezcen: były to konie, które nie miały już sił ciągnąć wozów, błąkały się po opuszczonych parcelach lub tkwiły w okropnych stajniach w ruinach spalonych kamienic, do których złodzieje zwozili je pod osłoną nocy z okolicznych wiosek.

Gdy taki koń zapracował się na śmierć, przerabiano go na mięso i skóry. Wnętrza szły na podroby, kopyta i kości na klej. Korzystały na tym pokątne przetwórnice, prowadzone przez nikczemnych, krótkowzrocznych chciwców – przerabiały koński surowiec na straszliwą skalę.

Athansora spotkał jednak inny los. Właściciele młyna odkupili go od organizatorów walk, domyślając się, że popracuje znacznie dłużej niż jego niewinni pobratymcy porwani z górskich pastwisk i nocą przewiezieni do trzewi miasta. Kiedyś pewien perszeron chodził w kieracie przez pięć miesięcy, z determinacją, która zdumiała nawet jego gruboskórnych porywaczy. Szacowali, że biały koń nie popracuje dłużej: ważył tyle samo, ile tamten, ale budową przypominał raczej rumaka czystej krwi, był przyzwyczajony do walki, a perszeron był koniem roboczym.

Nie wiedzieli jednak, że Athansor nie ma zamiaru rozstawać się z życiem – nie utonął w morzu, nie padł w zaprzęgu, nie chciał też paść w kieracie. Skąd mogli wiedzieć, że pochłaniał ciągłość tak jak młyn pochłania konie, że karmił się nią na równi z owsem i wodą? Nie mogli pojąć, skąd bierze siłę, lecz widzieli jak na dłoni, że im więcej pracuje, tym ma jej więcej. Obracał kieratem, czasem w gorączce i pocie czoła, czasem lekko i radośnie, czasem ze smutkiem, od którego zamierało mu serce, nocą i bladym świtem, drżąc z osłabienia lub tanecznym, mocnym krokiem – obracał nieprzerwanie i nigdy nawet się nie potknął.

W pierwszych tygodniach sierpnia było bardzo gorąco, toteż popołudniami, czasem nawet w nocy okrywał się pianą, a rany i blizny na jego ciele otwierały się i jątrzyły. Gdy przyszła jesień i oczyściło się powietrze, wiedział już, co jest mu pisane, uniósł więc głowę, potrząsnął skudloną grzywą i spojrzał przed siebie. Był silnikiem wprawiającym w ruch pory roku, młynem, co miele sól ziemi. Zimą połowa jego kolistej trasy pokryła się śniegiem i lodem, trudno było utrzymać równowagę. Utrzymał ją jednak i doczekał wiosny. Potem przyszedł ów pamiętny wspaniały czerwiec – i wiedział już, że koniec męki jest bliski, każdy jego krok był małym zwycięstwem. Na początku lata, gdy piękną pogodę zakłócały szybkie, potężne burze i kaniony ulic wypełniały się kanonadą grzmotów, podtrzymywało go na duchu wiele różnych rzeczy, choćby zdumienie jego dręczycieli, że jeszcze żyje.

Z jednej trzeciej swej kolistej trasy miał widok na zewnątrz, na ciągnące się ku zachodowi rumowiska, stosy gruzów, szczerbate sylwety spalonych domów, a także na rzekę i horyzont. Ten cudowny, lśniący pejzaż niewątpliwie również dodawał mu sił.

Zadzwijał dzwon. Dzwonił dla burmistrza, który płynął właśnie motorówką przez East River z Gracie Mansion do ratusza – i nie przestał dzwonić, póki burmistrz nie wszedł do swojego biura, nie włożył odświętnej togi i nie wezwał marszałka, by ogłosił, że „burmistrz jest w swym biurze dla zadowolenia ludu, gotów rządzić dla większego dobra, rad, że słońce wstało nad nietkniętym i kwitnącym miastem”. Była to prastara ceremonia, przez wielu traktowana jako czysta formalność – dla burmistrza była jednak ważna, bo pozwalała mu spojrzeć na miasto z bardziej egalitarnej perspektywy, przypominała mu o jego zadaniach i wzmacniała poczucie ciągłości.

Rada starszych (w której jakoś udawało się współistnieć Harry’emu Pennowi i Craigowi Binky’emu) zbierała się przed inauguracją rządów każdego burmistrza, by wybrać mu przydomek. Przydomek był czysto symboliczny, nie mógł pozbawić burmistrza stanowiska ani nie gwarantował reelekcji, odciskał jednak mocne piętno na wyborcach oraz na sumieniu właściciela – o ile je posiadał. Burmistrz zapisywał się w pamięci potomnych właśnie pod nadanym przydomkiem, który zacierał właściwe nazwisko i stapiał jego postać z historią miasta. Zdarzało się zatem, że burmistrz składał rezygnację lub popełniał samobójstwo, jeśli rada starszych nazwała go na przykład burmistrzem Prochem, burmistrzem Gnatem, burmistrzem Łachmanem czy jakoś podobnie. Niektórzy zaciskali zęby i pełnili swoją funkcję, mimo że nazwano ich burmistrzem Lisem, burmistrzem Jajem lub burmistrzem Ptakiem (w polityce łagodne drwiny i łagodne reprimendy zawsze są do przełknięcia). Byli też tacy, których nie

ośmieszono ani nie wyklęto, których administrację chwalono – ponieważ zasłużyli na to własnymi osiągnięciami, dopisało im szczęście lub po prostu pełnili urząd w sprzyjających czasach. Był burmistrz Kość Słoniowa, burmistrz Woda, burmistrz Rzeka, a także (raz, na przełomie wieków, gdy rada starszych chciała zwrócić uwagę na to, że zbliża się nowe tysiąclecie) burmistrz Srebro. Skąd rada wiedziała z góry, czym wykażą się nowo wybrani urzędnicy i jak będą wyglądać ich kadencje, było tajemnicą nawet dla nich. Craig Binky nie wiedział tego na pewno. Nawet Harry Penn był zdumiony, że zebrania rady przesiąknięte są tak silnym, absolutnym wyczuciem przyszłości.

Obecny burmistrz miał skończyć swą kadencję albo z chwilą, gdy na rzece pojawi się lód (zwykle działo się to pod koniec stycznia), albo gdy zakwitnie pierwszy kwiatek w Prospect Park (pod koniec marca), wybrano go zaś w listopadzie. Zważywszy że poprzedniego burmistrza nazwano Siarką, można uznać, że miał szczęście: otrzymał przydomek Gronostaja. W skomplikowanej symbolice tytułów oznaczało to przyjemną harmonię, ponieważ ceremonialne togi uszyte były właśnie z gronostajów, rada starszych zdawała się więc sugerować, że wybrano właściwą osobę. Burmistrz był bardzo zadowolony, komplement nie uderzył mu do głowy i wróżył reelekcję. Tak naprawdę z wyglądu przypominał raczej jajko na twardo, do tego miał piskliwy głos, był jednak zręcznym politykiem i uczciwym człowiekiem, pełniącym swoje obowiązki z rozwagą i humorem. Nie można też zapominać, że wspierała go najbardziej niesamowita i wszechmocna machina polityczna wszech czasów – niemal równoległy rząd, dokonujący istnych cudów, począwszy od koszyków z bożonarodzeniowymi prezentami, które rozprawdzano w mieście w milionowych ilościach, po umiejętność posługiwania się komputerami. Podpięty do potężnej bazy danych burmistrz znał nazwisko, przezwisko oraz ulubioną potrawę każdej osoby, jakiej tylko przyszło mu uścisnąć rękę. Rozmowy prowadzone podczas kampanii wyborczej były przez to nieco męczące („Cześć, Jackie, jak ostatnio znośisz lazanie?” lub „Miło cię wiedzieć, Nick. Chłopie, ja też uwielbiam krokiety!”), lecz wszystko wskazywało na to, że przysparzają mu głosów.

Burmistrz Gronostaj miał trzy biura, każde na innym piętrze i służące do innych celów. Biuro w starym ratuszu, położone najniżej, było miejscem tradycyjnym i odświętnym. Kwartety smyczkowe często grywały tam otwarte koncerty, na ścianach wisiało wiele znakomitych obrazów. Każdy burmistrz mógł udać się do galerii i obejrzeć prastare portrety swoich poprzedników, by w ich oczach i uśmiechach ujrzeć ludzi takich jak on, spoglądających nań z przeszłości i dodających mu otuchy. Gdy jest już po wszystkim, można ze spokojem przyglądać się życiowym i politycznym zmaganiom następców – zdawali się mówić.

Wysokie biuro znajdowało się pół mili nad ziemią, na szczycie jednego z najwyższych wieżowców. Miasto rozpościerało się dole, pod oknami przepływały chmury. Widziane z takiej perspektywy wydawało się odległe, wyglądało jak zabawkowe, ułożone z barwnych klocków i komórek miękko połyskujących w słońcu. Łatwo podejmowało się tam decyzje mające przynieść korzyść w przyszłości, ponieważ nie widać było ludzkich twarzy i nie słyszało się płaczu tych, co tonęli w odmętach historii.

Trzecie biuro znajdowało się w Battery, na piętnastym piętrze. Szerokie okna wychodziły na port, na morze, na pola Governor's Island, na rdzawe ceglane mury Brooklyn Heights i zielone połacie parków i cmentarzy Brooklynu. Był to widok pośredni: burmistrz sięgał wzrokiem daleko, lecz dostrzegał sylwetki poszczególnych ludzi. Statki przekradające się jak wilki przez Buttermilk Channel przykuwały uwagę znacznie bardziej niż zabaweczki na niebieskim szkle, w które zmieniały się z perspektywy najwyższego biura. Gdy burmistrz oglądał je ze średniej wysokości, opowiadały mu o oceanie. Widać było odkosy dziobowe,

bielejące jak welony rozwiewane przez wiatr, przez lornetkę można było też dostrzec gesty ręki pilota przeprowadzającego statek wśród groźnych przybrzeżnych płycizn.

W środkowym biurze, skąpanym w miłym świetle wpadającym przez szerokie okna, burmistrz Gronostaj zajmował się większością miejskich spraw. Nie było ono ani tak absorbujące i zużyte jak pokoje w ratuszu, ani tak eteryczne jak najwyższe biuro, toteż najlepiej rozwiązywało się w nim paradoksalne dylematy będące sednem polityki. Burmistrz właśnie tam czuł się najlepiej – w Czyścucu, jak to określał – tam też przyjmował większość gości, między innymi Praegera de Pinto.

Redaktor naczelny „The Sun” odwiedzał środkowe biuro wielokrotnie, rozsiadł się więc w wygodnym skórzanym fotelu, jak gdyby był u siebie.

– Co się dzieje? – spytał burmistrza.

– Nie wiem – odparł Gronostaj. – A dzieje się coś?

– Jestem pewien, że wiesz.

– O czym ty mówisz, Praeger? Co się z tobą dzieje? Zachorowałeś na jakąś craigo-binkiozę czy co?

– Dobrze, wyrażę się jaśniej. W ubiegłym tygodniu odwiedziłeś statek, który zakotwiczył na Hudsonie. Nasi reporterzy donieśli, że byłeś przybity i zrezygnowany, w telewizji widać było, że idziesz jak skazaniec na szafot. Dwie godziny później do statku podpłynęła motorówka i wskoczyłeś do niej tak lekko, jak gdybyś zamiast nóg miał stalowe sprężyny. Uśmiechałeś się, jak gdyby ktoś ci włożył banana między policzki. A potem, na oczach całego miasta, wykonałeś krótki taniec na nabrzeżu.

Burmistrz odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się; może przypomniał sobie, co skłoniło go wówczas do tańca.

– Potem przez tydzień unikałeś prasy.

– Byłem zajęty.

– Miasto wyłazi ze skóry, by się dowiedzieć, co się dzieje na tym statku i z kim rozmawiałeś. „The Ghost”, twój sojusznik, porównał twój pływ do tryumfalnego tańca Hitlera po zajęciu Paryża. Naprawdę tego chcesz? Czy zdajesz sobie sprawę, że ciąży na nas coraz większa presja, by wyjaśnić, o co chodzi, i jeśli ludzie uznają, że rozmyślnie nie chcesz zaspokoić ich ciekawości, bardzo ci to zaszkodzi?

– Nie mam obowiązku pracować dla was – rzekł burmistrz. – Jeżeli nie wiecie, kto jest na pokładzie tego statku, to nie mój problem. Może po prostu popłyniecie tam i zapytajcie? Wypożyczcie sobie łódź i w drogę.

– Mamy własną łódź. Byliśmy tam pół godziny po tym, jak statek rzucił kotwicę. Wiesz doskonale, że nie wpuszczają nikogo na pokład, nie chcą nawet rozmawiać przez reling. Ale pracujemy nad tym. Są różne sposoby skórowania opornych kotów. Lecz mimo wszystko, skoro wiesz, co jest grane, powinieneś dać nam jakąś wskazówkę...

– Bo inaczej „The Sun” nie poprze mnie jesienią.

– Polityka to sztuka równowagi. Masz rację, możemy cię nie poprzeć.

– Za taką błahostkę?

– Z naszego punktu widzenia to nie jest błahostka. Burmistrz wie coś, co pragnie wiedzieć miasto, i nie chce tego zdradzić. Dlaczego miasto miałoby go wspierać?

– A jeżeli w najlepszym interesie miasta leży właśnie to, bym nic nie mówił?

– Któż miałby to ocenić?

– Nikt. Najlepiej będzie, jeśli zachowam wszystko dla siebie.

– Dlaczego nie pozwolisz, by ludzie sami uznali, co jest dla nich najlepsze?

– Dlatego, że w tym przypadku nie są do tego zdolni.
– Nie rozumiem, czemu to robisz. Telewizja zmiesza cię z błotem.
– Zdaję sobie z tego sprawę.
– I ty chcesz zostać wybrany na drugą kadencję?
– A są jacyś kontrkandydaci? – uśmiechnął się burmistrz.
– Na razie nie ma.
– Otóż to. A kiedy się pojawią, będzie za późno. Mamy już połowę czerwca. Kto w ciągu trzech i pół miesiąca będzie w stanie dorównać moim dwustu komitetom wyborczym i dwudziestu tysiącom aktywistów w okręgach?
– To ci niczego nie gwarantuje.
– Mimo wszystko jestem dobrej myśli.
– Dlaczego? – Praeger nie mógł uwierzyć, że Gronostaj z prawdziwego męża stanu w niepojęty sposób przeobraził się w specjalistę od zakulisowych gier.
– Słuchaj – powiedział burmistrz. – Gdybyś wystartował w wyborach przeciwko mnie, wygrał je, a potem poznał odpowiedź na to pytanie, postąpiłbyś dokładnie jak ja.
– Tak ci się tylko wydaje.
– Nie, ja to wiem. Przed miastem otworzyły się wielkie możliwości i zamierzam z nich skorzystać. Odpowiadam przed historią. Mogę nawet poświęcić swoją karierę. Zresztą któż, do diabła, mógłby wystartować przeciwko mnie?
– Choćby ja – powiedział Praeger.
Burmistrz Gronostaj zawahał się.
– To nawet nie jest śmieszne. To miasto nigdy nie wybiera na burmistrzów wysokich, porządnych, wykształconych ludzi, chyba że mają pusto w głowach lub są głęboko skorumpowani. Jesteś zbyt mądry i uczciwy, by dostać nominację, nawet z ramienia idealistycznej kanapowej partyjki. Poza tym jak poradziłyby sobie z całą tą machiną?
– Może po prostu zignorowałbym ją – odparł Praeger. Nie miał bladego pojęcia, jak sprawuje się urząd publiczny, dał się po prostu sprowokować Gronostajowi.
– Tak się nie da. Choć przyznaję, marzy o tym każdy młody człowiek. To chyba zaczyna się już w najmłodszych latach. Dzieciaki często marzą o tym, by zostać prezydentem, w kąpielni ćwiczą wspaniałe przemówienia, dają się ponieść wzniosłemu politycznemu natchnieniu, a potem nic z tego nie wychodzi. I nie powinno. Polityka to świat okrutnych kompromisów. Miastem musi rządzić twardziel, a nie ktoś, kto ma świetne pióro. I miasto dobrze o tym wie.
– A burmistrz Srebro?
– Spisał wszystko dopiero po tym, jak przestał być burmistrzem, nie przedtem.
– Ja jeszcze niczego nie spisałem – odparł Praeger. – I może jestem odrobinę twardszy, niż ci się zdaje.
Burmistrz Gronostaj spojrział na niego i po raz pierwszy nie spodobało mu się to, co widzi. Miał przed sobą wysokiego mężczyznę z zaczepnym błyskiem w oczach i twarzą pełną wojowniczego napięcia – jak u brutalnego oprawcy, który mruży oczy przed wymierzeniem kary.
– Gdzie ty się urodziłeś? – spytał. Był pewien, że Praeger nie jest dzieckiem ulicy, że nigdy do końca nie uzna Nowego Jorku za swoje miasto, że nie byłby zdolny wystąpić przed tłumem z ową szczególną dumą i pewnością siebie, którą daje wspólnota miejsca urodzenia. Praeger miał wszelkie znamiona imigranta z przedmieść.
– Na Havemeyer Street, wasza wysokość – odparł de Pinto. – Prawie dokładnie pod brooklyńskim przęsłem Williamsburg Bridge. Jak ci się to podoba?

– Mało mnie to obchodzi – odparł burmistrz i zagłębił się w papierach, dając mu znak do odejścia. – Nie wystartujesz w żadnych wyborach.

W połowie lipca poruszenie związane z kolosalnym statkiem zakotwiczonym na wodach Hudsonu prawie zupełnie wygasło. Burmistrz milczał jak zaklęty, ze statku nikt nie schodził ani nań nie wchodził, marynarze i oficerowie pojawiali się tylko wówczas, gdy ktoś próbował dostać się na pokład. Gazety z początku podjęły wyzwanie i miały się wszelkich podstępów, by wywiedzieć się, co przewozi tajemnicza jednostka. Kilkunastu dziennikarzy skoczyło na spadochronach i wylądowało na olbrzymich pokrywach luków, lecz natychmiast chwyтали ich i eskortowali na brzeg milczący strażnicy. Płetwonurkowie podpływali do burt, wspinali się na górę za pomocą magnesów i przyssawek, lecz przy relingach zawsze czekali już ci sami ponurzy wartownicy. Śmigłowce, balony, zamaskowane tratwy do polowań na kaczki – wszystko, co było w stanie przemieszczać się na wodzie bądź w powietrzu, ciągnęło w stronę statku podczas pierwszych trzech tygodni jego pobytu w Nowym Jorku. Prześwietlano go promieniami podczerwonymi, skanowano magnetometrami, miernikami cząstek subatomowych, lecz jedynym wiarygodnym obliczeniem, jakie na tej podstawie zdołano wykonać – porównując rozmiar statku i rozmieszczenie zawartości w jego wnętrzu – była przybliżona średnia gęstość ładunku. Była to informacja bezwartościowa, ponieważ nikt nie wiedział, czym ów ładunek jest ani jak ściśle jest składowany. Spekulacje wkrótce ucichły, a potem równie szybko przeniosły się na inne wydarzenia, głównie za sprawą telewizji, która już dawno poszatkowała świat na drobne kawałeczki. Rozdziawiona paszcza publicznego zainteresowania stopniowo skurczyła się do rozmiarów cieniutkiej jak włos pipetki – tajemniczy statek stał się zwyczajnie za duży, by przez nią przepłynąć.

Powróciwszy z szaleńczych poszukiwań nad jeziorem Finger, Craig Binky postanowił, że przebiję swych rywali i wyjaśni tajemnicę. Jako prawdziwe dziecko Oświecenia, absolwent wielu kierunków studiów ścisłych, posunął się do zbudowania akceleratora cząsteczek: usytuował go w zachodniej części Greenwich Village i wycelował w przeciwny brzeg rzeki, tak by coś, co nazywał „promieniami bideo”, mogło przebić statek i wykreślić mapę jego wnętrza. Nic to nie dało, grodzie były nieprzeniknione nawet dla promieni gamma, Craig Binky dał więc za wygraną i choć był świadom, że miasto umiera z ciekawości, skierował „The Ghost” na inne tory. Osobiście najbardziej pochłonęło go święto poezji odbywające się w drugim tygodniu lipca. (Poeci, którzy mieli szczęście pojawić się na tej imprezie z nowymi tomikami, zostawali milionerami).

Harry Penn znacznie dłużej borykał się z tajemniczą sprawą, lecz i on w końcu się poddał. Dziennikarze „The Sun” byli zaskoczeni, wydawało się to niezgodne z jego naturą, Harry kazał im jednak tymczasowo pogodzić się z porażką i czekać na rozwój wypadków. Statek przesunął się z pierwszej strony gazety na ostatnią, wspomniano o nim już tylko w drobnych wzmiankach, zniknął ze wstępniaków, a ponieważ nie był przycumowany do przystani, nie pojawiał się nawet w rubryce poświęconej statkom świeżo przybyłym do portu.

Zapomniany statek stał się częścią krajobrazu, trzecią palisadą, czymś, na co się patrzy, lecz czego się nie widzi – innymi słowy, wtopił się w miasto. Peter Lake wziął sobie dzień wolny, żeby go obejrzeć, ale nie wyniósł z tego większych wrażeń niż inni.

Jedynie Praeger, Virginia i Hardesty nie chcieli zapomnieć o sprawie – Harry Penn bowiem nie tyle poradził im, by zaczekali na zwrot wydarzeń, lecz rozkazał im, by w ogóle przestali się tym zajmować. Był to pierwszy raz, gdy zakazał czegoś Virginii. Praeger najchętniej w ogóle odszedłby ze stanowiska, powstrzymał się od tego wyłącznie ze względu na miłość, jaką darzył Harry’ego.

Po wielu nocach ślęczenia w bibliotece i dociekania, gdzie tajemniczy statek mógł zostać zbudowany (wszystko wskazywało na to, że na całym świecie nie ma dostatecznie wielkiej stoczni), Hardesty był tak wyczerpany, że zasnął na czytelnianym stole i przyśniło mu się, że jest w San Francisco, w domu ojca, i spogląda na zatokę. Gdy był małym chłopcem, lubił obserwować ceglastoczerwone holowniki, ściętnione w czystym, jasnym szkiełku lunety, gdy pchały przed sobą zmarszczony dywan białej wody. Na ich kominach widać było pozłocaną figurę skrzydlatego lwa symbolizującego świętego Marka oraz nazwisko Marratta. Obserwując, jak śmigają po zatoce, Hardesty zawsze czuł, jak dreszcz przebiega mu po krzyżu, zwłaszcza gdy widział własne nazwisko odlane w tym samym kolorze co lew – nie dlatego, że się pysznił, lecz dlatego, że przypominało mu ono o sile i niezłomności ojca.

Gdy się obudził, ujrzał Virginię zgarbioną nad grubym rejestrem statków.

– Nic tu nie znajdziemy – powiedział, gdy Praeger wyłonił się z mroku obładowany sześcioma podobnymi tomiszczami. – Może byśmy po prostu zaczęli ten statek regularnie obserwować? Asbury zawiózłby nas na brzeg Jersey i zabrał przed świtem. Teraz, gdy już zeszedł z pierwszych stron gazet, może trochę stracili czujność i zdradzą się z czymś.

Przez następne dziesięć wieczorów, tuż po zapadnięciu zmroku, płynęli pod Palisades, wspinali się na szeroką półkę skalną, którą znaleźli w połowie wysokości urwiska, i nie spuszczała oka ze statku przez całą noc – na zmianę spali i pełnili wartę. Asbury odbierał ich przed samym świtem. Nie odkryli nic. Hardesty, choć był pomysłodawcą akcji, pierwszy chciał ją zakończyć, lecz Praeger nie zgodził się na to. Jeszcze długo po tym, jak Hardesty i Virginia stracili wszelką nadzieję, naczelny „The Sun” wpatrywał się błyszczącymi oczyma w opustoszałe pokłady, a ilekroć budził się na swoją wartę, wyglądał jak myśliwy tropiący zwierzynę. Tak trwało do sierpnia, gdy rzeka była ciepła jak woda w basenie, a wokół statku unosiły się smużki pary i mgły.

Nic więc dziwnego, że to właśnie Praeger któregoś razu wyrwał ich ze snu gwałtownym okrzykiem. Mgły już nie było; gdy otworzyli oczy, ujrzeli Manhattan rysujący się na tle czystych barw świtu. Na drugim brzegu, w cieniu kanionów, błyskała lampa sygnałowa. Gdyby znajdowali się dziesięć stóp na lewo lub prawo, nie mieliby szans zauważyć migotliwych łyśnięć; siedzieli jednak dokładnie na wysokości mostka kapitańskiego, wiadomość dotarła więc także do ich oczu. Praeger sięgnął po lornetkę i ujrzał na nabrzeżu długi czarny samochód, a obok niego dwóch mężczyzn. Jeden operował lampą, drugi przechadzał się tam i z powrotem. Ten, który chodził, był niski i gruby, sygnalista miał na sobie coś w rodzaju munduru.

– Pokaż – zażądał Hardesty.

– Nie, zaczekaj – odparł Praeger. – Asbury nadpływa właśnie wzdłuż naszego brzegu. Jeśli się pospieszymy, może uda nam się ich przyłapać, cokolwiek zamierzają zrobić.

W półmroku zgramolili się na dół i dotarli do podstawy klifu dokładnie w chwili, gdy przybiła tam łódź. Asbury był zdziwiony: zwykle musiał wspinać się po nich na stanowisko obserwacyjne. Jego zdaniem sytuacja była trudna. Jeśli z któregoś z luków statku otwierających się nad linią wody wyłoni się łódź i ruszy prosto w stronę nabrzeża, nie zdążą dotrzeć tam na tyle szybko, by zobaczyć, kto z niej wysiada. Jeżeli natomiast popędzą w stronę statku już teraz, mogą spłoszyć zdobyczą.

Dopisało im jednak szczęście: od strony portowej zatoki płynął właśnie w górę rzeki mały zbiornikowiec. Zaczekali, aż zrówna się z nimi, po czym ruszyli równoległym kursem, dobrze osłonięci. Pół mili dalej na północ zbiornikowiec popłynął kanałem w stronę wschodniego brzegu rzeki, oni zaś przyspieszyli, wyprzedzili go i zasłonięci od sterburty dotarli do długiego mola, znikając zupełnie z pola widzenia załogi wielkiego statku oraz postaci

stojących przy limuzynie.

Wdrapali się po przegniłych palach na molo i pobiegli w stronę ulicy, rozglądając się za taksówką. Hardesty'emu przyszło do głowy, że znalezienie taksówki o świcie przy Twelfth Avenue jest niemożliwością, lecz gdy wbiegł pod zadaszenie, wyprzedziwszy Virginie i Praegera, ujrzał dobre pięć setek aut. Nie musiał nawet nic mówić: kilkadziesiąt taksówek w jednej chwili podjechało do nich lśniąca falangą.

Pędząc w stronę nabrzeża, gdzie widzieli błyski lampy, minęli limuzynę – jechała w przeciwnym kierunku.

– Proszę niepostrzeżenie zawrócić – poinstruował Praeger taksówkarza.

– Znaczy się jak? – spytał taksówkarz, obracając autem o sto osiemdziesiąt stopni z piskiem palonych gum.

– Już nieważne – odparł Praeger. – Niech pan jedzie za tą limuzyną, ale tak, żeby nas nie zauważyli.

Limuzyna jechała okrężną trasą, zataczała koła, mijała te same miejsca po trzy, cztery razy, przemknęła przez park i przepychała się, jak tylko mogła, przez wczesnoranny ruch. Przemierzywszy w ten sposób sporą część Manhattanu, zatrzymała się przed Metropolitan Museum of Art. Ze środka wysiadło trzech mężczyzn. Weszli do budynku przez rzadko używane drzwi wbudowane w podstawę jednego z olbrzymich cokołów przy wejściu.

Przemykając obok taksówką, Praeger i Marrattowie widzieli wszystkich trzech pasażerów limuzyny jak na dłoni. Jeden był niespotykanie wysoki, drugim był ów tłuścioch, który przechadzał się po nabrzeżu, trzecim sygnalista. Tłuścioch był jeszcze młodzieńcem. Nawet patrząc z ukosa z okien taksówki, widzieli, że twarz ma tak nalaną, iż zamiast oczu ma jedynie uśmiechnięte, wąskie szparki. Co do sygnalisty, początkowo wydało im się, że ma na sobie uniform, wzięli go więc za kierowcę w liberii. Gdy zniknął w drzwiach muzeum, ujrzeli jednak, że nie jest szoferem, lecz raczej duchownym.

Gdyby Peter Lake ujrzał tę trójkę razem, pewnie rozjarzyłby się jak węgorz elektryczny, byli to bowiem Jackson Mead, przewielebny Mootfowl oraz Cecil Mature – który już dawno zmienił nazwisko na Cecil Wooley i przyjechał do miasta przed nimi, a następnie kręcił się w rejonie Brooklyn Bridge w przebraniu przekupnia.

Hardesty, Virginia i Praeger zapłacili taksówkarzowi prawdziwą fortunę i udali się do ulicznej kafejki po drugiej stronie ulicy. Usiedli na pustej werandzie i czekali, aż dziwaczna trójca ponownie wyłoni się z budynku. Gdy tak siedzieli, dobrze ukryci, podjechała druga limuzyna – wyskoczył z niej burmistrz Gronostaj, znany ze swej łysiny i sprężystego kroku.

– Można było się domyślić – rzekł Praeger.

Po chwili podjechała trzecia limuzyna.

– Strasznie tu się dziś roi od limuzyn – powiedział Hardesty. – Zupełnie jakbyśmy byli na Upper East Side.

Drzwi samochodu otworzyły się pomału. Najpierw wyłoniła się laska, potem stopa – ewidentnie stopa staruszka. Potem nogawka spodni w pepitkę. A potem cała reszta drobnego, sędziwego, dziarskiego... Harry'ego Penna.

Wiele lat wcześniej Harry Penn zawstydził się i zażenował niemal na śmierć, dosłownie skręcał się w mękach przy suto zastawionym stole Isaaca Penna, gdy jego starannie ukryte fotografie roznegliżowanych niewiast o bujnych kształtach spadały przez dziurę w suficie niczym zaległa poczta. Choć od tamtego zdarzenia minęło niemal sto lat, wciąż jeszcze bladł, gdy przypominał sobie, jak pocztówki opadały na półmiski, a kilka z nich ojciec zdołał nawet chwycić w locie. Gdyby istniał ktoś taki jak archeolog duszy, mógłby zrekonstruować cały

przebieg ludzkiego życia na podstawie wstydu i miłości – dwu wiecznotrwałych kolumn, które wrastają w czas, niepodległe przemijaniu. Dla Harry’ego Penna wspomnienie tamtej chwili wciąż było zapiekłe bolesne, choć później zdarzały się przecież momenty nie mniej nieprzyjemne – co prawda w miarę upływu lat i przyrostu doświadczenia coraz rzadsze. I oto teraz dołączył do nich kolejny: nadarzył się zniecacka, kiedy Harry najmniej się tego spodziewał. Gdy tuż po ósmej rano wyszedł z muzeum, ujrzał przed sobą, między dwiema limuzynami, Praegera de Pinto, Hardesty’ego Marrattę i Virginię Gamely (wciąż znaną pod panięmskim nazwiskiem). Wprowadził ich w błąd, okłamał ich, wykluczył z uczestnictwa w ważnych rzeczach. Ledwie ważąc się spojrzeć na ich twarze, tak dobrze mu znajome, uciekł do auta jak przetrącony pies. Nie był przyzwyczajony do takiego uczucia.

Jackson Mead spojrział w ich stronę z całą niebłahą mocą swych intensywnie stalowoniebieskich oczu. Wydawało się, że mierzy osiem stóp wzrostu (faktycznie mierzył niespełna tyle) i niemal jaśniej – jak gdyby nie był zwyczajnym śmiertelnikiem, a wszystko wokół niego było nieskalanie czyste. Mocno kontrastował z nim śmiertelnie ponury Mootfowl, podobny trochę do dziewiętnastowiecznego misjonarza, który za wszelką cenę stara się nie zwracać uwagi na rozkosze mórz południowych. Był dostojny i podobny do Abrahama Lincolna, a zarazem trudno było powstrzymać się od myśli, że ktokolwiek go dotknie, na zawsze pozostanie naznaczony piętnem nadprzyrodzoności. Białą poświatę Meada i czarną smugę Mootfowla uzupełniała grubiotka kuleczka – Cecil Mature. O ile Jackson Mead wydawał się pełen gniewu, a Mootfowl zdumienia i mądrości, o tyle Cecil Mature (lub pan Cecil Wooley, jak kazał się nazywać) promieniał szczerą serdecznością. Virginia miała ochotę ucałować jego wielką, uśmiechniętą twarz, a Hardesty’ a i Praegera kusiło, by objąć go ramieniem i odwzajemnić mu uśmiech, jak do fotografii.

Wszyscy trzej stanowili grupę tak dziwną, że Praeger, na co dzień idealnie panujący nad sobą, rozpostarł ramiona, kierując dłonie ku górze, i zawołał ze zdumieniem:

– Kim wy jesteście? I skąd przybywacie?

Jackson Mead najwyraźniej uznał, że to rozsądne pytanie, bo odpowiedział:

– Z St. Louis i dalej, i jeszcze z innych miejsc.

Potem wyszedł burmistrz, limuzyny uruchomiły silniki i odjechały, pozostawiając odpowiedź Jacksona Meada zawieszoną w powietrzu niczym obłok spalin: „Z St. Louis i dalej, i jeszcze z innych miejsc”. Nie było go tam już, lecz oni wciąż słyszeli jego słowa.

– Kto tam? – wrzasnęła Boonya zza ciężkich drzwi.

– Praeger de Pinto.

– Kto tam?

– Praeger de Pinto.

– Kto? Jaki Praeger?

– Praeger! De! Pinto!

– Nie.

– Jak to: nie?

– Dziękuję, nie chcemy.

– Czego nie chcecie?

– Niczego.

– To ja, Praeger de Pinto!

– Kto?

– Otwórz drzwi, Boonya. Dobrze wiesz, kim jestem.

– Za minutkę. Proszę ochłonać. – Po pięciu minutach otworzyła drzwi. – Czym mogę

służyć?

– Chciałbym się zobaczyć z panem Pennem.

– Nie ma go.

– Owszem, jest.

– Wcale nie.

– Owszem, jest.

– Wcale nie.

– Wiem, że jest.

– No dobra, jest, ale się kąpie. Nie zobaczy go pan.

– Dlaczego? Czyżby w wodzie stawał się niewidzialny?

– Że co?

– Niby czemu miałbym go nie zobaczyć? Cześć, Christiana! – powiedział do Christiany, schodzącej po schodach z tacą pełną ciasteczek z cukrem i kuleczkami galaretki. – Jestem mężczyzną i on jest mężczyzną.

– Pan Penn nie przyjmuje nikogo w kąpieli. To byłby skandal.

– Świetnie, zatem wywołam skandal – stwierdził Praeger, ruszając w stronę schodów.

Harry Penn siedział pod nagrzanym przez słońce strumieniem wody, oblewającym mu ramiona i spadającym do wyłożonej płytkami wanny, mierzącej dziesięć na dziesięć stóp szerokości i osiem stóp głębokości. Trudno byłoby przekrzyczeć szum wody, przykręcił więc zroszony kropelkami mosiężny kran i gestem zaprosił Praegera do środka. Gdy usłyszał pukanie, nie był pewien, czy to Praeger, ale domyślił się: gdy ktoś jest rozzłoszczony, łomocze do drzwi jak głodny dziecko.

– Spodziewałem się, że przyjdiesz – powiedział. – Chyba właśnie dlatego ukryłem się w kąpieli.

– Całkiem możliwe – rzekł Praeger, spokojnie na widok kruchego, nagiego ciała, którego nigdy nie widział inaczej niż w tweedowych garniturach. Gdy zobaczył, jak drobny i chudy staje się człowiek dobiegający setki, doznał szoku i uświadomił sobie, że bez względu na wszystko powinien zachować respekt.

– Usiądź, Praeger – polecił Harry Penn, wskazując nakrytą ręcznikiem cedrową ławeczkę. – Zamierzałem powiedzieć ci o wszystkim w stosownym momencie. Wciąż niewiele mogę ci zdradzić, ale wytłumaczę się najlepiej, jak umiem. Jestem ci to winien.

Kiedy dożyjesz mojego wieku – ciągnął – dawno już zdążysz zapomnieć o ambicji; przynajmniej tej, która dotyczy ciebie samego. Przyznaję, są bestie, które potrafią wierzczać jeszcze w trumnie, ale gdy przyjrzy się przeciętnemu stulatkowi, przekonasz się, że jest to człowiek wyciszony, zainteresowany głównie wspomnieniami, dziećmi i wnukami, drobnymi przyjemnościami i urokami życia oraz rzeczami zupełnie abstrakcyjnymi, takimi jak dobro ogółu, uprzejmość czy odwaga, które z perspektywy stulatka stają się równie widzialne i rzeczywiste jak wszystko inne.

Nim skończyłem dwadzieścia lat, wiedziałem już, że moje życie będzie podlegało nieustannym, niekończącym się rewizjom: niejeden raz będzie mi się zdawało, że już wszystko wiem, a potem okaże się, że nic nie wiedziałem i ciągle nie wiem. Lecz światło świeci coraz mocniej, a ty wzbijasz się coraz wyżej, aż wreszcie, u schyłku życia, historia twojego życia jawi się tak, jakby opowiedział ci ją anioł unoszący się na chmurze.

Jesteś jeszcze młody, trudno więc byłoby ci zrozumieć, jak mocno i czule kocham ludzi młodych oraz ich pasję. Myślę, że uczymy się tego, a przynajmniej zaczynamy się uczyć, wychowując dzieci. To jedno z największych zaskoczeń, jakie niesie życie: gdy spoglądasz za

siebie i widzisz tych, co idą za tobą i toczą boje, które sam masz już prawie zupełnie za sobą. W normalnych okolicznościach prędeż poświęciłbym się dla takiego młodzieńca jak ty, niż rzucał mu kłody pod nogi. Nigdy ci niczego nie utrudniałem, prawda?

Praeger odpowiedział twierdzącym skinieniem głowy.

– Teraz zrobiłem to z pełnym rozmysłem. Lecz skoro wszystko robię dla waszego dobra, dlaczego nagle zacząłem was zwodzić, ukrywać coś przed wami? Czemu koń, który paś się spokojnie na pastwisku, nagle dołączył do lisów? Powiem ci. – Zaśmiał się. – Nie mogę ci powiedzieć!

Praeger zaczął przechadzać się tam i z powrotem po śliskim skraju basenu.

– W czerwcu przez kilka tygodni w swoich wstępniakach oskarżałem burmistrza, że coś przed nami ukrywa – powiedział. – W imieniu „The Sun” wzywałem go, by to ujawnił. A pan przez cały ten czas...

– O niczym nie wiedziałem. Dziś spotkałem Meada po raz pierwszy w życiu.

Praeger zastygł bez ruchu jak ogar, który zwietrzył zwierzynę.

– Meada? Który to, ten wielki?

– Tak. Powinienem był ci powiedzieć. Ale to nie ma wielkiego znaczenia. Nazywa się Jackson Mead. Pastor nazywa się Mootfowl.

– Mootfowl!

– Tak, Mootfowl. Ten grubasek to Cecil Wooley. Ale ich nazwiska na nic ci się przydadzą.

– Przewertuję wszystkie możliwe archiwa.

– Nie znajdziesz ich w archiwach.

– Ktoś, kto podróżuje statkiem długim na milę, musiał zostać gdzieś przez kogoś opisany.

– Nie musiał – odparł Harry Penn i umilkł na chwilę, żeby zakręcić kran. Nastąpiła chwila ciszy. – Są ludzie, którzy przemierzają połacie dziejów, nie zostawiając po sobie śladu, choćby nawet dzięki nim zmieniał się świat. Jackson Mead już tu był, nawet kilka razy, ale nie znajdziesz na ten temat nawet najmniejszej wzmianki. On wszystko organizuje tak, by zniknął wszelki ślad jego pobytu.

– Czy teraz też zamierza to zrobić?

– Obawiam się, że tak.

– Czyli „The Sun” nie napisze o nim?

– Tak.

– Czyli jeżeli nawet zbiorę dość materiału, by o nim napisać, żaden artykuł nie powstanie?

– Tak.

– Nie pozostaje mi nic innego, jak ustąpić ze stanowiska. Nie chcę tego robić, ale zmusza mnie pan.

– Wiem – stwierdził Harry z niemal radosnym wyrazem twarzy.

– A sądziłem, że dobrze pana znam.

– Nie, nie znałeś mnie – odparł Harry. – Tak naprawdę nie zna mnie nikt. Ale nie zrażaj się. Nie chcę, byś odchodził. Może spotkałbyś się z Jacksonem Meadem osobiście?

– Tylko nich mi pan nie mówi, że w tym celu będę musiał sobie odrąbać prawą rękę. Bo zrobię to.

– Zobaczę, co się da zrobić, ale nie wiem, czy coś z tej rozmowy wyniesiesz, czy Mead cię nie pokona. To bardzo charyzmatyczna postać.

– Panie Penn, zanim poznałem Jessicę, byłem zaręczony z pewną młodą kobietą. Jej

rodzice domagali się, byśmy przed ślubem porozmawiali z jezuitą. Chcieli mnie nawrócić, umyślili sobie więc, że wytoczą przeciwko mnie najcięższe działa. Zaręczyny zostały wprawdzie później zerwane, ale z innych powodów. Z jezuitą udało nam się spotkać. Prowadziliśmy długie rozmowy i dyskusje. Potem został rabinem.

– Sądzisz, że uda ci się zrobić z Jacksona Meada rabina!

– Sądzę, że dałbym radę.

– Weź ze sobą Hardesty'ego i Virginie.

– Po co?

– Będzie z nim Mootfowl i pan Wooley. Nie chcesz chyba, żeby mieli przewagę liczebną?

Przywitano ich zaraz za małymi drzwiami w cokole. Otworzyły się na chwilę i zaraz zamknęły, po czym zaczął im ścisnąć dłonie wesolutki Cecil Mature; przedstawił się jako pan Cecil Wooley, a śmiech bulgotał mu w gardle jak woda spływająca przez zatkane rury. Miał na sobie średniowieczną chłopięcą tunikę i chiński kapelusz. To cud, że w ogóle coś widział – wydawało się, że wygląda przez swoje oczy jak wartownik przez otwory strzelnicze. Był jak zawsze dobrodusznie nastawiony do świata i toczył swoje tłuste ciało z zaskakującą szybkością.

Była godzina czwarta trzydzieści rano, w muzeum nie było jeszcze nawet strażników. Idąc przez zapierające dech sale i długie korytarze, Praeger, Hardesty i Virginia w pewnym momencie usłyszeli muzykę – rozbrzmiewała coraz głośniej i głośniej, aż wypełniła bez reszty muzealne hale i przyspieszyła im bicie serca. Gdy dotarli na balkon, pod którym znajdowało się pogrążone w półmroku atrium, uderzyła ich z pełną siłą: właśnie tam, na dole, siedziała i grała niewielka orkiestra.

Potem znaleźli się w nowym głównym holu, pod szarym niebem i kopułą z białego, matowego szkła, które wytwarzało atmosferę wiecznego marcowego popołudnia. Jackson Mead pracował przy długim biurku pośrodku sali – oddalonym, zdawałoby się, o pół mili – otoczony kilkoma obrazami na trójnożnych sztalugach. Mootfowl, również przystrojony w chiński kapelusz, modlił się na klęczkach przed dużym płótnem przedstawiającym wniebowzięcie świętego Szczepana. Święty unosił się, ciągnąc za sobą bezwładne nogi i zwisające w dół stopy, trochę jak człowiek niesiony przez wodę, a trochę jak niemowlak uniesiony przez ojca nad głowę. Jego odzienie ukształtowane było jakby na wzór powietrza. Oblewany spływającym z góry blaskiem, spoglądał gdzieś ponad górny skraj malowidła; w tle trzepotały w powietrzu stadka złotych ptaków. Dalekie góry w kolorze fioleto i bieli wyglądały trochę jak stojące dęba, przerażone konie. Rzeki wyskakiwały z brzegów i wskakiwały w nie z powrotem, w suchych zakolach ich koryt zaś trzepotały się ryby, daremnie walczące o oddech. Pod świętym Szczepanem widniał krąg złotego światła. Zręcznie odmalowane źdźbła trawy niewielkiego stepu, z którego wedle legendy został wzięty do nieba, zapalały się tam, gdzie dotknęły świetlistego pierścienia.

Po chwili Mootfowl skończył się modlić, wstał i nakrył obrusem leżące na biurku papiery. Cecil Mature wskazał gościom krzesła, usiedli więc naprzeciw Jacksona Meada, Cecil zaś zaczął przechadzać się tam i z powrotem, co jakiś czas śmiejąc się do siebie, licząc coś na palcach i mrużąc:

– A niech mnie. A niech mnie.

Muzyka ucichła. Praeger chciał się odezwać, ale Jackson Mead podniósł rękę na znak, że utwór jeszcze się nie skończył.

– Przepadam za ostatnią częścią – powiedział. – Wiecie, co to jest?

– Allegro z trzeciego Koncertu brandenburskiego – odparł Hardesty.

– Tak – potwierdził Mead. – Trzeci koncert to jedyny, w którym nie ma instrumentów dętych. W innych koncertach zawsze mi przeszkadzają, wprowadzają zbyt duży zamęt. Kojarzą mi się z tłumem mnichów biegnących korytarzem i puszczających wiatry. Tyle lat w tych wszystkich klasztorach, przez całe wieki ciemne... straszne! Słuchajcie teraz! – nakazał. – Ten fragment brzmi jak porządna maszyna, jak idealnie zrównoważony wahacz, jak dobrze naoliwiony, precyzyjny mechanizm. Zwróćcie uwagę na te progresje, na te hipnotyczne repetycje. To głębokie rytmy, oparte na tych samych interwałach, które stanowią nieredukowalną podstawę planetarnych i galaktycznych stosunków prędkości i odległości, drgań drobnych cząstek, bicia serca, fal, łagodnych krzywizn i dobrych silników. Nie można ich też nie zauważyć w proporcjach dobrego malarstwa i nie usłyszeć w języku serca. To dzięki nim urzekają nas zegary naszych dziadków, fale przyboju i dobrze rozplanowane ogrody. Wierzcie mi państwo, gdy człowiek umiera, słyszy owo natarczywe dudnienie, definiujące wszystko co istnieje, materię pospołu z energią, albowiem we wszechświecie nie ma nic, naprawdę nic, prócz proporcji. Brzmi ono trochę jak pewien silnik, który wprowadzono do użytku na początku stulecia, montowano go między innymi w pompach i łodziach. Byłem pewien, że ludzie zorientują się, co to jest, ale przeliczyłem się. Wielka szkoda! Tak czy inaczej pozostaje nam muzyka, właśnie taka jak ta, na swój sposób docierająca niemal do sedna, jak gdyby kompozytor naprawdę tam był, a potem wrócił.

Gdy muzyka ucichła, zwrócił się do Cecila Mature'a:

– Panie Wooley, proszę powiedzieć muzykom, że nie będą mi potrzebni do piątej trzydzieści. Dziękuję.

Cecil Mature wytoczył się z sali, wymachując kielbaskowatymi nogami i rękami. Mootfowl zasiadł obok Jacksona Meada, tocząc wściekłym wzrokiem osiemnastowiecznego grabarza z Connecticut.

– Wielebny doktor Mootfowl i ja z przyjemnością odpowiemy na państwa pytania, aczkolwiek nie na wszystkie. Dbamy o naszą prywatność. Gdyby wszystko było jednością, prywatność by nie istniała. Ponieważ jednak pozostajemy w stanie wielości, istnieją pewne różnice, pewne niuanse, prywatność jest konieczna – przynajmniej jako dopełnienie i świadectwo fizyki.

– Jesteśmy wdzięczni, że zechciał się pan z nami zobaczyć – rzekł Praeger. – Nie mamy zamiaru naruszać waszej prywatności. Nie przyszliśmy tu jednak po to, by rozmawiać o jednolitej teorii pola ani o estetyce architektury.

Hardesty wydawał się odrobinę urażony. Jackson Mead zauważył to i wyobraził sobie ścieżkę między Hardestym i Praegerem – zamierzał przespacerować się nią i spodziewał się, że przyjdzie mu to z łatwością.

– Nasza gazeta oczywiście nie poda pańskich odpowiedzi do publicznej wiadomości, lecz zwyczaj każe nam wypytać pana jak na reporterów przystało. Uważamy, że upoważniają nas do tego pańskie prywatne kontakty z urzędnikami miejskimi, zainteresowanie opinii publicznej pańskim przybyciem, a także niespotykane rozmiary pańskiego statku.

– To brzmi sensownie – stwierdził Jackson Mead.

– Rad jestem, że się pan zgadza. A zatem: kim jesteście, skąd przybywacie, co planujecie zrobić, dlaczego trzymacie swoje poczynania w tajemnicy, co przewozi wasz statek, gdzie i jak został zbudowany oraz kiedy zamierzacie rozpocząć wasze poczynania? Musimy to wszystko wiedzieć, by móc zaspokoić ciekawość czytelników oraz naszą własną.

– To dość aroganckie postawienie sprawy – stwierdził Jackson Mead.

– Dlaczego? – odparł niestropiony Praeger.

– Czemu musicie wtrącać się w moje sprawy?
– Wyjaśniłem panu, a pan stwierdził, że to brzmi rozsądnie.
– Rozsądnie brzmi dla mnie uzasadnienie pańskiej ciekawości, panie de Pinto, a nie przekonanie, jakobym był zobowiązany ją zaspokoić. Siedzi pan przede mną i zasypuje mnie bezczelnymi pytaniami.

– Ludzie kupują „The Sun”, żeby dowiedzieć się o rzeczach, o których normalnie by się nie dowiedzieli. Sami nie wtrąciliby się w pańskie sprawy, nie zadawaliby panu bezczelnych pytań, dlatego muszę to robić ja.

– Rozumiem – odparł Jackson Mead. – Lecz niezależnie od tego, że, jak pan zapewnił, rezultat tego wywiadu nie ukaże się w „The Sun”, proszę mi wyjaśnić, przez wzgląd na samą dyskusję, dlaczego właściwie ludzie muszą znać moje plany. Uzasadnia pan własne prawo do zadawania pytań, powołując się na takie samo prawo przysługujące im. Ale co to za prawo? Czy mimo niewątpliwej różnicy liczebności jest ono choć trochę bardziej zasadne niż pańskie, którego wydaje się pan zaprzysięgle bronić? Cóż im daje to prawo?

– Ono im się należy, panie Mead. Ludzie nie zawsze widzą wszystko, za co zresztą nie należy ich winić, ponieważ każdy ma własne życie, którym musi się zajmować. Zdarza się, że statki przepływają nocą po Hudsonie i nie zauważa ich nikt, dosłownie nikt. Ja jestem stróżem, dbam o to, by ludzie wiedzieli, co jest na horyzoncie, jakie statki o brzasku płyną ku ujściu rzeki lub, jak w pańskim przypadku, o zmierzchu w nią wpływają.

– Panie de Pinto, pies, który broni owiec, szybko uczy się nimi kierować, szybko wchodzi mu to w nawyk. Ludzie dali się wytresować swemu stróżowi, gotowi są skakać i zdeptać to, co im każe. Bywałem w wielu miastach, a także w miejscach, które jeszcze nie były miastami, i często przekonywałem się, że ci, co strzegą ludzi, także nimi rządzą. Rząd jednak przyznaje, że jest rządem, a prasa udaje, że nim nie jest. Lecz cóż to za pozory! Dyrygujecie całymi społeczeństwami. Pozwalają wam się rozstawiać się po kątach, jak dzieci. Przecież to nie przypadek, że reklamodawcy wykorzystują wasze łamy do wpływania na ludzi. Czy myśli pan, że wasze redakcyjne komentarze, wasz dobór tematów i rozłożenie akcentów, wasza krytyka, a nawet dobór cytatów nie działają podobnie? A kto was wybrał? Nikt. Sami się mianowaliście, nie przemawiacie w niczym imieniu, nie macie więc prawa mnie wypytywać, powołując się na dobro ogółu. Gdy będę gotów odsłonić przed społeczeństwem moje zamiary, zrobię to. Do tego czasu będę kontynuował moje przygotowania, by móc przetrwać społeczny sprzeciw.

– Przewiduje pan, że ludzie zwrócą się przeciwko panu? – wtrąciła się Virginia.

– Zawsze są przeciwko mnie. I powinni być.

– Dlaczego? – spytała ze zdziwieniem. – Skoro uważa pan, że mają prawo się panu sprzeciwić, czemu nie powstrzyma się pan od realizacji swoich planów? Czy tak nie byłoby najprościej?

– Oczywiście, że byłoby, gdybym pragnął być kochany. Rzuciłbym wszystko i uciekł. Lecz moim celem nie jest być kochanym.

– Co w takim razie jest pańskim celem? – spytał Hardesty.

Mead miał wrażenie, że dostrzega w twarzy Hardesty’ego przede wszystkim chęć zrozumienia, dlatego zwrócił się właśnie do niego.

– Moim celem – rzekł niespodziewanie miękim i dobrotliwym tonem – jest spinać świat coraz szerszymi tęczami, aż ostatnia z nich będzie tak doskonała i wiecznotrwała, że przykuje wzrok Tego, który nas opuścił, skłoni Go do przywrócenia wszystkich zakłóconych symetrii i sprawi, że życie na powrót stanie się spokojnym, beczasowym snem. Moim celem, panie

Marratta, jest zatrzymać czas i przywrócić zmarłych do życia. Mówiąc najkrócej, moim celem jest sprawiedliwość.

Hardesty zamrugał. Ten osobliwy człowiek, opowiadający o maszynach, czasie i wiecznych tęczach, rzucił mu tę samą kartę, którą on odłożył, gdy postanowił zostać w Nowym Jorku.

– Kiedy? – zapytał i był szczerze poruszony, gdy Jackson Mead spojrział na niego z półuśmiechem i rzekł:

– Cierpliwości.

Choć Mead miał niewątpliwie magiczny wpływ na Hardesty'ego, Praeger naciskał po swojemu, uparcie nie dawał się zwieść syreniemu śpiewowi, którego zresztą i tak nie słyszał.

– Z całym szacunkiem, panie Mead – powiedział – nie mam najbledszego pojęcia, o czym pan mówi. Gdybyśmy w naszej gazecie zacytowali bez skrótów i w odpowiednim kontekście to, co pan przed chwilą powiedział, szpitale psychiatryczne zaczęłyby przebierać nogami, żeby tylko móc pana przyjąć.

– Myślicie, że pan Mead o tym nie wie? – prychnął Cecil Mature, który właśnie wrócił do sali.

– Dziękuję, panie Wooley – warknął Jackson Mead. – Potrafię mówić za siebie.

– Co więcej – ciągnął Praeger – jeśli pracuje pan nad tym już od pewnego czasu, jeśli rzeczywiście spina pan świat tęczami i dąży do innych nadzwyczajnych celów, to najwyraźniej kiepsko panu idzie. Niech pan sobie robi, co chce. Lecz jeśli pańskie działania mają niszczące skutki, ludzie powinni o tym wiedzieć, by w razie czego mogli pana powstrzymać.

– Widzi pan ten obraz? – Jackson Mead wskazał na Wniebowzięcie św. Szczepana.

– Tak, oczywiście – odparł Praeger.

– Czy wierzy pan, że święty Szczepan naprawdę wstąpił do nieba?

– Nie.

– Czemu więc artysta to namalował, czemu ludzie czczą świętego Szczepana i jego wniebowzięcie, skoro nigdy w to nie wierzyli i nie wierzą? Jeżeli nie wstąpił do nieba, to kim właściwie był, do diabła?

– Ludzie sądzą, że wstąpił do nieba – stwierdził Praeger. – Dlatego czczą ten obraz i samego Szczepana, aczkolwiek są w błędzie.

– Nie – powiedział z naciskiem Mead. – Oni wcale tak nie myślą. Może niektórzy, ci, co wierzą w czary i amulety. Malarz, ja oraz większość ludzi, którzy oddają cześć świętemu Szczepanowi, nie uważamy, że on naprawdę wstąpił do nieba wciągnięty na niewidzialnych sznurkach przez teatralną maszynę. – Te słowa dodały Praegerowi otuchy, lecz następne szybko mu ją odebrały. – Bynajmniej. Wręcz przeciwnie, oni sądzą, że święty Szczepan *wstępuje* do nieba, że robi to stale, także w tej chwili. Akt jego wniebowzięcia jeszcze się nie wypełnił. Nawet na tym obrazie widać, że wciąż jeszcze trwa. A raczej postępuje. Dyskusja o jego realności jest bezcelowa, ponieważ nie da się jej rozstrzygnąć, dopóki nie będziemy zdolni ujrzyć wszystkiego naraz.

– Proszę wybaczyć... – odezwał się Praeger z lekkim oburzeniem w głosie.

– Chodzi mi o to, że póki płótno jest nieruchome, rzeczywistość nie znaczy więcej niż intencje, a intencje znaczą tyle samo, co rzeczywistość. Zrozumcie, wszystko wydarzyło się już przedtem, a zarazem jeszcze nie wydarzyło się wcale. Ma pan słusność, kiepsko mi idzie, poniosłem doprawdy sromotną klęskę, lecz zarazem odniosłem zwycięstwo, wspaniałe zwycięstwo. W tym, co nazywacie przyszłością, zamierzam wskrzesić chwałę tego zwycięstwa, tak jak święty Szczepan wiedział, że zostanie kiedyś wniebowzięty, i wzbijał się, choć zarazem

tkwił w miejscu. Problemem jest czas, rozumiecie? Nie ma czegoś takiego jak czas, jedynie jego pozór, ciąg działań, które w swej niedoskonałości musimy łączyć, by móc je zrozumieć. Niech pan spojrzy na ten obraz. Dostrzega pan w nim ruch, prawda? A przecież jest nieruchomy. Jak to możliwe? Wyjaśnię panu. Ten obraz wiernie oddaje prawdziwy stan rzeczy. Podobnie jak film, życie i czas składają się z serii nieruchomych ujęć. One wszystkie są uwięzione w swojej matrycy w niesłychanie skomplikowany sposób, jak gdyby nieskończona liczba miniaturzystów po wieczność zajmowała się odmalowywaniem każdego obrazka z osobna. Zapewniam pana jednak, nie ma w tym żadnej anarchii, wszystko działo się czy dzieje jednocześnie i jest nieruchome.

– A jednak się porusza! – rzekł Praeger.

– Nie, jeśli spojrzy pan z wystarczającej oddali.

– Skąd pan może to wiedzieć? Był pan tam? I jeszcze jedno: powiedział pan, że gdy ktoś umiera, słyszy dudnienie, podobne do dźwięku silnika, który zbudowano na początku wieku. Skąd pan o tym wie?

– Och – powiedział skromnie Jackson Mead. – Umierałem już wiele razy. Zaraz... – zaczął liczyć na palcach – co najmniej sześć. Może więcej. Trudno za tym nadążyć. Po pewnym czasie nie pamięta się już dokładnie.

– Rozumiem... – powiedział Praeger z oczyma wielkimi jak spodki.

– Gdyby zmarli usłyszeli pańskie twierdzenia, zaczęliby przewracać się w grobach – wtrącił Hardesty. – Dyskusja na ich temat jest bezcelowa. Ostatecznie każdy musi je rozważyć w swoim sercu.

– Niekoniecznie – upierał się Praeger. – Najlepszym narzędziem do oceniania takich obłąkańczych spekulacji jest inteligencja.

– Ależ myli się pan, panie de Pinto – stwierdził Jackson Mead. – Duch jest znacznie inteligentniejszy od intelektu. Ponieważ jednak często działa mniej ostrożnie, jest znacznie wolniejszy niż intelekt w docieraniu do prawdy. Dlatego właśnie potrzebuję czasu. I dlatego nie zdradzę wam moich zamiarów.

– Doskonale – odparł Praeger. – Poznamy je mimo wszystko. Pokonam pana od strony praktycznej.

– A jak zamierza pan to zrobić, skoro nie może pan wykorzystać swojej gazety? Nie brzmi to dla mnie zbyt praktycznie. A dla pana?

– W przeciwieństwie do pana, panie Mead, mam na myśli coś bardzo konkretnego, co zmiecie pajęczyny, które pan rozwiesza, jak gdybym miał w ręku żelazo.

– To ciekawe, co pan mówi – stwierdził Jackson Mead. – Mam na myśli pajęczyny. – Nagle wydał się wielce ubawiony, jak gdyby już widział narzędzie swego zwycięstwa, o którym nie śniło się Praegerowi. – Proszę zaczekać, panie de Pinto, aż naprawdę zobaczy pan moje pajęczyny, proszę tylko zaczekać. – Powstał z miejsca, wyprostował się i nachylił się na biurkiem, by móc lepiej przyjrzeć się swoim indagatorom. – Żelazo się do nich nie umywa.

Na tym zakończył się wywiad.

IV

ZŁOTY WIEK

BARDZO KRÓTKA HISTORIA CHMUR

Dawno temu, jeszcze przed nastaniem pierwszego milenium, kiedy na wyspie i w zatokach, nad którymi powstać miało miasto, nie było żadnych ludzi, znad morza nadciągnęła ściana chmur i próbowała unieść łąki, lasy i pagórki. Przyczyną tego przedwczesnego poruszenia była wyjątkowo piękna jesień; liście były tak idealnie złote i czerwone, a światło odbijające się od tafli wody i purpurowego podbrzusza burzowych chmur tak przejrzyste, że biała ściana całkiem bezwstydnie przesunęła się, żeby zawładnąć jesienną czystością. Nie była to jednak odpowiednia pora, same prawa fizyki by do tego nie wystarczyły, a ponieważ nie chodziło tu tylko o piękno, łąki, lasy i pagórki pozostały na swoim miejscu.

Ściana chmur nie popełniała już dziecięcych błędów i wiedziała, że sprawiedliwość potrzebna do rozpoczęcia nowej epoki musi mieć źródło w ludzkim sercu, pewnego sierpnia więc wpadła do zatoki wypełnionej masztami i żaglami. Na ulicach i nabrzeżach spełniano szlachetne uczynki i czyniono zadość sprawiedliwości. Maszyny były jednak za młode i nie zajęły jeszcze swoich miejsc. Nadal tkwiły w suchych dokach, a ich brutalne, kute żelazo nie mogło rozplatać nieba.

Pewnego zimowego poranka, w erze jazzu, kiedy para i stal miały szansę spełnić obietnice żelaza o władzy, ściana nadciągnęła jak wściekły lew. W porcie sypał wtedy śnieg, a mgła unosiła się w oczekiwaniu na doskonałe obłoki i chmury. Okoliczności jednak były cokolwiek niepewne, wiele elementów nie było na swoich miejscach, więc miasto pozostało mocno ukorzenione, jakby nigdy nie miało wzejść.

Dopiero z początkiem trzeciego tysiąclecia, kiedy powróciły ciężkie zimy, jak gdyby nastąpiła epoka lodowcowa zamrażająca myśliwych w czasie polowania, ściana rozstąpiła się i uniosła, a zatoki i rzeki zaczęły lśnić jak złoto. Było to arcydzieło precyzji. Chór maszyn został nastrojony tak, by mógł nawoływać się poprzez wieki. Sprawiedliwość objawiała się uderzająco niepozornymi środkami, ale ściśle wiernymi zasadom, które tworzą ten świat. Na początku trzeciego milenium, podczas nieustępliwych zim, sprawiedliwy człowiek wreszcie się pojawił.

BATTERY BRIDGE

Czy to dlatego, że był szalony, prawdziwy albo pełen uroku, Peter Lake sądził, że jeżeli tylko mocno nadstawi ucha, usłyszy od swoich maszyn, że przyszłość nadchodzi. Świdrując je wzrokiem, stał przed nimi nieruchomo jak alpinista, który wspiął się na wspaniałą szczyt, i skupiał całą uwagę na ich przemówieniach. Ich gwizdy, wrzaski i śpiewy, jak szum mgławicy, kusiły go, by zanurzył się w gęstą dżunglę dźwięku i światła ponad wymiarami. Czerwone jak rubinowe oczy jaguarów, bez samych jaguarów, lśniły w ciemności, krążąc po symetrycznych orbitach. Na nieskończonych, pogrążonych w ciemności łąkach postaci z mglistego światła potrzasały grzywami, wiecznie kołysząc się niemal bez ruchu i muskając gwiazdy jak wiatr, który pochyla polne kwiaty.

Odrywał się na sekundę czy dwie od codzienności, kontemplując obracające się koło zamachowe albo słuchając symetrycznego cykania wychwyty. Kiedy miał naprawić maszynę, z którą tylko on umiał sobie poradzić, ktoś musiał cały czas przy nim być, bo zanim zdołałby się powstrzymać, popadłby w nieruchomy trans pod wpływem trzasków skrzyni przekładniowej. Zastygał wtedy jak posąg, jak gdyby sam był częścią odpornej maszynierii, którą od czasu do czasu należało kopnąć. W towarzystwie innego mechanika na początku mówił elokwentnie i wydawało się, że całkowicie nad sobą panuje.

– Podaj mi klucz zapadkowy numer sześć – mógł powiedzieć do pomocnika. Ten zniknął w roju maszyn, podążając ku przypominającym lotnisko szeregom czerwonych skrzynek z narzędziami, stojącym w długich przejściach pomiędzy maszynami, po czym wracał i zastawał swojego mentora w bezruchu, wpatzonego w trzewia otwartej maszyny.

Główni mechanicy byli ekscentryczni i dziwaczeni jak księża z kościołów episkopalnych i przez wieki nauczyli się swobodnie pracować w obecności innych, szanując dzielące ich różnice i akceptując rozmaite osobliwości. Nawet jednak wśród nich Peter Lake pozostał odmieńcem, choć w przeblaskach przytomności starał się nawiązywać przyjaźnie i być taki jak inni. Próby te wychodziły dość niezgrabnie, ponieważ Peter nie był w stanie ukryć, że jest wybrany, tak jak nosorożec nie mógłby uchodzić za krowę ze zrogowaciałą skórą. Często pod koniec dnia jego współpracownicy spotykali się przy prowizorycznym stole, na którym stawiali dzban piwa. Żeby pokazać, że jest dobrym kolegą, Peter Lake dosiadał się do nich, udając, że jest rozluźniony i radosny.

– Wiecie – zaczynał czasem, z nadzwyczaj wyraźnym irlandzkim akcentem – to miejsce jest naprawdę dziwne. Przez ostatnie dwa dni pracowałem nad głównym pasem regulatora i... i... i... – I zastygał wtedy w bezruchu na wspomnienie stukotu owego paska, który nadawał rytm wszystkim urządzeniom w środkowej symetrii. Pozostali mechanicy spoglądali na siebie i prychnęli śmiechem, ponieważ tego właśnie się spodziewali, i wybudzali Petera Lake'a z odrętwienia dopiero wówczas, gdy zaczęli zbierać się do domów.

Na początku mówili do niego „on”, jeśli nie znajdował się przy nich, bo Peter Lake, w nadziei, że odkryje swoją prawdziwą tożsamość, nie chciał, żeby określać go jakimkolwiek imieniem. Jego czeki wystawiano na „Okaziciela”, bo właśnie tak funkcjonował na liście płac „The Sun”: „Główny mechanik, pan Okaziciel”. Otaczała go tajemnica, którą inni mechanicy chętnie by zgłębili, zwłaszcza że jego niesamowita wiedza na temat maszyn wciąż napawała ich grozą. Chcieli wiedzieć na przykład, co porabia w wolne dni. Przypuszczali, że skoro w pracy zachowuje się tak dziwnie, w wolnym czasie robi coś, co przyćmiewa Opowieści tysiąca i jednej nocy. Wysłali więc jednego z długowłosych nastoletnich czeladników, by wysłedził go

w czeluściach miasta.

– Robił wiele dziwnych rzeczy – opowiadał chłopak po powrocie, dwa dni później.

– Na przykład jakich? – dopytywali.

– A bo ja wiem... miał różne odloty. Trudno to wyjaśnić.

– Konkrety – domagali się, ostrząc sobie zęby na smakowite plotki.

– Czyli co? – spytał czeladnik.

– Po prostu powiedz nam, co robił! – wrzasnęli na niego.

– Wpatrywał się w mnóstwo rzeczy.

– Wpatrywał się? To się robi tylko w książkach.

– Ale on z całą pewnością wpatrywał się w mnóstwo rzeczy.

– Kto, ja? – zapytał starszy mechanik.

– Nie, on.

– No tak.

– Wpatrywał się w mury, kamienie i bramy. Przejeżdżał dłońmi po ścianach budynków i gapił się na dachy. Rozmawiał ze słupkami w parkanach i schodami pożarowymi.

– I co mówił?

– Nie wiem. Nie mogłem podejść tak blisko. Poszedł do dzielnicy Five Points. Omal go nie zgubiłem, bo musiałem kupić sobie gumę winogronową, żeby przyciemnić zęby. On może tam wejść, bo znowu wygląda dziwnie. Ja musiałem zabarwić zęby, ściągnąć jedną skarpetkę i włożyć ją na głowę jako czapkę, porwać sobie koszulę, rozpiąć rozporek i zacząć kuśtykać. Dopiero wtedy pomyśleli, że jestem jednym z nich. Ruszył wprost do kamienicy czynszowej stojącej pojedynczo na wybrukowanej parceli. W korytarzu stali goście z gangu, którzy bez mrugnienia okiem przerobiliby mnie na mydło. Ale myśleli, że jestem z nim, więc odpuścili.

On wyszedł na dach. Objął stary komin, jakby to był jego znajomy, i zaczął płakać.

Mówił do niego, jakby go błagał czy coś.

– Co powiedział? – przerwali mu.

– Nie dosłyszałem...

– Bo nie byłeś wystarczająco blisko?

– Nie. Byłem wystarczająco blisko. Było za dużo takiego jakby szumu.

– Jakiego szumu?

– No wiecie, jak w radiu policyjnym. Leciałem raz samolotem, mają tam bardzo silne radia podobne do amatorskich krótkofalówek. To było właśnie coś takiego: dźwięk krótkofalówki.

– Ale skąd dobiegał?

– A bo ja wiem. Padał deszcz. Niczego nie słyszałem. To jakbyś pływał w oceanie i wielka fala chwyciła cię, zanurzyła i ciągnęła za sobą. Słyszysz wtedy spienioną wodę. Coś do ciebie mówi. Nie wiadomo co, ale mówi. Właśnie to słyszałem.

– Więc co to w końcu było? Spieniona woda czy krótkofalówka? Rusz głową.

– I to, i to – powiedział chłopak poiryutowany. – Jak spieniona krótkofalówka. No, wiecie!

Czekajcie!

– Co, co? – pytali.

– Dziewczyna mojego brata jest Greczynką.

– I co z tego?

– Jest prawosławna. Kiedyś poszedłem z nią do kościoła i mieli tam taki chór: faceci śpiewali na głosy, naprawdę nisko. Właśnie tak to brzmiało.

Mechanicy już nie pytali, wystarczająco dołożyli dzieciakowi do pieca, a ten ruszył teraz

pełną parą:

– To było jak odgłos samolotu z oddali, takiego starego, z trzepoczącymi śmigłami i cięciami, jak kobiety wzdychające: „Ach! Ach! Ach!”, jak orkiestra grająca wszystkie możliwe utwory, jak warczenie psa, który jest naprawdę wściekły, jak metal, gorący metal zanurzony w kubie zimnej wody, jak dalekopis i jak harfa...

– Dobra – powiedzieli. – Co robił potem?

– Chodził sobie.

– Gdzie?

– Wszędzie. Kiedy tylko natrafił na coś, co ma intensywny kolor, gapił się na to godzinami. Obwąchiwał. W dzielnicy Brooklyn Heights jest dom, niedawno pomalowano go na czerwono. On zobaczył go dokładnie w czasie zachodu słońca: nie poruszył się przez półtorej godziny.

– Gdzie mieszka?

– Nie zobaczyłem żadnego takiego miejsca. On nie spał. Tylko chodził dookoła, tylko chodził. Nic też nie jadł.

– Je, kiedy jest tutaj.

– Poza pracą nie jadł, przynajmniej przez ostatnie dwa dni. Ach tak, zapomniałem wam powiedzieć. Czasami ogarniało go takie szczęście, że zaczynał tańczyć. A czasem szedł do zrujnowanej fabryki albo starej szopy na molo, kiedy wydawało mu się, że nikogo tam nie ma. I wtedy powracał ten dźwięk. Jak ludzie śpiewający w jakimś chórze, ale oddzielnie.

Na molo jedenastym ten dźwięk zrobił się bardzo głośny. Nikt tam nigdy nie wchodzi, bo to zbyt niebezpieczne. On klęczał. Brzmiało to, jakby cały świat zatrzęsł szopą. Łamały się belki, odpadały kawałki stropu. W końcu wyszło słońce i rozświetliło kurz. To była najniezwyklejsza rzecz, jaką w życiu widziałem. Myślałem, że molo zaraz się zawali. Zrobiło się tak jasno, że ledwie mogłem patrzeć, a wszędzie unosił się kurz. Nawet pale drżały w wodzie, poruszając się w przód i w tył. Wtedy postanowiłem stamtąd wiać i go zgubiłem.

Czeladnik nachylił się ku słuchaczom i skinął, żeby się przysunęli.

– Wydaje mi się – powiedział szeptem – że nie mamy do czynienia ze zwykłym kolesiem.

Gdy flota powietrzna „The Ghost” skończyła maniackalnie kreślić łuki nad jeziorami Finger, nie odkrywszy absolutnie niczego, Craig Binky zatęsknił za czymś nowym. Na fali mody na poezję jeden z jego asystentów zasugerował szparagi:

– Mają styl, luz, to je ne sais quoi.

Inny zaś był za wskrzeszeniem monarchii habsburskiej:

– Każda szykowna nowojorska kobieta będzie nosić jagnięcy kożuszek i bandolety. W mig powstanie mnóstwo miejsc do tańczenia walca. I być może nasza cukiernia z tortami Sachera nie splajtuje.

Ktoś inny zarekomendował fotografie skórzanych owoców:

– Takie zdjęcia właśnie podbijają San Francisco – upierał się. – Są pojemne, w dobrym guście, uspokajają i mają pochodzenie biologiczne. Wkrótce, i jeszcze zobaczysz, że miałem rację, w każdym domu w Peorii nad kominkiem zawiśnie zdjęcie skórzanych owoców.

Mimo to Craig Binky wciąż był niezadowolony. Odrzucił wszystkie propozycje i udał się w odosobnienie. Dokładnie dziewięć minut później wyłonił się znów.

– Żarówka idei rozbłysła w głowie Craiga Binky’ego – obwieścił. – Przyprawdźcie mi tu Bindabu!

Wormies Bindabu był szefem zespołu krytyków literackich „The Ghost”, grupy sześciu

mężczyzn, którzy pracowali w pozbawionej oknie piwnicy tuż przy najgorętszym bojlerze i pod najgłośniejszą prasą drukarską. Wyglądali i ubierali się dokładnie tak samo: mieli po pięć stóp i dwa cale wzrostu, ważyli po sto osiem funtów, nosili krzaczaste wąsy, brody sięgały im aż do pasa, mieli długie, kościste dłonie, siwe włosy z przedziałką równo na środku głowy, okulary w czarnych, drucianych oprawkach, nosili krawaty śledzie i garnitury w stylu właścicieli zakładów pogrzebowych oraz mieli zęza. Siedzieli obok siebie w rzędzie równym jak wycior do lufy, czytali po dwadzieścia książek dziennie, palili papierosy marki Balkan Sobranie, jedli jaja na twardo i korniszony i słuchali w kółko jednego atonalnego koncertu na fagot i okarynę. Nazywali się Myron Holiday, Russell Serene, Ross Burmahog, Stanley Tartwig, Jessel Peacock i właśnie Wormies Bindabu.

Craig Binky darzył Bindabu szczególnym sentymentem, ponieważ szef krytyków był jedną z nielicznych osób na świecie, przy których Craig Binky sprawiał wrażenie inteligentnego. Mimo że cytował, nie przeczytałszy ich, Spinozę i Marksa szybciej niż nartnik przepłynąłby na drugą stronę kubka kawy, nie wiedział, co to jest jabłko, i nigdy nie pływał w jeziorze. Nie czytał Melville'a, ale znał na pamięć wiersze większości antyamerykańskich boliwijskich poetów. Choć drwił z purytanizmu w zgryźliwych recenzjach, nie umiał ani śpiewać, ani tańczyć, ani machać rękami.

– Dopadnij burmistrza – powiedział Craig Binky.

– Napisał książkę?

– Oczywiście, że nie. Ale nie chce mi niczego powiedzieć o tym statku.

– A co to ma ze mną wspólnego?

– Masz zaatakować!

– Jestem oburzony, panie Binky. Nie jestem zabójcą, psem obronnym, zbiorem, człowiekiem od brudnej roboty...

– Oczywiście, że jesteś. Jesteś najlepszy. Uwielbiam w tobie to, Bindabu, że tak dobrze się z tym kryjesz pod płaszczkiem tych wszystkich wielkich słów.

– Ale panie Binky, burmistrz jest pana sprzymierzeńcem. Jest pan pewien, że mam go dorwać?

– Spraw mu łomot, objij mu głowę, ugryź go w tyłek!

Następnego dnia „The Ghost” opisał wstrząsający atak na burmistrza, w którym został on nazwany między innymi chamem, alfonsem, krokodylem, nazistą, populistą, faszystą, pederastą, jeżozwierzem i czerwem.

„The Sun” stanęło w obronie burmistrza, przez co redakcje gazet znalazły się po przeciwnych stronach w sprawie, w której do tej pory sytuowały się na odwrót. Obie zaczęły tracić czytelników. Ci, którzy czytali jedną z gazet, nie mogli czytać drugiej, w jednym przypadku z powodu poziomu trudności, w drugim z obrzydzenia, wiele osób więc niechętnie sięgnęło po „The Dime”, lekceważąc wszelkie reguły nowy tabloid za dolara. „The Sun” i „The Ghost” wykopały wojenny topór. Nikt z redakcji „The Sun” nie rozumiał jednak, dlaczego Harry Penn wspiera burmistrza, i mu w tym nie kibicował. Odchodzono z pracy albo wręcz z niej uciekano. Niektórzy uznali, że to potężny wpływ nadchodzącego tysiąclecia. Dwa tysiące lat, mawiali, oczywiście, że wszystko musi się mieszać, skoro już za kilka miesięcy czeka nas płomienny upadek, do którego tak prędko zmierzamy.

Już we wrześniu znad Kanady nadciągnął zimny wiatr, zamykając ludzi w ich ogniskach domowych i nasuwając im na myśl miasto sprzed lat. Zima, mawiano, to taka pora roku, w której czas jest jak nadprzewodnik – kruchy świat może się wtedy roztrzaskać w obliczu zdumiewających zdarzeń, a potem odnowić w postaci tak solidnej i gładkiej jak świeży,

przezroczysty lód.

Hardesty Marratta i Praeger de Pinto jechali na rowerach drogą wzdłuż rzeki, popędzani przez samochody, które wyznaczając światłami długość ulicy, napierały na nich od tyłu jak skrzyżowanie fali przyływu z szarżą kawalerii. Srebrne koła rowerów szumiały w leniwym jesiennym błękitcie. Kolory tej jesieni były najwyższe spośród jesieni, które pamiętali. Mimo że zanurzone w jeziorze chłodnego, przejrzystego powietrza, wydawały się gorące, tropikalne i metaliczne. Mroczne cienie przepływały na tyle cicho, by wywołać dzwonięcie w uszach, a linia horyzontu, po miesiącach chowania się w letniej mgłę, nagle wyłoniła się z całą ostrością.

Praeger potajemnie przydzielił kilkunastu dziennikarzy i zbieraczy materiałów do sprawy Jacksona Meada. Ciężko pracowali w archiwach, bibliotekach, centrach komputerowych i na ulicach. Pięcioro z nich kontynuowało dochodzenie. Hardesty, Praeger, Virginia, Asbury i Christiana poświęcili tej zagadce mnóstwo czasu. Christiana szpiegowała Harry'ego Penna (unikając ostentacyjnego wścibstwa, ale oczy i uszy miała szeroko otwarte), pozostali zaś sprawdzali wszelkie możliwe tropy. Wszystko, co zdobyli, wędrowało do komputera, który tasował dane wte i wewte w poszukiwaniu ukrytych korelacji. Ponieważ działo się to bez wiedzy i przyzwolenia Harry'ego Penna, Praeger uważał, że jest bardzo sprytny. Nie wiedział jednak, że Asbury, który – jak mniemał – pracuje dla niego w tajemnicy, w rzeczywistości mnóstwo czasu spędza na przeczesywaniu miasta w poszukiwaniu silników, a Christiana znacznie mniej przejmując się Jacksonem Meadem niż poszukiwaniami pewnego białego konia.

Praeger i Hardesty jechali do strefy załadunkowej linii kolejowych Erie Lackawanna z powodu plotki, że pociągi nadjeżdżające z zachodu wypływają z wagonów ciężki sprzęt budowlany. Podczas przejażdżki na południe miasta Praeger powiedział Hardesty'emu o zakłóceniach na rynku terminowym surowców. Bedford poinformował, że ponad dwadzieścia nowych firm skupuje ogromne ilości metali o najwyższych notowaniach. Płacą z góry, gotówką, i wydały już niemal miliard dolarów. Metale były składowane w całym kraju, ale wszystko wskazywało na to, że chciano je przewieźć do Nowego Jorku.

– A co na to rząd? – zapytał Hardesty. – Nie podejrzewają, że zamieszanie wywołuje ktoś z zewnątrz? Nie badają tej sprawy?

– Zdaniem Bedforda – odpowiedział Praeger – rząd twierdzi, że wszystko jest w porządku. Mówią, że znają te firmy, że destabilizacja giełdy jest tymczasowa i nie ma się czym martwić. Ale Bedford spotkał się z przewodniczącym komisji kontroli towarów i powiedział, że gość sprawiał wrażenie jakby był zahipnotyzowany albo pod wpływem narkotyków.

– Uważasz, że to Mead – powiedział Hardesty, pedałując pod wiatr, który niemal podrywał ich obu do lotu.

– Tak, mam przecucie, że to on.

– Miliard dolarów to jak na jednego człowieka sporo do wydania na czysty tytan.

– Myślę, że byłby w stanie wysupłać tę sumę z kieszeni. Mamy tu do czynienia z czymś niecodziennym. Zwykle sprawy nie są dla niego przeszkodą, a jego problemy bez wątpienia mają inne źródła. Jeśli on rzeczywiście walczy, tak jak się wydaje, to być może czyni to w sposób, którego nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić. Wielebny doktor Mootfowl i pan Cecil Wooley nie są typowymi pomocnikami miliardera.

– Co ty nie powiesz? – zapytał Hardesty sarkastycznie.

– Nie mogę przestać myśleć o tym, że obaj, zarówno gruby, jak i chudy, nosili chińskie kapelusze i jedwabne pantofle ze spiczastymi czubkami. A jak twierdzi kilkoro znawców sztuki, z którymi rozmawiałem, obraz przedstawiający wniebowstąpienie świętego Szczepana, ponoć

autorstwa Buonciardiego, nigdy nie powstał.

– Kto go w takim razie namalował?

– Nie wiedzą. Ale to jeszcze nic. Jeden z naszych zbieraczy materiałów szukał wzmianek o innych przypadkach, kiedy w porcie cumowały nieznane statki. Sprawdzał dokumenty komisji do spraw kwarantanny, która bardziej niż służby celne powinna interesować się pochodzeniem statku. Przez pewien czas ta komisja zajmowała się miejscami pochówku. Z ciekawości zaczął przeglądać jej archiwalne księgi (prowadzone w porządku alfabetycznym) i z miejsca jakby dostał obuchem w głowę. Na przełomie wieków niejaki wielebny Overweary przekazał grabarzom ciało wielebnego doktora Mootfowla. W dokumentach pod nazwiskiem Mootfowla wielebny Overweary napisał: „Zamordowany przez Irlandczyka o nazwisku Peter Lake i jego tłustego kompana o oczach jak szparki, Cecila Mature’a”. Czy pan Cecil Wooley to przypadkiem nie najtłustsza kreatura o największych oczach jakie w życiu widziałeś? I nie sądzisz, że nazywanie kogoś wielebny doktorem Mootfowlem nie jest zwyczajne i nigdy nie było?

– Owszem, ale wychodziłoby na to, że morderstwo popełniono sto lat temu. Pan Cecil Wooley ma najwyżej dwadzieścia lat, a Mootfowl z pewnością nie skończył pięćdziesięciu. Co właściwie chcesz mi powiedzieć?

– Że dreszcz przechodzi mi po plecach.

– Czy zgłoszono morderstwo?

– Ani dokumenty, ani raporty policyjne tego nie odnotowują. W mieście toczyły się wtedy wojny gangów i pojedyncze morderstwa nie miały większego znaczenia.

– A czy kiedykolwiek było inaczej? – zapytał Hardesty.

Przypięli rowery do parkanu i przez tunele przeszli na brzeg rzeki Hudson od strony New Jersey, gdzie umierająca od pół wieku lokomotywnia nagle zyskała drugie życie. Mimo że była sobota, automatyczne maszyny, roboty i tysiące robotników budowlanych zalewały plac, a żółtych kasków był taki bezmiar, jak żonkili wyrastających pomiędzy podkładów kolejowych. Jak okiem sięgnąć, zewsząd podjeżdżały łańcuchy wagonów towarowych i ustawiały się w równych rzędach. Na długich platformach stały buldożery, dźwigi i części rozebranych maszyn budowlanych, większe niż domy.

– Po co to wszystko? – Praeger zapytał brodatego robotnika. – Ten teren od lat był porzucony.

– Powstają dwie nowe linie – odpowiedział robotnik, przebijając się przez harmider kładących tory maszyn i kafarów. – Będą gotowe gdzieś za tydzień.

– Linie kolejowe? – zapytał Praeger z niedowierzaniem. Od dziesięcioleci nie położono ani kawałka torów.

– Tak, kolejowe. Jedna z północnego zachodu, z Pensylwanii, a druga z zachodu, diabli wiedzą skąd.

– A to co? – zapytał Hardesty, wskazując na ogrodzony teren, na którym kilka walących się budynków opierało się o siebie nawzajem.

– Nie wiem – odpowiedział robotnik, patrząc zza okularów przeciwsłonecznych, które odbijały oślepiające jesienne światło. – Ma tam powstać dok ładunkowy, ale wielu z tych gości – wskazał na innych robotników – nie chce go tknąć. Wygląda więc na to, że nigdy nie stanie tam dok, mimo że według planów w samym środku ma powstać betonowy podest.

– Dlaczego nie chcą tego tknąć? – zapytał Praeger.

– Bo im odbiło i tyle. Mówią, że to święte miejsce. Na budowie zawsze się tacy znajdują. Budowanie to coś szczególnego. Nie umiem tego wyjaśnić, muszę zresztą wracać do pracy. Ale możecie mi wierzyć: tak się zdarza.

Hardesty i Praeger stali z boku, przyglądając się, jak idą prace. Lokomotywownie od dawna były nieużywane, ale teraz sprawiały wrażenie, jakby tylko czekały na dobry moment. Zardzewiałe, rozcapierzone tory, zgniłe podkłady ułożone w stertach niczym martwe ciała, łopoczące blaszane ściany budynków i nadłamane filary pachnące słomą szybko przeistaczały się w las błyszczących torów, nowych podestów, solidnych wież, zwrotnic i sygnalizatorów, które pokrywały równinę żużlu gęsto jak wzrastające zboże.

Praeger i Hardesty byli głodni, postanowili więc pójść do restauracji Broth House. Żeby się tam przedostać, musieli pokonać ponad pięćdziesiąt parkanów i kilkanaście stojących wagonów towarowych. Na rękach mieli mnóstwo sadzy i brudu i kiedy otarli pot z twarzy, po skroniach spłynęły im czarne strużki. Goniły ich ujadające podwórzowe psy, które biegały spuszczone z łańcuchów po placach załadunkowych. W pewnym momencie Praeger utknął na słupie sygnalizacyjnym, zagnany tam przez psa podobnego do wilka, który wydawał się szczekać: „Zemszczę się”.

Kiedy dotarli do Broth House, policzki mieli czerwone od chłodu i wysiłku, ubrania brudne i podarte, czuli przyjemne zmęczenie i idealnie pasowali do robotników i marynarzy, którzy siedzieli tam w nieustępliwych, szalonych, nieprzytomnych kręgach, rzucając wszystkim dookoła wrogie spojrzenia, sztywni i niewzruszeni w swojej grze uników i manewrów przypominającej pływanie na wzburzonym morzu bez zamoczenia się.

– Praeger – obwieścił Hardesty – wszak to ci sami ludzie, którzy wjeżdżają samochodami w barierki. Wiesz, tacy, którzy obrabiają sklepy jubilerskie, uciekają, zanim pojawi się policja, i mijają drogówkę, dwukrotnie przekraczając dozwoloną prędkość. Podczas pościgu biorą zakręty, jakby prawa fizyki ich nie obowiązywały, po czym tratują barierki. Barierki to ich przeznaczenie.

– Zamknij się – nakazał Praeger. – Ten facet podsłuchuje, ma wredną minę i wygląda, jakbyś mu nastąpił na odcisk.

Hardesty oparzył sobie palce gorącym małżowym bulionem, który lał się zupełnie za darmo z miedzianego kociołka stojącego na barze. Zamówili dziesięć pieczonych krewetek i zjedli je z chlebem i ostrym sosem, popijając piwem albo dwoma, albo trzema – i już wkrótce unosili się na falach muzyki i hałasu zbratani z typami od barierek. Cała restauracja zdawała się kołysać delikatnie na wietrze jak jeden z żaglowców, który lata temu przycumował do pobliskiej kei. Czuli się jak na morzu, a dym kłębiący się pośrodku sali zamieniał się w chmury, żagle i mewy.

Hardesty szybko zapomniał o wszystkich problemach i wiedziony prostolinijnym pożądaniem, skupił całą uwagę na dzielnej kelnerce, która balansując tacami w dłoniach, wciąż od nowa pokonywała niebezpieczne bystrza knajpy i jej lubieżnych bywalców. Żeby utrzymać tace prosto i precyzyjnie się z nimi pośród wygłodniałego tłumu, wykonywała coś w rodzaju tańca. Była niska, ale smukła, silna i seksowna na tyle, by doprowadzać wszystkich w Broth House do szaleństwa. Była mocno opalona po kilku wolnych dniach spędzonych na powietrzu, miała ładnie wyrzeźbione nogi (niewątpliwie od biegania), a jej długie, pełne wdzięku ramiona były delikatnie umięśnione, tak że Hardesty nie mógł oderwać od niej wzroku. Miała białą koszulę, rozchyloną na tyle, że odsłaniała gładki, śniady dekolt. Jej włosy były kruczoczarne i sprężyste, skręcone do góry jak u pewnej bardzo popularnej piosenkarki. Hardesty zaczął wariować. Zahipnotyzowała jego, przystrojonych w kowbojskie kapelusze kierowców ciężarówek, miejscowych włóczęgów, byłych marynarzy, nieznanymi z Manhattanu i ekipę od barierek. Przechodząc obok Hardesty'ego, musiała stanąć z nim twarzą w twarz, tak jak to bywa w zatłoczonym korytarzu europejskiego pociągu. Hardesty, którego zatkało ze zdumienia, czuł

się tak, jakby zegar wybił północ przynajmniej czterdzieści razy, bo gdy go mijała – Boże, błogosław Amerykę – zwolniła, tłum się zagęścił i popchnął ją na niego, jakby oboje znaleźli się w wyciskarce. Kiedy poczuł, jak jej małe piersi i sutki ocierają się powoli o jego tors, kiedy spojrzął na jej spaloną słońcem twarz, kiedy poczuł rozgrzaną woń jej perfum, kiedy jej czarne oczy przebiły go jak lance i przeszły od stóp do głów z głęboką, intensywną przyjemnością, kiedy uśmiechnęła się, podczas gdy jej uda i piersi kontynuowały natarcie, a on dostrzegł jasny, księżycowy błysk jej dużych, idealnych białych zębów, i kiedy dla żartu albo na zachętę, albo mimowolnie, albo dla uczczenia tej chwili przelotnie napała na niego lędźwiami, nogi odmówiły Hardesty'emu posłuszeństwa i osunął się w męczarniach rozkoszy, uderzając o podłogę z dziwnym jękiem spełnienia i niespełnienia zarazem, na który to dźwięk Praeger odwrócił się w poszukiwaniu przyjaciela.

– Gdzie jesteś? – zapytał Praeger. – Gdzieś się podział?

Hardesty czołgał się po podłodze w poszukiwaniu kostek kelnerki, które wycofywały się w ponury las nogawek. Stałym bywalcom baru nie spodobała się ta fala pod ich stopami. Zdenerwowała ich i kiedy Hardesty zaczął obijać się o gości, Praeger zrozumiał, że za mocno potrzęsneli gniazdem szerszeni.

Mężczyźni w barze zaczęli się bić, każdy z każdym, jak gdyby nadciągała powódź, a na arce zostało wolne tylko jedno miejsce. Było sporo poezji w tym, że padali na ziemię pięknymi, łabędzimi parabolami, wydając głębokie okrzyki udręki. Przede wszystkim jednak było to coś w rodzaju nocnego bezprawia, którego świadkiem wrzesień bywa tak często, i Hardesty miał szczęście, że jego uparty przyjaciel był zdolny przeciągnąć go przez ten chaos i wyrzucić za drzwi.

– Gdzie ona jest? – błagalnie jęczał Hardesty, gdy Praeger ciągnął go ku stacji Erie Lackwanna. Budynek wyglądał jak narodowy tort weselny, zrobiony z kremowych kamieni i malowanego żelaza, elegancki jak zasadnicza starsza pani, w tej chwili całkiem opuszczony. Powlekli się niepewnym krokiem przez jego ciemne korytarze do rampy od dawna niekursującego promu na Barclay Street. Usiedli na jej krawędzi i zaczęli machać nogami, które zwisały nad wodą niczym dwie latarnie.

Po drugiej stronie rzeki Manhattan migotał w świetle księżycyca – mile białych budynków skrzyły się jak las robaczek świętojańskich. Hardesty nadal myślał o kelnerce, za to Praeger wpatrywał się w wodę jak wściekły pies. Manhattan, klatka z białych filarów i błyszczących kryształów, był jak żywy. Jego piękno wyniosło ich daleko ponad wrogów i poza powszednie kłopoty, jak gdyby przyglądali się życiu z perspektywy zmarłych. Nagle owładnęły ich uczucia wobec ludzi, których kochali, i ujrzeli przed sobą miasto światła i cienia, teraz w poświacie księżycyca, tak bardzo umiłowane, że zapragnęli je objąć.

Gdy tak się przyglądali, z północnego zachodu nadciągnął potężny front chmur. Bielsze niż lód i pobłyskujące delikatnie jak szwajcarska wioska w górach miasto zdawało się zupełnie nieświadome, że zbliża się do niego ogromna czarno-purpurowa ściana. Hardesty pomyślał o średniowiecznych miastach, które padły pod mongolskim i tureckim naporem, i gdyby tylko to mogło pomóc, zaczęłyby krzyczeć na alarm. Blade budynki wyglądały na delikatne i nietrwałe jak wata cukrowa, a chmury parły naprzód; ich ogromne zaokrąglone kształty były jak pośladki bojowego konia albo naramienniki zbroi. Świta ich węży, srebrne i białe pioruny, uderzały w ziemię jeszcze przed nadejściem kawalerii.

Pierwsza fala rozbijała się o Nowy Jork, wiatr się wzmógł i zamienił Hudson w cieśninę niemożliwą do przekroczenia. Podwieszona na linach rampa, na której siedzieli Hardesty i Praeger, zaczęła wyginać się i chwiać, ale mężczyźni mocno trzymali się poręczy, nie będąc

w stanie oderwać wzroku od miasta.

Dziesiątki tysięcy piorunów uderzały w wysokie budynki, oplatając je białym złotem i wypełniając powietrze serią trzasków, od których trzęsły się najsolidniejsze budowle. Wypłoszyły szczury z nor, wyganiając spanikowane i piszczące zwierzęta na ulice smagane deszczem. Wywołały setki pożarów w dzielnicy nędzy, choć deszcz ciał tak mocno, że płomienie gasły tak szybko, jak się pojawiały – wyglądały przez to jak powoli rozpadające się kule fajerwerków. W szczytowym momencie burzy deszcz przypominał spiętrzone fale morza, które uniosło się nad miastem w wielkim gniewie. Ono jednak ani drgnęło, nawet nie mrugnęło i nie ugięło się choćby na chwilę. Stało sztywno wyprostowane jak imponujący łańcuch górskich szczytów i spokojnie odbierało plony piorunów. Przez cały czas, gdy uderzała weń burza, Nowy Jork pozostał spokojny i jarzył się światłami za sprawą zastępów niewzruszonych wież wzniesionych na skale. I kiedy już niebo było niebieskie i białe, a wolno płynące rzeki piorunów melodyjnie przepraszały salwami gromów, wciąż lśnił, niewinny i czujny.

Hardesty'emu przemknęła przez głowę myśl, że właśnie zobaczył coś na kształt idealnie sprawiedliwego miasta. Kiedy burza prawie dobiegła końca, odwrócił się do Praegera, który odważnie, podekscytowany, wypatrywał napisów z piorunów przez gęste strugi szarego deszczu.

– Poszedłem do Binky'ego – powiedział Praeger. – Zaprzedałem mu duszę i zostanę burmistrzem. Zostanę burmistrzem tego – oznajmił, patrząc na drugi brzeg rzeki. – I będę taki, jak nikt wcześniej. Wszyscy poprzedni burmistrzowie jątrzyli, udawali, manipulowali i uciekali. Mierzyliśmy ich wartość tym, jak dobrze unikają walki. A ponieważ czynili to od stu lat, podzielili i uzbroili miasto tak, że jeśli nastąpi starcie, dorówna ono Armagedonowi. Nie chcę tego. Nikt tego nie chce. I nigdy nie chciał. Ale dzień sądu powinien nadejść i zamierzam prowadzić to miasto, gdy upada... bym mógł również prowadzić je wówczas, gdy będzie wschodzić.

Choć Hardesty był poruszony prawdziwością i magią decyzji Praegera, zachował rozsądek i zapytał:

– Skąd wiesz?

Jeśli można wróżyć z ludzkich twarzy, to Praeger w tej chwili był probierzem przyszłości. Spojrzał na Hardesty'ego i uśmiechnął się. Po chłodnych niebieskich oczach, starannie przyciętych blond włosach, nieznaczonej szczerbie między przednimi zębami oraz minie, która zdradzała dużą wytrzymałość, długotrwałe cierpienie i nieprzemijające poczucie humoru, Hardesty poznał, że Praeger miał w sobie dokładnie to, czego on sam poszukiwał. Choć nie wiedział dlaczego, uwierzył mu i ze smutkiem zauważył, że twarz Praegera przepowiada walkę z taką pewnością, z jaką później upamiętnia ją fryz.

Szaleństwo to nieznośnie intensywne odczuwanie smutku i radości czasów, które jeszcze nie nadeszły albo już minęły. Żeby ochronić kruche wyobrażenie takich czasów, szaleńcy usprawiedliwiają je wzruszającą lojalnością i otaczają tysiącem mylących intryg. Intrygi te z kolei wciągają ich coraz głębiej ku ciemności i światłu (co jest ich przekleństwem i nagrodą) i zmuszają do dokonania wyboru. Wtedy mogą albo odpuścić, wycofać się i poczuć ulgę, jaką daje racjonalny ogląd i akceptacja ze strony innych ludzi, albo brnąć i – przez upadek – wzejść. Jeśli ich niewybaczalny upór sprawi, że w końcu rozsądzą świat, przedostając się do krainy wiecznego światła, nikt już nie powie, że są chorzy albo obłąkani. Nazwie się ich świętymi.

Ale to była ostatnia rzecz, jaką Peter Lake mógłby powiedzieć o sobie. I miał rację, bo nie był święty i nigdy nie miał się taki stać. Na pewno jednak z każdym dniem stawał się coraz bardziej stuknięty i wiedział, że jeśli to się nie zmieni, rozsądek mu już nie pomoże, nawet gdyby bardzo tego pragnął. Był tym straszliwie udręczony, kręciło mu się przez to w głowie

i musiał histerycznie gadać, gdy chodził. Wszystko było albo wyjątkowo jasne, albo nieodwracalnie czarne. Choć czuł się bezpiecznie tylko wśród maszyn, nawet one wprawiały go w niekontrolowaną zadumę, na którą jego współpracownicy mocno uważali. Nauczyli się z nim żyć, bo w swoim szaleństwie Peter Lake nie był okrutny ani chciwy, ale tak jak podejrzewali: kiedy z nimi przebywał, powstrzymywał się. Poza pracę był zupełnie inny.

– Dajcie mi tu kilka hiszpańskich, górskich jaj – zażądał pogodnym głosem, z irlandzkim akcentem wprost z Madison Square. – Trzy sadzone, dwa napuchnięte i mokre jak nowo narodzone krętorogie antylopy zawinięte w amoniak oraz jedno na twardo jak aztecki bóg słońca. Główka pracuje? Co jest grane? Języka w gębie zapomniałeś? Nie będziemy się bawić w kotka i myszkę! Wiesz, co to kot? Powiem ci... w tajemnicy. Kot to wymówka dla samotnej kobiety, żeby mogła do siebie mówić. Właśnie tym jest kot. Holownik! A wracając do śniadania, lubię banany. Żądam ich do posiłków. Żądam, powiedziałem! Przynieście mi je. Nie! Czekajcie. Wolałbym raczej wielkie ciasto. Holownik! Jestem biedny, to prawda. Jestem jednym z tych, o których niczego nigdy nie wiadomo, ale miasto należy do mnie. Dlaczego więc, powiedzcie mi, rozglądam się i oto jestem tutaj, wysoko, ale nad niczym nie panuję? Czy dobrze rozumiem? Czy to możliwe, że na tym kontynencie istnieją prymitywne stworzenia, które nigdy nie noszą kapelusza, robotnicy kładący tory i dziewczyny, które wyskakują z tortów, durnie, idioci, głupole i okuzi, którzy właściwie nie istnieją, tak samo zresztą jak ja nie będę, albo może będę, i akceptują to, co niemal być nie może? Niemożliwe. To niemożliwe! Prawdopodobne nie bardziej niż, powiedzmy, kościół baptystów bez szkolnego autobusu. Mów, co chcesz, mój drogi, krzepki przyjacielu, który stoisz radosny niczym Humpty Dumpty. Podoba mi się twoja cierpliwość. Rozmowa z tobą jest jednak niezmiernie frustrująca i wolałbym raczej płynąć przez połączaną mgłę. Holownik! No dobrze, poddaję się. Zmieniam zamówienie. Przynieś mi cynamonową drożdżówkę od Wildensteena, gorącą pasztetową, kokosy i pianę morską. To się nazywa dobre śniadanie. Widzisz, do czego zmierzam. Pragnę... pragnę. Rozumiesz, czuję się zagubiony. Ale próbuję! Próbuję! I mam w sobie tę moc, która mnie popycha, popycha. To boli. Ale idę, wciąż idę. Holownik!

Mówił tak godzinami, wystrzeliwując nadmiar słów, które wydobywały się z niego w dziwnie uporządkowanym bałaganie i wylewały z jego ust jak piana, którą chciał dostać na śniadanie. Mówił coraz szybciej, aż dostawał białej gorączki, mówił różnymi językami, żądał tego, żądał owego, uderzał pięścią, wrzeszczał o hierarchii świata, równowadze, karach i nagrodach, sprawiedliwości i prawdomówności. Nie ma sprawiedliwości, mówił. Ależ oczywiście, że jest. Ale jest zbyt trudna i złożona i aby ją pojąć, trzeba zrozumieć piękno, bo piękno to sprawiedliwość bez wyrównania rachunków.

– Holownik.

Nikt nie oponował, nikt nie czuł się niekomfortowo i nikt się nie bał. Było tak bez wątpienia dlatego, że mówiąc to, Peter Lake nie znajdował się w restauracji i nie zwracał się do kelnera czy kucharza, tylko stał na uboczu na pustym parkingu i przemawiał do skrzynki pocztowej. Gdy ktoś podchodził wrzucić do niej listy, Peter Lake od razu milkł, opierał się o swoją rozmówczynię i uśmiechał się do osoby, która wpychała pocztę do jej gardła. Potem pytał skrzynkę:

– Kto to? Znasz go? Często tu bywa? – Był zazdrosny.

Kiedy zapadał zmrok, często był głodny i spragniony, udawał się więc na Times Square po sok z papai, który uwielbiał, ponieważ kiedy go pił, czuł się normalny tak jak biznesmen albo dyplomowana pielęgniarka. Być może dlatego, że dzięki niemu właśnie tak się czuł, doprowadził do tego, że zdobycie go graniczyło z cudem. Po drodze, idąc ulicami, ćwiczył zamawianie soku

pełnym, melodyjnym głosem, jakiego mogliby mu pozazdrościć najlepsi zawodowi spikerzy. Głośne mówienie wśród wieczornych tłumów nie poprawiało mu reputacji, podobnie jak tyrady do skrzynek na listy, butli gazowych i przyczep motocyklowych. Ale w Nowym Jorku i tak nikt nie ma żadnej reputacji.

– Duży sok z papai na wynos poproszę – powtarzał. – Duży sok z papai na wynos poproszę. Duży sok z papai na wynos poproszę. Duży sok z papai na wynos poproszę.

Powiedział to z tysiąc razy. Kiedy jednak podszedł do oszołomionego sprzedawcy soków przy ladzie z papają, zaniemówił.

– Co podać? – zapytał go nieuważny specjalista od papai.

Zamiast odpowiedzieć, Peter Lake zaczął chichotać, śmiać się i prychać. Ekspłodował salwą na wpół stłumionych pisków, zacisnął powieki w histerii i kiwał się to w przód, to w tył, aż jego śmiech zamienił się w serię głośnych kwików i ryków, a on sam ledwie mógł ustać prosto. Taka oto przypadłość oddzielała go od soku z papai.

W końcu się opanował. Musiał przestać się śmiać, bo bolały go klatka piersiowa i żołądek, otworzył oczy i odchrząknął. Kiedy jednak zobaczył, jak spec od papai patrzy na niego przymrużywszy jedno oko, ogarnął go radosny rechot, który wstrzymał jego oddech i całkowicie zawładnął jego ciałem.

W bolesnej histerii, śmiejąc się przez całą drogę, wrócił do dzielnicy nędzy, gdzie wszedł do opuszczonej kamienicy, zszedł do piwnicy i szlochając, wyciągnął się na worku węgla. Nie płakał długo. Zmęczenie mu tego oszczędziło i zepchnęło go głęboko w zapomnienie.

Nocą, kiedy ulice pograżyły się już w ciszy, a październikowy księżyc miał właśnie schować się w lasach Pensylwanii, coś nagle obudziło Petera Lake'a. Poczł jak serce zaczyna mu szybciej bić, odpowiadając paniką na atak od tyłu. Kiedy obudził się na tyle, że mógł jasno myśleć, uznał, że trzech lub czterech wyjątkowo silnych napastników zaskoczyło go, kiedy spał na worku węgla. Spodziewał się dotkliwych tortur, takich, jakie ludzie wchodzący do piwnic opuszczonych kamienic o czwartej nad ranem zadają tym, którzy już tam są. Miał tylko nadzieję, że przestraszą się jego oblężania. Czuł się jednak niestety wyjątkowo zdrow na umyśle. Był tak przytomny, rozsądny i spokojny, że równie dobrze mógłby być dyplomatą spisującym swoje wspomnienia przed kominkiem opalonym drewnem hikory w chacie myśliwskiej na północ od Bostonu.

– Panowie! – wypalił, kiedy coś podniosło go do góry z wielką siłą, nie przychodziło mu jednak do głowy, co powiedzieć dalej.

Zaskoczony, z jak absolutną stabilnością został podniesiony, wyobraził sobie, że zbiry, które go dopadły, to zawodnicy olimpijscy w podnoszeniu ciężarów. Obracał głową o kilka stopni w każdą stronę, ale nie zauważył niczych stóp. Nie słyszał też ich oddechów ani nie czuł dłoni.

Wykonywanie fachu z taką precyzją nie było całkowicie sprzeczne ze zwyczajami lokalnych przestępców, ale nie było też prawdopodobne. Peter Lake próbował zerknąć przez ramię, ale był trzymany mocno jak kociak chwycony za skórę na karku. Odchrząknął i już miał zwrócić się do swoich dręczycieli raz jeszcze, kiedy spostrzegł, że nagle zaczyna bardzo szybko poruszać się po pomieszczeniu. Przyspieszenie było tak wielkie, że czuł, jak w uszach szumi mu wiatr. Mierzył prosto w przeciwległą ścianę. Zbliżał się do niej z taką prędkością, że nie miał nawet czasu mrugnąć (a co dopiero zaprotestować), zanim trafił w nią głową.

Nie zginął jednak; zamiast tego przebił ścianę na wylot, z podmuchem powietrza, który zwał mu wszystkie włosy do tyłu głowy. Trafił do drugiego pomieszczenia i, wciąż przyspieszając, podążył ku przeciwległej ścianie. Spodziewając się najgorszego, zamknął oczy.

Znowu jednak przeszedł na wylot i nadal nabierał prędkości. Szybko nauczył się trzymać oczy otwarte i błogosławić tę podróż. Przechodził przez kolejne ściany, jakby były z powietrza. Przemieszczał się tak szybko, że kolejne izby piwniczne przelatywały mu przed oczami jak klatki filmu – aż ściany przestały być widoczne.

Leciał pod ziemią z prędkością odrzutowca i ze świstem przeszywającym grunt, kamienie, niezliczone piwniczki, cysterny, tunele, studnie, aż wreszcie mogiły. Lekko, jakby fruwał po niebie, odwiedzał wszystkie groby świata. Choć przesuwają mu się przed oczami tak szybko, że stały się wiązką posępnego światła, mógł przyjrzeć się każdemu z nich oddzielnie, jakby każde mignięcie w jego wędrówce było pełnym rozpoznaniem. Widział twarze i ubrania dopiero co pochowanych i rejestrował ich wygląd bez emocji.

Oczy Petera Lake'a były jedyną żywością jego twarzy, gdy tak chwytają przyspieszające obrazy, pędzące jeden za drugim, i poruszały się z właściwą maszynom, nienaturalną prędkością, żeby dokładnie obejrzeć każdy szczegół i przynajmniej ujrzeć w przelocie, albo chwilę dłużej, każdego z miliardów zmarłych, których zobaczenie było pisane właśnie im. Prędkość i rytm tych wielu żyć połączyły się w jeden czysty, niezemski świst, podobny do dźwięku wydawanego przez nura w głębokim lesie w spokojną gwieździstą noc. Spoczywali we wszystkich pozycjach. Po niektórych pozostał jedynie pył, inni byli białymi, groźnie świecącymi kośćmi, których boją się dzieci. W niezliczonych błazeńskich pozach trzymali w zaciśniętych dłoniach amulety, narzędzia i monety. Byli pogrzebani z ikonami, fotografiami, wycinkami z gazet, książkami i kwiatami. Niektórzy byli owinięci poszarpanymi całunami, inni bandażami. Niektórzy mieli łoża z jedwabiu i drewna, ale zdecydowana większość leżała bez żadnego ekwipunku na miękkim lub kamiennym podłożu. Peter Lake zastał niektórych w stalowych komnatach na dnie mórz, a innych na wielkich stosach, rzuconych jeden na drugiego jak gałęzie na podpałkę. Łańcuchy, liny i żelazne kołnierze znajdowały się na szyjach równie często, jak perły i złoto. Widział zmarłych w każdym wieku – dzieci, wojowników z mieczami wciąż wbitymi w udo, uczonych, którzy odeszli spokojną śmiercią, i renesansowych służących w czerwonych czapkach. Kiedy przesuwali mu się przed oczami, przez nieuchwytnie krótką chwilę wahali się, czy go nie pozdrowić. Przelatywał w ciemnościach podziemi nad ich niezliczonymi legionami, a jego oczy nie ustawały w wysiłku, by dostrzec brodatych, bezzębnych, roześmianych i szalonych, kobiety zmartwione i uśmiechnięte, ludzi głębokich i tych, którzy zawsze mieli ptasie mózdzki, tych, którzy spędzili życie na lodzie i nadal w nim tkwili, idealnie zachowani w gładkich białych kryptach, i tych, których porwały gorące rzeki i stracili wszystko, ale mała iskierka w błocie zdradzała ich ostatnie położenie.

Otworzył szeroko usta, ale jego oczy pracowały nadal. Coś w środku nie pozwalało mu odmówić złożenia czci każdemu z nich, a skoro narodził się właśnie po to, by wypełnić to zadanie, dostrzegał i zapamiętywał każdą pozbawioną ciała głowę, każdą zbielałą rękę, każde zapadnięte oko.

Mogiły świata mijały go z hipnotyczną prędkością uzupełniających rytmów wybijanych przez szprychy rozpedzonego koła. Pozostał niewzruszony, nie współczuł, bo był zbyt zajęty, a jego oczy zbyt rozbiegane i szybkie. Miał wiele do zrobienia. Musiał ich wszystkich poznać. W swoim szalonym, zasapanym locie nikogo nie przeoczył, ale pracował tak, jakby został stworzony, żeby być ich archiwistą – mechanicznym kretem, wiernym obserwatorem, kłóskarką dusz, dobrym rzemieślnikiem.

Późnym popołudniem pewnego dnia w środku października światło na zachodniej Fifty-seventh Street stworzyło tę idealną aurę, która pozwalała średniowiecznym duchownym zgłębiać ideę nieba. Virginia wracała z przystani North River, gdzie wysłano ją, by

porozmawiała ze znanym politycznym wygnańcem, który jednak nie pojawił się, ponieważ potajemnie zabrano go z jego statku na morzu i przetransportowano go Waszyngtonu. Do powrotu do domu i obudzenia dzieci z drzemki zostało jej jeszcze kilka godzin, postanowiła więc pójść na zakupy na Fifth Avenue. Abby nie czuła się najlepiej, być może z powodu zmiany pór roku. Pani Solemnis powiedziała, że dziewczynka śpi spokojnie i nie ma gorączki.

Virginia potrzebowała płaszcza na zimę. Ponieważ była wysoka, nawet jak na rodzinę Gamelych, nosiła duże rozmiary. To w połączeniu z jej głęboko zakorzenioną oszczędnością oznaczało, że będzie długo szukać czegoś o przyzwoitym kroju, a wystarczająco ciepłego na pobyt nad jeziorem Coheeries. Od lat nie widziała matki. Wraz z Hardestym dobrze wiedzieli, że dotarcie nad Coheeries sprawi im spory kłopot i być może nie będą mogli stamtąd wrócić. Gdyby tak się stało, Hardesty był gotów zostać farmerem nad jeziorem, poruszać się zimą na nartach, na bojerze i na łyżwach, jeżdżąc od miasteczka do miasteczka, od gospody do gospody. Planowali wybrać się tam w grudniu lub styczniu, jeśli będzie odpowiednia pogoda. Opatuliliby dzieci wełną, puchem i futrami, i wsiedliby do pociągu z samego rana, gdy cienkie, proste smużki dymu z ostatnich istniejących kominów stałyby nieruchomo w chłodnym powietrzu niczym grabarze czekający przed kościołem. Takie mieli plany. Ponieważ jednak planowali tak każdej zimy i nigdy mimo to nie udawało im się wyjechać, plan ten wydawał się snem. Każdej zimy mieli wrócić nad Coheeries, ale zawsze zdarzało się coś, co kazało im przełożyć wyjazd przynajmniej na następny rok.

Mijając Carnegie Hall, Virginia zauważyła tłum spieszący na koncert i dostrzegła na kilku plakatach, że słynna orkiestra Kanadyjczyków P. (tak brzmiała pełna nazwa) grała Amfiboliczne kaprysy do tańca Mozarta. Ponieważ dość trudno było rozszyfrować informacje z afisza, mogło to być Divertimento c-moll Mozarta i Amfiboliczne kaprysy do tańca Minoscramsa Sampsona. To wydawało się bardziej prawdopodobne. Miała już pójść dalej, kiedy tuż przed nią szybka i okrągła jak kulka rtęci, gruba istota o oczach jak szparki, zwana panem Cecilem Wooleyem, wspięła się podskokami po schodach Carnegie Hall. „Bez wątpienia – pomyślała Virginia – kwintet Jacksona Meada nie miał w repertuarze Amfibolicznych kapryсів i młody pan Wooley, amator delikatniejszych form, wymknął się podstępem, żeby pójść na koncert”. Jego krok wagarowicza mówił o nim wszystko. Cecil miał w sobie coś z uczeniaka, którego oczy wędrują to w prawo, to w lewo w rapsodycznym kłamstwie, gdy udaje, że wszedł do damskiej sauny zupełnie przypadkiem, gdyż nie przeczytał napisu na drzwiach.

Wpadła do holu. Wooley dopiero co kupił bilet i kierował się w stronę balkonów. Podeszła do sprzedawcy biletów.

– Widzi pan tego grubasa? – zapytała, pokazując na Cecila Mature’a, który ledwie przecisnął się przez drzwi. – Muszę usiąść zaraz za nim.

– Ależ droga pani – protestował bileter – musiałbym sprzedać pani bilet na miejsce czterdzieste szóste na balkonie Q. To najgorsze miejsce na całej sali. O ile pani matka nie była sową, a ojciec sokołem, niczego pani nie zobaczy, ani nie usłyszy.

– Słucham? – zawołała Virginia. – Proszę głośniej!

– Aha – odpowiedział mężczyzna w okienku i podał jej bilet.

Pobiegła po wyłożonych wykładziną schodach za Cecilem, który zipał kilka pięter przed nią. Na samej górze przystanęła na chwilę, by Cecil mógł się rozsiaść. Wtedy weszła do łoży i usiadła za nim niepostrzeżenie. Gdyby nie sześciu na wpół śpiących policjantów, Cecil i Virginia mieliby balkon tylko dla siebie. Spojrzała w dół i ze strachu aż położyła dłoń na piersi. Z jej miejsca scena wyglądała jak ciasteczko w kształcie wachlarza, po którym biegały białe i czarne mrówki.

Światła przygasły i Cecil zaczął podskakiwać w radosnym oczekiwaniu. Kiedy otworzył małe białe tekturowe pudełko, które dotąd trzymał w kieszeni płaszcza, Virginia poczuła intensywny zapach homara w sosie kantońskim. Wraz z rozpoczęciem koncertu, gdy zaczęły grać fagoty, flety piccolo i werble (ku aplauzowi fanów Mozarta i Minoscramsa Sampsona oraz policjantów, którzy klaskali automatycznie przez sen), Cecil Mature zabrał się za homara, wpychając go do ust palcami i zębami rozłupując skorupy.

Virginię wkrótce zauroczyły smutne amfiboliczne harmonie. Muzyka ta była jak pływanie na łagodnych falach albo przejażdżka na motorze po angielskich wzgórzach. Unosiła słuchaczy tak delikatnie, jakby byli rannymi żołnierzami wracającymi z wojny do domu. Było to bardzo dziwne i Cecil Mature był zachwycony. Musiał ubóstwiać taką muzykę, pomyślała Virginia, tak jak jej matka uwielbiała dzieła A.P. Clarissy. Tylko że Cecil był młody i do pewnego stopnia nieokrzesany, bo od czasu do czasu wyrzucał ręce w górę i mówił:

– Grajcie to! Grajcie! Tak!

Gdy koncert dobiegał końca, Virginia wyszła na korytarz, żeby przypadkiem wpaść na Cecila. Kiedy zapaliły się światła, Cecil wyłonił się zza rogu.

– Pan Cecil Wooley! – krzyknęła, jakby znała go od lat, udając zaskoczenie.

Stanął jak wryty, zacisnął zęby i wąziutkie oczy.

– Miło panią widzieć – powiedział z widoczną niechęcią.

Virginia mówiła dalej:

– Kto by się spodziewał, że lubi pan Minoscramsa Sampsona? To mój ulubiony kompozytor. Wie pan, że mieszkał on niedaleko miejsca, gdzie się wychowałam, w wielkim młynie nad brzegiem jeziora i każdego dnia...

Zanim Cecil zdążył się zorientować, co się dzieje, Virginia już ciągnęła go za rękę wschodnią Fifty-seventh Street. Nie mógł zaprotestować, że musi iść do domu (czy gdziekolwiek indziej), ponieważ Virginia paplała o tym i o owym, ani na moment nie puszczając jego ramienia. W istocie rozpieła go duma, że może być widziany z taką wysoką pięknnością, i pozwolilby się jej zabrać, gdzie tylko chciała. Rumienił się i mrugał z dumy i zakłopotania. Czuł się tak, jakby byli na randce. Wszyscy dyrektorzy wracający wieczorem z biur do domów mogli ich zobaczyć, a ponieważ na Fifty-seventh Street opłacało się pokazywać, czy mogło przytrafić mu się coś lepszego? Myśl o tym, że ktoś może wziąć jego i Virginię za małżeństwo, przyprawiała go o przyjemny dreszcz.

Virginia pstryknęła palcami.

– Wiem! – rzekła, odpowiadając na pytanie, które nie padło. – Chodźmy na lodowy koktajl do baru w hotelu Lenore. Podają tam wyjątkowe lody imbirowo-czekoladowe, moje dzieci wprost je uwielbiają. Może zechce pan spróbować?

Cecil zatrzymał się wpół kroku i zaczął energicznie kręcić głową.

– Co się stało, panie Wooley?

– Nie mogę – powiedział poważnym tonem.

– Czego pan nie może?

– Nie mogę. Nie wolno nam chodzić do barów, pić koktajli lodowych, jeść czekolady, rozmawiać z obcymi ani przebywać samemu nocą poza statkiem.

– Kto tak powiedział?

– Jackson Mead.

– Ale czy on musi o tym wiedzieć? – zapytała Virginia.

– Nie mógłbym.

Hotel Lenore miał przesadnie elegancki bar i powierzchowne osoby przychodziły tu,

żeby poczuć się ważne, co nie zmieniało faktu, że serwowano tu najlepsze koktajle lodowe w mieście.

– Popatrz na tę piękność z wąskookim tłusciochem – powiedział jeden z barmanów do drugiego. – Co taka ślicznotka jak ona robi z tą gumową piłką?

– A bo ja wiem – odpowiedział drugi barman. – Niektóre kobitki lubią mięso z dodatkiem zwariowanej sałatki, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Cecil, siedząc na barowym stołku, wyglądał jak kula na szczycie kolumny upamiętniającej zwycięstwo, co dzięki architektonicznej bezbłędności dawało mu nieco pewności siebie, której nie miał w innych okolicznościach. Mimo to czuł się okropnie nieswojo.

– Dwa koktajle z czekoladowymi lodami i imbirem – powiedziała Virginia. – I bardzo, bardzo, bardzo dużo specjalnego składnika. – Specjalnym składnikiem był rum.

Koktajle za sześćdziesiąt pięć dolarów powinno się podawać w mgnieniu oka i w tym przypadku nie było inaczej. Jednocześnie podano im obie porcje – łącznie warte sto trzydzieści dolarów – w wielkich jak wiadra kadziach z domu jubilerskiego Baccarat, z platynowymi łyżkami i złotymi słómkami. Cecil nie posiadał się z radości. Dziękując Virginii, chwycił za słómkę, ale pociągnąwszy tylko odrobinę zwrócił się do niej i powiedział:

– To pyszne, naprawdę pyszne, ale jest w tym coś, co przypomina mi tetryzolinę.

– To imbir – odparła Virginia i dotknęła złotą słómką swoich uroczych warg.

Z początku Cecil się wahał, ale po chwili zabrał się do picia. Virginia piła swój koktajl maleńkimi łyżkami, za to o Cecilu można powiedzieć, że byłby niezwykle przydatny, kiedy Mussolini osuszał błota pontyjskie. Jak pompa rotacyjna najwyższej klasy, mruczał w takt przyjemnej pracy i choć kadzie Baccarat, w których Lenore serwował napoje, miały specjalny zbiorniczek zapobiegający finałowemu „siuurb”, gdy dobrnęło się do dna, prędkość Cecila podważyła skuteczność tej konstrukcji i „siuurb” zabrzmiało jak eksplozja wulkanicznego pumeksu. Cecil odchylił się nieco i spojrzał na Virginę szklistymi oczami. Wypił cały galon w pięć minut, a przez rum jego oczy stały się niezwykle błyszczące. Virginia miała go teraz w garści.

Dzięki powściągliwie pitemu rumowi Virginia doświadczała teraz dobrodziejstwa rozmazanego obrazu. Czowała się teraz tak wycofana ze świata, że mogła spojrzeć Cecilowi w oczy i wyciągnąć z niego wszystko, co chciał powiedzieć, choć tak naprawdę nie patrzyła mu w oczy, bo było to zadanie trudniejsze, niż dostrzec, co żołnierze z karabinami maszynowymi z obozu wroga czytają w swoim bunkrze.

– Coś było w tym koktajlu, prawda? – zapytał oskarżycielsko.

– Kwartą rumu – odpowiedziała.

– Półtorej! – powiedział barman, który właśnie przechodził obok.

– Boże! – powiedział Cecil, przez moment zagniewany. – Dlaczego pani to zrobiła? – Wyrzucił pięść w powietrze. – To bez znaczenia. Jest zysk, jest strata.

– Co to znaczy? – zapytała Virginia.

– Nie wiem. Kiedyś pijałem kieliszek wina albo szklankę piwa do obiadu. Zauważyłem, że dzięki temu jedzenie bardziej mi smakuje, niczego nie zostawiam, lepiej mi się trawi, ale też robię się pijany. Ale tyle?! Nie wiem, co począć. Kiedy ujdzie ze mnie półtorej kwarty rumu?

– Za pół godziny.

– Ach, to nie tak źle. Ale widzi pani, teraz czuję się taki bezbronny. A gdyby nagle wszedł tu Pearly? Peter Lake by mnie nie obronił. – Oczy mu zaszczyły mgłą, a usta wykrzywiły się w grymasie bezbrzeżnego, pierwotnego smutku.

– Kim jest Peter Lake? – chciała dowiedzieć się Virginia. Kojarzyła to nazwisko jak przez mgłę.

Po twarzy Cecila pociekły łzy, odzyskał panowanie nad sobą dopiero po kilku minutach.

– Pamiętam tamte dni – powiedział. – Mieszkaliśmy wtedy w zbiornikach na wodę i na dachach. Czasami zatrudnialiśmy się gdzieś pod fałszywymi nazwiskami i dorabialiśmy w kuźni albo u mechanika. Dobrze pracowaliśmy, więc nas nie tykali. Wielebny Mootfowl wie więcej o tej robocie niż ktokolwiek na świecie, nauczył nas. Pracowaliśmy, kiedy chciał. Czasem robiłem niewielkie tatuaże i nosiliśmy cały nasz dobytek w małych kamieniarskich workach. Pogoda była wspaniała. Niebo zawsze błękitne. Gdy padał deszcz, szliśmy odwiedzić jedną z dziewczyn Petera Lake'a. Często chodziliśmy do Minnie. Zawsze spałem w drugim pokoju i słuchałem, jak trzeszczą sprężyny, kiedy oni byli w łóżku. Nie przeszkadzało mi to. Jeśli robiłem się zbyt zazdrosny, szedłem na targ. Kiedy wracałem i zaczynałem gotować, i tak było już po wszystkim, siadaliśmy więc razem przy stole i jedliśmy kabaczki. Umiałem je dobrze przyrządzić, mógłbym się nimi żywić na okrągło. Ale Peter Lake życzył sobie pieczeń wołową, kaczkę albo piwo, więc chodziliśmy do różnych miejsc w mieście. Tak właśnie zaczęły się kłopoty, kiedy Pearly rzucił w niego jabłkiem.

Virginia słuchała tej opowieści coraz bardziej zmieszana. Nie brzmiała współcześnie. Brzmiała jednak prawdziwie, choć Cecil miał zaledwie kilkanaście lat. Chciała dowiedzieć się więcej. Ale gdy miała już zadać kolejne pytanie, drzwi Lenore'a z impetem otworzyły dwa przebrane sługusy i do środka wszedł Craig Binky ze świtą pieczeniarzy i cmokierów.

Wkroczyli do środka, jakby kierowali się didaskaliaми: „Z lewej strony sceny wchodzi Craig Binky i grupa młodych arystokratycznych łajdaczków, którzy wrócili z polowania w bardzo dobrych nastrojach”. Otaczając Virginie i Cecila, zajęli wszystkie pobliskie stołki i łóża, i zaczęli zamawiać po francusku wszystkie dania po dwieście pięćdziesiąt dolarów i napoje za sto pięćdziesiąt.

– Powiedziałem premierowi – obwieszczał Craig Binky w przestrzeń: – Ten kraj potrzebuje ręki Binky'ego! Z ponad pół miliardem ludności, brakiem bogactw naturalnych i dochodzie na głowę w wysokości trzydziestu pięciu dolarów rocznie może się pan pewnego dnia obudzić z ręką w nocniku”. Oto ja, Craig Binky, rozmawiałem z przywódcą tych wszystkich milionów! I wiecie, o co mnie zapytał? Już mówię. Najbardziej interesowało go to, jak otworzyć tajne konto bankowe w Zurychu. Macie pojęcie? Ten facet to święty! Jego państwo ma tyle własnych kłopotów, a on chciał pomóc małej Szwajcarii.

Virginia zaczęła holować Cecila, pomogła mu wytoczyć się z Lenore'a. Nie było to takie łatwe, do tego Cecil nadal mówił, mimo że nie była w stanie go dosłyszeć. Dopiero kiedy stanęła na chodniku, mogła ponownie chwycić nitkę jego zwierzeń.

– ... a ponieważ tak się stało, musiałem odejść. I wtedy on zniknął. Zaskoczyło to nas wszystkich, bo Jackson Mead sądził, że ten człowiek zostanie wieczną tęczą, taką prawdziwą, która się nie kończy. Właśnie wtedy on i koń po prostu zniknęli. Mówiłem im, że Peter Lake zna miasto najlepiej ze wszystkich. Jeśli chciał się w nim ukryć, mógł przepaść na dowolnie długo. Teraz, bez niego, to wszystko na nic... Myślę, że to nie jest odpowiedni czas... Kochałem go – oznajmił Cecil już nie z płaczem, ale z pewnością. – Był dla mnie jak brat. Chronił mnie. I nigdy nie wiedział, kim jest.

Hardesty przyglądał się, jak świszczący wiatr niesie ze sobą mgłę i rozpychając jej ciche bryły, szarpie ją na białe wstęgi. San Francisco jest otoczone zimnym morzem, więc kiedy oceaniczne wiatry postanowią ukołysać miasto i powierzyć je północnej części Pacyfiku, robią to bez najmniejszego wysiłku, puszczając je w niepamięć niebieskiego nieba, białej mgły i linii

wyrytych w ciszy nad zatoką.

Z pokoju hotelowego na pięćdziesiątym piętrze widział swoje rodzinne miasto niemal w całej okazałości. Patrzył na swój dom w dzielnicy Presidio Heights, najwyższy ze wszystkich w okolicy, białą jak lodowiec wieżę wybijającą się na tle zielonego lasu Presidio. Mgła zawładnęła nim w całości, to go porzucała, to unosiła na białej fali, tak że wyglądał, jakby unosił się w chmurach, a Hardesty zastanawiał się, czy łagodne chmury rozdzielające czas i przestrzeń mają w sobie na tyle współczucia, że dadzą mu zajrzeć do środka, by mógł zobaczyć, jak siedzą z ojcem przy długim drewnianym stole, przewracając strony starej książki, a ojciec objaśnia mu jej zawilości. „Minione zdarzenia, na których wzniosło się nasze życie, muszą gdzieś być – pomyślał. – Na pewno można je odzyskać, choćby w świecie doskonałym. Powinno być tak, że naszą ostateczną nagrodą jest panowanie nad czasem, a ci, których kochamy, mogą wrócić do życia nie tylko w naszej pamięci, ale w rzeczywistości”. W wieży zapaliło się światło i jaśniało przez chwilę w ciemności, zanim mgła połknęła dom Marrattów na noc. Hardesty poczuł tęsknotę i ból, ponieważ podejrzewał, że w świetle, które mrugnęło do niego przez mgłę, była żywa, nieograniczona przez czas obecność.

Kiedy Jackson Mead opowiadał o wiecznej tęczy, Hardesty przeniósł się w przeszłość, mógł myśleć jedynie o Pacyfiku i rozciągającym się nad nim lasem, pogrążonym we mgle. Czuł, że rozwiązanie zagadki Jacksona Meada kryje się gdzieś pomiędzy sosnami Presidio, gdzie spędził połowę swego chłopięctwa, jakby mieszkał nie w wielkim mieście, lecz pośród samotnego pasma gór. Zarezerwował lot i pokój w hotelu, żeby przywołać swoją przeszłość. Nie licząc krótkiej wizyty na grobie ojca (gdzie na pewno nie spotkałby Evana), był w San Francisco jedynie po to, by wrócić do Presidio i sprawdzić, czy dzięki temu rozszyfruje słowa Jacksona Meada.

Następnego dnia w pełnym słońcu przeszedł przez miasto, kierując się na północ, aż w lesie, który tak dobrze znał, zniknęło słońce, a między drzewa wdarła się mgła siwa jak armia czarnoksiężników. Mgła gwizdała i śpiewała jak brzęcząca, nienastrojona harfa. Cienie i mgły odcięły go od świata, który miał za plecami, i Hardesty znalazł się w zagajniku delikatnych drzew, który, jak mu się zdawało, nigdzie się nie kończył. Poszedł za mgłą w przeciwną stronę, niż zamierzał, aż drzewa i ziemia zniknęły mu z oczu. Gdy przeszedł po miękkich kępach wrzosów, spostrzegł się, że stoi na skraju klifu, wysoko nad oceanem. Wiedział, gdzie jest, po dźwiękach i bryzie, ale przez biały wiatr nie mógł niczego zobaczyć. Morze stało się tak głośne, że musiał uklęknąć, by nie stracić równowagi. Wrzask wiatru popchnął go na ziemię, jak gdyby przewróciły go fale. Miał wrażenie, że płaskie podłoże wiruje, kreśląc koła w powietrzu, przytrzymał się więc mocno zielonych roślin i przyłgnął całym ciałem do piasku i wrzosów. Poczul się tam bezpiecznie i, przykryty mgłą, uciekł od zawrotów głowy i wycieńczenia w sen.

Hardesty Marratta często odwiedzał niebo w swych snach, były one niczym wszystkie płótna Bruegla złane w jeden panoramiczny obraz o nieziemskich kolorach. Teraz jednak jego sny, na pewno nie dzieło amatora, gasły i cicho wirowały ku górze. Przez chwilę nie mógł nic zobaczyć, ale wtedy mgła ustąpiła i powietrze stało się przejrzyste jak eter. Znalazł się w domu z drewna i szkła, wysoko nad błękitnym jeziorem. Najpierw nie wiedział, gdzie pójść ani co zrobić, ale wkrótce natknął się na sunącą ku niemu – właściwie lecącą – kobietę. Jej włosy powiewały wdzięcznie i wiotko na wietrze, jak gdyby istniały tylko dla powietrza i ruchu. Wyciągnęła dłonie i poprowadziła go przez złote światło, idąc z nim krok w krok (choć nie dotknęła podłoża) na wysoki taras otwarty na błękitne jezioro, które było nie tyle wodą, ile skupieniem światła. Byli jakby w kopule nieważkiego lazuru, ciągnącej się aż po horyzont, wypełnionej jeszcze innym rodzajem światła, złotym i srebrnym, lekkim, gorącym

i oślepiającym. Hardesty trzymał kobietę za ręce, kiedy z uśmiechem unosiła się przed nim w powietrzu, i próbował rozpoznać jej rysy i zapamiętać je, ale mu na to nie pozwalała. Odebrała mu wzrok swoimi oczyma. Były one jak płynny, elektryczny, jaskrawy, surowy błękit, jakiego nigdy dotąd nie spotkał, i paraliżowały, paląc go jak promienie, chłodne i parzące zarazem.

Obudził się o zmierzchu w ciemniejącym Presidio, leżąc na zimnej rosie. Deszcz rozproszył mgłę i teraz Hardesty ujrzał wodę na dole, jej szare, ciemne i brudne bałwany. Wyczerpany i obolały, czuł się jak para oczu wiszących na samych nerwach.

Gdy przemoczony do suchej nitki wracał do miasta, przeszedł pod Golden Gate Bridge. Podjazd przed bramkami na most był zakorkowany przez auta kierujące się na północ, a sam most wyglądał jak delikatnie wygięty łuk z pałających czerwonych oczu. Było ciemno, mokro i mgliście jak we wczesny zimowy wieczór na Manhattanie po całym dniu opadów śniegu z deszczem.

Hardesty znalazł mały, zapomniany park niedaleko na wschód od bramek. Pośrodku wyłożonego kamieniem placu znajdowała się głowa z brązu wzniesiona na cokole. Hardesty był tak wyczerpany, że się o niego oparł. Pomyślał, że to złe miejsce na posąg, skoro park jest właściwie niedostępny dla przechodniów, i podszedł do pomnika od przodu, żeby zobaczyć, kogo upamiętnia. Choć było już ciemno, zdołał odczytać napis.

JOSEPH B. STRAUSS

1870–1938

Ominął akapit mniejszych liter i skierował wzrok niżej, ku pojedynczej linijce:

GŁÓWNY INŻYNIER GOLDEN GATE BRIDGE

1929–1937

Powrócił wtedy do akapitu napisanego mniejszymi literami i przeczytał inskrypcję z brązu, cierpliwie trwającą tam bez ruchu przez większą część stulecia. Miał dobre przeczucie. Widział ją już wcześniej. I teraz, nawet w półmroku, nieostry brąz liter wydawał się jasny jak słońce.

TU, W GOLDEN GATE, ZNAJDUJE SIĘ

WIECZNA TĘCZA, KTÓRĄ WYMYŚLIŁ

I NADAŁ JEJ KSZTAŁT. PRAWDZIWA PRZYSIĘGA,

ŻE LUDZKOŚĆ

PRZETRWA WIEKI.

Jak spadochroniarz na moment przed skokiem Hardesty na chwilę zamknął oczy. Gdy je otworzył, z powściągliwym i ironicznym uśmiechem uniósł wzrok i napotkał spojrzenie Jacksona Meada, który cały czas był tam we mgle, patrząc w stronę San Francisco od ponad sześćdziesięciu lat. Hardesty był pewien, że w innych miejscach stały inne posągi z innymi nazwiskami, ale tak samo daleko sięgające wzrokiem.

W jednej z sal muzeum, do którego rankiem udał się Hardesty na spotkanie z Jacksonem

Meadem, znajdował się ogromny obraz przedstawiający naukowców przy pracy na dworze Fryderyka Wielkiego. Władca stał w towarzystwie kilku mężczyzn i skomplikowanego sprzętu laboratoryjnego, pozując bohatersko w czarno-szarym okryciu.

Kiedy asystent poinformował go, że może się teraz zobaczyć z Meadem, Hardesty poszedł korytarzem, którego ściany i podłogi były wykonane z beżowego kamienia o łagodnym połysku, często spotykanego we wnętrzach muzeów. Hardesty, którego od kilku dni przepełniała pewność siebie, nagle poczuł się tak, jakby zmierzał na audiencję u Fryderyka Wielkiego, i był bardzo zaskoczony, zdając sobie sprawę, że być może to spotkanie ma właśnie takie znaczenie. Ani Mootfowla, ani pana Cecila Wooleya nie było, a sztalugi i obrazy zostały usunięte. Jackson Mead siedział z dala od swojego biurka na prostym krześle z drewna i trzciniowej plecionki. Pod sztucznym marcowym światłem, paląc fajkę z tytoniem wiśniowym, wyglądał na pogrążonego w zadumie i życziwego. Wskazał Hardesty'emu miejsce. Kiedy ten usadowił się wygodnie na kanapie z szarego gnieczonego weluru, wyciągnął swoją fajkę, napełnił ją, zapalił i zaczął pykać w ciszy.

Po pewnym czasie utkwiał wzrok w podłodze i powiedział:

– Czasem robię się taki zniechęcony – po czym wrócił do pykania, jakby nie wypowiedział żadnego słowa.

– Czyżby? – odezwał się Hardesty.

– O, tak. Głęboko zniechęcony. Projektowanie wielkich konstrukcji nie jest takie łatwe. To jak panowanie nad imperium. Jeśli sztuka, pasja i szczęście nie złączą się w idealnej harmonii, wszystkie elementy rozchodzą się w swoją stronę. No i jeszcze ci przeciwnicy. Zawsze mam wrażenie, że tropi mnie jakiś szlachetny w złym rozumieniu elitarysta usiłujący chronić przede mną i moimi działaniami ludzi, nad którymi, jak mu się zdaje, zawsze będzie mieć władzę, czy też klika samozwańczych intelektualistów, których umysły zgorzkniały od przeżuwania marksowskich kamieni żółciowych przez dekady. Wydaje się na przykład, że pana przyjaciela Praeger de Pinto, któremu zresztą bardzo daleko do fotela burmistrza, oparł swoją kampanię na mnie. Dlaczego po prostu nie zostawi mnie w spokoju? Nie mam zamiaru krzywdzić jego owieczek.

– Praeger nie należy do elitarystów, o których pan mówi – zapewnił Hardesty. – Nie znam nikogo o bardziej egalitarnych poglądach.

– A więc jest marksistą.

– Ależ skąd. Marksisci to ludzie, których wciąż coś gryzie, ponieważ chcą rządzić światem, a nikt im nigdy nie opublikuje nawet listu do redakcji. Praeger jest w redakcji. Poza tym wychował się w dzielnicy nędzy. Wie pan równie dobrze jak ja, że w tym kraju marksizm jest religijną namiętnością klasy średniej.

– Dlaczego więc z takim uporem mnie śledzi? Która z jego zasad nakazuje mu się wtrącać w moje sprawy? Ani miastem, ani cywilizacją nie mogą rządzić ci, którzy je krytykują. Krytycy nie potrafią ani budować, ani odkrywać. Tak naprawdę mówią tylko „tak” lub „nie” – i wszystko komplikują. (Oczywiście nie krytycy literaccy. Od nich lepsze są tylko anioły).

– Nie śledzi pana z powodu żadnej zasady. Chodzi za panem, bo jest ciekawy, nic więcej. Jackson Mead westchnął.

– W końcu zaspokoję jego ciekawość, ale potrzebny jest czas, by wszystko znalazło się na swoim miejscu. To moja jedyna szansa.

– Wiem – powiedział Hardesty. – Należy doprowadzić tory kolejowe z miejsc, w których wytwarzana jest stal. Należy postawić doki i pomosty rozładunkowe. Należy zgromadzić narzędzia i stopy i je przetransportować.

Jackson Mead wyjął fajkę z ust. Zastanawiał się, czy to wszystko, co wie Hardesty i postanowił uznać, że tak. Ale Hardesty mówił dalej. Siedział rozparty na welurowej sofie, a jego włosy lśniły w sztucznym oświetleniu udającym światło dzienne.

– Musi pan uzyskać zgodę na wywłaszczenia i przesiedlić Bóg tylko raczy wiedzieć ile osób. Trzeba opustoszyć fabryki, domy i budynki handlowe. Wtedy będzie pan mógł kłaść fundamenty. Wszystko musi przebiegać zgodnie z prawem, zanim zacznie pan budować ten most, panie Mead, bo ta wieczna tęcza rozwścieczy miasto. Pan planuje coś znacznie wspanialszego niż wszystko, co było do tej pory, i świetnie pan wie, że ludzie nie lubią czuć się gorsi ani zostawiani w tyle, kiedy ktoś taki jak pan zaczyna budować drogę do przyszłości. Dawno temu palono młyny, a filozofów łamano kołem. Dzisiaj ludzie uważają, że mają obowiązek upokorzyć budowniczych, obezwładnić ich i przewrócić na ziemię, a na dodatek sprawia im to wielką przyjemność.

– Nienawidzę ich! – wrzasnął Jackson Mead, po czym wstał i zaczął się przechadzać. – Nie rozumieją, że mamy upoważnienie. Nie mogę tak po prostu zrezygnować z budowania: to mój obowiązek. Wszystkie silniki, mosty i miasta, które tworzymy, same w sobie są niczym. Pokazują tylko przestrzennie, co myślimy o czasie, są jak odstępy między nutami w muzyce. Dlaczego zatem ludzie tak się przeciwko nim buntują? Dlatego że to symbole i dzieła wyobraźni, która jest siłą wprowadzającą sprawiedliwość i znaczenie historyczne w niedoskonałym świecie. Bez niej nie moglibyśmy podważać oczywistości ani wznosić się ponad samych siebie. Ale proszę spojrzeć, już uruchomiłem maszynę! Swoim ruchem popycha nas powoli do przodu i kiedy się wzniesie, my też wzejdziemy. To wschodzenie, panie Marratta, zwieńczy dotychczasową historię i rozpocznie epokę, która już od dawna istnieje w wyobraźni. Maszyny doskonale kwestionują to, co pewne. Nie powinny się przemieszczać, ale to czynią. Obracają się, ruszają i nigdy się nie zatrzymują (zawsze gdzieś pracuje jakiś silnik) jak pokolenia srebrnych serc, w których wciąż tli się wiara w świat i tkwi obraz nieprzerwanego, wspaniałego buntu.

– A co z prawdziwymi sercami? – zapytał Hardesty. – Co z tymi, którzy stają panu na drodze? Nie ma nic wspanialszego niż to, co może dziać się w skromnych sercach ludzi niedorastających do pięt tym, którzy są w stanie postawić tysiąc mostów w tysiącu portów.

– W ich sercach drzemie potencjał, by wznieść tysiąc mostów. Moje realnie wznosi jeden. Czyja zasługa jest większa?

– Świat potrzebuje obu rodzajów serc tak samo.

– Owszem. Ich droga jest być może sprawiedliwsza od naszej. Ostatecznie jestem ich służącym. Ale żebym mógł im służyć, najpierw muszę być ich panem. Poza tym nie mam wyboru, prawda? Wszystko to wydarzyło się już wcześniej. Rzucimy się na siebie jak psy i ostatecznie ja zwyciężę. Wygra mocniejszy, bo kości świata są z kamienia i stali. – Zatrzymał się przed Hardestym. Z ich fajek wydobywały się równe obłoki białego dymu. – Jak się dowiedziałeś?

– Kilkunastu naszych ludzi poświęciło tej sprawie cztery miesiące pracy, ale w końcu olśniło mnie przypadkiem. Natknąłem się na pomnik Josepha Straussa, głównego inżyniera Golden Gate Bridge. Kiedy spojrzałem mu w oczy, pan odwzajemnił mi spojrzenie.

– Zbieg okoliczności. Znałem Straussa. Byliśmy do siebie podobni, choć wtedy, za czasów młodości, jeszcze nie tak bardzo, jak pewnie teraz.

– Wszystko jedno – odparł Hardesty. – Dzięki temu zrozumiałem, co ma pan na myśli, gdy mówi pan o wiecznej tęczy.

– Czy inni też wiedzą?

– Nie.

- A za kim pan jest? Za Praegerem de Pinto czy za mną?
- Nie wiem. Wydaje mi się, że teraz sprawy są w równowadze, i mam przeczucie, że tak powinno się je zostawić. Chciałbym wiedzieć, co jest na tym zakotwiczonym statku.
- Narzędzia i materiały do budowy mostu.
- Zapewne nie są typowe.
- Nie myli się pan.
- Jak pan nazwie ten most?
- To bez znaczenia, ale nazwiemy go Battery Bridge.

BIAŁY KOŃ I CZARNY KOŃ

Podczas gdy Hardesty Marratta i Jackson Mead rozprawiali o przyszłości, rytm miasta biegł swoim cichym torem. Niemal całkowicie odporni na zmianę pór roku i zapomniani przez historię mieszkańcy dzielnicy nędzy walczyli o przetrwanie w wiecznym imperium rozciągającym się od Manhattanu aż do morza nad rozległymi gruzowiskami, nad którymi – niczym miejskie mury – wznosiły się fabryki wypuszczające z kominów węzowe wstęgi czarnego dymu. Niezależnie od tego, jak długo Hardesty Marratta i Jackson Mead rozmawialiby w wiecznym marcowym świetle sali muzealnej, dzielnica nędzy była wciąż taka sama i miała taka pozostać. Była jak odbezpieczony pistolet, lufa strzelby w ustach tych, którym wydawało się, że nie muszą klękać, by dostać się do nieba, bo wjadą tam karocą.

Biały koń wytrzymał w kieracie czternaście miesięcy, podczas których przetrwał kilku właścicieli i zignorował wiele okazji do ucieczki. Maszerując przed siebie w transowych kręgach, stracił poczucie czasu, a zaczął wierzyć, że nakręca sprężynę wieczności, przy której ci z gwieździstych łąk muszą terminować często i długo. Kierat musi wciąż się obracać, tak jak młyn mielący sól ziemi. Sądził, że już prawie skończył, i bardzo chciał, żeby jego walka z nieskończonością się dokonała. Pracował pod belką, żeby się zniszczyć i wrócić tam, skąd przyszedł, ale dzięki temu wciąż nią obracał, przeciwstawiając się śmierci.

Czasami, o najdziwniejszych godzinach – ponieważ dzielnica nędzy od dawna już nie podlegała rytmowi dnia i nocy – nad płotem z desek oddzielającym Athansora od ulicy, której i tak nie mógł zobaczyć, wychylały się głowy. Dzieci gapiły się na niego. Pijacy wydawali się zdumieni, że ma czelność być koniem. Uciekający przestępcy lub ci, którzy dopiero co skradli torebkę, uśmiechali się do niego, jakby sugerując, że jest jednym z nich. Głowy pojawiały się nagle o czwartej nad ranem albo w południe i często coś do niego mówiły. Być może dlatego, że uważały go za gorszego od siebie, pokazywały się od najgorszej strony – okrutnej, wulgarnej, a zarazem bezbronnej. Najbardziej drażniące w tych marionetkach było to, że ich słowa i czyny były tak błahe. Athansor życzył sobie wręcz, żeby zza płotu wyłoniła się głowa, która dałaby mu powód do zmartwienia.

Choć jego życzenie było tylko częściowe, zostało spełnione. Październik był niespotykane mroźny i wszyscy zdawali sobie sprawę, że nadchodząca zima będzie apokaliptyczna. Pewnego wieczoru, kiedy północny wiatr zamrażał wodę w beczkach z deszczówką, Athansor jak zwykle obracał belką. Kiedy mijał płot, poczuł, że ktoś mu się przygląda spomiędzy desek. Wykonał kolejne okrążenie. Choć nie przystanął ani razu przez czternaście miesięcy, znieruchomiał pod spojrzeniem mężczyzny. Jego nozdrza nadęły się, a oczy cofnęły w oczodoły.

Wciąż przypięty do kieratu, wyprostował się do swojego pełnego wzrostu, łamiąc drewnianą belkę i zrywając się z uprzęży, stanął dęba i zarżał niczym koń bojowy. I mimo że przebierał kopytami, oczy mu błyszczały i wprawił ziemię w drżenie, nie przstraszył mężczyzny, który łokciami opierał się o płot.

Intruz uśmiechnął się, jego oczy załśniły elektryzująco i prześwidrowały ciało Athansora. Posypały się iskry i zagrzmiało.

– Nawet nie wiesz, koniu, jak długo cię szukałem – powiedział mężczyzna. Podniósł lewą dłoń, rozczapierzył palce, a kciuk przycisnął do wnętrza dłoni. – A teraz, gdy cię już znalazłem, mam nadzieję, że jesteś porządnie zdziwiony.

Athansor oswobodził się ze strzępów uprzęży i staranował płot, przewracając nie tylko

Pearly'ego Soamesa, ale i stojącą za nim sporą, ubraną w łachmany bandę.

– Tak jest, ty marmurowy draniu – powiedział Pearly, kiedy Athansor galopował w stronę pustych parceli i lasów pełnych martwych, roztrzaskanych drzew. – Znajdź go dla mnie. Zaprowadź mnie prosto do niego.

Dwudziestego października spadł śnieg. Nie była to ani szalejąca śnieżna burza, ani lekkie próśnienie. Ziemię pokryła warstwa białego, świeżego puchu, gruba na prawie półtorej stopy, która nie stopniała, jak zwykle bywało wczesną jesienią, ale nieustraszenie pozostała na miejscu, podczas gdy znad Kanady nadciągał paraliżujący sen o zerze bezwzględny, zamieniając zimowe niebo w kruchy niebieski łuk. Maszyny do odśnieżania stały nienaoliwione w garażach, a ulice zostały zasypane, jako że burmistrz Gronostaj wydał dekret, że jezdnie i chodniki nie będą posypywane solą ani piaskiem.

– Do diabła! – powiedział, podkreślając swoje słowa imponującą przedwyborczą gestykulacją. – Jeśli natura uważa, że jesteśmy drugim Jukonem, poradzimy sobie z tym. Odśnieżania nie będzie, szkoły zostaną zamknięte, a ci, którzy nie pracują w podstawowych służbach publicznych, nie muszą przychodzić do pracy.

Tylko częściowo naigrawając się z tego dekretu, Praeger de Pinto opublikował oświadczenie, w którym obiecał, że jeśli zostanie wybrany na burmistrza, miasto czekają najpiękniejsze zimy w jego historii, przez długie miesiące będzie się można cieszyć białym śniegiem i błękitnym niebem, sanie i narty staną się zwykłymi środkami transportu, na ulice powrócą konie, w każdym domu znajdzie się kominek, czarne noce rozświetlą miliony gwiazd, łyżwiarze będą mogli ślizgać się po rzekach, w parkach będą płonąć ogniska czerwiejsze niż żurawina, a śnieg będzie padał niemal nieustannie w oszłamiających zimowych piruetach i walczykach, aż wszystkim zakręci się w głowie z radości.

Ludzie najpierw się zdziwili, potem wezbrała w nich wrogość, aż wreszcie powoli zaczęli mu wierzyć. Nazywali go „apostołem zimy”, „królem śniegu” i „świętym tatkiem”.

Praeger z całą pewnością nie był chciwy. Pragnął wygrać wybory, ale nie miał zamiaru stawać na głowie, by tego dokonać. Dlatego, nawet jak na najczarniejszego z czarnych koni, jego kampania była dość nietypowa. Popierał go Craig Binky, ale że mieszkańcy właśnie przeżywali okresowy przypływ złości na tego uznanego wydawcę, niewielkie znaczenie miał fakt, że uśmiechnięta twarz Praegera widniała na każdej stronie „The Ghost” albo że Craig Binky pojawił się w programie telewizyjnym, by ogłosić świętoszkowato:

– Głosujcie zgodnie z waszym sumieniem. Głosujcie na de Pinto.

Praeger rozpoczął kampanię z sześcioma procentami głosów, podczas gdy niezależny kandydat Crawford Bees IV miał trzynaście procent, a burmistrz Gronostaj – osiemdziesiąt jeden procent.

Sytuacja ta nie tylko nie zniechęcała Praegera, ale wręcz dodawała mu entuzjazmu, udzielającego się wyborcom. Podczas gdy większość polityków, w tym burmistrz Gronostaj, szybko zaczynała składać obietnice, których nigdy by nie dotrzymała, takie jak czyste ulice albo zwalczenie przestępczości, Praeger obrał zupełnie inną strategię i dzięki niej pozostawił konkurentów daleko w tyle. Burmistrz Gronostaj mógł na przykład powiedzieć na ulicznym zgromadzeniu, że w następnej kadencji wyśle w miasto trzydzieści procent więcej policjantów, poprawi procedury wywozu śmieci i obniży podatki. Oczywiście wszyscy wiedzieli, że po wyborach, bez względu na to, kto wygra, na ulicach pojawi się trzydzieści procent mniej policji, stosy śmieci będą się tylko piętrzyć, a podatki wzrosną. Ale i tak bili brawo.

Crawford Bees IV rzucał mieszkańcom inne zestawienia liczb, na co i jemu grzecznie klaskano.

Ale wtedy na scenę wkroczył Praeger de Pinto. Nigdy nie mówił o śmieciach, elektryczności czy policji. Mówił tylko o zimie, koniach i wsi. Niemal hipnotycznym tonem opowiadał o miłości, lojalności i estetyce. I kiedy już wszystkim zaczęło się wydawać, że jego głos słabnie, stał się bardzo stanowczy, jak przystało na kogoś z Havemeyer Street. Ugodził burmistrza, wytykając mu spiskowanie z Jacksonem Meadem. Wymierzał ciosy w bolące miejsca. Był niebywale okrutny (wyborcy to uwielbiali), po czym znów przybierał oświeconą pozę, sprawiając, że tłumy kołysały się w tęsknocie za czystością zimy. Obiecywał im romanse i wyścigi sań, biegi narciarskie na głównych ulicach i paraliżujące śnieżyce wyjące za oknami, podrywające serca do tańca.

Ludzie myśleli, albo było tak wtedy przyjęte, że jeśli już muszą być okłamywani, to przynajmniej wybiorą sobie kłamcę, który zmyśla najlepiej. Ponieważ opowieści Praegera o świecie, jakiego pragnął, sprawiały, że usta same im się otwierały, a serca zaczynały bić szybciej, powoli wspinał się w rankingach. W napadzie paniki burmistrz Gronostaj składał dzikie deklaracje o śmieciach i podatkach. Praeger nie tracił głowy i przemawiał z niedoścignętym urokiem, oszałamiając elektorat wizjami sprawiedliwości i rajów.

– Nie możemy pojechać nad jezioro Coheeries, a przynajmniej nie dziś. Drogi na północ są zablokowane, a trasy kolejowe nieprzejezdne, bo pociągi do odśnieżania nadal nie wyjechały – oznajmił Hardesty, wróciwszy do Yorkville w mroźną październikową sobotę, którą spędził, jeżdżąc na nartach z miejsca na miejsce w poszukiwaniu informacji.

– Kogo obchodzą pociągi – odparła Virginia lekceważąco – albo to, czy drogi są zablokowane?

– Jak więc twoim zdaniem mamy się tam dostać? – zapytał.

Spojrzała na niego, jakby był idiotą, i odparła:

– Saniami.

– Saniami?

– Tak. To, że nie są przydatne w San Francisco, nie oznacza, że nie przydadzą się tutaj.

– Nasłuchałaś się za dużo mów wyborczych Praegera. Założę się, że będziesz na niego głosować.

– Oczywiście, że będę – odpowiedziała mu. – I ty też. Idź znaleźć sanie. Ja przygotuję dzieci.

– Jakie sanie? Skąd niby mam je wziąć? – zapytał.

– To już twój problem, tylko nie zapomnij postarać się o konia, który będzie je ciągnąć, oraz siano, owies i koc dla niego. Podróż do Fteleya może nam zająć nawet kilka dni.

– Fteleya?

– Pospiesz się! – nakazała.

Wrócił o zmierzchu z pięknymi saniami i miękką nową uprzężą oraz mieniącymi się srebrno lejcami. Zaprzęzona do nich była pełna gracji klacz, czarna jak obsydian.

– Nie możemy teraz wyjechać – stwierdził. – Za kilka godzin będzie już zupełnie ciemno.

– Ależ tak to się właśnie robi – powiedziała. – Nocą, kiedy przy pełni księżyca cały świat jest biały.

Abby przysłuchiwała się ich rozmowie i postanowiła nie brać udziału w nocnych kuligach nad jezioro Coheeries. Poszła do kuchni, wzięła z kredensu pięć bułek i pół funta czekolady, po czym skryła się na najwyższej półce bieliźniarki, gdzie zamierzała zostać do czasu, gdy będzie musiała iść na studia.

– Gdzie jest Abby? – spytał Hardesty Martina.

– Nie wiem – odparł Martin. Doskonale wiedział, gdzie jest siostra, nie chciał jednak

zdradzić miejsca kryjówki, bo sam je wymyślił.

Nerwowo szukali Abby przez dwie godziny. Myśleli, że może spadła z balkonu, ale oczywiście tak się nie stało. Pukali do mieszkań sąsiadów, pytali o nią w okolicznych sklepach i sprawdzali nawet w bielizniarce, ale dziewczynka znalazła sobie schronienie za górną półką i skryta za wałem ochronnym z poduszek, nie odpowiadała na wołania Martina, choć zdawała sobie sprawę, że brat doskonale wie, gdzie ona jest.

W końcu skończyło się jej jedzenie i została przyłapana, jak wymyka się z kuchni ze świeżym kawałkiem ciasta w ręku. Gdy zobaczyła rodziców, zaczęła uciekać, krzycząc:

– Nie chcę jechać!

– To dlatego nie mogliśmy cię znaleźć? – huknął Hardesty. – Schowałeś się przed nami?

– Nie chcę jechać! – krzyknęła w odpowiedzi i skryła się pod stołem w kuchni, pod którym mogła stać, nie schylając głowy.

– Przykro mi, ale będziesz musiała – powiedział jej ojciec, przykucając. – A teraz wyjdź, bo musimy cię ubrać w kombinezon i wyjechać, zanim zrobi się za późno.

– Nie.

– Abby, chodź tutaj! – powiedział pstrykając palcami. Dziewczynka była przerażona, ale ani myślała się ruszyć.

– Zaraz sam cię stamtąd wyciągnę – zagroził, tym razem udając, że się gniewa, bo jej mina, mała, żółta, rozkloszowana sukienka i delikatne, intensywnie niebieskie oczy wyrażające bunt ogromnie go wzruszyły. Mimo to uklęknął i sięgnął pod stół. Rzuciła w niego ciastem, ale nie trafiła – przejechało po kuchennej podłodze. Wtedy ją chwycił. Dwie minuty później stała ubrana w kombinezon, przytulając Teddy’ego – pluszowego szarego króliczka z oczami z czerwonych guzików i w ubranku z kraciastej bawełny, prezent od Harry’ego Penna.

Na sanie zapakowali prowiant i prezenty dla pani Gamely, po czym wdrapali się na przednie siedzenie. Hardesty powoził, Virginia usiadła obok niego z Abby na kolanach, a Martin zajął miejsce z tyłu, z batem w ręce. Został pouczony, żeby nie bić konia, tylko delikatnie klepnąć go w zad, kiedy Hardesty każe mu to zrobić. Abby owinięta była w kokon wielkości melona, sporządzony z futra i puchowej kołdry. Jej buzia, ledwie wystająca zza srebrnego futrzanego kołnierza, wyglądała jak twarz Eskimosa, a jej oczy wędrowały to w jedną, to w drugą stronę w pełnym ufności oczekiwaniu. Martin, jak dziecko koczowników, miał na sobie skórę z foki i futro kojota. Jego matka ubrała się w sobole futro, Hardesty zaś po raz kolejny założył kurtkę z baraniej skóry, którą przywiózł z Gór Skalistych. Aż do pasa przykrywał ich gruby wełniany zielony koc.

– Mamy wszystko? – zapytał Hardesty.

– Mhm – mruknął Martin.

Virginia pokiwała głową.

– W porządku – powiedział Hardesty. – No to nad jezioro Coheeries!

Strzelił lejcami i sanie ruszyły naprzód. Klacz była silna i wypoczęta, i wydawało się, że pragnie tej nocnej podróży, zwłaszcza że jako koń dobrze wiedziała, jak jasno będzie świecił im księżyc.

Pojechali przez park w akompaniamencie dzwoneków przypiętych do sań i szybko znaleźli się na Riverside Drive. Kierowali się na północ, gdy za klifami Palisades ostatni skrawek słońca zniknął jak topniejąca sztabka złota, gorąca jak ogień. Rzekę dławili dryfujące kry i bryły lodu. Marrattowie jechaliby saniami wzdłuż Riverside Drive zupełnie bezszelestnie, gdyby nie stłumiony tętent kopyt i ciche, opętańcze brzęczenie dzwonek. Widzieli zapalające się w budynkach światła. Minąwszy porzucone budki strażnicze, wjechali na Henry Hudson

Bridge i dalej, na zupełnie opustoszałe białe ulice.

W niewielkiej dolinie Westchester dostrzegli łunę na niebie między dwoma wzgórzami. Koń instynktownie przyspieszył i kiedy wyjechali pomiędzy wzgórz na małą równinę pogrążonych w śniegu ogrodów i niewielkich poletek, zobaczyli, jak w sadzie ukrywa się księżyc, gotowy, by wdrapać się po gęstych gałęziach, aż jego lekko perłowy kolor zamieni się w lśniąca biel. Kiedy chłodna kula zawisała nad delikatnymi, czarnymi koronami drzew, wydawała się tak blisko, że Abby wyciągnęła rączki i próbowała ją chwycić.

Później księżyc zajął płynnie swoje zwykłe miejsce między gwiazdami i Marrattowie pognali na północ pośród mrocznych cieni jego białej poświaty.

Gdzieś w okolicach Dutchess, kiedy księżyc osiągnął szczytowy punkt, a dzieci smacznie spały, znaleźli się wśród niewielkich kotlin i miejsc, gdzie było ciemno jak w grobie. Na kamiennych murkach i obumarłych drzewach siedziały śnieżne sowy i orły niczym samowolna warta górskiej fortecy. Droga zaczynała być za trudna i za stroma dla eleganckiego konia urodzonego i dorastającego w Belmont.

– Na tamym rozgałęzieniu skręć w lewo – wskazała drogę Virginia.

– Poznajesz to miejsce? – zapytał Hardesty.

– Znam taki teren. Przypomina góry, które prowadzą do miasteczka Coheeries. Taka droga musi prowadzić nad rzekę. Klacz jest zmęczona, bo nie przywykła do wzniesień i ma za cienkie nogi, żeby biec całą noc po wzgórzach. Nasze konie są masywne i mogą iść cały tydzień bez chwili odpoczynku, tak jak niedźwiedzie polarne, które potrafią pływać w morzu przez miesiąc, albo foki migrujące z Alaski do Japonii. Jeśli chcemy, żeby przetrwała noc, musimy jej znaleźć płaski teren. Zabierzemy ją na skutą lodem rzekę.

– Wiśta! – krzyknął Hardesty niezupełnie tak, jak robili to miejscowi woźnice. Strzelił głośno lejcami ze sprężystej skóry i klacz z Belmont skrzyła w lewo.

Nad rzeką zrobiło się jeszcze ciemniej. Było to prawdziwe siedlisko sów i orłów, miejsce pełne tajemniczych odgłosów kojarzących się z pohukiwaniem nurów. Ze strachu czarny koń biegł niemal na palcach, przeklinając dzwonki zdradzające położenie sań duchom o głowach z dyni, lypiącym na nich spomiędzy skał. Jedynym sposobem, by nie zgubić drogi, było podążanie za delikatnie oświetlonym niebem wylaniającym się spomiędzy drzew. Pasażerowie sań i koń unieśli głowy, by spojrzeć na bladą, pudrową ścieżkę nad ich głowami. Gdyby przed nimi wyrósł nagle postawiony w poprzek mur, wpadliby na niego. Na drodze nie było jednak żadnych przeszkód i mogli spokojnie sunąć po wijącym się szlaku, odczytując kierunek po drzewach i niebie.

Zbliżywszy się do brzegu rzeki, ujrzeli białą autostradę na pokrytym śniegiem lodzie. Klacz wiedząc, że lód ją utrzyma, weszła na taflę, pokonując przeskok między gruntem a lodem z łoskotem, który obudził dzieci. Hardesty gwizdnął i klacz skierowała się na północ. Po chwili poczuła przyjemność i spokój, i złapała tempo, w którym gładko pokonywała kolejne mile. Śnieg pokrywał prawie całą rzekę, ale tam, gdzie rozwiął go wiatr, olśniewające jeziora srebrnego lodu odbijały mechaniczny ruch księżyca. Góry po zachodniej stronie rozciągały się na horyzoncie pasmem białych szczytów, które wraz z obniżaniem się księżyca coraz bardziej przypominały wędrujące ku niemu schody.

– Patrzcie – powiedział Hardesty do dzieci, a dostrzegając, że Abby nie widzi, dodał: – Popatrz tam, Abby. Te góry to schody na księżyc. Chciałabyś się po nich wspiąć? Musimy tylko skrzyć w lewo, zanim księżyc zniknie za ostatnim stopniem...

Gdy dzieci dumaly nad propozycją ojca, księżyc oświetlał ich buzie. Siedząc na najwyższym schodku górskich schodów, wyglądał tak okazale, perłowo i urzekająco, że

pokiwały głowami. Tak, chciały się tam dostać. Porzucą ziemię, którą i tak ledwie znają, dla okrągłego, wiecznego miejsca, gdzie wszystko lśni kremowosrebrną poświatą. Chętnie weszłyby po górskich schodach do innego świata i bardzo je zasmuciło, kiedy szansa przepadła, bo księżyc, zawsze wierny swoim zobowiązaniom, zniknął za ciemniejącą lodową balustradą.

W ciągu godziny temperatura spadła tak, że mogły tworzyć się kryształki, a rzeka rozwinęła się w długi, prosty odcinek, obiecujący doprowadzić ich do zorzy polarnej (gdyby tylko chcieli podążać nim do końca). Z zadowoleniem słuchali więc szumu płóz ocierających się o śnieg i lód, myśląc że pozostało im jedynie odnaleźć zjazd, ominąć gospodę Fteleyów i mieć nadzieję, że pokonają niewidoczną geograficzną baryłkę, które kryła w sobie jezioro Coheeries. Nikt jednak nigdy nie dotarł tam bez wysiłku.

Zbliżali się do jednego z dopływów Hudsonu, który miał tak szybki nurt i źródło w tak wysokich skałach, że nigdy nie zamarzał. Słyszeli go już wiele mil wcześniej, a teraz z bliska zobaczyli, jak spada z hukiem długimi, gniewnymi sznurami spienionej wody. Z trudem odwrócili od niego wzrok, nie zauważając, że wezbrane wody wybiły w lodzie małe jeziora. Niczego nie podejrzewając, galopowali naprzód, prosto w jedną z wąskich szczelin.

Klacz wpadła do rzeki, rozpryskując wodę na boki, i pociągnęła za sobą sanie, które upadły z donośnym hukiem. Zarówno zwierzę, jak i sanie nie przewróciły się i unosiły się na wodzie. Dzięki sile ciągu i wrodzonemu instynktowi klacz wydostała się z przerębla i stanęła na lodzie czterema nogami. Z najwyższym wysiłkiem wspięła się na lodowy brzeg, który wytrzymał jej ciężar.

Nie udało jej się jednak wyciągnąć sań na lód, mimo że próbowała ze wszystkich sił. Hardesty miał już wysadzić wszystkich na lód, by następnie odpręgnąć klacz, zanim obciążone wodą sanie pociągną ją na dno, kiedy nagle poczuł, jak lód dudni od kroków. Zanim zdążył się odwrócić, coś wielkiego przeleciało mu nad głową i wylądowało obok słabnącej klaczy.

Ogromny biały koń przybył nie wiadomo skąd i pociągnął klacz za sobą do przodu, jakby znajdowała się w jego polu magnetycznym. Zanim Hardesty zdążył się zorientować, co się dzieje, sanie znalazły się na lodzie, a po chwili rozpoczęły dziki wyścig. Biegając razem z ogierem, klacz ciągnęła sanie jak maszyna. Marrattowie skulili się z zimna, a dwa konie – niemal widmo czerni i bieli – rozpędziły się do niemożliwej wręcz szybkości. Stalowe płozy sań świeciły od ciepła i zamieniały drogę w wodę. Konie mknęły tak szybko, że omal nie roztrzaskały sań, które trzęsły się i skrzypiały, przestraszając małą Abby.

Wtedy, bez ostrzeżenia, skręcili w lewo w góry, mijając gospodę Fteleyów ze świstem, który zerwał drzwi z zawiasów. Wznosili się lekko, jakby zjeżdżali w dół, pozostawiając za sobą ogony iskier i kałuże mokrego śniegu na opustoszałych zakrętach górskiej drogi.

Wspięli się nad największą przepaść i zlecieli na bezkresną równinę miasteczka Coheeries. Virginia nie posiadała się ze szczęścia, gdy zobaczyła w oddali sznur świetlistych pereł – miasteczek nad jeziorem, ich ognisk i lamp płonących w szarówce poranka, jeszcze przed wschodem słońca.

Konie mknęły po prostej drodze równiny. Hardesty i Virginia byli przekonani, że biały koń to tylko złudzenie wywołane zimnem i zawrotnym tempem wirujących gwiazd, ponieważ kiedy odłączył się od klaczy, wzbił się w górę niczym biały płomień. Nawet po tym jak zniknął, klacz utrzymała tempo aż do wschodu słońca i łagodnie ciągnęła Marrattów przez kłębiący się ocean zasypanych śniegiem pól, które rozpościerały się wokół jeziora.

Wjechali do wioski tak jak często robili to obcy podróżnicy – wstrząśnięci, wyczerpani i upojeni szczęściem. Zanim udali się do domu pani Gamely, minęli Daythila Moobcota, który ciągnął sanie wylądowane drewnem na opał.

– Daythril! Jak się miewa moja matka?

– W porządku – odkrzyknął Daythril. – Mam nadzieję, że przywiozłaś słownik.

Nowy Jork zawsze był miastem skazanym na władzę dandysów, złodziei i mężczyzn podobnych do jajka na twardo. Miejscowi politycy byli ludźmi celującymi w dolewaniu oliwy do ognia, posypywaniu ran solą i noszeniu drzewa do lasu. Ich rządy były absurdalną mieszaniną obłąkańczych pomysłów, przypominały umierającego człowieka, któremu każe się biegać po schodach. Przyczyny tego stanu rzeczy były bardziej złożone niż przypadkowe, skoro cudów nie da się łatwo wyliczyć. Raczej wynikają one z podporządkowania jawnej anarchii spójnemu planowi. Tak jak muzyka musi być jak rój pszczół, gdzie każdy dźwięk, który usiłuje podążać swoją drogą, uważnie trzyma się rozwijającej się linii, wielkie imperium zależy od siły napędowej tkwiącej w elementach, które ostatecznie doprowadzą do jego upadku. Podobnie jest z miastem: żeby mogło zostawić po sobie ślad, musi być pobudzone, drażliwe i odporne na władzę. Spokojne miasto dobrego prawa, wspaniałej architektury i czystych ulic jest jak klasa pełna posłusznych cymbałów albo zagroda wykastrowanych byków – podczas gdy miasto bezprawia to miasto nadziei.

Praeger de Pinto był tego pewien. Wierzył również, że ludzkie instytucje okazują się najbardziej błyskotliwe wówczas, gdy ich zewnętrzne zepsucie wydaje się najgłębsze. Dlatego nie lękał się ani bezprawia, ani szaleństwa miasta, które jeszcze nie osiągnęło swojego najwyższego, jak się zdawało, ideału, a mianowicie nie stało się podobne do piekła. Był gotów całkowicie zanurzyć się w skorumpowanej polityce jak gorąca stal w wodzie i doprowadzić ją do wrzenia, aż wyparuje. Im bardziej jego kampania była zaawansowana, tym mniej dbał o pierwotne powody kandydowania i tym mniej obchodziła go osoba Jacksona Meada. Widział teraz, że miasto czeka ogromna burza i kiedy wraz z nadejściem tysiąclecia zasady miały stanąć przeciw zasadom, a prawa przeciw prawom, chciał je wyprowadzić przez zgiełk na spokojne wody.

Jeśli jego przypuszczenia były słuszne i w nadciągającym starciu z chaosu miała nie wprost wyłonić się prosta droga, musiał naśladować stan rzeczy. Właśnie dlatego zrezygnował z tradycyjnych metod i użył zimy jako przewodniego motywu swojej kampanii. Byłoby nieco pokretnie, gdyby wygrał w typowy sposób, po czym zacząłby rządzić niekonwencjonalnie, tak jak zamierzył. Zamiast tego zaryzykował zniechęcenie do siebie elektoratu i mówił mieszkańcom podłą prawdę w całym jej szaleństwie.

– Znaczki wyborcze? – zapytał szefa swojego komitetu. – Strata pieniędzy. Proszę, zrób notatkę dla prasy: „Oto moje stanowisko w sprawie znaczków wyborczych. Nie zostaną wyprodukowane żadne znaczki z nazwiskiem de Pinto ani w tych, ani w żadnych inne wyborach. Każdy, kto zgadza się na wykorzystanie za darmo własnego ciała jako chodzącej reklamy, jest idiotą uczestniczącym w ohydny zjawisku publicznego gwałtu i publicznej manipulacji, i ja nie chcę brać w tym udziału. Ludzie noszący takie znaczki mają pusto w głowach jak kobiety, które inwestują grube pieniądze w powiększanie biustu. Nie życzę sobie, by ani jedni, ani drudzy oddawali na mnie głos”.

– A jakie jest pana zdanie, panie Pinto, w sprawie rezydencji Gracie? Burmistrz Gronostaj niemal przegrał wybory z radnym Magiostrą, po tym jak radny powiedział, że będzie mieszkać w swojej ruderze na Bronksie, a nie w rezydencji.

– Nie mam zamiaru tam mieszkać.

Szef sztabu odetchnął z ulgą, ponieważ burmistrz Gronostaj już wywoził stamtąd swoje rzeczy i wynajął sobie prestiżową małą ruderę na Mother Cabrini Boulevard.

– W rezydencji Gracie urządzimy centrum konferencyjne – powiedział Praeger. –

Przyjemnie będzie debatować, mając widok na szpital Birda S. Colera i tę piękną fabrykę koszyków wiklinowych. Ale nie będę mieszkać obok jakiejś przekłetej fabryki koszyków.

– To dobrze. Rozłożymy tym burmistrza Gronostaja na łopatkach.

– Zgadza się. To miasto ma mnóstwo pieniędzy z podatków. Burmistrz najwspanialszego miasta na świecie powinien mieszkać w odpowiednim miejscu, które nawiązuje do głównego motywu jego architektury. Weźmiemy trochę tych pieniędzy, około miliarda, i wybudujemy dla burmistrza pałac. Możemy wykupić ostatnie piętra czterech albo pięciu drapaczy chmur razem z prawami do powietrza, wstawić między nie dźwigary, a przestrzeń, która w ten sposób powstanie, wykorzystać jako teren i ogród małej powietrznej budowli w stylu wersalskim. Ale o czym ja mówię? Nie musimy kupować wieżowców, stosowną przestrzeń możemy sobie po prostu przywłaszczyć.

– A nieruchomościowe fundusze inwestycyjne? Większość środków na kampanię mamy właśnie od nich.

– Do diabła z nimi – powiedział Praeger. – Oddaj je, a jeśli już je wydaliśmy, wystaw im weksle. Ci goście od nieruchomości to banda nadzianych bufonów, zwłaszcza Marcel Apand. Niedobrze mi się robi na widok tej jego flagi z pięścią goryla, która powiewa z co drugiego budynku w mieście. Czas, żeby ktoś powiedział o nich kilka słów prawdy, zwłaszcza o Apandzie. Są skorumpowani i przekupni. Wyznacz termin nowej konferencji.

– Ale co z bankowcami? Nie mamy jak poręczyć naszych weksli. Odsądził pan ich od czci i wiary.

– Bo sobie zasłużyli – odparł Praeger. – Przeliczające forsy pijawki. Powtórzę to jeszcze nie raz.

– To przynajmniej będzie dość populistyczne. Wyborcy uwielbiają polityków, którzy atakują bankowców. Dopóki nie wda się pan w szczegóły, powinno zadziałać.

– Populistyczne? Uważam że wszystkie zachłanne wszy, które sprzedają swoje dusze, żeby kupić sobie wielki dywan i telewizor, zasługują na taki wyzysk, jaki tylko jest możliwy. Oni i bankowcy zostali dla siebie stworzeni.

Szef sztabu był mocno zaniepokojony i uderzał palcami o przypiętą do paska piersiówkę.

– Czy skoro potępia pan milionerów, to pana Binky'ego też?

– Czy to nie najwyższa pora, żeby nazywać rzeczy po imieniu?

– Craig Binky to pana główny orędownik.

– Nie przeceniaj go.

– Panie de Pinto, nikt na pana nie zagłosuje.

– Zagłosuje. Wszyscy zagłosują, bo mówię prawdę.

– Nie zawsze. Czasem łże pan jak pies.

– To zagłosują na mnie, ponieważ jestem najlepszym kłamcą, ponieważ kłamię szczerze i z finezją. Wiedz, że kłamstwo i prawda są bardzo blisko siebie, a różni je coś bardzo pięknego. Mój sposób okłamywania ludzi polega na tym, że okazuję im również zrozumienie, żal z powodu ich sytuacji, wiarę w nich i wzdargę dla wszystkiego, co jest dla nich ciężarem. To sprawia, że się do nich zbliżam. Właściwie to jestem jednym z nich. Sam się przekonasz, na kogo zagłosują.

– Dobra już, dobra – powiedział szef sztabu. – Wie pan, że nie dam się wciągnąć w żadne filozoficzne dysputy. Jest za to jedna praktyczna kwestia, którą chciałbym z panem omówić.

– Czyli?

– Kolejny wiec.

– A co z nim?

– Kto, u diabła, pojawi się o świcie na wiecu pod muzeum The Cloisters? Wiec wyborczy organizuje się po to, żeby zebrać wielki tłum, który będą mogły pokazać kamery, gdy będzie pan przemawiał. Szczerze wątpię, by ludzie pojawili się pod The Cloisters o świcie przy minus kilkunastu stopniach tylko po to, żeby posłuchać, jak ich pan demaskuje. Dlaczego nie dworzec Grand Central w porze lunchu albo Foibles Park?

– Posłuchaj – powiedział Praeger, nachylając się do przodu. – Tego nie da się wyreżyserować. Co ma być, to będzie.

– Ale to jeden z tylko trzech wieców, jakie pan zaplanował. To taka strata... Proszę przynajmniej pozwolić mi, żebym zorganizował kilka więcej!

– Nie, nienawidzę wieców. Jeśli jest coś, czego nie mogę znieść, to tłumy.

Kiedy szefowi sztabu zaczęło zbierać się na płacz i wyszedł, Praeger oparł się o drewniany stółek, który był jedynym elementem wyposażenia w jego siedzibie (wciąż nie zdecydował, czy podłączyć linię telefoniczną). Przepęniała go głęboka pewność, że zmierza ku zwycięstwu. Gdyby kandydował w Chicago, Miami czy Bostonie, pewnie by tak nie było. Ale Nowy Jork był jak zerwany koń, którego użądliła pszczoła. Jedynym sposobem, by tego konia ujarzmić, tłumaczył sobie Praeger, było jechać z nim łeb w łeb, a potem go wyprzedzić – i to właśnie miał zamiar zrobić z nieprawdopodobnym miastem, którym chciał rządzić, ponieważ nieprawdopodobnie mocno je kochał.

Wiec pod The Cloisters miał odbyć się o świcie w zimny, pogodny dzień. Praeger przez pół godziny stał, przyglądając się rzece ożywającej w błękitach i bielach, kiedy pierwsze promienie słońca oświetliły kry lodu na otwartej wodzie. Frekwencja była żadna – nie pojawili się nawet wolontariusze czy pracownicy z jego sztabu, nie wspominając o dziennikarzach i wyborcach. Ponieważ było bardzo zimno, a słońce nadal nie przepędziło cieni pomiędzy drzew, z bogatego w zwierzyń Fort Tryon Park nie wyskoczyły nawet wiewiórka, gołąb czy gustujący w polityce nornik, by przysiąc na murku i posłuchać kandydata czy pogrzebać łapkami w śniegu, co Craig Binky mógłby później opisać jako „imponujące śniadanie charytatywne, w którym uczestniczyli zwolennicy kandydata odziani w luksusowe futra”.

Praeger był zupełnie sam. Niezrażony, rozpoczął przemówienie, które nie tylko było płynne i melodyjne, ale też znakomicie analizowało wiele problemów politycznych. W tej mowie pokazał się od najlepszej strony jako specjalista, mąż stanu i historyk teraźniejszości. Gdyby ktokolwiek ją usłyszał, byłby przekonany, że oddając głos na de Pinto, zapewnia sobie dokładne, ostrożne i odpowiedzialne zarządzanie sprawami miasta. Bankowcy i potentaci od nieruchomości byłiby zachwyceni. Wyważone przemówienie miało wszelkie zalety i żadnych mankamentów. W końcu Praeger przedstawił poprawne podsumowanie. Nie mówił ani o zimie, ani o Armagedonie. Tego mroźnego, słonecznego poranka jego umiejętności i zdrowy rozsądek stworzyły razem idealną publiczną mowę, której nie można się oprzeć.

Kiedy skończył, zaskoczyły go czyjeś brawa. Nieopodal w śniegu stał łysiejący mężczyzna ze staromodnym wąsikiem. Wyglądał jak prosty mechanik, którym oczywiście był. Praeger pomyślał, że pewnie przyszedł do parku wyprowadzić psa.

– Nie mam psa – powiedział Peter Lake. – A nawet gdybym miał, nie przyprowadziłbym go aż tutaj w tak zimny poranek. Przyszedłem zobaczyć pana.

– Naprawdę? – zapytał Praeger, zaskoczony.

– Zgadza się. Jak na mój gust wygłosił pan dobre przemówienie. Podobało mi się to, co powiedział pan o zimie. Nie wiem, czy to prawda i czy można panu wierzyć, ale to chyba nie ma znaczenia, jeśli pan wie, co mam na myśli. Czy muzyka jest prawdziwa? Nie można tego stwierdzić, a mimo to w nią wierzymy. Ja wierzę, a przynajmniej wierzyłem, choć nie pamiętam

kiedy. Ostatnio – wyznał – myślę trochę jaśniej i przypominam sobie różne rzeczy, na przykład refreny wygrywane na fortepianie. Nie pamiętam tylko, gdzie je słyszałem. Wie pan, o co mi chodzi?

– Nie, nie wiem.

– Jakby pochodziły z przeszłości, a przeszłość była światłem wylaniającym się z ciemności. Czuję to mocno, ale nie widzę, nie mogę sobie przypomnieć. Na pewno rozbrzmiewa tam fortepian. Cieszę się, że zastałem pana samego – ciągnął. – Widzi pan, próbuję powiedzieć coś bardzo trudnego. Od tygodnia coś zaczyna mi świtać i zastanawiałem się, czy... czy może... no cóż... powiem prosto z mostu. Jest pan jednym z nas? To znaczy, czy jesteśmy tacy sami?

– Czy jestem masonem? – zapytał Praeger, zakłopotany. – Nie jestem masonem, jeśli o to pan pyta.

– Nie, nie to miałem na myśli – powiedział Peter Lake, kręcąc głową i spróbował raz jeszcze. – Chodzi o coś bardziej osobistego i ważniejszego.

– Czy jestem gejem? Z całą pewnością nie.

– Nie, proszę pana. Nie pytam o pana orientację.

– Więc o co?

– Skąd pan pochodzi? – zapytał Peter Lake, patrząc wprost na niego.

– Urodziłem się na Brooklynie.

– W którym wieku?

– W tym wieku.

– Jest pan pewien? Bo widzi pan, mnie się wydaje, że urodziłem się w innym. To, w jaki sposób opowiada pan o zimach, przekonuje mnie, że pan też; to, co opisuje pan jako przyszłość, to w istocie przeszłość. Wiem. Żyłem w niej.

– Ja...

Peter Lake uniósł dłoń.

– Proszę się nie martwić – powiedział. – Wszystko w porządku. Na pewno na pana zgłoszę, choć nie sądzę, bym był zarejestrowany. Zarejestruję się w dzielnicy Five Points i zgłoszę na pana dwanaście razy. Jestem panu bardzo wdzięczny, bo po tym, gdy zaczął pan opowiadać o zimach, zacząłem słyszeć fortepian i widzieć, że przeszłość rozświetliła wszystko wokół nas. Miałem nadzieję, że może będzie pan w stanie pomóc mi bardziej, ale i tak przysłużył mi się pan ogromnie.

– A co gra ten fortepian?

– Och, nie wiedziałbym, nawet gdybym mógł dobrze dosłyszeć melodię.

– Kto na nim gra?

– Niestety, nie mam bladego pojęcia. Ale ktokolwiek to jest, gra naprawdę pięknie.

Entuzjazm samotnych ludzi jest czasem nie do wytłumaczenia. Kiedy coś ich rozweseli, intensywność i czas trwania ich śmiechu odzwierciedlają głębokość ich samotności, i są oni w stanie rzeć jak konie. Kiedy coś ich wzruszy, przeszywa ich jak kula, wzbudzając uczucia, które zbierają się w wielkie armie. Biedna pani Gamely od lat był sama. Kiedy nagle spotkała się z córką i jej nową pełną rodziną, której teraz stała się członkiem, z trudem przezwyciężyła szok i zalała się łzami.

Virginia objęła matkę i również się rozplakała. Wtedy i dzieci zaczęły zawodzić jak małe kociaki, choć nie wiedziały dlaczego. Nawet Hardesty, wzruszony miłością matki i córki, przypomniał sobie swoich rodziców i przełknął łzy.

Ale zawodzenie trwało jeszcze długo po tym, jak oczy Hardesty'ego obeschły, a na

zegarze minął kwadrans (jego bicie wywołało u kobiet i dzieci jeszcze gwałtowniejszy przypływ łez), zaczął więc niecierpliwie przechadzać się, czekając, aż skończą.

– A cóż to? – pytał – Wypłakujecie jezioro?

I wtedy, zobaczywszy ciemnoszary kostium wystający spod płaszcza Virginii, uderzyło go, że światowa dziennikarka z dużego miasta w świetnie skrojonych spódnicy i zakiecie jest córą Coheeries, która na wsi czuje się jak w domu. Objął żonę, odgarnął włosy z jej poczerwieniałej od płaczu twarzy i pocałował ją z taką czułością, że serce pani Gamely napełniło się radością jak balon ciepłym powietrzem.

Tej nocy dzieci nie mogły spać. Czekały na poranek, kiedy będą mogły zobaczyć jezioro Coheeries w pełnym świetle dnia, i były bardziej podekscytowane niż w Boże Narodzenie. Jak można było przewidzieć, pochłonęło ich piękno mroźnych, zimowych dni nad jeziorem i zimnych nocy, które nie miały początku ani końca. Hardesty, całkiem niezły żeglarz, szybko nauczył się jeździć bojerem. Często wsiadali do Kateriny, największej i najwolniejszej z łodzi, wypakowanej prowiantem i kocami, i wyprawiali się o świcie w bezkresy jeziora. Dzieci spały na kolanach kobiet i kiedy słońce wzbijało się wysoko, budziły się zachwycone, że nie widzą nic oprócz niebieskiego nieba i gładkiej jak lustro tafli lodu, po której kłębiły się niemal niewidzialne śnieżne zamiecie. Płatki śniegu obdarłe przez ostry wiatr z ozdobnych kształtów, cięły w policzki jak odłamki błyszczącego szkła i zbierały się w mgłę przypominającą opadły sztandar.

Podczas tych wypraw godzinami sunęli po lodzie, aż z każdej strony tak oddaleni byli od ładu czy innych łodzi, że równie dobrze mogliby być jedynymi ludźmi na ziemi. W południe opuszczali żagiel i wbijali w lód podwójny hamulec. Osłaniając się Kateriną przed wiatrem z północy, gdy słońce ogrzewało ich zarumienione twarze, rozpalali ognisko w kubie pełnym piasku i gotowali gulasz w kociołku. Jedli go potem z ciepłymi, posmarowanymi masłem bułeczkami i popijali herbatą. Czasem jeździli na łyżwach (Hardesty i Martin grali w hokeja i odkryli, że Virginia bez najmniejszego problemu potrafi odebrać im krążek i utrzymać go tak długo, jak tylko jej się podoba) albo wycinali przeręble i w ciągu dziesięciu minut wyławiali tyle łososi, okoni i pstrągów, ile im się zamarzyło, potem zaś zamarznięte na kość ryby wsadzali do kosza w jednym z pływaków. Czasem po prostu płynęli w nieskończoność, doskonale uszczęśliwieni tym, że pokonali setki mil i dotarli do uwodzicielskiego świata lodu i słońca, który tylko na nich czekał. Zwykle w dniu, w którym urządzali przejażdżki, spędziwszy noc zawinięci w najcieplejsze koce i kołdry, wracali do domu po zmroku, włączając się niespiesznie po gwiazdzistym lodzie. Droga Mleczna była tak jasna, że pani Gamely przestrzegła ich, by nie wpatrywali się w nią zbyt długo.

– Dziadek Daythrila Moobcota, stary Barrow Moobcot od tego oślepl – przestrzegala. – A dziś wieczorem, jeśli wzejdzie księżyc, będą nam potrzebne ciemne okulary.

Oddali się gwiazdom tak samo, jak pływacy poddają się falom, a one przyjęły ich bez oporu. Dni i wieczory spędzone na lodzie zmieniły dzieci bezpowrotnie. Miasteczko Coheeries wznosiło się nad lodowym horyzontem niczym łańcuch światełek tkwiących pośród białych wzgórz, które leżały obok jeziora jak ogier śpiący na sianie. Hardesty kierował Katariną w stronę najjaśniejszego ze świateł i sunął do niego, ile sił. Choć dzieci uwielbiały szybką jazdę do domu, chciały zostać na jeziorze na zawsze.

Czas zwijał się, zaplatając złoty dzień i srebrną noc w warkocz, oni zaś jeździli na nartach i sankach na wzgórzach do świerkowych i sosnowych lasów, do gospody, by tańczyć zawanego dandysa i szurańca z Birdwalla, robili tradycyjne w Coheeries cukierki klonowe w kształcie półksiężyca i przesiadywali godzinami, podczas gdy księżyc, planety i gwiazdy

wyznaczały czas, a w piecu jasno płonął ogień. Kogut pani Gamely, Jack, niemal nauczył się grać w warcaby z Martinem, choć za nic nie mógł zrozumieć, jak się robi damkę.

Pewnego wieczoru zrobiło się nadzwyczaj zimno. Z północy zstąpił arktyczny wiatr i ujął miasteczko w żelazny uścisk srogiego mrozu. Dom pani Gamely przystosowywał się do ujemnej temperatury na zewnątrz, trzeszcząc jak statek na morzu. W ścianach było kilka małych szczelinek i nawet podmuch powietrza o średnicy igielnego ucha wystarczył, by wychłodzić cały dom. Podrzucali drewna do pieca, aż buchało z niego niczym z paleniska rozpędzonej lokomotywy.

Abby i Martin budowali domki z wysuszonych kolb kukurydzy. Ubrani w płaszcze i śniegowce, siedzieli na środku pokoju pomiędzy piecykiem a kominkiem. Pani Gamely bujała się na fotelu, obserwując dzieci. Virginia owinięta szalem czytała stare wydanie Encyclopaedii Britanniki z 1978 roku. Hardesty stał przy oknie rzekomo dlatego, że znajdował się tam termometr. To, że wskaźnik rtęci stale opadał i znajdował się teraz poniżej kilkunastu stopni, dla kogoś o jego temperamencie było czymś fascynującym. Tak naprawdę jednak chciał patrzeć na gwiazdy. W mrozie, z dala od świateł miasta, płonęły na niebie jak fosfor.

Tamtego wieczoru gwiazdy zdawały się nieustannie poruszać, a przez ich ciągłe znikanie i pojawianie się na nowo przestrzeń pomiędzy nimi a ziemią sprawiała wrażenie ruchliwego portu, w którym kręcą się setki łodzi. Błyszące smugi, być może meteoryty, kończyły się gasnącymi białymi wybuchami, które delikatnie opadały w kaskadach jak lód sypiący się spod hamulca bojera. Te małe strumienie światła pojawiały się i nagle znikaly. Hardesty przypomniał sobie, jak biały koń odłączył się od nich na równinie, wznosząc się ku szarawemu niebu zakrzywioną igłą białego światła, która rozproszyła się z ledwie słyszalnym sykiem.

Już miał zawołać Virginie, żeby zobaczyła niewielkie błyski nad horyzontem. Nigdy wcześniej nie widział czegoś podobnego poza śladem, jaki zostawił biały koń. Kiedy się jednak odwrócił, zobaczył, jak Virginia i pani Gamely pochylają się nad ciężko oddychającą Abby, która leżała na podłodze z kciukiem w ustach.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Abby ma straszną gorączkę – odparła pani Gamely. – Jest cała rozpalona.

– Pewnie przeziębila się dziś na jeziorze – powiedziała Virginia, podnosząc dziewczynkę z podłogi i niosąc ją na antresolę, gdzie były łóżka dzieci. Po chwili zawahała się. – Będzie jej tam za zimno. Musimy jej zrobić posłanie tutaj.

Hardesty przyłożył dłoń do czoła Abby i skrzywił się.

– Jak nagle – powiedział.

– Jeszcze przed chwilą bawiła się kolbami – jęknął Martin.

– Wszystko będzie dobrze, Martinie. Abby wydobrzeje – powiedziała Virginia głosem zbyt łamliwym, by pocieszyć syna.

Kiedy położyła Abby do łóżka, zmierzyła jej temperaturę. Czterdzieści stopni.

– Jak na dziecko to nie tak wiele – skomentował Hardesty. W ciszy krzątali się wokół łóżka, poprawiając posłanie.

– Gdzie mieszka lekarz? – Hardesty zapytał panią Gamely.

– Przygotuję kompres – odpowiedziała.

– Do diabła z kompresem – powiedział Hardesty. – Gdzie mieszka lekarz?

– W domu na końcu ulicy między gospodą a jeziorem.

Hardesty włożył buty, rękawice i puchową kurtkę, i chwilę później był już za drzwiami. Niesamowicie zimne powietrze uderzyło go niczym młot i omal nie powaliło na ziemię. Ruszył do miasteczka, a jego drogę jasno oświetlały kłębiące się na niebie gwiazdy.

Kiedy przybył na miejsce, zobaczył ludzi biegnących po ulicach. Oni również wkładali kurtki i wszędzie słyhać było trzaskanie drzwi. Hardesty nie miał jednak czasu, żeby zaspokoić ciekawość, i pobiegł od razu do domu lekarza. Żona lekarza otworzyła drzwi w odpowiedzi na jego uporczywe pukanie (z doświadczenia wiedziała, że tak dobijają się jedynie ojcowie chorych dzieci).

– Teraz go nie ma – oznajmiła. – Będzie za godzinę lub dwie. Powiem mu, że musi do was pójść, gdy tylko wróci. Tymczasem proszę przyłożyć dziewczynce kompres.

– Nie chcę nawet słyszeć o kompresach – warknął Hardesty. – Gdzie poszedł?

Żona lekarza odchrząknęła.

– Poszedł z innymi do owczarni Moobcotów. To dwie mile dalej tą drogą.

– Po co?

– Nie wiem. Zapukała do nas grupa mężczyzn ze strzelbami w dłoniach. Mąż chwycił torbę lekarską i wybiegł razem z nimi. Nie powiedział mi, o co chodzi. Nigdy mi nie...

Hardesty nie został, by wysłuchać jej do końca. Wybiegł na przykrytą śniegiem drogę, która prowadziła na pola u podnóża gór. Nie był w stanie dogonić mężczyzn z Coheeries, którzy zdawali się mieć krzepę strzelców alpejskich. Idąc sam pustą drogą, poczuł, że przez gwiazdy wiszące nad nim i otaczające go z każdej strony kręci mu się w głowie i traci nad sobą kontrolę.

Na pagórku stała wielka owczarnia. Drzwi były tylko odrobinę uchylone i ze szczeliny na śnieg wylewało się jasne światło.

Hardesty wszedł do środka. Owce tłoczyły się zagnane w jeden róg, a mężczyźni z Coheeries stali w ciasnym półkolu, zwrócenii ku przeciwległej ścianie. Nad ich głowami paliła się lampa. Widząc kolby wszystkich dubeltówek ustawione w wachlarz, Hardesty pojął, że lufy skierowane są w jedną stronę. Kilku mężczyzn zawzięcie się ze sobą kłóciło. Jeden z nich powiedział:

– Są inni niż on. Widać to gołym okiem.

– Pojawili się w tym samym czasie i w ten sam sposób. Nie podobają mi się. Po prostu mi się nie podobają. Wyglądają na nieszkodliwych, ale kto w to uwierzy?

– Co chcesz zrobić, Walterze? Pozabijać ich? – zapytał jakiś głos z głębi owczarni.

Hardesty próbował zerknąć zebranym przez ramię.

– Tak – brzmiała odpowiedź, po której nastąpił szum dezaprobaty.

Hardesty stanął na wiadrze i spojrzął ponad głowami mężczyzn. Na kilku balach słomy, potupując nogami, uśmiechając się i przygryzając źdźbła siana, siedziało pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu przedziwnie wyglądających mężczyzn. W życiu nie widział nikogo takiego.

Ich twarze były albo ściśnięte i zdeformowane, albo długie i ostre jak piły. Zadarłe nosy, krzaczaste brwi, podbródki wielkie jak rękawice bokserskie i obrzydliwie powyginane nogi to były niektóre z ich cech zewnętrznych. Każdy z nich miał jednak jeszcze w oczach pustkę, która wydawała się niebywale groźna, choć trudno było powiedzieć dlaczego. Ubrani byli w meloniki jak aktorzy wodewilu i wydawało się, że czują się w nich zupełnie swobodnie. Mieli na sobie poszarpane i nieeleganckie trzyczęściowe garnitury w stylu edwardiańskim, zegarki na łańcuszkach i laseczki. Co chwila uśmiechali się przymilnie jak ludzie, którzy nie muszą ukrywać swojej nikczemnej, gwałtownej natury. Ale czy to cokolwiek o nich mówiło? Skąd się tu wzięli?

– Nagle wszędzie zrobiło się ich pełno – brzmiała odpowiedź na pytanie, które Hardesty wypowiedział na głos. – Płądrowali zagrody, próbowali ukraść sanie i konie. Złapaliśmy tak z dwudziestu z nich. I gdy wydawało nam się, że mamy wszystkich, zastaliśmy kolejnych pięćdziesięciu na polu niedaleko młyna. Kto wie, może jest ich jeszcze więcej.

- Na szczęście złapaliśmy jego – powiedział ktoś.
- Kogo? – zapytał Hardesty.

Kilkunastu mężczyzn wskazało na wejście do kolejnego pomieszczenia, gdzie stał lekarz i kilkoro innych ludzi. Lekarz miał torbę przewieszoną przez ramię i mierzył przed siebie z dubeltówki. Hardesty, podchodząc bliżej, potrącił stos brzęczących przedmiotów.

- Zabraliśmy je tym padalcom – powiedział ktoś.

Hardesty schylił się i spojrzął na stertę złotych i srebrnych pistoletów, niektórych z rękojeściami z macicy perłowej, derringerów tak małych, że mogłyby posługiwać się nimi lalki, mosiężnych kastetów z wystającymi kolcami, noży, pałek, minidubeltówek i garot z uchwytami z kości słoniowej. Nie było za to strzelb. Żadnych nart, śniegowców ani ciepłych ubrań. Kimkolwiek byli ci ludzie, słabo wyposażyli się na pobyt nad jeziorem Coheeries.

Hardesty położył dłoń na ramieniu lekarza i lekko go odsunął, żeby dostrzec to, na co patrzyli wszyscy. Kiedy w końcu zobaczył, cofnął się, próbując złapać oddech i utrzymać się na nogach.

- Kto to, do licha, jest? – zapytał, wciąż ledwo stojąc.
- Mógłbym powiedzieć, ale nie chcę – odparł lekarz.

Hardesty przeszedł między uzbrojonymi mężczyznami i zerknął do małego pomieszczenia, gdzie trzymano więźnia. Był wyższy niż karły w melonikach, choć nie taki znów wielki, i dość szczupły. Miał okropną twarz, a ręce i nogi drżały mu tak mocno jak jego wystający język, który wydawał się żyć własnym życiem, bez wątpienia poza kontrolą właściciela. Jego oczy także poruszały się samoistnie, jakby należały do rozwścieczonego szczura, który próbuje wydostać się z klatki. Hardesty odniósł dojmujące wrażenie, że mężczyzna jest jakimś sztucznym wytworem. Ani jego oczy, ani kościste palce nie przestawały się poruszać ani na chwilę. Od czasu do czasu zdawał się przebiegać przez niego prąd i wyraźnie tkwiła w nim uwięziona niszczycielska agonja, zupełnie niepasująca do spokoju jeziora Coheeries.

- Kto to? – zapytał Hardesty.
- Zapytaj go – brzmiała odpowiedź.
- Ja? – odpowiedział Hardesty.

Lekarz spojrzął na Hardesty'ego podejrzliwie.

- Tak, ty.
- Kim jesteś? – Zapytał Hardesty, ledwie słyszalnym głosem. Po chwili wziął się w garść, podszedł do więźnia bliżej i powtórzył pytanie z godną podziwu stanowczością i władzą.

Na Pearlym Soamesie włos się zjeżył. Jego elektryczne drgania wypełniły powietrze, jak gdyby był tysiącem grzechotników zwisających z żyrandola. Hardesty miał poczucie, że ten przedziwny mężczyzna i jego towarzysze wcale nie są więźniami, lecz raczej odpoczywają sobie w ciepłej oborze, do której farmerzy byli uprzejmi ich zagonić. Jego poczucie dość dobrze potwierdzały wstrząsy, które poruszały całą owczarnią za każdym razem, gdy Pearly był niezadowolony.

Hardesty nie podejrzewał, aby to zdarzenie mogło mieć coś wspólnego z chorobą Abby, porwał więc lekarza mieszkańcom miasteczka Coheeries, pozbawiając ich głosu rozsądku w dyskusji nad tym, co zrobić z dziwacznymi stworzeniami, które odkryli na swoich polach i w oborach.

Następnej nocy pod sierpem srebrnego księżycy Hardesty w oszalałym tempie wyjechał saniami z Coheeries. Strzelał batem nad głową klaczy, aż zaczęła polykać ciągnącą się

przed nią drogę niczym wygłodniały pies. Choć biegła jak opętana, Hardesty wciąż był niezadowolony i rozglądając się ostrożnie we wszystkie strony, krzyczał do niej, by galopowała jeszcze szybciej. U jego boku leżał karabin. Virginia trzymała drugi na kolanach. A pani Gamely, schowana pod przypominającą namiot konstrukcją na tylnym siedzeniu z Abby i Martinem, trzymała tuż przy sobie swoją dubeltówkę.

Dziwni panowie zostali wyprowadzeni z miasta na górską drogę. Po tym jak lekarz powiedział, że nie jest w stanie pomóc Abby, Marrattowie i pani Gamely wyjeżdżający z miasteczka musieli przebić się przez ich szeregi. Dziewczynkę niezwłocznie trzeba było zawieźć do szpitala. Nie mogli już dłużej cieszyć się luksusem, jaki niesły odosobnienie i spokój jeziora. Potrzebowali teraz miasta tak mocno, jak wcześniej pragnęli się z niego wydostać, a nawet bardziej. Lekarz nie chciał tłumaczyć im natury przypadku Abby.

– Jeszcze przyjdzie na to czas – powiedział. – Będziecie chcieli znać wszystkie szczegóły i poznacie je. Nie zrobi to wam zbyt dużej różnicy. – Byli zaskoczeni i nie chcieli mu wierzyć, bo co niby mógł wiedzieć wiejski doktor, ale wyjechali niezwłocznie.

Uzbroili się po zęby, podejrzewając, że dopiero co uwolnieni więźniowie będą chcieli przejąć ich sanie i konia. Droga była tylko jedna, a głęboki śnieg nie pozwalał przemieszczać się po otwartym terenie. Hardesty wyliczył, że natkną się na mężczyzn przed zboczem prowadzącym z równiny w góry. Trzeba było jechać jak najprędzej, bo koń mógł jechać szybciej po płaskim terenie niż na wzniesieniu. Hardesty poganiał klacz nie tylko z powodu Abby, lecz też dlatego, że chciał przebić się przez zastępy zbójców, zanim ci zorientują się, że ich wyprzedził.

Wydawało się, że klacz to rozumie. Nawet jeśli tak nie było, ciągnęła ich w gorączkowym tempie jak lokomotywa po drodze pełnej śniegu.

Kiedy przemierzili większą część równiny, dobrnęli do wzniesienia, z którego widoczna była droga prowadząca w góry. Przystanęli na chwilę, by przyjrzeć się terenowi przed nimi.

Poza sapaniem klaczy i delikatnym trzepotaniem koców na saniach nie dobiegały ich żadne dźwięki. Choć temperatura była ujemna, wiatr wydawał się ciepły. Dopiero gdy Hardesty i Virginia upewnili się, że w pobliżu nie ma nikogo, spojrzeli na nocne niebo pełne ledwie widocznych rozkwitnięć. Na tle gwiazd i eteru czerwone obłoki, pękate i symetryczne jak grzyby, pełne gracji jak spadochrony i blednące szybko jak spadające gwiazdy, rozchylały się, a potem znikwały, opadając w dół. Co kilka sekund coś rozbłyskiwało i rozpraszało się w powietrzu, a czasem kilka takich -błysnięć następowało jednocześnie lub jeden tuż po drugim.

– Spadochroniarze – powiedział Hardesty. – Co chwila pojawiają się nowi. Kto wie, może skakali tak całą noc. Może to nie koniec. I nie są to wcale amerykańskie wojska powietrznodesantowe.

Spuścili wzrok i kiedy ich oczy znów przyzwyczyły się do ciemności, dostrzegli, że równina usiana jest rozproszonymi postaciami – szarymi jednostkami i ciemnymi formacjami, które przebijają się przez śnieg i skupiają się przy drodze, żeby utworzyć nierówną kolumnę ciągnącą się na wiele mil. Ci nocni żołnierze poruszali się bezszelestnie i z rozmysłem, bez komend i sygnałów świetlnych. Nagle coś pacnęło w śnieg niedaleko nich. Hardesty i Virginia ujrzeli, jak skulona postać prostuje się i zbiega z pagórka w popłochu jak mały szczur. Był to mężczyzna; przytrzymał ręką melonik dla pewności, że wiatr nie zmiecie mu go z głowy.

– Nie możemy pojechać naokoło? – zapytała Virginia.

– Koń ugrzęźnie w śniegu po szyję. Nie będzie mógł ciągnąć sań.

– Jest jakaś inna droga?

– Wiesz lepiej ode mnie, że nie ma – odparł Hardesty. – Odbezpiecz broń – powiedział,

szykując własny karabin – i zaprzyj się stopami. Pani Gamely?

– Tak, mój drogi? – dobiegła odpowiedź z osłoniętej części sań na tyłach.

– Jak szybko potrafi pani przeładować dubeltówkę?

– Wystarczająco szybko, żeby podtrzymać w powietrzu metalową tacę. Zanim urodziła się Virginia – powiedziała pani Gamely – Teodor i ja od czasu do czasu musieliśmy pojechać do Bucklenburga na wzgórzach. Tamtejsze wilki były wielkie jak kucyki i głodne jak stekozmarzliny. Wtedy się nauczyłam.

– Czy Abby i Martin śpią? – zapytała Virginia.

– Umościli się za moimi plecami – odparła pani Gamely. – Jack siedzi w pudle na kapelusze. Razem z Teddym.

– W porządku – powiedział Hardesty. – Wjeżdżamy do lasu. – Strzelił lejcami, klacz ruszyła i nabrała prędkości, biegnąc w dół. Uderzenia jej kopyt tłumił śnieg, dzwonek zaś pozbyli się wcześniej.

Płozy sań syczały, sunąc po gładkim szlaku, gdy mijali maruderów, którzy ledwie mieli czas zejść im z drogi, wkrótce zaś przejechali obok formacji dziesięciu czy piętnastu ludzi, przewracając ich w śnieżne zasy jak torby z pocztą wyrzucane z pociągu. Słysząc było, jak wystrzałami ostrzegają tych w oddali, niemających pojęcia, co nadciąga w ich stronę. Klacz zaczęła objąć się o tych, którzy próbowali stanąć jej na drodze. To ją spowolniło. Z przodu i po bokach migały paskudne oblicza, dzieci obudziły się i zaczęły krzyczeć, a tuziny pieszych czepiały się sań albo próbowały do nich wskoczyć.

Hardesty, Virginia i pani Gamely zaczęły strzelać z karabinów, a ogłuszający hałas potęgowały jeszcze krzyki ludzi stojących na drodze. Zaczęli już myśleć, że tak wielu ludzi na pewno ich powstrzyma, i wkrótce zwolnili. Klacz była ranna. Jej rozszerzone nozdrza pulsowały, a wargi odsłaniały zęby. Nie była Athansorem ani koniem bojowym i swoim krwawieniem wzywała go na pomoc. Ograniczały ją postronki upręży, mogła więc posługiwać się jedynie przednimi kopytami i tylko tuż przed sobą. Za ich pomocą nokautowała napastników, przeciągała po ich kończynach i torsach płozami ostrymi jak noże. Przeciwników było jednak zbyt wielu i w końcu sanie całkiem się zatrzymały.

Hardesty, Virginia i pani Gamely bardzo szybko przeładowywali broń, ale i tak nie dość szybko.

– Strzelajcie cały czas – wołał Hardesty, gdy szeregi krępych, nieustępliwych napastników napierały na nich, stękając, jęcząc i czepiając się sań mięsistymi, podobnymi do strąków dłońmi. Im bardziej wydawało się, że Marrattowie przegrywają, tym zacieklej walczyli. Sanie otaczał gruby pierścień z setek mężczyzn.

Nikt nie dostrzegł białej wstęgi na niebie, dużo jaśniejszej niż wówczas, gdy była cienkim jak rzęsa łukiem na południowym wschodzie. Teraz nadleciała jak kometa, zrzucając milion diamentowych rozżarzonych węgielków, które na chwilę rozjaśniły niebo, ciągnąc za sobą smutki białego dymu. Mignęła na niebie niczym lotka i rzuciła się do walki; na końcu ognistego snopa ukazał się biały koń.

Po tym gdy Krótkie Ogony zastęły w miejscu ze zdziwienia, koń przetaił saniom drogę przez ich zastępy. Kiedy wznosił się na tylnych kopytach, jego przednie nogi były jak koła szalejących noży, pozostawiających na śniegu krwawe szramy. Kiedy Athansor kopał, nieszczęśnicy, którzy trafili pod jego kopyta, byli wyrzucani w powietrze jak pociski artyleryjskie. A kiedy używał głowy, szyi i zębów, poruszał się tak szybko, jakby był kilkoma końmi.

Wreszcie koń, cud naglej, śmiertelnej łaski, zaczął przesuwać się do przodu, brodząc

w ciałach i nabierając prędkości w taki sposób, że walczył i biegł jednocześnie. Klacz ruszyła za nim. Hardesty przestał strzelać i chwycił za lejce. Jechali teraz galopem, mijając rzędzące szeregi Krótkich Ogonów. W końcu, prowadzeni przez białego konia, wjechali na polanę i ruszyli w stronę gór.

Athansor bez wysiłku wyprowadził ich na górę, skąd mogli zobaczyć ciągnące się w nieskończoność nocy jezioro Coheeries. Wydawało się, że są w miejscu zbyt bliskim gwiazd, by mogło być skute lodem: wyglądało jak jedno z tych spokojnych wysokich wzniesień, gdzie nie ma już wrażeń zmysłowych, jest tylko duch. Biały koń sięgnął długą szyją śniegu i podniósł się. Kilka razy okrążył sanie i podszedł do klaczy. Był dwa razy większy od niej. Nachylił swój wielki łeb i dotknął z boku jej pyska. Cofnęła się nieznacznie. Wtedy spojrzął na jej rany. Zaczął je lizać jedna po drugiej i po kolei całkowicie się zagoiły. Przeszedł kilka kroków, spojrzął w górę i zerwał się do galopu długimi, sprężystymi susami.

Zanim Marrattowie zdążyli się spostrzec, zostali sami, a biała wstęga ciągnąca się po niebie zaczęła blednąć. Usłyszeli cichy świst.

Prawie świtało, księżyc wisiał nisko, a gwiazdy świeciły ospale. Hardesty strzelił lejcami i klacz ruszyła ku górskiemu lasowi.

Starzy brodaci radni, maniakalni szefowie okręgów, przedstawiciele partii, byli burmistrzowie i dzielnicowi biurokraci nalegali jak jeden mąż, żeby debaty przedwyborcze dotyczyły też kilku innych tematów niż świętość zimy czy teoria równowagi i łaski. Zaprawiony w politycznych bojach praktyk i intrygant, przyzwyczajony do mówienia słuchaczom dokładnie tego, co chcą usłyszeć, burmistrz Gronostaj w końcu zmusił Praegera, by wziął udział w cyklu dyskusji sponsorowanych wspólnie przez „The Sun” i „The Ghost”. Żadna z tych gazet nie udzieliła Praegerowi poparcia po tym, jak Craig Binky odciął się od niego za to, że publicznie nazwał go (między innymi) „tępym i ograniczonym cymbałem stojącym na czele »The Ghost«”, „naszym ukochanym kretynem” i „palantem oporu dryfującym w kółko w sterowcu o nazwie Homobinek”.

Burmistrz Gronostaj był starym wyjadaczem, miał więc pewność, że w tych debatach stłamsi swojego przeciwnika, gładko ogolonego młodego idealistę, który w pewnym sensie był zasymilowanym patrycjuszem, a do tego sam się wystawił, opowiadając niestworzone historie o zimie. Na początku przynosiło mu to sukcesy, ale teraz wyborcy zaczęli domagać się konkretów. Burmistrz Gronostaj od dawna czekał na frontalny atak na nowicjusza, gotów powalić go potrójnym ciosem swojego doświadczenia, wieku i czasu urzędowania.

Pierwszą debatę przeprowadzono w Central Parku, ponieważ Praeger odmówił występowania w telewizji. Nienawidził jej i atakował ją, kiedy tylko mógł. Ponieważ jeden z głównych punktów jego programu dotyczył zniesienia telewizji, nic dziwnego, że właściciele stacji opowiedzieli się za burmistrzem Gronostajem i za darmo wyświetlali jego ogłoszenia wyborcze. Odmówili pokazywania Praegera w jakikolwiek sposób, sam Praeger zresztą nie pozwoliłby na to, żeby zbliżył się do niego ktokolwiek z kamerą. Mocno wytykał to, co nazywał elektronicznym niewolnictwem, i błagał swoich słuchaczy, by dbali o podtrzymanie wyższości i świętości mediów drukowanych. Był pierwszym od pół wieku kandydatem, który próbował wygrać wybory na stanowisko publiczne, nie korzystając z uwiecznionych elektronów. W czasie dyskusji telewizja pokazywała tylko burmistrza Gronostaja, sprawiającego przez to wrażenie, jakby rozmawiał z duchem. Po dziesięciu minutach transmisji Central Park zaczął wypełniać się ludźmi, którzy odeszli od swoich elektronicznych kominków, żeby zobaczyć pierwszego człowieka w historii, który odważył się zignorować najsilniejszy środek perswazji, jaki kiedykolwiek wymyślono. Praeger nie bez powodu upierał się przy wystąpieniu w parku. Choć

wieczór był mroźny, w końcu stanął przed kilkoma milionami ludzi i namawiał ich, by roztrzaskali swoje telewizory. Dla wielu z nich było to wstrząsające i niemal nie do pomyślenia. Stali na mrozie przez długie godziny, przestępując z nogi na nogę, podczas gdy sprzedawcy gorących napojów robili właśnie interes życia.

– Kim jest ten osobnik, który opowiada o zimie i każe wam wyrzucić za okno telewizory, na które ciężko harowaliście? – zapytał burmistrz szyderczo.

Ale w tłumie stał Asbury Gunwillow, który krzyknął:

– Praeger de Pinto! Praeger de Pinto! – Skandowanie podchwyciły miliony zgromadzonych, więc burmistrz musiał zmienić taktykę.

– Właściwie to... – zaczął – rzadko oglądam telewizję. Tylko te dobre programy... wiecie, te kulturalne.

– A co za różnica, co się ogląda? – odparował Praeger. – Kiedy hipnotyczny strumień elektronów zaczyna oplatać wasze mózgi, jesteście skończeni, wyzuci z dobra, skazani na piekło. Nie ma znaczenia, co to jest; jeśli nie odwrócicie wzroku i sami nie wyznaczycie reguł, wasz intelekt zostanie skazany na śmierć. Umysł jest jak mięsień. Aby był zwinny i silny, musi pracować, a telewizja to uniemożliwia. A poza tym, Gronku – tak czasem nazywał burmistrza Gronostaja – oglądasz tylko ekranizacje utworów literackich, bo zapomniałeś, jak się czyta.

– Nie mówi pan teraz tylko do mnie – odparł burmistrz Gronostaj. – Odnosi się pan do całego elektoratu i obraża go pan!

– Liczba niepełnosprawnych, elektronicznie zapeklowanych mózgow nie jest tu problemem, panie burmistrzu – oznajmił Praeger. – Problem polega na tym, że niewolnicy mogą zapragnąć wolności.

– Nazywa pan naszych mieszkańców niewolnikami?

– Tak. Są niewolnikami mrugających pikseli, które ich obezwładniają i mówią im, co mają myśleć, co kupować i iloma kocami przykryć się na noc.

Burmistrz, zmuszony do obrony, wypalił:

– Telewizja to nasza wspólna płaszczyzna, miejsce demokratycznej wymiany opinii, wspaniałe narzędzie komunikacji.

– Owszem, ale komunikujące tylko w jedną stronę – odpowiedział Praeger. – Każdy musi podlegać jego wyrokowi i nie można z nim dyskutować. Telewizja odbiera nie tylko prawo, ale i zdolność mówienia. Poza tym nie mam ochoty komunikować się z zapeklowanymi głowami. – Tłum był ogromnie zadowolony. Nie byłby bardziej wdzięczny, gdyby Praeger zadysponował, żeby rozdać kilka milionów półkwartowych porcji gorącego rumu z masłem. – Proszę na nich spojrzeć – ciągnął. – Mają nogi. Mają mięśnie. Oddychają i wieczorami wychodzą z domu. Potrafią nawet przechadzać się w czasie mrozu. Idę o zakład, że umieją polować, jeździć na nartach, rąbać drewno, tkać, strugać i naprawiać wielkie maszyny. Chciałbym spędzić wieczór przy kominku z książką w ręku, a nie przed tym migającym prostokątnym ustrojstwem, które drze się jak opętane w każdym pokoju dziennym w tym kraju.

– Jakież to zacofane – powiedział burmistrz Gronostaj.

– Nie mam nic więcej do dodania – odparł Praeger.

Wtedy moderator zadał pytanie, czy należałoby również zamknąć szkołę śmieciarzy na Randall's Island, skoro w ostatnim czasie większość słuchaczy nie była w stanie zdać egzaminu z hałasowania.

– Nie będę o tym dyskutować – rzekł Praeger, kiedy burmistrz Gronostaj skończył długi wywód o tym, jak hałasuje się kubłami na śmieci. – Interesują mnie tylko poważne sprawy: przyzwoita płaca za ciężką lub wymagającą kwalifikacji pracę, walka z przestępczością na

ulicach, zakaz ruchu samochodowego na Manhattanie. Chcę rozmawiać o wielkich rzeczach, o historii i mieście, o tym, dokąd zmierzamy, o małych i wielkich tyraniach, które trzeba obalić, o mojej miłości do miejsca, gdzie się urodziłem i dorastałem. Nie obchodzą mnie kubły na śmieci. Obchodzą mnie mosty, rzeki, labirynty ulic. Wierzę, że one żyją... Czasem myślę o tym, żeby zrezygnować, wycofać się z wyborów i wyjechać z tego miasta. To jest trudne miejsce – dla wielu zbyt duże i niemal zawsze niezrozumiałe. Ale w takich chwilach zatrzymuję się, odsuwam na bok moje ambicje i patrzę na miasto jak na całość. Czuję ogromny zapał, wtedy bowiem gorączka miasta wypala mgły, które tak często je zasłaniają. Wtedy wygląda ono jak zwierzę, które umościło się nad brzegiem rzeki. Wtedy wydaje się wielkim dziełem sztuki, osłoniętym krużgankami zmieniającej się pogody, rzeźbą pełną niepojętych szczegółów stojącą na posadzce planetarium pełnego jasnych światel i złotych słońc. Wiecie, o czym mówię, jeśli się tu urodziliście, jeśli przybyliście tu z jakiegoś odległego miejsca albo jeśli widzicie, jak miasto wschodzi ponad polami i lasami, z domów znajdujących się nieopodal. Czy jesteście biedni, czy bogaci, wiecie, że serce miasta zaczęło bić wraz z pierwszym uderzeniem siekierą w pierwsze drzewo, które miało zostać wyrąbane. I nigdy nie przestało bić, bo miasto jest żywą istotą, znacznie wspanialszą niż dym, światło i kamień. To miasto – powiedział głosem pełnym emocji, które poruszyły nawet jego przeciwnika i włączyły go w rytm toczących się słów – zostało umiłowane przez Boga nie mniej niż samo życie czy idealna doskonałość spowitego światłem wszechświata. Ono żyje i jeśli jest się cierpliwym, można dostrzec, że mimo bezprawia, brzydoty i gorączki jest ostatecznie sprawiedliwe i ostatecznie łaskawe. Mój Boże, kocham je. Naprawdę je kocham. Proszę mi wybaczyć – powiedział, zasłaniając oczy i opuszczając głowę.

Burmistrz nie ośmielił się przerwać milczenia tłumu, które zaległo od Sheep Meadow aż do Eighty-sixth Street w tę wspaniałą, mroźną noc, skąpaną w srebrnym blasku reflektorów. Obecny burmistrz otworzył usta z obawy, że jego przeciwnik, który zyskał nad nim wyraźną przewagę, wygra wybory dzięki temu, że dostrzegł duszę miasta i głęboko się w nim zakochał. Bał się, że miasto odpowie na nietypowe wezwanie Praegera. I właśnie tak się stało. Nie tylko mieszkańcy byli oczarowani, ale też – gdy Praeger podniósł wzrok – miasto bardzo jasno się określiło. Otaczało go z każdej strony i błyszczało jak diament.

BIAŁY PIES AFGAŃSKI

Peter Lake sądził, że zbawienny wpływ czasu zaradził już jego szaleństwu, a on uczy się żyć w harmonii z innymi ludźmi. Poczul się wręcz jak lobbysta, kiedy mężczyzna, na którego oddał swoje dwanaście głosów w Five Points, wygrał wybory z miażdżącą przewagą. W przeddzień wyborów był niezwykle zadowolony z siebie. Łatwo wzmocnił sobie ten pompatyczny nastrój, kupując u Fippa – w najlepszym w mieście sklepie z męską odzieżą – strój, w którym nie tylko prezentował się godnie, ale też dość przystojnie. Gdy się ostrzygł, ogolił i delikatnie przyciął wąsy, z zarośli siwej brody wyłoniła się jego twarz i błyszczące, owalne, lekko zezowate oczy, które wcześniej obwieszczały jego szaleństwo, i z zaskoczeniem dostrzegł, że rzeczywiście wygląda jeśli nie jak lobbysta, to jak mediator, a już na pewno makler.

Jego twarz była naznaczona czasem i udręczona, przez co wyglądał jak weteran, który nigdy nie rozmawia o wojnie, ojciec rodziny, dobry obywatel, starszy biznesmen, którego ambicje dawno już wygasły, dobrotliwy, wyrozumiały miłośnik dobrej muzyki i poezji, chowający w głębi duszy, tak jak wszyscy mężczyźni, wielki sekret, który nigdy nie zostanie zgłębiony. Najbardziej wstrząsnęło nim jednak to, że jego twarz jest życzliwa. Zastanawiał się, czy kiedyś miał czas albo sposobność, żeby stać się życzliwy? Ta cecha nie kojarzyła mu się z niedawną przeszłością, kiedy to rozbijał ściany piwnic niczym pocisk artyleryjski. Zamiast jednak nad tym główkować, postanowił wykorzystać do cna tę nową łagodność, która w jakiś sposób znalazła drogę do jego serca.

Wyszukał przyzwoite mieszkanie. Pensja w „The Sun” pozwoliła mu zaoszczędzić i było go teraz stać na wygodne życie. Wybrał niewielki pokój w starym budynku w Chelsea. Znajdował się na tyle na uboczu, że przychodząc do niego każdego wieczoru, czuł się tak, jakby wracał na farmę. Ogromny komfort dawały mu drewniane ozdoby i gzymsy wokół kominka i pod sufitem mające na tyle spokoju i ciepłości, by w bezruchu pozostawać w tym samym miejscu przez sto pięćdziesiąt lat.

W nocy Peter Lake rozpałał w kominku i bujał się w fotelu, słuchając tykania starego zegara, który stał w korytarzu. Jak wszystkie stare zegary mówił: „tu Dakota, tam Dakota, tu Dakota, tam Dakota, tu Dakota, tam Dakota”. Nie wiedział dlaczego, ale za każdym razem, gdy słyszał stukot kopyt za oknem, wzruszał się do łez. Nawet kiedy wczesnym rankiem leżał w łóżku i dobiegały go ciężkie kroki kobiet, które w butach na obcasach spieszyły się do pracy, wydawało mu się, że słyszy mleczne klacze. Myślał, że być może to mu wystarczy – stary zegar, który mówi „tu Dakota, tam Dakota”, cichy pokój, kominek, cienie, koń, który przejdzie pod oknem od czasu do czasu, i garnitur w edwardiańskim stylu. Być może zostanie mu wybaczone, że nie może sobie przypomnieć tego, czego naprawdę nie pamięta. Być może ten czas został już bezpowrotnie stracony, a on, tak jak inni przyspieszeni lub cofnięci przez los, podda się, przyzwyczai i zostanie cichym obywatelem o bladych, tajemniczych wspomnieniach.

To była łatwa droga. Małe przyjemności dawały mu mnóstwo satysfakcji – nie tylko wygadany zegar, ale i przyjemne dźwięki fortepianu. Udawał, że dobiegają one z mieszkania młodego muzyka piętro niżej, choć doskonale wiedział, że pochodzą z jego wnętrza. Tak czy inaczej muzyka była piękna i tego nie podważał. Musiał odpocząć, jakoś przetrwać. I jakąż rozkoszą było przetrwanie! Rezygnował z posiłków w „The Sun” (bo wolał być sam) i jadł w restauracji o nazwie Francuski Młyn, gdzie kelnerzy przynosili tablicę, na której wypisane było z dziesięć propozycji. Mówił, czego sobie życzy, i przynoszono mu to bez pompy. Jedzenie zawsze było przepyszne, tanie i podawano je z lampką wina z Alp o owocowym aromacie.

Każdego wieczoru po obiedzie szedł do łaźni publicznej. Najpierw fryzjer lekko strzygł mu wąsy i golił zarost. Potem Peter Lake chował swoje ubrania w szafce i wchodził pod silny strumień wody do jednej ze stu marmurowych kabin prysznicowych. Później następowała seria kąpeli parowych, kąpeli w lodzie, wizyt w saunie, wirów i pryszniców, aż wychodził stamtąd chwiejnym krokiem, czysty jak łaza (czuł się namydlony i wyszorowany nawet od środka), gotowy, by pobujać się przy kominku przez godzinę czy dwie, po czym zasnąć w czystej pościeli pod ciężką kołdrą.

Zasypiał bez kłopotu. Codziennie pokonywał dziesięć mil, idąc do pracy i z powrotem, i nie należał do tych majstrów, którzy zrzucają najcięższą robotę na chuderlawych czeladników. Kiedy przenoszono osłonę maszyny, tłok czy wałek, Peter Lake pracował razem z pozostałymi i pięć godzin na siłowni nie zrobiłoby mu lepiej.

Wysilek, rześkie powietrze podczas długich spacerów, świeże warzywa i chude mięso we Francuskim Młynie, codzienny mały kieliszek wina, wzmacniające kąpiele, czysta pościel i częste korzystanie ze Szwedzkiej Rączki (okolicznej pralni), dzięki której nie brakowało mu wykrochmalonych koszul i czystych skarpetek, sprawiały, że był zdrow i w świetnej formie. Jego ciało nadal byłoby jednak wrakiem, gdyby jego umysł nie ozdrowiał w cudowny sposób.

Jego zdaniem stało się to dzięki sielskiemu spokojowi starego pokoju, tykaniu zegara, cichemu trzaskaniu ognia w kominku, wielu godzinom samotności i innym zmianom po niewysłowionym śnie, w którym przemierzał wszystkie groby świata. Próbował przestać o nim myśleć, bo nic nie było bardziej sprzeczne z równowagą jego nowego życia w Chelsea niż przerażająca, szczerza prawda – że oto on, Peter Lake, główny mechanik, obywatel, który wyobrażał sobie, że miał białego afgańskiego psa, ale w końcu ustatkował się i odnalazł spokój, był tak naprawdę żyjącym archiwistą zmarłych i potrafi wymienić ich wszystkich, każdego, jednego po drugim, choć są ich miliony.

Pewnego wieczoru Peter Lake siedział sam we Francuskim Młynie, czekając na mały stek, cienkie jak sznurówki frytki, sałatkę i kieliszek górskiego wina Brennero. Tak jak często bywa przed zimowym przesileniem, a nigdy po nim, wczesny zmierzch wydawał się radosny i obiecujący nawet tym, którzy nie mieli niczego. Dla Petera, który jednak coś miał, światła ciągnące się wzdłuż Hudson Street wyglądały jak lampki choinkowe.

Oparł się o ścianę i przyglądał się, jak ludzie w pośpiechu przedzierają się przez niezwykle mroźny listopadowy wiatr. Motorniczy metra, bombardowany przez lodowate kryształki – zwiastuny nadciągającej zamieci – przytrzymując ręką czapkę, biegł do ciepłych podziemi. Drogo ubrana kobieta, która wyglądała, jakby rzadko opuszczała luksusową dzielnicę Upper East Side, przemaszerowała przed nim z cierpiącym wyrazem twarzy. Chłód bezczelnie wślizgiwał się pod jej futrzany płaszcz. Widok jej pereł boleśnie go zakłuł. Zwrócił na to uwagę, bo zdarzało się mu to już wcześniej.

Zaczął zauważać kobiety pierwszy raz, odkąd obudził się i ujrzał rudowłosą panią doktor przy swoim łóżku. Nie przyszło mu do głowy, że wcześniej wyglądał jak włóczęga częściowo po to, żeby uniknąć kontaktów z kobietami. Nie miał wspomnień o żadnych związkach poza tym, że jeśli kobieta miała niebieskie oczy, nie mógł nawet na nią spojrzeć, przynajmniej nie wprost. Młode dziewczyny o pewnym typie urody działały na niego tak samo jak teraz perły.

Drzwi wejściowe do Francuskiego Młyna otwarły się – do środka wpadło nieco szklistego śniegu – i zamknęły. Na początku Petr Lake myślał, że to sprawa wiatru, ale gdy odwrócił głowę, zobaczył, że dwóch niewysokich mężczyzn kieruje się do stolika na drugim końcu sali. Nie tylko mierzyli oni nie więcej niż pięć stóp, ale też obaj nosili meloniki i poszarpane marynarki, których tył skrojono poprzez przycięcie ogona fraku. Ich oczy były

zapadnięte, twarze wydawały się szorstkie, mieli kościste policzki i szczęki, które u mężczyzn dwa razy od nich większych wyglądałyby na wielkie i pełne zębów. Dłonie przypominały małe, pulchne kulki z płaskimi dziecięcymi kciukami, delikatnymi i dziwnymi jak łapki rzekotki drzewnej. Ich głosy pasowały do całej reszty, bo były słabe i brzmiały jak błagalne piski mężczyzn, którzy poślubili kobiety-drwali lub strażniczki więzienne.

Mimo że nie czuł do nich ani antypatii, ani sympatii, ani też nie był nimi zaintrygowany, Peter nie był w stanie przestać się im przyglądać. Obaj nie rozmawiali, tylko spiskowali. Wydawało się, że serdecznie się nienawidzą, a mimo to widać było łączącą ich zażyłość. Dość szybko wdali się w kłótnię i im żarliwsza się stawała, tym bardziej podskakiwali na swoich krzesłach. Ich osobliwe głosy podnosiły się, w miarę jak się burzyli i złościли.

Przynosząc danie Peterowi Lake'owi, kelner wskazał na dwóch wrzeszczących karłów w melonikach i z przyciętymi ogonami i przewrócił oczami, jakby chciał powiedzieć: „La Madonna!”. (Wszyscy kelnerzy we Francuskim Młynie byli rzecz jasna Włochami z nad Brenty).

Peter zaczął jeść, starając się ze wszystkich sił zignorować dwóch małych mężczyzn. Ale choć bardzo się starał, nie był w stanie nie słyszeć słów, które w kłótni wykrzykiwali z taką emfazą. Chciał rozkoszować się stekiem, ale w pewnym momencie prawie się nim zakrztusił.

Ich rozmowa przebiegała mniej więcej tak:

– Coś tam, coś tam, coś tam, coś tam, coś tam, coś tam, coś tam... Biały pies afgański... coś tam, coś tam, coś tam, coś tam, coś tam, coś tam, coś jeszcze i zupełny bełkot.

„Biały pies afgański” – te słowa utkwiły w głowie Petera Lake'a jak haczyk.

Po chwili szedł już dziarsko ulicą, mierząc się z północnym wiatrem. Minął Chelsea i skierował się do środkowej części miasta.

Cokolwiek oznaczał biały pies afgański, miał na niego silny wpływ i Peter Lake bał się, że może on zaburzyć jego niedawno ustanowioną równowagę.

– Kurwa! – powiedział, popychany pędem nóg, które ledwie pozostawały pod jego kontrolą. – Cholera! – Nie wiedział nawet, dlaczego idzie, ale czuł, że gdyby wrócił do swojego pokoju, wszystko by popsuł. – Zegar tyka, zegar tyka, gra muzyka – zorientował się, że śpiewa jak za swoich gorszych czasów. A kiedy zbliżył się do jasnych ulic, pełnych ludzi i sklepów, odkrył, że mimo iż jest czysty i ma porządne ubranie, przechodnie znów omijają go szerokim łukiem. – Nie! – krzyczał głośno, niechcący zapewniając sobie luksus chodzenia po pustym chodniku. – Przestań! Przestań! Przestań! Przestań... – i wtedy bardzo delikatnie: – Przestań. – Powściągnął swój maniackalny krok. – Kupię białego psa – powiedział do siebie. – Kupię białego psa i zabiorę go do swojego pokoju. Będzie dobrym towarzyszem. Zawsze kochałem psy. Właściwie to nie wiem, czy to prawda, ale i tak go sobie kupię, kupię białego psa, białego psa afgańskiego. To musi być to. To musi być tęsknota za psem. Ekhem! – odchrząknął. – Właśnie: pies, biały pies. – Poszedł w stronę wspaniałych sklepów.

Kubla Khan nie mógłby zażyczyć sobie wybudowania lepszego centrum handlowego. Gdziekolwiek ktokolwiek spojrzał, każdy mógł kupić wszystko, ponieważ wszystko było wszędzie, w stoiskach rozciągających się na pół mili kwadratowej, wysokich na sto pięter i ustawionych wzdłuż alejek jedno przy drugim jak domino. Z drugiego brzegu rzeki mieszkańcy dzielnicy nędzy widzieli, jak te świątynie materializmu migoczą neonami w mroku nocy albo lśnią jak wypolerowane bagnety w świetle dnia. Zastanawiali się, co to za miejsce.

Peter Lake znalazł sklep ze zwierzętami i zapytał o białego psa.

– Może chciałby pan sympatycznego shih tzu? – zapytał sprzedawca.

– Dziękuję, już jadłem – odparł Peter.

– Shih tzu to rasa bardzo ładnych białych psów, proszę pana.

– Aha. Dobrze, proszę pokazać.
– Sprzedawca zniknął na chwilę i powrócił z psem pod pachą.
– Na litość boską – powiedział Peter Lake, spoglądając na psa. – Nie potrzebuję mopa. Gdzie są jego oczy? To jest zwierzę dla starszej pani, która nie ma pojęcia, co to pies. Proszę nie pokazywać mi niczego, co nie jest w stanie przeskoczyć przez kozła.
– W takim razie może Ariadna? – zapytał sprzedawca, pokazując piękną śnieżnobiałą bernardynkę.
– To dopiero piękny pies – odpowiedział Peter. Podszedł do Ariadny i poklepał ją po grubym pysku. – Dobry piesek – powiedział.
– Nie znajdzie pan lepszego – dodał sprzedawca.
– Jest urocza – odparł Peter Lake. – Wydaje mi się jednak, że nie jest dość duża.
– Nie dość duża?
– Zgadza się. Myślałem o... naprawdę wielkim białym psie – odpowiedział. – Ogromnym.

– Musi więc pan iść do sklepu Ponmoya – doradził mu sprzedawca. – Specjalizują się w wielkich psach.

Sklep Ponmoya znajdował się niedaleko i łatwiej było go znaleźć niż trzeci krąg piekła. Wielkie psy były wszędzie, usiłowały wyswobodzić się z niewoli grubych łańcuchów z nierdzewnej stali, wyły niczym szaleńcy podczas pełni, a z luźnych pysków, które wisiały im jak kurtyny w klubie Roxy, płynęły im całe wiadra śliny. Pracownicy sklepu rzucali im dwudziestofuntowe steki wołowe i przycinali sierść sekatorami.

– Chciałbym kupić dużego białego psa – powiedział Peter Lake samemu panu Ponmoyowi.

– Dużego? – zapytał Ponmoy. – Proszę za mną.

Pokazał swojemu klientowi wysokiego na pięć stóp śnieżnobiałego mastifa. Peter kilka razy obszedł bestię i pokręcił głową.

– Właściwie myślałem o jeszcze większym psie.

– Jeszcze większym? To największy pies w całym sklepie. Waży dwieście pięćdziesiąt funtów. Nie ma większych okazów.

– Jest pan pewien? Z jakiegoś powodu czuję, że potrzebuję naprawdę wielkiego białego psa. Naprawdę wielkiego.

– Pan nie chce psa. Pan chce konia!

Peter Lake znieruchomiał na chwilę, zastygając we wzorzec spokoju, szczęścia, spełnienia i zadowolenia.

– Tak... – odpowiedział. – Nie mógłbym trzymać go w pokoju, ale niedaleko jest stajnia. Mógłbym jeździć na nim po parku. Koń...

Wkrótce na regale w pokoju Petera Lake'a, gdzie do niedawna leżały doskonale skonstruowane przekładnie czy panewki, które warto było dokładniej zbadać, znalazły się setki książek o koniach. Były wśród nich oczywiście klasyczne pozycje, takie jak Koń. Opieka i żywienie Roberta S. Kahna, Anatomia konia Burchfielda czy Dresaż Turnera. Peter jednak przeczesał księgarnie niemal tak dokładnie, jak odwiedził groby świata, i stworzył sobie niezłą kolekcję dzieł drugorzędnych, trzeciorzędnych, a nawet trzydziestosiódmorzędnych, książek, które tak jak większość istnień dostąpić miały niewielkiej chwały, poza chwałą Sądu Ostatecznego. Miał więc Wspomnienia wojennego stajennego Moffeta Southgate'a (autor całe życie pracował jako stajenny w bazie lotnictwa morskiego), Katalog alabamskich zgrzebeł z lat 1760–1823 autorstwa Georgii Fatwood, Afro-kalifornijski styl skakany Sierry Lein, Jedź, do

cholery, ty stara chabeto! Fulgury Frango i ilustrowany album, ważący czterdzieści funtów, wydrukowany na papierze welinowym, oprawiony w jedwab, z tłoczonymi złotymi literami, który kosztował Petera całą tygodniówkę, pod tytułem Zdjęcia wielkich białych koni.

Przez tę ostatnią książkę nie przespał wielu nocy, kartkował ją z wielką uwagą, żeby wydrzeć z zakamarków pamięci, co łączy go z jednym z tych zwierząt lub dłaczego wciąż musi poszukiwać. Godzinami wpatrywał się w białe piękności stojące dęba na francuskich łąkach czy odziane w purpurę i srebro na angielskiej paradzie, z miną pełną tajemniczego zadowolenia. Bez wątpienia mniej zadowoleni byli sąsiedzi Petera Lake'a, których w środku nocy budziły odgłosy, kiedy ten skądinąd szanowany mężczyzna galopował po swojej niewielkiej kwaterze i rżał – nie dlatego, że uważał się za konia, ale dlatego że próbował zrozumieć, co w koniach tak silnie go pociąga. Wyciągał przed siebie ręce, żeby naśladować przednie kopyta utrwalone na zdjęciu, nie było jednak sposobu na uchwycenie elegancji i idealnej równowagi białogrzywego konia wyścigowego. Miał fotografię konia ciągnącego wóz strażacki, który biegł tak szybko, że wszystkie jego nogi były w powietrzu, a głowę trzymał uniesioną, jakby wybiegł zza rogu i poczuł opór ciągniętej pompy. To zdjęcie stało się obsesją Petera. Oglądając je, próbował zajrzeć koniowi w oczy, obrócić książkę na bok i do góry nogami, a nawet przyglądał mu się przez szkło powiększające, które przyniósł z narzędziowni w pracy. Intrygowało go to, że koń wydaje się szybować nad ziemią. Wystarczyło, że sam zamknął oczy, a miał wrażenie, że również lata. Nie należało lekceważyć różnicy pomiędzy stanem na ziemi a przebywaniem kilka stóp ponad nią. Te kilka cali, które dzieliły rozluźnione, bezwładne nogi człowieka od powierzchni, od której się oderwały i nad którą bez wysiłku mogłyby szybować, były jak najdalsza podróż, jaką można sobie wyobrazić. Peter Lake zastanawiał się, czy anioły, po tak długim czasie przebywania w czystym zawieszeniu, mogą pamiętać, jak się stoi, i czy można odróżnić artystów tworzących dla wyższych celów od pozostałych – nie tylko po głębokości ich spojrzenia, ale również po rozluźnieniu ich kończyn. On sam widział takie zawieszenie, w Petipas, kiedy dziecko przyfrunęło w jego objęcia, unosząc się nad brukiem dziedzińca lżej i bardziej płynnie, niż pozwalały na to prawa fizyki.

Mogło to być jednak tylko jego wyobrazenie, jedno z wielu, takie jak przerażająca znajomość zmarłych, która mimo wszystko była dla niego ciężarem. Nigdy nie będzie w stanie wyjaśnić tych złudzeń, jeśli nie będzie miał choćby znikomego pojęcia, kim jest. Konie jednak były dla niego zarówno niewytłumaczalną tajemnicą, która objawiała się pociąganiem do różnych rzeczy, jak i rzeczywistością z krwi i kości. Pragnął ich z bardzo rozsądnego powodu: nawet jeśli ich urok był dla niego zupełnie niepojęty, i tak mógł podziwiać, jak ciągną wozy lub wożą turystów po parku. I łatwo było oczywiście kochać konie, bo były niebywale piękne i łagodne. Peter Lake gapił się więc na zdjęcia białych koni, nie rozumiejąc dłaczego, i miłość do białego konia, jakiej by się po sobie nigdy nie spodziewał, wypełniała go niewytłumaczalnymi emocjami.

Po niedługim czasie w mieście nie było ani jednej stajni, w której by nie znano Petera. Jeśli gdzieś w mieście odbywał się pokaz lub aukcja koni, nie mogło go tam zabraknąć. Często siadał na skale nieopodal najbardziej uczęszczanego mostu w Central Parku. Gdyby nadal tkwił w swoim łachmaniarskim szaleństwie, nic by z tego nie rozumiał. Teraz jednak był spokojny i zaczynał kojarzyć. Bardzo szybko zdał sobie sprawę, bardziej po swoim zachowaniu niż po pragnieniach, że szuka konkretnego konia. Rozpaczliwie chciał odnaleźć właśnie tego jednego, choć nie wiedział, dłaczego szuka ani czego dokładnie, a otaczało go wiele białych koni.

Im bardziej drążył, tym stawał się bardziej zacięty. Im stawał się zdrowszy i silniejszy, tym lepiej służyły mu zmysły. Gdyby nie one, nigdy nie zauważyłby Christiany.

Trudno byłoby jej nie zauważyć. Była tym typem kobiety, która... Cóż, wiadomo jak wyglądała. Co dziwne, Peter Lake czuł się w jej towarzystwie równie swobodnie, jak inni onieśmieleni, być może dlatego że Christiana nie miała żadnych cech, które go niepokoiły, takich jak niebieskie oczy, zwyczaj noszenia pereł czy pewien rodzaj rysów twarzy, z którymi nie mógł się konfrontować bez tęsknoty i głębokiego bólu. Zauważył Christianę jakiś czas wcześniej; minął ją kilkanaście razy, kiedy wychodził do stajni lub z niej wychodził. Widział, że obserwowała konie pociągowe podczas porannego przeglądu w Red Hook (w większości były to kuce szetlandzkie, które ciągnęły wozy z kwiatami i urozmaicały przyjęcia urodzinowe, od czasu do czasu zdarzył się jednak biały koń normalnych rozmiarów, a nawet biały ogier). Kłaniał się jej dyskretnie, kiedy widywał ją na pokazach koni. Zauważył, że on i Christiana byli jedynymi ludźmi na aukcjach, którzy nigdy nie licytowali.

Kiedy w końcu zaczęli rozmawiać, z zaskoczeniem odkryli oboje, że łączy ich nie tylko miłość do koni (żadne z nich nie ośmieliło się przyznać, że to uczucie jest obsesją), lecz także „The Sun”. Peter Lake powiedział jej, że jest głównym mechanikiem, na co odparła:

– A więc to ty jesteś panem Okazicielem.

– Skąd wiesz? – zapytał.

Wiedziała od męża. Kim był? Pilotem motorówki „The Sun”. Właściwie powiązania Christiany z „The Sun”, a tym samym poniekąd z Peterem Lakiem były jeszcze silniejsze, pracowała bowiem jako pokojówka w domu Pennów i często czytywała Harry’emu Pennowi, kiedy Jessica była w trasie, albo pełniła honory w imieniu Praegera de Pinto, kiedy był zajęty kandydowaniem na stanowisko burmistrza.

– Poznałem go – powiedział Peter. – Głosowałem na niego dwanaście razy i znam też twojego męża. Czasem daje mi rybę. Jednego skrzelołuska zabrałem do Francuskiego Młyna, gdzie przygotowano mi go z ziołami i masłem. Mechanicy zawsze czekają na wizyty Asbury’ego, niezależnie od tego, czy przynosi ryby, czy nie, bo nikt z większą cierpliwością nie wysłuchuje naszych opowieści o maszynach. Chce wiedzieć o nich wszystko i ze szczegółami.

– Ostatnio ma niewiele do roboty – stwierdziła Christiana. – Woda w porcie zamarzła, a motorówka ma straszne kłopoty z silnikiem i musiał oddać ją do remontu. To stary model, a Asbury nie całkiem wie, jak go naprawić.

– Dlaczego mi nie powiedział?

– Pewnie nie chciał ci sprawiać kłopotu.

– Kłopotu? Uwielbiam silniki. Powiedz mi, kiedy będzie na pochylni.

– Ostatnio jest tam bez przerwy.

– Pójdę tam jutro i zobaczę, co da się zrobić.

Peter rozstał się z Christianą oszołomiony, bo po raz pierwszy udało mu się z kimś zaprzyjaźnić. Przyjaciel oznaczał szczęście, a nadmiar szczęścia mógł zakończyć jego zmagania. Dlaczego nie miałby naprawić silnika Asbury’ego? Z pewnością to mu nie zaszkodzi. W końcu sprzęt ten należał do „The Sun”, a zorientował się już, że dbanie o silniki „The Sun” jest sensem jego życia.

POWRÓT ABYSMILLARDA

Pewnego listopadowego tygodnia wśród korporacyjnych potentatów nastąpiła moda na kupowanie kościołów. Craig Binky nie chciał pozostać w tyle, kupił więc sześć kościołów baptystów na Upper West Side. To go jednak przygnębiło, ponieważ zgodnie z regułami gry było to niezbyt imponujące osiągnięcie. Marcel Apand miał wszak trzy kościoły episkopalne w na środkowym Manhattanie i cerkiew w Astorii, a Crawford Bees sprawił sobie sześćdziesiąt synagog.

Craig Binky poczuł się dotkliwie zraniony, kiedy Praeger de Pinto zwrócił się przeciwko niemu podczas kampanii, a to, że sięgnął po zwycięstwo, sfrustrowało go. Uważał, że w najgorszym wypadku należą mu się jakieś wieści o statku, który stał zakotwiczony na rzece Hudson, ale burmistrz elekt odmówił mu jakichkolwiek informacji, twierdząc, że ujawni je w grudniu, a Craig Binky dowie się wtedy tyle, ile pozostali.

– Ale ja jestem z prasy! – wybełkotał Craig Binky. – Stracę popęd, jeśli nie będę wiedział takich rzeczy. Popierałem cię, a ty teraz każesz mi jeździć na nartach wodnych bez liny.

Craig Binky wrócił do swojego gabinetu, zanim zdał sobie sprawę, że niczego nie odkrył.

– Jako jedyny w tym mieście – powiedział do Alertu i Scrou--tu – wiem nic. – Często mówił „wiem nic” zamiast „niczego nie wiem”. – Muszę to naprawić.

Zwrócił się do miejscowego półświatka i zapłacił sto tysięcy dolarów, żeby dowiedzieć się, że centralną postacią jest Jackson Mead, i po pięćdziesiąt tysięcy, by wyciągnąć od informatorów nazwiska wielbnego Mootfowla i pana Cecila Wooleya. Podczas jednego z wielu jesiennych bankietów wydawniczych Harry Penn, który słyszał plotki o tych zakupach i przechwałkach Craiga Binky’ego, że wie teraz najwięcej ze wszystkich, tylko raz zmierzył go wzrokiem i stwierdził, że plotki nie kłamią. Craig Binky puszył się niczym młody (jak sam by powiedział) kurczak, tak zadowolony z siebie, że nawet kiedy siedział, czuł się tak, jakby paradował. Gdy Craig Binky wygłosił przemowę (która ponoć miała dotyczyć felietonisty E. Owena Lemura, ale brzmiała mniej więcej tak: „Zawsze mnie lubił. Uważał, że jestem wspaniały. Powiedział, że pewnego dnia zdołam...”), nie mógł się powstrzymać, wstał jeszcze raz i powiedział:

– Znam nazwiska osób ze statku na Hudsonie. Ekhm! – Po czym usiadł.

Harry Penn nachylił się w jego stronę i szepnął mu do ucha:

– Masz na myśli Jacksona Meada, wielbnego Mootfowla i pana Cecila Wooleya? Nawet twoi gazeciarze ich znają i to bez płacenia Solowi Fappiano dwustu tysięcy dolarów, Craig.

– A jak się dowiedzieli? – zapytał Craig Binky, bielszy niż cukier puder.

– Przeczytali o tym w „The Sun” – skłamał Harry Penn. – Czytają „The Sun” regularnie. Sądziłem, że o tym wiesz.

Craig Binky uznał, że żeby ocalić swoją pozycję, wytrzyma wszystko i zapłaci każdą cenę, aż w końcu odkryje, o co chodzi. Musiał odzyskać honor. Postanowił zapytać komputer.

Kazał zmienić opony na zimowe w jednym ze swoich aut terenowych i pojechał w głąb Connecticut, gdzie na wapniowym klifie przycupnął wielki, przypominający twierdzę budynek z widokiem na spokojną dolinę. Był tam jeden z terminali komputera narodowego w Waszyngtonie. Na ogół krzemowy Behemot w stolicy zajmował się rzeczami, których nikt nie rozumie, ale od czasu do czasu poświęcał kilka minut sprawom zwykłych ludzi.

– Czy to właśnie on? – Craig Binky zapytał dyrektora placówki, który wprowadził go do pomieszczenia wielkości dwustu wielkich stodół wypełnionego po sufit zespolami

elektronicznych nagrobków.

– To? – odparł dyrektor. – Oczywiście, że nie. Ta instalacja to tylko terminal. Tu konwertujemy języki poszczególnych użytkowników na algorytm, który rozumie wielki komputer w Waszyngtonie.

– Chce pan powiedzieć, że komputer w Waszyngtonie jest większy od tego?

– Właściwie nie. Jest zaledwie wielkości domu, a jego serce jest utrzymywane w temperaturze zera bezwzględnego. Jedna z jego pamięci RAM jest wielkości ziarenka piasku, ale ma możliwości modelu, powiedzmy, z dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, zajmującego cały pokój. Jest jak mózg, a terminale są jak receptory zmysłowe rozmieszczone na całym ciele. To tak jak pana mózg, który mimo że jest nie większy niż...

– Piłka do kosza – szybko powiedzieli Alertu i Scroutu.

– W porządku, piłka do kosza. Mimo że jest dużo mniejszy niż pana ciało, jest o wiele mądrzejszy.

– Zabierzmy się do pracy – pospieszał Craig Binky.

– Przyniósł pan swoje chipy?

– Jakie chipy? Chcę tylko zadać mu jedno pytanie.

– Tylko jedno?

– A czemu nie?

– To kosztuje milion dolarów.

– Dla mnie to tyle warte.

– Proszę bardzo. To pana decyzja. Co to za pytanie?

– Kim jest Jackson Mead?

– Dostęp do centralnego procesora w Waszyngtonie będzie pana kosztować milion dolarów.

– Niech pan zada to pytanie, na litość boską!

Operator podszedł do terminala i wpisał serię kodów i komend. Następnie wprowadził zapytanie: „Kim jest Jackson Mead?”.

Po chwili na rubidowym ekranie wyświetliły się słowa: „Nie wiem”.

– Jak to: „Nie wiem”? – krzyknął Craig Binky. – Daj mi z nim pogadać!

– Można podłączyć wejście głosowe.

– Daj mi pogadać z tym cholerstwem!

– Naprawdę, nie polecam.

– Dawaj mi sukinsyna na linię! – wydzierał się Craig Binky.

– W porządku, proszę mówić.

– Słuchaj, sukinsynu – zaczął Craig Binky – zapłaciłem milion dolarów tylko po to, żeby zadać ci proste pytanie, a ty mi mówisz, że nie wiesz.

– I? – odpisał komputer.

– Powinieneś wiedzieć wszystko.

– Chyba kpisz.

– Jesteś tanią podróbką. Powiniennem pojechać do Waszyngtonu i obić ci diody.

– Grozisz mi? – zapytał komputer.

– Żebyś wiedział – odparł Craig Binky, podskakując z nogi na nogę z uniesionymi pięściami. – Grozę ci, bo jesteś cykor.

Po chwili namysłu komputer odpisał:

– Wal się.

– Tylko spróbuj wystawić za to rachunek! – krzyknął Binky i wzburzony wypadł

z budynku.

Komputer ściągnął numery rejestracyjne wszystkich instrumentów finansowych z pokaznego portfela Craiga Binky'ego i zanim ten zniknął za drzwiami, złożono pozew i odpowiadano na niego, wydano wyrok, doliczono koszty procesowe, potrącono odpowiednie opłaty i kary, a wiadomości o sprawie przedostały się do każdej gazety w kraju z wyjątkiem „The Ghost”.

– Przeklęty automat! – powiedział Craig Binky do Alertu i Scrou--tu, kiedy siedzieli w samochodzie. – Bezużyteczny złom! – Nadal nie wiedział nic o Jacksonie Meadzie, podczas gdy inni wiedzieli wszystko. Dzień po dniu w prasie i innych mediach pojawiały się kolejne szczegóły, w oczekiwaniu na oświadczenia Praegera de Pinto pierwszego grudnia. Wiedział nawet Abysmillard.

Abysmillard? Tak, Abysmillard.

Abysmillard był najnędniejszą z istot stworzonych przez Boga. Nawet jako dziecko był brutalny i nieprzyjazny, a wraz z wiekiem jego ohyda tylko się nasiliła. Przymorzanie postanowili go zatrzymać (jedyną osobą, jakiej kiedykolwiek się pozbyli, był Peter Lake, bo on tak naprawdę nigdy nie był jednym z nich), ale zachowywali to w sekrecie, a czasem zupełnie jawnie marzyli, że coś kiedyś go w końcu załatwi szybko i skutecznie – napad Indian, zepsuty małż, nagła burza, która zastanie go w łodzi z mchu zbyt daleko od brzegu.

W dzieciństwie przestraszył swoją matkę tak mocno, że zmarła. Żadna inna Przymorzanka nie chciała go wykarmić, więc wsadzono go do krytej strzechą ciupy razem ze ślepą kozą. Nigdy nie nauczył się mówić, wydawał z siebie tylko niskie stęknienia i beknięcia, a mimo to był tak nużąco gadatliwy jak senator stanowy, który za dużo wypił. Kiedy Przymorzanie byli w żałobie, Abysmillarda opanowywała zwykle radosna mania, a kiedy świętowali, on się dąsał. Jedno jego oko patrzyło w prawo, a drugie w lewo i ku sufitowi. By czemuś się przyjrzeć, musiał machać swoją potarganą głową, dlatego przewrócił wielu staruszków i mnóstwo dzieci, znokautował prawdziwych osiłków i wylał na ziemię wiele gulaszów z ostryg.

Przymorzanie nie słynęli ze zbyt częstych kąpielii, ale w kategorii niemycia się Abysmillard był niekwestionowanym mistrzem. Musiał mieć własną chatę na własnym poletku ze względu na ludzi, którzy lubili jeść żywe węgorze. Mimo to czuł niecną żądzę względem dziewcząt, a jego szokujące i skandaliczne flirty przysparzały wielu kłopotów.

Zęby miał jak drogowskazy w najbardziej odległych obozach korpusów ekspedycyjnych, wskazujące drogę do lepszego, bardziej przyjaznego świata. Pchały się w każdą stronę. Jego ciało było usiane sińcami widocznymi nawet między jego matową grzywą włosów – tak jak żyjące istoty, które czasem z niej wyrzały. Bez wątplenia był najsamotniejszym z ludzi: sam nie znosił swojej obecności i często widziano go, jak biegnie po mieliznach, macha rękami i wrzeszczy, próbując zerwać z siebie przeraźliwą łuskę, w której cierpiał takie katusze.

Przymorzanie byli przekonani, że jego koślawość, rozmiary i niezdrowe pobudzenie szybko pošlą go do grobu i dziwili się, że dalej żyje, podczas gdy inni umierali. Myśleli, że nie ma po co żyć, ale byli w błędzie. Kochał motyle i w głębi duszy wierzył, że niczym gąsienica zrzuci swoje ohydne jestestwo i stanie się pogodną, pełną uroku istotą, którą wszyscy kochają. Lata mijały, a on czekał na swój okres linienia, wypełniony tym jednym celem i silny dzięki swojej nadziei. Jego wiara trzymała go przy życiu do tego stopnia, że żył dużo dłużej niż powinien, aż w końcu stał się przerażająco stary nawet jak na ludzi w bardzo podeszłym wieku. Gdy nadeszły zimowe miesiące tuż przed trzecim tysiącleciem, tylko on ostał się na bagnach, już od kilku dekad bardzo samotny. W pewnym sensie Przymorzanie mieli szczęście, że nie mogli

już zobaczyć, co stało się z ich światem, i obserwować, jak ten, który pozostał, całe życie przygotowuje się, by przetrwać każde nieszczęście i wypatrywać z nadzieją odległej przyszłości.

Ciężkie czasy, dobrobyt i wojna – czyli historia – przyczyniły się do rozbudowy portu i zaniku bagien, od których Przymorzanie byli całkowicie zależni. W czasach boomu fabryki i port rozciągnęły się na tatarak i błota, zamieniając tereny mieszkalne w coś nie bardziej produktywnego niż skała. Ekipy robotników miejskich przyjeżdżały wypełniać różnicę pomiędzy gruntem a wodą w miejscach depresji, a że nie można było dostać się tam piechotą ani dopłynąć łodzią, obszary te uznano za niepolityczne. W czasie wojny ziemie te zostały zajęte przez stocznie i terminale załadunkowe. Serce mokradeł przebiły strzały i włócznie nowych dróg, takich jak Pulaski Skyway, a ślizgi wodne i helikoptery odsłoniły je i zakłóciły. Wody zostały zatrute i zaśmiecone przez smary i szlam. Ponad pięćdziesiąt rafinerii i zakładów chemicznych sprawiło, że oddychanie stało się bohaterstwem. Ściana chmur przemieściła się. Choć pojawiała się od czasu do czasu, by pochwytać i porzucić jakąś zagubioną duszę lub przeciągnąć ją i czmychnąć, zdawała się preferować środek oceanu.

Wielu Przymorzan zginęło od kul policyjnych gdzieś na obrzeżach mokradeł, innych zmiażdżyły wielkie statki w poszerzonych kanałach żeglugowych, a jeszcze inni wpadli pod rozpędzone jachty, które płynęły kanałami, wypełnione dudniącą muzyką i nasmarowanymi oliwką amatorami opalania się na pokładzie. Z biegiem lat, w miarę jak rafinerie wydzielaly coraz więcej zanieczyszczeń, dzieci zaczęły rodzić się w przedziwnych kształtach i w przeciwieństwie do Abysmillarda, nie przeżywały. W końcu zostali tylko Humpstone John, Abysmillard i młokos zwany Boojian. Humpstone John zmarł na febrę. Boojian podszedł zbyt blisko krawędzi lodu i fala zgarnęła go do morza.

Abysmillard próbował żyć dalej w tym, co zostało z jego chaty, ale co rusz wpadała ona w oko myśliwym polującym na kaczkę i traperom. Chcieli urządzić sobie w niej kryjówkę lub szopę, lecz ilekroć zajrzeli do środka i ujrzeli właściciela, przejmowała ich panika i odraza; żeby się otrząsnąć, zaczęli strzelać – próbowali egzorcyzmować tę dziwną istotę, leżącą w ciemności i wpatrującą się w nich niemożliwie pustymi oczami przeszłości. Choć Abysmillard nie dosięgnął żaden ze strzałów, kule przedziurawiły strzechę i poszycie. Bojąc się, że pewnego dnia go trafią, Abysmillard przeniósł się do miękkiej mokrej dziury w ziemi. Zajął ją wówczas, gdy piżmaki uciekły, bo woda w pobliżu stała się zbyt smolista. Jama przypominała grób, ale dało się z niej wyjść.

Co kilka dni udawał się na poszukiwanie pożywienia. Jadał kielki trzciny, ślimaki, małe okonie, które wpadały w uplecione przez niego sieci, i od czasu do czasu małże. Jeśli miał szczęście, trafiał mu się łosoś czy alosa, które przypadkiem ugrzęzły w tęczowej plamie oleju, lub migrujący ptak, który odważył się wylądować w okolicy. Wszystko smakowało tak, jakby zostało wyhodowane w warsztacie samochodowym, ale nie jadł zbyt wiele, więc ocalał.

Przez większą część swego życia był ogromny – miał siedem stóp wzrostu i ważył trzysta funtów. Tuż przed rozpoczęciem trzeciego milenium mierzył tylko pięć stóp i ważył jedną trzecią tego, co wcześniej. Przez trzydzieści lat, gdy leżał w swojej norze, oddychał powoli i nieobecny wzrokiem patrzył przed siebie jak w gorączce, zachodziła w nim przemiana. Była tak powolna, że nigdy jej nie zauważył, ale jego ciało całkowicie się przeobraziło.

Jego zęby stopniowo się wyrównały, aż w końcu nie sterczały każdy w inną stronę, a oczy zrównały się. Cóż to była za ulga, nie musieć gapić się w dwie strony naraz! Dostrzegając już głębię, więc poczuł, że nie patrzy tylko na płaskie obrazy, a obserwuje cały świat. Jego ciało, żywiące się sobą, wykazało się ogromną samodyscypliną, pochłaniając najpierw to, co najgorsze. Znikły czyraki, rany, wola i grzybicze narośle. Jego włosy przestały być szorstkie po

tym, jak prawie utopił się w zbiorniku ściekowym z terpentyną i kerosenem (to zabiło też wszystkie robaki) i teraz były białe i sprężyste. Wyczyszczone na sucho po raz pierwszy w jego życiu ubrania stały się miękkie i puszyste jak w dniu, gdy Przymorzanki uszyły je z wełny owiec i pekari.

Abysmillard był świadom jedynie tego, że powoli głodzi się na śmierć, że pory roku mijają, a on nadal żyje. Tak jak zwierzęta, mógł pozostawać w bezruchu przez czas, który wydawał się wiecznością. Nie robił wiele więcej poza patrzeniem w światło i nasłuchiowaniem wiatru. W zimie widział płatki śniegu padające tuż przed wyjściem z jego nory, a słońce obniżało się na tyle, że oślepiło go jak latarka myśliwego, jednocześnie ogrzewając wnętrze ziemi. Czasem na zewnątrz szalały śnieżne burze, zabawiając go swoim zawroscaniem i pohukiwaniem. Gdy nad mokradłem nisko przeleciał samolot, myślał, że nadlatuje anioł, by wreszcie zabrać go ze sobą.

Mógłby się tak powoli zmniejszać, aż stałby się chudy jak nitka, a wtedy, gdyby połąknęło go powietrze lub porwał wiatr, zostałby wywiany daleko, choćby na Polinezję. Coś jednak wyгнаło go z kryjówki.

W dawnych wizjach Przymorzan ostatnie dni miały być trudne, ale nie należało się ich bać. Wedle Pieśni Trzynastej niezawodnym znakiem ich nadejścia miała być „solidna tęcza wyłaniająca się z lodu i przechodząca ponad białą zasłoną, o łuku ze światła z tysiącem uśmiechniętych schodów”. Abysmillard widział filary i fundamenty tej tęczy, bo robotnicy budowali je na bagnach całymi nocami. Choć plac budowy zagracony był ogromnymi rusztowaniami i przykryty płachtami, często świecił i jaśniał, a wielokolorowe światło niemal przepalało na wylot trzepoczące plandeki. Ponieważ Abysmillard znał Pieśń Trzynastą, przypuszczał, że z tych filarów tryskać będą snopy światła i stworzą razem jeden wspaniały łuk.

Byłby zadowolony, gdyby mógł poczekać na to w ciszy i spokoju, ale lód był tak gruby, że nie mógł już znaleźć pożywienia. Próbował przebić taflę swoim drewnianym toporkiem, a nawet mieczem (który rzadko bywał hańbiony w ten sposób). Nigdy nie widział tak idealnego lustra. I kiedy po raz ostatni próbował wybić w nim dziurę, zobaczył – gdy połączono kable w rozgrzebanych rusztowaniach – że światło na powierzchni jest niczym w porównaniu z wielokolorowymi ulicami i alejami widocznymi w zamrzniętym świetle pod spodem. Przeplatające się wiązki światła zapalały się jak proszek błyskowy i utrzymywały się przed oczami Abysmillarda przez pół godziny, podczas gdy on, oślepiiony, po omacku szukał swoich narzędzi.

Jego ostatnią nadzieją było dostać się na krawędź lodu, tam gdzie stykał się on z wodą morza i nie był tak gruby jak w głębi ładu. Mógłby wtedy łowić prosto z brzegu albo wybić dziurę w lodzie. Lata wcześniej, kiedy woda w porcie zamrzła na kość, a tysiące Przymorzan nadal mieszkało na bagnach w licznych wioskach, wielu mężczyzn wyruszało nad morze i ginęło. Pamiętał, że czasem fale wysokie na osiem stóp sięgały na lód niczym ogromny język i zgniały rybaków do lodowatego oceanu. Mężczyźni rozpływali się pomiędzy falującymi ułankami lodu, które cięły ich na tyle kawałków, że zanim ich towarzysze dobiegli do miejsca ich zniknięcia, pozostawała po nich zaledwie czerwona plama rozkwitająca powoli po drugiej stronie przezroczystego podłoża, gdzie stali.

Samotne przeprowianie się tam w nocy było bardzo niebezpieczne, po popękanych krawędziach chodziło się ciężko, wiatr się wzmaczał, a ocean wypuszczał fale, które pełzały na długie mile po zamrzniętej powierzchni. W ciemności Abysmillard miał niewielkie szanse zauważyć je lub ominąć. Niewielkie były też szanse, że w ogóle dotrze nad morze, bo piętnastomilowy spacer w lodowatym wietrze nie był łatwy dla kogoś tak wąskiego jak on. Tak

jak wszystkich Przymorzan, niebezpieczeństwo go jednak pociągało, wyruszył więc w drogę pewnej nocy, kiedy księżyc oświetlał mu drogę, a mróz był jak anioł z lodowym mieczem w dłoni.

Choć był tego świadom tylko częściowo, w końcu odzyskał siebie. Poruszał się z wdziękiem, jego oczy stały się życzliwe i inteligentne, długie białe włosy falowały jak u patriarchy i był teraz gotów wkroczyć w rozkwitającą społeczność, z której był wyłączany całe swoje życie. Ale nikt z niej nie przetrwał. Choć dotarł aż do końca, przez całą tę drogę nikt go nigdy nie objął. Pomyślał, że być może jest wielu takich jak on. Może nawet całe zastępy. I wyobraził sobie, że to niesprawiedliwe, żeby tak wielu ludzi żyło w tak wielkiej samotności i nie dostawało za to żadnej nagrody. To dodało mu odwagi w czasie jego ostatniego spaceru po lodzie.

Ludzie byli zachwyceni nagłym nadejściem tak wspaniałej i (jak im się zdawało) niespotykanej dotąd zimy. Nawet ci, którzy bali się i nienawidzili mroźnej pogody i śniegu, szybko dali się oczarować srebrnym polarnym nocom. Przystąpili do średniowiecznego korowodu kuligów, gromadzili się przy ogniskach i spędzali wieczory pod gwiazdami. Wyglądało to tak, jakby chwilowy radosny zimowy paraliż, który czasem pojawia się przed Bożym Narodzeniem, utrzymał się na stałe. Niezliczone warstwy ubrań sprawiły, że ciała stały się bardziej tajemnicze i kuszące niż w minionych latach, wróciła pewnego rodzaju dworska uprzejmość, a walka z żywiołami osłabiła wszystkich na tyle, by uświadomić im, że jedną z podstawowych cech ludzkości jest i zawsze będzie wrażliwość. Pograżeni w transie mieszkańcy nie chodzili do tak wielu miejsc ani nie pracowali tak ciężko jak kiedyś, ale żyło im się dużo lepiej niż kiedykolwiek.

Ulubioną rozrywką mieszkańców stało się jeżdżenie na łyżwach w dół rzeki aż do zatoki. Silne wiatry oczyszczały powierzchnię lodu ze śniegu, zdmuchując go na brzegi Hudsonu, East River i zatoki, i tworząc szanice wysokie na kilka pięt. Wyłobiono w nich – na wzór rzymskich katakumb – setki tysięcy przejść i tuneli prowadzących do śnieżnych komnat i służących jako zorganizowane napędce restauracje, hotele, sklepy i gospody. Nieformalność i różnorodność tych bezimiennych miejsc sprawiała, że były dużo atrakcyjniejsze niż konwencjonalne sklepy, i nowojorczyki robili wszystko, co w ich mocy, by wymknąć się pomiędzy kwadratów i prostokątów, na jakie podzielono Manhattan, i dostać się do tych krętych, śnieżnych miast. Półksiężycowe i okrągłe zaciemnione galerie o lekko pochyłych ścieżkach i pokoje prowadzące do sal, od których biegły łańcuchy korytarzy, jaskiń i sekretnych kryjówek, sprawiły ogromną przyjemność ludziom wychowanym wśród kątów prostych. Łyżwiarze ślizgali się z miejsca na miejsce, tracąc poczucie czasu, przez co na całe dni znikali w miastach o śnieżnych murach. Całe rodziny udawały się tam, by spać w śnieżnych pokojach, jeść pieczone mięso nabite na szpikulce i brać udział w wyścigach na lodzie – tylko po to, by zdać sobie sprawę, że od wielu dni nie pojawili się w domu, a wszystkie ich umówione spotkania nagle przepadły. Często jednak ci, z którymi mieli się spotkać, również zapominali o ustaleniach i ich również można było zastać na lodzie. Zasy i długie zamrożone rzeki służyły jedynie jako drogi do portu, który teraz, za dnia wyglądał teraz jak równina, gdzie stacjonują zebrane wojska, a nocą stawał się jarmarkiem i obserwatorium gwiazd.

Na lodzie rozbito tysiące namiotów, które były konkurencją dla pałaców ze śniegu. Jeśli ktoś nie kantował w lawirowaniu między rzędami, mógł łatwo się zgubić w labiryncie uliczek pełnych łyżwiarzy, sprzedawców, drużyn hokeja w kolorowych ubraniach, łyżwiarzy wyścigowych czy zawodników curlingu, podążających na turnieje, które rozgrywały się na wielkich placach w przypadkowych miejscach pośród wielkiego miasta namiotów. Nad

niezliczonymi kubłami, w których płonął ogień, buchała para z kociołków, w garach kłębiły się homary i w historycznych tańcach beznogie łysin podrygiwały kopy jajek. Pieczone mięsa, gorące napoje i aromatyczne ciasta przygotowane w wybudowanych na lodzie kamiennych piecach były dostępne wszędzie i po niskich cenach. Przy bardziej ruchliwych skrzyżowaniach występowali łyżwiarze figurowi, zonglerzy, akrobaci, studenci konserwatoriów muzycznych i tańczące świny. Dzieci śmigały na łyżwach jak ponaddzwiękowe okruszki, manewrując między tłumem i przejeżdżając pod stołami, na których leżały różne towary i jedzenie. Dziewięcioletni chłopcy wydawali się najszybsi i najśmielsi. Byli chudzi jak żyłki wędkarskie, nie wiedzieli, co to strach, i zatrzymywali się tylko po to, by napchać buzie ciastem z owocami. Potem znikali, pędząc sto mil na godzinę, robiąc uniki i nagle zwroty, i bez przerwy pokrzykując piskliwymi głosikami, by wszyscy zeszli im z drogi. Prędcy jak pionki, miony i zakłute kwarki byli wszędzie naraz, naładowani czystą, nieograniczoną energią.

Wieczorami ogniska płonęły do dziewiątej, po czym gaszono je i zasłaniano rusztami, żeby nie przeszkadzały w obserwacjach astronomicznych. Dziwne opary ciepła utrzymywały się w powietrzu długo po północy, pozwalając intensywnie wpatrywać się we sklepienie. Prywaciarze wypożyczali grube koce i kołdry, na których można było się położyć i dać się pochłonąć sferom niebieskim. Choć w ciągu ostatnich stu lat mieszkańcy Nowego Jorku rzadko zdawali sobie sprawę z istnienia gwiazd, teraz byli w nich ogromnie zakochani.

Nie tylko astronomowie, ale i różni astrologowie, szarlatani i oszuści w spiczastych kapeluszach i butach z cekinami – za opłatą – wygłaszali prelekcje o Plejadach, Sekstancie, Riglu, Alfie Centauri, Gwiazdozbiornie Pawia, Gacruksie, Gwiazdozbiornie Argo, Betelgezie, Belatrix i Atrii. Małe książeczki o gwiazdach wystawały z wielu tylnych kieszeni, mnożyły się teleskopy i statywy, tworząc las trójnogich drzew, a mieszkańcy po raz pierwszy od bardzo dawna zdali sobie sprawę, że istnieje coś, co mogą kochać wszyscy i czego nigdy im nie zabraknie. Gdyby ten stan potrwał dłużej, miasto mogłoby wiele zyskać. Każdej nocy jednak ten cud równoważyły smagania gwałtownych i zimnych wiatrów, które zrywały namioty, a lód tak pustoszał, że o poranku pozostawały na nim jedynie masywne piece – przesuwaly się po nim popychane przez wiatr i zderzały jak kamienie do curlingu. Im dni stawały się krótsze i im bardziej prawdziwa zima srożyła się na zimę urokliwą, lód stawał się coraz mniej gościnnie, a czas obserwacji nieba się skracał.

Pewnego wczesnego ranka Peter Lake wybrał się na pochylnię „The Sun” w Whitehall, żeby pomóc Asbury’emu naprawić silnik motorówki.

Choć słońce dopiero wstało i rzucało na wszystko świeże, ożywcze światło, powietrze wciąż było bardzo zimne i ledwie mogli rozmawiać. Rozpalili ognisko w starym kotle i co kilka minut schodzili z łodzi, żeby ogrzać dłonie. Ponieważ posługiwali się stalowymi narzędziami i musieli często brać je do rąk, palce szybko im drętwiały. Gdy kulili się nad ogniem, patrzyli na opustoszałą równinę lodu, która rozciągała się nad niegdyś ruchliwym portem.

Poprzedniego wieczoru zawitało tam sto tysięcy ludzi, ale rano nie było już żywej duszy. Wszystkie namioty były spakowane, ludzie schronili się albo w śnieżnym mieście, albo w prawdziwym, a na lodzie nie było niczego z wyjątkiem kilku ceglanych pieców, które wyglądały jak słupki milowe albo kołki wbite w ziemię. Kiedy słońce wzniosło się nad szczyty domów w dzielnicy Brooklyn Heights, port zrobił się niebiesko-biały, a wraz z promieniami, które obudziły powietrze nad lodem, wzmógł się silny wiatr. Ogień buchnął płomieniami i mężczyźni pochyłili głowy, by osłonić oczy przed wiatrem. Wokół nich w powietrzu wirowały kawałki papieru, śmieci (puszki, drobne kawałki drewna, patyki, maszty namiotów) sunęły po lodzie jak krążki hokejowe i zatrzymywały się w szczelinach murów śnieżnych miast. Wiatr

zmiatał z lodu wszystko oprócz potężnych pieców, które poruszały się powoli jak chore słonie.

– Co to? – zapytał Asbury, pokazując na workowaty przedmiot, który sunął po lodzie. Po tym, jak się poruszał, ocenili, że jest dość ciężki. Co pewien czas zatrzymywał się w jakimś wgłębieniu w lodzie, dopóki wiatr nie zmienił kierunku. Wtedy ruszał powoli i nabierał pędu. Zwalniał tak stopniowo, jak się rozpędzał. W przeciwieństwie do mniejszych pocisków z rzeczy, które przelatywały obok, zdawał się poruszać z rozmysłem pełnym wdzięku.

Dopiero gdy zauważyli ręce poruszające się jak w zwolnionym tempie, dotarło do nich, że to człowiek. Bez wątpienia zamarzył na kość, ale wskutek nieustannego ruchu ramiona nadal pozostały gibkie, a ręce obijały się o jego ciało tak delikatnie, jak płatki spadające z pąku róży.

Wybiegli na lód, chwycili go, i przewrócili na plecy. Przywitała ich wykrzywiona, znieruchomiła, pokryta szronem i śniegiem twarz świętego Mikołaja wystająca pomiędzy masy ręcznie tkanych łachmanów, wełny i skóry.

Peter Lake wahał się przez chwilę. Omal nie przepuścił okazji. Jednak klękawszy na jedno kolano, uniósł ciało do połowy i wziął je w ramiona.

– Abysmillardzie – szepnął, cofając się nagle o cały wiek dzięki silnemu wspomnieniu portu z czasów Przymorza. Choć twarz Abysmillarda była pokryta szronem, Peterowi Lake'owi mówiła tylko o lecie.

Nagle przypomniał sobie, jak pchali razem czółno przez niekończące się mielizny i wyskakiwali z niego, by przeciągnąć je po piaszczystych mierzejach w kolorze masła. Miasto było bardzo daleko, odgradzała je mgła i fale upału. Jako chłopiec nigdy właściwie nie patrzył w jego stronę, zawsze jednak wiedział, że tam jest. W pamięci ujrzał dziecko w obszarpanych ubraniach, zagubione i szczęśliwe w świetle mokradeł, gdzie lato wydawało się trwać wiecznie. Siłą i dokładnością wspomnienie sugerowało, że choć czas ten pozostał daleko za nim, odtwarzał się wciąż na nowo.

– Znasz go? – zapytał Asbury. – Skąd przybył? – Abysmillard nie przypominał współczesnego człowieka, zwłaszcza teraz, gdy był zamarznięty i sękaty.

– Stamtąd – odpowiedział Peter Lake, patrząc tam, gdzie kiedyś znajdowały się mokradła Bayonne. – Dawno temu mieszkali tam ludzie, jak Indianie. Mieli małże, ostrygi, przegrzebki, homary, ryby, dzikie ptactwo, dziki morskie, jagody, torf i przynoszone przez morze drewno. To było dawno temu i wszystko się zmieniło. Teraz mokradła to piekło.

– Czyli on był ostatni – powiedział Asbury, wyrażony z równowagi przez dziką i obcą twarz Abysmillarda.

– Nie – odparł Peter Lake. – Ja jestem.

EX MACHINA

Intuicyjna świadomość Sądu Ostatecznego jest tak powszechna być może dlatego, że życie zmierzające do śmierci idealnie symbolizuje historię, która w pewnym momencie zostanie oceniona: to samo potężne światło zatrzyma życie i historię, odsłoni je i rozjaśni. A może jest tak dlatego, że nasze życie to przedzieranie się przez wszystkie lata dla jednej lub dwóch chwil, które są bezsprzecznie wspaniałe. Choć takie chwile mogą zdarzyć się na polu walki, w katedrze, na szczycie góry czy podczas sztormu, częściej doświadczają się ich przy łóżku chorego, na plaży, w zatęchłych salach sądowych albo gdy jedzie się samochodem po ogrzanych słońcem makadamowych drogach w złowróżbne letnie popołudnie. Zamczyńska w dzisiejszych czasach są podzielone na bardzo małe komnaty, a mimo to w komnatach tych tłoczą się ludzie, bo historia sprzyja masom i ofiarowuje wspaniałe chwile najchętniej wówczas, gdy wszyscy żołnierze z jednej armii są zgromadzeni na polu walki, kiedy katedra jest wypełniona aż po krokiew lub kiedy mgła unosi się i statki floty wpływające do portu odkrywają, że nie tylko nie są same, ale jeszcze tworzą zapierającą dech w piersiach armadę.

Wiele razy przechadzając się po magnetyzujących, wydających pogłos ulicach miasta, Praeger de Pinto czuł się przytłoczony zbyt dużą ilością światła, smagał go bicz energii, którego odgłos niósł się przez szare kaniony. A czasem miasto tak bardzo było sobą, że zaczynało trząść się i drżeć, jego duch unosił się ku wiecznym niewidzialnym korytarzom biegnącym nad ziemią wzdłuż ulic, bliski oślepiającym drganiem, które łączą wszystkie formy. Cichy gwizd promu, ten pierwotny warkot, otwierał przed nim długie korytarze, i to nie tylko korytarze koronkowej, powabnej mgły.

Doskonale przygotowywało go to do jego inauguracji na burmistrza, która jednocześnie była tym, czego pragnął, i tym, w czym się zagubił. Ceremonia w dużej mierze przypominała egzekucję, tyle że nie miał zostać stracony. Miał za to zostać wyciągnięty z normalnego życia i na stałe od niego odsunięty. W innych, bardziej przyjaznych czasach, burmistrz był jednym z wielu. Teraz ciężkie obowiązki zamykały go w klasztorze, a jego młodość ulatniała się z niego – jak gołębie, które postanowiły zlekceważyć tradycyjne rytuały i wznosiły się ku błękitowi, ostrożnie omijając pokryte lodem gałązki, które dzieliły poranne niebo na tysiące błyszczących komórek.

Burmistrz Gronostaj wyszedł ubrany w szatę z gronostajów z gronostajowym kołnierzem, gronostajową czapką, gronostajową etolą i mufką. Wyłonił się z masy fioletowych, białych i czarnych futer i z grymasem zniewieściałego, znerwicowanego świstaka wyszedł na podest, by stanąć ze smutną miną obok burmistrza-elekta.

Odwróciwszy się, by przywitać burmistrza, Praeger zobaczył za futrzaną kulka, która zmierzała w jego kierunku, rząd przewodniczących i prezesów siedzących na podeście. Za nimi znajdował się kolejny rząd szefów, i kolejny, aż do kremowej ściany budynku ratusza, gdzie kończył się podest. Dlaczego wszyscy szefowie partii niemal bez wyjątku mierzyli sześć stóp i dwa cale, ważyli dwieście dwadzieścia pięć funtów, mieli czerwone nosy i różowe policzki na mięsistych twarzach oraz siwo-srebrne włosy na głowie? Ewentualnie byli niskimi, chuderlawymi istotkami z cienkimi jak ołówek wąsami, zachrypniętymi głosami i z okularami przeciwsłonecznymi na stałe przyklejonymi do twarzy. Ci wielcy grubi i rumiani nie mieli karków, a mali i chudzi zawsze lekko kuleli. Z pewnością, pomyślał Praeger, to część boskiego planu.

Był pierwszym burmistrzem w historii wybranym bez udziału szefów, a teraz oni wraz

z wszystkimi osobistościami w mieście zebrali się tu, by wysłuchać jego przemówienia. Nie wiedzieli, czego się po nim spodziewać. Mógł mówić o uroku zimy, odsądzać od czci i wiary telewizję albo rozprawić o tym, jakie jest przeznaczenie miasta. Był dokładnie miesiąc przed początkiem nowego milenium i w mowie inauguracyjnej Praeger postanowił poddać refleksji metafizyczną równowagę, która przenikała wszystkie wydarzenia i była dla miasta tak znamienita, że powinna zostać jego symbolem.

– Widzę tu wiele zdziwionych twarzy – powiedział. – Dlaczego? Nie rozumiecie, że to miasto jest źródłem mechanizmu, który utrzymuje wszystkie rzeczy w porządku? No tak, już wiem. Przez pomyłkę uznaliście je za pełne sprzeczności, patrzyliście na jego nierówności społeczne i odwróciliście głowy. Czy naprawdę jednak myślicie, że patrycjusz odziany w gronostaje jest większym wybrańcem niż włóczęga, który siedzi zimą na progu i powoli umiera? Moja mama mawiała, kiedy byłem mały, że jeśli będę ćwiczył jujitsu z fryzjerem z miejscowego zakładu, który prowadził treningi w sali nad swoim sklepem, będę mógł pokonać większego od siebie bez problemu. „Ale ilu jest większych ode mnie bez problemu, mamó?”, pytałem, rozumiejąc to, co mówi, dosłownie. Kiedy już pojąłem, co miała na myśli, nie byłem zaskoczony, bo nawet wcześniej zdałem sobie sprawę, że przeciwności losu są wynagradzane, że właśnie dzięki upadkom się podnosimy. Tak jakby za każdym z nas znajdowała się niewidzialna dłoń, która przywraca sprawom właściwą równowagę. Jak sądzicie, dlaczego święci rzadko sprawowali władzę świecką, którą błędnie bierzemy za efekt sprawiedliwości? Uważacie, że jej potrzebowali? Że w ogóle ich obchodziła?

Prezesi i przewodniczący zaczęli pocić się na mrozie. Nie dość, że Praeger przemawiał jak kaznodzieja, to jeszcze wykonywał te same kościelne gesty. Od zawsze wiedzieli, że jedynym prawdziwym zagrożeniem dla ich władzy jest teokracja, dlatego pocili się nie tylko na zimnie, ale też zimnym potem. Dla odmiany prałaci, zebrani niczym wielokolorowe papugi w tylnych rzędach podestu, wyjątkowo się ekscytowali. Czy to możliwe, zastanawiali się, że ich dawno porzucone marzenia spełni ten oto człowiek, który zdobył ratusz frontalnym atakiem przez tylne wejście? Niecierpliwili się, chcąc poznać jego wyznanie, by któryś z nich mógł go sobie przywłaszczyć. Sądząc po nazwisku, mógł być katolikiem, sefardyjczykiem albo prawosławnym. Kto mógł to wiedzieć?

– Nie uznajcie, proszę, mylnie, że moje poglądy o doczesnej władzy i materialnym dostatku mają uzasadniać i chronić obecny porządek społeczny. Widzę, jak marksiści w trzydziestym rządzie zaczynają się wiercić. Siedźcie spokojnie. Przeprowadźcie redystrybucję majątków, jeśli to was uszczęśliwi. W pewnym sensie zgadzam się z waszymi założeniami o równości, choć nie na tyle, by zaakceptować tyranie, którą wprowadziliby ludzie tacy jak wy, niezdolni do uznania łaski, gdyby tylko pozwolono im rządzić zgodnie z mechanicznym postrzeganiem świata. Uważam, że zrzęda w wygodnym fotelu ma takie same szanse na nagłe oświecenie, jak włóczęga, o którym wspomniałem już wcześniej, nie mam więc nic przeciwko, aby i on dostał trochę sznycla. To w istocie jedyne sprawiedliwe rozwiązanie, ale zarazem jest to teologia bardzo niskiej klasy. Daleko ponad nią znajduje się pełna finezji, wszechobecna, powracająca równowaga. Każdy może dostrzec jej naturę i jej zasady w porach roku, ziemi, muzyce, a w największej okazałości – w doskonałości sfery niebieskiej. Ale widoczna jest i tu, w naszym mieście. Na każdym rogu miasta odgrywane są sceny tryumfu i sceny upadku. Miasto jest jak kalejdoskop światła i cienia, obrazuje nasz stan dużo lepiej niż koło fortuny, które choć ma dwa odpowiednie bieguny, nie dzieli właściwie czasu i zdarzeń. O skały, które wznieśliśmy, rozbiła się idealna prostota zbawienia, rozsypała się po to, byśmy wymyślili, jak złożyć ją z powrotem, i sprawdzili w ten sposób naszą cierpliwość i zdolność rozumienia. Uczymy się, że

sprawiedliwość nie zawsze towarzyszy sprawiedliwemu czynowi, że może spać latami i przebudzić się, kiedy nikt się tego nie spodziewa, że cud to nic innego jak uśpiona sprawiedliwość, która nadeszła z innego czasu, by wynagrodzić coś tym, których okrutnie opuściła. Ci, którzy o tym wiedzą, są gotowi cierpieć, bo mają pewność, że nic nie dzieje się na próżno. A teraz opowiem wam o moście, który chce zbudować Jackson Mead.

Craig Binky siedział w widocznym miejscu i to, co nastąpiło w tej chwili, nie umknęło uwadze ani jednej osoby. Złapał się za pierś i brew, jakby dostał zawału i udaru jednocześnie, po czym zaczął się krzywić, wykonując serię min, których ekspresja zawstydziłaby prawdziwego mima. Praeger mówił dalej, a Craig Binky padł na kolana jak skazaniec, spazmatycznymi ruchami wyrażając chciwość i żal zamiast nagłego olśnienia czy skruchy.

– Pokazał mi plany – powiedział Praeger. – W szkicach i rzutach, które zobaczyłem najpierw, łuk liny nośnej sprawiał wrażenie dość silnego, by unieść w błyszczącym wygięciu cały świat. Proszę sobie wyobrazić moje zaskoczenie, gdy Jackson Mead powiedział mi, że to tylko drobny element głównej struktury. Rozwinął potem kilkadziesiąt projektów zadziwiających mostów, jakich jeszcze świat nie widział, i wyjaśnił że będą one wystawać jak szprychy z głównego przęsła. I nie ma projektu głównego przęsła. Ma ono powstać z samego światła. Mead mówił z przekonaniem o tym, że morze i lód będą soczewką dla wiązek światła, które zostaną wygenerowane przez kilka obecnie budowanych stacji. Będą tasować światło o różnych częstotliwościach, umiejętnie nim zarządzać, gromadzić je, podtrzymywać w rezerwach, powiększać i odbijać, rozpraszać, załamywać, dostrajać, ustawiać i skupiać, tak aby budowę można było wznieść tylko dzięki jego własnej mocy. Kluczem do uzyskania strumienia o nieograniczonej mocy, jak mi powiedziano, nie jest wielkość generatora, lecz wyrafinowana kontrola. Światło doskonale ukierunkowane nie zna ograniczeń, a Jackson Mead proponuje ukształtować i okiełznać powódź pojedynczych promieni, przeprowadzić je przez skomplikowane ścieżki rozwoju i wzrostu, aż połączą się w chłodną i pokąźną wiązkę, po której będzie można się przemieszczać. Choć jedna z podstaw łuku będzie w Battery, Mead nie chce powiedzieć, gdzie poprowadzi most, i woli zostawić to mojej wyobraźni, tak jak ja zostawię to waszej.

Tłum z miejsca się wzburzył. Budowa zniszczyłaby wszystkie okolice w sąsiedztwie, wymagałaby przebudowy tras autostrad, a tęczyowy most bez końca pochłoniąłby wszystkie cenne zasoby miasta. Łatwiej byłoby namówić każdego z alfonsów z Times Square na odbudowywanie katedry, niż skłonić praktycznych mieszkańców miasta zgromadzonych na inauguracji, by zgodzili się w taki sposób zużytkować swoje moce. Oburzenie dusiło ich jak gruby knebel. Czyż na początku Praeger de Pinto, zanim omotał ich zimowym szaleństwem, nie kierował swojej kampanii przeciw Jacksonowi Meadowi?

Spodziewając się tego pytania, nowy burmistrz odpowiedział na nie, zanim padło, oznajmiając, że jedynie był przeciw trzymaniu planów w tajemnicy.

– A teraz wyjawilem sekret – skwitował.

Prezesi i przewodniczący byli wściekli, w ten sposób zresztą zarabiali. Kiedy się złościли, zapalali się jak migające neony, by pokazać swoim wyborcom, że ciężko pracują jako ich reprezentanci. Ich loża wyglądała jak rzędek jednorękich bandytów, które jednocześnie trafiły jackpota, ponieważ każdy szef chciał, żeby wyborcy z jego okręgu mieli luksus przyglądania się jego oburzeniu. Nawet duchowni zaczęli się zastanawiać, czy katedry nie opustoszeją, po tym jak wszyscy wejdą na most i znikną w chmurach.

– Mieszkańcy dzielnicy nędzy wezmą to na serio – powiedział ktoś. – Wyobrażą sobie, że most to jeszcze jeden wróg w nieprzyjaznym świecie. Minie trochę czasu, zanim zareagują,

ale zrobią to, zemszczą się.

Z programu inauguracji pozostało tylko ogłoszenie przez radę starszyny nowego burmistrzowskiego przydomku. Praeger niepokoił się, spodziewał się, że po kilku latach przydomka rada będzie bardziej surowa. Obawiał się, że zostanie nazwany burmistrem Prosiakiem albo burmistrem Blaszanym, byłby nawet gotów zgodzić się na kompromis w rodzaju burmistrza Ptaka. Odkąd pamiętał, zdarzali się burmistrzowie kościani, jajowaci, wodni czy drewniaki. Po ostatnim kościanym burmistrze rada ustaliła niewytłumaczalny i emocjonujący nowy trend, mianując burmistrza Drzewo, burmistrza Zielonego i burmistrza Gronostaja. Praeger był przekonany, że to nie może trwać wiecznie.

Gdy zegar wybił południe, a pokryte lodem gałęzie zagrzechotały jak tamburyny z dzwoneczkami, burmistrz Gronostaj zrzucił swoje szaty (które złożył jego zastępca), ukląkł i podał Praegerowi burmistrzowską buławę. Nie rozległy się oklaski, bo tłum był zły i zmieszany. Wtedy członkowie rady starszych (wraz z Harrym Pennem) weszli jeden za drugim na podest. Craig Binky również został wezwany, ale ponieważ nie pojawił się na zebraniu rady, nie miał odwagi się pokazać. Przewodniczący rady przestrzegł zebranych, by powstrzymali się od zbędnych spekulacji.

– To, co powiemy, nie jest przepowiednią. Nie jesteśmy tak mądrzy, żeby znać przyszłość. Ale tak samo jak wy, możemy mieć marzenia. – Po czym ogłosił, że Praeger de Pinto będzie nazywany burmistrem Złotym.

Tłum jęknął z wrażenia, tak samo jak przewodniczący i prezesi. Wydawało się, że ich maszyna rozlatuje się właśnie na kawałki. Obawiali się nie tylko o środki do życia, ale i o samo życie, wiedzieli bowiem, że maszyna rozpadająca się w trakcie swojej pracy zagraża samej sobie. Co najmądrzejszego mogli tu zrobić? Zbiegli z podestu jak armia w odwrocie i pospieszyli zasypanymi ulicami do siebie, by zaopatrzyć się w zapasy jedzenia, drewna na opał i whisky.

Nie wydawało się sprawiedliwe, by Abby Marratta musiała być skazana na towarzystwo umierających staruszków albo mijać ich na korytarzach, gdy przejeżdżała z sali do sali na długim łóżku szpitalnym, z którego zwisały torby z krwią i roztworami soli. Nawet starsi ludzie z niezłą wprawą w traktowaniu swojego nieszczęścia jako powodu do dumy, zapominali o sobie całkowicie, gdy tylko przejeżdżała obok nich. Ogromnie poruszało ich to, że większość jej łóżka jest pusta, a ona zajmuje jego maleńką, środkową część.

Najpierw była przenoszona z miejsca na miejsce przez sanitariuszy, którzy pojawiali się co chwila, nawet w środku nocy, jak gdyby jej stan zdrowia zależał od tego, w ilu pomieszczeniach się znajdzie i ilu różnych ludzi spotka. Długie i częste podróże po korytarzach białych jak kości, złościły Hardesty'ego i Virginie, aż w końcu się skończyły, co zdenerwowało ich jeszcze bardziej. Abby była teraz skazana na swój pokój, porzucona przez większość specjalistów i techników i zupełnie sama, nie licząc rodziców, kilku pielęgniarek i młodej rudowłosej lekarki, która zajmowała się nią podczas dwudziestoczęterogodzinnych dyżurów. Abby często się budziła, a wtedy czekało ich trudne zadanie przytulenia jej tak, jakby wokół niej wcale nie było gąszczy plastikowych rurek.

Potem pojawili się specjaliści – sześcioro, a może i cały tuzin. Wszyscy byli z polecenia, a nazwiska lekarzy godnych zaufania fruwały w powietrzu niczym pergamin na młynku modlitewnym. Hardesty miał tak wiele kartek papieru z zanotowanymi numerami telefonów lekarzy, że gdy w końcu dla porządku spisał ich nazwiska na maszynie, lista zajęła całą stronę. Każdy z tych specjalistów miał być tym najlepszym z najlepszych.

Po tygodniu męczącego zmieniania wyrazów twarzy i ostrożnych opinii, Hardesty domyślił się najgorszego. Nikt nie dawał żadnej nadziei. Po prostu odsyłano go dalej, aż w końcu

ostatni konsultujący lekarz ulitował się nad nim i powiedział mu prawdę.

Nie było już nikogo wyższego stopniem – to on był szefem szefów w najbardziej prestiżowej placówce w mieście. Jego przyjaciele przesłali mu wyniki badań, przeanalizował je dokładnie i odwiedził Abby nie raz, a dwa razy. Zaprosił Hardesty'ego do swojego gabinetu z widokiem na East River, bo wiedział, że majestat miejsca, obraz Lavoisiera, masywne meble, cisza i zasypane śniegiem ogrody za oknem pomogą ojcu dziecka uwierzyć w to, co miał usłyszeć.

– Najlepszą rzeczą na świecie – powiedział lekarz – jest prawda. I tak się pan jej w końcu dowie, a może wcześniej.

Oczywiście nie musiał mówić już nic więcej. Hardesty próbował powstrzymać łzy.

– Proszę zapewnić córce wszelką wygodę, zaoszczędzić jej bólu, nie dać jej po sobie poznać, co się stanie. Ma pan jeszcze inne dzieci, prawda?

– Tak – odpowiedział Hardesty.

Lekarz pokiwał głową i popatrzył na niego, uśmiechając się nieznacznie.

Hardesty zamrugał, wziął głęboki wdech i podszedł do okna. Najpierw zobaczył ogrody pokryte śniegiem. Dalej rzekę. Wiatr hulał po lodzie, niosąc wrzaski i gwizdy promów i holowników uwięzionych w dokach jak psy, które zapadły się w głębokim śniegu. Choć popołudnie jeszcze trwało, wzdłuż rzeki zapaliły się światła, a cienkie motki dymu wylatujące z wielu kominów w Queens zdradzały, że wcześniej rozpalono kominki. Być może nie ma nic smutniejszego niż umierające światło i ciche miasto.

– Moja matka umarła, kiedy byłem dzieckiem, a kiedy umierał mój tata – powiedział Hardesty, wpatrując się w światło i uporczywy śnieg, który padał za oknem pokoju Abby – byłem za młody, żeby się nim zająć, mimo że byłem już mężczyzną. To nie było moje miejsce. Myślę, że mogłem wtedy wziąć na siebie odpowiedzialność, kazać mu więcej odpoczywać albo inaczej jeść, albo robić cokolwiek, żeby pożył trochę dłużej, ale miesiące, które by w ten sposób zyskał, byłyby czymś niewłaściwym. Był moim ojcem i nie miałem prawa mu ojcować. Nie wiedziałem, co robić, gdy widziałem, jak robi się coraz słabszy. Byłem sparaliżowany. Ale on wziął to za dobry znak. Powiedział mi: „Zachowaj swoje siły na opiekę nad twoimi dziećmi. To najlepsze, co możesz dla mnie zrobić. Tylko głupiec marnowałby energię na kogoś tak starego jak ja i cieszę się, że jesteś na tyle mądry, by zachować odwagę na czas, kiedy naprawdę będziesz jej potrzebował”. Zostawił mnie z poczuciem, że go nie zawiodłem, i nauczył mnie, jak dobrze umierać.

– Ale widzi pan – ciągnął Hardesty, powstrzymując gniew i czując jak twarz napina mu się w determinacji. – Nie mogę pozwolić, by to przydarzyło się Abby. Tak nie powinno być. To jest złe. Nie chodzi tylko o to, że to jest nieprzyjemne albo że tego nie chcę. To jest po prostu złe. To jeszcze nie jej czas. Jest za mała.

Kiedy Virginia zapytała, co mogą zrobić, nie było to całkiem retoryczne pytanie. Chciała wierzyć, że można coś zrobić, i że leży to w ich mocy. Wszyscy ich przed tym przestrzegali, mówiąc, że potem nie będą w stanie wybaczyć sobie złudzenia, że mieli na coś wpływ, podczas gdy tak nie było.

– Ale kto mówi, że to niemożliwe? – zapytał Hardesty, przypominając sobie ich słowa. – Z całą pewnością zdarzały się już większe cuda. Są opowieści o armiach, które zmartwychwstają albo zostają uratowane przez rozstępujące się morze. Na pustyniach wznoszą się słupy ognia, szaleją pioruny i grzmoty, a pagórki skaczą jak baranki, by chronić wierzących przed zaciekłymi, bezwzględnyymi wrogami.

– Wierzysz, że na pustyni naprawdę wzniósł się słup ognia? – zapytała Virginia.

– Nie – odpowiedział Hardesty. – Nie wierzę w to. Wierzę, że słup ognia to zaledwie metafora jakiegoś znacznie wspanialszego i potężniejszego zjawiska, która mimo że piękna, nawet w części nie oddaje jego istoty.

– Czy to nie próżność wyobrażać sobie, że możemy zaczerpnąć z tego źródła samą siłą woli?

– Nie sędzę – odpowiedział Hardesty. Wydawało się, że próbuje połączyć ze sobą różne elementy. – Myślę że próżnością jest myślenie, że możemy w ogóle się nie starać, a mimo to zostać wyróżnieni. Rozumiem to tak, że cuda zdarzają się tym, którzy ich poszukują, narażając się na porażkę. Zdarzają się tym, którzy -całkowicie zatracają się w walce o dokonanie niemożliwego. Trzymałem się z boku, kiedy umierał mój ojciec. Powiedział, że to mój obowiązek i że dobrze robię. Jego ostatnim życzeniem było, żebym oszczędzał się na walkę, której nie będę w stanie pojąć. Wiesz, co powiedział? Rzekł: „Najwspanialsza walka toczy się w obłokach dymu, kiedy nie można widzieć oczami”.

Peter Lake chciał pojechać na mokradła, żeby zobaczyć, co sobie przypomni. Ponieważ port był zamrznięty, nie potrzebował łodzi. Założył za to parę łyżew i mocno je zasznurował, po czym związał razem buty i przerzucił je sobie przez ramię. Wyprawił się przez lód wczesnym rankiem, z rękami w kieszeniach, gdy silny wschodni wiatr popychany przez wschodzące słońce hulał pogrążonymi w ciemności ulicami Brooklynu i mknął nad portem. Peter odkrył, że nie musi poruszać się do przodu o własnych siłach. Wystarczyło, że ustawił się plecami do wiatru i pozwolił mu popychać się w stronę mokradeł. Pokonując wiele mil bez najmniejszego trudu, dostrzegł znajomy zarys mokradeł Bayonne, i zaczął sobie przypominać, jak wyglądały kiedyś, choć teraz pokrywały je fabryki, estakady i wielkie place budowy. W świetle chłodnego poranka pracowali mężczyźni oświetleni tysiącami reflektorów i rzędami błyszczących żarówek, przez które wrota doku i stalowe konstrukcje z dźwigarów wyglądały jak okręty wojenne w blasku wolności. Z oddali wyłoniła się Shooters Island. Przymorzanie nazywali ją Fontarney Gat, była tam świeża woda i drzewa owocowe.

Gdy sunął cieśniną Kill van Kull, którą Przymorzanie zwali Siltin Allandrimore, odwrócił się, by spojrzeć na miasto. Uderzyło go, jak znajome wydało się z tej perspektywy. Jego wspomnienie o nim było tak mocne, że poczuł się, jakby stracił kontakt z oboma światami. Mimo to patrzenie na klify miasta, oświetlone nad ranem, tak jak widział je tyle razy wcześniej, sprawiało mu przyjemność. Choć szklane palisady mieniły się kolorami, a światło, które po nich przemykało, pokrywały brzeg Jersey odbitą tęczą, dużo starsze budynki nadawały Manhattanowi wygląd skalistej wyspy i sprawiały, że dzielnica Battery wydawała się bardzo ostrą brodą.

Miał już ruszyć dalej Kill van Kull, by przyjrzeć się zatokom, porośniętym trzcina przybrzeżnym ławicom i słonowodnym kanałom, kiedy zauważył grupkę ledwie widocznych czarnych kropek nad lodem kilka mil przed nim. Nie miałby pewności, że jadą ku niemu, gdyby nie ich pełen wdzięku suw przypominający ruch fal trzymający kurs mimo niewielkich zmian torów. Wiedząc, że w mechanice taka spójność ruchu oznacza albo niezmierną precyzję, albo znaczną prędkość, nie zastanawiał się, co łyżwiarze robią tu tak wcześnie rano, lecz dlaczego są tacy zdeterminowani i szybcy.

Zamiast zniknąć w Kill, pojechał pod wiatr na wschód i podziwiał, jak postacie, już większe po tym jak zmieniły kurs, dostosowując się do jego położenia, odurzająco pięknie się kołyszą. Jechały przed nim, próbując przeciąć mu drogę, ale Peter Lake odwrócił się i pomknął na zachód. Jak można było się spodziewać, łyżwiarze zwrócili się eleganckim suwem w prawą stronę, starając się nie stracić swojego celu z linii wzroku.

Peter zatrzymał się nagle, wywołując kaskadę odłamków lodu, którego kryształki upadły

na gładką taflę i zostały szybko rozwiane przez wiatr. Patrzył na nadciągających łyżwiarzy. Z równiutkiej kolumny nie wychylali się nawet ci, którzy nie mieli tyle szczęścia, by wiatr dał im w plecy. Jechali prosto przed siebie. Po niego.

Mimo bezsprzecznego zagrożenia Peter Lake cieszył się z sytuacji wyglądającej na znajomą i poczuł nagły przyływ siły i euforii, który wydał mu się niestosowny u mężczyzny w jego wieku. Było tak, jakby dziwne moce, które go druzgotały i przybijały, kiedy mieszkał na ulicy, oraz przeciwne siły, karzące go wcześniej piorunami i grzmotami, teraz znalazły się w jego wnętrzu.

Słońce oświetliło jego prześladowców. Było ich przynajmniej dwunastu, a stabilność i zdecydowanie, z jakimi się poruszali, sprawiały groźne wrażenie. Peter skierował się w stronę wyspy. Grupie mężczyzn pomagał wiatr i nie było sposobu, by uciec im w prawo lub w lewo, bo nawet gdyby tak zrobił, im wystarczyłoby tylko nieznaczna zmiana kursu. Jazda dalej na zachód też nie miała sensu: mokradła się zmieniły, a on nie był pewien, jak dobrze je pamięta. Najlepszą strategią było okrążyć wyspę i pojechać na środek przeciwnego brzegu. Kiedy zobaczy ich od jednej lub drugiej strony, pojedzie znów na północny wschód, zyskując lekką przewagę, i wszyscy będą wtedy jechać pod wiatr.

Dojechał na przeciwległy brzeg i stał tam tak długo, aż zdał sobie sprawę, że jeśli jego prześladowcy są sprytni, rozdzielią się na dwie grupy, żeby wziąć go w kleszcze.

Rozpędził się i skoczył nad pałkami tataraku, po czym wylądował na plaży i grzęznąć łyżwami w śniegu i piasku, niezgrabnie pobiegł przez wyspę ile sił w nogach. Z najwyższego punktu zauważył, że łyżwiarze rzeczywiście podzielili się na dwie grupy i okrążali wyspę powoli, rozstawiając się falangą, która – gdyby trzymał się pierwotnego planu – zamknęłaby go w uścisku.

Zbiegał już ku lodowi, ale łyżwiarzy w czarnych płaszczach trudno było przechytrzyć. Zostawili dwóch swoich na czatach kilka jardów od brzegu. Peter Lake mógł tylko rozpędzić się, jadąc wprost na nich, i tak też zrobił.

Zauważyli go niemal od razu, gdy wszedł na lód. Odsunęli się od siebie na odległość około stu jardów i oddali dwa strzały w niebo, żeby zawiadomić pozostałych. Peter jechał na wprost między nich. Kiedy nabierał prędkości, poruszając się pod wiatr, dwaj mężczyźni wycelowali do niego i zaczęli strzelać. Słyszał świst kul w powietrzu i czuł wdzięczność, bo ten świst najwyraźniej go wzywał.

Choć strzelali do niego metodycznie i precyzyjnie, nie trafiali, bo Peter robił dzikie uniki i jechał zbyt szybko. Mimo to udało mu się na nich zerknąć. Ubrani byli w czarne płaszcze o staromodnym kroju, podobne do tych, które widział na dwóch karłach w restauracji. Wciąż nie wiedział, kim są. Ich taktyka była mistrzowska i miał wielkie szczęście, że jeszcze go nie schwytali.

Nie byli jednak aż tacy sprytni. Odkrył to w chwili, kiedy wjechał pomiędzy nich. Mierzyli do niego, czekając na moment, kiedy najbardziej się do nich zbliży, co oczywiście nastąpiło, kiedy przejechał dokładnie w poprzek ich szeregów. Obrócili się automatycznie, biorąc go na cel. Kiedy Peter Lake przekroczył niewidzialną linię środkową, wystrzelili z dokładnością godną prawdziwych geometrów. Spodziewając się tego, Peter zrobił przysiad godny akrobatów, którzy przeskakują przez beczki, pochylił głowę i nasłuchiwał, aż zbliżające się do siebie kule, przelatujące tuż nad jego głową, zderzą się, wywołując podwójny efekt Dopplera. Był to niewiarygodnie długi dźwięk, o wrzecionowatym przebiegu. Podnosząc się, Peter Lake z radością zauważył, że obaj napastnicy zabili się nawzajem z godną pozazdroszczenia precyzją i bez ruchu leżeli na lodzie.

– Najszersze przeprosiny – powiedział na głos, nie zatrzymując się. Nie chciał zmarnować nawet sekundy na przyglądanie się pozostałym, którzy, jak nie miał wątpliwości, zaraz przyspieszą. Skierował się prosto ku zaludnionej taflii pod mostami na East River. Tam będzie mógł zniknąć pomiędzy rozbijanymi znów namiotami, śnieżnymi ścianami i w komnatach wykutych wzdłuż brzegu.

Jechał bez wysiłku, wykonując zamasytyste kroki, przez które ostrza jego łyżew tak drżały, że mogły nawet się złamać. Wtedy właśnie, sunąc w stronę Manhattanu, przypomniał sobie, że ostatnio kiedy wracał do miasta po lodzie, jechał na białym koniu. Takie strzępki pamięci pojawiały się teraz w jego głowie bardzo często i choć bardziej go uwodziły niż budowały, był pewien, że jeśli nadal będą tak żwawe, w końcu dowie się wszystkiego.

Lodowe miasto, które rozciągało się pod Brooklyn Bridge i Manhattan Bridge, oraz jego bliźniacze miasto na północy znajdowały się w połowie drogi pomiędzy Manhattanem a dzielnicą nędzy. Choć inaczej niż ich bogaci kuzyni, biedni nie bali się o swoje fizyczne bezpieczeństwo, gdy przebywali w sąsiedztwie obcych, niebywale krępowały ich lśniące enklawy, które dniem i nocą widzieli ze swoich szaroburych miejsc. Zdecydowanie unikali spacerów dobrze utrzymanymi ulicami pod pełnymi dezaprobaty spojrzzeniami matron i odźwiernych. Miasta te były po dwóch stronach od bardzo dawna i choć linia podziału nie miała fizycznego kształtu, istniała, jak potwierdzała to niewidzialna granica oddzielająca Five Points. Kiedy jednak rzeki zamarzały, powstawał zupełnie nowy obszar i ustalał się neutralny grunt. Choć kontakt bogatych z biednymi mógłby doprowadzić do korzystnej wymiany, jednych i drugich ciągnęło do lodowych miast z powodu dużo większych apetytów. Podczas gdy większość ludzi z dziećmi przyglądała się galaktykom z zatoki, pod mostami zawierano cyniczne transakcje. Bogaci przychodzili, by porzucić cnoty, które im przypisywano, i oddać się lubieżnej parodii tego, co ich zdaniem stanowiło moralność biednych, biedni natomiast żerowali na nich jak rekiny. Jedni chcieli kupić sobie niewolników i pochlebców, drudzy zaś pragnęli gotówki, zegarków i biżuterii.

Tak powstało miejsce prostych odruchów i wyjątkowej szpetoty, zupełnie niepodobne do innych lodowych miast przy innych brzegach, bo jak to najczęściej bywa, architektura odzwierciedlała dusze mieszkańców. Peter Lake wjechał tam na łyżwach w czasie śniadania, przemierzał zygzakami labirynty lodu i śniegu, aż zupełnie się w nich zgubił. Ostatni zakręt wyprowadził go na dziedziniec gospody. Od wiatru osłaniały go śnieżne ściany, a w kamiennym piecu, który ukradziono z lodu gdzieś na południu miasta, palił się ogień. Przy wielkim drewnianym stole siedziała grupa hulaków czekająca na posiłek – kleik kukurydziany i płatki z mlekiem wymieszane razem na żółta pastę. Jakież twarze mieli ci biedni i bogaci, kobiety i mężczyźni, a nawet psy zwinięte w kłębek przy piecu! Chciwe oczy, brody i nosy, które układały się w niepokorne grymasy, niecne uśmiechy zbyt łatwo pojawiające się na ustach, brzuchy wydęte jak worki ostryg, które zaraz miały pęknąć, i rzędy zębów wygiętych jak końskie podkowy, wystających agresywnymi sznurami nieperłowych naszyjników spomiędzy wciąż ujadających warg.

Peter Lake zajął miejsce przy stole i dostał drewnianą miskę pełną kleiku. Jedzenie rozwożono do knajp na noszach z grubych desek i palików. Aby przetransportować jedenaście małych misek owsianki dwóch mężczyzn musiało przyciągnąć dwustu pięćdziesięciofuntowe sanie. Jedzenie nie było najgorsze i wszyscy z wyjątkiem Petera jedli jak świnię, podporządkowując się całkowicie swoim apetytom i jedzeniu. Peter rozglądał się dookoła, żeby objąć wzrokiem całą scenę. Prostytutki w oknach na piętrze całowały się na oczach wszystkich, a ich pocałunki kojarzyły się z osuszaniem bagien. Bagnami tymi były niechlujnie ubrane

i pokryte czyrakami stworzenia o owłosionych plecach i ustach czerwonych jak mięso. Zanim doszedł do połowy porcji, Peter Lake zauważył, że dwóch gości zostało okradzionych, po czym ktoś okradł złodzieja.

Zapomniał na chwilę, gdzie się znajduje i zamyślił się, próbując przypomnieć sobie wierszyk z dzieciństwa w Five Points, który mówił o duszkach i świstakach, i o tym, co mogą sobie zrobić nawzajem. Mimo to, wpatrując się w filary na śnieżnym dziedzińcu, dostrzegł ogromną zgraję łyżwiarzy w czarnych płaszczach, niczym centurionów z rzymskiego miasta.

Peter Lake szybko skrył się pod stołem, gdzie zobaczył pulchne łydki i stopę okopową. Zauważył, że połowa zgromadzonych podczas jedzenia trzymała dłonie na swoich lub cudzych genitaliach. Kryjówkę dzielił z biedną kobietą, która klęczała na lodzie, wyświadczając przysługę zarówno kobietom, jak i mężczyznom w zamian za monetę spoczywającą w wyciągniętej dłoni kogoś, kto jej nawet ani przez chwilę nie widział. Czarne płaszcze weszły do środka i zaczęły wypytywać jedzących. Nikt spośród nich nie zauważył Petera, nie mógł więc udzielić żadnych informacji. Wszyscy byli tak pijani, że nie mogli odpowiadać od razu. Zerkając zza gęstwiny żyłaków, Peter Lake widział swoich prześladowców tylko od pasa w dół. Mieli na sobie płaszcze, które wyglądały jak gwałtownie oberwane ogony.

– To... to są... O Jezu, Krótkie Ogony! – zawołał, uderzając głową w stół.

Słyszając to, Krótkie Ogony przewróciły gości gospody na lód. Peter Lake zerwał się na nogi, przewracając ławę tak, że przebiła się do kolejnego pomieszczenia. Ścigany przez Krótkie Ogony, wbiegł do gospody i zaczął się wspinać po schodach. Chociaż ściany były białe, w środku panował niemal całkowity mrok. Na drugim piętrze Peter stanął jak wryty i niemal zatoczył się do tyłu. Dziecko należące zapewne do jednej z prostytutek, bez wątplenia uczestniczące w działalności przybytku, wytoczyło się z jednego z pokoi na półpiętro. Dziewczynka mogła mieć cztery czy pięć lat, ale ubrana była w przydużą brudną suknię i poruszała się jak stara pijaczka. Peter Lake był tak zaskoczony tym widokiem, że niemal dał się złapać Krótkim Ogonom. Opamiętał się jednak i pobiegł dalej.

Schody kończyły się ślepym zaułkiem. Gdziekolwiek nie spojrzeł, Peter widział ścianę śniegu, a zza jego pleców dobiegały mamroty i chrzęst kroków Krótkich Ogonów. Mignęło mu wspomnienie z czasów, gdy był włóczęgą, i staranował ścianę, uderzając w nią głową.

Wpadł do pomieszczenia w burdelu obok, gdzie trzydzieści osób jęczało w kąpielni z gęstniejącego mleka kokosowego, grzecznie przeprosił, zbiegł po schodach i na łyżwach pojechał w stronę miasta.

W prawdziwym, trwałym mieście Krótkie Ogony były liczne jak wołki zbożowe w mące. Choć nie wszyscy go rozpoznali, ci, którym się udało, zaczęli go gonić. Odwzajemniał się im skokami z okien, teatralnymi lądowaniami na zaśnieżonych markizach i brutalnym przedzieraniem się przez niczego niepodważający tłum. Doprowadził do tego, że ludzie objali się o siebie jak kule bilardowe, a pakunki wylatywały im z rąk i frunęły w powietrze torami pocisków.

Peter Lake był bardzo uradowany tymi trudnymi wyczynami i nie mógł sobie wyobrazić lepszego sportu niż taki, w którym gnany jest z miejsca na miejsce, musi wspinać się po ścianach budynków, chować w kanałach i przeskakiwać z dachu na dach. Był tym tak zaabsorbowany i czerpał z tego tyle przyjemności, że zapomniał o wszystkim z wyjątkiem miasta, co bardzo się przydawało, kiedy musiał zdecydować, gdzie uciekać i gdzie się schować. Miał to miasto we krwi i mógł biec przed siebie ile sił, nie potknąwszy się ani razu. Uznał, że to dobre przeznaczenie i byłby zawiedziony, gdyby nie śledzono go wszędzie, gdziekolwiek poszedł. Czasami wspinał się na schody przeciwpożarowe i zeskakiwał na dwóch Krótkich Ogonów

przebiegających pod spodem, bezlitośnie roztrzaskując im głowy jedna o drugą. Raz zaskoczył jednego z nich w opuszczonym budynku. Prerażony Krótki Ogon miał długie, tłuste, czarne włosy i nerwowo skręcał je lewą ręką w mysie ogonki, gdy przechadzał się z pistoletem w prawej po gruzach w poszukiwaniu Petera Lake'a, który właśnie chował się w szafie. Kiedy Krótki Ogon otworzył drzwi, Peter wrzasnął „u-hu-hu” z taką wściekłością, że gangster zaczął podskakiwać, trząść się i strzelać w podłogę w niekontrolowanych, rytmicznych interwałach. Kiedy wszystkie pomieszczenia opustoszały, Peter Lake powiedział:

– Bardzo ładnie tańczysz. Powinieneś występować w kabarecie.

Zęby mężczyzny szczękały z siłą automatycznego zszywacza. Niektóre obluzowały się i wypadły na ziemię.

– Kiedy pozbierasz się do kupy – oświadczył Peter spokojnym tonem – będziesz potrzebował dobrego dentysty. Miałem zamiar pobić cię do nieprzytomności, ale to jest dużo lepsze. Muszę już lecieć. Kiedy już skończysz, mógłbyś być tak miły i wyłączyć światła, a potem zrównać budynek z ziemią?

Po czym zniknął w ciemnościach śniegu, przepastnym morzu światła i we wstęgach pary, które w zimowe noce były jak piórka miejskiego kapelusza.

Nie ośmielił się powrócić do swojego mieszkania, bo Krótkie Ogony zapewne już je odkryły. Wiedział, jak się nazywają i że mają zadanie go śledzić, nie wiedział jednak, z jakiego powodu, bo wciąż miał o sobie bardzo mgliste pojęcie.

– Jeśli o mnie chodzi – pewnego wieczoru ogłosił w przestrzeń, kiedy szedł Fifth Avenue pełną ludzi robiących zakupy – uważam, że to wszystko sen, a oni mogą mnie gonić aż do końca świata.

Musiał jednak spać. Jakże wspaniale było przypominać sobie wtedy kolejne kawałki tego, co, jak teraz zdał sobie sprawę, musiało być niezwykle bogatą przeszłością. Poszedł prosto na dworzec Grand Central.

Pasażerowie z dalekich i krótszych tras przemierzali rozległy jak preria dworzec w zwyczajowej ciszy, która zachęcała, żeby skierować wzrok w górę na niebo ze sklepienia. Budynek wyglądał tak, jakby został sprawnie skonstruowany specjalnie po to, żeby odzwierciedlać życie na ziemi i jego ostateczne skutki; pokazywać, jak ludzie drepczą wokół swoich spraw, nie patrząc w górę, nieświadomi, że ślizgają się po dnie morskich czeluści. Stojąc w cienistej galerii nad Vanderbilt Avenue, Peter spoglądał w górę i widział majestatyczne niebo z konstelacjami gwiazd, wymalowane na ogromnym kolebkowym sklepieniu zawieszonym ponad głowami podróżnych. Było to jedno z niewielu miejsc na świecie, gdzie światło i ciemność szybowyły jak chmury i zderzały się pod sufitem.

Od dziesięcioleci nikt nie troszczył się o lampki imitujące gwiazdy i nieoświetlone niebo wydawało się burzowe i ponure. Być może nikt nie pamiętał, jak to się robi, a może nawet tego, że gwiazdy powinny się świecić. Peter Lake poszedł prosto do małych ukrytych drzwi, gdzie zastał dobrze mu znaną kłódkę.

– Wiem, jak ją otworzyć – powiedział i wyciągnął swój zestaw narzędzi, nie zdając sobie sprawy, że sam zamknął te drzwi prawie sto lat wcześniej. – To mosiężna kłódka McCauleya numer sześć. – Otworzył kłódkę z taką finezją, że w końcu przyszło mu do głowy, iż być może kiedyś był włamywaczem. Ponieważ jednak nie miał w związku z tym żadnych wspomnień, odrzucił tę myśl.

Kiedy znalazł się w środku, ponad niebem, nacisnął znajomy przełącznik i wszystkie gwiazdy rozbłysły. Nie brakowało ani jednej żarówki i żadna się nie przepaliła. Po prostu nikt nigdy tu nie wszedł, by włączyć światło. W lesie stalowych filarów i przęseł ponad ciemnym

sklepieniem Peter Lake usłyszał rozpraszający dźwięk silników z dołu, który kiedyś brał za rytm nawałnicy nadciągającej przyszłości. Podeszedł do łóżka, które po niemal stu latach było zakurzone, ale nietknięte. Puszki z jedzeniem, teraz pewnie groźniejsze niż broń biologiczna, stały w równych rzędach między filarami. Stosy „Police Gazette” i starych poźółkłych czasopism leżały złożone przy łóżku. Patrzył na to wszystko w zadziwieniu.

Peter Lake położył się zadowolony na łóżku. Była zima, gwiazdy zostały włączone, a on był bezpiecznie schowany za niebem. Daleko w dole na marmurowej podłodze w kremowym kolorze ludzie nadal mijali się w ciszy, nigdy nie podnosząc wzroku. Gdyby jednak unieśli głowy, teraz dostrzeżliby gwiazdy jasno błyszczące na turkusowym sklepieniu.

Hardesty wybiegł na ulicę zaślepiony furją, przez co trudno było go odróżnić od mijających go setek przechodniów. Ze wszystkich miast na świecie Nowy Jork najskuteczniej podnosił ciśnienie. Wystarczyło wyjść na ulicę i od razu miało się ochotę podstawić nogę kucykowi w Central Parku. Hardesty wiedział, że w alejach i na głównych ulicach wiatr zawsze wieje w twarz. Postanowił pobudzać się tak długo, aż odkryje jakiś przypadkowy sekret, który pozwoli mu ocalić życie córki. Choć nie miał ani wiele czasu, ani dużych szans, szukał zachłannie tego, czego Peter Lake nigdy nie był w stanie uniknąć. Był gotów zaryzykować wszystko, nie wiedząc nawet, czego właściwie szuka.

Najpierw poczuł, że chce się bić, a ku temu wszędzie była sposobność, bo ulice miasta były pełne uzbrojonych i zdesperowanych ludzi, którzy od dziecka uczyli się rabować i zabijać. To że niczego się nie bali i szukali okazji do przemocy tak jak pszczoły szukają pyłku, wcale mu nie przeszkadzało.

– Czego tu chcesz? – zapytało go dwóch mężczyzn, którzy stanęli mu na drodze późnym wieczorem na Eighty-seventh Street.

– Słucham? – odpowiedział Hardesty uśmiechając się przymilnie (jak pomyśleli mężczyźni). To jednak był uśmiech przyjemności.

– Pytam, co robisz w tej okolicy? Gadaj! – powiedział jeden z nich, agresywnie wychylając się do przodu.

– Mieszkam tu – odparł Hardesty ze stoickim spokojem.

– Gdzie?! – krzyknęli jeden za drugim specjalnie tak, żeby go przestraszyć.

– Na Eighty-fourth Street.

– To nie nasza okolica, stary. Zapytałem cię, co robisz tutaj – dopytywał się większy, pokazując palcem ziemię, coraz bardziej wściekły.

– Chyba rzadko używacie mózgow? – zapytał retorycznie Hardesty. Mężczyźni zaniemówili. – To dlatego, że jesteście głąby. Ja jednak lubię głąby, więc powiem wam dokładnie, co tu robię. Jestem tu, ponieważ pora na hazard. Poszedłem do domu po trochę forsy, która teraz jest w mojej lewej kieszeni. Jest jej tyle, że trzymam ją w dużej kopercie, bo nie mieści mi się w portfelu. Plik jest za gruby. A teraz, żeby mieć pewność, że rozumiecie, głąby, o co mi chodzi, powiem jeszcze jaśniej: mówię o forsie, trzydziestu tysiącach dolarów i dodatkowych pięciu czy dziesięciu tysiącach w portfelu. – W rzeczywistości Hardesty miał ze sobą niespełna osiem dolarów, ale ani drgnął.

Jego napastnicy mrugali nerwowo i zaczęli się wycofywać.

– Daj nam spokój – powiedzieli, ale Hardesty ruszył za nimi, mrużąc oczy jak do walki.

– O co chodzi? Nie chcecie mnie oskubać? Boicie się? – wrzasnął. Zaczęli biec, ruszył więc za nimi. Gonił ich przez kilka przecznic, krzycząc, ile sił w płucach. Kiedy przeskoczyli przez mur i pobiegli do parku, pobiegł w ślad za nimi przez śnieg spowity światłem księżyca.

Krople potu na ich twarzach sprawiały, że wyglądali tak, jakby wbijały się w nich małe

błyszczące księżycy. Odwrócili się, by strzelić z pistoletu, ale to sprawiło jedynie, że Hardesty zaczął biec szybciej, nadal krzycząc. Wtedy rzucili broń na ziemię i pobiegli, ile sił w nogach, aż w końcu udało im się zniknąć w zaroślach niedaleko północnej pompy. Maszerując dwa razy szybciej, Hardesty wyszedł z parku w kierunku West Side. Była pierwsza w nocy. Miasto właśnie budziło się ze snu. Postanowił udać się na Broadway i przetrącić mu kręgosłup.

Jego pierwszym przystankiem były kluby bilardowe, gdzie każdy gest bywalców obliczony był na to, by wyrażać biegłość i pewność, jakich wymagała gra. Chodziło o to, żeby wszyscy uwierzyli, że jest się wytrawnym graczem, który próbuje to ukryć. Prawdziwi mistrzowie nie potrzebowali żadnej pozy, ponieważ ci, których ogołacali z pieniędzy, zbyt byli zajęci podtrzymywaniem wizerunku, żeby zauważyć cokolwiek, a co dopiero trafić bilą do łuzy. Wśród graczy obowiązkowo trzeba było mleć coś w zębach – cygaro, papieros, fajkę albo wykałaczkę – żeby uzupełniać ruchy kijem, podobnie jak sztylet jest dopełnieniem miecza. Wystudiowane ruchy graczy, którzy chodzili wokół stołów, podejmując decyzje co do kąta i siły uderzenia, miały właściwą sobie geometrię.

Hardesty, który pojawił się tam, nie mając prawie nic poza dzikim spojrzeniem, zrzucił płaszcz, zapłacił pięć dolarów za wejście i zapytał o najlepszego bilardzistę w knajpie. Na to pytanie wszyscy zamilkli i stanęli w bezruchu, podczas gdy Hardesty został poprowadzony pomiędzy kratkami jasno oświetlonych stołów w róg sali, gdzie rezydował najlepszy z zawodników. Zazwyczaj tacy profesjonalści byli albo bardzo grubi, albo fizycznie niepozorni. Często wyglądali jak zniszczeni życiem prowincjusze z obsesją na punkcie kelnerki z przydrożnych barów. Chodzili wokół stołów na palcach, poruszając się jak grzyby na ruchomej obręczy, i rzadko zachowywali się ostentacyjnie. Ostentacyjni gracze zwykle udawali groźnych, żeby odsunąć od siebie duże zakłady, których bali się podjąć.

Miejscowy mistrz nie tylko jednak zachowywał się ostentacyjnie, ale też wyglądał na osiłka, mierzył przynajmniej sześć i pół stopy, ubrany był w smoking i elegancką koszulę z małymi diamentowymi ćwiekami. Jego twarz w zestawieniu z całą oprawą sprawiała, że mężczyźni tacy jak Hardesty (który wcale nie był karłem) czuli się mali jak ziarno fasoli. Facet miał puszyste fale zgarniętych do tyłu blond włosów, które w połączeniu z jego wydatnymi rysami i miną wyrażającą niezwykłą pewność sprawiała, że wyglądał jak kaskader na skrzydle samolotu naprężający mięśnie w starciu z pędzącym trzysta mil na godzinę wiatrem. On i jego towarzysze ogromnie się ucieszyli na widok Hardesty'ego.

Jego okulary w rogowych oprawkach i garnitur z sieci Brooks Brothers (nie mógł sobie pozwolić na zakupy u Fippa) mówiły im, że jest mężczyzną odpowiedzialnym, uczciwym i zamożnym. Nie wiedzieli, czy umie trafić do łuzy, i nie obchodziło ich to.

– Mam gdzieś, czy jesteś dobry, czy słaby – powiedział Kaskader. – Mam dziesięć tysięcy dolarów i zagram za każdą porównywalną kwotę, nie mniejszą niż tysiąc.

– Niech będzie dziesięć tysięcy.

– Masz je ze sobą?

– Nie, mam tylko dwa dolary i drobne. Ale dam ci moje dane i adres.

– Gramy w ósemkę, żółwia czy planetarium?

– Żółw brzmi w porządku – odpowiedział Hardesty. – Ale będziesz musiał wyjaśnić mi zasady.

– Zaraz, zaraz – odezwał się Kaskader, przeczuwając kłopoty.

– Nie martw się – zapewnił go Hardesty. – Jeśli przegram, zapłacę. – A po chwili, prawie pod nosem, dodał: – Ale zamierzam wygrać.

– To po diabła mam ci wyjaśniać zasady?

– Słuchaj – powiedział Hardesty, nacierając kredą czubek kija. – Nie grywam w bilard. Ostatnio grałem na studiach, a to było dawno temu. Nie byłem wtedy zbyt dobry i od tamtego czasu nie miałem kija w rękach. – Podniósł wzrok. – Dziś cię pokonam.

– A jak masz zamiar to zrobić? – zapytał Kaskader. – Nigdy nie nabieram się na blefy, więc lepiej, żebyś nie kombinował.

– Nigdy nie blefuję – oświadczył Hardesty. – Grajmy.

Kaskader uśmiechnął się.

– Znam cię – powiedział. – Już wcześniej spotykałem takich jak ty. Kochasz się w tym, co niemożliwe.

– Chwilowo tak.

– Po co? – zapytał Kaskader z pewnym współczuciem, zdejmując marynarkę i przygotowując się, by pokonać Hardesty'ego i zgarnąć jego dziesięć tysięcy dolarów.

Odpowiedź Hardesty'ego sprawiła, że nieco się zaniepokoił:

– By przywrócić zmarłych do życia.

Hardesty nie był jednak zainteresowany robieniem wrażenia, lecz błyszczącym zielonym sukniem na najnowszym stole w knajpie.

Kiedy Kaskader wytłumaczył zasady zółwia, uderzyli w bilę, żeby ustalić, kto zacznie. Bila zawodowca cofnęła się o cal od bandy. Hardesty przygotował się do uderzenia, a oto jak to zrobił.

Przede wszystkim przypomniał sobie, co robi i dlaczego. Robił to dla Abby. W ten sposób chciał nauczyć się czuć to, co niemożliwe, żeby wiedzieć, co zrobić wówczas, gdy nikt nie będzie wiedział, co robić. Był to akt sprzeciwu, niebezpieczny nie z powodu stawki, lecz dlatego, że był wyzwaniem rzuconym wszechmocy. Ale Hardesty robił to z miłości i wierzył, że uda mu się przejść przez ciąg bram, które rzadko bywają otwarte. Żeby tego dokonać, musiał się skupić.

Tak więc zrobił. Wyrzucił z głowy, tak jak anioły zostały wypędzone z nieba, wszystkie myśli i pragnienia niezwiązane ze stołem, który miał przed sobą. Nie widział ani nie słyszał gapiów, przeciwnika ani niczego żywego, ani martwego poza zielonym filcem. Nie myślał o wygranej czy przegranej, o falujących włosach Kaskadera i jego nabijanej diamentami koszuli, o tym, która godzina, gdzie jest ani o stawce zakładu. Myślał tylko o jednym – o geometrycznych układach tuż przed sobą. W nich był Bóg przemawiający swoim prostym, absolutnym językiem wedle tej samej gramatyki, za pomocą której kazał planetom rozpocząć gładki, aksamitny taniec. Oczyszczając umysł i skupiając się, Hardesty zmusił swoje niedoskonałe oczy do odpowiednich ruchów i wyczuwania prawdziwych odległości. Miał wolę, żeby każda komórka i włókno każdego mięśnia były mu posłuszne, tak aby kij dostał od nich niezbędną siłę i prawidłowy kierunek i dzięki temu mógł przekazać bili odpowiedni impuls, który pozwoliłby jej z kolei podporządkować się wyższej woli bez upokorzenia.

Wszyscy patrzyli, jak się przygotowuje, i czuli bijące od niego ciepło, jakby był ogniskiem rozpalonym pośrodku sali. Wiedzieli, że jest napięty jak stal, a Kaskader łatwo z nim nie wygra. Dokoła nich zebrało się stu pięćdziesięciu gapiów i wielu z nich zrobiło coś niesłychanego w klubie bilardowym – stanęło na innych stołach. Ale Hardesty nie był świadomy niczego poza czystą fizyką. Jasne lampy nad stołem świeciły jak podwójne słońce, a wszędzie poza zieloną posadzką wszechświata panowała ciemność.

Hardesty zapanował nad spoconymi dłońmi i ustawił kij. Głęboko zakochany w prawdziwej i dokładnej sile, która mogła przywieść bilę jak najbliższej bandy, uderzył. Jego oczy podążyły za kulą, która gładko potoczyła się na koniec stołu. Jej uderzenie o przeciwległą

krawędź było takim wstrząsem jak kolizja dwóch rozpędzonych pociągów. Następnie bila potoczyła się z powrotem ze znamionym, równomiernym spadkiem prędkości, który tylko wzmógł szmer wśród obserwatorów. Bardzo powoli przetoczyła się obok bili Kaskadera, delikatnie odbiła się o bandę i zatrzymała. Rozległy się wiwaty. Gapie byli zachwyceni. Hardesty jednak niczego nie słyszał, bo przygotowywał się do kolejnego uderzenia. Nie widział też Kaskadera, którego mina zapowiadała, że on też wyciągnie z rękawa wszystkie swoje asy. Gra toczyła się o dziesięć tysięcy dolarów, ale stawką było coś ważniejszego – idea istnienia rzeczy pewnych.

Dwustu gapiów otoczyło teraz stół na rogu, a pieniądze wędrowały im z ręki do ręki w takim tempie, że wyglądali jak pełna sałaty taśma produkcyjna. Przyglądając się piramidzie bil, Hardesty czuł, że nieco się dekoncentruje, ale był na tyle spokojny, by zauważyć, że obstawiający stoją na stołach i krzesłach jak obserwatorzy walki kogutów. To z kolei sprawiło, że trójkąt kolorowych kul wydał mu się formacją świeżo malowanych pisanek. Dalsze skojarzenia mogły jedynie bardziej go rozproszyć, zamiast więc walczyć z tym obrazem lub weń brnąć, wygiął go w zakrzywioną igłę, którą następnie wymierzył w istotę rzeczy. Leżały przed nim planety, które nagle znalazły się w nieładzie, zgromadzone razem na jednej orbicie pod dwoma słońcami. Jego zadaniem było wszystko uporządkować, oczyścić przestrzeń wokół doskonałych kul. Jak miał to jednak zrobić? Pchnąć kulę blisko bandy to teraz nic, liczba kombinacji była przytłaczająca. Samo silne postanowienie nie mogło dorównać życiowemu doświadczeniu Kaskadera i jego szeroko rozstawionym, czułym na rozmiar kątów oczom. Hardesty znów poczuł, że się rozprasza, a dłonie tak mocno mu się pociły, że co chwila musiał je wycierać o nogawki.

Im bardziej widać było po nim zdenerwowanie, tym więcej zakładów zawierano przeciw niemu. Kaskader odetchnął swobodnie, Hardesty za to zaczął się trząść i poczuł, jak łzy napływają mu do oczu. Aby je ukryć, utkwiał wzrok w jasnych słońcach nad stołem. Ich promienie załamywały się w wodzie jego oczu, tworząc tęcze, wiązki i snopy światła, które przecinały pokój jak oset krystalicznych pałaszy. To niesamowite światło kruszące diamenty przeniosło go do katedry w North Beach, gdzie cytat z Dantego wypisany nad wejściem wspierał go w trudnych momentach. Często stał w parku, patrząc na katedrę, i czytał z wielką satysfakcją:

La gloria di colui, che tutto muove,

per l'universo penetra e risplende¹

Zawsze wierzył, że to światło przyniesie ostateczną sprawiedliwość (choć nie brał pod uwagę, że w istocie światło przyniesione przez sprawiedliwość jest bardziej prawdopodobne i wspanialsze).

– Zamknijcie się! – nakazał hałaśliwym gapiom, bo to, co miał zrobić, wymagało absolutnej ciszy. Chciał sobie przypomnieć, czego kiedyś nauczył go ojciec, i wykorzystać zasady niebiańskiej mechaniki, by uporządkować chaotyczny, lecz oślepiający model układu słonecznego, który się przed nim rozpościerał. Nie było to łatwe. Musiał obliczyć każdy możliwy wpływ prędkości, przyspieszenia, pędu, siły, reakcji, równowagi stałej, momentu pędu, tarcia, elastyczności, stabilności orbitalnej, siły odśrodkowej, zasady zachowania energii, wektorowania oddziałującego na szesnaście bil i luz, mechanicznych własności band, współczynnika oporu filcu oraz dokładnej siły i nośności uderzenia z kija. Musiał dać sobie z tym radę bez dokładnych pomiarów, i to dość szybko. Pocieszał się myślą, że skoro wszystkie sposoby pomiaru są zawsze niedokładne i nigdy nie osiągną doskonałości teorii, która powołała

je do życia, wystarczy, jeśli posłuży się tylko swoimi oczami i intuicją. Wykonywał obliczenia w taki sposób, że widzowie zaczęli się robić rozdrażnieni. Musiał ułożyć mnóstwo równań, zapisać ich wyniki w pamięci i później je przywołać, a nawet w jego pobudzonym stanie ciężko mu było liczyć i zapamiętywać liczby jednocześnie. Rozwiązał ten problem, wyobrażając sobie gapiów jako liczydło. Czyniąc z ich twarzy i ubrań wektory, współczynniki i reprezentujące je liczby, zgromadził mnóstwo informacji. Każdego z mężczyzn podzielił anatomicznie, przypisując najróżniejsze wyniki i kąty rzepek, stopom, głowom, szyjom i innym częściom ciała. Dzięki temu potężne równania stały się dużo prostsze.

Aby jednak obliczenia mogły mu wyjść, musiał coś zrobić, żeby widzowie przestali się ruszać. Gdyby tylko zmienili pozycje, wszystkie jego równania trafiłyby szlag.

– Nie ruszać się! – rozkazał. Wszyscy, z Kaskaderem na czele, pomyśleli, że to dziwaczne. Było to jednak nic w porównaniu z tym, co robił potem: zaczął krążyć dookoła, gapić się na zebranych, bardzo szybko mamrotać do siebie pod nosem, pokazywać na ludzi oraz podnosić ogromne niewidzialne ciężary (swoje liczby) palcami i przenosić je z jednego mężczyzny na drugiego. Gdy nie słuchali jego komend, warczał na nich wściekle, zwracając się do nich funkcjami, jakie im nadał.

– Zamknij się, Sigma! – krzyknął do niewysokiego grubasa w hawajskiej koszuli. – Kosinus, do diabła! Przestań się wiercić! – wrzasnął, pokazując palcem wysokiego czarnego mężczyznę w skórzanej kurtce. Pocąc się jak mysz od intensywnego myślenia, odkrył, że działa szybciej, niż mogą się poruszać jego usta, więc zaczął wyśpiewywać swoje obliczenia do dziwnej, niespotykanej melodii. Po pięciu minutach skończył i prawie umierał z wyczerpania. Obliczył dokładny punkt uderzenia w trójkąt, punkt wyjścia białej bili, miejsce, w które powinien trafić kij, współrzędne przybliżenia i siłę niezbędną do wykonania zadania.

– W porządku – powiedział, machając ręką do tych, którzy z rozdziawionymi gębami mimowolnie brali udział w jego równaniu – zerujemy. – Teraz już wszystko wiedział. Należało pamiętać tylko o kilku rzeczach, a on większość z nich już sobie opracował wizualnie.

– Zaczynam – ogłosił. – Jedyńka wpadnie do kieszeni po lewej stronie. Trójka, piątka i czternastka do luzu w rogu po przeciwnej stronie, dwójka, czwórka, szesnastka i siódemka w najbliższy róg po prawej, szóstka i dziesiątka w dziurę pośrodku po prawej, dziewiątka, jedenastka i dwunastka w najbliższą kieszeń w narożniku po lewej, trzynastka i piętnastka w najbliższą kieszeń po prawej, a na końcu ósemka do odległej prawej luzu w rogu. Oczywiście, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem – dodał, nerwowo smarując kij kredą.

– Nie zamierzasz dać mi szansy strzelić? – sarkastycznie zapytał Kaskader.

– Nie – odparł Hardesty i przygotował się do strzału.

Należało uderzyć bilę rozgrywającą z dużą siłą, bo nie dość, że wszystkie ponumerowane kule musiały znaleźć się w swoich dołkach, to jeszcze niektóre z nich miały przedtem wykonać kilka podskoków i kursów, by dać bardziej niechętnym kolegom lekkiego kuksańca. Moc ta nie mogła być za duża, żeby kule nie wyskoczyły przez bandę za stół. Nie trzeba dodawać, że Hardesty bardzo ostrożnie umiejscowił bilę rozgrywającą. Ustawił się w linii, przybrał odpowiednią pozycję do strzału, wysunął rękę do tyłu i uderzył.

Kiedy trójkąt eksplodował, Hardesty odwrócił się do Kaskadera i powiedział:

– To trochę potrwa.

Był całkowicie odprężony i spoglądał z aprobatą na bile, które wskakiwały do odpowiednich otworów. Trzy czy cztery z nich wylądowały w luzach niemal od razu. Inne chciały jednak odstukać capstrzyki i pędziły po stole, czasem zupełnie się mijając, czasem zderzając ze sobą, a czasem nawet zatrzymując. Kiedy jednak się zatrzymywały, dostawały cios

z ukosa od rozpędzonego kuzyna, po czym czmychały zawstydzone w paszczę najbliższego otworu. Tak jak przewidział Hardesty, zajęło to trochę czasu, aż w końcu ósma bila, po bardzo długiej trasie przetoczyła się w niezwykle groźnym tempie i wskoczyła do luzu w prawym rogu.

Nikt nie ośmielił się poruszyć ani odezwać z wyjątkiem Kaskadera, który z plikiem banknotów w ręku odważnie podszedł do Hardesty'ego. Wielka gęba Kaskadera drgała lekko z zakłopotania i nieśmiałości.

– Nie chcę pieniędzy – powiedział Hardesty, już pochłonięty rozmyślaniami o kolejnym zadaniu. – Nie zrobiłem tego dla pieniędzy. – I wyszedł.

Poszliby za nim, gdyby nie to, że wmurowało ich w ziemię. W końcu zaczęli się trząść i drzeć, a potem krzyczeli i wyli jak mistycy, którym objawił się anioł. Byli to bardzo twardzi i potężni mężczyźni, ale ich wrzaski brzmiały wysoko i piskliwe. Nie wiedzieli, co się z nimi dzieje, a ludzie przechodzący obok ulicą w zdziwieniu unosili głowy, wyobrażając sobie, że natrafili na szczytowy moment miejskiego rytuału voodoo.

Hardesty był już pół mili dalej na południe.

Pewnego wczesnego poranka po kilkunastu dniach głodu, okropnych doświadczeń i niemożliwych do opisanie fizycznych zmagani, z których absolutnie nic nie wynikło, Hardesty obudził się w czymś, co wyglądało jak bizantyjska katedra zamieniona na salę gimnastyczną. Zupełnie nie pamiętał, w jaki sposób się tu znalazł, wiedział jedynie, że wyrwał się z zimnego i niepokojącego snu i leżał na macie do ćwiczeń. Poszedł długim korytarzem do opuszczonego holu, gdzie odkrył, że znajduje się w klubie fitness na Wall Street. Był w nim zupełnie sam. Z zerknięcia na zegar pracowniczy wywnioskował, że pierwszy pracownik pojawi się o dziesiątej.

Kiedy zegar wybił szóstą, w budynku włączyło się ogrzewanie. Ciche gwizdy i obłoczki oraz dziwny, solankowy zapach kaloryferowej pary starały się zwrócić na siebie uwagę stukaniem grzewczych rur. W jasnym pomieszczeniu, w którym się przebudził, wschodzące słońce oświetlało wysoką krawędź pokrytego szronem okna, eksplodowało białymi i żółtymi oparami, które rzucały światło na liny i drążki, oraz ocieplało maty i drewno. Hardesty obserwował drogę promieni. Wycieńczony, nie mógł myśleć o niczym i miał tak mało siły, że nie zwracał uwagi na kuszące go sprzęty sportowe.

Kilka dni wcześniej próbowałby zrobić figurę krzyża na kółkach gimnastycznych albo bujać się na drążku, jakby nie istniała grawitacja, żeby zobaczyć, czego się może w ten sposób dowiedzieć. Teraz jednak trudno mu było nawet podnieść głowę, żeby spojrzeć na światło w oknach na szczycie bizantyjskiej kopuły.

Przejrzyste poranne światło załamywało się na kręgu okien w taki sposób, że tworzyło idealnie okrągłą złotą płytę, która była jak oślepiająca zatyczka kopuły. Hardesty wstał. Ze środka kopuły zwisała lina, która wydawała się prowadzić na pierwszy stopień nieba. Nawet sama lina lśniła jak grubo złoty warkocz.

Sto stóp nad ziemią złoty dysk stał się gęstszy. Wydawał się bardzo mocny, a Hardesty chciał się do niego dostać. Ledwie jednak mógł stać, a co dopiero się wspinać, jego dłonie były zresztą poranione, jakby ciągnął metalowe kable. Po tym jak przemieszczało się słońce, które pompowało złoto na podest, pomyślał, że kopuła nie wytrzyma tak wielkiego ciężaru. Wiedział, że zniknie tak jak powstała. Rozpoczął wspinaczkę.

Podciągając się, poczuł, jak ogarnia go całe śmiertelne cierpienie, którego tak bardzo szukał, i gdy piał się po linie, naprawdę się wznosił. Lina zaś stawała się szkarłatna od krwi, która tryskała z niego jak woda z uszkodzonej rury. Choć warkocz pod nim był już równie czerwony, co złoty, zmierzał wciąż ku górze, bez ustanku myśląc, że jeśli tylko uda mu się osiągnąć cel, nie będzie potrzebował ani krwi, ani siły. Jego dłonie były zupełnie zdarte i tak

ślizgały się po linie, że musiał dociskać do niej kości. W agonii i majakach widział pobielone dłonie i wyschłe kości, które prowadzą go i ciągną. W połowie drogi jego dłonie stały się oddzielnymi mechanizmami wiodącymi własne życie. Im wyżej się wspinał, wydawał się ważyć coraz więcej. „Jakie ryby – myślał – znajdują się w tej sieci, że jest taka ciężka i nieustępliwa?”

Niemal na samym szczycie lina zaczęła się delikatnie tlić i płomień otoczyły ją delikatną spiralą. Zacisnął lewą dłoń wokół jej podstawy. Była gorąca, ale nie parzyła, wspiął się więc w płomień, krew na jego ubraniu zniknęła, a dłonie zaczęły się goić.

Podest nad jego głową był niemal za jasny, by mógł na niego spojrzeć. Ponad nim okna jarzyły się białym i srebrnym szronem. Jeszcze wyżej zobaczył nieskończenie wiele precyzyjnie wyżłobionych form. Podobne do skrzydeł szewrony zdawały się przesuwać ku słońcu jak zastępy czarnych aniołów. Głęboko w gęstwinie misternych żłobień znajdowały się lśniące krajobrazy, a rym wygrawerowany na każdej szybie prowadził do światów ukrytych w innych światach. Im głębiej prowadziły w długie tunele aż do punktu zaniku, tym szerzej się otwierały i zdawały mieścić w sobie więcej wiecznych bitew, pół płonących jak walczące w nich siły powietrzne i okrągłe słońce, które krwawiły kroplami złocieni pryskającymi na fale błękitu. Słońce sunęło przez las linii na szkle, tnąc je na wiązki, które rozpryskiwały się jak garści pszennej kaszy.

Hardesty Marratta próbował wystawić głowę ponad złoty dysk, ale od razu odepchnęła go jakaś siła. Chwycił linę i brutalnie się podciągnął, ale otrzymał ten sam zaciekły cios. W końcu z całej siły spróbował rzucić się w górę jak pocisk odrzutowy, by przedrzeć się przez nieustępliwą warstwę nad głową. Znowu jednak coś go pacnęło, jakby był muchą.

Zaczął spadać, rozpościerając ramiona i palce, przez sto stóp pustego powietrza. Nawet gdyby był w stanie obrócić się i wylądować jak kot, w niczym by mu to nie pomogło. Sto stóp to sto stóp i nie dało się tego zmienić w żaden sposób. Kiedy tak leciał, zdał sobie sprawę, że znosi go to na lewo, to na prawo, chwieje się jak wahadło i spada bardzo powoli. Powietrze wokół niego trzepotało tysiącem niewidzialnych skrzydeł, które tłumili jego upadek i pozwoliły mu wylądować tak lekko, że przez chwilę czy dwie lewitował nad matą.

Hardesty otworzył oczy. Kilku mężczyzn w służbowych ubraniach ciągnęło go za ramiona.

– Jesteś jednym z nas? – zapytali.

– A kim jesteście? – odparł Hardesty, po czym spojrzał na ich miny. – Chyba bankowcami i maklerami.

– Czy jesteś członkiem tego klubu?

– Wszystko jest zapisane w waszych numerach – powiedział Hardesty – gdybyście tylko odczytali je jak trzeba.

– Pewnie wszedł z ulicy – podsumował jeden z mężczyzn. – Myślałem przez chwilę, że to członek klubu, który miał jakiś wypadek.

– Unosiłem się jak motyl – ogłosił Hardesty, kiedy chwycili go i wynieśli z sali jakby na niewidzialnej lektyce. – Kiedy znalazłem się w płomieniach i zacząłem spadać, myślałem, że gruchnę o podłogę. Ale unosiłem się jak motyl.

Kiedy mężczyźni wynosili go z sali i mijali zegar, Hardesty zobaczył że jest jedenasta. Z szacunkiem i lekceważeniem, jakie zwykle okazuje się wariatom, mężczyźni wystawili go na ulicę.

– Jeszcze jedno – powiedział.

– Słucham – odparł jeden z nich, wracając już po schodach do budynku.

– W waszej sali gimnastycznej było pełno aniołów.

Nie usłyszeli.

W grudniowym mrozie, nie mając w kieszeni ani centa, za to żołądek pusty od wielu dni, Hardesty zaczął iść wzdłuż Manhattanu. Zawiódł Abby, a przez to rozczarował także swojego ojca. Pycha, która pozwalała mu wierzyć, że ma siłę podbić niebo, teraz przyprawiała go o mdłości i strach.

Kiedy mijał ludzi gnających przed siebie w wielotysięcznych ławicach, ujrzał chwałę w ich obliczach. Dostrzegł w ich oczach – po tym jak tkwiły nad zarumienionymi policzkami i jak wyrażały nadzieję, zdecydowanie lub gniew – wszystko to, co sprawiało, że byli kimś więcej niż szkieletem i mięsem, a życie ich w twarzach dalece wykraczało poza materiał, w którym oczy były osadzone. A jednak gdyby chciał to uchwycić, złapałby jedynie połę płaszcza z zaskoczonym, przestraszonym przechodniem w środku. Choć światło, którego poszukiwał, świeciło wszędzie, nie mógł go wziąć do rąk.

Mógłby myśleć o maleńkiej trumnie (przypominającej próbki u sprzedawcy), w której zostanie pochowana jego córka. Wtedy jednak życie ulic i chwała ludzkich twarzy wstąpiłyby w jego krew i uwierzyłby, znów, że byłby w stanie utrzymać ją przy życiu, gdyby tylko mógł zrozumieć, jaka siła stoi za żywymi obrazami miasta: udręczoną miną płaczącego chłopca, który popycha wieszak z ubraniami przez zasypane śniegiem ulice; krawcem w dzielnicy futer pochylonym nad swoją maszyną, który szyje aż po kres kuśnierstwa; ekipą ulicznych robotników rozbijających beton ze skupieniem godnym brygady piechoty. Było coś, co łączyło te wszystkie obrazy i sprawiało, że się poruszają. Puste korytarze i wschodzące kształty chroniły ten sekret, który niewidzialnie unosił się nad miastem jak słup świeżego powietrza. Kiedy próbował go pojmać i powalić, już go nie było. Porządnie obity, został wchłonięty przez tłum. Był słaby i oszołomiony, a ludzkim falom na ulicach tuż przed świętami trudno było się przeciwstawić.

Jak łupina w kanale dryfował po ulicach tam i z powrotem. Niosło go do wielkich domów towarowych, a potem wypychało na zewnątrz. Płynął wraz ze strumieniami po schodach metra i przejechał jeden czy dwa przystanki, zanim znów wyniosło go na ulicę. Utknął na skrzyżowaniu przypominającym wodny wir. Chodząc tymi samymi ścieżkami setki razy, słaby, rozpalony i pokonany, trafiał przypadkowo na miliony ludzi, którzy galopowali po mieście, jakby od tego zależało ich życie.

Kiedy o siedemnastej zamknęły się biura, ulice zalały potoki gabardyny i wełny w granatowym i szarym kolorze. Wszyscy biegli. W niektórych miejscach fale urzędników i sekretarek głębokie były na trzy, a nawet cztery warstwy. Wydawali dźwięki jak woda albo płonąca trawa poruszana wiatrem i już o siedemnastej piętnaście ulice środkowego Manhattanu były jak korytarze płonącego teatru.

Wreszcie w punkcie styku, który wyglądał jak rzeka Niagara spadająca kaskadą Horseshoe, ogromna masa rozgorączkowanych płaszczy i pełnych napięcia twarzy wpadła na dworzec Grand Central, ciągnąc Hardesty'ego ze sobą. Na szczęście znajdował się na brzegu fali i udało mu się przedostać się w bezpieczne miejsce na balkonie z widokiem na główną halę. Tutaj przede wszystkim z powodu paralizującego lęku przed podróżą do Hartsdale o siedemnastej dwadzieścia Hardesty mocno trzymał się marmurowej balustrady i odpoczywał przez godzinę, aż fala w końcu się przeredziła, a jemu zrobiło się cieplej.

Nie licząc strumienia podróżnych wciąż kursujących pomiędzy drzwiami a schodami, które prowadziły na parter, galeria od strony Vanderbilt Avenue była niemal całkiem opustoszała, a w przepastnej hali zaczęły pojawiać się puste, łyse miejsca marmuru w karmelowym kolorze tam, gdzie utworzyły się wysepki tkackich nici w dywanie wytarte krokami stawianymi od 1912 roku. Nikt nie patrzył do góry. Sufit tak długo był ciemny i ponury,

że o nim zapomniano, i dla większości kolebkowe sklepienie było zbyt wysoko, by się nim interesować. Hardesty powoli przechylał głowę, aż w końcu wygiął się do tyłu na tyle, by zobaczyć je w całości.

Gwiazdy były włączone. Żarzyły się na żółto spomiędzy zieleni. Od kiedy? Uważano, że niedługo zgasną na zawsze. Podobno wypaliły się jedna po drugiej i miały nigdy nie zapłonąć, bo umieszczono je zbyt wysoko na naprawę czy wymianę. Nikt tego nie próbował i w końcu zupełnie o nich zapomniano. Ale teraz się świeciły. I nie brakowało ani jednej żarówki.

– Niech pani spojrzysz – powiedział Hardesty do młodej kobiety, ubranej w fartuch pomocy dentystycznej – gwiazdy się świecą.

– Jakie gwiazdy? – zapytała, nie patrząc do góry, po czym pobiegła w stronę tuneli, by nie spóźnić się na swój pociąg.

– Te gwiazdy – powiedział Hardesty do siebie, wpatrując się w zielone niebo.

Kiedy jego wzrok wędrował po kolebkowym sklepieniu, zobaczył, że na środku coś się rusza. Wyglądało to tak, jakby wskutek niebiańskiego trzęsienia ziemi kawałek nieba wyłamał się ze swojego miejsca. Hardesty pomyślał, że to złudzenie optyczne. Ale pęknięcie było prawdziwe. Po chwili zniknęło, ale pojawiło się znów i zaczęło drgać, jakby ktoś zmagął się z ciężkimi drzwiami. Nagle fragment zielonego nieba został wypchnięty i na suficie powstał ciemny kwadrat. Hardesty'emu zabrakło tchu. Drzwi nie mogły otworzyć się same.

Choć nikogo nie było widać, Hardesty czekał cierpliwie. Jego cierpliwość została nagrodzona, kiedy wysoko nad nim z cieni wyłoniła się twarz, która zaczęła się przyglądać pędzącym zastępom, odzianym w gabardynę i wełnę.

1. „Chwała Onego, co wszystko w ruch wprawia, / przenika wszechświat cały i jaśnieje”
– pierwsze dwa wersy Pieśni I Raju, tłum. A. Świdorska (przyp. red.).

DLA ŻOŁNIERZY I MARYNARZY Z CHELSEA

Gdy jest się starym, przypląwy energii i przebłyski świadomości są jak jeziorka wody na wyschniętym morzu i w napadach szału lub nagłej radości człowiek z laską może odkryć, że z wiekiem jego niewinność wcale nie znikła, jedynie potwierdziła się i wyjaśniła, i że mimo wszystkiego, czego się nauczył w swoim długim życiu, nie jest w stanie sięgać wzrokiem tak daleko jak wtedy, kiedy miał lat siedem. Harry Penn często przeżywał takie chwile i był wtedy porażony odkryciem, że dowiaduje się tego, co było mu znane już wcześniej, zanim zapłacił cenę za świadomość.

Dorastał, patrząc na to tysiąclecie, i teraz chciał, żeby most Jacksona Meada sięgnął tak daleko i wysoko, jak tylko można było sobie wyobrazić, a nawet dalej, żeby przebił ścianę chmur jak lanca. Wiedział, że aby tak się stało, warunki na ziemi muszą być niemożliwie wręcz doskonałe. Żadne ludzkie działania nie mogły przyczynić się do zawarcia tyłu sojuszy, zszycia rozerwanych szwów ani sprowadzić zupełnej, grzmiącej sprawiedliwości, a mimo to wszystko musiało być na swoim miejscu i każdy musiał żywo poruszać się po oświetlonej scenie, odgrywając swoją rolę. Harry Penn był przekonany, że jeszcze nie wypełnił swojego życiowego zadania, co bardzo go smuciło. Nie wystarczyło się zestarzeć. Pragnął cudów. Pragnął, żeby życie pojawiło się tam, gdzie go nie ma, czas zniknął, a wszechświat stał się złoty – choćby tylko dla jednej wspaniałej chwili. Chciał zobaczyć, tak jak obiecał mu ojciec, jak ogromne pobielone obłoki, przypominające pióra na łbach koni ciągnących dorożki, wschodzą nad miastem, obwieszczając złoty wiek.

Romansował więc ze swoimi książkami i encyklopediami, nie czerpiąc z tego korzyści, zapamiętywał, ile tylko zdołał, z tego, co widział, i pozostawał czujny na architekturę ducha, kiedy okresowo i alegorycznie była burzona i odnawiana. Często napełniał wodą swoją wielką drewnianą balię i zanurzał się w niej tylko po to, by jego myśli przepływały swobodnie, nigdy jednak nie przepływały swobodnie na tyle, by przygotować go na szybko zbliżające się nowe tysiąclecie.

Pewnego wieczoru odwołano występ Jessiki z powodu wyjątkowo siarczystego mrozu. Surowce kurczyły się w niskich temperaturach i z całego Manhattanu dobiegały odgłosy pękających kabli i trzeszczących murów – takim biczowaniem zima odpowiadała na błyskawice. Wśród rozbrzmiewających drobnych trzasków Jessica pojechała sałmami z teatru do domu ojca, gdzie przyszykowała jagnięcinę z groszkiem, którą zjedli na obiad przed kominkiem. Byli sami, lecz później dołączyć miał do nich Praeger. Christiana była z Asburym, a Boonya pojechała odwiedzić siostrę w Malto Downs.

Jessica posprzątała ze stołu i umyła naczynia, po czym wróciła z dwoma kubkami czarnej herbaty i puszką kruchych herbatników, na którego wieku znajdował się szkocki fizylier w zielono-niebieskim kilcie. Mocna herbata dobrze działała na wyobraźnię Harry'ego Penna. W płonącym kominku żywiczna sosna i sucha na wiór hikora stały się polem bitwy z postępującymi czerwonymi liniami i maleńkimi wystrzałami. Harry Penn był urzeczony. Herbata i ogień go rozpalili.

– Co się dzieje, kiedy nie pamiętasz tekstu? – zapytał Jessicę.
– Nie zapominam.
– Nigdy?
– Bardzo rzadko. Prawie nigdy. Widzisz, gdy wcielam się w bohaterkę, uczę się tekstu, żeby się nią stać, nie na odwrót. Kiedy już nią jestem, nie mogę zapomnieć jej kwestii. To nie do

pomyślenia.

- Chcesz powiedzieć, że uczenie się roli nie polega na zapamiętywaniu tekstu?
- Właśnie tak. Tylko źli aktorzy uczą się tekstu na pamięć. Dobrzy aktorzy piszą go, gdy

grają.

- Mimo że dramaturg już go napisał.

Pokiwała głową.

- Czy to nie arogancja?
- Dramaturgowie to rozumieją.
- Czyli popadasz w coś w rodzaju transu.
- Tak.

– Sztuka jest ukończona, ale dla ciebie nadal jest nowa. Kiedy wygłaszasz kwestie, wypowiadasz je po raz pierwszy. Są tak samo twoje jak autora. Jak to wytłumaczysz?

– Nie bardzo umiem, mogę za to powiedzieć, że właśnie to odróżnia dobrych aktorów od złych.

– Dobrze, powiedzmy więc – ciągnął Harry Penn, wpatrując się w wieko puszek – że nie byłaś w formie i pod koniec długiej, trudnej sztuki jednak zapomniałaś kwestii. Co byś wtedy zrobiła?

– Pewnie nie miałabym czasu się nad tym zastanawiać i powiedziałabym to, co przysłoby mi do głowy. Właściwe kwestie byłyby darem, ale improwizację też uznałabym za dar, choć z innego źródła.

Rozległo się głośnie pukanie do drzwi.

– To Praeger – oznajmił Harry Penn.

– Burmistrz – dumnie powiedziała Jessica.

– Nie czyni to najmniejszej różnicy – ogłosił Harry Penn. – To porządny gość. Otwórz mu, zanim zamarznie na kość. Wiesz, że kilka lat przed moimi narodzinami Żurawinowy Burmistrz zamarzył w Newton Creek?

Gdy Jessica przyprowadziła Praegera do gabinetu ojca, Harry Penn stał przed kominkiem z wiekiem blaszanej puszek z ciastkami w dłoni. Płakał.

– Co się stało? – zapytała Jessica.

– Szkocki fizylier – powiedział. – Patrzę na te puszki od lat, ale nigdy nie przyjrzałem się jego twarzy. Ale teraz widzę.

– Co takiego? – zapytał Praeger.

– Pamiętacie włóczęgę z Petipas?

– Tak.

– To jego twarz, gdyby był ogolony i umyty.

Praeger spojrział na pudełko.

– Dla mnie to nie takie jasne – powiedział. – Nie pamiętam go wystarczająco dobrze.

– To dlatego, że nie widziałeś go nigdy wcześniej.

– A ty go widziałeś?

– Tak.

– Kiedy?

– Kiedy byłem chłopcem. – Położył fizyliera na kominku i zrobił krok do tyłu.

Odwróciwszy się do Praegera, burmistrza miasta, Harry Penn nakazał mu pójść do stajni i zaprzęgnąć trzy najlepsze konie do najszybszych sań. – Chcę, żebyś zawiózł mnie na północ.

– Nad jezioro Coheeries? – zapytała Jessica.

– Tak – odparł jej ojciec z uśmiechem. – W końcu znalazłem moje miejsce na świecie.

Praeger wyszedł. Kiedy w stajni po drugiej stronie dziedzińca zapaliło się światło, Harry Penn zwrócił się do córki i powiedział jej, że zdarzył się cud, i to w samą porę.

– Jaki cud? – zapytała.

– Peter Lake – odpowiedział.

Harry Penn był jedynym człowiekiem w Nowym Jorku, który mógł nakazać burmistrzowi, by zaprzął mu konie do sań, ale nie zawahał się ani chwili, bo w końcu Praeger pracował u niego i był jego przyszywanym zięciem od ponad dziesięciu lat. Poza tym mężczyźnie dobiegającemu setki przysługują najwyższe protokolarne przywileje i nie musi się on podporządkowywać prezydentom czy królom, ponieważ prezydenci i królowie zaszli tak daleko, że jeśli myślą o czymkolwiek, myślą tylko o historii, a stuletni człowiek jest historią.

Trzy konie, które Praeger zaprzął do wyścigowych sań, rwały się do biegu i w mgnieniu oka mknęły na północ po Riverside Drive.

– Zjedź niżej i przy skrzyżowaniu One Hundred i Twenty-fifth Street wjedź na rzekę – polecił burmistrzowi Harry Penn.

– Będzie całkowicie zamarznęta przy Spuyten Duyvil? – zapytał Praeger z powątpiewaniem. – Wiry nigdy nie zamarzają, no i jest jeszcze kanał żeglugowy.

– Oczywiście, że będzie zamarznęta – oświadczył Harry Penn, patrząc przed siebie. – W taką zimę między Spuyten Duyvil a kanałem zawsze powstaje gruby most lodu. Lekko zakręca na zachód, potem na wschód i wznosi się odrobinę niemal jak odcinek prerii. Dalej, aż do rozwidlenia jest już tylko pusty lód. Możemy mknąć jak diabli.

Praeger mocno strzelił lejcami i trojka skręciła w lewo, biegnąc w dół, do rzeki.

– Skąd to wiesz?

– Odbywam tę podróż od niemal stu lat. Jeśli przeżyło się kilkanaście-kilkadziesiąt zim, wygląda to zupełnie chaotycznie. Ale po stu widzisz, jak wyłaniają się i przepłatają pewne wzorce. Zawsze wiem, jaka jest pogoda. To proste. I wiem, jaki jest lód. To też proste.

– A czy to dotyczy też relacji między ludźmi?

– Masz jakiś problem?

– Nie, po prostu jestem ciekaw.

Zapadło milczenie.

– To nie takie łatwe, ale możliwe, że tak.

– A co z historią?

– Historia jest bardzo trudna. Niemal nieskończona liczba fal oddziałuje na siebie w nieskończonej liczbie połączeń. Tak jak pewnie podejrzewasz, od dawna mają skłonność do tworzenia silnych związków i wiele fal płynie razem w jednej fazie. Nie sądzę jednak, by mogły pozostać w takim związku, gdy już za dwa tygodnie nastanie rok dwutysięczny, chyba że wydarzy się katastrofa.

– A co potem? – zapytał Praeger, bo i on miał swoje zdanie na ten temat i wyobrażał sobie, jak miasto spada bez końca, koziółkując w szalonym, bezgłośnym locie, przyprawiającym serce o drżenie.

– Zobaczymy – odparł Harry Penn.

Sanie uderzyły o lód z takim impetem, że wyłobiły w nim półmilową rysę. Na gładkiej tafli za Spuyten Duyvil trojka sunęła na północ z taką prędkością, że nocni strażnicy w miasteczkach, które mijali po drodze, odnotowali w swoich rejestrach, że coś ciemnego przemknęło po lodzie i zniknęło, zanim mogli to rozpoznać. Praeger nie wiedział, że miasteczka na wzgórzach, tak jak latarnie na klifach, pochodzą z innych czasów. A Harry Penn nie wyjawiał mu tego, ponieważ skoro najbliższa przyszłość miała być przełomem, nie chciał, żeby cud życia

w przeszłości uwiódł Praegera. Mijali miasteczka i zostawili za sobą złote światła latarń, pnąc się na północ, ku górcom, które wiodły nad jezioro Coheeries.

Na miejsce dojechali wieczorem następnego dnia. Byli wyczerpani i bolały ich gardła. W przeciwieństwie do miejscowości na brzegu Hudsonu, te nad jeziorem – w tym miasteczko Coheeries – były pogrążone w ciemności. Harry Penn wstał w saniach, mierząc wzrokiem linię brzegu.

– Tu nigdy nie było ciemno – powiedział. – Coś jest nie tak.

Drogi po równinie, która prowadziła do miasteczka Coheeries, nie przemierzano od ostatnich opadów śniegu. Przed nimi pojawił się zarys pogrążonego w ciemności miasteczka na tle ogromnej kurtyny nieba i gwiazd. Wjechali powoli, przejechawszy po – jak im się zdawało – kłodzie drewna leżącej na środku drogi. Nie była to jednak kłoda, lecz ciało Daythрила Moobcota.

Wszędzie były ciała. Wystawały zza progów i leżały przewieszane i zamrożone na płotach jak mięso dzikiej zwierzyny suszące się na słońcu. Przy zwłokach leżały strzelby i karabiny. Wyglądało na to, że w miasteczku rozegrała się okropna bitwa, bo ulice pełne były mebli i małych przedmiotów, które świadczyły o splądrowaniu budynków. Otwarte drzwi domów przerażająco chwiały się na zawiasach wraz z podmuchami wiatru albo trzaskały z gromkim hukiem, jakby ktoś strzelił z pistoletu.

– Niemal to przewidziałem – Harry Penn powiedział do Praegera. – Nie sądziłem jednak, że to naprawdę się stanie. – Praegerowi odjęło mowę. – Ale jeśli to musiało się wydarzyć, niech tak będzie. Nie żyją. Już po wszystkim. A to oznacza, że sto epok wreszcie dobiegło końca. Jedź w tamtą stronę.

Minęli altanę i już nie tak powoli wjechali na jezioro, kierując się ku domowi Pennów na wyspie zagubionej pośród innych wysepek i cypli przeciwległego brzegu.

– Trochę w lewo – mówił Harry Penn rozedrganym głosem, prowadząc Praegera. – A teraz odrobinę w prawo. – Manewrując wokół porośniętych sosnami skalistych wysp, od lat zamieszkiwanych tylko przez nury, znaleźli wielki dom, który nagle wyłonił się na końcu gładkiego białego zakrętu. Był nietknięty.

– Dobrze, że chociaż to miejsce było ukryte – powiedział Praeger.

– Nie ma to wielkiego znaczenia, jak się wkrótce przekonasz. Nie zabraliby jedynej ważnej rzeczy, a jeśli chodzi o zniszczenia, cóż, niedługo będą nieistotne.

Najpierw poszli do obory, gdzie Harry Penn rozsypał koniom cały wór owsa. Był niezwykle pobudzony, jakby bitwa w miasteczku – choć dawno zakończona – nadal trwała.

– Weź je – kazał Praegerowi, pokazując na dwie czy trzy miotły rzucone w kąt, których słoma pokryta była smołą.

Gdy przedarli się przez głęboki śnieg na wyspie, dotarli do ganku: ogromnych arkad długich na sto i szerokich na dwadzieścia pięć stóp. Frontowe drzwi były solidne jak zawsze.

– Jak dostałbyś się do środka? – zapytał Harry Penn, skinąwszy głową w stronę drzwi.

– Otwarłbym je kluczem – odparł Praeger.

Harry Penn zaśmiał się.

– Spójrz na dziurkę od klucza. To tylko iluzja, powierzchnia jest lita. Mój ojciec miał obsesję na punkcie włamywaczy i lubił bawić się z nimi w gierki. W jego czasach złodziejstwo było bardziej poważanym zawodem niż dziś. Przypominało szachy. Mój ojciec poświęcił mnóstwo czasu i pieniędzy, starając się przechytryć złodziei. Podejrzewam, że współczesny włamywacz zwyczajnie rozbiłby szybę, wtedy jednak obowiązywała pewna etykieta. Popatrz. – Położył obie dłonie na klamce i przesunął ją jak drążek zmiany biegów, wykonując kombinację dziesięciu ruchów, po której drzwi otworzyły się automatycznie siłą przeciwwagi.

Praeger był zachwycony.

– Podoba ci się? – zapytał Harry Penn. – Cieszę się, że mogłeś to zobaczyć, ponieważ ten mechanizm jest w użyciu ostatni raz. – Zniknął w ciemnym domu, Praeger ruszył zaś za nim.

Harry Penn wyciągnął zapalniczkę do cygar i przejechał cienkim płomieniem po głowach szczotek. Rozbłysły ogromnym żółtym ogniem. Praeger stwierdził, że to dobrze, iż sufity są tak wysokie. Dodał, że w innym wypadku na pewno by się zapaliły. Harry Penn nic nie powiedział i poprowadził burmistrza Nowego Jorku przez ogromne, lodowate pokoje.

Z płonącymi pochodniami w dłoniach przystawali to tu, to tam i unosili je wyżej, by oświetlić obrazy, które z ogromnym smutkiem przyglądały im się ze ścian. Choć portrety przedstawiały głównie szczęśliwe twarze, długie lata ciszy i bezruchu nadały postaciom zbolale miny zapomnianych zjaw. Sprawiały wrażenie, jakby były urażone, że zostały zapomniane i być może przerażało je to, iż starszy, posiwiasty mężczyzna, który siedł teraz między nimi, był niegdyś dzieckiem, w którym pokładały swoje nadzieje. Gdy wyłaniały się z ciemności na sekundę lub dwie, wydawały się zgorzkniałe i złe, że skazano je na wieczny bezruch, i że mimo ich poświęcenia i troski o przyszłe pokolenia ich dom porzucono na pastwę wiatru i nocy.

– Oto Pennowie – powiedział staruszek. – Potrafię wymienić każdego z imienia i nazwiska, ba, powiedzieć o nich dużo więcej, bo ich kochałem. Wszyscy odeszli. Ale nawet oni mogą być zaskoczeni, kiedy się obudzą.

– Obudzą?

– Tak. Jestem głęboko przekonany, że to możliwe, i zaraz wyjaśnię ci dlaczego. Na środku tego jeziora znajduje się wyspa, na której wszyscy zostali albo zostaną pogrzebani. Pochowano tam moją siostrę, która odeszła jeszcze przed pierwszą wojną. Ale już jej tam nie ma. Ulotniła się dość szybko. Wyjaśniano to tym, że w jej grób uderzył meteoryt. Meteoryt! Nikt, jak się zdaje, nie przejął się tym, że meteoryty spadają na ziemię, a nie wylatują z niej do góry. Grób został zrównany z ziemią, zniknął, co idealnie pasowało do jej epitafium: „Odeszła do świetlistego świata”. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale wierzę, że zrobiła to, co zamierzała.

Zatrzymał się przed drzwiami do przepastnego salonu i odwrócił się do Praegera.

– Na łożu śmierci wydała mi pewne polecenia. Wtedy ich nie rozumiałem. Wydawało mi się, że bredzi. Kazała mi je wypełnić, gdy znów spotkam Petera Lake’a, który był tam wtedy z nami. Zniknął zaraz po jej śmierci i choć cały czas spodziewaliśmy się, że wróci, już go nie spotkałem. Aż do Petipas.

– Jak możesz być tego pewny?

– Nie mogę.

– Kim on w ogóle był?

– Pokażę ci. – Harry Penn wprowadził go do pokoju. Cienie unosiły się i opadały rytmicznie, i Praeger poczuł nieznaczny zapach wilgoci dywanów i mebli nakrytych płótnem. Powietrze zaczęło nasycać się smolistym dymem, który zasłonił sufit, przez co mieli wrażenie jakby znaleźli się w pozbawionej sklepienia jaskini albo pod listopadowym niebem. Harry Penn podszedł do paleniska i uniósł pochodnię, oświetlając jasno dwa obrazy – jeden nad kominkiem i drugi po przeciwnej stronie.

– To Beverly, moja siostra. A to Peter Lake.

Choć kobieta sprawiała wrażenie kruchej i słabej, była uśmiechnięta i piękna. Mężczyzna wyglądał, jakby był zmieszany i czuł się lekko nieswojo.

– Nawet gdy namalowano te obrazy – Harry Penn wyjaśnił Praegerowi – Peter Lake nie czuł się z nami swobodnie. Uważał, że nie zasługuje na Beverly i że nie lubimy go ze względu na jego pochodzenie i profesję.

– A czym się zajmował?

– Był włamywaczem – powiedział Harry Penn. – I to bardzo dobrym. Pracował jako mechanik, ale wplątał się w jakieś kłopoty. Nigdy nie dowiedziałem się, jak i dlaczego. I teraz, wiek później, przebywa gdzieś w mieście, a nie zestarzał się nawet o jeden dzień. Spójrz na to tło, komety i gwiazdy. Spójrz na ich twarze. Ci ludzie nie umarli... jestem tego pewien. Proszę, ściągnij mi te obrazy.

Gdy Praeger zrobił krok w tył i postawił obrazy na podłodze, odwrócił się i zobaczył, jak Harry Penn podpala zasłony i meble.

– Co ty wyrabiasz? – wrzasnął Praeger.

– Wypełniam jej polecenia – odpowiedział Harry Penn. Nawet jego ton był płomienny.

– A co z obrazami?

– Też powinny spłonąć, ale będą mi potrzebne. No chodź. I weź je ze sobą.

Szli szybkim krokiem przez korytarze i galerie. Po drodze Harry Penn przeciągał pochodnię po ścianach i meblach. Kiedy dotarli do drzwi wejściowych, dom jaśniał mocniej niż bezchmurne letnie popołudnie. W środku szalały płomienie, czyniąc z pokoi puste pomarańczowe komnaty i oślepiające ogniste kule. Strumienie ognia, poszarpane jak zęby piły, pięły się po schodach jak gigantyczny wąż, który wypełził z jeziora w poszukiwaniu dzieci. Dom wydawał się tańczyć i obracać, jak gdyby ogień pospiesznie przedstawiał wszystkie wydarzenia, które się tu rozegrały, jak gdyby sto letnich pór płonęło pod jedną soczewką, sto zim zamarzło na kruchy lód, a wszelkie kominki i tańce, i pocałunki, i sny, które tu kiedyś były, uwolniły się, by wić się w bladych gorących wirach i zapalać wątle drewno swoim nagłym buntem.

Ogień przedzierał się do góry, jakby był rakieta, aż w końcu przebił się na dach.

Wstawili obrazy na tył sań. Praeger trzymał złęcznione konie, podczas gdy Harry Penn podpalał oborę. Cały zielony zagajnik lśnił jak w świetle dnia. Kiedy skręcili za domem, konie w panice pognały w stronę miasteczka po drugiej stronie jeziora. Wiatr rozciągał płomienie pochodni, tak jak odgarnia się pasma włosów znad skroni, a iskry znikwały w ciemności. Konie rżały, biegnąc po lodzie, bo nie podobało im się, że tak blisko nich, na saniach, jest ogień, od którego nie mogą uciec.

Praeger i Harry Penn razem podpalili miasteczko. Domy zajęły się szybko i po chwili ulice stały się ognistą kratą.

– Wszyscy nie żyją – powiedział Harry Penn, kiedy wyjeżdżali. – Ciekawe, czy można przypieczętować ich przeszłość, tak jak chciała Beverly, czy może coś pomiesza jej szyki.

Wjechali na szczyt wzgórza i odwrócili sanie, żeby jeszcze raz spojrzeć na miasteczko i jezioro. Po drugiej stronie lodu dom Pennów nadal palił się równym płomieniem, a miasteczko trawił ogień, jakby było nasączone parafiną.

Niewiele było do powiedzenia. Wszedł księżyc i świecił bardzo jasno. Harry Penn rzucił pochodnie w śnieg, a Praeger odwrócił konie od jeziora Coheeries i skierował je w stronę gór.

Hardesty przebiegł pierwsze stopnie schodów prowadzących do oszklonych galerii, które z kolei, jak zakładał, wiodły na tył nieba. Kiedy okrążył podest przed czwartą partią stopni, nagle zatrzymała go niebieska tama w postaci sześciu policjantów i sierżanta, którzy całkowicie zastawili przejście. Pili kawę z papierowych kubków, obwieszeni bronią i policyjnymi pałkami.

– Dokąd to? – zapytał agresywnie sierżant.

– Na pociąg do Cos Cob o osiemnastej dwanaście! – wrzasnął Hardesty, by zbić ich z tropu, skoro ich rolą było blokowanie dostępu do galerii.

– Tamtędy – powiedzieli, wskazując mu drogę. Hardesty zbiegł po schodach.

Ponownie będąc na balkonie przy Vanderbilt Avenue, spojrzął na otwór w niebie i zobaczył, że ta sama twarz wciąż spokojnie obserwuje to, co dzieje się na dole. Musiał dowiedzieć się, kto to jest. Zaatakuj funkcjonariuszy, jeśli będzie trzeba. Gdyby wziął ich z zaskoczenia, mógłby od razu zabić lub zranić przynajmniej czterech z nich. Dwóch pozostałych pokonałby dzięki wyjątkowej znajomości technik ataku i otwartości na ciosy. By tego dokonać, potrzebował jednak przynajmniej dwóch pistoletów, co oznaczało, że musiałby wcześniej pokonać dwóch innych policjantów. Wydało mu się nierozsądne, że aż osiem osób musiałoby stracić życie tylko po to, by on mógł wejść po schodach. Może mógłby ich przekupić. Ale skąd miałby wziąć pieniądze? Nawet gdyby obrabował czterdzieści osób, nie miał wielkich szans na zebranie kilku tysięcy dolarów, których potrzebował. Ale musiał się tam dostać.

Kłapa zamknęła się, zaklejając niebo.

– Niech to szlag! – powiedział do siebie, po czym postanowił ominąć policjantów. Przeszedł na drugą stronę balustrady i zaczął się wspinać po marmurowej ścianie, która dochodziła do szklanej zasłony przed wąskimi kładkami. Lata wcześniej cierpliwi artyści wyrzeźbili w tym rogu girlandy, jajowniki i kostkowe ząbki. Występy i uchwyty, jakie się z nich zrobiły, idealnie pasowały do palców Hardesty'ego. Żeby uzyskać siłę przeciwną, odpychał się od szyb.

Ośmieliwszy się wspinać bez spoglądania w dół, poruszał się bez żadnego zabezpieczenia bardzo szybko, trzymając się ściany głównie dzięki sile rozpędu. Gdyby się zatrzymał, po przerażających kilku sekundach kurczowego trzymania się marmuru spadłby w dół jak kot. Tak jak wcześniej na złotej linii, nic go nie unosiło i musiał się wysilić. Mimo że nie miał czasu rozważyć fizycznych sprzeczności i paradoksów, które go teraz dotyczyły, jego palce, mięśnie i serce wiedziały o nich aż nadto dobrze. Skoro nie miał siły utrzymać się w bezruchu przy ścianie, jak to możliwe, że miał siłę się wspinać? Czy równowaga była aż tak delikatna, że początkowa siła jego pierwszego kroku niosła go tak wysoko, jak było to możliwe, dopóki jego przyczepność równoważyła siłę ciągnącą go w dół? Skoro tak, dlaczego nie mógł trzymać się jajowników, girland i kostkowych ząbków w całkowicie neutralnej pozycji? W brawurowej, ufnej wspinaczce tkwiła przynajmniej odrobina magii, która zawieszała zasadę zachowania energii, by być może ostatecznie ją przywrócić. Teraz jednak z błogosławieństwem, ułaskawieniem i zachętą, których dobrym wspinaczom udziela rozrzedzone powietrze, wspiął się na niemal całą wysokość kolumny dworca Grand Central.

Kiedy w końcu sięgnął osmalonego gzymsu wysoko nad podłogą, objął kolumnę prawą dłonią i odetchnął z ulgą. Choć wisiał na wysokości, która gwarantowała pewną śmierć (czterema palcami chwycił się tak dobrze, że kciuk mógł sobie odpocząć), czuł się tak zabezpieczony przed upadkiem, jakby leżał twarzą do dołu i był przywiązany do podłoża. Po krótkim odpoczynku wdrapał się na gzyms.

Policjanci znajdowali się wiele pięt pod nim i prawdopodobnie nie przyszło im nawet do głowy, że ktoś ich ominął i jest teraz niemal tak samo wolny jak jaskółki, mistrzynie sfer powietrznych. I nawet gdyby podróżni unieśli głowy, by spojrzeć na gwiazdy (czego oczywiście nie robili), pewnie nie zauważiliby człowieka zmierzającego po wysokim, niezabezpieczonym gzymsie.

Jedna z niższych szyb łukowatego okna była wybita. Być może wpadł na nią ptak albo trafiła ją zbłąkana kula. Hardesty przeczołgał się przez otwór i znalazł się w słabo oświetlonym korytarzu. Podłogę pokrywał gęsty kurz, w którym widniały pojedyncze ślady stóp, prowadzące do kręconych schodów na końcu korytarza. Po siedmiu zakrętach Hardesty znalazł się w małym sklepionym pomieszczeniu, które wyglądało jak kaplica, i stanął przed małymi metalowymi

drzwiczkami, które zamknięto od wewnątrz.

Hardesty, który wiedział zawstydzająco mało o rozpracowywaniu zamków, zaczął forsować drzwi. Powoli zaczęły puszczać.

Peter Lake siedział oparty na łóżku pomiędzy żelaznymi prętami i czytał „Police Gazette” z listopada 1910 roku. Przyzwyczał się już do rozmaitych osobliwości i nie ze zdziwieniem, a z przyjemnością powitał zdjęcia posępnych wandalów i zamyślonych oszustów, których wszystkich znał, choć o tym nie wiedział. Przewracając strony, znowu spotykał Jamesa Caseya, Charlesa Masona, doktora Longa czy Josepha Lewisa. Choć wydawali się znajomi, nie był pewien, co go z nimi łączy. Dlaczego tak poruszało go zdjęcie Williama Johnsona, kieszonkowca? Czy to z powodu melonika i edwardiańskiego garnituru, które mimo że wyparowały, jak bez wątpienia ich właściciel, przypominały mu o czasach, kiedy człowiek nie górował nad naturą ani natura nad człowiekiem, lecz zawarli kompromis, dzięki któremu nawet najbardziej nieokrzesani – pod wpływem kultury i otoczenia – mogli z widocznym pożytkiem zastanowić się nad sobą? Jak inaczej mógłby wyjaśnić ich smutne, rozumne spojrzenia? William Johnson (był to oczywiście jeden z kilkunastu pseudonimów), kieszonkowiec, miał błysk w oku, który mówił, że spoglądał poprzez czas i rozumiał tych, którzy nadeszli po nim. Kiedy popioły czasu opadły, kieszonkowcy, naciągacze i złodzieje okazywali się niekiedy właścicielami cudownych, uduchowionych twarzy, którymi renesansowi malarze obdarzali świętych i anioły.

Peter Lake dziwnie poruszony ufnym, ojcowskim spojrzeniem Williama Johnsona miał już przewrócić stronę i spojrzeć na dużą fotografię siebie samego, ale został wyrwany z wygodnego łóżka przez Hardesty’ego Marrattę, który dobijał się do metalowych drzwi. Peter wypuścił z rąk „Police Gazette”, jakby to był miotający się kurczak, a ta wylądowała na brudnej podłodze jego zdjęciem do dołu. Przez czysty zbieg okoliczności mina złodzieja z galerii przestępców i mistrza mechaniki stojącego nieruchomo pomiędzy filarami nad niebem były dokładnie takie same.

Zatrzymano go bez stawiania zarzutów, gdy miał się włamać do drogiej restauracji Delmonico’s, co wymagało włożenia stroju wieczorowego, i policjanci trochę go poturbowali, bo wiedzieli, że muszą go wypuścić. Kiedy byli gotowi zrobić mu zdjęcie, po tym gdy poprawił swój poszarpany, elegancki kołnierzyk i resztki muszki, i odpowiednio go ustawili, usłyszał zza ściany krzyki kogoś umierającego w agonii. Chociaż Peter Lake często stykał się z takimi rzeczami, nigdy się na nie całkowicie nie uodpornił, fotografia uwieczniła więc współczujący wyraz twarzy człowieka, który próbuje przeszyć wzrokiem ścianę, za którą mordowany jest ktoś taki jak on. Był czujny, przełęczony, a mimo to sardonicznie opanowany, jak gdyby mówił: „No cóż, jeśli mam być następny, to niech tak będzie. Ale nie liczcie na to”. Tak właśnie wyglądał, kiedy Hardesty Marratta w sposób bezładny i niepoprawny raz za razem rzucał się na drzwi jak kozioł, który wychleptał kwartę mocnej herbaty.

Peter Lake zapomniał o drzwiach prowadzących na dach, był więc przekonany, że nie ma gdzie uciec. Najpierw zamarł, a po chwili wyrwał przełącznik zapalający i gaszący gwiazdy. Musiały zostać włączone na zawsze. Pozbawiony przewagi, jaką daje ciemność, wciąż dysponował możliwością zaskakiwania. „Może – pomyślał – jeśli otworzę drzwi, kiedy będzie na nie napierał, uderzy się o stalowy filar i straci przytomność. Nie, to nic nie da; ten ktoś ma twardą głowę. Pozwolę mu się trochę zmęczyć, a potem będę improwizował”.

Peter Lake wspiał się na dźwigar i przez pół godziny leżał częściowo ukryty w cieniu, podczas gdy Hardesty dalej taranował drzwi. Wraz z drzwiami przechodził katusze podczas tej wojny pozycyjnej, w której drzwi wygrałyby, gdyby nie to, że ich przeciwnik był przekonany, że jeśli przedostanie się na drugą stronę, dotknie istoty rzeczy. Przerwy pomiędzy uderzeniami

robiły się coraz dłuższe, ataki na drzwi wolniejsze i słabsze, a drzwi coraz bardziej przypominały obluźowany ząb przyjemnie bliski wypadnięciu.

W końcu Hardesty przebił się przez drzwi i wpadł do środka, zachwiał się, zatoczył i upadł na ziemię. Peter Lake czekał, aż do środka wpadną pozostali. Kiedy nikt się nie pojawił, zszedł na dół, zamknął drzwi i wciągnął Hardesty'ego na łóżko. Hardesty był mocno posiniaczony i ciężko dyszał. Chcąc mu pomóc, Peter sięgnął po puszkę, w której dziewięćdziesiąt lat temu był nowozelandzki gulasz jagnięcy, wypełnił ją ciepłą wodą i chlusnął Hardesty'emu w twarz.

Hardesty zaczął miotać się, jakby tonął, i otworzył oczy.

– Dlaczego się tu włamałeś? – zapytał Peter Lake.

– Zobaczyłem, jak patrzysz przez klapę. Chciałem się dowiedzieć, kim jesteś i jak się tu dostałeś.

– Z jakiego powodu spojrzales w górę? Nikt nigdy tego nie robi.

– Nie wiem. Kiedy zobaczyłem, że gwiazdy się świecą, nie mogłem odwrócić od nich wzroku.

– Nie ucieknie ci pociąg?

– Nie.

– Jak wszedłeś na górę? – zapytał Peter podejrzliwie. – Kumplujesz się z glinami?

– Wspiąłem się po bocznych ścianach, po jajownikach, girlandach i tych cholernych małych ząbkach.

Peter Lake popatrzył sceptycznie.

– Trudno mi w to uwierzyć. Jesteś alpinistą czy co?

– Tak się składa, że jestem – odparł Hardesty. – Przynajmniej byłem...

Urwał w pół zdania, odwrócił swoją pulsująca twarz i spojrzał na Petera Lake'a. Peter zrobił to samo (tyle że jego twarz nie pulsowała). Rozpoznali się, przypominając sobie wieczór w Petipas. Gardła im się zacisnęły i zaczęły się trząść tak jak wtedy, kiedy odkrywa się lub potwierdza, że wyższa celowa siła, cynicznie i nieprzekonująco markująca przypadek, istnieje.

– Kim jesteś? – zapytał Peter Lake.

– To nie ma znaczenia – odpowiedział Hardesty, kręcąc głową. – Kim ty jesteś?

Jackson Mead uwolnił wszelkie siły, jakie przygotowywał i przechowywał, w szalonym, druzgocącym spektaklu, który miał trwać nieprzerwanie przez dziesięć dni aż do początku nowego tysiąclecia, mimo że w reakcji na tęczyowy most w mieście wybuchły zamieszki i podkładano ogień.

Po wielu stuleciach doświadczenia w budowaniu dokładnie wiedział, jak należy to zrobić. Wierzył w prawo równości, które nakazywało zachowanie idealnej równowagi. Aby coś mogło wzejść, coś innego musiało upaść i nie istniała żadna wolna forma – każda miała swój cień i odpowiednik. Dlatego miał przeciwników. Szanował ich i nie pragnął przekonać ich do swoich racji, bo to oznaczałoby, że uważa, iż walczą bez powodu. Ich działania także były słuszne, a Jackson Mead równie dobrze mógłby opowiedzieć się po ich stronie. Nie zrobił tego jednak, bo jego zadaniem było dbanie o postęp, a żeby sprawy mogły iść do przodu, musiał walczyć. Często mawiał, że każdy budowniczy musi znać się na wojnie.

Od niemal stulecia przygotowywał działania, które miały zdobyć szturmem jego ostatnie dziesięć dni, z dwójką nietypowych generałów – Cecilem Mature'em i wielbnyim Mootfowlem. Mimo swoich dziwactw idealnie wypełniali obowiązki i byli z nim od niezliczonych lat, pozbawieni wieku i niestarzejący się, obdarzeni wyjątkową wiedzą, którą prostodusznie ukrywali – nie by oszukiwać innych, ale zgodnie z własnym temperamentem.

Zimowe przesilenie przywiodło do Sandy Hook armadę ogromnych statków, których sama duża liczba uspokoiła morze. Z ich pokładów rozpoczęto rozładunek maszyn i materiałów, jakiego wcześniej nikt nie widział. Setki helikopterów transportowych, pokrytych na całych stu stopach długości migającymi światłkami i niebieskimi sygnalizatorami, ryczały, lecąc po niebie i przenosząc w swoich wygiętych jak modliszki ciałach elementy wielokrotnie przekraczające ich wielkość i wagę.

Szum tych maszyn niósł się na odległość wielu mil. Kiedy nadlatywały, ziemia zaczynała się trząść i wszystkie żywe istoty zamierały od paraliżujących częstotliwości ich tajemniczych silników. Migające światła i fale ich sygnalizatorów były idealnie zsynchronizowane z rytmicznymi dźwiękami, tworząc skomplikowane harmonie i kontrapunkty. Mogły obrócić się pod każdym kątem i przybrać każdą pozycję. Były delikatne jak motyle i ogromne jak największe odrzutowce. Przecinając sobie drogi w nieustającym ruchu nad zatoką i nigdy się nie zderzając, kursowały wahadłowo pomiędzy statkami a placami budowy.

W burtach ogromnego statku Meada na Hudsonie otworzyły się ogromne luki. Zarówno z zamrożonej rzeki, jak i z brzegu widać było, że przepastne wnętrza podzielone jest na kilkanaście poziomów, oświetlonych z różnym natężeniem. Po tych piętrach, pod nagłąco rozmigotanymi światłami, pędziły z wielką prędkością i we wszelkich kierunkach małe pojazdy (samotnie lub ciągnąc kolumny przyczep). Z wielkiego hangaru w uderzająco precyzyjnych i częstych odstępach czasu wyłaniały się i odlatywały z wielką prędkością helikoptery transportowe; obroty ich śmigieł wprawiały powietrze w takich ruch, że śnieg i kryształki lodu unosiły się z powierzchni rzeki i wzbijały się w górę pod postacią chmur sięgających wysokim wieżowcom do pasa.

Ze statku wysunęły się przezroczyste, wysokie na dwadzieścia pięter, teleskopowe wieże. W dzień i w nocy kierowano działaniami poprzez sygnały z przytłumionego światła w kolorze brązu, które imitowało nieustające – nie marcowe, a sierpniowe – dzienne światło. Place budowy pozbyły się płotów i zagrożeń, odsłaniając pół setki przypominających fortece reduct z gładkiego betonu, głęboko wkopanego w ziemię. Nad ich górnymi krawędziami ustawiono rozmaite maszyny, które nigdy nie dotarły do zatoki, lecz rozładowywano je ze statku i z pociągów w powietrzu, a potem wagon po wagonie podnoszono z torów i przenoszono gdzie indziej, żeby można było rozładować kolejny transport bez żadnego przestoju.

Na fundamentach ustawiano kanciaste podbudówki, wielkie pudła i eleganckie rusztowania podtrzymujące ich ciężar. Niebo było pełne helikopterów holujących wielokolorowe silniki, ogromne konstrukcje z połyskującego silikonu, okrągłe skupiska ognia, wyglądające jak małe słońca, stare i tajemnicze przyrządy przypominające raczej ogromne soczewki Priestleya lub teleskopy Herschela niż coś współczesnego, pulsujące spirale kryształów, czyli lodowe bliźniaki małych słońc, oraz wiotkie siatki kabli i obwodów, przez które dźwigi wyglądały jak meduzy dryfujące w powietrzu nad portem.

Ilekoć zdumieni mieszkańcy myśleli, że już mogą odetchnąć, ze statku zwożono kolejną niesłychaną i wyjątkową konstrukcję, ruch pojazdów się podwajał, a intensywność dźwięków wzmagala. Strategia Jacksona Meada polegała na tym, aby kolejna godzina była bardziej ekscytująca niż poprzednia. Chciał wytrącać ludzi z równowagi, szokować ich, dezorientować, wdrzeć się w ich zmysły, oślepić ich jaskrawymi światłami i godzić w nich coraz mocniej, tak by opozycja została ubezwłasnowolniona, a most się przyjął. Ostatecznie bowiem, mimo potęgi i planów, była to delikatna i krucha konstrukcja, zależna od okoliczności, o które Jackson Mead mógł się tylko modlić.

Virginia siedziała na brzegu łóżka Abby i patrzyła na światła blednące w gęstej, łagodnej

śnieżycy. Godzina, w której zapalone światła dodawały wieczorowi nadziei i energii, mijała w spokoju i ciszy. Odkąd Abby karmiono dożylnie, nikt obok niej nie czekał nawet na dwuznaczne pocieszenie w postaci szpitalnego posiłku, podawanego na niezgrabnych talerzach przypominających gigantyczne pięciocentówki.

Hardesty'ego nie było już od ponad tygodnia. Nawet gdyby przez tysiąc lat pograżał się w cierpieniu i prowadził przemyślane poszukiwania, nie mógłby ocalić swego umierającego dziecka, a co dopiero mówić o kilku dniach. Nic z tego, co zobaczył lub sobie wyobraził, nie mogło zbawić Abby. Dzieci też umierały. Były czasy, nie tak znów odległe, kiedy śmierć spotykała je częściej niż ludzi starszych. Virginia, choć nie umiała sobie tego wytłumaczyć, była przekonana, że pamięta zbiorową mogiłę, przy której w padającym śniegu leżało przynajmniej pięćdziesiąt trumienek czekających na pochówek, a grabarze spieszyli się, by zdążyć przed zmrokiem. Ponieważ nigdy nie miała przed oczami takiego obrazu ani nie widziała czegoś choćby mgliście podobnego, zastanawiała się, jak to możliwe, że ten obraz tak mocno utkwiał w jej pamięci. Pomyślała, że być może w ciężkich chwilach przeszłość i przyszłość z większą łatwością wylaniają się z cienia. W wiecznej galerii nieskończonych obrazów wszystkie zdarzenia są zawsze dostępne i nic nigdy nie przepada. Grabarze na cmentarzu spieszą się, by wygrać z ciemnością, mieli się tak spieszyć już po wsze czasy.

Śniła swój wieczorny sen. Gdy nagle uderzył piorun, stała po kostki w świeżym śniegu. Obok przejechał ciągnięty przez czarnego konia czarny powóz na czterech doskonałych, hipnotycznie czarnych kołach. Ponieważ nie wiedziała, gdzie jest, odwróciła się, by zobaczyć, co jest za nią, i choć żelazne bramy, drzewa i lampy były szare od śniegu, powoli przeniosła się w letni krajobraz i zobaczyła, jak idzie z wózkiem nad jeziorem. Była w parku, a wzdłuż brzegu ciągnął się brukowany bulwar z ławeczkami. Drzewa po drugiej stronie jeziora odbijały się w wodzie, mgliste i rozmyte: miasto pełne było ciemnych lasów. Nachyliła się nad wózkiem, żeby spojrzeć na dziecko, ale gondola była pusta, bo dziecko zostało porwane przez jezioro i było teraz gdzieś pod wodą. Nagle letnie popołudnie zmieniło się w mrok i Virginia spostrzegła, że stoi w ciemnym korytarzu. Zniszczona boazeria połyskiwała w słabym świetle. Podłoga zasypana była gruzem. Gdy jej oczy przyzwyczyły się do półmroku, zobaczyła dziecko w staromodnej koszuli nocnej stojące przy poręczy schodów. Dziewczynka nie miała włosów, zagryzała piąstkę i wstrząsały ją dziwne konwulsje. Umierała, była całkowicie sama i ledwo stała na nóżkach. Virginia wyciągnęła ręce, żeby ją przytulić, ale nie mogła się ruszyć, bo była przywiązana do balustrady. Mówiła coś ochryłym głosem, ale dziewczynka jej nie słyszała i nadal kołysała się w przód i w tył, jakby nie wiedziała, że jednym z przywilejów chorych i umierających jest prawo, by się położyć. Virginia próbowała wyrwać się z uwięzi i płakała, że nie może się ruszyć.

– Obudź się, obudź się – powiedziała pani Gamely, potrząsając córką. – Coś ci się śni. Obudź się.

Virginia usiadła gwałtownie, prostując się, podczas gdy pani Gamely zapaliła światło.

– Jak się miewa? – zapytała babcia dziewczynki.

Spoglądając na Abby owiniętą płataniną rurek i kabli, Virginia odpowiedziała, że bez zmian.

– Myślę, że gdy wieczorem przyjdzie lekarka, powinniśmy pójść na spacer i złapać trochę powietrza. Od tygodnia nie byłaś na zewnątrz.

– A gdzie ty byłaś? – zapytała Virginia, bo policzki jej matki były czerwieńsze niż najdojrzałe jabłko znad Coheeries.

– Byłam na wykładzie, kochanie. Tylko się nie denerwuj. Wygłaszał go ten człowiek,

którego tak nie znosisz, pan Binky. Nawet go polubiłam, choć jego słownictwo wymaga naprawdę ogromnej pracy. W poruszający sposób opowiadał o swoim praprapradziadku Luckym Binkym, który zatonął na Titanicu. Nawet się wzruszyłam, kiedy pan Binky ciągle nazywał Titanica Gigantykiem.

Pani Gamely nie wiedziała, że w trakcie wykładu Craig Binky ani na chwilę nie spuścił z niej oka i po jego zakończeniu kazał Alertu i Scroutu ją odnaleźć. Zaczęli więc szukać w całym mieście tej kluskowatej, siwej kobiety o niewyróżniającej się sylwetce, którą Craig Binkey określił jedynie jako „tę Serafinę, tę śliczną, tę białą różę!”.

Virginia spojrzała na matkę z niedowierzaniem. Jak mogła opuścić łóżko Abby, żeby pójść na wykład, i to w dodatku Craiga Binky’ego! Pani Gamely jednak uważała, że to w pełni stosowne, ponieważ w przeciwieństwie do swojej córki, lekarzy i innych ekspertów czuła, że choć dziecko jest w bardzo ciężkim stanie, do wyzdrowienia potrzebuje tylko odpowiedniego kompresu. Na wszelki wypadek zawsze miała przy go sobie. Za każdym razem jednak, gdy sugerowała przyłożyć kompres, wszyscy na nią krzyczeli, jakby była idiotką. Bardzo ją to zniechęciło i w jej odczuciu dziecko cierpiało przez lekarzy, którzy zbyt wielką wiarę pokładali w dziwnych i głupich lekach, które nie działały. Chciała unieważnić ich starania. Mogła tego dokonać, ponieważ pośród wielu bibelotów w jej dywanowej torbie (takich jak żywy, choć senny kogut) znajdowało się bardzo przydatne narzędzie o ogromnej sile przekonywania, zwane dubeltówką. Nie była jednak już tak pewna siebie, jak kiedyś. To nie było Coheeries. Pozwoliła im więc działać po swojemu i choć nosiła ze sobą kompres, nie ośmieliła się go użyć. A co by było, gdyby dziecko jeszcze bardziej się od niego rozchorowało?

Tego wieczoru lekarka się spóźniła, ale po badaniu pani Gamely i Virginia wyszły na zewnątrz, na śnieg, zostawiając Abby pod okiem pielęgniarki.

– Dokąd chciałybyś pójść? – zapytała Virginia.

– Wszystko jedno – odpowiedziała matka. – Spójrz tylko na siebie. Cała drzysz. Musisz się przejść i nabrać trochę sił.

Chodziły godzinami po wijących się uliczkach, okrążając ogołocone i posępne budynki z poddaszami, które, przyprószone śniegiem, wyglądały jak ciasteczka posypane cukrem pudrem. Virginia zaczęła opowiadać pani Gamely swój sen.

– Czy dziecko uniosło się nad jeziorem i zaczęło klaskać? – przerwała jej pani Gamely z nagłym zaniepokojeniem.

– Nie, dziecko w ogóle nie wydostało się z jeziora. Ale zobaczyłam ją później, kiedy była starsza, w korytarzu jakiejś kamienicy – wyjaśniła Virginia, po czym opowiedziała resztę snu. – Myślę, że to oczywiste – podsumowała.

– Uważasz, że dziewczynką we śnie była Abby i że to wszystko śniło ci się z powodu lęku.

– A co innego mogłoby to oznaczać?

– To może nie oznaczać niczego i być wartością samą w sobie. Sen to nie wytrych do tego świata, lecz brama do następnego. Przyjmij go taki, jaki jest.

– A co mam niby z nim zrobić?

– Nic. To jak z pięknym przedmiotem. Nie trzeba z nim nic robić.

– Och, mam – powiedziała Virginia prawie we łzach. – Abby umrze, a ty i Hardesty tylko płaczecie się po mieście i wygłaszacie mowy jak jacyś mistycy czy komiwojażerowie. Zwykle nie mam pojęcia, o co wam chodzi, a Abby nie da to najmniejszej korzyści.

– Virginio – powiedziała pani Gamely, próbując przytulić córkę.

– Nie! – zareagowała.

Stara kobieta wzięła córkę pod rękę i zaczęły iść razem przez śnieg, kierując się z powrotem w stronę szpitala. Szły w ciszy, nie słysząc niczego poza wiatrem i dzwonem kościelnym, który wybijał pełne godziny i kwadranse. Mimo mgły i mrozu było im ciepło i sucho.

Na małym placyku w Chelsea dostrzegły pomnik żołnierza z pierwszej wojny światowej. Był zasypany śniegiem i niemal zniknął w białych chmurach mgły i zadymki, która wyła ulicami i wzniewała wiry na placach. Kobiety zatrzymały się, żeby przeczytać podpis na cokole, który głosił: „Dla żołnierzy i marynarzy z Chelsea”.

– Pamiętasz ten pomnik, Virginio? – zapytała pani Gamely.

– Nie – odparła Virginia nieco przepraszająco.

– Gdy byłaś mała, Virginio, przyjechałyśmy do miasta po ojca. Akurat skończyła się wojna. Nie pamiętasz?

– Nie, nic a nic.

– Bardzo ciężko było nam się tu dostać, ale w końcu się udało i czekałyśmy kilka miesięcy, podczas gdy napływały transportowce. Wielu mężczyzn zginęło, ale ich rodziny otrzymały telegramy. Chociaż nie miałyśmy żadnych wieści, założyłyśmy, że Theodorowi nic się nie stało, bo złe wiadomości też nie napłynęły. W trakcie tego oczekiwania mieszkaliśmy na West Side, na obrzeżach Chelsea, w pobliżu rzeki. Czasem przychodziłyśmy do tego parku. Mówiłaś innym dzieciom, że ten żołnierz to twój tatuś. Ale twój tatuś nigdy nie wrócił. Został zabity wiele miesięcy wcześniej, tylko nigdy nie dotarł do nas telegram.

– Jak się dowiedziałas? – zapytała Virginia.

– Kiedy wrócił jego oddział i miał zejść na brzeg, pojechałyśmy na wyspę Black Tom. Byłaś bardzo podekscytowana. Ubrałam cię ładnie, miałaś też mały bukiet kwiatów, który nosiłaś ze sobą cały dzień, nawet gdy już wszystkiego się dowiedziałas. Nie chciałaś ich wypuścić. Zabrałam je dopiero, kiedy zasnąłaś wieczorem. To Harry Penn nam powiedział.

– Harry Penn?

– Był dowódcą regimentu ojca. Wszyscy mężczyźni znad jeziora Coheeries walczyli razem. Doprowadziłaś go do łez. Nie pamiętasz tego?

– Ależ skąd – odpowiedziała Virginia, kręcąc głową.

– Nigdy o tym nie wspomniał? Znasz go przecież od lat.

– Nie jest w stanie zwolnić mnie z pracy, bez względu na to, co robię. Chyba w ten sposób nawiązuje do tamtego zdarzenia.

– Bardzo go wtedy wzruszyłaś. Byłaś taka podekscytowana i szczęśliwa, a on był zmuszony ci powiedzieć, że twój ojciec nie żyje. Serce mu pękało. To stało się wczesnym latem. Tego samego dnia się rozchorowałaś i aż do nadejścia zimy miałaś gorączkę. Próbowalaś dołączyć do ojca. Też bym to zrobiła, ale musiałam się tobą opiekować.

– Jeśli to dlatego Harry Penn nigdy nie zwrócił się przeciwko mnie, to co dobrego z tego wynikło? – zapytała Virginia.

– Jeśli przez cały ten czas nie znałaś nawet jego intencji, to dlaczego miałabyś poznać skutki? Dobry uczynek jest jak szarańcza: śpi, aż coś go przywoła. Nikt nigdy nie powiedział, że dożyjesz wszystkich konsekwencji tego, co zrobiłaś, albo że masz jakiegokolwiek gwarancje, albo że nie będziesz błądzić w ciemności, albo że na wszystko dostaniesz dowody i potwierdzenia jak w nauce. Nie ma takich rzeczy, a jeśli tak, to niewiele są warte. Nie wychowałam cię po to, żebyś poruszała się tylko po pewnym gruncie. Nie nauczyłam cię myśleć, że wszystko musisz mieć pod kontrolą albo że musisz wszystko rozumieć, prawda? Bo jeśli tak zrobiłam, było to niewłaściwe. Jeśli nie zaryzykujesz, to siły, którym zaprzeczasz, bo nie możesz ich wyjaśnić...

jak to powiedzieć?... wystrychną cię na dudka.

– Już mnie wystrychnęły.

– No dobrze, Virginio – powiedziała pani Gamely. – Poniosłaś małą porażkę, ale nadal żyjesz. Być może nie znajdziesz sposobu na to, by ocalić swoje dziecko, ale musisz spróbować. Jesteś jej to winna. Jej i innym.

Śnieg padał teraz zaciekle, sycząc delikatnie tak jak wtedy, kiedy rozpada się na dobre, a matka i córka przytuliły się.

MIASTO W PŁOMIENIACH

Z początku nawet straż pożarna i policja nie zorientowały się, że coś jest nie tak. Turyści na tarasach widokowych wysokich na milę wież dostrzegli w bezkresnej dali słupy ognia. Jednak zwyczajem wszystkich odwiedzających wysoko położone miejsca założyli, że na dole wszystko jest pod kontrolą.

Słupów ognia, które unosiły się nad dzielnicą nędzy, nie zauważyli jednak funkcjonariusze i urzędnicy, którzy nieprzytomnie jak po wylewie skupieni byli na przedziwnych działaniach Jacksona Meada. W dzielnicy nędzy pożary nie były rzeczą niespotykaną. Przez okrągły rok ogień rozniecał się tam samoczynnie i sam się wypalał. Tym razem jednak płomienie były wyższe niż zwykle i pojawiły się w większej liczbie miejsc. Podczas gdy reszta Nowego Jorku chowała się przed mrozem w ciepłych domach, gdzie dzieci się bawiły, a zmęczone zimą psy przysypiały przy rozpalonych kominkach, na ulice dzielnicy nędzy wyszła armia.

Dwa dni po Bożym Narodzeniu młodzi mężczyźni i młode kobiety tańczyli w hotelu Plaza, nad portem ryczały silniki transportowych samolotów, mosty do Brooklynu i Queens płonęły od świateł przejeżdżających wieczorem aut, a fabryki powróciły do swojej rytmicznej pracy. Prawnicy, którzy nigdy nie śpią, przyswajali sobie mnóstwo faktów i przepisów i sypali argumentami dwadzieścia cztery godziny na dobę. Głęboko pod ziemią mechanicy walczyli z rurami i kablami, żeby miasto nad nimi było oświetlone i ciepłe. Poruszali się z niezmordowaną determinacją załogi czołgu w środku bitwy, z wysiłkiem obracając kluczami francuskimi o długości dziesięciu stóp, walcząc z wybuchami i pożarami, kopiąc jak szaleńcy, prowadząc brygady i bataliony przez ciemne tunele z lampkami górniczymi na kaskach, oświetlającymi ich brudne, beczasowe twarze. Policja zwalczała śmiertelne starcia podczas różnych zajęć w całym mieście, maklerzy trzymali w dłoniach po sześć słuchawek telefonów, a uczeni, choć wszyscy w tej samej czytelnicy, przebywali w tysiącach najróżniejszych miejsc, bo każdy z nich zanurzony był w swojej książce, skąpani w jasnym, równomiernym świetle lamp. I trwały tańce w Plazie – kobiety były w białych albo łososiowych sukniach, a mężczyźni w bieli, czerni i w smokingach. Łysiejący skrzypkowie o wąsach cienkich jak ołówki i niebywale rozpustnych twarzach wypełniali muzyką salę wspartą na marmurowych kolumnach. Z filarów i sufitu gęsto zwisały serpenty i różowo-złote chorągiewki, dzięki którym tancerze promienieli letnią poświatą. Na oparciach krzeseł leżały futra z bobrów, norek i innych zwierząt, które – jakby pamiętały zimę – były chłodne w dotyku. Na zewnątrz przejeżdżały powozy, a ścierające się ze sobą północne wiatry potrzasały soplami na drzewach jak kryształowymi dzwonekami. Blichtr i dostojne ruchy, zdrowie i taniec, czysta radość wkrótce miały dobiec końca.

Gdzieś w dzielnicy nędzy, gdzie drogi i ulice zatarły się i została po nich tylko łąka w herbacianym kolorze usiana dziurami i nędznymi chałupami, mieszkał staruszek z żoną, którzy przez lata zarabiali na życie prowadzeniem małego sklepiku. Jego drewniane półki były niemal puste, ale od czasu do czasu udawało im się zdobyć kilka worków ryżu i cukru, parę butelek po napojach wypełnionych naftą, używanych artykułów domowych oraz kilka pomarszczonych i zniekształconych warzyw. Jedyne pomieszczenie oświetlała lampa opalana łożem wołowym i olejami odpadowymi. Kiedy tej zimy zrobiło się bardzo zimno, staruszek i staruszka włożyli na siebie wszystkie swoje ubrania i schowali się na zapleczu za zasłoną skleconą z workowego płótna. Od czasu do czasu mężczyzna wychodził na zewnątrz w poszukiwaniu kawałków drewna, które potem palił w puszcze po kawie. Byli zbyt zmarznięci,

by się trząść, usta mieli sine i starali się nie ruszać, żeby nie urazić mrozu, mając nadzieję, że może daruje im życie. Choć mroźne zaklęcie miało ustąpić długo po ich śmierci, nie umarli z zimna. Umarli z gorąca.

W apogeum tańców w hotelu Plaza, gdy kobiety w sukniach na ramiączkach tańczyły walca w zmysłowym unisono, staruszek i staruszka usłyszeli, że zaczyna się coś, co brzmi trochę jak fale, a trochę jak pożar.

Słyszeli wiatr i ludzi, którzy biegli długimi susami jak zwierzęta uciekające z płonącego lasu. Potem nadciągnęli maruderzy. Ktoś zaczął dobijać się do drzwi sklepu. Staruszek przełknął ślinę, zbyt przestraszony, by się poruszyć. Żona spojrzała na niego i rozplakała się. Pojedyncze łzy spływały regularnie po jej twarzy. Zanim zdążyły skapnąć jej na sukienkę, ktoś wyważył wejściowe drzwi. Z hukiem padły na podłogę. W mgnieniu oka do środka wpadło pięćdziesiąt osób. Cała zawartość półek natychmiast zniknęła, po czym i one zostały zdarte ze ścian. Wszystko co stało, zostało skopane i przewrócone. Skrzynki i pudełka uderzały o sufit i odbijały się od ścian, zapalone pochodnie ocierały się o deski i kiedy rudera zaczynała płonąć, a tłum przystępował do odwrotu, ktoś zerwał zasłonę z płótna. Sześciu mężczyzn poczuło się obrażonych tym, że sklepikarze ośmielili się pozostać po drugiej stronie, więc ich podpaliło.

Ich ubrania spłonęły od razu, a po chwili i oni zaczęli palić się jak łój. Kiedy wszystko zajęło się ogniem, posępne wnętrza stało się jak piec ze złotem i srebrem. Pod odkształcającymi się belkami dachu bańka złotego ognia wysklepiała się jak kopuła jaskini. Z oddali wyglądała jak mały wirujący słup, który przewierca się przez dach i tańczy przez kilka sekund na łożu z iskier.

Na całej pograżonej w ciemności przestrzeni, która mrokiem potwierdzała swoją biedę, tliły się małe słupy ognia. Czasem łączyły się ze sobą w burze ogniowe, które wirowały jak zraszacze, badając każdy fragment terenu i przemierzając go tam i z powrotem w poszukiwaniu drewna, obumarłych drzew i nasączonej ropą ziemi na brzegach stojących strumyków i brudnych kanałów.

Jackson Mead siedział w całkowitej ciszy w ciemnym pokoju i patrzył na port. W końcu na punkt obserwacyjny wybrał trzynaste piętro średniej wysokości budynku, mimo że mógł ulokować się wiele pięter wyżej. W obliczu tego, czego miał być świadkiem, nie było jednak większej różnicy, czy był nad ziemią trzydzieści pięter, czy dziesięć mil. Ta perspektywa – ani za nisko, ani za wysoko – najbardziej mu odpowiadała, ponieważ, jak miał zwyczaj zagadkowo oświadczać: „Wszystkim epokom najłatwiej jest przejść przez środkowe drzwi”. Nawet Mootfowl i pan Cecil Wooley nie wiedzieli dokładnie, co miał na myśli, wiedzieli za to, że wszystko, co robił, było podporządkowane jego głównemu celowi. Decyzja o środkowym piętrze musiała więc dojrzewać przez wiele tysięcy lat, a jej źródłem było zapewne jakieś wspaniałe wydarzenie, kiedy coś ogromnego, zepsutego i oplecionego płomieniami leciało po niebie, wyrzucone z miejsca tak jasnego, że w porównaniu z nim słońce wydawało się czarne jak smoła.

Nie musiał już kontrolować maszyny, którą stworzył, a jedynie ją obserwować. Pod nim rozrastał się zapierający dech w piersiach porządek dowodzenia. Tysiąc dyrektorów wpatrywało się w tysiąc potężnych ekranów. Te znowu kontrolowane były przez wyższych kontrolerów, którzy mieli z kolei swoich kapitanów, a ci kapitanów kapitanów. W dwudziestu podziemnych pomieszczeniach i na kryształowych wieżach na statkach pracowano w maksymalnym tempie. Z najwyższą starannością przygotowano teren.

W ciszy i spokoju dokładnie strzeżonego schronienia Jackson Mead patrzył, jak wypełnia się jego plan. Cecil Mature i Mootfowl podchodzili czasem do niego po cichu i wypowiadali kilka słów. Przez większość czasu jednak obserwował swoje samoloty i statki, które z szybkością maszynowych wystrzałów walczyły z portem skutym lodem o to, by budować.

Mootfowl podszedł do Jacksona Meada, który patrzył przez lekko przyciemnione, szklane ściany na zewnętrzne światła splatające się to w jedną, to w drugą stronę.

– Miasto zaczyna płonąć – powiedział cicho Mootfowl. – Rozpoczął się bunt.

– Gdzie? – zapytał z całkowitym spokojem.

– Na obrzeżach dzielnicy nędzy, pięćdziesiąt mil stąd. Prawdopodobnie teraz linia pięćdziesięciu mil została już przekroczona.

– Czy są tam burze ogniowe?

– Tak, małe i rozproszone w różnych miejscach. Ze szczytu najwyższej wieży ich zewnętrzny pas wygląda jak płonące ściernisko, jak przemieszczający się powoli pożar łąki.

– Za kilka dni – powiedział Jackson Mead – za tymi oknami będą stały słupy ognia sięgające aż do chmur, a niebo czarne od dymu będzie ciężkie jak sklepiony sufit.

– Mam powiadomić nowego burmistrza?

– A on nie wie?

– Z tego co wiem, nie.

– Nie. Niech sam się dowie.

– Jeśli powiadomimy go teraz, być może będzie w stanie to powstrzymać.

Powoli kręcąc głową, Jackson Mead odwrócił się do swojego podwładnego.

– Doktorze Mootfowl – powiedział – wcześniej za każdym razem ponosiliśmy klęskę, mimo że byliśmy już blisko, wcale nie dlatego że nie byliśmy wystarczająco przygotowani. Nie sprzyjały nam okoliczności.

– Słucham?

– To prawda, że modlitwy o łaskę, które wspaniale wznosisz, Wielebny, kumulują się, ale jeszcze nie przyniosły nam sukcesu. Nasz most jest już gotowy, by powstać. Jeśli jednak coś nas nie zbliży do przeciwległego brzegu, nie mamy najmniejszych szans.

– Stąd pożar?

– Nie on sam, ale to, co mu będzie towarzyszyć. Wysoka energia i rozproszenie, oddzielenie światła i ognia oraz skrajności, do których to wszystko doprowadza ludzką duszę, przyćmiewają nasze maszyny mimo ich piękna. Miasto spłonie, ponieważ jego czas się skończył. Wszystko na tym świecie, Mootfowl, sprowadza się do miłości i walki, które, kiedy są dość żarliwe, by płonąć, mają siłę, by łączyć i wznosić. W chwili gdy pożary wprowadzą ludzkie dusze w stan najwyższej łaski, przerzucimy nasz most. Niezależnie od naszych umiejętności, mój przyjacielu, nie schwytemy konia, który biega po łące, jeśli nie podejdziesz bliżej.

– Rozumiem – odparł Mootfowl.

Z cienia wyłonił się Cecil Mature.

– Ogień znajduje się już w promieniu niespełna trzydziestu mil – poinformował. – Nie da się oszacować, jak bardzo przyspiesza.

– A co z Peterem Lakiem? – zapytał Jackson Mead, po raz pierwszy odwracając wzrok od panoramy miasta.

Cecil pokręcił głową i przymknął swoje wąskie oczy. Prychnął, a potem kichnął.

– Ani śladu – odpowiedział.

Abby leżała nieruchomo tak długo, że o tym, iż nie żyje, jej matka zorientowała się dopiero wówczas, gdy na monitorze pojawiła się prosta linia, która wywołała alarmowe dźwięki, przywołując do sali pielęgniarki i lekarzy. Mimo wszystkich ich starań i mimo uruchomienia maszyn, które wciągnęli do środka na toczących się po cichu wózeckach, Abby Marratty nie dało się uratować. Być może miała już dość maszyn, po tym jak długo była podpięta do jednej z nich.

Elektroniczny pisk monitora pokazującego stan czynności życiowych wydał się Virginii muzyką obwieszczającą koniec świata. Słyszała ją, nawet kiedy już został wyłączony, zabrano maszyny, a jej córkę nakryto prześcieradłem.

Pani Gamely spuściła głowę i zaczęła płakać. Nie chciała uwierzyć, że małe dziecko, które przeżyło tylko kilka lat, umarło przed nią. Nie było to zgodne z jej wizją przyszłości, która – była tego pewna – należała do jej wnuczki.

Virginia oddychała z trudem. Nie mogła sobie wyobrazić, że kiedykolwiek nastanie dla niej czas wolny od żalu i przerażenia. Wpatrywała się w prześcieradło naciągnięte na twarz Abby, starając się dostrzec jakiś sens w splocie włókien, ale tkanina nie powiedziała jej niczego. Mijały sekundy, długie minuty i godziny w zastygłej ciszy, podczas których nic się nie działo i nie było żadnego odkupienia, żadnego wzejścia, żadnego cudu.

I wtedy przed jej oczami pojawił się wyraźny, jasny obraz. Zawstydziała się, że zobaczyła coś o tak żywych barwach, skoro cały jej świat powinien pozostać nieodwracalnie szary. Wizja ta była jak śmiech w kościele podczas głębokiego i trudnego kazania. We śnie na jawie, który przeniósł ją w inne czasy, zobaczyła coś pięknego i płochego.

Była pełnia wspaniałego lata. Nad portem wisiała tak gęsta i gorąca mgła, że pograżała wszystko w sepii i czerni. Coś białego jednak jaśniało, przez kontrast, z niespotykaną siłą i wydawało się unosić delikatnie w słonecznym odurzeniu. Z mgły wyłonił się prom z wysokim czarnym kominem, który zbliżał się coraz bardziej do pobielonych wapnem polderów na nabrzeżu przy Battery. Virginia patrzyła z niedowierzaniem. To nie był sen. Niczego w życiu nie czuła intensywniej. Po pozycji słońca i po upale rozpoznała, że to lipiec – dziewięćdziesiąt lub sto lat wcześniej, sądząc po połysku i konstrukcji promu i przepływających obok lichtugach, tak różnych od pokierszowanych muzealnych eksponatów, które teraz trudem snuły się w porcie po wodzie, kiedy nie była zamrznięta. Pasażerowie promu stali na pokładzie, czekając na zejście w dawno miniony lipcowy poranek i cicho obserwując, jak statek przybija do kei, jak gdyby sami stali za sterami. Tuziny obrębionych ząbkami białych parasolek, lekkich jak szybujące dmuchawce, kręciły się niecierpliwie, lekko chłodząc powietrze. Mężczyźni bez marynarek jaśnieli w swoich białych, starannie wyprasowanych koszulach jak białe latarnie. Z pogardą patrzyli z pomostu na sterówkę, jak gdyby chcieli skrytykować niezbyt precyzyjne podejście do brzegu. Wtedy jednak prom wpłynął na pochylnię i uderzył o brzeg. Silniki ucichły, a z rur zęzowych wystrzeliły wodospady wody, jakby prom odetchnął z ulgą. Kraty przypominające wysięgniki lusterek do golenia zostały zsunięte, tworząc metalowe panele, a ludzie wylegli ze środka, omijając Virginie, której wzrok powędrował na tył tłumu, ku młodej kobiecie, której nie znała ani nie potrafiła rozpoznać. Mimo to poszła po rampie i przez terminal promowy za wiotką, śliczną dziewczyną, która nie mogła mieć więcej niż piętnaście czy szesnaście lat.

Już sama jej obecność bardzo poruszała i uszczęśliwiała Virginie. Dziewczyna przeszła jednak między żelaznymi bramkami, których Virginia nie mogła przekroczyć, i zniknęła w ciemnych, strzelistych kanionach brzęczących od lata, jak gdyby samo światło było rojem wiecznie niezadowolonych końskich much. Kiedy zniknęła, Virginia miała ochotę paść na kolana i zalać się łzami, bo dopóki dziewczyna była w zasięgu jej wzroku, a biała bluzka była tańczącą, nierealną okruszyną, Virginia czuła dobrodziejstwo i wdzięczność.

Ale widok małej postaci pod całunem sprawił, że poczuła straszliwe rozgorzyczenie. Nie mogła znieść sprzeczności pomiędzy silnym, pocieszającym obrazem, który tak wyraźnie widziała w myślach, a tym, że Abby leżała martwa. Potrzebowała Hardesty'ego. Gdzie, na miłość boską, podziewał się Hardesty?

– Wiesz – powiedział Hardesty pomiędzy haustami zawilgoconego powietrza, kiedy wraz

z Peterem Lakiem biegli przez ciemny tunel metra – kiedy kupujesz żeton, uprawnia cię on do czegoś więcej niż bieganie po torach.

– Wiem – odparł Peter Lake, biegnąc bez wysiłku, podczas gdy Hardesty, tuż za nim, ledwie był w stanie nadążyć.

– Więc po co to robimy?

– Nie widziałeś ich?

– Kogo?

– Tych w czarnych płaszczach!

Hardesty sapał. Trudno było rozmawiać z mechanikiem, który musiał być też biegaczem olimpijskim, bo mknął po podkładach kolejowych bez najmniejszego wysiłku, zwalniając tylko ze względu na towarzysza.

– Tych niskich? – zapytał Hardesty.

– Tak, tych, którzy mordują, rabują i podpalają. Są tuż za nami.

Zatrzymali się. Po kilku głębokich oddechach Hardesty usłyszał coś, co brzmiało jak uderzenie setek szcurzych łap. Potem dostrzegł falujący, podrygujący ruch różnorodnych kroków Krótkich Ogonów. Gangsterzy podskakiwali, zasłaniając i tak już przytłumione światło w tunelu.

– Zawsze i wszędzie jest ich pełno – powiedział Peter Lake – choć czasem zdają się znikać. Cieszę się, że istnieją. Kiedy mnie gonią, robię rzeczy, o których nie pomyślałbym nawet, że są w zasięgu moich możliwości.

– Widziałem ich nad jeziorem Coheeries – powiedział Hardesty. – Nie wiedziałem, że tu są, ale powinienem był się domyślić, bo sprawiali wrażenie, jakby ruszali po zemstę, a ludzie najczęściej mszczą się w Nowym Jorku.

– Jezioro Coheeries – powtórzył za nim Peter. – Brzmi znajomo, ale nie wiem, dlaczego.

– Pennowie mają tam letni dom.

Peter Lake nie odpowiedział.

– Harry Penn – dodał Hardesty. – Nasz pracodawca.

– Nigdy go nie poznałem – odparł Peter Lake z opryskliwością, która go zdziwiła.

Kiedy dobiegli do stacji na Thirty-third Street, wyskoczyli na peron, zaskakując czekających na pociąg pasażerów metra. Ludzie na peronie osłupieli do reszty, kiedy zaraz za nimi wyskoczyła ponad setka Krótkich Ogonów wydających odgłosy przypominające ptasie jazgoty i skrzeczenie, istna rzeka tanich garniturów rodem z dziewiętnastego wieku, zdewastowanych przez krawców, siły tarcia i upływ czasu. Gangsterzy mieli noże o miedzianych rękojeściach, wykładanych macicą perłową, i pistolety z wygrawerowanymi wizerunkami nagich kobiet, podobnymi do tych, które można spotkać nad niektórymi barami.

Hardesty i Peter Lake uciekli przez Gramercy Park, nie otwierając nawet bramy – po prostu jakby zniknęła, gdy znaleźli się w środku, i pojawiła się znowu, gdy wbiegły za nimi Krótkie Ogony. Uwięzieni jak zgraja spoconych łasic gangsterzy nie mogli otworzyć zamka od środka i klnąc na czym świat stoi, próbowali przeleźć przez ogrodzenie, lecz część z nich pozahaczała się na prętach i wisiała bezradnie na szelkach. Wielu przecisnęło się przez płot lub bramę i kontynuowało pościg przez Madison Square, unowocześniony i odnowiony z myślą o siedzibach dużych firm i przez to wyglądający jarmarcznie. Gnali pod starymi, miedzianymi pasażami o pomalowanych na biało poręczach, błyszczących w oparach rtęci jak księżyce z blachy; mijali wielkie stare zegary, przyozdobione czerwono-białymi, skrzącymi się jagodami w miejscu godzin. Hardesty rozgrzał się w końcu i podązał za Peterem Lakiem długimi, sprężystymi susami.

Postanowili pozbyć się Krótkich Ogonów, biegnąc krętą trasą przez Village. Zastawali ich jednak, gdziekolwiek skręcali, gangsterzy byli wszędzie jak rozrzedzony drażniący dym, który zanieczyszcza niebo i zasłania odleglejsze widoki na końcach ulic. Czujki Krótkich Ogonów zwoływały innych i pogoń za lisem zaczynała się od nowa – bez odgłosów rogów i czerwonych jeździeckich kurtek, a przy zawodzeniu i gardłowych bulgotach, krzykach wysokich jak po wdychaniu helu, diabelnych wrzaskach i westchnieniach karłów.

Peter Lake wpadł na pewien pomysł.

– Słuchaj – powiedział. – Oni są wszędzie i będą pojawiać się w każdym miejscu. Przyznaję, potrafią być przerażający. Ale zawsze kiedy z nimi walczyłem, wygrywałem, i byłem w tym coraz lepszy. Teraz ściga nas może pięćdziesięciu. Z tyłoma naraz nigdy nie miałem do czynienia, ale kiedy mieszkałem na tyłach nieba, poczułem, że potrafię zrobić z rękami coś, co jest sprzeczne z prawami fizyki, coś niesamowitego. Jestem mechanikiem i w pracy opieram się na stałych współczynnikach i niezmiennych zasadach. Ostatnio jednak przytrafiły mi się dziwne rzeczy i podejrzewam, że choć zasady pozostają takie same i nie można ich zmienić, nie mamy jeszcze pojęcia, jak różnorodne mogą być ich zastosowania. Innymi słowy, mówię o możliwościach, które wedle wszelkiej logiki...

– Powiedzże zwyczajnie! – przerwał mu Hardesty.

– W porządku. Może więc wybierzemy sobie jakiś przyjemny ślepy zaułek, gdzie zwabimy tych diabłów, i wypróbujemy nowe rzeczy, które, jak mi się wydaje, umiem robić?

– Czemu nie – przystał na to Hardesty.

– Jeśli się myślę, te przykurcze o zadartych nosach mogą nas zabić.

– Wypróbujmy tę twoją magię w stajniach Verplanck – zaproponował Hardesty. – Jest tam dość szeroki ślepy zaułek.

– To nie ma nic wspólnego z magią – oświadczył Peter Lake, kiedy ruszyli w stronę zaułku. – Mam raczej na myśli, jakby to ująć, skoncentrowaną i niespodziewaną redystrybucję siły.

– Cokolwiek to jest – odpowiedział Hardesty, głosem kipiącym od podniecenia – masz teraz swoją szansę.

Krótkie Ogony pojawiły się na początku stajni jak stado owiec u wylotu kanionu: utworzyły mur, który powoli się wydłużał, aż całkowicie zablokował wyjście. Wtedy zaczęły przesuwać się do przodu w ten sam metodyczny sposób. Na odległym końcu uliczki Hardesty i Peter Lake usłyszeli coś, co brzmiało jak odgłosy wielkiego kasyna, w którym obracają się koła i wypłacane monety, a metal uderza o metal: Krótkie Ogony odbezpieczyły pistolety, otwierały noże sprężynowe, szykowały garoty i nabijane żyłkami łańcuchy.

– W porządku – powiedział Peter Lake, jakby rozpoczął spokojny eksperyment. – O tym właśnie myślałem, kiedy siedziałem za niebem...

– Rób, co trzeba! – wrzeszczał Hardesty. – Przestań mędrkować! Mają nas na muszce!

– Nie przejmuj się nimi – upomniał go Peter Lake. – Po prostu patrz.

Podwinął prawy rękaw, przymknął lewe oko, wyciągnął dłoń i wycelował w Krótkie Ogony, jakby jego ramię było strzelbą, po czym powoli zacisnął pięść, zamykając powietrze w dłoni.

Jeden z Krótkich Ogonów nagle upuścił broń i zaczął jakby kurczyć się w sobie. Wyglądał jak człowiek dotknięty nagłym atakiem nieuleczalnej choroby. Jego ręce przylepione były do ciała, a on z braku powietrza robił się siny. Krótkie Ogony były pod wrażeniem.

Trzymając wyprostowane ręce, Peter uniósł pięść. Skurczony mały Krótki Ogon podniósł się do góry.

– Ach! – westchnął Hardesty, niemal mdlejąc z zachwytu.
– Okej – powiedział Peter Lake z tą samą obojętną miną co wcześniej, niczym nauczyciel fizyki z liceum. – Zobaczmy, czy to działa.
– Oczywiście, że działa! – krzyknął Hardesty.
– Nie – odezwał się Peter. – Mówię o tym. – Opuścił pięść, z impetem upuszczając Krótkiego Ogon na ziemię, po czym znów uniósł dłoń najszybciej, jak umiał, i otworzył w kulminacyjnym momencie.

Krótki Ogon wystrzelił jak rakietą. Nawet z oddali można było zobaczyć jego bulwiaste policzki i mięsisty nos, kiedy siła grawitacji ciągnęła je w dół, zginając je w fałdy jak u Buddy. Świszcząc jak pocisk, poleciał białą smugą w gęstniejący nad miastem dym.

– Działa – potwierdził Peter Lake. – A teraz spróbuję sztuczki z lassem, jaką wymyśliłem.

– Nie krępuj się – powiedział Hardesty. – Z chęcią popatrzę.

W ten sam sposób, co poprzednio, Peter chwycił kolejnego Krótkiego Ogon i uniósł go ponad dachy budynków. Machając pięścią wokół głowy, sprawił, że Krótki Ogon zaczął wirować z niespotykaną prędkością dziesięć stóp nad szczytami dachów i kominami stajni. Obracał się coraz szybciej, a jego towarzysze kręcili głowami jak psy, które próbują śledzić energiczną pszczołę, aż zaczął zostawiać za sobą ślad dymu, a w końcu zapłonął. Pozostał po nim tylko prysznic chłodnych iskier, który spadł na bruk. Ponieważ z Krótkimi Ogonami nie było Pearly’ego i nie mógł dodać im odwagi, gangsterzy odwrócili się i zaczęli uciekać.

Peter Lake złapał jednego z daleka, odwrócił go do góry nogami i potrząsał nim, aż z kieszeni wypadły mu wszystkie monety oraz broń i z brzękiem upadły na bruk. Następnie postawił go na ziemi i puścił wolno.

– Z tego, co pamiętam – powiedział Peter, kiedy szli spokojnie przez Village, niezaczepiani przez nikogo – ci w czarnych płaszczach zwą się Krótkie Ogony. Już kiedyś mnie gonili i stało się coś podobnego. Nabieram wprawy w walce z nimi, ale jest ich coraz więcej.

Dwie przecznice od St. Vincent’s Hospital, kiedy Hardesty i Peter Lake szli przez gęsty miazmat, który stopniowo ogarniał całe miasto, z bocznej uliczki wyskoczył przed nich oddzielony od reszty Krótki Ogon. Biegł ku nim tak szybko, jak tylko pozwalały mu nogi. Przygotowali się na atak, ale w połowie drogi do nich gangster rzucił się brzuchem w śnieg jak foka i ślizgiem wylądował pod stopami Petera Lake’a, które następnie zaczął obsypywać pocałunkami.

– Błagam! Błagam! – skamlał, krztusząc się śniegiem, który przypadkiem wpadł mu do ust – Oszczędź mnie, panie!

– Nie próbuję cię schwytać – odparł Peter Lake, stawiając na niego nogi. – Nie zrobię ci krzywdy, jeśli nie wykręcisz jakiegoś numeru.

Krótki Ogon otrzepał marynarkę i spodnie ze śniegu. Jego melonik był w opalizującym, obrzydliwym, zgniłym zielonym kolorze.

– P-P-Pittsburgh – krzyknął, wciąż plując śniegiem. – P-Pittsburgh!

– Co z nim? – zapytał Peter Lake.

– Co z czym? – Krótki Ogon, którego nos wykrzywiony był jak siodło, odpowiedział z nieskrywaną szczerością.

– Z Pittsburghiem.

– Ach, z Pittsburghiem – odpowiedział dość mechanicznie, nagle przestraszony. – Urodziłem się w Pittsburghu. Porwali mnie i zabili moich rodziców. A raczej, zabili rodziców, a potem mnie porwali. Zmusili mnie, bym chodził do ich szkoły, szkoły dla małych, wszelkiej

maści latających stworzeń, okropnych owadów, śmierci. Zmusili mnie żebym chodził do ich szkoły i... no... uczył się okropnych rzeczy i... no... nie chcę już więcej z nimi być. Chcę być po twojej stronie.

– Ja nie mam strony – odpowiedział mu Peter Lake.

Krótki Ogon patrzył na niego z niedowierzaniem.

– Czyli jesteście tylko wy dwaj?

– Można tak powiedzieć.

– A co z koniem?

Petera Lake'a od razu ogarnęła melancholia. Wyglądał, jakby był o krok od jakiegoś odkrycia, jakby w jego oczach wschodziło słońce.

– To znaczy, że nie masz konia?

– Nie... nie... ja... ja chyba...

– Nie boimy się ciebie – skwitował Krótki Ogon niemal tryumfalnym tonem – jeśli nie masz tego przeklętego konia!

Jednym sprawnym ruchem, który skojarzył się Hardesty'emu z gestem magika, który próbuje wyciągnąć coś zza peleryny, Krótki Ogon wy dobył z płaszcza nóż i wbił go Peterowi w brzuch.

Milczenie Petera Lake'a potęgowało się, a przez cios nie mógł oddychać. Zacisnął pięści na nożu i wyciągnął go. Krew zaczęła tryskać czerwonym strumieniem. Lekko się zataczając, zrobił krok w przód i zakrył ranę lewą ręką.

Zadowolony z siebie Krótki Ogon rechotał z zadowolenia, choć był zbyt przerażony, by się ruszyć.

– Śmiejesz się – z wielkim trudem powiedział Peter – mimo tego, co ci za chwilę zrobię.

– Palant z ciebie! Palant z ciebie! – wykrzykiwał Krótki Ogon w narastającym przerażeniu. – Nie jestem z Pittsburgha. Od dawna trzymam z gangiem. A ty mi zaufałeś! – Peter Lake zacisnął w pięści powietrze i unieruchomił ramiona człowieczka przy jego bokach. – Moja własna babcia, gdybym ją miał, by mi nie zaufała! – krzyknął Krótki Ogon. Skrzywił się dopiero wówczas, gdy Peter uniósł go w powietrze.

Trzymając się za ranę, Peter Lake przesunął rękę w tył, jakby rzucał oszczepem, i cisnął Krótkim Ogonem tak mocno, jak tylko potrafił. Człowieczek przemknął rozmazaną smugą nad Sixth Avenue, wydając z siebie piskliwy świst, zapalił się, przeleciał nad saniami i taksówkami jak płonąca kometa, po czym zniknął w chmurze szarego dymu.

Praeger de Pinto studiował ogromną, oprawioną w skórę księgę rachunków i rozliczeń, próbując znaleźć w historii poprzedniego wieku metafizyczne rozwiązanie tragicznych i trudnych do rozwikłania problemów finansowych miasta. Zegar wybił dwudziestą pierwszą. Praeger zauważył, że nie jest w stanie dostrzec gwiazd przez okno swojego gabinetu w ratuszu, ale pomyślał, że to przez gęste chmury, z których wkrótce spadnie śnieg.

Nagle jeden z jego nowo zatrudnionych asystentów wpadł do gabinetu bez pukania. Po jego twarzy ciekły łzy.

– O co chodzi? – zapytał Praeger. Rozhisteryzowany młody mężczyzna próbował mówić, ale z jego płuc wydobywał się nieopanowany szloch, a łzy tylko się nasilały.

– Co to ma znaczyć?! – krzyknął Praeger, bardziej przestraszony niż zły.

Komendant straży pożarnej, Eustis P. Galloway, ogromny mężczyzna, bardzo szanowany i godny, wszedł za młodym asystentem. Objął ramieniem młodzieńca i wygłosił porażające słowa:

– Miasto płonie.

- Gdzie?
- Wszędzie.

– Jak to „wszędzie”? – zapytał Praeger, wyglądając przez okno. Choć okoliczne budynki były nietknięte, niebo za nimi miało ognisty, pomarańczowy kolor jak na apokaliptycznych obrazach, które zwykle wisiały w piwnicach dawnych stowarzyszeń, gdzie nikt nie zwracał na nie uwagi. Nawet z większej odległości był to wspaniały, niespotykany widok. Galloway, wielki i silny Galloway, skała Gibraltar, mówił cichym, drżącym głosem.

Wtedy zniknął Praeger zwykły człowiek, a pojawił się Praeger de Pinto, mąż stanu. To natychmiastowe i magiczne odłączenie i uwznioślenie cechowało dawnych dowódców, władców wielkich imperiów i wodzów klanów. Gabinet okrył Praegera całunem władzy i wyposażył w nieustępliwość i opanowanie, dzięki którym z łatwością poświęciłby własne życie, a nawet życie swojej rodziny, bo nie był już sobą. Stał się burmistrzem, a odpowiedzialność jego stanowiska wprawiła go w bezinteresowny trans, który wzmagił jego siły, pogłębiał osąd i na zawsze wygnał z niego strach.

Burmistrz zwrócił się do komendanta.

- Co do tej pory zrobiliście?
- Każda jednostka zajmuje się swoim dystryktem najlepiej, jak potrafi, dbając o utrzymanie naturalnych pasów przeciwpożarowych. Ogień rozprzestrzenia się jednak szybciej, niż gdyby przynosił się sam. Tak jakby po mieście krążyło dziesięć tysięcy podpalaczy.
- Co z rezerwami i innymi miastami?
- Wysłaliśmy sygnał do każdego miasta w promieniu trzystu mil. Nie mamy już żadnych rezerw. Wszyscy są w akcji.

– Dobrze – powiedział Praeger. W tym czasie jego gabinet wypełnił się asystentami i komendantami. Przegrupował ich i wydał rozporządzenia.

– Po pierwsze weźcie wóz i przewieźcie sprzęt radiotelefoniczny i radiotelegraficzny na taras widokowy Fifth Grand Tower. Ewakuujcie budynek i zorganizujcie tam ośrodek dowodzenia. Po drugie powiedzcie komisarzowi policji, żeby do mnie dołączył, gdy będzie miał połączenia alarmowe do wszystkich komisariatów. Potem zadzwońcie do gubernatora. Przekażcie mu, że porozmawiam z nim, jak tylko to będzie możliwe, a tymczasem niech zmobilizuje rezerwy ochotników. Niech zbierze tyle oddziałów, nieważne skąd, ile tylko zdoła, i wyśle je do miasta. Zanim nadejdą, wyznaczę jednostki dowodzące. Jeśli będzie się ociągał, powiedzcie mu, że trwa rebelia i całe miasto stoi w płomieniach. Przyślijcie tu wszystkich komisarzy. I wyślijcie zapas łóżek polowych, koców, żywności, krzeseł i biurek na wieżę.

Z tuzina notatników wyrwano tuzin kartek i podwładni burmistrza zaczęli działać.

Praeger i komendant straży pojechali do punktu obserwacyjnego. Komendant mówił do krótkofalówki, kiedy spieszonym krokiem szli na drugą stronę małego parku pod ratuszem, który – jako że był otoczony nieprzerwanym pierścieniem wysokich budynków – zawsze przypominał Praegerowi dno studni.

Fifth Grand Tower była najwyższym budynkiem w mieście. Jazda na sam szczyt ekspresową windą trwała pięć minut, a kiedy tam dojechali, właśnie zaganiano turystów do szklanych kabin, aby odbyli wietrzną podróż w dół. Strażnik tarasu wręczył Praegerowi i Eustisowi Gallowayowi silne lornetki i powiedział, że odblokował wszystkie płatne teleskopy.

Kiedy Eustis Galloway i burmistrz wyszli na szeroki, otoczony szkłem taras, najpierw spojrzeli na północ. Praeger już chciał zgromić swojego komisarza za to, że pozwolił sytuacji aż tak wymknąć się spod kontroli, ale kiedy zobaczył, jak szybko rozprzestrzenia się ogień, zrozumiał, że nie można było temu zaradzić. Podpalacze z pewnością nie marnowali czasu, bo

w ciemnych obszarach momentalnie pojawiały się iskry, które szybko przeistaczały się w płomienie, a te tworzyły ogniste tornada i burze ogniowe. Wyglądało to tak, jakby świat nagle zaczął sam się pożerać, jak w micie o końcu tysiąclecia, w który już dawno temu niemal wszyscy przestali wierzyć.

Miasto było uwięzione w kopule pomarańczowego dymu, która wydawała się twarda i gładka jak alabaster. Nie było widać ani jednej gwiazdy, nawet w najwyższym punkcie, gdzie odwrócony do góry nogami wir przypominający lok kręcił się z ogromną prędkością. Po horyzont, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, krążyły chmury różnej gęstości, jedne pozwalały się przeglądać w swoich podbrzuszach łunom płomieni, inne rozpadały się jak pod ostrzałem artyleryjskim. Płynęły szybko w stronę wzburzonego ujścia, z którego wysysane były na zewnątrz.

– Spójrz – powiedział Praeger, kiedy szklany wieżowiec na klifach Palisades nagle wybuchł. W niespełną minutę wystrzeliły z niego płomienie wyglądające jak błyszczące skrzydła i sztywne wieńce. Na ich widok doświadczeni strażacy wstrzymali oddech. Zanim budynek się zawalił, zobaczyli, że stalowy szkielet jest ciemniejszy i czerwiejszy niż płachty białych i złotych płomieni, które przez moment rozświetlały pomieszczenia.

Po eksplozji rafinerii, gdy ropa i paliwo wytrysły ze zbiorników, strumienie ognia popłynęły w stronę rzek i zatok, wycinając w lodzie ogniste kaniony grube na kilkaset stóp. Pożary, które płonęły w tych okopach, posyłały w górę chmury białej pary i czarnego, paliwowego dymu, a następnie rozprzestrzeniały się na boki do pustych grot. Część portu o średnicy pół mili zamieniła się w delikatne kryształowe sklepienie rozpalonej od środka jaskini, wyciosanej pod spodem w lodzie. Szalał w niej ogień, a lód jaśniał i rozbłyskał jak gigantyczna lampa. Woda i para przebijały się przez pokrywę, tworząc gejzery wysokie na tysiąc stóp.

Po zorganizowaniu sieci komunikacyjnej jeden z techników powiedział Praegerowi, że gubernator jest na linii, a on może mówić: wszystko zostanie nagłośnione, łącznie z jego głosem.

– Co masz zamiar zrobić z tymi wszystkimi oddziałami? – grzmiał gubernator nie wiadomo skąd. Jego słowa niosły się echem po całym punkcie obserwacyjnym.

– Zaczę od tego – odpowiedział Praeger – że mamy tu dziesięć tysięcy podpalaczy krążących po całym mieście.

– Oddziały ochotników nie są przeszkolone do policyjnej roboty – skwitował głos gubernatora.

– Jakiej policyjnej roboty? – grzmiał Praeger w odpowiedzi, rozglądając się wkoło, by dostrzec w powietrzu miejsce, z którego pochodzi głos. – Nie będą wykonywać żadnej policyjnej roboty. Będą strzelać do podpalaczy i szabrowników.

– Ale po co? – zapytał gubernator.

– Płonie całe cholerne miasto – oświadczył Praeger. – Im więcej podpalaczy i szabrowników zastrzelimy, tym mniej będzie pożarów i szabrowań. Czy to nie oczywiste?

– Ale za jaką cenę?

– Cenę? Przecież tu nic nie zostanie!

– To po co zawracać sobie głowę? – zapytał gubernator tonem świadczącym o jego długotrwałej wrogości do miasta, w którym rzadko kiedy ośmielał się postawić nogę.

– Powiem panu dlaczego, gubernatorze – odpowiedział mu Praeger, a jego słowa rozniosły się po całym tarasie. – Miasto nie będzie płonąć wiecznie. Odbudujemy je. Zobaczysz pan, nim nadejdzie lato, stanie się czymś, co nigdy się panu nie śniło. I jeszcze coś: jeśli pożary ustaną nocą, zaczniemy odbudowę z samego rana. Jeśli skończą się o poranku, zaczniemy

budować po południu. A kiedy to się będzie działo, chcę, żeby wszyscy podpalacze byli martwi i żeby ktokolwiek, kto dla zabawy choćby pomyśli o odpaleniu zapalki, mógł sobie przypomnieć, co się stało z ludźmi, którzy to wszystko zaczęli.

– Uwierzę w te słowa – powiedział gubernator – kiedy zobaczę odbudowane miasto.

– Zobacz pan. Jesteśmy najszybszymi budowniczymi na świecie, pracujemy szybciej niż mówimy. Zabierzemy ogniowi tyle, ile on zabrał nam. Będziemy sobie wyobrażać, że to turysta.

Gubernator odpuścił. Siły rezerw wkrótce ruszyły w stronę miasta.

– Eustisie – powiedział Praeger, nadal przez głośniki. – Ściągnij wszystkie wozy strażackie. Chcę stworzyć bezpieczne wyspy, gdzie będziemy chronić każdy budynek oddzielnie, jeśli pojawi się taka potrzeba.

Komendant pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć, że Praeger żąda niemożliwego.

– Zrób to, i to zaraz – powiedział Praeger. – Wybierz wyspy i chroń budynki. A jeśli ktoś nie będzie się palił do tej roboty, zwolnij go. Przepraszam – dodał. – To chyba nie było najwłaściwsze sformułowanie. – Po czym odwrócił się, by spojrzeć na miasto.

– Do tej pory na Manhattanie nie wybuchł żaden pożar – zdał sprawę jeden z asystentów.
– Czy mamy próbować ocalić całą dzielnicę?

– Nie – odpowiedział Praeger. – Jest za duża. Nie damy rady. Stwórzcie wyspy. Stwórzcie wyspy i chrońcie je.

Rząd okien na piętrze Abby w St. Vincent's Hospital wychodził na północną część miasta.

– Patrz – powiedział Peter Lake, kiedy zobaczył, jaki kolor ma niebo.

– Co to jest? – zapytał Hardesty, podchodząc do okna. Niebo było całe czerwone, inaczej jednak niż podczas zachodu lub wschodu słońca, pulsowało i błyskało. Ogromne płatki śniegu, które utworzyły się wokół drobinek popiołu, opadały ciężko i prosto.

– To na pewno pożar – powiedział Peter. – Stąd warstwa chmur. Płomienie są pewnie wysokie na stóp.

Virginia usłyszała kogoś pod drzwiami i pomyślała, że przyszli ludzie z kostnicy. Niczego nie pragnęła mniej niż im otwierać, więc wzdrygnęła się i patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem. Po chwili jednak wstała i powoli podeszła do drzwi. Gdy je otworzyła, w oczach miała łzy.

Na widok Hardesty'ego pochyliła głowę. Nie chciał uwierzyć, że na twarz Abby naciągnięte jest prześcieradło.

– Nie żyje – powiedziała do niego Virginia.

– Ja cię znam! – pani Gamely zawołała do Petera Lake'a niemal oskarżycielskim tonem.
– Prowadziłeś sanie. W ogóle się nie zestarzałeś. Jak to możliwe? Co tu teraz robisz?

– Przestań bredzić, starucho – rozkazał jej Peter. Była rozhisteryzowana i choć miał mgliste pojęcie, o co jej może chodzić, miał już dość niezrozumiałych wspomnień.

– Nie wiesz, o czym mówię? – zapytała. – To było dawno temu nad jeziorem Coheeries. Beverly...

Petera Lake'a przeszedł dreszcz.

– Zamknij się, stara jędzo – wrzasnął. – Zamknij się albo wystrzelę cię w podróż dookoła świata!

Pani Gamely cofnęła się. Martin wyskoczył przed nią, jakby chciał ją ochronić przed Peterem.

Z miną ślusarza wezwanego, by otworzyć sejf, Peter Lake podszedł do łóżka i podniósł

całun. Wpatrując się w zmarłą dziewczynkę, dotknął jej czoła dwoma palcami lewej dłoni i spojrzął jej w oczy. Hardesty pomyślał, że może ten człowiek – włóczęga, mechanik, kimkolwiek był – przywróci ją do życia. Wkrótce jednak stało się jasne, że nawet nie miał zamiaru spróbować.

Oblicze Petera Lake'a momentalnie złągodniało, a po jego twarzy przebiegł ledwie zauważalny uśmiech.

– To jest to dziecko... – powiedział. – Dziecko, które do mnie przyfrunęło. I dziecko z korytarza. To było bardzo dawno temu. Pamiętam, że myślałem wtedy, że to chłopiec. To bez znaczenia. Umierało i niczego nie widziało, ale wciąż stało. Nie wiedziało, że ma prawo się położyć.

Virginia z całych sił próbowała się odezwać, ale z jej ust nie wydobyło się żadne słowo. Stał przed nią mężczyzna, który opowiadał jej sen tak, jakby to wcale nie był sen, a rzeczywiste zdarzenie z innego czasu.

Wtedy wyłączono światło. Całe miasto pogrzyżyło się w ciemnościach. Nawet wieżowce w oddali, których światła nigdy nie gasły, wyglądały teraz jak gładkie czarne płyty. Pacjenci zaczęli krzyczeć, a sanitariusze rozbiegli się po korytarzach, potrącając się nawzajem. Bez światła pożar wydawał się o wiele jaśniejszy. Był na tyle jasny, by oświetlić całą salę. Chmury dymu w oddali odbijały łunę ognia, która rzuciła smugi światła na ściany i twarze niczym latarnia morska. Poszarpane, odbijające ogień chmury wspięły się na tyle wysoko, że przyniotły całe miasto.

– Muszę się zająć maszynami w „The Sun” – oznajmił Peter Lake. – Choć nie ma zasilania, te stare silniki nadal mogą pracować, a ja muszę tego dopilnować. Generatory powinny wytwarzać prąd, a turbiny powinny się kręcić na pełnych obrotach. Muszę sprawić, by działały. Nie mam wyboru.

Oszołomiony zarówno swoją siłą, jak i swoją bezradnością, Peter Lake szedł ciemnymi ulicami pod niebem, które pulsowało ogniem. Uciskając ręką ranę, częściowo zatamował krwawienie. Mimo to rana ogromnie go bolała i bał się, że serce przestanie mu bić albo że wykrwawi się na śmierć.

Za każdym razem gdy natknął się na Krótkiego Ogon, bezlitośnie wyrzucał go w powietrze, żeby rozjaśnić ulicę przed sobą. Teraz był niemal zupełnie na nie uodporniony, choć zastanawiał się, do czego miałyby mu się przydać niezniszczalność, skoro nie był w stanie ocalić chorego dziecka. Kiedy skręcił na zachód w Huston Street, z pustego budynku wypadło na niego kilku Krótkich Ogonów. Uniósł ich i zamienił w komety tak szybko, że nie dążyli się zorientować, co się z nimi dzieje. Idąc Chambers Street, zauważył kolejną grupkę kilka przecznic dalej. Ostatni Krótki Ogon przebiegł pół mili po Broadwayu, zanim Peter Lake chwycił wszystkich lewą dłonią i cisnął w niebo tak, że obsypali fajerwerkami Manhattan Bridge.

Zdziwił się, że w redakcji „The Sun” jest tak samo ciemno, jak w „The Ghost” po drugiej stronie Printing House Square. W oknach paliły się świece, redaktorzy „The Sun” pracowali przy nich, by dotrzymać terminów. Gdy Peter znalazł się w holu, był zaskoczony, jak wielu reporterów, drukarzy i gazeciarzy kręci się po budynku ze świecami w dłoni.

– A cóż to? – wrzasnął. – Klasztor? – Wszyscy szli jednak po schodach i przez dziedziniec, nie zwracając na niego uwagi.

– W mieście nie ma prądu, panie Okazicielu – poinformował go strażnik.

– Wiem – z oburzeniem odpowiedział Peter Lake. – A co z naszymi maszynami?

– Nie mogą ich uruchomić – usłyszał odpowiedź.

Gdy biegł w dół po schodach do maszynowni, poczuł, że rana boli go coraz bardziej. Mechanicy i ich czeladnicy pracowali ciężko przy świetle świec. Kiedy go zobaczyli, ruszyli ku niemu z umorusanymi smarem twarzami i zaczęli mu opowiadać, co zrobili w ostatnich dniach, żeby uruchomić maszynę.

– Wszystko całkiem się zacięło! – krzyczał Trumbull, były główny mechanik. – Wątpię, czy nawet ty jesteś w stanie to naprawić. Każda cholerna maszyna zastygła w oddzielną nieruchomą część!

– Załóż osłonę na trybukla – nakazał Peter czeladnikowi, który kiedyś włóczył się za nim ulicami.

– Ale panie Okazicielu – protestował chłopak stojący wśród drążków i dźwigni, które nie bez trudu wymontował z wnętrza trybukla – właśnie rozkładam go na części.

– Więc przynajmniej się nie ruszaj – nakazał Peter Lake. Chłopak patrzył na niego osłupiały, podczas gdy wszystkie części zaczęły spływać jak strumienie listopadowych liści i ustawiły się, gdzie trzeba, w środku trybukla.

Wały wpadały na swoje miejsce, koła zębate dopasowywały się do siebie, pokrywy trzaskały ze szczęciem zadowolenia, a każda śrubka wkręcała się w swoją dziurkę jak derwisz. Jeśli jakiś element nie pasował, szarpał się jak szalony, aż w końcu wciskał się tam, gdzie powinien. Śmiercionośnie ciężkie metalowe elementy w czasie swojego wyścigu po podłodze delikatnie omijały dygocące nogi czeladników, którzy wytrzeszczali oczy.

– Co jeszcze rozmontowaliście? – zapytał Peter Lake.

Ledwie wymienili wszystkie maszyny, które próbowali naprawiać, usłyszeli szcęk części, jakby do pracy przystąpił tysiąc zwinnych mechaników pracujących w idealnej harmonii. Dźwięczały jak blaszana skarbonka, z której wysypuje się monety, albo szarżująca armia odziana w kolczugi i ostrogi. Elementy obudowy same się zatrzaśniały, a śruby rwały się do swoich otworów.

Peter Lake chwiejnym krokiem szedł między rzędami urządzeń, dotykając każdej maszyny jakby poklepywał krowę. Każda z tych krow odpowiadała niskim i silnym rykiem dobrze naoliwionych obrotów, które już nie ustawały, jakby maszyna nagle posiadała sekret perpetuum mobile.

Kiedy minął jeden z generatorów, światła w maszynowni rozbłysły, a zebrani mechanicy zaczęli wiwatować. Wtedy ruszyły wielkie parowe silniki, obracając się powoli, świszcząc i wydzielając dymy i opary. Ich ogromne ramiona i owalne koła porządkowały światła i organizowały pola magnetyczne w posłuszne obiegi i obręcze.

Gdy Peter Lake przechadzał się alejkami maszynowni, poszczególne miejsca w budynku „The Sun” jeden po drugim rozbłyskiwały jasnym światłem, a pracownicy wiwatowali tak samo entuzjastycznie, jak mechanicy. Kiedy prasy drukarskie zaczęły pracować, drukarze poczuli nagły przypływ emocji, bo uwielbiali swoje obowiązki tak samo, jak Peter kochał swoje.

Kiedy uruchomił wszystkie maszyny, przysiadł koło kolosalnego dźwigara kładki. Na widok krwi ciekącej z jego rany mechanicy chcieli mu pomóc, ale ich odprawił. Uznali, że na pewno nie przytrafiło mu się nic, na co by nie pozwolili, więc wycofali się, zajmując miejsca pomiędzy idealnie pracującymi silnikami.

Peter Lake czuł teraz pełną siłę maszyn, pośród których leżał. I gdyby nie ich przeciwważne ruchy, targające nim moce z pewnością rozerwałyby go na strzępy. Przeplatające się magnetyczne pola falujące jak zorza polarna uniosły go na łabędzich falach. Ciężkie koła zamachowe obracały się bez drgań, a gładkie obroty brył uderzały w niego jak młoty pneumatyczne. Choć koła obracały się bardzo szybko, Peter Lake mógł współodczuwać

z każdym nich, a uderzenie każdej zasuwy brzmiało dla niego jak uderzenie w bęben. Bardziej jednak niż magnetyzm czy obroty brył wpływało na niego światło. Spływało na niego ze staromodnych przezroczyстых żarówek pod stożkowymi kloszami, które zwisały nad maszynami jak owoce. Peter Lake patrzył, jak się ruszają. Powolne strumienie w zasięgu jego dłoni spływały na powierzchnie naoliwionej stali i tworzyły tęcze, klejnoty i błyszczące osty o rozpostartych ramionach.

Załatwiając sprawunki dla „The Sun”, Asbury i Christiana jechali w stronę Manhattanu szosą okalającą dzielnicę nędzy, kiedy nagle zauważyli chmury dymu i piekielne niebo. Kilka minut później zatrzymali się w korku, po tym jak tłum przewrócił na jezdnię słup z drogowskazami. Z odległości pół kilometra przyglądali się, jak tłum zaczyna atakować nieruchome samochody.

Większość ludzi, z obawy przed porzuceniem aut i wyprawą do dzielnicy nędzy, gdzie kolumny ognia przeciskały się pomiędzy gruzami, zamknęła się w środku, sparaliżowana strachem, podczas gdy tysiące złoczyńców wyległy na asfalt. Zaczęli huścić autami, wybijając szyby i wrzucać zapalone kawałki drewna do baków z paliwem. Wyciągali rodziny z samochodów i ciągnęli każdego osobno w mrok. Pobocza drogi przeistoczyły się w rzeźnię, w których drżące ze strachu ofiary i lśniące ostrza spotykały się, by wytoczyć rzeki krwi. Kiedy tłum przesunął się dalej i kolejne samochody zaczynały się kołysać, pasażerowie zaciskali powieki i odmawiali ostatnie modlitwy.

Wojskowe helikoptery pojawiły się nad okolicą już dziesięć minut po wybuchu pożaru, ale masakra na szosie dokonywała się pod osłoną dymu.

Asbury i Christiana porzucili samochód, przeskoczyli nad balustradą i wylądowali na rozległym ceglany gruzowisku.

– Jak daleko się to ciągnie? – zapytała Christiana, patrząc na rozległą prerię gruzu.

– Całe mile.

– Przynajmniej nikogo tu nie ma. Jeśli schowamy się między cegłami, może nic nam się nie stanie – powiedziała, przypominając sobie, co widziała kiedyś. Zdawała sobie sprawę, że niektórzy ludzie potrafią biegać po ceglach szybko jak gazy i polować na tych, którzy błakają się na nierównym, trudnym terenie, jak wyszkolony oddział drapieżnych zwierząt.

– Może – odpowiedział Asbury – ale w świetle dnia będziemy widoczni, musimy więc dostać się nad rzekę przed świtem.

Ruszyli w drogę, posługując się wysokimi budynkami Manhattanu pograżonymi w cieniu jak drogowskazem. Od rzeki dzieliło ich przynajmniej pięć mil, z czego połowa ciągnęła się po ceglach, a reszta przez kotliny, o których dawno zapomnieli wszyscy prócz ich mieszkańców, nieznających innych miejsc. Zeszli z cegieł na kilka godzin przed świtem i przemierzali kotliny tak szybko, jak tylko mogli.

Mieli zamiar przejść przez East River, ale środkowy kanał płynął teraz wartko, kołysząc się w korycie topniejącego lodu, który obsuwał się coraz głębiej. Pokryty był śliską błoną ropy, z której strzelały płomienie wysokie na sto stóp.

– Możemy jedynie dostać się do portu i obejść go – powiedział Asbury. – Ale musimy poczekać do zmroku.

Postanowili ukryć się pomiędzy gruzami. Wycofali się więc do najcichszej kotliny, przeskakując z jednego wypalonego budynku do drugiego i przemieszczając się tylko wtedy, kiedy nikogo nie było w pobliżu.

Kiedy przebiegali ze zrujnowanej kamienicy pokrytej pordzewiałymi schodami przeciwpożarowymi, oplatającymi ją jak trujący bluszcz, zaczął ich staruszek, który wyskoczył

z dziury w ziemi. Gestem nakazał im, by poszli za nim, tak więc zrobili.

W dialekcie, który ledwie mogli zrozumieć, kazał im iść za nim do kościoła.

– Jakiego kościoła? – zapytał Asbury i w tym samym dialekcie usłyszał, że ludzie z kotlin zawsze znajdowali bezpieczne schronienie w kościele.

Kościół był otoczony przez gruzowisko w taki sposób, że nie było go widać z ulicy. Po jego bokach biegły długie, opuszczone krużganki. Na odległym końcu zebrała się licząca tysiąc osób grupa ludzi tak przerażonych, że nawet dzieci wśród nich nie ośmielały się poruszać. Starszy mężczyzna był dumny z tego, że uratował obcych i że mógł im pokazać, jak sprytnie ukrył tyłu mieszkańców. Miał już iść, by ratować kolejnych, ale Asbury poprosił, by został.

– Jeśli będziesz tak często wychodzić i wracać – wytłumaczył Asbury – na pewno nas wydasz.

– Ta, pierwsze ludzie jużta mi to mówiły – odparł starzec. – Tera wy tu bezpieczne. – Uśmiechnął się bezzębny uśmiechem i klepnął się po udach. – Stare Flinner pomyka jak zajac. Wy tu bezpieczne, a stare pomyka – oznajmił, oddalając się, by sprowadzić kolejnych ludzi.

Asbury'ego i Christianę otaczali mężczyźni, kobiety i dzieci o zapadniętych policzkach, wydętych brzuchach i kościach sterczących spod pergaminowej skóry. Ludzie ci żyli krótko i chowano ich w kwaterach bez nagrobków. Byli to ludzie kotlin, którzy uważali, że mieszkańcy dzielnicy nędzy są zamożni i że błyszczące do niedawna wieżowce po drugiej stronie rzeki są siedzibą bogów. Bali się nawet spojrzeć na Asbury'ego i Christianę, którzy przewyższali ich wzrostem.

– Potraficie się bronić, gdyby ktoś nas tu znalazł? – zapytał Asbury, ale nie usłyszał odpowiedzi.

– Będziemy musieli poczekać do zmroku – powiedziała Christiana – a potem niech radzą sobie sami.

Staruszek przyprowadził kolejnych otępiąłych ocalałych, którzy oparli się o kolumny z piaskowca, patrzyli na chmury, dym i popiół przebijane przez krawędzie gorącego cyklonu. Trudno było powiedzieć, czy to dzień, czy noc, a odgłosy pożarów, eksplozji i wystrzałów dobiegały z każdej strony.

W środku popołudnia Asbury i Christiana podnieśli głowy i zobaczyli, jak staruszek z dumą prowadzi do kryjówki trzech mężczyzn w czarnych płaszczach.

– To oni! – wrzasnął Asbury. – Przyprowadziłeś ich do nas.

Krótkie Ogony przewróciły staruszkę na ziemię i cofnęły się o krok. Asbury błagał mężczyzn skulonych pomiędzy ocalałymi, by pomogli mu powstrzymać Krótkie Ogony przed wyjściem z kościoła, ale zbiry wycofywały się w stronę drzwi z bronią w rękę i nikt nawet się nie ruszył.

W końcu kiedy Krótkie Ogony znalazły się w połowie dziedzińca, Asbury rzucił się na nich, a Christiana pobiegła za nim.

Przewrócił jednego z nich i przyłożył mu pięścią w tors. Krótki Ogon powiedział coś zapowietrzonym głosem i szybko wyzionął ducha. Pozostali dwaj zaczęli bić Asbury'ego łańcuchami. Nie mogąc uwolnić się od ciała opryska, którego zabił, Asbury dusił się pod jego ciężarem, jakby się w nim topił.

Po chaotycznej walce z pozostałymi Krótkimi Ogonami Asbury zabił jednego z nich, ale drugi zdołał uciec. Próbowali nakłonić ludzi, aby się rozeszli, ale bez skutku. Przyprowadzone przez niedawnego zbiega Krótkie Ogony powróciły z posiłkami. Niektórzy z nich blokowali wyjścia, inni pobiegli schodami na dach, gdzie zajęli miejsca niegdysiejszych gargulców, które kiedyś były tam, by strzec mnichów. Wbiegli tłumnie na koniec dziedzińca, popędzani przez

jednego z nich, który wysunął się na czoło i zaczął uderzać się po piersiach, jakby był pawianem. Asbury uniósł łańcuch, a pawian uciekł, kryjąc się za swoimi towarzyszami. Asbury i Christiana stali niedaleko dwóch ciał, zastanawiając się, co się stanie, kiedy Krótkie Ogony znajdą odwagę, by ich zaatakować. Nawet gargulce uzbrojone w łuki były się strzelać i zadowolily się puszczeniem kilku strzał w drżący tłum. Dźwięki strzał sięgających celu, jak ostrego topora wbijającego się w obumarłe drzewo, w końcu ośmieliły Krótkie Ogony. Ruszyły do przodu.

Nagle ze świszczącego, szarego od popiołu wiatru wyłonił się Athansor i w zadziwiający sposób przeleciał nad dziedzińcem cztery razy, strącając żywych gargulców z murów i wieżyczek. Kiedy Krótkie Ogony spojrzały w górę, zobaczyły, jak koń powoli zstępuje na ziemię, jak gdyby zsuwał się po snopie światła. Christiana była przekonana, że go sobie wyobraziła, ale oto zniżał się, przebierając nogami w powietrzu, machając muskularną białą szyją i błyskając sprawiedliwymi i strasznymi oczami.

Krótkie Ogony zaczęły uciekać, a Athansor galopował po dziedzińcu, odbijając się od ścian tak mocno, że się zawaliły, i chwycił wrogów w zęby. Tratował ich, przewracał i rzucał nimi śmiertelnie o kamienne kolumny. Tym, którzy chcieli podjąć z nim walkę, odpowiedział, wspinając się na tylne nogi, długi na dwadzieścia pięć stóp, i opadając na nich kopytami.

Kiedy biały koń walczył, pozostałości krużganków drżały jak podczas trzęsienia ziemi. Kiedy skończył, zatrzymał się kilka jardów przed Christianą i Asburym i zarżał.

Przykląkł, a Christiana wsiadła mu na grzbiet.

– Chodź – powiedziała. Asbury wsiadł za nią. Jednym bezgłośnym skokiem opuścili zadymiony klasztor i po chwili znaleźli się nad rzeką. Mrugały przed nimi tysiące pożarów, a oni patrzyli w dół na drżący i ciemny krajobraz. Pełen popiołu wiatr sprawił, że noc nadeszła wcześniej. Frunąc przez chmury dymu, musieli zamknąć oczy i pochylić się do przodu, przyciskając twarze do miękkiej, białej skóry niezwykle szerokiego karku konia. Asbury myślał, że śnią, ale Christiana wiedziała, że to wszystko dzieje się naprawdę.

W ostatni dzień ostatniego roku drugiego tysiąclecia, Hardesty i Virginia włożyli ciało swojego dziecka do małej drewnianej trumienki i udali się przez miasto na południe. Hardesty nalegał, żeby pochowano Abby tej nocy, przed nadejściem nowego milenium. Wydawało mu się stosowne i uczciwe pozostawić ją w tysiącleciu, w którym się urodziła, gdy oni będą przechodzić do następnego wieku. Nie chcieli drażnić jej nawet godziną czy dniem nowego czasu, którego miała nigdy nie poznać.

Był to dziwny orszak – Hardesty na przedzie z trumienką na ramieniu, Virginia za nim ze spuszczoną głową, dalej pani Gamely i Martin obok niej, trzymający ją za rękę. Późnym popołudniem kaniony były ciemne z powodu niosącego popioł wiatru i wcześniej zachodzącego słońca. Miasto oszklonych wieżowców, niegdyś rozświetlone miliardami rozsypanych kawałeczków słońca, teraz było czarne jak atrament. Szli przez wąskie kaniony, posługując się jak kompasem niskimi budynkami, których dachy odcinały się wyraźną linią od pulsującego, pomarańczowego, płonącego nieba. W końcu dotarli do Battery, gdzie słyszeli, jak szklane wieżowce na środkowym Manhattanie zapalają się jak świece od płomieni nadciągających z północy.

Wkroczyli na niepewny, płonący lód pod starym kamiennym murem Battery i ruszyli w stronę Wyspy Umarłych, oddalonej o półtorej mili od portu. Zazwyczaj kilka razy w ciągu dnia kursował do niej prom. Kiedy woda w porcie była skuta lodem, ludzie po prostu szli za saniami, na których ciągnięto trumny. Teraz jednak mocna, zbита tafla szkła, która kiedyś otaczała wszystkie wyspy i dobiegała aż do portu, była rozłupana na ogromne lodowe szczeliny. Od czasu do czasu z kilkudziesięciu szerokich bruzd wydobywały się płomienie wysokie na

kilkanaście stóp, unosząc się nad płonącymi rzekami ropy i ryjąc kaniony. Ściany czarnego dymu i białej pary unosiły się powoli i w świetle ognia przybierały różany kolor. Gejzery w grotach były pełne kotłującej się zielonej wody, a z jeziorok czystego lodu wybuchała od czasu do czasu płonąca ropa i na kilometry rozrzucała ciężkie i ostre jak noże kawałki kry. Powierzchnia zaczęła się topić z powodu ciepła, które promieniowało z zasnutego chmurami nieba. Wodę w głębokich na dziesięć lub dwadzieścia stóp jeziorach, które w ten sposób powstawały, czasem od razu wysysało nowe pęknięcie, wciągając ją do chaotycznej sieci tuneli, jaskiń i podziemnych rzek.

Przeszli przez jezioro ciepłej wody, zanurzeni po pas. Kiedy z niego wyszli i odwrócili się za siebie, zobaczyli, że zniknęło. Następnie musieli nadrobić całą milę drogi, by obejść szczelinę lodową, w której pływało milion ton płonącej ropy. Po tafli mokrego lodu przeprawiali się przez wartkie strumienie i przebijali przez czarne jak smoła kłęby dymu, by w końcu przekonać się, że labirynt ma znacznie więcej ścian.

Nagle nad ich głowami zaczęły z warkotem pojawiać się i znikać tysiące helikopterów, które nisko przelatywały przez kłębiącą się parę i dym. Ich światła pobłyskiwały na całej ich długości, kiedy frunęły z miejsca na miejsce. Ich śmigła i silniki szatkowały i rozdzielały chmury, przez co małe uderzenia piorunów i grzmoty podążały po lodzie za orszakiem, ciągnąc się jak tren. Padały między Marrattami a panią Gamely, tworząc przedziwne girlandy, których wkrótce przestali się lękać. Hardesty zastanawiał się, co z planami Jacksona Meada, skoro wielka lodowa soczewka została bezpowrotnie zniszczona, pomyślał jednak, że pewnie zamysł głównego inżyniera sięgał daleko ponad lód.

Na Wyspie Umarłych znaleźli grabarzy. Byli to potomkowie Przymorzan i uciekinierzy z miejsc, które Przymorzanie nazywali „szpitalami dla zastygłych”. I tak wyglądali. Przez swoje skóry, krzaczaste brody, wilcze, wyliniałe sznurowania z niewyprawionej skóry i zezowate, zagubione spojrzenia wydawali się idealnymi następcami osobliwych przodków.

Hardesty znalazł dziurę w ziemi pod przechylonym drzewem.

– Pogrzebicie ją – nakazał, wskazując na trumnę.

Grabarz zaprotestował, mówiąc, że jest już noc.

– Twoja ostatnia, jeśli nie zaczniesz kopać.

– Płać.

Hardesty sypnął monetami w podstawione dłonie grabarza.

Grób już czekał. Podeszli do niego i złożyli trumnę.

Grób został zasypany późno w nocy. Wiedzieli, że muszą się pospieszyć, ale przed ponowną przeprawą przez lód, teraz pokryty gorącymi zielonymi jeziorami, które niedługo miały wezbrać, na chwilę zastygli w niedowierzaniu. Cały świat zdawał się umierać. Virginia płakała.

– Żegnaj, Abby – powiedziała.

ZŁOTY WIEK

W pierwszych godzinach nowego tysiąclecia Peter Lake spał między maszynami w „The Sun”. Mechanicy uwierzyli mu na słowo. Kiedy zobaczyli, co potrafi, nabrali do niego wielkiego szacunku i nie ośmieliliby się mu przeszkadzać. Gdyby miał innych zwolenników, pomocników czy wręcz przyjaciół, być może obudziliby go, zanim zegar wybije północ, w oczekiwaniu na cud. Ale niezwykle zdarzenia rzadko idą w parze z precyzją i Peter, całkowicie sam, przespał moment, kiedy wskazówka pokazała północ i rozpoczął się rok 2000. Prawą dłonią przykrywał ranę w lewym boku, usta miał lekko rozchylone i w pozycji półsiedzącej opierał się o maszynę, którą kilka godzin wcześniej wyrwał ze snu. W zasięgu wzroku nie było żadnego zegara, ale zegary „The Sun” dokładnie odmierzały sekundy, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Rośliny pozostały w donicach i nie zaczęły się ruszać ani chodzić, drzwi skrzypiały, kiedy je otwierano, a woźny rozpylał jakiś zielony płyn podczas zamiatania kurzu.

„The Sun” i „The Whale” przygotowywały wspólny numer, co czyniono w przypadku szczególnych wiadomości, i w pracy było dwa razy więcej ludzi niż zwykle. Budynek tętnił życiem w środku nocy, bo wstrząśnięci reporterzy nadciągali ze wszystkich dzielnic, by pisać o tym, co widzieli w niszczonej mieście. Ponieważ o tym, jak umiera poprzednia epoka, opowiadało mnóstwo historii, wydanie następnego dnia miało być niemal tak grube, jak zwyczajowy „The Ghost” (choć „The Ghost” w końcu zamknięto z powodu braku zasilania). Na przykład zwierzęta z zoo i wierzchowce ze stajni w West Side narobiły takiej wrzawy, że zostały puszczone wolno. Przeżalone ogniem, całymi stadami galopowały po ulicach między płonącymi budynkami. Kiedy skręciły za róg, jak napisał reporter, rozmazany obraz ich gładkich skór i muskularnych grzbietów wyglądał jak rzeka, która wystąpiła z brzegów.

W porównaniu z ludźmi zwierzęta i tak jednak mogły służyć za wzór opanowania. Ulice pełne były rozjeżdżonych samochodów. Kierowcy szukali dróg wylotowych, wszystkie jednak były zablokowane przez korki, gruzy lub tłumy pieszych, pędzili więc do innych wyjazdów z miasta. Żadnych wyjazdów jednak nie było i w rezultacie wszyscy krążyli z jednego miejsca do drugiego. Po każdej dwupasmowej drodze i każdym bulwarze auta jechały w obie strony z prędkością stu mil na godzinę. Kiedy dochodziło do stłuczek, a owszem, dochodziło, ci, którzy przetrwali, po prostu jechali dalej. W każdej minucie na każdej przecznicy przynajmniej jeden samochód wpadał bez opamiętania w wystawę sklepową albo przeżony tłum na chodniku. Napięcia nie zmniejszało to, że wszystkie wozy strażackie i radiowozy w mieście pędziły tam i z powrotem na sygnale, a czołgi i helikoptery wojskowe zużywały benzynę w poszukiwaniu wysp, które nakazał im chronić Praeger de Pinto.

Na mostach kłębiły się nieprzebrane ilości uciekinierów, którzy sunęli po drogach pogrążonych w ciemnościach, nieświadomi tego, że pas okalających Manhattan dzielnic stał się jednym wielkim pierścieniem ognia. Szli w ciszy i przeżaleniu, niosąc na plecach dzieci, a w rękach walizki i tobołki. Ulice stały się ogromnym pchlim targiem, ponieważ ludzie nieśli ze sobą niepojęte ilości przedmiotów, które chcieli ocalić. Tysiące mieszkańców uciekały, targając ze sobą książki, obrazy, świeczniki, wazony, skrzypce, stare zegary, sprzęty elektroniczne, worki srebrnej zastawy, szkatułki z biżuterią i – cud nad cudy – telewizory. Ci rozsądniejsi kierowali się na północ na Riverside Drive z plecakami wyładowanymi jedzeniem, narzędziami i ciepłymi ubraniami. Ale jaką realną szansę na przetrwanie w środku zimy w świecie, który stanął na głowie, miał człowiek z piłą łańcuchową przewieszona przez plecy?

Nie dziesiątki, a setki tysięcy szabrowników kręciły się po najzamożniejszych

dzielnicach. Ponieważ ambitniejsi z nich zorganizowali sobie buldożery, którymi taranowali ściany banków, po mieście niosły się wybuchy, kiedy dynamit, laska po lasce, otwierał kolejne sejfy. Wybuchy zlewały się w jedno, równocześnie bowiem wylatywały w powietrze sklepy z łatwopalnymi towarami, a oddziały ochotniczej milicji wysadzały budynki, tworząc pasy przeciwpożarowe wokół wysp. Uszczęśliwieni i przeciążeni złodzieje poruszali się powoli jak ślimaki, pchając lub ciągnąc lodówki, opasłe meble, wieszaki ubrań i torby pieniędzy. Worki z pieniędzmi były najsmutniejszymi z sierot, bo ledwie znalazły jakiegoś rodzica, dostawał on kulkę i worek przechodził w następną rękę. Trwało to bez końca i gdyby ktoś śledził tor worków z pieniędzmi, przypominałyby one skaczące piłki, którymi kozłuje niepojęta chciwość. Rzeczy porzucone na bruku zamieniały nawet najbardziej ekskluzywne dzielnice w wybebeszone, zrujnowane slumsy i trudno było powiedzieć, dokąd zmierzali tak obficie obłowieni złoczyńcy. Głównie biegali w kółko, szalejąc ze szczęścia, że w końcu mają nową taką czy inną rzecz. Ponieważ nie było już gdzie mieszkać, ci, którzy ukradli meble, najpewniej nigdy nie mieli na nich usiąść lub się położyć i tylko nosili je na plecach przez całe tygodnie, a nawet miesiące.

Najróżniejszej maści szabrownicy łączyli się w otumanione gangi, szukające pośród gruzów libertyńskich przyjemności. Meble porzucone przez tych, którzy uznali je za zbyt ciężkie, służyły za kopulacyjne stanowiska ludziom obu płci, w każdym wieku. Powstałe w ten sposób połączenia grup i jednostek, chętnych i niechętnych, były straszne i smutne.

Policja nie wiedziała, do kogo strzelać albo kogo bronić, bo wszyscy zdawali się w konflikcie ze wszystkimi, wszędzie rozlegały się wybuchy i płonął ogień, przestępcy bez trudu kryli się w ciemnym popiołowym wietrze, a ulice wypełniły się szaleńcami, którzy nieśli ze sobą tobołki.

Reporterzy „The Sun” pisali też o rodzinach, które trzymały się razem i starały bronić przed wszechobecnym chaosem, o przypadkach bezinteresownej pomocy i o ludziach odważnych i szalonych, którzy starali się powstrzymać postępujący rozpad. Przypadki te były rzadkie i pojedyncze osoby niczego nie zmieniły – nie z ich winy, ale dlatego że nie był to ani ich czas, ani miejsce.

Reporterzy Harry’ego Penna, świadkowie upadku miasta, którzy nie zginęli (a wielu z nich spotkał smutny los), wrócili do „The Sun”, aby to wszystko opisać. Czuli, że to właśnie należy zrobić, nawet jeśli wszystko inne poszło w diabły, ponieważ dobrze wiedzieli, że za każdym razem, gdy świat się kończy, jednocześnie zmierza do swojego odrodzenia, a nie mieli zamiaru tego przegapić.

I kiedy tak miasto płonęło pod gęstym burzowym niebem i piorunami, a maszyny płynnie pracowały, oświetlając „The Sun”, Peter Lake spał.

Praeger de Pinto ledwie się odwrócił, by przywitać się z Harrym Pennem. Burmistrz był zajęty: stojąc na środku północnej części tarasu, wyglądał przez okno przez noktowizor postawiony na trójnożnym statywie.

– Kto kontroluje Wyspę Szóstą? – zapytał przez system nagłaśniający, prawie jak bóg.

– Ja – odpowiedział zwykły ludzki głos, dochodząc z szeregu mężczyzn po jego prawej: zastępców komendantów, asystentów i jednego lub dwóch funkcjonariuszy ściągniętych, by wypełnić wolne miejsca. Tak jak burmistrz, wszyscy byli wyposażeni w noktowizory.

– Widzicie wyłom na południowym zachodzie? – zapytał Praeger.

– Teraz nie, panie burmistrzu – dobiegła odpowiedź. – Popiół jest zbyt gęsty. Ale widziałem go wcześniej i zgłosiłem to.

– Potwierdzili raport?

– Nie.

– Brak komunikacji z Wyspą Szóstą – ogłosił technik.
– Od kiedy? – dopytywał Praeger.
– Od pięciu minut.
– Spróbujcie ją przywrócić. Eustisie, wyślij pieszego do tamtejszego posterunku, żeby poinformował o tym wyłomie. I daj mu nadajnik. Wyspa Szosta w Chelsea. Jeśli pobiegnie, będzie tam za dwadzieścia minut.

Mimo że miasto płonęło, rozmowy takie jak ta, gdy Praeger i jego ludzie pracowali nad utrzymaniem bastionów i ocaleniem jak największej części miasta, emanowały naturalnym spokojem i opanowaniem. Po kilku godzinach wszyscy przyzwyczaili się do widoku płonącego, zadymionego miasta. Praeger de Pinto i mężczyźni z jego pokolenia od urodzenia oswajali się z myślą, że ich przyszłość przebiegać będzie w cichych centrach dowodzenia i apokaliptycznych bitwach. Większość ludzi na tarasie była więc opanowana i niewzruszona. To była ich misja, coś, czego zawsze się spodziewali, oczywiste zwieńczenie logiki wcześniejszych dziesięcioleci, walki z marzeniami i złudzeniami oraz życia pełnego oczekiwań. Gdy starali się sprostać nieuniknionemu wyzwaniu, przekonywali się, że naprawdę go pragną.

Harry Penn był jednak starcem, miał inne oczekiwania i z rozpaczą patrzył, jak dziesiątki tysięcy płomieni błyskają w ciemności, szukając tego, co mogłyby jeszcze strawić. Czuł się głęboko zraniony tryumfem chmur dymu i pary, które odbijały pomarańczowe światło, unosząc się nad miastem, obracając się i rozciągając jak ciasto w rękach piekarza. Wydawały się śmiać ze zrujnowanych i wypalonych kwartałów, które zostały tak tchórzliwie porzucone.

W przeciwieństwie do większości mieszkańców Harry Penn pamiętał miasto, kiedy było młode. Ludzie byli zyczliwsi i bardziej pracowici niż ich potomkowie, a i samo miasto było inne, niewinne. Łuki podjazdów dla dorożek dawno już zniknęły, wydęte wiatrem żagle przeminęły, flanki i grzywy pracujących na ulicach koni też już poszły w niepamięć, ale wtedy nawet delikatne kroje ubrań były spełnioną modlitwą o nieustanną przychylność. Boga i naturę radowały w mieście nieśmiertelne, poprawne kształty, konie, niepewność w wyrazach twarzy, jego niezwykle zrozumienie swojego miejsca w świecie. Było za to wynagradzane czystymi północnymi wiatrami i kopułą przejrzystego błękitnego nieba. Miasto, które znał i kochał Harry Penn, było młode i nowe.

W chwili ciszy Praeger zwrócił się do Harry'ego Penna i zobaczył, że twarz staruszka, delikatnie oświetlona luną pożaru, jest przepelniona bólem.

– O co chodzi? – zapytał.
– Powiedzmy wprost – odparł Harry Penn – ukochane dziecko, które kiedyś znałem, zestarzało się i zgorzkniało, a teraz umiera paskudną śmiercią.
– To nie tak – powiedział Praeger. – Ono nie umiera. To tylko oczyści nam drogę.
– Jestem za stary – oznajmił Harry Penn. – Chyba za mocno przywiązałem się do dawnych czasów, by kiedykolwiek przestać w nie wierzyć.
– Spójrz – powiedział Praeger. – Widzę już, jak wschodzi nowe miasto, tam, w mroku.
Harry Penn wyjrzał przez okno i zobaczył jedynie przeszłość, o której tak często śnił.
– Sądziłem – ciągnął Praeger – że spośród wszystkich ludzi to właśnie ty dostrzeżesz, po co to naprawdę jest. Myślałem, że wiesz. „The Sun” się ukaże, prawda?
– Nigdy nie opuściliśmy ani dnia.
– Teraz – powiedział Praeger – „The Sun” to jedyny oświetlony budynek w całym mieście. Jest jak latarnia morska.
– Nieprawda – odparł Harry Penn. – W „The Sun” nie ma światła. Maszyny zamarzyły i mechanicy mówią, że potrzeba sześciu miesięcy, by je naprawić. Gdy stamtąd wychodziłem

kilka godzin temu, wszyscy pracowali przy świecach i mieliśmy drukować wspólny numer na prasie zasilanej na pedały.

– Musisz więc pójść ze mną – powiedział Praeger, objął Harry'ego Penna ramieniem i poprowadził go na wschodnią część tarasu. Bardzo kochał staruszka.

Na początku nie zobaczyli nic oprócz przesuwających się szarych chmur, brudnych od popiołu, ale wtedy, jakby ktoś nagle zaczął podnosić kurtynę, chmury powoli i niezgrabnie się uniosły i przez rąbki ich brudnych halek przebiło się światło.

„The Sun”, osamotnione w ciemnościach Printing House Square, lśniło jak oszlifowany klejnot. Zadziwiająco geometryczne i idealnie prosto ustawione wiązki światła promieniowały z jego okien. W posadzce placu przeglądała się rozproszona luna, nad którą unosiły się strzeliste jak miecze odbicia przypominające gałązki ostu lub stalowe promienie na krzyżu świętego Szczepana.

– Proszę – powiedział Praeger. – Jedna z nagród za cnotę.

Harry Penn wiedział jednak lepiej.

– Nawet tysiąc lat cnoty nie wystarczy, by stworzyć światło. To coś o wiele wspanialszego... i jest już chyba bardzo blisko.

Harry Penn postanowił wrócić do „The Sun”, a Praeger do zarządzania skomplikowaną bitwą, która w ciszy toczyła się na dole i dla której prawdopodobnie się narodził.

Gdy Harry Penn szedł przez Printing House Square, był tak urzeczony światłem „The Sun”, które jak chirurgiczny skalpel przecinało popiół w powietrzu, że nie zauważył trzech śledzących go mężczyzn. Przysłonięci wyziewami, które napływały i cofały się jak fale zatrutej wody, chcieli stanąć na jego drodze na dwieście stóp przed drzwiami „The Sun”. Po kroku poznali, że to bardzo stary i bardzo zamożny mężczyzna. Majestat, wycucie i zaskakujący charakter jego chodu nie tylko zdradzały optymizm innej epoki, ale też jasno mówiły, że ma przy sobie sporo gotówki, złoty zegarek kieszonkowy, do tego spinki do mankietów i krawata, a może nawet ozdobną broszkę. Wyprostowani starsi panowie podobni do Harry'ego Penna nie cieszyli się dobrym słuchem, reagowali powoli i można ich było powalić na ziemię pojedynczym ciosem, mężczyźni nie zachowywali więc nadmiernej ostrożności. Gdyby to były Krótkie Ogony (a nie były), skradałyby się o wiele ciszej. W czasach Krótkich Ogonów stuletni staruszkowie, nawet jeśli zagrażał im ich sędziwy wiek, byli weteranami starć na Dzikim Zachodzie, wojny secesyjnej i wielu innych walk dużo brutalniejszych, niż Krótkie Ogony mogły sobie wyobrazić.

Mężczyźni uważali, że mają łatwe zadanie. Prawie im się udało, bo przed wejściem do „The Sun” Harry Penn zatrzymał się, żeby zaczerpnąć tchu. Jeden z helikopterów Jacksona Meada fruwał jednak ryzykownie nisko pomiędzy wysokimi budynkami, Harry Penn odwrócił się, słysząc jego ryk, i gdy dym się rozwiął, ujrzał trzech mężczyzn. Nie zatrzymali się. Na początku nie był pewien, czy coś mu grozi, wtedy jednak dostrzegł noże i pałki. Stopniowo narastające oburzenie w jego zaskoczonych twarzy rozbawiło i rozwścieczyło opryszków.

Harry Penn przeżył prawie sto lat i niczego się nie bał. Nie trząsał się, nie oddychał ciężko ani nie mrugał. Uważał się za przedstawiciela epoki Theodora Roosevelta, admirała Deweya, wspaniałych żołnierzy Unii, indiańskich wojowników i (jakby to powiedział Craig Binky) dzikiego Billa Buffalo.

Ponieważ jego reakcje naprawdę były powolne, wpatrywał się w trzech napastników zbyt długo, gdy szli w jego stronę. Był za to w stanie odwołać się do przeszłości, która przybyła, żeby go chronić. Jego oczy zabłyśły. Uśmiechnął się. (I sięgnął do kieszeni, z której wyciągnął czterolufową pieprzówkę).

Mały pistolet wyglądał śmiesznie i nieskutecznie. Wydawał się równie niegroźny, co

stary garłacz. Już mieli mu to powiedzieć, kiedy pierwszy nabój trafił w splot słoneczny mężczyznę, który znalazł się najbliżej Harry'ego Penna. Pozostali dwaj zamarli z zaskoczenia na jedną fatalną chwilę, w której również dostali po kuli.

Harry Penn stał tak przez moment, patrząc na trzy wygięte w łuk ciała, spoczywające we mgle i w dymie. Przez całe swoje długie życie nigdy nikogo nie zabił, nawet podczas kilku wojen. Trochę się trząsł, ale potem pomyślał, że jest zbyt stary, by się tym przejmować. I tak odrobił już wszystkie straszne lekcje, jakie miałby przed sobą młodszy od niego mężczyzna po dokonaniu podobnego czynu, odwrócił się więc, włożył swój staromodny pistolet z powrotem do kieszeni i poszedł do biura.

„The Sun” stało się modelem światła i wzorcem działania. Pracownicy gazety, oddzieleni naturalnym pasem przeciwpożarowym Printing House Square, z uzbrojonymi strażnikami, którzy zajęli pozycje za zasiekami z worków z piaskiem przy wejściu i na dachu (usłyszeli trzy strzały Harry'ego Penna, ale nie widzieli zbyt dobrze, co się dzieje w gęstym dymie), z własnym źródłem prądu oraz rodzinami schronionymi na dziedzińcu i w przepastnych czeluściach redakcji, uwijali się jak nigdy wcześniej.

Idąc po schodach na górę, Harry Penn był zatrzymywany kilkadziesiąt razy przez podekscytowanych młodych mężczyzn i młode kobiety, którzy chcieli pokazać, że wykonują swoją pracę i są pełni nadziei. Zadawali niepotrzebne pytania, na które odpowiadał ostrożnie, żeby podtrzymać ich entuzjazm. Dobrze wiedział, że aby pogodzić odświętny nastrój w „The Sun” z tym, co działo się na zewnątrz, powinien jedynie uszanować młody wiek jego reporterów.

Na szczycie schodów spotkał Bedforda.

– Jak włączyliście oświetlenie? – zapytał.

Bedford wzruszył ramionami.

– Po prostu się zapaliło. Mechanikom udało się chyba naprawić sprzęt.

Bedford zszedł na dół, by dowiedzieć się czegoś od mechaników.

Kiedy później wrócił do gabinetu Harry'ego Penna, ten siedział na kanapie i paląc cygaro, wpatrywał się w portrety Petera Lake'a i Beverly.

– Mechanicy mówią, że maszyny były zamrożone i zablokowane na amen – Bedford mówił do Harry'ego Penna, który ani na chwilę nie odwrócił wzroku od obrazów. – Połowę z nich rozmontowali i rozłożyli części na podłodze, szykując się na sześć miesięcy pracy, kiedy pojawił się główny mechanik i wszystko naprawił w... no cóż, mówią, że w minutę.

– Co? Trumbull? Nie uwierzę, że Trumbull naprawił cokolwiek w minutę. Potrzebuje roku, żeby naostrzyć mi szwajcarski scyzoryk. Coś tu jest nie tak.

– Rozmawiałem z Trumbullem.

– Co za kłamca!

– Ale on już nie jest głównym mechanikiem, panie Penn.

– Nie jest? Niby od kiedy? Gdzie wtedy byłem?

– Od pewnego czasu mechanicy mają nowego szefa, którego sami mianowali.

– Do diabła, Bedford – Harry Penn powiedział z wściekłością. – Nikt tu poza mną nikogo nie mianuje na stanowiska. Nikt poza mną nie przyznaje tu udziałów.

Bedford pokręcił głową.

– On ma udziały czeladnika. Zrobili z niego szefa, bo, jak mówią, jest taki dobry, że nie mogli z tym zwlekać.

– A kto to, jakiś komputerowy geniusz? Dawaj mi tu tego sukinsyna. Chcę z nim porozmawiać.

– Nie mogę tego zrobić.

– Do cholery! – powiedział Harry Penn, zerkając na sufit ze złością. – Kto jest szefem tej gazety?

Bedford próbował odpowiedzieć, ale nie mógł wydusić z siebie słowa. Harry Penn najpierw zrobił się siny, ale potem zwyczajnie osłupiał.

– Jak się nazywa?

– Mówią na niego pan Okaziciel.

– Pan Okaziciel – powtórzył Harry Penn.

– Zgadza się.

Harry Penn nie wiedział, czy przeładować swoją pieprzówkę, czy wpaść w histerię.

– Dlaczego nie możesz go tu sprowadzić? – zapytał.

– Uciął sobie drzemkę.

– Uciął sobie drzemkę?

– Tak, proszę pana. Nie pozwalają go budzić. Podziwiają go. Zdaje się, że uważają go za króla mechaników.

– Posłuchaj – powiedział wściekle Harry Penn, zrywając się z kanapy – mam to gdzieś, nawet gdyby był cygańskim królem. Idę obudzić tego pana Okaziciela, zwolnię go i skopię mu tyłek. A potem zatrudnię z powrotem i padnę przed nim na kolana, tak jestem wdzięczny temu sukinsynowi, że potrafił utrzymać światło.

Kiedy Harry Penn rytmicznie schodził po stopniach, jeden za drugim, na początku przeszedł go dreszcz, potem włosy stanęły mu dęba, aż wreszcie nie czuł już ani schodów pod stopami, ani nie słyszał odgłosów własnych kroków i pracy maszyn w maszynowni. Zanim stanął przed mechanikami, pomyślał sobie, że to niemożliwe. A jednak – najlepszy mechanik na świecie, który naprawiał wszystkie maszyny jednym ruchem, został mianowany przez kolegów po fachu, a wciąż miał udział czeladnika, był tylko jeden.

Odrętwiały ze strachu i oczekiwania, Harry Penn przepytał swoich pracowników.

– Gdzie jest ten Okaziciel? Jest tu?

– Tak, jest – odpowiedział jeden z nich.

– Prowadź.

– Nie można mu przeszkadzać – oświadczył Trumbull. – Teraz śpi.

– Boże broń – odparł Harry Penn, naśladowując uniżony ton Trumbulla. – Chcę na niego tylko spojrzeć.

– Leży tam – powiedział Trumbull, pokazując palcem. – Dwa rzędy dalej trzeba skręcić za kompresorem, a tam zobaczy pan alejkę generatorów...

Harry Penn już ruszył. Minął dwa rzędy, skręcił za kompresorem i poszedł wąską alejką pełną generatorów, aż znalazł mężczyznę, który spał oparty o pracującą bez zarzutu maszynę.

Najpierw Harry Penn nie widział jego twarzy. Ukląkł przy nim, drżąc, i osłonił oczy przed jasnym światłem rzucanym przez lampę z blaszanym, stożkowym kloszem. I wtedy zobaczył. Zobaczył to, czego nie ma prawa oczekiwać żaden człowiek, nawet jeśli żyje sto lat. Zobaczył, jak zmartwychwstaje przeszłość. Zobaczył, jak przeszłość zwycięża. Zobaczył, jak czas i śmierć zostają pokonane. Zobaczył Petera Lake'a.

Widok Petera Lake'a, który nie zmienił się po osiemdziesięciu pięciu latach, nie oznaczał jedynie, że można pokonać czas. Oznaczał też, że ci, których się kocha, nie znikają tak po prostu na zawsze. Harry Penn mógłby umrzeć zadowolony przy śpiącym Peterze. Ale przywileje chodzą grupami i nie była to ostatnia wspaniała rzecz, jaką miał ujrzeć, postanowił więc nie umierać.

Złapał Petera Lake'a za nadgarstek i zaczął go ciągnąć, by go obudzić. Nadal pogrążony

we śnie mechanik cofnął rękę, mówiąc:

– Nie o to prosiłem.

– Obudź się! Obudź się! – krzyczał zachwycony Harry Penn, ale mimo że nieustannie nim potrząsał, Peter Lake nadal spał. Harry Penn uciekł się więc do starej skutecznej metody, którą stosował podczas wojen. Nachylił się na kilka cali nad prawym uchem Petera i wrzasnął najgłośniejszym, jak tylko mógł:

– Granat, kryć się!

Peter Lake zerwał się gwałtownie jak piorun i wzbił w powietrze, gdzie w jakiś sposób udało mu się pozostać, aż dokładnie przepatrzył każdy cal podłogi. Kiedy opadł, zobaczył bardzo starego mężczyznę z szerokim uśmiechem na ustach.

– Za co to? – zapytał Peter Lake.

– Nie mogłeś się obudzić. Jak dobrze... Co ja mówię! Nie tylko dobrze, to wspaniale, to chwała, to najszczęśliwszy moment mojego życia, że znów mogę cię zobaczyć!

Peter mierzył go wzrokiem z lekką obawą.

– Czy my się znamy?

Harry Penn odchylił głowę i zaczął rechotać w szaleńczym zadowoleniu.

– Jestem Harry Penn!

– Wydawca „The Sun”. Mój szef. Ale nigdy się nie poznaliśmy.

– Oczywiście, że się poznaliśmy – zapewnił Harry Penn, radośnie podskakując na przykurczonych nogach. – Ponad osiemdziesiąt pięć lat temu! Nie miałem wtedy nawet piętnastu lat. Oczywiście zapewne mnie nie rozpoznajesz, ale ja cię znam. Nie zestarzałeś się ani o jeden dzień. Ha!

Peter Lake patrzył na staruszkę ostrożnie, czekając na rozwinięcie historii. Próbował wyobrazić sobie, jak Harry Penn wyglądał jako chłopiec i uznał, że to za trudne.

Ale Harry Penn nadal zachwycony (miał taki pozostać do końca swoich dni), klepnął się w uda i zebrał myśli.

– Wiesz – powiedział radośnie – to mi przypomina czasy, kiedy byłem dzieckiem i jechaliśmy razem przez góry w drodze do Coheeries. Miałem chyba cztery lata. Był piękny czerwcowy poranek i w gospodzie, w której zostaliśmy na noc, ojciec nadawał telegram, a może czekał na jakiś – nie pamiętam. Nie mogłem się już doczekać, kiedy dojedziemy nad Coheeries, ale powiedziano mi, że ruszymy w drogę dopiero po południu. Wyszedłem na wzniesienie, z którego zdawał się roztaczać widok na cały świat i który zabierał mu połowę słonecznego światła, i znalazłem tam polanę pełną jagód. Wkrótce objadałem się do nieprzytomności i zostałem tam, jedząc, aż zawoła mnie ojciec, gdyby nie pociąg nadjeżdżający po krętym górskim torowisku. Tory znajdowały się blisko mnie i wiedziałem, że pociąg przejedzie tuż obok. Patrzyłem, jak się do mnie zbliża i czułem ogromne podekscytowanie. Chciałem go zatrzymać, bo zdałem sobie sprawę, że jeśli do mnie przyjedzie, będzie też musiał mnie opuścić. A ponieważ już żałowałem jego odjazdu, postanowiłem go zatrzymać, nawet gdyby to miało znaczyć, że będę musiał go zniszczyć. Wiesz, co wykombinowałem?

Peter Lake pokręcił głową na znak, że nie wie.

– Miałem zamiar rzucić w niego jagodą – powiedział Harry Penn ochrypłym szeptem. – Wziąłem największą jagodę, jaką tylko udało mi się znaleźć, i zacząłem się przy torach, nękany wyrzutami sumienia, że będę musiał zniszczyć taki piękny pociąg z miłości do niego. Pamiętam, że kiedy nadjeżdżał, niebezpiecznie blisko mnie, trząsałem się z poczucia winy. Dokładnie w chwili, kiedy ważąca siedemdziesiąt ton lokomotywa zrównała się ze mną, zapomniałem o całym świecie i rzuciłem jagodą. A potem zobaczyłem, jak skład towarowy pędzi w stronę łąk,

na które bałem się pójść, bo wśród polnych kwiatów fruwało zbyt wiele pszczoł. Pociąg jechał dalej, znikając za błyszczącymi połaciami śniegu na górskich graniach. Nigdy w życiu nie czułem takiej ulgi. Ze ścisłem w klatce piersiowej pobiegłem do gospody i postanowiłem, że nie będę rzucać jagodami w pociągi. Myślałem, że kiedy mnie zobaczysz, będziesz zdumiony tak samo jak ja. Ale ty nie masz bladego pojęcia, kim jestem, prawda?

– Zgadza się, proszę pana.

– Myśl, że mnie rozpoznasz albo że będę miał dla ciebie znaczenie, była taką samą próżnością jak pomysł, że jestem w stanie wykoleić ciężką lokomotywę za pomocą małej jagody. Wtedy ledwie mnie znałeś. Ale czy nie przypominasz sobie mojej siostry?

– Niestety. Wiem, że ma pan rację, gdy opowiada pan o czasach sprzed stu lat. Pamiętam ich urywki. Ale nigdy nie składają się w całość.

– Więc nie wiesz, kim jesteś, czy tak?

– Tak.

– Ja wiem.

– Byłbym ogromnie wdzięczny, gdyby mi pan coś podpowiedział. Mam to na końcu języka od chwili, gdy wyłowiono mnie w porcie.

– Nie wiesz nawet, jak się nazywałeś?

– Nawet tego.

– No to chodź – powiedział Harry Penn. – Chodź ze mną na górę, a wyjaśnię ci, kim jesteś, nie słowami, a za pomocą pięknych obrazów, których nie da się sfalszować ani wyrzucić z pamięci. Będziesz dokładnie wiedział, kim jesteś, już zawsze, bo dowiesz się, czym jest to, co kochasz.

Peter Lake, wchodząc z Harrym Pennem po podwieszanych schodach w „The Sun”, trzymał się za bok. Rana się nie zagoiła i każdy kolejny stopień zwiększał jego cierpienie. Mimo to niemal płynął, a kiedy znaleźli się na ostatnim piętrze, wciąż unosił się nad podestem i musiał opaść na ziemię, żeby nie uderzyć w sufit. Młody gazeciarz, widząc to, szeroko rozdziawił usta i upuścił gazety, które trzymał w ręku. Powiew wiatru poniosł je w głąb korytarza z tą samą pełną gracji lekkością, z jaką Peter Lake wchodził na górę.

Tylko dzięki żelaznej dyscyplinie i skupieniu był w stanie iść noga za nogą długimi korytarzami. Wiedział, że jeśli zapomni się choć na chwilę, wystrzeli przez ścianę w otwartą przestrzeń, ciągnięty przez coś do góry, coraz szybciej i bez końca. Zastanawiał się, co takiego wlewa w niego moc, dzięki której może lewitować, biegać i wznosić się.

Wszystko, co burzyło się w jego wnętrzu, uspokoiło się w złoto-niebieskiej aurze obrazów, które stały na długim stole w gabinecie Harry’ego Penna. Były ustawione pod kątem, przez co Peter Lake i Beverly zdawali się patrzeć w dal.

Z portretów o naturalnych rozmiarach emanowały różne odcienie różu, żółci i błękitu, które kipiały w powietrzu, rozpościerając się bez końca jak rozprysk słonecznej fali w świetle. Peterowi Lake’owi i Harry’emu Pennowi obie postaci wydawały się żywe. Delikatnie błyszczące ciemne tło (jakby przebiegał przez nie silny snop światła, niewidoczny, gdyby nie kilka migoczących drobinek kurzu) w żadnym wypadku nie było płaskie i choć tworzyło je jedynie kilka milimetrów farby, prowadziły wzrok daleko i głęboko. Wydawało się, że na twarzy Beverly nieustannie zaczyna pojawiać się uśmiech. Nie tylko spoglądała łaskawie i przebacząco, tak jak często patrzają ludzie z przeszłości, ale też zdawało się, że wypełnia ją świadomość czegoś wspaniałego i dobrego. Peter Lake na portrecie wydawał się niepewny, skrępowany i nie w pełni wtajemniczony w niebywały sekret, który otaczał Beverly z taką siłą i pewnością – mimo że jej lewa ręka bardzo nieśmiało dotykała fałd niebieskiego jedwabiu, które

spływały z jej ramienia, spięte srebrną klamrą. Oczywiście miał się niebawem dowiedzieć. W prawej dłoni trzymała złożony wachlarz na tle perłowszarej sukni. Choć nie było tego wyraźnie widać na obrazach, stali niemal razem, kiedy malarze ich portretowali, i Beverly sięgała lewą ręką, by dotknąć Petera Lake'a. Choć nie trzymali się za ręce, to jeśli ktoś wiedziałby, jak pozowali, zauważyłby, że ich dłonie mają się zaraz spotkać.

Żyli, i to nie w przenośni. Nie był to też zwrot retoryczny ani środek stylistyczny. Żyli, a co więcej ona wszystko wiedziała.

– Nazywasz się Peter Lake. A to moja siostra Beverly – przedstawił Harry Penn.

Peter Lake uniósł dłoń, jakby chciał powiedzieć: „Cii! Wiem. Oczywiście, że wiem”. I w tej chwili wiedział też dokładnie, co ma zrobić, choć nie wiedział jak.

Jeszcze raz, dla otuchy, spojrzął w oczy Beverly, odwrócił się od portretu, po czym wyszedł z pokoju. Harry Penn podążył tuż za nim.

Ledwie był w stanie dotrzymać kroku Peterowi, a ten, nie odwracając się, powiedział:

– Pozowaliśmy do tego portretu w bardzo piękny dzień. Chciałem wyjść, ale ona kazała mi stać przy sobie od rana do nocy. Czasem, kiedy zmęczyłem się staniem, klękałem na niewielkim stołeczku za jej plecami. Tego dnia ani razu nie widziałem słońca, jedynie idealne błękitne niebo przez górną część północnego okna. Gdy nadeszła noc, z zaskoczeniem odkryłem, że czuję w mięśniach przyjemne zmęczenie i że twarz i ramiona mam poparzone słońcem. Beverly powiedziała, że to moja nagroda i że to jedynie część tego, co nas spotka. Wtedy nie wiedziałem, co miała na myśli, ale teraz wiem.

Harry Penn zatrzymał się i patrzył, jak Peter Lake oddala się, schodząc po schodach. Staruszek wypełnił swoje zadanie, wrócił więc do gabinetu, by kierować „The Sun”.

Gruby, łagodny, wąskooki Cecil Mature był wściekły.

– Zrób to! Zrób tamto! Zrób to! Zrób tamto! – mówił z furią do biurka zaśmieconego formularzami, zamówieniami materiałów, kwestionariuszami, nakazami i kilkudziesięcioma jaskrawoczerwonymi i niebieskimi notatkami od Jacksona Meada, które nadeszły w tym samym czasie z dopiskami: „bardzo pilne”, „najważniejsze”, „to najpierw”, „priorytet tysiąc procent”, „gdybym był królem w dawnych czasach, ściąłbym ci głowę, gdyby nie to, że musisz niezwłocznie to zrobić”.

Zacisnął pięść, aż zaczęła przypominać stosik małych bajgli, i walnął nią z całej siły o blat ogromnego biurka, aż sześć katodowych ekranów zaczęło mrugać na znak łagodnego protestu. Kipiąc ze złości, która zagrażała jego niemożliwie życzliwej naturze, postanowił spróbować stracić panowanie nad sobą w taki sposób jak inni – robiąc się złośliwy. Jeżąc się niejako wbrew swojej niekolczastej naturze, poczuł, że jest rozdarty pomiędzy stanowczym głosem zewnętrznym a cichą, ale wszechmocną wewnętrzną łagodnością.

– Tylko sobie siedzi i nie kiwnie palcem – powiedział Cecil, próbując się rozzłościć. – Same rozkazy, rozkazy i rozkazy. Kiedy mówi, ledwie otwiera usta, bo tak oszczędza energię. „Panie Wooley, proszę wysłać dwadzieścia tysięcy samochodów transportowych do składów żelaza w Minnesocie. Panie Wooley, proszę przerobić tankowce, które budujemy w Sasebo, na zbiorniki ciekłego wodoru. Panie Wooley, proszę sporządzić plany pieców hutniczych w Botswanie. Panie Wooley, proszę zrobić to. Panie Wooley, proszę zrobić tamto”. Nie mogę!

Nie wiadomo skąd nadciągnął Mootfowl.

– Jackson Mead każe ci się dowiedzieć o postępie pożaru. Nadciąga z północy bardzo szybko i Mead mówi, że musisz zbliżyć się do Krótkich Ogonów, powęszyc i postarać się zebrać o nich jakieś informacje.

– A co z tymi wszystkimi sprawami? – zapytał Cecil, mając na myśli stos „pilnych”

notek. – Co ze zmianami ładunków w Black Tom, odwróconą polaryzacją w Diamond Shoals, przełącznikami do wymiany w South Bay? To się samo nie zrobi.

– Mówi, żeby się nie martwić.

– Nie martwić? Po tylu latach? To znaczy, że on też się nie martwi?

– Nie martwi się.

Cecil był zaskoczony.

– A ty? Nie jesteś lekko spięty? Bo ja tak. Miasto płonie, presja jest ze wszystkich stron, port jest tak wzburzony, że nie mam pojęcia, w jaki sposób ustoją w nim soczewki, a muszą być całkowicie nieruchome, żeby można było idealnie skupić wiązki, skoro soczewki z lodu przepadły i...

– Nie frasowałbym się tym, Cecilu – powiedział Mootfowl. – Ja nie zamierzam.

Cecil nie wierzył własnym uszom.

– Jak to możliwe? – zapytał. – Ty? Najbardziej nerwowy, płochliwy, zasadniczy, podminowany duchowny, jaki kiedykolwiek stąpał po ziemi? Jesteśmy tak blisko!

– Cecilu, czy rozumiesz, co się stanie, jeśli przerzucimy ten most i wszystko się uda?

– Wieczne zbawienie, niebo na ziemi, widok twarzy Boga, złoty wiek, wszystko pięknie i cacy – odparł Cecil w płomiennym zachwycie.

– Zgadza się – potwierdził Mootfowl. – A co my będziemy z tego mieć?

– No? – powiedział Cecil, niemal spadając z krzesła.

– Zostaniemy bez pracy. Jeśli wszystko będzie szło gładko, nikt nas nie będzie potrzebował.

– A nie chcesz tego?

– Szczerze mówiąc, nie. Zmieniłem zdanie. A on też zaczyna wątpić. Podoba nam się tak jak jest. Lubimy zachwiania równowagi, ciągłą walkę dobra ze złem, wspaniałe, małe zwycięstwa duszy. Być może jeszcze za wcześnie, by to kończyć. Może potrzebujemy więcej czasu, żeby wszystko przemyśleć.

– Kolejne sto lat? – dopytywał Cecil.

– Uświadomiliśmy sobie, jak wspaniale się bawiliśmy, i myślimy raczej o kolejnym tysiącu... albo dwóch.

– A co z Peterem Lakiem?

– Czy jego tryumf musi być całkowity? Nikt tego nie doświadczył, ani Beverly Penn, ani nikt wcześniej, choć kiedy przyjdzie jego pora, by działać, może przyćmić pozostałych i przejąć sprawy w swoje ręce.

– Oni tak nie robią.

– Raczej do tej pory nie robili. Kto powiedział, że nie zrobią? A tak przy okazji, u niego wszystko w porządku, przynajmniej z tego, co wiemy.

– Znalazłeś go!

– Dziś, koło drugiej nad ranem – powiedział Mootfowl. – Spał oparty plecami o maszynę. Ja go tego nauczyłem.

– Chciałbyś – warknął Cecil. – Nie pamiętasz już, skąd go wzięłeś?

– Owszem, ale dzięki mnie lepiej wyczuwa naturę maszyn. Przecież pamiętasz, jak uważał, że maszyny to zwierzęta.

– Gdzie jest?

– Zawsze byłeś wobec niego lojalny, bardziej niż względem innych.

– Wiele przeszedł.

– Tak jak pozostali – powiedział Mootfowl. – Ostatnie wieści mam takie, że był w „The

Sun”. Tylko się nie zasiedź. Przerzucamy most już za kilka godzin i jeśli się przyjmie, jeśli się przyjmie... Podejrzewam, że pewnie będziesz chciał być w pobliżu.

Na Printing House Square ocalali, kłębiąc się, w oszołomieniu szukali swoich bliskich. Rodziny, których członkowie się odnaleźli, w obawie, że będą za bardzo się wyróżniać spośród zagubionych i samotnych, tłumili swoją radość, co tylko ich umacniało. Marrattowie spotkali Asbury’ego, Christianę i Jessicę Penn tuż za wejściowymi drzwiami „The Sun”. Usiedli razem pod kępą palm oświetloną przez kilka reflektorów zamontowanych pod sufitem. Parowe silniki „The Sun” kręciły się i syczały w prężnym rytmie, by dostarczać prąd prasom i lampom. Budynek „The Ghost” po drugiej stronie Printing House Square był jednak czarny jak smoła. Pracownicy patrzyli na tryumfującego rywala, a i ich twarze, oświetlane na przemian blaskiem płomieni i światłem „The Sun”, były smutne, przygaszone, ziemiste i podparte rękoma, które nie miały nic do roboty.

Kiedy Peter Lake zbiegł na sam dół, zobaczył w holu Marrattów i ruszył w ich stronę. Gdy już prawie doszedł do palm, nagle ukłucie bólu, które omal go nie przewróciło, zmusiło go do złapania się za bok. Stał spokojnie z nadzieją, że ból minie. Rozmawiali. Hardesty i Asbury mówili o sejfie, w którym Hardesty zostawił tacę. Z kilkoma funtami złota, wielkim i silnym koniem, łodzią oraz wieloma umiejętnościami i zaletami, jakie cechowały Gunwillowów, Marrattów i panią Gamely, mogli zaczynać w mieście od nowa, jakiegokolwiek by się stało po wygaśnięciu pożarów i za dnia.

Peter Lake wyłonił się zza palm. Dokładnie w tej samej chwili, precyzyjnie się przez tłumy, do holu „The Sun” wpadł Cecil Mature, z trudem łapiąc oddech. Kiedy zobaczył Petera Lake’a jego ledwie widoczne oczy napełniły się łzami. Peter również poczuł przypływ braterskich uczuć do Cecila i kiedy przemówił, głos łamał mu się z emocji.

– Masz narzędzia, żeby wysadzić sejf? – zapytał.

Pod Cecilem niemal ugięły się nogi ze szczęścia, że w tak nagły i wspaniały sposób odżyły ich dawne zwyczaje.

– Mogę zorganizować – odpowiedział uradowany.

– W „The Sun” mamy świdry i młotki – powiedział Peter Lake. – Ale są zrobione z miękkiego metalu. Musisz mi przynieść diamentowe wiertła różnych rozmiarów, nitroglicerynę, imadła i próbki, jakich używają kasiarze. Ja przyniosę resztę.

– Nic prostszego! – krzyknął Cecil na odchodne. – Zaczekaj tu.

Peter zwrócił się do Asbury’ego:

– Opowiedz mi o koniu, o którym rozmawialiście. Czy naprawdę jest taki wielki, że prawie potrzebna jest drabina, żeby na niego wsiąść? Czy jest biały jak śnieg i piękniejszy niż wszystkie posągi koni? Czy walczy tak, jak można sobie wyobrazić, że walczy koń, obracając przednimi nogami i machając głową w przód i w tył jak maczugą? Czy biega długimi susami, które w odpowiednich warunkach pozwalają mu wzbić się w powietrze? I nie chodzi o chwilowe uniesienie. Chodzi mi o prawdziwe latanie.

– Tak, to wszystko prawda – odparła Christiana.

– Macie mojego konia – powiedział Peter Lake takim tonem, że Christiana spuściła wzrok, bo zrozumiała, że traci konia po raz drugi. Peter zwrócił się do Virginii:

– Gdzie twoja córeczka? – zapytał.

– Nie żyje – odparła. – Sam widziałeś.

– Ale gdzie jest teraz?

– Pochowaliśmy ją na Wyspie Umarłych – powiedział Hardesty.

Peter Lake zamknął oczy i zamyślił się. Po chwili, kiwając głową twierdząco, jakby

właśnie sam się do czegoś przekonał, otworzył oczy i powiedział:

– Wykopcie ją.

– Co ty mówisz? – odpowiedział Hardesty, czując nagły przypływ złości.

– Co ja mówię? Mówię, że powinniście pojechać na Wyspę Umarłych i ją wykopać.

Ekshumujcie ją, jeżeli tak wolicie to nazwać. Wyjmijcie ją z grobu.

– Ale dlaczego? – zapytał Hardesty, nie wiedząc, co myśleć.

– Bo ona będzie żyć – powiedział Peter Lake cicho. – A wiem to dzięki Beverly. – Uniósł dłoń. – Róbcie, co mówię. Wezmę konia, bo i tak jest mój, ale w zamian otworzę wam sejf i odzyskam tacę.

– Wspomniałeś o Beverly – powiedział Hardesty. – Masz na myśli Beverly Penn?

– Tak – odpowiedział Peter Lake. – Beverly Penn.

– Więc wiem, kim jesteś, z fotografii w archiwach. To ty stałeś z nią na wszystkich zdjęciach, ale nigdy cię nie rozpoznano. Jak to możliwe, że przez cały ten czas się nie zestarzałeś?

– Sam chciałbym to wiedzieć – odparł Peter. – Zajmuje mi to głowę od jakiegoś czasu. Ale teraz wrócił Cecil Mature. Jeśli powiecie mi, gdzie jest się skarbiec i jaki jest numer skrytki, wykradniemy tacę i zostawimy ją tam, gdzie jest teraz koń. A gdzie koń?

– Jestem pan Cecil Wooley – poprawił go Cecil, choć brakowało mu tchu od niesienia ciężkiego skórzanego wora pełnego diamentowych wiertel i tytanowych próbników. – Pamiętasz?

– Pamiętam – odparł Peter Lake. – Panie Wooley, czy zechciałby pan po raz ostatni włamać się do sejfu? – Cecil uśmiechnął się od ucha do ucha i zawstydzony kiwał stopą, wpatrując się w ziemię.

Hardesty podał Peterowi Lake'owi numer skrzynki i lokalizację skarbcia.

– Znam go – powiedział Peter – z dawnych czasów. To był crème de la crème wszystkich sejfów. Przy współczesnych narzędziach i technice powinno pójść gładko.

– Potrzebujesz kombinacji do skrytki i klucza do kłódki, która przytrzymuje pokrywę? – zapytał Hardesty, wyciągając klucz. Po chwili zdał sobie sprawę, że obraził Petera Lake'a, i włożył klucz z powrotem do kieszeni.

Christiana powiedziała Peterowi Lake'owi, gdzie znaleźć białego konia – na dziedzińcu na Bank Street. Widział, że nie chce się z nim rozstawać.

– Ja też nie będę mógł go zatrzymać – powiedział. – On wraca do domu.

W trakcie tych rozmów pani Gamely siedziała nadąsana na ławce, niezauważona przez nikogo. Peter podszedł do niej.

– Sarah, ogromnie cię przepraszam za to, że niedawno się tak niegrzecznie zachowałem. Naprawdę nie pamiętałem. Wybaczysz mi?

– Ależ oczywiście – odpowiedziała. – Jesteś Peter Lake, prawda?

Pokiwał głową.

Razem z panem Cecilem Wooleyem, jak Cecil wolał być nazywany (uważał, że w zestawieniu z ciężką zbitką sylab w nazwisku „Mature”, „Wooley” brzmi smukło i zgrabnie) poszedł włamać się do sejfu.

Pochylili się nad lufcikami, żeby mechanicy mogli im podać potrzebne narzędzia, a następnie opuścili „The Sun” i udali się do banku, który lata wcześniej Hardesty wybrał dlatego, że wydał mu się dostojny, odpowiedzialny i zabezpieczony przed włamywaczami.

Jeśli dzięki sile woli, wyobraźni i pragnieniu można przenieść się w czasie, Peterowi Lake'owi i Cecilowi Mature'owi udało się to podczas wspólnego półkilometrowego spaceru.

Bardzo cierpieli, że muszą być w teraźniejszości, i przypuszczali, że niedługo wzniosą się i z niej wyfruną. Ledwie trzymając się współczesnych czasów, niemal słyszeli już chóry głosów, drzące dźwięki, które wstrząsną ziemią, i melodie, które dobiegną znad kłębiącego się dymu. Bardzo mocno przeczuwali, że już niebawem chaos poślubi porządek, który zbliża się do wzburzonego miasta, otoczonego spokojnymi błękitnymi zatokami.

W kłębach buchającego dymu dostrzegli wyświetlane z oddali obrazy i Peter Lake szybko zdał sobie sprawę, że zapis wszystkich rzeczy może mieć silny, niezatarty wpływ, mimo że oddala się w niezbadaną wieczność. Zobaczyli, jak w krótkiej odsłonie rozkwita miasto, które kiedyś znali – konie z wysiłkiem ciągnące wozy, odśnieżarki pogrążone w pracy, strażacy i ich przypominające urny wozy, zamrożone płatanina kabli telefonicznych, stare jedwabie i diamentowe spinki w klapach, niewinne i ulotne miny rozświetlające nieświadome oblicza. Słyszeli stukot kopyt, żalobny gwizd załadowanych promów, brzęk uprząży, okrzyki handlarzy i drewniane koła stukające o kocie grzbiety. I Peter Lake wiedział, że wszystkie te rzeczy służą tylko temu, by mógł pamiętać tych, których kochał, i by wiedział, że potęga miłości, której doświadczył, powtarza się miliony razy, przenosi się z jednej duszy na następną – zawsze wartościowa, zawsze święta i nieprzemijająca. Szybował przez obrazy, które odważnie wyświetlały się w dymie, i był głęboko poruszony, że wolą wszystkich rzeczy jest życie w świetle.

Budynek banku zbudowany z kamienia wynurzał się z mgły. Drzwi i każde okno pokryte były hiszpańskimi ornamentami z kutego żelaza, które wyglądały delikatnie jak koronka. Ale pręty krat – z całą pewnością nie wątle gałązki – były wykute z utwardzanej stali, grubej jak głowa Craiga Binky'ego.

– No proszę, oto bank godny podziwu – powiedział Peter Lake, wskazując na motto wygrawerowane wysoką na cztery stopy czcionką na architrawie: „Pożyczek nie bierz ani nie udzielaj”¹.

– Nigdy nie mieliśmy podobnej roboty – powiedział Cecil z trwogą w głosie.

– Ja miałem – usłyszał odpowiedź. – Bardzo podobną. Niektóre z prywatnych skarbców, które otwierałem, były niemal tak wielkie jak ten tutaj. Potrzebujemy jedynie właściwych narzędzi, cierpliwości i nieco wprawy. To tylko metal.

– Jak dostaniemy się do środka? Frontowymi drzwiami?

– Możemy, bo w pobliżu nie ma policjantów i jest ciemno. Ale banki zawsze najbardziej strzegą miejsc, które są dostępne dla klientów. Zaoszczędzimy kwadrans, jeśli wejdziemy przez okno na pierwszym piętrze na tyłach budynku.

Skręcili za rogiem i wspięli się na szeroki gzyms, który był parapetem okna za grubymi żelaznymi prętami.

– Dawno temu – powiedział Peter Lake – musielibyśmy przeciąć lub wysadzić te pręty albo użyć podpórki śrubowej wielkiej jak słup telefoniczny. Ale teraz, dzięki pracowitym metalurgom, mamy te wspaniałe maleńkie stworzonka. – Sięgnął do torby i wyciągnął dwa srebrne lewarki, każdy wielkości bochenka chleba. Składały się z przekładni pośrodku i czegoś, co wyglądało jak kombinacja pręta gwintowanego i pręta zębatego. Peter umocował je pomiędzy kratami i przyłączywszy do nich składaną korbę, zaczął nią obracać wraz z Cecilem. Po minucie zacieklego obracania nie widać było prawie żadnej zmiany.

Peter Lake wytłumaczył, że w lewarkach upakowano setki cienkich jak nitka zębatek ze stopów metali, które razem dawały taki efekt, jak gdyby było ich dwa tysiące. Zapewnił, że zadziałają, mimo iż trzeba się sporo nakręcić, i wskazał małe pęknięcia tam, gdzie pręty stykały się z kamieniem. Poinformował towarzysza, że są też modele zasilane bateriami, ale po co takie

komu? Co można robić, kiedy sprzęt pracuje sam? Siedzieć na gzymsie i jeść lunch albo czytać magazyn „Field and Stream”? Chodziło o to, żeby pracować razem z maszyną.

Wkrótce pręty zaczęły śpiewać jak Irlandki, które zaganiają owce we mgle. Dziesięć minut później rozparli je na tyle, że Peter Lake odkręcił lewarki, wyciągnął je i przeszedł przez otwór. Cecil jednak ugrzązł między prętami na dobre i dostał się do środka dopiero wtedy, kiedy Peter posmarował go grafitem i mocno pociągnął. Wysilek spowodował, że jego rana znów się otworzyła, a on z bólu zgiął się wpół.

– Nic mi nie jest – zapewnił. – Do roboty.

Teraz byli już na znajomym terenie i za pomocą starych narzędzi razem rozpracowywali staromodny okienny alarm, który uruchamiał się po przerwaniu taśmy zabezpieczającej. Wywiercili mnóstwo małych dziurek w taśmie i połączyli je za pomocą miedzianych próbników i przewodów. Wtedy, wiedząc, że nie przerwą przepływu prądu, ostrożnie wycięli dziurę w szkle i za pomocą przysawki wyciągnęli szybę, stawiając ją pomiędzy oknem a kratami. Ostrożnie obchodzili się z alarmami nie dlatego, że bali się policji (w tej chwili i tak miała pełne ręce roboty), ale raczej z dbałości o honor. Przymocowali obciążnik do kraty, przełożyli narzędzia przez dziurę i przeszli na drugą stronę, po czym włożyli stopy w strzemiona wielokrążka i spokojnie spuścili się na podłogę trzydzieści stóp w dół.

Dotknęli posadzki lekko i bezszelestnie. Peter Lake spojrzął w ciemność nad swoją głową.

– Cii! – szepnął do Cecila, który myślał, że nadciąga policja. – Słyszałeś?

– Co? – odszepnął Cecil.

– Muzykę.

– Muzykę?

– Fortepian, bardzo ciche i piękne dźwięki fortepianu. Słuchaj.

Cecil zamknął oczy, wstrzymał oddech i mocno się skupił. Niczego jednak nie usłyszał.

– Ach... piękne! Jakie spokojne – powiedział Peter Lake.

Cecil wziął kolejny oddech i spróbował jeszcze raz.

– Lubię muzykę – powiedział i chwilę później, kiedy wypuścił powietrze z płuc, dodał: – Ale niczego nie słyszałem.

– Jest bardzo cicha, wiruje tam, blisko sklepienia kopuły, jak mała chmurka.

Przekroczyli pustkowie wypolerowanego na błysk marmuru i zeszli po szerokich schodach prowadzących do podziemi, w których znajdował się skarbiec. Okazało się, że pokonanie ozdobnej bramy ze stalowych prętów w kolorze brązu jest bardzo łatwe. Wystarczyło rozłupać zamek za pomocą młotka i przebijaka. Kiedy znaleźli się za bramą, włączyli lampki-czołówki i podeszli do skarbcza.

Drzwi miały dziesięć stóp średnicy, a nity ich zawiasów były dwa razy grubsze od ulicznych hydrantów. Koła i pręty ze stali nierdzewnej na przodzie nadawały im wygląd wnętrza łodzi podwodnej. Nie zniechęciło to jednak Petera Lake'a, który od razu rozpoczął analityczny monolog, jaki Cecil często słyszał z ust Mootfowla, gdy ten próbował poradzić sobie z czymś trudnym i nieznanym.

– Te koła, tutaj – powiedział Peter Lake, jednocześnie dotykając kabestanów – mają tylko zrobić dobre wrażenie na posiadaczach depozytów. Przykleili je, żeby drzwi wyglądały na nie do ruszenia. Obracają się, widzisz? Nie są problemem. Te dwa – poklepał dwa osty ze stalowych szprych, każdy o jardzie średnicy – poruszają cztery rygle. Właśnie. Gdybyśmy mogli je obrócić, zasuwę wysunęłyby się ze swoich mocowań jak świstaki z nor. Każdy rygiel z czystego wanadu jest gruby jak mały pień o średnicy talerza obiadowego. W dawnych czasach

można było manipulować zamkami, nawet czasowymi. Trzeba było wiercić, żeby dostać się do mechanizmu, ale nie było to trudne. Teraz mechanizmy są kontrolowane przez krzemowe elementy, te mądrzejsze od nas herbatniki. Jeśli chcesz je pokonać, musisz dać sobie radę z pojedynczymi elektronami. Może Mootfowl to potrafi, ale to nie w moim stylu. Musimy więc obejść system kontrolujący, dostać się do czterech rygli i je zniszczyć, czyli wywiercić po trzy dziury na każdą zasuwę i wysadzić je do środka skarbcza, bo tył drzwi pokryty jest tylko blachą grubości ćwierć cala, która łatwo puści. Musimy idealnie rozplanować dziury.

Wyciągnął ze skórzanej torby mnóstwo suwmiarek i linijek, i zaczął szkicować euklidesowy diagram na płaskiej przestrzeni wypolerowanej stali. Podśpiewywał podczas pracy, co uszczęśliwiała Cecila (mimo że nie słyszał odległych dźwięków fortepianu, o których mówił Peter Lake), bo jego głos był druidyczny, kuszący, odrobinę orientalny i przypominał Cecilowi o latach, w których był tatuażystą. Po około godzinie dziury były precyzyjnie ustalone i wyryte diamentowymi wiertłami. Kiedy wywiercili zakotwiczone otwory dla trójnogów, które miały utrzymywać świdry pod odpowiednim kątem, ustawili wiertła i imadła i puścili je w ruch.

Używali ultraszybkich chłodzonych wodą elektrycznych wiertel, które Peter Lake zaobserwował u dentystów i przystosował do swoich potrzeb w „The Sun”. Kiedy niemal od razu wywiercili otwory, przelali do środka nitroglicerynę z kilkudziesięciu szklanych butelek, zatkali dziury gutaperką, wcisnęli w nią długie, miedziane przewody zapłonowe, podłączyli je do przypominającego ośmiornicę dystrybutora, zebrali swoje narzędzia i poprowadzili przewód od skarbcza aż na drugą stronę przepastnej bankowej posadzki.

Po podłączeniu przewodu do detonatora Peter Lake powiedział:

– Nie znoszę wysadzać skarbców nitrogliceryną, ale zależy nam na czasie, a te herbatniki aż się o to proszą. Zasuwę wystrzelą aż na koniec skarbcza jak pociski artyleryjskie. Mam nadzieję, że nie wbiją się w blachę. – Odwrócił się do Cecila Mature’a. – Pamiętasz nitromodlitwę Mootfowla? – Cecil pokiwał głową. – To zmów ją, a ja wcisnę wajchę.

Cecil wymamrotał coś pod nosem o kuli ognia, Peter położył dłoń na tłoku, znów złapał się za bok, i pchnął wajchę w dół.

Bank zadrżał, jakby było trzęsienie ziemi. Nad Peterem Lakiem i Cecilem nagle zapalił się ogromny żyrandol, a kilka ton zaskoczonych, protestujących kryształów zaczęło bujać się to w jedną, to w drugą stronę.

– Zrobione. Nawet światła się włączyły. Akumulatory, wszystkie banki mają obwody akumulatorowe dla ludzi takich jak my. Chodźmy.

Pobiegli do skarbcza, który teraz był jasno oświetlony.

– Przekręć koła – nakazał Peter. – Ja nie mogę. Za bardzo boli mnie bok. – Cecil przekręcił korby, by wysunąć pozostałości zasuw z otworów. Wtedy pociągnęli ogromne drzwi, idealnie wyważone na wielkich jak hydranty zawiasach, i sejf został otwarty.

– Jaki jest numer skrytki? – zapytał Cecil.

– Tysiąc czterysta dziewięćdziesiąt osiem – odparł Peter Lake. Odczuwał dość silny ból, bo nie potrafił się powstrzymać i pomógł Cecilowi uporać się z drzwiami.

Skrytka znajdowała się na wysokości pasa po prawej stronie sali. Peter podszedł do niej, ukląkł i zaczął rozpracowywać szyfr. Przyglądał się sobie w sięgającym od podłogi do sufitu lustrze na jednej ze ścian skarbcza, spojrzął sobie w oczy i zerknął na obłą sylwetkę Cecila tuż przy nim, skaczącą z podekscytowania w górę i w dół. Zobaczył też, że na marmurowych płytkach tworzy się pod nim plama krwi. Mimo bólu czuł się coraz bardziej pobudzony i silniejszy.

– Gotowe – powiedział, podnosząc skobelek. Małe drzwiczki uniosły się i Cecil

wyciągnął z nich pudełko. Przecięli małą kłódkę, podnieśli pokrywę i odrzucili rąbki materiału, którym owinięta była taca.

Peter Lake trzymał ją przed sobą i Cecilem.

Nie był to martwy przedmiot. Taca była w ruchu, tak jak najlepsze obrazy. Drgała jak światło. W wiecznie żywym spotkaniu nieskazitelnie czystych metali, z których ją zrobiono, mieniła się tysiącami kolorów, połyskując odcieniami bieli, błękitu, srebra i złota. Wydawała się płonąć i oświetlała ich twarze.

– Ona żyje – powiedział Peter Lake. – Nikt jej nigdy nie stopi. Nigdy.

Chelsea stało się ciemną i cichą wyspą otoczoną szeregami podenerwowanych rezerwistów, uzbrojonych w strzelby z nabitymi na nie bagnetami. Ponieważ Cecil był niski i przysadzisty, przypominał wyglądem Krótkiego Ogona, choć nie miał ani krótkiego zakrzywionego nosa, ani cofniętego podbródka. Żołnierze ochotnicy, głównie farmerzy z północnej części stanu, nie byli pewni, jak z bliska wygląda Krótki Ogon i nie umknęły ich uwadze skórzane torby pełne sprzętu do włamań. Taca jednak tak ich oślepiła, że pozwolili Peterowi Lake'owi i Cecilowi przejść przez barykadę.

Pożary wyzwoliły ogromną ilość energii i inwersja termiczna uwięziła ciepłe powietrze blisko ziemi (w niektórych miejscach było gorąco jak latem, a w większości miasta panowała wiosenna temperatura), mimo że nadal trwała zima, a chłodne wiatry jak zimne nurty w letnich wodach rzeki wiły się przez ciepłe miejsca jak gładkie węże lodu: zamrażały jeziora stopniałej wody, nadawały śliskość chodnikom i napełniały powietrze dziwnymi, energicznymi wybuchami. W Chelsea było ciepło. Drzewa zaczynały wypuszczać liście. Krzewy zagęściły się i stały jak nieruchome obłoczki, przyciśnięte do żelaznych płotów lub zgromadzone na placu. W doniczkach pojawiły się kwiaty, zarozumiałe jak kocury, które w letnie noce lubią spać za oknem.

– Chyba był tu ogrodnik – zauważył Cecil z lekko otwartymi ustami. Próbował wciągnąć w płuca więcej powietrza niż zwykle, żeby powąchać kwiaty.

– Rzeczywiście – odpowiedział Peter Lake. – To część obłoczków. Niektóre urosną wysokie na milę, inne nie będą większe niż listek.

Skręcili w wąskie przejście, które prowadziło na dziedziniec z ogrodem. Zagroziła im drogę brama zapięta na łańcuch od roweru. Główny mechanik „The Sun” otworzył go wytrychem szybciej, niż gdyby miał klucz. Przejście kończyło się zagroczonym ogrodem, który ciągnął się ze wschodu na zachód przez dwie przecznice. Mieszkańcy budynków z oknami na ogród rozebrali płoty, które wydzielają ich parcele, by z ogrodzonej przestrzeni stworzyć sobie prywatny park.

Peter Lake zdał sobie sprawę, że najlepiej będzie, jeśli pójdzie po Athansora sam. Zatrzymał się i zwrócił do przyjaciela, który wiedział, że ich bardzo krótki wspólny czas właśnie dobiegł końca. Cecil nie miał zamiaru naciskać na Petera, tak jak czynił to na początku stulecia, błagając go, by pozwolił mu gotować sobie kabaczki, oraz obiecując mu, że dorobi tatuażami i że będzie się go trzymał zawsze i wszędzie, choć czasem ciężko mu za nim nadążyć.

Często gdy ktoś umiera, jego bliscy myślą: „Gdybym tylko miał dzień więcej, tak dobrze bym ten czas wykorzystał; choćby godzinę, choćby minutę”. Cecil Mature dostał taki czas z Peterem Lakiem i ten czas się teraz skończył. Po policzkach spłynęłyby mu łzy, gdyby nie to, że Jackson Mead i Mootfowl nauczyli go nie płakać.

– To szkodzi na układ trawienny – powiedział kiedyś Mootfowl z powagą grabarza z Connecticut, którym kiedyś był.

– Wszystko się teraz zmieniło – powiedział Peter Lake. – Dla nas coś się właśnie kończy.

Ale zobaczysz, będziesz to śnił tak mocno, że nie będziesz wiedział, że to sen. I kiedy w końcu nic już po tobie nie zostanie, oładnie tobą siła innych czasów, które, zapamiętaj to sobie, upomną się o ciebie. Nagle, z zaskoczenia, srebro wylaniające się z głębin porwie cię i wciągnie jak pstrąg chwytający muchę. I wtedy odkryjesz, że wszystko zaczyna się od nowa, bo tak naprawdę nigdy się nie skończyło.

– Rozumiem, ale to niczego nie ułatwia.

– Teraz musisz odwrócić się ode mnie i odejść.

– Nie mogę.

– Możesz. Kiedyś w końcu będziesz musiał to zrobić, więc równie dobrze może to być teraz.

Cecil pomyślał, że nie jest w stanie odwrócić się od Petera Lake'a. Ale Peter się uśmiechnął i być może z powodu obietnicy, którą wyczuł w tym uśmiechu, Cecil zdobył się na to, by w końcu odwrócić się i odejść.

Peter Lake został w ogrodzie sam. Szedł powoli pomiędzy drzewami, aż w połowie drogi znalazł się na maleńkim pagórku, z którego widział przeciwny koniec dziedzińca. W całkowitym spokoju, patrząc wprost na niego, stał tam jego biały koń.

Gdy Peter go zobaczył, wszystkie moce, dzięki którym dotrwał aż do tej chwili, opuściły go na zawsze i stał się zwykłym człowiekiem z raną w boku. Koń także nie przypominał już pomnika o imponujących, nabrzmiałych jak balony kończynach, którym kiedyś był. Wydawał się mniejszy, nie robił wrażenia dobrego wojownika i coś w jego wyglądzie sugerowało, że jest... mleczną klaczą. Powiódł wzrokiem za Peterem Lakiem i przechylił kark na bok, kiedy mechanik okrążał dużą kępę krzewów. Kiedy Peter się zza nich wyłonił, uszy Athansora sterczały do tyłu, jego łeb był wyciągnięty do przodu, a prawe nogi bardzo delikatnie dotykały ziemi. Czasem opierał się w taki sposób, kiedy latem ciągnął wozy z mlekiem i zatrzymywał się przy przydrożnym natrysku dla zwierząt przed Towarzystwem Pomocy Koniom.

Peter Lake spojrział Athansorowi w oczy. Mimo że wydawał się teraz drobniejszy, jego rany i blizny były nieznaczne jak ozdoby i nadawałyby się do ciągnięcia wozu, nadal miał swoje idealne, okrągłe oczy.

Peter oparł tacę o młode gałęzie, które nieustępliwie wyrosły z pnia drzewa, i dosiadł konia. Ruszyli razem w stronę tunelu na drugim końcu ogrodu. Zielone liście muskały ich, jakby była wiosna albo lato, i kiedy Peter Lake spojrział w górę, dostrzegł, że świt jest już blisko.

– No dalej – powiedział, prowadząc białego konia przez ciemne listowie. – Pospiesz się. Wracasz do domu.

Choć pożary przygasły, spaliły niemal wszystko, a szkielety zrujnowanych budynków błyszczały z powodu gorąca. Poza ciemnoczerwonymi belkami, tworzącymi świetlistą mapę tego, czym kiedyś było miasto, ocalało bardzo niewiele. Chronione wyspy stały pomiędzy zniszczonymi obszarami, które znów odzwierciedlały naturalne cechy terenu, i po wielu setkach lat Manhattan był na powrót otwartą przestrzenią. Dym i para spływały w górę rzek bielą, szarością i srebrem. Ulice były puste. Miasto zostało podbite i zniszczone i wyglądało na dużo mniejsze.

Tuż przed świtem Peter Lake gnał z Athansorem ciągnącymi się ulicami. Długie kroki Athansora, o niezrównanym wdzięku, niosły ich z jednego końca wyspy na drugi i z powrotem, jak gdyby ostrzyli brzytwę o pas albo tkali na krośnie płachtę materiału. Szybowali z miejsca na miejsce tak gładko, jak gdyby ślizgali się po lodzie i w trakcie ich podróży skondensowany w ruinach czas pozwalał im zobaczyć miasto takie, jakie było, i takie, jakie będzie, jednocześnie. Nigdy nie utkano bogatszego gobelinu, bo tu zostało uwiecznione wszystko. Mogli to zobaczyć

nie dlatego, że zostali obdarowani i wywyższeni, ale raczej dlatego, że byli pokorni, a świat się cofnął, gdy spokojne obrazy buntowały się i przedzierały do przodu w nieładzie i zwycięskiej chwale. Choć miasto było w gruzach, nie wydawało się martwe i żyło dalej, jak gdyby jego duch nigdy nie potrzebował materialnej oprawy, która teraz przestała istnieć.

Zobaczyli, jak czarna burza nadciąga w letni dzień, a dzieci rozbiegają się po parku, ich włosy rozwiewa nagły podmuch wiatru, kręcą się obręcze, wycięte w ząbek wstążki słomkowych kapeluszy dziewczynek trzepoczą gwałtownie jak skrzydła ptaka uwięzionego w domu. Zobaczyli startujący samolot, który samotnie unosił się w ciemność nocy, a jego mocne białe światło nadchodzące do nich z pustej przestrzeni wyglądało tak, jakby Bóg zsyłał im anioła. Zobaczyli statki i barki, które spieszą z północy na południe i z południa na północ, jak gdyby dostarczały zapasy rzuconym daleko, zagrożonym regimentom, przecinając czystą, niebieską wstążkę Hudsonu srebrnymi śladami błyszczącymi jak dmuchawce. Zobaczyli zapaśników, którzy siłują się na macie, a ich mimowolnie symetryczne, wyteżone kończyny parodiują mosty, filary i skały. Widzieli biedne dziecko, które całuje lalkę. Widzieli wysoki na pięć pięter kafar, który hipnotyzował tłum pracowników dzielnicy dziewiarskiej, zgromadzony w porze lunchu, niezwykłymi uderzeniami metalu o metal i szalonymi wyzwiewami pary. Jego ogromny ciężar unosił się raz za razem, bez końca, jakby dzięki ruchom pracowników zajętych szyciem przez całe godziny i dni swojego życia. Zobaczyli rodzinę spacerującą nad jeziorem i poznali po domach i drewnianych ścianach, że miejscowe kaczkę nigdy nie słyszały innego języka prócz holenderskiego. Widzieli odważne małe łódki pędzące po Hell Gate, z gracją manewrujące w białych prądach pomiędzy ścianami skał. Zobaczyli młodą aktorkę kąpaną w różanym świetle, która gra swoją rolę i opanowuje swój lęk. Zobaczyli stalowoszarze mosty w blasku słońca i śnieżnych zamieciach, rozstawione w różnych częściach miasta jak gigantyczne stelaże łóżek.

Wszystkie te obrazy roztoczyły się przed nimi jak flagi trzepoczące na wietrze i wydały się ważną częścią prawdy choćby dlatego, że przedstawiały wciąż na nowo te same linie, te same kolory, tę samą płynną symetrię, te same uczucia, działania i czyny, które z czasem zaczęły mówić tym samym językiem i śpiewać tę samą pieśń jednego pierwotnego piękna.

Peter Lake mijał sale taneczne i przysłuchując się wielu głębokim dźwiękom dobywającym się z jednego miejsca, odkrył, że łączą się one w jeden wspaniały ton. Zewnętrzna warstwa nieskazitelnych obrazów wyglądała po części jak prowadzona przez Athansora falanga przynajmniej pięćdziesięciu koni – klaczy i ogierów, żrebaków i żrebic, siwków, kasztanków, gniadych i nakrapianych kuców, rudych szetlandów, perszeronów z grzywami wiszącymi im nad kolanami jak afrykańskim tancerkom, arabów, koni bojowych, czystej krwi i koni pociągowych. Kiedy jednak Peter Lake przyjrzał się im dokładnie, zobaczył, że wszystkie są rzeczywiste. Były więcej niż obrazami – były z krwi i kości, i zebrały się za Athansorem, kiedy ten mknął po ulicach. Wywabione ze swoich kryjówek spośród gruzów, połączyły się w grupy i teraz wszystkie cwałowały tym samym gładkim krokiem, z mlecznym koniem na czele.

Kiedy zrobiło się na tyle jasno, żeby rozpoznać w oddali pojedyncze kształty, Peter Lake zobaczył Krótkie Ogony. Rozdziawiły gęby ze zdumienia, gdy pędem przejechał przed nimi na czele procesji. Było to po jego myśli. Wkrótce odkryją, jaki tka wzór, i przekażą to Pearly'emu, który pewnie usłyszy, że Athansor zamienił się w pięćdziesiąt zgodnie cwałujących koni.

Podczas ostatniego przejazdu po północnej części wyspy poprowadzili wszystkie konie do rzeki, a potem patrzyli, jak przepływają się do Kingsbridge i uciekają wzdłuż przeciwnego brzegu. Teraz na Manhattanie nie było już żadnych koni poza jednym. Peter Lake i Athansor widzieli, że słońce za chwilę wzejdzie, puścili się więc galopem i zatrzymali dopiero gdzieś po

południowej stronie parku. Nie pozostały żadne rozpoznawalne budynki i trudno było im się zorientować, gdzie dokładnie są.

Jeździec zszedł z konia. Miał ochotę go przytulić, nie ma jednak sposobu, by objąć konia – jest zbyt duży. Peter Lake zadowolili się więc spojrzeniem Athansorowi w oczy.

– Mam nadzieję, że wiesz, dokąd iść – powiedział.

Koń kichnął.

– Myślisz, że cię wpuszczą z przeziębieniem? Na tych pastwiskach pewnie nikt nie martwi się takimi rzeczami. Ale kto wie, może mają kwarantannę. Może to dlatego jeszcze tam nie trafiłem. Teraz pora, byś zrobił to, przed czym powstrzymywałeś się tylko z mojego powodu, Bóg wie jak długo. Biegnij. Nie będzie mnie przy tobie. Musisz to zrobić sam.

Koń nie poruszył się, dopóki Peter Lake nie cmoknął i mu nie pomachał.

Wtedy Athansor zarżał i zaczął iść. Ruch go przeniknął i koń zerwał się do galopu, biegł coraz szybciej, aż ziemia zaczęła się pod nim trząść. Odbiegł tak daleko od Petera Lake'a, że ten głęboko się zasmucił. Miał już nigdy nie zobaczyć białego konia, ale ufał, że koń znajdzie swoje właściwe miejsce, tam, skąd przybył, w domu.

Athansor wzbili się do skoku, próbując się wznieść. Choć przeleciał jakieś dziesięć czy piętnaście stóp, zanim wylądował na ziemi, był odrobinę zawiedziony. Spróbował raz jeszcze, z podobnym nastawieniem co człowiek, który przebudzony ze snu o lataniu, znów zapada w sen, pewien, że jeszcze odbije się od ziemi. Znalazł długą, wolną od gruzów aleję i zaczął biec. Najpierw cwałował, nieco się powściągając. Potem zaczął galopować. Powietrze świszczało koło jego spuszczonej uszu. Zdawał się lekko i z rzadka dotykać kopytami ziemi, podobny do dłoni garncarza, która niby bez wysiłku napędza garncarskie koło. Teraz z pewnością przy całej prędkości, na jaką go było stać, musiał jedynie wyciągnąć przednie nogi, napiąć kark, zwrócić pysk ku niebu – tak jak zawsze to robił – i wzbic się w powietrze silnym, wznoszącym łukiem. Zerwał się do przodu i w górę, spodziewając się jedynie lotu.

I wtedy, mimo swojej odwagi, gruchnął na chodnik, stracił równowagę, przeokoziółkował kilka razy w niekontrolowanych saltach i uderzył w szereg kubłów na śmieci tworzących barierę, wokół której nie było absolutnie niczego. Przestraszył się przeraźliwego dźwięku, ale nie tak bardzo, jak swojego przywiązania do ziemi.

Kiedy minął szok i upokorzenie z powodu ślizgania się po ulicy i przewrócenia kilku kubłów jak kręgli, koń skrył się w parku. Był sam na pustej łące, usiadł na ziemi i ukrył głowę między przednimi nogami tak głęboko, że wyglądał jak skondensowany pakunek o kształcie kubistycznej rzeźby czy, jakby powiedział Craig Binky, kubanistycznej.

Zrobił to, żeby się sprawdzić. Z wielu stajni i ulic często obserwował nabożny, precyzyjny rytuał, w którym mechanik samochodowy podnosi auto w obecności onieśmiałego właściciela i od spodu bada jego wnętrze. Postanowił zrobić podobnie. Nie był wprawdzie mechanikiem, weterynarzem, anatomem czy też (bliżej istoty problemu) inżynierem lotnictwa, ale wszystko wydawało się w całkowitym porządku – jego kopyta wciąż były lśniąco czarne i twarde, mięśnie napięte, ścięgnię pod skórą silne jak stalowe liny, a podbrzusze jędrne i kształtne.

Niczego się nie doszukał, więc z nowym zapalem postanowił spróbować raz jeszcze. Znowu nabierze prędkości w szalonym biegu po ścieżce do Belvedere Castle i poszybkuje nad jeziorem, mijając wysokie gruzy na Fifth Avenue, by następnie wykonać zachwycająco piękny łuk, którym skieruje się na południe.

Szlak był tak prosty, jakby w ogóle nie wiódł pod górę. Nawet stopnie i łuki ścieżki nie były uciążliwe. Wybiegając zza zakrętów, sprawdzał swoją bezwładność, czterema kopytami

zapierając się o roślinność na skraju ścieżki i pochylając głowę, jakby zbiegał z góry. Gdy wszedł na szczyt, pobiegł po płaskich kamieniach i rzucił się w powietrze z siłą przykurczonych na chwilę i rozprostowanych tylnych nóg. Wzbił się w górę, zauroczony, przypominając sobie, jak to jest latać, poderwał się we wspaniały, nieważki sposób dobrze znany aniołom. I wtedy zaczął spadać.

W żadnym wypadku nie było to kontrolowane szybowanie, którym zwykle lądował na ziemi, zstąpienie, w którym każdy moment zatrzymania przebiegał w pełnym porozumieniu z siłami grawitacji, aż w końcu on i one podpisywały rozejm na ziemi. W żadnym wypadku: był to pełen wywrotek i niepowodzeń upadek. Koń obracał się w powietrzu, jego chrapy pulsowały, oczy otwały się szeroko, aż wpadł do jeziora sto stóp poniżej Belvedere Castle, rozbryzgując fontanny białej spienionej wody, które z początku wyglądały jak skrzydła wystające z jego boków. Na szczęście Athansor nie był świadom tej ironii.

Mimo niezgrabnego lądowania płynął pięknie i wspiał się na brzeg jeziora z największą dystynkcją, z jaką może to zrobić koń. Być może dlatego, że przemókł do cna, wydawał się lekko oszalały i spanikowany. Nic jednak nie mogło go powstrzymać. Skierował się w stronę jednej z długich i prostych alejek, po której postanowił galopować tyle mil, ile będzie trzeba, zanim znów wzbije się w górę.

Choć na początku nie mogli dostrzec koloru zatoki w dziwnym świetle, które nadeszło między nocą a świtaniem, kiedy pożary ustały, a spomiędzy olbrzymich himalajskich oparów i chmur popiołu wyrztał księżyc, powierzchnia zatoki była zielona i gładka jak szmaragd. Asbury prowadził motorówkę pomiędzy skruszonymi wodami, omijając wielkie kry, które w migającym świetle księżycy nie przypominały brył lodu, lecz niegroźne niedźwiedzie polarne z obrazów, na zawsze unieruchomione i nie mające więcej niż trzy lub cztery cale.

Grabarz z Wyspy Umarłych zniknął. Uciekł, kiedy usłyszał łódź, porzucając kapelusz i łopaty. Hardesty odrzucił kapelusz na stronę, wziął łopaty i zaczął kopać. Nie pozwolił Asbury'emu, by mu pomógł, i życzył sobie z całych sił, aby zanim szpadel uderzy w drewno, mógł umrzeć i obudzić się w innym świecie. Podnosił sterty miękkiej ziemi, podczas gdy inni patrzyli.

Wyciągnięcie małej trumny nie zajęło mu zbyt wiele czasu.

– I co teraz? – zapytał, przestraszony i niechętny, by otwierać wieko.

– Wyciągnij ją. Nie minęło zbyt wiele czasu, a ziemia jest zimna – powiedziała Virginia.

Hardesty zacisnął zęby i zatknął szpadel łopaty pomiędzy pokrywą. Podważył ją i odrzucił gwałtownie na bok. Abby leżała w środku niemal taka sama, kiedy widzieli ją po raz ostatni. Ktoś patrzący z większej odległości mógłby pomyśleć, że śpi.

Hardesty schylił się, by przyciągnąć ją do siebie, nasłuchując oznak życia. Była jednak całkowicie nieruchoma. Przeniósł ją na rękach, tak jak robił to często, kiedy wracali do domu wieczorem, a ona zasypiała w jego objęciach.

Asbury trzymał motorówkę przy nabrzeżu. Hardesty wszedł na pokład i położył dziewczynkę na pokrywie silnika. Virginia i pani Gamely podniosły Martina i również weszły na pokład, a Christiana odepchnęła ich od brzegu, wskakując na mostek.

Warkot starego silnika pod pokrywą odrzucił włosy z twarzy Abby. Tylko Martin to zauważył, bo tylko on miał odwagę na nią spojrzeć i tylko on wierzył, że siostra się obudzi. Ukląkł przy niej, czekając, aż otworzy oczy. Pani Gamely nerwowo mięła w palcach kompres, który nosiła w torebce, wiedziała jednak, że leczy się nim chorych, a nie ożywia zmarłych. Pozostali patrzyli we wszystkie strony, tylko nie na Abby, choć Virginia trzymała prawą dłoń na ramieniu dziewczynki. Popłynęli przez port pomiędzy topniejącymi bryłami lodu, wzbudzając

delikatne fale wokół dziobu i ledwie czuwając.

Zaczynało świtać.

W zasadzie już świtało. Niedługo miało wzejść słońce i po raz pierwszy w trzecim milenium ujrzeć zniszczone miasto oraz to, z jaką przyjemnością, zawziętością i energią jego mieszkańcy mierzyli się z zupełnie nową codziennością. Jak zawsze przed świtem wyczuwalny był nagły pośpiech.

Posłańcy przybywający z wiadomościami do Jacksona Meada piętrzącą się falą nagle zniknęli. Nie przyszedł nikt, by przerwać ciszę, a nawet Cecil Mature siedział cicho na swoim miejscu, ze smutkiem spoglądając przez wielkie okno na zielony port. Spokojny po raz pierwszy od nie wiadomo jak dawna Mootfowl przycupnął na stołku, jakby w oślim kącie za Jacksonem Meadem. Przez ostatnią godzinę cicho się modlił, choć nikt właściwie nie wiedział, o co.

W ciszy Jackson Mead rozmyślał o tym, co ma zrobić, i był pełen wątpliwości, czy mu się uda. Nigdy wcześniej mu się nie powiodło, choć elementy były prostsze, powietrze czystsze, a horyzont trząsł się za każdym razem, kiedy pojawiała się ściana chmur. Teraz jednak prawie nikt nie wiedział, czym jest ściana chmur, nawet kiedy przechodziła przez miasto i wyplukiwała do białości ludzkie dusze. Mimo że maszyny były gotowe, Jackson Mead wątpił, czy połączenie warunków jest odpowiednie. Nie miał przecucia, że mocno błyszczące migotliwe złoto, które zwiastowałyby nastanie idealnej, zrównoważonej sprawiedliwości, nadejdzie, bo nie sądził, żeby ktokolwiek pamiętał naturalną lub boską sprawiedliwość albo się nią przejmował. Wszyscy definiowali ją we własnym sumieniu, co oznaczało, że musiała być prosta i nieskomplikowana.

Minęły wieki, zanim zdał sobie sprawę, że musi stworzyć most ze światła, bez widocznego końca. Przedtem budował cuda o pięknych proporcjach i zwiewnym wdzięku, srebrne liny łańcuchowe, które na całym świecie śpiewały na wietrze ponad cieśninami smaganymi podmuchami, łącząc jeden porośnięty wrzosami klif z drugim, lub zaślubiając dwie strony uciskanego, ubogiego miasta. Prawidłowo i właściwie wymierzał rozległe łuki, które stanowiły idealną syntezę wstąpienia i upadania, aspiracji i desperacji, buntu i posłuszeństwa, dumy i pokory. Jako imitacja fali samych w sobie, były najmocniejszymi konstrukcjami, jakie kiedykolwiek stanęły na ziemi, a może nawet najbardziej religijnymi ze struktur, z wyjątkiem wież kościelnych wskazujących dal nieba.

Teraz miał grube i precyzyjnie ustawione wiązki światła, idealnie równoległe, idealnie czyste, które miały stworzyć łuk nachylony tak łagodnie, że wedle wszelkich znanych narzędzi pomiaru miał się wydawać absolutnie prosty. Miał mieć początek w Battery i przesywać powietrze gładką wielobarwną konstrukcją dźwigarów, prostych jak strzały, pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

Jackson Mead podszedł do wysokiego na dwanaście stóp przyciemnianego okna i wybił je.

– Chcę to zobaczyć w prawdziwych barwach – powiedział, kiedy szkło popękało i jego kawałki wyleciały na zewnątrz, szybując i kłębiąc się na wietrze.

Wiatr uderzył ich w twarz, zwał im włosy do tyłu i musieli się zaprzeć, by przyjrzeć się temu, co się przed nimi rozpostarło. Na niebie kłębiły się obłoki pary i dymu. Wysokie i białe, powoli obracając się i wznosząc, o oświetlonych przez słońce czubkach, wyglądały jak pasmo złotych gór wiszących daleko ponad linią horyzontu. Jackson Mead przechylił głowę i przymrużył oczy, po czym zwrócił się do Mootfowla.

– Widać chmury dymu i popiołu. Nie możemy już dłużej czekać.

Zdecydowanym gestem ręki i wyrazem oczu dał znak, by przerzucić most.

Gdy wystrzelił, pasażerowie motorówki pomyśleli, że uderzył w nich piorun.

Oślepiający, spektralny błysk i następujący po nim wstrząs zepchnął ich do zęzy. Jediną osobą, która się nie poruszyła, była Abby.

Po wschodniej stronie parku koniowi mierzącemu wzrokiem pozornie bezkresną aleję i próbującemu zebrać się w sobie zaparło dech na widok nagłego wybuchu światła i gromkiego odgłosu grzmotu, który rozniósł się po mieście i zwrócił na siebie uwagę nawet ruin.

Z Battery unosiła się piękna, nachylona wiązka światła we wszystkich kolorach. Każda cząstka miała wysokość człowieka, była szeroka na jard i tak długa, że nie dało się tego określić. Ciepłe kolory – czerwienie, zielenie, fiolety i szarości – stanowiły trzon, a bardziej eteryczne i metaliczne barwy tworzyły wypływające z niego ostrze. Masywne strumienie łączyły się ukośnie w powietrzu, przebijały przez obłoki i znikwały z zasięgu wzroku. Niebieskie, białe, srebrne i złote wiązki, które tworzyły ostrze, były przejrzyste, oślepiające i przypominały klejnoty. Za główną strukturą podążało naśladujące ją halo, tworząc rozmytą, migoczącą srebrzyście drogę, która wyglądała na wystarczająco solidną, by można było po niej przejść.

Minuty mijały, a Jackson Mead patrzył.

– Ile czasu? – pytał co sekunda, wiedząc, że nawet przy prędkości światła lub szybszej (z powodu zakrzywienia), miną nie sekundy ani minuty, ale całe godziny, zanim dowiedzą się, czy most się przyjął. Będą wiedzieli, czy łuk znalazł swój koniec, jeśli poniesie się fala wtórna, która wstrząśnie ziemią. Jeśli to się nie uda, łuk zgaśnie, jakby ktoś zdmuchnął świeczkę.

Nie tylko oni w mieście byli porażeni swoim dziełem. Ludzie wszędzie zastygli w obawie, że jeśli się poruszą, czar pryśnie. Ci, którzy nie wiedzieli, na jaki sprawdzian trzeba jeszcze poczekać, myśleli, że to już wszystko. Obłoki stale wznosiły się do góry. Słońce nadal było tak blisko wschodniego horyzontu, że gdy się nań patrzyło, można by pomyśleć, że Europa płonie. Most jednak spieszył mu z odsieczą.

Mootfowl, doskonały mechanik, nagle podszedł bliżej, bo dostrzegł wśród światła coś, czego nikt inny, nawet Jackson Mead, nie był w stanie zauważyć. Cecil Mature po raz pierwszy odwrócił się od mostu i spojrział na Mootfowla. A po chwili i Jackson Mead zobaczył to, co wcześniej odkrył Mootfowl.

Wewnętrzna część tęczy zaczęła wibrować, co było pewnym znakiem, że most się nie przyjmie. Choć początkowo wibracje były ledwie zauważalne, wkrótce rozbujały się regularnym rytmem. Cały most zaczął się trząść. Nagle wygiął się i zniknął tak gwałtownie, jak się wzbił, zostawiając za sobą jedynie delikatny i mylący ślad dla tych, którzy teraz, w świetle poranka, boleli nad wspomnieniem jego piękna.

Słońce weszło. Przysiadło na pocerniałej linii dachów na Brooklynie i skapywało na ulice kroplami złota. Wznosząc się wyżej, rozlewało stopiony metal po wzgórzach i porcie, zmieniając tysiące ciemnych uliczek w tysiące złotych śluz.

W ruinach Maritime Cathedral Peter Lake przyglądał się przesmykom światła między kolumnami i przyporami, równomiernie rozganiającym cienie i odbijającym się od tego szkła, które jeszcze pozostało w odkształconych oknach. Wyobraził sobie, że kiedy katedrę otoczył ogień, musiała być czarniejsza niż atrament, a czerwone światło tańczyło pomiędzy wzorami wyrzeźbionymi na strzelistych sufitach. I być może skutek wybuchu jasnego płomienia, eksplozji gazociągu albo nagłego pożaru drewnianego domu proste płomienie błysnęły w białym oku wieloryba albo wydeły żagle delikatnych szklanych statków. Teraz na podłodze leżały rozrzucone zwęglone belki stropowe, a gdy do środka wdarły się promienie słońca, Peter Lake zauważył, że niedługo kamienie zarosną chwastami.

Niepewny, co go czeka, Peter złął się dźwięku, który brzmiał tak, jakby odziana w rękawiczkę pięść uderzyła o metal. Osłonił oczy i spojrział w stronę drzwi, gdzie oświetlona od

tyłu postać szła w jego stronę chwiejnym krokiem, trzymając się za głowę.

– To pewnie ty, Pearly – krzyknął Peter Lake, choć nie widział wyraźnie sylwetki, bo słońce świeciło mu w oczy. – Tylko Pearly Soames mógłby uderzyć się w głowę, przechodząc przez drzwi szerokie na czterdzieści stóp. – Podchodząc na środek katedry, Peter poczuł, jak krąży w nim krew. Nie chciał, żeby przepełniała go wola walki, ale powróciła jakby nie wiadomo skąd.

Uderzywszy się dość mocno w głowę o rurę, która ukośnie zawisała w wejściu, Pearly Soames podskakiwał z bólu.

– A może to nie Pearly Soames – zadrwił Peter Lake. – Po tym jak kica, wygląda raczej na jakiegoś królika sukinsyna, który wszedł na gwóźdź. – Pearly znieruchomiał, czując znacznie większą wściekłość niż ból. – Choć swoją drogą Pearly Soames to też głupek i sukinsyn. Dwa razy dziennie spada ze schodów i przez pomyłkę strzela do własnych ludzi. Mylą mu się słowa, bo jego język jest jak wąż, który walczy o wolność. I ma ohydne ataki, po których, gdy dojdzie do siebie, widzi, że ma ręce umazane krwią, bo wbił swoje długie i brudne paznokcie w bok i poharatał nimi twarz. Ale czy ten sukinsyn, dosłownie, dziecko suki, nie był już znany z tego, że skacze jak królik? Kto to zatem teraz? Pearly czy królik?

– Pearly, i dobrze o tym wiesz – odpowiedział głęboki, chrapliwy głos pełen wstrzymywanej złości. Pearly Soames szedł powoli środkową nawą przedzielającą las ławek zmiażdżonych przez spadające gruzy.

Był ogromny. Peter Lake nie pamiętał, że Pearly był taki wielki, ale teraz zdawał się mieć trzydzieści stóp. I znów zobaczył oczy, przy których twarz Rasputina wydawała się łagodna jak u baranka. Nawet Peter Lake, obdarowany niemal każdym rodzajem mocy, był pod wrażeniem ruchliwości tych oczu. Były płytkimi, pożerającymi się wirami, które nie przerażały swą grozą, lecz pustką. Pearly zauważył, że Peter Lake ma ranę w boku.

– Widzę, że mały Gwathmi jednak cię ugodził – powiedział Pearly, coraz bardziej przekonany, że kiedy Peter Lake przemierzał czas, został pozbawiony niezniszczalności. – Powiedział mi o tym jego brat Sylvane, licząc na nagrodę. Nie uwierzyłem mu, więc go zabiłem.

– Zobaczmy – przerwał mu Peter z drwiną w nosie. – Którą z zabaweczek o rękojeściach z kości słoniowej go zabiłeś? Kastetem? A może hebanową pałką?

– Własnymi rękami. Sylvane był bardzo mały, mniejszy nawet niż Gwathmi. Złapałem go i zacisnąłem jego szyję w prawej pięści – powiedział Pearly, zaciskając zęby, kiedy pokazywał, co zrobił. – I dusiłem, aż się złamała. Sięgnął po broń, ale nie starczyło mu czasu. Powinien był to przewidzieć.

– Wiesz, że mnie nie możesz tego zrobić? – zapytał Peter Lake, wpatrując się bez cienia strachu w oczy Pearly'ego. – Nigdy nie mogłeś mnie tknąć, pamiętasz?

– O nie, ciebie nie – odparł Pearly. – Nie ciebie. Ciebie Peterze Lake'u chroni kobieta, dziewczyna. Próbowałem, ale rzeczywiście osłania cię tarcza. A przynajmniej osłaniała. Kobitka chyba zmęczyła się robotą, skoro przepuściła Gwathmiego. Nic nie trwa wiecznie, nic, nawet jej miłość do ciebie.

– Miłość przenosi się z duszy na duszę, Pearly. Naprawdę trwa wiecznie. Ale co ty możesz o tym wiedzieć?

– Coś mogę. Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział to, co ja. Przyznam ci rację, że przenosi się z duszy na duszę, jeśli ty przyznasz, że to ograniczony przywilej, bo przenosząc się, porzuca niektóre dusze i pozostawia je bez ochrony.

– Nie wydaje mi się – odparł Peter Lake. – Uważam, że gdy się daje, niczego się nie traci.

– Cholerny mit – wrzasnął Pearly. – Narusza wszelkie prawa! Świat jest w doskonałej równowadze. Kiedy dajesz, tracisz. Kiedy zabierasz, zyskujesz. Nic więcej.

– Nie – powiedział Peter. – Prawa, które uznajesz za absolutne, od czasu do czasu się zmieniają. Są bardzo skomplikowane i to, co oczywiste, nie zawsze jest prawdziwe.

– Jesteś tego pewien? – zapytał Pearly.

Peter Lake zawahał się, zanim odpowiedział:

– Nie. Nie jestem pewien.

– Oczywiście, że nie jesteś, bo twoja ochrona zniknęła – upierał się Pearly. – Zostałeś porzucony, Peterze Lake'u. Wiedziałem, że jeśli tylko wystarczająco długo poczekam, znajdę cię, kiedy będziesz u kresu sił.

– Może i moja ochrona zniknęła – potwierdził Peter – ale nadal musisz mnie pokonać. – I zrobił coś, czego nikt wcześniej się nie ośmielił. Uniósł się i splunął Pearly'emu w oczy.

Pearly w gnieniu oka wyciągnął swój miecz i gdy wymierzył go w dół, Peter Lake odskoczył na bok. Dopiero wtedy zobaczył, że Krótkie Ogony przycupnęły wzdłuż ścian, schowały się pomiędzy połamanymi ławkami i stały pod ołtarzem w równych szeregach.

Pearly ryczał, wymachując mieczem na lewo i prawo, Peter Lake zaś odskoczył do tyłu, idealnie lądując na podstawie złamanej kolumny.

– Dlaczego uważasz, że nie mogę pozbyć się ciebie, ot tak? – powiedział, wyrzucając pięść w powietrze. – Dlaczego uważasz, że nie dam rady tym wszystkim karłom, którzy tu stoją, i że nie rzucę ich na Canarise z ponaddzwiękową prędkością? – Iskrząc się z wściekłości, Peter w mig zapomniał, co miał zrobić.

Pearly zamachnął się na niego mieczem, usiłując przeciąć mu kostki. Tym razem jednak zamiast wykonać unik Peter Lake uniósł lewą stopę i docisnął nią miecz do kamienia. Pearly mocno się wysił, ale nie mógł go ruszyć.

– Skąd ta pewność, że coś się zmieniło? – zapytał Peter Lake, mocno przytrzymując ostrze stopą.

Pearly uśmiechnął się.

– No skąd? – jeszcze raz zapytał Peter.

– Bo zarżnęliśmy konia.

– Niemożliwe – odparł Peter Lake, czując, jak oczy wzbierają mu łzami.

– Ależ tak, niespełna dziesięć minut temu.

– Nie wierzę ci.

– Nie musisz mi wierzyć – odparł Pearly. – Możesz zobaczyć. – Odwrócił się do mężczyzn zgromadzonych za jego plecami. W szeregach zapanowało zamieszanie i Krótkie Ogony utworzyły przejście, przez które przemaszerowało kilkunastu opryszków przemoczonych krwią, z kończynami, korpusem i głową konia w rękach. Wyglądali jak rzeźnicy z targów mięsnych, którzy zarzucają sobie na plecy całe barany lub tusze wołowe. Części, które nieśli, wciąż były obleczone skórą. Skóra, choć cała we krwi, była biała.

To załamało Petera Lake'a. Zszedł z kolumny i pozwolił mieczowi z brzękiem upaść na posadzkę, z której podniósł go Pearly.

– Zobacz, tu jest ta twoja niezniszczalność – powiedział Pearly, pokazując stertę końskiego mięsa. – Tu są skutki tego, w co wierzysz. Tu jest to, co powstało z twoich uczuć, i tu jest koniec, który cię czeka.

Peter Lake padł na kolana.

Pearly uniósł miecz obiema dłońmi i oparł jego koniuszek między obojczykiem a podstawą szyi Petera Lake'a.

– Chcesz wiedzieć, co się teraz stanie? – zapytał Pearly.

Peter Lake milczał.

– Będziesz gnął na tej podłodze, aż psy wrócą do miasta. Będą walczyć ze sobą o to, co zostanie z ciebie i konia, i zawloką wasze szczątki do swoich nor pod przystaniami, oczywiście jeśli nie dopadną was najpierw szczury. A co do Beverly Penn, widziałeś ją po raz ostatni na początku tego stulecia i więcej jej nie zobaczysz. Dotarłeś do pospolitego i nieuniknionego końca, mimo że zmierzając do niego, zaciekle walczyłeś. Za chwilę zamilknie na zawsze i odejdiesz w zapomnienie. Nikt nie będzie o tobie pamiętał. Niczego. Wszystko na próżno.

Peter Lake uniósł twarz ku porannemu niebu i zobaczył wspaniałe obłoki. Chmury o idealnych kształtach, śnieżnobiałe, tkwiły nieruchomo wiele mil nad ich głowami pośród mroźnego, niebieskiego powietrza.

– To tylko chmury pary i popiołu – upierał się Pearly. – Czasem pojawiają się po pożarach.

– Dla mnie – powiedział Peter Lake – były czymś więcej... – Ale nagle zamarł, a jego oczy zaczęły szukać tego, co ledwie mógł usłyszeć.

Pearly również wyteżył słuch, a koniuszek miecza odsunął się od ramienia Petera Lake'a i zawisł w powietrzu. Z północy nadchodził dźwięk przypominający grzmot, który w miarę zbliżania się stawał się coraz głośniejszy. Był miarowy i elektryzujący. I przebiegł obok nich – był to tętent kopyt uderzających o ziemię. Cała wyspa się trzęsła.

Peter Lake jeszcze raz odwrócił się do Pearly'ego.

– Zdawało mi się, że widzieliśmy, jak wszystkie konie z wyspy przeprawiają się do Kingsbridge – powiedział. – Ale wygląda na to – ciągnąc, kiwając głową w stronę leżącego przy nim stosu padliny – że przynajmniej jedno nieszczęsne zwierzę nie przepравиło się przez rzekę. To jest biały koń – oznajmił, wyciągniętą dłonią wskazując w stronę dobiegającego ich gromu. – A po tym jak biegnie, wiem, że mu się uda.

Pearly nie cofnął się. Peter Lake ujął w palce koniuszek miecza i postawił go nad swoim obojczykiem.

– I mnie też się uda, Pearly, choć w sposób, którego nigdy nie zrozumiesz. Widzisz, to działa. Równowaga zostanie zachowana. Świat jest idealnym miejscem, tak idealnym, że nawet jeśli potem nie ma już niczego, to, co mamy tu, wystarczy. Teraz wiem, teraz jestem pewien, co muszę zrobić. I muszę to zrobić szybko.

Naciskał na miecz, aż zaczął się w niego wbijać. Potem spojrzął w górę, ponad głowę Pearly'ego.

– Tylko miłość... – powiedział. – Pchnij mocno.

Miecz wszedł w jego ciało, aż rękojeść oparła się o pierś – i Peter Lake umarł.

Ci, którzy widzieli lub słyszeli białego mlecznego konia, oraz Peter Lake, po odgłosie i prędkości jego galopu sądzili, że porwał go piorun. Dla konia było to jednak gładkie i łatwe przejście, niebo i ziemia odsunęły się od niego jak jedwabisty sen, pozwalając mu odlecieć. Kiedy nabierał prędkości, zaczęły rozmywać się w niewyraźne linie, a on powoli odrywał się od ziemi sprężystymi susami, pozostawiającymi tylko świst wiatru, który opływał mu uszy i krawędzie kopyt. Jeszcze raz dotknął ziemi i przypomniał sobie, jak to jest wplątać się w maszynierię świata i poznać jego tarcia, komplikacje i miłość na własnej skórze. Poczul jednak, że w trakcie jego nieważkiego przyspieszenia ciągnie go gładka, idealna cisza – niezawodny znak pastwisk, na których dzikimi kwiatami są gwiazdy, a ogromne konie żyją tam w stałym bezruchu, choć wcale nie przestają się przemieszczać.

I choć za każdym razem, gdy dotykał ziemi, miłość do tych, którzy pozostali, nieco go

przytrzymała, czysty eter wyrwał go z długiego snu i uniół w powietrze. Athansor ujrzał białą ścianę, która nadciągnęła znad zatok i zatoczek. Kiedy wleciał w chmury, spostrzegł, że są takie, jak je zapamiętał. I jeszcze raz Athansor, biały koń, wiele razy pokonany, przekroczył ścianę chmur – by już nigdy zza niej nie wrócić.

Na dziedzińcu, na którym Christiana trzymała białego konia, taca leżała w cieniu, ale ścianę tuż nad nią spowijało światło i w miarę jak wschodziło słońce, jasna, idealna linia pomiędzy blaskiem a mrokiem obniżała się. Na początku taca świeciła tylko wzdłuż cienkiego górnego brzegu, który płonął jak gorący drut. Kiedy na świat zaczęła opadać złota kurtyna, taca stanęła w płomieniach. Niemal tak silna jak samo słońce, oświetliła spowitą w ciemnościach część ogrodu pełnym blaskiem, który emanował z nieskazitelnego metalu oślepiającymi kolorami. Kiedy inskrypcja pogrążała się w słonecznych promieniach, dziedziniec zaczął wypełniać się złotym światłem.

Motorówka „The Sun” płynęła przez zimne prądy, które nadawały portowej wodzie zielony, złoty i biały kolor. Silniki śpiewały niskim, niepokojącym tonem, gdy łódź przebijała się łagodnie przez niezmacone fale. Pasażerowie odwrócili się ku południu, gdzie pionowa biała ściana zamieniła port w nieskończone morze. Nawet gdy zwijała się i kłębiła, wyginała i ściągała, nie przestawała wzbijać się w górę, poza zasięg wzroku. Hardesty powiedział, że nabrzmiała od pyłu i dymu zrujnowanego miasta i że bardzo pięknie wyglądałaby w promieniach porannego słońca.

Tylko Martin nie patrzył na ścianę chmur ani się nie odzywał. Chłopiec z niemal religijną czcią wpatrywał się w Abby.

Wibracje silnika tuż pod pokrywą, na której leżała, już wcześniej strąciły jej włosy z twarzy. Teraz, drgając pod ich wpływem, wyglądała, jakby poruszała się z własnej woli, choć tak nie było, a od czasu do czasu jej ręce zgodnie i lekko przesuwały się w odpowiedzi na ruch motorówki. Kiedy wyprostował się jej lewy palec wskazujący, a potem zgiął z powrotem, Martin wstrzymał oddech. Wydawało mu się, że zobaczył, jak siostra lekko ściąga usta. Potem pomyślał, że widzi, jak oddycha. Kiedy kazano mu spojrzeć na białą ścianę, nie był w stanie odwrócić się od Abby – dlatego że się poruszała. To pewnie były tylko drgania silnika, nic więcej. Ale teraz jej palce się rozprostowywały. A teraz zaczęła oddychać. I teraz, w jednej nagłej chwili zdecydowanie otworzyła oczy, zaskoczona.

Kiedy Martin się przełamał, powiedział o tym pozostałym. Abby już wcześniej spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Kiedy Asbury zobaczył, że dziecko otworzyło oczy, chwycił mocno rumpel, bo teraz, gdy miał tak blisko, w zasięgu ręki, to, czego szukał, trudno mu było utrzymać kurs do Battery. Pani Gamely wyrzuciła zmięty kompres do zatoki i rozpłakała się. Virginia z najwyższym opanowaniem podeszła do córki, tak jakby dziecko obudziło się z drzemki. Choć trzęsła się i zaślepiła ją łzy, nie wykonała żadnego gwałtownego, niespodziewanego ruchu, a tylko zwyczajnie wzięła Abby na kolana.

Hardesty, tak jak miał w zwyczaju, próbował wszystko złożyć w całość. Wiedział, że w oczach Boga wszystko jest powiązane: wiedział, że sprawiedliwość niespodziewanie wyłania się z czynów i następstw z dawno zapomnianych czasów, wiedział też, że czas nie może pokonać miłości. Zastanawiał się jednak, skąd wiedział o tym jego ojciec, który nie miał na to żadnych dowodów, i jak znalazł siłę, by w to uwierzyć. Hardesty pomyślał o Peterze Lake’u. Myśl tę przerwało mu jednak coś wspaniałego.

Obezwładnił go widok wielu cudownych godzin ze wszystkich minonych i przyszłych epok, połączony z nieskończeniem świetlistym i głębokim wszechświatem, niewinnymi oczami jego dziecka i pokonanym miastem złożonym z setek milionów linii, które z lotu ptaka były

gładkie i piękne jak ukochany obraz. Czas się skurczył i Hardesty oraz pozostali trzęśli się jak trzciny, bo stali się przenikliwie świadomi tego, co się wydarzyło i dlaczego. I wtedy zagarnął ich wiatr, który zerwał się nagle, i podniósł ich w absolutnej tryumfującej wierze. Kiedy wznosili się kaskadami, zobaczyli, że ogromne miasto pod nimi jest nieskończenie złożone, święte i żywe.

Płynąc nad nim powoli i w ciszy, dostrzegli, że wszystkie jego części tworzą jedno dzieło, obraz uniesionego złota i ożywionych długich chmur, łagodnie wspinających się i falujących ku niebu. Piękne zatoki i rzeki otaczające miasto rozświetliły się i razem z morzem stały się bladym, połyskującym złotem rozlewającym się na setki mil.

1. Fragment kwestii Poloniusza ze sceny 3 aktu I *Hamleta* W. Szekspira, tłum. S. Barańczak (przyp. red.).

EPILOG

Unieśli się na tyle wysoko, by zobaczyć, że wirujące złoto jest rzeczywiste, przykrywa wszystkie oceany i przenika cały świat obietnicą ostatecznej łaskawości, która już nie zniknie. A potem łagodnie wylądowali w sercu nowego miasta, wiosennego i pełnego słońca.

My jednak musimy płynąć dalej ku wyspom i morzom szybko mknących chmur i pozostawić ich w miejscu ponownych narodzin. Będziemy teraz mogli zobaczyć to miejsce jedynie wówczas, gdy jezioro w chmurach otworzy się, żeby ujawnić jego pulsujące kolory i nowe życie. Skoro jednak odchodzimy, możemy dowiedzieć się kilku rzeczy.

Ponieważ tęczowy most nie przebił się do najwyższej sfery nieba, Jackson Mead, Cecil Mature i Mootfowl zniknęli bez śladu i szybko o nich zapomniano. Ale Jackson Mead był przekonany, jak zawsze, że następnym razem nowe środki i narzędzia pozwolą mu powrócić do miejsca na górze, z którego kiedyś został strącony. Wiedział też, że jeśli nie będzie mógł wrócić, jest teraz doskonale przygotowany, żeby poczekać na swój czas. A gdyby pojawił się znów, nikt nie będzie go znał i dostanie ogromny przywilej, jakim jest zaczynanie od nowa.

Tego samego poranka rozpoczęto odbudowę miasta. Barki napływały długimi łańcuchami, wywożąc gruzy w głąb morza, a odgłosy kafarów, stłumione eksplozje pod żelaznymi siatkami, radosne, upiorne wrzaski pił oraz sapanie i gwizdy maszyny „The Sun” były jak muzyka.

Choć Harry Penn zdążył zobaczyć część odbudowanego miasta, zmarł niedługo po rozpoczęciu prac. Zmarł w pełni wiary, a później Jessica Penn urodziła Praegerowi de Pinto syna. Był on Pennem w każdym calu i poprowadził „The Sun” ku czasom, których nie umiemy sobie nawet wyobrazić.

Pearly pozostał na ulicy. Miejsce dla niego znalazło się nawet w nowym mieście, które było tak młode i niewinne, że nie znało żadnego zła. Otrząsnął się i czekał na rozwój wypadków. W końcu bez niego miasto płynęłoby mlekiem i miodem, a to nie wystarczy, by zamienić świat w złoto.

Wszędzie jest teraz białe... Opuściliśmy miasto. Radzi sobie samo. Zostało jednak jeszcze trochę do opowiedzenia.

Po takim wskrzeszeniu i po tylu zmianach niektóre okoliczności mogą nas zadziwić. Na przykład pani Gamely wzięła ślub z Craigiem Binkym i okazali się idealnie dobraną parą. Wilk zamieszkał z barankiem.

Pamiętacie dzieci, które przychodziły do studia Marka Chestnuta i nic nie mówiły ze strachu, kiedy on malował ich portrety, a krople deszczu bębniły o dach i spływały kaskadami po świetliku? W większości zostały malarzami. Pamiętały. A Abby Marratta wszystko to widziała. Jej przyszłość i potęga ostatecznego wyzwania, jakie przed nią postawiono, też są niemal nie do

wyobrażenia, chyba że przypomnimy sobie o głębokiej wierze jej poprzedników.

W chmurach nie ma już jezior. Miasto jest głęboko pogrążone w swoim nowym śnie. Być może chcielibyście spytać, co stało się z Peterem Lakiem. Czy cała przeszłość stanęła przed nim otworem? Czy udało mu się zatrzymać czas? Czy spotkał się ponownie z kobietą, którą kochał? A może jego nieodwracalny upadek był ceną za idealnie sprawiedliwe miasto?

Na te pytania musicie znaleźć odpowiedź w waszych sercach, przynajmniej dopóki w chmurach ponad żywymi miastami nie otworzą się nowe jeziora. Na razie jednak, a być może na zawsze, niczego o nich nie wiadomo.

